

DAVID MITCHELL

CZASOMIERZE

UCZTA WYOBRAŹNI



Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Fala gorąca 1984

30 czerwca

1 lipca

2 lipca

Niosę mirrę, gorzka jej woń 1991

13 grudnia

20 grudnia

23 grudnia

29 grudnia

30 grudnia

31 grudnia

Nowy Rok, 1992

Wesele 2004

16 kwietnia

17 kwietnia

Samotna planeta Crispina Hersheya 2015

1 maja 2015

11 marca 2016

14 marca 2016

21 lutego 2017

20 sierpnia 2018

17 września 2019

19 września 2019

20 września 2019

23 września 2019

13 grudnia 2020

Labirynt Horologa 2025

1 kwietnia

3 kwietnia

4 kwietnia

5 kwietnia

6 kwietnia

7 kwietnia

Sheep's Head 2043

26 października

27 października

28 października

Podziękowania

David Mitchell

CZASOMIERZE

Przełożyła Justyna Gardzińska

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2016

Tytuł oryginału:
The Bone Clocks

Copyright © 2014 by David Mitchell

Copyright for the Polish translation © 2016 by Wydawnictwo MAG

Redakcja:

Joanna Figlewska

Korekta:

Urszula Okrzeja

Projekt graficzny serii oraz opracowanie graficzne okładki:

Piotr Chyliński

Ilustracja na okładce:

Irek Konior

Projekt typograficzny, skład i łamanie:

Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-7480-690-9

Wydanie II

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel. 22 813 47 43, fax 22 813 47 60

e-mail kurz@mag.com.pl

www.mag.com.pl

Fala gorça

1984

30 czerwca

Rozsuwam zasłony w moim pokoju, widzę spragnione deszczu niebo i szeroką rzekę pełną statków i łodzi, ale ja już myślę o czekoladowych oczach Vinny'ego, o strużce szamponu, która spływa po jego plecach, o jego ramionach zroszonych kroplami potu, o jego cwaniackim śmiechu, i serce wali mi jak wściekle. Boże, tak bym chciała budzić się teraz u niego, na Peacock Street, a nie w moim głupim pokoju. Wczoraj wieczorem jakoś tak mi się niechcący wyrwało: „Jezu, Vin, ja cię naprawdę kocham”, a Vinny wypuścił kłęb dymu i odparł, udając księcia Karola: „Nie mogę zaprzeczyć, droga Holly, że czas spędzony z tobą również należy do szalenie przyjemnych”. A ja się mało nie poszczałam ze śmiechu, chociaż, jeśli mam być szczerą, trochę się wkurzyłam, że nie odpowiedział: „Ja też cię kocham”. Ale przecież w każdym kolorowym piśmie piszą, że chłopaki, żeby przemyścić coś poważniejszego, zawsze robią sobie jaja. Szkoda, że nie mogę teraz do niego zadzwonić. Szkoda, że nie wynaleziono takich telefonów, żeby z każdym można było rozmawiać wszędzie i kiedy tylko się chce. Vinny pewnie właśnie jedzie na swoim nortonie do pracy, do Rochester, w skórzanej kurtce z napisem LED ZEP wybitym srebrnymi ćwiekami. We wrześniu, kiedy skończę szesnaście lat, też mnie gdzieś na swoim nortonie zabierze.

Ktoś na dole trzaska drzwiczkami szafki.

Mama. Nikt inny nie ośmieliłby się tak trzaskać.

„A jeśli odkryła?” – pyta złowieszczy głos.

Nie. Byliśmy z Vinnym bardzo ostrożni.

Matka ma menopauzę. To na pewno dlatego.

Na moim adapterze leży *Fear of Music* Talking Heads. Vinny kupił mi

ten longplay w sobotę, przy naszym drugim spotkaniu w Magic Bus Records. Rewelacyjna płyta. Lubię *Heaven* i *Memories Can't Wait*, ale w ogóle wszystkie kawałki są na niej super. Vinny był w Nowym Jorku i widział Talking Heads na żywo. Jego kumpel Dan był tam ochroniarzem, a po koncercie wprowadził Vinny'ego za kulisy i poszli balangować z Davidem Byrne'em i całym zespołem. Jak w przyszłym roku znowu tam pojedzie, to mnie weźmie. Ubieram się, odnajdując na moim ciele każdy zaróżowiony ślad zębów i ust Vinny'ego. Tak bardzo bym chciała dzisiaj posiedzieć u niego, ale on jedzie do Dover spotkać się z kumplami. Moja najlepsza przyjaciółka Stella pojechała do Londynu, żeby się obkupić w używane ciuchy na Camden Market. Mama mówi, że mam jeszcze za mało lat, żeby jeździć do Londynu bez dorosłych, więc Stella zamiast mnie wzięła Ali Jessop. Czyli największą atrakcją dnia będzie dziś dla mnie odkurzanie dywanów w pubie, żeby zarobić trzy funty kieszonkowego. Hurra-hurra. No i mam w przyszłym tygodniu egzaminy, do których się muszę pouczyć. Z wielką chęcią oddałabym czyste kartki i pokazała wszystkim, gdzie mogą sobie wsadzić twierdzenie Pitagorasa, *Władcę much* i cykl życiowy obleńców. Może i tak zrobię.

Właśnie. Może dokładnie tak zrobię.

*

W kuchni na dole panuje atmosfera lodowata, niemal arktyczna.

– Dzień dobry – mówię, ale tylko Jacko podnosi wzrok znad rysunków, zza stołu przy oknie.

Sharon ogląda w salonie kreskówki. Tata w holu na dole rozmawia z facetem od dostaw, a ciężarówka z browaru stoi z warczącym silnikiem przed pubem. Mama kroi jabłka na kompot i nie odzywa się do mnie. Mam zapytać: „Co się stało, mamo? Co takiego zrobiłam?”,

ale mam to w dupie. Ewidentnie nie uszło jej uwagi, że wczoraj wieczorem późno wróciłam, ale jeśli chce porozmawiać, niech sama zacznie. Polewam mlekiem płatki w misce i zanoszę na stół. Mama z głośnym brzękiem przykrywa patelnię pokrywką i podchodzi do mnie.

– Co masz na swoje wytłumaczenie?

– I nawzajem dzień dobry, mamó. Ale dziś upał.

– Co masz na swoje wytłumaczenie, moja droga?

Jeśli nie wiadomo, jak się zachować, najlepiej udawać niewinną.

– Ale w jakiej sprawie?

Jej oczy zwężają się w żmijowe szparki.

– O której wróciłaś do domu?

– O rany, no dobrze, byłam trochę później, przepraszam.

– Dwie godziny to nie „trochę”. Gdzie byłaś?

Dokładnie rozgryzam płatki.

– U Stelli. Straciłam rachubę czasu.

– To dziwne, naprawdę bardzo dziwne. Bo o dziesiątej zadzwoniłam do mamy Stelli, żeby cię szukać, i podobno wyszłaś stamtąd przed ósmą. Więc kto tutaj kłamie? Mama Stelli czy ty?

Cholera.

– Poszłam się jeszcze przejść.

– A niby dokąd?

Wyraźnie akcentuję każde słowo.

– Poszłam się przejść nad rzekę.

– Nad rzekę w prawo czy w lewo? Ta przechadzka?

Odczekuję chwilę w milczeniu.

– A co za różnica?

W telewizyjnej kreskówce słyhać głośny wybuch. Mama każe siostrze:

– Sharon, wyłącz to, wyjdź i zamknij drzwi.

– To niesprawiedliwe! Holly dostaje kazanie, nie ja.

– Już, Sharon. I ty, Jacko, też. Masz wyjść i... – Ale Jacko już zniknął. Kiedy Sharon wychodzi, mama ponownie przypuszcza atak: – Tak zupełnie sama byłaś się przejść?

Skąd to przeczucie, że mnie podpuszcza?

– Sama.

– A daleko zaszłaś? Tak zupełnie sama?

– Ale mam ci podać w milach czy w kilometrach?

– A może tak sobie spacerowałaś, aż zaszłaś na Peacock Street do pewnego mężczyzny nazwiskiem Vincent Costello? – Kuchnia nagle wiruje, a za oknem, na brzegu rzeki po stronie Essex mały ludzik z patyczków wprowadza rower na prom. – Co? Nagle zaniemówiłaś? Przypomnę ci jak było: o dziesiątej wieczorem zasłaniałaś okno u niego w salonie. Miałaś na sobie podkoszulek i niewiele więcej.

Owszem, zesłałam na dół po piwo dla Vinny'ego. Owszem, zasłoniłam okno. I tak, ktoś akurat przechodził chodnikiem.

Spokojnie, powtarzałam sobie, jakie jest prawdopodobieństwo, że akurat ten ktoś cię rozpozna? Mama myśli, że pęknę i się przyznam, ale ja odcinam się żartem:

– Marnujesz się jako barmanka, mamó. Powinnaś kierować agentami wywiadu w MI5.

Mama posyła mi jedno ze swoich piorunujących spojrzeń.

– Ile on ma lat?

Zakładam ręce na piersi.

– Nie twoja sprawa.

Z oczu mamy zostają tylko wąskie szparki.

– Podobno dwadzieścia cztery.

– Skoro wiesz, to po co mnie pytasz?

– Bo to nielegalne, żeby dwudziestoczteroletni mężczyzna zadawał się z piętnastoletnią uczennicą. Za to grozi więzienie.

– We wrześniu kończę szesnaście lat. I mam wrażenie, że policja

hrabstwa Kent ma ważniejsze sprawy na głowie. Jestem wystarczająco dorosła, żeby decydować, z kim się spotykam.

Mama zapala czerwonego marlboro. Dałabym się zabić za jednego.

– Kiedy powiem ojcu, obedrze tego Costello żywcem ze skóry.

Owszem, tata musi od czasu do czasu wypraszać z pubu zalanych gości, wszyscy barmani od czasu do czasu muszą, ale nie jest typem, który obdzierałby kogokolwiek ze skóry.

– Brendan miał piętnaście lat, kiedy chodził z Mandy Fry, i jeśli myślisz, że tylko trzymali się za ręce na huśtawkach, to jesteś w błędzie. A jakoś nie przypominam sobie, żebyś prawila mu kazania, że to grozi więzieniem.

Mama cedzi słowa, jakbym była przygłupia:

– Z chłopcami. Jest. Inaczej.

Głośno wzdycham, co ma oznaczać: „nie wierzę, że tego słucham”.

– Otóż oznajmiam ci, Holly, że już się więcej nie spotkasz z tym... sprzedawcą samochodów. Po moim trupie.

– Właśnie że będę się spotykała z kim mi się podoba!

– Od dziś obowiązują nowe zasady. – Mama gasi papierosa. – Zawożę cię do szkoły i przywożę po lekcjach. Nie wolno ci się ruszać na krok z domu, chyba że ze mną, z ojcem, z Brendanem albo z Ruth. I jeśli zobaczę, że ten pedofil się tu kręci, natychmiast zawiadamiam policję. Zrobię tak, jak Bóg mi świadkiem. I... i... zadzwonię też do jego szefa i powiem, że jego pracownik uwodzi nieletnie uczennice.

Długie sekundy sączą się powoli, zanim to wszystko w końcu we mnie wsiąka.

Oczy zaczynają mnie piec i walczą ze łzami, ale za nic w świecie nie dam Frau Hitler satysfakcji.

– To nie Arabia Saudyjska! Nie możesz mnie zamknąć!

– Dopóki mieszkasz w naszym domu, masz się stosować do naszych zasad. Kiedy ja byłam w twoim wieku...

– Tak, tak, wiem, miałaś dwudziestu braci, trzydzieści siostr, czterdzieścioro dziadków i babć, i pięćdziesiąt akrów ziemniaków do obrobienia w wykopki, bo takie, kurwa, było życie w Irlandii. Ale tu jest Anglia, mam, Anglia! Lata osiemdziesiąte! I jeśli życie po pachy w gnoju w West Corku było takie zajebiste, to po co, kurwa, w ogóle przyjeżdż...

Chlast! Dostaję w lewy policzek.

Patrzemy na siebie: ja dygoczę cała w szoku, mama dyszy tak rozwścieczona, że jeszcze jej nigdy nie widziałam w takim stanie i – tak sędzę – chyba uświadamia sobie, że właśnie bezpowrotnie zniszczyła coś, czego już się nigdy nie da naprawić. Wychodzę z pokoju bez słowa, jakbym to ja była górą w tej kłótni.

*

Płacę tylko trochę, i to bardziej łzy przez zaskoczenie sytuacją niż jakieś tam wielkie szloch. A kiedy kończę płakać, podchodzę do lustra. Oczy mam lekko opuchnięte, ale konturówka doskonale to maskuje... Jeszcze odrobina szminki, trochę różu... Gotowe. Dziewczyna w lustrze jest kobietą o krótko przyciętych, czarnych włosach, w podkoszulce z napisem *Quadrophenia* i w czarnych džinsach. „Mam ci coś do zakomunikowania”, mówi. „Dziś wyprowadzasz się do Vinny’ego”. Zaczynam wyliczać powody, dla których nie mogę, ale przestaję. „Tak”, zgadzam się, jednocześnie podekscytowana i spokojna. Rzucam też szkołę. Od zaraz. Za chwilę będą wakacje i wychowawczynie nie zdąży nawet zagwizdać w tej sprawie, a we wrześniu skończę szesnaście lat i liceum Windmill Hill będzie mogło mi skoczyć. Czy rzeczywiście się na to zdobędę?

Zdobędziesz się. Pakuj się, czyli. Ale co pakuj? Wszystko, co tylko zmieści się do mojej sportowej torby. Majtki, staniki, podkoszulki,

skórzaną kurtkę, kosmetyczkę, blaszane pudełko z bransoletkami i wisiorami. Szczoteczkę do zębów, garść tamponów – okres mi się trochę spóźnia, więc pewnie dostanę go lada moment. Forse. Przeliczam trzynaście funtów osiemdziesiąt pięć pensów odłożone w samych drobnych. Mam jeszcze osiemdziesiąt funtów na książeczkę bankowej w TSB. Ale przecież Vinny nie każe mi płacić czynszu, a w przyszłym tygodniu poszukam pracy. Mogę opiekować się dziećmi, pracować w supermarkecie, być kelnerką – jest mnóstwo sposobów na zarobienie forsy. A moje płyty? Nie mogę zatargać całej kolekcji na Peacock Street, a mama jest zdolna do tego, żeby po złości rozdać je wszystkim ubogim, więc biorę tylko *Fear of Music*, owijam ją starannie skórzaną kurtką i wkładam ostrożnie do torby, żeby okładka się nie pozaginała. Resztę płyt chowam pod luźną deską w podłodze, tak na razie, ale kiedy z powrotem zasłaniam deski dywanem, ze strachu serce podchodzi mi do gardła: w drzwiach stoi Jacko i uważnie patrzy, co robię. Jest jeszcze w piżamie z postaciami z *Thunderbirds*, i w kapciach.

- Dostanę przez ciebie zawału, kolego.
- Idziesz – stwierdza Jacko jakimś nieobecnym tonem.
- Powiem ci w tajemnicy, że tak, idę. Ale niedaleko, nie martw się.
- Zrobiłem ci coś na pamiątkę.

Jacko wręcza mi tekturowe kółko z wieczka pudełka po serkach topionych, z narysowanym labiryntem. Ma świra na punkcie labiryntów – to przez te wszystkie książki *Dungeons & Dragons*, które czytają z Sharon. Labirynt, który dla mnie narysował, jest jak na niego banalnie prosty. Składa się z ośmiu czy dziewięciu kółek, jedno wewnątrz drugiego.

- Weź – mówi. – Jest diaboliczny.
- Wygląda całkiem, całkiem.
- „Diaboliczny” znaczy „szatański”.

– A dlaczego twój labirynt jest szatański?

– Bo wszędzie goni cię Zmierzch. Jak cię dotknie, przestajesz istnieć, więc wystarczy, że raz skręcisz w ślepy korytarz, i po tobie. Dlatego musisz się nauczyć tego labiryntu na pamięć.

Jezu, mój młodszy brat to totalny świr.

– Dobrze. Dzięki, Jacko. Posłuchaj, mam jeszcze parę spraw do...

Jacko trzyma mnie za nadgarstek.

– Naucz się tego labiryntu, Holly. Zrób to dla brata-świra. Proszę.

Zaczynam czuć się nieswojo.

– Dziwnie się zachowujesz, kolego.

– Obiecuj mi, że nauczysz się na pamięć drogi przez te meandry, tak żebyś w razie potrzeby mogła przejść je w ciemności. Proszę.

Młodsza bracia moich koleżanek mają fazę na kolejki elektryczne albo na BMX-y, albo na gry karciane – dlaczego mój musi mieć fazę na labirynty i używać słów jak „meandry” i „diaboliczny”? Bóg jeden wie, jak przetrwa w Gravesend, jeśli będzie gejem. Tarmoszę mu włosy.

– Zgoda, obiecuję, że nauczę się twojego labiryntu na pamięć. – Wtedy Jacko przytula się do mnie, co jest dziwne, bo Jacko nie należy do dzieciaków, które się przytulają. – Hej, nie odchodzę daleko... Zrozumiesz to, kiedy będziesz starszy i...

– Wyprowadzasz się do swojego chłopaka.

Teraz już nie powinno mnie to dziwić.

– Owszem.

– Uważaj na siebie, Holly.

– Vinny jest fajny. A kiedy mama już się z tym pogodzi, będziemy się widywać. Przecież nie przestaliśmy się odwiedzać z Brendanem, kiedy się ożenił z Ruth, prawda?

Ale Jacko wsuwa tylko tekturowe wieczko głęboko do mojej torby, patrzy na mnie ostatni raz i znika.

Mama zjawia się na schodach na piętrze z koszem podkładek z barowego kontuaru, jakby czatowała, aż wyjdę.

– Ja nie żartuję. Masz szlaban. Wracaj na górę. W przyszłym tygodniu masz egzaminy. Czas przysiąść fałdów i zabrać się za powtarzanie materiału.

Chwytam poręcz schodów.

– „Nasz dom, nasze zasady”, sama powiedziałaś. W porządku. Nie potrzebuję waszych zasad ani waszego domu i nie będziesz mnie biła, kiedy tylko puszczą ci nerwy. Ty sama byś tego nie wytrzymała. Prawda?

Przez twarz mamy przebiega krótki grymas i jeśli teraz powie to, co chcę usłyszeć, będziemy negocjować. Ale nie, patrzy tylko na moją sportową torbę i wzdycha, jakby nie mogła uwierzyć, jaka jestem głupia.

– Kiedyś potrafiłaś myśleć.

Schodzę więc dalej.

Z góry słyszę jej głos, a w nim większe napięcie:

– A co ze szkołą?

– Sama sobie chodź, jeśli szkoła jest aż tak ważna.

– Mnie nigdy nie dano takiej możliwości, Holly! Zawsze miałam na głowie pub, ciebie, Brendana, Sharon i Jacko, musiałam was nakarmić, ubrać i posłać do szkół, żebyście wy nie musieli marnować życia na myciu kibla, opróżnianiu popielniczek i harowaniu jak wół, bez cienia szansy na wcześniejsze pójście spać chociaż raz w tygodniu.

Spływa to po mnie. Schodzę dalej.

– Proszę bardzo, idź. Wyprowadzaj się. Dostań po dupie od życia. Daję ci trzy dni, zanim twój Romeo cię wyrzuci. Bo to nie ciekawa

osobowość dziewczyny interesuje facetów, Holly. O nie, nigdy.

Ignoruję ją. Z holu widzę Sharon za barem przy półkach z sokami. Pomaga tacie uzupełniać towar, ale widzę, że wszystko słyszała. Macham do niej ręką na pożegnanie, a ona odpowiada mi nerwowym gestem. Przez kłapę do piwnicy dobiega echem głos taty, który podśpiewuje *Ferry 'Cross The Mersey*. Lepiej go w to nie mieszać. Przed mamą zawsze będzie trzymał jej stronę. Ale przed bywalcami pubu będzie żartował: „Tylko idiota wchodzi między dziobiące się kury”, a oni będą potakiwać i pomrukiwać pod nosem: „Święta racja, Dave”. Poza tym wołałabym nie być przy tym, jak tata dowiaduje się o Vinnym. Nie chodzi o to, że jest mi wstyd, ale po prostu wołałabym, żeby mnie przy tym nie było. Newky śpi w swoim koszu.

– Jesteś najbardziej śmierzącym psem w całym Kencie – mówię mu, żeby powstrzymać się od łez – ty stary pchlarzu. – Klepię go po grzbiecie, odsuwam zasuwkę w bocznych drzwiach i wychodzę na Marlow Alley. Drzwi zamykają się za mną z trzaskiem.

*

Na West Street jest zbyt jasno i zbyt ciemno, jak w telewizorze z rozregulowanym kontrastem, więc zakładam okulary słoneczne i świat staje się bardziej jak ze snu, ale jednocześnie żywszy i bardziej prawdziwy. Boli mnie gardło i cała się trzęsę. Nikt nie wybiega za mną z pubu. To dobrze. Obok mnie przejeżdża betoniarka i spalinowy podmuch kołysze z szelestem liśćmi kasztanowca. Wdycham zapach rozgrzanego asfaltu, smażonych frytek i leżących od tygodnia śmieci, które już przesypują się z pojemników – śmieciarze znowu strajkują.

Chmary ptaszków śmigają i ich skrzydełka furkoczą jak takie blaszane gwizdki na sznurkach, jakie dzieciaki dostają na urodziny – przynajmniej kiedyś dostawały – a banda chłopaków gra w podchody

w parku wokół kościoła przy Crooked Lane. „Widzę cię! Za drzewem! Wychodź!”. Gówniarze. Stella mówi, że starsi mężczyźni są lepszymi kochankami, bo u chłopaków w naszym wieku lodzik się roztapia, kiedy tylko weźmiesz go w rękę. Tylko Stella wie o Vinnym – była ze mną w tę pierwszą sobotę w Magic Bus Records – ale ona potrafi dotrzymać tajemnicy. Kiedy uczyła mnie palić, a ja za każdym zaciągnięciem się rzygałam, nie śmiała się ani nikomu nie wygadała. I powiedziała mi wszystko, co powinnam wiedzieć o chłopakach. Stella jest najfajniejszą dziewczyną ze wszystkich piątych klas w naszej szkole. Spokojnie najfajniejszą.

Crooked Lane wije się w górę od rzeki, a potem skręcam z niej w Queen Street, gdzie prawie taranuje mnie dziecięcym wózkiem Julie Walcott. Jej bachor wydziera się wniebogłose, a ona wygląda jak śmierć. Kiedy zaszła w ciążę, odeszła ze szkoły. Z Vinnym uważamy jak nie wiem co i tylko raz kochaliśmy się bez gumki, za pierwszym razem, a to przecież naukowo udowodnione, że dziewice nie mogą zająć w ciążę. Stella mi powiedziała.

Queen Street jest przystrojona chorągiewkami, jakby z okazji Dnia Niepodległości Holly Sykes. Sprzedawczyni w sklepie z wełną, starsza Szkotka, podlewa kwiaty w wiszących doniczkach, pan Gilbert, jubiler, wyklada na wystawę aksamitne tace z pierścionkami, a rzeźnicy Mike i Todd rozładowują z furgonetki kilkanaście bezgłowych świńskich trucheł, które wiszą na hakach. Przed biblioteką grupka związkowców zbiera do kubłów pieniądze dla strajkujących górników, a Socialist Workers trzymają tablice z napisami „WĘGLA NIE ZASIŁKÓW” i „THATCHER NA WOJNIE Z ROBOTNIKAMI”. Ed Brubeck jedzie w tę stronę na rowerze. Wchodzę do Indoor Market, żeby mnie nie widział. W zeszłym roku Brubeck przeprowadził się do Gravesend z Manchesteru, gdzie jego ojciec odsiadywał wyrok za włamanie i napaść. Brubeck nie ma

żadnych kolegów i nie widać po nim, żeby chciał jakichś mieć. Normalnie taki ktoś nie miałby życia w naszej szkole, ale kiedy jeden chłopak z szóstej klasy do niego wyskoczył, Brubeck rozwalił mu facjatę i od tamtej pory wszyscy zostawiają go w spokoju. Teraz przejeżdża koło mnie, ale mnie nie zauważa. Do ramy roweru ma przyczepioną wędkę. Idę dalej. Przy salonie gier uliczny muzykant gra na klawnie jakiegoś smęty. Ktoś wrzuca mu drobne do futerału, a grajek natychmiast przerzuca się na temat z *Dallas*. Dochodzę do Magic Bus Records i zaglądam do środka. Wtedy szukałam pod „R”, jak „Ramones”. Vinny mówi, że szukał pod „H”, jak „Hacjenda”, albo „Hocki-klocki”, albo „Holly”. Wzdłuż tylnej ściany stoi kilka używanych gitar. Vin potrafi zagrać intro do *Stairway to Heaven*, ale nigdy nie słyszałam, jak gra dalej. Nauczę się grać na jego gitarze, kiedy on będzie w pracy. Razem moglibyśmy założyć zespół. Nic nie stoi na przeszkodzie – Tina Weymouth jest dziewczyną, a gra na basie w Talking Heads. Wyobrażam sobie minę mamy, która zarzeka się: „Nie mam już córki”, a potem ogląda mnie w *Telewizyjnej Liście Przebojów*. Problem mamy polega na tym, że nigdy nikogo nie kochała tak głęboko, jak my kochamy się z Vinem. Jasne, z tatą się jakoś dogaduje, chociaż cała jej rodzina z Corku nigdy za nim nie przepadała, bo nie jest ani Irlandczykiem, ani katolikiem. Moje starsze cioteczne rodzeństwo z Irlandii z upodobaniem mi opowiadało, jak to ojciec zrobił mamie Brendana jeszcze przed ślubem. Teraz są już małżeństwem dwadzieścia pięć lat, co chyba nie jest słabym wynikiem, ale i tak rodziców nie łączy taka więź, jak Vina i mnie. Stella mówi, że od razu widać, że Vin i ja jesteśmy dla siebie stworzeni jak dwie bratnie dusze.

Przed budynkiem NatWestu na Milton Road wpadam na Brendana. Włosy zaczesane na żel, krawat w turecki wzór, marynarka zarzucona na ramię. Można by pomyśleć, że idzie prowadzić kurs dla przystojniaków, a nie do pracy w kancelarii Stotta i Conwaya. Starsze siostry moich koleżanek kochają się w Brendanie – chyba się porzygam. Brendan ożenił się z Ruth, córką swojego szefa, pana Conwaya. Ślub odbył się w ratuszu, a wystawne przyjęcie w Chaucer Country Club. Nie byłam druzną, bo nie noszę sukienek, a już na pewno unikam takich, w których wygląda się jak figurka z kolekcji „Przeminęło z wiatrem”, więc drużnami były Sharon i siostrzenice Ruth. Przyjechała prawie cała nasza rodzina z Corku. Złoty chłopiec mamy i złota mama Brendana. Później będą roztrząsać każde słowo, które teraz powiem.

– Dzień dobry – mówię. – Co tam słyszać?

– Wszystko dobrze. A w Kapitanie?

– W porządku. Mama dziś cała w skowronkach.

– Tak? – Brandon uśmiecha się zdziwiony. – A co się stało?

Wzruszam ramionami.

– Może wstała prawą nogą.

– To dobrze. – Zauważa moją sportową torbę. – Wybierasz się dokądś?

– Niezupełnie. Będziemy powtarzać francuski u Stelli Yearwood, a potem zostanę u niej na noc. W przyszłym tygodniu mamy egzaminy.

Brat jest pod wrażeniem.

– Tak trzymaj, siostra.

– Ruth już się lepiej czuje?

– Nie bardzo. Bóg wie, dlaczego nudności nazywają się „poranne”, skoro najgorzej jest w środku nocy.

– Może w ten sposób Matka Natura chce was przygotować na przyjście dziecka – zastanawiam się. – Te wszystkie nieprzespane

noce, kłótnie, rzygi. To wymaga hartu.

Brendan nie łapie się na ten haczyk.

– Pewnie masz rację.

Trudno mi sobie wyobrazić Brendana w roli ojca, a jednak już na Gwiazdkę będzie tatą.

Za naszymi plecami oddział NatWestu otwiera drzwi i urzędnicy bankowi napływają sznurem do środka.

– Pan Conway na pewno nie zwolni własnego zięcia – mówię do Brendana – ale czy czasem nie zaczynasz pracy o dziewiątej?

– Prawda. Widzimy się jutro, jeśli zdążysz wrócić z tych waszych powtórek. Mama zaprosiła nas na obiad. Miłego dnia!

– Dopiero dziewiąta, ale to już najlepszy dzień w moim życiu – zapewniam mojego brata i pośrednio mamę.

Jeszcze godny Oskara błysk uśmiechu i Brendan odchodzi, dołączając do ludzi w garniturach i strojach służbowych, śpieszących do pracy w biurach, sklepach i fabrykach.

*

W poniedziałek dorobię klucz do drzwi wejściowych Vinny’ego, ale dzisiaj muszę się tam dostać naszą tajną drogą. Na ulicy, która nazywa się The Grove, tuż przed urzędem podatkowym jest mała alejka, na wpół schowana za kontenerem, z którego przelewają się worki na śmieci, śmierdzące napęczniałymi pieluchami. Brązowy szczur przygląda mi się jak jakiś jaśnie pan na gównie. Idę dalej alejką, skręcam w prawo i teraz jestem już między ścianą urzędu podatkowego a tylnymi ogródkami domów przy Peacock Street. Ten na samym końcu, ostatni przed torami kolejowymi, to dom Vinny’ego. Przeciskam się przez luźne sztachety i brnę przez zarośnięty ogródek. Trawa i chwasty sięgają mi do pasa, a śliwa jest już cała w owocach,

choć większość z nich zeżrą osy i robaki, bo Vinny zapowiada, że na pewno nie będzie mu się chciało zbierać. Ogród wygląda jak las w *Śpiącej królownie*, który obrósł zamek, kiedy wszyscy zasnęli snem stuletnim. Vinny miał zajmować się ogródkiem na prośbę ciotki, ale ona mieszka w King's Lynn i nigdy tu nie przyjeżdża. Poza tym Vinny ma duszę motocyklisty, nie ogrodnika. Kiedy już się tutaj urządzą, opanują tę dżunglę. Trzeba po prostu kobiecej ręki. Mogłabym zabrać się do tego już dzisiaj, po sesyjce gry na gitarze (sama pouczę się grać). W rogu ogrodu, na wpół schowana za krzakami jeżyn, stoi szopa z narzędziami i kosiarką do trawy. Zasadzę tu słoneczniki, róże, bratki, goździki, lawendę i zioła w małych doniczuszkach. Będę piekła babeczki, ciasteczka i placki ze śliwkami, a Vinny będzie tylko wzdychał: „Jezu, jak ja sobie w ogóle dawałem bez ciebie radę?”. Wszystkie kolorowe pisma zawsze każą pamiętać, że droga do serca mężczyzny prowadzi przez żołądek. Przy beczce z deszczówką rój białych motyli obsiadł krzak o fioletowych palczastych liściach. Krzak wygląda, jakby obsypało go konfetti i przykryły koronki. I cały się rusza, jakby zaraz miał odlecieć.

Tylne drzwi nigdy nie są zamknięte na klucz, bo Vinny go zgubił. Nasze pudełka po pizzy i kieliszki po winie nadal stoją na blacie od wczorajszego wieczoru, ale nigdzie nie ma śladu przygotowywanego śniadania – Vinny musiał zapaść i pewnie wyleciał pędem do pracy, jak zwykle. Trzeba tu wszędzie porządnie wysprzątać, zetrzeć kurz, odkurzyć dywany. Ale najpierw kawa i szlug, bo zdążyłam zjeść tylko połowę płatków, zanim mama zaatakowała mnie prawym sierpowym. Zapomniałam kupić fajki po drodze – wyleciało mi z głowy po spotkaniu z Brendanem – ale Vinny trzyma paczkę w szafce nocnej, więc wspinam się po schodach do jego sypialni. A właściwie – do naszej sypialni. Zasłony nadal są zaciągnięte, w pokoju jest duszno i daje starą skarpetą. Więc wpuszczam trochę światła, otwieram okno,

odwracam się i niemal krzyczę z przerażenia, bo Vinny leży w łóżku i ma minę, jakby się zesrał.

– To ja, to tylko ja – jąkam się. – Przepraszam, myślałam, że... jesteś w pracy.

Vinny łapie się za serce i śmieje się jakoś tak niepewnie, jakby właśnie dostał kulkę w pierś.

– Jezu, Hol. Myślałem, że to włamywacz!

Ja też jakoś tak niepewnie się śmieję.

– Jesteś... w domu.

– Coś popieprzyli z grafikiem – ta nowa sekretarka jest beznadziejna. Kev zadzwonił, że jednak mam dzień wolny.

– Super – cieszę się. – To rewelacyjnie... bo mam dla ciebie niespodziankę.

– Super. Uwielbiam niespodzianki. Ale wstaw najpierw czajnik z wodą, dobrze? Zaraz zejść do kuchni. A nie, kurde, skończyła się kawa. Będziesz taka kochana i wyskoczysz do Staffy po słoik gold blend? Zwrócę ci pieniądze.

Najpierw muszę jednak zakomunikować:

– Mama wie o nas, Vin.

– Wie? Aha. – Robi zamyśloną minę. – Jasne. I jak na to...?

Nagle łapie mnie strach, że Vinny nie będzie mnie chciał.

– Nie najlepiej. Wpadła w furję. Oznajmiła, że nie mogę się więcej z tobą spotykać i zagroziła, że mnie zamknie w piwnicy. Więc wyszłam z domu. I...

Vinny patrzy na mnie nerwowo, nie rozumiejąc, do czego zmierzam.

– Więc czy mogę... pomieszkać u ciebie? Przynajmniej na razie.

Vinny przetyka ślinę.

– O-keeej... Jasne. Rozumiem. Taaak. Okej.

Nie brzmi to bardzo okej.

– Czyli zgadzasz się?

– Ta-ak. Jasne. Zgadzam się. Ale teraz naprawdę muszę się napić kawy.

– Poważnie? Och, Vin! – Ulga rozchodzi się po mnie dreszczem, jak w gorącej kąpeli. Przytulam się do niego. Jest spocony. – Jesteś najwspanialszy, Vinny! Bałam się, że możesz...

– Przecież nie pozwolimy, żeby takie puchate, mrużące sekskociątko nocowało pod mostem. Ale teraz serio, Hol, mój organizm potrzebuje kawy jak Dracula krwi, więc...

Nie kończy zdania, bo go całuję, mojego Vinny'ego, mojego chłopaka, który był w Nowym Jorku i ścisnął dłoń Davida Byrne'a. Moja miłość do niego wystrzela w górę przez całe ciało jak wrząca woda w bojlerze, a ja go przyciągam i przewracamy się na górę kołdry, ale góra nagle się porusza, a moja ręka odsłania fałdy pościeli i oto widzę moją najlepszą przyjaciółkę Stellę Yearwood. Zupełnie nago. Czuję się, jak w złym śnie, ale to nie sen.

Siedzę tam i wpatruję się tępo w jej krocze, aż Stella mówi:

– Chyba nie może się aż tak bardzo różnić od twojej, prawda?

Potem patrzę na Vinny'ego, który wygląda jakby puścił bąka i tylko z głupim chichotem jąka się jak debil:

– To nie jest tak, jak myślisz.

Stella ze stoickim spokojem przykrywa się z powrotem kołdrą i mówi Vinny'emu:

– Nie bądź palantem. To jest dokładnie tak, jak myślisz, Holly. Chcieliśmy ci powiedzieć, ale najwyraźniej wydarzenia nas uprzedziły. Prawda jest taka, że zostałeś olana. Nie jest to miłe, ale zdarza się każdemu, no, większości z nas, *c'est la vie*. Ale nie martw się, tego kwiatu to pół świata, więc oszczędź sobie wstydu i idź już. Miej trochę godności.

Kiedy w końcu przestaję ryczeć, orientuję się, że siedzę na kamiennym schodku na jakimś placyku, który z każdej strony jest otoczony ceglаныmi ścianami starych pięcio- czy sześciopiętrowych budynków z wąskimi ślepymi oknami. Chwasty wwiercają się w szczeliny między płytami chodnika, a nasiona dmuchawca unoszą się w powietrzu jak w szklanej kuli. Kiedy trzasnęłam drzwiami Vinnego, nogi zaniósły mnie tutaj, na tyły szpitala miejskiego w Gravesend, gdzie doktor Marinus uwolnił mnie od Miss Constantin, gdy miałam siedem lat. Czy chociaż przywaliałam Vinny'emu? Poruszałam się jakby w smole. Nie mogłam oddychać. Vinny złapał mnie za nadgarstek, aż zabolalo – ciągle boli – a Stella warczała tylko: „Weź dorośnij i daj nam, kurde, święty spokój, Holly. To jest życie, a nie odcinek *Dynastii!*”. A ja wyleciałam od nich, trzaskając drzwiami i biegłam dzikim pędem, byle przed siebie, dokądkolwiek, donikąd, dokąds... Wiedziałam, że kiedy tylko się zatrzymam, totalnie się rozkleję i zamienię w jedną wielką galaretę z glutów, a wtedy szpiedzy mamy doniosą na mnie, i to będzie dla niej jak wisienka na torcie. Bo mama miała rację. Kochałam Vinny'ego, jakby był częścią mnie samej, a on mnie lubił jak gumę do żucia. A kiedy już straciłam smak, wypluł mnie, odwinął z papierka kolejną i wsadził do buzi – i to nie byle kogo, bo Stellę Yearwood. Moją najlepszą kumpelę. Jak on mógł? Jak ona mogła?

Przestań ryczeć! Pomyśl o czymś innym...

*

Holly Sykes oraz Cuda i dziwy, część I. W 1976 roku miałam siedem lat. Przez całe wakacje nie spadła ani kropla deszczu i wyschły ogrody

zrobiły się rudo-żółte. Pamiętam, że susza była aż taka, że z Brendanem i mamą stawaliśmy z wiadrami w kolejce do pompy na końcu Queen Street. Właśnie tego lata zaczęłam słyszeć głosy. Słyszałam je w swojej głowie. Nie były to głosy szaleńców ani oblechów i niespecjalnie mnie przerażały, przynajmniej na początku. Nazywałam je „Ludźmi z Radia”, bo najpierw myślałam, że to w pokoju obok gra radio. Tylko że w pokoju obok nie było radia. Najwyraźniej słyszałam je w nocy, ale za dnia, kiedy byłam w szkole, też nie przestawały mówić, jeśli wokół było cicho, na przykład na klasówce. Trzy albo cztery głosy mówiły naraz i nigdy nie mogłam zrozumieć ich słów. Pamiętałam opowieści Brendana o szpitalach dla wariatów i o ludziach w białych kitlach, więc bałam się komukolwiek powiedzieć. Mama była w ciąży z Jacko, ojciec urabiał się po łokcie w pubie, Sharon miała tylko trzy latka, a Brendan nawet wtedy już był palantem. Wiedziałam, że słyszenie głosów nie jest normalne, ale one właściwie nie robiły mi nic złego, więc może to był po prostu jeden z sekretów, jakie każdy gdzieś chowa.

Raz w nocy śnił mi się straszny sen, że do Kapitana Marlowa wleciał rój krwiożerczych pszczoł i obudziłam się cała złana zimnym potem. Nagle od strony nóg łóżka dobiegł mnie kobiecy głos, który uspokajał: „Nic się nie bój, Holly, już dobrze”, a ja wyjąkałam: „Dziękuję, mamo”, bo kto inny mógł tam być? Ale wtedy usłyszałam śmiech mamy w kuchni na końcu korytarza – to było jeszcze zanim dostałam własny pokój na strychu. Po tym zorientowałam się, że ta pani przy moim łóżku tylko mi się przyśniła, i zapaliłam światło, żeby się na własne oczy przekonać.

Oczywiście nikogo tam nie było.

„Nie chcę cię wystraszyć”, powiedział głos tej pani, „ale jestem tak samo prawdziwa, jak ty”.

Wcale nie zaczęłam krzyczeć ani nie wpadłam w histerię. Owszem,

cała dygotałam, ale mimo strachu czułam, że to musi być jakaś specjalna zagadka dla mnie albo sprawdzian. W moim pokoju nikogo nie było, a jednak ktoś do mnie mówił. Więc głosem najbardziej opanowanym, na jaki tylko mogłam się zdobyć, zapytałam tę panią, czy jest duchem. „Nie jestem duchem”, odparła, „tylko odwiedzam twoje myśli. Dlatego mnie nie widzisz”. Zapytałam, jak się nazywa. Odpowiedziała: „Miss Constantin”. Dodała też, że odesłała Ludzi z Radia, bo mnie rozpraszali, ale ma nadzieję, że się nie gniewam. Odparłam, że nie. Miss Constantin powiedziała, że musi już iść, ale że z przyjemnością niedługo znowu do mnie wpadnie, bo jestem „osobliwym dzieckiem”.

I już jej nie było. Minęła cała wieczność, zanim znowu mogłam zasnąć, ale kiedy w końcu przyszedł sen, czułam, że chyba mam nową przyjaciółkę.

*

I co teraz? Wracać do domu? Prędzej pokłulałabym sobie dżiąsła szpilkami. Mama wepchnie mi moją porażkę do gardła aż po zwieracz żołądka, a potem będzie siedzieć i napawać się zwycięstwem. I odtąd aż po wsze czasy, jeśli choć raz nie stanę na baczność z meldunkiem „tak jest!”, będzie wyciągać sprawę z Vinnym Costello. Dobrze, nie wprowadziłam się na Peacock Street, ale to nie znaczy, że muszę mieszkać w domu, przynajmniej dopóki nie udowodnię matce, że jestem wystarczająco dorosła, żeby żyć samodzielnie, i że może przestać mnie traktować jak siedmiolatkę. Przez jakiś czas starczy mi pieniędzy na jedzenie, a wygląda na to, że upały jeszcze potrważą, więc po prostu w tym roku wakacje zaczną się dla mnie trochę wcześniej. Pieprzyć egzaminy, pieprzyć szkołę. Stella opowie wszystkim, jak to się uwiesiłam na Vinnym, jaka jestem żalosna i

histeryczna, i jak nie mogę pogodzić się z tym, że chłopak się mną znudził. O dziewiątej rano w poniedziałek Holly Sykes będzie już oficjalnym pośmiewiskiem liceum Windmill Hill. Na bank.

Sygnał karetki pogotowia zbliża się i jest coraz bardziej natarczywy, odbijając się echem na całym placyku, aż w końcu milknie, jakby urwał w pół zdania... Poprawiam na ramieniu torbę i wstaję. Czyli teraz dokąd? Każda angielska nastolatka, która zwiewa z domu, jedzie prosto do Londynu i wyobraża sobie, że odkrywa ją łowca talentów albo znajduje ją dobra wróżka, ale ja ruszam w przeciwnym kierunku, wzdłuż rzeki, w stronę bagien Kentu. Jeśli ktoś dorasta w pubie, ma okazję posłuchać, kim są ci łowcy talentów i dobre wróżki z Londynu, w których ręce trafiają nastolatki na gigancie. Może znalazłabym jakąś stodołę albo pusty domek, żeby się zadekować na jakiś czas? Taki plan miałby nawet ręce i nogi. Wyruszam więc w drogę i obchodzę szpital od frontu. Parking jest pełen przednich szyb, które oślepiają mnie w jasnym słońcu. W półmroku chłodnej szpitalnej rejestracji widzę tłum ludzi palących papierosy w oczekiwaniu na wiadomości.

Śmieszne miejsca, szpitale...

*

Holly Sykes oraz Cuda i dziwy, część II. Minęło kilka tygodni i zaczęłam myśleć, że Miss Constantin po prostu mi się przyśniła. Tyle tylko że nie znałam słowa, którym mnie określiła: „osobliwa”. Sprawdziłam je w słowniku i zastanawiałam się, skąd się wzięło w mojej głowie, skoro nie umieściła go tam Miss Constantin. Do dzisiaj nie wiem, jak to się stało. Ale potem jednej nocy we wrześniu, kiedy już rozpoczął się rok szkolny i skończyłam osiem lat, obudziłam się i wiedziałam, że ona jest w moim pokoju. I bardziej się ucieszyłam, niż bałam. Podobało mi się, że byłam osobliwa. Zapytałam Miss

Constantin, czy jest aniołem, ale ona tylko zaśmiała się i powiedziała, że jest człowiekiem, jak ja, ale nauczyła się, jak się wymykać z własnego ciała i odwiedzać przyjaciół. Zapytałam, czy ja też jestem jej przyjaciółką. Odparła: „A chciałabyś?”. Ja na to, że bardzo, bardzo, a ona: „Zatem będziesz”. Zapytałam też Miss Constantin, skąd pochodzi, a ona powiedziała, że ze Szwajcarii. Żeby się popisać, zapytałam, czy Szwajcaria to ten kraj, gdzie wynaleziono czekoladę, a ona odparła, że jestem jednym z największych bystrzaków, jakich zna. Od tamtej pory odwiedzała mnie co noc. Zjawiała się na kilka minut, ja opowiadałam, jak mi minął dzień, a ona mnie słuchała, rozumiała i starała się mnie pocieszyć. Zawsze trzymała moją stronę, nie tak jak mama i Brendan. Pytałam Miss Constantin o różne rzeczy. Czasem odpowiadała mi wprost. Na przykład, kiedy zapytałam, jaki ma kolor włosów, odpowiedziała: „chromowy blond”. Ale często unikała odpowiedzi, mówiąc: „Nie zdradzajmy jeszcze tajemnicy, Holly, dobrze?”.

Aż jednego dnia, po szkole, kiedy wracałam do domu, dorwała mnie Susan Hillage, która lubiła zastraszać innych i się nad nimi znęcać. Świetnie jej to wychodziło. Jej tata był najemnym żołnierzem w Belfaście, a ponieważ moja mama była Irlandką, Susan ukłękła mi na głowie i nie chciała mnie puścić, aż przyznam, że trzymamy węgiel w wannie i że kochamy IRA. Nie chciałam przyznać, więc zarzuciła moją torbę na drzewo i zapowiedziała, że jeszcze zapłacę za kolegów jej taty, którzy zginęli w Belfaście, i że jeśli poskarżę się komukolwiek, pluton jej taty podpali nasz pub i cała rodzina zginie w płomieniach, i to wszystko będzie przeze mnie. Nie byłam tchórzem ani popychadłem, ale Susan Hillage doskonale wiedziała, jak mną manipulować. Nie powiedziałam nic rodzicom, tylko miałam mokro w majtkach ze strachu przed pójściem następnego dnia do szkoły, bo nie wiedziałam, co się może stać. Tamtej nocy obudziłam się pod ciepłą

kołdrą i usłyszałam głos Miss Constantin – ale to już nie był tylko jej głos, zjawiała się we własnej osobie – siedziała w fotelu w nogach łóżka i szeptała: „Obudź się, śpiochu”. Była młoda, miała białozłote włosy, a jej usta, które za dnia musiały mieć kolor róż, w świetle księżycy były fioletowoczarne. Była ubrana w długą suknię. Piękna jak obrazek. W końcu, jękając się, zdołałam ją zapytać, czy mi się tylko śni, ale ona odparła: „Jestem tutaj, bo moje mądre, osobliwe dziecko było dziś bardzo smutne i chcę wiedzieć dlaczego”. Więc opowiedziałam jej o Susan Hillage. Miss Constantin słuchała w milczeniu, aż skończyłam, a potem powiedziała, że absolutnie nie toleruje dręczycielek ani tyranek, i zapytała, czy chciałabym, żeby coś poradziła na tę sytuację? Odparłam, że tak, że bardzo bym chciała, ale zanim mogłam zapytać ją o cokolwiek, usłyszałam kroki taty w korytarzu, drzwi się otworzyły i oślepiło mnie światło z półpiętra. Jak miałam wytłumaczyć tacie, dlaczego w moim pokoju o pierwszej w nocy siedzi Miss Constantin? Ale tata zachowywał się, jakby jej tam nie było. Zapytał mnie tylko, czy wszystko w porządku, bo słyszał jakiś głos – i już byłam pewna, że Miss Constantin tam nie ma. Powiedziałam tacie, że musiało mi się coś śnić i pewnie mówiłam przez sen.

I w końcu właśnie w to zaczęłam wierzyć. Głosy to jedno, ale panie w długich sukniach w fotelu w moim pokoju? Następnego dnia rano poszłam do szkoły jak zwykle, ale nie widziałam nigdzie Susan Hillage. Nikt jej nie widział. Nasza dyrektorka przybiegła spóźniona na apel i poinformowała, że Susan Hillage miała wypadek, że jechała rowerem do szkoły, kiedy potrąciła ją ciężarówka, że jest w bardzo ciężkim stanie i musimy się modlić o jej powrót do zdrowia. Kiedy to usłyszałam, poczułam, że ciało mi drętwieje i robi mi się zimno, i tyle krwi odpłynęło mi z głowy, że szkolny korytarz jakoś tak owinął się wokół mnie, a potem nie pamiętam już nawet, jak upadłam na podłogę.

Tamiza jest dziś pomarszczona i mętna, a ja idę, idę i idę jak najdalej od Gravesend, w stronę bagien Kentu, i zanim się zdążyłam zorientować, robi się wpół do dwunastej, a Gravesend jest już tylko maleńką makieta, którą zostawiam za sobą. Wiatr wydobywa chmury z kominów zakładów Blue Circle, jak magik, który wyciąga z rękawa białe chusteczki. Po mojej prawej stronie nad bagnami huczy A2. Pan Sharkey, który jest już starszym człowiekiem, mówi, że autostrada biegnie po starożytnym trakcie, zbudowanym jeszcze przez Rzymian, i że nawet po tylu stuleciach właśnie tą drogą trzeba pojechać, żeby w Dover dostać się na prom do Europy, tak samo jak w czasach rzymskich. Pylony autostrady odmaszerowują w dwuszeregu. W pubie tata pewnie odkurza bar, chyba że robi to Sharon, żeby zarobić moje trzy funty. Ranek już minął, parny i dłużyący się jak trzy matmy z rzędu, a od słońca bolą mnie oczy. Swoje okulary słoneczne zostawiłam w kuchni u Vinny'ego, przy zlewie. Kosztowały czternaście dziewięćdziesiąt dziewięć. Kupiłam je ze Stellą, która zarzekała się, że identyczne widziała na Carnaby Street, tyle że trzy razy droższe, więc myślałam, że trafiam okazję. Potem wyobrażam sobie, że duszę Stellę, i ręce całe napinają mi się i tężeją, jakbym ją rzeczywiście dusiła.

Chce mi się pić. Mama pewnie już powiedziała ojcu, jak to Holly wyprowadziła się z domu, bo przechodzi nastoletni okres buntu, ale założę się o milion, że wszystko przekreśliła. Tata będzie pokpiwał, że „baby się pokłóciły”, a PJ, Nipper i Big Dex będą kiwać głowami i śmiać się jak debile. Bo są debilami. PJ będzie udawał, że czyta z „The Sun”: „Astronomowie z uniwersytetu w Fuckingshire odkryli nowe dowody na to, że nastolatki jednak są pępkiem świata”. Wszyscy będą

się pokładać ze śmiechu, a poczciwy Dave Sykes, najfajniejszy ze wszystkich właścicieli pubów, też będzie rżał, co będzie miało znaczyć: „jak ty już powiesz dowcip, to można się polać”. Zobaczymy, czy będą się dalej śmiać w środę, kiedy mnie ciągle nie będzie.

Daleko przede mną jacyś ludzie łowią ryby.

*

Cuda i dziwy, akt ostatni. Już kiedy niesiono mnie do szkolnej pielęgniarki, słyszałam w głowie, że wrócili Ludzie z Radia. Setki Ludzi z Radia i wszyscy szeptali jeden przez drugiego. Przeraziło mnie to, ale nie aż tak bardzo, jak myśl, że zabiłam Susan Hillage. Więc powiedziałam pielęgniarce o Ludziach z Radia i o Miss Constantin. Biedna, myślała, że w najlepszym razie mam wstrząs mózgu, a w najgorszym – że zwariowałam, więc zadzwoniła do mamy, która zatelefonowała do naszego lekarza rodzinnego i jeszcze tego samego dnia zaprowadzono mnie do laryngologa w naszym miejskim szpitalu. Nie znalazł niczego niepokojącego, ale zasugerował, że byłoby dobrze, gdyby obejrzał mnie jego kolega, psychiatra dziecięcy ze szpitala przy Great Ormond Street w Londynie, który specjalizował się w takich przypadkach jak mój. Mama uniosła się: „Córka nie jest psychicznie chora!”. Ale laryngolog postraszył ją słowem „guz”. Po najgorszej nocy w moim życiu – modliłam się do Boga, żeby trzymał Miss Constantin z dala ode mnie, i leżałam z Biblią pod poduszką, ale Ludzie z Radia zadbali o to, żebym nie zmrużyła oka – zadzwonił do nas laryngolog z informacją, że jego kolega psychiatra będzie w Gravesend za godzinę, i spytał, czy mama może mnie zaraz przywieźć?

Doktor Marinus był pierwszym Chińczykiem, jakiego w życiu widziałam, oprócz tych z restauracji Thousand Autumns, dokąd

chodziliśmy czasem z Brendanem po jedzenie na wynos, kiedy mama była za bardzo zmęczona, żeby gotować. Doktor Marinus mówił z nienagannym akcentem z wyższych sfer i bardzo cicho, tak że trzeba było się wsłuchiwać, żeby wszystko usłyszeć. Był niski, chudy, ale jakoś dziwnie dominował w całym gabinecie. Najpierw zapytał o szkołę, o naszą rodzinę, a potem przeszedł do głosów w mojej głowie. Mama zdenerwowała się: „Córka nie jest wariatką, jeśli to pan sugeruje. To tylko wstrząśnienie mózgu”. Doktor Marinus zgodził się z mamą, że nie jestem w najmniejszym stopniu wariatką, ale powiedział, że mózg potrafi czasem działać bardzo nielogicznie. Aby pomóc mu wykluczyć guz, mama miała mi pozwolić samej odpowiadać na jego pytania. Więc opowiedziałam mu o Ludziach z Radia, o Susan Hillage i o Miss Constantin. Mama znowu się zdenerwowała, ale doktor Marinus uspokoił ją, że halucynacje słuchowe – „głosy” – nie były wcale rzadkie u dziewczyn w moim wieku. Zapewnił mnie, że wypadek Susan Hillage był po prostu wielkim zbiegiem okoliczności, i że zbiegi okoliczności, nawet takie niezwykle, zdarzają się codziennie ludziom na całym świecie – po prostu przyszła moja kolej i tyle. Mama zapytała, czy na te „głosy” jest jakieś lekarstwo, i pamiętam, że doktor Marinus odparł, że zanim sięgniemy po lekarstwa, chciałby spróbować prostszej metody, ze „Starego Kraju”. Kazał mamie uciskać jeden punkt na moim środkowym palcu – zaznaczył go długopisem – a potem sam dotknął palcem mojego czoła, pośrodku, jakby malarz stawiał kropkę z farby. Oczy zamknęły mi się...

...i Ludzie z Radia zniknęli. Nie tylko ucichli, ale zniknęli na dobre. Mama poznała po mojej minie, co się stało. Była cała w szoku i też bardzo jej ulżyło, tak samo jak mnie. Nie mogła się nadziwić: „I to już? Żadnych prądów, żadnych lekarstw?”. Doktor Marinus potwierdził, że to powinno wystarczyć.

Zapytałam, czy Miss Constantin też zniknęła na dobre.

Doktor odparł, że nie przewiduje, by się pojawiła.

Koniec. Wyszliśmy, minęło kilka lat, urosłam, i ani Ludzie z Radia, ani Miss Constantin więcej już nie wrócili. Widziałam kilka filmów dokumentalnych o różnych sztuczkiach umysłu i teraz już wiem, że Miss Constantin była po prostu moją wymyśloną przyjaciółką – tak jak Sharon miała króliczka Kicu-Kicu – tyle że moja wyobraźnia pojechała po bandzie. Wypadek Susan Hillage był zwyczajnie wielkim zbiegiem okoliczności, jak powiedział doktor Marinus. Susan nie umarła, ale przeniosła się do Ramsgate, chociaż niektórzy mówili, że to na jedno wychodzi. Doktor Marinus zaaplikował mi jakąś hipnozę, jak na tych kasetach, które mają pomóc w rzucaniu palenia. Od tamtej pory mama przestała mówić „Chinole” i nawet dzisiaj dostaje piany, kiedy ktoś tak mówi. „»Chińczycy«, nie »Chinole«, poprawia wszystkich, „i to najlepsi lekarze w całej państwowej służbie zdrowia”.

* * *

Na moim zegarku jest pierwsza. Daleko w tyle ludziki z patyczków łowią ryby w płytkiej wodzie przy forcie Shornemead. Przed sobą widzę szyb żwirowni z wielkim kamiennym lejem, a pas taśmowy ładuje żwir na barkę. Widzę też fort Cliffe, z otworami okiennymi jak puste oczodoły. Pan Sharkey mówi, że w czasie wojny w forcie stacjonowały baterie dział przeciwlotniczych i kiedy mieszkańcy Gravesend słyszeli huk artylerii, wiedzieli, że mają góra minutę, żeby schować się pod schodami albo w schronie w ogródku. Szkoda, że żadna bomba nie spadnie teraz na dom przy Peacock Street. Na pewno właśnie jedzą pizzę – Vinny odżywia się tylko pizzą, bo mówi, że nie będzie sobie zawracał głowy gotowaniem. Na pewno śmieją się ze mnie. Ciekawe, czy Stella była dziś u niego przez całą noc. Ludzie

zakochują się w sobie, myślę, i żadna z tego wielka filozofia. Głupia! Głupia! Kopię kamyk, ale to nie kamyk, tylko kawałek wrośniętej w ziemię skały, który masakruje mi palec u nogi. Ból strzela zygzakami aż do mózgu. I teraz oczy zaczynają mnie piec i łzawią – kurde, skąd nagle tyle płynu? Jedyne, co dziś wypiałam, to łyk wody, kiedy myłam zęby, i mleko z płatkami. Język wysechł mi na kołek, mógłby służyć za element w ikebanach. Sportowa torba zdążyła mi już boleśnie otrzeć ramię. A moje serce jest jak mała foczka, którą ktoś okłada bejsbolem po łbie. W żołądku mam pusto, tylko że jest mi tak źle i smutno, że nawet nie czuję jeszcze ssania. Ale nie zawrócę do domu. Mowy nie ma.

*

O trzeciej sucho mam już nie tylko w ustach, ale i w całej głowie. Chyba jeszcze nigdy w życiu tak długo nie szłam. Nigdzie ani śladu sklepu, ani żadnego domu, gdzie mogłabym poprosić o szklanek wody. I wtedy zauważam drobną kobietę, która łowi ryby na końcu drewnianego pomostu. Wygląda, jakby ktoś celowo narysował ją w rogu obrazka, żeby nikt jej nie dostrzegł. Mimo że kobieta jest spory kawałek ode mnie, widzę, że nalewa sobie z termosu do kubka. Normalnie nigdy nie przyszłoby mi to do głowy, ale tak strasznie chce mi się pić, że podbiegam brzegiem i wchodzę na pomost, specjalnie głośno stawiając kroki na drewnianych deskach, żeby jej nie przestraszyć.

– Przepraszam, czy ma pani może trochę wody do picia?

Kobieta nawet się nie odwraca.

– Zimna herbata może być? – Jej zachrypnięty głos dobiega skądś, gdzie jest bardzo gorąco.

– Jak najbardziej, dziękuję. Nie jestem wybredna.

– Jeśli tak, to się częstuj.

Więc nalewam herbaty do kubka, nie myśląc o zarazkach. Co prawda, to nie jest zwykła herbata, ale i tak to najbardziej orzeźwiający płyn, jaki w życiu piłam. Pozwalam, żeby rozlał mi się po całych ustach. Dopiero teraz uważniej przyglądam się kobiecie. Ma jakieś takie słoniowe oczy w starej, pomarszczonej twarzy, krótkie siwe włosy, wymiętą koszulę safari i skórzany kapelusz z szerokim rondem, który wygląda, jakby miał sto lat.

– Smaczna?

– Bardzo – odpowiadam. – Bardzo smaczna. Smakuje jak trawa.

– Zielona herbata. Dobrze, że nie jesteś wybredna.

– Od kiedy herbata jest zielona? – pytam.

– Odkąd jej liście na krzakach mają taki kolor.

W wodzie pluska ryba. Widzę, gdzie była, ale gdzie jest – już nie wiem.

– Dużo pani dzisiaj złapała?

Chwila milczenia.

– Pięć okoni. Jednego pstrąga. Słabo dziś biorą.

Nigdzie nie widzę wiadra ani żadnej rynienki.

– A gdzie te złowione?

Na rondzie jej kapelusza przysiada pszczoła.

– Wypuszczam je.

– To po co pani je łapie?

Mija kilka sekund.

– Żeby się lepiej rozmawiało.

Rozglądam się wokół: ścieżka, cierniste pole, szczeciniasty las i zarośnięta droga. Chyba musi sobie robić jaja.

– Nikogo tu nie ma.

Pszczole dobrze tam, gdzie siedzi, nawet kiedy kobieta kołysze się rytmicznie, nawijając żyłkę na kołowrotek. Staję z boku, kiedy ona

sprawdza, czy przynęta nadal trzyma się na haczyku. Krople wody spadają na spragnione wilgoci deski pomostu. Rzeka siorbie o brzeg i chlupie wokół drewnianych pali. Nie wstając z miejsca, kobieta wprawnym ruchem nadgarstka posyła ołowiany ciężarek daleko, daleko, długą pętlą. Kołowrotek furczy i ciężarek ląduje w wodzie tam, gdzie przedtem. Po powierzchni rozchodzą się koła. Zapada martwa cisza...

Wtedy ona robi coś naprawdę dziwnego. Wyjmuje z kieszeni kawałek kredy i pisze na desce koło swojego buta: MOJE. Na kolejnej desce pisze: DŁUGIE. A na następnej: IMIĘ. Potem chowa kredę do kieszeni i wraca do łowienia ryb.

Czekam, aż wyjaśni, o co z tym chodzi, ale ona się nie odzywa.

– Co to znaczy?

– Co?

– To, co pani napisała.

– To wskazówki.

– Dla kogo?

– Dla kogoś za wiele lat.

– Kredą? Zaraz się zmyją.

– Z pomostu owszem. Ale nie z twojej pamięci.

Jasne, czyli ma nierówno jak żul przedziałek. Tylko nie mówię jej tego, bo chcę jeszcze dostać zielonej herbaty.

– Dopij herbatę do końca, jak chcesz – mówi. – Pierwszy sklep znajdziesz dopiero, kiedy z chłopcem dojedziecie do Allhallows-on-Sea...

– Dziękuję. – Napełniam kubek. – Jest pani pewna? To już resztką.

– Zatem przysługa za przysługę. – Patrzy na mnie wzrokiem snajpera. – Mogę potrzebować domu.

Domu? Domu wariatów?

– Jak to?

– Azylu. Kryjówki. Jeśli Pierwsza Misja się nie powiedzie, a obawiam się, że to nieuniknione.

Z wariatami nie ma lekko.

– Mam piętnaście lat. Skąd miałabym wytrzasnąć dla pani schronienie albo kryjówkę? Przykro mi.

– Jesteś idealna. Nikt cię nie będzie podejrzewał. Herbata za kryjówkę. Stoi?

Tata powtarza, że z pijanymi najlepiej najpierw zgodzić się na wszystko, czego chcą, a potem dać nogę. I może świry są jak pijani, którzy nigdy nie trzeźwieją?

– Stoi.

Kobieta kiwa głową, a ja piję, aż słońce staje się tylko kręgiem bladej poświaty widzianym przez cienkie plastikowe denko.

Stara znowu wpatruje się gdzieś w dal.

– Dziękuję, Holly.

Też jej dziękuję i wracam po pomoście na ląd. Potem zawracam i znowu do niej podchodzę.

– Skąd pani wie, jak mam na imię?

Ona się nie odwraca.

– Jakim imieniem mnie ochrzczono?

Jakaś debilna gra.

– Esther Little.

– A skąd ty wiesz, jak ja się nazywam?

– Bo... Powiedziała mi pani. – Powiedziała? Musiała.

– Czyli wszystko jasne.

I to były ostatnie słowa Esther Little.

* * *

Około czwartej docieram do kamienistej plaży przy drewnianym

falochronie, który schodzi do rzeki. Zdejmuję martensy. Na dużym palcu mam gigantyczny, podbiegły czarną krwią bąbel. Wygląda jak rozdeptana jeżyna. Smaczno. Wyjmuję z torby *Fear of Music*, podwijam spodnie i wchodzę do rzeki po kolana. Woda w zakolu Tamizy jest chłodna jak w kranie, a słońce nadal nieźle grzeje, ale już nie parzy tak, jak kiedy żegnałam się z tą wariatką z wędką. Posyłam płytę nad wodą jak frisbee, tak daleko, jak tylko potrafię. Nie jest specjalnie aerodynamiczna i leci w górę tylko dotąd, aż wysuwa się z niej wewnętrzna koszulka z longplayem i z pluskiem wpada do wody. Czarna okładka albumu spada jak ranny ptak i unosi się przez chwilę na falach. Łzy, mnóstwo łez płynie z moich piekących oczu i wyobrażam sobie, że brnę przez wodę do miejsca, gdzie płyta spada teraz spiralą przy ścianie koryta, że idę przez pstrągi i okonie do zardzewiałych rowerów, kości piratów-topielców, niemieckich samolotów, wyrzuconych ślubnych obrączek i Bóg wie czego jeszcze.

Ale wracam na brzeg i kładę się na rozgrzanych kamykach obok moich martensów. Tata pewnie siedzi na piętrze z nogami na kanapie. „Chyba złożę wizytę temu Costello, Kath”, mówi. Mama gasi papierosa w resztkę zimnej kawy na dnie kubka. „Nie, Dave. Hrabiance właśnie o to chodzi. Nie zwracajmy uwagi na jej demonstracje, a sama zacznij doceniać, ile dla niej robimy”.

Ale już jutro rano mama zacznie się niepokoić o szkołę w poniedziałek, bo kiedy szkoła zapyta, gdzie jestem i dlaczego nie ma mnie na egzaminach, mama trochę spuści z tonu. Pójdzie do Vinny'ego z pianą na ustach. Obedrze go żywcem ze skóry – cudownie! – ale i tak nie dowie się, gdzie jestem. Czyli postanowione. Zadekuję się gdzieś na dwie noce, a potem zobaczymy, jak będzie. Jeśli tylko nie będę kupowała fajek, moje trzydzieści funtów osiemdziesiąt pięć pensów w samych drobnych starczy na dwa dni żarcia chleba z frytkami, jabłek i herbatników. Jeżeli dotrę do

Rochester, będą mogła nawet wypłacić jakieś pieniądze z TSB i przedłużyć sobie te wakacje.

Ogromny frachtowiec płynie z prądem rzeki i włącza syrenę. Na pomarańczowym kadłubie widać biały napis: „Gwiazda Rygi”. Zastanawiam się, czy Ryga to jakieś miejsce, czy coś innego. Sharon i Jacko by wiedzieli. Ziewam, że mało mi nie wyrwie szczęki, kładę się na grzechoczących kamykach i patrzę, jak ślad na wodzie za wielkim statkiem uderza o kamienisty brzeg.

Jezu, ale się nagle zrobiłam śpiąca...

*

– Sykes? Żyjesz? Hej, Sykes.

Dociera do mnie popołudnie. Gdzie ja jestem? Dlaczego jestem boso? Ej, i dlaczego Ed Brubeck dotyka mojej ręki? Cofam ją gwałtownie, zrywam się i kuśtykam kilka jardów, a z każdym krokiem po gorących kamieniach moje stopy bezgłośnie jęczą. Na koniec walę się w łeb o drewniany falochron.

Ed Brubeck nawet się nie poruszył.

– Musiało boleć.

– Kurde, wiem, że musiało boleć. To moja głowa.

– Chciałem tylko sprawdzić, czy żyjesz.

Rozcieram czoło.

– A wyglądam, jakbym umarła?

– Przed chwilą trochę tak wyglądałaś.

– Ale nie umarłam, tak? – Widzę, że rower Brubecka leży na boku, a jedno z kół ciągle się kręci. Jego wędka nadal wisi przy ramie. – Zdrzemnęłam się tylko.

– Sykes, nie chcesz mi chyba powiedzieć, że przyszłaś z Gravesend aż tutaj na piechotę?

– Nie. Przycwalałam na gwiazdnym rumaku, ale już bryknął z powrotem.

– Ha. Nie sądziłem, że lubisz wędrówki w świecie natury.

– A ja nie miałam cię za Matkę Teresę.

– Człowiek się uczy całe życie.

Jakiś zwariowany ptak ćwierka zapętlone nuty dobrą milę nad nami. Ed Brubeck odgarnia z oczu czarne włosy. Jest taki opalony, że mógłby udawać Turka.

– A dokąd idziesz? – pyta.

– Jak najdalej od tego zasranego miasta.

– Ojoj. A co ci takiego zrobiło biedne Gravesend?

Zawiązuję sznurówki martensów. Boli mnie krwiał na palcu.

– A ty dokąd jedziesz?

– Wujek mieszka w tamtą stronę. – Ed Brubeck macha ręką w kierunku od rzeki. – Nie rusza się ostatnio z domu i już prawie nic nie widzi, więc jeżdżę trochę z nim posiedzieć. Właśnie od niego wracałem i jechałem do Allhallows, żeby trochę połowić, ale zobaczyłem ciebie i...

– I myślałeś, że umarłam. Ale żyję. I nie zatrzymuję cię dłużej.

Robi minę, która ma oznaczać „jak sobie chcesz” i wspina się na skarpę.

Wołam za nim.

– Daleko stąd do Allhallows?!

Brubeck podnosi rower.

– Jakies pięć mil. Podwieźć cię na bagażniku?

Myszę o Vinnym i jego nortonie, i kręcę głową. Brubeck demonstracyjnie wsiada na rower i już go nie ma. Podnoszę garść kamyków i z całej siły ciskam je wściekła do wody.

Ed Brubeck wielkości ziarnka piasku znika w oddali za grupką szpiczastych drzew. Nie obejrzał się. Teraz żałuję, że nie skorzystałam z jego oferty. Kolana mam zeszywniałe, stopy pulsują bólem, a kostki chyba ktoś atakuje mi wiertłami. Przejście pięciu mil w takim stanie zajmie mi wieki. Ale Ed Brubeck to facet, Vinny to też facet, a wszyscy faceci to zwykle spermoroby. W brzuchu burczy mi z głodu i skręca mnie z pragnienia. Zielona herbata jest pyszna, ale człowiek sika po niej jak krowa i teraz w wyschniętych ustach mam taki smak, jakby nasrał mi do nich zdychający szczur. Ed Brubeck to facet, owszem, ale nie jest totalnym palantem. W zeszłym tygodniu wdał się w pyskówkę z panią Binkirk, naszą nauczycielką religii, i został odesłany do pana Nixona za nazwanie jej największą dewotką w Gravesend. Takie obelgi rzucają ludzie już dorośli. W ogóle ludzie są jak góry lodowe – tylko czubek jest widoczny, a całej reszty nie widać. Usiłuję nie myśleć o Vinnym, ale jednak mi się to nie udaje. Myślę o tym, jak zaledwie dziś rano marzyłam, żeby założyć z nim zespół. W oddali zza grupki szpiczastych drzew wyłania się Ed Brubeck wielkości ziarnka piasku i pedałuje w moją stronę. Pewnie stwierdził, że już za późno na ryby, i wraca do Gravesend. Robi się coraz większy, aż w końcu jest już naturalnej wielkości i popisuje się, hamując przede mną tak, że rowerem aż zarzuca, co przypomina mi, że Brubeck jest nadal chłopcem, oprócz tego, że facetem. Białka jego oczu błyszczą w smagłej twarzy.

– Weź, wsiadaj, Sykes. – Klepie siodełko. – Do Allhallows jest stąd kawał drogi. Zanim tam dojdiesz, zrobi się ciemno.

*

Trzęsąc się i podskakując, jedziemy drogą z całkiem przyzwoitą

prędkością. Za każdym razem, kiedy przejeżdżamy po jakimś wyboju, Brubeck pyta: „W porządku?”, a ja odpowiadam: „Tak”. Wiatr od morza i pęd powietrza wślizgują mi się w rękawy i macają brzuch, jak jakiś obleśny zbok. Pot przykleja podkoszulek Brubecka do jego pleców. Odmawiam wyobrażenia sobie potu Vinny’ego. I Stelli... Serce znowu mi pęka i sączy się z niego maź, która piecze, jak dettol na skaleczeniu. Trzymam się bagażnika obiema rękami, ale potem droga robi się bardziej wyboista, więc przytrzymuję się, wsuwając kciuk za szlufkę džinsów Brubecka. On pewnie ma od tego stójkę, ale to już jego problem, nie mój.

Puchate baranki skubią trawę. Owce, ich matki, obserwują nas, jakbyśmy zamierzali podać ich dzieci na stół z ziemniakami.

Wystraszamy stojące na szczudłach ptaki o łyżkowatych dziobach. Odlatują tuż nad wodą na drugi brzeg rzeki. Ich skrzydła muskają taflę i rozsyłają koła po powierzchni.

Tamiza staje się tutaj morzem, a Essex zmienia się w złoto. Ta plama to Canvey Island. A dalej – Southend.

Kanał La Manche jest granatowy jak tusz w długopisie, a niebo błękitne jak kreda do smarowania kija w snookerze. Podskakując, przejeżdżamy przez kładkę dla pieszych nad rudobrazowym zalewem, który w połowie tworzą bagna, a w połowie piaszczyste łachy, i już jesteśmy po jego drugiej stronie: ISLE OF GRAIN WITA.

Ale to przecież nie jest prawdziwa wyspa. Może kiedyś była.

Ten ćwierkający ptak od zapętlonych melodyjek przyleciał za nami. Chyba.

*

Allhallows-on-Sea to w zasadzie wielki park rekreacyjny, schodzący na nabrzeże od strony mikroskopijnej wioski. Dookoła stoją rzędy

przyczep kempingowych i tych prostokątnych domków na palach albo na ceglówkach, na które Amerykanie w filmach mówią „kampery”. Wszędzie pełzają gołe brzdące, a półnagie starsze dzieciaki strzelają z pistoletów na wodę, grają w piłkę plażową i latają wkoło jak opętane. Ich mamusie, już prawie ululane, wywracają oczami na zaróżowionych od słońca tatusiów, którzy pieką kiełbaski na grillu. Usiłuję najeść się dymem.

– Nie wiem jak ty – mówi Brubeck – ale ja umieram z głodu.

Ze zbyt wielkim entuzjazmem odpowiadam: „Ja trochę też”, więc Brubeck parkuje rower przy smażalni ryb, obok wypożyczalni kijów golfowych. Zamawia dorsza z frytkami, za dwa funty, a ja zamawiam same frytki, bo kosztują tylko pięćdziesiąt pensów. Ale wtedy Brubeck mówi facetowi za ladą:

– Dwa dorsze z frytkami poproszę.

I wręcza mu pięciofuntowy banknot, a gość rzuca na mnie szybkie spojrzenie, po czym patrzy na Brubecka znacząco, „po męsku”, jakby mówił: „niezła sztuka, synu”, i strasznie mnie to wkurza, bo Brubeck i ja nie chodzimy ze sobą i, kurde, nigdy nie będziemy, choćby nie wiem ile panierowanych dorszy mi kupił.

Brubeck bierze dla nas jeszcze dwie puszki coli, po czym zauważa moją minę.

– To tylko ryba z frytkami, żadnych zobowiązań.

– Żebyś wiedział, że żadnych! – Brzmi to trochę ostrzej, niż chciałam. – Ale dzięki.

Mijamy ostatni domek i kawałek dalej dochodzimy do betonowego schronu, tuż przy wydmach. Przez szczeliny okien wali ze środka moczem, ale Brubeck wdrapuje się na niski, płaski dach.

– To bunkier – mówi. – W czasie wojny były tu stanowiska karabinów maszynowych, na wypadek niemieckiej inwazji. Nadal są tu setki takich stanowisk, tylko trzeba się dobrze rozejrzeć. Właściwie

to tak właśnie wyglądają czasy pokoju: gniazda karabinów jako stoły piknikowe.

Przyglądam mu się. W szkole człowiek nigdy nie miałby odwagi czegoś takiego powiedzieć. Wdrapuję się za nim, bez pomocy, i rozglądam się wokół. Po drugiej stronie pięknej, modrej Tamizy leży Southend, a w przeciwnym kierunku widzę doki Sheerness na Isle of Sheppey. Otwieramy nasze cole. Ostrożnie i powoli odrywam metalową zawleczkę, żeby wrzucić ją później do puszki. Kiedy się je rzuca na ziemię, kaleczą psom łapy. Brubeck podnosi swoją puszkę w moją stronę, więc stukam się z nim cołą jak kieliszkiem wina, ale nie patrzę mu w oczy, żeby sobie za dużo nie wyobrażał. I pijemy. Przy pierwszym łyku czuję uderzenie lodowatych, syczących bąbelków. Frytki są ciepłe i pachną octem, którym są polane, a panierka parzy nas w palce, kiedy ją odgarniamy, żeby dostać się do grubych płatów dorsza.

– Pyszne – mówię. – Dzięki.

– W Manchesterze robią lepsze frytki – odpowiada Brubeck.

Latawiec-kaskader wypisuje coś różowym ogonem na błękitcie.

*

Napełniam płuca dymem z dunhilla od Brubecka. O tak, tak jest dobrze. Potem wyobrażam sobie Stellę Yearwood i Vinny'ego, jak palą w łóżku jego marlboro i nagle muszę udać, że coś wpadło mi do oka. Żeby odwrócić myśli, pytam Brubecka:

– A co robi twój wujek? Ten, od którego wracałeś?

– Wujek Norm. Brat mojej mamy. Kiedyś był operatorem dźwigu w cementowni Blue Circle, ale przestał pracować. Traci wzrok.

Głęboko zaciągam się dymem.

– Straszne. Biedny facet.

– Wujek mówi, że litość to rodzaj obelgi.
– Jest zupełnie niewidomy czy jeszcze cokolwiek widzi?
– Stracił siedemdziesiąt pięć procent wzroku w obojgu oczu i ciągle mu się pogarsza. Najbardziej dołuje go, że nie może czytać gazet. Mówi, że kiedy usiłuje czytać, to ma takie wrażenie, jakby szukał kluczy w brudnym śniegu. Więc w soboty przeważnie jeżdżę do niego rowerem i czytam mu artykuły z „Guardiana”. A on opowiada o wojnie Thatcher ze związkami zawodowymi, o tym, dlaczego Rosjanie są w Afganistanie, dlaczego CIA obala demokratyczne rządy w Ameryce Południowej...

– Coś jak w szkole – zauważam z lekką kpinią.

Brubeck kręci głową.

– Większość naszych nauczycieli chce po prostu kończyć pracę przed czwartą i w wieku sześćdziesiątu lat być już na emeryturze. A wujek uwielbia dyskutować i analizować, i chce zarażać tym innych. Ma diabelnie trzeźwy umysł. Potem ciocia robi wielki obiad, zjadamy, wujek idzie się zdrzemnąć, a ja jadę na ryby, jeśli pogoda jest ładna. Chyba że widzę, że ktoś z klasy leży trupem na plaży. – Brubeck gasi papierosa na betonie. – To co? Teraz ty mówisz, Sykes.

– Jak to ja teraz mówię?

– O ósmej czterdzieści pięć widzę cię na Queen Street, jak się chowasz przed...

– Widziałeś mnie?!

– Owszem. Chowiałaś się przede mną w Indoor Market, ale siedem godzin później obiekt zaobserwowano dziesięć mil na wschód od Gravesend, nad rzeką.

– A ty co? Ed Brubeck, prywatny detektyw?

Podchodzi do nas piesek, a ponieważ nie ma ogona, macha całym zadkiem. Brubeck rzuca mu frytkę.

– Gdybym był detektywem, podejrzewałbym zawirowania miłosne.

Mój ton staje się ostry.

– Nie twoja sprawa.

– Zgadza się. Ale fiut nie jest tego wart, kimkolwiek jest.

Wkurzona, marszczę czoło i rzucam psu frytkę. Pożera ją łapczywie i zastanawiam się, czy też jest bezdomny. Jak ja.

Brubeck zwija w lejek swoją tackę po frytkach i wsypuje chrupiące okruchy do ust.

– Zamierzasz wrócić na noc do Gravesend?

Tłumię w sobie jęk. Gravesend jest dla mnie jak gradowa chmura. Są tam Vinny i Stella, i mama. Oni są Gravesend. Mój zegarek pokazuje osiemnastą dziewiętnaście, a w Kapitanie Marlow robi się teraz gwarno i głośno, w miarę jak napływają stali bywalcy. Na górze Jacko i Sharon siedzą na kanapie przed telewizorem i oglądają *Drużynę A*, zapychając się chrupkami serowymi i grubymi kawałami czekoladowej babki. Chciałabym tam z nimi siedzieć, ale ten policzek od mamy...?

– Nie – odpowiadam Brubeckowi. – Nie zamierzam wracać.

– Za trzy godziny będzie już ciemno. Nie masz specjalnie dużo czasu, żeby znaleźć jakiś cyrk i z nim uciec.

Trawa na wydmach faluje. Od strony Francji po niebie płyną chmury. Zarzucam kurtkę na ramiona.

– Może znajdę jakiś przytulny bunkier. Taki jeszcze nieobsikany. Albo jakąś stodołę.

Nadlatują mewy, podskakując w powietrzu na elastycznych sznurkach. One też krzyczą o frytki. Brubeck wstaje i odpędza je, młócąc rękami powietrze, jak Szalony Książę na Allhallows, tak dla zabawy.

– Może znam lepsze miejsce.

Znowu pedałujemy po normalnej szosie. Wokół szerokie pola na płaskim jak naleśnik zadupiu, nic nie rzuca długiego cienia. Brubeck nie chce powiedzieć, dokąd jedziemy. „Albo masz do mnie zaufanie, Sykes, albo nie”. Ale zapewnia, że jest tam ciepło, sucho i bezpiecznie i że sam zatrzymywał się tam na noc pięć czy sześć razy, kiedy jeździł łowić ryby po zmroku, więc na razie nie protestuję. Zapowiada, że on potem pojedzie do domu. Problem z chłopakami polega właśnie na tym, że przeważnie pomagają dziewczynom tylko dlatego, że one im się podobają. I nie ma jak odkryć w porę ich prawdziwych zamiarów bez urządzania żenady. Ed Brubeck wydaje się w porządku i jeździ co sobotę czytać niewidomemu wujkowi, ale przez Vinny’ego i Stellę już sama, kurde, nie wiem, czy potrafię dobrze oceniać ludzi. Zbliża się jednak noc i nie mam specjalnego wyboru. Mijamy jakieś wielkie zakłady i już mam zapytać Brubecka, co w nich produkują, kiedy mówi, że to elektrownia w Grain, która zasila całe Gravesend i pół południowo-wschodniego Londynu.

– Wiem – kłamię.

*

Kościół jest przysadzisty, a w jego wieży widać szczeliny łucznicze. W ostatnich promieniach słońca okolica lśni złotym blaskiem. Szum lasu przypomina odgłos fal uderzających bez końca o brzeg. Gawrony miotają się między drzewami jak czarne skarpetki w suszarce. Tablica oznajmia: KOŚCIÓŁ PARAFIALNY W ST MARY HOO, a na dole widnieje numer telefonu wikariusza. Wioska St Mary Hoo leży kawałek dalej, ale tak naprawdę to tylko kilka starych domów i pub przy jedynym skrzyżowaniu.

– Warunki do spania są dość spartańskie – mówi Brubeck, kiedy

zsiadamy z roweru – ale ochronę organizują Ojciec, Syn i Duch Święty, a według taryfy nocleg kosztuje zero funtów, więc cena jest dość konkurencyjna.

Ma na myśli kościół?

– Żartujesz, prawda?

– Pokój trzeba zwolnić do siódmej, inaczej kierownik się wścieka.

No tak, ma na myśli kościół. Robię kwaśną minę.

Brubeck unosi brwi, co ma oznaczać „wóz albo przewóz, wybieraj”.

Wybieram wóz, czyli kościół. Bagna Kentu, niestety, nie są usiane przytulnymi stodółkami pełnymi ciepłego siana, jak w *Domku na prerii*. Przez całą drogę minęliśmy tylko pordzewiałą żelazną szopę kilka mil wcześniej. Pilnowały jej dwa dobermany z wścieklizną.

– Kościółów nie zamykają na klucz?

Brubeck odpowiada „Zamykają” takim tonem, jakby pytał „I co z tego?”. Rozgląda się wokół, czy nikogo nie ma, i wprowadza rower na cmentarz. Ukrywa go za rosochatymi drzewami przy murze i prowadzi mnie do kruchty. Na ziemi leżą rozwiewane wiatrem bezładne kopczyki brudnego konfetti.

– Obserwuj furtkę – rzuca.

Z kieszeni wydobywa coś w rodzaju skórzanej portmonetki, w której wisi rząd cieniutkich kluczy i metalowy pręcik w kształcie litery „L”. Ostatni rzut oka na drogę. Brubeck wsuwa klucz do zamka i zaczyna nim majstrować.

Ogarnia mnie nagły strach, że ktoś nas złapie.

– Gdzie się nauczyłeś otwierania zamków?

– Ojciec nie uczył mnie gry w piłkę ani łatania dętek.

– Możemy pójść za to siedzieć. To się nazywa...

– Włamanie. Dlatego trzeba się uważnie rozglądać.

– Możesz mi powiedzieć, co mam robić, jak ktoś przyjdzie?

– Udawaj zawstydzoną, jakby nas przyłapano na miętoleniu.

– Dziękuję, nie skorzystam.

Brubeck prycha ironicznie.

– Powiedziałem: „udawaj”. Wyluzuj, nie trafisz do pierdła, dopóki policja nie udowodni, że wyłamałaś zamek. O ile się nie przyznamy i pod warunkiem, że nie uszkodzę mechanizmu... – wsuwa w zamek klucz uniwersalny – ...możemy trzymać się wersji, że akurat przechodziliśmy, zobaczyliśmy uchylone drzwi i zajrzeliśmy do środka, bo fascynuje nas saksońska architektura kościelna. I tak właśnie będziemy zeznawać, jakby co. – Brubeck przykłada ucho do zamka, manipulując kluczem. – Ale od Wielkanocy dekowałem się tu w soboty już trzy razy i nie było żywej duszy. Poza tym przecież niczego nie wynosimy. No i jesteś dziewczyną, więc zaczniesz ryczeć i błagać: „Proszę księdza wikariusza, uciekłam z domu, bo ojczym mnie bił” i zobaczysz, że nie tylko ujdzie ci na sucho, ale jeszcze dostaniesz kubek herbaty i kawałek ciasta. – Brubeck podnosi dłoń uciszającym gestem: *klik*. – Jest. – Drzwi kościoła otwierają się ze skrzypieniem zawiasów godnym Transylwanii.

Kościół parafialny w St Mary Hoo pachnie w środku sklepem z używaną odzieżą, a szyby z witrażami zabarwiają panujący tu półmrok na wszystkie kolory sałatki owocowej. Mury kościoła są grube jak w schronie przeciwatomowym, a głuchy łoskot drzwi, które Brubeck zamyka za nami, odbija się echem w całym wnętrzu jak w lochu. Na sklepieniu widać rozgwiazdę belek i dźwigarów. Podchodzimy krótką nawą, mijając dziesięć albo dwanaście ławek. Ambona jest drewniana, chrzcielnica z kamienia, organy wyglądają jak wymyślne pianino z rurami wydechowymi. Złoty pulpit na ambonie musi być ze sztucznego złota, inaczej jakiś włamywacz – na przykład ojciec Brubecka – już dawno by go podprowadził. Dochodzimy do ołtarza i spoglądamy w górę na witraż przedstawiający scenę ukrzyżowania. Obie Marie, dwóch apostołów i

Rzymianin u stóp krzyża wyglądają, jakby zastanawiali się wspólnie, czy zaczną padać. Brubeck pyta:

– Jesteś katoliczką, prawda?

Zaskakuje mnie, że w ogóle o tym myślał.

– Moja mama jest Irlandką.

– Czyli wierzysz w niebo i w Boga?

Przestałam chodzić do kościoła w zeszłym roku. To była największa kłótnia między mną i mamą, aż do dzisiejszej porannej awantury.

– Jakoś dostałam alergii.

– Wujek Norm mówi, że religia to tylko duchowy paracetamol. I mam nadzieję, że ma rację. Bo o ile Bóg nie organizuje nam po przybyciu do raju przeszczepu osobowości, niebo musi oznaczać niekończący się obiad z rodziną, w tym z wujkiem Trevem. A dla mnie, niestety, tak raczej wygląda piekło.

– Czyli wujek Trev to nie do końca wujek Norm?

– Są jak ogień i woda. Wujek Trev to starszy brat mojego ojca. „Mózg wszystkich operacji”, jak mówi, zresztą zgodnie z prawdą, bo jest na tyle cwany, że do brudnej roboty zaprzęga takich frajerów jak ojciec. Jeśli włam się udał, wujek zajmuje się paserką, ale jeśli cokolwiek się wyrzuciło, udaje, że jest z teflonu i nic do niego nie przywiera. Próbował nawet przystawiać się do mojej mamy, kiedy tata poszedł siedzieć. Między innymi dlatego przenieśliśmy się do Gravesend.

– Jakaś totalna menda.

– Owszem, cały wujek Trev. – Psychodeliczno-owocowa poświata na twarzy Brubecka przygasa, w miarę jak zachodzi słońce. – Ale kto wie, gdybym umierał w hospicjum, może chciałbym tyle duchowego paracetamolu, ile tylko mają.

Opieram dłoń na balustradzie przed ołtarzem.

– A jeśli... a jeśli niebo istnieje naprawdę, ale pojawia się tylko w przebłyskach, w krótkich chwilach? Jeśli na przykład niebo to

szklanka wody w upalny dzień, kiedy umierasz z pragnienia, albo kiedy ktoś jest dla ciebie miły zupełnie bez powodu, albo... – Naleśniki mamy z sosem „Toblerone”; tata, który wbiega z baru na górę tylko po to, żeby powiedzieć mi „dobranoc, pchły na noc”; albo kiedy Jacko i Sharon na każde urodziny śpiewają „Sto wad, sto wad, nie żyje, żyje nam” i sikają ze śmiechu, chociaż to wcale nie jest śmieszne; i Brendan, który swój stary adapter oddaje mi zamiast jednemu z kumpli. – Niebo chyba nie jest jak obraz, który już wisi na ścianie na zawsze, ale raczej jak... Jak najpiękniejsza piosenka na świecie, ale człowiek za życia słyszy ją tylko od czasu do czasu, w urywanych fragmentach, z przejeżdżających samochodów albo... z okien na piętrze, kiedy akurat szuka drogi.

Brubeck patrzy na mnie, jakby naprawdę słuchał, co mówię,

I, no, kurde, cała się czerwienię.

– Co się tak gapisz?

Zanim ma czas odpowiedzieć, w drzwiach słychać chrobotanie klucza.

Sekundy w zwolnionym tempie przepływają obok mnie, jak sznur nawalonych balangowiczów robiących w tańcu węża. Brubeck i ja nagle stajemy się Flipem i Flapem, Starskim i Hutchem, i dwiema połówkami konia z teatrzyku, a on wpycha mnie przez drewniane drzwi za organami do wysokiego pomieszczenia o dziwnym kształcie, z drabiną prowadzącą do kłapy w suficie. To chyba zakrystia, a drabina musi prowadzić na dzwonnice. Brubeck nasłuchuje przez szparę w drzwiach. Nie ma stąd innego wyjścia. Jest tylko coś w rodzaju schowka w jednym z rogów. Zbliżają się do nas co najmniej dwa męskie głosy. I chyba słyszę też trzeci, kobiecy. Cholera. Patrzymy na siebie z Brubeckiem. Rozwiązania są trzy: zostać tu i spróbować się jakoś wyłgać; ukryć się w schowku; albo wdrapać się pędem po drabinie, w nadziei że kłapę da się otworzyć, a oni za nami

nie wejda. Ale najpewniej i tak nie zdazylibyśmy juz teraz na drabine. Nagle Brubeck wpycha mnie do schowka, sam wciska sie za mna i usiluje domknac drzwi. Schowek jest znacznie ciasniejszy, niz sie wydawalo z zewnatrz – czuje sie, jakbym chowala sie w ustawionej pionowo polowce trumny, i calym cialem przygniatam mnie chlopak, z ktorym wcale nie zamierzalam sie obciskiwac. Brubeckowi w koncu udaje sie domknac drzwi...

– ...Ale jemu wydaje sie, ze jest chyba, kurde, drugim Fidelem Castro! – Slyszy my slowa jakiegoz miejscowego z silnym lokalnym akcentem, kiedy glasy wchodzi do zakrystii. – Maggie Thatcher mozna kochac, mozna jej nienawidzic, ma wielbicieli i przeciwnikow, ale ona wygrala wybory, a Arthur Scargill nie. We wlasnym związku nawet nie przeprowadzil glósowania w sprawie strajku.

– Ale zupełnie nie o to chodzi – mowi jakis londyńczyk. – W strajku chodzi o przyszlosc. Wlasnie dlatego rzad ucieka sie do wszelkich brudnych posunieć – stąd informatorzy MI5, kłamstwa w mediach, odbieranie socjalu rodzinom górników... Przypomnicie sobie moje slowa: jezli górnicy przegrają, wasze dzieci beda harowac od switu do nocy za glódowe pensje, jak za królowej Wiktorii.

Od kolana Brubecka w bitemo w moje udo cala noga powoli mi dretwieje.

Lekko sie obracam. Jego „aua, aua” jest cichsze od szeptu.

– Nie mozna ratowac umierajacych branż bez konca – ciagnie w odpowiedzi miejscowy – na tym polega problem. Inaczej nadal dorzucalibyśmy na budowniczych zamków, kopaczy kanalów i na druidów. Scargill opowiada sie za ekonomia Nibylandii i za polityka oparta na bredniach.

Czuję, jak pierś Brubecka podnosi sie i opada przycisneta do moich pleców.

– Byles kiedyś w jakimś górnicyz mieście? – pyta londyńczyk. –

Akurat teraz już nie wjedziesz, bo policja cię nie wpuści, ale kiedy pada kopalnia, umiera całe miasto. Walia i Północ to nie Południe, Yorkshire to nie Kent, a przemysł energetyczny to nie pierwsza lepsza branża. Energia oznacza bezpieczeństwo. Zasoby pól naftowych na Morzu Północnym kiedyś się skończą, i co wtedy?

– Rozumiem debatę na poziomie, panowie – mówi kobieta – ale żeby dzwony?

Słyszymy kroki stawiane na szczeblach drabiny. Mamy szczęście, że nie wybraliśmy ucieczki na dzwonnice. Mija minuta. Z zakrystii nadal nie dochodzi żaden odgłos. Chyba wszyscy troje weszli na górę. Przesuwam się o milimetr, a Brubeck syczy z bólu. Rzykuję szeptem:

– Nic ci się nie stało?

– Nic. Tylko zgniatasz mi jajka, jeśli chcesz wiedzieć.

– Możesz w przyszłości rozważyć adopcję. – Usiłuję zrobić mu trochę miejsca, ale nie ma gdzie. – Chyba powinniśmy stąd spadać.

– Może wymkniemy się po cichu, kiedy...

W dusznym mroku wybucha nagle bicie dzwonów. Brubeck otwiera drzwi i wpuszcza świeże powietrze. Utykając, wydostaje się ze schowka, a potem pomaga wyjść mnie. Wysoko nad nami przez klapę widać dwie grube łydki. Idziemy na palcach do drzwi, jak jakaś para totalnych pajaców ze *Scooby-Doo*...

* * *

Dajemy z Brubeckiem z buta i wrywamy drogą, jakbyśmy uciekali ze stalagu. Bicie dzwonów brzmi jakoś ckliwie i rozświetla błękitny mrok. Dostają kolki, więc zatrzymujemy się przy ławce koło tablicy z nazwą wioski.

– Typowe – stwierdza Brubeck. – Człowiek chce zabłysnąć i popisać się surwiwalem, a zamiast tego musi walczyć z inwazją miejscowych

trolli. Muszę zapalić. Chcesz?

– Chcę. Oni długo będą tak dzwonić?

– Chyba długo. – Brubeck podaje mi papierosa i przytrzymuje mi zapalniczkę. Czubkiem papierosa dotykam płomienia. – Wpuszczę cię z powrotem, kiedy już pójda. Zamki yale to robota na pięć minut, nawet po ciemku.

– A nie powinienes już wracać do domu?

– Zadzwonię do mamy z budki przy pubie i powiem, że jednak zostaję na noc na rybach. Takie niewinne kłamstewko.

Potrzebuję jego pomocy, ale boję się, jaki rachunek mi wystawi.

– Nie masz się co bać, Sykes. Mam uczciwe zamiary.

Myślę o Vinnym Costello i kulę się w sobie.

– To dobrze.

– Faceci nie myślą wyłącznie o bzykaniu, wiesz?

Wydmuchuję strzałę dymu prosto w jego twarz, aż Brubeck mruży oczy i odwraca głowę.

– Mam starszego brata – mówię mu.

Stoimy obok zarośniętego sadu, więc kiedy już skończyliśmy palić, kradniemy kilka niedojrzałych jabłek. Wdrapujemy się na ceglany murek i siadamy na nim. Jabłka są cierpkie jak limonki, ale dobre po tłustej kolacji. Na elektrowni, którą mijaliśmy wcześniej, migają światła.

– Gdzieś tam – Brubeck rzuca ogryzkiem we wskazywaną stronę – za tą poświatą nad Isle of Sheppey, jest farma truskawek. Właścicielem jest Gabriel Harty. W zeszłym roku pracowałem tam w sezonie i zarabiałem dwadzieścia pięć funtów dziennie. Mają noclegownie dla pracowników i kiedy skończą się egzaminy, znowu tam pojadę. Zbieram na InterRail, na sierpień.

– Co to jest InterRail?

– Pytasz poważnie?

– Poważnie.

– Karta kolejowa. Płacisz sto trzydzieści funtów i możesz jeździć przez miesiąc za darmo po całej Europie. Drugą klasą, ale zawsze. Od Portugalii po Norwegię. Po bloku wschodnim też, po Jugosławii. Możesz zobaczyć mur berliński. Istambuł. W Istambule jest taki most. Po jednej stronie jest Europa, a po drugiej Azja. Kiedyś po nim przejdę.

Gdzieś daleko szczeka jakiś samotny pies. A może to lis.

– A co robisz w tych wszystkich krajach? – pytam.

– Rozglądam się. Włóczę. Znajduję niedrogie spanie. Jem to, co miejscowi. Piję tanie piwo. Staram się, żeby mnie nie oskubali. Rozmawiam. Uczę się paru słów w lokalnym narzeczu. Po prostu jestem tam. Czasami – Brubeck wgryza się w jabłko – czasami tak strasznie chcę być wszędzie naraz, że aż mnie roznosi... – Udaje, że między żebrami wybucha mu bomba. – Ty nigdy tak nie masz?

Przelatuje obok nas nietoperz, jakby był na sznurku, jak w jakimś filmie klasy B o wampirach.

– Szczerze? Raczej nie. Najdalej byłam w Irlandii, u rodziny mamy w Corku.

– Jak tam jest?

– Inaczej. Nie ma tylu punktów kontrolnych i bomb, co na północy Anglii, chociaż konflikt ciągle wisi w powietrzu i najlepiej nie poruszać tematu polityki. Nienawidzą tam Thatcher, przez Bobby'ego Sandsa i strajki głodowe. Mam tam cioteczną babkę, ciotkę mamy, Eilish – jest genialna. Hoduje kury, w składziku na węgiel trzyma rewolwer, a kiedy była młodsza, pojechała rowerem do Katmandu. Naprawdę. Ją na pewno też roznosiło i też miała w sobie bombę. Widziałam zdjęcia i wycinki z gazet. Mieszka na takim długim cyplu koło Bantry – na półwyspie Sheep's Head. Tam jest jak na końcu świata. Nic tam nie ma, żadnych sklepów ani w ogóle

niczego, ale – publicznie bym się do tego nie przyznała – naprawdę bardzo mi się tam podobało.

Księżyc ma krawędź tak ostrą, że można by się skaleczyć w palec.

Przez dłuższą chwilę siedzimy w milczeniu, ale to nie jest niezręczna cisza. Potem Brubeck pyta:

– Słyszałaś o drugiej pępowinie, Sykes?

W ciemności nie widzę już jego twarzy.

– O czym?

– Dziecko w brzuchu matki ma taki sznur...

– Wiem, co to jest pępowina. Ale co to jest ta druga?

– Psychologowie twierdzą, że istnieje druga, niewidoczna pępowina – emocjonalna – która wiąże cię z rodzicami przez całe dzieciństwo. A potem któregoś dnia klócisz się z matką, jeśli jesteś dziewczyną, a jak jesteś chłopakiem, to z ojcem, i ta kłótnia przecina tę drugą pępowinę. I tylko pod tym warunkiem jesteś gotowa wyruszyć w wielki świat i stać się samodzielnym, dorosłym człowiekiem. Taki rytuał inicjacyjny.

– Ja się klóczę z matką codziennie. Traktuje mnie, jakbym miała dziesięć lat.

Brubeck zapala kolejnego szluga, zaciąga się i podaje go mnie.

– Ja mówię o znacznie poważniejszych kłótniach, większego kalibru. Potem czujesz, że właśnie to się stało. Nie jesteś już dzieckiem, jak dawniej.

– A tymi perłami mądrości dzielisz się ze mną dlaczego?

Brubeck uważnie układa odpowiedź.

– Jeśli uciekasz z domu, bo twój ojciec jest drobnym przestępcą, który bije twoją matkę i zrzuca cię ze schodów, kiedy próbujesz go powstrzymać, to ucieczka z domu jest rozsądnym rozwiązaniem. Proszę bardzo. Dam ci nawet moją kartę InterRail. Ale jeśli siedzisz teraz na tym murku, bo twoja pępowina została przecięta, to owszem,

boli, ale tak musiało być. Odpuść mamie. To część dorastania. Nie powinnaś jej za to karać.

– Uderzyła mnie.

– Ale teraz pluje sobie w brodę i żałuje tego.

– Nawet jej nie znasz!

– A ty ją znasz?

– Że niby co chcesz przez to powiedzieć?

Brubeck nic już nie mówi. Więc ja też nic nie mówię.

*

W kościele jest cicho jak w grobie. Brubeck śpi na górze zakurzonych poduszek. Jesteśmy na galerijce, która biegnie wzdłuż tylnej ściany, więc gdyby jacyś sataniści wpadli na czarną mszę, to nas nie zauważą. Mam obolałe łydki, krwiak boleśnie pulsuje, a w głowie myśli przewijają mi się do sceny z Vinnym i Stellą. Seks ze mną nie był wystarczająco dobry? Może ubierałam się nie tak, mówiłam nie to co trzeba, może nie słuchałam właściwej muzy?

Mój timex lśniącoymi cyframi pokazuje dwudziestą drugą pięćdziesiąt osiem. W Kapitanie Marlow właśnie trwa największy sajon – ostatnie zamówienia w sobotni wieczór. Mama, tata i Glenda, która przychodzi w weekendy, pracują na pełnym gazie, bo rozwrzeszczany tłum klientów macha do nich pięcio- i dziesięciofuntowymi banknotami przez papierosowy dym. Uszy atakuje harmider rozmów, krzyków, śmiechu, przekleństw i flirtowania... Nikogo nie obchodzi, gdzie jest teraz Holly. Z szafy grającej dudni *Daydream Believer*, *Rocking All Over The World* albo *American Pie*, aż w całym budynku drżą ściany. Sharon zasnęła z latarką pod kocem. Jacko śpi z uchem przy swoim radyjku, w którym ludzie mamroczą w obcych językach. W moim pokoju na górze łóżko jest rozgrzebane,

torba szkolna wisi na oparciu krzesła. Kosz z czystym praniem stoi w pokoju na podłodze tuż za progiem, gdzie mama stawia go, kiedy jest na mnie wkurzona. Czyli ostatnio prawie codziennie. Przez niezaciągnięte zasłony w moim oknie widać żółtą poświatę nocnego Essex po drugiej stronie Tamizy, nad plakatami *Zenyatta Mondatta* i The Smiths, które wyżebrałam w Magic Bus Records. Ale nie zacznę teraz tęsknić za moim pokojem.

Niech o tym zapomną. Zapomną.

1 lipca

Błaszane gwizdki, drapania, skrobania, świergoty i anioł z witraża. Kościół w Isle of Grain, już pamiętam, rozświetlony słońcem w pierwszych promieniach świtu. Mama. Kłótnia. Stella i Vinny, którzy budzą się w swoich ramionach. Coś ściska mnie w gardle. Chyba to tak już jest, że jeśli jakiś mężczyzna był w kobiecie wystarczająco często, pozbycie się go zabiera jej trochę czasu. Kiedy miłość trwa, jest czystym zachwytem, ale kiedy się psuje, za godziny szczęścia płaci się bająką cenę. Mój timex mówi, że jest szósta zero trzy. Niedziela. Ed Brubeck. Leży tam, śpi z otwartymi ustami na górze poduszek, włosy ma przyklepane. Jego bejsbolówka leży na równo złożonej flanelowej koszuli w kratę. Przecieram zaspane oczy. Śnili mi się Jacko i Miss Constantin. Rozsuwali dla mnie powietrzną kotarę, a w górę prowadziły kamienne schody, jak w filmach z Indianą Jonesem.

No i co z tego? Straciłam Vinny'ego. Stella ukradła Vinny'ego.

Ed Brubeck chrapie jak niedźwiedź. Brubeck nie zdradzałby swojej dziewczyny. Jeśli w ogóle jakąś ma. Większość chłopaków z naszej klasy gładzi te swoje wąsiki jak meszek na dupie i rzuca niby od niechcienia, jak to stracili dziewictwo na balandze u kumpla, szczególnie ci, którzy nie stracili... Ed Brubeck tak się nie zachowuje, co najpewniej oznacza, że swój pierwszy raz ma już za sobą. Gdyby stracił dziewictwo z kimś z naszej szkoły, raczej bym słyszała. Ale nie słyszałam. A on nic nie mówi na ten temat.

Ale i tak powiedział mi wczoraj całkiem sporo.

O ojcu, o rodzinie, o tylu sprawach. Dlaczego mnie?

Przyglądam się jego śpiącej twarzy, ostrym rysom, twarzy trochę

chłopca, a trochę mężczyzn.

I odpowiedź nagle staje się oczywista: „Bo mu się podobasz, cipeczko!”.

Jeśli mu się podobam, dlaczego nie próbował się do mnie przystawiać?

Bo jest sprytny, dociera do mnie. Najpierw chce, żebyś poczuła wdzięczność.

No tak. Wszystko jasne. Komu w drogę, temu czas.

*

Pobocze spękanej polnej drogi porastają mlecze i osty, a żywopłoty rosną wyższe ode mnie. Poranne słońce jest bezwzględne jak laser. Nie wiem, dlaczego ukradłam Brubeckowi bejsbolówkę, kiedy się wymykałam ukradkiem, ale cieszę się, że ją wzięłam. Nie będzie mu jej brakowało aż tak bardzo. Powinnam dać radę przedostać się na przełaj do głównej drogi do Rochester – jakieś sześć czy siedem mil. Moje krwiaki i bąble wytrzymają. Muszą – nie mam w torbie żadnej apteczki. W żołądku czuję ukłucie głodu, ale na razie brzuch musi się z tym pogodzić i siedzieć cicho, a w Rochester znajdę coś do jedzenia. Może powinnam była pożegnać się z Brubeckiem i mu podziękować, ale byłoby mi bardzo trudno odmówić, jeśli odparłby wesoło: „Zero problemu, Sykes, ale jesteś pewna, że nie chcesz, żebym cię podwiózł do Gravesend?”.

W oddali widzę, że droga kończy się przy jakimś gospodarstwie.

Przechodzę górą przez bramę i obchodzę pole kapusty.

Kolejna brama. Jastrząb wygląda jak drobinka w przestworzach.

Sześć dni powinno wystarczyć. Policja interesuje się zaginionymi nastolatkami dopiero po tygodniu. Sześć dni pokaże mamie, że potrafię sama się o siebie zatroszczyć w tym strasznym i pełnym

niebezpieczeństw świecie. Będę miała silniejszą... jak to się nazywa... silniejszą pozycję negocjacyjną. I osiągnę to sama, bez Brubecka, który by mi chłopakował. Muszę tylko ostrożnie wydawać pieniądze, żeby starczyły na jak najdłużej. Pamiętasz? Kiedyś spróbowałaś, jak się kradnie w sklepie.

To było w którąś sobotę, w zeszłym roku. Poszłyśmy z kumpelami do Chatham Roller Disco na urodziny Ali Jessop, ale było tak beznadziejnie, że ja, Stella i Amanda Kidd wymknęłyśmy się stamtąd do centrum. Amanda Kidd zapytała: „Która chce się obłowić?”. Ja nie chciałam, ale Stella się zgodziła, więc ja też udałam, że jasne, nie ma sprawy, i weszłyśmy do domu towarowego Debenhams. W życiu jeszcze niczego nie ukradłam i prawie się zesrałam ze strachu, ale obserwowałam Stellę. Zapytała o coś tam sprzedawczynię, a kilka chwil później niby przypadkiem upuściła na podłogę dwie szminki ze stoiska z kosmetykami. Kiedy się po nie schyliła, jedną z nich wsunęła sobie do buta. Zrobiłam to samo z parą kolczyków, które mi się podobały, a przy wyjściu ze sklepu zapytałam nawet panią ze stoiska, do której jest otwarte. Kiedy byłyśmy już bezpiecznie na ulicy, świat wydał się inny, jakby zmieniły się zasady. Jeśli tylko umie się opanować nerwy, można zrobić wszystko. Amanda Kidd zwinęła parę okularów słonecznych wartych dziesięć funtów, Stella ukradła szminkę Estée Lauder, a sztuczne diamenty moich kolczyków błyszczały jak prawdziwe. Potem poszłyśmy do Sweet Factory, gdzie ja i Amanda powpychałyśmy sobie cukierki i czekoladki w kieszenie, a Stella pracowała w tym czasie nad chłopakiem, który bywał tam na zmianie w soboty: że widuje go tutaj co tydzień, i że nawet jej się śnił, i czy nie chciałby przejść się dokądś po pracy, tylko z nią? Na koniec poszłyśmy do Woolwortha. Stella i ja weszłyśmy w alejkę z singlami z Top 40, całkowicie niewinnie, a tu za chwilę okrążają nas kierownik i jeden ze sprzedawców, a sklepowy ochroniarz trzyma za ramię

Amandę Kidd, całą rozdygotaną i bladą jak papier, i mówi: „Weszła do sklepu z tymi dwiema”. Kierownik kazał nam iść na piętro do swojego biura. Cała moja silna wola i tupet nagle gdzieś się wyparowały, za to Stella zapytała stanowczo, udając akcent z wyższych sfer: „A z kim mam przyjemność?”.

Kierownik odparł: „Po prostu idź grzecznie, kochanie” i usiłował położyć rękę na jej ramieniu.

Stella strąciła jego dłoń i zaczęła wrzeszczeć: „Zabieraj swoje brudne łapy, zboku! Nie mam pojęcia, na jakiej podstawie twierdzenie, że ja i moja siostra przyszliśmy z tą... złodziejką” – prychnęła, spoglądając na Amandę Kidd, która trzęsła się i szlochała – „ale może mi uprzejmie powiecie, dlaczego niby miałybyśmy kraść tę tandetę z waszej... budy? Proszę bardzo”. Wysypała na ladę wszystko, co miała w torebce. „Jeśli okaże się, że jestem niewinna, mój ojciec dostarczy panu pozew w poniedziałek z samego rana. Bo ja doskonale znam swoje prawa”. Mnóstwo innych kupujących zerkało w naszą stronę i nagle stał się cud: kierownik zmiękł. Wyjąkał, że najpewniej ochroniarz się pomylił, i że możemy iść. Stella pysknęła: „Wiem, że możemy iść!”, wpakowała swoje rzeczy z powrotem do torebki i wyszliśmy obrażone ze sklepu.

Po cichu wróciłyśmy do dyskoteki i nikomu nie powiedziałyśmy, co się stało. Mama Amandy Kidd musiała w końcu jechać po nią na policję. Strasznie się bałam, że Amanda nas wsypie, ale nie miała odwagi. A w kolejnym tygodniu jadła już obiady z inną grupą dziewczyn i od tamtej pory nigdy więcej naprawdę nie rozmawiałyśmy ze sobą. Jej klasa jest teraz druga w naszym roczniku pod względem wyników w nauce, więc może to, że ją wtedy złapali, wyszło Amandzie na dobre. Ale jeśli o mnie chodzi, sęk w tym, że w przeciwieństwie do Stelli ja nie mam wrodzonego talentu do kradzieży ani do kłamstw. Wtedy u Woolwortha Stella przekonała

nawet mnie, że jesteśmy niewinne. I proszę, jaką idiotkę zrobiła ze mnie, kiedy po Amandzie przysłała moja kolej na bycie ofiarą. Czy Stella nie potrzebuje przyjaciółek? Albo czy dla niej przyjaciółka jest tylko sposobem na osiągnięcie celu?

*

Po mojej lewej stronie biegnie stroma skarpa, a wzdłuż niej, górą, czteropasmowa szosa. Z mojej prawej strony przygotowano teren pod budowę, chyba pod wielkie osiedle mieszkaniowe. Widzę koparki, buldożery, kontenery budowlanców, wysokie parkany z siatki i tablice z napisem „KASKI OCHRONNE OBOWIĄZKOWE”. A pod tabliczką „NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY” ktoś napisał sprejem: „W BARWACH BRYTANII NIE MA CZARNEGO”, i dodał jeszcze kilka swastyk. Jest ciągle wczesny ranek: siódma czterdzieści. Brubeck prawdopodobnie pedałuje do domu, ale rodzice w pubie pewnie jeszcze śpią. Przed sobą widzę przejście podziemne pod szosą. Kiedy zbliżam się do niego na sto metrów, dostrzegam chłopca i zatrzymuję się... bo to naprawdę przedziwne, ale przysięgłabym, że...

To Jacko. Stoi tam i mnie obserwuje. Wiem, że prawdziwy Jacko jest dwadzieścia kilka mil stąd i rysuje teraz jakiś labirynt albo czyta książkę o szachach, albo robi coś innego w swoim stylu, ale chłopiec, na którego patrzę, ma te same opadające na oczy brązowe włosy, tę samą sylwetkę, postawę, a nawet czerwoną koszulkę Liverpoolu. Znam Jacko, i to jest on albo jego jednojajowy bliźniak, o którego istnieniu nikt nie miał dotąd pojęcia. Idę w jego stronę, nie odważając się nawet mrugnąć powieką, żeby nie zniknął. Kiedy jestem pięćdziesiąt metrów od niego, macham ręką, a chłopak, który nie może być moim młodszym bratem, macha w odpowiedzi do mnie. Więc wołam go, krzyczę jego imię. On nie odkrzykuje nic w

odpowiedzi, tylko odwraca się i idzie w stronę podziemnego przejścia. Nie wiem, jak to rozumieć, ale zaczynam już biec. Jestem cała w nerwach, że Jacko zwał z domu, żeby mnie tu szukać, choć rozsądek podpowiada, że to nie może być Jacko, bo skąd by wiedział, że tu jestem?

Teraz już puszczam się pędem, wiedząc, że dzieje się coś dziwnego, ale nie mam pojęcia co. Podziemne przejście służy tylko pieszym i rowerzystom, więc jest dość wąskie, a długie na szerokość czterech pasów ruchu i rozdzielającego je pasa zieleni, które biegną górą. Przede mną przejście prowadzi w dół, potem znowu lekko się wznosi i kończy kwadratem pól, nieba i dachów. Robię kilka kroków w głąb tego tunelu i dopiero wtedy zauważam, że bliżej jego środkowej części wcale nie robi się ciemniej, tylko jaśniej, a zamiast wyraźniejszego echa wszystkie dźwięki stają się jakby bardziej wytłumione. Powtarzam sobie, że to tylko złudzenie, spokojnie, ale po kilku kolejnych krokach jestem już tego pewna: przejście zmienia kształt. Jest szersze i wyższe, ma cztery rogi i jest dużym pomieszczeniem w kształcie rombu... Tunel staje się jakimś innym miejscem. To wszystko jest niesamowite i przerażające. Wiem, że to mi się nie śni, ale też wiem, że nie może być prawdziwe. Zatrzymuję się i nie robię już dalej ani kroku, bo się boję, że zderzę się ze ścianą. Gdzie to jest? Jeszcze nigdy nie byłam w takim miejscu. Czy to zwidy na jawie? Czy znowu będą mnie dręczyć? Jakies dziesięć kroków ode mnie w ścianach po prawej i lewej stronie są wąskie okna. Nie zamierzam zerkać, co jest za nimi – na pewno coś dużo dalej w głębi – ale przez lewe okno widzę wydmy, szare wydmy, wznoszące się ku pasmu wysokich gór, a w oknie po prawej stronie jest ciemniej: wydmy spadają ku morzu, ale morze jest czarne, czarne jak smoła, jak ciemność w skrzyni zakopanej w głębokiej jaskini milę pod ziemią. Pośrodku komnaty, gdziekolwiek jesteśmy, pojawia się nagle długi

stół i idę teraz wzdłuż niego po jego lewej stronie. I nagle widzę, że po prawej stronie stołu idzie równo ze mną jakaś kobieta. Jest młoda i piękna urodą królowej lodu, jak aktorka, której nie można dotknąć. Jej blond włosy są niemal białe, skóra blada jak kość słoniowa, usta mają barwę róż, a jej suknia jest w kolorze głębokiego granatu. Wygląda jak postać z jakiejś opowieści...

Miss Constantin z mojego fotela, kiedy miałam osiem lat. Dlaczego umysł teraz mi to robi? Zbliżamy się do obrazu, który wisi w jednym z ostrych kątów, przedstawiającego postać jakby świętego z czasów biblijnych, ale jego twarz nie ma oczu. Jestem już zaledwie kilka cali od obrazu. Na czole świętego widzę czarny punkt, nieco nad miejscem, w którym spotykają się jego brwi. Punkt rośnie. Staje się kropką. Kropka staje się okiem. I wtedy czuję taką samą kropkę na moim własnym czole, w tym samym miejscu, ale nie jestem pewna, czy nadal jestem Holly Sykes, chyba nie bardzo, chociaż jeśli nie jestem mną, to kim innym mogłabym być? Z punktu między moimi oczami coś wychodzi i unosi się nad czołem. Kiedy staram się spojrzeć prosto na to coś, ono znika, ale jeśli patrzę trochę obok, widzę, że to przypomina jakąś małą, migoczącą planetę. Potem wychodzi następna, i jeszcze jedna, i jeszcze. Cztery migotania. Czuję smak zielonej herbaty. A potem nagle wybuchają bomby i Miss Constantin zaczyna dziko wyc, a jej dłonie zmieniają się w szpony, ale błękitne światło, które zacina jak biczem, gwałtownie odrzuca ją w tył i turla po stole. Stary święty ma otwarte usta, pełne zwierzęcych zębów, metal krzyczy, a kamień jęczy. Postaci i cienie pojawiają się jakby w teatrze umysłu człowieka, który wariuje. Jakiś starszy mężczyzna wskakuje na stół. Ma oczy jak pirania, czarne kręcone włosy, złamany nos, czarny garnitur i bije od niego dziwne światło w kolorze indygo, jakby był radioaktywny. Pomaga Miss Constantin wstać, a ona wskazuje srebrnym czubkiem palca prosto na mnie. Z rykiem silników

odrzutowych komnatę wypełniają czarne płomienie, a ja nie mogę uciekać i nie mogę stanąć do walki, nawet już nic nie widzę, więc mogę tylko tam stać i słuchać krzyków, podobnych do tych, gdy budynek zawala się na głowy właścicieli. Ale wyłapuję jeden wyraźny głos, który mówi: „Będę tutaj”. Wtedy czuję nowe wstrząsy, a światło jaśniejsze niż tysiąc słońc rozpala się i rozpala, i rozpala, aż moje gałki oczne topią się w oczodołach...

*

...i przez szczeliny wpada szarość, i śpiew ptaka, i odgłos ciężarówki, która przejeżdża nade mną, i czuję ostry ból w stłuczonej kostce, i kucam na betonie w tunelu, kilka jardów od jego końca. Na twarzy czuję powiew, w którym jest zapach spalin, i już jest po wszystkim, po moim koszmarze, po wizji, czymkolwiek to było, już koniec. Nie ma nikogo, żeby zapytać: „Też to widziałeś?”. Są tylko te dwa słowa: „Będę tutaj”. Chwiejnie wychodzę w światło dnia, w suchy błękit poranka, nadal roztrzęsiona i dygocząca od tej wybebeszonej upiorności, i siadam na porośniętym trawą brzegu rzeki. Może koszmary na jawie są jak rak, który się cofa, ale potem wraca, kiedy człowiek już myśli, że wszystko jest w porządku? Może moc tego, co zrobił doktor Marinus, słabnie? Może napięcie i nerwy wczorajszego dnia, z mamą i Vinnym, i tym wszystkim, uruchomiły nawrót choroby? Nie mam pojęcia. Nigdzie nie ma śladu Jacko, więc jego też musiałam sobie wyobrazić. To dobrze. Cieszę się, że jest bezpieczny w Kapitanie Marlow, dwadzieścia mil stąd, ale bardzo bym chciała go zobaczyć i przekonać się na własne oczy, że nic mu nie jest, choć wiem, że nic mu nie jest i że nie ma powodów do niepokoju.

*

Kiedy pierwszy raz zobaczyłam Jacko, leżał w inkubatorze, bo był wcześniakiem. To też było w szpitalu miejskim w Gravesend, chociaż porodówka mieści się w innym budynku. Mamy, która miała cesarskie cięcie, jeszcze nie widziałam tak zmęczonej, ale i tak szczęśliwej. Kazała nam się przywitać z nowym braciszkiem. Miał dostać na imię Jack. Tata siedział u niej w szpitalu cały poprzedni dzień. Wyglądał i śmierdział tak, jakby przez tydzień nocował na parkingu. Pamiętam, że Sharon była najbardziej skwaszona tym, że właśnie straciła koronę jedynej królowej Kapitana Marlowa, w dodatku zabrał mu ją ten pomarszczony, podłączony do rurek stworek w pieluchach. Brendan miał piętnaście lat i był mocno wystraszony wrzaskiem, karmiącymi piersiami, ulewaniem i kupą na całym oddziale. Ja popukałam w szybę i powiedziałam: „Cześć, Jacko, jestem twoją starszą siostrą”, a jego palce poruszyły się odrobinę, tycią-tycią, jakby też do mnie machał. Mówię najszczerzą prawdę: nikt inny tego we mnie nie zauważył, ale poczułam, że ściska mi się serce, i wiedziałam, że jestem gotowa zabić w jego obronie, jeśli będę zmuszona. Dzisiaj też tak czuję, kiedy jakiś kretyn mówi „świr” albo „porąbany”, albo „wariat”. Ludzie potrafią być bardzo nefajni. Dlaczego, kiedy masz siedem lat, rysowanie statków kosmicznych jest w porządku, ale diabolicznych labiryntów już nie? Kto powiedział, że wydawanie pieniędzy na Space Invaders jest okej, natomiast jeśli kupujesz kalkulator z mnóstwem symboli, to sam się prosisz, żeby ci dokuczali? Dlaczego można słuchać w radiu listy przebojów, ale stacji w obcych językach już nie? Od czasu do czasu rodzice stwierdzają, że Jacko powinien mniej czytać, a więcej grać w piłkę, i przez jakiś czas Jacko zachowuje się jak normalny siedmiolatek, ale tylko udaje i wszyscy dobrze o tym wiemy. Od czasu do czasu, w przebłyskach, prawdziwy Jacko uśmiecha się do mnie zza jego źrenic, jak ktoś, kto patrzy na

ciebie z przejeżdżającego obok pociągu. W takich chwilach niemal chcę do niego zamachać ręką, chociaż siedzi na wprost mnie przy stole albo mijamy się akurat na schodach.

*

Halucynacje halucynacjami, ale nie mogę siedzieć na tyłku cały dzień. Muszę zdobyć jedzenie i ułożyć plan działania. Ruszam więc w drogę, a gdy mijam rondo, kończą się pola i znowu jestem w świecie ogródków, parkanów, billboardów i przejść dla pieszych. Niebo zasnuwa się lekką mgiełką i znowu chce mi się pić. Właściwie nie piłam nic, odkąd z Brubeckiem wzięliśmy parę łyków z kranu w kościele, a zasady są takie, że w mieście nie można zapukać do obcych drzwi i poprosić o szklankę wody, tak jak można na odludziu. Najlepszy byłby park z jakąś fontanną albo nawet publiczna toaleta, ale nigdzie nie widać ani jednego, ani drugiego. Chciałabym też umyć zęby: czuję na nich osad jak w czajniku. Z czyjegoes okna dolatuje zapach bekonu i zaczyna mnie ssać w żołądku. A właśnie nadjeżdża autobus z napisem „GRAVESEND”. Wskakuj, za trzy kwadransy mogłabyś być w domu...

Tak, ale już widzę minę mamy, kiedy otwiera drzwi. Autobus przejeżdża, owiewając mnie spalinami, a ja wolno przechodzę pod wiaduktem kolejowym. Przed sobą widzę rząd sklepów i kiosków, gdzie mogę kupić puszkę czegoś do picia i paczkę ciasteczek. Są tam zakłady bukmacherskie, księgarnia dla chrześcijan, pasmanteria, sklep modelarski i sklep zoologiczny z ohydnyimi chomikami w klatkach. Wszystko w większości zamknięte, a ulica wygląda smutno. Czyli to jest właśnie Rochester. Co teraz?

Tu jest budka telefoniczna, pomalowana truskawkową czerwienią. Truskawki. Mam pomysł.

Telefonistka bez problemu znajduje Gabriela Harty'ego i farmę Black Elm na Isle of Sheppey i pyta, czy mnie połączyć? Mówię „tak” i za chwilę słyszę przerywany sygnał dzwonka. Mój zegarek pokazuje ósmą pięćdziesiąt siedem. Na pewno nie dzwonię za wcześnie, nawet jak na niedzielę. To przecież farma. Nikt nie odbiera. Nie wiem, dlaczego jestem zdenerwowana, ale jestem. Jeśli po dziesiątym dzwonku nikt nie odbierze, rozłączę się i uznam, że widocznie tak miało być.

Po dziewiątym dzwonku ktoś podnosi słuchawkę.

– Ta-ak?

Wrzucam dziesięć pensów.

– Dzień dobry, czy to farma Black Elm?

– Wszystko na to wskazuje, ta-ak. – Małomiasteczkowa wymowa.

– Czy rozmawiam z panem Hartym?

– Wszystko wskazuje, że ta-ak.

– Dzwonię z pytaniem, czy potrzebuje pan ludzi do zbioru truskawek?

– Czy potrzebuję ludzi do zbioru truskawek? – W tle jakiś pies ujada jak wściekły, a kobieta wrzeszczy: „Boris, stul pysk!”. – Ta-ak.

– Znajomy pracował u pana na farmie w wakacje kilka lat temu i jeśli potrzebuje pan ludzi, chętnie bym przyjechała do pracy na jakiś czas. Jeżeli można.

– Zbierała pani już kiedyś truskawki?

– Nie na farmie, ale jestem przyzwyczajona do ciężkiej pracy i – myślę o mojej ciotce Eilish z Irlandii – pomagałam cioci przy uprawie warzyw w ogrodzie, który jest ogromny, więc nie boję się brudnej roboty.

– Czyli my, jako farmerzy, odwalamy brudną robotę, tak?

– Chciałam tylko powiedzieć, że nie boję się ciężkiej pracy i mogę zacząć nawet dzisiaj. – Pauza. Bardzo długa pauza. Bardzo, bardzo długa. Boję się, że będę musiała wrzucić więcej monet. – Halo? Proszę pana?

– Ta-ak. Nie zbieramy w niedzielę. Nie na farmie Black Elm. W niedzielę pozwalamy owocom rosnąć. Zaczynamy jutro punktualnie o szóstej. Są tu noclegownie dla pracowników, ale to nie całkiem Ritz. Nie ma obsługi hotelowej.

Cudownie.

– Nie przeszkadza mi to. Czyli... zatrudni mnie pan?

– Trzydzieści pięć pensów za skrzynkę. Pełne łubianki i żadnych zgniłych owoców albo będzie pani zbierać całą skrzynkę od nowa. I żadnych kamyków, bo za to zwalniam.

– Zgoda. Mogę przyjechać dziś po południu?

– Ta-ak. Ma pani jakoś na imię?

Czuję taką ulgę, że bez namysłu mówię:

– Holly – choć zaraz przychodzi mi do głowy, że może rozsądniej byłoby podać fałszywe imię. Przy wiadukcie kolejowym wisi plakat z reklamą rothmansów, więc dodaję: – Holly Rothmans – i od razu żałuję. Powinnam była wybrać coś mniej zapadającego w pamięć, jak Tracy Smith, ale już przepadło.

– Holly Bossman, tak?

– Holly Rothmans. Jak papierosy.

– Jak papierosy. Ja palę fajkę.

– Jak najłatwiej się dostać na pańską farmę?

– Nasi pracownicy przyjeżdżają tu na własną rękę. Nie świadczymy usług taksówkowych.

– Wiem. Dlatego pytam o drogę.

– Trafić tu jest bardzo prosto.

No, mam, kurde, nadzieję, bo przy takim tempie zabraknie mi monet.

– Okej.

– Najpierw trzeba przejść przez most na Isle of Sheppey. A potem zapytać o farmę Black Elm. – Po tych słowach Gabriel Harty się rozłącza.

*

Zamek Rochester wznosi się nad rzeką Medway jak olbrzymia makieta, a żelaznego mostu strzeże wielki czarny lew. Kiedy go mijam, głaszczę jego łapę na szczęście. Przesła jęczą pod ciężarówkami, a mnie bołą nogi, ale jestem z siebie całkiem zadowolona – jeszcze wczoraj byłam jednym wielkim posiniaczonym, zaryczanym glutem, a tu proszę, z powodzeniem przesłałam pierwszą rozmowę o pracę i przynajmniej kwestia przyszłego tygodnia jest rozwiązana. Na farmie Black Elm przeczekam i zgromadzę trochę forsy. Myślę o małych bombach, które wybuchają w Gravesend, jedna po drugiej. Ojciec idzie do Vinny'ego: „Dzień dobry. Rozumiem, że spał pan z moją nieletnią córką. Nie odejdę, dopóki z nią nie porozmawiam!” .Vinny ma minę jak tchórzofretka. *Gsztumbffff!* Tata pędzi z powrotem powiedzieć mamie, że mnie u Vinny'ego nie ma. *Gsztumbffff!* Mama zaczyna w kółko odtwarzać w pamięci wymierzony mi policzek. Potem sama idzie do Vinny'ego. Rozpętuje się trzecia wojna światowa. Kiedy z Vinny'ego zostaje już tylko mokra plama, mama biegnie do Brendana i Ruth w nadziei, że może jestem u nich. Brendan melduje, że wczoraj rano spotkał mnie, kiedy szłam do Stelli Yearwood, więc matka idzie do niej. Stella zapewnia: „Nie, proszę pani, nie było jej tutaj. Mnie też nie było w domu. Nie mam pojęcia, gdzie jest”, ale wie, że pocisk naprowadzany na cel już leci w jej

stronę. Poniedziałek przychodzi i mija, potem wtorek, a w środę dzwonią ze szkoły, bo nie ma mnie na egzaminach. Nixon mówi: „Zaraz, czy dobrze rozumiem? Państwa córki nie ma w domu od soboty rano?”. Mama jąka coś o małej sprzeczce. Ojca zaczyna interesować, jak to dokładnie było, co mama mi powiedziała i co rozumie przez „mały policzek”. Jak mały? *Gsztumbfff, gsztumbfff, gsztumbfff*. Matka nie wytrzymuje i wybuchą: „Już mówiłam, do cholery!” i idzie na górę do kuchni, a kiedy patrzy przez okno na Tamizę, myśli: „Ona ma dopiero piętnaście lat, mogło jej się stać coś złego...”. I bardzo jej tak dobrze.

W dole nad rzeką strasznie kłócą się mewy.

Policyjna łódź z warkotem silnika przepływa pod mostem. Ruszam przed siebie.

Kawałek dalej widzę stację obsługi Texaco – jest otwarta.

*

– Skąd najlepiej złapać stopa na Sheppey? – pytam gościa przy kasie, kiedy wydaje mi resztę i podaje dwie puszki tizera, baton „Double Decker” i paczkę ciastek „Ritz”. Moje trzynaście funtów osiemdziesiąt pięć pensów stopniało do dwunastu funtów i siedemnastu pensów.

– Nie jeżdżę stopem – odpowiada – ale gdybym jeździł, spróbowałbym na rondzie na A2, na Chatham Hill.

– A stąd jak się tam idzie?

Zanim zdążył mi odpowiedzieć, wchodzi kobieta z malinowymi włosami, a gość zza lady pochłania ją spojrzeniem.

Muszę mu przypomnieć, że tu stoję.

– Przepraszam? To którędy stąd do Chatham Hill?

– Z naszego placyku w lewo, potem miniesz pierwsze światła, Star

Inn i podejdziesz drogą pod górę aż do wieży zegarowej. Tam najlepiej skręć w lewo i idź ten kawałek na czuja, aż miniesz szpital Świętego Bartłomieja. Idź cały czas prosto, aż do salonu Rovera, i to już jest rondo Chatham. A tam wystaw kciuk i czekaj na rycerza w lśniącym jaguarze. – Celowo mówi to wszystko za szybko dla mnie do spamiętania. – Może będziesz miała farta, ale równie dobrze możesz czekać godzinami. Ze stopem nigdy nie wiadomo. Ma cię wysadzić przy skręcie do Sheerness – jeśli dojechałaś do Faversham, to już za daleko. – Poprawia sobie spodnie w kroku i zwraca się do malinowej. – Czym mogę służyć, kochanie?

– Na przykład niech pan nie mówi do mnie „kochanie”?

Nie staram się nawet ukryć śmiechu. Gość chce mnie zabić wzrokiem.

*

Niecałe sto jardów dalej na pobocze zjeżdża odrapany dostawczy ford escort. Kiedyś może był pomarańczowy albo może to po prostu rdza. Pasażerka opuszcza szybę.

– Dzień dobry.

Mam buzię pełną ciastek Ritz i muszę wyglądać jak totalny tłumok, ale poznaję ją od razu.

– Nie do końca lśniący jaguar się trafił – kobieta o malinowych włosach z uśmiechem wysiada i przymyka drzwi – a z Iana na sto procent nie jest rycerz – facet za kierownicą nachyla się do okna i macha – ale jeśli chcesz podwózki na Sheppey, jedziemy prawie aż do mostu. Słowo skauta, nie mordujemy siekierą ani piłą mechaniczną i na pewno to lepsze niż tkwić na poboczu przez sześć godzin i czekać na kogoś takiego – przechyla głowę w stronę stacji Texaco – kto cię weźmie na stopa i całą drogę będzie ci mówił „kochanie”.

Padam już z nóg, a jechać z nimi dwójgiem jest bezpieczniej niż z samotnym facetem, ona ma rację.

– Byłoby super, dzięki.

Otwiera tył dostawczaka i przesuwa kilka kartonów, żeby zrobić miejsce. Ledwo wciskam się do środka, ale z każdej strony są okna, więc mam przynajmniej ładny widok. Ian, który wygląda na jakieś dwadzieścia kilka lat, łysieje i ma nos wielki jak concorde, pyta:

– Nie jesteś tam za bardzo zgnieciona?

– Absolutnie – odpowiadam. – Bardzo tu przytulnie.

– To tylko jakieś dwadzieścia minut – mówi Ian i ruszamy.

– Właśnie mówiłam Ianowi – zwraca się do mnie kobieta – że jeśli byśmy cię nie podwieźli, martwiłabym się o ciebie cały dzień. A tak w ogóle mam na imię Heidi. A ty?

– Tracy – odpowiadam. – Tracy Corcoran.

– Jeszcze nigdy nie spotkałam Tracy, której bym nie lubiła.

– Ja bym parę znalazła – mówię, a Ian i Heidi wybuchają śmiechem, jakby to było nie wiadomo jak błyskotliwe, ale może właśnie było, a co.

– Heidi to też fajne imię.

Ian robi powiątpiewające „mmm”, a Heidi daje mu kuksańca w żebra.

– Nie przeszkadzaj kierowcy – strofuje ją Ian.

Mijamy szkołę zamówioną z tego samego katalogu, co liceum Windmill Hill – te same duże okna, ten sam płaski dach, to samo boisko pełne błota. Wreszcie zaczynam wierzyć w to, że naprawdę rzuciłam szkołę. Jest tak, jak mówi pan Sharkey: „Do odważnych świat należy”.

Heidi pyta:

– Mieszkaś na Sheppey, Tracy?

– Nie. Jadę tam do pracy na farmie truskawek.

– Może u Gabriela Harty’ego? – pyta Ian.

– Zgadza się. Znasz go?

– Nie osobiście, ale znany jest z tego, że ma własne poglądy na arytmetykę, kiedy trzeba podliczyć wypłatę, więc uważaj. Myli się raczej na swoją korzyść.

– Dzięki, będę uważać. Ale nie powinno być z tym problemów. Kolega ze szkoły pracował u niego w zeszłe wakacje. – Czuję, że paplam, byle cokolwiek mówić, bo tak będę bardziej wiarygodna. – Właśnie zdałam małą maturę, bo mam szesnaście lat, i teraz odkładam pieniądze na sierpień. Chcę sobie kupić kartę InterRail.

Wszystko to brzmiało, jakbym odczytywała z kartki.

– InterRail jest super – mówi Heidi. – Europa będzie twoja. A gdzie mieszkasz, Tracy?

Gdzie chciałabym mieszkać?

– W Londynie.

Światła zmieniają się na czerwone. Niewidomy człowiek z psem przewodnikiem daje krok z krawężnika na jezdnię.

– Londyn jest duży – zauważa Ian. – A gdzie dokładniej?

Teraz zaczynam panikować.

– W Hyde Parku.

– Jak to? W samym Hyde Parku? Na drzewie, z wiewiórkami?

– Nie. Rodzice mają dom bliżej, eee, Camden Town.

Heidi i Ian nie odpowiadają od razu – powiedziałam coś głupiego? – ale potem Ian mówi:

– Rozumiem. – Więc chyba jednak wszystko okej.

Niewidomy mężczyzna dochodzi do przeciwległego chodnika, a Ian męczy się z wrzuceniem biegu, zanim w końcu ruszamy.

– Ja też mieszkałem w Camden Town, kiedy się sprowadziłem do Londynu – mówi. – Kimałem na kanapie u kumpla. Na Rowntree Square, przy boisku do krykieta koło stacji metra. Wiesz, gdzie?

– Jasne – kłamię. – Przechodzę tamtędy prawie codziennie.

– Dziś rano przyjechałaś z Camden stopem? – pyta Heidi.

– Tak. Kierowca ciężarówki podwiózł mnie do Gravesend, a jakiś turysta z Niemiec podrzucił na most w Rochester, a potem już wy się zatrzymaliście. Miałam farta. – Myślę, jak zmienić temat. – Co jest w tych pudłach? Przeprowadzacie się?

– Nie, to „Socialist Worker” z tego tygodnia – wyjaśnia Heidi.

– Sprzedają go na Queen Street – mówię. – W Camden.

– My jesteśmy z oddziału w centralnym Londynie – mówi Ian. – Z Heidi robimy studia podyplomowe w London School of Economics, ale na weekendy jeździmy w okolice Faversham, więc zrobili z nas coś w rodzaju ośrodka dystrybucji. Stąd te wszystkie pudła.

Podnoszę egzemplarz „Socialist Workera”.

– Dobrze się czyta?

– Każda inna brytyjska gazeta to zwykła tuba propagandowa – odpowiada Ian. – Nawet „The Guardian”. Weź sobie jedną.

Niegrzecznie byłoby odmówić, więc rzucam: „Dzięki” i przeglądam pierwszą stronę. Główny tytuł nawołuje: „ROBOTNICY, JEDNOZCIE SIĘ!”, a pod nim jest zdjęcie strajkujących górników.

– Czyli... popieracie to, co dzieje się w Rosji?

– Ani trochę – odpowiada Ian. – Stalin zdusił tam komunizm w zarodku, Chruszczow był niemożliwym rewizjonistą, a Breżniew otwierał luksusowe sklepy dla dygnitarzy partyjnych, kiedy robotnicy stali w kolejkach po czerstwy chleb. Imperializm Sowietów jest tak samo straszny, jak amerykański kapitalizm.

Obok nas przesuwają się domy, zapętlone jak tło w taniej kreskówce.

– Co robią twoi rodzice, Tracy? – pyta Heidi.

– Prowadzą pub. The King’s Head. Niedaleko Camden.

– Właścicielom pubów, niestety, wszelki zysk zabierają wielkie koncerty piwne. Pracownicy harują, a prezesi spijają śmietankę. To

wszystko jest do gruntownej poprawy.

Przed nami, na szosie w połowie podjazdu na wzgórze, zaczyna się korek.

– To niewidzialna wojna – mówi Heidi i przez chwilę nie rozumiem, o co jej chodzi, dopóki nie dociera do mnie, że nie ma na myśli sytuacji na drodze. – Toczy się od początku dziejów: walka klas. Wojna właścicieli latyfundiów z niewolnikami, szlachty z chłopami pańszczyźnianymi, nażartych prezesów z robotnikami, tych, co mają, z tymi, którzy nie mają. Klasy pracujące są przemocą i kłamstwami utrzymywane w nieustannym ucisku.

– Jakimi kłamstwami? – pytam.

– Na przykład takimi, że szczęście polega na pożyczaniu pieniędzy, których człowiek nie ma, żeby kupować jakieś wcale mu niepotrzebne gówna – odpowiada Ian. – Kłamstwami, że żyjemy w demokratycznym kraju. I najbardziej przebiegłymi kłamstwami ze wszystkich – że nie ma walki klas. Dlatego nomenklatura tak bezwzględnie kontroluje, czego uczą szkoły, szczególnie na lekcjach historii. Kiedy robotnicy zmądrzeją, wybuchnie rewolucja. I jak zapowiada Gil Scott-Heron, nie będzie z niej telewizyjnych relacji.

Nie wiem, kim jest ten cały Heron, ale trudno mi sobie wyobrazić naszego nauczyciela historii, pana Simmsa, jako trybik w ogólnoswiatowym planie uciskania robotników. Zastanawiam się, czy tata też zalicza się do nażartych prezesów, bo zatrudnia Glendę.

– Czy rewolucje nie zmieniają tylko świata na gorszy? – pytam.

– Słuszne pytanie. – Heidi kiwa głową. – Rewolucje rzeczywiście przyciągają różnych Napoleonów, Mao Tse-Tungów i Pol Potów. Ale tu jest pole do popisu dla naszej partii. Kiedy wybuchnie brytyjska rewolucja, nasze struktury ochronią kraj przed faszystami i wszystkimi, którzy będą chcieli go przejąć.

Stojące w korku samochodu posuwają się o kilka jardów. Ford Iana też podjeżdża za nimi.

– Czyli waszym zdaniem rewolucja wybuchnie już niedługo? – pytam.

– Strajk górników może być iskrą zapalną, od której zajmie się cały kraj – mówi Ian. – Kiedy robotnicy zobaczą, że związki się rozstrzelują – najpierw przez odpowiednie ustawy, a potem prawdziwą ostrą amunicją – stanie się jasne, że rewolucja klasowa to nie jakaś mrzonka lewaków, ale kwestia przetrwania.

– Karol Marks – dorzuca Heidi – dowiódł, że kapitalizm sam siebie pożera. Kiedy nie będzie w stanie wyżywić wypływanych przez siebie milionów, nie zdołają go ocalić już żadne kłamstwa ani przemoc. Jasne, Amerykanie rzucą się nam do gardeł – będą chcieli ocalić swój pięćdziesiąty pierwszy stan – a Moskwa będzie usiłowała przejąć nad nami kontrolę, ale kiedy dołączą do nas żołnierze, jak w Rosji w tysiąc dziewięćset siedemnastym, nic nie zdoła nas powstrzymać. – I ona, i Ian mówią z bezwzględną pewnością wypowiedzianych słów, jak jacyś świadkowie Jehowy. Heidi wychyla głowę przez okno, żeby zobaczyć, co się dzieje przed nimi na drodze.

– Policja.

Ian burczy coś pod nosem o wściekłych psach na smyczy Thatcher i dojeżdżamy do ronda, gdzie leży przewrócona ciężarówka. Na asfalcie jest pełno odłamków przedniej szyby, a policjantka przekierowuje ruch z trzech pasów na jeden. Jest w tym sprawna i opanowana, nie toczy z pyska wścieklej piany i raczej na pewno nie węszy za nastolatkami, które uciekły z domu.

– Nawet jeśli rządy Thatcher nie doprowadzą do wybuchu rewolucji w tym roku – Heidi odwraca się do nas, a wiatr rozwiewa pasma jej malinowych włosów – rewolucja jest już blisko. Wydarzy się jeszcze za naszego życia. Nie trzeba być meteorologiem, żeby wyczuwać, skąd

wieje wiatr. Zanim dożyjemy starości, społeczeństwo będzie już się kierowało zasadą: „Od każdego według jego możliwości, każdemu według jego potrzeb”. Oczywiście prezesi, liberałowie, faszyci, wszyscy będą narzekać, ale nie można mieć ciastka i zjeść ciastka. A jeśli mowa o jedzeniu – Heidi spogląda na Iana, który daje głową znak przyzwolenia – może być zjadła u nas śniadanie? Ian robi angielskie śniadanie godne pięciogwiazdkowego hotelu.

*

Willę Heidi ze wszystkich stron otaczają pola i nie tak wyobrażałam sobie kwaterę rewolucji socjalistycznej, oddział w Kencie – z firankami, poduszczkami, figurynkami z porcelany i rysunkami kwiatnych nimf. Na podłodze w łazience leży nawet dywanik. Heidi powiedziała mi, że willa należała do jej babci, która już nie żyje, a jej mama i ojczym mieszkają gdzieś we Francji, więc ona z Ianem przyjeżdżają prawie co weekend, żeby nie zadomowili się tu jacyś skłoterzy, no i żeby rozprawdzać pismo. Heidi pokazuje mi, jak zamykać łazienkę od wewnątrz i żartuje coś o motelu Normana Batesa, co udaję, że rozumiem. Nigdy dotąd nie używałam prysznicza – w Kapitanie Marlow mamy tylko wannę – więc zanim udaje mi się wyregulować temperaturę wody, najpierw dostaję odmrożeń, a potem parzę się wrzątkiem. Heidi ma całą półkę szamponów, odżywek i mydeł z etykietami w obcych językach, a ja próbuję wszystkiego po kolei, aż w końcu pachnę jak parter w domu towarowym. Kiedy wychodzę, widzę ślady liter napisanych kiedyś wcześniej na zaparowanym lustrze: „A KTO JEST ŚLICZNYM CHŁOPCEM?”. Heidi napisała to Ianowi? Żałuję teraz, że skłamałam, jak mam na imię. Chciałabym się naprawdę zaprzyjaźnić z Heidi. Smaruję swoje opalone ciało odrobiną balsamu Woods of Windsor i

myślę, jak niewiele trzeba by było, żeby to Heidi urodziła się w obskurnym pubie w Gravesend, a żebym to ja była tą elokwentną, pewną siebie studentką politologii z Londynu, która ma francuskie szampony i fajnego, błyskotliwego, troskliwego, lojalnego chłopaka, który do tego robi angielskie śniadanie godne pięciogwiazdkowego hotelu. Narodziny to jedna wielka loteria.

*

– W Turcji jest taki most. – Nadziewam na widelec kielbasę, z której skapuje tłuszcz. – Po jego jednej stronie jest Europa, a po drugiej Azja. Pojadę tam i go zobaczę. I Krzywą Wieżę w Pizie. No i jestem zakochana w Szwajcarii, chociaż nigdy tam nie byłam. Chyba najbliższej Szwajcarii byłam, jak jadłam toblerone...

– Będzie ci się tam bardzo podobać. – Heidi przetyka kęs tosta i ociera usta serwetką. – La Fontaine Saint-Agnès to jedno z moich ulubionych miejsc na świecie, leży niedaleko Mont Blanc. Drugi mąż mojej mamy ma w Saint-Agnès górską chatę, więc jeździmy tam na narty prawie na każde święta. Jedyny problem w tym, że Szwajcaria nie jest tania.

– To będę piła śnieg i jadła tanie biszkopty. I dzięki za śniadanie, Ian. Kielbaski były przepyszne.

Ian skromnie wzrusza ramionami.

– Moja rodzina to trzy pokolenia rzeźników z Lincolnshire, więc powinienem znać się na rzeczy. A na ten objazd Europy wybierasz się solo czy ktoś ci będzie towarzyszył?

– Jej sprawy sercowe to nie twój interes – upomina go Heidi. – Jak pies tropiciel. Tracy, nie zwracaj na niego uwagi.

– Nic się nie stało – mówię, przetykając ślinę. – Tak naprawdę to nie mam teraz chłopaka. Miałam jeszcze do niedawna, ale... – Gardło

samo jakoś tak mi się zaciska.

– A masz jakieś rodzeństwo? – Kiedy Heidi zmienia temat, widzę, że kopie Iana pod stołem.

– Jedną siostrę, Sharon, i brata Jacko. – Biorę parę łyków herbaty i nie wspominam o Brendanie. – Ale oboje są kilka lat młodszy ode mnie, więc tak, to będzie samotna wyprawa. A wy? Macie w planach jakieś wakacje?

– Oprócz konferencji partii i pomocy górnikom – mówi Heidi – mamy też w planach wypad do Bordeaux w sierpniu. Chcemy odwiedzić moją mamę.

– Nie mogę się doczekać. – Ian udaje, że walczy z pętlą na szyi. – Bo widzisz, ja nie myślę. Podle i podstępnie omamiłem Heidi i zmusiłem ją do wstąpienia do groźnej sekty lewackich oszołomów.

– Cały dowcip polega na tym, że rodzice Iana są przekonani, że ja to samo zrobiłam ich synkowi – dodaje Heidi. – Powinniśmy wyprawić antyweesele i się rozstać. – Heidi znowu ociera usta serwetką. – Corcoran to irlandzkie nazwisko?

Kiwam głową i nadziewam pomidora na widelec.

– Mama pochodzi z West Corku.

– Cokolwiek mówić o zamieszkach w Belfaście – Ian sięga po ketchup – każda rewolucja po tysiąc dziewięćset dwudziestym roku wiele zawdzięcza Irlandczykom. Anglicy uważają, że oddali Irlandię ze wspaniałomyślności, ale nie – Irlandczycy ją odbili z powrotem, stosując taktykę nowoczesnej wojny partyzanckiej.

– Moja ciocia Roisín – odpowiadam – mówi, że Anglik nigdy nie pamięta, a Irlandczyk nigdy nie zapomina.

Ian ciągle uderza w denko butelki z ketchupem, ale nic z niej nie wypływa.

– Ludzkość doprowadza mnie do rozpacz. Potrafimy wysłać człowieka na Księżyc, ale nie umiemy wynaleźć sposobu na

wydostanie ketchupu z butelki bez... – Wielki blob ketchupu wylatuje z butelki, zalewając cały bekon.

*

Zmywam po śniadaniu. Ian i Heidi protestowali: „Nienienie, jesteś u nas w gościach”, ale ja nalegałam. Mam skrytą nadzieję, że zaproponują mi później podwózkę na farmę Black Elm albo może zaproszą mnie znowu w przyszłą niedzielę, jeśli nie wrócę do Gravesend. Może Heidi pozwoli mi użyć swojej farby do włosów? Najpierw płuczę szklanki i wycieram je suchą ścierką, tak jak robimy w pubie, żeby nie było zacieków. Piana spływa z marmurowej płytki do krojenia, która ocieka obok śmiercionośnego noża do mięsa. Z magnetofonu leci *As I Went Out One Morning* Boba Dylana – Ian powiedział, żebym wybrała, czego posłuchamy, więc wybrałam taśmę z albumem *John Wesley Harding*. Zwykle dostaję alergii na pisk jego harmonijki, ale ten kawałek jest super. Jego głos brzmi jak wiatr, który wieje przez jakiś przedziwny dzień i miejscami gwałtownie zakręca.

– Dobry wybór – komentuje Heidi, wchodząc boso do kuchni. – Nie słuchałam tego wieki.

Promienieję w środku. Heidi wychodzi do ogrodu z książką George’a Orwella zatytułowaną *Ghandi w brzuchu wieloryba*. Na angielskim czytaliśmy *Folwark zwierzęcy*, więc może później będę miała okazję zrobić na niej wrażenie. Heidi zostawia otwarte drzwi na patio i do środka wpada zapach trawy. Potem wchodzi Ian i wstawia dzbanek z mlekiem do mikrofali. Nigdy jeszcze nie widziałam żadnej na własne oczy. Ian nastawia pokrętko, wciska guzik i czterdzieści sekund później, *ping*, mleko paruje. Mówię:

– Jak w *Star Treku*.

– Przyszłość – Ian udaje głos z kinowych zwiastunów – już wkrótce

na ekranach teraźniejszości. – Stawia dzbanek na tacy obok trzech kubków i wymyślnego zaparzacza do kawy z tłokiem. – Jak już skończysz, przyjdź do nas na *café au lait*.

– Jasne – odpowiadam, zastanawiając się, co to takiego.

Ian zabiera tacę na patio. Patrzą na zegarek: dziesiąta trzydzieści. Mama wychodzi właśnie do kościoła, może z Jacko, który chodzi z nią tylko dla towarzystwa. Ojciec bierze Newky'ego, żeby pobiegać nad rzeką w stronę Ebbsfleet, w kierunku Londynu. A może idą właśnie na Peacock Street? A ja jestem sobie tutaj, całkiem mi dobrze, kończę zmywanie, a Dylan zaczyna kawałek pod tytułem *I Dreamed I Saw St Augustine*. Jest bardziej rozwlekły, zajękliwy, jak wycie do księżycyca, ale w końcu zaczynam rozumieć, dlaczego ludzie mają fioła na punkcie Dylana. Za oknem, w drugim końcu długiego ogrodu, kołyszą się lwie paszcze i trytomy. Trawniki i grządki kwiatowe są śliczne jak z obrazka na puszcze biszkoptów, aż wcześniej zapytałam Iana i Heidi, czy może są ogrodnikami, oprócz tego, że studiują podyplomowo. Ale Heidi mówi, że ogrodem zajmuje się jakiś człowiek, który przyjeżdża z Faversham co dwa tygodnie na kilka godzin, żeby „tchnąć porządek w ten chaos”. Nie wydało mi się to za bardzo w duchu socjalistycznym, ale nic się nie odezwałam, żeby nie było, że się mądrzę.

*

Woda po zmywaniu spływa z gulgotem ze zlewu, na dnie brzęczą łyżeczki do herbaty, a Bob Dylan właśnie dostaje zawału serca w połowie *All Along The Watchtower*. O nie! Wciągnęło taśmę. Kiedy naciskam „eject”, wypada kłęb brązowego spaghetti. Ale ja jestem mistrzynią w sklejaneniu taśmy małymi kwadracikami scotcha, więc wychodzę na patio, zapytać ich, gdzie trzymają takie rzeczy. Oboje leżą na drewnianych leżakach za rzędem wielkich donic z ziołami.

Książka Orwella spadła na ziemię, choć kciuk Heidi nadal przedziela kartki. Heidi śpi jak zabita. Ian też odpłynął, głowa opadła mu na bok i okulary przekrzywiły mu się na nosie. Taca z kawą i kubkami stoi na niskim murku. Musieli być wykończeni. Cicho wołam Heidi po imieniu, ale ona nawet się nie poruszy. W żywopłocie obok brzęczą pszczoły, owce beeczą, a z niedaleka dobiega odgłos traktora. Ten mały pagórek pół mili stąd to Isle of Sheppey, a to wystające coś to most. Wtedy zauważam trzy, cztery i więcej czarnych kropek wspinających się zygzakiem po ręce Heidi.

Przyglądam się bliżej, bo przecież to nie mogą być mrówki...

To mrówki.

– Heidi! Cała jesteś w mrówkach!

Ale ona nie reaguje. Strżasam mrówki dłonią, kilka nieostrożnie rozmazując jej na ręce. Co z nimi jest?

– Heidi!

Chwytam ją za rękę i szarpnię mocniej, a ona bezwładnie osuwa się w bok na poręcz leżaka, jak pijak w jakiejś komedii, tylko że to nie jest śmieszne. Głowa opada jej na ramię, okulary całkiem się zsuwają i wtedy widzę jej oczy – są całe z tęczówek i w ogóle nie mają w środku czarnych źrenic. Odskakuję z przerażonym „gaaaa!” i prawie się przewracam. Ian też się nie rusza, więc już cała w panice wołam do niego – i widzę, jak po jego pełnych wargach idzie włochata mucha. Drży mi dłoń, kiedy podnoszę z jego czoła bejsbolówkę. Mucha odlatuje z bzykiem. Ian ma takie same oczy, jak Heidi – jakby przed chwilą zabiła go jakaś nowa zaraza – że aż upuszczam jego czapkę i w moim gardle więźnie ten sam histeryczny krzyk. Jakiś ptak wśród herbacianych róż nawleka korale z wysokich, przenikliwych nut, a mnie w głowie wszystko pulsuje i wiruje, i czuję się jakby obok, ale dociera do mnie wyjaśnienie: Heidi i Ian zatruli się śniadaniem. Zatruli się śniadaniem. Ale zmogło ich już po dwudziestu minutach?

Możliwe, tylko że ja nie mam takich objawów. A wszyscy jedliśmy to samo. Następna myśl to „atak serca”, ale to słaba teoria. Przedawkowanie? A potem myślę: „Przestań myśleć, Sykes, dzwoń natychmiast po karetkę...”.

* * *

...telefon jest na szafce w pokoju. Gnam przez kuchnię, wybieram 999 i czekam, aż ktoś podniesie słuchawkę. „Odbierzcie, szybko, szybko, szybko!”. Telefon jest głuchy. Wtedy zauważam w lustrze jakiegoś człowieka, którzy przygląda mi się z fotela w rogu pokoju. Mój mechanizm odróżniania rzeczywistości rozregulował się. Odwracam się, a on tam stoi, w przejściu między kuchnią i pokojem. Znam go. Oczy piranii, czarne kręcone włosy, złamany nos – człowiek z mojego koszmaru w przejściu podziemnym, w sali w kształcie rombu. Pierś unosi mu się szybko i ciężko, jakby przed chwilą biegł pod górę. Warczy do mnie:

– Którym z nich jesteś?

– Ja... ja... ja... jestem znajomą Iana i Heidi, i... i...

– Esther Little czy Yu Leonem Marinusem? – Jego głos jest czystą, lodowatą nienawiścią.

Na jego brwi coś drga, jakby... nie, nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałam. Powiedział „Marinus”? Co za różnica. To człowiek z koszmaru. Ale zwykle, gdy ktoś jest aż tak przerażony, budzi się. Cofam się o krok i upadam na kanapę.

– Moi znajomi potrzebują pilnej pomocy lekarskiej.

– Podaj mi swoje imię, a pozwolę ci po prostu umrzeć.

To nie jest czcza pogróżka. Kimkolwiek jest, zabił Heidi i Iana, i ciebie też zabije, jakby łamał zapałkę.

– Nie... nie rozumiem, proszę pana. – Kulę się w mały kłębek

przerażenia. – Ja...

Robi krok w moją stronę.

– Którym z nich jesteś?!

– Jestem Holly Sykes. I chcę tylko już stąd pójść. Proszę, czy mogę już...

– Holly Sykes... – Przekrzywia głowę. – Tak, znam to nazwisko. Jedna z tych, którym udało się uciec. Użyliście jej brata jako przynęty. Sprytne. Ale ty z Horologii, co tam siedzisz, przyjrzyj się, na co ci się to zdało. Usiłujesz się schować w takim okurwiałym ze strachu niczym, w przerażonym chodzącym zegarku. Xi Lo załamałby ręce! Holokai chyba by się porzygała! Jeśli oczywiście by żyli – uśmiecha się kpiąco – a nie żyją po dramatycznym fiasku waszego wypadu po przygodę. Myśleliście, że na Drodze Cienia nie ma alarmów przeciwwłamaniowych? Nie wiedzieliście, że Kaplica jest Katarzem, a Katar Kaplicą? Dusza Holokai to już popiół. Dusza Xi Lo to nicość. A tobie, którymkolwiek jesteś, udało się uciec. Zgodnie z waszym świętym Skryptem nie wątpię. Uwielbiamy wasz Skrypt. Dzięki waszemu Skryptowi Horologia jest już skończona. To wielki dzień dla drapieźników ze wszystkich stron. Bez Xi Lo i Holokai, kim jesteście? Trupą kuglarzy, jasnowidzów i marnych szarlatanów. Więc powiedz, zanim umrzesz: jesteś Marinusem czy Esther Little?

Cała dygoczę.

– Przysięgam na Boga, że... że nie jestem osobą, za którą mnie pan uważa.

Przygląda mi się uważnie, czytając mi w myślach.

– Zatem dobrze. Ci dwoje na leżakach jeszcze trochę żyją. Użyj swojego wudu Głębokiego Strumienia, może jedno uratujesz. No już. To właśnie robi Horologia.

Gdzieś w oddali szczeka pies i słychać warkot traktora.

Mężczyzna z oczami piranii jest już tak blisko mnie, że czuję jego

zapach. Smród osmalonych pieców! Mój głos nagle dostał anoreksji.

– Czyli mogę zadzwonić po pogotowie?

– Nie potrafisz ich sama uleczyć?

Udaje mi się pokręcić głową.

– No to potrzebna im trumna, nie karetka. Potrzebuję jednak dowodu, że nie jesteś z Horologii. Marinus to tchórz, ale tchórz pokrętny. Uciekaj. No, dalej, uciekaj. Biegnij. Zobaczymy, jak daleko dasz radę.

Nie ufam ani jemu, ani własnym uszom.

– Co?

– Widzisz drzwi. Biegnij. Uciekaj, a kysz. – Ustępuje na bok, jakby na znak, że droga wolna.

Węszę w tym jakąś sztuczkę, spodziewam się błysku noża, sama nie wiem, ale on nachyliła się nade mną tak blisko, że widzę drobne zadrapania i zacięcia na jego twarzy, i jego duże czarne oczy z szarą aureolą. I nagle wrzeszczy ile sił w płucach: „BIEGNIJ, ZANIM SIĘ ROZMYŚLE!”.

*

Przez cierniste róże, między rozkołysanymi krzakami, po pokrytym pyłem trawniku, gnam przed siebie. Pędzę, jak jeszcze nigdy w życiu nie biegłam. Słońce mnie razi, ale ogrodzenie jest już niedaleko. W połowie drogi, kiedy dobiegam do porośniętej pnączami drewnianej kraty, oglądam się przez ramię – on za mną nie biegnie, czego się obawiałam, tylko stoi nieruchomo, kilka kroków od Iana i Heidi, którzy ciągle leżą jak nieżywi, czyli pozwala mi uciec nieważne dlaczego to psychol więc uciekaj biegnij biegnij szybko szybko szybko ale biegnij ale biegnij... Ale zwalniam, zwalniam, jak, dlaczego, po co, serce bije mi jak oszalałe, czuję, jakby ktoś naciskał jednocześnie na hamulec i

na gaz, jednak tego, co mnie spowalnia, nie ma wewnątrz mnie, to nie trucizna, to jest na zewnątrz, to czas zwalnia albo grawitacja przyciąga mocniej, albo powietrze zmienia się w wodę, albo w piasek, albo w smołę... Miewam czasem takie sny – ale teraz nie śpię, jest dzień, wiem, że nie śpię... A jednak w jakiś niemożliwy sposób zatrzymuję się, jak statuetka biegaczki, z jedną stopą w górze, gotową do kolejnego kroku, który nigdy nie nastąpi. To jakiś obłąd. Kurde, obłąd jakiś. Nagle zdaję sobie sprawę, że powinnam ile sił w płucach wołać o pomoc, tak właśnie ludzie robią, ale jedyne, co wydobywam z gardła, to ten chrapliwy dźwięk...

...i świat zaczyna kurczyć się z powrotem w stronę willi, ciągnąc bezradną mnie ze sobą. Na łuku z kutego żelaza rośnie bluszcz, chwytam się go i moje stopy unoszą się nad ziemię, jakbym była postacią z kreskówki w oku cyklonu i walczyła o życie, ale ból w nadgarstkach każe mi się puścić i spadam na ziemię z bolesnym hukiem, i coś mnie wlecze, drapiąc mi łokcie i objając kość ogonową, więc przekręcam się na wznak i usiłuję wbić pięty w trawnik, ale jest zbyt twardy i nie udaje mi się, i jakoś tak potykam się do pionu, na obie nogi, a koło mnie przelatuje para motyli, w przeciwną stronę niż ta nieprzewyciężona siła, która mnie ciągnie, jakby ona działała tylko na mnie. Teraz jestem już z powrotem w klombach róż, a człowiek o bladej twarzy nadal stoi w drzwiach na patio. Jego palce zwijają jakąś niewidzialną nić, jakby dawały znaki obcym z kosmosu, jego usta wykrzywia uśmiech jak sierp, i to on to robi, to on zwija mnie jak na kołowrotek, przez patio, obok Heidi i Iana, którzy nadal leżą jak zwłoki, jak zwłoki ludzi zabitych w jakiś sposób przez tego człowieka, tego człowieka, który cofa się teraz do kuchni, żeby zrobić miejsce, a kiedy znajdę się z powrotem w tej willi, już nigdy, przenigdy się z niej nie wydostanę, więc panicznie chwytam się futryny i klamki, ale wtedy czuję, jakby nagle przeszło mnie dwadzieścia tysięcy woltów,

i jakaś siła ciska mną jak lalką przez cały salon, aż odbijam się od kanapy i spadam na dywan, a w moich gałkach ocznych wybuchają rozbłyśki *pfffach pfffach pfffach...*

*

...koszmar się kończy na szorstkim dywanie, który harata mi policzek. Koniec, już po wszystkim. To był chyba jakiś atak epilepsji. Zdjęcie Heidi jako uczennicy obok babci o białych włosach nagle wyostrza się w moich oczach, kilka cali ode mnie, musiało spaść na podłogę – może strąciłam je z komody, kiedy się przewracałam. Muszę wrócić do domu i jechać do szpitala. Powinni mi zrobić tomografię mózgu. Heidi podwiezie mnie do Gravesend. Zadzwoń do mamy ze szpitala. Już nikt nie będzie pamiętał o całej sprawie z Vinnym. To było takie totalnie prawdziwe, rzeczywiste. Miałam naprawiać Boba Dylana nożyczkami i taśmą klejącą, a za chwilę... Mrówki na ręce Heidi, człowiek ze złamanym nosem z koszmaru i ciągnące mnie lepkie szelki powietrza. Która część mojego pierdolniętego mózgu wymyśla taki masakryczny sajgon? Z wysiłkiem podnoszę się, bo jeśli Heidi albo Ian znajdą mnie leżącą na podłodze, pomyślą, że umarłam w ich salonie.

– Wierzę ci, moje serce. – Znowu on. Siedzi w skórzanym fotelu, jedną stopę oparł na kolanie. – Jesteś tylko nieudolnym, nieistotnym niczym w naszej Wojnie. Ale dlaczego dwoje uciekających pozacielesnych na skraju śmierci niezdarnie próbowało dostać się akurat do ciebie, Holly Sykes? Oto jest pytanie. Po co jesteś?

Zamieram. O czym on mówi?

– Po nic, przysięgam, ja tylko chcę... już sobie pójść i...

– Bądź cicho. Myślę. – Bierze zielone jabłko Granny Smith z miski na kredensie i wgrzyza się w nie. W głuchej ciszy jego mlaskanie

rozlega jak łoskot. – Kiedy ostatnio widziałaś się z Marinusem?

– Z moim dawnym lekarzem? W szpitalu w Gravesend. Lata temu i...

Podnosi dłoń uciszającym gestem, jakby mój głos ranił jego uszy.

– I Xi Lo nigdy nie powiedział ci, że Jacko nie jest Jacko?

Dotąd ten horror rozgrywał się na wysokich tonach. Gdy pada imię Jacko, dochodzi groźny bas.

– Co Jacko ma z tym wspólnego?

On patrzy z odrazą na swoje jabłko.

– Kwaśne i kompletnie bez wyrazu. Ludzie je kupują, bo ładnie wyglądają. – Rzuca jabłko pod ścianę. – Nie ma tu pola Głębokiego Strumienia, więc nie jesteśmy w bezpiecznej kryjówce. Gdzie jesteśmy?

Nie osmielam się powtórzyć pytania o Jacko, żeby na mojego brata nie ściągnąć zła, bo zło to właściwe słowo.

– Jesteśmy w willi babci Heidi. Babcia jest we Francji, ale pozwala Heidi i... – Oni nie żyją, już pamiętam.

– Gdzie, pytam, gdzie? Hrabstwo, miasto, wieś. Przynajmniej udawaj, że masz mózg. Jeśli jesteś tą samą Holly Sykes, którą zepsuł Marinus, chyba musimy być w Anglii.

On raczej nie żartuje.

– Jesteśmy w Kencie. Niedaleko Isle of Sheppey. Wydaje mi się, że... że miejsce, w którym dokładnie jesteśmy, nie ma... żadnej nazwy.

Bębni palcami o skórzany fotel. Jego paznokcie są zbyt długie.

– Esther Little. Znasz ją?

– Tak. Nie bardzo. W pewnym sensie.

Bębnienie ustaje.

– Holly Sykes, mam ci powiedzieć, co z tobą zrobię, jeśli uznam, że kłamiesz?

– Wczoraj Esther Little była nad rzeką, ale nigdy wcześniej jej nie

poznałam. Dała mi herbaty. Zielonej. A potem poprosiła...

Człowiek o bladej twarzy wpatruje się świdrującym wzrokiem w moje czoło, jakbym tam miała wypisaną odpowiedź.

– Poprosiła o co?

– O schronienie. Jeśli jej... – usilnie szukam w pamięci jej dokładnych słów – ...plany się nie powiodą.

Blady człowiek się ożywia.

– Czyli... Esther Little chciała w tobie urządzić sobie kryjóweczkę. Ruchomy azylik. Rozumiem. W tobie! W zużytych pionku tak kompletnie bez znaczenia, że myślała, że o tobie zapomnimy. Cóż. – Wstaje i blokuje wyjście. – Jeśli tam jesteś, Esther, znaleźliśmy cię!

– Zaraz – udaje mi się wydukać parę słów, choć cała kulę się w sobie – jeśli to jakaś akcja MI5 i chodzi o komunistyczne poglądy Iana i Heidi, to ja nie mam z tym nic wspólnego. Oni mnie tylko podwieźli i...

Blady człowiek robi krok w moją stronę, znienacka, żeby mnie wystraszyć. Udaje mu się.

– Tak?

– Niech pan się do mnie nie zbliża. – Mój głos jakoś parcieje. – Będę... będę się bronić. Policja...

– Będzie sobie łamała głowę sprawą willi babci Heidi. Dwoje kochanków na leżakach, ciało nastoletniej Holly Sykes. Kiedy już ktoś was znajdzie, patolodzy sądowi będą mieli niezły bałagan do obrobienia, zwłaszcza jeśli sprawca potrójnego morderstwa zostawi drzwi na patio szeroko otwarte dla lisów, wron, wałęsających się kotów... Paskudny widok! Będzie o tobie mówił cały kraj. Słynna nierozwiązana krwawa zbrodnia lat osiemdziesiątych. Nareszcie będziesz sławna.

– Niech pan mnie wypuści! Wyjadę za granicę, ucieknę. Proszę.

– Będziesz pięknie wyglądać jako trup. – Blady człowiek uśmiecha

się do swoich palców, gdy je zgina. – Ktoś bez zasad najpierw by się z tobą zabawiał, ale ja jestem przeciwny okrucieństwu wobec bezrozumnych zwierząt.

Słyszę własny chrapliwy oddech.

– Proszę, nie nie nie...

– Ciiiiii... – Jego palce wykonują gest jakby zakręcania i usta, język i gardło mi się zaciskają.

Z moich nóg i rąk uchodzi cała siła, jakbym była marionetką, której odcięto sznurki i rzucono w kąt. Błady człowiek siedzi ze skrzyżowanymi nogami na dywanie, na którym i ja siedzę, jakby zamierzał opowiadać jakąś historię, i rozkoszuje się tą chwilą, jak Vinny, kiedy wie, że za chwilę będzie mnie miał.

– Jak to jest, Holly Sykes, wiedzieć, że za sześćdziesiąt sekund będziesz trupem? Jakie obrazy przelatują przez twój robaczy mózg tuż przed końcem?

Jego oczy nie są oczami człowieka. Coraz mniej widzę, jakby zapadała noc, moje płuca toną, ale nie w wodzie, tylko w nicości i dociera do mnie, że minęły wieki, odkąd wzięłam oddech, więc próbuję nabrać powietrza, ale nie mogę, a bębnienie w uszach ucichło, bo moje serce przestało bić. W rozedrganym mroku błady człowiek wyciąga dłoń, muska moją pierś koniuszkami palców i mówi:

– Śpij słodko, moje serce.

A moją ostatnią myślą jest: „Kim jest ta chwiejąca się postać w tle, milę stąd, w drugim końcu salonu...?”.

Błady człowiek zauważa to, ogląda się przez ramię i zrywa na równe nogi. Moje serce znowu zaczyna bić, a płuca wypełniają się tlenem tak szybko, że aż się krztuszę, kiedy rozpoznaję Heidi.

– Heidi! Wzywaj policję! To morderca! Uciekaj!

Ale Heidi jest chora albo naszprycowana, albo ranna, albo pijana, głowa jej się chwieje na wszystkie strony, jakby miała tę chorobę...

stwardnienie rozsiane. Głos też jej się zmienił – teraz Heidi brzmi jak mój dziadek po wylewie. Z trudem jest w stanie wyjąkać rwane słowa:

– Nie bój się, Holly.

– Wręcz przeciwnie, Holly – blady człowiek uśmiecha się kpiąco – jeśli to coś ma być twoim rycerzem w lśniącej zbroi, to czas się bać, i to bardzo. Marinus, jak sądzę. Czuję smród twojej służalczości, nawet w tym perfumowanym zombie.

– Tymczasowa kwatery – mówi Heidi, której głowa opada w przód, w tył i znowu w przód. – Dlaczego zabiłeś tych dwoje? Po co? To było niepotrzebne, Rhîmes.

– A dlaczego miałbym ich nie zabijać? Ciągłe tylko pytaacie, dlaczego, dlaczego, po co. Bo mnie zalała krew. Bo Xi Lo rozpętał walkę ognia w Kaplicy. Bo mogłem. Bo ty i Esther Little doprowadziliście mnie tutaj. Esther dokonała żywota, zanim mogła poprosić o azyl w tej samicy wielkich niedomytych, prawda? Dostała niezłe w kość podczas ucieczki Kamienną Drogą. Wiem, bo sam jej spuściłem łomot. À propos, najszczerze wyrazy współczucia z powodu śmierci Xi Lo i biednej Holokai – czarodzieja i czarodziejkę z waszego klubiku spotkała dekapitacja. A ty jak, Marinus? Nie będziesz usiłował walczyć? Wiem, że lepszy z ciebie uzdrowiciel niż wojownik, ale błagam, chociaż udawaj, że stawiasz opór. – Rhîmes znowu palcami tka powietrze i, chyba że mam zwidy, marmurowa płytką do krojenia unosi się nad kuchenny blat, i wolno leci w naszą stronę, jakby przenosił ją Niewidzialny Człowiek.

– Zaniemówiłeś, Marinus? – pyta blady człowiek zwany Rhîmesem.

– Puść dziewczynę – mówi Heidi, walcząc z opadającą głową.

Płytką do krojenia mknie przez pokój wprost ku jej potylicy. Słyszę dźwięk przypominający rozbijanie łyżeczką skorupki jajka. Ciało Heidi powinno obalić się do przodu, jak kręgiel, ale jest właśnie podnoszone przez – przez – przez nikogo, a ciało Rhîmesa w tym

czasie również wiruje, podrygując. *Trzask, chrup, trach*, kręgosłup Heidi pęka, jej szczeka w połowie odpadła i zwisa, a z dziury w czole tryska krew, jakby przeszył je pocisk. Dłoń Rhîmesa tnie powietrze, jakby w bekhendzie, a zmasakrowane ciało Heidi leci przez pokój i spada na obraz z siedzącym na szpadlu gilem, a potem ląduje na głowie i nieruchomieje na podłodze jako bezładna górka kości i skóry.

Czuję się tak, jakbym do uszu miała przyklejone cyjanopaniem słuchawki i w jednej ktoś ryczał: „Nic z tego nie dzieje się naprawdę”, a w drugiej w kółko wył: „To wszystko jest absolutnie prawdziwe”. Ale kiedy Rhîmes mówi, mówi cicho, i słyszę każdą fałdkę w każdym jego słowie.

– Nie zdarzają ci się czasem dni, kiedy tak się cieszysz, że żyjesz, że aż chcesz – odwraca się do mnie – krzyczeć do słońca? Na czym to skończyłem? Ach tak, wyciskałem z ciebie życie... – Pcha w moją stronę powietrze otwartą dłonią, a potem podnosi rękę.

Coś odpycha mnie w tył, uderza mną o ścianę i podrywa w górę, aż walę głową w sufit. Rhîmes doskakuje do poręczy kanapy, jakby miał zamiar mnie pocałować. Usiłuję go uderzyć, ale obie dłonie coś przytrzymuje mi za plecami i znowu moje płuca przestają się napępniać tlenem. Białko w jednym oku Rhîmesa czerwienieje, jakby pękła w nim małeńka żyłka.

– Xi Lo przejął po Jacko braterską miłość do ciebie, co mnie cieszy. Zabicie cię nie wróci mi utraconych Anachoretów, ale Horologia ma teraz wobec nas dług krwi, a liczy się każda, nawet najdrobniejsza spłata. Tak, żebyś wiedziała, o co chodzi.

Już prawie nic nie widzę, a ból w moim mózgu blokuje wszystko inne...

Z jego ust wysuwa się czubek ostrego języka.

Poczerwieniały, metaliczny, cał od mojego nosa. Nóż?

Gałki oczne Rhîmesa odlatują w tył i kiedy zamyka powieki, ja

zsuwam się na podłogę, a on spada z poręczu kanapy. Gdy tyłem głowy uderza o podłogę, ostrze noża wystaje już kilka cali więcej, upaprane białą mazią. W życiu nie widziałam czegoś bardziej ohydneho, a nawet nie potrafię krzyknąć.

– To się nazywa mieć oko. – Ian podnosi się z trudem, przytrzymując się blatów.

Nie ma innej możliwości, to do mnie musi mówić. Nie został już nikt inny. Ian marszczy brwi, gdy widzi bezwładne ciało Heidi.

– Do zobaczenia kolejnym razem, Marinus. I tak już czas, żebyś znalazł sobie nowego hosta.

Jak to? Nie „Jezu Chryste!” ani „Heidi, nie, Heidi, nie, nie!”? Ian patrzy na ciało Rhîmesa.

– Kiedy masz zły dzień, zastanawiasz się: „A może tak wycofać się z tej wojny i wieść normalne, spokojne metażycie?”. A potem patrzysz na taką scenę i przypominasz sobie, po co walczysz. – Na koniec Ian odwraca poobijaną głowę w moją stronę. – Przykro mi, że musiałaś na to wszystko patrzeć.

Spowalniając oddech, oddycham coraz wolniej...

– Kim j...?

Nie potrafię więcej.

– Nie wybrzydzałaś przy herbacie. Pamiętasz?

Stara kobieta nad Tamizą. Esther Little? Skąd Ian może o niej wiedzieć? Spadłam przez podłogę i wylądowałam w jakimś złym miejscu.

W korytarzu willi słysząc nagle zegarową kukułkę.

– Holly Sykes – mówi Ian, czy też Esther Little, jeśli to Esther Little, ale jak to możliwe? – Proszę o schronienie.

Na podłodze leżą dwa trupy. Krew Rhîmesa wsiąka w dywan.

– Holly, to ciało umiera. Dla twojego spokoju przeredaguję w twoim umyśle pamięć niedawną, a potem schowam się głęboko, bardzo

głęboko... – Ian, czy też Esther Little, obala się na podłogę, jak sterta książek. Tylko jedno oko ma teraz otwarte, a pół twarzy zasłania wgnieciona poduszka kanapy. Jego oczy wyglądają jak oczy Davenporta, owczarka collie, którego mieliśmy przed Newkym, kiedy usypialiśmy go u weterynarza. – Proszę.

To słowo nagle przerywa działanie unieruchamiającego zaklęcia i klękam przy Esther Little w Ianie, jeśli to rzeczywiście prawda.

– Co mogę zrobić?

Gałka oczna drga za zamykającą się powieką.

– Schronienie.

Chciałam tylko zielonej herbaty, ale dane słowo obowiązuje. Poza tym, cokolwiek właśnie zaszło, żyję tylko dlatego, że z życiem rozstał się Rhîmes. Wyłącznie dzięki Ianowi, czy Esther Little, czy też komukolwiek, kim jest ta osoba. Mam dług.

– Oczywiście... Esther. Co mam robić?

– Środkowy palec. – Spragniony duch w martwych ustach. – Do czola.

Więc przyciskam środkowy palec do czola Iana. Tak?

Nogę Iana chwytają drgawki, ale ustają.

– Niżej.

Więc przesuwam środkowy palec o cal w dół.

– Tutaj?

Działająca połowa ust Iana wykrzywia się w grymasie.

– Tu...

*

Słońce grzeje mnie w kark i zerwała się słonawa bryza. Po wąskim kanale między Kentem a Isle of Sheppey płynie trawler, włącza syrenę. Widzę, jak kapitan dłubie w nosie i szuka miejsca, o które

wytrze gila. Most jest jak z kreskówki o lokomotywie Thomasie – cała środkowa część podnosi się równolegle do powierzchni wody, przesuwając się w górę wzdłuż dwóch przysadzistych wież. Kiedy ruchome przęsło jest już całkowicie podniesione, rozlega się sygnał i trawler zaczyna wolno sunąć naprzód. Jacko nie mógłby oderwać od tego wzroku. Grzebię w torbie w poszukiwaniu tanga i znajduję gazetę – „Socialist Worker”. Skąd się u mnie wzięła? Ed Brubeck wsunął ją mi do torby dla żartu? Wyrzuciłabym ją przez barierkę, ale właśnie nadjeżdża jakiś rowerzysta, więc tylko otwieram puszkę tanga i przypatruję się mostowi. Rowerzysta, mniej więcej w wieku taty, jest chudy jak szczupak i prawie łysy, a tata jest przy kości i nie bez przyczyny przezywają go „Wilkołak”.

– Jest – mówi rowerzysta, ocierając twarz złożoną chustką.

Nie wygląda na żadnego zbrojeńca, więc odpowiadam mu:

– Jest.

Facet przygląda się mostowi, jakby był jego dziełem.

– Już nikt tak nie buduje mostów.

– Pewnie nie.

– Most Kingsferry jest jednym z zaledwie trzech podnoszonych mostów na Wyspach Brytyjskich. Najstarszy jest malowniczy wiktoriański mostek nad kanałem w Huddersfield, tylko dla ruchu pieszego. Ten tutaj oddano w sześćdziesiątym roku. Na świecie są jeszcze tylko dwa identyczne, jeden samochodowy, drugi kolejowy. – Bierze łyk wody z butelki.

– Jest pan inżynierem?

– Nie, nie, po prostu amatorem rzadkich mostów. Mój syn też miał hopla na ich punkcie. Właśnie – wyjmuję z sakwy aparat fotograficzny – mogłabyś zrobić mi zdjęcie z mostem w tle?

Odpowiadam, że oczywiście, i muszę przykucnąć, żeby zmieścić w kadrze jego łysinę i podniesione przęsło mostu.

– Trzy, dwa, jeden...

Aparat byczy, a on prosi mnie, żebym zrobiła jeszcze jedno, więc robię i oddaję mu aparat. On mi dziękuje i zaczyna grzebać przy sakwach. Biorę łyk tanga i zastanawiam się, dlaczego nie jestem głodna, choć jest już prawie południe, a odkąd zostawiłam Eda Brubecka śpiącego w kościele, zjadłam tylko paczkę krakersów. W dodatku odbija mi się kielbaskami, nie mam pojęcia dlaczego. Podjeżdża biały volkswagen kamper i zatrzymuje się przy barierce. W środku dwie dziewczyny i ich chłopaki palą papierosy i patrzą na mnie, jakby pytali: „A ta co tu robi?”. W radiu gra u nich REO Speedwagon. Chcę im pokazać, że nie jestem żalnym przypadkiem, z którym nikt nie chce się zadawać, więc zwracam się z powrotem do rowerzysty:

– Z daleka pan przyjechał?

– Dzisiaj nie. Z Brighton.

– Z Brighton? To jakieś sto mil stąd.

On sprawdza jakiś gadżet na kierownicy roweru.

– Siedemdziesiąt jeden.

– Czyli robienie zdjęć mostów to takie pana hobby?

Myśli przez chwilę.

– Bardziej rytuał niż hobby. – Orientuje się, że nie rozumiem. – Hobby ma się dla przyjemności, a rytuał to coś, co pozwala trwać. Bo widzisz, mój syn zmarł. I te zdjęcia robię dla niego.

– O, nie wiedziałam... – Usiłuję nie pokazać po sobie, jak bardzo wstrząsnęły mną jego słowa. – Przykro mi.

Wzrusza ramionami i patrzy gdzieś w dal.

– Pięć lat temu.

– Zginął... – czy mogłabym się po prostu nie odzywać? – ...w wypadku?

– Zmarł na białaczkę. Byłby teraz mniej więcej w twoim wieku.

Ponownie rozlega się sygnał i ruchome przęsto zaczyna się opuszczać.

– To musiało być straszne. – Słyszę własne słowa i zdaję sobie sprawę, jakie to słabe, co mówię.

Na garbie Isle of Sheppey przysiada długa, chuda chmura, ni to chart, ni to syrenka, i nie wiem już, co dalej mówić. Volkswagen wyje silnikiem i rusza, kiedy tylko podnosi się szlaban, zostawiając za sobą w powietrzu żwir i pył. Rowerzysta wsiada na rower.

– Uważaj na siebie, moja droga – przykazuje mi. – Nie marnuj życia na głupoty.

Zawraca na rowerze i rusza z powrotem w kierunku A2.

Taki szmat drogi, a nawet nie przejechał przez most.

*

Po szosie pędzą samochody i ciężarówki, zdmuchując nasiona z dmuchawców, ale nie ma nikogo, kto powiedziałby mi, jak dostać się na farmę Black Elm. Koronkowe kwiaty chwieją się na długich łądkach, gdy obok nich przejeżdżają pędem dudniące ciężarówki. Błękitne motyle uwalniają się wtedy do lotu, a te tygrysiorude mocniej trzymają się kwiatów. Ed Brubeck pracuje teraz pewnie na zmianie w supermarkecie ogrodniczym i marzy o włoskich dziewczynach, kiedy ładuje bale torfu do aut klientów. Na pewno uważa mnie za humorzystą picz. A może nie. Fakt, że Vinny mnie rzucił, w szybkim tempie staje się właśnie tym – faktem. Wczoraj była to rana postrzałowa zadana z broni z odpiłowaną lufą, ale dzisiaj odczuwam to bardziej jak gigantyczny siniak po strzale z wiatrówki na śrut. Owszem, ufałam Vinny'emu i kochałam go, ale to nie znaczy, że jestem głupia. Dla wszystkich Vinnych Costello tego świata miłość to kit, którym zatykają ci uszy, żeby cię przelecieć. Dla dziewczyn – w

każdym razie dla mnie – seks to coś, co się robi na stronie pierwszej, żeby dotrzeć do miłości, która jest w dalszej części książki.

– Już z siebie wyrzuciłam tego ruchacza – mówię krowie, która przygląda mi się zza ogrodzenia, i choć jeszcze sama tego nie czuję, to myślę, że kiedyś pozbędę się go na dobre.

Może nawet Stella uczyniła mi przysługę, bo zdarła z Vinny’ego maskę słodkiego misia po zaledwie kilku tygodniach. Vinny na pewno się nią znudzi, na mur-beton, a kiedy ona nakryje go w łóżku z inną, to jej marzenia o jeździe z Vinnym na motorze runą z wielkim hukiem, tak jak runęły moje. A potem będzie starała się potulnie wrócić do mnie, z czerwonymi, zapuchniętymi oczami, jak wcześniej moje, i będzie błagała o przebaczenie. I może jej wybaczę. A może nie.

Przed sobą widzę rondo i jakąś kawiarnię.

Kawiarnia jest otwarta. Może jednak nie będzie tak źle.

*

Kawiarnia nazywa się Smoky Joe’s i bardzo chce udawać amerykański bar rodem z *Happy Days*. Ma wysokie boksy, do których nie da się zajrzeć z boku, ale tak naprawdę to tania dziura. Nie ma tu zbyt wielu klientów, a większość z nich siedzi przyklejona do wiszącego na ścianie starego telewizora i ogląda mecz. Jakaś kobieta na krześle przy drzwiach czyta „News of the World” w chmurze papierosowego dymu, który wydobywa się z jej ściągniętych dziurek w nosie. Ma oczy jak guziki, zaciśnięte usta, na głowie afro i twarz, która nosi w sobie dawne żale. Nad jej głową wisi wyblakły plakat, a na nim ze szklanej kuli dla rybek pełnej brunatnej wody wyziera na powierzchnię dwoje rybich oczu. Napis pod spodem głosi: „ZŁOTA RYBKA JEFFA ZNOWU MIAŁA ROZSTRÓJ ŻOŁĄDKA”. Kobieta mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów i macha ręką w stronę boksów, co ma oznaczać „siadaj,

gdzie chcesz”.

– Właściwie – mówię – chciałam tylko zapytać, czy wie pani, jak się dostać na farmę Black Elm.

Kobieta podnosi na mnie wzrok, wzrusza ramionami, ogląda się za siebie i wydycha dym.

– Jest tutaj, na Sheppey. Dostałam tam pracę.

Ona wraca do swojej gazety i strząsa papierosa.

Postanawiam zadzwonić do pana Harty’ego.

– A czy jest tu automat telefoniczny?

Babon kręci głową, nie podnosząc wzroku.

– A czy mogłabym tylko zadzwonić na tę farmę z państwa...

Piorunuje mnie spojrzeniem, jakbym zapytała, czy sprzedaje narkotyki.

– A... może jest tu ktoś oprócz pani, kto znałby farmę Black Elm? – Wytrzymuję jej wzrok na tyle długo, żeby zrozumiała, że najszybciej się mnie pozbędzie i wróci do swojej gazety, jeśli mi pomoże.

– Peggy! – wrzeszczy w stronę kuchni. – Farma Black Elm?

Skrzeczający głos odpowiada:

– Gabriela Harty’ego. A co?

Guziki jej oczu zwracają się w moją stronę.

– Ktoś pyta...!

Wyłania się Peggy: ma czerwony nos, policzki gryzonია i oczy nadzorczyńni z gestapo.

– Przyjechałaś na kilka dni, na zbiory owoców, tak, skarbie? Za moich czasów zbieraliśmy chmiel, ale dziś chmiel zbierają za ludzi maszyny. Pójdiesz drogą w kierunku Leysdown, tą tutaj – pokazuje na lewo od drzwi – miniesz Eastchurch, a potem po prawej będziesz miała Old Ferry Lane. Będziesz szła na piechotę, prawda? – Kiwam głową. – Będzie z pięć-sześć mil, skarbie, ale co to jest dla takiej...

Z kuchni dobiega straszliwy łomot i brzęk blaszanych tac, więc

Peggy wybiega z powrotem. Teraz, kiedy już załatwiłam, co miałam załatwić, należy mi się paczka rothmansów. Idę do automatu z papierosami w kawiarnianej sali. Funt czterdzieści za paczkę. Totalne zdzierstwo, ale na farmie będzie kupa nieznanych ludzi, więc potrzebuję czegoś, co doda mi pewności siebie. Wrzucam monety, zanim sama sobie wyperswaduję ten zakup, kręcąc gałką, wypada paczka fajek. Dopiero wtedy, gdy się prostuję z rothmansami w dłoni, widzę, kto siedzi dokładnie po drugiej stronie przejścia między stolikami: Stella Yearwood i Vinny Costello.

Kucam, żeby mnie nie zobaczyli, i czuję, że zbiera mi się na wymioty. Widzieli mnie? Nie. Stella wypuściłaby od niechcienia jakąś zatrutą strzałę. Przez szparę za automatem z papierosami widzę, jak Stella karmi Vinny'ego lodami, sięgając łyżeczką nad stolikiem. Vinny wpatruje się w nią jak stęskniony szczeniak. Ona muska łyżeczką jego usta, zostawiając na nich krople waniliowej szminki. On je zlizuje.

– Teraz truskawkę.

– A magiczne słowo? – odpowiada Stella.

Vinny uśmiecha się.

– Teraz proszę truskawkę.

Stella wbija łyżeczkę w truskawkę z pucharka z lodami i wpycha ją Vinny'emu do dziurki w nosie. On łapie Stellę za przegub swoją piękną dłonią i prowadzi owoc do ust. Patrzą na siebie, a mnie zazdrość pali w środku jak szklanka czystego domestosa. Co za skurwysyński anioł stróż sprowadził ich do Smoky Joe's akurat teraz, akurat tutaj? I proszę, mają kaski. Vinny przywiózł tu Stellę na swoim wychuchanym nortonie, którego nie wolno nikomu nawet dotknąć. Stella zagina mały palec na jego palcu i ciągnie, tak że cała jego ręka, a za nią całe jego ciało suną w jej stronę, aż Vinny wychyla się przez stół i ją całuje. On zamknął oczy, ona ma otwarte. Vinny bezgłośnie wypowiada dwa słowa, których mnie nie powiedział nigdy. Powtarza

je, teraz z szeroko otwartymi oczami, a Stella ma minę jak dziewczynka przy odpakowywaniu drogiego prezentu, którego się spodziewała.

Mogłabym wpaść w szal, zacząć rzucać talerzami, zwyzywać ich od najgorszych, a potem policja zawiozłaby mnie z powrotem do Gravesend, całą zaryczaną, ale ja niemal po omacku idę do ciężkich drzwi, które ciągnę, zamiast pchać, i pcham, zamiast ciągnąć, bo wszystko przed oczami mi się roztapia. A babon przygląda mi się uważnie, bo, no tak, jasne, jestem o niebo ciekawsza niż „News of the World”, i żaden szczegół nie umyka guzikom jej oczu...

*

Na zewnątrz moja twarz rozplywa się w powodzi łez i glutów, a morris maxi zwalnia obok mnie, żeby stary pierdziel za kierownicą mógł się napatrzeć, więc krzyczę:

– No i co się tak gapisz?!

I boli boli Boże jak boli, więc przechodzę przez ogrodzenie na pole pszenicy, gdzie nie widać mnie z ronda, i ryczę i ryczę i ryczę i ryczę i ryczę i ryczę i ryczę i walę pięścią w ziemię i walę pięścią w ziemię i ryczę i ryczę i ryczę. I to już koniec, myślę, nie zostało mi więcej łez, a wtedy Vinny mruczy „Kocham cię”, a w jego pięknych brązowych oczach odbija się Stella Yearwood i zaczyna się od nowa. Jakbym rzygała jakimś podejrzanym klopsem – za każdym razem, kiedy myślę, że to już, okazuje się, że będzie tego więcej. Kiedy uspokajam się na tyle, żeby zapalić papierosa, okazuje się, że całą paczkę upuściłam przy automacie w Smoky Joe’s. Zajebicie. Prędzej zeżrę chleb z kocim gównem, niż kiedykolwiek postawię nogę w tamtym miejscu. A potem, oczywiście, rozpoznaję basowy pomruk nortona Vinny’ego. Podczołguję się do ogrodzenia. Siedzą tam, na tylnym siodełku, i palą

moje szlugi – założę się, kurwa, że moje – fajki, za które zapłaciłam funta czterdzieści. Stella pewnie zauważyła paczkę na podłodze pod automatem, jeszcze ofoliowaną, i podniosła. Najpierw kradnie mi chłopaka, a potem fajki. Teraz wsiada na nortona, oplata rękami talię Vinny’ego i chowa twarz w jego skórzanej kurtce. Odjeżdżają drogą do mostu Kingsferry, w siną dal, i zostawiają mnie całą wyświnioną, chowającą się jak jakiś menel, a wrony na drzewie kraczą Ha haaa... Ha haaa...

Wiatr głaszcze i kołysze pszenicę.

Kłosa szumią i szeleszczą.

Vinny nigdy mi nie przejdzie. Nigdy. Wiem, że nie.

*

Po dwóch godzinach marszu od ronda dochodzę do wioski na końcu świata, zwanej Eastchurch. Tablica głosi: „ROCHESTER 23”. Dwadzieścia trzy mile? Nic dziwnego, że bąble na stopach mam wielkości Ayers Rock. Dziwne jednak, że od stacji obsługi Texaco w Rochester wszystko jakoś zamazało mi się w głowie aż do mostu Kingsferry i wjazdu na Sheppey. Zupełna niepamięć. Jakby ktoś nagrał coś innego na fragment piosenki. Czy zaszłam aż tutaj w jakimś letargu? Bo Eastchurch zdecydowanie ogarnął letarg. Jest tu jeden niewielki supermarket, ale dziś, w niedzielę, zamknięty, a obok niego kiosk, też zamknięty, ale w środku słyhać ruchy właściciela, więc pukam dotąd, aż mi otwiera i kupuję u niego paczkę herbatników i słoik masła orzechowego, a do tego kolejną paczkę rothmansów i pudełko zapalek. Sprzedawca pyta, czy skończyłam szesnaście lat, więc patrzę mu prosto w oczy i mówię, że wręcz siedemnaście – w marcu. Zadziałało. Wychodzę i zapalam pod kioskiem papierosa. Obok mnie na skuterze przejeżdża mods z

modetką i gapią się na mnie, ale moje myśli pochłaniają kurczące się fundusze, które mi jeszcze zostały. Jutro dostanę jakieś pieniądze, o ile pan Harty nie kisi wypłat, ale nie wiem, jak długo potrważą te moje robocze wakacje. Jeśli Vinny'ego i Stelli nie było w domu, kiedy rodzice poszli mnie u niego szukać, mama i tata nie będą wiedzieć, że mnie z nim nie ma, więc nie dowiedzą się, że nie ma mnie w Gravesend.

Przy przystanku jest budka telefoniczna. Jeżeli zadzwonię do mamy, będzie rozmawiała odęta, z ironią w głosie, jak to mama, za to jeżeli zadzwonię do Brendana, może odbierze Ruth i poproszę ją, żeby przekazała tacie – nie mamie, tacie – że wszystko ze mną w porządku, ale rzuciłam szkołę i przez jakiś czas mnie nie będzie. Wtedy mama nie będzie już mogła powtarzać: „myśleliśmy, że cię porwano” i jechać na moim poczuciu winy, kiedy się znowu spotkamy. Ale gdy otwieram drzwi do budki, widzę, że ktoś urwał słuchawkę, więc z telefonowania nici.

Może poproszę, żeby mi dali zadzwonić z farmy. Może.

*

Kiedy skręcam z Old Ferry Lane w wapnistą drogę, która prowadzi na farmę Black Elm, dochodzi już prawie czwarta po południu. Zraszacze na polach rozpylają chłodne obłoki, a ja pijam tę wilgoć, jakbym piła z elektrycznego irygatora do zębów nastawionego na supermgiełkę. Przyglądam się małym tęczom. Dom właścicieli to stary, przysadzisty budynek z cegieł, z nowoczesną przybudówką, jest też wielka blaszana obora, dwa budynki z betonowych pustaków, a przed wiatrem chroni farmę długi rząd wysokich, smukłych drzew. Podchodzi do mnie czarna suka, jak wielka tłusta foka na krótkich łapach. Szczeka jak najęta i merda ogonem, aż jej się buja całe ciało, i

w pięć sekund jesteśmy już najlepszymi kumpelami. Czuję nagłą tęsknotę za Newkym i poklepuję czarną sukę po łbie.

– Widzę, że już poznałaś Shebę. – Ze starszej części domu wychodzi dziewczyna w ogrodniczkach. Ma jakieś osiemnaście lat. – Przyjechałaś na zbiory? – Mówi ze śmiesznym akcentem, chyba walijskim.

– Tak. Gdzie mam się... zameldować?

Moje „zameldować” rozbawia ją, co mnie z kolei wkurza, bo skąd mam wiedzieć, jak się na to tutaj mówi? Kciukiem pokazuje drzwi – na obu przegubach nosi frotki jak jakaś gwiazda tenisa, ale dla mnie wygląda to słabo – i idzie do obory, żeby powiedzieć innym zbieraczom o nowej, która myśli, że przyjechała do hotelu.

*

– Jutro o trzeciej będzie czekało dwadzieścia palet – dobiega z korytarza męski głos – i jak waszej ciężarówce tu nie będzie, minutę po trzeciej wszystko pojedzie do magazynu Fine Fare w Aylesford. – Mężczyzna odkłada słuchawkę i stwierdza – Łże, sucz.

Teraz rozpoznaję już głos pana Harty’ego, z którym rozmawiałam rano przez telefon. Drzwi za mną gwałtownie się otwierają i starsza pani w wyplamionym kombinezonie, zielonych kaloszach i chustce w grochy popędza mnie gestem:

– Biegusiem, kochana. Twoja kolej. Już, już. Nowa, tak? Oczywiście, że nowa.

Popycha mnie do ciasnego pokoiku, służącego za biuro, w którym pachnie ziemniakami w workach. Stoi tam biurko, na biurku maszyna do pisania, telefon, wyżej wiszą szafki z segregatorami, a na nich ktoś przypiął plakat „MAGICZNA RODEZJA”, zdjęcia dzikich zwierząt i jakiejś farmy z rdzewiejącym traktorem. Gabriel Harty jest po

szęśćdziesiątce, ma suchą i pomarszczoną twarz, a z nosa i uszu wystają mu kępki włosów. Nie zwracając na mnie uwagi, mówi kobiecie:

– Bill Dean dzwonił. Chciał omówić „drobny problem ze spedycją”.

– Niech zgadnę – odpowiada kobieta. – Wszystkich jego kierowców złożyła dzuma, więc czy nie moglibyśmy jutro sami zawieźć transportu do Canterbury?

– Ta-ak. I jeszcze: „Byłoby dobrze, gdybyście wy, posiadacze, zaczęli pomagać całej naszej reszcie”. Posiadacz. Przecież to bank ma w garści ziemię, a ziemia ma w garści człowieka. Tyle właśnie znaczy bycie posiadaczem. I to on, nie ja, zabiera rodzinę na Seszele czy gdzie tam. – Pan Harty ponownie rozpala fajkę i patrzy przez okno. – A ty w jakiej sprawie?

Mój wzrok biegnie za jego spojrzeniem do stojącego traktora, aż w końcu uświadamiam sobie, że to o mnie mu chodzi.

– Jestem nowa. Przyjechałam zbierać truskawki.

– Nowa, tak? Nie wiem, czy potrzebujemy więcej zbieraczy.

– Rozmawialiśmy dziś rano przez telefon.

– Dziś rano to bardzo dawno. Wieki temu.

– Ale... – Jeśli nie dostanę tu pracy, to co zrobię?

Kobieta spogląda znad szafki.

– Gabriel?

– Ale już mamy tę... tę Holly Dunhill. Już tu jedzie. Dzwoniła dziś rano.

– To właśnie ja – zapewniam go – ale nazywam się Holly Rothmans i... – Zaraz, zaraz, czy on się ze mnie nabija? Ma jedną z tych twarzy, z których trudno cokolwiek odczytać. – To ja.

– Czyli to ty dzwoniłaś, tak? – Fajka pana Harty’ego wydaje rzęzący przedśmiertny odgłos. – Czyli dobrze się składa. Widzimy się jutro punkt szósta. Nie dwie minuty po. Nie. Nikt tu nie śpi do południa, to

nie dom wczasowy. A teraz muszę dalej dzwonić.

* * *

– W niedzielę jest tu dosyć pusto – mówi pani Harty, kiedy idziemy z powrotem przez podwórze farmy. Ma w sobie więcej elegancji i klasy niż jej mąż i zastanawiam się, co ją tu sprowadziło. – Większość naszych zbieraczy z Kentu wraca do domu na niedzielę, żeby trochę odetchnąć i choć w ten jeden dzień cieszyć się domowymi luksusami. A studentów wywiało do Leysdown na plażę. Wrócą przed wieczorem, chyba że zabłądzą niechcący do Shurland Arms na kufelek. Czyli tak, prysznic są tam, ubikacja tutaj, a tam jest pralnia. Mówiłaś, że skąd dziś przyjechałaś?

– Z niedaleka... – Przybiega Sheba i tańczy wokół nas rozmerdane kółka, przez co trudniej mi wymyślić sensowną historię. – Z Southend. W zeszłym miesiącu zdałam małą maturę. Moi rodzice pracują, chciałam odłożyć trochę pieniędzy, a znajomy znajomego pracował u państwa w wakacje parę lat temu, więc mój tata się zgodził, bo skończyłam już szesnaście lat, i tak właśnie...

– I tak właśnie trafiłaś tutaj. Czyli ze szkołą już *sayonara*? – Sheba węszy za stertą opon. – Chcesz wracać do szkoły, żeby zdać dużą maturę?

– Nie wiem. To zależy od tego, jak mi poszła mała.

Pani Harty zaspokoila ciekawość, nie aż tak wielką zresztą, i prowadzi mnie teraz do stodoły z cegieł, dokąd wchodzimy przez szeroko otwarte drewniane drzwi.

– Tutaj nocuje większość chłopców.

Dwadzieścia kilka metalowych łóżek stoi w dwóch rzędach, jak w szpitalu, tyle że ściany są z gołych cegieł, podłoga z kamieni, a okien nie ma wcale. Moja mina musi od razu zdradzać, co myślę o spaniu z

watahą chrapiących, pierdzących, brandzlujących się chłopaków, bo pani Harty z miejsca mnie uspokaja:

– Nie obawiaj się. Na wiosnę postawiliśmy przepierzenia – wskazuje ręką drugi koniec stodoły – żeby panie miały trochę prywatności.

Mniej więcej jedna trzecia część stodoły przy samym końcu jest oddzielona przepierzeniem z dykty dwukrotnie wyższym od przeciętnego mężczyzny. Ma otwór służący za drzwi, zasłonięty starym prześcieradłem. Nad otworem ktoś napisał kredą „HAREM”, a ktoś inny od tego słowa narysował strzałkę w dół, a pod nią napisał: „WIELKOŚĆ MA ZNACZENIE, WIĘC SORRY, GARY”. Za prześcieradłem jest trochę ciemniej i czuję się jak w sklepowej przebieralni. Z każdej strony są wygrozdzone trzy pokoiki, każdy ma własne drzwi, w środku dwa łóżka i nagą żarówkę zwisającą z krokwi. Gdyby zobaczył to ojciec, krzywiłby się na łamanie zasad bezpieczeństwa, ale jest tu ciepło, sucho, i wystarczająco bezpiecznie. Do tego w stodole są jeszcze jedne drzwi ryglowane od wewnątrz, więc gdyby wybuchł pożar, zdążymy uciec. Jedyny problem, to że wszystkie łóżka są zajęte, leżą na nich śpiwory i plecaki, ale docieramy do ostatniego przepierzenia, jedyne, w którym świeci się żarówka. Pani Harty puka w futrynę:

– Puk, puk, Gwyn.

Jakiś głos ze środka odpowiada:

– Pani Harty?

– Przyprowadziłam współlokatorkę.

W środku na łóżku siedzi po turecku Walijka w ogrodniczkach i pisze pamiętnik czy coś. Ze stojącego na podłodze termosu unosi się para, a z papierosa ostrożnie położonego na szyjce butelki leci dym. Gwyn patrzy na mnie i gestem wskazuje łóżko, co ma znaczyć „rozgość się”.

– Witaj w moich skromnych progach – mówi. – To znaczy teraz już

w naszych.

– Zostawię was, dziewczyny – mówi pani Harty i wychodzi, a Gwyn wraca do pamiętnika.

Miła, nie ma co. Mogłaby, kurde, udać choć trochę zainteresowania. Skrob skrob skrob, skrobie jej długopis. Pewnie właśnie pisze o mnie i na pewno po walijsku, żebym nie mogła przeczytać. Dobrze, jeżeli ona nie chce rozmawiać ze mną, to ja nie rozmawiam z nią. Rzucam moją torbę na łóżko, ignorując głos, który brzmi jak Stella Yearwood i mówi, że wielka ucieczka Holly Sykes ku wolności skończyła się w jakiejś obsranej dziurze. Kładę się obok mojej torby, bo nie mam dokąd pójść i nie mam już na nic energii. Czuję się tak, jakby po moich nogach przejechał dziś walec. I do tego nie mam śpiwora.

*

Mój bramkarz mocno wykopuje piłkę, która leci przez cały stół, *bach!*, prosto do bramki studenta Gary’ego, a widzowie są wyraźnie pod wrażeniem. Brendan nazywa tę moją zagrywkę Strzałem Petera Shiltona i kiedyś często jęczał, że mój leworęczny bramkarz ma nieuczciwą przewagę. Pięć-zero dla mnie, moje piąte zwycięstwo z rzędu, a zwycięzca gra dalej.

– Rozwaliła mnie i tyle – stwierdza Gary, który po kilku heinekenach ma już wypieki na twarzy i trochę płacze mu się język. – Holly, w piłkarzykach jesteś fenem... femon... fenomenalna, po prostu fenomenalna – i żadna ujma przegrać z femone... fenomenalną zawodniczką. – Gary składa niski ukłon i wychyla się przez cały stół z puszką heinekena w dłoni, żebym się z nim stuknęła moją.

– Gdzie się nauczyłaś tak świetnie grać? – pyta dziewczyna, która nazywa się Debby i jest z Derby, i dlatego łatwo ją zapamiętać.

Tylko wzruszam ramionami i mówię, że dużo grałam u ciotecznego

brata. Ale pamiętam, jak Brendan powiedział kiedyś: „Nie wierzę, że wygrała ze mną dziewczyna”, i dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że powiedział tak, żeby było mi jeszcze bardziej miło.

Mam na razie dość piłkarzyków, więc wychodzę na fajka. Za świetlicę służy tutaj stara stajnia i można jeszcze wyczuć smród końskiego łajna, ale atmosfera jest tu bardziej ożywiona niż w Kapitanie Marlow w niedzielny wieczór. Zbieracze, jakieś dwadzieścia pięć osób, rozsiedli się za stołami i gadają, jedzą, palą, piją, podrywają się nawzajem i grają w karty. Chociaż nie ma tutaj telewizora, ktoś przytargał upaprany farbą radiomagnetofon i kasetę Siouxsie and the Banshees. Na zewnątrz należące do farmy Black Elm pola schodzą łagodnie do morza, a łańcuszek zapalonych świateł ciągnie się wybrzeżem aż za Faversham, za Whitstable i jeszcze dalej. Trudno uwierzyć, że jednocześnie w tym samym świecie ludzie mordują i okradają innych, a matki wyrzucają dzieci z domów.

Jest dziewiąta wieczorem. Mama pewnie teraz mówi do Jacko i Sharon: „Gasimy światło i dobranoc”, a potem nalewa sobie kieliszek wina i ogląda *Bergeraca* w telewizji. Albo może dzisiaj zejdzie na dół, żeby uzalać się na mnie jednej ze swoich informaterek: „Nie wiem, gdzie popełniłam z nią błąd, jak Bóg mi świadkiem, nie mam pojęcia”. A tata w rozmowie z hydraulikiem Nipperem, z TJ-em, który jest elektrykiem, i panem Sharkym stwierdza: „Pożyjemy, zobaczymy”, albo mówi coś, co brzmi równie mądrze, ale nic nie znaczy.

Wyjmuję z kieszeni koszuli moją paczkę rothmansów – wypaliłam już osiem, zostało dwanaście – ale zanim zapalam papierosa, zjawia się Gary w swoim podkoszulku z napisem „RZECZYWISTOŚĆ TO ZŁUDZENIE WYWOŁANE BRAKIEM ALKOHOLU” i proponuje mi silk cuta, mówiąc:

– Częstuj się, Holly.

Dziękuję mu, a on odpowiada:

– Zasłużyłaś na niego. – I taksuje wzrokiem mój biust, jak to robi Vinny. Robił.

Gary już otwiera usta, żeby coś jeszcze powiedzieć, ale woła go jeden z kumpli i Gary rzuca mi tylko: „Na razie” i odchodzi.

„Nie będzie nawet razu” – zapewniam go w myślach. Z chłopakami już skończyłam.

Trzy czwarte sezonowych zbieraczy to studenci z politechniki albo uniwersytetu, albo tacy, którzy chcą się dostać na uczelnię we wrześniu. Ja jestem o kilka lat młodsza od nich wszystkich, nawet jeśli przyjąć, że mam już szesnaście lat, nie piętnaście. Usiłuję przełamać nieśmiałość, bo mogłaby zdradzić mój wiek. Oni są bystrzy, nie będą hydraulikami, fryzjerkami ani śmieciarzami – będą informatykami, nauczycielami i prawniczkami, i to widać. Można to poznać po tym, jak mówią. Używają precyzyjnych określeń z największą swobodą, jak Jacko. Nikt inny z szóstych klas w naszej szkole nie miałby odwagi używać takiego języka. Za dwa lata jednym z nich będzie Ed Brubeck. Przyglądam się Gary’emu w drugim końcu salki, a on w tej samej chwili jakoś wyczuwa moje spojrzenie i patrzy na mnie porozumiewawczo, co ma oznaczać „miło cię poznać w tak uroczych okolicznościach”, a ja odwracam wzrok, żeby sobie nie pomyślał nie wiadomo czego.

Pracownicy, którzy nie są studentami, odstają od reszty. Na przykład Gwyn. Rzuca teraz rzutkami do tarczy z Marion i Lindą. Oprócz zdawkowego „cześć” i wymuszonego uśmiechu, kiedy weszłam, na razie całkowicie mnie ignoruje. Dzięki, Gwyn. Marion jest trochę opóźniona umysłowo, a jej siostra Linda matkuje jej jak kwoka i kończy za nią zdania. Zbieranie owoców na farmie Black Elm jest ich corocznym sposobem na wakacje. Jest tu też pewna para, Stuart i Gina, którzy mają swój własny namiot, schowany w zagłębieniu terenu. Mają pod trzydziestkę, wyglądają jak pieśniarze

folkowi, noszą kolczyki, oboje związują włosy w koński ogon i naprawdę śpiewają folkowe piosenki. Jeżdżą po targowych miasteczkach z występami i grają za rzucane im drobne. Kiedy dostanę wypłatę, Gina zabierze mnie i Debby na zakupy do supermarketu w Eastchurch. Debby wytłumaczyła mi, że reszta sezonowych zbieraczy traktuje Ginę i Stuarta jako swego rodzaju pośredników między nimi a panem Hartym. No i jest też Alan Wall, chłopak, który nocuje w maleńkiej przyczepie stojącej tuż za domem państwa Hartych. Widziałam, jak rozwieszał pranie, kiedy poszłam się rozejrzeć. Jest ode mnie starszy najwyżej o rok czy dwa. Alan to chudzielec, ale żyłasty i silny, i śniady jak cygan. Debby powiedziała mi, że naprawdę jest cyganem, w sensie – wagabundą, i że pan Harty co roku najmuje do pracy kogoś z jego rodziny, ale Debby nie wie, czy to taka tradycja, czy przesąd, czy chodzi o spłatę długu, czy jeszcze o coś innego.

*

Kiedy wracam z ubikacji, widzę wąski przesmyk między domem państwa Hartych a szopą. Ktoś tam czeka. Rozbłyśka płomień zapalki.

– Miło cię poznać w tak uroczych okolicznościach – mówi Gary i podsuwa mi paczkę papierosów. – Może jeszcze jednego?

Owszem, Gary może być całkiem przystojny, ale jest co najmniej lekko wlany, a ja znam go zaledwie dwie godziny.

– Wrócę już do świetlicy, dzięki.

– Nieee, zapalisz ze mną. Oj, weź, Hol, każdy musi na coś umrzeć. – Gary już zdążył podsunąć mi pod sam nos paczkę silk cutów, a jednego papierosa wyjął do połowy, żebym chwyciła ustami.

Nie mogę odmówić, nie robiąc afery, więc wyjmuję silk cuta ręką i mówię:

– Dzięki.

– Proszę, ogień... Twojego chłopaka w Southend musi zżerać tęsknota.

Myślę o Vinnym i ciężko wzdycham:

– Jezu, nie. – Po czym myślę: „Sykes, ty idiotko” i dodaję: – Tak, jasne, pewnie, że tęskni.

– Cieszę się, że to sobie wyjaśniliśmy. – W słabej poświacie żaru z papierosa widzę jego prowokacyjny uśmiech. – Przejdźmy się kawalek, popatrzymy w gwiazdy. Opowiesz mi o tym panu, który, Jezu nie, pewnie, że tęskni.

Nie chcę czuć palców Gary’ego za stanikiem ani nigdzie indziej, ale jak mam mu powiedzieć, żeby się odpieprzył, nie urażając jego dumy?

– Nieśmiałość jest urocza – mówi Gary – ale nie pozwala korzystać z życia. Chodź, mam alkohol, nikotynę... i wszystko, czego sobie zażyczysz.

Boże, gdyby faceci choć na jeden wieczór mogli zamienić się miejscami z dziewczynami, które podrywają, takich kulawych tekstów już dawno nikt by nie musiał słuchać.

– Gary, to nie jest dobry moment. – Usiłuję obejść go i wrócić na podwórko farmy.

– Wpatrywałaś się we mnie. – Jego ręka opada jak szlaban na parkingu i naciska na mój brzuch. Czuję zapach jego wody po goleniu, piwa i jego napalenia. – Patrzyłaś cały wieczór. Teraz masz okazję.

Jeżeli mu powiem, żeby się odpieprzył, bankowo nastawi wszystkich przeciwko mnie. Jeśli zrobię aferę i zacznę wrzeszczeć „pomocy!”, jego wersja będzie przeciwko wersji tej historycznej nowej, a poza tym, ile ona w końcu ma lat i czy jej rodzice naprawdę wiedzą, że jest tutaj?

– Popracuj nad podrywem, macaczu – mówi ktoś z walijskim

akcentem. Oboje z Garym aż podskakujemy. To Gwyn. – Patrzą na te twoje zaloty i sama nie wiem, czy chcesz ją bzyknąć, czy okraść.

– My... tylko rozmawiamy. To wszystko. – Gary szybko i cicho spiesza do świetlicy.

– Jest irytujący, ale niegroźny. – Gwyn patrzy za nim. – Jak afety na działkach. Składał propozycje każdej dziewczynie na farmie, oprócz Sheby.

Jak się okazuje, sytuacja, w której czuję się wyratowana, jest upokarzająca i burcząca tylko:

– Sama dałabym sobie radę.

Gwyn odpowiada, troszeczkę zbyt szczerym tonem:

– O, nie wątpię.

Podkpiwa ze mnie?

– Potrafię sama o siebie zadbać.

– Przypominasz mi mnie samą, Holly.

Co mam na to odpowiedzieć? Z radiomagnetofonu dudni *Up the Junction Squeeze*. Gwyn schyla się.

– Patrz, macaczowi wypadły szlugi. – Rzuca mi podniesioną paczkę, a ja ją łapię. – Oddaj mu albo zatrzymaj jako rekompensatę za molestowanie. Jak chcesz.

Wyobrażam sobie, co teraz myśli Gary.

– Znienawidzi mnie.

– On się już w tej chwili moczy ze strachu, że powiesz wszystkim, na jakiego wyszedł debila. Odmowa sprawia, że panowie jak nasz Gary czują się malutcy, wzrostu siedzącego psa, a ich rysio ma wtedy dwa cale, nawet wyprężony. W każdym razie przyszłam ci powiedzieć, że pożyczyłam dla ciebie śpiwór od pani Harty. Bóg jeden wie, ile osób wcześniej w nim spało, ale jest wyprany, więc przynajmniej plamy się nie lepia, a w stodole w nocy robi się chłodno. Ja już idę w kimę, więc gdybym zasnęła przed tobą, dobranoc.

Pobudka o piątej trzydzieści.

2 lipca

Okres spóźnia mi się dopiero kilka dni, więc niby dlaczego miałabym być od razu w ciąży, ale co w takim razie robi ten brzuch albo ta trzecia pierś z niebieskimi żyłkami, zaczynająca mi nagle wyrastać pod moimi normalnymi dwiema, które Vinny nazwał Dolly i Parton. Mama nie przyjęła tej nowiny zbyt dobrze i nie wierzy mi, że nie wiem, kto jest ojcem. „Ktoś przecież ci to dziecko zrobił! Obie wiemy, że Maryja Dziewica z ciebie nie jest”. Ale ja naprawdę nie wiem. Głównym podejrzanym jest Vinny, ale czy mogę mieć pewność, że naprawdę do niczego nie doszło w kościele z Edem Brubeckiem? Albo z Garym na farmie Black Elm, albo nawet z cyganem Alanem Wallem? Kiedy człowiek wie, że mu majstrowano przy pamięci, nie może być już nigdy pewien żadnych wspomnień. Babon ze Smoky Joe's patrzy na mnie groźnie znad „Financial Timesa”: „Zapytaj dziecko. Ono powinno wiedzieć”.

Wszyscy zaczynają skandować: „Zapytaj dziecko! Zapytaj dziecko!”, a ja usiłuję protestować, że nie mogę, bo przecież jeszcze się nie urodziło, ale moje usta są jakby zaszyte, a kiedy patrzę w dół na brzuch – robi się coraz większy. Teraz wygląda już jak wielki namiot ze skóry, do którego jestem przyczepiona. Dziecko w środku jest podświetlone na czerwono, jak wtedy, gdy ktoś świeci sobie latarką przez dłoń, i jest wielkości nagiego dorosłego człowieka. Boję się go.

„No, zapytaj go”, syczy mama.

Więc pytam: „Kto jest twoim tatą?”.

Czekamy. Dziecko odwraca głowę w moją stronę i mówi źle zsynchronizowanym głosem skądś, gdzie jest bardzo gorąco: „Kiedy Sibelius rozbije się na kawałki, o piętnastej w dniu Gwiazdy Rygi, to

znak, że będę blisko...”.

*

...i sen ustępuje przed jawą. Ulga, śpiwór, gęsta ciemność, nie jestem w ciąży, a walijski głos mówi cicho:

– Już dobrze, Holly, coś ci się tylko śniło.

Nasza przegródka. W stodole. Na farmie. Jak ona ma na imię? Gwyn. Odpowiadam szeptem:

– Przepraszam, jeżeli cię obudziłam.

– Mam lekki sen. Chyba śnił ci się jakiś koszmar.

– Taak... Nieee, tylko jakiś głupi sen. Która godzina?

Światelko oblewa jej zegarek tanim złotem.

– Za dwadzieścia pięć piąta.

Większa część nocy już minęła. Warto próbować znowu zasnąć?

Wielkie zoo pochrapywań rzęzi wokół nas, każde gardło w innym rytmie.

Czuję ukłucie tęsknoty za domem, za moim pokojem, ale ja też oddaję tęsknocie ukłuciem. „Pamiętaj, że cię uderzyła”.

– Wiesz, Holly – szept Gwyn szeleści zasłonami mroku – trzeba mieć dużo siły, więcej, niż ci się wydaje.

Dziwne to słowa i w dziwną porę powiedziane.

– Jeśli oni dają radę – mam na myśli studentów – to, kurczę, ja też.

– Nie chodzi mi o zbieranie truskawek. O ucieczkę z domu.

Szybko zaprzeczam.

– Skąd ten pomysł, że uciekłam z domu?

Gwyn puszcza to pytanie mimo uszu, jak bramkarz, który ignoruje totalnie niecelny strzał.

– Radziłabym ci wracać, chyba że wiesz na pewno, ale to na pewno

– Gwen wzdycha cicho – że powrót do domu cię zniszczy. Kiedy

wakacje się skończą, i pieniądze też, a Richard Gere na harleyu-davidsonie jakoś cały czas nie będzie chciał przyjechać i powiedzieć: „Wskakuj”, a ty będziesz walczyła o miejsce przy koszach na śmieci za McDonaldem, kiedy zamykają – wtedy, wbrew temu, co mówi Gabriel Harty, farma Black Elm wyda ci się pięciogwiazdkowym hotelem. Człowiek spisuje całą listę „Rzeczy, do których nigdy, przenigdy się nie zniży”. Lista zostaje taka sama, ale zmienia tytuł na „Rzeczy, które musi robić, żeby przetrwać”.

Odpowiadam spokojnym głosem:

- Ja nie uciekam.
- To dlaczego podajesz fałszywe nazwisko?
- Ale ja naprawdę nazywam się Holly Rothmans.
- A ja Gwyn Aquafresh. Chcesz trochę pasty?
- „Aquafresh” to nie nazwisko. A Rothmans tak.
- To prawda, ale założę się o paczkę dunhilli, że nie twoje. Nie zrozum mnie źle, fałszywe nazwisko to sprytna zagrywka. Przez pierwsze miesiące na gigancie swoje zmieniałam często. Ale chcę tylko powiedzieć, że jeśli człowiek porówna ewentualne przyszłe problemy do tych, które zostawił za sobą, to te przyszłe są dwadzieścia razy większe.

Przerażające, że tak łatwo mnie rozszyfrowała.

– Za wczesna pora na życiowe mądrości – odburkuje. – Dobranoc.

Zaczyna ćwierkać pierwszy poranny ptaszek.

*

Popijam szklanką wody trzy kanapki zrobione z herbatników z masłem orzechowym i wyruszamy na rozległe pole w południowej części farmy, gdzie pani Harty z mężem rozstawiają coś w rodzaju dużego namiotu. Jest chłodno i całe pole jest jeszcze pokryte rosą, ale

zapowiada się kolejny upalny, parny dzień. Nie mam do Gwyn pretensji ani zadry, czułam się jednak, jakby podejrziała mnie naga, i nie bardzo wiem, jak spojrzeć jej teraz w oczy, więc trzymam się Marion i Lindy. Gwyn chyba to rozumie, bo wybrała miejsce obok Stuarta, Giny i Alana Walla, dziesięć rzędów dalej, żebyśmy nie mogły rozmawiać, nawet jeśli byśmy chciały. Gary zachowuje się jakbym była niewidzialna i pracuje w końcu pola przeciwnym do pozostałych studentów. I bardzo dobrze.

Zbieranie truskawek to praca żmudna, owszem, ale i wyciszająca w porównaniu z pracą za barem. Przyjemnie jest być na świeżym powietrzu. Są tu ptaki i owce, i gdzieś warczy traktor, a studenci rozmawiają ze sobą, choć po krótkim czasie przestają. Każdy z nas ma paletę z kartonu, a w niej dwadzieścia pięć plastikowych pojemników. Naszym zadaniem jest wypełnić każdy pojemnik dojrzałymi truskawkami, albo prawie dojrzałymi. Trzeba przeciąć łydżkę paznokciem kciuka i włożyć truskawkę do pojemnika, i tak dalej z kolejnymi. Najpierw przykucam i siadam na piętach, ale od tego strasznie bołą mnie łydki, więc potem już tylko klękam na słomie. Szkoda, że nie wzięłam jakichś luźniejszych dżinsów albo szortów. Jeśli truskawka jest trochę przejrzała i rozmaśla się w palcach, zlizuję miąższ z dłoni, ale trzeba być debilem, żeby zżerać te dobre, bo to jakby zjadać własną wypłatę. Kiedy wszystkie pojemniki są już pełne, zanosimy paletę do namiotu, gdzie pani Harty ją waży. Jeśli paleta ma odpowiednią wagę lub ją przekroczyła, pani Harty wypłaca plastikowy żeton, a jeśli waży za mało, trzeba wrócić na pole, zbierać więcej truskawek i wrócić na ważenie. Linda mówi, że o trzeciej całej gromadą idziemy do biura, żeby wymienić żetony na pieniądze, więc żetonów trzeba pilnować – bez nich nie ma wypłaty.

Już po niedługim czasie okazuje się, kto ma doświadczenie przy truskawkach: Stuart i Gina posuwają się w swoim rzędzie dwa razy

szybciej niż my wszyscy, a Alan Wall nawet ich wyprzedza. Niektórym studentom zbieranie idzie dość kiepsko, co oznacza, że przynajmniej to nie ja jestem najwolniejsza. Słońce świeci coraz wyżej i mocniej, i cieszę się, że mam ze sobą czapkę Eda Brubecka, żeby osłonić kark. Kiedy mija godzina, pracuję już jak na autopilocie. Pojemniki wypełniają się truskawka po truskawce, a moje zarobki rosną pens po pensie, po pięciu, po dziesięciu. Cały czas chodzi mi po głowie to, co rano powiedziała Gwyn. Chyba przekonała się o tym na własnej skórze i życie jej nie rozpieszczało. Myślę o Jacko i Sharon, którzy jedzą śniadanie przy stole, a moje miejsce jest puste, jakbym umarła czy coś. Założę się, że mama zarządziła: „Tylko żadnych rozmów o hrabiance”. Kiedy jest zła albo zdenerwowana, zaczyna mówić z silnym irlandzkim akcentem. Myślę, że życie przypomina pinball – kiedy człowiek jest dzieckiem, wystrzeliwują go po prostej i nie może skręcić w lewo ani w prawo, po prostu leci siłą odrzutu. Ale kiedy dociera do górnej krawędzi, na przykład gdy ma szesnaście, siedemnaście, osiemnaście lat, nagle okazuje się, że może obrać tysiąc różnych dróg, jedne super, inne nie bardzo. Małe różnice w kątach nachylenia i w prędkości decydują o przyszłości człowieka. Wystarczy ułamek cała bardziej w prawo, a kulka uderzy tu w dzwonek, tam w dzwonek i spadnie bez punktów prosto przez bramkę – stracone dziesięć pensów. Ale ułamek cała w lewo, a zaczyna się prawdziwa gra – grzybki, bandy, rampy, zderzaki i sława na tablicy wyników. Mój problem polega na tym, że nie wiem, czego chcę, oprócz jakichś pieniędzy, żeby dzisiaj kupić coś do jedzenia. Jeszcze przedwczoraj jedyne, czego chciałam, to Vinny, ale już więcej nie popełnię tego błędu. Jak błyszcząca srebrna kulka lecąca po torze, nie mam bladego pojęcia, dokąd zmierzam i co się wydarzy.

O ósmej trzydzieści robimy przerwę na słodką herbatę z mlekiem, serwowaną w namiocie przez kobietę, która mówi z akcentem z Kentu silnym jak buldożer. Trzeba mieć własny kubek, ale ja używam starego słoika po dżemie, który wyłowiałam z kosza na śmieci w kuchni. Słoik budzi zdziwienie, ale też daje mojej herbacie pomarańczowy posmak. Silk cuty Gary’ego Studencika przełożyłam do mojej paczki po rothmansach i teraz wypalam dwa. Są troszeczkę ostrzejsze w smaku od rothmansów. Linda dzieli się ze mną paczką markiz, a Marion swoim płaskim, gardłowym głosem stwierdza:

– Przy zbieraniu człowiek robi się głodny.

– Święta prawda, Marion – odpowiadam jej, a ona szczerze się cieszy. Naprawdę szkoda, że jej życie będzie takie trudne. Potem podchodzę do Gwyn, która siedzi ze Stuartem i Giną, i proponuję jej szluga, a ona mówi:

– Chętnie, dzięki.

I znowu się kumplujemy. Tak po prostu. Błękitne niebo, świeże powietrze, obolałe plecy, ale w kieszeni o trzy funty więcej, niż kiedy rwałam pierwszą truskawkę. O ósmej pięćdziesiąt wracamy do zbierania. W szkole nasza wychowawczyni, pani Swann, właśnie sprawdza listę obecności, a kiedy odczytuje moje nazwisko, nie pada żadna odpowiedź. „Nie ma jej, proszę pani”, mówi ktoś, a Stella Yearwood powinna zacząć się pocić, jeśli ma choć pół mózgu, a ma. Jeżeli chwaliła się, że odbiła mi chłopaka, ludzie zgadną, dlaczego nie ma mnie w szkole i prędzej czy później dotrze to do nauczycieli, a Stella zostanie wezwana do gabinetu pana Nixona. Może będzie tam też jakiś policjant? Jeżeli trzymała gębę na kłódkę i nie rozpowiadała wszystkim o Vinnym, będzie udawała spokojną, jak gdyby nigdy nic, ale w środku będzie cała spanikowana. Vinny tak samo. Fajnie bzykać młodą laskę, dopóki wszystko idzie dobrze, ale jeżeli zostaną na

farmie jeszcze ze dwa dni, już niedługo sprawy przybiorą zupełnie inny obrót. Nagle stanę się nieletnią uczennicą, którą Vincent Costello przez cztery tygodnie uwodził prezentami i poił alkoholem, zanim zniknęła bez śladu. A Vincent Costello, dwudziestoczteroletni sprzedawca samochodów, zamieszkały przy Peacock Street w Gravesend, stanie się głównym podejrzanym. Nie jestem uosobieniem zła, nie chcę, żeby Jacko, tata czy Sharon mieli przeze mnie bezsenne noce, szczególnie Jacko, ale wizja wijących się ze strachu, spoconych z przerażenia Vinny'ego i Stelli jest bardzo, bardzo kusząca...

*

Kiedy niosę pełną paletę do namiotu pani Harty, widzę, że wszyscy stłoczyli się wokół radia i mają śmiertelnie poważne miny, a pani Harty i kobieta od herbaty wyglądają na przerażone – i przez jeden straszliwy moment przelatuje mi przez głowę myśl, że już ogłoszono moje zaginięcie. Dlatego niemal czuję ulgę, kiedy Debby z Derby relacjonuje mi, że znaleziono zwłoki trzech osób. Jasne, morderstwo to straszna sprawa, ale w wiadomościach bez przerwy mówią, że gdzieś znaleziono zwłoki i w zasadzie to człowieka nigdy nie dotyczy.

– Gdzie? – pytam.

– W Iwade – odpowiada Stuart, Stuart od Giny.

Nigdy nie słyszałam tej nazwy, więc pytam:

– A gdzie to?

– Jakieś dziesięć mil stąd – wyjaśnia Linda. – Przechodziłaś tamtędy wczoraj. Mały kawałek od głównej drogi do mostu Kingsferry.

– Cicho – ucisza nas ktoś i nastawia głośniej radio: „Jak potwierdził rzecznik, policja hrabstwa Kent nie wyklucza, że osoby te padły ofiarą zabójstwa. Policja prosi każdego, kto posiada jakiegokolwiek informacje w tej sprawie, o kontakt z komendą w Faversham, która prowadzi

dochodzenie. Policja prosi również o...”.

– O mój Boże! – wykrzykuje Debby z Derby. – W okolicy grasuje morderca!

– Nie wyciągajmy pochopnych wniosków – uspokaja pani Harty, ścisząc radio. – Fakt, że coś podano w wiadomościach, nie oznacza jeszcze, że to prawda.

– Trzy trupy to trzy trupy – wtrąca cygan Alan Wall. – Nikt ich sobie nie zmyślił. – Dotąd nie słyszałam jeszcze, żeby powiedział choć słowo.

– Ale to jeszcze nie znaczy, że drugi Kuba Rozpruwacz grasuje z tasakiem po Isle of Sheppey, prawda? Zadzwońię z biura i dopytam ich o szczegóły. A Maggs mnie tu zastąpi. – Pani Harty wskazuje kiwnięciem głowy na kobietę od herbaty i odchodzi.

– Czyli po strachu – mówi Debby. – Sherlock Harty na tropie. Ale jeśli dzisiaj stodoła nie będzie na noc zamknięta na kłódkę grubości mojej ręki, ja się stąd zmywam, a ona może osobiście mnie podwieźć na stację.

Ktoś pyta, czy w radiu mówili, w jaki sposób ofiary zginęły, a Stuart odpowiada, że wspomnieli o „brutalnym napadzie i krwawej jatce”, co wskazywałoby raczej na ostre przedmioty niż na rewolwer, ale na razie nie ma pewności. Możemy więc równie dobrze wracać do pracy, bo najbezpieczniejsi jesteśmy na polu, na otwartej przestrzeni, w dużej gromadzie.

– Mnie się wydaje, że to był trójkącik – mówi Gary Studencik. – Dwóch facetów, jedna dziewczyna. Klasyczna zbrodnia w afekcie.

– A mnie się wydaje, że dilowali dragami i pojawił się jakiś problem – mówi kumpel Gary’ego.

– A mnie się wydaje, że obaj zamieniliście się z chujem na głowę – mówi Debby.

Rzecz w tym, że kiedy już człowieka ogarnie strach, że jakiś psychol może się czaić w kępie drzew na drugim końcu pola albo tam, w żywopłocie, to kątem oka zaczyna widzieć różne sylwetki. To jak z Ludźmi z Radia, tylko że tych tutaj niemal się widzi, zamiast niemal słyszeć. Myślę o porze dokonania tych zabójstw – a jeśli doszło do nich dokładnie wtedy, kiedy szłam do mostu Kingsferry, a od miejsca zbrodni dzieliła mnie zaledwie miedza czy dwie? A jeśli to był ten rowerzysta? Może popadł w obłąd z rozpacz po stracie syna? Nie wyglądał na psychopatę, ale kto tak naprawdę wygląda? Albo te dziewczyny i ich chłopaki z białego volkswagena kampera? Kiedy jemy lunch – Gwyn zrobiła mi kanapki z serem i korniszonami, i dała mi banana, bo zorientowała się w mojej sytuacji żywieniowej – na niebie nad miejscem, gdzie jest most, spostrzegamy dwa helikoptery, a w wiadomościach o pierwszej Radio Kent podaje, że do willi, w której dokonano zbrodni, przyjechała ekipa dochodzeniowa, mają psy śledcze i cały sprzęt. Policja nadal nie ujawniła tożsamości ofiar, ale pani Harty zna żonę miejscowego farmera i podobno w willi pomieszkiwała weekendami młoda kobieta nazwiskiem Heidi Cross. W tygodniu studiowała w Londynie i wygląda na to, że zamordowana kobieta to właśnie ona. Wieść niesie, że owa Heidi Cross i jej chłopak byli jakimiś lewackimi radykałami, więc teraz Gary Studencik jest przekonany, że to zabójstwo na tle politycznym, być może nawet finansowane przez IRA albo CIA, jeśli ofiary miały poglądy antyamerykańskie, albo przez MI5, jeśli Heidi i jej chłopak wspierali górników.

Myślałam, że na uniwersytet dostają się tylko ludzie naprawdę inteligentni, ale z drugiej strony chcę też wierzyć Gary'emu, bo to oznaczałoby, że za stogiem siana nie czai się przypadkowy psychol, a

tego strachu jakoś trudno mi się do końca pozbyć.

Po lunchu pracujemy jeszcze dwie godziny, a kiedy kończymy, wlecemy się z powrotem do biura, gdzie pani Harty wymienia nasze żetony na gotówkę. Zarobiłam dzisiaj piętnaście funtów. W stodole, gdzie mamy noclegownię, Gabriel Harty mociuje kłódkę do wewnętrznej strony drzwi, tak jak chciała Debby z Derby. Nasz pracodawca nie może przecież sobie pozwolić na dezercję wszystkich pracowników, kiedy truskawki dojrzewają i gniją na krzakach. Gwyn mówi mi, że normalnie spora część zbieraczy chodzi pieszo do Leysdown na zakupy i na piwko czy dwa, ale dzisiaj do sklepu wybrali się tylko ci studenci, którzy mieli samochody. Ja zaoszczędzę pieniądze, a na kolację mogę zjeść miskę musli z resztek w szafce i ostatnie herbatniki Ritz, poza tym Gwyn obiecała, że da mi hot doga. Potem siadamy we dwie w przyjemnie ciepłym cieniu, jaki obkuszona ściana rzuca na porośniętą trawą skarpe przy bramie farmy. Widzimy stamtąd, jak Alan Wall rozwiesza pranie na sznurze. Ma nagi tors, jest umięśniony, śniady i ma blond włosy. Chyba wpadł w oko Gwyn. Jest zawsze spokojny i niewzruszony, odzywa się tylko wtedy, kiedy ma coś ważnego do powiedzenia, i nie boi się morderców przyczajonych w krzakach. Gwyn też się jakoś specjalnie tymi zabójstwami nie przejmuje.

– Gdybyś wczoraj zadźgała trzy osoby na śmierć, pojechałabyś niecałą milę dalej na płąściuteńką wyspę, gdzie każdy obcy od razu rzuca się w oczy jak trójgłowy Hitler? No, błagam...

Muszę przyznać, że ten argument do mnie trafia. Dzielimy się ostatnim silk cutem, zaciągając się nim na zmianę. Dukam coś w rodzaju przeprosin za to, że byłam rano średnio przyjemna.

– Chodzi o moje kazanie? – Gwyn trochę się ze mną droczy. – Daj spokój, szkoda, że mnie nie słyszałaś, jak uciekłam z domu. – Mówi udawanym zblazowanym głosem: – „Nie potrzebuję twojej pomocy,

spadaj”. – Przeciąga się i kładzie na trawie. – Boże jedyny. Nie miałam wtedy o niczym pojęcia. Błędgo pojęcia.

Furgonetka supermarketu powoli odjeżdża z dzisiejszym transportem truskawek.

Gwyn zastanawia się chyba, czy nic nie mówić, czy też powiedzieć trochę, a może wręcz bardzo dużo...

– Urodziłam się w górskiej dolinie nad wioską Rhiwlas, koło Bangor, w lewym górnym rogu Walii, jak ciuchcia Ivor. Jestem jedynaczką, a mój ojciec miał kurzę fermę. Z tego co wiem, ciągle ją ma. Ponad tysiąc kur, wszystkie w tych klatkach niewiele większych od pudełka po butach, co to na nie pomstują aktywiści na rzecz praw zwierząt. Od wyklucia się z jajka trafiały na półkę w supermarkecie w sześćdziesiąt sześć dni. Mieszkaliśmy w małym domu schowanym za wielkim kurnikiem. Ojciec odziedziczył ten dom i ziemię po wujku, i z czasem rozbudował interes. Bo kiedy pan Bóg rozdawał wdzięk, ojciec dostał potrójną porcję. Sponsorował drużynę rugby z Rhiwlas i raz w tygodniu jeździł do Bangoru na próby męskiego chóru, w którym sam śpiewał. Jako pracodawca był stanowczy, ale ludzki. Dotował Plaid Cymru. Trudno byłoby ci znaleźć kogokolwiek w całym Gwynedd, kto powiedziałby o ojcu złe słowo.

Gwyn ma zamknięte oczy. Na jednej z jej powiek dostrzegam ledwie widoczną bliznę.

– Ale w moim ojcu było jakby dwóch ludzi. Ten na zewnątrz, dla innych, filar społeczności. I ten dla rodziny, bezduszny, nieludzki, kłamliwy i kontrolujący do granic, mówiąc delikatnie. Zasady, uwielbiał zasady. Zasady dotyczące brudu w domu. Jak należy nakrywać do stołu. W którą stronę szczoteczki mają mieć zwrócone główki. Jakie książki wolno w domu trzymać. Których stacji radiowych wolno słuchać – nie mieliśmy telewizora. Zasady ciągle się zmieniały, bo on chciał – właśnie chciał – żebyśmy z matką je łamały,

bo wtedy mógł nas karać. Narzędzie kary miało postać metalowej rury, okręconej watą, żeby nie zostawały siniaki. Po wymierzeniu nam kary miałyśmy mu podziękować, moja matka też. Jeśli nie byliśmy wystarczająco wdzięczne, przechodził do rundy drugiej.

– Jezu, Gwyn. Nawet wtedy, kiedy byłaś mała?

– Zawsze musiał postawić na swoim. Jego ojciec był taki sam.

– A twoja mama tak po prostu... nic nie robiła i pozwalała mu na to?

– Ktoś, kto przez to nigdy nie przeszedł, nie zrozumie. Masz szczęście. Kontrola polega na wzbudzaniu strachu. Jeśli wystarczająco boisz się konsekwencji, nie sprzeciwiasz się, nie bronisz się, nie uciekasz. Możesz przetrwać tylko dzięki mówieniu „tak”. To staje się normą. Przeróżną normą. Przeróżną, bo właśnie normą. Szczęśliwcy, którzy tego nie doświadczyli, myślą, że mogą powiedzieć: „Jeśli mu się nie stawiałaś, sama pozwalałaś mu na to”, ale jeśli ktoś był tym karmiony od kołyski, nie ma możliwości „postawienia się”. Ofiary przemocy domowej to nie tchórze. Ludzie, którzy nigdy przemocy nie doświadczyli, nie mają pojęcia, ile trzeba odwagi, żeby znosić to i żyć dalej. Moja mama nie miała dokąd uciec. Nie miała rodzeństwa, jej rodzice już nie żyli, kiedy brała ślub. A zasady taty zabraniały kontaktów z kimkolwiek. Zadawanie się z kimś z wioski było zaniedbywaniem domowych obowiązków, a karą była rura. Za bardzo się bałam, żeby mieć w szkole jakiegokolwiek koleżanki. Zaproszenie którejkolwiek do domu było wykluczone, a jeśli zapytałam, czy mogę pójść pobawić się u kogoś, byłam niewdzięczna, a karą za niewdzięczność była rura. W jego szaleństwie była metoda.

Alan Wall schował się w przyczepie. Jego koszula i dżinsy schną na sznurze i kapie z nich woda.

– Nie mogliście z mamą komuś tego zgłosić?

– Komu? Ojciec śpiewał w chórze z sędzią i przewodniczącym kolegium. Moi nauczyciele byli nim zauroczeni. Powiedzieć

pracownikowi opieki społecznej? Wtedy byłoby nasze słowo przeciw jego słowu, a ojciec był bohaterem wojennym, z wojny w Korei wrócił z medalem za odwagę. Mama była wrakiem człowieka, jechała na valium, a ja byłam trudną nastolatką, która ledwo potrafiła wydukać sensowne zdanie. Ostatni raz, kiedy mi groził – w głosie Gwyn brzmi teraz nuta fałszywej wesołości – wieczorem, mojego ostatniego dnia w domu, opisał, jak zabije mnie i mamę, jeśli kiedykolwiek spróbujemy go oczernić. Mówił, jakby opowiadał o majsterkowaniu. I był pewien, że mu to ujdzie na sucho. Pominę szczegóły tego, co mi zrobił, że w końcu zdecydowałam się na ucieczkę, ale na pewno podejrzewasz, co to było, i nie jesteś w błędzie. Miałam piętnaście lat. – Gwyn uspokaja głos, a ja żałuję, że wywołałam te zwierzenia. – Czyli byłam w twoim wieku, prawda? – Kiwam głową, zanim orientuję się, że potwierdzam jej przypuszczenia – To było pięć lat temu. Mama wiedziała, co mi zrobił – nasz dom był niewielki – ale nie miała odwagi go powstrzymać. Na drugi dzień wyszłam do szkoły, zabierając do torby parę ubrań, i od tamtej pory nie wróciłam do Walii. Zostały jeszcze jakieś szlugi?

– Gary’ego już się skończyły, zostały te moje.

– Rothmansy wolę dużo bardziej, jeśli mam być szczerą.

Podaję jej paczkę.

– Mam na nazwisko Sykes.

Kiwa głową.

– Holly Sykes. A ja Gwyn Bishop.

– Myślałam, że Gwyn Lewis.

– W obu jest „i” i „s”.

– Co się z tobą działo po wyjeździe z Walii?

– Tułałam się po Manchesterze, po Birmingham, prawie albo całkiem bezdomna. Żebrałam w centrum handlowym Bullring. Nocowałam po skłotach, w mieszkaniach kolegów, którzy okazali

się w końcu nie aż tak koleżeńscy. Staralam się przetrwać. Ledwo, ledwo. To naprawdę cud, że dożyłam do dzisiaj. Cudem było też to, że jakoś uniknęłam odesłania do domu, bo dopóki nie skończysz osiemnastu lat, opieka społeczna przekazuje cię po prostu władzom miejscowości, z której pochodzisz. Do dzisiaj śnią mi się koszmary o tym, jak ojciec wita w domu córę marnotrawną, pracownik opieki społecznej patrzy na to i myśli: „Wszystko dobre, co się dobrze kończy”, a potem mój ojciec zamyka drzwi na zasuwkę. A snuję tę radosną opowieść, żeby ci uzmysłwić, jak bardzo zły obrót muszą przybrać sprawy, żeby ucieczka była rozsądnym rozwiązaniem. Z szarej strefy nie ma powrotu. Pięć lat musiało minąć, żebym odważyła się pomyśleć, że najgorsze już za mną. A teraz patrzę na ciebie i...

Gwyn urywa, bo jakiś chłopak na rowerze hamuje z poślizgiem tuż przed nami.

– Sykes – mówi.

Ed Brubeck? Ed Brubeck.

– A ty skąd się tu wzięłaś?

Ma włosy mokre od potu.

– Szukam ciebie.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że przyjechałeś aż tutaj rowerem? Masz przecież szkołę...

– Rano pisałem egzamin z matmy, ale już jestem wolny. Wsiadłem z rowerem w pociąg, a potem miałem do podjechania tylko kawałek z Sheerness. Holly...

– Musisz naprawdę bardzo chcieć tę czapkę z powrotem.

– Nie chodzi o czapkę, Sykes, ale musimy...

– Chwila, skąd wiedziałeś, gdzie jestem?

– Nie wiedziałem, ale pamiętam, że ci mówiłem o farmie Gabriela Harty’ego, więc do niego zadzwoniłem. Powiedział, że nie ma tu Holly Sykes, ale jest jedna Holly Rothmans. Pomyślałem, że to możesz

być ty, i miałem rację.

Gwyn mamrocze pod nosem:

– Nic już nie mówię.

– Brubeck, Gwyn, Gwyn, Brubeck – przedstawiam ich sobie, a oni witają się skinieniem głowy, ale zaraz potem Brubeck znowu zwraca się do mnie:

– Coś się stało.

Gwyn wstaje.

– Do zobaczenia w naszym apartamencie. – Patrzy na mnie znacząco, zachęcając spojrzeniem: „nie daj mu się długo prosić”, i odchodzi.

Odwracam się do Brubecka, trochę zniecierpliwiona.

– Tak, słyszałam.

Patrzy na mnie, nie rozumiejąc.

– To co tu jeszcze robisz?

– Mówili o tym w radiu. O tym potrójnym zabójstwie. W Iwade.

– Ja nie o tym. – Brubeck zagryza wargę. – Jest tu z tobą twój brat?

– Jacko? Oczywiście, że nie. Dlaczego miałby tu być?

Podbiega do nas Sheba, szcękając na Brubecka, który waha się, jakby miał do zakomunikowania przerażające wieści.

– Jacko zniknął z domu.

Czuję nagły zawrót głowy, kiedy docierają do mnie jego słowa. Brubeck krzyczy na sukę:

– Cicho! – I Sheba milknie.

Słabym głosem pytam:

– Kiedy?

– W nocy z soboty na niedzielę.

– Jacko? – Musiałam się przesłyszeć. – Zaginął? Ale jak to? To niemożliwe. Rodzice zamykają pub na noc.

– Policja była wcześniej w szkole. Nixon przyszedł do nas na salę

egzaminacyjną i zapytał, czy ktoś wie, gdzie jesteś. Chciałem się odezwać, ale postanowiłem sam pojechać cię szukać. Sykes? Słuchasz mnie?

Żołądek podjeżdża mi do gardła, a nogi robią się lekkie, jak w windzie, która szybko sunie w górę.

– Przecież ja nie widziałam Jacko od soboty rano...

– Wiem. Ale policja tego nie wie. Chyba myślą, że ty i Jacko nawialiście gdzieś razem.

– Ale to bzdura. Brubeck, wiesz dobrze, że to bzdura!

– Tak, ja wiem, ale musisz powiedzieć to policji, bo inaczej będą szukali Jacko na pół gwizdka.

Przed oczyma przelatują mi wizje pociągów do Londynu, policyjnych nurków, którzy przeszukują Tamizę i mordercy czającego się za żywoptłem.

– Ale Jacko nawet nie wie, gdzie jestem! – Teraz cała się już trzęsę, niebo się obsuwa, a głowa mi pęka. – On nie jest normalnym dzieckiem i... i...

– Posłuchaj. Posłuchaj mnie! – Brubeck chwyta dłońmi moją głowę i trzyma jak chłopak, który chce pocałować dziewczynę, tylko że on nie całuje. – Posłuchaj. Idź, zabierz swoją torbę. Wracamy do Gravesend. Podjedziemy rowerem, a potem wsiądziemy w pociąg. Wygrzebię cię, Holly, z tego. Obiecuję. Chodźmy. Szybko.

Niosę mirrę, gorzka jej woń

1991

13 grudnia

– Tenory, donośniej i niżej – komenderuje dyrygent chóru. – Niech sztywna przepona trochę się pougina, chłopcy! W górę, w dół, w górę, w dół. Ssssoprany, mniej sssyczące esss, to nie chór Golumów! Za tto wszystkimie ttt dobitttnie. Adrian B, do ciebie mówię, jeśli potrafisz wyciągnąć czyste górne C w *Weep You No More, Sad Fountains*, wyciągniesz i tutaj. Jeszcze raz i z werwą! Trzy, czte-ry...

Szesnastu małych chórzystów King's College Choir, z wielkimi uszami i bezkształtnymi fryzurami, oraz czternastu studentów śpiewu unisono wypuszcza z płuc powietrze...

*Of one that is so fair and bright
Velut maris stella...*

Rozbrzmiewa *Hymn do Maryi Panny* Benjamin Brittena, goniąc ogon własnego echa pod okazałym sklepieniem, a zaraz potem spadając z góry jak jastrząb na garstkę przybyłych zimą turystów i na nas, studentów, siedzących w prezbiterium w wilgotnych okryciach. Dla mnie Britten to kompozytor nieprzewidywalny – miejscami rozwlekły, ale kiedy się starego pedała podkręci, przywiązuje roztrzęsioną duszę do masztu i wściekle siecze majestatem...

*Brighter than the day is light,
Parens et puella...*

Kiedy mogę pozwolić sobie na chwilę beczynności, zastanawiam się czasem, jaką muzykę będę słyszał na łożu śmierci, otoczony grupką

gorących pielegniareczek. Nie przychodzi mi do głowy nic radośniejszego niż właśnie *Hymn do Maryi Panny*, ale boję się, że kiedy nadejdzie ta wielka chwila, DJ Coma wyśle mnie w zaświaty na grzbiecie *Gimme! Gimme! Gimme! (A Man After Midnight)* i ten jeden raz w życiu nie będę mógł żądać rekompensaty. Ale cicho bądź, świecie, oto nadchodzi jeden z najwspanialszych kanonicznych orgazmów w muzyce, na *Cry*:

*I cry to thee, thou see to me,
Lady pray thy Son for me...*

Aż mi się jeżą włosy na karku, jakby ktoś mi dmuchał w szyję. Na przykład ona, ta, która siedzi w ławce, po drugiej stronie nawy. Jeszcze przed chwilą jej tam nie było. Zamknęła oczy, żeby chłonąć muzykę, więc ja chłonę ją. Jest przed czterdziestką. Ma włosy koloru wanilii, skórę jak krem, usta barwy beaujolais, a o kości policzkowe można skaleczyć sobie kciuk. Jej szczupłą postać okrywa palto w kolorze głębokiego granatu. Radziecka śpiewaczka operowa, która uciekła i właśnie czeka na umówionego człowieka. Wszystko jest możliwe, to Cambridge. A ona jest z pierwszej ligi.

*Tam pia,
That I might
Come to thee...
Maria.*

Niech jeszcze zostanie, kiedy chór już opuści prezbiterium. Niech się zwróci do młodego mężczyzny, który siedzi w ławce: „Niebiańska muzyka, nieprawdaż?”. Podyskutujmy o Interludiach z *Petera Grimesa* i o *Dziwiątęj Brucknera*. Gdy będziemy pili kawę w *County Hotel*,

unikajmy rozmów o jej sytuacji rodzinnej. Niech kawa zmieni się w pstrąga i czerwone wino, i pies jebał pożegnalne piwo na koniec trimestru z chłopakami w Bładym Biskupie. Wejźmy na górę po wyłożonych chodnikiem schodach do przytulnego mieszkanca, gdzie zabawiałem się z matką Fitzsimmonsa w pierwszym tygodniu nauki. Auć. Wąż w moich bokserkach się budzi. Jestem mężczyzną, mam dwadzieścia jeden lat i nie bzykałem od dziesięciu dni, więc czego chcecie? Nie mogę jednak poprawić spodni, kiedy patrzy dama. Czyżby...? Proszę, proszę, ona dyskretnie mi się przygląda. Ja natomiast wpatruję się w *Pokłon Trzech Króli* Rubensa wiszący nad ołtarzem i czekam, aż ona zrobi pierwszy krok.

*

Chór wychodzi, a ona zostaje. Jakiś turysta wycelowuje gruby obiektyw w Rubensa, ale krasnolud-strażnik warczy:

– Nie wolno używać flesza!

Prezbiterium pustoszeje, krasnolud wraca do swojej budki przy organach. Powoli mijają kolejne minuty. Na moim roleksie jest trzecia trzydzieści. Muszę jeszcze dokończyć pisanie pracy o polityce zagranicznej Ronalda Reagana, ale przecież sześć stóp ode mnie siedzi tajemnicza bogini i czeka, aż zrobię pierwszy krok.

– Zawsze mówię – zaczynam – że przysłuchiwanie się, jak chórzyści ciężko pracują nad wykonaniem jakiegoś dzieła, tylko pogłębia tajemnicę muzyki i wcale niczego sztuce nie odbiera. Nie uważa pani?

– Studenci mogą tak sądzić, owszem.

O ty, tupeciaro.

– A pani pisze doktorat? Wykłada?

Cień uśmiechu.

– Czy ubieram się jak wykładowczynie?

– Z pewnością nie. – W jej łagodnej mowie słychać frankofońskie krągłości. – Zgaduję jednak, że umie pani równie sprawnie zonglować ripostami.

Bez reakcji.

– Po prostu czuję się tu jak u siebie.

– Ja też jestem tu prawie u siebie. Mam pokój w Humber College, tylko kilka minut stąd. Większość studentów trzeciego roku mieszka poza kampusem, ale ja mogę tu często wpadać i słuchać chóru, o ile rozkład zajęć pozwala.

Jej przeciągłe spojrzenie mówi: „Ktoś tu szybko przechodzi do rzeczy”.

Niewinnie wzruszam ramionami: *Carpe diem*.

Ona pyta:

– Cambridge spełnia pańskie oczekiwania?

– Jeśli ktoś nie wykorzystuje właściwie czasu w Cambridge, nie zasługuje, żeby tu być. Mój pokój zajmowali Erazm, Piotr Wielki i lord Byron. Sprawdziłem. – Bzdura, ale uwielbiam teatr. – Wyobrażam ich sobie, jak leżeli na moim łóżku i wpatrywali się w ten sam sufit, każdy w swoim stuleciu. To właśnie jest dla mnie Cambridge. – I to właśnie jest stary, wypróbowany po wielokroć podryw. – Mam na imię Hugo, tak w ogóle. Hugo Lamb.

Intuicja ostrzega mnie przed próbą przywitania się uściskiem dłoni.

– Immaculée Constantin – mówią jej usta.

Och. Och. Siedmiosylabowy ręczny granat.

– Francuzka?

– Urodziłam się w Zurichu.

– Mam słabość do Szwajcarii. Jeżdżę prawie co roku na narty do La Fontaine Sainte-Agnès, mój przyjaciel ma tam chatę. Zna pani to miejsce?

– Dawno, dawno temu znałam. – Kładzie na kolanie dłoń w zamszowej rękawiczce. – Studiuje pan politykę, Hugo.

Jestem pod wrażeniem.

– Skąd pani wie?

– Niech mi pan opowie o władzy. Co to takiego?

Chyba właśnie mnie przechytrzyła i moje cambridge’owanie poległo.

– Chce pani rozmawiać o władzy? Teraz, tutaj?

Lekko przekrzywia kształtną głowę.

– Istnieje wyłącznie teraz.

– Dobrze. – Robię to tylko dla kobiet z pierwszej ligi. – Władza to możliwość zmuszenia kogoś do czegoś, czego inaczej by nie zrobił, albo powstrzymania go od czegoś, co inaczej by zrobił.

Immaculée Constantin pozostaje nieprzenikniona.

– Jak?

– Przymusem i nagrodą. Metodą kija i marchewki, choć przy złym świetle jedno można pomylić z drugim. Przymus opiera się na strachu przed przemocą lub cierpieniem. „Bądź posłuszny, bo pożałujesz”. Duńczycy w dziesiątym wieku w ten sposób egzekwowali daniny. Również właśnie na tym opierała się spójność Układu Warszawskiego. I tę metodę stosują dzieciaki, które zastraszają grupę rówieśników. Na przymusie opiera się prawo i porządek. Dlatego zamykamy przestępców i dlatego nawet demokracje dążą do zmonopolizowania siły. – Immaculée Constantin przygląda się mojej twarzy, kiedy mówię, a mnie to podnieca i rozprasza. – Nagroda natomiast działa poprzez obietnicę: „Bądź posłuszny, a odczujesz korzyści”. Dynamika tego rodzaju występuje, powiedzmy, przy rozmieszczaniu baz NATO w krajach nieczłonkowskich, przy tresowaniu psów i przy zgadzaniu się na niesatysfakcjonującą pracę zawodową. Jak mi idzie?

Kichnięcie krasnala-strażnika odbija się echem w całej kaplicy.

– Ledwo musnął pan temat – odpowiada Immaculée Constantin.
Czuję pożądanie i złość.

– Zatem proszę sięgnąć głębiej.

Ona strząsa paproszek z rękawiczki i mówi jakby do swojej dłoni:

– Władzę można stracić albo zdobyć, ale nie można jej stworzyć, ani zniszczyć. Władza jest jak gość, który odwiedza tych u władzy, ale nigdy nie stanowi ich własności. Żądni jej są szaleńcy, żądnych jej jest wielu zdrowych na umyśle, ale tylko mądrzy biorą pod uwagę, jakie skutki uboczne przyniesie w dłuższym czasie. Władza jest kokainą dla ego i kwasem solnym dla duszy. Witanie się i żegnanie z władzą przez kolejnych gospodarzy, u których się zatrzymuje, za sprawą wojny, małżeństwa, urny wyborczej, dyktatu i przypadku narodzin, tworzy tkankę historii. Ci u władzy mogą służyć sprawiedliwości, zmieniać oblicze Ziemi, przekształcać żyzne krainy w dymiące pola bitew i burzyć drapacze chmur, ale sama władza jest amoralna. – Immaculée Constantin podnosi na mnie wzrok. – Władza cię dostrzeże. Władza patrzy na ciebie w tej chwili. Jeśli będziesz nadal zachowywał się tak jak dotychczas, władza będzie ci przychylna. Ale będzie też się bezlitośnie śmiała, kiedy będziesz umierał w prywatnej klinice za kilkadziesiąt lat, które przeminą w mgnieniu oka. Władza śmieje się ze wszystkich świątłych wybrańców na łożu śmierci. „Potężny Cezar przedzierzgnął się w glinę, którą przed wiatrem chłop zatkał szczelinę”[1]. Nic nie napawa mnie takim obrzydzeniem, Hugo, jak ta myśl. Ciebie nie?

Głos Immaculée Constantin uspokaja i kołysze jak deszcz padający nocą.

Cisza w kaplicy King’s College jakby sama decydowała, czy będzie trwać.

– Tak to już jest – mówię w końcu. – Życie ma wpisana w kontrakt klauzulę śmiertelności. Wszyscy kiedyś umrzemy. Ale na razie

czynienie bliźniemu jest znacznie bardziej pociągające niż pozwalanie, by bliźni czynił tobie.

– Co się narodziło, musi umrzeć. Tak mówi kontrakt na życie, tak? Cóż, moim zadaniem jest poinformowanie cię, że w rzadkich przypadkach owa żelazna klauzula może zostać zmieniona.

Studiuję jej spokojną, poważną twarz.

– O jakim poziomie wariactwa mówimy? O ćwiczeniach fitness? O diecie wegańskiej? O przeszczepie organów?

– O formie władzy, która pozwala bez końca opierać się śmierci.

Owszem, Miss Constantin jest z pierwszej ligi, ale jeśli wyznaje scjentologię łamaną przez kriogenikę, musi zrozumieć, że nie kupuję nawiedzonego pierdolenia.

– Przemawia pani do mnie z Krainy Oblędu?

– W sprawach, o których mówię, granice krain nie istnieją.

– Ale mówi pani o nieśmiertelności, jakby była możliwa.

– Nie. Mówię o opieraniu się śmierci bez końca.

– Chwila, przysłał panią Fitzsimmons? Czy Richard Cheeseman? Chcecie mnie zrobić, tak?

– Nie. Przynoszę ziarno pewnej idei.

To już zakrojone ze zbyt wielką fantazją na dowcip Fitzsimmonsa.

– A co dokładnie ma z niego wyrosnąć?

– Remedium na twoją dolegliwość.

Trzeźwość jej umysłu mnie niepokoi.

– Ależ mnie nic nie dolega.

– W twoją strukturę komórkową wpisana jest śmiertelność, a mówisz, że nic ci nie dolega? Spójrz na ten obraz. Przyjrzyj mu się. – Wskazuje głową *Pokłon Trzech Króli*. Posłusznie patrzę. Zawsze będę posłuszny. – Trzyście postaci, jeśli je policzyć, jak w Ostatniej Wieczery. Pasterze, królowie, krewni. Przyjrzyj się po kolei ich twarzom. Kto z nich wierzy, że to nowo narodzone maleństwo

pewnego dnia będzie mogło pokonać śmierć? Kto z nich żąda dowodu? Kto podejrzewa, że Mesjasz jest fałszywym prorokiem? Kto wie, że jest na obrazie, a ktoś inny na niego patrzy? Kto odwzajemnia twoje spojrzenie?

*

Krasnolud-strażnik macha mi ręką przed oczami.

– Pobudka! Przepraszam, że przeszkadzam, ale czy mógłby pan wrócić do interesów z Wszechmogącym już jutro?

Najpierw myślę: Jak śmie? A potem już nic nie myślę, bo od jego oddechu walącego gorgonzolą i rozpuszczalnikiem zbiera mi się na wymioty.

– Zamykamy – mówi.

– Kaplica jest otwarta do szóstej – informuję go.

– Owszem. Racja. A którą mamy teraz?

Patrzę w okna: wypełnia je lśniący mrok.

Na moim zegarku jest siedemnasta pięćdziesiąt osiem, nie inaczej. Ale to niemożliwe. Minęła dopiero czwarta. Zza brzucha krasnoluda usiłuję wypatrzeć Immaculée Constantin, ale ona już zniknęła. Dawno zniknęła. Ale nie nie nie nie, przecież zaledwie kilka sekund temu kazała mi patrzeć na Rubensa. Patrzyłem i...

Marszcząc brwi, szukam odpowiedzi u krasnoluda.

– Wszyscy muszą wyjść do szóstej – mówi. – Zamykamy. Już nieczynne.

Podstawia mi pod nos swój zegarek, pukając w szkiełko. Nawet do góry nogami na jego tanim ohydym wyświetlaczu wyraźnie widać: 17:59.

Bąkam:

– Ale... – Ale co? Dwie godziny nie rozplywają się gdzieś w ciągu

dwóch minut. – Czy była tu... – pytam cienkim głosem – ...była tu kobieta? Siedziała tutaj?

Krasnolud patrzy tam, gdzie pokazuję.

– Kiedy? Dzisiaj? W tym roku? W ogóle?

– O jakiejś... wpół do czwartej chyba. W granatowym palcie. Niezła.

Krasnolud zakłada na piersi krótkie rączki.

– Rozumiem, że jest pan upalony, ale gdyby był pan łaskaw ruszyć tyłek, to ja już bym chciał pójść do domu.

*

Ja, Richard Cheeseman, Dominic Fitzsimmons, Olly Quinn i Jonny Penhaligon stukamy się szklankami i butelkami wśród hałaśliwych rozmów i odgłosów napełniania szkła w Białym Biskupie, przez brukowaną uliczkę od zachodniej bramy Humber College. W pubie jest tłum: jutro wszyscy rozjeżdżają się do domów na święta i mamy szczęście, że znaleźliśmy stół w kąciaku na samym końcu. Wychyłam jednym łykiem Kilmagoon Special Reserve, a oleista szkocka zostawia piekącą smugę, od migdałków po żołądek. W żołądku natomiast zaczyna pracować nad robakiem, który gryzie mnie od czasu, kiedy odleciałem w kaplicy. Usiłowałem sobie mój odlot racjonalnie wytłumaczyć. Jestem przemęczony pisaniem prac zaliczeniowych i gonią mnie terminy; Mariângela nęka mnie telefonami; i w zeszłym tygodniu musiałem przetrwać dwie całonocne karciane sesje u Toada, żeby urobić Jonny'ego Penhaligona. Utrata orientacji w czasie nie dowodzi jeszcze guza mózgu, przecież nie wywalilem się jak długi ani nie błąkałem się nago między kominami na dachu koledżu. Straciłem rachubę czasu, kiedy siedziałem w najpiękniejszym późnogotyckim kościele w Anglii i kontemplowałem dzieło Rubensa – w takich okolicznościach można się zatracić. Olly Quinn odstawia swoje do

połowy wypite duże piwo i tłumi beknięcie.

– I jak, Lamb, rozgryłeś już, jak Ronald Reagan wygrał zimną wojnę?

Ledwo mogę go dosłyszeć, bo Młodzi Konserwatyści Humber College w sąsiedniej sali wyją w rytm *Mistletoe and Wine* Cliffa Richardsa, hitu najprawdopodobniej nieśmiertelnego.

– Rozgryłem, wyplułem i wsunąłem pod drzwi profesora Deweya.

– Nie mam pojęcia, jak byłeś w stanie wytrwać na polityce trzy lata.

– Richard Cheeseman ociera pianę guinnessa z zarostu à la młody Hemingway. – Chybabym się obrzezał tarką.

– Żałuj, że cię nie było na kolacji – mówi mi Fitzsimmons. – Na deser wypaliliśmy resztkę narnijskiego zioła Jonny’ego. Woźna będzie sprzątać w czasie ferii, mogłaby je znaleźć, uznać za bobek, zawiązać w lepiący się numer *Scouting Ahoy!* spod łóżka Jonny’ego i wyrzucić. Nie mogliśmy na to pozwolić.

Jonny Penhaligon, ciągnąc duszkiem swojego bitterka, pokazuje Fitzsimmonsowi środkowy palec. Jego wystająca grdyka rytmicznie porusza się w górę i w dół. Leniwie wyobrażam sobie, jak podcinam mu ją żyłką. Fitzsimmons pociąga nosem i pyta Cheesemana:

– A gdzież twój przyjaciel z Tajemniczego Orientu, wielbiciel skórzanych spodni?

Cheeseman spogląda na zegarek.

– Trzy tysiące stóp nad Syberią, właśnie zmienia się z powrotem w porządnego pierworodnego syna, jak na konfucjańską rodzinę przystało. Sądzisz, że gdyby Sek jeszcze był w Cambridge, ryzykowałbym pokazywanie się z bandą rozpasanych heteroseksualistów? W pełni przerzuciłem się na skośnookich książąt. Rzuć szluga, Fitz, bo aż mnie – ha ha – ssie.

– Tutaj nie trzeba samemu palić. – Olly Quinn rozczuła nas tym, że jako jedyny z naszego towarzystwa nie pali. – Wystarczy wdychać

powietrze.

– A nie miałeś rzucić? – Fitzsimmons podaje Cheesemanowi paczkę dunhilli, z której częstujemy się też ja i Penhaligon.

– Od jutra, od jutra. – Cheeseman się krzywi. – Jonny, daj zapalniczkę Hermana Göringa, możesz? Uwielbiam słuchać tego syku zła.

Penhaligon wyjmuje zapalniczkę z czasów Trzeciej Rzeszy. Jest autentyczna, jego wujek zdobył ją w Dreźnie, a na aukcji takie same chodzą po trzy tysiące funtów.

– Gdzie się dziś podziewa RCP?

– Przyszły lord Rufus Chetwynd-Pitt – odpowiada Fitzsimmons – wali dziś dragi. Wielka szkoda, że nie może się z tego doktoryzować.

– To sektor rynku odporny na recesję – zauważam.

– Za rok o tej porze – Olly Quinn skubie etykietę swojego bezalkoholowego piwa – będziemy już zarabiać na życie w prawdziwym świecie.

– Nie mogę się, kurwa, doczekać – mówi Fitzsimmons, gładząc dołek w brodzie. – Nienawidzę biedy.

– Serce mi krwawi. – Richard Cheeseman trzyma szluga w kąciku ust à la Serge Gainsbourg. – Ludzie widzą pałac twoich rodziców w Cotswolds, twoje porsche, twoje ubrania od Versace i wyciągają totalnie błędne wnioski.

– To fortuna rodziców – odpowiada Fitzsimmons. – Wypadałoby, żebym mógł puszczać własne góry kasy.

– Tatusz nadal szuka ci pracy w City? – pyta Cheeseman, a potem marszczy brwi, kiedy Fitzsimmons bierze go za rękę i uważnie przygląda się wnętrzu jego dłoni. – Co ty robisz?

– Chcę ci wyjąć zadrę do świata.

– Jest przyspawana – mówię Fitzsimmonsowi. – A ty nie krytykuj nepotyzmu, Cheeseman. Wszyscy moi ustosunkowani wujkowie są

zgodni, że na nepotyzmie zbudowano wielkość tego kraju.

Cheeseman wydmuchuje dym w moją stronę.

– Któregoś dnia pożałujesz, kiedy okaże się, że jesteś wypalonym byłym analitykiem Citibanku, komornik właśnie zabiera ci lamborghini, a adwokat twojej trzeciej żony wali cię w jaja sędziowskim młotkiem.

– Jasne – mówię – a Duch Przyszłej Gwiazdki widzi Richarda Cheesemana jako wolontariusza w fundacji ratującej z nędzy dzieci na ulicach Bogoty.

Cheeseman oczami wyobraźni ogląda biedne dzieci na ulicach Bogoty, rozkosznie mruczy, ale odrzuca tę wizję.

– Pomoc charytatywna wyucza bezradności i niedołęstwa. Nie, ja zostanę człowiekiem pióra. Felietonik tu, powieść tam, od czasu do czasu program w telewizji. À propos... – Grzebie w kieszeni marynarki i wyjmuje książkę *Suszone embryony* autorstwa Crispina Hersheya. Na okładce czerwony napis informuje: „EGZEMPLARZ TYLKO DLA RECENZENTÓW”. – Moja pierwsza płatna recenzja dla Felixa Fincha z „Piccadilly Review”. Dwadzieścia pięć pensów za słowo, tysiąc dwieście słów, trzysta funtów za dwie godziny pracy. Nieźle.

– Redakcje z Fleet Street, drzyjcie – ostrzega Penhaligon. – Kto to jest Crispin Hershey?

Cheeseman wzdycha.

– Syn Anthony’ego Hersheya?

Penhaligon patrzy na niego, mrugając, i nadal nie wie, o kim mowa.

– Oj, Jonny, włącz zajarę! Anthony Hershey! Reżyser! Oskar za *Box Hill* w 1964, w latach siedemdziesiątych zrobił *Ganimedesa 5*, absolutnie najlepszy brytyjski film science fiction wczecch czasów.

– Po tym filmie chciałem się zabić – wyznaje Fitzsimmons.

– Na mnie twoje apanaże robią wrażenie, nasz Richardzie – mówię.

– Ostatnia powieść Crispina Hersheya była rewelacyjna. Natknąłem

się na nią w hostelu w Ladah, kiedy wziąłem roczny urlop od nauki. A ta najnowsza też jest taka dobra?

– Prawie. – Monsieur Le Critic łączy palce obu dłoni. – Hershey junior zgrabnie operuje stylem, a Felix – dla was, plebejusze, Felix Finch – stawia go w jednym rzędzie z McEwanem, Rushdiem, Ishiguro *et al.* Felix głosi te pochwały przedwcześnie, ale jeszcze kilka książek i Hershey ładnie do tych peanów dojrzeje.

Penhaligon pyta:

– A jak tam twoja własna powieść, Richard?

Z Fitzsimmonsem robimy do siebie wisielcze miny.

– Ewoluuje. – Cheeseman patrzy w swoją świetlaną przyszłość literacką i podoba mu się, co widzi. – Moim bohaterem jest student Cambridge, Richard Cheeseman, który pracuje nad powieścią o studencie Cambridge, Richardzie Cheesemanie, który pracuje nad powieścią o studencie Cambridge, Richardzie Cheesemanie. Nikt jeszcze nigdy nie próbował takiej konstrukcji.

– Niezłe – ocenia Jonny Penhaligon. – Zapowiada się na...

– Wielkie gówno – oznajmiam, a Cheeseman piorunuje mnie wzrokiem, aż w końcu dodaje: – ...napiera mi właśnie na zwieracz. I pęcherz też mi pęka. Książka zapowiada się niesamowicie, Richard. Wybaczcie.

*

W męskiej toalecie pachnie sfermentowanym płynem, a jedyny wolny pisuar jest zatkany i niemal przelewa się z niego ciemnożółta ciecz, więc muszę odstać w kolejce jak dziewczyna. W końcu jakiś wielki niedźwiedź nieśpiesznie odchodzi, a ja zajmuję wolne miejsce. Kiedy nakładam cewkę moczową do rozwarcia, odzywa się ktoś przy sąsiednim pisuarze:

– Hugo Lamb! Kogóż widzą moje oczy!

Krępy mężczyzna o śniadej cerze, w grubym wełnianym swetrze. Ma sztywne, ciemne włosy, a jego „Lamb” brzmi jak „Limb” – samogłoski Nowozelandczyka. Jest starszy ode mnie, ma około trzydziestu lat i nie mogę go sobie przypomnieć.

– Poznaliśmy się na twoim pierwszym roku. W uczelnianym klubie strzeleckim. Przepraszam, to absolutnie wbrew obyczajom męskiego klopa, przeszkadzać tak komuś w środku akcji. – Sam leje bez trzymanki do gulgoczącego pisuaru. – Elijah D’Arnoq, studia magisterskie, Corpus Christi.

Coś mi świta. Rzadkie nazwisko.

– Klub strzelecki, tak. Jesteś z tych wysp na wschód od Nowej Zelandii?

– Z Chathamów, zgadza się. Zapamiętałem cię, bo jesteś urodzonym strzelcem. Nadal jest miejsce w klubie, jakby co.

Kiedy już nabieram pewności, że nie chodzi mu o to, że bym się schylił po mydło, w końcu zaczynam sikać.

– Obawiam się, że przeceniasz mój potencjał.

– Stary, mógłbyś startować w zawodach. Powaga.

– Jeśli chodzi o zajęcia dodatkowe, trochę się porozmieniałem na drobne.

On kiwa głową.

– Życie jest zbyt krótkie, żeby zdążyć zrobić wszystko, tak?

– Mniej więcej. A tobie... podoba się w Cambridge?

– Uwielbiam Cambridge! Mam rewelacyjne laboratorium i świetnego profesora. Ty studiujesz ekonomię i politykę, prawda? I chyba jesteś na ostatnim roku?

– Owszem. Zleciało nie wiem kiedy. Nadal strzelasz?

– To dla mnie religia. Jestem Anachoretą.

Zastanawiam się, czy „anachoreta” to jakiś nowozelandzki slang,

czy żargon z klubu strzeleckiego. W Cambridge na każdym kroku słyszy się słowa dla wtajemniczonych, specjalnie po to, żeby niewtajemniczeni ich nie rozumieli.

– Super – mówię. – Lubiałem chodzić na strzelnicę.

– Nigdy nie jest za późno. Strzelanie jest jak modlitwa. A kiedy cywilizacja się zwinnie, broń będzie więcej warta niż wszystkie dyplomy magistra. Wesołych świąt. – Zapina rozporek. – Na razie.

*

– To gdzie ta twoja tajemnicza pani, Olly? – pyta Penhaligon.

Olly Quinn marszczy brwi.

– Powiedziała, że będzie tu przed wpół do ósmej.

– Tylko półtorej godziny spóźnienia – usprawiedliwia Cheeseman. – To jeszcze nie znaczy, że rzuciła cię dla pakera z urodą Keanu Reevesa, pytongiem jak moje ramię i z charyzmą *à moi*. Niekoniecznie.

– Wraca ze mną samochodem do Londynu – mówi Olly. – Mieszka w Greenwich, więc musi się niedługo zjawić...

– Przyznaj się, Olly – nalega Cheeseman. – Jesteśmy twoimi kumplami. To twoja prawdziwa dziewczyna, czy tylko... no, wiesz... zmyśliłeś ją?

– Mogę poręczyć za jej istnienie – tajemniczo wtrąca Fitzsimmons.

– Tak? – Wbijam w Olly’ego groźne spojrzenie. – Odkąd to ten ruchacz ma pierwszeństwo przed twoim sąsiadem z piętra?

– To było przypadkowe spotkanie. – Fitzsimmons wsypuje sobie do ust okruszki po prażonych orzeszkach. – Wyszpiegowałem Olly’ego z towarzyszką w dziale „teatr” w księgarni Heffera.

– A jako zreformowany postfeministyczny mężczyzna – pytam Fitzsimmonsa – gdzie byś na skali umieścił tę królową Ness?

– Jest niezła. Domyślam się, Olly, że ktoś tu korzystał z usług pań do

wynajęcia?

– Pieprz się. – Olly uśmiecha się jak kot na myśl o rybie. – Ness! – Zrywa się z krzesła na widok dziewczyny, która przeciska się przez zbity tłum studentów. – O wilku mowa. Cieszę się, że dotarłaś.

– Olly, bardzo przepraszam za spóźnienie – mówi dziewczyna i całują się w usta. – Autobusu nie było osiemset lat.

Znam ją, czy też znałem, ale tylko w sensie biblijnym. Nie mogę sobie przypomnieć jej nazwiska, ale pozostałe jej części pamiętam bardzo dobrze. To był jakiś afterek na moim pierwszym roku, chociaż wtedy miała jeszcze na imię „Vanessa”. Była jedną z dziewczyn z koszarowym dowcipem z Chelthenham Ladies’ College, jeśli mnie pamięć nie myli. Mieszkała w ogromnym domu, całym wynajętym studentom, na samym końcu Trumpington Road, gdzie psy szczekały dupami. Obaliliśmy niemal duszkiem flaszkę chateau latour ’76, zwędzoną przez nią z piwnicy domu, w którym odbywał się biforek. Od tamtej pory wpadaliśmy na siebie czasem przy jakichś okazjach i pozdrawialiśmy się skinieniem głowy, żeby uniknąć prostackiego niezauważania się nawzajem.

Ona zwykle gra chytrzej niż Olly, ale kiedy zastanawiam się, co w nim widzi, przypominam sobie, że ma zawieszoną prawko za jazdę pod wpływem alkoholu, a Olly ma ciepłą suchą astrę. W miłości i na wojnie wszystkie chwytły dozwolone, i choć można mi wiele zarzucić, nie jestem hipokrytą.

Ness dostrzegła mnie i jedna piąta sekundy wystarczy nam, żeby uzgodnić politykę amnezji, choć pełnej serdeczności.

– Siadaj na moim miejscu – mówi Olly, zdejmując jej płaszcz, jak szarmancka pipa – a ja... uklęknę sobie. Fitz, wy się już znacie. A to jest Richard.

– Bardzo mi miło. – Cheeseman na przywitanie ścisną same końce jej palców. – To ja jestem ta złośliwa ciota. A ty jesteś „Nessie” jak

Potwór czy „Ness” jak Loch Ness?

– Jest mi równie miło. – Jej głos też pamiętam. Akcent panny z wyższych sfer, udającej dziewczynę z ulicy. – Znajomi nie mają problemów po prostu z „Ness”, ale ty możesz mówić „Vanessa”.

– Jonny, Jonny Penhaligon. – Jonny wychyla się, żeby uścisnąć jej dłoń. – Miło mi. Olly dużo nam o tobie opowiadał.

– W samych superlatywach. – Podnoszę dłoń na powitanie. – Hugo. Ness jarzy w mig.

– Hugo, Jonny, złośliwa ciota i Fitz. Zapamiętałam. – Odwraca się do Olly’ego. – A przepraszam, możesz powtórzyć, jak ty masz na imię?

Olly śmieje się ciut za głośno. Jego źrenice zmieniły się w serduszka i po raz tysięczny ósmy zastanawiam się, jak to jest czuć w sobie miłość, tak wewnątrz, bo na zewnątrz zakochany zachowuje się jakby mu jej cycki przygniatały rozum.

– Richard miał właśnie stawiać nam kolejkę – mówi Fitzsimmons. – Prawda, Richard? Przewietrzysz portfel?

Cheeseman udaje zaskoczenie.

– A to nie twoja kolejka, Penhaligon?

– Chciałbyś, ale nie. Stawiałem poprzednią.

– Ale przecież do ciebie należy połowa Kornwalii! – upiera się Cheeseman. – Powinnaś zobaczyć posiadłość Jonny’ego, Ness. Ogrody, pawie, jelenie, stajnie, trzy stulecia portretów kapitanów Penhaligonów w głównym hallu.

Penhaligon żacha się.

– To właśnie przez Tredavoe House nie mamy żadnych pieniędzy. Koszty utrzymania to potworne obciążenie. A pawie to potwory.

– Nie bądź kutwą, Jonny, na podatku pogłównym oszczędzacie majątek. A ja bym musiał złapać jakąś fuchę, żeby mieć chociaż na autokar do domu, do mojej nory w Leeds.

Cheeseman to niezły ściemniacz – ciągle ma dziesięć tysięcy

funtów z pieniędzy, które zostawił mu dziadek. Ale ja nie chcę dziś robić smrodu.

– Ja stawiam kolejkę – zgłaszam się na ochotnika. – Olly, musisz zachować trzeźwość, jeśli masz prowadzić, więc może jakiś sok pomidorowy, z rozgrzewającym tabasco, żeby ci jajka nie zmarzły? Cheeseman pije guinnessa, Fitz australijskie szczyzny, a ty, Ness?

– Czerwone wino mają tu niezłe. – Olly chce, żeby się upiła.

– Czyli kieliszek czerwonego będzie super, Hugo – odpowiada mi Ness.

Pamiętam to dziwaczne przechylenie głowy.

– Nie ryzykowałbym, chyba że masz przy sobie zapasową tchawicę. Nie oczekuj châteaueu latour.

– W takim razie wezmę archersa z lodem – mówi Ness. – Ostrożności nigdy za wiele.

– Rozsądny wybór. Panie Penhaligon, pomoże mi pan donieść całość drinków? Obawiam się, że przy barze będzie rzeźnia.

*

Dzisiejszy młyn w Białym Biskupie to pełen przegląd kwiatu młodości: „Tak, Stephen Hawking i Dalajlama. Który ma rację? Wiesz, to zależy”. Modne dżinsowe minispódniczki, koszule GAP, markowe zapalniczki, za duże swetry Kurta Cobaina, levisy, gdzie trzeba gustownie przetarte; „Widziałaś, jak zbok czatuje przy kiblach? Bo drzwi do klopa są ciągle otwarte”. Jak słucham tego kawałka The Pogues, to wali mi serce i miękną kolana; „Wszystko ze sklepów Armii Zbawienia jest w świerzbie, masakra, swędzi mnie od rana”. Zaduch lakieru i dezodorantu, zmieszany z Chanel numer pięć. Zadbane zęby bez żadnej plomby w sztuczным uśmiechu do zdjęć. „Słyszałaś dziś newsa, że kot Schrödingera zdechł, żyje, zdechł, żyje,

zdechł, żyje? Cholera...”. „Dalton ma znowu grać Bonda? To bzdura”. Upadek Barretta i era Gilmoura. O symulacjach i symulakrach, o kursie dolara do funta. O Sartrze, Barcie Simpsonie, o Barthesie, o Chile, Peru i juntach. „Łoił podwójne, zalał się jak bela”. Trzydniowy zarost George’a Michaela. „Bo koniec The Smiths to koniec muzyki”. Dziedzice fortuny, białe kołnierzyki. Zastępy przyszłych ekspertów i sędziów, bankierów *in statu pupillari*. Spłodziły ich lędzwie światowej elity, a Cambridge ich doskonalili. Władza i pieniądz lepią się do siebie, jak miód do Kubusia Puchatka, nie, wcale tego nie krytykuję, tego uczyła mnie matka. Czy kiedyś mówił ci ktoś, że wyglądasz jak Demi Moore w *Uwier w Ducha*? Na górze róże, na dole fiołki, ja gadam, a Ness chce mnie słuchać.

– Hugo? W porządku? – Penhaligon uśmiecha się niepewnie.

Nadal stoimy ściśnięci w trzecim rzędzie ciał od baru.

– Tak! – Muszę prawie krzyczeć. – Sorry, byłem myślami zupełnie gdzie indziej. Ale skoro rozmawiamy sami, Toad prosił mnie, żebym ci przekazał zaproszenie na jego ostatnią nockę pokera, zanim się wszyscy rozjadą do domów. Będziesz ty, ja, Eusebio, Bryce Clegg, Rinty i jeszcze jakaś jedna czy dwie osoby. Sami swoi.

Penhaligon robi minę, jakby się wahał.

– Mama myśli, że przyjadę do Tredavoe jutro wieczorem. Będzie na mnie czekała...

– Zero ciśnienia. Tylko przekazuję zaproszenie. Toad uważa, że twoja obecność każdemu spotkaniu dodaje klasy.

Penhaligon daje się wkręcić.

– Tak powiedział?

– Tak, jego zdaniem masz poważne podejście do tematu. Rinty nawet ochrzcił cię „Pirat z Penzancji”, bo zawsze wychodzisz z jakimś łupem.

Jonny Penhaligon szczerzy się w uśmiechu.

- Ty też tam będziesz?
- Ja? Bezwzględnie. Miałbym przepuścić taką okazję?
- W zeszłym tygodniu nieźle cię ograli.
- Nigdy nie przegrywam więcej, niż mnie stać. „Pieniądz przerażony to pieniądz stracony”. Twoje własne powiedzonko. Maksyma i dla karciarzy, i dla ekonomistów.

Mój partner od rekreacyjnego hazardu nie wypiera się autorstwa sentencji, którą sam przed chwilą ukułem.

- Właściwie mógłbym wrócić do domu w niedzielę...
 - Naprawdę nie chcę cię namawiać, to twoja decyzja.
- Jonny nuci coś pod nosem.
- Mógłbym powiedzieć rodzicom, że musiałem jeszcze zaliczyć jedno zajęcie...

- Nie minąłbyś się do końca z prawdą, bo to zajęcia z teorii prawdopodobieństwa, psychologii i matematyki stosowanej. Wszystkie te umiejętności jak najbardziej przydają się w biznesie, co twoja rodzina doceni, kiedy dostaniesz zielone światło dla pola golfowego przy Tredavoe House. Toad proponuje podwyższenie puli do stu funtów w rozdaniu. Całkiem okrągła sumka. Przy twoim szczęściu dzięki niej stać cię będzie na sporą porcję ambrozji. Nie, żeby Pirat z Penzancji potrzebował szczęścia.

Jonny Penhaligon przyznaje:

- To prawda, mam do tego pewien dar.

Naśladuję jego chichot. „Oj, pocieszny cymbale”.

*

Kiedy kwadrans później wracamy do stolika z drinkami, widzimy, że w naszym kąciку właśnie zaczyna się zadyma. Richarda Cheesemana, wschodzącą gwiazdę „Piccadilly Review” osaczyli

członkowie Come Up to the Lab, głównego tria gothic-metalowego z Cambridge, którego koncert w Cornmarket nie kto inny, jak Richard Cheeseman zjechał zjadliwie w ostatnim numerze „Varsity”.

Basista to Frankenstein, nie ma warg i chodzi ociężale, ciężko stawiając kroki. Gocica ma nabiegłe krwią oczy, podbródek rekina i kastety z kolczastych pierścionków. Gocica numer dwa ma melonik jak z *Mechanicznej pomarańczy* i włosy w porażającym kolorze fuksji, na których melonik trzyma się dzięki szpili ze sztucznym diamentem. Oczy ma takie same, jak Gocica numer jeden. Pewnie od amfy.

– Sam w życiu nie masz się czym pochwalić, co? – Gocica numer dwa dźga Cheesemana w pierś czarnymi paznokciami, żeby wyróżnić kluczowe słowa kursywą. – Nigdy nie grałeś koncertu na żywo przed prawdziwą publiką, co?

– Nie pieprzyłem też osłicy, nie zdestabilizowałem żadnego kraju Ameryki Środkowej, ani nie grałem w Dungeons & Dragons – odparowuje Cheeseman – ale rezerwuję sobie prawo do opinii o tych, którzy mają te osiągnięcia na koncie. Wasz koncert ciągnął pałę słońowi i nie zamierzam cofnąć ani słowa.

Pałeczkę przejmuje Gocica numer jeden:

– Skrobiesz sobie, piszesz tym swoim pedalskim długopisem w swoim notesiku, cwelu, i wyżywasz się na prawdziwych artystach, obrzucasz ich gównem i mieszasz z błotem, ty włochata grudo sera z za napletka.

– „Sera z za napletka” – mówi Cheeseman. – Od „Richarda Cheesemana”[2], tak, to zaiste błyskotliwe. I oryginalne. Jeszcze nigdy tego nie słyszałem.

– Ale czego się spodziewać... – Gocica numer jeden chwyta *Suszone embriony* – ...po fanie Crispina Hersheya? Kolejnego fiuta.

– Nie udawaj, że czytasz książki.

Cheeseman usiłuje odebrać jej cenny egzemplarz recenzenta, ale

jej dłoń ciągle przed nim ucieka, a ja oczyma wyobraźni widzę niewyraźny obraz umęczonego chłopaczka-geja, któremu szkolni koledzy wysypują zawartość teczki przez barierkę pokrytego sadzą wiaduktu nad linią kolejową Leeds-Bradford. Gocica numer dwa rwie książkę na pół wzdłuż grzbietu i wyrzuca obie części. Męski Got wybucha chrapliwym bulgotem.

Olly podnosi jedną połówkę książki, Cheeseman drugą. Teraz jest już wkurzony.

– Gówno, które Crispin Hershey dziś wysrał, ma większą wartość artystyczną niż cały dorobek waszego życia. Wasza muza to wtórne bicie konia. Żeruje na twórczości innych jak pasożyt. Przekłuiwa ludziom bębenki jak szpila, kochanie, i nie jest to bynajmniej pieśzcota.

Szło mu całkiem nieźle aż do ostatniego zdania, ale kiedy ktoś obnaża dupę przed rozjuszonym jednorożcem, liczba możliwych scenariuszy ogranicza się do jednego. Jeszcze zanim stawiam drinki na poręcznej półce, Gocica numer dwa zaiste wyjmuje z melonika swoją szpilę i rzuca się na Cheesemana. Monsieur Le Critic przewraca się koncertowo, stół łąduje na blacie nogami do góry, szklanki i kieliszki rozbijają się na podłodze. Obserwujące zajście panie zamierają, wpadają w popłoch i piszczą: „O Boże!”. Gocica numer dwa skacze na leżącego Cheesemana i dźga go z zamachem. Chwytam ją za rękę i wrywam jej szpilę (świeci?), a Penhaligon ściąga ją z Richarda za włosy. Pięść basisty o włos mija nos Penhaligona. Penhaligon zatacza się na Olly’ego i Ness, a pisk Gocicy numer jeden staje się już słyszalny dla ludzkiego ucha:

– Won od niej z łapami!

Fitzsimmons kłęczą, podtrzymując na udach głowę Cheesemana. Monsieur Le Critic wygląda jak postać z kreskówki, która widzi gwiazdki i ptaszki, ale z jego ucha cieknie krew, i to mnie niepokoi.

Badam krwawiące ucho z bliska. Nie najgorzej: tylko przerwany płatek, ale napastnicy nie muszą zostać o tym poinformowani. Wstaję i ryczę do Come Up to the Lab, kładąc kres mordobiciu:

- Wpadliście w gówno już po szyję i łatwo się nie wygrzebiecie.
- Chuj sam się napraszał – stwierdza Gocica numer dwa.
- On zaczął – upiera się Numer jeden. – Sprowokował nas.
- Liczni świadkowie – wskazują żądnych sensacji gapiów – wiedzą dokładnie, kto zaatakował kogo. Jeśli uważacie, że „prowokacja słowna” to dopuszczalna linia obrony w sprawie spowodowania ciężkiego uszkodzenia cielesnego, jesteście głupszy, niż się może wydawać. Widzisz tę szpilę?

Gocica numer dwa dostrzega krew na czubku i upuszcza narzędzie zbrodni. Dwie sekundy później szpila jest już u mnie w kieszeni.

– Śmiercionośne narzędzie, użyte z premedytacją. Zostawiłaś na nim wszędzie swoje DNA. Przystępstwo zagrożone wyrokiem czterech lat pozbawienia wolności. Tak, miłe panie, czterech lat. Natomiast siedmiu, jeśli przebiliście błonę bębenkową. A kiedy ja rozprawię się z wami w sądzie, właśnie taki wyrok was czeka. Myślicie, że ściemniam?

– A ty kim, kurwa, jesteś? – Agresja w głosie basisty jest dość niepewna.

Śmieję się najbardziej przesadzonym śmiechem L. Rona Hubbarda.

– Magistrantem prawa. Genialnym. Ale bardziej interesujące jest to, kim ty jesteś – współnikiem przestępstwa. Rozumiesz, co to znaczy, czy ci wyjaśnić? To znaczy, że też zostaniesz skazany.

Gocica numer dwa już nie jest taka wygadana.

– Ale ja...

Basista ciągnie ją za ramię.

– Daj spokój, Andrea.

– Uciekaj, Andrea! – drwię z niej. – Biegnij, wtop się w tłum. A nie,

zaraz, czekaj! Przecież plakaty z waszymi zdjęciami *en face* i z profilu rozkleiliście po całym Cambridge. No cóż, macie przesrane. Przejebane równo.

Come Up to the Lab decydują, że czas opuścić budynek. Krzyczę za nimi:

– Do zobaczenia na rozprawie! Przynieście karty telefoniczne, przydadzą się wam w areszcie!

Penhaligon poprawia stół, a Olly zbiera szkło. Fitzsimmons hołuje Cheesemana na ławę, a ja pytam go, ile palców trzymam w górze. Cheeseman krzywi się i ociera usta.

– Przecież celowała mi w ucho, kurwa, nie w oko.

Zjawia się mocno wkurwiony właściciel.

– Co tu się dzieje?

Wyjaśniam mu:

– Naszego kolegę zaatakowało troje pijanych szóstoklasistów, potrzebuje pomocy lekarskiej. Jako stali klienci bardzo nie chcielibyśmy, żeby cofnięto państwu licencję na sprzedaż alkoholu, dlatego na ostrym dyżurze Richard i Olly powiedzą, że do napaści doszło na zewnątrz lokalu. Chyba że odczytuję sytuację opacznie i woleliby państwo wezwać odpowiednie władze?

Właściciel rozumie, co mówię.

– Nie, nie. Dziękuję.

– Bardzo proszę. Olly, magiczną astrę zaparkowałeś gdzieś niedaleko?

– Na parkingu koledżu, ale... Bo my z Ness...

– Możemy jechać moim samochodem – proponuje Penhaligon.

– Jonny, masz za dużo promili, a twój ojciec jest sędzią.

– Dziś wieczorem będą polować z alkomatami – ostrzega właściciel.

– Z nas wszystkich tylko ty jesteś trzeźwy, Olly. A jeśli wezwiemy pogotowie, przyjedzie też policja i...

– Będą przesłuchiwać, spisywać zeznania, pytać, czym się zajmuje tatuś – wtrąca właściciel – a na końcu poinformują też uczelnię.

Olly patrzy na Ness jak chłopczyk, któremu z czubka palca zniknęła czekolada.

– Jedź – mówi mu Ness. – Pojechałabym z wami, ale widok krwi... – Robi minę, jakby miała zwymiotować. – Pomóż przyjacielowi.

– Mam cię dzisiaj zawieźć do Greenwich.

– Dam sobie radę. Pojadę pociągiem. Jestem dużą dziewczynką. Zadzwon do mnie w niedzielę, to obgadamy plany na święta, dobrze? Jedźcie już.

*

Wyświetlacz mojego radiobudzika pokazuje pierwszą zero osiem, kiedy słyszę kroki na schodach. Potem chwila ciszy i nieśmiałe puk-puk-puk do moich drzwi. Wkładam szlafrok, zamykam sypialnię, przechodzę przez salon i uchylam drzwi wejściowe, nie zdejmując łańcucha z zamka. Zerkam na zewnątrz.

– Olly? Która godzina?

W słabym świetle Olly wygląda jak postać z obrazów Caravaggia.

– Jakieś wpół do pierwszej.

– Ja pierdole. Biedaku. A jak tam brodaczy?

– Jeżeli przetrwa okres uzalania się nad sobą, nic mu nie będzie. Dostał zastrzyk przeciwțęcowy i zalepili mu ranę plastrem. Na ostrym dyżurze była dziś Noc Żywych Trupów. Dopiero przed chwilą odwiozłem Cheesemana do domu. Ness dotarła na dworzec?

– Na pewno tak. Odprowadziliśmy ją z Penhaligonem na postój taksówek przy Drummer Street, bo piątek wieczór ma swoje prawa. Zaraz po tym, jak pojechaliście, Fitz spotkał Chetwynda-Pitta i Yasminę i uderzyli razem do klubów. A Penhaligon poszedł za nimi,

kiedy Ness już bezpiecznie siedziała w taksówce. Ja zleszczyłem i spędziłem u siebie ekscytującą godzinę z I.F.R Coatesem oraz jego *Bushonomiką* i nowym monetaryzmem, a potem poszedłem spać. Zaprosiłbym cię, żebyś posiedział – ziewam jak wieloryb – ale jestem ledwo przytomny.

– Nie chciała... – Olly myśli, a jego kulki na planszy są otaczane przez kulki przeciwnika – ...zostać na drinka, ani nic? W Bładym Biskupie?

– Kto? I.F.R Coates to facet, Olly. Wykłada w Blithewood College w stanie Nowy Jork.

– Chodziło mi o Ness. – Olly strasznie chce mi wierzyć.

– Aaa, o Ness? Ness chciała jak najszybciej wracać do Greenwich. – Jestem trochę urażony. Olly powinien mieć do mnie więcej zaufania, jeśli chodzi o podrywanie jego dziewczyny. – Miała złapać pociąg o dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt siedem na King's Cross, a stamtąd pojechać prosto do Greenwich, gdzie pewnie teraz już słodko śpi i śni jej się Olly Quinn. A w ogóle to urocza dziewczyna, chociaż nie zdążyliśmy za bardzo pogadać. I ma świra na twoim punkcie, to widać.

– Tak myślisz? Przez ostatni tydzień była jakaś taka, nie wiem, rozdrażniona. Już się bałem, że może...

Nadal rzną głupa. Olly nie kończy zdania.

– Że co? – pytam. – Że może chce z tobą zerwać? Odniosłem dziś zupełnie inne wrażenie. Ona należy do dziewczyn, które polują, strzelają i łowią ryby. Kiedy takie zakochują się w facecie, udają, że, wiesz, „bez kija nie podchodzi”, żeby się nie wydało. Poza tym weź też pod uwagę bardziej oczywisty powód kobiecego rozdrażnienia – Lucille co dwadzieścia osiem dni zmieniała się w potwora i opierdalała wszystkich jak psychopatka.

Wygląda na to, że podniosłem Olly'ego na duchu.

- Hm. Może. Może tak.
- Spotykasz się z nią w święta, zdaje się?
- Mieliśmy dziś wieczorem to obgadać.
- Szkoda, że musiałeś się zająć Richardem. Ale twoje odpowiedzialne podejście do sprawy zrobiło na niej w pubie megawrażenie. Jej zdaniem to dowód, że w sytuacji kryzysowej potrafisz się zachować bezinteresownie.
- Tak powiedziała? No co ty?
- To w miarę dokładny cytat, owszem. Na postoju taksówek.
- Olly staje się promieniejącym ze szczęścia misiem – gdyby miał sześć cali i był puchaty, w Toys R Us sprzedawaliby go tysiącami.
- Olly, stary, dobrej nocy ci życzę.
- Sorry, Hugo, jasne. Dziękuję. Dobranoc.

*

Gdy wracam, moje łóżko pachnie kobiecym ciepłem, a Ness oplata nogą moje uda.

- „Bez kija nie podchodź”? Powinnaś cię wykopać z łóżka.
- Spróbuj. – Przesuwam dłonią po jej przyjemnych kształtach. – Powinnaś ode mnie wyjść skoro świt. Właśnie wysłałem cię do Greenwich.

- Do rana jeszcze tyle czasu. Wszystko może się zdarzyć.
Palcem kreślę kółka wokół jej pępka, ale łapię się na tym, że myślę o Immaculée Constantin. Nie powiedziałem o niej chłopakom. Czuję, że rzucenie jakiejś zabawnej anegdotki o niej jest niewskazane. Nie niewskazane – zabronione. Kiedy wtedy przy niej odleciałem, musiała pomyśleć...

Co? Że wpadłem w jakąś śpiączkę? I tak mnie z tym zostawiła? Szkoda.

Ness odrzuca koldrę, żeby zaczerpnąć powietrza.

– Problem z takimi jak Olly polega na tym, że...

– Jak miło, że jestem w centrum twojego zainteresowania – mówię.

– ...że są tacy mili. Wkurza mnie to na maksa.

– Myślałem, że każda dziewczyna raczej właśnie szuka miłego chłopaka.

– Tak, na męża. Ale przy Ollym czuję się uwięziona w słuchowisku z Radia 4 o przerażająco uczciwym młodym człowieku w latach pięćdziesiątych.

– Rzeczywiście wspomniał, że ostatnio bywasz nie w sosie. „Rozdrażniona”.

– Jeżeli ja jestem rozdrażniona, to on jest wyrośniętym budynowatym misiem.

– Cóż, nigdy pogodnie prawdziwej miłości strumień nie płynął^[3]...

– Przestań. On mnie strasznie żenuje w towarzystwie. Już w niedzielę postanowiłam, że go rzucam. A dzisiejszy wieczór tylko mnie w tym utwierdził.

– Jeżeli biedny Olly jest słuchowiskiem w Radiu 4, to czym jestem ja?

– Ty, Hugo – całuje mnie w płatek ucha – jesteś niecenzuralnym, niskobudżetowym francuskim filmem. Takim, na które w telewizji nadziewasz się przypadkiem nocą. Wiesz, że rano będziesz żałować, ale i tak oglądasz.

Na dziedzińcu za oknem ktoś gwizdże jakąś zapomnianą melodię.

1 *Hamlet* Szekspira w przekładzie Józefa Paszkowskiego (przyp. tłum.).

2 „Dick” to angielskie zdrobnienie od Richarda, jak również slangowe określenie męskiego członka (przyp. tłum.).

3 Cytat ze *Snu nocy letniej* Williama Szekspira w przekładzie

Stanisława Koźmiana (przyt. tłum.).

20 grudnia

– Gil. – Mama pokazuje palcem przez okno na patio w ogrodzie, zawałone zamarznąłą śniegową breją. – Tam, na trzonku szpadła.

– Wygląda jak życiem wyjęty ze świątecznej pocztówki – mówi Nigel.

Tata zajada brokoły.

– Co mój szpadel tam robi? Dlaczego nie jest w szopie?

– To moja wina – przyznaję się. – Nappełniałem kubek na węgiel. Odstawię później szpadel do szopy. Chociaż najpierw wstawię do piecyka talerz Alexa, żeby mu nie wystygła kolacja. Towarzyskie sensacje i wielka miłość nie powinny się odbijać na jakości posiłków. – Zanoszę talerz mojego starszego brata do nowego, opalanego drewnem piecyka i przykrywam naczynie pokrywką do patelni. – Ja cię kręcę! Tu można by zmieścić całą czarownicę.

– Gdyby miał koła, byłby jak austin metro – rzuca ze śmiechem Nigel.

– Co za bzdury opowiadasz! – Tata uwielbia kiepskie auta.

– Szkoda, że nie będzie cię w Nowy Rok, przyjeżdża ciocia Helena – mówi mama.

– Szkoda. – Siadam i wracam do jedzenia obiadu. – Ucałuj ją ode mnie.

– Akurat – mówi Nigel. – Już widzę, jak wolisz spędzać Nowy Rok w Richmond zamiast na nartach w Szwajcarii. Jesteś farciarzem, Hugo.

– Ile razy ci powtarzałem – pyta ojciec – że...?

– ...Nie chodzi o to, co wiesz, ale o to, kogo znasz – kończy Nigel. – Licząc z tym przed chwilą: dziewięć tysięcy sześćset osiem razy.

– Dlatego to takie ważne, żeby się dostać na szanowany uniwersytet

– mówi ojciec. – Żeby nawiązywać kontakty z przyszłymi grubymi rybami, a nie z płótkami.

– Zapomniałam ci powiedzieć – wtrąca mama. – Julia znowu pokazała, na co ją stać. Zdobyła stypendium w Montrealu, będzie studiować prawa człowieka.

Zawsze miałem słabość do mojej kuzynki Julii i myśl o tym, że pokazała cokolwiek, rozprasza mnie w sensie bajronicznym.

– Całe szczęście, Alice, że dziedziczy cechy po twojej rodzinie – komentuje ojciec, co jest gorzką aluzją do rozvodu mojego byłego stryja Michaela przed dziesięcioma laty, w pakiecie z sekretarką i nieślubnym dzieckiem. – Zapomniałem... co studiuje Jason?

– Coś tam z psycholingwistyką – odpowiada mama – w Lancasterze. Tata marszczy brwi.

– To dlaczego myślałem, że coś z leśnictwem?

– Kiedy był mały, chciał zostać leśnikiem – wyjaśniam.

– Ale teraz chce zostać logopedą – mówi mama.

– Jo-jo-jo-jąkającym ś-ś-się lo-lo-logopedą – dodaje Nigel.

Kręcę młynkiem z pieprzem nad moim purée z dyni.

– Ani to dojrzałe, ani błyskotliwe, Nigel. Jąkanie jest najlepszą kwalifikacją, żeby zostać logopedą. Nie sądzisz?

Mina Nigela mówi „może i tak”, co ma zastąpić przyznanie mi racji.

Mama bierze łyk wina z kieliszka.

– To wino jest absolutnie boskie, Hugo.

– Montracheta rocznik siedemdziesiąt osiem nie można inaczej określić – przyznaje ojciec. – Nie powinieneś wydawać na nas pieniędzy, Hugo, naprawdę.

– Nie szaleję z wydatkami, tato. A jako asystent w kancelarii adwokackiej też nie pracuję całkiem za darmo. Po tym wszystkim, co przez tyle lat dla mnie robiliście, powinienem móc postawić wam butelkę przyzwoitej alpagi.

– Ale bardzo nie chcielibyśmy, żebyś potem nie miał pieniędzy – mówi mama.

– Albo żeby twoje studia ucierpiały, bo musisz pracować – dodaje ojciec.

– Daj nam znać – prosi mama – jeżeli będziesz miał ciężko z finansami. Obiecujesz?

– Przyjdę z czapką w rękę, jeśli kiedykolwiek będzie się na to zносиło. Obiecuję.

– Ja mam ciężko z finansami – mówi Nigel z nadzieją.

– Ty nie musisz dawać sobie rady sam w tej dżungli. – Ojciec marszczy brwi, kiedy spogląda na zegar. – À propos, mam tylko nadzieję, że rodzice Fräulein Alexa wiedzą, że ich córka dzwoni do Anglii. Jest środek dnia.

– To są Niemcy, tato – uspokaja Nigel. – Oni wszyscy śpią na dojczmarkach.

– Tak się mówi, ale zjednoczenie będzie kosztowało Niemcy majątek. Moi klienci z Frankfurtu niepokoją się, co z tego wyniknie.

Mama kroci pieczonego ziemniaka.

– Hugo, co ci Alex opowiadał o Suzanne?

– Nie powiedział ani słowa. – Nożem i widelcem oddzielam mięso pstrąga od ości. – Istnieje coś takiego, jak braterska rywalizacja.

– Ale przecież jesteście ostatnio z Alexem najlepszymi kumplami.

– O ile tylko – wtrąca Nigel – nie padną straszliwe słowa: „Ktoś ma ochotę zagrać w Monopol?”.

Robię urażoną minę.

– Czy to moja wina, że jakoś nie udaje mi się przegrać?

Nigel parska.

– To, że nikt nie wie, jak oszukujesz...

– Mamo, tato, słyszeliście tę krzywdzącą, bezpodstawną potwarz?

– ...nie znaczy jeszcze, że nie oszukujesz. – Nigel macha nożem w

palcach. Mój młodszy brat stracił na jesieni dziewictwo: w kącie poszły czasopisma szachistów i konsola Atari, a pojawiły się kosmetyki i KLF.
– W każdym razie ja metodą dedukcji dowiedziałem się o Suzanne trzech rzeczy. Jeśli podoba jej się Alex, to a) jest ślepa jak kret, b) przywykła do opieki nad dziećmi, i c) brak jej zmysłu powonienia.

Wchodzi Alex.

– Komu brak zmysłu powonienia?

– Przynies pierworodnemu kolację z piecyka – nakazuję Nigelowi – albo powtórzę, co mówiłeś, bo i tak ci się należy.

Nigel wystarczająco potulnie wypełnia polecenie.

– Co u Suzanne? – pyta mama – W Hamburgu wszystko w porządku?

– Tak, w porządku. – Alex siada. Nie należy do osób gadatliwych.

– Mówiłeś, że Suzanne studiuje farmakologię? – drąży mama.

Alex nadziewa na widelec kalafiorowy mózg z półmiska.

– Tak.

– I przewidujesz, że któregoś dnia ją poznamy?

– Trudno powiedzieć – mówi Alex, a ja myślę o płonnych nadziejach mojej biednej Mariàngeli.

Nigel stawia obiad Alexa przed naszym starszym bratem.

– Nie mogę się nadziwić – mówi ojciec – jak zmniejszyły się odległości. Dziewczyny w Niemczech, wypadki na narty w Alpy, studia w Montrealu – to wszystko dzisiaj wydaje się takie normalne. Ja pierwszy raz w życiu wyjechałem za granicę do Rzymu, kiedy byłem mniej więcej w twoim wieku, Hugo. Żaden z moich kolegów nie był nigdy aż tak daleko. Z kumplem wsiedliśmy w Dover na prom do Calais, złapaliśmy stopa do Marsylii, a potem przez Turyn do Rzymu. Zajął nam to sześć dni. Czuliśmy się, jakbyśmy zajechali na kraniec znanego świata.

– Od dylżansu odpadły koła? – pyta Nigel.

– Ha, ha. Do Rzymu wróciłem dopiero dwa lata temu, kiedy Nowy Jork postanowił, że tam odbędzie się doroczne europejskie walne zgromadzenie. Polecieliśmy wszyscy samolotami, zdążyliśmy na późny lunch, odbyliśmy parę kontrolnych wizyt, siedzieliśmy i gadaliśmy do północy, a następnego dnia wszyscy byliśmy z powrotem w Londynie, akurat na...

W salonie dzwoni telefon.

– To do któregoś z was, chłopcy – oznajmia mama. – Na pewno.

Nigel pędzi przez korytarz do salonu. Oko mojego pstrąga patrzy w sufit rozczarowanym wzrokiem. Po chwili Nigel wraca.

– Hugo, do ciebie. Jakaś Diana... Spinster, Spankser, Spencer, nie do końca zrozumiałem. Mówiła, że możesz wpaść do pałacu, kiedy jej mąż będzie wizytował kraje Wspólnoty... I coś o pozycji na hydraulika? Powiedziała, że będziesz wiedział, o co chodzi.

– Jest taki niedrogi zabieg, bracie. Przystaniesz myśleć tylko o jednym. Weterynarze robią to naprawdę tanio.

– Ale kto właściwie dzwonił, Nigel? – pyta mama. – Bo w końcu zapomnisz.

– Pani Purvis z Riverside Villas. Prosiła, żeby przekazać Hugo, że brygadier czuje się dziś lepiej i że jeśli Hugo nadal ma ochotę go odwiedzić po południu, to zaprasza między trzecią a piątą.

– Super. Jeżeli tylko mnie puścisz, tato...

– Jedź, jedź. Jesteśmy z mamą dumni, że chodzisz czytać brygadierowi, prawda, Alice?

– Bardzo dumni – dodaje mama.

– Dziękuję – zażenowany wzruszam ramionami – ale brygadier Philby był dla mnie wspaniały, kiedy bywałem u niego w ramach zajęć z teorii praw obywatelskich w Dulwich. Żeby się odwdziżyć, przynajmniej będę go odwiedzał.

– Boże – jęczy Nigel. – Ktoś mnie zatrzasnął wewnątrz odcinka

Domku na prerii.

– Pozwól, że powiem ci, jak się wydostać – podpowiada ojciec. – Jeśli Hugo jedzie odwiedzić brygardiera, ty możesz mi pomóc odebrać choinkę.

Nigel nagle osłupiał.

– Ale po południu jedziemy z Jasperem Farleyem na Tottenham Court Road.

– Po co? – Alex ładuje jedzenie na widelec. – Ślinicie się tylko nad sprzętem i syntezatorami. Nie stać was na nie.

Od strony patio dobiega stłumiony hałas. Kątem oka widzę przemykającą czarną plamę. Po patio toczy się przewrócona doniczka, szpadel upada na ziemię, a czarna plama zmienia się w kota z gilem w pysku. Ptak trzepie skrzydłami.

– Och. – Mama się wzdryga. – Okropne. Nie możemy czegoś zrobić? Ten kot jest taki zadowolony z siebie.

– To się nazywa dobór naturalny – mówi Alex.

– Może opuszczę rolety? – pyta Nigel.

– Lepiej, żeby Natura załatwiała sprawy po swojemu, kochanie – tłumaczy mamie ojciec.

Wstaję i wychodzę tylnymi drzwiami. Zimne powietrze znienacka atakuje moją skórę, kiedy przepędzam kota. Dachowy łowca skacze na ogrodową szopę. Obserwuje mnie. Jego ogon kołysze się w lewo i w prawo. Zmiażdżony ptak drga w czarnym kocim pysku.

Słyszę głuchy szum przelatującego samolotu.

Trzaska gałązka. Dojmująco czuję, że żyję.

*

– Według mojego męża – siostra Purvis czyści parą linoleum w holu prowadzącym do biblioteki Riverside Villas – dzisiaj młodzi ludzie to

albo wyłudzacze zasiłków, albo pedzie, albo samoluby, które widzą tylko czubek własnego nosa. – Sosnowy zapach środka dezynfekującego drażni mi nos. – Ale dopóki Wielka Brytania wydaje na świat młodzież pana pokroju, Hugo, jestem spokojna, że barbarzyństwo nam nie grozi, mmm?

– Ależ proszę tak nie mówić, bo głowa nie zmieści mi się w drzwiach biblioteki.

Skracamy za róg i widzimy pensjonariuszkę trzymającą się kurczowo poręczy. Z marsowym czołem wpatruje się w zasypany śniegiem ogród, jakby coś tam zostawiła. Strużka śliny łączy jej dolną wargę z rozpinanym sweterkiem w kolorze miętowym.

– Nasze zasady, pani Bolitho – mówi pielęgniarka, wytrząsając z rękawa chusteczkę. – Czego przestrzegamy? Naszych zasad, mmm? – Zbiera ciągnący się stalaktyt i wyrzuca chusteczkę do kosza. – Pamięta pani pana Hugo? Młodego znajomego brygadiera?

Pani Bolitho odwraca do nas głowę. Myślę o moim pstrągu na obiad.

– Miło znowu panią widzieć – witam się wesolo.

– Proszę się przywitać z panem Hugo, pani Bolitho. Pan Hugo to nasz gość.

Pani Bolitho patrzy to na mnie, to na siostrę Purvis i wydaje z siebie płaczliwe skomlenie.

– O co chodzi? W telewizji w świetlicy leci akurat *Nasz cudowny samochodzik*. O latającym autku. Może pójdziemy pooglądać z innymi, mmm?

Głowa lisa ze ściany obserwuje nas ze słabym uśmiechem.

– Niech pani tu zostanie – mówi siostra Purvis do pani Bolitho. – Zaprowadzę pana Hugo do biblioteki, a potem pójdziemy razem do świetlicy.

Życzę pani Bolitho wesółych świąt, ale szanse na ziszczenie się tych życzeń są nikłe.

– Ma czterech synów – siostra Purvis prowadzi mnie dalej – wszyscy mieszkają w Londynie, ale nigdy jej nie odwiedzają. Można by pomyśleć, że starość to przestępstwo, a nie cel, do którego wszyscy zmierzamy.

Chyba muszę podzielić się z siostrą Purvis moją teorią, według której zakopanie śmierci pod górą konsumeryzmu i samsary jest strategią, jaką kultura opracowała, by radzić sobie z naszą śmiertelnością. Wszystkie Riverside Villas tego świata to parawany, które umożliwiają nam oszukiwanie samych siebie. Starsi ludzie zaś rzeczywiście są winni – udowadniają nam, że nasza planowa krótkowzroczność w kwestii śmierci jest właśnie krótkowzroczna.

Jednak nie, nie zaburzajmy siostrze Purvis opinii, jaką o mnie ma. Dochodzimy do biblioteki, gdzie moja przewodniczka ciągnie *sotto voce*:

– Wiem, że nie będzie się pan czuł urażony, jeżeli brygadier pana nie pozna.

– Ależ skąd. Nadal miewa te majaki? O znaczkach?

– Od czasu do czasu, niestety, tak. O, idzie Mariângela. Mariângelo! Mariângela podchodzi do nas ze stosem starannie złożonych prześcieradeł.

– Yugo! Siostra Purvis mówiła, że dziś przyjedziesz. Co słyhać w Norlicz?

– Pan Hugo studiuje na Uniwersytecie Cambridge, Mariângelo. – Siostra Purvis aż się zapowietrza. – Cambridge. Nie Norwich. To wielka różnica.

– Pardon, Yugo. – Brazylijskie figliki w oczach Mariângeli rozbudzają we mnie nie tylko nadzieję. – Moja geografia Anglii ciągle trochę zła.

– Mariângelo, przyniosłabyś do biblioteki kawę dla pana Hugo i brygadiera? Ja muszę wracać do pani Bolitho.

– Oczywiście – mówię. – Miło było znowu panią widzieć.
– Liczę, że przyjdzie się pan pożegnać przed odjazdem. – Siostra Purvis odmaszerowuje.

– Jak się dla niej pracuje? – pytam Mariângelę.
– Na moim kontynentu przywykliśmy do dyktatorów.
– W nocy śpi czy podłącza się do prądu?
– Nie jest zła szefowa, tylko trzeba zawsze się zgadzać. Przynajmniej można na niej polegać. Przynajmniej mówi, co myśli, szczerze.

Mariângela jest naburmuszona, ale w jej głosie nie ma jadu.
– Angel, oboje potrzebowaliśmy trochę przestrzeni.
– Osiem tygodni, Yugo. Dwa listy, dwa telefony, dwie wiadomości na mojej sekretarce. Ja potrzebowałam kontakt, nie przestrzeń. – Dobrze, czyli Mariângela lokuje się jakoś między kobietą naburmuszoną a skrzywdzoną. – Nie jesteś ekspert od tego, co potrzebuję.

„Powiedz jej, że to koniec” – doradza Hugo Mędrzec, ale Hugo Ruchacz uwielbia stroje pielęgniarek.

– Nie jestem ekspertem od ciebie, Angel. Ani od żadnej innej kobiety. Ani nawet od siebie samego. Miałem przed tobą dwie czy trzy dziewczyny, ale... ty jesteś inna. Już pod koniec wakacji w zeszłym roku, kiedy zamknąłem oczy, na powiekach wyświetlała mi się dniami i nocami telewizja z Mariângelą Pinto-Pereirą. Przeraziłem się tego. Jedyne sposoby, w jaki potrafiłem sobie z tym radzić, to zdobycie własnej przestrzeni. Więc często już prawie dzwoniłem... ale... ale... niedoświadczony był ze mnie chłopiec, Angel, nie miałem złych intencji. – Otwieram drzwi do biblioteki. – Dziękuję ci za piękne wspomnienia, przykro mi, że moja niewrażliwość sprawiła ci ból. Naprawdę.

Mariângela wsuwa stopę w drzwi. Naburmuszona, ale już trochę dysząca.

– Siostra Purvis prosi, żebym przyniosła tobie i brygadieru kawę. Nadal z łyżeczką cukru?

– Tak, proszę. Ale bez żadnych amazońskich sztuczek wudu, od których facetom schną jądra, jeśli można prosić.

– Ostry nóż lepszy jak wudu. – Patrzy na mnie wilkiem. – Kawa z mlekiem czy zabielaaczem, jak pijesz na Kejmbricz Uniwersiti?

– Po kawie z mlekiem dostają paskudnej wysypki.

– A jeżeli – jeżeli – znajdę prawdziwą brasilijską kawę, wypijesz?

– Mariângela. Kiedy człowiek raz spróbował prawdziwego smaku oryginału, wszystko inne jest już tylko tanią imitacją.

*

– Zbliżamy się do końca, brygadierze – mówię starszemu panu, przerzucając kolejną kartkę. – „Dla mnie jednak cały Wschód zawiera się w tym obrazie mej młodości. W tej jednej chwili, w której otworzyłem na niego moje młode oczy. Trafiłem nań po ciężkich zmaganiach z morzem – i byłem młody – i ujrzałem, jak na mnie patrzy. I tylko tyle mi zeń zostało! Tylko ta chwila; chwila siły, romantycznego uniesienia, chwila chwały – młodości!... Przebłysk słońca nad nieznanym brzegiem, czas, by wspomnieć, by westchnąć i – żegnaj! – Dobranoc. – Żegnaj...”[4].

Siorbię letnią kawę. Filiżanka brygadiera Philby’ego stoi nietknięta. Ten pełen wigoru, błyskotliwy mężczyzna, którego poznałem przed pięcioma laty, i to przykute do wózka truchło to ten sam człowiek. W 1986 roku miał lat siedemdziesiąt i zbliżał się do pięćdziesiątki. Mieszkał w olbrzymim starym domu w Kew ze swoją oddaną owdowiałą siostrą, panią Hatter. Brygadier był starym druhem dyrektora naszej szkoły i chociaż miałem tylko kosić mu trawnik, kiedy on miał złamaną nogę, rozpoznał we mnie pokrewną duszę i w końcu

na lekcjach teorii praw obywatelskich różnił się w pokera, remika i w oczko. Nawet wtedy, gdy jego noga odzyskała już sprawność, przychodziłem do niego wieczorem prawie co czwartek. Najpierw pani Hatter mnie „podtaczała”, a potem zasiadaliśmy do karcianego stolika, przy którym nauczył mnie sposobów „nakłaniania panny Fortuny, by spuściła majteczki”, jakich nawet Toad się nie domyśla. Ubierał się elegancko i w swoim czasie złamał serce wielu kobietom. Był zapalonym filatelistą, znawcą języków i gawędziarzem. Po kieliszeczku porto zaczynał wspominać dawne dni – Special Boat Section w Norwegii w czasie wojny, a później wojnę w Korei. Kazał mi koniecznie przeczytać Conrada i Czechowa, i uczył mnie, jak załatwić sobie fałszywy paszport, znajdując jakieś nazwisko na cmentarzu i pisząc do Somerset House wnioski o akt urodzenia. Znałem już ten sposób, ale udawałem, że nie znam.

Dzisiaj brygadier Philby już się nawet nie porusza. Od czasu do czasu kiwa głową na boki, jak Stevie Wonder przy pianinie, a w załamkach marynarki zbiera mu się łupież. Ogolił go jakiś pielęgniarski, który ewidentnie myślał wtedy o czymś innym. Do tego brygadier nosi dziś pieluchę, bo nie trzyma moczu. Czasem jego usta wypowiadają ni z tego, ni z owego jakieś niewyraźne słowa, ale poza tym brygadier milczy. Nie mam pojęcia, czy *Młodość* Conrada sprawia mu przyjemność, jak dawniej, czy też jest dla niego torturą, bo przypomina mu szczęśliwsze dni. Albo też brygadier Philby nie ma pojęcia, co do niego mówię, ani nawet kim jestem.

Mimo wszystko jednak Mariàngela twierdzi, że w postępującej demencji najlepiej traktować człowieka tak, jakby w jego wraku nadal żyła osoba, którą się dawniej znało. Jeśli jesteśmy w błędzie i człowieka, którego znaliśmy, już nie ma, nikomu nie dzieje się żadna krzywda, ale standardy opieki pozostają zachowane. Jeśli jednak osoba, którą znaliśmy, rzeczywiście nadal żyje zamurowana w środku,

to jesteście dla niej jak tlen, jak ostatnia deska ratunku.

– Już kończąca strona, brygadierze. „Chyba najwspanialsze ze wszystkiego jest morze, samo morze – czy też to była po prostu młodość? Któż to wie? Wy jednak – wy wszyscy dostaliście coś od życia: pieniądze, miłość – wszystko, co może dać ład – a powiedzcie mi, czy najlepszych lat nie spędziliśmy właśnie na morzu, kiedy byliśmy młodzi i nie mieliśmy niczego, na morzu, które rozdaje wyłącznie twarde razy – a czasem sposobność, by poczuć własną siłę – czy nie tego jednego wam żal?”.

Coś wibruje w gardle brygadiera.

Westchnienie? Czy po prostu strumień powietrza uderza o struny głosowe?

Między drzewami na końcu ogrodu widzę Tamizę, srebrzystą i spiżową.

Pięciosobowa łódka śmiga z lewej strony ku prawej. Wystarczy mrugnąć, żeby zniknęła z pola widzenia.

Ogrodnik w kaszkiecie grabi liście.

Ostatni akapit w zmierzchającym świetle: „Pokiwaliliśmy wszyscy głowami: finansista, buchalter, prawnik, wszyscy pokiwaliliśmy głowami nad polerowanym stołem, który niczym gładka tafla brunatnej wody odbijał nasze twarze, poorane bruzdami, pomarszczone; nasze twarze, na których piętno odcisnęły trudy życia, zawiedzione nadzieje, sukces, miłość. Nasze zmęczone oczy patrzyły nieruchomo, patrzyły zawsze, nerwowo wypatrywały czegoś od życia, co, choć oczekiwane, już właśnie minęło – przeszło niezauważone, w westchnieniu, w mgnieniu oka – razem z młodością, razem z siłą, razem z romantyzmem złudzeń”.

Zamykam książkę i zapalam lampę. Mój zegarek wskazuje szesnastą piętnaście. Wstaję i zaciągam zasłony.

– I jak, panie brygadierze? – Czuję się tak, jakbym mówił do pustego

pokoju. – Chyba dziś już nie powinienem dłużej pana zamęczać.

Niespodziewanie twarz brygadiera napina się w przebiegu świadomości, a jego usta otwierają się. I chociaż jego głos brzmi upiornie i bełkotliwie, mogę zrozumieć słowa:

– Moje... znaczki... do cholery...

– Panie brygadierze, jestem Hugo. Hugo Lamb, proszę pana.

Drżącą dłonią usiłuje chwycić mnie za rękaw.

– Policja...

– Jakie znaczki? Panie brygadierze? O które znaczki panu chodzi?

– Majątek... – W jego spojrzeniu pojawia się inteligencja i przez chwilę myślę, że jest gotów rzucić jakieś oskarżenie, ale ta chwila mija.

Z korytarza za drzwiami dobiega skrzypienie kółek wózka towarowego. Brygadier, którego znałem, opuścił swoją zbombardowaną twarz, zostawiając mnie sam na sam z zegarem, półkami pięknych książek, których nikt nigdy nie czyta, i z bezwzględną pewnością, że nieważne czego dokonam w życiu, nieważne ile zgromadzę wokół siebie władzy, bogactwa, doświadczenia, wiedzy czy piękna, ja też skończę tak samo, jak ten bezbronny, stary człowiek. Kiedy patrzę na brygadiera Reginalda Philby'ego, patrzę na siebie samego przez teleskop czasu.

*

Łapacz snów Mariângeli kołysze się, kiedy go trącam. Między sprężynkami włosów kochanki znajduję krucyfiks. Trzymam Syna Bożego w ustach i wyobrażam sobie, jak rozpuszcza mi się na języku. Seks może i oferuje antidotum na śmierć, ale proponuje życie wieczne tylko całym gatunkom, nie jednostkom. W odtwarzaczu CD Ella Fitzgerald zapomina słów *Mac The Knife* pewnej upalnej nocy w Berlinie

ponad czterdzieści lat temu. Gdzieś pod nami słyhać przejeżdżający pociąg metra linii District. Mariângela całuje moje jędrne ramię w okolicach pachy, a potem gryzie, mocno.

– Au – skarżę się, ale ten ból sprawia mi przyjemność. – Czyżby to po portugalsku znaczyło: „pode mną poruszyła się ziemia, a czy tobie było dobrze, mój panie i władco”?

– Po portugalsku znaczy: „nienawidzę cię, kłamca, oszust, potwór, psychol, zboczeniec, będziesz się smażyć w piekle, sukinsynu”.

Mój biskup-celebrans w pozycji wyprostowanej wyłania się z pieczary. Oczekiwanie nas rozśmiesza, przez co przedwcześnie dochodzę. Ratuję kondom, zanim jego kleiste wnętrze poplamy jej fioletową pościel, i zawijam go w całun chusteczki. Spółkowanie to furia. Rozspółkowywanie to farsa. Mariângela przekręca się na łóżku, żeby leżeć twarzą do mnie, a ja zastanawiam się, dlaczego kobiety są brzydsze, kiedy już się je rozebrało do naga, oznaczyło jako swoje i posiadało. Mariângela siada i bierze łyk wody ze szklanki strzeżonej przez gipsowy posążek Chrystusa z Rio.

– Chcesz? – Podsuwa mi szklankę do ust. Ujmuje moją dłoń i kładzie ją sobie na sercu, które bije: „Ko-cham ko-cham ko-cham ko-cham”.

Och, powinienem był posłuchać Hugo Mędrca...

*

– Yugo, kiedy będę mogła poznać twoją rodzinę?

Wkładam bokserki. Chciałbym wziąć prysznic, ale salon Astona Martina już niedługo zamykają, więc muszę się śpieszyć.

– Dlaczego chcesz poznać moją rodzinę?

– Normalne, że chcę. Spotykamy się już sześć miesięcy. Od lipiec dwudziesty pierwszy, kiedy tu przyszedłeś pierwszy raz. Jutro jest grudzień dwudziesty pierwszy.

Boże, odlicza rocznice.

– Pójdźmy gdzieś do restauracji, żeby to uczcić, ale zostawmy moją rodzinę w spokoju, zgoda?

– Ja chcę poznać twoich rodziców, braci...

Jasne. „Mamo, tato, Nigelu, Aleksie, pozwólcie, że przedstawię wam Mariângelę. Pochodzi z najprzeciętniejszej rodziny z przedmieść Rio, pracuje w Riverside Villas jako opiekunka geriatrycznych pacjentów, i po którejś wizycie u brygadiera Philby’ego zafundowałem jej dzikie rżnięcie. Co dziś na kolację?”. Znajduję swój podkoszulek z boku na łóżku.

– Jeśli mam być szczery, raczej nie przyprowadzam dziewczyn do domu.

– Więc będę pierwsza. Jak miło.

– Staram się nie mieszać – dżinsy, rozporek, pasek – różnych sfer życia.

– Jestem twoja dziewczyna, nie „sfera”. Wstydzisz się mnie?

Jakiś słodki emocjonalny szantażyk.

– Wiesz dobrze, że nie.

Mózg Mariângeli wie, że powinna zostawić ten temat, ale za kierownicą siada jej serce.

– To wstydzisz się swojej rodziny?

– Nie bardziej niż przeciętne dziecko z trójki potomstwa.

– Czyli... wstydzisz się, że jestem starsza o pięć lat?

– Masz dwadzieścia sześć lat, Angel. Nie jesteś stara.

– No to... nie jestem wystarczająco biała dla twoich rodzice?

Zapinam guziki koszuli od Paula Smitha.

– To nie ma znaczenia.

– No to dlaczego nie mogę poznać rodziny mojego chłopaka?

Jedna skarpetka, druga skarpetka.

– Po prostu... nie jesteśmy na tym etapie.

– Bzdura, Yugo. W związkach ludzie dzielą się nie tylko ciałami, tak? Kiedy jesteś w Kejmbricz i pijesz gównianą kawę z doktorantkami o białej skórze, ja nie siedzę tutaj, nie modłę się, żebyś zadzwonił, nie czekam na listy. Nie. Jeden facet jest konsultant w prywatnej klinice, zaprosił mnie na randkę w japońskiej restauracji w Mayfair. Koleżanki mówią: „Chyba zwariowałaś, jeśli mu odmówisz!”. Ale ja mówię „nie” – dla ciebie.

Usiłuję nie pokazywać rozbawienia jej amatorstwem.

– Więc po co ja jestem? – pyta. – Tylko dla seksu, kiedy masz wakacje?

Dobrze, mój płaszcz wisi przy drzwiach, kowbojki też tam stoją. Ona nadal jest nagusieńka jak bałwanek i nie ma w swoim zasięgu żadnej broni.

– Jesteś dla mnie przyjaciółką, Mariângela. Dzisiaj jesteś bardzo bliską przyjaciółką. Ale czy chcę cię przedstawić rodzicom? Nie. Zamieszkać z tobą? Nie. Planować z tobą przyszłość, składać z tobą pranie, wziąć kota? Nie.

Pod oknem przejeżdża kolejny pociąg, dając sygnał do sceny płaczu: sceny tak starej jak hominidy i gruczoły łzowe. Taka scena rozgrywa się w tej chwili na całym świecie, we wszystkich istniejących językach. Mariângela ociera twarz i patrzy gdzieś w bok, a wszyscy Olly Quinnowie tego świata padają na kolana, przyrzekając, że już teraz wszystko będzie dobrze. Ja wkładam płaszcz i kowbojki. Ona to zauważa i łzy ustają.

– Wychodzisz? Teraz?

– Jeśli to nasze pożegnanie, Angel, po co przedłużać agonię?

W pięć sekund jest zraniona do nienawiści.

– *Sai da minha frente! Vai pra puta que pariu!*

I dobrze. Niech mnie nienawidzi, koniec będzie bardziej bezproblemowy. Z jedną nogą już za progiem mówię:

– Jeśli ten twój konsultant chce paru lekcji na temat Mariângeli Pinto-Pereiry, chętnie udzielę mu wskazówek.

Ułamek sekundy później jej spojrzenie życzy mi śmierci, widzę zamach umięśnionego ramienia i doskonałą nagą brazylijską pierś – i Jezus z Rio pędzi w moją stronę z prędkością meteoru. Reaguję błyskawicznie i Jezus uderza w drzwi, zmieniając się w grad gipsu.

*

W ponurym mroku godziny osiemnastej czuję zapowiedź śniegu. Wkładam czapkę z futra oposa. Na zamożnych uliczkach Richmond wszystko dzieje się, jak dzać się powinno. Właściciele domów zaciągają zasłony w swoich salonach klasy średniej, zastawionych książkami, zapelnionych sztuką, oświetlonych lampkami choinek. Nadkładam drogi i skręcam w Red Lion Street. Dziewczyna w recepcji salonu Astona Martina ma krągłości tak zachęcające, jak u rzeczonoego auta, ale z twarzy przypomina ET. Kiedy ją mijam, gada przez telefon. Daję jej głową znak, mający oznaczać „twój szef na mnie czeka”, i przechodzę przez salę wystawową, zmierzając do otwartych drzwi z tabliczką „VINCENT COSTELLO – KONSULTANT SPRZEDAŻY”. Mężczyzna zajmujący pomieszczenie za drzwiami jest nieco po trzydziestce, nosi wyzelowaną plerezę i garnitur ze sklepu oferującego towary w średnim zakresie cenowym. Usiłuje niechlujnie zapakować w ozdobny papier wielkie pudło z plastikowymi wysięgówkami. W efekcie prezent wygląda, jakby ktoś go wypluł.

– Witam – mówi. – W czym mogę pomóc? – Cwaniacki akcent ze wschodniego Londynu.

Na biurku zdjęcie: on z chłopczykiem, ale mamusia tudzież obrączka nieobecne.

– Mam przyjemność z Vincentem Costello?

- Tak. Zgodnie z tabliczką na drzwiach.
 - Chciałbym zapytać o wartość odsprzedaży astona martina cody.
- Ale najpierw – patrzę na jego częściowo opakowane pudło – przyda się panu dodatkowy kciuk.
- Nie, nie, naprawdę, proszę sobie nie robić kłopotu.
 - Ja nie mam z tym kłopotu, ale widzę, że pan owszem. Proszę pozwolić, że pomogę.
 - Dobrze, dziękuję. To dla mojego pięciolatka.
 - Widzę, że jest kibicem Formuły jeden?
 - Uwielbia samochody, motocykle, wszystko, co ma silnik. Zwykle prezenty pakuje jego matka, ale...

Języczek taśmy samoprzylepnej odrywa pasek papieru, a Costello poprawia „kurwa” na „kurczę”.

- Pudełka pakuje się po przekątnej. – Zanim może zaprotestować, odsuwam go na bok. – Trzeba zawnoczu przygotować kawałeczki taśmy, potem przekonać papier, żeby się zaginał i... – Kilka sekund później na jego biurku leży idealnie zapakowane pudło z prezentem. – Gotowe.

Vincent Costello jest pod wrażeniem.

- Gdzie się pan tego nauczył?
- Ciotka prowadzi małą sieć sklepów z ekskluzywnymi prezentami. Zdarza się, że krnąbrny bratanek jej pomaga.
- Ciocia ma szczęście. Czyli aston martin coda, mówił pan?
- Rocznik sześćdziesiąt dziewięć, sto dziesięć tysięcy na liczniku, pierwszy właściciel, troskliwy.
- Bardzo niski przebieg jak na taki model. – Z szuflady biurka Costello wyjmuję kartkę A4 zadrukowaną cyframi. – Mogę zapytać, kim jest ów troskliwy właściciel? Bo nie pan jeździ nim od sześćdziesiątego dziewiątego.
- Nie, przyjaciel odziedziczył go po ojcu. A tak w ogóle, mam na

imię Hugo, Hugo Lamb, a mój przyjaciel jest jednym z Penhaligonów z Penzancji. – Ściskamy sobie dłonie. – Kiedy ojciec przyjaciela zmarł, zostawił rodzinę z koszmarnym bałaganem w finansach i z niebotycznym podatkiem od spadku do zapłacenia.

Vincent Costello wykrzywia usta we współczującym grymasie.

– No tak.

– Matka przyjaciela to urocza kobieta, ale nie ma pojęcia o finansach i rachunkach. A na dokładkę adwokat i doradca finansowy rodziny właśnie zalicza odsiadkę za defraudację.

– No tak, nieszczęścia chodzą parami.

– Właśnie. Więc kiedy ostatnio rozmawiałem z Jonnym, zaproponowałem, że wspomnę o jego astone martinie naszemu lokalnemu dilerowi, panu. Moi rodzice mieszkają przy Chislehurst Road. Niestety, w branży oldtimerów można dziś spotkać więcej kowbojów niż szeryfów. Stąd mam przekonanie, że salon samochodowy z Londynu, taki jak pański, może zapewnić mojemu przyjacielowi większą dyskrecję, niż gdyby Jonny udał się do kogoś w Dewonie czy Kornwalii.

– Ma pan jak najbardziej słuszne przekonanie. Pozwoli pan, że sprawdzę aktualny cennik... – Costello otwiera jakąś teczkę. – Czy pański ojciec jest naszym klientem?

– Tata w tej chwili jeździ bmw, ale być może będzie szukał czegoś bardziej stylowego. Beemki są banalne, każdy yuppie dziś jeździ beemką. Wspomnę mu, że był pan bardzo pomocny.

– Będę wdzięczny. Czyli... może pan powiedzieć przyjacielowi, że cena astone martina cody z rocznika sześćdziesiąt dziewięć i z przebiegiem około stu tysięcy powinna kształtować się w okolicach...

– Vincent Costello przebiega palcem kolumnę cyfr – ...dwudziestu dwóch tysięcy. Aczkolwiek ceny londyńskie będą dla niego korzystne, mam na liście klientów arabskiego kolekcjonera, džentelmena, który

będzie skłonny zapłacić nieco więcej, wiedząc, że sprzedajemy samochody godne zaufania, więc mógłbym może wynegocjować dwadzieścia pięć tysięcy. Nasz mechanik musiałby obejrzeć pojazd, a pan Penhaligon powinien przywieźć dokumenty osobiście.

– Oczywiście, chcemy wszystko załatwić zgodnie z prawem.

– Proszę, to moja wizytówka, będę przygotowany na telefon pana Penhaligona.

– Świetnie. – Wsuwam ją do portfela z wężowej skóry, ściskamy sobie dłonie i wychodzę. – Wesołych świąt, panie Costello.

4 *Młodość* – opowiadanie Josepha Conrada (przyp. tłum.).

23 grudnia

W otwieranych drzwiach dzwoni dzwonek i wkraczam w zaduch dymu z fajki w sklepie filatelistycznym Bernarda Kriebela przy Cecil Court, przecznicy od Charring Cross Road. Sklep jest długi i wąski, a jego centralne miejsce zajmują przegrody z seriami znaczków w średnim zakresie cenowym, wystawionymi jak winylowe płyty. Bardziej kosztowne egzemplarze mieszkają w zamykanych na klucz gablotach wzdłuż ścian. Odwijam z szyi szalik, ale moją starą torbę zostawiam na ramieniu. Z radia dobiegają koloratury drugiego aktu *Don Giovanni*. Bernard Kriebel, w zielonym tweedowym garniturze i granatowym krawacie, spogląda na mnie zza ramienia stojącego przy ladzie klienta, badając, czy przychodzę w pokojowych zamiarach. Uspokajam go miną, daję mu sygnał, żeby się nie śpieszył, i staję w dyskretnej odległości, studiując zachowane w idealnym stanie Penny Blacks w gablotach z kontrolowaną wilgotnością. Szybko jednak okazuje się, że klient przede mną nie należy do zadowolonych z życia.

– Jak to „falszyfikat”?

– Wiek tego egzemplarza określiłbym raczej na sto dni – właściciel zdejmuje delikatne okulary, żeby potrzebę łzawiące oko – niż na sto lat.

Kciukiem złączonym z palcem wskazującym klient szczypie powietrze, jak komiczny Włoch.

– A wyblakła farba? A pożółkły papier? Papier nie jest dzisiejszy!

– Papier sprzed lat nie jest trudno dostępny, choć krzyżujące się włókna wskazują bardziej na lata dwudzieste tego wieku niż na lata dziewięćdziesiąte wieku dziewiętnastego. – Nieśpieszny angielski Bernarda Kriebela ma w sobie słowiańską twardość: akurat wiem, że Kriebel pochodzi z Jugosławii. – Nasączenie papieru słabą herbatą to

stary trik. Przygotowanie klisz drukarskich na pewno zajęło niejedną noc, przyznaję, jednak przy cenie katalogowej dwudziestu pięciu tysięcy funtów warto się postarać. Sam tusz jest współczesny – sjena palona Winsora & Newtona? – lekko rozwodniony. Całkiem zgrabne fałszerstwo.

Oburzone sapanie fałsetem:

- Oskarża mnie pan o fałszerstwo?
- Ciekawe, oskarżyłem kogoś, nie pana.
- Usiłuje pan zbić cenę. Niech się pan przyzna.

Kriebel krzywi się z odrazą.

– Półamator z Portobello albo ktoś na targach filatelistycznych może się nabierze. A teraz, panie Budd, pan wybaczy, czeka prawdziwy klient.

Pan Budd zachęca się i z oburzonym *aaaaa!* zmierza do wyjścia. Usiłuje trzasnąć drzwiami, ale nie daje się nimi trzasnąć, i znika. Kriebel w zdumieniu kręci głową na dziwy tego świata.

– Często zdarza się, że fałszerze przynoszą panu swoje wytwory? – pytam.

Kriebel zasysa policzki na znak, że zamierza zignorować moje pytanie.

– Pamiętam pana... – szuka mnie w wizytowniku pamięci – ...pan Anydrus. W sierpniu sprzedał mi pan kolekcję ośmiu znaczków z wysp Pitcairn. Porządna, czysta kolekcja.

– Mam nadzieję, że wszystko u pana dobrze.

– Może być. A jak tam pańskie studia? Prawo na UCL, dobrze pamiętam?

Mam wrażenie, że usiłuje mnie na czymś przyłapać.

– Astrofizyka w Imperial College.

– Ach, prawda. I znalazł pan inteligentne życie gdzieś tam w górze?

– W tym samym stopniu, co tu na dole.

Uśmiecha się i patrzy na moją torbę.

– Dziś pan kupuje czy sprzedaje?

Wyjmuję stary klaser i wysuwam z niego blok czterech znaczków.

Długopis w dłoni Kriebela miarowo stuka o blat.

Filatelista i jego lampa Anglepoise nachylają się bliżej.

Długopis milknie. Oko Bernarda Kriebela patrzy na mnie badawczo, niczym inkwizytor, recytuję zatem:

– Cztery indyjskie niebiesko-fioletowe półanny. Z tysięcy osiemset pięćdziesiątego czwartego albo pięćdziesiątego piątego. Z prawej strony arkusza. Z częściowym nadrukiem na marginesie. Niekasowane, nieużywane. Jak mi idzie?

– Dość dobrze. – Ponownie bada znaczki pod wielkim szkłem powiększającym godnym Sherlocka. – Nie będę udawał, że przez moje ręce przechodzi ich całe mnóstwo. Chce pan... zaproponować jakąś cenę?

– W czerwcu ubiegłego roku ofrankowaną pojedynczym znaczkiem całość pocztową sprzedano w Sothebys za dwa tysiące sto funtów. Co pomnożone przez cztery daje osiem tysięcy czterysta. Do tego dodajmy pięćdziesiąt procent za blok w stanie idealnym, co daje nam mniej więcej trzynaście tysięcy. Jednakowoż ponosi pan londyńskie koszty działalności, płaci pan od ręki, a ja bardzo liczę na dłuższą współpracę, panie Kriebel.

– O, myślę, że najwyższa pora mówić sobie po imieniu.

– Świetnie. Mam na imię Marcus, a moja cena to dziesięć tysięcy.

Kriebel już zdecydował się przyjąć moją propozycję, ale przez grzeczność postanawia udawać, że kona w agonii.

– Akurat teraz znaczki Wspólnoty osiągają ceny niższe niż zwykle. – Zapala swoją fajkę i aria dobiega końca. – Niestety, mogę zapłacić najwyżej osiem i pół.

– Bernardzie, straszny dziś mróz. Okropnie zmarzniesz, goniąc

mnie do Trafalgar Square.

Wzdycha przez włochate dziurki w nosie.

– Żona mnie rozszarpie za to, że jestem taki miękki, ale młodych filatelistów trzeba wspierać. Pójdziemy obaj na kompromis i zgodzimy się na dziewięć tysięcy dwieście pięćdziesiąt?

– Dziesięć to łatwiejsza, okrągła liczba. – Zakładam szalik.

Ostatecznie westchnienie.

– Niech będzie dziesięć. – Ściskamy sobie dłonie. – Przyjmujesz czeki?

– Tak, ale, Bernardzie...? – Kriebel odwraca się w progu do swojego kantorka – Czy ty spuściłbyś z oczu swoje cztery słodkie półanny, zanim dostałbyś za nie pieniądze?

Bernard Kriebel przechyla głowę w uznaniu dla mojego profesjonalizmu. Zwraca mi znaczki i idzie wypisać czek. Śmiertelnie chory autobus czołga się po Charing Cross Road. Demony wloką Don Giovanniego do świata podziemi – taki los spotyka wszystkich amatorów, którym nie chce się porządnie przygotować do zadania.

*

Lawiruję przez przedświąteczne Soho, wśród trąbiących klaksonów i zaparowanych szyb, po zamrażonej brei, na której można się poślizgnąć. Pokonuję sznury samochodów na Regent Street, napierające nieustępliwie jak lodowiec, aż dochodzę do dyskretnie ulokowanej siedziby banku Integrité Suisse w Londynie, schowanej za Berkley Square. Goryl ochroniarz przytrzymuje mi kuloodporne drzwi, witając mnie pochYLENIEM głowy. Jestem umówiony na spotkanie. W przestronnym mahoniowo-kremowym wnętrzu przekazuję mój czek filigranowej kasjerce za polerowanym biurkiem. Kasjerka nie zadaje żadnych pytań oprócz: „Jak się pan dzisiaj miewa,

panie Anydrus?”. Przy jej komputerze stoi malutka flaga szwajcarska i kiedy kasjerka wypełnia druk wpłaty, zastanawiam się, czy Miss Constantin, jako szwajcarska emigrantka nieepatująca statusem majątkowym, kiedykolwiek zasiada w tym samym luksusowym fotelu. Stale wraca do mnie wspomnienie tego przedziwnego spotkania w kaplicy King’s College, choć epizody zagubienia w czasie już mi się nie powtórzyły.

– Do następnego spotkania, panie Anydrus – mówi kasjerka, a ja się zgadzam, tak, do następnego spotkania.

Pieniądze są tylko produktem ubocznym sztuki, którą uprawiam, wychodzę jednak z poczuciem, że noszę broń i chroni mnie kamizelka kuloodporna – kiedy czek Kriebela zostanie zrealizowany, stan mojego konta przekroczy pułap pięćdziesięciu tysięcy. To oczywiście mikroskopijny rachunek w skali klientów Integrité, ale całkiem przyzwoity dla studenta na własnym garnuszku. I będzie rosnąć. Połowa moich kolegów z Humber College – o ile ich rodzice nie poddają się potulnie dojeniu – jest zadłużona po czoło i nie chcą oni myśleć o tym, że przez pierwsze pięć lat pracy będą musieli pokornie zajmować się każdym gównem, jakie ktoś im podrzuci, i udawać, że to czyste złoto. Nie ja. Ja gówno odrzucam z powrotem. Z jeszcze większym zamachem.

*

W zacisznej uliczce na tyłach Piccadilly Circus dwaj mężczyźni w garniturach i płaszczach blokują drzwi wyjściowe i bombardują tyradą słów kogoś ukrytego przed wzrokiem. Światło z jasnych okien Tower Records przebija się przez deszcz ze śniegiem, a pierwsza fala pasażerów popołudniowego szczytu zaczyna się wlewać do stacji metra. Ci dwaj mężczyźni rozbudzili moją ciekawość. Między ich

plecami widzę przykurzonego yeti, skulonego w wejściu do budynku.

– Niezłą masz strategię biznesową – mówi jeden. – Najpierw obserwujesz, jak tam ludzie kupują kwiaty, a potem tutaj przyciskasz ich o pieniądze i już muszą ci dać, bo inaczej poczuliby się jak totalne fiuty. – Sądząc po głosie, sadysta jest pijany. – My też robimy w marketingu. Jaki masz wskaźnik trafień?

– Ja... – yeti mruży oczy przerażony – ja nie wiem, o co chodzi.

Opracowcy śmieją się jeden do drugiego. Nie brzmi to miło.

– Ja tylko... tylko proszę o jakieś drobne. Hostel kosztuje trzynaście funtów za noc.

– To się ogol i idź do roboty wykladać towary na półki.

– Nikt mi nie da pracy, bo nie mam stałego adresu.

– No to załatw sobie stały adres. Pffff.

– Nikt mi nie wynajmie pokoju, jeśli nie mam pracy.

– Taki to ma wykręt na wszystko, słyszysz go, Gaz?

– Hej. Hej. Chcesz pracę? Dam ci pracę. Chcesz?

Ten bardziej zwalisty z dwójki nachyla się:

– Kolega bardzo grzecznie pyta cię, czy chcesz pracę.

Yeti przetyka ślinę i kiwa głową.

– Jaką pracę?

– Słyszysz to, Gaz? Nawet lumpy bywają wybredne.

– Inkasenta – odpowiada Gaz. – Dziesięć funtów za minutę.

Twarz yeti drga w nerwowym tiku.

– Co mam robić?

– Zbierać pieniądze. – Gość odwraca się i rzuca garść monet w odstęp między autami wjeżdżającymi z wyciem silników na Piccadilly Circus. – Kurwa, zbieraj kasę, Einsteinie! – Monety toczą się między oponami, wlatują pod samochody, wpadają w koleiny w brudnym lodzie. – Patrz, w Londynie kasa dosłownie leży na ulicy.

Zachwyceni sobą oprawcy odchodzą, rozchlapując śnieżną breję, i zostawiają skulonego yeti, który oblicza szanse wyzbierania monet, nie wpadając przy tym pod autobus.

– Niech pan da spokój – mówię mu.

Piorunuje mnie wzrokiem.

– Sam spróbuj się przespać w śmietniku.

Wyjmuję portfel i daję mu dwie dwudziestki.

Patrzy na pieniądze, potem na mnie.

– Trzy noce w hostelu, tak? – pytam.

Bierze ode mnie banknoty i wsuwa je do kieszeni brudnego palta.

– Dzięki.

Ofiara bogom oddana jak przykazano. Poddaję się tłumowi, a wir smrodliwych ciał i nieświeżych oddechów wsysa mnie do stacji metra na Piccadilly Circus.

*

Diagnoza jest prosta: „Ludzie wyobrażali sobie republiki i księstwa, które tak naprawdę nigdy nie istniały. Sposób, w jaki ludzie żyją, jest jednak tak daleki od tego, jak żyć powinni, że każdy, kto porzuca »jak jest« dla »jak być powinno«, zmierza ku własnemu upadkowi, nie ku przetrwaniu. Człowiek, który pragnie czynić wyłącznie dobro, jest bowiem skazany na klęskę, gdyż istnieje wielu innych, którzy dobrzy nie są”. Za ten wyłożony bez ogródek pragmatyzm kardynał Pole potępił Niccolò Machiavellego, nazywając go apostołem diabła. Za Earl’s Court mój wagon wyjeżdża z tunelu w gasnące światło dnia. Gazownie i edwardiańskie dachy, kominy i anteny, parking przed supermarketem, lokale do wynajęcia. Pasażerowie chwieją się i chyboczą jak wołowe tusze, bezwładni jak trupy – podłączeni do discmanów niewolnicy korporacji, o przekrwionych oczach. Ich

bardziej podtyte wcielenia, po czterdziestce, są zatopione w lekturze „Evening Standard”, a wersje tuż przed emeryturą spoglądają w stronę zachodniego Londynu, zastanawiając się, gdzie przemknęło im życie. „Jestem Systemem, musisz mnie pokonać” – stukają wagony. – „Jestem Systemem, musisz mnie pokonać”. Ale co to znaczy „pokonać system”? Zostać na tyle bogatym, żeby wykupić sobie wolność od codziennych upokorzeń zatrudnienia? Inny pociąg na równoległym torze w tym samym kierunku wyprzedza nas na tyle wolno, że mogę wychwycić postać młodego pracownika City, jakim za rok o tej porze sam już dawno będę, rozplaszczonego o okno zaledwie metr ode mnie. Dobra cera, markowe ciuchy, puste spojrzenie. „Jak zarobić konkretną fortunę przed trzydziestką” – głosi okładka jego magazynu. Gość podnosi wzrok i mnie dostrzega. Mruży oczy, usiłując odczytać tytuł mojej książki z serii Penguin Classic, ale jego pociąg odjeżdża w bok na inny tor.

Nawet jeśli mam wątpliwości, czy można pokonać system, pnąc się w górę, wiem na pewno, że nie da się go pokonać, rezygnując z gry. Tak jak w Rivendell. W wakacje, zanim wyjechałem do Cambridge, kilku z nas poszło na clubbing do Floating World w Camden. Wziąłem ekstazkę i wymiksowałem się z dziewczęciem wyglądającym na bezpieczeństwa, które nosiło szminkę koloru skrzepłej krwi i ubranie uszyte z pajęczyn. Wsiadliśmy z tą Spidergirl do taksówki i pojechaliśmy do niej – do komuny zwanej Rivendell, która okazała się skłotem w przeznaczonym do rozbiórki szeregowym domu na końcu ulicy, tuż obok przetwórnicy makulatury. Figlowaliśmy ze Spidergirl, słuchając wczesnego albumu Joni Mitchell o mewach, a potem przedrzemaliśmy do południa, kiedy to zostałem zaprowadzony na dół do Sali Elronda, gdzie zjadłem curry z soczewicy, a skłotowi pionierzy opowiedzieli mi, jak to ich komuna utworzyła przyczółek postkapitalistycznej, postnaftowej, postpieniężnej przyszłości. Dla

nich wszystko dzieliło się na „objęte systemem” – złe, albo „poza systemem” – dobre. Kiedy jeden z nich zapytał mnie, jak zamierzam spędzić dany mi w życiu czas, odpowiedziałem coś o mediach, co natychmiast sprowokowało zbiorową diatribę o tym, jak to systemowe media dzielą ludzi, zamiast ich łączyć. Spidergirl wytłumaczyła mi: „Tutaj, w Rivendell, rozmawiamy ze sobą naprawdę i dzielimy się opowieściami kultur, które posiadały większą mądrość, jak Inuici. Mądrość to najbardziej wartościowa waluta”. Kiedy już wychodziłem, zapytała, czy nie „pożyczyłbym” jej dwudziestu funtów na zakupy w Tesco. Zasugerowałem, żeby przy kasie wyrecytowała jakąś inuicką legendę, bo mądrość to najbardziej wartościowa waluta. Część jej odpowiedzi zatracąca o radykalny feminizm, a część brzmiała po prostu anglosasko. Oprócz wszyłonowych i alergii na Joni Mitchell, która utrzymuje mi się do dzisiaj, z Rivendell wyniosłem wiedzę, że „poza systemem” oznacza biedę.

Zapytajcie tego yeti, czy czuje się wolny.

*

Kiedy na ganku zdejmuję czapkę i buty, słyszę mamę w salonie: „Zaczekaj chwilę, to chyba on”. Mama pojawia się, trzymając słuchawkę telefonu z naprężonym do granic wytrzymałości sznurem.

– Tak, to on! Dzwonisz w samą porę. Już go daję. Cieszę się, Jonny, że mogłam, że tak powiem, wreszcie usłyszeć głos osoby, którą znałam z imienia. Wesółych świąt i szczęśliwego Nowego Roku!

Idę za nią i bezgłośnie pytam: „Jonny Penhaligon?”, a mama kiwa głową i wychodzi, zamykając za sobą drzwi. Mroczny salon oświetlają lampki migoczące na choince. Słuchawka leży na wiklinowym krześle. Przykładam ją do ucha, wsłuchując się w nerwowy oddech Penhaligona i transowy temat z *Twin Peaks*, dobiegający leniwie z

innego pokoju w Tredavoe House. Liczę od dziesięciu do zera, powoli...

– Jonny! Niezły zaskok! Przepraszam, że musiałeś czekać.

– Hugo, cześć, tu Jonny. Hej. Jak leci?

– Świetnie. Wszyscy w ferworze świątecznych przygotowań. A u ciebie?

– Nie za specjalnie, Hugo, jeśli mam być szczerzy.

– O, przykro mi. Mogę jakoś pomóc?

– Ymm... nie wiem. To trochę... niezręczna sprawa.

– O... kej. Mów.

– Pamiętasz, jak graliśmy u Toada? Pamiętasz, że wygrałem cztery tysiące, a ty powiedziałaś, że już się będziesz zbierał?

– No jasne. Schyściłem się w godzinę. Ale co innego Pirat z Penzancji, he?

– Tak, to były... fartowne rozdania.

– Fartowne? Cztery tysiące funtów to dla studenta więcej niż podstawowe stypendium.

– No tak. Wygrana uderzyła mi trochę do łba. Nawet bardzo. Wygrana i grzane wino, i pomyślałem, że byłoby absolutnie cudownie nie musieć łaścić się do matki za każdym razem, kiedy maksuję sobie konto... W każdym razie ty już poszedłeś, rozdawał Eusebio, a ja dostałem kolor, piki, z najstarszym waletem. Rozgrywałem bezbłędnie – udawałem, że blefuję, a w ręku mam jakieś gównno – aż na stole leżały już dwa tysiące funtów.

– Kurwa, Jonny. Konkretna kasa.

– No właśnie. Uzgodniliśmy, że olewamy limit licytacji i we trójkę podbijaliśmy, podbijaliśmy i nikt nie chciał spasować. Rinty miał tylko dwie pary, a Bryce Clegg popatrzył na mój kolor i westchnął: „Znowu Pirat mnie wychujał”, ale kiedy zbierałem kasę, dodał: „Chyba że mam... o, a co to jest? Ful”. Miał fula. Trzy damy, dwa asy.

Powinienem być już wtedy iść, Jezu, jak żałuję, że nie skończyłem. Ciągłe byłem do przodu o dwa tysiące. Co prawda straciłem też dwa, ale pomyślałem, że to tylko jednorazowy niefort i że jeśli zachowam zimną krew, to się odegram. Fortuna sprzyja odważnym, myślałem. Jedno rozdanie i znowu będę do przodu... Toad kilka razy mnie pytał, czy chcę się wycofać, ale... wtedy byłem już... miałem... – Penhaligonowi żalamuje się głos – dziesięć tysięcy w plecy.

– O kurde, Jonny. Sporo.

– Graliśmy dalej, przegrywałem coraz więcej i nie wiedziałem, dlaczego dzwony King's College nagle biją w środku nocy, ale Toad rozsunał zasłony i było już widno. Toad powiedział, że jego kasyno zamyka się na ferie. zaproponował, że zrobi nam jajecznicę, ale nie byłem głodny...

– Raz się wygrywa – pocieszam go – raz przegrywa. Taki jest poker.

– Nie, Hugo, nie rozumiesz. Eusebio dostał łomot, ale po mnie... przejechał walec, a kiedy Toad podliczył, ile jestem winien, wyszło – zduszony szept – piętnaście tysięcy dwieście. Toad zaproponował, że zaokrągeli w dół do piętnastu tysięcy, żeby cyfra wyglądała ładnie i miło, ale...

– Twoja honorowość nawet z Toada robi lepszego człowieka – kadzę mu, wyglądając przez okno za granatowymi aksamitnymi zasłonami. Mroźną noc w kolorze ciemnego indygo oświetla bursztynowe światło latarń. – Wie, że nie ma do czynienia z podrzędnym cwaniaczkiem, który stwierdzi, że nie zapłaci, bo nie ma.

Penhaligon wzdycha.

– I to jest właśnie ta niezręczność.

Udaję, że nie do końca rozumiem.

– Jak to? Co masz na myśli?

– Piętnaście tysięcy funtów to... to sporo. Kurwa, góra kasy.

– Dla finansowego śmiertelnika jak ja, owszem, ale przecież nie dla

kornwalijskiego arystokraty?

– Chodzi o to, że nie mam tyle na... głównym koncie.

– A. Jasne. Jasne! Posłuchaj, znam Toada od początku studiów i daję głowę, że nie masz się czym martwić.

Penhaligon daje radę wyrzucić pełne nadziei:

– Naprawdę?

– Toad jest wporzo. Powiedz mu, że banki są zamknięte w święta i będziesz mógł uregulować dług przelewem dopiero po Nowym Roku.

Toad wie, że można cię trzymać za słowo.

Teraz uwaga.

– Ale ja nie mam piętnastu tysięcy funtów.

Zrób teatralną pauzę, dodaj odrobinę zmieszania i szczyptę zdumienia.

– Chcesz powiedzieć... że nie masz tych pieniędzy w ogóle, nigdzie?

– No... nie mam. W tej chwili nie mam. Gdybym mógł, to bym uregulował, ale...

– Jonny. Przestań. Jonny, to jest twój dług. Poręczyłem za ciebie. Wobec Toada. Powiedziałem: „To jeden z Penhaligonów”, i to zamknęło sprawę.

– To, że ktoś mieszka w domu z listy zabytków, a jego przodkowie byli admirałami, nie znaczy, że jest miliarderem! Właścicielem Tredavoe House jest Courtard's Bank, nie my!

– Okej, rozumiem. No to po prostu poproś mamę, żeby wypisała ci czek.

– Za dług w pokera? Oszalałeś? Nie ma opcji, żeby zapłaciła. No dobrze, a co by tak właściwie zrobił Toad, jeśli... no, wiesz... tych piętnastu tysięcy by...

– Nie, nie, nie, nie, nie. Toad jest naszym kumplem, ale jest też człowiekiem interesu, a interesy zwyciężają nad kumplostwem. Proszę cię. Zapłać.

– Ale to tylko poker. To nie jest... prawne zobowiązanie.

– Dług to dług, Jonny. Toad uważa, że jesteś mu winien te pieniądze, i niestety, ja też tak uważam. Jeżeli odmówisz spłaty, Toad zacznie grać brutalnie. Nie wrzuci ci do łóżka głowy konia, ale powiadomi twoją rodzinę i Humber College, który, tak w ogóle, nie ucieszy się, że zaczną pisać o nim tabloidy.

Penhaligon słyszy melodię własnej przyszłości, która brzmi, jakby ktoś zrzucił pojemnik z pustymi butelkami z dachu wielopiętrowego parkingu.

– Ja pierdołę. Kurwa. Kurwa!

– Przychodzi mi do głowy pewne rozwiązanie... Ale nie. Nie ma o czym...

– W tej chwili jestem skłonny zgodzić się na wszystko. Wszystko.

– Nie, zapomnij. Wiem dobrze, co powiesz.

– Mów, Hugo.

Sztuka perswazji nie polega na użyciu siły. Trzeba pokazać komuś drzwi i sprawić, że bardzo, ale to bardzo chce je otworzyć.

– To twoje stare sportowe autko, Jonny. Alfa romeo?

– Aston martin coda, rocznik sześćdziesiąt dziewięć, ale... mam je sprzedać?

– Wiem, to byłaby masakra. Już lepiej płaszczyć się przed matką.

– Ale... to był samochód taty. Zostawił go mnie. Uwielbiam to auto. I jak bym wyjaśnił, że nagle aston martin tajemniczo zniknął?

– Masz zawsze dużo pomysłów, Jonny. Powiedz rodzinie, że wolałeś upłynnić aktywa i ulokować je w stabilnych zagranicznych obligacjach niż objeżdżać Devon i Kornwalię sportowym samochodem, nawet jeśli był ojca. Czeka, w tej chwili przyszło mi coś do głowy... Znam tutaj, w Richmond, jednego dilerka. Handluje zabytkowymi autami. Jest bardzo dyskretny. Mógłbym do niego wpaść, nim zamknie na święta, i zapytać, ile mniej więcej można by

za niego wziąć.

Z odmrożonego palucha Anglii po kablu biegnie drżące westchnienie.

– Rozumiem, że się nie zgadzasz – mówię. – Przykro mi, Jonny, chciałbym ci pomóc, ale...

– Nie, zgoda. Okej. Idź do niego. Proszę cię.

– A chcesz wyjaśnić sytuację Toadowi, czy...

– Mógłbyś do niego zadzwonić? Ja... ja chyba nie dam rady...

– Zostaw to mnie. Prawdziwych przyjaciół poznaje się, i tak dalej...

*

Wybieram numer Toada z pamięci. Po jednym dzwonku włącza się jego sekretarka.

– Pirat sprzedaje. Ja wylatuję w Alpy po świętach, ale widzimy się w Cambridge w styczniu. Wesołych świąt!

Rozłączam się i wędruję spojrzeniem do wykonanego na zamówienie regału na książki, do telewizora, do barku z trunkami taty, do kinkietów z dmuchanego szkła mamy, do starej mapy Richmond-upon-Thames, do fotografii Briana, Alice, Alexa, Hugo i Nigela Lambów w przeróżnym wieku i w różnych fazach rozwoju. Ich głosy dobiegają mnie jak odbite echem przez megafon z innego świata.

– Wszystko w porządku, Hugo? – W drzwiach staje ojciec. – Miło, że już wróciłeś, tak à propos.

– Cześć, tato. To był Jonny, kumpel z Humber College. Chciał sprawdzić listę lektur na ekonomię w przyszłym trymestrze.

– To się nazywa umiejętność organizacji. A ja zostawiłem butelkę koniaku w bagażniku, więc tylko wyskoczę do...

– Zostań, tato. Jest pierońsko zimno, a ty jeszcze nie wyszedłeś do

końca z przeziębienia. Moje palto wisi na wieszaku, przyniosę ci koniak.

*

– No i proszę, spotykamy się znowu ponurą zimową porą – mówi jakiś człowiek, który pojawia się znikąd, kiedy zamykam bagażnik bmw.

O mało co bym upuścił koniak. Mężczyzna jest okutany w kurtkę z kapturem, który ukrywa jego twarz w mroku, mimo światła ulicznej latarni. Przybysz stanął na naszym podjeździe, ale zaledwie kilka kroków od publicznego chodnika.

– W czym mogę pomóc? – Miało to zabrzmieć bardziej stanowczo.

– Zastanawiamy się nad tym.

Opuszcza kaptur, a kiedy rozpoznaję w nim zebrzącego yeti z Piccadilly Circus, butelka koniaku wysuwa mi się z dłoni i uderza mnie w stopę.

– Pan? Ale... – bąkam. W powietrzu unosi się mój biały oddech.

– Na to wygląda – odpowiada yeti.

Potrafię już tylko wychrypieć:

– Dla... dlaczego pan za mną szedł?

Yeti szacuje spojrzeniem dom moich rodziców, jak potencjalny kupiec. Dłonie trzyma w kieszeniach. Jest w nich miejsce na nóż.

– To nie forsa przyciągnęła mnie za tobą aż tutaj, Hugo.

Śledzę w myślach niedawny ciąg wydarzeń: jestem pewien, że nie powiedziałem mu, jak mam na imię. Po co miałbym mu mówić?

– Skąd pan wie, jak mam na imię?

– Wiemy to już od ładnych paru lat. – Jego akcent ze społecznych nizin nagle zniknął bez śladu, yeti mówi teraz wyraźnie i wysławia się jasno.

Przyglądam się jego twarzy. Były kolega z klasy?

– Kim pan jest?

Yeti drapie się po tłustych włosach na głowie, jego rękawiczkom brakuje końcówek palców.

– Jeśli chodzi ci o to, kto jest właścicielem tego ciała, to szczerze mówiąc, kogo to obchodzi? Wychował się pod Gloucester, ma wszy, ograniczonego miejscowo wirusa autoimmunologicznego i jest heroinistą. Jeżeli natomiast chodzi ci o to, z kim teraz rozmawiasz, odpowiedź brzmi: z Immaculée Constantin, z którą nie tak dawno omawiałaś kwestię natury władzy. Wiem, że mnie pamiętasz.

Cofam się o krok, aż rura wydechowa bmw ojca dźga mnie w łydkę. Yeti z Piccadilly nie potrafiłby nawet wymówić „Immaculée Constantin”.

– Chcecie mnie wkręcić, tak? Powiedziała panu, co ma pan mówić, ale jak...

– Skąd mogła wiedzieć, któremu bezdomnemu żebrakowi wrzucisz dziś do puszki? Nie mogła. I skąd może wiedzieć o Marcusie Anydrusie? Uruchom wyobraźnię. Przemyśl możliwości.

Na sąsiedniej ulicy zaczyna wyc autoalarm.

– Służby bezpieczeństwa. Oboje należycie do... do...

– Do rządowego spisku? No tak, to rzeczywiście z wyobraźnią, ale są gdzieś granice paranoi. Czy Brian i Alice Lamb są agentami? Może Mariàngela i siostra Purvis też są w spisku? Może brygadier Philby nie jest aż takim warzywem, jak udaje. Paranoja ogarnia wszystko.

To się dzieje naprawdę. Przyjrzyj się śladom butów yeti w skrzypiącym śniegu. Czujesz ten przetrawiony smród rzygowin i alkoholu? Czujesz, jak na zimnie drętwieją ci wargi? To nie halucynacje.

– Czego chcesz?

– Żeby ziarno zaczęło kiełkować.

Wpatrujemy się w siebie nawzajem. Wali od niego zjełczałymi krakersami.

– Posłuchaj – mówię – nie wiem, o co w tym chodzi, ani po co cię tu przysłała, ani dlaczego udajesz, że nią jesteś... Ale Miss Constantin powinna wiedzieć, że popełniła błąd.

– Jakiego dokładnie rodzaju błąd popełniłam? – pyta yeti.

– Nie interesuje mnie ta sytuacja. Nie jestem taki, za jakiego mnie macie. Chcę tylko przeżyć miło święta i spokojnie żyć sobie z...

– Wiemy doskonale, że chcesz znacznie więcej, Hugo Lamb. Znamy cię lepiej, niż znasz samego siebie. – Yeti na pożegnanie rzeźbi z rozbawieniem i odchodzi. Rzuca jeszcze przez ramię „Wesołych świąt” i już go nie ma.

29 grudnia

Alpy tu, Alpy tam, wszędzie Alpy, tu i tam. Poszarpane, obrosłe w baszty, błękitno-białe, liliowo-białe, biało-białe, poznaczone płaszczycznami skał, porośnięte ośnieżonymi lasami... Przyjeżdżałem do chaty Chetwynda-Pitta tak często, że znam już nazwy szczytów: zagięty jak pazur Grande Dent de Veisivi; po drugiej stronie doliny Sasseneire, Pointe du Tsaté i Pointe de Bricola; a za mną Palanche de la Cretta, zasłaniający większą część nieba. Wypijam dwa hausty mroźnej atmosfery i pędzelkiem wyretuszowuję nowoczesność ze wszystkiego, co badam wzrokiem. Ten samolot w promieniach wieczornego słońca – już go nie ma. Światła La Fontaine Sainte-Agnès sześćset metrów poniżej – znikają. Chaty, dzwonnica, domy o spadzistych dachach, podobne do tych z małej drewnianej wioski, którą kiedyś miałem jako dziecko – wymazane. Zwalista stacja Chemeuille – betonowa kupa z lat siedemdziesiątych – z kawiarnią, gdzie goście muszą przepłacać za kawę, i z peronami w kształcie kręgu, gdzie stoimy we czterech, koledzy z Humber – wyburzone. Wwożące w górę narciarzy *télécabines* i wyciągi krzeselkowe aż na sam szczyt Palanche de la Cretta – *pffff*, nie ma. Jakichś pięćdziesięcioro czy sześćdziesięcioro narciarzy i narciarek, szusujących po stoku na krętym niebieskim szlaku albo na dużo bardziej stromej czarnej trasie – jacy narciarze, jakie narciarki? Żadnych nie widzę. Rufus Chetwynd-Pitt, Olly Quinn i Dominic Fitzsimmons, miło było was poznać, ale ten moment już minął. Proszę. I to się właśnie nazywa średniowiecze. Czy wtedy istniała La Fontaine Sainte-Agnès? Ta dziewczyna, chudzielec w miętowozielonym kombinezonie, która opiera się o barierkę i pali, jak wszystkie Francuzki – czy palenie jest

tu w programie szkolnym? – niech zostanie. Każdy Adam potrzebuje jakiejś Ewy.

* * *

– Ej, chodźcie, może jakoś ubarwimy ten zjazd? – Rufus Chetwynd-Pitt unosi swoje gogle „Sno-Fox” za sto osiemdziesiąt funtów. – Ci trzej, którzy przegrają, będą od rana do wieczora fundować zwycięzcy wszystko, co zamówi w barze. Kto wchodzi?

– Ja wychodzę – mówi Olly Quinn. – Zjeżdżam niebieską trasą. Nie chcę pierwszego dnia skończyć w szpitalu.

– To nie fair, Rufus – protestuje Dominic Fitzsimmons. – Zjeżdżałeś tu więcej razy, niż się odlewałeś.

– Starsze panie Quinn i Fitz już spasowały. – Chetwynd-Pitt zwraca się do mnie – A Lamb Lamborghini?

Chetwynd-Pitt jeździ na nartach lepiej od nas wszystkich, nie tylko na tej trasie, a „ubarwienie tego zjazdu” po cenach nocnego życia w Sainte-Agnès mocno trzepnie mnie po kieszeni, ale udaję, że spluwam w dłonie.

– Niech zwycięży lepszy, Rufus.

W mojej logice jest metoda. Jeżeli Rufus wygra, puszcza mu hamulce przy obstawianiu kolejek bilarda, ale jeśli teraz dostanie w dupę i przegra, będzie obstawiał jeszcze bardziej histerycznie, żeby odzyskać pozycję samca-alfa.

Chetwynd-Pitt szczerzy się w uśmiechu i opuszcza na nos swoje sno-foxy.

– Dobrze, że chociaż jeden ma jaja. Fitz, będziesz nas wypuszczał.

Wracamy kawałek na sam początek trasy, gdzie Chetwynd rysuje kijkiem umowną linię startową w brudnym śniegu.

– Wygrywa ten, kto pierwszy dojedzie do tego wielkiego bałwana na

końcu czarnej trasy. Żadnych jęków, żadnych „a co, jeśli” – zjeżdżamy prosto w dolne partie, jak rzekł w Eton uczeń do ucznia. A z wami, królowny z cukru – patrzy na Fitzsimmonsa i Quinna – widzimy się *chez moi*.

– No dobra, na miejsca, gotowi... – odlicza Fitzsimmons.

Chetwynd-Pitt i ja przykucamy jak zawodnicy zimowej olimpiady.

– Start!

*

Jeszcze nie zdążyłem się dobrze umościć w tym przykucnięciu, a Chetwynd-Pitt jest już tylko śnieżką, która leci hen, przede mną. Śmigamy przez pierwszy odcinek, mijając klin hiszpańskiej młodzieży, która wybrała sobie środek trasy na grupowe zdjęcie. Szlak się rozwidla – niebieska trasa w prawo, czarna w lewo, nad ostrą krawędzią. Chetwynd-Pitt wybiera czarną, ja sunę za nim. Łąduję kilka metrów dalej, ciężko, że aż stękam, ale przynajmniej jeszcze trzymam się w pionie. Uleżały śnieg jest gładki i lśniący jak lód, sunie się po nim szybko i moje narty zgrzytają jak ostrzone noże. Przyśpieszam, ale opięty czarno-pomarańczową lycrą tyłek mojego przeciwnika też przyśpiesza, mijając słup *télécabine*. Trasa schodzi zakrętem w górną partię lasu, a zbocze robi się bardziej strome. Przy trzydziestu, trzydziestu pięciu, czterdziestu kilometrach na godzinę powietrze szoruje mnie w policzki. Wszyscy czterej szusowaliśmy dziś rano po tym odcinku trasy, ale teraz Chetwynd-Pitt zjeżdża na krechę – czterdzieści pięć, pięćdziesiąt na godzinę. Jeszcze nigdy nie zjeżdżałem tak szybko na nartach, bolą mnie łydki i uda, a pęd powietrza wyje mi w kanałach uszu. Niezauważona w porę podstępna mulda wyrzuca mnie trzy, pięć, osiem metrów... Prawie przewracam się przy lądowaniu, ale jakoś cudem udaje mi się utrzymać

równowagę. Przy upadku z taką prędkością, jedyną ochroną przed wielokrotnym złamaniem może być ślepy traf. Chetwynd-Pitt znika za stromym zakrętem, a ja biorę ten zakręt piętnaście sekund później, ale źle oceniam jego kąt i szoruję całym ciałem o zwisające nad trasą szpony świerków, zanim w końcu udaje mi się wyrwać im z powrotem na nartostradę. Teraz czas na slalom serpentynami – patrzę, jak Chetwynd-Pitt co chwila pojawia się w polu widzenia i znika. Usiłuję brać zakręty pod tym samym kątem co on. Schylam się odruchowo, kiedy stado wron wylatuje z tunelu gałęzi. Nagle las się kończy i zaczyna się wolniejszy odcinek między skalnym stokiem a groźącym kalectwem spadkiem. Żółte romby znaków z trupa czaszką ostrzegają przed zbliżaniem się do krawędzi. Mój rywal nieco zwalnia i ogląda się. Z tej odległości wygląda jak ludzik z patyczków. Przejeżdża obok Samotnej Sosny rosnącej na maczudze skały – punktu w połowie trasy. Za nami już na pewno cztery czy pięć minut zjazdu. Prostuję się, żeby odpoczęły mi mięśnie brzucha, i kątem oka widzę miasteczko w kotlinie – i lampki na choince na głównym placu. Moje podrabiane gogle zaczynają zachodzić parą, choć dziewczyna w sklepie zarzekła się, że nie będą. Chetwynd-Pitt już wjeżdża w dolną partię lasu, więc odpycham się kijkami aż do Samotnej Sosny, a potem wracam do pochylonej pozycji zjazdowej. Szybko nabieram prędkości i znowu jadę czterdzieści pięć, pięćdziesiąt. Powinienem przyhamować, ale jeśli ośmielę się jechać jeszcze szybciej, wiatr w uszach przemówi. Dolna partia lasu dławi mnie, tunel jest tylko niewyraźnym rozmazem, a ja jadę już pięćdziesiąt pięć, sześćdziesiąt. Przelatuję nad granią i brutalnym spadkiem za jej krawędzią, i nagle nie mam już gruntu... I szybuję jak archanioł na haju... Póki ta wolność trwa, jest wieczna... Dlaczego mam buty na wysokości brody?

Mój prawy but pierwszy ląduje na ziemi, ale druga noga żyje nagle własnym życiem i kręcę gwiazdy, a ból rysuje mapę na ciele – kostka, kolano, łokieć – kurwa, nie mam lewej narty, kurwa, poszłaaa, podziękowała – ziemia-las-niebo, ziemia-las-niebo, ziemia-las-niebo, twarzą w zwirowaty śnieg; kulki w maszynie losującej; jabłka w bębnie suszarki; jęk, stęk, błagam, kurwaaaaa... Grawitacja, prędkość, ziemia, zatrzymanie się będzie kosztowało fortunę, a jedyną akceptowaną walutą jest ból...

*

Auu! Przegub, piszczel, zebro, tyłek, kostka, ucho... Obolałe, poobijane, owszem... o ile jednak organizm zanadto nie otumaniał mnie naturalnym znieczuleniem, nic sobie nie zламаłem. Leżę na plecach na wielkiej poduszce ze śniegu, igieł sosnowych i mchowobadyłastej ściółki. Siadam. Mój kręgosłup nadal działa, a to się zawsze przydaje. Mój zegarek też nadal działa i jest szesnasta dziesięć, co by się zgadzało. Drobnutki srebrne igielki ptasich piosenek. Mogę wstać? Miejsce prawego pośladka zajął ból, a w kość ogonową ktoś przywalił kilofem... Ale tak, mogę stanąć na nogach, co znaczy, że właśnie miałem największy fart w życiu. Podnoszę gogle na czoło, otrzepuję kurtkę ze śniegu, odpinam jedyną nartę, jaka mi pozostała, i używając jej jako kostura, człapię w górę zbocza, żeby szukać jej partnerki. Minuta, dwie, bez powodzenia. Chetwynd-Pitt pewnie już właśnie wali pięścią zwycięzcy w bałwana w wiosce. Wracam trasą zjazdu, przeszukując zarośla i ściółkę na poboczach nartostrady. Wywrócić się na czarnej trasie to żadna ujma – nie jestem przecież zawodowym narciarzem ani instruktorem – ale perspektywa powrotu

chez Chetwynd-Pitt z jedną nartą czterdzieści minut później niż Fitzsimmons i Quinn jest, szczerze mówiąc, słaba.

Nagle słyszę odgłos szusujących po śniegu nart – innego narciarza – więc bezpiecznie schodzę z trasy na bok. To ta Francuzka z tarasu widokowego – kto inny nosiłby miętową zieleń w tym sezonie? Nawis, który ja przeorałem jak nosorożec, ona pokonuje z gracją, ląduje z pełną profeską, widzi mnie, dociera do niej, co się stało, prostuje się i zatrzymuje kilka metrów dalej, po drugiej stronie nartostrady. Schyla się, żeby podnieść coś, co okazuje się moją nartą, i podjeżdża z nią do mnie. Usiłuję przypomnieć sobie wszystko, co umiem po francusku:

– *Merci... Je ne cherchais pas du bon côté.*

– *Rien de cassé?*

Chyba pyta mnie, czy czegoś nie złamałem.

– *Non. A part ma fierté, mais bon, ça ne se soigne pas.*

Nie zdjęła gogli, więc oprócz kilku luźnych pasemek czarnych loków i nieuśmiechających się ust, twarz mojej samarytanki pozostaje dla mnie ukryta.

– *Tu en as eu, de la veïne.*

Że jestem farciarzem?

– *Tu peux...* – „Mogłabyś powtórzyć?”, chciałbym zapytać. – *C'est vrai.*

– *Ça ne rate jamais: chaque année, il y a toujours un couillon qu'on vient ramasser à la petite cuillère sur cette piste. Il restera tout sa vie en fauteuil roulant, tout ça parce qu'il s'est pris pour un champion olympique. La prochaine fois, reste sur la piste bleue.*

Jezu, mój francuski jest bardziej zakurzony, niż myślałem: „Co roku ktoś łamie kręgosłup i powinienem się trzymać niebieskiej trasy?”. Coś w tym stylu? Cokolwiek powiedziała, teraz rusza dalej w dół bez słowa pożegnania, szusując na zakrętach.

W chacie Chetwynda-Pitta przez ścianę dudni *Nevermind* Nirvany, a ja unoszę się w wannie, palę dżointa w węzowych smużkach pary i po raz tysięczny rozpatruję w myślach sprawę Umysłu Skaczącego z Ciała do Ciała. Fakty są pozornie proste: wieczorem sześć dni temu przed domem moich rodziców spotkałem umysł, który objął w posiadanie ciało innej osoby. Dziwne sytuacje aż proszą się o różne teorie, a ja mam trzy.

Teoria Pierwsza: zarówno drugie objawienie się yeti, jak i poboczne tego dowody – ślady butów i znajomość faktów, którą tylko Miss Constantin, bądź ja sam mogliśmy posiadać – były halucynacją.

Teoria Druga: padłem ofiarą mistrzowsko ukartowanej skomplikowanej mistyfikacji, w której biorą udział Miss Constantin i jej wspólnik, udający bezdomnego.

Teoria Trzecia: sprawy przedstawiają się dokładnie tak, jak wyglądają i „wędrówki umysłów” – jak inaczej to nazwać? – wydarzają się naprawdę.

I teraz tak:

Teoria Pierwsza, czyli Halucynacji: „Nie czuję się niepoczytalny” to słaby kontrargument, ale naprawdę się nie czuję. Gdybym halucynował jakąś postać aż tak wyraźnie, z pewnością miałbym również inne halucynacje. Na przykład słyszałbym... nie wiem... Stinga śpiewającego z wnętrza żarówek *An Englishman In New York*.

Teoria Druga, czyli Skomplikowanej Mistyfikacji: „Dlaczego ja?”. Niektórzy mogliby mieć różne żale do Marcusa Anydrusa, gdyby prawda o pewnych jego konfabulacjach wyszła na jaw. Ale dlaczego ktoś miałby szukać zemsty, knując kosmiczny spisek, żeby zrobić ze mnie osobę niepoczytalną? Przecież mógłby po prostu mnie skopać do nieprzytomności.

Teoria Trzecia, czyli Wędrówek Umysłów: do przyjęcia, jeśli ktoś żyje w powieści fantasy. Tu, w realnym świecie, dusza pozostaje w

ciele. Rzekome zjawiska paranormalne są zawsze – zawsze – oszustwem.

Krople wody kapią z kranu do pełnej wanny, plum, plum, plum. Wnętrze obu dłoni i palce mam różowe i pomarszczone. Ktoś na górze tupie.

Co zatem mam zrobić z Immaculée Constantin, yeti i tą przedziwną sytuacją? Jedyne możliwa odpowiedź brzmi: „Na razie nic”. Być może dziś wieczorem znowu te dziwy mnie dopadną, a może czekają na mnie w Londynie albo w Cambridge, albo może ta cała sytuacja pozostanie po prostu jednym z nierozwiązanych, niedokończonych wątków, do których życie już nigdy nie wraca.

– Hugo? – Olly Quinn puka do drzwi, dzięki Bogu. – Żyjesz jeszcze?

– Tak, zdaje się, że tak! – odpowiadam, przekrzykując Kurta Cobaina.

– Rufus mówi, że powinniśmy się zbierać, zanim Le Croc oblegną tłumy.

– Idźcie we trzech i zajmijcie stolik. Ja niedługo do was dojdę.

*

Le Croc – przez stałych klientów nazywany również „Crocainą” – to regularna speluna w uliczce na tyłach trójkątnego placu w Sainte-Agnès, gdzie wszyscy łożą alk. Günter, właściciel, żartem saltuje mi na powitanie i wskazuje Orle Gniazdo – małeńki kącik na pięterku, zajęty przez moich trzech kolegów z Richmond. Jest już po dziesiątej, Le Croc jest nabity po brzegi, a Günter i dwie *saisonnières* – jedna chuda w hamletycznej czerni, druga pulchniejsza, strojniejsza i blondziejsza – mają pełne ręce roboty z zamówieniami. W latach siedemdziesiątych Günter zajmował dwieście dziewięćdziesiąte ósme miejsce w rankingu najlepszych tenisistów świata (przez tydzień) i

ma tego dowód oprawiony w ramki. Dzisiaj dostarcza kokainę bogatej Eurotuszczycy, w tym najstarszej latorośli lorda Chetwynda-Pitta. Swoim tlenionym fryzem na Andy'ego Warhola składa z siebie ofiarę stylowi, ale szwajcarsko-niemiecki diler narkotyków, który przekroczył już pięćdziesiątkę, niechętnie przyjmowałby porady w kwestiach mody od Anglika. Zamawiam grzane czerwone wino i wspinam się do Orlego Gniazda, mijając zagajnik roślących Holendrów. Chetwynd-Pitt, Quinn i Fitzsimmons już zjedli – *daube* Güntera, czyli wołowy gulasz, i po kawałku szarlotki z polewą cynamonową – i zaczęły rozpijać koktajle, które, za sprawą przegranego zakładu, mam zaszczyt Chetwyndowi-Pittowi sponsorować. Olly Quinn jest już lekko nastukany i ma szkliste oczy.

– Nie jarzę tego – stwierdza ponuro. Strasznie słaby z niego pijak.

– Czego? – Zdejmuję szalik.

Fitzsimmons bezgłośnie mówi: „Ness”.

Udaję, że wiem się na własnym szaliku, ale Quinn tego nie zauważa.

– Przecież wszystko było zaplanowane. Miałem ją zawieźć do Greenwich, miała mnie przedstawić rodzicom. Mieliśmy się spotkać w święta, pójść do Harrodsa na wyprzedaże, na łyżwy do Hyde Parku... Wszystko było zaplanowane. A potem, wtedy w sobotę, jak zawiozłem Cheesemana na szycie do szpitala, ona do mnie dzwoni i oznajmia: „Z nami koniec, Olly”. – Quinn przelyka ślinę. – Ja: „Że co?”, a ona: „To nie twoja wina, tylko moja”. Powiedziała, że jest wewnętrznie rozdarta, że przy mnie czuje się, jakby miała związane ręce i...

– Znam jedną dziwkę z Portugalii, która lubi mieć związane ręce, jeśli twój rysio się od tego uśmiecha – wtrąca Chetwynd-Pitt.

– Mizoginiczne i nieśmieszne – ocenia Fitzsimmons, wdychając opary swojego *vin chaud*. – Rozstania potrafią być totalną masakrą.

Chetwynd-Pitt ssie wisienkę.

– Szczególnie jeśli kupujesz jej na Gwiazdkę naszyjnik z opali, a ona cię rzuca, zanim prezent zwróci ci się w postaci seksu. Gdzie kupowałeś, Olly? U Ratners Jewellers? Niestety, za zwroty dają kupony prezentowe, nie oddają gotówki. Nasz konserwator zieleni odwołał wesele, stąd wiem.

– Nie, kurwa, nie kupowałem u Ratners Jewellers – burczy Quinn.

Chetwynd-Pitt wypluwa pestkę z wiśni do popielniczki.

– Oj, weź już odpuść, na Boga. Sainte-Agnès plus Nowy Rok dają w sumie więcej bzykania niż cała europejska hodowla pszczół. I założyłem się o tysiąc funtów, że „jestem wewnątrznie rozdarta” znaczy, że ma innego faceta.

– Nie Ness, na pewno nie – uspokajam biednego Quinna. – Ona ma do ciebie, i do siebie samej, za dużo szacunku. Uwierz mi. A kiedy ciebie rzuciła Lou – te słowa kieruję do Chetwynda-Pitta – zaliczyłeś totalny dół na kilka miesięcy.

– Lou i ja byliśmy w poważnym związku. Olly i Ness przetrwali ile, całe pięć tygodni? Poza tym Lou mnie nie rzuciła. To była wspólna decyzja.

– Sześć tygodni i cztery dni. – Quinn jest załamany. – Ale nieważne jak długo. Z nią było... jakbyśmy dzielili sekretne miejsce, o którym wiedzieliśmy tylko my dwoje. – Pociąga swoje tajemnicze maltańskie piwo. – Ona do mnie pasowała. Nie wiem, czym jest miłość, czy to sprawa mistyki, czy kwestia chemii, czy jeszcze czegoś. Ale kiedy jest, a potem nagle znika, człowiek czuje się jak... jak...

– Jak na głodzie – dorzuca Rufus Chetwynd-Pitt. – Roxy Music mieli rację, że miłość to narkotyk doskonały, a kiedy zapasy się skończą, nie pomoże żaden diler. Choć właściwie jeden może pomóc – ona. Ale jej już nie ma i nie da ci, czego chcesz. Widzicie? Jednak wiem, co biedny Olly musi wycierpieć. Osobiście przepisałbym mu na

to – macha swoją pustą szklanką po koktajlu – Angel’s Tit. Crème de cacao – wyjaśnia mi – i maraschino. *Pile au bon moment, Monique, tu as des pouvoirs télépathiques.* – Grubsza kelnerka przynosi moje grzane wino, a Chetwynd-Pitt popisuje się przed nią francuskim. – *Je prendrai une Alien Urine, et ce sera mon ami ci présent* – kiwa do mnie głową – *qui réglera l’ardoise.*

– *Bien* – odpowiada Monique z entuzjazmem. – *J’amerais bien moi aussi avoir des amis comme lui. Et pour ces messieurs? Ils m’ont l’air d’avoir encore soif.*

Fitzsimmons zamawia likier z czarnej porzeczki, a Olly prosi o jeszcze jedno piwo. Monique zbiera brudne talerze i szkło, i odchodzi.

– Też to wystrzeliłbym w sam środeczek – stwierdza Chetwynd-Pitt. – Rozmiar sześć i pół, aż się chce przytulać. Dużo apetyczniejsza niż ta druga, Wednesday Addams z za baru. Jakiś koszmar, przestraszyć się można.

Biegnę wzrokiem za jego spojrzeniem do szczuplejszej barmanki. Nalewa koniak do kieliszka. Chcę się dowiedzieć, czy jest Francuzką, ale Chetwynd-Pitt właśnie pyta Fitzsimmonsa:

– Fitz, ty znasz dzisiaj odpowiedź na wszystko. Jak to jest z tą miłością?

Fitzsimmons zapala papierosa i podaje nam paczkę.

– Miłość jest środkiem znieczulającym aplikowanym przez Naturę, żeby rodziły się dzieci.

Już gdzieś słyszałem ten banał. Chetwynd-Pitt strzepuje popiół do popielniczki.

– Lamb, a ty znasz jakąś lepszą teorię?

Przyglądam się, jak chuda barmanka przygotowuje drinka, najpewniej Alien Urine dla Chetwynda-Pitta.

– Mnie nie pytaj. Nie byłem nigdy zakochany.

– O, słuchajcie tylko biedaka – drwi Chetwynd-Pitt.

– Pierdolenie – stwierdza Quinn. – Miałeś masę dziewczyn.

Pamięć wręcza mi fotografię ponętnej mamy Fitzsimmonsa.

– W sensie anatomicznym, owszem, pewną wiedzę posiadam, ale emocjonalnie są dla mnie jak Trójkąt Bermudzki. Miłość, rzekomy narkotyk wspomniany przez Rufusa, ten szczególny stan łaski, za którym tęskni Olly, temat wszechczasów... Mnie nie bierze. Ani razu nie czułem jeszcze, że kocham jakąś dziewczynę. Żadnego chłopaka też nie kochałem.

– Co za pierdolenie – parska Chetwynd-Pitt.

– To prawda. Nigdy nie byłem zakochany. I nie przeszkadza mi to. Daltoniści nie odróżniają niebieskiego od fioletowego, a doskonale sobie radzą.

– Nie spotkałeś jeszcze tej właściwej – ocenia Quinn, któremu odebrało rozum.

– Albo spotkałeś ich za dużo – podpowiada Fitzsimmons.

– Ludzie – wdycham pachnące galką muszkatolową opary grzańca – są kłębkami potrzeb. Potrzebują jedzenia, wody, schronienia, ciepła, seksu, towarzystwa, statusu, poczucia plemiennej wspólnoty, potrzebują się pośmiać, mieć kontrolę, mieć jakiś cel i tak dalej, aż do wanny w kolorze czekolady. Miłość jest jednym ze sposobów zaspokajania tych potrzeb. Jest jednak nie tylko narkotykiem, ale i dilerką. Miłość chce w zamian również miłości, mam rację, Olly? Tak samo, jak z narkotykami – na haju jest bajecznie i zazdroścę używającym. Ale kiedy dają się we znaki efekty uboczne – zazdrość, ataki szału, rozpacz – myślę sobie, że ja podziękuję. W czasach elżbietańskich romantyczną miłość tłumaczono jako niepoczytalność albo obłąd. Buddyści widzą w niej rozpuszczonego bachora, który relaksującemu się na plaży umysłowi urządza ataki hysterii. Osobiście...

– Wyczuwam Alien Urine. – Chetwynd Pitt uśmiecha się krzywo do chudej barmanki i do wysokiej szklanki pełnej melonowozielonej brei, którą chuda niesie na tacy. – *J'espère que ce sera aussi bon que vos Angels' Tits.*

– *Les boissons de ces messieurs*. – Usta wąskie i niepomalowane szminką. *Messieurs* powiedziane z cieniem ironii. I już dziewczyny nie ma.

– Miss Publiczności – burczy Chetwynd-Pitt.

Pozostali stukają się szklankami, a ja w tym czasie chowam za doniczką z kwiatkiem jedną z moich rękawiczek.

– Może nie uważa, że jesteś aż tak dowcipny, za jakiego się masz – dosrywam Chetwyndowi-Pittowi. – A jak twoja Alien Urine? Dobra?

Rufus bierze łyk jasnozielonej brei.

– Smakuje jak się nazywa.

*

Sklepy dla turystów na rynku w Sainte-Agnès – ze sprzętem narciarskim, czekoladą, biżuterią, galerie sztuki – o jedenastej wieczorem nadal są otwarte, olbrzymia choinka nadal jasno świeci, a przebranemu za goryla *crêpierowi* naleśniki schodzą jak woda. Mimo torebki koksu, którą Chetwynd-Pitt nabył od Güntera, postanawiamy olać dziś Club Walpurgis i zostawić go sobie na jutrzejszy wieczór. Zaczyna padać śnieg.

– Cholera – mówię, odwracając się. – Zostawiłem rękawiczkę w Le Croc. Odprowadźcie Quinna do domu, a ja was dogonię...

Pośpiesznie wracam do baru, skąd właśnie wychodzi duża grupa Skandynawów i Skandynawek. Le Croc ma okrągłe okna. Przez jedno z nich, nie będąc widziany, mogę patrzeć, jak chuda dziewczyna za barem przygotowuje dzban sangrii. Bardzo łatwo skupić na niej uwagę, jak na nieruchomym basiście w szalejącej na scenie kapeli rockowej. Łączy w sobie punkowe „pierdol się” z precyzją w najdrobniejszych ruchach. Wyczuwam, że jej silna wola byłaby absolutnie niezłomna. Kiedy Günter zabiera dzban z sangrią na salę Le Croc, ona odwraca się i patrzy na mnie, więc wkraczam w

zadymiony gwar i przeciskam się do baru między grupami sączących drinki gości. Kiedy ona ostrzem noża zdejmuje czub piany z piwa i podaje kufel klientowi, ja serwuję zagrywkę o zgubionej rękawiczce.

– *Désolé de vous embêter, mais j'étais installé là-haut...* – wskazuję Orle Gniazdo, ale ona nie daje po sobie poznać, czy mnie pamięta – *il y a dix minutes et j'ai oublié mon gant. Est-ce que vous l'auriez trouvé?*

Ze spokojem Ivana Lendla posyłającego loba ponad miotającym się hobbitem sięga w dół i wyciąga moją rękawiczkę.

– *Bizzare, cette manie que les gens comme vous ont d'oublier leurs gants dans les bars.*

No dobrze, przejrzała mnie.

– *C'est surtout ce gant; ça lui arrive souvent.* – Podnoszę rękawiczkę jak niesforną pacynkę i strofuję ją: – *Qu'est-ce qu'on dit à la dame?* – Jej spojrzenie mrozi mój dowcip. – *En tout cas, merci. Je m'appelle Hugo. Hugo Lamb. Et si pour vous, ça fait – kurde, jak jest „z wysokich sfer” – chic, eh bien le type qui ne prend que des cocktails s'appelle Rufus Chetwynd-Pitt. Je ne plaisante pas.*

Zero. Ani drgnie jej powieka. Zjawia się znowu Günter z tacą pustych szklanek.

– Hugo, czemu rozmawiasz z Holly po francusku?

Mam zmieszaną minę.

– A jak mam rozmawiać?

– Bardzo chciał poćwiczyć francuski – mówi dziewczyna z londyńskim akcentem. – A klient ma zawsze rację, Günter.

– Hej, Günter! – woła jakiś Australijczyk znad stołu z piłkarzykami. – Ta maszyna chyba robi sobie, kurwa, jaja! Wrzucam jej franki, a ona nie chce wydać towaru.

Günter idzie do niego, Holly ładuje zmywarkę, a ja zaczynam rozumieć sytuację. Kiedy zwracała mi nartę na czarnej trasie, mówiła po francusku. A nie przeszła na angielski, kiedy zdradził mnie mój akcent, bo jeśli ktoś jest kobietą, która pracuje w kurorcie narciarskim, to faceci podrywają ją pięć razy dziennie, a rozmawianie po francusku

z Anglikami wzmacnia pole siłowe.

– Chciałem tylko podziękować za znalezienie mi dzisiaj narty na stoku.

– Już raz podziękowałeś. – Pochodzi z klasy robotniczej. Nie peszą jej potomkowie bogaczy. Świetnie mówi po francusku.

– To prawda, ale zdychałbym teraz z wyziębienia gdzieś w ciemnym lesie, gdybyś mnie nie uratowała. Mogę zaprosić cię na kolację?

– Kiedy turyści jedzą kolację, ja stoję za barem.

– To może mogę zaprosić cię na śniadanie?

– Kiedy ty jesz śniadanie, ja sprzątam tu już od dwóch godzin i mam przed sobą jeszcze dwie kolejne. – Holly zatrzaskuje drzwiczki zmywarki. – Potem idę na narty. Każda minuta wyliczona. Sorry.

Myśliwy musi być cierpliwy.

– Jasne, zrozumiałem. Zresztą nie chciałbym, żeby twój chłopak źle odczytał moje zamiary.

Udaje, że grzebie przy czymś pod ladą.

– Nie czekają na ciebie koledzy?

Na siedemdziesiąt pięć procent nie istnieje żaden jej chłopak.

– Będę w Sainte-Agnès jeszcze przez jakieś dziesięć dni. Do zobaczenia. Dobranoc, Holly.

– Dobranoc. – „I weź się wal, fiucie”, dodają jej niebieskie oczy, których można się bać.

30 grudnia

Wycie paryskiej tłuszczy przechodzi w monotony warkot pług śnieżnego i moja wyprawa po francuskich sierocińcach w poszukiwaniu dziecka o oku cyklopa kończy się tym, że Immaculée Constantin w moim pokoiku w alpejskiej chacie Chetwyndów-Pittów mówi poważnym tonem: „Nie możesz powiedzieć, że żyłeś, Hugo, dopóki nie zanurzysz ust w czarnym winie”. Wtedy budzę się w tym samym pokoiku, a do krocza mam przyczepioną zdumiewających rozmiarów poranną pałę, wielką jak rakieta typu cruise. Półka z książkami, globus, turecki szlafrok na drzwiach, gruba kotara. „Tutaj umieszczamy ubogich stypendystów”, Chetwynd-Pitt powiedział to tylko półzartem, kiedy spałem tu pierwszy raz. W starej rurze coś plumka i rzezi. Koks + wysokość n.p.m = pokręcone sny. Leżę sobie w przytulnym cieple, myślę o barmance Holly. Odkrywam, że zapomniałem twarzy Mariàngeli, choć inne części jej ciała pamiętam, ale twarz Holly pamiętam z fotograficzną dokładnością. Szkoda, że nie zapytałem Güntera, jak ma na nazwisko. Chwilę później dzwony kościoła w Sainte-Agnès biją osiem razy. W moim śnie też były dzwony. Usta mam suche jak powierzchnia księżycy, więc wypijam szklanekę wody, która stoi na szafce przy łóżku, i robi mi się miło, kiedy widzę stosik franków przy lampce – wczorajszą wieczorną wygraną w bilard z Chetwyndem-Pittem. Ha! Będzie chciał się za wszelką cenę odegrać, a zdesperowani popelniają błędy.

Sikam w łazience przy moim pokoiku na stryszku. Zanurzam twarz w umywalce z lodowatą wodą i liczę do dziesięciu. Rozsuwam zasłony i otwieram drewniane okiennice, żeby wpuścić światło, które błyskawicznie wypala siatkówkę oka. Chowam wieczorną wygraną

pod deską podłogi, którą poluzowałem dwie wizyty wcześniej. Robię sto pompek. Wkładam turecki szlafrok i schodzę po stromych drewnianych schodach na pierwsze półpiętro, trzymając się linowej poręczy. Chetwynd-Pitt chrapie w swoim pokoju. Niżej schody prowadzą do saloniku w piwnicy, gdzie znajduję Fitzsimmonsa i Quinna, zakopanych pod kurhanem koców na skórzanej kanapie. Magnetowid wypluł *Czarnoksiężnika z Oz*, ale *Dark Side of the Moon* Pink Floydów ciągle gra na autorewersie. W powietrzu nadal unosi się zapach haszu, a w kominku żarzą się jeszcze drwa z poprzedniego wieczoru. Stąпам na palcach między rozstawionymi na podłodze dwiema drużynami piłkarzyków Subbuteo, wgniatając w dywan czipsy, i dorzucam do ognia spore polano razem z kawałkami rozpałki. Języki ognia liżą je i chłopczą. Nad kominkiem wisi holenderska strzelba z czasów wojny burskiej, a niżej stoi oprawiona w srebrną ramkę fotografia ojca Chetwynda-Pitta, który ściska dłoń Henry'ego Kissingera w Waszyngtonie w 1984 roku. Akurat w kuchni nalewam sobie sok grejpfrutowy, kiedy dyskretnie dzwoni telefon.

– Dzień dobry – mówię uroczym głosem. – Rezydencja młodszego lorda Chetwynda-Pitta.

Męski głos stwierdza:

– Hugo Lamb. Nie inaczej.

Znam ten głos.

– A z kim mam przyjemność?

– Z Richardem Cheesemanem z Humber, matole.

– Ja pierdołę. Niestety, nie w sensie dosłownym. Jak tam ucho?

– W porządku, posłuchaj, mam poważną wiadomość. Spotkałem...

– Zaraz, a gdzie jesteś? Chyba nie w Szwajcarii?

– W Sheffield, u siostry, ale zamknij się na chwilę i posłuchaj, ta rozmowa kosztuje mnie pierdyliard za minutę. Rozmawiałem wczoraj wieczorem z Dalem Gowem i powiedział mi, że Jonny Penhaligon nie

żyje.

Nie przesłyszałem się.

– Nasz Jonny Penhaligon? Kurwa, niemożliwe.

– Dale Gow usłyszał od Cottii Benboe, która przeczytała w lokalnej gazecie. W „News South-West”. Samobójstwo. Zjechał samochodem z klifu, koło Truro. Pięćdziesiąt jardów od drogi, przebił się przez płot i spadł trzysta stóp w dół na skały. To znaczy... na pewno nie cierpiał. Oczywiście oprócz cierpienia, które go do tego doprowadziło, i samej chwili upadku.

Jestem na granicy łez. Taka kasa. Przez okno w kuchni patrzę, jak wolno przejeżdża pług śnieżny. Za nim przechodzi młody ksiądz – w samą porę. Ma różowe policzki, a jego oddech jest biały.

– To jest... nawet nie wiem, co powiedzieć, Cheeseman. Tragiczne. Nie mogę uwierzyć. Jonny! Akurat on...

– Ja tak samo. Naprawdę, ostatnia osoba, po której można by się...

– A on... jechał astonek martinem?

Chwila ciszy.

– Tak. Skąd wiesz?

Bądź ostrożniejszy.

– Nie wiedziałem. Ale ostatniego wieczoru w Cambridge, w Bładym Biskupie, mówił, jak uwielbia ten samochód. Kiedy pogrzeb?

– Dziś po południu. Nie mogę pojechać, Felix Finch załatwił mi bilety do opery i nie dałbym rady dotrzeć do Kornwalii na czas. Ale może to i lepiej. Rodzina Jonny’ego ma teraz inne rzeczy na głowie niż ogarnianie najazdu obcych ludzi do... no tam, gdzie mieszkają.

– Do Tredavoe. A Penhaligon zostawił jakiś list?

– Dale Gow nic nie wspominał. A co?

– Tak pomyślałem, że może list by cokolwiek wyjaśnił.

– Myślę, że więcej szczegółów wyjdzie na jaw w dochodzeniu.

W dochodzeniu? Szczegółów? Dobry Boże.

- Miejmy nadzieję.
- Powiesz Fitzowi i reszcie, tak?
- Rany, jasne. I dzięki za telefon, Cheeseman.
- Sorry, że was dołączę na wyjeździe, ale pomyślałem, że wolelibyście wiedzieć. Szczęśliwego Nowego Roku, awansem!

*

Czternasta. Pasażerowie wagonu kolejki linowej przechodzą przez poczekalnię stacji w Chemeuille, rozmawiając w większości europejskich języków, ale jej wśród nich nie ma, więc zwracam myśli ku *Sztuce wojny*. Mój umysł żyje jednak własnym życiem i moje myśli biegną ku cmentarzowi w Kornwalii, gdzie worek z ludzkiej skóry, pełen toksycznych substancji, znany dotąd jako Jonny Penhaligon, dołącza do swych przodków w błotnistej ziemi. Pewnie zacina deszcz, wściekły wiatr ze wschodu wbija szpony w parasole żałobników, a jego wycie zagłusza słowa hymnu *For Those In Peril On The Sea*, kserowanego wczoraj na kartkach A4. Nigdy nie czuję większej ulgi z istnienia przepaści między mną a normalsami niż w obliczu rozpacz i żałoby. Nawet w wieku siedmiu lat byłem zażenowany własną rodziną, kiedy zdechł Twix, nasz pies. Nigel ryczał za nim przez miesiąc, Alex chodził bardziej struty, niż kiedy wymarzony ZX Spectrum dotarł do niego bez transformatora, a rodzice byli przybici przez wiele dni. Pytam, dlaczego? Twix już nie cierpiał. Nie musieliśmy znosić pierdzenia psa chorego na raka jelita grubego. To samo było, kiedy umarł dziadek: rwanie włosów i zgrzytanie zębami, rewizjonistyczne wygrażanie Mesjaszowi, który ewidentnie jest zimnym skurwysynem. Wszyscy mówili, że na pogrzebie dziadka zachowywałem się po męsku, ale jeśli potrafiliby czytać w moich myślach, uznaliby mnie za socjopatę.

Prawda jest taka, że kto nie czuje miłości, nie czuje też rozpaczy.

*

Minęła piętnasta. Barmanka Holly widzi mnie, marszczy brwi i zwalnia: obiecujący początek. Zamykam *Sztukę wojny*.

– Niespodziewane spotkanie.

Strumień narciarzy przepływa obok, za nią i między nami. Ona się rozgląda.

– A gdzie twój szalenie zabawny koleś?

– Chetwynd-Pitt, co, zwracam uwagę, rymuje się z Angel's Tit, jest...

– I z „trochę wstyd”, zwracam uwagę.

– Zapamiętam. Chetwynd-Pitt leczy kaca, a pozostali dwaj wjechali na górę już godzinę temu, ale ja się im urwałem, bo wiedziałem, że szanse na złapanie z tobą wspólnej jazdy wyciągiem – wskazuję palcem w stronę szczytu Palanche de la Cretta – będą równe zeru, jeżeli oni ze mną będą. Wczoraj byłem zażenowany Chetwyndem-Pittem. Był beznadziejny. Ale ja taki nie jestem.

Holly przez ułamek chwili myśli nad tym, co powiedziałem, i wzrusza ramionami.

– Wszystko jedno.

– Dla mnie nie. Miałem nadzieję, że pojeździmy razem na nartach.

– I dlatego tu siedziałeś?

– Od jedenastej trzydzieści. Trzy i pół godziny. Ale nie czuj się do niczego zobowiązana.

– Nie czuję się. Tylko, Hugo Lamb, mam cię trochę za palanta.

Czyli zapamiętała, jak się nazywam.

– Wszyscy bywamy tacy i owacy w różnych momentach. Dzisiaj palant, ale może kiedyś ktoś szlachetniejszy. Prawda?

– W tej chwili raczej skrajny natręt.

– Powiedz mi, żebym się odwalił, to się grzecznie odwalę.

– Któraż dziewczyna by się temu oparła? Odwal się.

Składałam uprzejmy ukłon, mający znaczyć „jak sobie życzysz”, wstaję i wsuwam *Sztukę wojny* do kieszeni kurtki.

– Przepraszam, że sprawilem kłopot. – Ruszam do wyjścia.

– Ej! – Bardziej zatruta strzała niż próba załagodzenia. – Kto powiedział, że potrafisz sprawić mi kłopot?

Pukam się w czoło, jakby w olśnieniu.

– A czy lepsze byłoby: „Przepraszam, że jesteś dla mnie interesująca”?

– Dziewczyna, która szuka chwilowego romansu, pewnie by to kupiła. Ale te, które tu pracują, robią się z czasem zblazowane.

Maszynieria brzęczy, a wielki silnik wyje, kiedy wagon zjeżdżający ze szczytu rozpoczyna podróż w dół.

– Rozumiem, że jakiś pancierz jest potrzebny, kiedy pracuje się w barze, dokąd przyjeżdżają na podryw Chetwyndowie-Pittowie z całej Europy. Ale zblazowanie weszło ci w krew, Holly, zblazowanie stało się tobą.

Parsknięcie.

– Nie znasz mnie.

– I to jest właśnie najdziwniejsze: wiem, że cię nie znam. Więc dlaczego czuję się tak, jakbym cię znał?

Ona jęczy z irytacją.

– Są pewne zasady... Z kimś poznanym pięć minut wcześniej nie rozmawia się, jakby się go znało od lat. Kurde, przestań.

Podnoszę ręce, jakbym się poddawał.

– Holly, jeśli jestem aroganckim pajacem, to całkowicie niegroźnym. – Myślę o Penhaligonie. – Prawie całkowicie niegroźnym. Proszę, pozwól mi wjechać z tobą do następnej stacji? To

tylko... Ile? Siedem, osiem minut? Nawet jeśli będziesz miała szczerze dosyć tej randki, szybko się skończy – nie, nie, nie, wiem, nie randki, wspólnej jazdy krzeselkiem. Potem będziemy już na górze i wystarczy jedno profesjonalne odepchnięcie się kijkiem, żebym zniknął z twojego życia. Proszę. Zgoda?

*

Facet obsługujący wyciąg przytrzymuje nam gondolkę, a kiedy krzeselka unoszą nas nad ziemię, powstrzymuję się od zażartowania, że przy niej tracę grunt pod nogami. Trzydziesty grudnia nie jest już tak przejrzysty, jak był rano, i szczyt Palanche de la Cretta zasłaniają chmury. Przebiegam wzrokiem wzdłuż lin wyciągu, od słupa do słupa w górę zbocza. Pod nami otwiera się wąwóz. Chwytają mnie zawroty głowy i kurczowo łapię się barierki, a jądra podchodzą mi w górę i chowają się gdzieś za wątrobą. Zmuszam się, żeby spojrzeć na ziemię, hen, daleko w dole, i zastanawiam się, jakie były ostatnie sekundy Penhaligona. Żałował? Czuł ulgę? Czyste przerażenie? A może głowę wypełniła mu nagle *Babooshka* Kate Bush? Pod naszymi nogami przelatują dwie wrony. Mój kuzyn Jason powiedział mi kiedyś, że wrony łączą się w pary na całe życie. Pytam Holly:

– Miewasz czasem sny o lataniu?

Holly ma wzrok wbity daleko przed siebie. Gogle zakrywają jej oczy.

– Nie.

Minęliśmy już wąwóz i spokojnie płyniemy nad szerokim pasem nartostrady, którą będziemy zaraz zjeżdżać. Narciarze śmigają szusami, pędzą na krechę albo zjeżdżają nieśpiesznie do stacji Chemeuille.

– W nocy spadł śnieg, warunki są dziś lepsze.

– Tak. Ale mgła się robi gęstsza z minuty na minutę.

To prawda: czubek góry jest zamglony i szarawy.

– Co roku pracujesz zimą w Sainte-Agnès?

– Co to ma być? Rozmowa o pracę?

– Nie, ale moja telepatia jakoś mnie dziś zawodzi.

Holly wyjaśnia:

– W Méribel, we francuskich Alpach, pracowałam dla gościa, który znał Güntera jeszcze z jego tenisowych lat. Günter szukał dyskretnej pracownicy, złożył mi ofertę pracy, dał podwyżkę i karnet na wyciągi.

– Po co Günterowi dyskretna pracownica?

– Nie mam pojęcia, i nie, nie tykam dragów. Świat jest i tak wystarczająco nieprzewidywalny, bez potrzeby robienia sobie z mózgu sieczki.

Myślę o Miss Constantin.

– Pełna zgoda.

Puste krzeselka wyciągu migrują, wylaniając się z mgły przed nami. W tyle Chemeuille powoli przestaje być widoczne, a za nami nikt nie wjeżdża.

– Byłyby niezłe jaja – myślę na głos – gdybyśmy na krzeselkach nadjeżdżających z naprzeciwka widzieli zmarłych.

Holly dziwnie na mnie patrzy.

– Nie zmarłych w sensie zombi, z odpadającymi kawałkami ciała – słyszę własny głos. – Zmarłych w sensie twoich bliskich, których już tu nie ma. Ludzi, których znałaś, którzy byli dla ciebie ważni. Nawet psy.

Albo mieszkańców Kornwalii.

Konstrukcja krzesełek ze stalowej rury i plastiku skrzypi. Kółko utrzymujące gondolę mozolnie toczy się po kablu. Holly postanawia zignorować moje totalnie przedziwne pytanie. Daleko, za mgłą, pogrzmiewa góra. Ku mojemu zaskoczeniu Holly pyta:

– Twój tata jest wojskowym?

– Boże broń. Mój tata jest księgowym, a mama pracuje w Richmond Theatre. A dlaczego?

– Bo czytasz książkę, która ma tytuł *Sztuka wojny*.

– A. Czytam Sun Tzu, bo ta książka ma trzy tysiące lat i uczył się z niej każdy agent CIA od czasów Wietnamu. A ty czytasz dużo?

– Moja siostra bardzo dużo czyta. Przysyła mi książki.

– Często jeździsz do Anglii?

– Raczej rzadko. – Jej palce bawią się paskiem od rękawiczki. – Nie należę do osób, które opowiadają o sobie wszystko już po dziesięciu minutach. Okej?

– Okej. Nie martw się, to tylko dowodzi, że jesteś zdrowa psychicznie.

– Wiem, że jestem zdrowa psychicznie, i nie martwię się.

Niezręczna cisza. Coś każe mi się obejrzeć przez ramię: pięć krzesełek za nami siedzi samotny pasażer w srebrnej parce z czarnym kapturem. Siedzi z założonymi rękami, a narty swobodnie skrzyżował. Wracam spojrzeniem przed siebie i usiłuję wymyślić, co by tu inteligentnego powiedzieć, ale zdaje się, że całą błyskotliwość zostawiłem na dolnej stacji wyciągu.

*

Na stacji na szczycie Palanche de la Cretta Holly zsuwa się z krzeselka jak gimnastyczka, a ja jak wór młotów. Obsługujący wyciąg facet wita Holly po francusku, ale przestają ich słyszeć. Czekam, żeby z płynącej szybko mgły wyłonił się narciarz w srebrnej parce. Krzeselka podjeżdżają co jakieś dwadzieścia sekund, więc będzie tu najdalej za dwie minuty. Ale dziwne – nie ma go. Coraz bardziej zaniepokojony, obserwuję, jak piąte, szóste, siódme krzeselko po naszym podjeżdża bez pasażera... Przy dziesiątym zaczynam się bać –

nie tego, że spadł z wyciągu, ale tego, że wcale go tam było. Yeti i Miss Constantin zachwiali moją wiarą w to, co mówią zmysły, i nie czuję się z tym dobrze. W końcu pojawia się para wesółych, wielkich jak dwa niedźwiedzie Amerykanów, którzy przy zeskoku przewracają się na ziemię, wybuchają śmiechem i obsługujący wyciąg gość musi pomóc im wstać. Wmawiam sobie, że narciarz za nami tylko mi się przywidział. Albo przyśnił. Holly dołącza do mnie na skraju trasy wytyczonej chorągiewkami, które znikają w chmurze. W świecie idealnym zapytałaby: „Może zjedziemy razem?”.

– Dobra – mówi. – Tu się zegnamy. Trzymaj się, nie wypadaj z trasy i nie udawaj koguta.

– Tak jest. Dziękuję, że pozwoliłaś mi ze sobą wjechać.

Wzrusza ramionami.

– Musisz być rozczarowany.

Podnoszę gogle, żeby mogła zobaczyć moje oczy, nawet jeśli sama nie odsłania swoich.

– Skąd. W żadnym razie. Dziękuję. – Zastanawiam się, czy zdradziłaby mi swoje nazwisko, gdybym zapytał. Nie mam pojęcia.

Holly patrzy w dół stoku.

– Muszę wydawać się niemila.

– Tylko pełna rezerwy. Nie ma w tym nic złego.

– Sykes – mówi.

– Słucham?

– Holly Sykes, jeżeli jesteś ciekaw.

– Pasuje do ciebie.

Gogle zakrywają jej twarz, ale zgaduję, że nie wie, jak to odebrać.

– Sam nie wiem, o co mi chodziło – przyznaję.

Holly odpycha się kijkami i połyka ją biel.

Środkowy stok Palanche de la Cretta nie należy do osławionych stromych zboczy, ale jeśli zjedzie się z trasy w prawo więcej niż sto metrów, trzeba już umiejętności niemal pionowej jazdy na krechę albo skakania ze spadochronem, a mgła jest taka gęsta, że zjeżdżam bardzo powoli i zatrzymuję się co dwie minuty, żeby przetrzeć gogle. Po kwadransie zjeżdżania widzę, jak na skraju trasy z marznącej mgły wylania się przede mną głaz podobny do topniejącego krasnala. Przystaję i chowam się za nim od zawietrznej na papierosa. Jest cicho. Bardzo cicho. Rozmyślam nad tym, jak to jest, że człowiek nie może wybierać, kto go pociąga, może tylko rozpatrywać konkretne przypadki retrospektywnie. Mnie zawsze podniecały różnice rasowe, ale różnica klas społecznych stanowi dla moich zmysłów mur berliński. Owszem, na razie nie potrafię odczytywać Holly tak dobrze, jak to się udaje z dziewczynami z mojego proggu opodatkowania, ale nigdy nic nie wiadomo. Bóg w sześć dni stworzył całą wielką Ziemię, a ja w Szwajcarii będę dziewięć albo dziesięć.

Grupa narciarzy przejeżdża obok granitowego krasnala, jak ławica odblaskowych ryb. Żaden mnie nie zauważa. Rzucam peta w śnieg i ruszam za nimi. Rozchachani Teksańczycy albo stwierdzili, że trasa jednak przerasta ich możliwości i zjechali wyciągiem z powrotem na dół, albo jadą znacznie ostrożniej niż ja. Nie ma też nigdzie narciarza w srebrnej parce. Wkrótce mgła się przerzedza, zarysowują się granie, krawędzie, kontury, i kiedy docieram do stacji Chemeuille, znowu jestem pod krokwiemi chmur. Rozprowadzam po wnętrznościach gorącą czekoladę, po czym zjeżdżam łagodniejszą niebieską trasą do La Fontaine Sainte-Agnès.

– Proszę, proszę, utalentowany pan Lamb. – Chetwynd-Pitt przygotowuje w kuchni pieczywo czosnkowe, a przynajmniej próbuje przygotowywać. Już po piątej, ale on ciągle jest w szlafroku. Na kieliszku wina balansuje cygaro, a z CD gra *Listen Without Prejudice* George’a Michaela. – Olly i Fitz poszli cię szukać ze dwie czy trzy godziny temu.

– To rozległy *massif*. Wielki stóg siana, a ja mała igiełka.

– A dokąd to zaprowadziła cię *aujourd’hui* alpejska wyprawa?

– Na Palanche de la Cretta, a potem urządziłem sobie bieg na przełaj. Od dzisiaj koniec z czarnymi trasami. Jak tam kac?

– Jak Stalingrad w czterdziestym trzecim. Mój klinik: ouzo z lodem.

– Potrząsa szklaneczką mlecznego płynu i wypija duszkiem połowę.

– Ouzo zawsze przypomina mi spermę. – Szkoda, że nie mam kamery i nie filmuję, jak Chetwynd-Pitt to wypija. – To nietaktowne. Przepraszam.

Wbija we mnie wzrok, pociąga cygaro i wraca do siekania czosnku. Szukam czegoś w szufladzie.

– Wypróbuj ten rewolucyjny przyrząd. „Wyciskarka”.

Chetwynd-Pitt wbija teraz wzrok w wyciskarkę.

– Gospodyni musiała ją kupić przed naszym przyjazdem.

Używałem jej w zeszłym roku, ale nieważne. Myję ręce i włączam piekarnik, o czym zapomniał Chetwynd-Pitt.

– No już, posuń się. – Wciskam czosnkową miążgę w masło.

Naburmuszony, ale zadowolony Chetwynd-Pitt usadawia się na blacie.

– Rozumiem, że to rekompensata za szczyśczenie mnie w bilard.

– Jeszcze zdążysz się odegrać. – Papryka, pietruszka, mieszam widelcem.

– Zastanawiam się, dlaczego to zrobił.

– Rozumiem, że mówimy o Jonnym Penhaligonie?

– W tym chodzi o coś więcej, niż się wydaje, Lamb.

Widlec zamiera w mojej dłoni – spojrzenie Chetwynda-Pitta mnie... oskarża? Co prawda, u Toada obowiązuje kodeks omerty, ale żaden kodeks nie daje stuprocentowej gwarancji.

– Tak? A o co? – Absurdalnie łapię się na tym, że rozglądam się po kuchni w poszukiwaniu narzędzia zbrodni. – Jestem ciekaw.

– Jonny Penhaligon padł ofiarą uprzywilejowania.

– Okej. – Mój widlec znowu miesza masło. – To znaczy?

– W rozumieniu zwykłego plebejusza arystokracja żyje na latyfundiach i wachlują ją pokojówki. Ale prawda jest taka, że dzisiaj błękitna krew to przekleństwo. Po pierwsze, hołota śmieje się, że masz za dużo sylab w nazwisku, i oskarża cię – ciebie personalnie – o nierówność społeczną, o wycinanie lasów zwrotnikowych i o wzrost cen piwa. Drugie przekleństwo to poszukiwania żony: skąd mam wiedzieć, czy wybranka kocha mnie, czy raczej tysiąc sto akrów hrabstwa Buckingham i tytuł lady Chetwynd-Pitt? Po trzecie, moja przyszłość jest nierozzerwalnie związana z zarządzaniem nieruchomością. Ty, Hugo, jeśli wymyślisz sobie, że zostaniesz brokerem i będziesz zarabiał bimbaliony, albo archeologiem na Antarktyce, albo wibrafonistą w kosmosie, od rodziców słyszysz: „Bądź szczęśliwy i nam to wystarczy”. A ja? Ja muszę dzierżawić najemcom ziemię, żeby się utrzymać, muszę sponsorować fundacje charytatywne, a w Izbie Lordów stoi fotel, w którym kiedyś będę musiał zasiąść.

Wciskam widelcem masło w dziurki w chlebie.

– Serce mi krwawi. Jesteś który w kolejce do tronu? Sześćdziesiąty trzeci?

– Sześćdziesiąty czwarty, odkąd urodził się ten, jak mu tam. Ale ja mówię całkiem serio, Hugo, daj mi skończyć. Czwarte przekleństwo to polowania. Nienawidzę, kurwa, beagli, a konie to jebane quady,

które ci szczają na buty, i na weterynarzy musisz wydawać tysiące. A piąte przekleństwo jest najbardziej skurwysyńskie: paniczny strach, że to ty będziesz tym, który to wszystko straci. Jeśli w życiu startuje się jako szary człowiek, jak ty czy Olly – bez obrazy – to można najwyżej piąć się w górę. Ale jeśli rodzisz się z nazwiskiem w Domesday Book, jak ja i Jonny, to możesz jedynie spaść na zbity ryj. Taka międzypokoleniowa gra w przekazywanie sobie potencjalnego bankructwa i czekanie, kto skusi. Za czyjego życia źródółko pieniędzy wyschnie, ten zostanie Chetwyndem-Pittem, który będzie musiał nauczyć się składać meble z Argosu.

Zawijam pieczywo czosnkowe w folię.

– I według ciebie ten zestaw przekleństw kazał Jonny’emu zjechać ze skały?

– Zestaw przekleństw – odpowiada Rufus Chetwynd-Pitt – oraz fakt, że nie miał do kogo zadzwonić w czarnej godzinie. Nie miał nikogo, komu mógłby zaufać.

Wstawiam blachę do piekarnika i podkręcam ogień.

31 grudnia

Sople pod okapami dachów na całej uliczce topnieją w ukośnych promieniach słońca. Uchylone drzwi do Le Croc przytrzymuje stołek barowy, a w środku Holly odkurza podłogę. Ma na sobie obszerne bojówki, biały podkoszulek i bejsbolówkę w kolorze khaki, która służy jej także jako gumka do włosów, przytrzymująca koński ogon. Lodowata kropelka z sopla nad głową trafia w przerwę między moim płaszczem a szyją i wrze między łopatkami. Holly wyczuwa moją obecność i odwraca się. Gdy milknie odkurzacz, mówię:

– Puk, puk.

Poznaję mnie.

– Jeszcze zamknięte. Wróć za dziewięć godzin.

– Odpowiada się: „Kto tam?”. Nie znasz dowcipów „puk-puk”?

– Nawet nie otworzę ci drzwi.

– Są już i tak uchylone. I zobacz. – Podnoszę papierową torbę z piekarni. – Śniadanie. Przecież Günter pozwala ci chyba jeść?

– Niektórzy z nas zjedli śniadanie dwie godziny temu, arystokrato.

– Jeśli ktoś chodził do Richmond Boys College, był wyśmiewany za to, że ma za mało z arystokraty. No dobrze, a może drugie śniadanie?

– Le Croc sam się nie posprząta.

– Günter i koleżanka nigdy ci nie pomagają?

– Günter jest właścicielem, Monique jest zatrudniona wyłącznie jako barmanka. Będą sobą pochłonięci aż do lunchu, a nawet dłużej. Kilka tygodni temu Günter rzucił trzecią żonę. Więc przywilej sprzątania chlewu przypada menadżerce.

Rozglądam się.

– Gdzie jest menadżerka?

- Stoi przed tobą, idioto. Ja.
- A. Czyli jeśli arystokrata wyczyści męski kibel, zrobisz sobie dwadzieścia minut przerwy?

Holly się waha. Jakaś jej część chce się zgodzić.

- Widzisz to długie coś? Nazywa się mop. Trzyma się za ten kijek.

*

- Uprzedzałam, że to chlew. - Jak podróżniczka w czasie, nawigująca swoim wehikułem, Holly pociąga za dźwignie i kręci zaworami chromowego ekspresu do kawy. Maszyna syczy, beka i bulgocze.

Wycieram dłonie i zdejmuję z blatu stołu dwa stołki barowe.

- To była największa ohyda w moim życiu. Faceci to śwynie. Podcierają sobie dupę, a potem nie trafiają do kibla i po prostu zostawiają zmięte i wysmarowane gównem kawałki papieru, gdzie upadły. A te rozbryźnięte rzygi w ostatniej kabynie? - Miodzio. Niesprzątnięte wymioty zasychają i twardnieją. Jak szpachlówka.

- Nie oddychaj nosem. Nabieraj wdech ustami. - Holly przynosi cappuccino. - Ktoś musiał kiedyś wyczyścić każdy kibel, w którym sam się załatwiałeś. Gdyby twój ojciec prowadził pub zamiast banku, jak mój, może sam byś musiał je sprzątać. Takie motto na dzisiaj.

Wyjmuję migdałowy croissant i podsuwam pozostałe w torebce w stronę Holly.

- Może lepiej wszystko sprzątać zaraz po zamknięciu?

Holly wysuwa koniuszek ciastka z morelami.

- Stali klienci Günтера nie ruszają się stąd do domu przed trzecią rano, jeśli mam szczęście. Sam możesz sobie sprzątać o tej porze po dziewięciu godzinach ganiań od stolika do stolika.

Przyznaję jej rację.

- Ale teraz bar już łśni i jest gotowy na najazd gości.
- Prawie. Później wytrę jeszcze nalewaki i uzupełnię towar.
- I pomyśleć, że żyłem w przekonaniu, że bary prowadzą się same.

Holly zapala papierosa.

- Gdyby tak było, zostałabym bez pracy.

- Widzisz się w branży... hm, podejmowania gości, w dłuższej perspektywie?

Zmarszczka na czole Holly stanowi dla mnie ostrzeżenie.

- A co cię to obchodzi?

- Po prostu... Nie wiem. Ty chyba potrafisz wszystko.

Jej zmarszczone czoło jest znakiem nieufności i zmęczenia. Holly strzepuje popiół.

- Szkoły, do których chodzą niższe klasy społeczne, niespecjalnie wpajają takie przekonanie. Raczej wysyłano nas na kursy fryzjerstwa albo na praktyki do warsztatów samochodowych.

- Nie można jednak w nieskończoność za wszystko obwiniać szkoły.

Strzepuje papierosa.

- Niewątpliwie jest pan bystry. Ale są takie sprawy, o których nie ma pan zielonego pojęcia, panie Lamb.

Kiwam głową i biorę łyk kawy.

- Miałaś genialnego nauczyciela francuskiego.

- Nie miałam żadnego nauczyciela francuskiego. Języka nauczyłam się w pracy. Kwestia przetrwania. Odpędzania Francuzów.

Wydłubuję spomiędzy zębów kawałek migdała.

- A gdzie ten pub?

- Jaki pub?

- Ten, w którym pracuje twój tata.

- Jest właścicielem. Współwłaścicielem, razem z mamą. Pub nazywa się Kapitan Marlow. Jest w Gravesend, nad Tamizą.

- Brzmi malowniczo. Tam się wychowywałaś?

– „Gravesend” i „malowniczo” to dość ryzykowne połączenie. Dużo zamkniętych fabryki, papiernie, cementownia Blue Circle, osiedla bloków komunalnych, lombardy, bukmacherzy.

– Jestem jednak pewien, że postindustrialny upadek to nie sama nędza.

Holly szuka czegoś na dnie swojej filiżanki.

– Starsze ulice są raczej ładne. Tamiza jest jak Tamiza, a Kapitan Marlow ma trzysta lat. Podobno istnieje jakiś list napisany przez Charlesa Dickensa, który dowodzi, że Dickens miał zwyczaj tam się upijać. I co ty na to, arystokrato? Odniesienie literackie.

W moich żyłach pulsuje kawa.

– Twoja mama jest Irlandką?

– A skąd ten wniosek, Sherlocku?

– Powiedziałaś „z mamą” z irlandzkim akcentem.

Holly wydmuchuje grube kółko dymu.

– Tak, pochodzi z Corku. Twoich kolegów nie irytuje, że tak się zachowujesz?

– Jak?

– Dzielisz na czworo każde słowo w poszukiwaniu drugiego dna, zamiast słuchać.

– Lubię zwracać uwagę na szczegóły, po prostu. Czy już zaczęłaś odliczać moje dwadzieścia minut?

– Zostało ci jeszcze... – sprawdza – szesnaście.

– Chciałbym przez ten czas zagrać z tobą w piłkarzyki.

Holly mocno pociera policzki.

– Nie najlepszy pomysł.

Nigdy nie mogę się zorientować, czy mówi poważnie.

– Dlaczego?

– Bo ci skopię dupę, arystokrato.

Na rynku, wśród hałdek topniejącego śniegu, kręci się tłum kupujących, a orkiestra dęta gra kolędy. Muzycy mają policzki czerwone od mrozu. Od grupy uczniów i ich nauczycielki z kramu przy figurze świętej Agnieszki kupuję kalendarz, a zyski ze sprzedaży mają zasilić fundusze jakiejś ważnej sprawy. Żegna mnie chór podziękowań „*Merci, Monsieur!*” i życzeń „*Happy New Year*”, bo mój akcent zdradza, że jestem Anglikiem. Holly rzeczywiście skopała mi dupę w piłkarzyki: zdobywała bramki rykoszetem po odbiciu od bandy, umie lobować, a jej leworęczny bramkarz stanowi śmiercionośną broń. Nie uśmiechnęła się, ale myślę, że wygrana sprawiła jej przyjemność. Nie umówiliśmy się na kolejne spotkanie w żaden konkretny sposób, powiedziałem tylko, że wpadnę dziś wieczorem do baru, a ona tym razem nie zaserwowała mi sarkazmu ani pesymistycznej odpowiedzi godnej Kłapouchego, odparła po prostu, że wiem, że gdzie ją znaleźć. Zdumiewający postęp. Jestem zadziwiony do tego stopnia, że o mało co nie poznałbym Olly’ego Quinna w budce telefonicznej przy banku. Wygląda na zdenerwowanego. Jeśli dzwoni z budki, a nie z telefonu u Chetwynda-Pitta, to znaczy, że nie chce, żeby ktoś go podsłuchał. Czy byłbym w pełni człowiekiem, gdyby czasem nie zwyciężała we mnie ciekawość? Chowam się za nieprzezroczystą ścianą budki, gdzie Olly mnie nie widzi. Dzięki fatalnej jakości połączenia i zdenerwowaniu Olly’ego jego głos brzmi donośnie, a każde dobitne zdanie słycać bardzo wyraźnie.

– Owszem, mówiłaś, Ness. Mówiłaś! Owszem, powiedziałaś, że mnie kochasz. Mówiłaś...

Ojoj. Rozpacz ma tyle wdzięku, co zajady.

– Siedem razy. Pierwszy raz w łóżku. Pamiętam... Może sześć, może osiem, nieważne, Ness... Ness, o co tak naprawdę chodzi? To wszystko

była nieprawda?... No to co, byłem dla ciebie jakimś, kurwa, królikiem doświadczalnym?

Za późno już, żeby nadepnąć hamulce – już lecimy ze skały.

– Nie, nie, nie, nie wpadam w histerię, tylko... Nie, wcale nie. Nie rozumiem, co się takiego stało i... Słucham? Możesz powtórzyć to ostatnie? Nic nie słyszę, kurwa... Nie, nie, nie nazywam cię kurwą, mówię, że kurwa, nic nie słyszę... Co mówisz? Że myślałaś, że naprawdę mnie kochasz? – Olly z całej siły wali w szklaną ścianę budki. – Jak można myśleć, że kogoś się kocha?... Nie, Ness, nie, proszę, nie rozłączaj się. Posłuchaj. Ja tylko chcę, żeby było, jak kiedyś! Ness!... Ale gdybyś mi to wyjaśniła, gdybyś ze mną porozmawiała, gdybyś... Ja jestem spokojny. Jestem spokojny. Nie, Ness! Nie, nie... – Sztuczny spokój, a potem wybuch: – Żeby to pojebało!

Quinn wali kilka razy pięścią w szkło. To zwraca uwagę, więc znowu wsuwam się w strumień przechodniów i robię pętlę z powrotem do miejsca, z którego przyszedłem, ale budka z Ollym pozostaje w zasięgu mojego wzroku na tyle długo, żebym widział chorego z miłości kolegę zgiętego wpół, z twarzą ukrytą w dłoniach. Płacze – na widoku przed wszystkimi! Ta upokarzająca scena sprawia, że zaczynam myśleć trochę bardziej trzeźwo, jeśli chodzi o Holly. Pamiętaj: co Amor daje, Amor zabiera.

*

DJ, austriacki Etiopczyk, jest milczący, chowa się pod swoim kapturem, nie gra na życzenie i w ostatniej godzinie skakał po remiksach z AM KLF, *Your Only Friend* Phuture i *Ping Pong Apocalypse* Norfolkloristów. Club Walpurgis mieści się w piwnicy budynku dobudowanego do ogromnego starego hotelu Le Sud,

szęściopiętrowego labiryntu stu pokojów, przerobionego w latach pięćdziesiątych z sanatorium dla bardzo zamożnych pacjentów z gruźlicą. Niedawny remont odsłonił w Club Walpurgis gołe cegły i nadał mu wygląd w stylu „Bowie w Berlinie”, a powiększony parkiet ma teraz wielkość kortu tenisowego. Światła pulsują stroboskopowo, a całkiem spory procent dwustu czy trzystu tańczących szkieleatów odzianych w młode ciało i markowe ubrania stanowią osoby płci żeńskiej. Kreska czy nawet dwie kreski śniegu przywróciły Quinna Mocarza do życia i wydobyły go z emocjonalnej zapaści, więc we czterech poszliśmy do klubu. Inaczej niż zazwyczaj, jako jedyny nikogo nie wrywam. Natomiast moi trzej koledzy siedzą na kanapie w kształcie podkowy, a każdy z nich obraca młodą atrakcyjną czarnoskórą pannę. Bez wątpienia Chetwynd-Pitt wstawia stary bajer, że jest dziewiętnasty w kolejce do tronu, Fitzsimmons wrywa swoją na kasę, a jeśli chodzi o Quinna, miejmy nadzieję, że zdaniem jego wybranki Olly jest po prostu słodki i miło się przytula. W każdy inny wieczór też bym ruszył na łowy i nie będę udawał, że mój alpejski żar, zmysłowość Ruperta Everetta, czarna koszula Harry’ego Enny i dzinsy Makoto Grelscha opinające moje ciało wioślacza nie powodują trzepotania długich rzęs, ale w tym roku na Sylwestra wołałbym tryskać energią w tańcu niż spermą w czyjeś usta. Czy ktoś chciałby zawrzeć ze mną umowę jak z *Kuszenia Chrystusa*, na mocy której w zamian za dzisiejszą wstrzemięźliwość w Club Walpurgis dostanę punkty w Banku Karmy i będzie mogła je zrealizować pewna dziewczyna z Gravesend? Odpowiedź zna tylko Dr Koks i po archanielskim remiksie *Walking On Thin Ice*, czymś tam, udaję się do zacnego doktora na konsultację...

Kabiny w męskiej toalecie Club Walpurgis są w takim samym stopniu gościnne, w jakim Le Klop du Croc nie jest. Są też najwyraźniej zaprojektowane do wciągania kokainy: często sprzątane, przestronne i *sans espace* między górą drzwi a sufitem, co jest powszechne w brytyjskich klubach. Sadowię się na tronie, wyjmuję kieszonkowe lusterko – pożyczone od drobniutkiej Filipinki, która polowała na małżeńską wizę – i usypuję śnieżną ścieżkę, wygraną dzisiaj od Chetwynda-Pitta w blackjacka i przechowywaną w foliowej torebeczce wewnątrz paczki mentolowych fisherman's friends, co ma zmylić wszelkich węszących, merdających ogonem śledczych, gdyby a nuż... Za rurkę służy mi konstrukcja z papieru pakowego i taśmy klejącej. Z mistrzowską precyzją usypuję na lusterku równą kreskę z resztki koksu i – dzieci, nie próbujcie robić tego w domu, nie próbujcie tego nigdzie, narkotyki to Zło – fukam w lewą dziurkę, ile miejsca w płucach. Przez pięć sekund piecze, jakby ktoś przewlekał mi przez nos pokrzywę aż do gardła, ale potem nagle...

Startujemy.

Basy rozbrzmiewają w moich kościach i Bożejakiżajebistystaf. Spuszczam w kiblu papierową słomkę, a przy okazji moczę kawałek papieru toaletowego i wycieram lusterko do czysta. Igiełki drobnych światełek, których nie mogę wyraźnie dostrzec, kolą granice mojego wzroku. Wyłaniam się z kabiny jak Syn Boży, głąz odwaliwszy, i sprawdzam w lustrze, jak wyglądam – wszystko w porządku, nawet jeśli moje źrenice bardziej przypominają *Varanusa komodoensis* niż *Homo sapiens*. Wychodzę z kibla i wpadam na odzianego w Armaniego zielarza znanego jako Dominic Fitzsimmons. Wcześniej wypalił zioło i jego zwyczajowa błyskotliwość skoczyła z mostu na bungee. Trzeba poczekać, aż wróci.

– Hugo, co taki dekiel jak ty robi w tak miłym miejscu?

– Pudruję nos, mój drogi.

Zagląda mi do nosa.

– Wygląda, jakby ci tam szalala śnieżycą.

Fitz wykrzywia się w uśmiechu, a mnie ciśnie się przed oczy obraz jego matki, która tak samo się uśmiechała. I była naga.

– Hugo, zapoznaliśmy panny. Jedna dla CP, jedna dla Olly’ego, i jedna dla *moi*. Przyjdź i się przywitaj.

– Wiesz, że przy kobietach tracę śmiałość.

Dla Fitz’a to wręcz zbyt śmieszne, żeby wybuchnąć śmiechem.

– Pierdu. Pierdu.

– Serio, Fitz. Byłbym piątym kołem u wozu. Co za panny?

– O, to jest najlepsze. Pamiętasz ten afrykański kawalek *Yé Ké Yé Ké*? Jakoś w osiemdziesiątym ósmym chodził? Przebój lata.

– Mmm... mgliście, ale tak. Jak on się nazywał... Mory Kanté?

– Otóż emablujemy laski z chórków Mory’ego Kanté.

– Jasssne. A Mory Kanté ich dziś nie potrzebuje?

– Wczoraj grali duży koncert w Genewie, ale dziś mają wolne, a one dotąd nie nauczyły się jeździć na nartach – chyba dlatego, że w Gwinei nie ma śniegu – więc wszystkie przyjechały do Sainte-Agnès na dwa, trzy dni, żeby się nauczyć.

Brzmi to niby prawdopodobnie, z naciskiem na niby, ale zanim mogę wyrazić swój sceptycyzm, zjawia się lekko chwiejny Chetwynd-Pitt.

– Nadeszła pora miłości *chez* CP. W lodówce nadal leżą plastry gruyèra, w które możesz się spuścić, żebyś nie czuł się pominięty.

Southern comfort, kokaina i stójka zmieniają mojego starego druha Chetwynda-Pitta w rasowego palanta i zmuszają mnie do odwetu:

– Nie chcę ci przeszkadzać w porze miłości, Rufus, ale nie przyszło wam do głowy, że wrywacie trzy prostytutki? Śmierdzi mi to płatnymi usługami. Ale tylko pytam.

– Może i w kartach kantujesz lepiej od nas, ale dzisiaj nie udało ci się

nić wyrwać. – Chetwynd-Pitt dźga mnie w pierś, a ja w wyobraźni wrywam mu ten paluch i zakrwawiony wyrzucam. – Poznaliśmy trzy śniade piękności i w niecałą godzinę są gotowe się bzykać, więc Lamb oczywiście stwierdza, że im płacimy. Otóż nie, to wymagające kobiety, więc lepiej wsadź sobie zatyczki do uszu, bo założę się, że Shandy lubi krzyczeć.

Nie mogę tak tego zostawić:

– Nie oszukuję w kartach.

– O, moim zdaniem oszukujesz jak jasny chuj, chłopcze na stypendium.

– Zabieraj ode mnie swój paluch, Gaylordzie Chetwyndzie-Picie, i udowodnij mi, że oszukuję.

– O, jesteś, kurwa, zbyt bystrutki, żeby zostawiać dowody, ale przez te wszystkie lata orzynałeś kolegów na tysiące funtów. Pasożyt jelitowy.

– Jeśli jesteś tak przekonany, że oszukuję, Rufus, dlaczego ze mną grasz?

– Już nie będę, a właściwie, Lamb, kurwa, to...

– Panowie, panowie – uspokaja Fitz, naspawany mediator – to nie wy się kłóćcie, to mówi za was kolumbijski proszek albo inne gówno, które sprzedał wam Günter. Ej, chodźcie! Szwajcaria! Sylwester! Shandy szuka kochanka, nie boksera. Dajcie sobie buzi i pogódźcie się.

– Niech mnie pocałuje w czubek chuja, oszust – burczy pod nosem Chetwynd-Pitt, trącając mnie ramieniem, kiedy koło mnie przechodzi. – Bierz kurtkę, Fitz. Powiedz dziewczynom, że czas na afterparty.

Drzwi do męskiej toalety zamykają się za nami.

– Nie mówił tego poważnie – tłumaczy Fitzsimmons przepraszająco.

Mam nadzieję, że nie. Z kilku powodów mam nadzieję, że nie.

*

Zostaję na parkiecie, kiedy DJ Aslanski remiksuje *Exocets for Breakfast*, hymn połowy lat osiemdziesiątych autorstwa Damona MacNisha, ale pożegnalny strzał Chetwynda-Pitta popsuł mi wieczór i zachwiał moją wiarą w cały plan z Marcusem Anydrusem. Wymyśliłem Anydrusa nie tylko jako fałszywego właściciela konta, na którym chciałem trzymać zdobyte w nieczny sposób pieniądze, ale także jako lepszą, bardziej błyskotliwą, prawdziwszą wersję Hugo Lamba. Jeśli jednak taki bogaty matoł jak Chetwynd-Pitt potrafi mnie łatwo przejrzeć, nie jestem aż tak sprytny, ani Anydrus nie jest aż tak zakamuflowany, jak myślałem do dzisiaj. I nawet jeśli jestem mistrzem przekrętu, co z tego? I co się takiego stanie, jeśli za osiem miesięcy pójdę pracować w jakiejś firmie w City, gdzie bezczelną blagą oraz nożem w plecy będę torował sobie drogę do osiągnięcia w ciągu dwóch lat zarobków liczbą cyfr równą numerom telefonicznym? I co się stanie, jeżeli do końca wieku będę już posiadaczem maserati w wersji kabriolet, willi na Cykladach i jachtu w Poole? Co się takiego stanie, jeśli Marcus Anydrus zbuduje swoje własne imperium akcji, posiadłości, papierów wartościowych? Imperia umierają, jak my wszyscy, tancerze w ciemnościach rozświetlanych błyskami stroboskopu. Światło potrzebuje cieni. Patrzenie – nasza brzoskwiniowa promienność pokrywa się zmarszczkami jak pleśnią, bit-za bitem, bit-za-bitem, bit-za-bitem, bit-za-bitem, żylaki wiją się po oskubanych łydkach jak dżdżownice; torsy i piersi tyją i obwisają; proszę, jak brygadier Philby namiętnie i głęboko całuje panią Bolitho; zeszłoroczna piosenka gwałtownie przechodzi w piosenkę przyszłoroczną i jeszcze przyszło-

przyszłoroczną, a włosy tancerzy przyprószają się szronem, klapną i wypadają napromieniowanymi garściami; rak pokrywa plamkami to smołowate płuco, tę podstarzałą trzustkę i to bolące jajko; DNA przeciera się i strzępi jak wełniane włókno i przewracamy się; upadek ze schodów, atak serca, wylew; nie taniec, a konwulsje.

To jest właśnie Club Walpurgis. Znali go już w średniowieczu. Życie to śmiertelna choroba.

*

Minąć kolejkę do goryla z naleśnikami na placu, przejść pod sznurami lampek, rozciągniętymi między kłującymi sosnami, iść, czując powietrze rozedrgane biciem dzwonów i zimne jak górskie potoki. Nogi same mnie niosą, znają drogę, i nie prowadzi ona z powrotem do alpejskiej chaty Chetwyndów-Pittów. Zdejmuję rękawiczki i zapalam papierosa. Na moim zegarku jest dwudziesta trzecia pięćdziesiąt osiem. Chwalmy Pana Idealnego Wyczucia Czasu. Ustępuję z drogi policyjnej terenówce – łańcuchy na kołach dzwonią jak dzwonki u sań – idę wąską uliczką do Le Croc i przez okrągłe okno widzę młyn tutejszych, obcych i podejrzanych ni takich, ni takich. Monique miesza drinki, ale Holly nigdzie nie mogę dostrzec. Wchodzę jednak i toruję sobie drogę przez ciała, marynarki, dym, gwar, hałas i zwrotki *Maiden Voyage* Herbiego Hancocka. Ledwie docieram do baru, kiedy Günter przycisza muzykę, i wdrapuje się na stółek, robiąc hałas piłkarską grzechotką dla zwrócenia uwagi. Nasz gospodarz wskazuje wielki zegar ze wskazówkami z rakiet tenisowych – starego roku zostało jeszcze mniej niż dwadzieścia sekund.

– *Mesdames et messieurs, Damen und Herren, ladies and gentlemen, signore e signori* – le countdown, s'il vous plaît...

Mam alergię na wszelkiego rodzaju chóralne okrzyki, więc się

powstrzymuję, ale kiedy zjednoczony tłum dochodzi do pięciu, czuję, jak jej wzrok odciąga moje spojrzenie od zegara i patrzymy na siebie jak dzieci grające w „kto pierwszy się uśmiechnie, przegrywa”. Wybuchają oszalałe wiwaty i to ja przegrywam. Holly nalewa miarę kilmagoon do szklaneczki z jedną kostką lodu i podsuwa ją w moją stronę.

– Czego zapomniałeś w barze tym razem?

Mówię jej:

– Szczęśliwego Nowego Roku.

Nowy Rok, 1992

Tego ranka budzę się na moim poddaszu u Chetwyndów-Pittów, wiedząc, że telefon w salonie dwa piętra niżej zadzwoni za sześćdziesiąt sekund i że będzie to telefon od mojego ojca, ze złymi wiadomościami. Oczywiście telefon nie zadzwoni, oczywiście to tylko resztki snu – inaczej miałbym moc przewidywania przyszłości, której wszak nie posiadam. Oczywiście. A jeśli ojciec dzwoni w sprawie Penhaligona? A jeśli Penhaligon wygadał się w liście pożegnalnym i jakiś policjant z Truro rozmawiał już z moim ojcem? Oczywiście to paranoja po kokainie, ale na wszelki wypadek, na wszelki wypadek, wstaję, wkładam turecki szlafrok i schodzę do podziemnego saloniku, gdzie telefon milczy i milczeć będzie, oczywiście. *In a Silent Way* Milesa Davisa sączy się z pokoju Chetwynda-Pitta, bez wątpienia po to, by czarnoskóre panie patrzyły na Rufusa jeszcze przychylniejszym okiem. W saloniku nie ma żadnych ciał na zwałce, ale jest mnóstwo gruzu: kieliszki po winie, popielniczki, opakowania po jedzeniu i para jedwabnych bokserok, zawieszona na strzelbie z wojny burskiej. Kiedy wczoraj dotarłem tu z powrotem, Trzej Muszkieterowie i ich dziewczyny z chórków oddawali się swawolom oraz intoksykacji, więc poszedłem prosto do łóżka.

Przysiadam na oparciu kanapy i wbijam wzrok w telefon.

Dziewiąta trzydzieści sześć – mówi zegar. Ósma trzydzieści sześć w Anglii.

Ojciec, w okularach, patrzy na numer, który zostawiłem.

+36 do Szwajcarii; numer międzymiastowy; numer do chaty Chetwyndów-Pittów...

„Owszem”, powiem, „Jonny od czasu do czasu grywał w karty”.

Tylko z grupą przyjaciół. W ramach odprężenia po męczącym tygodniu.

Ale absolutnym limitem było pięćdziesiąt funtów w jednej kolejce. Na piwo.

„Ile? Tysiące funtów?”. Roześmieję się, raz, w niedowierzaniu.

„To nie gra dla odprężenia, tato. To jakieś wariactwo”. To znaczy...

„Musiał wpaść w kłopoty z jakąś zupełnie inną grupą znajomych”.

Dziewiąta trzydzieści siedem. Odlany z plastikowej masy telefon niewinnie stoi na blacie.

Jeśli nie zadzwoni do dziewiątej czterdzieści, niepotrzebnie napędziłem sobie strachu...

*

Dziewiąta czterdzieści pięć i wszystko w porządku. Dzięki Bogu. Na jakiś czas odstawię kokainę – może na dłużej. Czy yeti nie przestrzegał mnie przed paranoją? Sok pomarańczowy na śniadanie i energiczna jazda na nartach wypłuczają ze mnie resztki zeszłocnych toksyn, więc...

Dzwoni telefon. Chwytam słuchawkę.

– Tata?

– Dzień dobry... Hugo? To ty?

Cholera, to ojciec.

– Tato! Co tam u was?

– Trochę mnie zaskoczyłeś. Skąd, na Dickensa, wiedziałeś, że to ja?

Dobre pytanie.

– Na telefonie Rufusa wszystko się wyświetla – kłamie. – No to... eee... Szczęśliwego Nowego Roku. Wszystko w porządku?

– Szczęśliwego Nowego Roku, Hugo. Możesz teraz rozmawiać?

Zauważam lekko przygaszony ton ojca. Coś jest na rzeczy.

– Mów, tato.

– Dobrze. Wczoraj zdarzyła się przedziwna rzecz. Oglądałem przy lunchu wiadomości gospodarcze, kiedy zadzwonił telefon z policji. Policjantka, wyobraź sobie, ze Scotland Yardu.

– O rany. – Myśl, myśl, myśl, ale nie jestem w stanie zebrać myśli.

– Komisarz Sheila Young z wydziału odzyskiwania dzieł sztuki i antyków. Nie miałem pojęcia, że takie coś w ogóle istnieje, ale najwyraźniej kiedy ktoś ukradnie, dajmy na to, *Lilie wodne* Moneta, to oni mają je odzyskać.

Albo Bernard Kriebel na mnie doniósł, albo ktoś doniósł na Kriebela.

– Bardzo ciekawa praca. Przynajmniej tak brzmi. Ale dlaczego dzwonicz?

– Bo... pani komisarz chciała rozmawiać z tobą, Hugo.

– O czym? Przecież nie ukradłem Moneta.

Zatroskany śmiech.

– Nie chciała zdradzić szczegółów. Wyjaśniłem, że jesteś w Szwajcarii, i powiedziała, że prosi cię o telefon po powrocie. „Żeby pomóc w prowadzonym dochodzeniu”.

– A jesteś pewien, że jakiś kretyn nie robi sobie dowcipu i nas nie wkręca?

– Brzmiała całkiem realnie. W tle słychać było biurowy gwar.

– Dobrze, zadzwonię do komisarz Sheili Young, jak tylko wrócę do Anglii. Może z Humber Library zniknęły jakieś rękopisy? Mają tam ich trochę. Albo... nie, nie mam pojęcia, ale zżera mnie ciekawość.

– Świetnie. Przyznam się, że... nie powiedziałem mamie.

– Dziękuję za delikatność, ale możesz jej spokojnie powiedzieć. Hej, jeżeli wyląduję w Wormwood Scrubs, będzie mogła zorganizować kampanię „Uwolnić Hugo!”.

Ojciec śmieje się jakoś weselej.

– Ja też przyjdę z transparentem.

– Cudownie. No dobrze, ale oprócz tego, że nachodzi cię Interpol w sprawie twojego syna-superprzestępcy, wszystko w porządku?

– Raczej tak. Trzeciego wracam do pracy, a mama ma urwanie głowy w teatrze, ale cóż, sezon zimowy w pełni. Jesteś pewien, że nie chcesz, żebym odebrał cię z lotniska?

– Dzięki, tato, ale kierowca Fitzsimmonsów podrzuci mnie do domu. Do zobaczenia za osiem dni, a wtedy nasza zagadka wreszcie się rozwiąże.

*

Idę na górę, a scenariusze w głowie wyświetlają mi się z prędkością dwudziestu czterech klatek na sekundę: brygadier zmarł i egzekutor testamentu pyta: „Jakie cenne znaczki?”; siostrę Purvis pytają, kto odwiedzał brygadiera; Kriebel wskazuje Marcusa Anydrusa; policja przegląda nagrania z kamer przemysłowych; zostaję zidentyfikowany; Sheila Young przeprowadza ze mną nagrywany wywiad; zaprzeczam jej oskarżeniom, ale Kriebel wyłania się zza weneckiego lustra – „To on”. Oficjalnie zostaję mi postawione zarzuty; sąd oddala wniosek o kaucję, wyrzucają mnie z Cambridge, cztery lata za kradzież i oszustwo w zawieszeniu na dwa lata; jeśli akurat w wiadomościach nic się tego dnia nie dzieje, trafiam do ogólnokrajowych gazet – „Mieszkaniec Richmond kradnie majątek ofiary wylewu”; wychodzę po półtora roku za dobre zachowanie, jako karany obywatel. Jedyna profesja, jaka pozostaje przede mną otwarta, to zakładanie blokad na koła źle zaparkowanych aut.

Na moim poddaszu przecieram kwadracik zamglonej szyby. Ośnieżone dachy, Hôtel Le Sud, nagie szczyty. Śnieg jeszcze nie pada, ale granitowe niebo zasnuwają przekleństwa. Pierwszy stycznia.

Igła kompasu się obraca. Czuję to.
Wskazuje więzienie? Czy jakieś inne miejsce?
Miss Constantin nie wybiera ludzi przypadkowo.
Mam nadzieję. Z dołu dobiega głucho królicze walenie: Quinn.
Olly dochodzi szybko, jak zawiedziony brontozaur.
Komisarz Sheila Young nie stanowi pułapki. Stanowi katalizator.
Spakuj torbę, mówi mi instynkt. Bądź gotowy. Czekaj.
Posłusznie spełniam polecenia, a potem znajduję sobie miejsce na
Czarodziejskiej górze.

*

W Chacie Rozpusty panuje poruszenie. Słyszę Fitzsimmonsa z półpiętra:

– Wezmę szybki prysznic...

Budzi się bojler, rury burczą, a prysznic przyska; kobiety rozmawiają w afrykańskim języku; soczysty śmiech; Chetwynd-Pitt grzmi:

– Dzień dobry, panie Quinn! Niech pan mi tylko powie, że nie to właśnie zalecił lekarz!

Jedna z kobiet – Shandy? – pyta:

– Rufus, skarbie, zadzwonię do naszego agenta, żeby wiedział, że nic się nam nie stało, dobrze?

Kroki po schodach do piwnicznego saloniku, w kuchni z radia płynie *One Night In Bangkok*. Fitzsimmons wychodzi z łazienki. Męski głos mówi cicho na półpiętrze:

– Stypendysta siedzi w swojej norze... Rozmawiał wcześniej przez telefon... Jeśli chce strzelać focha, proszę bardzo...

Kusi mnie, żeby wrzasnąć: „Nie strzelam focha, naprawdę cieszę się, że wszyscy zrzuciliście z kija!”, ale po co tracić energię na prostowanie ich przypuszczeń? Ktoś gwizdże. W czajniku wrze woda.

Potem słyszę pół falset, pół chrypienie, pół krzyk:

– Chyba se jaja robisz!

Nasłuchuję uważnie. Mija kilka sekund ciszy... Po raz drugi tego przedziwnego ranka czuję niewytłumaczalną pewność, że za chwilę coś się wydarzy. Jak w scenariuszu. Po raz drugi słucham intuicji, zamykam *Czarodziejską górę* i wsuwam ją do plecaka. Jedna z dziewczyn mówi coś szybko przyciszonym głosem, więc nie mogę zrozumieć słów, ale potem czyjeś kroki dudnią na schodach, gdy ktoś wbiega na półpiętro, gdzie Chetwynd-Pitt wykrzykuje:

– Tysiąc dolarów! Chcą po tysiąc dolarów! Każda!

Kap, kap, kap, kapią pensy. Czy też dolary. Jest jak w najlepszych piosenkach – nie wiadomo, jaki będzie kolejny wers, ale kiedy już wybrzmiewa, wiadomo, że żaden inny by nie pasował. Fitzsimmons:

– Chyba sobie, kurwa, żartują.

Chetwynd-Pitt:

– Chyba sobie, kurwa, raczej nie żartują.

Quinn:

– Ale one... nic nie mówiły, że są prostytutkami!

Chetwynd-Pitt:

– Nawet nie wyglądają na dziwki.

Fitzsimmons:

– Nie mam tysiąca dolarów. Nie tutaj!

Quinn:

– Ja też nie, ale nawet gdybym miał, dlaczego miałbym im dać?

Choć kusi mnie, żeby wyjść z mojego pokoju, zejść na dół z radosnym: „Droży Romeo, życzyście sobie jajecznicę czy sadzone?”, telefon Shandy do „agenta” to syrena z błyskającą lampą, która wygrywa jedno słowo: „alfons, alfons, alfons”. Niektórzy powiedzieliby, że to czysty fart, że akurat mam w pokoju nową parę skórzanych timberlandów, jeszcze w pudełku, ale „fart” to słowo dla

leniwych.

Chetwynd-Pitt:

– To szantaż. Niech se idą w chuj.

Fitzsimmons:

– Też tak myślę. Zobaczyły, że mamy kasę, i teraz kombinują, jak by ją przytulić.

Quinn:

– Ale... jeśli im nie damy... znaczy... czy one nie...?

Chetwynd-Pitt:

– Czy nas nie zadźgają na śmierć szminkami i tamponami? Nie, damy im jasno do zrozumienia, że spierdalać znaczy spierdalać, że tu jest Europa, nie jakaś jebana Mombasa, i pojmą, co się do nich mówi. Czyją stronę weźmie szwajcarska policja? Naszą czy trzech murzyńskich kurew?

Krzywię się. Dokonuję wypłaty aktywów z Banku pod Podłogą i wpłacam zwitek banknotów do saszetki na dokumenty. Saszetkę wsuwam bezpiecznie do wewnętrznej kieszeni kurtki narciarskiej, rozmyślając nad tym, że o ile wśród zamożnych rodzi się tyle samo głupich, co wśród ubogich, to jednak wychowanie w bogactwie pogłębia głupotę, a dzieciństwo w biedzie ją zmniejsza, choćby z powodów, o których pisał Darwin. Właśnie dlatego wyższa kasta potrzebuje profilaktycznej bariery chujowych szkół państwowych, które zapobiegają wypieraniu elity z Enklawy Przywilejów przez bystre dzieciaki z robotniczych dzielnic. Z dołu słyszę ostrą wymianę zdań i wściekle głosy, angielskie i afrykańskie. Z ulicy dobiega dźwięk klaksonu. Wyglądam przez okno i widzę szarego hyundaia ze śnieżną czapą, toczącego się złowieszczo w naszą stronę. Samochód zatrzymuje się, oczywiście, przy wylocie podjazdu do Château Chetwynd-Pitt, blokując drogę. Z hyundaia wysiadają dwa umięśnione typy w kożuchowych kurtkach. Wtedy zjawiają się

Candy, Shandy i Mandy, i dają im znak, żeby weszli do środka...

*

Burda w saloniku gwałtownie cichnie.

– Wy, kimkolwiek jesteście – krzyczy Rufus Chetwynd-Pitt – spierdalać z mojej posesji albo wzywam policję!

Szwabski psychol w stylu kamp, z nosowym głosem:

– Jedliście w eleganckiej restauracji, chłopcy. Czas zapłacić rachunek.

Chetwynd-Pitt:

– Nie powiedziały, że są prostytutkami!

Szwabski kamp-psychol:

– A ty nie mówiłeś, że powstałeś z jogurtu z fiuta, a jednak to prawda. Zdaje się, że masz na imię Rufus?

– Nic ci, kurwa, do tego, jak mam...

– Obrażliwa mowa, Rufus, nie jest profesjonalnym zachowaniem biznesmena.

– Wyjdźcie! W tej chwili!

– Niestety, jesteście winni trzy tysiące dolarów.

Chetwynd-Pitt:

– Tak? Zobaczmy, co policja...

To chyba telewizor kończy żywot z dźwięcznym *bum*. Regalik z książkami uderza o kamienną ścianę? *Lup, brzdęk*, plomba. Szkło, talerze, obrazy, lustra. Z pewnością Henry Kissinger nie wyjdzie z tego bez szwanku. Chetwynd-Pitt wrzeszczy:

– Moja ręka, o kurwa, moja ręka!

Niewyraźna odpowiedź na niewyraźne pytanie.

Szwabski kamp-psychol:

– NIE SŁYSZĘ, CO MÓWISZ, RUFUS!

– Zapłacimy – skowyczy Chetwynd-Pitt – zapłacimy...

– Niewątpliwie. Zmusiliście jednak Shandy, żeby do nas zadzwoniła, więc cena wzrasta. Tak zwana „opłata za dojazd”. W biznesie musimy pokrywać koszty. Ty. Tak, ty. Jak masz na imię?

– O-O-Olly – jąka się Olly Quinn.

– Tak się wabiła chihuahua mojej drugiej żony. Pogryzła mnie. Zrzuciłem ją do... *Scheiße*, jak to się nazywa, to w czym jeździ winda? Ta dziura? Olly, ciebie pytam, jak to jest po angielsku?

– Sz-sz-szyb?

– O właśnie. Wyrzuciłem Olly’ego do szybu windy. Dlatego, Olly, ty mnie już nie pogryziesz. Prawda? Dobrze. Teraz zbierzesz pieniądze.

Quinn pyta:

– Co... co zbiiorę?

– Pieniądze. Fundusze. Środki. Twoje, Rufusa, twoich kolegów. Jeśli starczy na opłatę za dojazd, zostawimy was, żebyście spokojnie świętowali Nowy Rok. Jeżeli nie starczy, będziemy wymyślać dla was kreatywne sposoby spłaty długów.

Jedna z kobiet coś mówi, ale bardziej mamrocze, niż mówi. Kilka sekund później szwabski kamp-psychol woła w górę schodów:

– Ej, czwarty Beatles! Chodź do nas. Nie zrobimy ci krzywdy, jeżeli nie będziesz zgrywał bohatera.

Bezszelstnie otwieram okno – zimno! – i zwieszam nogi przez parapet. Chwila jak z *Zawrotu głowy* Hitchcocka. Alpejskie dachy, po których zamierza się zjechać, nagle wydają się znacznie bardziej spadziste niż alpejskie dachy podziwiane z poziomu ziemi. Chociaż stromizna dachu chaty Chetwynda-Pitta łagodnieje nad kuchnią, istnieje realne ryzyko, że za piętnaście sekund będę wrzeszczał z bólu z dwiema złamanymi nogami.

– Lamb? – To Fitzsimmons, wchodzi po schodach. – Chodzi o kasę, którą wygrałeś od Rufusa. Potrzebuje jej. Oni mają noże, Hugo.

Hugo?

Opuszczam się na dachówki, trzymając się mocno parapetu.

Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden...

*

Le Croc jest zamknięty, w środku jest ciemno i nie ma śladu Holly Sykes. Może bar jest nieczynny dziś wieczorem, więc Holly przyjdzie sprzątać dopiero jutro rano. Dlaczego nie poprosiłem jej o numer telefonu? Kuśtykam na rynek, ale nawet na owym centrum La Fontaine Sainte-Agnès panuje nastrój końca świata: niewielu turystów, jeszcze mniej samochodów, goryla-naleśnikarza nigdzie nie widać, na drzwiach większości sklepów wisi tabliczka *Fermé*. Ale jak to? W zeszłym roku pierwszego stycznia był spory ruch. Niebo zwiesza się coraz niżej, szare jak zawilgocony materac. Wchodzę do La Pâtisserie Palanche de la Cretta, zamawiam kawę i *carac*, i zwalam się na fotel w rogu przy oknie, ignorując pulsujący ból w kostce. Komisarz Sheila Young nie będzie dzisiaj zaprzętała sobie mną głowy. I co teraz? Co dalej? Uruchomić Marcusa Anydrusa? Mam jego paszport w skrytce na dworcu Euston. Autokarem do Genewy, pociągiem do Amsterdamu albo Paryża. Przez kanał poduszkowcem. Samolotem do Panamy. Karaiby... Praca na jachcie.

Naprawdę? Mam zakończyć stare życie, tak po prostu?

Nigdy więcej nie zobaczysz rodziny? To strasznie nagłe.

Jakoś nie tak szło w scenariuszu.

Koło okna, za ledwie trzy stopy i grubość szyby ode mnie, przechodzi Olly Quinn w towarzystwie uśmiechniętego człowieka w kozuchowej kurtce. To chyba jeden z karków szwabskiego kamp-psychola. Quinn jest blady i wygląda, jakby był chory. Marszowym krokiem mijają budkę telefoniczną, w której Olly rozplakał się wczoraj

po rozmowie z Ness, i wchodzi do holu Swissbanku, gdzie mieszkają bankomaty. Quinn trzykrotnie wypłaca tam pieniądze z trzech kart, a potem kark wyprowadza go na ulicę. Chowam się za darmowym dziennikiem, który akurat wręczył mi gazeciarz. Ktoś normalny czułby wyrzuty sumienia albo potrzebę zadośćuczynienia. Ja mam tylko wrażenie, że oglądam jakiś odcinek *Spraw inspektora Morse'a*.

– Dzień dobry, arystokrato – mówi Holly, trzymając gorącą czekoladę. Jest piękna. Jest skończenie sobą. Ma czerwony beret. Jest spostrzegawcza. – W jakie kłopoty się wpakowałeś?

Nie wiem, dlaczego zaprzeczam.

– W żadne, wszystko w porządku.

– Mogę się przysiąść czy spodziewasz się towarzystwa?

– Tak. Nie. Proszę, siadaj. Nie spodziewam się towarzystwa.

Holly zdejmuje narciarską kurtkę, tę miętowozieloną, siada na wprost mnie, kładzie czerwony beret na stole, zdejmuje z szyi kremowy szalik, zwija go i kładzie na berecie.

– Poszedłem do baru – przyznaję – ale myślałem, że pojechałaś na narty.

– Zamknęli stoki. Z powodu śnieżycy.

Ponownie patrzę przez okno.

– Jakiej śnieżycy?

– Naprawdę powinieneś słuchać lokalnego radia.

– Zgoda, ale ile można słuchać *One Night In Bangkok*?

Holly miesza gorącą czekoladę.

– Powinieneś już wracać. Według prognoz wielka zamieć ma przyjść w ciągu godziny. A w zamieci nie widać dalej niż na trzy jardy. Jakby cię ktoś oślepił. – Zjada łyżeczkę pianki z czekolady i czeka, aż przyznam się, w jakie znowu kłopoty się wpakowałem.

– Właśnie się wymeldowałem z hotelu Chetwynd-Pitt.

– Na twoim miejscu zameldowałabym się z powrotem. Serio.

Buczę cicho, udając zestrzelony samolot.

– To byłoby problematyczne.

– Nieporozumienie rodzinne w domu obleśnego Rufusa?

Nachylał się do niej.

– Panny, które wyrwali w Club Walpurgis, okazały się prostytutkami. Ich alfonsi właśnie w tej chwili terroryzują Rufusa, Olly'ego i Fitza, żeby oddali im całą swoją kasę, aż do ostatniego *centime*. Ja uciekłem przez właz bezpieczeństwa.

Holly nie okazuje zdziwienia tą popularną historią z kurortów narciarskich.

– I jaki masz plan?

Patrzę w jej poważne oczy. Wnętrznoci rozrywa mi pocisk dum-dum w formie łez szczęścia.

– Nie wiem.

Holly upija łyk czekolady, a ja marzę, żeby to mnie piła.

– Nie robisz wrażenia, jakbyś się tym bardzo przejmował. Ja na twoim miejscu przejmowałabym się dużo bardziej.

Biorę łyk kawy. W kuchni syczy patelnia.

– Nie umiem tego wyjaśnić. Chodzi o nieuchronnie zbliżającą się metamorfozę.

Widzę, że nie rozumie, i nie mam jej tego za złe.

– Holly, czy kiedykolwiek zdarza ci się... wiedzieć? Wiedzieć coś, czego wiedzieć nie możesz?... Albo... albo podziąć gdzieś całe godziny? Nie w sensie: „O kurczę, ale ten czas leci”, ale tak – pstrykam palcami – pach, gdzieś minęła godzina. Dosłownie, w ułamku sekundy. Okej, może z tym czasem to nie do końca to, o co mi chodzi, ale ja naprawdę wiem, że moje życie właśnie się zmienia. Metamorfoza. To najlepsze słowo, jakie przychodzi mi do głowy... Świetnie ci wychodzi zachowywanie kamiennej twarzy, ale musisz teraz myśleć, że jestem na maksa, na maksa, na maksa popieprzony.

– O trzy „na maksa” za dużo. Zapominasz, że pracuję w barze.

Usiłuję zwalczyć przemożne pragnienie, żeby nachylić się i ją pocałować. Odtrąciłaby mnie i wyrznęła w pysk. Wrzucam do kawy kostkę cukru. Wtedy ona pyta:

– Gdzie zamierzasz się zatrzymać na czas swojej „metamorfozy”?

Wzruszam ramionami.

– To metamorfoza decyduje o mnie, nie ja o metamorfozie. – Co brzmi zgrabnie, ale nie odpowiada na pytanie. Z Sainte-Agnès nie wyjeżdżają autobusy, a w hotelach nie ma już miejsc. – Już mówiłem, że ta śnieżycyca jest bardzo nie w porę.

– Jest jeszcze coś, o czym mi nie mówisz, prawda?

– O, masa rzeczy. I pewnie nigdy nikomu o nich nie powiem.

Holly odwraca wzrok i podejmuje decyzję...

* * *

Kiedy wychodziliśmy z rynku, na wysokości dachów czaiło się zaledwie kilka płatków śniegu, ale sto jardów i kilka ulic dalej potężna dysza pompy śnieżnej wielkości alpejskiej góry siecze dolinę ogromnymi wirami śniegu. Śnieg mam już w nosie, śnieg mam w oczach, śnieg mam pod pachami, śnieżycyca wyje za nami, gdy wchodzimy przez kamienny łuk na dość obrzydliwe podwórko, zastawione koszami na śmieci, już do połowy przysypanymi przez śnieg, śnieg, śnieg. Holly wsuwa klucz do zamka i już po chwili jesteśmy w środku, śnieg zawiewa do wewnątrz przez uchylone drzwi, a wiatr wyje za nami, aż Holly zatrzaskuje drzwi i nagle zapada wielka cisza. Krótki korytarz, rower górski, schody na górę. Na policzki Holly wystąpił ciemny róż. Jest za chuda. Gdybym był jej mamą, wmusiłbym w nią parę tuczących deserów. Zdejmujemy kurtki i buty, i Holly gestem zaprasza mnie najpierw po wyłożonych

chodnikiem schodach. Na górze wisi lampa, dająca płaskie światło przez papierowy żyrandol, a deski podłogi trzeszczą. Mieszkanie Holly jest skromniejsze niż moje pokoje w Humber i w widoczny sposób stylem sięga lat siedemdziesiątych wieku dwudziestego, nie szesnastego, ale zazdroszczę jej tego lokum. Jest czyste i bardzo skromnie umeblowane. W dużym pokoju stoi staroświecki telewizor i magnetowid, odziedziczona po kimś kanapa, fotel z wypchanego worka, niski stolik, w rogu uporządkowany stos książek, i to prawie całe wyposażenie. Malutka kuchenka też jest minimalistyczna: jeden talerz, miska, filiżanka, nóż, widelec i łyżka czekają na suszarce. Rozmaryn i szalwia rosną w doniczkach na półce. Podstawowe wyczuwalne zapachy to tosty, papierosy i kawa. Jediną próbę dekoracji stanowi mały olejny obraz bladobłękitnego domku na zielonym stoku nad srebrnym oceanem. Widok przez duże okno Holly musi być fantastyczny, ale dzisiaj, przez burzę śnieżną, przypomina tylko biały szum na niedostrojonym telewizorze.

– To niesamowite, tyle śniegu – mówię.

– Śnieżycą. – Holly nalewa wody do czajnika. – Od czasu do czasu się zdarzają. Co ci się stało w kostkę? Kulejesz.

– Dotychczasowe miejsce pobytu opuściłem w stylu Spidermana.

– A wylądowałaś w stylu worka kartofli?

– Moja drużyna skautów zdobywała sprawność Skoczka z Budynków Zaatakowanych przez Alfonsów akurat, kiedy mnie nie było.

– Mam parę elastycznych bandaży, mogę ci pożyczyć. Ale najpierw...

Holly otwiera drzwi do pokoiku z jednym oknem, które ma wielkość pokrywki od pudełka po butach.

– Mojej siostrze spało się tu całkiem dobrze, kiedy przyjechała do mnie miesiąc temu. Spała na poduszkach z kanapy, pod kocami.

– Jest tu ciepło i sucho. – Rzucam torbę na podłogę. – Jest super.

– To dobrze. Ja będę spała u siebie, a ty tutaj. Tak?

– Zrozumiałem. – Kiedy kobieta jest tobą zainteresowana, da ci to odczuć. Jeśli nie jest, nie istnieje żadna woda po goleniu, prezent ani tekst na podryw, który potrafiłby zmienić jej zdanie. – Poważnie, jestem bardzo wdzięczny. Bóg jeden wie, co bym zrobił, gdybyś się nade mną nie zlitowała.

– Przeżyłbyś. Takim jak ty zawsze się jakoś udaje.

Patrzę na nią.

– Takim jak ja?

Holly wypuszcza powietrze nosem.

*

– Rany boskie, Lamb, to bandaż, a nie opaska uciskowa. – Holly krytycznie ocenia moje próby udzielenia sobie pierwszej pomocy. – Najwyraźniej nie było cię też przy zdobywaniu sprawności Doktora. W ogóle zdobyłeś jakieś sprawności? Nie, nie chcę wiedzieć. Dobrze – odkłada papierosa – ja to zrobię, ale jeśli usłyszę jeden idiotyczny dowcip o pielęgniarkach, złamię ci drugą kostkę deską do krojenia.

– Absolutnie żadnych dowcipów o pielęgniarkach.

– Noga na stołek. Nie będę przed tobą klękała.

Odwija nieudolnie założony przeze mnie bandaż, cmokając z dezaprobatą na moją nieporadność. Moja stopa, bez skarpetki, spuchnięta, wygląda jak obce ciało, nagie i brzydkie pod palcami Holly.

– Masz, wetrzyj najpierw trochę maści z arniki. Świetnie robi na opuchnięcia i siniaki.

Podaje mi tubkę. Posłusznie robię, co każe, a kiedy kostka już mi się błyszczy, Holly owija moją stopę bandażem, tak ściśle, jak trzeba. Obserwuję jej palce, jej spirale czarnych włosów, jej twarz, która

ukrywa i pokazuje jej wewnętrzną pogodę. To nie jest pożądanie. Pożądanie chce, robi, co ma zrobić, i chyłkiem wraca do lasu. Miłość jest bardziej zachłanna. Miłość chce nieustannej opieki; ochrony; obrączek, przysiąg, wspólnych kont; zapachowych świec w urodziny; ubezpieczenia na życie. Chce dzieci. Miłość to dyktator. Wiem o tym, a jednak wielki piec w moich piersiach i tak huczy: „Ty ty ty ty ty” i nic nie mogę na to poradzić. Wiatr przypuszcza ataki na okno.

– Nie za ciasno? – pyta Holly.

– Jest idealnie – odpowiadam.

* * *

– Jak śnieg w szklanej kuli – mówi Holly, wpatrując się w śnieżycę.

Opowiada mi o tropicielach UFO, którzy przyjeżdżają do Sainte-Agnès, a wątek tropicieli z kolei jakoś prowadzi do tego, jak pracowała przy zbieraniu truskawek w Kencie i przy winobraniu w Bordeaux; do dyskusji o tym, dlaczego zamieszki w Irlandii Północnej nie skończą się, dopóki nie zostaną wprowadzone szkoły bez segregacji; do opowieści, jak kiedyś zjechała na nartach w dolinę, a trzy minuty później zeszła tamtędy lawina śnieżna. Zapalam papierosa i opowiadam, jak autokar, na który się spóźniłem w Kaszmirze, zjechał z drogi do Ladakh i runął pięćset stóp w przepaść; dlaczego mieszkańcy Cambridge nie znoszą studentów, dlaczego na kole do ruletki zawsze jest zero; jak super jest wiosłować po Tamizie o szóstej rano w letni dzień. Rozmawiamy o pierwszych singlach, jakie sobie kupiliśmy, spieramy się, czy lepszy był *Egzorcysta*, czy *Łnienie*, dyskutujemy o planetariach i o Madame Tussauds. Mówimy również po prostu, żeby gadać, ale patrzenie, jak Holly Sykes mówi, to przyjemność. Kolejny raz opróżniam popielniczkę. Holly pyta mnie o moje trzymiesięczne stypendium w Blithewood College w stanie

Nowy Jork. Podaję jej zredagowaną już wersję najciekawszych wydarzeń, w tym przygodę z myśliwym, który postrzelił mnie, bo wziął mnie za jelenia. Ona opowiada mi o swojej przyjaciółce Gwyn, która w zeszłym roku w wakacje pracowała na obozie letnim w Colorado. Ja opowiadam, jak Bart Simpson dzwoni do Marge z obozu letniego i oznajmia: „Od dzisiaj nie boję się śmierci”, ale Holly pyta, kim jest Bart Simpson, więc muszę jej wytłumaczyć. Ona opowiada o Talking Heads, jak katoliczka o ulubionych świętych. Nagle zdajemy sobie sprawę, że minął cały ranek. Z połowy torebki mąki i resztek z lodówki wyczarowuję nam pizzę, która ewidentnie robi na niej spore wrażenie, choć Holly nie daje tego po sobie poznać. Bakłażan, pomidory, żółty ser, pesto i musztarda „Dijon”. W lodówce jest też butelka wina, ale ja podaję na stół wodę, żeby Holly nie pomyślała, że chcę ją upić. Pytam, czy jest wegetarianką, bo zauważyłem, że nawet kostki rosółowe są wyłącznie warzywne. Tak, jest wegetarianką i opowiada mi, jak, kiedy miała szesnaście lat, była w Irlandii u swojej ciotecznej babci Eilísh.

– I przechodziła owca, strasznie beczała, a ja uświadomiłam sobie: o kurde, zjadam jej dzieci!

Wtrącam uwagę, że ludzie są mistrzami wypierania niewygodnych prawd. Zmywam naczynia – „w ramach zapłaty za nocleg” – a potem odkrywam, że Holly nigdy nie grała w tryktraka, więc robię nam planszę z wnętrza pudełka po płatkach, na których maluję pola flamastrem. W słoiku w szufladzie Holly znajduje parę kostek do gry, a za pionki służą nam srebrne i miedziane monety. Przy trzeciej partii Holly gra już na tyle dobrze, że mogę dać jej wygrać bez wzbudzania podejrzeń.

– Gratulacje – mówię. – Szybko się uczysz.

– Powinnam ci podziękować, że dałeś mi wygrać?

– Wcale nie dałem ci wygrać! Poważnie, wygrałaś ze mną zupełnie

fair i...

– A ty po mistrzowsku kłamiesz, arystokrato.

*

Później usiłujemy oglądać telewizję, ale przez zamieć odbiór jest fatalny i ekran śnieży tak samo jak świat za oknem. Holly znajduje jakiś czarno-biały film na wideo, odziedziczony po poprzednim lokatorze mieszkania. Wyciąga się na kanapie, a ja siedzę zatopiony w wielkim fotelu-worku. Popielniczka balansuje między nami na oparciu. Próbuję skupić się na filmie, a nie na jej ciele. Film jest produkcji brytyjskiej, chyba z końca lat czterdziestych. Brakuje początkowych minut, więc nie wiemy, jaki ma tytuł, ale jest całkiem wciągający, mimo dykcji *à la* Noël Coward. Bohaterowie są na statku pasażerskim, płynącym przez ocean w gęstej mgle i sporo czasu zabiera im wszystkim, a także Holly i mnie samemu, zajarzenie, że wszyscy nie żyją. O każdej postaci dowiadujemy się więcej z wątków pobocznych – razem tworzą świetną chaucerowską gromadę – aż w końcu przybywa nieznoszący sprzeciwu Egzaminator, który ma rozstrzygnąć o losie każdego pasażera w życiu po życiu. Ann, świątobliwa heroina, dostaje przepustkę do nieba, ale jej mąż Henry, austriacki bohater wojenny, pianista i członek ruchu oporu, popełnił samobójstwo – głowa w piekarniku – i teraz musi pracować jako steward na pokładzie podobnego liniowca, kursującego pomiędzy światami. Żona mówi Egzaminatorowi, że zrzeka się nieba, żeby zostać ze swoim mężem.

Holly parska:

– Błagam!

Ann i Henry słyszą brzęk tłuczonego szkła i budzą się w swoim mieszkaniu, uratowani przed zatruciem gazem dzięki świeżemu

powietrzu, które wpada przez wybite okno. Crescendo smyczków, mąż i żona, wtuleni w siebie, rozpoczynają nowe życie. Koniec.

– Co za kocopały – mówi Holly.

– Ale jednak oglądaliśmy do końca.

Okno wypełnia ciemny fiolet, oprócz płatków śniegu miotających się przed szybą. Holly wstaje, żeby zaciągnąć zasłony, ale nieruchomieje przed oknem, zaczarowana widokiem.

– Jaka jest najgłupsza rzecz, jaką w życiu zrobiłeś, arystokrato?

Dłubię w moim worku-fotelu. Fotel cicho grzechocze i szeleści.

– Dlaczego pytasz?

– Bo masz w sobie megadużo pewności siebie. – Zastłania okno i odwraca się do mnie, niemal oskarżycielsko. – Bogaci ludzie w ogóle ją mają, ale u ciebie to jeszcze coś innego. Masz na koncie jakieś głupie występy, których samo wspomnienie cię żenuje?

– Gdybym miał opowiedzieć o setkach moich głupich występów, siedzielibyśmy tu do kolejnego Sylwestra.

– Opowiedz tylko o jednym.

– Dobrze, no to...

Holly chyba chce, żebym pokazał miękki brzusek. Tak samo, jak w rozmowie o pracę, kiedy pytają: „Jaka jest pana największa wada?”. Co takiego zrobiłem, co było na tyle głupie, żeby mogło ująć za dobrą odpowiedź, ale żeby nie było aż tak moralnie odrażające (jak Ostatnia Przejażdżka Penhaligona), że zwykły człowiek byłby przerażony?

– Mam. Mój kuzyn Jason wychował się w Black Swan Green, takiej wsi w Worcestershire. Kiedyś – miałem jakieś piętnaście lat – pojechaliśmy do niego z rodzicami i mama Jasona wysłała jego i mnie do sklepiku we wsi. Jason był młodszy ode mnie i, jak to się mówi, „łatwo ulegał wpływom”. No więc jaką zabawę wymyśliłem sobie jako obyty kuzyn z Londynu? Ukradłem ze sklepiku paczkę papierosów, podstępem zaprowadziłem Jasona do lasu i powiedziałem mu, że jeśli

chce zmienić swoje życie, żeby mu więcej nie dokuczali w szkole, musi nauczyć się palić. Powaga. Jak jakiś czarny typ z kampanii antynikotynowej. Mój kuzyn potulnie się zgodził, a piętnaście minut później klęczał na trawie i rzygał dalej, niż widział. Proszę. Masz. Jeden głupi, dość okrutny wyczyn. Za każdym razem, kiedy to sobie przypominam, moje sumienie krzyczy: „Ty źłobie!” – krzywię się, żeby ukryć kłamstewko – i myślę: „Jason, przepraszam”.

– Pali do dzisiaj? – pyta Holly.

– Chyba nigdy tak naprawdę nie palił.

– Może właśnie wtedy uodporniłeś go na palenie?

– Może. A ciebie kto namówił do palenia?

*

– I szłam tak, przez bagna Kentu. Bez żadnego planu. Po prostu... – Holly zakreśla dłonią rozległą przestrzeń. – Pierwszej nocy spałam w kościele na jakimś zadupiu i... to się stało właśnie wtedy. Tamtej nocy zniknął Jacko. Wieczorem w Kapitanie wykąpał się, Sharon mu poczytała, mama powiedziała dobranoc. Wszystko wydawało się w porządku – oprócz tego, że zniknął. Po zamknięciu pubu tata zajrzał jak zwykle do pokoju Jacko, żeby wyłączyć radio, bo Jacko zasypiał z włączonym radiem, słuchał różnych stacji w obcych językach. Ale w niedzielę nad ranem Jacko już nie było. Nie było go też w pubie. I zagadka jak w jakimś słabym kryminale: drzwi były zamknięte od wewnątrz. Najpierw policja – a nawet rodzice – myśleli, że to ja uknułam z Jacko jakiś plan, więc dopiero, kiedy... – Holly milknie, żeby się uspokoić – ...kiedy mnie namierzyl, w poniedziałek rano, na tej farmie na Isle of Sheppey, gdzie wyżebrałam pracę przy truskawkach, dopiero wtedy policja zaczęła porządnie szukać. Trzy doby po zniknięciu Jacko. Najpierw tropili z psami i nadali komunikat

w radiu... – Holly pociera dłońmi twarz – ...potem tyraliery mieszkańców przeczesywały dzikie tereny wokół Gravesend, a policyjni nurkowie szukali... no wiesz, w oczywistych miejscach. Nic nie znaleźli. Żadnych zwłok, żadnych świadków. Mijały dni, wszystkie tropy prowadziły donikąd. Rodzice nie otwierali pubu przez wiele tygodni, ja nie chodziłam do szkoły. Sharon cały czas ryczała... – Łamie jej się głos. – Modliliśmy się, żeby zadzwonił telefon, a kiedy w końcu dzwonił, każdy był zbyt przerażony, że to jakaś straszna wiadomość, i nikt nie odbierał. Mama zamknęła się w sobie. Tata... Przedtem cały czas trzymały się go żarty. Po tym wszystkim był... jakby pusty... w środku. Całymi tygodniami siedziałam w domu i nigdzie nie wychodziłam. W zasadzie rzuciłam szkołę. Gdyby nie Ruth, żona mojego brata, która postanowiła coś zadziałać, zajęła się nami, wysłała mamę na jesieni do Irlandii, to serio, nie sądzę, żeby mama dzisiaj żyła. Nawet kiedy minęło już siedem lat, to wszystko nadal... Zabrzmi to strasznie, ale kiedy słyszę w wiadomościach, że gdzieś ktoś zamordował dziecko, myślę: „Niewyobrażalny koszmar, potworna tragedia, ale przynajmniej rodzice wiedzą. Przynajmniej mogą dziecko opłakać. My nie możemy. To znaczy, ja wiem, że Jacko na pewno by wrócił, gdyby tylko mógł, ale dopóki nie ma dowodów, dopóki nie ma... – słowa więzną jej w gardle – ciała, wyobraźnia nigdy nie przestaje pracować. Ciągłe podpowiada: „A jeśli to się stało? A jeśli tamto? A jeśli ciągle żyje gdzieś w piwnicy u jakiegoś psychola i modli się, żeby dzisiaj był ten dzień, kiedy go odnajdziemy?”. Ale nie to jest w tym wszystkim najgorsze...

Holly odwraca głowę, żebym nie widział jej twarzy. Nie będę jej mówił, że nie musi się śpieszyć, nawet jeśli jej składany zegarek na półce twierdzi, że jest dwudziesta pierwsza czterdzieści pięć. Przypalam papierosa i wsuwam go między jej palce. Holly zaciąga się głęboko, a potem powoli wypuszcza dym.

– Gdybym wtedy nie uciekła z domu, przez jakiegoś kretyna, w którym byłam zakochana, czy Jacko wymknąłby się z Kapitana tamtej nocy? – Holly nadal ma odwróconą głowę. – Nie. Nie wymknąłby się. Co znaczy, że to moja wina. Cała rodzina mi powtarza, że to nieprawda, psychoterapeuta też mi tak mówił, wszyscy mi tak mówią. Ale to nie ich bez przerwy, dzień i noc dręczy pytanie „czy to przeze mnie?”. I nie ich zadręcza odpowiedź.

Wiatr wściekle wali w klawisze, jak jakiś szalony organista.

– Nie wiem, co powiedzieć, Holly... – przyznaję, a ona dopija kieliszek białego wina – ...oprócz: „Przestań”. Bo to niefajne.

Odwraca się do mnie, ma zaczerwienione oczy, a na jej twarzy maluje się wyraz głębokiego zdumienia.

– Tak – powtarzam. – To niefajne. Wobec Jacko.

Najwyraźniej nikt wcześniej jej tego nie powiedział.

– Postaw się na jego miejscu. Przypuśćmy, że to Jacko uciekł z domu. Przypuśćmy, że poszłaś go szukać, ale napadło cię jakieś... zło... i nie pozwala ci wrócić do domu. Chciałabyś, żeby Jacko całe życie nieustannie się samobiczował, bo kiedyś, dawno temu, zrobił coś bezmyślnego, przez co się o niego martwiłaś?

Holly ma minę, jakby nie mogła uwierzyć, że mam czelność w ogóle tak mówić. Tak naprawdę ja też nie wierzę. Jest o włos od wyrzucenia mnie z domu.

– Chciałabyś, żeby korzystał z życia – ciągnę. – Prawda? Żeby jego życie było pełniejsze, a nie jałowe. Chciałabyś, żeby żył za ciebie.

Magnetowid postanawia wysunąć kasetę. Głos Holly tnie przestrzeń, jak zębate ostrze.

– Więc mam udawać, że nic się stało?

– Nie. Ale skończ z tą pokutą za to, że w osiemdziesiątym czwartym roku nie przewidziałaś, jak siedmiolatek może zareagować na twój całkiem normalny wybryk zbuntowanej nastolatki. Przestań grzebać

się żywcem w zasranym Le Croc. Twoja pokuta nie pomaga Jacko. Oczywiście, że jego zniknięcie zmieniło twoje życie – jakżeby inaczej? – ale dlaczego uważasz, że masz wobec tego roztrwonić własne zdolności i marnować młodość na serwowanie koktajli typom w rodzaju Chetwynda-Pitta i mnie, i nabijać kabzę gościom w rodzaju Güntera, dilerów narkotyków, który posuwa własną pracownicę?

– No to co mam w takim razie robić?! – pyta wściekle Holly.

– Ja tego nie wiem, skąd mam wiedzieć? Ja nie musiałem przechodzić przez to wszystko. Chociaż, tak właściwie, w Londynie żyje mnóstwo innych Jacko, którym mogłabyś pomóc. Bezdomnych nastolatków, którzy uciekli z domów, ofiar Bóg wie jakich podłości. Dużo mi dziś opowiedziałas, Holly, i czuję się wyróżniony, nawet jeśli uważasz, że mówiąc ci teraz to wszystko, nadużywam twojego zaufania. Nie usłyszałem jednak nawet jednej rzeczy, która podważałaby twoje prawo do wartościowego, i – tak – szczęśliwego życia.

Holly wstaje, jest rozdrażniona, zraniona, ma opuchnięte oczy.

– Coś we mnie chce cię teraz walnąć czymś ciężkim i metalowym. – Jej ton mówi, że Holly nie żartuje. – Druga część mnie mówi to samo. Więc pójdę spać. Lepiej, żebyś rano się stąd zabrał. Zanim zaśniesz, zgaś światło.

*

Kiedy budzi mnie smuga przyćmionego światła, moją głowę jeszcze spowija mgła snu, a ciało jest zaplątane w śpiwór. Ciasny pokój, właściwie bardziej schowek niż pokój. Sylwetka dziewczyny w męskiej bluzie, długie faliste włosy... Holly. Dobrze. Holly, której nakazałem zakończenie siedmioletniej żałoby po zaginionym młodszym bracie – którego prawdopodobnie zabito i sprytnie

zakopano – przychodzi, żeby mnie stąd wyrzucić w bardzo niepewną przyszłość... Dość fatalnie. Ale małe okienko nadal jest mroczne, a noc bezszelestna. Oczy mam ciągle zmęczone. Suchym ustom, zlepionym mazią po papierosach i pinot blanc, udaje się wychrypieć:

– Czy jest już rano?

– Nie – odpowiada Holly.

*

Kiedy Holly odpywa w sen, jej oddech staje się coraz głębszy. Futon, na którym śpi, to nasza tratwa, a sen jest rzeką. Dokładnie badam wszystkie zapachy. „Wyszłam z wprawy” – powiedziała przez mierzwę włosów, płataninę ubrań i ciała. Odparłem, że ja też wyszedłem z wprawy, a ona stwierdziła: „Pierdolenie, arystokrato”. Nieżyjący od dawna skrzypek gra partitę Bacha w radiobudziku. Słaby głośniczek buczy przy wyższych tonach, ale ja nie zamieniłbym tej godziny na prywatny koncert sir Yehudiego Menuhina na jego stradivariusie. Nie chciałbym też wracać do mojej bardzo niedojrzałej dyskusji z kumplami z Humber, którą kilka dni temu odbyłem w Le Croc na temat natury miłości, ale gdybym miał odbyć tę rozmowę jeszcze raz, powiedziałbym Fitzsimmonsowi i reszcie, że miłość to fuzja jądrowa we wnętrzu słońca. Miłość to zacieranie zaimków. Miłość to podmiot i przedmiot. Różnica między jej obecnością i nieobecnością to różnica między życiem i śmiercią. Na próbę, bezgłośnie, wymawiam słowa „kocham cię”. Do Holly, która oddycha jak morze. Tym razem szepczę, nie głośniej niż dźwięk skrzypiec z radia:

– Kocham cię.

Nikt nie słyszy, nikt nie widzi, ale drzewo w lesie i tak się przewraca.

Za oknem nadal ciemno. Cisza w Alpach jest głęboka na wiele, wiele mil. Światlik nad łóżkiem Holly jest zasypyany śniegiem, ale zgaduję, że teraz, kiedy śnieżycy ucichła, widać gwiazdy. Chciałbym jej kupić teleskop. Może mógłbym jej wysłać? Skąd? Ciało mam obolałe i jakby nie moje, ale mój umysł przegląda po kolei wszystkie wydarzenia minionej nocy i minionego dnia, jak kolekcjoner płyt przegląda katalogi albumów. W radiobudziku prezenter-widmo nazwiskiem Antoine Tanguay dyżuruje przez Godzinę Nokturnów między trzecią a czwartą rano. Jak wszyscy najlepsi didżeje, Antoine Tanguay prawie nic nie mówi. Całuję włosy Holly, ale ku mojemu zaskoczeniu ona nie śpi.

- Kiedy uciszył się wiatr?
- Jakąś godzinę temu. Jakby ktoś go wyłączył.
- Nie śpisz już od godziny?
- Zdrętwiała mi ręka, ale nie chciałem cię budzić.
- Idiota. - Holly unosi się, żebym wysunął rękę.

Długie pasmo jej włosów owijam sobie wokół kciuka i gładzę nim wargę.

- Wczoraj powiedziałem za dużo. O twoim bracie. Przepraszam.
- Wybaczam. - Holly strzela z gumki w moich bokserkach. - Może musiałam to usłyszeć.

Całuję jej włosy zwinięte z tyłu głowy i rozwijam je.

- Jak mniemam, nie zostały ci żadne fajki?

W aksamitnym mroku widzę, jak się uśmiecha: między moje żebra wsuwa się ostrze szczęcia.

- No co?
- Gdybyś w Gravesend powiedział „jak mniemam”, publicznie

ukrzyżowano by cię na rondzie Ebbsfleet jako podejrzanego o głosowanie na konserwatystów. Obawiam się, że nie ma już żadnych papierosów. Wczoraj wyszłam, żeby jakieś kupić, ale wpadłam na jednego gościa, od biedy atrakcyjnego, który od kilku dni ciągle za mną laził i akurat sprytnie pozbawił się dachu nad głową na czterdzieści minut przed śnieżycą, więc musiałam wrócić do domu bez szlufów.

Gładzę jej kości policzkowe.

– Od biedy atrakcyjnego? Tupeciara.

Holly ziewa całą oktawę.

– Mam nadzieję, że jutro jakoś przekopiami się stąd na świat.

– Mam nadzieje, że nie. Dobrze mi tu z tobą, kiedy jesteśmy zasypani.

– Tak, ale niektórzy z nas mają pracę. Günter przewiduje, że w pubie będzie pełno. Turyści chcą zaliczać i imprezować.

Chowam głowę w zagłębieniu jej nagiego ramienia.

– Nie.

Jej dłoń bada moją łopatkę.

– Co nie?

– Nie, nie możesz jutro iść do Le Croc. Sorry. Po pierwsze, teraz jestem twoim mężczyzną i ci zabraniam.

Jej sss-sss ma zastępować wybuch śmiechu.

– A po drugie?

– Po drugie, gdybyś poszła, musiałbym rozwalić z kałacha każdego faceta między dwunastym a dziewięćdziesiątym rokiem życia, który ośmieliłby się z tobą rozmawiać, i do tego wszystkie lesbijki. Czyli jakieś siedemdziesiąt pięć procent klientów Le Croc. Jutro gazety pisałyby na pierwszych stronach: „Krwawa jatka w Alpach” i „Lamb Rzeźnik”. A wiem, że jako wegetarianka i pacyfistka nie chciałybyś odgrywać w takiej masakrze żadnej roli, więc lepiej żyj ze mną na

kocia łapę – całuję jej nos, czoło i skroń – cały dzień.

Holly przyciska ucho do moich żeber.

– Czy ty w ogóle słyszałeś kiedyś swoje serce? Jakbyś miał tam w środku Keitha Moona. Serio. Przespałam się z mutantem?

Koc zsunął się z jej ramienia, więc go poprawiam. Przez chwilę nic nie mówimy. Antoine szepcze w radiowym studiu, gdziekolwiek ono jest, i puszcza *In a Landscape* Johna Cage'a. Melodia rozwija się powoli, meandrami.

– Gdyby czas miał klawisz pauzy – wyznaję – wcisnąłbym go. Dokładnie – naciskam punkt między jej brwiami, trochę ku górze – tutaj. W tej chwili.

– Ale gdybyś to zrobił, cały wszechświat by się zawiesił, nawet ty, więc nie mógłbyś włączyć z powrotem „play”. Bylibyśmy uwięzieni w czasie na zawsze.

Całuję ją w usta i krew napływa mi do każdej cząstki ciała.

Holly szepcze:

– Człowiek potrafi cenić coś tylko wtedy, kiedy wie, że to się skończy.

*

Kiedy następnym razem się budzę, pokój Holly jest szary, koloru dziury w lodzie polarnym. Szepczący Antoine już zamilkł. Radio buczy francusko-algierskim rapem, a zegarek mówi: ósma piętnaście. Holly bierze prysznic. Dzisiaj jest dzień, w którym albo dokonam zmiany w swoim życiu, albo nie. Znajduję swoje ubranie, układam skopaną kołdrę i wyrzucam brudne chusteczki do małego wiklinowego kosza na śmieci. Wtedy zauważam duży okrągły wisior ze srebra, zawieszony na przypiętej do ściany pocztówce nad pudłem, które służy jako szafka nocna. Wisior przedstawia labirynt rowków i

krawędzi. Ręczna robota, wykonana z wielką starannością, choć wisior jest zbyt ciężki, żeby go długo nosić na szyi, i zbyt duży, by stale nie przyciągać uwagi. Próbuję przejść wzrokiem przez labirynt korytarzy, ale gubię się raz, drugi i trzeci. Dopiero gdy biorę wisior w dłoń i wodzę po ścieżkach paznokciem małego palca, udaje mi się dotrzeć do środka. Gdyby labirynt był prawdziwy i ktoś by w nim utknął, potrzebowałby czasu i szczęścia. W odpowiedniej chwili zapytam Holly o niego.

A pocztówka? Ze zdjęciem mostu, który może być jednym z setek mostów, gdziekolwiek na świecie. Holly ciągle jest pod prysznicem, więc zdejmuję pocztówkę ze ściany i odwracam...

Holly Sykes

Kapitan Marlow

West Street

Gravesend

UK Ingiltre

19 sierpnia 1985

Dziś przejechałem na drugą stronę mostu nad Bosforem! Po moście nie wolno chodzić, więc przejechałem między kontynentami szkolnym autobusem z dziećmi i jakimiś babciami. Teraz mogę powiedzieć, że byłem w Azji. Istambul jest fantastyczny! Meczety i wieżary, kierowcy-kamikadze, potworny upał w południe, dzieciaki na ulicy, które wciskają ci podrabiane fajki (wyłącznie rothmansy, 25 p paczka), targi z owocami, jakich w życiu nie widziałem, zacienione skwery z gołębiami, herbata z cytryną pita ze szklanek, zoo ze zwierzętami w depresji (mają nawet teriery!), wesołe miasteczko z wesołymi ludźmi, hostel, gdzie ściany są cienkie, a łóżka skrzypią, małe uliczki, które zawsze prowadzą do morza, setki małych łódek (pewnie tak wyglądała kiedyś Tamiza) i wielkich frachtowców – ciekawe, czy któryś z nich będzie płynął obok Kapitana Marlowa do doków Tilbury? Następny przystanek w Atenach. Trzymaj się, Edx.

Hugo Lamb, przedstawiam ci Seksualną Zazdrość. No proszę. „Ed”. Jak śmie przysyłać Holly pocztówkę? Albo – jeszcze gorzej – może nawet całą serię pocztówek? Czy z Aten nastąpił dalszy ciąg opowieści? Czy to jej chłopak? Czyli dlatego normalni popelniają zbrodnie w afekcie. Chcę zakuć głowę Eda w dyby i rzucać dwukilowymi gipsowymi posążkami Jezusa z Rio, aż z twarzy Eda zostanie z miazga. To właśnie Olly Quinn chciałby zrobić ze mną, gdyby kiedykolwiek dowiedział się, że posuwałem Ness. Wtedy zauważam datę: 1985. Zbawienie! Alleluja. Ale zaraz, dlaczego Holly wozi ze sobą tę pocztówkę od sześciu lat? Ten kretyń nie wie nawet, że nie ma „wieżaretów” tylko „minarety”. Chyba że to jakiś tylko im znany dowcip. To byłoby jeszcze gorzej. Jak śmie znać jakieś dowcipy tylko we dwoje z Holly? Czy to Ed dał jej ten wisior? By się zgadzało. Kiedy miała mnie w sobie, czy wyobrażała sobie, że jestem nim? Tak, tak, tak, wiem, że ta historyczna galopada myśli jest żałośnie śmieszna i pełna hipokryzji, ale mimo wszystko te myśli sprawiają mi ból. Chcę podpalić kartkę od Eda zapalniczką i patrzeć, jak most nad Bosforem i słoneczny dzień, i ten podstawówkowy reportaż płonie, płonie. Potem wysypałbym popiół do ścieków, jak Rosjanie zrobili ze szczątkami Adolfa Hitlera. Nie. Weź głęboki oddech, uspokój się, nie mieszaj do tego Hitlera i przeanalizuj niezobowiązujące „Trzymaj się, Ed”. Gdyby był jej chłopakiem, napisałby „Całuję, Ed”. Chociaż jest i „x”. Weź też pod uwagę, że jeśli Holly w 1985 roku dostawała kartki pocztowe, żaden Ed nie robił jej minety na trzeszczącym materacu gdzieś w Europie. Ed musiał być nie do końca kochankiem, nie do końca kolegą.

Chyba.

– Weź prysznic, jeśli chcesz – mówi Holly zza drzwi, a ja odpowiadam:

– Dzięki! – podobnie zwyczajnym tonem.

Przeważnie następnego dnia rano jestem pełen podziwu dla takiego zwyczajnego tonu, wolnego od zobowiązań, ale ten osikowy kołek zwany „Miłością” przebił mi serce i chcę teraz dowodu bliskości. Muszę jednak stłumić przemożne pragnienie, żeby podejść do Holly i ją pocałować. A jeśli powie „nie”? Nie rób nic na siłę. Biorę prysznic, który aż parzy mi skórę, przebieram się w czyste ubranie – co robią uciekinierzy za uprane rzeczy? – i idę do małej kuchni, gdzie znajduję kartkę:

Hugo, generalnie tchórzę przed pożegnaniami, więc poszłam do Le Croc, żeby już zacząć sprzątanie. Jeśli chcesz zostać na noc, przynieś mi śniadanie, a ja dam ci miotelkę do kurzu i fartuszek z koronką. Jeśli się nie zjawisz, cóż, c'est la vie. Powodzenia w meteorofozie (tak się to nazywa?). H.

Nie jest to list miłosny, ale karteczka od Holly jest cenniejsza od każdej innej korespondencji do mnie adresowanej, bez wyjątku. To „H” – trzy kreski, jak u Zorro – ma w sobie intymność, ale też jakąś runiczną tajemnicę. Jej charakter pisma nie jest dziewczynski – jeżeli chodzi o sztukę kaligrafii, to właściwie katastrofa – ale jeśli się przypatrzeć, można go odczytać bez większych trudności, i jest jej. Takie oto odkrycia. Składam karteczkę i chowam do portfela, chwytam kurtkę, zbiegam po schodach i wychodzę z domu, brnąc przez podwórko w głąbokim po kolana śniegu po śladach Holly sprzed dziesięciu minut, a poranny mróz natychmiast przenika mnie do szpiku kości. Ale niebo jest błękitne jak Ziemia widziana z kosmosu, a ciepło słońca jest oddechem kochanki. I z sopli lodu ściekają krople

światła na strome, bajkowe ulice, a przechodnie mają dusze ludzi gór. Dzieciaki się cieszą i śnieżki latają od krawężnika do krawężnika. Podnoszę ręce i mówię: „*Je me rends!*”, ale kulka śniegu i tak mnie trafia. Odwracam się, żeby zobaczyć, który to gówniarz, i łapię się za serce – udaję, że umieram.

– *Il est mort! Il est mort!* – krzyczą snajperzy, ale kiedy dokonuję zmartwychwstania, rozpraszają się, jak suche liście, które rozwiewa wiatr.

Za rogiem jest placyk, mój ulubiony skwer w całej Szwajcarii, jeśli wręcz nie na całym świecie. Hôtel Le Sud ze spadzistym dachem i okapami wygląda jak z Legolandu, ale bije od niego obywatelska duma. Zegar na kościelnej wieży wybija złotą dziewiątą. Z każdej strony wznosi się alpejski szczyt. Naleśnikarz rozstawia swój kramik naprzeciwko cukierni, gdzie wczoraj to wszystko się zaczęło. *I'm Not In Love*, zapewniają 10CC, ale, *au contraire*, ja wiem, że jestem zakochany. Naleśnikarz chyba wie, że na każdej powierzchni widzę wyłącznie wyświetloną twarz Holly. I miejsce, gdzie jej szyja przechodzi w plecy, jej usta, linię brody, włosy, ubranie. Słyszę jej „Czy ty w ogóle”, „Kocopały”, „To prawda”. Przed oczami widzę jej uszy, trochę jak u elfa. Przypominam sobie jej miękkość. Jej lekko płaski nos. Jej nieufne oczy, błękitne jak stratosfera. Szampon z Body Shopu z olejkiem z drzewa herbacianego. Holly jest teraz bliżej mnie z każdym krokiem. Ciekawe, o czym myśli... Zastanawia się, czy rzeczywiście się zjawię? Samochody jadą dość powoli, ale zaczekam, aż czerwony ludzik zmieni się w zielonego...

*

Obryzgany śnieżną breją jasnobezowy landcruiser podjeżdża i zatrzymuje się tuż przede mną. Zanim zdążam się wkurzyć, że muszę

go obejść, lustrzana szyba w drzwiach opuszcza się, więc spodziewam się, że to jakiś turysta chce zapytać o drogę. Ale nie, myślę się. Znam tego krępego mężczyznę o śniadej cerze, w grubym, wełnianym swetrze.

– Dzień dobry, Hugo. Wyglądasz dziś na rozanielonego.

Zdradza go nowozelandzki akcent.

– Elijah D’Arnoq, król strzelców z Cambridge.

Oprócz niego w aucie siedzi jeszcze ktoś z tyłu, ale nie zostaje mi przedstawiony.

– Ponieważ nasze spotkanie najwyraźniej cię nie zaskoczyło – mówię D’Arnoqowi – wnioskuję, że nie jest ono przypadkowe.

– Bingo. Miss Constantin przesyła wyrazy szacunku.

Rozumiem, że muszę wybrać między dwiema metamorfozami. Jedna nosi nazwę „Holly Sykes”, druga natomiast... No właśnie, jaka jest druga?

Elijah D’Arnoq klepie karoserię landcruisera.

– Wskakuj. Albo dowiesz się, o co chodzi, albo już nigdy nie będziesz wiedział. Teraz albo nigdy.

Za cukiernią, w uliczce, widzę szyld w kształcie krokodyla nad barem Güntera. Dzieli mnie od niego ile... pięćdziesiąt kroków? „Idź do niej!” – doradza pijany miłością, nawrócony ja. – „Wyobraź sobie wyraz jej twarzy, kiedy tam wejdziesz!”. Ten trzeźwiejszy ja zaplata ręce na piersi, patrzy na D’Arnoq’a i zastanawia się: „I co potem?”. No, zjemy śniadanie. Pomogę Holly sprzątać w barze. Przekibluję w jej mieszkaniu, aż kumple z Humber wylecą z powrotem do Anglii. Będziemy się pieprzyć jak króliki, aż do zdercia tyłka. A kiedy będziemy oddychać szybko, zadyszani, wyrzucę z siebie: „Kocham cię” i powiem to szczerze, a ona wyrzuci z siebie: „Ja też cię kocham, Hugo” i też będzie mówiła szczerze, właśnie wtedy, właśnie tam. A potem co? Zadzwonię do dyrektora administracyjnego Humber

College i powiem, że przechodzę niewielkie załamanie i chciałbym wziąć urlop przed ostatnim rokiem studiów. Rodzinie powiem... coś im powiem, coś tam wymyślę. I kupię Holly teleskop. A potem co? Okaże się, że już nie myślę o niej absolutnie bez przerwy. Jej „Kocopały” i „Czy ty w ogóle” zaczną mnie uwierać i przyjdzie taki dzień, w którym zrozumiemy, że *All You Need Is Love* zdecydowanie nie jest całą prawdą. A potem co? Do tego czasu komisarz Sheila Young już mnie wytropi, szwajcarska policja przesłucha mnie na komisariacie i pozwoli mi wrócić do mieszkania Holly tylko pod warunkiem, że zdam im paszport. „O co w tym wszystkim chodzi, arystokrato?”. Wtedy będę musiał przyznać się albo do kradzieży cennego zbioru znaczków należącego do pacjenta po wylewie albo do umyślnego wpakowania kolegi z Humber College w tak wielkie długi, że popełnił samobójstwo, zjeżdżając samochodem ze skały do morza. A być może i do jednego, i do drugiego, co i tak nie ma znaczenia, bo Holly odda mi mój teleskop i wymieni zamki w drzwiach. A wtedy co? Zgodzić się na powrót do Londynu, żeby tam przesłuchała mnie policja, ale z paszportem Marcusa Anydrusa zarezerwować tani lot na Daleki Wschód albo do Ameryki Środkowej? Takie zwroty fabuły świetnie sprawdzają się w filmach, ale fatalnie w rzeczywistości. A potem co? Dziergać za pieniądze Anydrusa, aż będę zmuszony ugiąć się przed nieuniknionym, otworzyć bar dla imprezowiczów, którzy wzięli sobie roczny urlop od nauki, i zmienić się w Güntera? Zauważam, że na siedzeniu pasażera obok D’Arnoqa leży srebrna parka.

– Mógłbyś przybliżyć, o co chodzi, chociaż w zarysie?...

– Tak się nie da. Żeby porzucić dawne życie, musisz na wiarę podjąć ryzyko. Prawdziwa metamorfoza to nie wykresy.

Dookoła nas toczy się życie, obojętne na mój dylemat.

– Ale powiem ci jedno – mówi Nowozelandczyk. – Wszystkich nas

zwerbowano, oprócz naszego założyciela. – D’Arnoq gwałtownie wskazuje głową na niewidocznego człowieka na tylnym siedzeniu. – Dlatego wiem, co w tej chwili czujesz, Hugo. Ten kawałek między krawężnikiem a naszym autem to cała przepaść. Zostałeś jednak zweryfikowany i sprofilowany, i jeśli przekroczysz tę przepaść, będzie ci doskonale po naszej stronie. Będziesz kimś istotnym. Czegokolwiek zapragniesz, teraz i już zawsze, będziesz to miał.

– A ty wybrałbyś jeszcze raz tak samo? – pytam.

– Wiedząc to, co już teraz wiem, mógłbym nawet zabić, żeby wsiąść do tego samochodu. Jeślibym musiał, zabiłbym. Wszystkie działania Miss Constantin, których byłeś świadkiem – ten klawisz pauzy czasu w King’s College czy manipulowanie bezdomnym jak marionetką – to tylko wstęp do lekcji pierwszej. A, Hugo, jest tego dużo, dużo więcej.

Pamiętam, jak wcześniej trzymałem Holly w ramionach.

Ale to, co kochamy, jest samym uczuciem miłości, a nie konkretną osobą.

To właśnie to radosne podniecenie, które przed chwilą poczułem.

Poczucie bycia wybranym, pożądanym, otoczonym uwagą.

Dość żalodne, jeśli przyjrzeć się temu trzeźwo.

Czyli.

Dostałem ofertę prawdziwego, rzeczywistego paktu rodem z *Fausta*.

Niemal się uśmiecham. *Faust* raczej nie kończy się dobrze.

Ale czyja opowieść kończy się dobrze? Brygadiera Philby’ego?

„Odszedł w spokoju, otoczony rodziną”.

Jeśli to jest szczęśliwe zakończenie, to niech sobie, kurwa, je mają.

Kiedy przychodzi czas, kim jest Faust bez paktu z diabłem?

Nikim. Niczym. Nawet byśmy o nim nie słyszeli. Jest Quinnem.

Dominikiem Fitzsimmonsem. Kolejnym bystrym doktorantem.

Kolejnym szarym pasażerem, który kołysze się w wagonie na District Line.

Tylne drzwi landcruisera uchylają się na cał.

*

Ten człowiek – założyciel – na tylnym siedzeniu samochodu zachowuje się, jakby mnie tam nie było, a D’Arnoq nie odzywa się ani słowem za kierownicą, kiedy odjeżdżamy z rynku, więc siedzę w milczeniu, przypatrując się odbiciu mojego współpasażera w szybie: po czterdziestce, okulary bez oprawek, przyprószone siwizną, ale gęste włosy, dołek w brodzie, gładko ogolonej, i blizna na szczęcie, która z pewnością ma ciekawą historię. Mężczyzna jest szczupły, ale wygląda na silnego. Były żołnierz z Mitteleuropy? Jego ubiór nie zdradza wiele: mocne buty do kostek, czarne spodnie z grubego płótna, skórzana kurtka, kiedyś czarna, dzisiaj w sfatygowanych szarościach. Gdyby ktoś zobaczył go na ulicy, pomyślałby: „architekt” albo „wykładowca filozofii”; ale pewnie raczej nikt by go po prostu nie zauważył.

Z La Fontaine Sainte-Agnès wyjechać można tylko dwiema drogami. Jedna prowadzi w górę do wioski La Gouille, ale D’Arnoq wybiera tę drugą, zjeżdżającą doliną w stronę Euseigne. Mijamy skręt do chaty Chetwynda-Pitta i zastanawiam się, czy chłopaki raczej niepokoją się o moje bezpieczeństwo, czy też są wkurzeni, że ich zostawiłem na pastwę alfonsa poderwanych kurew. Zastanawiam się, ale jest mi wszystko jedno. Minutę później mijamy granicę miasta. Po obu stronach drogi leżą wznoszące się i opadające śnieżne ściany, a D’Arnoq prowadzi ostrożnie – samochód ma zimowe opony, mimo wszystko mamy jednak styczeń w Szwajcarii. Rozpinam suwak kurtki i myślę o Holly, która spogląda na zegar nad barem, ale tylko normalsi żałują czegokolwiek.

– Straciliśmy pana z oczu wczoraj wieczorem – odzywa się

współpasażer, mówiąc z kulturalnym europejskim akcentem. – Przesłoniła nam pana śnieżycą.

Teraz uważnie przyglądam mu się już twarzą w twarz.

– Tak, miałem pewne nieporozumienie z moim gospodarzem. Przykro mi, że sprawilem kłopot... sir.

– Nazywam się Pfenninger, panie Anydrus. „Anydrus”. Trafny wybór nazwiska. Główna rzeka na wyspie Utopii.

Mężczyzna obok mnie obserwuje monochromatyczny świat ośnieżonych dolin, zasypanych śniegiem pól i farm. Wzdłuż drogi płynie rzeka, czarna i bardzo wartka.

Zaczynam serię pytań.

– Mogę zapytać, skąd pan wie o Anydrusie?

– Przeprowadziliśmy gruntowny wywiad na pański temat. Musimy wiedzieć o wszystkim.

– Pracujecie dla służb bezpieczeństwa?

Pfenninger kręci głową.

– Nasze kręgi bardzo rzadko mają cokolwiek wspólnego.

– Czyli nie macie żadnego politycznego celu?

– O ile tylko nikt nam nie przeszkadza w działaniu, nie.

D’Arnoq zwalnia i redukuje bieg przed niebezpiecznym zakrętem.

Czas zapytać prosto z mostu:

– Kim jesteście, panie Pfenninger?

– Jesteśmy Anachoretami Kaplicy Zmierzchu Katara Ślepcza Klasztoru Tomasjanów z Przełęczu Sidelhorn. Trochę długa nazwa, zgodzi się pan, więc najczęściej mówimy o sobie „Anachoreci”.

– Pachnie masonerią, nie uważa pan?

W jego oczach widać wyraźne rozbawienie.

– Nie.

– Zatem, panie Pfenninger, jaki jest cel istnienia waszego kręgu?

– Zapewnienie jego nieskończonego przetrwania poprzez

wprowadzanie członków w arkaną Psychozoteryki Drogi Cienia.

– A pan jest założycielem tej... grupy?

Pfenninger patrzy przed siebie. Linie wysokiego napięcia opadają i wznoszą się od słupa do słupa.

– Jestem Pierwszym Anachoretą, owszem. Pan D'Arnoq jest teraz Piątym Anachoretą. Miss Constantin, którą pan poznał, jest Drugą Anachoretką.

Z wielką ostrożnością D'Arnoq wyprzedza solararkę.

– „Psychozoteryka” – powtarzam. – Nie znam tego słowa.

Pfenninger cytuje:

– *Dusza pieczęcią snu zamknięta, znikł we mnie trwogi ślad*[5]. – Patrzy na mnie, jakby właśnie z jego ust spłynęła subtelna puenta, a ja uświadamiam sobie, że Pfenninger wypowiedział ją, nic nie mówiąc. Miał zaciśnięte wargi. A to przecież niemożliwe. Czyli muszę się mylić. – *Bo ona zda się śnić nietknięta dotykem ziemskich lat.* – I znowu. Jego głos zabrzmiał w mojej głowie głębokimi, wyraźnymi tonami, jakby przez najwyższej jakości słuchawki. Jego nieruchoma twarz temu przeczy, co ma wskazywać na sztuczkę. – *Bez sił, bez ruchu trwa, jej oczy nie widzą, słuch jej zgasł.* – Żadnego stłumionego głosu brzuchomówcy, żadnego drgającego gardła, żadnego rozchylenia ust w kąciku, które by wszystko zdradziło. Nagranie? W ramach eksperymentu zasłaniam uszy dłońmi, ale głos Pfenningera jest tak samo wyraźny. – *Z Ziemią się wokół słońca toczy jak skała, drzewo, głaz.*

Siedzę z otwartymi ustami.

– Jak to? – pytam.

– Jest takie jedno słowo – odpowiada Pfenninger na głos. – Proszę je wypowiedzieć.

Udaje mi się wyjąkać:

– Telepatia.

Pfenninger zwraca się do naszego kierowcy:

– Słyszał pan, D’Arnoq?

Elijah D’Arnoq przygląda się nam we wstecznym lusterku.

– Tak, słyszałem.

– Kiedy przedstawiałem arkana naszej sztuki panu D’Arnoqowi, oskarżył mnie o bruchomówstwo. Zupełnie jakbym był jakimś artystą z objazdowego wodewilu.

D’Arnoq protestuje:

– Ja nie miałem wykształcenia, jakie posiada pan Anydrus, a jeśli słowo „telepatia” w ogóle już wtedy istniało, na pewno nie dotarło na Chathamy. Poza tym byłem w absolutnym szoku. To był rok tysiąc dziewięćset dwudziesty drugi.

– Wybaczyliście panu, D’Arnoq, kilkadziesiąt lat temu, ja i moja lalka z ruchomymi ustami. – Pfenninger spogląda na mnie z rozbawieniem, ale ich przyjazna rozmowa sprawia, że wszystko staje się jeszcze dziwniejsze.

Tysiąc dziewięćset dwudziesty drugi? Dlaczego D’Arnoq powiedział „tysiąc dziewięćset dwudziesty drugi”? Może miał na myśli tysiąc dziewięćset osmiedziesiąty drugi? Ale to nie ma znaczenia, bo telepatia istnieje. Jest prawdziwa. Chyba że przez ostatnią minutę miałem halucynacje. Mijamy warsztat samochodowy, przed którym mechanik odgarnia łopatą śnieg. Mijamy pole, gdzie płowy lis stoi na pniaku i węszy z nosem w górze.

– Czyli – całkiem zaschło mi w ustach – psychozoteryka to telepatia?

– Telepatia jest jedną z jej pomniejszych dyscyplin – odpowiada Pfenninger.

– Jej pomniejszych dyscyplin? Czym jeszcze zajmuje się psychozoteryka?

Na niebie przesuwają się chmury i wartka rzeka zostaje nagle zbombardowana światłem.

– Który jest dzisiaj, panie Anydrus?

– Emm... – Muszę panicznie szukać w głowie odpowiedzi. – Drugi stycznia.

– Zgadza się. Drugi stycznia. Niech pan zapamięta. – Pan Pfenninger patrzy na mnie. Jego źrenice kurczą się, a ja czuję na czole ukłucie. Mrugam...

*

...powie ką i landcruiser zniknął. Znajduję się nagle na szerokiej, długiej skalnej półce na stromym górskim zboczu, w pełnym słońcu, jakie świeci na dużych wysokościach. Nie spadam z półki tylko dlatego, że siedzę na zimnym kamiennym bloku. W panice i szoku histerycznie łapię powietrze krótką serią oddechów, ale moje sapania zawisają nade mną jak puste baloniki na tekst w komiksie. Jak się tutaj znalazłem? Gdzie jest tutaj? Wokół siebie widzę ruiny czegoś, co kiedyś było kaplicą. Może klasztorem – dalej ciągną się kolejne mury. Na ziemi leży śnieg po kolana. Półka kończy się niską skalną ścianką, kilka stóp ode mnie. Za ruinami wznosi się naga połać skały. Mam na sobie kurtkę narciarską, a moja twarz i uszy są rozgrzane i pulsuje w nich krew, jakbym przed chwilą wykonał jakiś ogromny wysiłek. Wszystkie te drobne szczegóły są niczym wobec monstrualnego zasadniczego faktu: dopiero co siedziałem z tyłu w samochodzie z Pfenningerem. Prowadził D’Arnoq. A teraz... teraz...

– Witaj z powrotem – odzywa się Elijah D’Arnoq z mojej prawej strony.

Przerażony krzyczę:

– Jezu!

Zrywam się, turlam po ziemi, zrywam się znowu i kucam w pozycji do walki albo do ucieczki.

– Lamb, spokojnie! Wiem, to bardzo dziwne – D’Arnoq siedzi obok i

odkręca termos – ale nic ci nie grozi. – Jego srebrna parka lśni w słońcu. – O ile tylko nie wybiegniesz w przepaść, jak kurczak bez głowy.

– D’Arnoq, gdzie my...? Co się stało, gdzie jesteśmy?

– W miejscu, gdzie się wszystko zaczęło.

Tym razem odpowiada Pfenninger, a ja błyskawicznie turlam się w drugą stronę, walcząc z drugim atakiem serca. Pfenninger ma na głowie rosyjską futrzaną czapkę-uszanę, a na nogach śniegowce.

– To klasztor tomasjanów z Przełęczu Sidelhorn. To, co z niego zostało. – Sadzi kilka kroków w głębokim śniegu, podchodzi do niskiej skalnej ścianki i wygląda w otwartą przestrzeń. – Gdyby przeżył pan tu całe życie, uwierzyłby pan w istnienie boskiego pierwiastka...

Otumanili mnie narkotykami i przywlekli aż tutaj. Ale po co?

Poza tym, jak? W landcruiserze nic nie piłem, nic nie jadłem.

Hipnoza? Pfenninger wpatrywał się we mnie, kiedy zaliczałem odjazd.

Nie. Hipnoza to chwyt z filmów klasy B. Zbyt głupie.

Wtedy przypominam sobie Miss Constantin w kaplicy King’s College. A jeśli to ona spowodowała moją utratę przytomności – tak jak teraz Pfenninger?

– Zhiatusowaliśmy pana – odzywa się Pfenninger – i przeszukaliśmy pod kątem ukrytych podróży. To obcesowa procedura, ale musimy zachować maksymalną ostrożność.

Może D’Arnoq i on sam rozumieją, co do mnie mówi, ale ja nie pojmuję ani słowa.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

– Zaniepokoiłbym się, gdyby na tym etapie było inaczej.

Dotykam czoła, szukając obrażeń.

– Jak długo byłem nieprzytomny?

Pfenninger wyjmuje numer „Die Zeit” i mi go podaje. Na pierwszej

stronie Helmut Kohl ściska dłoń szejka z Arabii Saudyjskiej. Czyli co? Mam uwierzyć, że niemiecki kanclerz też jest w to zamieszany?

– Proszę przeczytać datę, panie Anydrus.

Widzę. Pod winietą. 4 *Januar* 1992.

Co przecież nie może być prawdą, bo dzisiaj mamy 2 stycznia 1992.

Pfenninger kazał mi zapamiętać tę datę w samochodzie. Przed chwilą.

Przed chwilą. A jednak „Die Zeit” uparcie twierdzi, że dziś jest 4 stycznia 1992 roku.

Czuję, że dokądś spadam. Byłem nieprzytomny przez dwa dni? Nie, bardziej prawdopodobne, że to podrobiony numer gazety. Przerzucam kolejne strony, przeraźliwie pragnąc znaleźć dowód na to, że wszystko jest inaczej, niż się wydaje.

– Tak, ten numer mógłby być podrobiony – zgadza się Pfenninger – ale po co tworzyć fikcję, w której tak łatwo odkryć fałsz?

Czuję dogłębne osłupienie i, co właśnie do mnie dociera, jestem głodny jak wilk. Badam ręką zarost. Golilem się dziś rano, u Holly. A teraz mam szczecinę. Robię kilka niepewnych kroków w tył, cofając się przed Elijah D’Arnoqiem i tym całym Pfenningerem, tymi... paranormalnymi... Niech sobie, kurwa, będą kim chcą, ja muszę się stąd wydostać...

...dokąd? Nasze ślady w śniegu giną za zakrętem. Może jest tam jakiś parking z informacją dla turystów i budką telefoniczną, tylko stąd go nie widać? A może trzydzieści kilometrów lodowców i szczelin w lodzie? Z kolei za moimi plecami wąska górską półka, na której stoimy, zwęża się ku grupce jodeł, uporczywie wczepionych w skalną połąć, a dalej jest już niemal pionowa ściana lodu i skały. Pfenninger bacznie mi się przygląda, a D’Arnoq nalewa w tym czasie jakiś gęsty płyn do kubeczka termosu. Chce mi się wrzeszczeć. Piknik? Ściskam głowę dłońmi. Uspokój się, weź się w garść. Jest już późno

popołudnie. Rozmazane po całym niebie chmury zaczynają nabierać metalicznego blasku. Mój zegarek! – zostawiłem go u Holly w łazience. Podchodzę do niskiej ścianki, kilka kroków od Pfenningera, i widzę raptowny pięćdziesięciometrowy spadek, który kończy się w dole szosą. Widzę też ohydny nowoczesny most nad głęboką rozpadliną i znak drogowy, którego nie potrafię odczytać z tej odległości. Szosa prowadzi w górę do mostu, wylaniając się pół kilometra stąd i wijąc serpentynami na ocienionych zboczach. Przecina most i znika za krawędzią góry, na której stoimy, tuż obok szklistego wodospadu, którego szum nadaje strukturę tej głębokiej ciszy. My, znak drogowy, most i asfalt szosy. Nie ma żadnych innych oznak dwudziestego wieku.

– Dlaczego mnie tu sprowadziliście? – pytam.

– Bo wydawało się to słuszne – odpowiada Pfenninger – skoro już i tak jesteśmy w Szwajcarii. Ale najpierw proszę coś zjeść, nie miał pan nic w ustach od czwartku.

D’Arnoq staje obok mnie z parującym kubeczkim. Czuję zapach kurczaka i szaławii, a w żołądku aż mi burczy.

– Proszę sobie nie poparzyć języka.

Dmucham na płyn w kubeczku i ostrożnie upijam łyk. Dobrze.

– Dziękuję.

– Podzielę się przepisem.

*

– Hiatus to jak wybuch potężnego granatu w mózgu, ale – Pfenninger strzepuje śnieg z niskiej ścianki i gestem wskazuje, żebym usiadł koło niego – musiał pan przejść tę kwarantannę, żebyśmy mogli wpuścić pana do naszego kręgu. Od południa drugiego stycznia przebywał pan w chacie pod Oberwaldem, niedaleko stąd, a tutaj

przenieśliśmy pana dziś rano. Ten szczyt to Galmihorn, tamten to Leckihorn, a tutaj mamy Sidelhorn.

– Pan stąd pochodzi? – pytam.

Pfenninger obserwuje mnie.

– Z tego kantonu. Urodziłem się w Martigny w tysiąc siedemset osiemdziesiątym piątym roku. Tak, w tysiąc osiemset siedziemdziesiątym piątym. Szkołęm się na budowniczego i wiosną tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku, najęty na posadę przez Republikę Helwecką, przyjechałem tu, żeby nadzorować naprawę poprzednika tego mostu, który widać nad przepaścią w dole.

Dobrze. Jeśli Pfenninger wierzy w to, co mówi, jest niespełna rozumu. Odwracam się do D’Arnoqa w nadziei na trzeźwe wsparcie.

– Ja się urodziłem w roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym siódmym – wyjaśnia D’Arnoq, rozbawiony – jako poddany królowej Wiktorii z bardzo oddalonego zakątka jej dominium, w chacie z kamienia i darni na wyspie Pitt, trzysta kilometrów na wschód od Nowej Zelandii. Kiedy skończyłem dwadzieścia lat, popłynąłem z kuzynem, żeby razem przewieźć owce do Christchurch. Pierwszy raz byłem na stałym lądzie, pierwszy raz w burdelu i pierwszy raz w urzędzie werbunkowym. Zapisalem się do Anzacu – do wyboru miałem albo wojny w dalekich krajach w imię króla i imperium, albo sześćdziesiąt latowiec, deszczu i kaziroduztwa na wyspie Pitt. Przybiłem do Gallipoli, a skoro znasz historię swojego kraju, wiesz, co mnie tam czekało. Pan Pfenninger znalazł mnie w szpitalu pod Lyme Regis, już po wojnie. Zostałem Anachoretą w wieku dwudziestu ośmiu lat, stąd moja chłopięca uroda. Ale w przyszłym tygodniu skończę dziewięćdziesiąt cztery lata. Więc, hej, jesteś okrażony przez wariatów, Lamb.

Patrzę na Pfenningera. Na D’Arnoqa. Na Pfenningera. Przy

telepatii, hiatusach i yeti trzeba byłoby ocenić raz jeszcze, do czego zdolny jest umysł, ale to, co przed chwilą usłyszałem, podważa jeszcze bardziej podstawowe prawo.

– Czy chcą panowie powiedzieć...

– Owszem – odpowiada Pfenninger.

– Że Anachoreci...

– Właśnie tak – potwierdza D’Arnoq.

– Nie umierają?

– Ależ skąd. – Pfenninger marszczy brwi. – Oczywiście, że umieramy. Możemy umrzeć, jeśli ktoś nas zaatakuje, albo zginąć w wypadku. Ale się nie starzejemy. W każdym razie nie anatomicznie.

Odwracam wzrok i patrzę na wodospad. To szaleńcy albo oszuści, albo – najbardziej niepokojąca możliwość – ani szaleńcy, ani oszuści. Głowę mam zbyt rozpaloną, żebym mógł zdjąć czapkę. Coś mi się wrzyna w nadgarstek – cienka gumka do włosów Holly Sykes. Zdejmuję ją.

– Panowie – mówię w przestrzeń – nie mam pojęcia, co o tym myśleć ani co powiedzieć.

– Dużo mądrzej jest wstrzymać się od oceny niż pośpiesznie wydać błędny osąd – odpowiada Pfenninger. – Pokażę teraz panu Kaplicę Zmierzchu.

Rozglądam się w poszukiwaniu jakiejś budowli.

– Gdzie się znajduje?

– Niedaleko stąd – zapewnia Pfenninger. – Widzi pan ten zarwany łuk? Proszę patrzeć.

Elijah D’Arnoq zauważa moją nerwowość.

– Nie uśpimy cię ponownie. Słowo skauta.

Zarwany łuk obramowuje widok na sosnę, dziewiczą połąć śniegu i stromą skalną ścianę. Chwile przeskakują obok nas jak wróble. Niebo to błękitne wysokie C, a góry są niemal przezrocyste. Słyszę, jak

wodospad pruje taflę powietrza, rozpryskuje się i grzmi. Spoglądam na D'Arnoqa, który wbił wzrok tam, gdzie i ja powinienem patrzeć.

– Patrz.

Mój wzrok posłusznie biegnie za spojrzeniem D'Arnoqa i zauważam złudzenie optyczne. Obraz obramowany przez zarwany łuk zaczyna się kołysać, jakby był tylko nadrukiem na poruszanej wiatrem kotarze, którą teraz odsuwa na bok elegancka biała dłoń w schludnym rękawie w kolorze pruskiego błękitu. Wyłania się Miss Constantin, białozłota. Wzdraga się, gdy czuje nagłe, roziskrzzone zimno.

– Szczelina – wyjaśnia szeptem Elijah D'Arnoq. – Nasza.

Poddaję się. Portale wyłaniają się znikąd. Ludzie mają przyciski pauzy. Telepatia jest tak samo realna jak telefony.

To, co jest niemożliwe, jest do uzgodnienia.

To, co jest możliwe, ma płynne granice.

– Dołączy pan do nas, panie Anydrus? – pyta Miss Constantin.

5 Wiersz *A Slumber Did My Spirit Seal* Williama Wordswortha w przekładzie Jerzego Pietrkiewicza (przyp. tłum.).

Wesele

2004

16 kwietnia

– Jeżeli pytasz, czy jestem uzależniony od wojny – wyjaśniam Brendanowi – odpowiedź brzmi: nie, nie jestem. – W moim głosie słychać, że jestem wkurzony. Bo chyba jestem.

– Nie ty, Ed! – Mój prawie-szwagier zaprzecza teraz łagodnym tonem Tony’ego Blaira, usiłując wycofać się z własnych słów. Brendan wygląda – zresztą zgodnie z prawdą – na czterdziestokilkuletniego pracoholika z branży deweloperskiej, który akurat ma wolny weekend, co nie zdarza się często. – Wszyscy wiemy, że ty nie jesteś uzależniony od wojny. Przecież właśnie przeleciałeś pół świata do Anglii na ślub Sharon. Nie, ja pytałem tylko, czy zdarza się czasem, że reporter uzależnia się od adrenaliny w strefach działań wojennych. Tylko o to mi chodziło.

– Niektórzy owszem, bywają uzależnieni – zgadzam się i trę oczy, myśląc o Big Macu. – Ale mnie to nie grozi. Zresztą objawy są dość ewidentne.

Proszę nastoletnią kelnerkę, która przechodzi obok, o jeszcze jedną glenfiddich. Odpowiada, że zaraz przyniesie.

– A jakie są objawy? – Sharon jest cztery lata młodsza od Holly i ma okrągłą twarz. – Pytam z ciekawości.

Czuję się przypierany do muru, ale dłoń Holly odnajduje moją na ławie i ją ściska.

– Symptomy uzależnienia od wojny... Cóż. Wydaje mi się, że są takie same jak stereotypy na temat zagranicznych korespondentów. Kryzysy w małżeństwie, oddalenie od rodziny, brak satysfakcji z życia w cywilu. Nadużywanie alkoholu.

– Ale chyba nie chodzi o glenfiddich? – Dave Sykes, ojciec Holly,

człowiek o łagodnym usposobieniu, nieco rozładowuje atmosferę.

– Miejmy nadzieję, że nie, tato.

Miejmy nadzieję, że zmienią temat.

– Musisz tam widzieć niezły hardkor, Ed. Autentyczne flaki wojny – stwierdza Pete Webber, księgowy, zapalony rowerzysta i jutrzejszy pan młody. Pete ma odstające uszy i coraz głębiej posunięte zakola, ale Sharon wychodzi za niego z miłości, a nie dla jego mieszków włosowych.

– Sharon mówiła, że relacjonowałaś wojny w Bośni, Rwandzie, Sierra Leone, Bagdadzie. Stamtąd ludzie raczej chcą się wydostać niż tam przyjeżdżać.

– Jedni dziennikarze zajmują się analizami gospodarczymi, inni piszą o operacjach plastycznych gwiazd. Ja zajmuję się wojną.

Pete waha się.

– I nigdy się nie zastanawiałeś, dlaczego akurat wojną?

– Chyba jestem niewrażliwy na powab silikonu.

Kelnerka przynosi mi glenfiddich. Patrę na Pete'a, na Sharon, na Brendana i jego żonę Ruth, na Dave'a i na Kath, mamę Holly, energiczną Irlandkę. Czekają, żebym powiedział coś głębokiego o motywach pracy dziennikarza. Rodzina Sykesów też nosi w sobie bliźny – młodszy brat Holly, Jacko, zaginął w 1984 roku i nigdy nie odnaleziono jego ciała – ale śmierć, której ja jestem świadkiem, którą widzę na co dzień w pracy, zbiera żniwo na skalę przemysłową. I tym właśnie się od nich różnię. Wątpię, żebym był w stanie wyjaśnić, na czym ta różnica polega. Chyba nawet ja sam nie do końca ją rozumiem.

– Pisziesz, żeby zwrócić uwagę świata na tych, którzy sami nie mogą się bronić? – drąży Pete.

– Broń Boże. – Myślę o koleźce dziennikarzu na mojej pierwszej wojnie, w Sarajewie. Nazywał się Paul White. Leżał martwy w kałuży

blota, bo chciał zmieniać świat na lepszy. – Świat jest z natury obojętny. Chciałby taki nie być, ale za dużo się w tej chwili dzieje.

– No dobrze, zabawię się w adwokata diabła – wtrąca się Brendan. – Po co ryzykować życie, żeby pisać artykuły, które niczego nie zmienią? Zmuszam się do uśmiechu.

– Po pierwsze, nie ryzykuję życia. Bezwzględnie przestrzegam środków ostrożności. Po drugie...

– A jakie środki ostrożności – przerywa mi Brendan – uchronią cię przed wybuchem potężnej bomby w samochodzie pod twoim hotelem?

Patrzę na Brendana i mrugam trzy razy, żeby zniknął. Cholera. Może następnym razem.

– W Bagdadzie będą teraz mieszkał w Zielonej Strefie. A po drugie, jeśli o przemocę i koszmarze wojny nikt nie napisze, przestaną istnieć wraz ze śmiercią ostatniego świadka. I z tym właśnie nie mogę się pogodzić. Bo jeśli o masowych rozstrzelaniach, o wybuchu bomby, o jakiegokolwiek potworności ktoś jednak napisze, to przynajmniej informacja o nich zostawi jakiś drobny ślad w pamięci świata. Ktoregoś dnia ktoś inny będzie mógł się dowiedzieć, co się wydarzyło. I może podejmie jakieś działania. Albo i nie podejmie. Ale przynajmniej pozostanie jakiś ślad.

– Czyli jesteś takim archiwistą dla przyszłości – podsumowuje Ruth.

– Podoba mi się takie określenie, Ruth. Przyjmuję je. – Trę oko.

– Będzie ci tego wszystkiego brakować? – pyta Brendan. – Od lipca?

– Od czerwca – poprawia radośnie Holly.

Mam nadzieję, że nikt nie widzi, jak się zżymam w sobie.

– Powiem ci w czerwcu, jak się z tym czuję – odpowiadam Brendanowi.

– Coś już ci się kroi w kwestii pracy? – pyta Dave.

– Ed ma w czym wybierać, tato – odpowiada Holly. – Może

pracować w gazecie albo tygodniku, albo w BBC. A teraz też Internet zaczyna przetasowywać rynek informacji. Jeden z byłych redaktorów Eda z „Financial Timesa” wyklada na londyńskim University College.

– Ja tam się bardzo cieszę, Ed, że przeprowadzasz się na dobre do Londynu – odzywa się Kath. – Naprawdę się tu martwimy, kiedy wyjeżdżasz. Widziałam zdjęcia z tej Faludży, ciała wiszące na moście! Wstrząsające! Ale też mnie zdumiały, bo myślałam, że Amerykanie wygrali już wiele miesięcy temu. Byłam przekonana, że Irakijczycy nienawidzą Saddama. Myślałam, że to on jest potworem.

– Irak, Kath, jest znacznie bardziej skomplikowanym krajem, niż wydawało się mistrzowskiemu strategom tej wojny. Ale może nie chcieli tego przyjąć do wiadomości.

Dave klaszcze.

– A teraz, kiedy już plotki mamy za sobą, przejdźmy do spraw poważnych. Ed, idziesz dziś z nami na wieczór kawalerski Pete’a? Kath zostanie z Aoife, więc nie masz wymówki.

– Z kumplami z pracy spotykamy się w The Cricketers, takim miłym pubie za rogiem – wyjaśnia Pete. – A potem...

– Wolałabym nie wiedzieć, co się będzie działo potem – przerywa Sharon.

– Taaa, jasne – odcina się Brendan. – Bo wy na wieczorze panińskim będziecie grały w scrabble. – Teatralnym szeptem mówi mi: – Najpierw striptizerzy w Royal Pavilion, a potem idą palić krak na molo.

Ruth udaje, że zakuwa go w kajdanki.

– Ty oszczerco!

– Absolutnie wszystko się zgadza – mówi Holly. – Szanujące się damy, jak my, nawet nie zbliżają się do planszy scrabble.

– A co naprawdę planujecie na wieczór? – pyta Dave.

– Spokojną degustację win – odpowiada Sharon – z tapas, w barze u

kumpla Pete'a.

– Degustacja win – podkpiwa Brendan. – Przynajmniej w Gravesend regularny pochłaj nazywał się pochłaj. To jak, Ed, idziesz z nami?

Holly zachęca mnie miną, żebym szedł, ale skoro jeszcze ze mną rozmawia, powinienem udowodniać, że jestem wzorowym ojcem.

– Nie obraż się, Pete, ale chyba spaszuję. Ciągłe jeszcze trzyma mnie jet lag, a poza tym chciałbym pobyć z Aoife, nawet jeśli będzie już smacznie spała. A wtedy i Kath będzie mogła podegustować wina.

– W ogóle się mną nie przejmuj – zapewnia Kath. – I tak muszę uważać z moim ciśnieniem.

– Kath, serio mówię. – Dopijam scotcha i czuję falę przyjemnego szumu w głowie. – Ty baw się z rodziną z Corku, a ja wcześniej położę się spać, inaczej dzisiaj w kościele będę straszliwie ziewał. To znaczy jutro. Boże, sami widzicie.

– No dobrze – zgadza się Kath. – Skoro naprawdę tak chcesz...

– Absolutnie – uspokajam ją, trąc śwędzące oko.

– Nie trzyj, Ed – upomina mnie Holly. – Będzie jeszcze bardziej śwędziało.

*

Jedenasta wieczorem. W zasadzie wszystko jest dobrze, na razie. Olive Sun chce, żebym znowu leciał, najdalej w czwartek, więc muszę niedługo powiedzieć Holly. Tak naprawdę muszę powiedzieć jej dzisiaj, żeby nie zaczęła niczego planować dla naszej trójki na przyszły tydzień. W Faludzy stacjonuje największy kontyngent amerykańskiej piechoty morskiej od czasu bitwy o Hue w wojnie wietnamskiej, a ja tkwię na wybrzeżu Sussex. Holly wpadnie w szal, ale lepiej już mieć to za sobą, poza tym będzie się musiała uspokoić do

jutra, do wesela Sharon. Aoife śpi na pojedynczym łóżku w rogu hotelowego pokoju. Kiedy wróciłem, już spała, więc ciągle jeszcze nie przywitałem się z córką, ale Pierwsza Zasada Rodzicielstwa głosi, że nigdy nie wolno budzić śpiącego dziecka. Zastanawiam się, jakim snem śpią dziś w nocy dziewczynki Nassera, kiedy wokół ujadają psy, słysząc strzały, a marines wyważają kopniakiem drzwi. Na płaskim ekranie telewizora leci CNN z wyłączonym dźwiękiem. Pokazują zdjęcia marines w Faludży pod ostrzałem z dachów. Widziałem to już z pięć razy albo więcej i nawet eksperci będą mogli powiedzieć cokolwiek nowego dopiero za kilka godzin, kiedy w Iraku wstanie nowy dzień i zacznie się kolejny cykl wiadomości. Kwadrans temu Holly przysłała mi esemesa, że niedługo wraca z dziewczynami do hotelu. Ale „niedługo” może oznaczać wszystko, wzięwszy pod uwagę degustację win. Wyłączam telewizor na dowód, że nie jestem uzależniony od wojny, i podchodzę do okna. Molo w Brighton w piątkowy wieczór jest rozjarzone światłami jak kraina wrózek, a z wesołego miasteczka na samym końcu dudni muzyka pop. Jak na Anglię mamy dziś ciepły wiosenny wieczór. Restauracje i bary przy promenadzie niedługo już będą zamykać po ruchliwym dniu. Pary spacerują, trzymając się za ręce. Przejeżdżają nocne autobusy. Uczestnicy ruchu drogowego przestrzegają przepisów, w większości. Nie, nie atakuję spokojnego, dobrze funkcjonującego społeczeństwa. Podoba mi się, przez kilka dni, nawet tygodni. Ale wiem, że po kilku miesiącach uporządkowane życie smakuje jak rozgazowane piwo bezalkoholowe. Co jeszcze nie znaczy, że jestem uzależniony od działań wojennych, jak usłuźnie zauważył wcześniej Brendan. To taki sam absurd, jak zarzucanie Davidowi Beckhamowi, że jest uzależniony od futbolu. Tak jak piłka nożna jest sztuką i rzemiosłem Beckhama, tak samo relacjonowanie wydarzeń w punktach zapalnych na świecie jest moją sztuką i moim rzemiosłem. Szkoda, że wcześniej

nie powiedziałem tego klanowi Sykesów.

Aoife śmieje się przez sen, a zaraz potem nagle jęczy.

Podchodzę do niej.

– Wszystko w porządku, Aoife? Coś tylko ci się przyśniło.

Aoife strofuje kogoś przez sen:

– Nie, głuptasie! Ten cytrynowy. – Potem jej oczy otwierają się nagle, jak oczy lalki w filmowym horrorze. – Później jedziemy do hotelu w Brighton, bo ciocia Sharon wychodzi za wujka Pete’a i tam się z tobą spotkamy, tatusiu. Jestem druhną.

Usiłuję się nie śmiać i delikatnie odgarniam włosy z jej buzi.

– Wiem, kochanie. Wszyscy już tu jesteśmy, więc śpij smacznie. Rano też tu będę z tobą i czeka nas wspañiały dzień.

– Dobrze – mówi Aoife, balansując na skraju snu...

...i już jej nie ma. Naciągam koldrę na bluzę jej piżamki z My Little Pony i całuję ją w czoło, przypominając sobie ów tydzień w 1997 roku, kiedy Holly i ja stworzyliśmy tę kochaną, już nie taką znowu małą formę życia. Przez nocne niebo mknęła kometa Hale’a-Boppa, a trzydzieścioro dziewięcioro członków i członkiń sekty Brama Niebios w San Diego popełniało zbiorowe samobójstwo, by UFO w ognie komety mogło zabrać ich dusze i przenieść je w wyższy stan świadomości. Wynająłem domek w Northumbrii i chcieliśmy wyprawić się pieszo szlakiem muru Hadriana, ale wyprawa nie okazała się naszym głównym zajęciem. A teraz patrzcie tylko na nią. Zastanawiam się, jak Aoife mnie widzi. Jako olbrzyma z kłującą brodą, który teleportuje się do jej życia, a potem z jakichś tajemniczych powodów znów z niego znika? Być może. Chyba niewiele się to różni od obrazu mojego ojca, jaki miałem w dzieciństwie, z tą tylko różnicą, że ja wyjeżdżam zawodowo, a ojciec odsiadywał wyroki w różnych więzieniach. Bardzo chciałbym wiedzieć, jak ojciec widział mnie jako sześciolatka. Bardzo chciałbym wiedzieć milion różnych rzeczy.

Kiedy jedno z rodziców umiera, przestaje również istnieć szafa pełna dokumentów na temat fascynujących spraw. Nigdy nie myślałem nawet, że tak bardzo będę chciał przeszukać jej zawartość.

Zastanawiam się, czy Holly będzie miała ochotę na seks, kiedy wróci.

Słyszę jej klucz w zamku. Mam niewyraźne poczucie winy.

Ale ona mi to poczucie uczyni wyraźnym.

Holly ma problem z otwarciem zamka, więc podchodzę, zakładam łańcuch i uchylam drzwi.

– Przykro mi, skarbie – mówię głosem Michaela Caine’a. – Nie zamawiałem francuskiego masażu. Może ktoś z pokoju obok.

– Wpuść mnie – prosi Holly słodkim głosem – bo cię kopnę w jajka.

– Nie, kopania w jajka też nie zamawiałem. Może ktoś...

Już nie tak słodko:

– Brubeck, muszę do kibla!

– No dobrze. – Zdejmuję łańcuch i odsuwam się na bok. – Wpuszczę cię, chociaż z wieczornych swawoli wracasz tak zalana, że nawet nie umiesz otworzyć drzwi kluczem.

– Zamki w tym hotelu są wszystkie jakieś wymyślne i przeciwwłamaniowe. Trzeba, cholera, skończyć studia, żeby je otworzyć. – Holly przeciska się obok mnie do łazienki, rzucając w przelocie czujne spojrzenie na Aoife. – Poza tym wypita tylko kilka kieliszków wina. Była też mama, nie zapominaj.

– O tak, bo Kath Sykes kiedykolwiek narzucałaby umiar przy „degustacji win”.

Holly zamyka drzwi do łazienki.

– Aoife cały czas spała?

– Obudziła się na chwilę, ale poza tym spała smacznie.

– To dobrze. W pociągu ją roznosiło, aż bałam się, że całą noc będzie skakać po suficie. – Holly spuszcza wodę, żeby zagłuszyć odgłosy.

Znowu podchodzę do okna. Wesole miasteczko na końcu molo zaczyna się zwijać na noc. A noc jest przepiękna. Wiem, że zepsuje ją, niestety, wiadomość o półrocznym przedłużeniu pobytu w Iraku, które zaproponował mi „Spyglass”. Holly otwiera drzwi do łazienki i uśmiecha się do mnie, wycierając ręce.

– Co robiłeś sam wieczorem? Przespałeś się? Pisałeś?

Ma upięte włosy. Jest ubrana w obcisłą czarną sukienkę z głębokim dekoltem. Na szyi ma koliaż z czarnych i błękitnych kamieni. Rzadko już tak wygląda.

– Mam nieczyste myśli na widok ulubionej ze znanych mi seksownych mam. Mogę pomóc w zdjęciu sukienki, pani Sykes?

– Uspokój się. – Krępuje ją obecność Aoife. – Śpimy w pokoju z córką, nie zapominaj.

Podchodzę do niej.

– Mogę działać w trybie bezgłośnym.

– Nie dzisiaj, Romeo. Mam okres.

W ciągu ostatniego półrocza nie byłem w domu na tyle często, żeby wiedzieć, kiedy Holly ma okres.

– Czyli będę się musiał zadowolić długim, nieśpiesznym całowaniem.

– Obawiam się, że tak.

Całujemy się, ale nie aż tak długo ani nieśpiesznie, jak brzmiała zapowiedź, a Holly nie jest aż tak wstawiona, jak na to liczyłem. Od kiedy Holly przestała się całować z rozchyłonymi ustami? To jak całowanie zasuniętego suwaka. Myślę o złotej maksymie Big Maca: żeby uprawiać seks, kobiety muszą czuć się kochane, ale żeby mężczyźni czuli się kochani, muszą uprawiać seks. Ja staram się wywiązywać z mojej części zadania – tak mi się wydaje – ale Holly, jeśli chodzi o seks, zachowuje się jakby miała nie trzydzieści pięć lat, tylko dziesięć czy dwadzieścia lat więcej. Oczywiście nie wolno mi

nawet się skarżyć, bo wtedy wywieram na nią presję. Kiedyś mogliśmy z Holly rozmawiać o wszystkim, dosłownie o wszystkim, ale nagle zaczęły się pojawiać pola minowe. Przez to wszystko czuję się... Nie wolno mi też okazywać smutku, bo wtedy rzekomo jestem jak mały chłopczyk, który się dąsa, bo nie dostał cukierków, a myśli, że mu się należą. Nie zdradziłem jej – nigdy. To prawda, Bagdad szczególnie obfituje w okazje do zdrady, ale to przygnębiające, mieć trzydzieści pięć lat, być zdrowym mężczyzną w pełni sił i musieć tak często brać sprawy we własne ręce. Ta Dunka, fotoreporterka, w Tadżykistanie w zeszłym roku, miałaby nawet ochotę, gdybym tylko mniej się przejmował, jak się będę czuł, kiedy taksówka wysadzi mnie w Stoke Newington i usłyszę, jak Aoife krzyczy: „Tatuuuuuuuuuś!”.

Holly wraca do łazienki. Zostawia otwarte drzwi i zaczyna zmywać makijaż.

– No to powiesz mi czy nie?

Czujnie siadam na brzegu szerokiego łóżka.

– Co mam ci powiedzieć?

Wacikiem ściera tusz spod oka.

– Jeszcze nie wiem.

– Skąd ten pomysł, że... mam ci coś do powiedzenia?

– Nie wiem, Brubeck. Może kobieca intuicja.

Nie wierzę w paranormalne zdolności, ale Holly mogłaby doskonale udawać osobę, która je posiada.

– Olive poprosiła, żebyśmy zostali w Bagdadzie do grudnia.

Holly zamiera na kilka sekund, upuszcza wacik i odwraca się do mnie.

– Ale już jej powiedziałeś, że odchodzisz w czerwcu.

– Tak. Powiedziałem. Ale prosiła, żebyśmy się jeszcze zastanowili.

– Ale mnie już powiedziałeś, że kończysz w czerwcu. Mnie i Aoife.

– Odpowiedziałem, że zadzwonię do niej w poniedziałek. Bo muszę porozmawiać z tobą.

Holly ma minę, jakbym ją zdradził. Albo jakby przyłapała mnie na ściąganiu porno.

– Mieliśmy umowę, Brubeck. Że przedłużasz kontrakt ostatni raz.

– Chodzi jeszcze tylko o pół roku.

– Do kurwy nędzy. Mówiłeś tak zeszłym razem.

– Zgadza się, ale odkąd przyznano mi nagrodę Sheehana-Dowera, jestem...

– I jeszcze poprzednim razem też. „Pół roku, potem wracam”.

– To roczne chesne dla Aoife, Hol.

– Ona wolałaby mieć żyjącego ojca niż niższy kredyt.

– Teraz to już... – dziś nie można mówić, że wściekła kobieta histeryzuje, bo to seksizm – ...wyołbrzymiasz. Nie zniżaj się do przesady.

– Czy właśnie to powiedział Daniel Pearl do swojej partnerki, zanim wsiadł w samolot do Pakistanu? „Wyołbrzymiasz?”.

– Tanie. I demagogiczne. A Pakistan to nie Irak.

Holly opuszcza klapę sedesu i siada na niej, więc możemy mniej więcej patrzeć sobie w oczy.

– Mam dość tego, że ze strachu chce mi się rzygać za każdym razem, kiedy w radiu słyszę „Irak” albo „Bagdad”. Mam dość tego, że prawie nie śpiam. Mam dość tego, że muszę nerwy i strach ukrywać przed Aoife. Wspaniale, jesteś wziętym, nagradzanym dziennikarzem, ale masz też sześćioletnią córkę, która chce, żeby ktoś jej pomógł nauczyć się jeździć na rowerze bez czterech kółek. Twój trzeszczący głos przez minutę, co dwa albo trzy dni, jeżeli telefon satelitarny akurat działa, to za mało. Tak, jesteś uzależniony od wojny. Brendan miał rację.

– Nie, nie jestem. Jestem dziennikarzem, który wykonuje swoją

pracę. Tak samo, jak on wykonuje swoją pracę i jak ty wykonujesz swoją.

Holly łapie się za głowę, jakbym przyprawiał ją o migrenę.

– No to jedź! Wracaj sobie do Bagdadu. Do bomb, które zmiotą wam front hotelu. Pakuj się. Wylatuj. Wracaj do „swojej pracy”. Jeśli więcej dla ciebie znaczy niż my. Tylko lepiej wyprowadź lokatorów z twojego mieszkania na King’s Cross, bo następnym razem, kiedy wrócisz do Londynu, będziesz potrzebował jakiegoś miejsca, żeby się zatrzymać.

Nie podnoszę głosu.

– Możesz, kurwa, sama siebie posłuchać, co ty w ogóle mówisz?

– Nie, sam się, kurwa, posłuchaj! W zeszłym miesiącu zgodziłeś się, że kończysz w czerwcu i wracasz do kraju. Teraz twoja naczelna z Ameryki każe: „Zostań do grudnia”. Ty na to: „Okej”. A mnie informujesz o tym w drugiej kolejności? Z kim chcesz żyć, Brubeck? Ze mną i Aoife czy z Olive Sun i „Spyglassem”?

– Proponuję mi po prostu jeszcze sześć miesięcy pracy. To wszystko.

– Nie, to nie wszystko. Bo kiedy Faludża przycichnie albo kiedy bomby zrównają ją, kurwa, z ziemią, będzie Bagdad albo Afganistan część druga, albo jeszcze coś innego, bo zawsze jest coś innego. I tak dalej, i tak dalej, aż w końcu przyjdzie ten dzień, kiedy będziesz miał pecha i ja zostanę wdową, a Aoife straci tatę. Owszem, zgodziłam się na Sierra Leone, przetrzymałam jakoś Somalię, ale Aoife jest teraz starsza. Potrzebuje ojca.

– A gdybym ci powiedział: „Nie, Holly, nie możesz już dłużej pomagać bezdomnym. Jedni mają AIDS, inni mają noże, jeszcze inni są chorzy psychicznie. Rzuć tę robotę i zacznij pracować... w Tesco. Wykorzystaj wszystkie swoje umiejętności interpersonalne przy wykładaniu mąki na półkę. Właściwie to każe ci zmienić pracę albo wyrzucę cię z domu”. Jak byś zareagowała?

– Na miłość Boga, nie widzisz różnicy w stopniu ryzyka? – Holly

rozwścieczona bierze głęboki oddech. – Dlaczego zacząłeś tę rozmowę w środku nocy? Jestem druhną Sharon. Jutro będę wyglądała jak skacowana panda. Chcesz iść w prawo czy w lewo, Brubeck? Wybieraj.

Wrywa mi się głupi żart:

– Ale... w sensie politycznym?

– Jasne. Zapomniałam. Ciebie to wszystko bardzo bawi, prawda?

– Holly, rany boskie, nie o to...

– No więc mnie to nie bawi. Odejdź ze „Spyglassa” albo się wyprowadź. Mój dom nie będzie przechowalnią dla twoich zepsutych laptopów.

*

Jest trzecia nad ranem i generalnie jest chujowo. „W kłótni nigdy nie trać optymizmu”, zwykł mawiać mój wujek Norm, ale on nie miał dziecka z taką kobietą jak Holly. Gasząc światło, powiedziałem jej dość pojednawczym tonem: „Dobranoc”, ale jej „Dobranoc” brzmiało jak „Pieprz się” i odwróciła się do mnie plecami, co było tak zapraszające jak granica północnokoreańska. W Bagdadzie jest teraz szósta rano. Gwiazdy bledną na niebie świtem suchym jak pieprz, a psy, sama skóra i kości, węższą wśród gruzów w poszukiwaniu jedzenia. Głośniki meczetów wzywają wiernych, a niewyraźne kształty leżące na poboczu drogi tężeją w trupy, żniwo minionej nocy. Zwłoki szczęściarzy mają przestrzeloną tylko głowę, jedną kulą. W hotelu Safir trwają naprawy. Świt wydobywa z mroku mój pokój na tyłach budynku, numer 555. Moje łóżko zajmuje teraz Andy Rodriguez z „The Economist” – jestem mu winien przysługę po upadku Kabulu przed dwoma laty – ale wszystko inne powinno być bez zmian. Nad biurkiem wisi mapa Bagdadu. Rejony szczególnie

niebezpieczne zaznaczone są różowym flamastrem. Po inwazji w marcu zeszłego roku na mapie było zaledwie kilka różowych kresek: droga nr 8 na południe do Hillah i droga numer 10 na zachód do Faludży – poza tym można było jeździć, gdzie się chciało. Ale w miarę jak Irakijczycy stawiali coraz silniejszy opór, różowy kolor zalał również drogi na północy, do Tikritu i Mosulu, gdzie iracki ostrzał podziurawił jak sito ekipę amerykańskiej telewizji. To samo stało się z drogą na lotnisko. Kiedy odcięta została As-Saura, wschodnia dzielnica Bagdadu, stanowiąca jedną trzecią stolicy, kolor różowy zalał trzy czwarte planu miasta. Big Mac mówi, że odtwarzam starą mapę z czasów Imperium Brytyjskiego. A to z kolei sprawia, że praca dziennikarza stała się szczególnie trudna. Żeby znaleźć temat, nie mogę już zapuszczać się na przedmieścia, rozmawiać z naocznymi świadkami, mówić po angielsku na ulicach czy nawet, tak naprawdę, opuszczać hotelu. Od początku tego roku moje dziennikarstwo dla „Spyglassa” polega w zasadzie na posługiwaniu się pośrednikami. Bez Nassera i Aziza mógłbym tylko jak papuga powtarzać optymistyczne komunały z komunikatów prasowych, którymi karmieni są reporterzy w Zielonej Strefie. Co niezmiennie prowadzi do pytania, dlaczego tak mi śpieszno z powrotem do Bagdadu, jeżeli praca dziennikarza w Iraku stała się niemożliwie trudna.

Bo owszem, jest trudna, ale ja jestem jednym z najlepszych.

Bo tylko najlepsi potrafią w tej chwili pracować w Iraku.

Bo jeśli tam nie wrócę, dwaj porządni ludzie zginęli na darmo.

17 kwietnia

Windsurferzy, skrzeczące mewy i słońce, słona morska bryza, skrzące się fale. Poranny spacer z Aoife na molo. Aoife nigdy wcześniej nie widziała mola i jest w siódmym niebie. Kuca i skacze po deskach jak żabka, i patrzy, jak błyskają diody w podeszwach jej adidasów. Kiedy ja byłem mały, dalibyśmy wszystko za takie buty, ale Holly mówi, że dzisiaj trudno znaleźć buty, które nie miałyby takich atrakcji. Aoife biega z przywiązanym do rączki balonikiem z Dorą, Która Poznaje Świat. Przed chwilą zapłaciłem za niego pięć funtów czarującemu Polakowi. Odwracam głowę i patrzę przez ramię na hotel Grand Maritime, usiłując zgadnąć, które okno to nasz pokój. Zapytałem Holly, czy ma ochotę przejść się z nami, ale powiedziała, że musi pomóc Sharon przygotować się na przyjście fryzjerki, która ma się zjawić dopiero o wpół do dziesiątej. Teraz nie ma jeszcze wpół do dziewiątej. W ten sposób Holly chce mi powiedzieć, że nie zmieniła stanowiska od minionej nocy.

- Tatusiu? Tato? Słyszałeś mnie?
 - Przepraszam, żabko – mówię. – Byłem hen, daleko stąd.
 - Wcale nie. Byłeś cały czas tutaj.
 - Byłem daleko stąd w sensie metaforycznym.
 - Co to znaczy meta... fff...
 - Coś przeciwnego niż w sensie dosłownym.
 - Co to znaczy „dosłownym”?
 - Coś przeciwnego niż w sensie metaforycznym.
- Aoife robi nadąsaną minę.
- Bądź poważny, tato.
 - Zawsze jestem poważny. A o co pytałaś, żabko?

– Gdybyś był zwierzęciem, to jakim? Ja byłabym białym pegazem z czarną gwiazdą na czole i nazywałabym się Diamentowa Strzała. A wtedy mogłybyśmy pojechać z mamą do Bad Dada i do ciebie. I pegazy tak nie szkodzą ziemi jak samoloty, robią tylko kupę. Dziadek Dave mówi, że kiedy był mały, jego tatuś zawieszał jabłka na kijach na całym polu, żeby wszystkie pegazy tam się zlatywały, jadły i robiły kupę. Kupa pegaza jest czarodziejska i dynie rosną po niej bardzo, bardzo wielkie, nawet większe niż ja, i taką jedną dynią można wyżywić całą rodzinę przez tydzień.

– Tak, to opowieść w stylu dziadka Dave’a. Kto to jest Bad Dad?

Aoife marszczy brwi.

– To tam, gdzie mieszkasz.

– Bagdad. Bag-dad. Ale ja tam nie mieszkam. – Boże, jakie to szczęście, że Holly jej teraz nie słyszała. – Ja tylko tam pracuję. – Wyobrażam sobie pegaza nad Zieloną Strefą i widzę jego podziurawione kulami truchło, które spada na ziemię, a Young Republicans wrzucają go na grill. – Ale nie będę mieszkał tam już zawsze.

– Mama chce być delfinem – ciągnie Aoife – bo one pływają, dużo mówią, uśmiechają się i są lojalne. Wujek Brendan chce być waranem z Komodo, bo w radzie miejskiej Gravesend są ludzie, których chciałby gryźć i rozrywać na kawałki, bo warany z Komodo rwą jedzenie na małe kęsy. Ciocia Sharon chce być sową, bo sowy są mądre, a ciocia Ruth chce być wydrą morską, żeby mogła cały dzień leżeć w wodzie na grzbiecie w Kalifornii i poznać Davida Attenborougha.

Dochodzimy do odcinka, w którym moło się rozszerza wokół salonu gier. Wielkie litery „MOLO W BRIGHTON” stoją sztywno między dwiema oklapłymi flagami. Salon gier jest jeszcze zamknięty, więc okrążamy go i idziemy dalej.

– A ty jakim byłbyś zwierzęciem, tatusiu?

Mama mówiła kiedyś na mnie „głuptak”. A jako dziennikarz byłem nazywany sępem, hieną i gnidą. Jedna dziewczyna, którą kiedyś znałem, nazywała mnie swoim pieskiem.

– Kretem.

– Dlaczego?

– Bo są dobre w kopaniu nor w ciemnych miejscach.

– Dlaczego chcesz kopać nory w ciemnych miejscach?

– Żeby odkrywać różne rzeczy. I poza tym krety są też dobre w czymś innym. – Moja dłoń unosi się jak filuterny szpon. – W łaskotkach.

Ale Aoife przechyla na bok główkę, jak miniaturka Holly.

– Jeśli będziesz mnie łaskotać, zsiusiam się w majtki i będziesz musiał je prać.

– No dobrze. – Udaję skruszonego. – Krety nie łaskoczą.

– No przecież, że nie. – Kiedy mówi to w taki sposób, zaczynam się bać, że dzieciństwo Aoife to książka, której kartki tylko przelatuję wzrokiem, zamiast porządnie ją czytać.

Z tyłu za wesołym miasteczkiem mewy kłóć się o frytki, które wypadły komuś z rozerwanej torebki. Straszne jędze te mewy. Przez środek molo biegnie rząd kramów, stoisk i sklepików.

Nie mogę nie dostrzec kobiety, która idzie w naszą stronę, bo wszystko wokół niej robi się nieostre. Jest mniej więcej w moim wieku, wysoka jak na kobietę, choć jej wzrost nie rzuca się aż tak w oczy. W promieniach słońca jej włosy są białozłote, jej aksamitny kostium ma ciemnozieloną barwę mchu, jaki pokrywa groby, a jej okulary słoneczne, niebieskie jak szkło butelki, będą modne za kilkadziesiąt lat. Sam też zakładałem okulary słoneczne. Kobieta zmusza, by zwrócić na nią uwagę. W ogóle – zmusza. Jest spoza mojej ligi, jest spoza czyjejkolwiek ligi, i czuję się brudny i nielojalny wobec Holly, ale

spójrzcie tylko na nią, Jezu, spójrzcie tylko – pełna wdzięku, gibka i tego świadoma, a wokół niej zagina się światło.

– Edmund Brubeck – mówią jej wargi czerwone jak wino. – Kogóż ja widzę! To ty, prawda?

Stają jak wryty. Takiej piękności się nie zapomina. Jakim cudem ona mnie zna i dlaczego ja jej nie pamiętam? Zdejmuję okulary słoneczne i odpowiadam:

– Dzień dobry! – w nadziei że mój głos brzmi pewnie, w nadziei że zaraz pojawi się jakaś podpowiedź.

Jej akcent nie jest rdzennie angielski. Pochodzi gdzieś z Europy. Z Francji? Jej głoski są bardziej miękkie niż niemieckie, ale nie brzmią włosko. Żadna dziennikarka nie wygląda jak taka półbogini. Jakaś aktorka albo modelka, z którą przeprowadzałem wywiad lata temu? Żona jakiegoś bogatego starucha, poznana gdzieś na przyjęciu? Znajoma Sharon, która przyjechała do Brighton na jej ślub? Jezu, żenująca sytuacja.

Ona nie przestaje się uśmiechać.

– Nie poznajesz mnie, prawda?

Czerwienię się?

– Musisz mi wybaczyć, ja... zawsze...

– Immaculée Constantin, znajoma Holly.

– O! – wykrzykuję – Immaculée, no jasne, oczywiście! – Czy ja już tego imienia gdzieś nie słyszałem? Ściskam jej dłoń i niezręcznie całuję ją w policzek. Jej skóra jest gładka jak marmur, ale chłodna, jakby nie ogrzały jej promienie słońca. – Wybacz... dopiero wczoraj wróciłem z Iraku i jeszcze się nie przestawiłem na spotkania z rzeczywistością.

– Ależ nic się nie stało – mówi Immaculée Constantin, kimkolwiek jest. – Tyle twarzy wokół, ciągle tyle twarzy. Trzeba wyrzucić z pamięci kilka starych, żeby zrobić miejsce dla nowych. Znałam Holly,

kiedy w dzieciństwie mieszkała w Gravesend, chociaż ja wyjechałam, gdy miała osiem lat. Zastanawiające, jak wpadamy na siebie od czasu do czasu. Zupełnie jakby wszechświat dawno temu postanowił, że coś nas będzie łączyć. A ta młoda dama – Immaculée przyklęka na jednym kolanie, żeby spojrzeć mojej córce w oczy – to pewnie Aoife. Zgadza się?

Aoife kiwa głową i szeroko otwiera oczy ze zdumienia. Dora kołysze się i obraca.

– A ile teraz masz lat, Aoife Brubeck? Siedem? Osiem?

– Sześć – odpowiada Aoife. – Mam urodziny pierwszego grudnia.

– Wyglądasz na starszą dziewczynkę! Pierwszego grudnia? Proszę, proszę. – Immaculée Constantin recytuje tajemniczym melodyjnym głosem: – „Mroźna to była wyprawa; najgorsza pora roku na podróż, zwłaszcza tak długą: drogi tonące w śniegu i lodowaty wiatr, najokrutniejsza zima”[6].

Turyści mijają nas jak duchy, albo jakbyśmy my byli duchami.

– Na niebie nie ma dziś ani jednej chmurki – zauważa Aoife.

Immaculée Constantin wpatruje się w nią.

– Masz całkowitą słuszość, Aoife. Powiedz mi, jesteś bardziej podobna do mamy czy raczej do taty?

Aoife ssie wargę i patrzy na mnie.

W dole morskie fale rozbijają się z cichym pluskiem, z wielokrotnianym przez echo, a od wesołego miasteczka pełnie do nas kawałek Dire Straits. *Tunnel of Love*, uwielbiałem go, kiedy byłem w szkole.

– Mój ulubiony kolor to fioletowy – zastanawia się Aoife – i mamy też. Ale tata bez przerwy czyta czasopisma, kiedy jest w domu, i ja też dużo czytam. Szczególnie *I Love Animals*. Gdyby pani mogłaby być zwierzęciem, to jakim?

– Jakimś feniksem – odpowiada cicho Immaculée Constantin. – A

właściwie jedynym feniksem, który istnieje. A ty masz niewidzialne oko, Aoife? Zobaczmy. Niech no ci się przyjrzę.

– Mama ma niebieskie oczy – mówi Aoife – ale tata ma orzechowe i ja też mam orzechowe.

– Nie chodzi mi o takie oczy. – Kobieta zdejmuje dziwne niebieskie okulary. – Mam na myśli specjalne niewidzialne oko, o... tutaj.

Opiera palce na prawej skroni Aoife i pociera jej czoło kciukiem, a ja gdzieś głęboko w wątrobie czuję, że dzieje się coś dziwnego, coś złego, ale Immaculée Constantin zagłusza to uczucie, kiedy podnosi na mnie wzrok i uśmiecha się, a mnie serce wali jak oszalałe, bo jest taka piękna. Immaculée wpatruje się w jakiś punkt nad moimi oczami, potem odwraca się do Aoife i marszczy brwi.

– Nie masz – mówi i wygina w podkówkę usta godne pędzla mistrzów. – Szkoda. Niewidzialne oko twojego wujka było wspaniałe, a twojej mamy też miało swój urok, zanim je zamknął złośliwy magik.

– Co to jest niewidzialne oko? – pyta Aoife.

– Och, nieważne. – Wstaje.

– Przyjechałaś na ślub Sharon? – pytam.

Immaculée zakłada z powrotem słoneczne okulary.

– Już załatwiłam, co miałam załatwić.

– Ale... jesteś znajomą Holly, tak? Nie chcesz nawet...? – Ale kiedy na nią patrzę, zapominam nagle, o co chciałem zapytać.

– Przemilego dnia. – Odchodzi w stronę wesołego miasteczka.

Z Aoife patrzymy, jak jej postać robi się coraz mniejsza, w miarę jak się oddala.

Moja córeczka pyta:

– Kim była ta pani, tatusiu?

Ja na to pytam moją córkę:

– Jaka pani, skarbie?

– Jaka pani, tatusiu? – pyta zdziwiona Aoife.

Patrzemy na siebie, a ja o czymś zapomniałem.

Portfel, telefon; Aoife; ślub Sharon; molo w Brighton.

Nie, o niczym nie zapomniałem. Idziemy dalej.

Jakiś chłopak z dziewczyną obejmują się i całują, jakby cały świat poza nimi nie istniał.

– Ohyda – stwierdza Aoife.

Oni to słyszą i spuszczają wzrok, ale zaraz wracają do badania językiem podniebień i dziąseł. „Tak” – mówię chłopakowi telepatycznie – „smakuj, smakuj łąpczywie te wisienki, bo za dwadzieścia lat nic już nie będzie miało takiego smaku”. Chłopak mnie ignoruje.

Uwagę Aoife przykuwa obraz namalowany sprejem na metalowej rolicie przed nami: twarz podobna do Merlina, z białą brodą, oczami jak spirale, a nad nią aureola z kart tarota, kryształów i gwiazdowego pyłu. Aoife czyta napis:

– D...wiggert?

– Dwight.

– „Dwight... Silverwind. Prz...epow...iednie prz...yszł...ości”. Co to znaczy?

– To znaczy, że Dwight Silverwind uważa, że potrafi przewidywać przyszłe wydarzenia, że jest jasnowidzem.

– Super! Zajrzyjmy tam, tato.

– Po co chcesz znać przyszłość?

– Żebym wiedziała, czy otworzę ośrodek pomocy dla zwierząt.

– Przecież miałaś zostać baletnicą jak Angelina Balerina.

– To było wieki temu, tato, kiedy byłam mała.

– Aha. Cóż, niestety, nie. Nie zajrzyjmy do pana Silverwinda.

Trzy, cztery – i gradowe spojrzenie panien Sykes:

– Dlaczego nie?

– Po pierwsze, jest zamknięte. Po drugie, przykro mi, ale jasnowidze nie potrafią tak naprawdę przepowiadać przyszłości. Tylko ją zmyślają. Mówią...

Roleta z chrzęstem podjeżdża w górę, podnoszona przez mniej twarżową wersję Merlina z obrazu. Merlin wygląda, jakby wysrał go hipopotam, i ma na sobie ubranie rockmana grającego rock progresywny: liliową koszulę, czerwone dżinsy i kamizelkę inkrustowaną klejnotami równie prawdziwymi, jak przepowiednie jej właściciela.

Aoife jednak oniemiała z wrażenia.

– Pan Silverwind?

On marszczy brwi i rozgląda się wokół, zanim odpowiada:

– Tak, to ja. A ty kim jesteś, kochanie?

Amerykanin. No jasne.

– Aoife Brubeck – przedstawia się Aoife.

– Aoife Brubeck. Wcześniej chodzisz na spacer.

– Dzisiaj jest ślub cioci Sharon. Jestem druhną.

– Życzę ci zatem przewspaniałego dnia. A domyślam się, że ten pan to twój tata?

– Tak – potwierdza Aoife. – Jest dziennikarzem. Jego praca nazywa się Bad Dad.

– Tata na pewno bardzo się stara, Aoife.

– Chodziło jej o Bagdad – prostuję pajacowi.

– O, to tata musi być bardzo... odważny. – Patrzy na mnie.

Ja nieustępliwie wpatruję się w niego. Nie podoba mi się ten ton. W ogóle on mi się nie podoba.

Aoife pyta:

– Naprawdę umie pan przepowiadać przyszłość?

– Kiepski byłby ze mnie jasnowidz, gdybym nie umiał.

– A przepowie mi pan? Proszę!

Dość tego.

– Pan Silverwind jest zajęty, Aoife.

– Wcale nie. Nie ma ani jednego klienta!

– Zwykle proszę o datek w wysokości dziesięciu funtów za przepowiednię – mówi stary oszust – ale poza szczytem sezonu, dla wyjątkowej pannicy, pięć funtów wystarczy. Albo też – Dwight Silverwind sięga na półkę za plecami i wyciąga dwie książki – tata mógłby kupić jedną z moich książek, *Na uwieży bez końca* albo *Dzisiaj już się nie powtórzy*, w specjalnej cenie po piętnaście funtów każda, albo dwadzieścia za obie, a wtedy przyszłość przepowiadam gratis.

Tata chciałby kopnąć pana Silverwinda w jego kryształowe kule.

– Nie skorzystamy z pańskiej oferty – mówię. – Dziękujemy.

– Mam czynne do zmroku, gdyby zmienił pan zdanie.

Ciągnę córkę za rękę, żebyśmy szli już dalej, ale ona wybucha:

– Dlaczego taki jesteś, tato?! Chcę poznać swoją przyszłość!

Zajebicie. Jeżeli przyprowadzę z powrotem Aoife zaryczaną, Holly na mnie wsiądzie.

– Chodź. Fryzjerka cioci Sharon będzie czekała.

– O-ho. – Silverwind wycofuje się do swojego kantorka. – Przewiduję kłopoty. – Zamyka za sobą drzwi z napisem „Atelier”.

– Nikt nie zna przyszłości, Aoife. Ci oszuści – rzucam w kierunku Atelier – powiedzą wszystko, co tylko ich zdaniem chcesz usłyszeć.

Aoife chmurzy się, pąsowieje na twarzy i aż wpada w dygot.

– Nie!

Teraz i we mnie budzi się irytacja.

– Co nie?

– Nie nie nie nie nie nie nie nie nie.

– Aoife! Nikt nie wie, co się stanie w przyszłości. Właśnie na tym

polega przyszłość.

Moja córka, z czerwonymi wypiekami i już w pełnej hysterii, wrzeszczy:

– Kurde!

Chcę ją zbesztać, że się wyraża, ale... czy moja córka przed chwilą nazwała mnie Kurdem?

– Co ty powiedziałaś?

– Tak mówi Aggie, kiedy jest zła, ale Aggie jest milion razy fajniejsza od ciebie i przynajmniej nigdzie nie wyjeżdża. A ciebie ciągle nie ma w domu!

Aoife odwraca się i sama biegnie z powrotem w stronę wejścia na molo. Dobrze, delikatne polskie przekleństwo, dojrzała porcja emocjonalnego szantażu, najprawdopodobniej przejęta od Holly. Biegnę za nią.

– Aoife! Wracaj!

Aoife odwraca się, odwiązuje linkę z balonikiem od ręki i grozi, że go puści.

– Proszę bardzo. – Wiem, jak z nią postępować. – Ale ostrzegam, że jeśli puścisz balonik, już nigdy więcej żadnego ci nie kupię.

Aoife wykrzywia twarz w grymasie złego gнома z bajki i – co mnie kompletnie zaskakuje i sprawia mi przykrość – wypuszcza balon, który ulatuje i srebrzy się teraz coraz wyżej na błękitnym niebie, Aoife natomiast wpada w ryk i cała zasmarkana wrzeszczy:

– Nienawidzę cię! Nie cierpię Dory! Wracaj sobie! Obchodzi cię tylko Bad Dad! Jedź tam sobie! I więcej tu nie przyjeżdżaj! Nienawidzę cię, nienawidzę, nienawidzę, nienawidzę!

Potem Aoife zaciska powieki i napęłnia powietrzem swoje sześćoletnie płuca.

Połowa Sussex słyszy jej rwany, zaryczany krzyk.

Zabierzcie mnie stąd. Dokądkolwiek.

Dokądkolwiek.

*

Nasser wysadził mnie przy Bramie Asasynów, ale nie podjechał za blisko. Nigdy nie wiadomo, kto obserwuje kierowców, którzy podwożą cudzoziemców, a strażnicy przy bramie łatwo naciskają na spust, nerwowi dranie.

– Zadzwonię po konferencji prasowej – zapowiedziałem Nasserowi – a jeśli telefony nie będą działały, spotkamy się tutaj o jedenastej trzydzieści.

– Jasne – odparł mój tłumacz i pomocnik. – Jadę do Aziza. Powiedz Klimtu, że wszyscy Irakijczycy go uwielbiają. Serio. Budujemy mu ogromny pomnik z wielki fiut w stronę Waszyngton.

Klepnąłem w dach i Nasser odjechał. Potem podszedłem te pięćdziesiąt metrów do bramy, omijając slalomem kawały betonu i krater po zrzuconej w styczniu bombie, ciągle widocznej: pół tony wybuchowego plastiku, a na nim warstewka pocisków odłamkowych – dwadzieścia osób zabitych, sześćdziesiąt ciężko rannych. Olive wykorzystała pięć zdjęć Aziza, a „Washington Post” zapłacił mu za przedruk.

W zeszłą sobotę kolejka do Bramy Asasynów nie była aż taka długa. Teraz przede mną stało z pięćdziesięciu irackich urzędników, robotników i ludzi, którzy zamieszkiwali Zieloną Strefę jeszcze przed inwazją, ustawionych w rządku po jednej stronie łuku, mało subtelnego w formie i zwieńczonego wielką pierśią z piaskowca, ze sterczącym sutkiem. Tuż przede mną stał jakiś Azjata, więc zagadnąłem go i zaczęliśmy rozmawiać. Pan Li miał trzydzieści dziewięć lat i prowadził jedną z chińskich restauracji w Strefie – do kuchni nie dopuszczał żadnego Irakijczyka, w obawie, że wywołają

masowe zatrucie. Li opowiadał, że wraca właśnie ze spotkania z hurtownikiem ryżu, ale kiedy tylko dowiedział się, czym zajmuję się zawodowo, jego angielski stał się nagle znacznie słabszy i pożegnałem się z nadziejami na reportaż „Od Kowloon do Bagdadu”. Zająłem się zatem obmyśleniem logistyki wydarzeń dnia, aż przyszła moja kolej i zostałem wpuszczony do tunelu z zakurzonego płótna i drutu kolczastego. Ochronę „Strefy Wybuchów” zneoliberalizowano, a życzliwi Ghurkowie, obsadzający dawniej Checkpoint One, przegrali przetarg z agencją rekrutującą byłych peruwiańskich policjantów, którzy zgadzali się ryzykować życie za czterysta dolarów miesięcznie. Pokazałem legitymację prasową i brytyjski paszport, pobieżnie mnie przeszukano, a moje dwa dyktafony dokładnie zlustrował kapitan, który miał jakąś dermatologiczną przypadłość i zostawił na moich dyktafonach płatki naskórka.

Powtórzcie to samo trzy razy na trzech kolejnych punktach kontrolnych – Checkpoints Two, Three i Four – i w końcu znajdziecie się w Szmaragdowym Grodzie, jak zaczęto nazywać Zieloną Strefę, fortecę o powierzchni dziesięciu kilometrów kwadratowych, utrzymywaną przez amerykańską armię i jej kontrahentów, by odgrodzić się od rzeczywistości, jaka zapanowała w Iraku po inwazji, i zachować swoiste złudzenie florydzkiej Tamy na Bliskim Wschodzie. Nie licząc sporadycznego ostrzału z moździerzy, złudzenie udaje się utrzymywać, choć amerykańscy podatnicy ponoszą tego gigantyczne koszty. Czarne chevrolety suburbany toczą się gładkimi drogami z dopuszczalną prędkością trzydziestu pięciu mil na godzinę. Elektryczność i benzyna płyną całą dobę, siedem dni w tygodniu. Przyjemnie chłodnego budweisera serwują barmani z Bombaju, którzy występują pod imieniem Sam, Scooter albo Moe, żeby uprościć życie klientom. Prowadzony przez Filipińczyków supermarket sprzedaje mountain dew, skittles i cheetos.

Lśniący czystością autobus, do którego można wskoczyć, a potem wyskoczyć w dowolnym miejscu, czekał na przystanku przy Bramie Asasynów. Wskoczyłem, rozkoszując się klimatyzowanym powietrzem, a autobus ruszył z przystanku co do sekundy zgodnie z rozkładem. Jadąc gładką nawierzchnią wzdłuż Haifa Street, mija się większość najlepszych nieruchomości w całym Iraku, ziggurat upamiętniający krwawą wojnę iracko-irańską – jeden z najbrzydszych pomników świata – i kilka dużych obszarów zastawionych białymi przyczepami Halliburtona. Na takich kempingach mieszka większość pracowników cywilnej administracji w okupowanym Iraku. Jedzą w stołówkach, srają w przenośnych kiblach, nigdy nie wychodzą na krok poza Zieloną Strefę i odliczają dni do chwili, kiedy wrócą do kraju i wpłacą zaliczkę na prawdziwy dom w atrakcyjnej dzielnicy.

Kiedy wysiadłem z autobusu przy Pałacu Republiki, omal nie stratowała mnie grupa jakichś dwudziestu amatorów joggingu, którzy zadyszani truchtali chodnikiem. Wszyscy mieli okulary panoramiczne, pasy na bidony i podkoszulki w plamach potu. Niektóre T-shirty zadawały błyskotliwe pytanie „Who’s Your Baghdaddy Now?”, inne deklarowały „Bush-Cheney 2004”. Żeby uniknąć zderzenia, musiałem uskoczyć im z drogi. Bo oni z całą pewnością nie uskoczyliby przede mną.

*

Ustępuję na bok, przepuszczając rząd dziewczynek w falbaniastych sukienkach, które, chichocząc, biegną główną nawą kościoła Wszystkich Świętych w Hove, bardziej szanowanej części miasta.

– Połowa kwiaciarek w Brighton poleci niedługo na Seszele za to całe kwiecie – komentuje Brendan. – Kew Gardens, normalnie.

– Dużo pracy kosztowało, to na pewno. – Spoglądam na barykadę z

lilii, orchidei i gałązek obsypanych fioletem i różem.

– Dużo kasy kosztowało, Edzie nasz kochany. Pytałem ojca ile ma w plecy, ale mówi, że koszty – Brendan przechyla głowę w kierunku Webberów po drugiej stronie nawy i porusza ustami bezgłośnie – zostały już pokryte. – Sprawdza dzwoniący telefon. – On może poczekać. A skoro mowa o kasie, chciałem cię zapytać, zanim polecisz z powrotem na wojnę, jakie masz zamiary wobec starszej z moich dwóch sióstr?

Czy dobrze usłyszałem?

– Słucham?

Brendan uśmiecha się.

– Spokojnie. Już za późno, żeby zrobić z Holly cnotliwą kobietę. Chodzi mi o nieruchomości. Jej kawalerka w Stoke Newington to jakiś mikroschówek. Rozumiem, że mierzysz wyżej, jeśli chodzi o kupno domu.

Cóż, w tej chwili Holly mierzy prosto w moje jaja i chce wykopać mnie na ulicę.

– W przyszłości, tak.

– To najpierw zadzwoń do mnie. Rynek nieruchomości w Londynie dzisiaj gra bardzo nieczysto i niestety, już niedługo wielu osobom zatrują życie trzy słowa: „ujemny kapitał własny”.

– Jasne, Brendan – odpowiadam. – Dzięki wielkie.

– To polecenie, nie przysługa.

Brendan puszcza do mnie oko, co mnie irytuje. Podchodzimy wolno do stolika, przy którym matka Pete’a, pana młodego, Pauline Webber, cała w złocie i koafiurach jak Margaret Thatcher, rozdaje panom goździki do butonierek.

– Brendan! Pełen energii po wczorajszych „rozrywkach”?

– Absolutnie. Wystarczył garnek espresso i transfuzja krwi – odpowiada Brendan. – Mam nadzieję, że Pete bardzo się upodlił? –

Uśmiech Pauline Webber jest tylko zmarszczeniem nosa. – Zdaje się, że było też afterparty w pewnym „klubie”?

– Coś mi się obilo o uszy. Moi kuzyni z Corku wprowadzali Pete’a w arkana degustacji irlandzkiej whisky. Pani kapelusz to istne dzieło sztuki!

Dla mnie kapelusz Pauline Webber wygląda jak wrona, która rozbiła się przy lądowaniu, cała w turkusowej krwi, ale pani Webber przyjmuje komplement.

– Mam modystkę w Bath. Zdobywała nagrody. I Brendan, mów mi po imieniu, inaczej mam wrażenie, że rozmawiam z kimś z urzędu podatkowego. Teraz butonierka – biały kwiat dla gości panny młodej, czerwony dla gości pana młodego.

– Jak na Wojnie Dwóch Róż – komentuję.

– W żadnym razie. – Pani Webber patrzy na mnie, marszcząc brwi.

– To są goździki. Róże mają za dużo kolców. A pan to...?

– To Ed – wyjaśnia Ruth. – Ed Brubeck. Partner Holly.

– Och, nieustraszony reporter! Ogromnie mi miło. Pauline Webber.

– Uścisk jej dłoni w rękawiczce miażdży mi kości. – Tyle o panu słyszeliśmy od Sharon i Petera. Pozwoli pan, że przedstawię was sobie z Austinem, który... – Odwraca się, szukając nieobecnego męża. – Cóż, Austin też bardzo chce pana poznać. Cieszymy się, że zdążył pan do Brighton. Pewnie przez zamieszki odloty się opóźniały?

– Owszem. Odloty z lotnisk w Iraku nie należą do najłatwiejszych.

– Wyobrażam sobie. Sharon opowiadała, że był pan w tym mieście, Fa... Falufa? Falafel? Gdzie powiesili tych ludzi na moście.

– W Faludży.

– Wiedziałaam, że coś na „Fa”. To straszne. Dlaczego zawsze musimy się w coś mieszać w takich miejscach? – Robi minę, jakby wąchała, czy szynka jest zepsuta. – Zwykli ludzie nigdy tego nie pojmą. W każdym razie – wręcza mi biały goździk – wczoraj poznałam Holly i waszą

córeczkę. Aoife, tak? Absolutnie do zjedzenia! Uroczą dziewczynka!

Myślę o nadąsanym złym gnomie na molo.

– Wiele potrafi.

– Pippa! Felix! W tym wózku jest prawdziwy niemowlak! – Pani Webber biegnie w jego stronę, a my idziemy dalej nawą w stronę ołtarza.

Brendan musi się teraz długo witać, całować, podawać rękę – czeka na to cały kontyngent irlandzkiej rodziny Holly, w tym słynna cioteczna babcia Eilísh, która przejechała rowerem z Corku do Katmandu pod koniec lat sześćdziesiątych. Przesuwam się do przodu. Przy drzwiach do zakrystii spostrzegam Holly w białej sukience, zaśmiewającą się z jakiegoś dowcipu opowiedzianego przez młodego mężczyznę z czerwonym goździkiem. Kiedyś i ja potrafiłem ją tak rozśmieszyć. Gość patrzy na nią z zachwytem, a ja chcę mu skrócić kark, ale czy mogę go za cokolwiek winić? Holly wygląda przepięknie. Podchodzę do nich. Nowa koszula ociera mi szyję, a stary garnitur wpija się w tymczasową górkę na brzuchu, którą niedługo zrzucę na ścisłym reżimie diety i ćwiczeń.

– Cześć – mówię. Holly w zasadzie mnie ignoruje.

– Cześć – odpowiada gość. – Duncan. Duncan Priest. Widzę, że ciotka przydzieliła cię goździkiem do gości Sharon.

Ściskam mu dłoń.

– Czyli ty jesteś... siostrzeńcem Pauline?

– Zgadza się. Ciotecznym bratem Petera. A to Holly, znasz ją już może?

– Wpadamy na siebie na ślubach i pogrzebach – mówi Holly z kamienną twarzą. – Na irytujących spotkaniach rodzinnych, które przeszkadzają w światowej karierze.

– Jestem ojcem Aoife – wyjaśniam Duncanowi Priestowi, na którego twarzy maluje się konsternacja.

– To ty jesteś Ed? Ed Brubeck? – Zwraca się do Holly – Twoja druga połowa? Wielka szkoda, że nie było cię wczoraj na wieczorne kawalerskim Pete’a.

– Jakoś będę musiał to przeżyć.

Duncan Priest wyczuwa, że jestem wkurzony, i się wycofuje.

– No dobrze. Pójdę sprawdzić... czy wszystko w porządku.

– Duncan, wybac Edowi – prosi Holly. – Jego życie jest tak pełne przygód i poczucia misji, że wolno mu być nieuprzejmym wobec nas, stadnych owiec, żalonych biurowych klonów harujących za grosze. Właściwie powinniśmy być mu wdzięczni, że w ogóle nas zauważa.

Duncan Priest uśmiecha się do niej, jak dorosły w obecności rozrabiającego dziecka.

– Miło było cię poznać, Holly. Baw się dobrze i mam nadzieję, że spotkamy się na weselu.

Odchodzi. Palant.

Odmawiam słuchania wewnętrznego zdrajcy, który twierdzi, że to ze mnie jest palant.

– No bardzo miłe to było – mówię do Holly. – I jakie lojalne.

– Nie słyszę cię, Brubeck – rzuca z miażdżącą pogardą. – Nie ma cię tutaj. Jesteś w Bagdadzie.

*

Oskrzydlony flagą amerykańską i powszechnie pogardzaną nową flagą iracką, generał Mike Klimt chwycił krawędź mównicy i zwrócił się do wypełnionej po brzegi sali centrum prasowego. Ostatni raz taki tłum i kłębowisko kabli widziałem w grudniu zeszłego roku, kiedy wśród gromkich wiwatów prezydencki wysłannik L. Paul Bremer III ogłosił schwytanie Saddama Husajna. Mieliśmy nadzieję, że dzisiaj Bremer też się pojawi, ale prezydencki wysłannik, a *de facto* Wielki

Wezyr Iraku, zachowywał majestatyczny dystans do mediów, które z dnia na dzień stawały się coraz bardziej krytyczne i coraz mniej podtrzymywały retorykę z 11 września. Klimt zajrzał do notatek:

– Barbarzyństwo, którego świadkami byliśmy w Faludży trzydziestego pierwszego marca, pogwałciło wszelkie cywilizowane normy, zarówno czasu pokoju, jak i czasu wojny. Nasi żołnierze nie spoczną, póki sprawcy nie zostaną postawieni przed trybunałem sprawiedliwości. Wrogowie przekonają się, że ich bestialstwo tylko wzmocniło, a nie osłabiło determinację sił koalicyjnych. Wydarzenia dowodzą, że złoczyńcy są w desperacji. Wiedzą, że dla Iraku nadszedł czas zmian. Że symbolem przyszłości nie będzie już kałasznikow, lecz urna wyborcza. I właśnie dlatego prezydent Bush zobowiązał się udzielić pełnego wsparcia wysłannikowi Bremerowi i dowódcom naszej armii w operacji Valiant Resolve. Operacja Valiant Resolve nie pozwoli wyrzutkom historii na terroryzowanie miłujących pokój Irakijczyków – a takich jest ogromna większość – i przybliży w Iraku dzień, w którym irackie matki pozwolą dzieciom bawić się na ulicy, z takim samym spokojem w sercu, jak matki w Ameryce. Dziękuję.

– Najwyraźniej – szepnął mi do ucha Big Mac – generał Klimt nigdy nie był matką w Detroit.

Kiedy Klimt zgodził się odpowiedzieć na kilka pytań, reporterzy zaczęli się przekrzykiwać. Larry Dole z Associated Press wygrał batalię o uwagę generała:

– Panie generale, czy może pan potwierdzić bilans ze szpitala w Faludży, który mówi o sześciuset ofiarach śmiertelnych wśród cywilów w zeszłym tygodniu i o tysiącu ciężko rannych?

Pytanie wywołało poruszenie: Stany Zjednoczone nie prowadzą, i wręcz chyba nie mogłyby prowadzić statystyk Irakijczyków zabitych w wymianie ognia, więc nawet samo zadanie takiego pytania to dowód krytyki.

– Cywilna Administracja Iraku – Klimt nachylił się, patrząc na Dole'a spode łba jak byk – nie jest urzędem statystycznym. My zajmujemy się opanowaniem rebelii. Mimo to powiem tyle: każda kropla krwi przelanej w Faludży obciąża bojowników irackich. Nie nas. Kiedy jednak popełniamy błąd, rodzina dostaje odszkodowanie.

Napisałem dla „Spyglassa” artykuł o tych odszkodowaniach: wypłaty spadły z dwóch i pół tysiąca dolarów do pięciuset dolarów za każdego zabitego – wielu Amerykanów więcej wypłaca każdorazowo z bankomatu – a nieprzetłumaczony z angielskiego drobny druk prawniczy dla większości Irakijczyków równie dobrze mógłby być po marsjańsku.

– Panie generale – zapytał niemiecki dziennikarz – czy dysponuje pan wystarczająco licznymi siłami, by kontynuować okupację, czy też poprosi pan sekretarza obrony Rumsfelda o przysłanie kolejnych batalionów do opanowania rewolty, która rozprzestrzeniła się już na cały Irak?

Generał odgonił muchę.

– Po pierwsze, nie lubię słowa „okupacja”, jesteśmy zaangażowani w „przebudowę”. Po drugie, te „rozprzestrzeniające się rewolty”, widział je pan na własne oczy? Był pan w tych miejscach?

– Jazda autostradami jest zbyt niebezpieczna, panie generale – odparł Niemiec. – A pan kiedy ostatnio objeżdżał irackie prowincje samochodem?

– Gdybym ja by dziennikarzem – Klimt uśmiechnął się jedną stroną twarzy – starałbym się nie mylić pogłosek z rzeczywistością. Fakty są takie, że bezpieczeństwo wraca do Iraku. Ostatnie pytanie przed...

– Chciałem zapytać, panie generale – weteran z „Washington Post”, Don Gross, wciął się pierwszy – czy Cywilna Administracja przyznaje teraz, że broni masowego rażenia, którą miał dysponować Saddam Husajn, nie było?

– O, stary dowcip. – Klimt zabębnił palcami w bok mównicy. – Saddam Husajn zamordował dziesiątki tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci. Gdybyśmy tego arabskiego Hitlera nie obalili, wymordowałby jeszcze kilkadziesiąt tysięcy więcej. Według mnie to pacyfiści, którzy chcieli tego architekta ludobójstwa zostawić w spokoju, powinni się tłumaczyć. Jaki etap osiągnął program budowy broni masowego rażenia? Być może nigdy się tego nie dowiemy. Ale dla zwykłych, pokojowo nastawionych Irakijczyków, którzy chcą lepszej przyszłości dla swoich rodzin, nie ma to znaczenia. Dobrze, na tym dziś skończymy...

Z sali zaczęły padać kolejne pytania, ale generał brygady Mike Klimt wyszedł wśród nawałnicy flesztów.

– A morał z tego płynie taki – poczułem placki ziemniaczane i whisky w oddechu Big Maca – że jeśli chcesz mieć newsa, omijaj Zieloną Strefę.

Wyłączyłem dyktafon i zamknąłem notes.

– Tyle wystarczy.

Big Mac skrzywił się.

– Chyba na tekst „Oficjalny bełkot kontra fakty”. Ciągle planujesz wyprawę na zachód?

– Nasser ma już spakowany koszyk, lemoniadę i kanapki.

– Możecie mieć na pikniku pokaz fajerwerków.

– Nasser zna kilka dróg za miastem. Poza tym, co mam robić? Obrabiać te przetworzone ochłapy od Dobrego Wojaka Klimta, z nadzieją że ktoś je pomyłkowo weźmie za dziennikarstwo? Spróbować załatwić „Spyglassowi” powrót na listę akredytacji, żeby znowu pojeździł sobie sześć godzin wojskowym humvee i wysłał Olivii kolejny identyczny tekst „okiem marines”? „»Leci!« – krzyknął artylerzysta, a pocisk z granatnika odbił się od pancerza wozu i rozpętało się piekło”.

– Hej, to moje zdanie. I owszem, ja po południu jadę z naszymi walecznymi żołnierzami. Kiedy ktoś ma sześć stóp i cztery cale wzrostu, waży sto osiemdziesiąt funtów i ma oczy niebieskie jak Jezus Chrystus, nasz Pan i Zbawiciel, nie dostanie się do Faludży inaczej niż w humvee.

– Kto pierwszy wróci do hotelu, stawia piwo.

Big Mac ścisnął moje ramię wielką jak łopata dłonią.

– Uważaj na siebie, Brubeck. Więksi chojracy od ciebie tam się sparzyli.

– Czy to ma być podpoziomowy żart o tych czterech z Blackwater?

Big Mac odwrócił wzrok, żując gumę.

– Może.

* * *

– Zanim Sharon i Peter zwiążą się węzłem małżeńskim, chciałabym, żebyśmy zastanowili się przez chwilę, w co się pakują... – Pastorka Audrey Withers uśmiecha się filuternie. – Czym tak naprawdę jest małżeństwo i jak moglibyśmy wyjaśnić je jakiemuś pozaziemskiemu antropologowi? To przecież coś więcej niż tylko wprowadzenie się do wspólnego mieszkania. Czy małżeństwo to wspólny wysiłek, przysięga, symbol, potwierdzenie miłości? Czy są to przeżyte wspólnie lata i wspólne doświadczenia? Czy jest to przestrzeń, którą wypełnia intymność? Czy też może jest jak w starym dowcipie: „Jeśli miłość to przepiękny sen, małżeństwo to głośny dźwięk budzika”. – Śmiech, w większości męski, zostaje natychmiast uciszony. – A może małżeństwo trudno zdefiniować, bo miewa tak różne formy? Małżeństwo bywa czym innym w zależności od kultury, plemienia, stulecia, dekady, pokolenia i – mógłby dodać nasz pozaziemski badacz – bywa czym innym na różnych planetach.

Ludzie zawierają małżeństwa, bo wymaga tego przyszłość dynastii, bo wpadli, bo tak postanowiła rodzina, bo tak jest wygodniej lub, jak w przypadku Sharon i Petera – pastorka rzuca promienny uśmiech w stronę panny młodej w pięknej sukni i pana młodego w eleganckim garniturze – ponieważ kochają się i szanują. Każde małżeństwo może, i będzie, przechodzić przez okresy burz i słonecznej pogody. Nawet w ciągu jednego dnia nad małżeństwem rano może wisieć gradowa chmura, a wieczorem małżeńskie niebo może być czyste i pogodne...

Aoife w różowych falbanach drużny siedzi koło Holly przy chrzcielnicy. Trzyma aksamitną tackę z obrączkami państwa młodych. Spójrzcie tylko na nie. Jakies dwa miesiące po naszej wyprawie do Northumbrii zadzwoniłem do Holly z budki na lotnisku Charlesa de Gaulle'a, za franki. Wraciałem z Konga, gdzie zbierałem materiały do długiego artykułu o dzieciach-żołnierzach i niewolnicach seksualnych Armii Bożego Oporu. Holly podniosła słuchawkę, powiedziałem: „Cześć, to ja”, a ona odpowiedziała: „O, cześć, tato”.

Poprawiłem ją: „Nie, nie tata. To ja, Ed”.

Holly na to: „Wiem, matole. Jestem w ciąży”.

Pomyślałem: „Nie jestem na to gotowy” i powiedziałem: „Cudownie”.

– W kwestii małżeństwa – ciągnie pastorka Audrey Withers – Jezus wypowiedział tylko jedną bezpośrednią uwagę: „Co Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela”. Teologowie od wieków roztrząsali znaczenie tych słów, ale my z pożytkiem zastanówmy się nie tylko nad słowami, ale i nad czynami Jezusa. Wielu z nas zna przypowieść o weselu w Kanie Galilejskiej, powtarza się ją w kółko przy okazji większości chrześcijańskich ślubów, włącznie z tym. Na weselu w Kanie wypito już ostatnią kroplę wina, więc Maria poprosiła Jezusa, by uratował sytuację, a nawet Syn Boży nie mógł odmówić

stanowczej matce, powiedział zatem sługom, żeby napełnili stągwie wodą. A kiedy słudzy zaczęli z nich nalewać, ze stągwi popłynęło wino – i nie żadna alpaga, nie. Dobre, rocznikowe wino. Gospodarz wesela rzekł panu młodemu: „Każdy człowiek stawia najpierw dobre wino, a gdy sobie podpiją, wtedy podlejsze; ty zaś dobre wino zachowałeś aż do tego czasu!” [7]. Jakże ludzki to gest ze strony Syna Bożego – zadebiutować jako cudotwórca nie wskrzeszaniem umarłych, nie uzdrawianiem trędowatych czy chodzeniem po wodzie, ale uczynkiem dowodzącym, że jest dobrym synem i oddanym przyjacielem. – Pastorka Audrey wbiła wzrok gdzieś w dal nad naszymi głowami, jakby oglądała wideo z wesela w Kanie Galilejskiej. – Jestem przekonana, że gdyby dla Boga ważne było, jak dokładnie powinno wyglądać małżeństwo, dałby nam klarowne instrukcje w Ewangeliach. Dlatego, jak myślę, Bóg ufa, że poradzimy sobie z tym, co napisane drobnym druczkiem.

Brendan siedzi obok mnie. Jego telefon, z wyłączonym dźwiękiem, wibruje. Brendan sięga do kieszeni, ale porzuca zamiar sprawdzenia telefonu pod karcącym spojrzeniem Kath, która siedzi z przodu.

– Sharon i Peter – ciągnie pastorka – spisali swoje śluby. Jestem wielką fanką własnoręcznie pisanych przyrzeczeń. Żeby tego dokonać, musieli usiąść, porozmawiać, wysłuchać się, usłyszeć zarówno to, co zostało powiedziane, jak i to, czego nie powiedzieli sobie głośno, a właśnie w tym, co przemilczane, często ukrywa się prawda. Musieli zawrzeć kompromis. Kompromis to święte słowo, ale również sztuka praktycznego działania. Żaden pastor nie potrafi przepowiedzieć przyszłości – widzę, jak Aoife nadstawia uszu – nie mogę zatem stwierdzić, co czeka Sharon i Petera, małżeństwo jednak może, powinno i musi ewoluować. Nie bójcie się tego i nie oburzajcie się. Bądźcie niezmiennie cierpliwi i dobrzy dla siebie nawzajem. Bo na dłuższą metę gorący termofor podsunięty w mroźną noc, choć o

niego nie prosiliście, więcęj znaczy niż wielkie gesty. Wyrażajcie wdzięczność, szczególnie za pracę, która bywa niezauważana i przyjmowana za oczywistą. Rozpoznawajcie problemy, kiedy tylko powstają, i pamiętajcie, że złość i gniew są łatwopalne. Jeśli zachowałeś się jak osioł, Peter – pan młody uśmiecha się do czubków swoich butów – pamiętaj, że szczerze przeprosiny nigdy nie przynoszą ujmy temu, kto przeprasza. Kiedy błądzimy, uczymy się właściwej drogi.

Jaką ocenę, zastanawiam się, dostalibyśmy z Holly na świadectwie związku od pastorki Audrey Withers? Trójkę z plusem? Pałę?

– A kiedy wujek Peter ją pocałuje? – pyta jakiś dzieciak.

Zgromadzeni wybuchają śmiechem.

– Doskonały pomysł. – Pastorka Audrey Withers wygląda jak kobieta, która lubi swój zawód. – Może przejdźmy już do przyjemnej części.

*

Pół corollę, pół fiata-5 prowadził Nasser. Aziz siedział na miejscu pasażera, z aparatem fotograficznym pod kocem koło nóg, a ja siedziałem z tyłu za kurtyną ubrań do pralni chemicznej, gotów w każdej chwili zakopać się pod prześcieradłami i pudełkami z mlekiem dla niemowląt na podłodze przed fotelem. Wzdłuż czteropasmowej autostrady w kierunku Faludży ciągnęły się niewysokie zabudowania zachodnich przedmieść Bagdadu. Po jakiejś mili czy dwóch bloki mieszkalne ustąpiły domom klasy średniej z czasów prosperity lat siedemdziesiątych: bielone ściany, płaski dach, a wokół wysoki mur ze stalową bramą. Potem mijaliśmy ciągnące się kilka mil piętrowe budynki z pustaków, w których na parterze mieściły się sklepy albo warsztaty, a nad nimi skromne mieszkania. Długi ciąg identycznych

domów z pustaków był jak powtarzające się klatki w tanim filmie animowanym. Minęliśmy kilka stacji benzynowych, do każdej w kolejce stało kilkaset aut. Kierowcy zwykle czekali cały dzień. Nawet w kwietniu słońce rozlewało się po całym niebie, tworząc rozpalony, rażący bezkres i nie przypominało jasnego kręgu znanego na północnych szerokościach. Bezrobotni mężczyźni, starzy i młodzi, stali w dżalabijach, paląc i rozmawiając. Kobiety w hidżabach albo burkach do ziemi chodziły grupkami, nosząc warzywa w plastikowych torbach: uderzyło mnie, że Irak z każdym tygodniem upodabniał się do Iranu. Dzieciaki w wieku Aoife odgrywały walki powstańców z Amerykanami. Nasser włożył kasetę do odtwarzacza i z maleńkich głośniczków ryknęła arabska muzyka. Kobieta śpiewała gamy, do których mój gust nie przywykł, a piosenka była chyba jakimś evergreenem, bo i Nasser, i Aziz zaczęli pomagać w chórkach. Podczas przerwy instrumentalnej zapytałem Nassera – przekrzykując ryczącą muzykę i warkot silnika – o czym jest piosenka.

– O dziewczynu! – odrzyknął mój tłumacz. – Mężczyzna, którego kocha, jedzie do Iran, walczyć, wojna, ale już nie wraca. Ona piękna, więc inni mężczyźni mówią: „Hej, skarbie, mam pieniądze, mam wielki dom, mam *wasta*, będziesz moja żona?”. Ale dziewczyna mówi: „Nie, będę czekać tysiąc lat na mojego żołnierzu”. Jasne, piosenka bardzo... Jak mówicie? – Kiedy za słodkie? Zapomniałem słowo – *santy-man-telny*?

– Sentymentalna.

– Baaaardzo sentymentalna, ale moja żona mówi, że dziewczyna – szalona! Jak nie ma męża, co się z nią staje? Żołnierze martwe nie mogą przysyłać pieniędzy! Ona umrze z głodu. „Tylko mężczyzna pisze taka głupia piosenka”, mówi moja żona. Ale ja mówię: „Ach...”. – Nasser machnął ręką w rezygnacji – Ta piosenka mnie wzrusza. – Walnął się w pierś. – Miłość silniejsza niż śmierć. – Odwrócił się do

mnie. – Wiesz?

*

Ivano del Pio z „Sydney Morning Herald” polecił mi Nassera jako tłumacza, kiedy sam wyjeżdżał z Bagdadu, i Nasser okazał się moim najlepszym pracownikiem ze wszystkich. Przed inwazją Iraku pracował w radiofonii i dochrapał się kierowniczego szczebla, co oznaczało, że musiał wstąpić do partii Baas. Miał przyzwoity dom i mógł utrzymać żonę i trójkę dzieci, nawet kiedy Irakijczycy głodowali z powodu sankcji nałożonych przez Stany Zjednoczone i ONZ. Po inwazji Nasser zarabiał na życie, pracując dla zagranicznych dziennikarzy. Za rządów Saddama oficjalnym tłumaczom nie można było ufać. Saddam opłacał ich, żeby rozmawiali z zagraniczną prasą rządowymi sloganami i żeby informowali Muchabarat o każdym zwykłym Irakijczyku, który był na tyle nieroztropny, by ujawniać choćby okruchy prawdy o życiu pod rządami reżimu. Nasser miał jednak dziennikarskiego czuja i wytrawne oko, i przy części moich najlepszych tekstów dla „Spyglassa” upierałem się, żeby on również był pod nimi podpisany i dostawał gażę współautora. Nigdy nie używał jednak swojego prawdziwego nazwiska, na wypadek gdyby jakiś wróg doniósł którejkolwiek z kilkunastu powstańczych grup, że kolaboruje. Aziz, fotograf, był dawnym kolegą po fachu Nassera, ale jego angielski był równie słaby, jak mój arabski, więc nie znałem go aż tak blisko, jak mojego tłumacza. Aziz znał jednak swój fach i działał przy tym ostrożnie, a gdy szukał dobrego ujęcia, był sprytny i odważny. Fotografowanie to w Iraku niebezpieczne hobby: policja zakłada, że dokumentujesz obiekty dla przyszłych zamachowców-samobójców.

Minęliśmy walące się mury i zrujnowane sklepy.

„Jeśli doprowadzi pan do tego, że coś się rozpadnie” – ostrzegł Busha Colin Powell, co zaczęło funkcjonować pod nazwą „zasady Pottery Barn”[8] – „przejdzie to na pana własność”.

Rodziny, całe w brudzie i kurzu, przeczesywały ogromne kurhany gruzów.

„Będzie pan dumnym właścicielem dwudziestu pięciu milionów ludzi...”.

Rzędy latarni, w większości pochylonych, niektóre przewrócone.

„Wszystkich ich nadziei, ambicji, problemów. To wszystko będzie pańskie”.

Minęliśmy barierkę ochronną przy niewielkim kraterze, miejscu wybuchu miny-pułapki. Dojechaliśmy do oficjalnego punktu kontrolnego, obsadzonego przez irackich policjantów, przejazd zajął nam czterdzieści minut. Policja nie powinna robić kłopotów zagranicznemu dziennikarzowi, ale wszyscy odetchnęliśmy z ulgą, kiedy policjanci chyba nie zauważyli, że jestem obcy. Auto Nassera było trupem nawet według irackich standardów, ale jego kaszlakowatość służyła jako zawodowy kamuflaż. Który szanujący się dziennikarz, agent czy dżihadysta podróżowałby takim rzęchem?

Im dalej jechaliśmy na zachód, tym bardziej ryzykowna stawała się nasza wyprawa. Nasser coraz słabiej znał teren, a na poboczach drogi N10 i autostrady w kierunku Abu Ghraib porozstawianych było mnóstwo min-pułapek. Ich oczywistym celem były amerykańskie konwoje wojskowe, ale świadomość, że każdy zdechły pies, kartonowe pudło czy worek pełen śmieci mogą ukrywać ładunki wybuchowe wystarczająco silne, żeby wysadzić humvee, sprawiała, że byliśmy czujni i w nieustannym napięciu. Istniało też ryzyko porwania. Z moją śniadą cerą, zarostem, brązowymi oczami, ubrany w miejscowy strój mogłem na pierwszy rzut oka uchodzić za bladego Irakijczyka, ale wystarczyło kilka słów, żeby mój podstawowy zakres arabskiego

zdradził mnie jako cudzoziemca. Miałem fałszywy paszport bośniacki, który miał wyjaśniać słabą znajomość języka, natomiast potwierdzać wyznanie islamskie, ale takie gierki niosą duże ryzyko. O ile z tłumem można by spokojnie dyskutować, sęk w tym, że to nie tłum by mnie porwał. Bośniacy nie są co prawda oczywistym celem porwań dla okupu, ale jeszcze dwa tygodnie temu pracownicy japońskich organizacji pozarządowych też nie byli. Gdyby znaleziono przy mnie legitymację prasową, moja wartość by wzrosła: sprzedano by mnie jako szpiega jakiemuś członkowi Al Kaidy, a tych interesują nie tyle pieniądze, ile „wyznanie winy” i ścięcie głowy przed kamerą. W połowie drogi między Bagdadem a Faludżą dojechaliśmy do miasta Abu Ghraib, słynącego z niszczących fabryk, palm daktylowych i ogromnego kompleksu więziennego, gdzie dawniej, w warunkach gorszych niż średniowieczne, torturowano wrogów Saddama, faktycznych lub potencjalnych. Do Big Maca docierają plotki, że za rządów Cywilnej Administracji niewiele się zmieniło. Z lewej strony minęliśmy umocniony mur więzienia, długi na kilometr, a Nasser przetłumaczył hasło wymalowane na wprost muru na zbombardowanym budynku: „Będziemy łomotać do bram nieba czaszkami Amerykanów”. Byłoby z tego zajebiste pierwsze albo ostatnie zdanie artykułu. Zapisalem je w notesie.

Przed meczetem Nasser zjechał na bok, żeby przepuścić amerykański konwój, który wjeżdżał na autostradę. Aziz zrobił kilka zdjęć z samochodu, ale nie odważył się wysiąść: nerwowy snajper mógł wziąć teleobiektyw za ręczny granatnik. W konwoju zmierzającym do Faludży naliczyłem dwadzieścia pięć pojazdów i zastanawiałem się, czy w którymś z tych humvee siedzi spocony Big Mac. Wtedy Aziz rzucił coś po arabsku, a Nasser powiedział:

– Ed, kłopoty! – Od strony niskich budynków przy meczecie szło w naszym kierunku sześciu ludzi.

– Jedźmy – odparłem.

Nasser przekręcił kluczyk w stacyjce.

Nic.

Nasser przekręcił kluczyk w stacyjce.

Nic.

Trzy sekundy na decyzję, czy ściemniać, czy się schować...

Wśliznąłem się pod pudełko z mlekiem, a kilka sekund później jakiś człowiek przywitał się z Nasserem przez okno kierowcy. Zapytał, dokąd jedziemy. Nasser odparł, że z kuzynem wiezie dostawę do Faludży. Człowiek zapytał:

– Jesteś sunnitą czy szyitą?

Niebezpieczne pytanie. Przed inwazją rzadko je słyszałem.

Nasser odparł:

– Kiedy Faludża płonie, wszyscy jesteśmy Irakijczykami.

Już mówiłem, Nasser jest świetny. Mężczyzna poprosił o papierosa.

Nastąpiła chwila ciszy. Potem zapytał, co wieziemy.

– Mleko dla niemowląt – wyjaśnił Aziz. – Dla szpitali.

Nasser opowiedział, jak to jego imam mówił, że skurwiele Amerykanie wysypywali mleko dla niemowląt do ścieków, żeby irackie maleństwa nigdy nie urosły i nie zostały dżihadystami.

– My też mamy tutaj głodne dzieci – zauważył mężczyzna.

Ani Aziz, ani Nasser nie mieli na to gotowej odpowiedzi.

– Powiedziałem – powtórzył mężczyzna – że my też mamy tutaj głodne dzieci.

Gdyby samochód rozładowano, znaleźliby mnie, obcokrajowca, rzut beretem od wszechkwatery głównej irackiego więziennictwa. Sam fakt, że się ukrywałem, unieważniał moją historię bośniackiego dziennikarza. Nasser odpowiedział entuzjastycznie, że w takim razie z przyjemnością przekażą pudło mleka dla dzieci z Abu Ghraib. Potem niewinnie poprosił o przysługę w zamian. Samochód mu, cholera, nie

chce zapalić i czy mogliby go popchnąć?

Nie zrozumiałem, co odpowiedział ten gość. Kiedy otworzyły się drzwi corolli, nie miałem pojęcia, czy Nassera wyprowadzają z samochodu z lufą przy skroni, czy też może kazali wyładować wszystkie kartony z mlekiem. Ktoś przesunął fotel do przodu i podniósł pudło zakrywające moją twarz...

...Zobaczyłem włochaty nadgarstek z chińskim roleksem i denko pudła, które miałem na twarzy. Czekałem, aż rozlegnie się krzyk. Potem oparcie fotela kierowcy opadło z powrotem. Usłyszałem śmiech, następnie samochód ugiął się pod ciężarem Nassera i rozległy się głośnie pożegnania. Chwilę później poczułem, jak samochód się toczy do przodu, i usłyszałem chrzęst żwiru pod oponami. Auto raz skoczyło żabką, zanim zaskoczył silnik.

Aziz wypuścił powietrze.

– Myślałem, że my nieżywi.

Leżałem pod pudełkami skulony i bałem się oddychać.

Myślałem: „Kiedy wrócę do domu, już nigdy nigdzie nie wyjadę”.

Myślałem: „Kiedy wrócę do domu, już nigdy nie będę tak mocno czuł, że żyję, jak w tej chwili”.

*

– Dobrze, zaczniemy od obu rodzin – mówi fotograf o twarzy spaniela, w hawajskiej koszuli.

Na schodach przed kościołem świeci słońce, a wszystkie liście są młode i świeżozielone. W Mezopotamii wystarczyłoby jedno popołudnie, żeby spaliły się na brązowo. Tam flora musi się zbroić w pancerze i kolce, żeby przetrwać.

– Rodzina Webberów z lewej – zarządza fotograf – a Sykesowie z prawej, bardzo proszę.

Pauline Webber z wojskowym drylem szybko ustawia rodzinę, natomiast Sykesowie nieśpiesznie stają na wyznaczonych miejscach. Holly rozgląda się, szukając Aoife, która nabiera garście konfetti, żeby się rzucić z innymi.

– Chodź, stań do zdjęcia, Aoife.

Aoife przytula się do Holly i żadnej z nich nie przyjdzie nawet do głowy, żeby mnie szukać. Więc zostaję, gdzie stoję, poza kadrem. Sykesowie i Webberowie, jak wszyscy, którzy gdzieś przynależą, nie zauważają, jak łatwo tworzą grupy, linie, rangi, koterie. Ale my, którzy nie przynależymy nigdzie, dobrze wiemy, kim jesteśmy.

– Proszę się ścisnąć z obu stron kadru – mówi fotograf.

– Ed, obudź się! – Kath Sykes macha do mnie ręką. – Ty też masz być na zdjęciu.

Choć diabeł podszeptuje mi odpowiedź: „Holly jest raczej innego zdania”, stoję między Kath i Ruth. Holly, w rzędzie niżej, nie odwraca głowy, ale Aoife, z kwiatkami we włosach, patrzy na mnie przez ramię i pyta:

– Tato, widziałeś, jak niosłam tacę z obrączkami?

– Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktoś tacę z obrączkami niósł tak pięknie, Aoife.

– Pochlebstwami wiele się osiąga, tato – mówi, i wszyscy, którzy to słyszą, wybuchają śmiechem, więc Aoife, wniebowzięta, powtarza sentencję.

Kiedyś miałem nadzieję, że dzięki temu, że nie wzięliśmy ślubu, będziemy mogli z Holly uniknąć scen, które odgrywali moi rodzice, zanim ojciec poszedł siedzieć na dwanaście lat. To prawda, z Holly niby nie wrzeszczymy na siebie i niczym nie rzucamy, ale jednak wrzeszczymy i rzucamy – w niewidoczny sposób.

– Dobrze – mówi fotograf. – Wszyscy gotowi?

– Gdzie babcia Eilish? – pyta Amanda, najstarsza latorośl Brendana.

– Tak właściwie to dla ciebie prababcia Eilish – zwraca uwagę Brendan.

– Jasne, tato, jest mi wszystko jedno. – Amanda ma szesnaście lat.

– Czas nas goni – popędza Pauline Webber.

– Rozmawiała z pastorką Audrey... – Amanda odbiega.

Fotograf prostuje się, a uśmiech na jego twarzy błednie. Zwracam się do mojej niby-szwagierki:

– Wspaniała ceremonia, Sharon.

– Dzięki, Ed. – Sharon się uśmiecha. – I z pogodą też nam się udało.

– Ani jednej chmurki i piękne słońce.

Ściskam dłoń Peterowi.

– I jak, Pete? Jak się czujesz jako pan Sykes?

Peter Webber uśmiecha się, myśląc, że się przejęczyłem.

– Chciałeś chyba powiedzieć „pan Webber”, Ed. Sharon jest teraz panią Webber.

Z mojej miny powinien odczytać: „Właśnie ożeniłeś się z jedną z Sykesów, stary”, ale Peter jest zbyt głęboko zakochany, żeby to zrozumieć. Jeszcze to odkryje. Tak jak ja odkryłem.

Holly zachowuje się, jakby mnie tam nie było. Trenuje, skoro ma okazję.

– Proszę zrobić przejście dla mocno wiekowej damy, z drogi, z drogi – komenderuje żartem prababcia Eilish, mówiąc swoim beztróskim akcentem z Corku.

Razem z nią idzie Amanda.

– Audrey, nasza pastorka, wyjeżdża za tydzień do Tanzanii i prosiła mnie o kilka wskazówek. Kath, mogę się tu wcisnąć...? – W ten sposób ja daję krok do przodu, przez co staję w końcu obok Holly, żałując, że nie mogę wziąć jej za rękę tak, żeby nie zrobiła się z tego wielka afera. Ale nie da się. Nie biorę Holly za rękę.

– Wszyscy obecni – melduje Pauline Webber fotografowi. –

Nareszcie.

Jakiś chłopak śmiga lekko na rolkach koło kościoła. Wydaje się wolny jak ptak.

– Dobrze – mówi fotograf – kiedy policzę do trzech, chcę widzieć szerokie uśmiechy. Zgoda? Raz... dwa... i...

*

Przez wyrwę w ścianie z kartongipsu Aziz zrobił zdjęcie rodziny, która pośpiesznie przedziera się przez nieużytki, z jakimi od północy graniczy teren szpitala polowego. Arabskie *Grona gniewu*, na piechotę. Powiedziałem mu, że to może być zdjęcie na okładkę, jeśli wyszłoby dobrze.

– Przyniosę jutro do ciebie, do hotelu, jak wywołam. Jeśli na okładkę – Aziz potarł kciukami palce wskazujące obu dłoni w powszechnie znanym geście – Miss Olive płaci więcej?

– Jeśli je wykorzysta, tak – odparłem. – Ale powinieneś...

Nad naszymi głowami, bardzo nisko, przeleciał z hukiem helikopter, a silny podmuch ostrzelał nas piachem i żwirem. Obaj z Azizem przykucnęliśmy i schyliliśmy głowy. Szturmowa cobra? Na drogę wybiegły dzieciaki z sąsiedniego gospodarstwa, wrzeszcząc i pokazując palcami wzbijające się kłęby pyłu, aż helikopter zniknął w oddali. Jeden z chłopaków symbolicznie rzucił za nim kamieniem. Zaniepokojona kobieta w hidżabie zawołała dzieciaki do domu, posłała w naszą stronę nienawistne spojrzenie i zatrzasnęła furtkę. Byliśmy już tak blisko Faludży, jak tylko się dało podjechać, rzut golfową piłką od węzła, gdzie autostrada do Abu Ghraib łączy się z autostradą nr 10. Na południe od węzła przez falujące, rozgrzane powietrze widać było prowizoryczną „zagrodę” dla pojazdów gromadzących się w pobliżu zewnętrznego punktu kontrolnego.

Drogę blokowało mnóstwo komandosów i dwa opancerzone bradleye – w zasadzie miniczołgi. Drugi punkt kontrolny był tuż za węzłem, oskrzydłony przez zrównane buldożerem poboczne autostrady, pas ziemi i rumowisko, po którym przeciągnięto drut kolczasty. Dzisiaj nikogo nie wpuszczano do Faludży, a z miasta pozwalano wyjeżdżać tylko kobietom i dzieciom.

Pogłoski o polowym szpitalu dla uchodźców, założonym przez dwóch irackich lekarzy, okazały się prawdziwe. Nasser dostał się do środka i nagrywał wywiady dzięki swojej akredytacji prasowej z Al Dżaziry, równie autentycznej jak mój bośniacki paszport. My też z Azizem dołączyliśmy do niego na chwilę. Co najmniej setką pacjentów zajmowało się dwóch lekarzy i dwie pielęgniarki, a wyposażenia i sprzętu mieli niewiele więcej niż to, co przyszło w paczkach z pomocą. Za łóżka służyły koce rozłożone na podłodze niegdyś przestronnego salonu, a główny stół operacyjny jeszcze do niedawna był stołem bilardowym. Nie dysponowali żadnym znieczuleniem. Większość pacjentów cierpiała ból, silny lub silniejszy, kilku wyło, niektórzy byli na progu śmierci. Kostnicę stanowił jeden z pokoiów, gdzie leżało sześć ciał, po które nikt się nie zgłaszał. Muchy i smród były nie do zniesienia, więc kilku mężczyzn kopało właśnie groby w ogrodzie. Pielęgniarki obiecały rozdzielić mleko dla niemowląt między potrzebujących, ale lekarze pytali nas o środki przeciwbólowe i bandaże.

Aziz zrobił kilka zdjęć, a Nasser w tym czasie przeprowadzał wywiady. Zostałem wcześniej przedstawiony jako bośniacki kuzyn Nassera, również pracujący dla Al Dżaziry, uprzedzenie do obcokrajowców było jednak silne, więc razem z Azizem wyszliśmy ze szpitala niedługo potem i czekaliśmy przy samochodzie, żeby nie przeszkadzać Nasserowi w pracy. Usiedliśmy na powyszczerbianym krawężniku i obaj wypiliśmy po butelce wody. Nawet na wiosnę w

Mezopotamii panuje taki upał, że można pić cały dzień i w ogóle nie chce się sikać. Od strony Faludży, jakiś kilometr na zachód, słyszeliśmy strzały z karabinu i co kilka minut potężne wybuchy. W powietrzu śmierdziały palone opony.

Aziz schował swój aparat w samochodzie. Wrócił z papierosami i poczęstował mnie jednym, ale ja ciągle trzymałem się w postanowieniu rzucenia palenia.

– Busha rozumiem – zaczął Aziz, przypalając papierosa. – Bush-ojciec nienawidzi Saddama, potem jest WTC, więc Bush chce zemsty. Ameryka potrzebuje ropa, Irak ma ropa, więc Bush zdobędzie ropa. Przyjaciele Busha też wzbogacą, Halliburton, dostawy, broń, dużo pieniędzy. To zły powód, ale rozumiem. Ale dlaczego twój kraj, Ed? Co chce tu Anglia? Anglia wydaje tu dużo dolary i traci setki ludzi. Po co, Ed? Nie rozumiem. Kiedyś ludzie mówią: „Anglia dobra, Anglik dżentelmen”. Dziś mówią: „Anglia dziwka Ameryki”. Dlaczego? Chcę zrozumieć.

Przeglądałem w myślach możliwe odpowiedzi na pytanie Aziza. Czy Tony Blair rzeczywiście wierzył, że Saddam Husajn ma rakiety zdolne zniszczyć Londyn w czterdzieści pięć minut? Czy naprawdę podzielał fantazję neokonserwatystów o zaszczepieniu na Bliskim Wschodzie liberalnej demokracji i podziwianiu, jak się bujnie rozkrzewia? Mogłem tylko wzruszyć ramionami.

– A kto to może wiedzieć?

– Allah wie – odparł Aziz. – Blair wie, żona Blair wie.

Oddałbym rok życia, żeby poznać myśli naszego premiera. Może nawet trzy lata. Jest inteligentnym człowiekiem. Widać to po tym, jak w różnych wywiadach sprawnie unika odpowiedzi na trudne pytania. Czy kiedy patrzy w lustro, myśli: „Kurwa, Tony, w Iraku wszystko poszło nie tak – dlaczego, dlaczego, dlaczego posłuchałeś George’a?”.

Nad nami zakrążył dron. Na pewno uzbrojony. Pomyślałem o jego

operatorze, wyobrażając sobie ostrzyżonego na rekruta dziewiętnastolatka imieniem Ryan w bazie w Dallas, popijającego przez słomkę Frappuccino z lodem. Mógł otworzyć ogień i ostrzelać połowy szpitala, zabić wszystkich w środku i w pobliżu, i nawet nie poczuć smrodu pieczonego mięsa. Dla Ryana byliśmy tylko rozpikslowanymi obrazami termicznymi na ekranie, pełzającymi to tu, to tam i zmieniającymi kolor na żółty, czerwony i niebieski.

Dron odleciał, a od strony punktu kontrolnego podjechał do nas biały pick-up. Zahamował gwałtownie pod furtką szpitala, wyskoczył z niego kierowca z głową owiniętą zakrwawioną kefiją i podbiegł do drzwi pasażera. Podeszliśmy z Azizem, żeby pomóc. Kierowca, facet mniej więcej w moim wieku, wyciągnął jakiś tobół owinięty płótnem. Chciał go zanieść, ale potknął się o pustak i przewrócił się na ziemię, osłaniając tobół, gdy upadał. Kiedy pomagaliśmy mu wstać, zobaczyłem, że trzyma chłopca. Dziecko było nieprzytomne, sine, miało zaledwie pięć czy sześć lat, z ust wypływała mu krew. Mężczyzna wyrzucił z siebie jakieś historyczne arabskie słowa – rozpoznałem tylko wyraz „lekarz” – i Aziz zaprowadził go na teren szpitala. Poszedłem za nimi. W pomieszczeniu, które dawniej było salonem, kobieta poszukała pulsu na ręce chłopca, nie powiedziała ani słowa, krzyknęła coś tylko do jednego z lekarzy, który odkrzyknął jej z drugiego końca domu. Kiedy moje oczy przyzwyczaiły się do mroku wewnątrz polowego szpitala, zobaczyłem, że Nasser rozmawia z jakimś wachlującym się człowiekiem o zapadniętej twarzy, w podkoszulku bez rękawów. Potem jakiś mężczyzna o łagodnym głosie, który nawet tutaj pachniał wodą po goleniu, przyczepił się do mnie, zadając w dialekcie złożone pytanie – albo też pytanie, które zmieniło się w groźbę – zawierające słowa „Bośnia”, „Ameryka” i „zabijać”. Zakończył, podrzynając sobie gardło palcem. Pokręciłem głową, potem nią kiwnąłem, w nadziei że tym samym dam do zrozumienia,

że wiem, o czym mówi, ale to dla mnie zbyt skomplikowane sprawy, żeby udzielić prostej odpowiedzi. Potem oddaliłem się. I głupio obejrzałem się za siebie: facet cały czas na mnie patrzył. Aziz wyszedł za mną i podeszliśmy do corolli. Ostrzegł mnie:

– On jest z milicji. Testował cię.

– I zdałem?

Aziz nie odpowiedział.

– Przyrowadzę Nasser. Jeśli ten facet tu przyjdzie, ty schowaj. Jeśli przyjdą uzbrojeni ludzie... Żegnaj, Ed.

Aziz pośpiesznie wrócił na teren szpitala. Przede mną rozciągało się otwarte pustkowienie, na którym nie było nawet gdzie się ukryć. W przeciwieństwie do poprzedniej sytuacji, kiedy o mało co nie zgarnięto mnie przed meczetem, teraz miałem czas myśleć. Pomyślałem o Aoife na lekcji u pani Vaz w podstawówce w Stoke Newington, jak śpiewa *Somewhere Over The Rainbow*. Pomyślałem o Holly w schronisku dla bezdomnych na tyłach Trafalgar Square, jak pomaga jakiemuś chłopakowi na gigancie wypełniać formularz ubezpieczeń społecznych.

Ale postacią, która wyszła przez szpitalną furtkę, może dwadzieścia kroków ode mnie, nie był ani Aziz, ani Nasser, ani żaden islamista z kałasznikowem. To był kierowca pick-upa, ojciec tego chłopca. Wpatrywał się w przestrzeń, w stronę Faludży, gdzie helikoptery huczały nad głowami dwustu pięćdziesięciu tysięcy ludzi.

Potem ugięły się pod nim kolana, upadł i wybuchł szlochem, z twarzą przy ziemi.

*

– Ja cię nie mogę! – Dave Sykes wchodzi do męskiej toalety w hotelu Maritime, kiedy ja akurat myję ręce i myślę, jak cenna jest woda w

Iraku. Orkiestra weselna w sali bankietowej gra jazzową wersję *Lady In Red* Chrise de Burgha. Dave rozgląda się po przestronnej łazience. – Można by tu zmieścić niezłe pole golfowe.

– I to jakie eleganckie – odpowiadam. – Kafelki to prawdziwy marmur.

– Elegancki kibel, idealny do zdjęcia kogoś przez mafię. Z tych kabinek mogłoby wyskoczyć pięciu gości z karabinami maszynowymi.

– Ale może nie w dniu, kiedy ślub bierze taty córka.

– No, może nie. – Dave podchodzi do pisuaru i rozpina rozporek. – Pamiętasz kible w Kapitanie Marlow?

– Z nostalgią. To brzmi dziwnie. Pamiętam graffiti. Nie, żebym sam był autorem, oczywiście.

– W Kapitanie mieliśmy najsprośniejsze graffiti w całym Gravesend. Kath zawsze kazała mi je zamalowywać, ale wystarczyły dwa tygodnie, żeby kible znowu były pomazane.

Z dziennikarskiej powinności pytam:

– Tęskni tata za życiem właściciela pubu?

– Za tym i owym, jasne. Za życiem towarzyskim. Za częścią stałych klientów. Nie mogę powiedzieć, żebym tęsknił za godzinami pracy ani za awanturującymi się gośćmi. Ani za podatkami, ani za robotą w papierach. Ale ten pub przez czterdzieści lat był naszym domem, więc byłoby dziwne, gdybym nie tęsknił, wiesz, zbyt dużo wspomnień. Tam dorastały dzieci. Nie potrafię tam wrócić. Nie zniósłbym tego widoku. „Lotosowa Sowa”, na miłość Boga! Pozerscy yuppies na swoich telefonach. Całe piętro przerobione na „mieszkania dla zarządu”. A ty odwiedzasz czasem Gravesend?

– Od śmierci mamy nie. Nie byłem ani razu.

Dave zapina rozporek i podchodzi w moją stronę, stawiając kroki jak starszy pan, któremu przydałoby się schudnąć parę kilo. Przy umywalce z wahaniem wyciąga rękę do dyspensera z mydłem. Na

końcówce wykwita kulka piany i spada na jego dłoń.

– Proszę! Życie z każdym dniem coraz bardziej zmienia się w science fiction. Już nawet nie chodzi o to, że człowiek się starzeje i dzieci się wyprowadzają, ale o to, że świat się oddala, a ty tęsknisz za latami sześćdziesiątymi czy osiemdziesiątymi, za tymi, w których czułeś się najlepiej. – Dave wsuwa namydloną dłoń pod kran z ciepłą wodą i strumień zaczyna lecieć. – Ciesz się Aoife, póki możesz, Ed. Dzisiaj nosisz kochanego szkraba na barana, a za chwilę ona się wyprowadzi, a ty uświadomisz sobie coś, co zawsze przeczuwałeś: choćbyś nie wiem jak je kochał, dzieci zawsze są tylko pożyczką.

– Najbardziej przeraża mnie myśl o pierwszym chłopaku Aoife – mówię.

Dave otrząsa dłonie z kropel wody.

– E, przeżyjesz.

Z moim niewyparzonym językiem pewnie właśnie przypominałem Dave’owi o Vinnym Costello i wydarzeniach, które poprzedziły zniknięcie Jacko, więc szybko staram się zmienić temat:

– W każdym razie Pete wydaje się przyzwoitym gościem.

– Chyba tak. Poza tym Sharon zawsze była wybredna.

Łapię się na tym, że w odbiciu Dave’a w lustrze szukam jakichkolwiek oznak zgryźliwości, niewypowiedzianego „w przeciwieństwie do Holly”, ale on uspokaja mnie:

– Spokojnie, Ed, ty jesteś w porządku. Jesteś jednym z niewielu znanych mi facetów, którzy potrafią nosić zarost z taką klasą, jak ja.

– Dzięki. – Wsuwam dłonie pod suszarkę i zastanawiam się: Czy naprawdę bym wyjechał? Zostawił Holly i Aoife dla pracy reportera?

Jestem zły na Holly, że zmusza mnie do takiego wyboru.

Chcę tylko, żeby Holly potrafiła dzielić ze mną moją pracę.

Tak jak ja dzielę z Holly jej pracę. Tak jest fair.

– To chyba będzie dla ciebie lekki szok – rzuca Dave z intuicją

byłego barmana – powrót do Anglii na stałe. Prawda?

– Mm... tak, raczej tak, chyba że sprawy potoczą się inaczej.

– Aa. A jak się mogą potoczyć?

– „Spyglass” zaproponował mi przedłużenie kontraktu do grudnia.

Dave współczująco wzdycha.

– Dylemat stary jak świat. Praca czy rodzina. Nie mogę udzielać ci rad, Ed, ale tak się składa, że przez te wszystkie lata poznałem niejednego gościa, który właśnie dowiedział się od lekarza, że zostało mu kilka miesięcy życia. Całkiem logiczne – jeśli kiedyś mnie lekarz powie coś takiego, też natychmiast pójdę do baru, żeby się schlać i wygadać przed kimś życzliwym. I jakoś żaden z nich nie płakał: „Dave, dlaczego nie spędzałem więcej czasu w pracy?”.

– Może zawodowo robili nie to, co trzeba? – odpowiadam i natychmiast karcę się w myślach za własną nonszalancję.

Co gorsza, nie zdążam wyjaśnić, o co tak naprawdę mi chodzi, bo otwierają się drzwi i do łazienki wpadają trzy irlandzkie kuzynki Holly, pokładając się ze śmiechu z jakiegoś dowcipu.

– Ed, wujek Dave, tu jesteście – mówi Oisín, w której rodzinnych powiązaniach z Holly zawsze się gubiłem. – Ciocia Kath wysłała nas, żebyśmy was znalazły i przyprowadziły żywych z powrotem.

– O rany, co takiego znowu przeszkrobałem?

– Luzik, wujku. Po prostu czas pokroić tort.

*

Z powrotem do Bagdadu prowadził Aziz, więc Nasser mógł mi opowiadać o pacjentach, z którymi rozmawiał w szpitalu. Razem ze zdjęciami zrobionymi przez Aziza, mieliśmy materiał na dobry tekst do „Spyglassa”. Jeszcze jednak przed Abu Ghraib utknęliśmy w długim zatorze na drodze. Nasser wyskoczył przy przydrożnej budce i

wrócił z kebabami i dwiema informacjami: zaatakowano konwój z paliwem, więc główna droga do Bagdadu jest częściowo zablokowana przez dziesięciometrowy krater, stąd taki korek; i że na południowy wschód od terenu więzienia zestrzelono amerykański helikopter. Postanowiliśmy nadłożyć drogi i poszukać miejsca katastrofy. Żuliśmy kawałki łykowatej baraniny – a może to było kozie mięso? – a Aziz skręcił na południe przy meczecie, gdzie dziś wcześniej mieliśmy kłopoty. Kiedy teren więzienia został już za nami, zobaczyliśmy wąski słup czarnego dymu, wznoszący się zza gęstego rzędu tamaryszków. Chłopak na rowerze potwierdził, że tak, zestrzelono tam amerykański śmigłowiec, kiowę, chwala Allahowi. Chłopcy dorastający w okupowanym Iraku znają się na broni i sprzęcie wojskowym, tak jak ja w latach osiemdziesiątych wiedziałem wszystko o wędkach, motorach i Top 40. Chłopak krzyknął „bum!” i się zaśmiał. Jak powiedział Nasserowi, pół godziny wcześniej kilku marines usunęło ciała dwóch Amerykanów, więc mogliśmy bezpiecznie pojechać na miejsce katastrofy.

Droga prowadziła nad kanałem irygacyjnym, przez widziany wcześniej rząd tamaryszków, a potem przez zarośnięte chwastami pole. Dymiący kadłub zmiażdżonej, osmalonej kiowy leżał na boku, a jej oderwany ogon widać było na drugiej części pola.

– Pocisk ziemia-powietrze – ocenił Nasser – przeciął go na pół. Jakby mieczem.

Wokół stało może dwudziestu mężczyzn i chłopców. Z jednej strony, nieco dalej, widać było zabudowania gospodarstwa i jakieś porzucone maszyny. Aziz zaparkował w narożniku pola i wysiedliśmy, żeby podejść do wraku. Późne popołudnie rozbrzmiewało brzęczeniem owadów. Kiedy podeszliśmy bliżej, Aziz zrobił zdjęcia. Pomyślałem o pilotach i byłem ciekaw, jakie myśli przelatowały im przez głowę, kiedy spadali na ziemię. Starszy człowiek w czerwonej

kefiji zapytał Nassera, czy jesteśmy z gazety, a Nasser odparł, że tak, że pracujemy dla jednej z jordańskich gazet.

– Jesteś tu, żeby obnażać kłamstwa Amerykanów i ich sojuszników – dodał Nasser, i zapytał tego człowieka, czy widział katastrofę helikoptera.

Mężczyzna odpowiedział, że nie, że nic na ten temat nie może powiedzieć, że słyszał tylko wybuch. Jacyś inni mężczyźni, może z Armii Mahdiego, odjechali potem autem, ale on był za daleko, żeby zobaczyć i patrzeć – wskazał na swoje oczy – prawie nic nie widzi przez katarakty.

W Iraku zbyt dobry wzrok może prowadzić do śmierci.

Nagle usłyszeliśmy hurgot wojskowych pojazdów i tłum się rozproszył, albo przynajmniej usiłował. Znowu zbiliśmy się w grupę, kiedy zdaliśmy sobie sprawę, że obydwa wyjścia z pola były zablokowane przez dwa konwoje złożone z czterech humvee. Z pojazdów wysiedli marines w kamizelkach kuloodpornych, wycelowując w nas swoje M16. Całym polem zawładnął ryk, który wydobywał się z nie wiadomo czyjego gardła:

– Ręce nad głowę!!! Tak, żeby je widział!!! Wszyscy na ziemię, kurwa!!! Na ziemię, Ali Baby, albo do piachu!!! Przysięgam, że was rozjebię, w odbyt jebane Arabusy!!!

Nie zapewniono tłumaczenia, ale wszyscy zrozumieli przekaz.

– WYŻEJ RĘCE! – wrzasnął inny komandos do mężczyzny w poplamionym smarem kombinezonie mechanika, który odpowiedział:

– *Mafi mushkila, mafi mushkila, no problem, no problem.*

Ale żołnierz ryknął:

– Żadnego sprzeciwu! Żadnego sprzeciwu! – Kopnął mężczyznę w brzuch, aż w nas wszystkich bebechy skręciły się ze współczucia, a ten zgiął się w pół, z trudem łapiąc powietrze i zanosząc się kaszlem.

– Dowiedz się, czyje to gospodarstwo – nakazał komandos

tłumaczowi, którego twarz była ukryta pod zawojami płótna jak u ninja.

Komandos zameldował do helmofonu, że obszar jest zabezpieczony, a tłumacz zapytał starszego mężczyznę w czerwonej kefiji, do kogo należy gospodarstwo.

Nie dosłyszałem odpowiedzi, bo nad Azizem stanął czarnoskóry komandos i zapytał:

– Pamiątkowe, tak? Sam je robiłeś?

Los zesłał chinooka, który z rykiem silnika wyleciał prosto z tarczy słońca. Zagłuszył mój głos, kiedy komandos zrywał z szyi Aziza aparat fotograficzny z taką siłą, że aż pęknął pasek, a Aziz upadł przed siebie na twarz. W ułamku sekundy żołnierz klęczał już przy moim fotografie z pistoletem wciśniętym w jego skroń.

– Nie! Stop! – krzyknąłem. – On pracuje dla mnie!

Moje słowa zagłuszył łoskot chinooka i nagle ktoś mnie też obalił na ziemię, a opancerzone kolano wciskało mi tchawicę w suchą glebę i pomyślałem: „Nie odkrywają, że się pomylili, aż będzie już po mnie”. A potem: „Nie, w ogóle nie odkrywają pomyłki. Skończę w płytkim dole na obrzeżach Bagdadu”.

*

– Ed, dlaczego oni wcale nie są nam wdzięczni?

Kawałek weselnego tortu właśnie sunie do moich ust, ale Pauline Webber ma przenikliwy głos i obserwuje mnie teraz czworo Webberów, sześcioro Sykesów, Aoife i wazon pomarańczowych lilii. Problem polega na tym, że nie mam pojęcia, o kim Pauline mówi, bo przez ostatnie kilka minut byłem zajęty układaniem w głowie maila do działu księgowości korporacji, która jest właścicielem „Spyglassa”. Spoglądam na Holly, szukając podpowiedzi, ale ona ignoruje moje

spojrzenie, chowając się za swoją maską skrzywdzonej kobiety. Chociaż nie byłbym taki pewien, czy to maska.

Na szczęście z odsieczą przychodzi mi Lee, młodszy brat Petera i jego drużba. Owszem, może jego „główne kwalifikacje” stanowi umiejętność unikania podatków, ale zna się przy tym również na sprawach międzynarodowych.

– Irak za Saddama był jednym wielkim obozem koncentracyjnym, który stał na jednym wielkim masowym grobie. Razem z Amerykanami obaliliśmy im tego ich dyktatora, gratis od firmy. A oni jak nam się odpłacają? Zwracają się przeciw swoim wyzwolicielom. Niewdzięczność jest głęboko, bardzo głęboko zakorzeniona w arabskiej rasie. Nienawidzą nie tylko naszych chłopców w mundurach, ale i każdego mieszkańca Zachodu, prawda, Ed? Jak tego biedaka reportera, którego sprzątnęli w zeszłym roku tylko za to, że był Amerykaninem. Czysta farsa.

– Masz szpinak między zębami, Lee – zauważa Peter.

Oczywiście Aoife pyta:

– Tatusiu, a co to znaczy, że go sprzątnęli?

– Chodź, pójdziemy znaleźć Lolę i Amandę – mówi Holly do Aoife. – Siedzą chyba przy stole dla dzieci. Myślę, że mają tam coca-colę.

– Zawsze mówisz, że od coca-coli nie można spać, mamusiu.

– Tak, ale tak ciężko pracowałaś jako druhna cioci Sharon, że ten jeden raz możemy zrobić wyjątek. – Holly i Aoife odchodzą.

Lee w dalszym ciągu nie zajarzył.

– Jeszcze mam szpinak?

– Już nie – odpowiada Peter. – Ale nietakt pozostał.

– Co? Aa. – Na twarzy Lee maluje się skruszony uśmieszek. – Ups. Nie chciałem być niedelikatny, Ed. Chyba spożyłem zbyt dużo winnego trunku.

Powiniem odpowiedzieć: „Nic się nie stało”, ale tylko wzruszam

ramionami.

– Ale to, niestety, jest tak – ciągnie Lee tonem mającym sygnalizować, że trzeba spojrzeć prawdzie w oczy – że w inwazji na Irak chodziło wyłącznie o jedno: o ropę.

Gdyby za każdym razem, kiedy słyszę to stwierdzenie, na moje konto wpływały drobne pieniądze, mógłbym już kupić Hebrydy Zewnętrzne. Odkładam widelec.

– Jeśli komuś zależy na ropie jakiegoś kraju, po prostu ją kupuje. Jak my kupowaliśmy w Iraku aż do pierwszej wojny w Zatoce.

– Na pewno taniej ustanowić tam marionetkowy rząd. – Lee wysuwa czubek języka, żeby pokazać, jaki jest prowokacyjny. – I dostawać te wszystkie lukratywne kontrakty na ropę. Na korzystnych warunkach. Same konfitury.

– Może właśnie temu stawiają opór Irakijczycy – rzuca Austin Webber, ojciec Petera i Lee, emerytowany kierownik z bankowości, z opadającymi powiekami i fascynującym czołem jak u Klingona. – Nie chcą być rządzeni przez marionetki. Ja też bym nie był zachwycony podobną perspektywą.

– Czy dacie wreszcie Edowi odpowiedzieć na moje pytanie? – domaga się Pauline. – Dlaczego interwencja w Iraku poszła zupełnie inaczej, niż planowano?

W głowie mi szumi. Po ultimatum, które wczoraj postawiła mi Holly, nie spałem zbyt dobrze i wypilem już za dużo szampana.

– Bo plan pisano nie z myślą o rzeczywistym Iraku, tylko o wizji Iraku w fantazjach Rumsfelda, Rice, Busha i innych. O tym, jakiego Iraku chcieli, o jakim marzyli i jaki im obiecali ich irakijscy pupile na wygnaniu. Myśleli, że zastaną zjednoczone państwo, jak Japonia w czterdziestym piątym. Zamiast tego zderzyli się z nieustającą wojną domową między arabską większością szyicką, arabską mniejszością sunnicką i Kurdami. Saddam Husajn – sunnita – siłą zaprowadził w

kraju brutalny pokój, ale kiedy Saddam zniknął z horyzontu, w kraju znowu zaczęło wrzeć, a teraz wybuchła wojna domowa i Cywilna Administracja jest w nią uwikłana. Kiedy sprawuje się kontrolę, neutralność nie jest możliwa.

Orkiestra w drugim końcu sali zaczyna grać *The Birdie Song*.

Ruth pyta:

– Czyli sunnici walczą w Faludży o to, żeby Irak znowu miał sunnickiego przywódcę?

– Między innymi. Ale w innych miejscach szyici walczą, żeby wygonić z Iraku obcych.

– Życie w okupowanym kraju nie należy do łatwych ani przyjemnych – mówi Austin. – Jestem w stanie to zrozumieć. Ale Irakijczycy przecież na pewno dostrzegają, że żyje im się teraz lepiej niż przedtem.

– Dwa lata temu przeciętny Irakijczyk, mężczyzna, miał jakąś pracę. Teraz nie ma. Z kranów płynęła woda, a w kontaktach był prąd. Teraz nie ma. Można było dostać benzynę. Teraz nie można. Działały toalety. Teraz nie działają. Można było posyłać dzieci do szkoły bez obawy, że ktoś je porwie. Teraz nie można. Irak chwiał się, upadał, dawały mu w kość sankcje, ale jakoś działał jako kraj. Teraz nie działa.

Kelner o arabskich rysach napełnia moją filiżankę kawą ze srebrnego dzbanka. Dziękuję mu i zastanawiam się, czy myśli: „Pieprzy jak potłuczony”.

Tymczasem Sharon, dziewczyna, której nie przeszkadza dyskusja o polityce bliskowschodniej przy torcie na jej własnym weselu, pyta:

– A czyja to wina?

– Zależy, kogo zapytasz – odpowiadam.

– Pytamy ciebie – mówi Peter, pan młody.

Biorę łyk kawy. Jest dobra.

– Irakiem rządzi, a wręcz jest *de facto* jego królem, pomocnik

Kissingera, L. Paul Bremer III. Przyjmując urząd, wydał dwa edykty, które zadecydowały o kształcie okupacji. Edykt pierwszy postanawiał, że każdy członek partii Baas od pewnej rangi w górę ma zostać zwolniony z zajmowanego stanowiska. Jednym podpisem Bremer wyrzucił na śmietnik tych samych urzędników, naukowców, nauczycieli, policjantów, inżynierów i lekarzy, których koalicjanci potrzebowali do odbudowy kraju. Pięćdziesiąt tysięcy irakijskich pracowników umysłowych straciło pensje, emerytury i swoją przyszłość, i już od samego początku nie życzyło okupantom powodzenia. Edykt drugi rozwiązywał iracką armię. Bez żadnych odpraw, bez świadczeń, bez niczego. Bremer stworzył trzysta siedemdziesiąt pięć tysięcy potencjalnych powstańców – bezrobotnych, uzbrojonych i wyszkolonych do zabijania. Łatwo nam teraz oceniać z perspektywy czasu, owszem, ale wielokrotnie okupowanego kraju musi umieć przewidywać sytuację – albo przynajmniej słuchać doradców, którzy to potrafią.

Dzwoni telefon Brendana. On odbiera i, odwracając się, pyta:

– Jerry! Jakie wieści z Isle of Dogs?

– Jeśli Bremer działa aż tak skandalicznie – pyta Peter, poluzowując biały jedwabny krawat – to dlaczego nikt go nie odwoła?

– Jego dni są już policzone. – Wrzucam do kawy kostkę cukru. – Ale każdy, od prezydenta do szeregowego urzędnika w Zielonej Strefie, ma żywotny interes w tym, żeby rozpuszczać brednie o tym, że powstańcy to tylko garstka fanatyków i że sytuacja za każdym razem wychodzi na prostą. W Zielonej Strefie jest jak w baśni o nowych szatach cesarza: mówienie prawdy jest aktem zdrady. Realistom przydarzają się niemiłe rzeczy.

– Ale przecież prawda musi ich uderzać, kiedy wychodzą poza Zieloną Strefę – dziwi się Sharon.

– Większość urzędników nigdy Strefy nie opuszcza. Nigdy. Chyba

że w drodze na lotnisko.

Gdyby Austin Webber nosił monokl, wypadłby mu z oka.

– Na miłość boską, jak można zarządzać krajem, siedząc w zamknięciu w bunkrze?

Wzruszam ramionami.

– Można nim zarządzać tylko w teorii. Fragmentarycznie. Pozostając w błogiej ignorancji.

– Ale przecież przynajmniej wojskowi muszą wiedzieć, co się tam dzieje. To oni giną pod ostrzałem i w wybuchach bomb.

– Owszem, Austin, masz rację. I walki wewnętrzne między frakcją Bremera a dowództwem wojskowym są bezwzględne, ale armia również często działa tak, jakby chciała zradykalizować nastroje wśród ludności. Mój fotograf, Aziz, ma wujka w Karbali, który uprawia kilka akrów gajów oliwnych. To znaczy – uprawiał. W październiku zeszłego roku na drodze biegnącej przez jego ziemię zaatakowano konwój, więc siły koalicyjne zwróciły się do miejscowych mieszkańców o informacje w sprawie „bandytów”. Kiedy nikt się nie zgłosił, pluton marines ściął wszystkie drzewka oliwne, co do jednego – „żeby zachęcić miejscowych do bliższej współpracy w przyszłości”. Można sobie wyobrazić, jak ten akt wandalizmu zachęcił mieszkańców do współpracy.

– Zupełnie jak Brytyjczycy w Irlandii w tysiąc dziewięćset szesnastym – mówi Oisín O’Dowd. – Powtarzali odwieczną mantrę machos: „Język siły to jedyne, co do miejscowych trafia”. Powtarzali to tak często, że sami zaczęli w to wierzyć. Od tego momentu byli już skazani na porażkę.

– Ale ja jeżdżę do Stanów od trzydziestu lat – mówi Austin. – Amerykanie, których znam, są mądrzy, potrafią współczuć, to normalni, przyzwoici ludzie. Nie rozumiem tego.

– Podejrzewam, Austin, że Amerykanie, których znasz ze świata

bankowości, nie wylecieli ze szkoły gdzieś w Nebrasce, a ich najlepszego przyjaciela nie zastrzelił uśmiechnięty iracki nastolatek z torbą jabłek w ręku. Nastolatek, którego ojca tydzień wcześniej rozerwał na strzępy operator działka w przejeżdżającym humvee, kiedy ojciec poprawiał antenę telewizyjną. Operator działka, którego przyjacielowi zaledwie dzień wcześniej snajper na dachu strzelił w szyję pociskiem dum-dum. Snajper, którego siostra była w samochodzie zatrzymanym na skrzyżowaniu, bo akurat przejeżdżał konwój z attaché wojskowym, a ochrona attaché przezornie ostrzelała samochód z karabinów automatycznych, wiedząc, że jeśli się nie pomylili, uratowali konwój przed zamachowcem-samobójcą, a jeśli się pomylili, i tak nie podlegają irackiemu prawu. I tak właśnie wojny eskalują, zjadając własne gówno, wysrywając jeszcze większe, i jeszcze większe znowu zjadając.

Widzę, że moja metafora przekroczyła pewną dopuszczalną granicę.

Lee Webber jest już pochłonięty rozmową z kolegą przy sąsiednim stole.

Jego mama pyta:

– Może ktoś się skusi jeszcze na kawałek tortu?

*

Moje wolne oko, to niewciśnięte w ziemię i żwir, zlokalizowało czarnoskórego komandosa i nagle okazało się, że umiem czytać z ruchu warg, kiedy komandos rzucił do Aziza: „Kulka dla ciebie, skurwielu!”.

– On pracuje dla mnie! – Wyplułem z ust żwir.

Żołnierz zmroził mnie spojrzeniem.

– Co takiego?

Dzięki Bogu chinook już odlatywał i komandos mógł usłyszeć, co mówię.

– Jestem dziennikarzem – wybelkotałem, usiłując skierować wargi ku górze. – Brytyjskim. – Mój głos brzmiał tępo i ochryple.

Tuż nad uchem usłyszałem przeciągający samogłoski akcent ze Środkowego Zachodu:

– Chuj jesteś, a nie dziennikarzem.

– Jestem dziennikarzem, Brytyjczykiem. Nazywam się Ed Brubeck i... – zrobiłem, co mogłem, żeby zabrzmieć jak Christopher Hitchens – pracuję dla „Spyglassa”. Dobrych fotografów trudno znaleźć, więc proszę, niech pan poprosi swojego żołnierza, żeby nie celował mu w głowę.

– Majorze! Cwel mówi, że jest brytyjskim dziennikarzem.

– Że kim jest? – Na żwirze zachrząściły buciory. Ich właściciel nachylił się nade mną i warknął mi do ucha: – Mówisz po angielsku?

– Tak, jestem Brytyjczykiem, dziennikarzem, i jeżeli...

– Masz na to jakiś dowód?

– Moja akredytacja jest w tym białym aucie.

Parsknięcie.

– Jakim białym aucie?

– Tym przy miedzy, na polu. Jeśli pana szeregowy zdjąłby mi kolano z szyi, pokazałbym palcem.

– Przedstawiciele mediów mają nosić identyfikatory przy sobie.

– Gdyby milicjanci znaleźli przy mnie legitymację prasową, zabiliby mnie. Majorze... moja szyja... czy mógłby pan?

Kolano uwolniło moją szyję.

– Wstawaj. Tylko powoli. – Miałem całkiem sztywne nogi. Chciałem rozmasować szyję, ale bałem się, że pomyślą, że sięgam po broń. Oficer zdjął lustrzanki. Trudno było ocenić jego wiek – zbliżał się do trzydziestki, ale twarz miał całą umazaną sadzą. Nad jego oficerskimi

insygniami wyszyte było „HACKENSACK”. – A co, kurwa, robi brytyjski dziennikarz, w szmatach Arabusa, razem z innymi brudasami na polu, gdzie zestrzelono OH-58D?

– Jestem na tym polu, bo chcę zdobyć newsa, a jestem tak ubrany, bo za europejski wygląd można dostać kulkę.

– Za wygląd Arabusa też, kurwa, można dostać kulkę.

– Majorze, proszę, niech pan puści tego człowieka. – Skinąłem głową w stronę Aziza. – To mój fotograf. I... – odnalazłem Nassera – tego w niebieskiej koszuli. To mój tłumacz.

Major Hackensack trzymał nas kilka sekund w niepewności.

– W porządku. – Azizowi i Nasserowi pozwolono wstać i wszyscy trzej opuściliśmy ręce. – Brytyjczyk. To Anglia, tak?

– Anglia, Szkocja, Walia i Irlandia Półn...

– A Nottingham? To Anglia czy Wielka Brytania?

– I to, i to. Tak jak Boston jest w Massachussets i w Stanach Zjednoczonych.

Major pomyślał, że się wymądrzam.

– Mój brat brał w Nottingham ślub z pielęgniarką, nigdy nie widziałem bardziej zawszonej dziury. Zamówiłem kanapkę z szynką, a oni mi dali plaster różowego gówna między plastrami suchej dytki. Arab ją robił. Każdy taksówkarz bez wyjątku był Arabem. Wasz kraj to, kurwa, jakieś okupowane terytorium, przyjacielu.

Wzruszyłem ramionami.

– Mamy dużo imigrantów.

Major odchylił się na bok, zrzucił bombę śliny i patrzył, jak spada.

– Mieszkasz w Zielonej Strefie, panie brytyjski dziennikarzu?

– Nie. Mieszkam w hotelu po drugiej stronie rzeki. W Safirze.

– Jak najbliżej prawdziwych Irakijczyków, co?

– Zielona Strefa i Bagdad to dwa różne miasta.

– Powiem ci, jak to jest z prawdziwymi Irakijczykami. Prawdziwi

Irakijczycy mówią: „Od czasu inwazji nie jest bezpiecznie”. A ja mówię: „To spróbujcie może się nie zabijać, nie dźgać nożami i nie okradać się nawzajem”. Prawdziwi Irakijczycy mówią: „Amerykanie najeżdżają po nocach nasze domy, nie szanują naszej kultury”. A ja na to: „To przestańcie, chuj, strzelać do nas z tych swoich domów”. Prawdziwi Irakijczycy pytają: „Gdzie są nasze szkoły, nasze mosty, nasza kanalizacja?”. A ja: „Gdzie są grube miliardy dolarów, które daliśmy wam na budowę tych szkół, mostów i kanalizacji?”. Prawdziwi Irakijczycy pytają: „Dlaczego nie mamy prądu ani wody?”. A ja: „A kto wysadził stacje rozdzielcze i podłączył się do rur, które my zbudowaliśmy?”. I jeszcze ich duchowni mówią: „A nasze meczety trzeba odmalować”. A ja: „To włączcie, kurwa, na drabinę i malujcie!”. Właśnie to napisz w swojej gazecie. Jeszcze raz, jaki tytuł?

– „Spyglass”. Amerykański magazyn.

– Coś jak... jak „Time”?

– To liberalny szmatławiec, sir – odpowiedział stojący obok komandos.

– Liberalny? – Major Hackensack wypowiedział to słowo, jakby mówił: „dla pedofili”. – Jesteś liberałem, panie brytyjski dziennikarzu?

Przełknąłem ślinę. Irakijczycy też nas obserwowali, zastanawiając się, czy w tej niezrozumiałej, ale najwyraźniej agresywnej wymianie zdań rozstrzyga się właśnie ich los.

– Wysłał was tutaj najbardziej konserwatywny gabinet w historii Białego Domu. Jestem bardzo ciekaw pańskiego zdania, majorze. Czy uważa pan waszych przywódców za ludzi rozsądnych i odważnych?

Natychmiast zdałem sobie sprawę, że fatalnie to rozegrałem. Nie wolno mówić niewyspanemu, wściekłemu oficerowi, że jego naczelny dowódca to pajac, który nie ma o niczym pojęcia, i że jego towarzysze broni zginęli na próżno.

– To teraz ja cię zapytam! – ryknął Hackensack. – Którzy z tu obecnych panów wiedzą, kto zestrzelił helikopter?

Razem z Azizem i Nasserem wpadliśmy w kanał tak głęboko, że już straciłem grunt.

– Przyjechaliśmy tutaj zaledwie kilka minut przed wami. – Bzyczały owady, w oddali było słycać warkot jakichś pojazdów. – Nam ci ludzie też nic nie powiedzieli. W tych czasach nie ufa się obcym, szczególnie obcokrajowcom. – Oficer uważnie mi się przyglądał, kiedy to mówiłem. Przydałaby się szybka zmiana tematu. – Majorze, czy mógłbym zacytować pana poglądy o prawdziwych Irakijczykach pod nazwiskiem?

Hackensack odchylił się do tyłu i patrzył na mnie, mrużąc oczy.

– Robisz sobie jaja?

– Nasi czytelnicy z chęcią poznaliby pańską perspektywę.

– Nie, nie możesz mnie cytować i jeżeli... – Hełmofon majora zatrzeszczał nagle i Hackensack się odwrócił. – Jeden-osiem-zero? Tu dwa-szesnaście. Nie, nie, jeden-osiem-zero, nikogo oprócz bandy gapiów. Przepytam ich dla porządku, ale skurwiele będą się tylko z nas śmiać spod tych ręczników na durnych łbach. Odbiór... Taak... Zrozumiałem, jeden-osiem-zero. A, i wiecie już, czy Balinski przeżył? Odbiór. – Nozdrza majora rozszerzyły się, a szczęka zacisnęła. – Kurwa, jeden-osiem-zero. Niech to chuj. Niech to jasny chuj. Odbiór. – Kopnął kamyk, który odbił się od wraku helikoptera. – Nie, nie, dajcie sobie spokój. W bazie gównem by z nich wyciągnęli. Zawiadomcie bezpośrednio oficera łącznikowego jego jednostki. Okej, dwa-szesnaście bez odbioru. – Major Hackensack spojrział na czarnoskórego komandosa i potrząsnął głową, a potem popatrzył wrogo w moją stronę. – Ty to tylko widzisz żołnierza, który rzuca kurwami, prawda? Tylko jakąś postać z kreskówki i pluton trepów. Myślisz sobie, że dobrze nam tak – kiwnął głową w kierunku wraku –

za sam fakt, że tu jesteśmy. Ale ci, co zginęli, mieli dzieci, mieli rodziny, tak samo jak ty. I tak samo jak ty chcieli w życiu zrobić coś godnego uwagi. Kurwa, okłamano ich o tej wojnie, tak samo jak ciebie. Ale w przeciwieństwie do ciebie, panie brytyjski dziennikarzu, za kłamstwa innych oni zapłacili własnym życiem. Byli odważniejsi od ciebie. Byli lepsi od ciebie. Zaslужują na więcej od ciebie. Więc ty i ci twoi Batman i Robin, jazda mi z oczu. Już.

* * *

– *Assalaam aleikum*. – Głowę siedzącej przy stole Irlandki w podeszłym wieku otacza chmura białych włosów. Starsza pani ma na sobie kaszmirowe ponczo w zygzaki. Lepiej z nią nie zadzierać.

Stawiam przed nią na stole drambuie.

– *Waleikum assalaam*.

– Jak to się mówiło? *Shlon hadartak*?

– *Alhamdulillah*. Prawdziwie zasłużyła ciocia na drinka.

– Jestem ci wdzięczna. Mam nadzieję, że nie sprawiłam kłopotu.

– Absolutnie. – W rogu sali bankietowej siedzimy tylko ja i Eilish. Widzę, jak Aoife z siostrzenicą Petera, pana młodego, grają w jakąś grę, przy której trzeba śpiewać piosenkę i klaskać, a Holly rozmawia z kolejnym ciotecznym rodzeństwem z Irlandii. – Mieli butelkę w barze na piętrze.

– Wpadłeś po drodze na jakieś obce istoty?

– Na całe mnóstwo. Bar wygląda jak w tej scenie z *Gwiezdnych Wojen*. – Orientuję się, że Irlandka po osiemdziesiątce nie będzie miała pojęcia, o czym mówię. – *Gwiezdne Wojny* to stary film science fiction, i jest tam taka scena...

– Byłam na *Gwiezdnych Wojnach* w Bantry zaraz, jak trafiły do kin, wyobraź sobie. Pojechałyśmy z siostrą na bicyklach.

– Przepraszam, nie miałem na myśli... mmm...

– *Sláinte*. – Eilish stuka swoim kielichem drambuie o mój gin z tonikiem. – Na zdrowie. Dotarłeś kiedyś, Ed, do Amary, na irackie bagna?

– Nie i bardzo żałuję. Kiedy byłem w Basrze, miałem umówiony wywiad z brytyjskim gubernatorem w Amarze, ale tego dnia rano zbombardowano siedzibę ONZ w Bagdadzie, więc zawróciłem z drogi, żeby relacjonować na bieżąco. Teraz wyprawa do Amary jest zbyt niebezpieczna, więc przegapiłem okazję. A ciocia tam dotarła?

– Tak, kilka miesięcy przed Thesigerem, ale byłam tam tylko dwa tygodnie. Żona przywódcy wioski zapalała do mnie sympatią. Wiesz, że nawet dzisiaj śnią mi się te bagna? Chociaż podobno niewiele już z nich zostało.

– Saddam je osuszył, żeby pozbawić kryjówek swoich wrogów. A resztki, które zostały, są naszpikowane minami z czasów wojny z Iranem.

Eilish przygryza wargę i kręci głową.

– Że też jeden podły drań może unicestwić całą krainę i odwieczne obyczaje ludzi...

– W tej cioci wielkiej wyprawie ani razu nie czuła się ciocia zagrożona?

– Pod siodełkiem miałam browninga.

– Użyła go ciocia kiedyś?

– Tylko ten jeden raz.

Czekam na opowieść, ale ciocia Eilish uśmiecha się ujmująco.

– Tak się cieszę, że wreszcie mogę cię poznać osobiście, Ed. Nareszcie.

– Przepraszam, że nigdy nie przyjeżdżałem z Holly i Aoife. Ale...

– Praca, wiem. Praca. Musisz relacjonować wojny. Czytam twoje reportaże, kiedy tylko mam okazję. Holly przysyła mi wycinki ze

„Spyglassa”. Twój ojciec też był dziennikarzem? Macie to w genach?

– Nie całkiem. Tata był... swego rodzaju biznesmenem.

– Naprawdę? A czym się zajmował?

Właściwie mogę jej powiedzieć.

– Włamaniami. Choć rozszerzał działalność również na fałszerstwa i napaści. Zmarł na atak serca w więziennej siłowni.

– Ależ ze mnie wścibska starucha. Wybacz, Ed.

– Nic się nie stało. – Obok naszego stolika przebiegają maluchy. – Mama zadbała, żebym wyrósł na uczciwego człowieka. Kiedy mieszkaliśmy w Gravesend. Nie przelewało nam się, ale wujek Norm pomagał nam, jak mógł, i... Tak, mama była super. Niestety, już odeszła. – Czuję się trochę zażenowany. – Boże, to brzmi jak z *Olivera Twista*. Ale przynajmniej mama zdążyła wziąć Aoife na ręce. Ciesz się mnie to. Mam nawet ich zdjęcie.

Przy końcu sali bliżej orkiestry słysząc gromkie oklaski.

– Proszę, proszę, Dave i Kath dają czadu. – Rodzice Holly tańczą do *La Bamby* bardziej stylowo, niż mnie kiedykolwiek by się udało.

– Sharon mówiła mi, że chcą się zapisać na kurs.

Wstyd mi przyznać, że nie wiedziałem.

– Holly coś wspominała.

– Wiem, że jesteś zajęty, Ed, ale przyjeźdź latem na Sheep's Head, chociaż na kilka dni. Moje kurki na pewno zrobią ci miejsce w kurniku. Aoife ostatnimi laty była zachwycona. Możesz zabrać ją na przejażdżkę kucykiem w Durrus i pojechać na piknik do latarni morskiej na końcu cypla.

Chciałbym obiecać Eilish, że przyjadę, ale jeśli zgodzę się na propozycję Olive, całe lato będę w Iraku.

– Jeżeli tylko będę mógł, na pewno przyjadę. Holly ma obrazek domku cioci, który sama kiedyś namalowała. Właśnie ten obrazek pierwszy by wyniosła, gdyby płonęło jej mieszkanie. Nam mieszkanie.

Eilish wydyma pomarszczone wargi starszej pani.

– A wiesz, że pamiętam, kiedy go malowała? Kath przyjechała do Corku, do paczki Donala i podrzuciła mi Holly na kilka dni. W osiemdziesiątym piątym to było. Przeszli wcześniej potwornie ciężki okres... Wiesz. Z Jacko.

Kiwam głową i biorę łyk drinka, pozwalając, żeby od lodowatego ginu drętwiały mi dżiaśła.

– Zawsze jest im trudno przy wszelkich rodzinnych okazjach. Z Jacko byłby już kawał faceta. Znałeś go, jeszcze w Gravesend?

– Nie. Tylko z opowieści. Mówili, że był dziwakiem... albo geniuszem, albo... Wie ciocia. Jak to dzieciaki. Chodziłem z Holly do jednej klasy, ale zanim zdążyłem bliżej Holly poznać, Jacko już... Już to się stało.

Od tamtego czasu dzieli mnie tyle dni, gór, wojen, terminów oddania tekstu, tyle piw, wylatanych mil, książek, filmów, zupek instant i śmierci... ale ciągle z najdrobniejszymi szczegółami pamiętam, jak jechałem rowerem przez Isle of Sheppey na farmę Gabriela Harty'ego. Pamiętam, jak zapytałem Holly: „Jest tu z tobą twój brat?”, ale po jej minie odgadłem, że go nie ma.

– Ciocia dobrze знаła Jacko?

Starsza pani wzdycha.

– Kath przywiozła go, kiedy miał jakieś pięć lat. Miły chłopczyk, ale nie było w nim niczego nadzwyczajnego. Potem widziałam go znowu, półtora roku później, po tym, jak miał zapalenie opon mózgowych. – Eilish bierze łyk drambuie i zaciska wargi. – W dawnych czasach nazywaliby go „odmieńcem”, ale współczesna psychiatria jakoś to tłumaczy. Jacko-sześciolatek był... innym dzieckiem.

– Jak to innym?

– Bardzo dużo wiedział, o świecie, o ludziach, o wszystkim... Takie rzeczy, których mali chłopcy nie wiedzą, bo i skąd, i nawet nie

powinni wiedzieć. Jacko wcale się tym nie popisywał. Był na tyle mądry, żeby ukrywać swoją niezwykłość, ale – Eilísh odwraca wzrok – jeśli już komuś zaufał, czasem się odkrywał. Byłam wtedy bibliotekarką w Bantry i dzień przed jego przyjazdem wypożyczyłam dla niego *The Magic Faraway Tree* Enid Blyton, bo Kath mówiła mi, że Jacko uwielbia czytać, tak samo jak Sharon. Jacko połknął to za jednym posiedzeniem, ale nie powiedział, czy mu się podobało. Więc go zapytałam, a on odparł: „Mam odpowiedzieć szczerze, ciociu?”. Powiedziałam: „Nieszczercze mnie raczej nie interesuje”. A on: „Dobrze, więc moim zdaniem jest nieco infantylna”. Sześciolatek używa słowa „infantylna”! Na drugi dzień zabrałam Jacko ze sobą do pracy a on – przysięgam! – wyciągnął z półki *Czekając na Godota*. Becketta. Jeśli mam być szczerą, byłam przekonana, że Jacko po prostu się popisuje i chce zaimponować dorosłym. Ale w porze lunchu jedliśmy kanapki na przystani i zapytałam go, co sądzi o Samuelu Becketcie. I nagle – Eilísh popija drambuie – dołączyli do nas na pikniku Kant i Spinoza. Usiłowałam go rozszyfrować i zapytałam prosto z mostu: „Jacko, skąd ty to wszystko wiesz?”. A on odparł: „Musiałem gdzieś usłyszeć w autobusie, ciociu. Mam dopiero sześć lat”. – Eilísh dopija drambuie do dna. – Kath i Dave byli z nim u specjalistów, ale Jacko nie był przecież chory, więc nikt się nim specjalnie nie przejął.

– Holly zawsze twierdziła, że to zapalenie opon mózgowych poprzestawiało mu coś w mózgu i drastycznie zwiększyło jego pojemność.

– Tak, cóż, jak to mówią, jeszcze tylko neurologia ma jakieś tajemnice.

– Ale ciocia nie wierzy w tę teorię z zapaleniem opon mózgowych, prawda?

Eilísh się waha.

– To nie mógł Jacko się zmienić, Ed, tylko jego dusza.

Utrzymuję kamienną twarz.

– Ale jeśli miał nagle inną duszę, to czy był jeszcze...

– Nie. To nie był już Jacko. Nie ten, który przyjechał do mnie, kiedy miał pięć lat. Jacko-sześciolatek był zupełnie inną osobą.

Z twarzy osób osiemdziesięcioletnich trudno coś odczytać. Skórę mają tak pomarszczoną, a oczy takie ptasie, że wszelkie mimiczne wskazówki są bardzo niewyraźne. Orkiestrę osaczał desant z Corku – zaczęła grać *The Irish Rover*.

– Domyślam się, że nie dzieliła się ciocia z nikim tym spostrzeżeniem?

– Nie. Mogłoby tylko zranić, a poza tym brzmiałoby dość niedorzecznie. Podzieliłam się nim tylko z jedną osobą. Z nim samym. Kilka dni po tej historii z Beckettem, wieczorem była burza, a następnego dnia rano zeszliśmy z Jacko do groty na brzegu pod moim ogrodem, żeby zebrać glony. I tam go prosto z mostu zapytałam: „Jacko, kim ty jesteś?”. A on odparł: „Kimś, kto jest w odwiedzinach, ale ma dobre zamiary, ciociu”. Cóż. Nie mogłam zmusić się, żeby zapytać: „Gdzie jest Jacko?”. Ale on musiał jakoś usłyszeć moje myśli. Powiedział, że Jacko nie mógł tu zostać, ale on sumiennie pilnuje jego wspomnień. To była najdziwniejsza chwila w moim życiu, a parę dziwnych rzeczy już przeżyłam.

Zginam nogę – całkiem mi już zdrętwiała.

– I co ciocia zrobiła?

Eilísh wydyma wargi i unosi brwi.

– Rozrzcuciliśmy glony na zagonie marchewki. Jakbyśmy zawarli jakiś pakt. Kath, Sharon i Holly wyjechały na drugi dzień. Dopiero – marszczy brwi – kiedy dowiedziałam się, że zniknął... – spogląda na mnie – ...zawsze zastanawiam się, czy to, jak zniknął, nie było powiązane z tym, jak się w ogóle pojawił...

Z butelki szampana strzela korek i cały stolik bije brawo.

– Czuję się wyróżniony, że mi to ciocia mówi, naprawdę, ale dlaczego ciocia mi to mówi?

– Wypełniam polecenie.

– Czyje... czyje polecenie?

– Polecenie Skryptu.

– Jakiego skryptu?

– Mam dar, Ed. – Oczy starszej pani są usiane plamkami i zielone jak skorupa żółwia. – Taki sam, jak dar Holly. Dobrze wiesz przecież, o czym mówię.

Gwar wzbiera i opada, jak fala na przybrzeżne kamyki.

– Rozumiem, że chodzi cioci o głosy w głowie, które Holly słyszała w dzieciństwie i o – hm – o to, co w niektórych kręgach bywa określane jako „przeczuwanie przyszłości”.

– Tak, różnie to bywa nazywane, owszem.

– Medycyna ma na to również całkiem racjonalne wytłumaczenie, ciociu.

– Nie wątpię, jeśli się wierzy w medycynę. W Irlandii mówimy na to *cluas faoi rín*. Ukryte ucho.

Cioteczna babka Eilísh ma bransoletkę z tygrysiich oczek. Przebiera po niej palcami, kiedy mówi, i uważnie się we mnie wpatruje.

– Ciociu, muszę przyznać, to znaczy, bardzo szanuję Holly, i wie ciocia... Holly na pewno ma ogromną intuicję, czasem wręcz zadziwiająco i niezrozumiałą. I nie chcę podważać ani lekceważyć żadnych tradycji, ale...

– Ale prędzej zabiłbyś się własną pięścią, niż uwierzył w te bujdy o trzecim oku i ukrytym uchu, i w to wszystko, o czym gada ci pomyłona starucha z West Cork.

Z ust mi to wyjęła. Uśmiecham się przepraszająco.

– I bardzo dobrze, Ed. Dobrze dla ciebie...

Czuję, że zaczyna mnie boleć głowa.

– ...ale nie dla Holly. Ona musi z tym żyć. A wiem dobrze, że żyje się z tym ciężko. A jej jest znacznie ciężiej w nowoczesnym Londynie niż mnie w starej, zasnutej mgłą Irlandii. Będzie jej potrzebna twoja pomoc. Myślę, że już niedługo.

To chyba najdziwniejsza rozmowa, jaką kiedykolwiek odbyłem na weselu. Ale przynajmniej nie rozmawiamy o Iraku.

– Co mam robić?

– Uwierz jej, nawet jeśli nie wierzysz w to wszystko.

Podchodzą do nas Kath i Ruth, z rumieńcami na twarzy po latynoamerykańskich popisach na parkiecie.

– A wy tu ciągle gruchacie we dwoje?

– Ciocia opowiadała mi o swoich arabskich przygodach – odpowiadam, nadal zastanawiając się nad sensem jej ostatnich słów.

– Widzieliście chociaż, co Kath i Dave wyczyniali w tańcu? – pyta Ruth.

– Widzieliśmy i brawa dla obojga – zapewnia ciocia Eilísh. – Dave trząśł kuprem jak ta lala. I to w jego wieku!

– Kiedy się poznaliśmy, chodziliśmy na tańce – wspomina Kath, której akcent wśród współplemieńców brzmi bardziej irlandzko. – Ale skończyło się, kiedy przejęliśmy Kapitana Marlowa. Ani jednego wolnego wieczoru razem przez trzydzieści kilka lat.

– Już prawie za kwadrans trzecia, Eilísh – mówi Ruth. – Zaraz przyjedzie po ciebie taksówka. Może zacznij się już żegnać.

Nie! Nie może zrzucić na mnie paranormalnej bomby, a potem po prostu się pożegnać.

– Myślałem, że ciocia zostanie z nami przynajmniej do wieczora.

– O, znam swoje granice. – Eilísh wstaje, wspierając się na lasce. – Oisín odwozi mnie na samolot, a mój sąsiad, pan O'Daly, odbierze mnie z lotniska w Corku. Jesteś zaproszony na Sheep's Head, Ed.

Skorzystaj z zaproszenia, póki mu się ważność nie skończy. Albo póki ja się nie skończę.

- Według mnie ciocia wygląda na raczej niezniszczalną – mówię.
- Wszystkim nam zostało mniej czasu, Ed, niż nam się wydaje.

*

Od południowego wschodu, na wąskim pasie nieba nad barierami ochronnymi wzdłuż autostrady do Bagdadu mleko chmur zsiadało się w różowe farfocle. Na autostradzie był korek i jechało się wolno, nawet poboczami, a ostatnią milę do hotelu Safir nasza corolla pokonywała w tempie truchtającego grubasa. Wymijały nas przeładowane motocykle. Prowadził Nasser, Aziz uciął sobie drzemkę, a ja klapnąłem za parawanem z wiszących koszul. Bagdad jest teraz mrocznym miastem w każdym znaczeniu tego słowa, latarnie nie mają prądu, a gdy zapada zmierzch, człowieka ogarnia nagła potrzeba szybkiego powrotu do domu i zaryglowania za sobą drzwi. Widzieliśmy tego dnia różne paskudne rzeczy i Nasser był w bardziej ponurym nastroju niż zwykle.

- Moja żona, okej, Ed. Miała dobre dzieciństwo. Jej ojciec pracował w kompanii naftowej, chodziła do dobrej szkoły. Było dość pieniędzy, ona jest bystra, uczyła się. Bagdad był wtedy porządne miasto. Nawet kiedy zaczęła się wojna z Iranem, było tu dużo amerykańskich firm. Reagan słał pieniądze, broń, pomoc CIA dla Saddama, i broń chemiczną. Saddam był sojusznik Ameryki, wiesz przecież. Dobre czasy. Ja też byłem wtedy nastolatek, miałem suzuki 125, skórzaną kurtkę, stylową. Przesiadywałem całe wieczory ze znajomymi w kawiarniach. Dziewczyny, muzyka, książki, te rzeczy. Wtedy mieliśmy przyszłość. Ojciec mojej żony miał koneksje, więc nie wzięli mnie do wojska. Allahowi niech będą dzięki. Dostałem pracę w

radiostacji, potem w Ministerstwo Informacji. Wojna skończyła. W końcu, myśleliśmy, Saddam będzie wydawał pieniądze na kraj, na uniwersytety, będziemy jak Turcja. Potem wydarzył się Kuwejt. Ameryka powiedziała: „Okej, atakujcie, Kuwejt to wasz lokalny spór o granicę”. Ale potem, nie. Rezolucja ONZ. Wszyscy myślemy „O co, kurwa, chodzi?”. Saddam jest jak zwierzę zapędzone w róg klatki, nie może się wycofać z twarzą. Podczas wojny w Kuwejcie moja praca była baaardzo twórcza – malowanie porażki jako zwycięstwo Saddama. Ale wtedy przyszłość wyglądała ponurze. W domu słuchaliśmy arabska sekcja BBC, w tajemnicy, razem z żoną. Strasznie zazdrościłem dziennikarzom BBC, którzy mogli relacjonować, jak jest naprawdę. Ja też właśnie to chciałem robić. Ale nie. Pisałem kłamstwa o Kurdach, kłamstwa o Saddam i jego synach, kłamstwa o partia Baas, kłamstwa o wspaniałej przyszłości, która czeka Irak. Gdybyś spróbował napisać prawdę, zdechłbyś w Abu Ghraib. Potem jest jedenasty września i Bush zapowiada: „Obalimy Saddam”. Cieszymy się. Boimy, ale cieszymy. Potem nareszcie Saddam, ten skurwysyn, znika. Pomyślałem, że Allah jest wielki, Irak dostał nowa szansa, odrodzi jak... ten ognisty ptak, jak się nazywa, Ed?

– Feniks.

– Myślałem, że Irak odrodzi jak feniks, ja zostanę prawdziwym dziennikarzem, będę jeździł, gdzie chcę, rozmawiał, z kto chcę, pisał, co chcę. Myślałem, że moje córki zrobią karierę zawodową, jak kiedyś moja żona. Że ich przyszłość maluje się w jasnych barwy. Irakijczycy i Amerykanie obalają pomnik Saddama, ale w nocy zaczyna się plądrowanie muzeum. Amerykańscy żołnierze tylko się przyglądają. Generał Garner mówi: „Po Saddam to normalne”. Myślę, o Allah, Ameryka nie ma żadnego planu. Myślę: nadchodzą mroczne czasy. Mam rację. W szkoła moich córek uderzyła rakietą, w czasie wojny.

Pieniądże na nową szkołę rozkradziono. Moje córki nie wychodzą z domu. Jest za niebezpiecznie. Całe dni klóczą, czytają, rysują, marzą, jeżeli jest woda, myją się, jeżeli jest prąd, oglądają telewizję u sąsiadów. Widzą nastoletnie dziewczyny w Ameryce, w Beverly Hills, jak chodzą do liceum, prowadzą samochody, umawiają na randki z chłopakami. Pokoje tych dziewczyn z telewizji większe od całego naszego mieszkania, a inne pokoje służą tylko do trzymania ubrań i buty. O, Allah! Dla moich córek te marzenia jak tortura. Kiedy Amerykanie sobie pójdą, w Iraku możliwe tylko dwa scenariusze. Jeden to wojna bez końca, karabiny, noże, sunnici przeciw szyici. Jak w Liban w latach osiemdziesiąte. Drugi scenariusz to islamiści, szariat, burki. Jak dzisiaj Afganistan. Mój kuzyn Omar rok temu uciekł do Bejrutu, a potem do Brukseli, żeby znaleźć jakąś kobietę i z nią ożenić. Jakąkolwiek kobietę, stara, młoda, żeby tylko miała paszport Unia Europejska. Mówiłem mu: „Omar, na Allaha, pojebało cię chyba! Chcesz się żenić nie z dziewczyną, tylko z paszport”. Odpowiedział: „Przez sześć lat będę ją dobrze traktował, będę jej rodziców dobrze traktował, a potem dokładnie zaplanuję rozwód. Będę już obywatelem Unia Europejska, będę wolny, zostanę tam”. I teraz tam siedzi. Udało mu się. Dzisiaj myślę już: „nie, Omara nie pojebało. To nas pojebało, że tu zostaliśmy. Tu nie ma przyszłość”.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Samochód wolno posuwał się naprzód, mijając zatłoczoną kafejkę internetową, pełną chłopaków, którzy z otwartymi ustami trzymali w dłoniach konsole do gry i wpatrywali się w monitory, gdzie amerykańscy komandosi strzelali do arabskich partyzantów wśród ulicznych ruin, które z powodzeniem mogłyby być w Bagdadzie albo w Faludży. Przypuszczam, że w menu nie było opcji rozgrywania gry jako partyzant.

Nasser wyrzucił niedopałek przez okno.

– Irak. Pokonany.

Być może jestem trochę pijany. Holly stoi przy srebrnych misach z ponczem, wśród kobiet tworzących rozgadany pas asteroid. Pań Webber, Sykes, Corcoran z Corku i wszelkich innych... Kim one wszystkie są? Przechodzę obok stolika, przy którym Dave gra z Aoife w czwórki i przegrywa z teatralną rozpaczą. Ja nigdy z nią tak nie gram. Aoife chichocze, a jej dziadek chwyta się za serce i zawodzi:

– O, nieee! Jak mogłaś znowu wygrać! To ja jestem mistrzem czwórek!

Żałując, że na wcześniejszą lodowatość Holly sam nie odpowiedziałem mniej lodowato, postanawiam podejść do niej z gałązką oliwną. Jeśli da mi nią po twarzy, to już nie będzie żadnych wątpliwości, kto tu robi histeryczne sceny, a kto zachowuje się spokojnie i z klasą. Od kobiety, która oficjalnie jest moją partnerką, dzielą mnie jeszcze tylko trzy grupki elegancko ubranych ludzi, kiedy nagle przechwytuje mnie i blokuje mi drogę Pauline Webber, trzymając za ramię patykowatego młodzieńca. Chłopak ubrany jest jak na turniej juniorów w snookera – w liliową koszulę i liliową kamizelkę – i ma bladą cerę.

– Ed, Ed, Ed! – skrzeczy Pauline. – Nareszcie cię odnalazłam. To jest Seymour, o którym tyle ci mówiłam. Seymour, Ed Brubeck, prawdziwy, podróżujący po całym świecie reporter. – Seymour błyska całą szerokością aparatu na zęby. Uścisk dłoni ma kościsty i twardy, jak u robota. Pauline uśmiecha się jak zadowolona swatka. – Och, zabiłabym teraz kogoś korkociągiem, żeby zdobyć aparat fotograficzny i zrobić wam zdjęcie. – Ale nie robi nic, żeby go komuś zarekwirować.

Seymour ściska moją dłoń dłużej, niż należy. Jego czoło usiane jest

konstelacjami ropnych krost – rozpoznaję niekształtne „w” Kasjopei – a wzmagane alkoholem poczucie, że już kiedyś ta scena mi się śniła, jest w ułamku sekundy wypierane przez wrażenie, że nie, to tylko przyśniło mi się poczucie, że ta scena już mi się śniła.

– Podziwiam pańskie reportaże.

– Och. – Czyli chłopak ma ambicję zostać dziennikarzem. Uwiodły go opowieści o brawurowych akcjach i seksie z duńskimi fotoreporterkami w krajach, których nazwy kończą się na „stan”.

– Obiecałeś, że zdradzisz kilka sekretów – mówi Pauline Webber.

Obiecałem?

– Jakie sekrety miałem zdradzić?

– Ed, łobuzie. – Daje pstryczka goździkowi w mojej butonierce. – Nie każ mi się prosić. Jesteśmy teraz rodziną.

Muszę porozmawiać z Holly.

– A co chciałbyś wiedzieć, Seymour?

Seymour wbija we mnie spojrzenie swoich przedziwnych oczu brzuchomówcy i uśmiecha się do mnie wężowato, a głos Pauline Webber przekrzykuje gwar:

– Jak zostać wielkim dziennikarzem!

Czuję nagłą potrzebę tabletek przeciwbólowych, naturalnego świata i świeżego powietrza.

– Zacytuję mojego dawnego mentora – mówię chłopakowi. – „Dziennikarz musi być szczwany jak lis, zachowywać się wiarygodnie i mieć nieco zdolności literackich”. Czy już wiesz wszystko?

– No a ci wielcy? – głos Pauline Webber dominuje nad gwarem.

– Wielcy? Cóż, wszystkich łączy wspólna cecha, którą Napoleon u swoich generałów podziwiał najbardziej: szczęście. Być w Kabulu, kiedy miasto upada. Być na Manhattanie jedenastego września. Być akurat w Paryżu, kiedy kierowca Diany robi śmiertelny manewr. – Kulę się lekko, kiedy do środka wpadają szyby okien, ale nie, to nie

dzisiaj, to dziesięć dni temu. – Dziennikarz bierze ślub z informacją, Seymour. A informacja jest kapryśna, okrutna i zazdrosna. Wymaga, żebyś jechał za nią wszędzie, gdzie na świecie życie ma najmniejszą wartość. Ona zostanie tam dzień lub dwa, a potem odleci. Ty, twoje bezpieczeństwo, twoja rodzina nie macie dla niej najmniejszego – mówię to, jakbym wydmuchiwał kółko papierosowego dymu – najmniejszego znaczenia. Naiwnie powtarzasz sobie, że wypracujesz jakiś *modus operandi*, który pozwoli ci być dobrym dziennikarzem i jednocześnie dobrym człowiekiem, ale nie, to pieprzenie. Ona przyzwyczai cię do widoków, do jakich powinni być przyzwyczajeni wyłącznie lekarze i żołnierze. Z tym, że o ile lekarze zarabiają na status świętych, a żołnierze na pomniki, o tyle ty, Seymour, nabawisz się tylko wszy, odmrożeń, rozstrojów żołądka, malarii i poznasz nocę w więziennych celach. Będą na ciebie pluli jak na pasożyta i kwestionowali twoje wydatki. Jeśli chcesz wieść szczęśliwe życie, Seymour, wymyśl sobie na nie inny pomysł. W każdym razie i tak nasz zawód jest już na wymarcu. – Wyczerpany, przepycham się przez nich i w końcu, do cholery, docieram do mis z ponchem...

...ale Holly już zniknęła. Mój telefon wibruje. Wiadomość od Olive Sun. Przelatuję ją wzrokiem.

czesc, ed, mam nadzieje, ze wesele udane. dufresne zgodzil sie na wywiad w czw 22. mozesz leciec do cairns w sr 21? straganiara odbierze cie bezposrednio z hotelu. odpowiedz szybko. pzdr. os.

W pierwszej chwili myślę: „Udało się!”. Mając wszelkie podstawy, by przypuszczać, że korespondencja „Spyglassa” jest przechwytywana przez co najmniej kilka rządowych agencji, Olive Sun wysyła wiadomości szyfrem: „Dufresne” – kryptonim wzięty ze *Skazanych na Shawshank* – w naszym tajnym kodzie oznacza głównego palestyńskiego inżyniera od kopania tuneli pod granicą Gazy z Egiptem. „Cairns” to Kair. „Straganiara” to doradca Hezballahu.

Właśnie o ten repertuar rodem z Bonda chodzi gówniarzom takim jak Seymour, myślą, że to nasz chleb powszedni. Ale nie ma nic z Bonda w byciu przetrzymywanym siedemdziesiąt dwie godziny przez egipskie służby bezpieczeństwa w bunkrze na przedmieściach Kairu i w czekaniu, aż przyjedzie znużony oficer prowadzący przesłuchania i zapyta cię, po co przyjechałeś. Już jesienią zeszłego roku podsunąłem Olive pomysł na tekst, a ona poruszyła niebo i ziemię, żeby ustawić mi kontakty. Dufresne, jeśli to jeden człowiek a nie dziesięciu, w Egipcie, Strefie Gazy i Jordanii ma status półboga. Wywiad z nim byłby wielkim sukcesem i opinia krajów arabskich o „Spyglassie” wzrosłaby dziesięciokrotnie. W blokadach i sankcjach nie dzieje się nic nowego, nie ma o czym pisać, nie ma na co patrzeć. Kogo obchodzi, czy Izraelczycy wprowadzą zakaz importu mleka w proszku do Gazy? Natomiast historie o tunelach pod murem to zupełnie inna sprawa. To jak *Wielka ucieczka*, jak *Hrabia Monte Christo*, a ludzie uwielbiają takie rzeczy. Już mam odpowiedzieć „tak”, kiedy przypominam sobie pewien szkopuł: o siódmej wieczorem w przyszłą środę Aoife Brubeck daje jeden jedyny występ jako Tchórzliwy Lew w spektaklu *Czarnoksiężnik z krainy Oz*, wystawianym przez Szkołę Podstawową Kościoła Anglii im św. Judy, a jej tata ma być na widowni.

Trzeba być egoistycznym skurwysynem, żeby olać moment, kiedy własna córka zmienia się w gwiazdę. Co kogo obchodzą sześćioletnie dzieci innych ludzi, które nigdy nie wezmą udziału w żadnym przedstawieniu, bo zginęły, kiedy izraelskie buldożery albo rakiety Hezbollahu zniszczyły ich domy? To nie nasze dzieci. My byliśmy na tyle sprytni, żeby urodzić się tam, gdzie takie rzeczy się nie zdarzają.

Rozumiesz już, Seymour, o co chodzi?

Wartownicy na służbie w punkcie kontrolnym przy hotelu Safir rozpoznali samochód Nassera, podnieśli szlaban i machnięciem ręki pokazali, że możemy jechać. Zatrzymując się z chrzęstem żwiru pod oponami, Nasser powiedział mi:

– Okej, Ed, czyli z Aziz jesteśmy jutro rano o dziesiątej. Ty i ja przepisamy taśmy. Aziz przyniesie zdjęcia. Super ta historia. Olive będzie bardzo zadowolona.

– Widzimy się o dziesiątej. – Jeszcze zanim wysiadłem, wręczyłem Nasserowi kopertę z dniówką w dolarach od „Spyglassa”. Uścisnęliśmy sobie dłonie, Aziz wypuścił mnie ze swojej strony i corolla odjechała. Zatrzymała się zaledwie kilka jardów dalej. Myślałem, że coś się zepsuło, ale Nasser opuścił szybę i czymś do mnie zamachał.

– Ed, weź to.

Podszedłem, a on dał mi do ręki swój mały magnetofon.

– Po co? Przecież będziesz jutro.

Nasser skrzywił się.

– U ciebie będzie bezpieczniejszy. Na tej taśmie jest wiele dobrych słów. – Powiedziawszy to, okrążył rondo i zawrócił na punkt kontrolny.

Wszedłem po schodach do hotelu. Każde okno było ciemnym prostokątem. Nawet kiedy był prąd, gości ostrzegano, żeby nocą nie palili światła, bo istniało ryzyko ostrzału przez snajperów. W wyłożonym metalowymi płytami portyku przywitał mnie Tariq, ochroniarz z dragunowem.

– Piąteczka i szacunek. – Tariq lubi ćwiczyć slangowe zwroty. – Jak leci?

– Nie narzekam. Dziś spokojnie.

– Spokojnie. Dzięki Allahowi.

– Big Mac już wrócił?

– Tak, tak. Kolo jest w barze.

Tariqowi i jego trzem kolegom dają hojne napiwki, żeby powiadamiarli mnie, gdyby pytali o mnie jacyś obcy, i żeby udzielali im wymijających odpowiedzi. Nie mam, niestety, pewności, czy Tariq nie pobiera przypadkiem opłat z obu stron, ale póki stanowią źródło dochodów, chyba szkoda byłoby mu je stracić i taka taktyka na razie się sprawdza. Z portyku przeszedłem przez szklane drzwi do kolistej recepcji, gdzie lampa rzuciła słabe światło na stanowisko konsjerża. Pod sufitem wisi wielki żyrandol, ale jeszcze nigdy nie widziałem go włączonego, a teraz jest cały w pajęczynach. Nie potrafiłem na niego patrzeć, nie wyobrażając sobie, że spada nam na głowy. Pan Khufaji, kierownik hotelu, pomagał jakiemuś chłopakowi załadować zużyte akumulatory samochodowe na bagażowy wózek. Rozładowane akumulatory są co rano wymieniane na sprawne, jak puste butelki po mleku wymieniano na pełne, kiedy byłem dzieckiem. Goście używają ich do zasilania laptopów i telefonów satelitarnych.

– Dobry wieczór panu – przywitał mnie kierownik, ocierając czoło chusteczką. – Już podaję pański klucz.

– Dobry wieczór, panie Khufaji. – Czekałem, aż znajdzie go w szufladzie. – I mogę prosić o akumulator?

– Oczywiście. Poślę na górę chłopaka, jak tylko wróci.

– Będę wdzięczny.

Zachowaliśmy staromodne maniere, mimo że Bagdad zszedł na psy, a Safir nie jest już pięciogwiazdkowym hotelem, tylko bardziej kempingiem z obsługą wewnątrz wymarłej rezydencji.

– Tak myślałem, że to ty. – Z honduraskim cygarem w dłoni Big Mac wyszedł z obskurnego baru, który służył za salę klubową, plotkarski magiel i giełdę przysług. – Którą to mamy godzinę?

– Wróciłem po tobie, czyli ty stawiasz piwo.

– Nie, nie, nie, umowa była, że piwo stawia ten, kto wróci ostatni.

– Podłe kłamstwo, MacKenzie, dobrze o tym wiesz.

– Hej. Podłe kłamstwa rodzą wojny i dają pracę goniącym za newsem pismakom. Coś się działo w Faludży? Jakież akcje?

– Nie przedostaliśmy się przez kordon bezpieczeństwa. A twoi turyści?

– Strata czasu. – Big Mac zaciągnął się głęboko dymem z cygara. – Dojechaliśmy do Camp Victory tylko po to, żeby nam powiedzieli, że walki się nasiliły, a to znaczy, że marines będą zbyt zajęci, żeby osłaniać nam dupy. Wysłuchaliśmy propagandowego pierdolenia służby prasowej, a potem wsadzili nas do konwoju z dostawami, który wracał do Bagdadu. Oczywiście nie do tego, który przemieliała mina-pułapka. A jak wam się udało?

– Lepiej. Znaleźliśmy prowizoryczny szpital dla uchodźców z Faludży, a do tego zestrzeloną kiowę. Aziz zdążył zrobić kilka zdjęć, zanim twój krajan w mundurze grzecznie zasugerował, żebyśmy sobie poszli.

– Nieźle, ale – Big Mac podszedł bliżej i ściszył głos, choć Khufaji już wyszedł – Vincent Agrippa dwadzieścia minut temu dostał esemesa od jednego ze swoich „dobrze poinformowanych źródeł”. Podobno jutro ma wejść w życie „jednostronne zawieszenie broni”.

Jakoś w to nie wierzyłem.

– Mac, milicja z Faludży nie padnie na kolana. No, chyba że ćwicząc manewry...

– Nie, nie chodzi o bojowników. Marines się wycofują.

– O kurwa. Skąd to źródło? Ze sztabu generała Sancheza?

– Nie. Wojskowych jasny chuj strzeli, jak się dowiedzą. Zaczną mówić, że trzeba, kurwa, kończyć, co się zaczęło.

– Sądziś, że za tym stoi Bremer?

– O, Wielki Wysłannik nie ma na tyle jaj.

– No to może jakaś podpowiedź, co?

– Stawiasz piwo, więc dam ci trzy podpowiedzi. – Big Mac zrobił

pięć sekund przerwy na cygaro – si, aj i ej. CIA. Bezpośrednie polecenie z biura Dicka Cheney’a.

– Vincent Agrippa ma źródło w CIA? Przecież to Francuz! Pierdolony srający w gacie żabojad.

– Vincent Agrippa ma źródło w prywatnym schronie pana Boga i dobrze na tym wychodzi. Cheney boi się, że Faludża podzieli niezłomną koalicję, co prawda nie są ani koalicją, ani niezłomną, ale cóż. Przyjdź, zjedz z nami kolację, jak już się wykąpiesz, zgadnij, co dziś w karcie.

– Czy może kurczak z ryżem? – W oficjalnym menu hotelu Safir figurowało pięćdziesiąt dań, ale podawano wyłącznie kurczaka z ryżem.

– Ja pierdolę, telepata.

– Zaraz zejdę na kolację, tylko się przebiorę w coś wygodniejszego.

– Obiecanki cacanki, kokieto.

Big Mac wrócił do baru, a ja wszedłem po schodach na półpiętro – windy nie działały od 2001 roku – potem jeszcze pół piętra w górę i kolejne pół. Wyrzałem przez okno na czarny jak ropa Tygrys i na Zieloną Strefę na jego drugim brzegu, rozjarzoną światłami jak Disneyland w Dystopii. Przyszła mi na myśl powieść J.G. Ballarda *Wieżowiec*, w której ultranowoczesny londyński drapacz chmur staje się strzelistą siedzibą cywilizacji. Ta jednak obnaża się tak bardzo, że w końcu zostaje wyłącznie pierwotna przemoc. Za Pałacem Republikańskim, gdzie rano Mike Klimt informował nas o obiecującym postępie w Faludży i w innych rejonach Iraku, właśnie wylądował helikopter. O czym myślą Irakijczycy, kiedy widzą tę rozjarzoną Enklawę Dobrobytu w sercu ich miasta? Wiem, o czym, bo Nasser, pan Khufaji i inni mi powiedzieli: myślą, że oświetlona, zaopatrzona w prąd i dobrze strzeżona Zielona Strefa jest dowodem na to, że Amerykanie naprawdę mają magiczną różdżkę, która jest w

stanie przywrócić porządek w irackich miastach, ale że anarchia rozsnuwa gęstą zasłonę dymną, za którą mogą wypompowywać iracką ropę. To nieprawda, ale czy ich przekonanie jest znowu bardziej absurdalne od przekonań osiemdziesięciu jeden procent Amerykanów, którzy wierzą w anioły? Gdzieś niedaleko usłyszałem miauczenie i spojrzałem w dół. Z cienia wylaniał się księżycowoszary kot. Nachyliłem się z okna ku ziemi, żeby powiedzieć mu cześć, i absolutnie wyłącznie dlatego wybuch na zewnątrz nie oderwał mi części czaszki jak skorupki od jajka. Eksplozja zmiotła szyby z zachodniej ściany hotelu Safir, wtłaczając w nieoświetlone korytarze falę uderzeniową, wtłaczając w nasze kanały słuchowe nieprzerwany ryk, wtłaczając w przestrzenie między atomami atonalne brzmienie zniszczenia.

*

Biorę kolejny ibuprofen i wzdycham do ekranu laptopa. Opisałem ten wybuch podczas wczorajszego lotu ze Stambułu, kiedy jednocześnie walczyłem z rozwolnieniem i niewyspaniem, i obawiam się, że w tekście można to wyczuć. Literatura faktu, która pachnie fikcją, jest kompletnie nijaka. O jedenastej czasu wschodnioamerykańskiego Rumsfeld ma wydać oświadczenie w sprawie Iraku, ale to dopiero za pięćdziesiąt minut. Włączam w telewizorze CNN World i ściszam dźwięk, ale na razie tylko reporter akredytowany przy Białym Domu relacjonuje, co zdaniem „dobrze poinformowanego źródła zbliżonego do sekretarza obrony” Rumsfeld może powiedzieć, kiedy się pojawi przed kamerami. Aoife ziewa na łóżku i odkłada rocznik 2004 *Ratownika Pogotowia dla Zwierząt*.

- Tato, możesz włączyć *Dora poznaje świat*?
- Nie, kochanie. Sprawdzam coś do pracy.

– Czy ten biały budynek to Bad Dad?
– Nie, to Biały Dom. W Waszyngtonie.
– A dlaczego jest biały? Mieszkają w nim tylko biali ludzie?
– Hm... Tak. – Wyłączam telewizor. – Czas się zdrzemnąć, Aoife.
– Jesteśmy dokładnie pod pokojem dziadka Dave’a i babci Kath?
Właściwie powinienem jej coś przeczytać. Holly jej czyta. Ale muszę dokończyć tekst.

– Oni są piętro wyżej, ale nie dokładnie nad nami.
Słysząc krzyki mew. Powiew porusza firanką. Aoife siedzi w milczeniu.

– Tato, jak już się obudzę, możemy pójść do Dwighta Silverwinda?
– Nie zaczynajmy znowu. Powinnaś się trochę przespać.
– Powiedziałeś mamie, że też się prześpisz.
– I się prześpię, ale ty pierwsza. Ja muszę jeszcze dokończyć pisać artykuł i do wieczora wysłać go mailem do Nowego Jorku.

A potem chyba powiedzieć Holly i Aoife, że nie będzie mnie w czwartek na *Czarnoksiężniku z krainy Oz*.

– Dlaczego?
– A skąd twoim zdaniem biorą się pieniądze na jedzenie, ubrania i książki o *Ratownikach z Pogotowia dla Zwierząt*?
– Od ciebie z kieszeni. I od mamy z kieszeni.
– A skąd się biorą w kieszeni?
– Przynosi je dobra wróżka. – Teraz Aoife już tylko się wdzięczy.
– Tak. Cóż... to ja nią jestem.
– Ale mama też zarabia w pracy pieniądze.
– Tak, to prawda, ale Londyn jest bardzo drogi, więc ja też muszę zarabiać.

Przychodzi mi właśnie do głowy lapidarne wyrażenie w miejsce kwiecistych „przestrzeni między atomami”, ale moja skrzynka pocztowa sygnalizuje nowy mail. To tylko z Air France, jednak kiedy

wracam do artykułu, lapidarny zamiennik już uleciał mi z głowy.

– Dlaczego Londyn jest drogi, tato?

– Aoife, proszę. Muszę popracować. Spróbuj zamknąć oczy.

– No dobrze. – Kładzie się z komiczną irytacją i udaje, że chrapie jak Teletubiś. To naprawdę działa mi na nerwy, ale nie przychodzi mi do głowy nic, co mógłbym powiedzieć na tyle dosadnie, żeby ją uciszyć, ale żeby się przy tym jednak nie rozpląkała. Lepiej to przeczekać.

„Pierwszą myślą było” – stukam w klawiaturę – „że żyję. Drugą...”.

– Tato, dlaczego nie mogę sama iść do Dwighta Silverwinda?

Tylko spokojnie.

– Bo masz dopiero sześć lat, Aoife.

– Ale wiem, jak tam trafić! Trzeba wyjść z hotelu, przejść przez jezdnię na przejściu dla pieszych, potem idzie się mołem i już się jest na miejscu.

Proszę – Holly w miniaturze.

– Twoja przyszłość zależy od ciebie. A nie od tego, co ci powie jakiś obcy facet z wymyślonym nazwiskiem. A teraz proszę. Pozwól mi pracować.

Aoife przytula się do polarnego liska. Wracam do artykułu: „Pierwszą myślą było, że żyję. Drugą: nie podnoś się, jeśli to ostrzał z granatnika przeciwpancernego, wybuchów może być więcej. Moje...”.

– Tatusiu, nie chcesz wiedzieć, co ci się przydarzy w przyszłości?

Odczekuję w niezadowoleniu kilka sekund.

– Nie.

– Dlaczego?

– Dlatego że... – Myślę o tajemniczym Skrypcie ciotki Eilísh, o rodzinie Nassera, o majorze Hackensacku, o tym, jak jechałem rowerem ścieżką przy ujściu Tamizy pewnego upalnego dnia w 1984 roku i rozpoznałem dziewczynę leżącą na kamienistej plaży, w

koszulce z Quadrophenią, w dżinsach czarnych jak jej krótko obcięte włosy, śpiącą z torbą pod głową, a ja myślałem „jedź dalej, jedź dalej”... I o tym, jak zawróciłem. Zamykam laptop, podchodzę do łóżka, zsuwam buty i kładę się obok Aoife. – Bo co by było, gdybym się dowiedział, że zdarzy mi się coś złego, albo co gorsza, mamie albo tobie, a ja nie mógłbym tego zmienić? Wolalbym tego nie wiedzieć, żeby po prostu... cieszyć się ostatnim słonecznym popołudniem.

Aoife patrzy na mnie wielkimi, poważnymi oczami.

– A jeśli mógłbyś to zmienić?

Dłonią ściskam jej włosy na czubku głowy, tak że wychodzi mi jakiś prawie samurajski kok.

– A gdybym nie mógł, Czubata Panienko?

– Ej, nie jestem żadną Czubatą Panienką. – Aoife ziewa. Ja też ziewam, a ona mówi: – Ha! Zaraziłeś się ode mnie ziewaniem.

– No dobrze, zdrzemnę się trochę z tobą.

To nie taki zły pomysł. Aoife będzie spała przynajmniej godzinę, a ja, rześki i wypoczęty, obudzę się za dwadzieścia minut, zdążę wysłuchać ostatnich zaprzeczeń Rumsfelda, dokończę tekst i wymyślę, jak powiedzieć Holly i Tchórzliwemu Lwu, że w środę muszę być w Kairze.

– Dobranoc – mówię Aoife, jak to zwykle mówi jej Holly. – Pchły na noc, karaluchy pod poduchy.

*

„Ed! Ed!!!”. Śniło mi się, że Holly budzi mnie w pokoju hotelowym, a w oczach ma panikę, jak koń, który wie, że czeka go śmierć. Zdaje się, że Holly pyta: „Gdzie jest Aoife?”, ale przecież nie może o to pytać, bo Aoife śpi obok mnie. Coś jest nie tak z grawitacją, nogi i ręce mam jakby puste w środku i usiłuję zapytać: „O co chodzi?”. Holly brzmi jak

ktoś nieudolnie ją naśladowający.

– Ed, gdzie jest Aoife?

– Tutaj. – Podnoszę koc.

Widzę tylko polarnego liska.

Przez ciało przebiega mi dwadzieścia tysięcy woltów, wracając absolutną przytomność.

Tylko bez paniki.

– Jest w łazience.

– Sprawdziłam. Ed! Gdzie ona jest?

– Aoife? Aoife, wyjdź, nie chowaj się, to nie jest śmieszne!

Wstaję, moja noga ślizga się na roczniku 2004 *Ratowników Pogotowia dla Zwierząt*, który upadł na podłogę. Sprawdzam w szafach. W dwucalowej szparze pod łóżkiem. I w łazience. I w kabinie prysznica. Kości mam z plasteliny. Aoife nie ma.

– Była tu. Spaliśmy razem, dosłownie chwilę temu.

Spoglądam na zegar w telewizorze: 16:20! Rany boskie. Rzucam się do okien, jakby... jakbym miał zobaczyć, że do mnie macha w gwarным tłumie wczasowiczów na promenadzie pod hotelem? Uderzam w coś palcem stopy, a ból wywierca w nim dziurę. Aoife pytała, gdzie jest pokój Dave'a i Kath. I dlaczego nie może pójść sama do Dwighta Silverwinda. Szukam jej sandałów. Zniknęły. Holly coś mówi, ale ja nagle zapomniałem ludzkiej mowy, zostały tylko samogłoski i spółgłoski. Holly przestaje mówić i czeka, aż jej odpowiem.

– Albo poszła szukać ciebie, albo do pokoju twoich rodziców, albo... albo do tego jasnowidza na molo. Ty idź do rodziców. I powiedz w recepcji, żeby nie wypuszczali z hotelu sześciolatki w pod... – kurwa, w co była ubrana? – w podkoszulku z zebra. Ja sprawdzę na molo.

Wskakuję w buty. Gdy już jestem na korytarzu, Holly woła za mną:

– Wziąłeś komórkę?

Sprawdzam i odkrzykuję:

– Tak!

Potem pędzę korytarzem do wind, gdzie dwie starsze panie w kwiecistych sukniach, wyjęte z książek Agathy Christie, czekają obok rozłożystej aspidistry o prehistorycznych rozmiarach, rosnącej w ogromnej donicy z brązu. Naciskam guzik, ale winda nie przyjeżdża, walę w niego znowu i dociera do mnie, że cały czas mamrocze „kurwa, kurwa, kurwa”, a panie piorunują mnie wzrokiem. W końcu winda przyjeżdża, drzwi się otwierają, a Darth Vader wskazuje na sufit mieczem świetlnym i z akcentem z Belfastu pyta:

– Państwo w górę?

Nagle wali mnie pięścią w brzuch wizja Aoife na dachu, więc wsiadam. Panna Marple odpowiada:

– My w dół, ale kostium ma pan kapitalny.

Przecież nie, zejść się z głową. Każde drzwi na dach będą zamknięte, to idiotyczny pomysł. Zasady bezpieczeństwa. A poza tym Aoife jest na molo. Wsiadam z windy w ostatniej chwili, kiedy drzwi już się zamykają, ocieram goleń, usiłując je z powrotem otworzyć, a Darth Vader rzuca:

– Może niech się pan zdecyduje.

Do klatki schodowej. Biegnę, dokąd wskazuje strzałka z napisem „Schody”, potem do kolejnej strzałki i jeszcze jednej, i jeszcze. Dywan tłumi odgłos moich kroków. Przede mną obie starsze panie właśnie wsiadają do windy, więc krzyczę:

– NIECH PANIE PRZYTRZYMAJĄ WINDE! – i rzucam się sprintem, jak Michael Jordan, ale potykam się o rozwiązane sznurówki i wykładam się jak długi, jadąc po podłodze dziesięć metrów, tarcie o wykładzinę parzy mnie w grdykę, a drzwi z łoskotem się zamykają, może Agaty Christie mogły je dla mnie przytrzymać, a może nie mogły, ale suki nie przytrzymały, więc walę w przycisk kciukiem, ale

jebana winda już mknie na dół, a moja ufna, niewinna córeczka jest coraz bliżej człowieka na moło, który ma własną zamykaną budkę i pewnie nawet nie wkłada gaci pod tą swoją szatę Merlina.

Zawiązuję sznurówki i cofam się o krok, winda zatrzymuje się na „7”, a jakieś dziesięć lat później przesuwa się na „6” i stoi tam kolejne dziesięć lat. Wzbiera we mnie krzyk i wtedy przez szklane drzwi za aspidistrą dostrzegam schody. Kurwa mać! W klatce schodowej dudni echo, a ja pędzę w dół jak bohater filmów akcji, z miękkimi kolanami, ale jaki bohater filmów akcji zasypia, kiedy ma pod opieką jedyną córkę, swoją śliczną, idealną, pełną humoru, i taką delikatną córeczkę. Zbiegam w dół, piętro za pięтром w mojej Podróży do Środka Ziemi, czuję coraz silniejszy zapach świeżej farby, mijam malarza na drabinie.

– Hej, spokojnie, bo się pan poślizgnie i rozwali sobie głowę!

Docieram do drzwi z tabliczką „Wyjście awaryjne”, z brudnym okienkiem, przez które widać podziemną rampę wyładunkową, więc to tył budynku, kiedy ja potrzebuję wyjść od frontu, a poza tym drzwi z okienkiem i tak są zamknięte. Dlaczego nie zaczekałem na tę pierdoloną windę? Gnam przejściem dla personelu, przebiegam obok tabliczki z napisem „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony” i mam już pewność, że zagubiłem się nie tylko w labiryncie zakrętów i drzwi, ale także w meandrach decyzji, na rozstajach spraw ważnych i mniej ważnych, że błędzę tak nie tylko od minuty czy dwóch, ale od wieków, od lat, i że wiele lat temu zbyt często skręcałem w złą stronę i nie mogę już wrócić do tych zakrętów, więc walę w drzwi z napisem „Wejście”, a potem naciskam klamkę i ciągnę, ale drzwi nie chcą się otworzyć – to dlatego, że trzeba je pchnąć, więc pcham...

Co??? Sala wystawowa, coraz głębsza, szersza i wyższa, a ja zastanawiam się, czy te przestrzenie hotelu Maritime nie rozpościerają się czasem – z pewnością – pod sąsiednimi budynkami,

pod promenadą, a może nawet pod kanałem La Manche. Wielotysięczny tłum wypełnia te przejścia i alejki utworzone ze stoisk i kiosków, a dźwięki, które docierają do moich uszu, brzmią jak szum oceanu. Niektórzy goście są ubrani zwyczajnie, ale większość jest przebrana w kostiumy: Supermani, Batmani, Spidermani; Doktorzy Spock, Doktorzy Who, Doktorzy Evil; trójka C-3PO, para Klingonów, jaszczurczy Silurian; rząd żeńskich Harrych Potterów o skośnych oczach, nastroszona Kobieta-Kot, poprawiająca ramiączko stanika, i para małp z Planety tychże; oddział agentów Smithów z *Matriksa*, chodzący statek kosmiczny Tardis, rozwalony Schwarzenegger z widocznymi fragmentami endoszkieletu T-800; rozmowy, śmiechy, zażarte dyskusje. A jeśli Aoife wpadła do tego tygła świrów, maniaków i fantastów? Jak się stąd wydostanie? Jak ja się stąd wydostanę? Wybiegam przez wielkie drzwi, oczywiście w drugim końcu sali, pod transparentem „KONWENCJA BRIGHTON PLANET 2004”. Przedzieram się przez powolny strumień ludzi przeglądających mangi, przez Tribblesów, przez T-shirty z dumnym napisem „Jestem fanem Star Treka. Pocałuj mnie w turboszyby”, przez modele USS Enterprise do składania, przez metalowe odlewy Gwiazdy bojowej Galaktyka; mijam jakiegoś Daleka, wykrzykującego:

– Jasna dziewica, kominiarz czarny, wszystko się w popiół obróci marny[9].

Robię unik przed Niewidzialnym Człowiekiem, omijam Minga z *Flasha Gordona*, przeciskam się przez grupkę Uruk-haiów i orientuję się, że zgubiłem wyjście, straciłem Aoife, nie wiem, gdzie północ, południe, wschód i zachód, więc pytam Yodę, droga którądy wiedzie, a on odpowiada:

– Tamtędy, koło kibli. – I wskazuje dłonią, a ja w końcu znajduję się w hotelowym lobby i przechodzę między jakimś młodocianym reporterem a sędzią Dreddem.

Wybiegam na zewnątrz...

...w popołudnie słońce jak popcorn, uskakując między samochodami na jezdni, żeby dostać się na promenadę. Trąbią klaksony, ale dzisiaj mnie to nie dotyczy. Ładna pogoda zwabiła nad morze diabelskie tłumy, rodem z „Gdzie jest Wally?”. Tłumy rodzin, które nie zgubiły sześćioletniej córeczki przez własną niefrasobliwość, przez zaniedbanie. Oddałbym duszę, żeby móc wrócić do pokoju sprzed godziny i lepiej zająć się Aoife. Powiedziałbym: „może rzeczywiście byłem wcześniej trochę niemiły, przepraszam, chodź, pójdziemy razem do pana Silverwinda”, i gdybym tylko mógł dostać Aoife z powrotem, oddałbym wudu-skurwielowi moją kartę do bankomatu i podcierał mu tyłek do końca życia. Albo gdybym mógł przeskoczyć godzinę do przodu, kiedy Aoife już się odnalazła cała i zdrowa, to przede wszystkim zadzwoniłbym do Olive Sun i powiedział: „Sorry, Olive, niech na wywiad z Dufresne jedzie Hari albo Jen”. Boże, Boże, Boże, daj, żeby Aoife wybiegła teraz spośród tłumu i rzuciła mi się na szyję. Niech żaden obcy facet nie pakuje jej teraz do furgonetki. Nie myśl o tym, po prostu nie myśl. Napierająca rzeka ludzi płynie na molo i z molo. Biegnę pod prąd, potem zwalniam. Nie wolno mi jej przegapić, jeśli właśnie tędy wraca i szuka tatusia... Cały czas przyglądaj się twarzom, z każdej strony, skanuj twarze, wypatruj Aoife. Nie myśl o tytułach w prasie: „ZAGINĘŁA CÓRKA REPORTERA WOJENNEGO” ani o wygłaszanych przez łzy apelach w telewizji, ani o oświadczeniach adwokata rodziny Sykesów, tych samych Sykesów, którzy już raz przeżyli ten koszmar, ten sam – „RODZINA JACKO SYKESA DWUKROTNIE DOŚWIADCZA TRAGEDII”. Nie myśl o tych całych tygodniach w 1984 roku, kiedy Kapitan Marlow był zamknięty „z powodów rodzinnych”, jak głosiła kartka na drzwiach. Gazety pisały o paru przypadkach, kiedy rzekomo widziano chłopca podobnego do Jacko, ale to nigdy nie był on. Kath

odpowiadała: „Przykro mi, Ed, ale ona nie chce się dzisiaj z nikim widzieć”. W końcu nie pojechałem w podróż pociągiem i całe lato przepracowałem w centrum ogrodniczym przy rondzie na A2. Też się czułem odpowiedzialny – gdybym wtedy, w sobotę, zamiast otwierać kościelną kłódkę, namówił Holly, żeby wróciła do domu, może Jacko by nie wyszedł, ale Holly mi się podobała i miałem nadzieję, że coś się wydarzy. Dzwoni mój telefon – proszę, panie Boże, niech to się skończy. To Holly, niezniszczalna Holly. A ja się modłę: „Błagam, Boże, błagam, niech to będą dobre wieści”. Pytam:

– I co?

– Rodzice jej nie widzieli. A ty?

– Jeszcze nie przeszedłem całego molo.

– Powiedziałam kierownikowi hotelu. Ogłosili przez megafon, a Brendan pilnuje w recepcji. Mówią, że policja na razie nikogo nie przyśle, ale Ruth już się tym zajmuje.

– Zadzwoń, jak tylko dotrę do tego jasnovidza.

– Dobrze. – Koniec rozmowy. Jestem już prawie przy salonie gier – patrz patrz patrz patrz PATRZ! Mała dziewczynka z czarnymi włosami, w podkoszulku z zebra i zielonych legginsach stoi w otwartych drzwiach. Jezu, to ona, to musi być ona, w brzuchu wybucha mi ręczny granat nadziei i wrzeszczę: – AOIFE!

Ludzie odwracają się, co to za świr tak się wydziera, ale Aoife się nie odwraca.

Gnam, uchylając się przed poparzonymi od słońca rękami, unikając stoisk z lodami i mrożoną lemoniadą.

Mrok wnętrza miesza mi zmysły.

– Aoife!

Ryk wyścigówek Formuły, jak warkot piły łańcuchowej, i *akakakakakak* laserowej broni z dwudziestego drugiego wieku, i głuchy huk bombardowanych budynków, i...

Jest! Aoife! Dziękuję, panie Boże, dziękuję, panie Boże, dziękuję. Aoife wpatruje się w jakąś starszą dziewczynkę w krótkiej bluzeczce, z grzywką, w salonie gier Dance Dance Revolution. Rzucam się tam, klękam przy niej:

– Aoife, skarbie, nigdy nie wolno ci tak odchodzić! Mama i ja prawie dostaliśmy zawału! Chodź. – Kładę jej dłoń na ramieniu. – Aoife, chodź, wracamy.

Ale Aoife odwraca się do mnie i ma nie te oczy, nie ten nos i nie tą twarz, a mnie odciąga silna dłoń dobrze zbudowanego mężczyzny po pięćdziesiątce, w okropnej akrylowej koszulce.

– Czego chcesz od mojej córki?

Jest coraz gorzej, naprawdę coraz gorzej.

– Ja... myślałem, że to moja córka, zgubiłem ją. Była... Ona... ona...

Gość rozważa pozbawienie mnie członka.

– No więc to nie ona. A ty lepiej uważaj. Twoje zamiary ludzie mogą źle odczytać. A może wręcz dobrze... Wyrażam się jasno?

– Przepraszam, ja... ja... ja... – Wybiegam na zewnątrz, prosto w słońce, jak Jonasz wyrzucany z rozgrzanego, tłustego wieloryba.

To twoja kara za Aziza i Nassera.

Moją jedyną nadzieją został Dwight Silverwind. Dzieli mnie od niego sześćdziesiąt sekund.

Nie miałby odwagi tutaj się do niej dobierać. Zbyt dużo tu ludzi.

Może powie jej, żeby poczekała, aż przyjdzie tatuś.

Aoife będzie tam siedziała, jakby to wszystko było tylko zabawą i żartem.

Czy Aoife zna numer komórki Holly? Nie wiem.

Mijam budkę z hamburgerami.

Ogrodzone siatką stojaki do gry w kosza.

Olbrzymiego misia, w środku którego jakiś gość zlewa się wiadrami potu.

I jakąś dziewczynkę, która wpatruje się w kołyszące do snu morze.

Dwight Silverwind jest już coraz bliżej, molo się buja, żebra uciskają mi płuca, jakaś kobieta robi na drutach przed Atelier, a na drzwiach wisi tabliczka z napisem „Trwa przepowiednia”. Wpadam do ciemnej małej nory z jednym stolikiem, dwoma tapicerowanymi krzesłami, trzema świecami, kadzidelkiem, rozłożonymi kartami tarota, zaskoczonym Dwightem Silverwindem i czarnoskórą kobietą w ortalionowym dresie – Aoife nie ma. Nie ma Aoife.

– Byłby pan łaskaw dać nam skończyć? – pyta klientka.

– Czy była tu moja córka? – pytam Silverwinda.

Kobieta wstaje.

– Nie może pan tu tak wpadać!

Silverwind marszczy brwi.

– Pamiętam pana. Tata Aoife.

– Aoife gdzieś wybiegła. Z hotelu, z Maritime. Myślałem, że... że... – oboje patrzą na mnie, jak na totalnego świra. Jestem na granicy wymiotów – ...że mogła tu przyjść.

– Przykro mi, proszę pana – mówi Dwight Silverwind, jakby Aoife umarła – ale nie pokazała się tutaj.

Chwytam się za głowę obiema dłońmi, bo za chwilę wybuchnie mi czaszka. Podłoga przechyla się o czterdzieści pięć stopni i gdyby ta kobieta mnie nie złapała i nie posadziła na krzesło, rozwaliłbym sobie łeb o podłogę.

– Zaraz, chwileczkę, po kolei – mówi kobieta z akcentem z Birmingham. – Mamy do czynienia z zaginięciem dziecka, tak?

– Tak – odpowiadam ledwo słyszalnym głosem. Z zaginięciem, dodaję w myśli.

Kobieta pyta rzeczowo:

– Imię i wiek?

Z zaginięciem.

– Edmund Brubeck. Trzydzieści pięć lat.
– Nie, Edmund. Imię i wiek dziecka.
– A, Aofie Brubeck. Ma sześć lat. Dopiero sześć!
– Dobrze, dobrze. W co była ubrana?
– W T-shirt z zebłą z przodu. I miała sandaalki.
– Dobrze, trzeba działać szybko. Zadzwońię do ochrony moło i poproszę strażników, żeby jej wypatrywali. Zapisz tu swój numer. – Podaje mi długopis i wizytówkę, a ja zapisuję numer komórki. – Dwight, niech pan pójdzie z Edem z powrotem na moło i przeczesujcie tłum. Ja zostanę tutaj. Jeśli nie znajdziecie jej na moło, wróćcie do hotelu i zastanowimy się, co robić dalej. Ed, jeśli tylko Aoife się tu pojawi, natychmiast do ciebie dzwońię. Idźcie już. Idźcie, idźcie!

Kiedy tylko wychodzę na moło, dzwoni mój telefon. Holly pyta:

– Znalazłeś ją?

Moje zwleknię z odpowiedzią zdradza, co powiem.

– Nie.

– Okej. Sharon pisze esemesy do wszystkich gości z wesela, żeby szukali w hotelu. Wracaj tu. Będę w lobby z Brendanem.

– Dobrze. Zaraz wr... – Ale ona już się rozłączyła.

Od strony wesołego miasteczka dobiega skoczna muzyka. Może tam jest Aoife?

– Nie wpuszczają przez bramki dzieci poniżej dziesięciu lat bez opieki dorosłych. – Dwight Silverwind ma na sobie wciąż tę samą wysadzaną klejnotami kamizelkę, którą miał rano. – Lepiej przeczesmy moło. Pani Nichols czeka w Atelier. Będzie kontrolowała sytuację. Jest ze straży miejskiej.

– Ale... – robię gest w stronę jego budki – pan przecież pracuje.

– Pana córka znalazła mnie dziś rano nie bez powodu. I myślę, że to właśnie jest ten powód.

Wracamy wzdłuż molo ku brzegowi, przyglądając się każdej mijanej twarzy, nawet w salonie gier. Nic z tego. Tam, gdzie molo się kończy, albo zaczyna, dziękuję Dwightowi Silverwindowi za pomoc, ale on odpowiada:

– Nie, nie, mam przeczucie, że jest mi pisane zostać z panem do końca.

– Gdzie pisane? – pytam, ale właśnie przechodzimy przez ulicę i wchodzimy do chłodnego lobby hotelu Maritime, a jedynym rezultatem mojego szaleńczego biegu przez molo, jakim mogę się teraz pochwalić, jest ten zasuszony druid w dziwnym stroju, który w tym całym tłumie fanów fantasy nie wygląda nawet zbyt dziwnie.

Za stanowiskiem konsjerża powstało centrum dowodzenia. Kierownik ze słuchawką telefonu przyciśniętą policzkiem do ramienia stoi zamęczany przez Sykesów i Webberów – Sharon i Petera, Ruth i Brendana, Dave’a i Kath, nawet Pauline i Austina – patrzących teraz na fatalnego ojca, przez którego wszyscy przeżywają ten koszmar.

– Nie ma jej na molo – melduję z ociąganiem.

– Amanda jest w waszym pokoju, na wypadek gdyby Aoife wróciła – informuje mnie Ruth.

– Nie martw się, lada moment się znajdzie – pociesza mnie Pauline.

Stojący przy niej Austin kiwa głową i mówi, że Lee z kolegami poszli na plażę, na wypadek gdyby Aoife przyszło do głowy pójść poplaskać się w morzu. Dave i Kath wyglądają, jakby ktoś ich postarzył, a Holly właściwie nie zauważa, że wróciłem.

– Porozmawia pani z policją, pani Brubeck? – pyta ją kierownik.

Holly bierze słuchawkę.

– Halo?... Tak, moja córka... Tak. Tak, wiem, że jeszcze nie minęła nawet godzina, ale ona ma dopiero sześć lat i chcę, żeby postawiono na nogi wszystkie służby... To proszę zrobić wyjątek!... Nie, to pan niech posłucha, mój partner jest dziennikarzem w ogólnokrajowej

gazecie i jeśli Aoife nie znajdzie się cała i zdrowa, będzie pan bardzo, bardzo, bardzo żałował, jeśli w tej chwili nie postawi pan na nogi wszystkich służb... Dziękuję panu. Ma sześć lat... Ciemne włosy, do ramion... Podkoszulek z zebra. Nie, nie w paski zebry, z zebra z przodu... Różowe spodenki. Sandaalki. Nie wiem, chwileczkę... – Holly patrzy na mnie, twarz ma całkiem szarą. – Czy z pokoju zniknęła też jej gumka do włosów?

Patrzę na nią z głupią miną. Jej co?

– Taka srebrna, z diamentkami, związuje nią włosy?

Nie wiem. Nie mam pojęcia. Nie wiem. Ale zanim Holly mi odpowiada, głowa opada jej w tył pod dziwnym kątem, a jej twarz zaczyna tracić wszelki wyraz. Co się dzieje? Kiedyś widziałem, jak kolega cukrzyk wpadł w coś, co potem nazywał hipoglikemią, i wyglądało to bardzo podobnie. Sharon krzyczy:

– Łapcie ją!

Rzucam się do przodu, ale Brendan i Kath już trzymają Holly i chronią ją przed upadkiem.

– Tędy, tędy, przenieście ją tutaj – mówi kierownik, podczas gdy pozostali na wpół ciągną, na wpół przenoszą Holly do biura za recepcją.

Holly histerycznie usiłuje złapać powietrze, jej oddech jest płytki i szybki, a Kath, która wiele lat temu w Corku skończyła kurs pielęgniarski, każe wszystkim:

– Zróbcie jej miejsce! Cofnijcie się!

Razem z Brendanem kładą ją na pośpiesznie uprzątniętej kanapie.

– Oddychaj powoli, skarbie – mówi Kath córce. – Wolno i równo, bardzo cię proszę...

Powinienem stać tam tuż przy niej, ale oddziela mnie od niej zbyt wielu Sykesów, a kantorek jest ciasny i poza tym... czyja to jest przecież wina? Stoję jednak na tyle blisko, że widzę jej oczy i źrenice,

zwężające się do maleńkich kropeczek. Pauline Webber pyta:

– Dlaczego ma takie oczy?

Jej oczy zasłania mi nagle ramię Petera. Przez twarz Holly przebiega skurcz. Dave pyta:

– Kath, może wezwać lekarza?

W twarzy Holly puszczają wszystkie mięśnie, jakby zupełnie straciła przytomność. Brendan pyta:

– Mamo, czy ona ma atak?

A Kath odpowiada:

– Ma strasznie szybki puls.

Kierownik mówi:

– Dzwonię po karetkę.

Wtedy usta i szczęka Holly zaczynają się naprężać i Holly wypowiada słowo: „Dziesięć...”, bełkotliwie, jak osoba całkowicie głucha od urodzenia, ale bardziej ochryple i straszliwie wolno, jak w nagraniu puszczonej z nieodpowiednią prędkością, wymawiając sylaby rozciągnięte w zwolnionym tempie.

Kath patrzy na Dave’a i bezradnie wzrusza ramionami.

– Co dziesięć, Holly?

– Kath, ona mówi coś jeszcze – rzuca Ruth.

Holly formuje drugie słowo:

– Pieeeet...

– Czy to po angielsku? – pyta szeptem Peter Webber.

– Holly, kochanie – pyta Dave – co chcesz nam powiedzieć?

Holly ma lekkie drgawki, więc jej głos się rwie:

– Dziee-ee-siee-eeś...

Czuję, że powinienem jakoś przejąć kontrolę. To znaczy, przecież to ja jestem jej partnerem. Ale jeszcze nigdy nie widziałem jej, ani nikogo innego, w takim stanie.

Pierwszy domyśla się Peter:

– Dziesięć, piętnaście?

Dave pyta córkę:

– Skarbie, czego dziesięć i czego piętnaście?

– Pewnie nie ma co się doszukiwać znaczenia – orzeka Brendan. –

Ona ma jakiś atak.

Łańcuszek, na którym jest zawieszony ostatni labirynt Jacko, zsuwa się z brzegu kanapy i dynda nad podłogą. Nagle Holly chwyta się za głowę i wykrzywia się z bólu, ale oczy ma już znowu normalne i, mrugając, przesuwa wzrokiem po pochylonych nad nią twarzach.

– Kurczę, nie mówcie mi, że zemdlałam.

Najpierw nikt nie wie, co powiedzieć.

– W pewnym sensie zemdlałaś – odzywa się Sharon. – Nie podnoś się.

– Pamiętasz, co mówiłaś? – pyta Kath.

– Nie, ale to nieważne, bo przecież... Aoife... Tak. Liczby.

– Powiedziałaś: „Dziesięć, piętnaście”, Hol – mówi Sharon.

– Już mi lepiej. Czego dziesięć?

– Jeżeli ty nie wiesz – odpowiada Brendan – to skąd my mamy wiedzieć?

– Nieważne, teraz trzeba znaleźć Aoife. Czy ktoś z was dokończył za mnie rozmawiać z policją?

– Według nas – mówi Kath – miałaś atak serca.

– Nie miałam żadnego ataku serca, mamo. Gdzie kierownik?

– Tutaj – zgłasza się nieszczęśnik.

– Proszę połączyć mnie z komisariatem. Będą się tu wlekli autobusem, jeśli ich nie pogonię.

Holly wstaje i robi krok w stronę drzwi, a my powoli wychodzimy za nią z kantorka.

Robię obrót, wsuwając się za ladę recepcji, żeby ustąpić miejsca, a ktoś mówi do mnie:

– Edmund.

Odkrywam Dwighta Silverwinda, o którym zapomniałem.

– Ed, nie Edmund.

– To była wiadomość. Ze Skryptu.

– Co takiego?

– Wiadomość.

– Jaka wiadomość?

– Dziesięć piętnaście. To znak. Wgląd. To nie były słowa Holly.

– No, z pewnością jednak ona to mówiła.

– Ed, czy Holly jest medium?

Nie potrafię ukryć irytacji.

– Nie, nie jest... – Ludzie z Radia. – Ale... kiedy była mała, działały się takie rzeczy i... W pewnym sensie, tak.

Na obwisłej twarzy Dwighta Silverwinda pojawia się jeszcze więcej zmarszczek, niczym słoje drewna.

– Nie będę zaprzeczał, że oprócz przepowiadania przyszłości również po prostu o niej rozmawiam. Ludzie chcą zwierzać się ze swoich obaw i nadziei komuś zaufanemu, i ja oferuję taką usługę. Od czasu do czasu jednak naprawdę trafia się autentyczne medium. Potrafię je rozpoznać. To „dziesięć piętnaście”, które powiedziała Holly... Te słowa coś znaczą.

Gandalfowa twarz Dwighta, ból w mojej głowie, wirujące molo, Eilísh... Każdy samochód może wybuchnąć w dowolnej chwili... Myśl o Aoife, zaginionej i przerażonej, z ustami zaklejonymi taśmą – przestań przestań przestań...

– Pomyśl, Ed. Te liczby... One nie są przypadkowe.

– Może nie są. Ale... nie jestem dobry w szyfrach.

– Nie, nie: Skrypt nie jest żadną skomplikowaną formułą. Najczęściej masz go przed oczami, tuż przed nosem, tak blisko, że go nie dostrzegasz.

Muszę szukać Aoife, a nie rozprawiać o metafizyce.

– Posłuchaj, nie mogę teraz...

Dwight Silverwind stoi przed hotelowymi przegródkami na klucze do pokoi. Klucze do hotelowych pokoi są dzisiaj czymś w rodzaju analogowego reliktu, bo większość hoteli w Wielkiej Brytanii i Ameryce – nie w Iraku – używa kodowanych plastikowych kart z paskami magnetycznymi. Każda przegródka jest oznaczona numerem na grawerowanej mosiężnej płytce, takim samym jak na stosownym kluczu, który spoczywa w przegródce. A sześć cali w lewo od głowy Dwighta Silverwinda jest przegródka z tabliczką 1015. Dziesięć piętnaście. Jest w niej klucz.

To przypadek – nie zacznij tylko teraz widzieć „znaków”.

Dwight Silverwind widzi moje zaniepokojone spojrzenie i szuka wzrokiem tego, co zobaczyłem.

Jak nieprawdopodobny musi być przypadek, żeby stał się znakiem?

– Brawo – rzuca cicho Dwight Silverwind. – Ja wiem, co bym teraz zrobił.

Recepcjonistka stoi odwrócona. Holly czeka przy telefonie. Inni są przygnębieni, oklapli, bladzi. Zjawia się jedna z koleżanek Sharon.

– Na razie nigdzie jej nie ma, ale wszyscy cały czas szukają.

Austin Webber mówi do swojej komórki:

– Lee? Ktoś ją widział?

Biorę klucz do pokoju 1015. Nogi niosą mnie do windy.

Winda czeka, nikogo w niej nie ma. Wsiadam i wciskam „10”.

Drzwi się zamykają. Dwight Silverwind jest cały czas obok mnie.

Winda wjeżdża na dziesiąte piętro bez przystanków po drodze.

Wychodzimy z Silverwindem w grobową ciszę korytarza, która dziwi mnie w tłocznym hotelu w kwietniu. Promienie słońca przebijają się ukośnie przez kurz. Tabliczka głosi: „POKOJE 1000-1030 ZAMKNIĘTE DO ODWOŁANIA Z POWODU REMONTU

INSTALACJI ELEKTRYCZNEJ. WSTĘP SUROWO WZBRONIONY”.

Idę do pokoju 1015, wsuwam klucz w zamek, przekręcam go i wchodzę przez próg. Silverwind zostaje przed drzwiami, a ja, ignorując straszliwą myśl, że Aoife tu nie ma i już nigdy więcej jej nie zobaczę, wchodzę do zatęchłego pokoju i pytam:

– Aoife?

Nikt nie odpowiada. Znaki nie istnieją. Straciłeś ją na zawsze.

Wtedy coś zakłóca ciszę. Rusza się kołdra. Aoife śpi w ubraniu na łóżku, zwinęta w kłębek.

– Aoife!

Ona się budzi, zdumiona, widzi mnie i się uśmiecha.

Te kilka sekund trwale wypala się w mojej pamięci.

Tak wielka ulga nie jest już ulgą, jest szczęściem.

– Aoife, skarbie, czy ty wiesz, jakiego strachu nam wszystkim napędziłaś?

Przytulamy się mocno.

– Przepraszam, tato, ale jak zasnąłeś, to mi się wcale nie chciało spać, więc pomyślałam, że pójde poszukać dziadka Dave’a i zagramy sobie w kulki. I weszłam na górę po schodach, ale wtedy... się trochę zgubiłam. A potem usłyszałam, że ktoś idzie, albo mi się wydawało, i bałam się, że coś przeskrobałam, i się schowałam tutaj, ale potem drzwi nie chciały się otworzyć. Trochę płakałam i próbowałam zadzwonić, ale telefon nie działał, a potem zasnęłam. Jesteś bardzo zły, tato? Możesz mi wstrzymać kieszonkowe.

– Już wszystko dobrze, skarbie, ale chodźmy znaleźć mamę i resztę.

Na korytarzu nie ma śladu Dwighta Silverwinda. Pytanie, skąd i jakim cudem Holly mogła mieć w ogóle pojęcie, musi poczekać. To nie ma znaczenia. To nie ma żadnego znaczenia.

Huk wybuchu już ucichł, za to ciągle były alarmy sześciu samochodów, w różnych tonacjach i w różnym rytmie. Przypomniałem sobie, że ktoś mnie ostrzegwał, że lepiej nie wybiegać na zewnątrz, bo snajperzy mogą jeszcze czekać, żeby zdejmować niedobitków i ratowników. Zatem po prostu leżałem, trochę dygocząc, nie wiem jak długo, aż w końcu wstałem i zszedłem do holu przed recepcją. Pod butami chrzęściło tłuczone szkło. Pan Khufaji klęczał nad ciałem Tariqa, uzbrojonego ochroniarza, usiłując zaklęciami przywrócić go do życia. Prawdopodobnie byłem ostatnią osobą, z którą Tariq rozmawiał. Big Mac i kilku dziennikarzy odważyli się wyjść z baru, obawiając się jednak drugiej fali ataku – często zamachowiec numer jeden oczyszcza teren, a zamachowiec numer dwa wchodzi do akcji i wykańcza już zmiękczony cele.

Safirowi oszczędzono jednak podwójnego ataku, a czas włókł się aż do północy. Jednostka paramilitarna z władającym językiem angielskim „inspektorem Zerjawi” zjawiała się wcześniej niż zwykle, ponieważ celem zamachu byli obcokrajowcy, i dokonano przeszukania hotelowego dziedzińca, oświetlając teren latarkami. W przeszukaniu uczestniczył również pan Khufaji, nadal w szoku po wybuchu. Ja nie brałem w tym udziału. Big Mac powiedział, że eksplozja rozniosła kilka aut, które stały przed hotelem, i że widział parę rozrzuconych ludzkich szczątków. Inspektor Zerjawi wysunął teorię, że jeden ochroniarz zabił drugiego – było tylko jedno ciało – i przepuścił zamachowca w samochodzie. Zamachowiec zamierzał staranować szklany portyk i wjechać do lobby, żeby tam zdetonować ładunek i wysadzić cały budynek. Plan pokrzyżowała mu przeszkoda na parkingu – kto wie? – co z kolei spowodowało wybuch bomby na zewnątrz. „Allah był dla nas dobry”, wyjaśnił w barze inspektor Zerjawi, więc teraz także on będzie dla nas dobry: za jedyne osiemset

dolarów odpali swoich trzech najlepszych funkcjonariuszy, żeby ochraniali odsłonięte lobby. Inaczej bardzo trudno będzie zapewnić nam bezpieczeństwo do rana. Terroryci wiedzą, że jesteśmy bezbronni.

Po zorganizowaniu składki, kilku z nas usiadło przed swoimi laptopami, żeby napisać tekst, inni pomagali panu Khufajiemu w uprzątnięciu zniszczeń, a parę osób poszło spać i spało snem szczęśliwych, że żyją. Ja byłem zbyt roztrzęsiony, żeby dołączyć do którejkolwiek z grup, więc poszedłem na dach i zadzwoniłem do Olive, do Nowego Jorku. Jej asystentka odebrała moją wiadomość, że przed Safirem w Bagdadzie wybuchł samochód-pułapka, ale nie zginął żaden dziennikarz. Poprosiłem też asystentkę Olive, żeby przekazała tę wiadomość Holly w Londynie. Potem po prostu siedziałem na dachu, słuchając serii strzałów z karabinów, buczenia silników dronów i generatorów, okrzyków, szczenia psów, pisku hamulców, muzyki i kolejnych strzałów: bagdadzkiej symfonii. Gwiazdy nie przyświecały zbyt jasno częściowo zaciemnionemu miastu, a księżyc wyglądał, jakby miał chorą wątrobę. Big Mac i Vincent Agrippa przyszedli do mnie na dach, żeby dzwonić ze swoich telefonów satelitarnych. Telefon Vincenta nie działał, więc pożyczyłem mu swój. Big Mac dał nam cygaro, żebyśmy uczcili fakt, że nadal żyjemy, a Vincent nie wiadomo skąd wyciągnął flaszkę zacnego wina. Pod wpływem kubańskiego liścia i winogron z doliny Loary, zwierzyłem im się, że ja też już bym nie żył, gdyby nie jakiś kot. Vincent, nadal porządny katolik, powiedział mi, że kot był wysłannikiem Boga.

– Nie wiem, czym był kot – stwierdził Big Mac – ale z ciebie, Brubeck, niezły, kurwa, farciarz.

Potem wysłałem esemesa do Nassera, że żyję i nic mi nie jest.

Eseses nie został doręczony.

Wysłałem esemesa do Aziza, żeby powiedział Nasserowi, że żyję i nic mi nie jest.

Ten esemes też nie został doręczony.

Wysłałem esemesa do Big Maca, żeby sprawdzić, czy sieć w ogóle działa.

Działała. I wtedy dotarło do mnie przerażające przypuszczenie.

*

Najpewniej najgorsza godzina z całego mojego i Holly doświadczenia jako rodziców zmienia się właśnie w powtarzaną z ust do ust anegdotę, która dorabia się już wręcz apokryfów, a nawet jednej czy dwóch komediowych wstawek. Wiwatującym zebrany w lobby powiedziałem, że po prostu przyszło mi do głowy, że może Aoife, szukając pokoju dziadków, poszła dwa piętra wyżej, zamiast jednego, więc poszedłem sprawdzić i znalazłem sprzątaczkę, która wpuściła mnie do wszystkich pokoi. W trzecim z kolei ją znalazłem. Na szczęście wszystkim zbyt ulżyło, żeby zagłębiać się w szczegóły mojej opowieści, chociaż Austin Webber zaczął się oburzać, że hotel łamie zasady bezpieczeństwa i że za pozwalanie, żeby małe dzieci siedziały uwięzione w pokojach, można pozwać do sądu. Pauline Webber westchnęła:

– Wielkie szczęście, że przyszło ci to do głowy. Aoife, biedula, mogła tam siedzieć zamknięta wiele dni! Aż strach myśleć!

A ja przytaknąłem. Niesamowite szczęście. Nie powiedziałem, jaki numer miał pokój, w którym znalazłem Aoife – to wszystko brzmiałoby jak z *Archiwum X* i przyćmiłoby ślub Sharon i Petera. Aż dopiero dwadzieścia minut temu, na balkonie hotelu Maritime, patrząc na rozświetlone nocą molo, opowiedziałem Holly pełną wersję wydarzeń. Jak zwykle nie potrafiłem stwierdzić, co pomyślała.

– Wezmę szybko prysznic – powiedziała.

Aoife śpi w łóżku, otulona kołdrą, przytulając polarnego liska.

Pod oknem, z gładkim warkotem silników przejeżdża eskadra motocykli.

*

Rozmawiamy już nie wiem jak długo. Co jest miłą odmianą. Holly leży obok mnie z głową opartą na moim ramieniu, a udem oplata mnie w pasie. Nie uprawialiśmy seksu, ale i tak jest teraz między nami intymność, którą już dawno zapomniałem.

– Teraz było inaczej niż przy wizjach, które kiedyś miewałam – tłumaczy Holly. – Wiesz, przy wizjach rzeczy, które dopiero miały się wydarzyć. Przy przeczuciach przyszłości.

– Teraz było bardziej jak z Ludźmi z Radia, kiedy byłaś mała?

Długie milczenie.

– Dzisiaj było tak, jakbym to ja była radiem.

– Jakbyś przekazywała czyjeś słowa?

– Nie wiem, jak to opisać. To niefajne, taki odlot jak dziś. Niby jesteś w swoim ciele, ale w nim nie jesteś. I do tego strasznie mnie to żenuje, kiedy odzyskuję przytomność, a wszyscy stoją nade mną, jak... jak przy jakimś wiktoriańskim łożu śmierci. Bóg jeden wie, co sobie Webberowie pomyśleli.

Zawsze brałam „przecucia” Holly w duży cudzysłów, ale dzisiaj właśnie dzięki tym przecuciom odzyskaliśmy córkę. Mój agnostycyzm został mocno zachwiany. Całuję ją w głowę.

– Napisz o tym kiedyś, kochanie. To... fascynujące.

– Tak, bo ktoś będzie chciał czytać moje brednie.

– Oczywiście. Ludzie desperacko chcą wierzyć, że istnieje coś więcej niż...

Krzyki z wesołego miasteczka na molo płyną nad spokojnym morzem i wlatują przez uchylone okno.

– Hol – nagle uświadamiam sobie, że za chwilę powiem jej o wszystkim – Nasser w Bagdadzie, mój tłumacz, i Aziz Al-Karbalai, mój fotograf. W zeszłym tygodniu zginęli w wybuchu samochodu-pułapki przed Safirem. To przeze mnie nie żyją.

Holly zdejmuje ze mnie nogę i siada na łóżku.

– O czym ty mówisz? Jak to?

*

Holly siedzi z kolanami przyciśniętymi do piersi.

– Szkoda, że mi nie powiedziałaś.

Ocieram oczy poszewką koldry.

– Wesele Sharon to nie był najlepszy moment. Prawda?

– To byli twoi koledzy, twoi przyjaciele. A gdyby Gwyn umarła, a ja bym trzymała to w sobie wiele dni, zanimbym ci powiedziała? Był jakiś pogrzeb?

– Tak, pochowano... ich szczątki. Ale ja nie poszedłem na pogrzeb, było zbyt niebezpiecznie. – Pijany śmiech dobiega z korytarza za drzwiami naszego pokoju. Czekam, aż ucichnie. – Było zbyt ciemno i w nocy nie widać było za wiele, ale o świcie, kiedy zrobiło się jasno... Z samochodu-pułapki został tylko pogięty złom, a z corolli Nassera... Pan Khufaji pielęgnuje kilka... ozdobnych krzewów w donicach przed hotelem, wiesz, takich poprzcinanych w różne kształty. Przypominają mu cywilizowane dni. Między dwiema takimi donicami leżała... łydka... zakończona stopą... w płóciennym bucie. Bóg mi świadkiem, że w Rwandzie widziałem gorsze rzeczy, a pierwszy lepszy szeregowy żołnierz w Iraku widzi większą masakrę dwadzieścia razy na dzień. Ale kiedy rozpoznałem ten but, Aziza,

rzygałem dalej, niż widziałem.

Weź się ogarnij.

– Wcześniej Nasser nagrał rozmowy z pacjentami szpitala pod Faludżą. Następnego dnia, zaledwie tydzień temu, miał przyjechać i je przepisać z taśmy. Dyktafon oddał mnie, żebym go bezpiecznie przechował. Pożegnaliśmy się i wszedłem do hotelu. Nasser miał zwalony zapłon, więc Aziz pewnie wysiadł, żeby Nassera popchnąć, albo jeszcze bardziej prawdopodobne, że chciał podłączyć kable do klem. Zamachowiec chciał wjechać do lobby hotelu, może zamierzał wysadzić cały budynek, nie wiem, może by mu się udało, wybuch był dość potężny, w każdym razie samochód walnął w corollę Nassera i...

– Weź się ogarnij. – Jezu, lży lecą mi już nawet przez nos. Czy budowa nosa w ogóle na to pozwala? Więc, tak, córeczki Nassera nie mają już taty, bo Nasser podwiózł i wysadził mnie późno, w porze wybuchów samochodów-pułapek, przed hotelem dla zachodnich dziennikarzy.

Zza ściany słychać telewizor, a w nim hollywoodzką bitwę w kosmosie.

Holly dotyka mojej dłoni.

– Przecież wiesz, że to nie takie proste, prawda? Sam mi tak zawsze powtarzałeś, kiedy zadręczałam się wyrzutami z powodu Jacko.

Aoife coś się śni i przez sen wydaje dźwięk jak smutne organki.

– Tak, tak, wiem, że jedenasty września, że Bush i Blair, że wojujący islam, okupacja, że Nasser sam wybrał sobie taki zawód, że Olive Sun i „Spyglass”, trup corolli, który nie chciał zapalić, niestety, akurat w tym momencie, i cały milion drobnych spraw, które doprowadziły do tamtej chwili, ale wśród nich i ja. To Ed Brubeck ich wynajął. Nasser musiał wykarmić rodzinę. To z mojego powodu on i Aziz byli wtedy przed hotelem...

Łamię mi się głos, więc czekam, aż znowu będę mógł mówić.

– Jestem uzależniony, Holly. Życie nie ma wyrazu ani smaku, kiedy

nie pracuję. Brendan wczoraj zaprzeczał, że właśnie to chciał powiedzieć, ale to prawda. Cała prawda i tylko prawda. Jestem uzależniony od wojny. I nie mam pojęcia, co z tym zrobić.

*

Holly myje zęby, a na Aofie pada prostokąt jasnożółtego światła. Proszę, jak sobie śpi, moja bystra córeczka, urwis jeden, już wcale nie taki mały. Dziewczynka, która prawie siedem lat temu wyłoniła się z tajemnicy ultrasonogramów. Pamiętam, jak oznajmiliśmy to znajomym i rodzinie, pamiętam pełne radości zaskoczenie klanu Sykesów i ich rozbawione spojrzenia, kiedy Holly dodała: „Nie, mam, nie weźmiemy z Edem ślubu. Jest rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty siódmy, nie tysiąc osiemset dziewięćdziesiąty siódmy”. I pamiętam moją mamę – której białaczka już niszczyła szpik – i jej wzruszone: „O, Ed!”, a potem nagły wybuch płaczu, a ja zapytałem: „Dlaczego płaczesz, mam?” a ona ze śmiechem odpowiedziała: „Nie wiem!”. I Brzuch, który rósł i rósł, aż pępek Holly zrobił się wypukły. I jak Brzuch zaczął kopać. I jak siedzieliśmy w Spence Café w Stoke Newington i układaliśmy listę imion dla dziewczynki – bo Holly oczywiście wiedziała. I mój irracjonalny lęk, kiedy poleciałem do Jerozolimy, że w Londynie jest lód i ślisko, i jest tylu bandziorów. A potem późnym wieczorem 30 listopada Holly zawołała z łazienki: „Brubeck, bierz kluczyki do samochodu!”. I pędziliśmy na porodówkę, gdzie Holly wiele godzin rozrywał żywcem nieznaną dotąd ból zwany porodem. I zegary, które gnały sześć razy szybciej niż zwykle, aż w końcu Holly trzymała w ramionach lśniącego mutant, któremu mówiła: „Czekaliśmy na ciebie”, a doktor Shamsie, Pakistańczyk, upierał się: „Nie, nie, nie, to pan ma przeciąć pępowinę, bez dwóch zdań. Proszę mi się tu nie mazgaić, widział pan

już i opisywał gorsze rzeczy”. I wreszcie pamiętam herbatę z mlekiem w kubkach i talerzyk herbatników w pokoiku w końcu korytarza. Aoife odkrywała radość ssania mleka, a Holly i ja poczuliśmy, że oboje jesteśmy głodni jak wilki.

To było nasze pierwsze rodzinne śniadanie.

6 *Podróż Trzech Króli* T.S. Eliota w przekładzie Antoniego Libery (przyp. tłum.).

7 Jan 2:10, Biblia w przekładzie ks. Jakuba Wujka (przyp. tłum.).

8 Pottery Barn – sieć amerykańskich sklepów meblowych. Według rzekomo obowiązującej w nich zasady, jeśli klient zniszczy mebel z wystawy, jest zobowiązany go kupić (przyp. tłum.).

9 W. Szekspir, *Cymbelin*, przekład L. Urlicha (przyp. tłum.).

Samotna planeta Crispina Hersheya

2015

1 maja 2015

Walijscy bogowie deszczu szczają na dachy, na festiwalowe namioty i parasole rozstawione w Hay-on-Wye, jak również na Crispina Hersheya, który właśnie kroczy uliczką obok rwącego strumienia deszczowej wody przy krawężniku, wchodzi do księgarni Old Cinema i zagłębia się w same jej trzewia, gdzie drze w drobny mak najnowszy numer „Piccadilly Review”. Za kogo się ma, na zgniłego boga, ten szeroki na metr osiemdziesiąt, ubrany w sztruksowy mundurak badacz odbytów Richard Cheeseman, z tą swoją brodą jak włosy łonowe? Zamykam oczy, ale słowa jego recenzji przesuwają się przed nimi jak wiadomości na pasku w telewizorze: „W długo wyczekiwanej powieści Crispina Hersheya bardzo starałem się znaleźć cokolwiek, co złagodziłoby ból. Ból po trepanacji czaszki, jaką przeprowadza na czytelniku ten przepotworny gniot”. Jak śmie ten nadęty, wyplamiony spermą, wyleniały pedał ze sparciałym fiutem pisać tak po tym, jak usiłował się do mnie dobierać na bankietach Królewskiego Towarzystwa Literackiego? „Za młodych lat, w Cambridge, wdałem się w bójkę na pięści w obronie *Suszonych embrionów*, wczesnego arcydzieła Hersheya, i do dzisiaj jak honorową odznakę noszę bliznę na uchu”. Kto był sponsorem wniosku o członkostwo Cheesemana w angielskim PEN Clubie? Ja nim byłem. Ja! A jak mi się odwdzięcza? „Nazwanie powieści *Niech ucichnie echo* infantylnym, grafomańskim, przeraźliwym bełkotem obrażałoby grafomaństwo i bełkot”. Depczę drobne strzępy, które zostały z „Piccadilly Review”. Dyszę i sapię...

Naprawdę, drogi czytelniku, jestem na skraju łez. Kingsley Amis chwalił się, że nieepochlebna recenzja może mu zepsuć śniadanie, ale już nie obiad. Ale Kingsley Amis żył w czasach przed twitterem, kiedy recenzenci czytali z drukarskich szczołek i potrafili myśleć niezależnie. Dzisiaj po prostu szukają w Googlu opinii, którą już ktoś wyraził. A dzięki masakrze piłą mechaniczną utrzymaną przez Richarda Cheesemana o moim comebacku literackim przeczytają co następuje: „Dlaczego powieść *Niech ucichnie echo* jest takim przeraźliwym gniotem? Po pierwsze, Hershey za wszelką cenę usiłuje uniknąć banału, więc każde zdanie powstawało w męczarniach i torturach, jakie dotąd spotykały chyba tylko demaskatorów działań amerykańskiej administracji. Po drugie, wątek fantastyczny z takim impetem zderza się z formą raportu o stanie świata – bo do takiej formy książka Hersheya pretenduje – że aż nie mogę patrzeć na masakrę po katastrofie. Po trzecie, nie ma pewniejszego znaku, że źródło weny wyszło, niż wymyślenie bohatera, który też jest pisarzem”. Richard Cheeseman zawiesił na moim dziele tabliczkę z prośbą „KOPNIJ MNIE W JAJA”, akurat teraz, kiedy tak bardzo potrzebuję powrotu na rynek wydawniczy. Dawno minęły już lata dziewięćdziesiąte, kiedy to mojemu agentowi Halowi „Hienie” Grundiemu załatwienie kontraktu wydawniczego na pół miliona funtów przychodziło ot tak, jak splunąć, czy też w jego przypadku – dźwignie charchnąć i splunąć. Teraz mamy już oficjalnie dekadę śmierci książki. Co roku musimy znaleźć czterdzieści tysięcy funtów na czesne dla córek, a małe mieszkanko w Outremont, zamożnej dzielnicy Montrealu, może i przywróciło Zoë dobry humor, ale przez ten wydatek znowu stałem się finansowym śmiertelnikiem, po raz pierwszy odkąd Hal Hiena załatwił mi kontrakt na *Suszone embriony*. Mój iPhone byczy. O wilku mowa, to wiadomość od Hala.

start za 45 minut. gdzieś?

Hieny wyją. Cyrk się kręci.

*

Maeve Munro, dziennikarka, która zjadła zęby na brylowaniu w branży, dziś prowadząca flagowy program o sztuce w BBC 2, daje inspicjentowi znak: „Zaczynamy”. Ja czekam w kulisach, podpięty do mikrofonu. Dziewczyna od PR-u przegląda esemesy. Inspicjent pyta, czy na pewno wyłączyłem komórkę. Sprawdzam i znajduję dwie nowe wiadomości – jedną z programu lojalnościowego linii Qantas, drugą o zasadach wywozu śmieci. Gdy nasze małżeństwo przeżywało lata świetności, Mrs Zoë Legrange-Hershey przed moimi występami przysyłała mi esemesy „Cris-pin! Cris-pin!”, a dzisiaj nie pyta nawet, do jakiego kraju lecę. Córeczki też nic nie przysłały. Juno pewnie gra w sieci z koleżankami ze szkoły – albo ze zбочeńcami, którzy je udają – w Tunnel Town czy jakąś inną najnowszą aplikację, a Anaïs raczej czyta którąś książkę Michaela Morpurgo. Dlaczego ja nie pisałem książeczek o samotnych chłopczykach, którzy zaprzyjaźniają się ze zwierzątkami? Bo przez dwadzieścia lat byłem *Enfant Terrible* Brytyjskiej Literatury, kurwa, dlatego. W tej branży łatwiej zmienić własne ciało niż gatunek twórczości.

Na widowni gasną światła, scena się rozjaśnia, wśród publiczności cichną szmery. W ciemności jaśnieje twarz Maeve Munro – którą kamera kocha – a w całym namiocie rozbrzmiewa jej śpiewny akcent z Orkadów, znak rozpoznawczy Maeve.

– Dobry wieczór, Maeve Munro, zapraszam na nasz program, dzisiaj nadawany na żywo z festiwalu w Hay. Od kiedy Crispin Hershey, jeszcze za czasów studenckich, wydał swoją debiutancką powieść *Wandy portret olejny*, zdobył uznanie jako mistrz słowa i nadzwyczaj

błyskotliwy kronikarz naszych czasów. Co prawda najbardziej prestiżowa brytyjska nagroda literacka, Brittan Prize, jak dotąd nie trafiła w jego ręce, co uważam za skandal, wiele osób twierdzi jednak, że rok dwa tysiące piętnasty w końcu będzie należał do niego. Wraz z naszym sponsorem, bankiem FutureNow, powitajmy zatem pisarza, który przeczyta fragment *Niech ucichnie echo*, swojej pierwszej powieści od pięciu lat. Przed państwem Crispin Hershey!

Całkiem gromki aplauz, kiedy podchodzę do mównicy. Pełna sala. No, ja myślę – przecież już mnie przeniesiono z namiotu PowerGen na sześćset miejsc na „bardziej kameralną scenę”. Mój wydawca Oliver siedzi w pierwszym rzędzie z Halem Hieną i jego najnowszym klientem, a jednocześnie młodą nadzieją Ameryki, Nickiem Greekiem. Poczekam, aż zapadnie cisza. Deszcz bębni o płócienny dach. Większość pisarzy podziękowałaby teraz publiczności za przybycie mimo fatalnej pogody, ale Hershey nie ma w zwyczaju się wdzięczyć do czytelników i otwiera *Niech ucichnie echo* na stronie pierwszej.

Odchrząkuję.

– Przejdę od razu do sprawy...

*

...ostatnie zdanie wybrzmiewa i siadam z powrotem na krześle. Suń w górę, oklaskometrze – było całkiem niezłe jak na wielkomiejską ludożerkę, spokojną o własne emerytury, nażartą wegańskimi krówkami i opitą ekologicznym cydrem. Wybuchali śmiechem, kiedy mojego bohatera Trevora Upwarda przyklejono taśmą do dachu pociągu Eurostar. Wzdrygali się, kiedy Titus Hurt znalazł ludzki palec w zapiekance. I pomrukiwali w kulminacyjnym fragmencie akcji w pubie w Cambridge, który to passus, odczytywany na głos na festiwalach, tworzy rymowane kuplety godne Audena. Maeve Munro

uśmiecha się do mnie, komunikując: „świetnie poszło”. Odpowiadam miną „a dlaczego miałyby pójść inaczej?”. Hershey spędził dzieciństwo wśród aktorów, a ojciec wyśmiewał mnie i mojego brata za niewyraźną dykcję i błędy językowe, co przyniosło mi znaczne korzyści w przyszłości. Ostatnie słowa taty, jak głoszą moje wspomnienia, brzmiały: „nie ilość ludzi, tylko liczba ludzi, matole”.

– Czas na pytania do autora – zwraca się Maeve Munro do namiotu.
– Najpierw sama zadam kilka pytań, a potem puścimy w obieg mikrofon. Zatem, Crispin, w ostatnim numerze „Newsnight Review” znana krytyczka Aphra Booth nazwała *Niech ucichnie echo* klasyczną powieścią o męskim kryzysie wieku średniego. Co ty na to?

– Och, absolutnie trafiła w sedno – wolno biorę łyk wody – jeśli przez czytanie Aphra Booth rozumie przelecenie wzrokiem tylnej okładki w toalecie green-roomu minutę przed wejściem na antenę.

Za mój dowcip Maeve Munro obdarza mnie sztucznym uśmiechem. Maeve często można spotkać z Aphrą Booth w Mistletoe Club na ploteczkach i winku.

– Taaak... A dość niepochlebna recenzja Richarda Cheesemana...

– Zawsze przy świątecznym stole znajdzie się zazdrosna ciocia.

Śmiech. Przerażenie. Hucz, burzo na twitterze. „Telegraph” zacytuje to zdanie na pierwszej stronie dodatku kulturalnego. Richard Cheeseman zmusi swoją grupę aktywistów na rzecz praw gejów do przyznania mi tytułu Homofoba Roku. Hal Hiena będzie się cieszył tym rozgłoszem. A tymczasem Nick Greek wygląda na zakłopotanego. Amerykańscy pisarze są tacy, kurwa, mili dla siebie, siedzą w tych swoich loftach na Brooklynie i piszą sobie nawzajem listy rekomendacyjne na profesorskie posady.

– Przejdźmy więc dalej, skoro dobrze nam idzie – podejmuje Maeve Munro, ale wibrato w jej głosie brzmi jakoś płasko.

– Uważasz, Maeve, że tobie też dobrze idzie?

Uśmiezek.

– Bohater *Niech ucichnie echo* jest pisarzem, podobnie jak ty, a jednak w swoich wspomnieniach *Ciąg dalszy nastąpi* nazwałeś powieści o pisarzach „twórczością kazirodczą”. Czy Trevor Upward to gwałtowny zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, czy też może kazirodztwo nabrało dziś atrakcyjności?

Odchylam się w tył z uśmiechem i czekam, aż wśród fanów mojej rozmówczyni ucichną wszystkie „no właśnie”.

– Nigdy nie ośmieliłbym się robić wykładu o kazirodztwie rodowitej Szkotce z Orkadów, Maeve. Będę się jednak upierał, że bez zmiany poglądów i punktu widzenia pisarz może jedynie pisać tę samą powieść *ad infinitum*. Albo też skończyć na uczeniu szablonowego pisania w koledżu dla dzieci z zamożnych rodzin gdzieś na nowojorskiej prowincji.

– Mimo wszystko jednak – Maeve Munro ma odpowiednio urażoną minę – o polityku lub polityczce, którzy zmieniają zdanie, mawia się „chorągiewki”.

– Frederik Willem de Klerk zmienił zdanie co do tego, czy Nelson Mandela jest terrorystą – zauważam. – Gerry Adams i Ian Paisely zmienili zdanie w kwestii przemocy w Ulsterze. Zatem oby więcej takich chorągiewek!

– Pozwól, że zapytam, w jakim stopniu Trevor Upward, człowiek o wątpliwej moralności, jest wzorowany na swoim twórcy?

– Trevor Upward to mizoginiczny fiut, który zasługuje dokładnie na to, co mu się przydarza na ostatniej stronie. Czy wyobrażasz sobie, droga Maeve, że taki absolutny palant, jak Trevor Upward – posyłam jej ironicznie niewinny uśmiech – mógłby być choćby w najmniejszym stopniu wzorowany na człowieku takim, jak Crispin Hershey?

Smugi lasów i wzgórz Herefordshire rosną w zamglonej, zmierzchającej dali. Mgliste powietrze zwilża mi czoło jak chusteczka do twarzy rozdawana w klasie biznes. Ja, festiwalowy elf, dziewczyna od PR-u i Oliver Wydawca idziemy po drewnianych kładkach przerzuconych nad podmokłą darnią, mijamy stoiska sprzedające bezglutenowe babeczki, panele słoneczne, naturalne gąbki, porcelanowe syrenki, dzwonki wietrzne nastrajane do indywidualnej aury *chi*, biodegradowalne tacki z zielonym curry wolnym od GMO, e-czytniki i ręcznie szyte hawajskie narzuty. Hershey przywdział maskę pogardy jako sposób na niepożądanych rozmówców, ale cichy głosik w jego duszy śpiewa: „Znają cię, rozpoznają, wróciłeś, nigdy nie zniknąłeś...”. Kiedy dochodzimy do stolików, przy których autorzy podpisują książki w namiocie z księgarnią, nasza czwórka zatrzymuje się zdumiona.

– Proszę, proszę! – mówi Oliver Wydawca, klepiąc mnie po plecach.

Festiwalowy elf stwierdza:

– Nawet na Tony’ego Blaira nie przyszły takie tłumy.

Dziewczyna od PR-u wykrzykuje radośnie:

– O rany!

Namiat pęka w szwach od tłumy czytelników, ustawionych przez festiwalowych ochroniarzy w wijący się sznur wiernych wyznawców Crispina Hersheya. Pomyśl o moich dziełach, Richardzie Cheesemanie, i rwij włosy z głowy! Do końca tygodnia wyjdzie dodruk *Niech ucichnie echo*, a rakieta z kaską mknie właśnie prosto na rezydencję Hersheyów! Krokiem zwycięzcy podchodzę do mojego stolika, siadam, wypijam duszkiem kieliszek białego wina podany przez festiwalowego elfa, zdejmuję skuwkę z pisaka...

...i uświadamiam sobie, że ci wszyscy ludzie nie przyszli tu dla

mnie. Kurwa mać, nie dla mnie, tylko dla kobiety siedzącej przy stoliku dziesięć stóp ode mnie. W kolejce do mnie stoi dziesięć osób. Może piętnaście. Żadna duma ta suma. Oliver Wydawca nabrał koloru nieświeżego kurczaka, więc piorunuję wzrokiem dziewczynę od PR-u, żądając wyjaśnień.

– To, hm, Holly Sykes.

Oliverowi wracają rumieńce.

– To jest Holly Sykes? Boże.

– Kto to jest Holey Spikes, do bladej kurwy? – pytam wściekle przez zęby.

– Holly Sykes – sarka sarkastycznie dziewczyna od PR-u. – Napisała duchowe wspomnienia pod tytułem *Ludzie z Radia*. W *Big Brotherze VIP* przyłapano Prudence Hanson, tę celebrytkę, jak to czytała, i nagle *Ludzie z Radia* zaczęli się sprzedawać w trybie turbo. Dyrektor festiwalu w ostatniej chwili zorganizował spotkanie Holly Sykes z czytelnikami i wszystkie miejsca w namiocie FutureNow wyprzedano w czterdzieści minut.

– Brawo dla Festiwalu w Hay. Prawdziwy Woodstock Myśli.

Oceniam tę całą Sykes spojrzeniem: chuda, poważna, po czterdziestce, ma zmarszczki, czarne włosy ze srebrnymi nitkami. Swoich czytelników traktuje uprzejmie – z każdym zamienia kilka przyjaznych słów, co tylko dowodzi, jak niewiele książek w życiu podpisała. Czy jestem zazdrosny? Nie. Jeśli ona wierzy w ten swój uduchowiony bełkot, jest kompletną idiotką. Jeżeli to wszystko sama zmyśliła, jest zwykłą oszustką. Czego tu zazdrościć?

Dziewczyna od PR-u pyta, czy mogę już zacząć podpisywać książki. Kiwam głową. Festiwalowy elf pyta, czy jeszcze czegoś bym się napił.

– Nie – mówię mu. Nie zabawię tu długo.

Mój pierwszy czytelnik podchodzi do stolika. Ma zęby w kolorze krówek, a jego wygnieciony brązowy garnitur należał do zmarłego

ojca.

– Jestem pana absolutnie największym fanem, a moja mama, świeć Panie nad jej duszą...

Zabierzcie mnie stąd.

– Gin z tonikiem – mówię festiwalowemu elfowi. – Więcej ginu, mniej toniku.

*

Ostatnia osoba w kolejce po mój autograf, niejaka Volumnia z Coventry, uraczyła mnie refleksjami swojej grupy czytelniczej na temat *Czerwonej małpy*, która członkom grupy „dość się podobała”, ale zmęczyły ich powtarzające się „do bladej kurwy” i „pierdolony”. Drogi czytelniku, Hershey bez namysłu odparł:

– Więc po co, do bladej kurwy, w ogóle czytali tę pierdoloną książkę?

Następnie podeszła trójka antykwariuszy, żądając autografów na kilkudziesięciu egzemplarzach pierwszego wydania *Suszonych embrionów*, co automatycznie zwiększy ich wartość o pięćset funtów na sztuce. Zapytałem:

– Dlaczego miałbym je podpisać?

Jeden z nich sprzedał mi łzawą opowieść, jak to przyjechał tu aż Exeter.

– No a poza tym, halo, przecież podpisanie książek nic chyba mnie nie kosztuje, tak?

Więc odparłem, że, halo, jeśli z góry odpali mi pięćdziesiąt procent narzutu, wchodzę w to z miejsca. Zniknął, pod rękę ze swoim finansowym ubóstwem. Teraz czeka mnie bankiet w pawilonie BritFone, gdzie mam wytrzymać na krótkiej audiencji u ich lordowskich mości Rogera i Suze Brittan. Wstaję i czuję... laser snajpera na moim czole. Ale skąd? Rozglądam się i widzę, że

przygląda mi się Holly Sykes. Pewnie jest ciekawa prawdziwych pisarzy. Pstrykam palcami na dziewczynę od PR-u.

– Wyprowadź mnie stąd.

Po drodze do pawilonu BritFone mijamy namiot dla palaczy, sponsorowany przez Win2Win, głównego europejskiego pośrednika przy etycznym pozyskiwaniu organów do przeszczepów. Mówię moim opiekunom, że za chwilę do nich dołączę, i choć Oliver Wydawca proponuje, że pójdzie ze mną, ostrzegam go, że osobom bez papierosa grozi grzywna w wysokości dwustu funtów. Oliver Wydawca rezygnuje. Dziewczyna od PR-u nadopiekuńczo sprawdza, czy mam identyfikator, żeby przejść przez bramkę.

Wyjmuję plastikowy identyfikator, ale odmawiam założenia go na szyję.

– Jeżeli się zgubię – informuję ją – będę szedł za chrzęstem noży zatapiających w kręgosłup.

Wewnątrz namiotu Win2Win bractwo Zakonu Nikotynistów siedzi na stołkach barowych, gawędzi, czyta albo pustym wzrokiem wpatruje się w smartfony, przebierając palcami po ekranach. Jesteśmy relikdami z czasów, kiedy palenie w kinach, w samolotach i pociągach było czymś naturalnym, kiedy w hollywoodzkich filmach bohatera reprezentującego słuszną sprawę poznawało się po papierosie. Dzisiaj nawet czarne charaktery nie palą. Dzisiaj palenie naprawdę jest wyrazem buntowniczego ducha – jest wręcz, kurwa, nielegalne! Mimo to, jacy jesteśmy bez naszych nałogów? Nudni. Bezbarwni. Bez zajęcia! Ojciec był uzależniony od harmidru przy kręceniu filmów. Natomiast nałogiem Zoë są najnowsze diety, stronnicze porównania Londynu z Montrealem i obsesyjne kontrolowanie, czy Juno i Anaïs wzięły witaminy.

Zapalam szluga, okadzam dymem pęcherzyki płucne i skupiam wszystkie mroczne myśli na Richardzie Cheesemanie. To jemu ktoś

powinien przejechać walcem po reputacji, jemu zagrozić odcięciem źródeł utrzymania, sprawdzić, czy wzruszy ramionami i powie: „nie pozwolę, żeby to zepsuło mi obiad”. Kiedy kończę palić, wyobrażam sobie, że gaszę papierosa w głupawym oku Cheesemana.

– Pan Hershey? – Niski, gruby chłopak w okularach i rudej marynarce Burberry przerywa mi fantazje o zemście. Ma ogoloną głowę, nalaną twarz i niezdrowy wygląd, jak Prosiaczek z *Władcy much*.

– Już zakończyłem podpisywanie książek. Wrócę za jakieś pięć lat.

– Nie, ja chciałabym dać panu książkę. – Chłopak jest dziewczyną, która mówi z miękkim, amerykańskim akcentem. Jest Amerykanką pochodzenia azjatyckiego albo półazjatyckiego.

– A ja chciałbym zapalić. Ostatnie kilka lat strasznie mnie wyczerpało.

Nic sobie nie robiąc z mojej obcesowości, dziewczyna podsuwa mi cienki tomik.

– Moje wiersze. – Ewidentnie wydane własnym nakładem. – *Drapieżnicy duszy*, autorstwa Soleil Moore.

– Nie przeglądam twórczości, o którą nie prosiłem.

– Ludzkość nalega, żeby zrobił pan wyjątek.

– Nie chciałbym być nieuprzejmy, panno Moore, ale wołałbym raczej przeleczyć sam sobie kanałowo ząb, wołałbym obudzić się obok Aphry Booth w zagrodzie rozplodowej jakiegoś zoo pod nadzorem kosmitów, wołałbym dostać z bliska sześć kulek w serce niż kiedykolwiek przeczytać pani wiersze. Rozumiemy się?

Soleil Moore pozostaje niewzruszona, czym dowodzi własnej niepoczytalności.

– Poezji Williama Blake’a też nikt nie chciał czytać.

– William Blake miał tę zaletę, że był Williamem Blake’em.

– Jeśli nie przeczyta pan tych wierszy i nie podejmie działań, będzie pan współwinny duszobójstwa. – Kładzie *Drapieżników duszy* przy

popielniczce, czekając, aż zapytam, co znaczy owo wydumane słowo. – Jest o panu w Skrypcie – mówi, jakby to załatwiało sprawę, a potem w końcu się odczepia i odchodzi, jakby wytoczyła ostateczny, zwycięski argument.

Zaciągam się jeszcze kilka razy, słuchając rozmowy nieopodal: „Zapytała go: »Pan Hershey?«, tak myślałam, że to on; Nieee, niemożliwe, Crispin Hershey nie ma aż tylu lat; Zapytaj go; Nie, ty go zapytaj”. Zostałem rozpoznany, więc gaszę szluga i uciekam z rajy dla palaczy.

*

Pawilon BritFone zaprojektował wybitny architekt, o którym nigdy nie słyszałem. Jego bryła stanowi „cytaty” z Muru Hadriana, londyńskiej Tower, rezydencji tudoriańskiej, powojennych domów komunalnych, stadionu Wembley i drapacza chmur z Docklands. Od tego miszmaszu można się porzygać. Holograficzna flaga z logo BritNetu łopocze na wieżycze, gdy przekraczam podwójnej wielkości replikę słynnych czarnych drzwi Downing Street numer 10. Ochroniarze są ubrani jak Beefeaterzy i jeden z nich pyta mnie o identyfikator VIP. Szukam w marynarce, w spodniach, jeszcze raz w marynarce.

– Cholera jasna, gdzieś go musiałem zostawić. Ale Crispin Hershey to ja.

– Przykro mi – mówi Beefeater. – Nie ma wstępu bez identyfikatora.

– Niech pan sprawdzi na liście. Crispin Hershey. Pisarz.

Beefeater kręci głową.

– Takie mam polecenia.

– Ale sam występowałem tu przed kamerami godzinę temu.

Podchodzi drugi Beefeater, z roziskrzonym wzrokiem oddanego

fana.

– Nie wierzę... To naprawdę... to naprawdę pan? O Boże, to pan!

– Tak, to ja. – Piorunuję wzrokiem pierwszego Beefeatera. –
Dziękuję panu.

Szlachetny Beefeater prowadzi mnie przez niewielki przedsionek, gdzie zwykłych śmiertelników czeka kontrolne macanie i przeszukiwanie toreb.

– Najmocniej przepraszam, sir. Przyjechał tu dziś prezydent Afganistanu, więc mamy żółty alarm. Kolega jest trochę na bakier ze współczesną literaturą. A jeśli mam być szczerzy, na zdjęciach wygląda pan dużo starzej.

Upewniam się, czy dobrze usłyszałem komplement:

– Naprawdę?

– Gdybym nie był pana wielkim fanem, sir, absolutnie bym pana nie poznał. – Wchodzimy do właściwej części pawilonu, gdzie kłębią się już setki osób, ale szlachetny Beefeater ma do mnie prośbę:

– Sir, nie powinienem, ale... – Zza poły swojego żałosnego munduru wyciąga książkę. – Pańska nowa powieść jest najlepsza ze wszystkich, które pan napisał. Zacząłem czytać przed zaśnięciem i skończyłem, jak już się robił dzień. Matka mojej narzeczonej też pana uwielbia i... rozumie pan... chciałbym przypunktować przed ślubem... Mógłby pan?

Wyjmuję pióro wieczne, a Beefeater podaje mi książkę, z kartkami już przewróconymi na stronę tytułową. Dopiero kiedy czubek stalówki dotyka papieru, orientuję się, że podpisuję powieść *Sekret najpilniej strzeżony* Jeffreya Archera. Podnoszę wzrok na Beefeatera, żeby sprawdzić, czy sobie robi jaja, ale nie:

– Zechciałby pan napisać „Dla Birdie na sześćdziesiąte urodziny od lorda Archera”?

Słynna felietonistka z „Timesa” stoi krok od nas.

Składałem dedykację i mówię bramkarzowi:

– Bardzo mi miło, że się panu podobało.

Moc wszystkich gwiazd i sław kręcących się w pawilonie mogłaby zasilić małe słońce. Zauważam dwóch Rolling Stonesów; Monty Pythona; nastoletniego, acz po pięćdziesiątce prezentera *Top Gear*, który przyjaźnie docina zniesławionemu amerykańskiemu kolarzowi; byłego sekretarza stanu USA; byłego menedżera piłkarskiego, który co pięć lat pisze autobiografię; byłego szefa MI6, który co roku płodzi trzeciorzędny thriller; i astronoma z telewizji, mężczyznę o pełnych, mięsistych ustach, który przynajmniej pisze o astronomii. Wszyscy znaleźliśmy się tutaj z tego samego powodu: żeby opchnąć książki.

– Proszę, proszę, co za rzadki widok – szepcze mi do ucha jakiś stary przyk w barze serwującym szampana. – Pisarz na festiwalu literackim. Co tam słyhać, Crispin?

Miażdżące spojrzenie Hersheya nieznajomy przyjmuje jak mężczyzna w sile wieku, który niczego się nie obawia, pomimo obrażeń, jakie jego twarzy zadał Wandal Czas. Głębokie bruzdy i zmarszczki, nos wielbiciela whisky, obwisłe wory pod oczami, opadające powieki. Z butonierki wystaje jedwabna chusteczka, na głowie elegancka fedora, ale kurwa, jak nieuleczanie starzy mogą to wytrzymywać?

– A z kim mam przyjemność?

– Jestem twoją nieodległą przyszłością, chłopcze. – Pokazuje z obu profili niegdyś przystojną twarz. – Przyjrzyj się dobrze. I co myślisz?

Myślę, że mamy dzisiaj Noc Wariatów.

– Myślę, że nie przepadam za takimi zagadkami.

– Nie? Ja je uwielbiam. Levon Frankland.

Biorę podany mi kieliszek szampana i robię skonsternowaną minę.

– Muszę przyznać, że niewiele mi to mówi.

– Jestem starym kumplem twojego ojca z dawnych, dawnych lat.

Należeliśmy razem do klubu Finisterre w Soho.

Wyraz konsternacji nie opuszcza mojej twarzy.

– Słyszałem, że w końcu go zamknęli.

– Koniec końca epoki. Mojej. Poznaliśmy się – Levon Frankland przechyla ku mnie kieliszek – na przyjęciu w waszym domu przy Pembroke Place, gdzieś... ooo, w sześćdziesiątym ósmym, sześćdziesiątym dziewiątym, jakoś tak podczas tego całego zamieszania z *Getsemani*. Pośród wielu przeróżnych zajęć, których się miałem, prowadziłem również management artystów i twój ojciec miał nadzieję, że reprezentowana przeze mnie kapela grająca awangardowy folk zrobi muzykę do *Wąskiej ścieżki na daleką północ*. W końcu nic z tego nie wyszło, ale pamiętam ciebie – miałeś strój kowboja. Dopiero co opanowałeś sztukę wypróżnień, a interakcje społeczne miały jeszcze poczekać ładnych parę lat, ale śledziłem twoją karierę z iście ojcowską troską, i z rozkoszą przeczytałem twoje wspomnienia o ojcu. Wiesz, że raz na parę miesięcy przychodzi mi do głowy, żeby do niego zadzwonić i umówić się na lunch? Zupełnie zapominam, że już go nie ma wśród nas! Naprawdę mi go brakuje, zawsze myślał pod prąd. Był z ciebie nieprzyzwoicie dumny.

– Tak? Po mistrzowsku umiał to ukrywać.

– Anthony Hershey był przedwojennym dżentelmenem z wyższej warstwy angielskiej klasy średniej. Tym ojcom nie wypadało okazywać emocji. Lata sześćdziesiąte trochę rozluźniły obyczaje, do czego w pewnej mierze przyczyniły się również filmy Tony'ego, ale nie wszyscy potrafiliśmy się równie zręcznie przeprogramować. Nie nos już w sobie urazy, Crispin. Jaki sens ma żywienie urazy do ducha? Duchy nas nie słyszą. Człowiek w końcu tylko sam się biczuje. Wierz mi, wiem, co mówię.

Czuję, że ktoś kładzie mi dłoń na ramieniu, odwracam się i widzę Hala Hienę, który uśmiecha się jak olbrzymia nutria.

– Crispin! Jak poszło podpisywanie?

– Ujdzie. Ale pozwól, że przedstaw... – Kiedy odwracam się z powrotem do Levona Franklanda, już go nie ma, porwał go tłum. – Tak, podpisywanie poszło nieźle. Mimo że pół miliona kobiet chciało dotknąć rąbka sukni jednej nawiedzonej, która pisze o aniołach.

– Tylko w tym namiocie naliczylibym ze dwudziestu wydawców, którzy do końca życia będą żałować, że nie kupili Holly Sykes do swojej stajni. W każdym razie sir Roger i Lady Suze Brittan oczekują już *Enfant Terrible* Brytyjskiej Literatury.

Nagle kulę się w sobie.

– Hał, muszę?

Uśmiech Hala Hieny błednie.

– Lista nominowanych.

Lord Roger Brittan. Zaczyna jako diler samochodowy. W latach siedemdziesiątych prowadzi tanie hotele. W 1983 roku zakłada firmę Brittan Computers, która przez krótki czas jest największym w kraju producentem gównianych edytorów tekstów. W 1997, po sfinansowaniu miażdżącego zwycięstwa Nowych Labourzystów, dostaje licencję na usługi telefonii komórkowej i zakłada sieć BritFone, która do dzisiaj w pewnym sensie nazywa się tak jak on. W 2004 daje się poznać milionom widzów *Na zbity pysk*, reality show z biznesmenami, w którym banda pajaców upokarza się dla „nagrody” – posady w biznesowym imperium lorda Brittana, z zarobkami stu tysięcy funtów. W zeszłym roku natomiast sir Roger wywołał szok w świecie sztuki, przejmując najbardziej prestiżowy brytyjski konkurs literacki, przemianowując go swoim nazwiskiem i potrajając wysokość nagrody do stu pięćdziesięciu tysięcy funtów. Blogerzy wysnuwają przypuszczenia, że do zakupu nakłoniła go najnowsza żona, Suze Brittan, której CV obejmuje rolę w operze mydlanej, prowadzenie *Nieodkładalnych*, telewizyjnego programu o książkach, oraz

obecnie przewodniczenie kapitule niekorumpowalnych jurorów Brittan Prize. Kiedy przybywamy jednak w osłonięty markizą róg festiwalowego terenu, widzę, że lord Roger i lady Suze rozmawiają z Nickiem Greekiem.

– Szanuję pańskie zdanie o *Rzeźni numer pięć*, lordzie. – Nick Greek mówi z amerykańską pewnością siebie, jest przystojny jak młody Byron i z miejsca czuję do niego niechęć. – Ale gdyby ktoś przystawił mi lufę do skroni i kazał wybrać największą powieść wojenną dwudziestego wieku, wybrałbym *Nagich i martwych* Mailera. To...

– Wiedziałam, że pan tak powie! – Suze Brittan wykonuje parę podskoków triumfalnego tańca. – Uwielbiam ją! Jedyna powieść o wojnie, która rzeczywiście przeżywa wojnę w okopach z niemieckiego punktu widzenia.

– Chyba, lady Suze... – ostrożnie doбира słowa Nick Greek – ma pani na myśli *Na Zachodzie bez zmian*...

– Jaki tam znowu niemiecki „punkt widzenia”? – obrusza się lord Roger Brittan. – Oprócz „spieprzyliśmy sprawę dwa razy w ciągu trzydziestu lat”?

Suze zagina mały palec na sznurze czarnych pereł.

– Właśnie dlatego *Nadzy i martwi* to taka ważna powieść, Rog. Zwykli ludzie po złej stronie również cierpią. Prawda, Nick?

– Propozycja innego spojrzenia to główna zaleta tej powieści, lady Suze – odpowiada taktownie Amerykanin.

– Ale książka z takim tytułem naprawdę kiedykolwiek się sprzedawała? – pyta wątpiąco lord Roger. – *Nadzy i martwi*? Brzmi jak podręcznik nekrofila.

Wtrąca się Hal Hiena:

– Ich lordowskie mości i ty, Nicku, przedstawiać doprawdy nie trzeba, ale zanim Crispin nas opuści...

– Crispin Hershey! – Lady Suze podnosi złączone dłonie ponad

głową, jakbym był bogiem słońca Ra. – Pański wywiad przed kamerą był totalny! Hardcoredisco, jak to mówią.

Udaje mi się unieść w uśmiechu kąciki ust.

– Dziękuję.

– To dla mnie zaszczyt – smaruje mi odbył wazeliną Nick Greek. – Na Brooklynie ma pan sporą grupę wyznawców, do których ja też się zaliczam. *Suszone embriony* czytamy jak Biblię.

„Wyznawców”? „Jak Biblię?”. Ściskam dłoń Nicka Greeka, zastanawiając się, czy jego komplement był zamaskowaną obelgą: „Wszystko, co napisałeś po *Embrionach* to totalny shit”. Czy też może wstępem do zgłoszenia prośby: „Crispinie drogi, tak fantastycznie rozmawiało się z tobą rok temu w Hay! Nie napisałbyś awansem paru pochwalnych słów o moim ostatnim dziele?”.

– Nie będę przeszkadzał – mówię całej trójce – w głębokim i jakże trafnym odczytywaniu Normana Mailera. – Drugą szpileczkę wbijam delikatnie młodemu zdolnemu: – Chociaż moim zdaniem praprzodkiem wszystkich wojennych relacji z pierwszej ręki jest *Szkarłatne godło odwagi* Crane’a.

– Nie czytałem – przyznaje się Nick Greek – bo...

– Za dużo książek, za mało czasu, wiem, wiem – sączę czerwone wino z okazałego kielicha, który elfy wsunęły mi w dłoń – ale Crane’a nikt dotąd nie prześcignął.

– Stephen Crane urodził się w tysiąc osiemset siedemdziesiątym pierwszym roku – dyskretnie kontratakuje Nick Greek – już po wojnie secesyjnej, więc to nie mogła być relacja z pierwszej ręki. Ale jeśli sam Crispin Hershey tak tę powieść uważa – wyjmuje e-czytnik – już ją ściągam.

Odbija mi się pieczoną szynką z obiadu.

– Powieść Nicka – zwraca się do mnie Suze Brittan – rozgrywa się podczas wojny w Afganistanie. Richard Cheeseman piał o niej peany i

zaprosił Nicka do swojego programu na przyszły tydzień.

– Tak? Obejrzę z wielką uwagą. Zresztą już o niej słyszałem. Jaki ma tytuł? *Autostrada 66*?

– *Droga 605*. – Koniuszki palców Nicka tańczą po ekranie czytnika. – Tak nazywa się autostrada w prowincji Helmand.

– Czy pańskie źródła były bardziej „z pierwszej ręki” niż Stephena Crane’a? – Ewidentnie nie. Ten blady mieszcuch najwyraźniej myśli, że już otarł się o śmierć. Wtedy, kiedy słuchał opinii grupy na seminarium z twórczego pisania. – Chyba że, oczywiście, był pan żołnierzem piechoty morskiej.

– Nie, ale mój brat był. *Droga 605* nie powstałaby bez Kyle’a.

Zauważam, że pokaźna grupka obserwuje już naszą rozmowę jak mecz tenisa.

– Mam nadzieję, że nie czuje pan zbyt wielkiego długu wdzięczności wobec brata, ani że on nie ma panu za złe wykorzystania jego traum.

– Kyle nie żyje od dwóch lat. – Nick Greek zachowuje spokój. – Zginął na drodze 605 przy rozbrajaniu miny. W zasadzie napisałem tę powieść, żeby pozostał w ludzkiej pamięci.

No, wspaniale. Dlaczego, do bladej kurwy, dziewczyna od PR-u nie ostrzegła mnie, że Nick Greek to święty? Lady Suze patrzy na mnie, jakby wysrał mnie corgi, a lord Roger po ojcowsku ściska biceps Nicka Greeka:

– Nick, synu, nie znam cię dobrze, a ten cały Afganistan to w ogóle jakiś syf i masakra. Ale brat byłby z ciebie dumny, i wiem, co mówię, bo sam straciłem brata, kiedy miałem dziesięć lat. Utopił się w morzu. Suze mówiła... Prawda, Suze? Że *Droga 605* to coś w moim stylu. I wiesz co? Przeczytam ją w weekend. – Lord Roger pstryka palcami na asystentkę, która stuka w ekran smartfona. – A kiedy Roger Brittan daje słowo, to go dotrzymuje.

Od trójki półbogów nagle zaczynają oddzielać mnie obcy ludzie, jakby ktoś odciągał mnie od nich na kółkach. Ostatnia znajoma twarz należy do Olivera Wydawcy, ucieszonego wizją wykresu przyszłej sprzedaży *Drogi 605*. Muszę się napić.

*

Właśnie że Hershey nie będzie wymiotować. Czy Hershey nie przechodził dziś wcześniej przez tę pociętą bramę? Garbate drzewo, potok, który, kurde, szumi za głośno, kałuża, w której odbija się logo BritFone, ostry smród krowiego gówna. Hershey absolutnie nie jest pijany. Jest lekko wstawiony. Co ja tu robię? „W takim samouwielbieniu, że mu staje do wewnątrz”. Musiałem zapić do duszkiem. Pawilon był studnią bez dna. Chyba mi zaszkodził deser z mascarpone. „To raczej nie był Crispin Hershey, prawda?”. Gdy wracałem na przełaj przez parking do mojego zacisznego pokoju w Coach and Horses, uwięziła mnie wstęga Möbiusa z land roverów, touaregów, i plaskającego, rozdeptanego końskimi kopytami błota. Myślałem, że widzę arcybiskupa Desmond Tutu i poszedłem za nim, żeby zapytać go o coś, co wydawało mi się ważne, ale i tak się okazało, że to nie był arcybiskup Tutu. Dlaczego się tu w ogóle znalazłem, drogi czytelniku? Bo dbam o swój pisarski wizerunek. Bo pięćset tysięcy funtów zaliczki, które Hal Hiena wytargował za *Niech ucichnie echo*, już się rozeszło – połowa poszła do urzędu skarbowego, jedna czwarta na kredyt hipoteczny, a jedną czwartą pochłonął ujemny kapitał. Bo kim byłbym, jeśli nie pisarzem? „Co tam nowego w kałamarni, panie Hershey? Oboje z żoną zaczytywaliśmy się w *Suszonych embrionach*”. Bo Nick Greek i jebani Młodzi Zdolni ukradkiem dybią na moje miejsce w sali tronowej brytyjskiej literatury. Och, wino, kobiety i śpiew, za chwilę wybuchnie Wulkan Wymiotów.

Kłękniemy przed Panem Skurczów Jelit i wszyscy złożymy mu hołd...

11 marca 2016

Plażę de la Aduana wypełnia zwarty tłum mieszkańców Cartageny z uniesionymi wysoko iPhone'ami. Plażę de la Aduana otula tropikalny, oleisty zmierzch w barwach Fenty Orange i ametystu. Plaza de la Aduana podryguje w rytm refrenu *Exocets for Breakfast*, hitu Damona MacNisha and The Sinking Ship w stylu sunshine reggae. Siedząc na balkonie, Crispin Hershey strzepuje popiół do kieliszka po szampanie i wspomina pewne zbliżenie płciowe, do którego doszło przy *She Blew Out The Candle*, debiutanckim albumie The Sinking Ship, w okolicy dwudziestych pierwszych urodzin Crispina, kiedy zdjęcia Morriseya, Che Guevary i Damona MacNisha dokonywały przeglądu milionów pokoiów w akademikach. Druga płyta już nie miała tak dobrych recenzji – romans dud i gitar elektrycznych zwykle nie miewa happy endu – a kolejny album był już kompletną klapą. MacNish wróciłby do rozwożenia pizzy, gdyby nie to, że dokonał zmartwychwstania jako celebrycki działacz na rzecz AIDS, Sarajewa, mniejszości nepalskiej w Królestwie Butanu i, o ile mi wiadomo, na rzecz dowolnej innej sprawy. Światowi przywódcy ochoczo stawali z MacNishem na dwie minuty przed kamerą. Nagroda dla Najseksowniejszego Szkota Roku przez trzy lata z rządu, zainteresowanie tabloidów cyklicznym przerobem partnerek, regularne dostarczanie rynkowi płyt przyzwoitych, acz pozbawionych magii, marka ubrań fair-trade i dwa sezony programu BBC *Pięć kontynentów Damona MacNisha* – to przyczyny, dla których sława gwiazdora z Glasgow nie gasła przez całe minione dziesięciolecie, a nawet dzisiaj „Saint Nish” gromadzi tłumy na festiwalach, gdzie za dnia odbywa grzeczne sesje z dziennikarzami, a wieczorami rusza w tournée przez swoje dawne przeboje – za jedyne

dwadzieścia pięć tysięcy dolarów plus podróż klasą biznes i apartament w pięciogwiazdkowym hotelu, jak rozumiem.

Klepię się w policzek i rozmazuję komara. Te małe skurwiele to cena za rozkoszny upał Cartageny. Zoë i dziewczynki miały tu do mnie dojechać – kupiłem nawet (bezzwrotne) bilety – ale wtedy wybuchła afera o wynalezioną przez Zoë wszechrozumiejącą terapeutkę małżeńską. Dwieście pięćdziesiąt funtów plus VAT za godzinę komunałów o wzajemnym szacunku? „Nie”, zapowiedziałem Zoë, a jak wszyscy dobrze wiemy, nie znaczy nie.

Zoë zaatakowała mnie z każdej możliwej broni dostępnej kobietom.

Owszem, porcelanowa syrenka pomknęła rzucona moją ręką. Ale gdybym chciał naprawdę trafić w Zoë, nie chybiłaby celu. Oczywiście dowód, że nie chciałem zrobić Zoë krzywdy. Ale ona zdążyła już wpaść w taką histerię, że nie była w stanie pojąć tej prostej logiki, spakowała torby Louisa Vuittona i wyszła z Lori, zarośniętą opiekunką do dzieci, żeby odebrać ze szkoły Anaïs i Juno, a potem zatrzymać się w mieszkaniu starej znajomej w Putney. Którego to mieszkania akurat dziwnym trafem nikt nie zajmował. Crispin miał składać przyrzeczenia poprawy, ale wolał oglądać *To nie jest kraj dla starych ludzi*, z głośnością prawie na maksa. Następnego dnia napisałem opowiadanie o gangu zdziczałej młodzieży, która grasuje po niedalekiej przyszłości, kradnąc ropę naftową ze zbiorników wszechrozumiejących terapeutek. Jedno z moich najlepszych. Wieczorem zadzwoniła Zoë i powiedziała, że „potrzebuje przestrzeni i czasu – może dwóch tygodni”, co, drogi czytelniku, miało znaczyć: „Jeśli padniesz na kolana i pokornie przeprosisz, może do ciebie wrócę”. Zasugerowałem, że może wziąć sobie miesiąc, i odłożyłem słuchawkę. W zeszłą niedzielę Lori przywiozła Juno i Anaïs w odwiedziny. Myślałem, że będą płacze i próby emocjonalnego szantażu, ale Juno powiedziała, że według mamy „ze mną nie da się

wytrzymać”, a Anaïs zapytała, czy jeżeli się rozwiedziemy, będzie mogła dostać kucyka. Cały dzień padało, więc zamówiłem pizzę. Graliśmy w Mario Karts. John Cheever napisał opowiadanie pod tytułem *Pora rozwodów*. Jedno z jego najlepszych.

* * *

– Jak na gościa w jego wieku, odpala przyzwoity show. – Kenny Bloke częstuje mnie fajkiem, a Damon MacNish śpiewa *Corduroy Skirts Are A Crime Against Humanity*. – Widziałem chłopaków we Fremantle, w jakimś... sześćdziesiątym ósmym? Ja jebię.

Kenny Bloke dobija sześćdziesiątki, nosi w uchu pół sklepu żelaznego i według festiwalowej ulotki jest członkiem starszyny Noongarów. Zauważam, że Damon MacNish i wielu jemu współczesnych zmienili się w muzyków grających własne covery, co musi być jakimś osobliwym, postmodernistycznym fatum. Kenny Bloke strzepuje popiół w doniczkę geranium.

– Mac Nish dość nieźle się trzyma w porównaniu z resztą. Zgadnij, kto grał niedawno w Busselton Park? Joan Jett and The Blackhearts. Pamiętasz ich? Tłumów nie było, ale oni też muszą odkładać na emeryturę i posyłać dzieci na studia, jak każdy. Przynajmniej nam, pisarzom, tego oszczędzono. Pożegnalnych tournée w oparach nostalgii.

Zastanawiam się nad tą niekoniecznie prawdziwą uwagą. *Niech ucichnie echo* sprzedało się w Wielkiej Brytanii w dwudziestu tysiącach egzemplarzy i w takiej samej liczbie w Stanach. Całkiem przyzwoicie...

...byłoby, gdyby nie to, że to rozczarowujący wynik jak na nową powieść Crispina Hersheya. Dawniej byłem w stanie bez pytania sprzedać po sto tysięcy sztuk i tu, i za oceanem. Hal Hiena powtarza,

że ściąganie e-booków zmieniło stan rzeczy, ale ja dobrze wiem, dlaczego moja powieść, mój „powrót do formy”, nie sprzedała się dobrze – Richard Cheeseman rozszarpał ją jak wściekły rottweiler. Ta jedna pieprzona recenzja otworzyła sezon polowań na *Enfant Terrible* Brytyjskiej Literatury i jeszcze zanim ogłoszono listę kandydatów do nominacji, *Niech ucichnie echo* było już raczej znane jako *Książka, którą zjebał Richard Cheeseman*. Przelatuję wzrokiem po przestronnej sali balowej za nami. Cheeseman nadal się nie zjawił, ale nie zdoła zbyt długo opierać się powabowi śniadych latynoskich kelnerów.

– Chodziłeś dziś po starym mieście? – pyta Kenny Bloke.

– Tak, malownicze w stylu UNESCO. Trochę sztuczne.

Australijczyk parska.

– Taksówkarz powiedział mi, że partyzanci z FARC-u i kolumbijski wywiad potrzebowali jakiegoś miejsca, żeby jeździć na urlop, więc zrobili z Cartageny coś w rodzaju „strefy zdemilitaryzowanej”. – Kenny Bloke przyjmuje ode mnie papierosa. – Nie mów żonco, myśli, że rzuciłem.

– Spokojnie. Nie sądzę, bym kiedyś odwiedził...?

– Katanning. W zachodniej Australii. Lewy dolny róg. W porównaniu z tym – Kenny Bloke wykonuje gest w stronę barokowej latynoskiej elegancji – w Katanning dingo szczekają dupami. Ale tam leżą moi przodkowie od wielu, wielu pokoleń, i nie chciałbym odcinać się od korzeni.

– Brak korzeni – stwierdzam – to norma w dwudziestym pierwszym wieku.

– Niestety, masz rację i właśnie dlatego wszyscy tkwimy w tym gównie. Jeśli nigdzie nie masz korzeni, dlaczego dobro jakiegoś miejsca miałyby ci leżeć na sercu?

Perkusista Damona MacNisha bębni solówkę, a widok morza latynoskiej młodzieży pod sceną przypomina mi, że jestem starym

Anglosasem. W Londynie jest teraz dziesiąta wieczorem, w piątek, jutro nie ma szkoły. Juno i Anaïs dziwnie dojrzałe radzą sobie z próbną separacją rodziców. Nie zasługuję choćby na kilka łez? Czyżby Zoë przygotowywała je na ostateczne rozstanie? Stary kumpel Ewan Rice powiedział mi, że jego pierwsza żona znalazła adwokata już na pół roku przed najmniejszą wzmianką o rozwodzie, dlatego właśnie dostała milion funtów przy podziale majątku. A kiedy zaczęło się psuć między Zoë i mną? Czy zgnilizna, uśpiona jak komórka rakowa, była już w nas od początku, na jachcie ojca Zoë, kiedy promienie słońca odbite od fal Morza Egejskiego rzucały zajęczki na sufit naszej kabiny, a pusta butelka po winie toczyła się delikatnie po podłodze to w jedną, to w drugą stronę? Świętowaliśmy esemesa od Hala Hieny, który pisał, że wydawcy dają za *Suszone embriony* już siedemset pięćdziesiąt tysięcy funtów, a to jeszcze nie koniec aukcji. Zoë powiedziała: „Tylko nie wpadnij w panikę, Crisp, ale chciałabym spędzić z tobą resztę życia”. To w jedną, to w drugą stronę... To w jedną, to w drugą...

„Skacz do wody i pływ do brzegu! Ratuuj się!” – chcę krzyknąć do tego Romeo, debila. Zanim się zorientujesz, ona będzie robiła przez Internet doktorat z leczenia kryształami i powie, że jesteś ograniczony, gdy ośmielisz się zastanawiać, dokąd zmierza nauka. Przystanie cię witać w korytarzu, kiedy będziesz wracał do domu. Siła jej oskarżeń wprawi cię w osłupienie, mój młody Romeo. Jeśli opiekunka do dzieci będzie leniwa, wszystko przez ciebie, bo nie zgodziłeś się na tłumoka z Polski. Jeśli nauczycielka gry na pianinie jest zbyt surowa, dlaczego nie znalazłeś jakiejś łagodniejszej? Jeśli Zoë czuje się niespełniona, to twoja wina, bo odebrałeś jej imperatyw zarabiania na życie. Seks? Ha. „Przestań na mnie naciskać”. „Nie naciskam na ciebie, Zoë, po prostu pytam, kiedy”. „Niedługo”. „Kiedy niedługo?”. „Przestań na mnie naciskać!”. Mężczyźni żenią się z

kobietami i mają nadzieję, że one już zawsze będą takie same. Kobiety wychodzą za mężczyzn i mają nadzieję, że oni się zmieniają. Obie strony spotyka rozczarowanie, a tymczasem Romeo na jachcie całuje swoją przyszłą narzeczoną i szepcze: „Hajtnijmy się, panno Legrange”.

Solówka na bębnach dobiega końca. Damon MacNish przywiera do mikrofonu, odlicza „raz-dwa-trzy-pięć” i The Sinking Ship zaczynają grać *Disco In A Minefield*. W wyobraźni rzucam papierosa do jeziora benzyny i zmieniam plażę w pola Armagedonu, *bbbummmm, ktuuuufff!*
Ommmmmm...

Rozpoznaję znajomy głos, zaledwie kilka stóp ode mnie.

– Więć tłumaczę mu – mówi Richard Cheeseman – „Nie, Hillary, nie mogę ci pokazać żadnego własnego libretta, bo ja po każdym gównie dokładnie spuszcza wodę!”.

Lysiejący, dobrze po czterdziestce, okrągły i brodaty. Hershey przeciska się przez tłum ciał i kładzie dłoń na ramieniu krytyka jak blokadę na kole.

– Richard Cheeseman! Stary włochaty pederasto, jak się masz?

Cheeseman poznaje mnie i rozlewa koktajl.

– Ojoj – lamentuję – takie piękne fioletowe espadryle, całe oblane.

Cheeseman uśmiecha się jak człowiek, któremu za chwilę wyrwą zuchwę, o czym od tak dawna marzę.

– Crisp!

Dla ciebie żaden „Crisp”, żłobie.

– Niestety, sztylet, który miałem ci wbić głęboko w skroń, zabrali celnicy na Heathrow, więc możesz spać spokojnie. – Ci, którzy orientują się w sensacyjkach branży pisarskiej, ciągną w naszą stronę jak rekiny do tonącego statku. – Ale, ojoj – ocieram rękę Cheesemana poręczną serwetką – wystawiłeś fatalną ocenę mojej ostatniej książki. Prawda?

Na twarzy Cheesemana zastyga sztuczny uśmiech.

– Tak mówisz? – Żartobliwie podnosi ręce, jakby się poddawał. – Szczerze? Nie pamiętam już, co napisałem, czy może jak to ubarwił jakiś tam stażysta, ale jeżeli cię to uraziło, choćby w najmniejszym stopniu, najmocniej przepraszam.

Mógłbym na tym poprzestać, ale Przeznaczenie domaga się bardziej spektakularnej zemsty, a kim ja jestem, żeby sprzeciwić się Przeznaczeniu? Zwracam się do widzów.

– Powiedzmy to otwarcie. Kiedy Richard napisał recenzję *Niech ucichnie echo*, wiele osób pytało mnie: „I jak się z tym czujesz?”. Początkowo odpowiadałem: „A jak się może czuć ktoś, na kogo wylano kubel śmierdzących pomyj?”. Potem jednak zacząłem zastanawiać się, co Richardem kierowało. Literata mniejszego kalibru można by posądzić o zazdrość, ale sam Richard jest pisarzem o coraz większej renomie, więc motyw zwykłej zawiści to za mało. Nie. Ja głęboko wierzę, że Richard Cheeseman jest prawdziwym pasjonatem literatury i czuje się w obowiązku mówić o niej prawdę. W zasadzie zatem, brawa dla Richarda. Owszem, niepochlebnie ocenił moją powieść, ale ten człowiek – znowu ściskam jego ramię w pomiętej koszuli – jest jak falochron broniący przed zalewem pochlebstw i okadzania tyłka, które uchodzą za krytykę literacką. Niech moje słowa będą dowodem, że w najmniejszym stopniu nie żywię do niego urazy, pod warunkiem, że niezwłocznie przyniesie nam obu po wielkim mojito. Ty oszczerczy, kłamliwy pismaku.

Uśmiechy! Oklaski! Wykonujemy z Cheesemanem niezborny układ uścisków dłoni i przybijania piątek.

– Ale ty mi też, Crispin, dowaliłeś – widzę jego błyszczące od potu czoło – tym zdaniem o zazdrosnej ciotce, w Hay-on-Wye. Dobra, idę po dwa mojito.

– Będę na balkonie – mówię – tam jest trochę chłodniej.

Potem otacza mnie tłum szarych ludzi, którzy poważnie myślą, że będzie mi się chciało zapamiętać ich twarze i nazwiska. Chwalą mnie za szlachetność i szczerłość. Odpowiadam im szlachetnie i szczerze. O wielkoduszości Crispina Hersheya będzie się teraz mówiło i pisało na twitterze, więc wielkoduszość Crispina Hersheya stanie się prawdą. Z drugiego końca placu przez drzwi balkonowe dobiega wrzask Damona MacNisha:

– *Te amo, Cartagena!*

*

Po ostatnim bisie konwój około dwudziestu opancerzonych limuzyn z napędem na cztery koła zabiera VIP-ów i pisarzy do willi prezydenta. Policyjne syreny torują drogę wśród tłuszczy, światła na skrzyżowaniach przestają istnieć, a my, lewitując, suniemy przez Cartagenę nocą. Za współpasażerów mam dramaturga z Butanu, który po angielsku nie mówi ani słowa, oraz dwóch bułgarskich filmowców, przerzucających się chyba na zmianę serią podziemnych, ale śmiesznych limeryków w rodzimym języku. Przez przydymioną szybę limuzyny oglądam nocny targ, pętlę autobusów, na której nie panują żadne zasady, bloki mieszkalne, całe w plamach potu, chłopaków sprzedających papierosy z przenośnych kramików zawieszonych na ich szczupłych ciałach. Globalny kapitalizm nie obszedł się chyba życzliwie z właścicielami tych obojętnych twarzy. Zastanawiam się, co ci kolumbijscy proletariusze o nas myślą. Gdzie śpią, co jedzą, o czym marzą? Każda z tych opancerzonych limuzyn amerykańskiej produkcji z pewnością kosztuje więcej, niż ci uliczni handlarze zarobią przez całe życie. Nie wiem. Gdyby jakiegoś brytyjskiego pisarza przed pięćdziesiątką, niskiego wzrostu i bez kondycji, wyrzucono z limuzyny na krawężnik

w jednej z tych dzielnic, słabo widzę jego szanse.

*

Willa prezydenta znajduje się za terenem akademii wojskowej i obowiązują tu ściśle zasady bezpieczeństwa. Bankiet odbywa się na świeżym powietrzu w urządzonych z gustem, rozjarzonych światłem lamp ogrodach, gdzie kelnerzy roznoszą drinki, wykrochmalona obsługa serwuje *vol-au-vent*, a jazzowy ansambl gra Stana Getza. Wzdłuż brzegów basenu ustawiono rzędy świec. Ilekroć tam spojrzę, wyobrażam sobie zamordowanego polityka, którego ciało unosi się w wodzie twarzą w dół. Kilku ambasadorów bryluje w małych grupkach, jak chłopcy w podwórkowych gangach. Ambasador brytyjski też jest gdzieś tutaj. Jest młodszy ode mnie. W dzisiejszych czasach, kiedy Biuro Spraw Zagranicznych postawiło na technokratów, nasi dyplomaci stracili charyzmę z powieści Grahama Greene'a i już nie przydają się tak pisarzom. Widok na zatokę naprawdę robi wrażenie, kiedy noc wymazuje niestaranne wybrzeża Ameryki Południowej, a tarcza Księżycowej Królowej płynie po płodnej, można wręcz rzec: oblanej samczym mleczem Drodze Mlecznej. Sam prezydent jest w Waszyngtonie, gdzie doi amerykańskich podatników z kolejnych dolarów na „wojnę z narkotykami” – jeszcze trochę, jeszcze! – ale jego kształcona na Harvardzie żona i synowie w całej ich ortodontycznej wspaniałości uwijają się tu, by zdobywać kolejne serca dla rodzinnego interesu. Jak seksistowski wieprz – sam to przyznaje – Crispin Hershey zastanawia się, czy gdzieś na jakiejś wysepce u brzegów nie ma czasem więzienia, w którym trzymają brzydkie Kolumbijki, bo odkąd tu jestem, żadnej nie widziałem. Czy uległbym pokusie, drogi czytelniku, gdyby nadarzyła się okazja? Moja ślubna obrączka leży sześć tysięcy mil stąd

w szufladzie obok rzadko otwieranej paczki małżeńskich kondomów, którym w szybkim tempie mija data ważności. Jeśli jestem dziś mniej żonaty niż w dniu ślubu, to z winy Zoë, nie mojej – co jest oczywiste nawet dla mniej obiektywnych świadków. W zasadzie, gdyby Zoë była moja pracodawczynią, a ja jej podwładnym, mógłbym ją pozwać za zmuszanie mnie do odejścia z pracy. Przecież ona i jej rodzinka bez skrupułów skazali mnie na ostracyzm w czasie świąt. Nawet gdy minęły już trzy miesiące, a ja piję trzeci kieliszek szampana, patrzę na Krzyż Południa i czuję na skórze przyjemne dwadzieścia stopni Celsjusza, przebiegają mnie dreszcze...

* * *

...Zoë i dziewczynki poleciały do Montrealu zaraz na początku ferii, co dało mi tydzień na pochylenie się nad nowym dziełem, czarną komedią o kobiecie, która udaje nawiedzoną i twierdzi, że podczas festiwalu literackiego Hay-on-Wye widzi Maryję Pannę. Jedno z moich trzech czy czterech najlepszych. Niestety, ów tydzień beze mnie dał rodzinie Zoë okazję do urobienia Juno i Anaïs, i wpojenia moim córkom kulturalnej wyższości świata frankofońskiego. Kiedy w końcu 23 grudnia sam przyleciałem do naszego azylu w Outremont, dziewczynki mówiły do mnie po angielsku tylko wtedy, gdy wyraźnie tego od nich zażądałem. Zoë pozwoliła im wydać na gry online trzy razy więcej, pod warunkiem, że grały *en français*, natomiast siostra Zoë zabrała je razem z ich kuzynkami na świąteczny pokaz mody, po francusku, a prosto stamtąd na jakiś koncert nastoletniego boysbandu, po francusku. Kulturowe przekupstwo w biały dzień. Ale kiedy wyraziłem zastrzeżenia, Zoë zaczęła swoje „trzeba poszerzać dziewczynkom horyzonty, Crispin, niech poznają rodzinne korzenie, naprawdę jestem zdumiona i głęboko zaniepokojona, że chcesz je

trzymać zamknięte w angloamerykańskiej monokulturze”. Potem, w drugi dzień świąt, wszyscy pojechaliśmy na kręgle. Mój wynik – dwadzieścia – zdumiał do granic eugenicznie doskonałych Legrange’ów. I to dwadzieścia nie w jednej rundzie, ale w całej jebanej grze. Nie mam odpowiedniej budowy do kręgli. Mam odpowiednią budowę do pisania. Juno ruchem głowy odrzuciła włosy do tyłu i jęknęła: „Tato, zaraz się spalę ze wstydu”.

*

– Creespin! – Nadchodzi Miguel Alvarez, mój hiszpański wydawca, uśmiechając się, jakby miał dla mnie prezent. – Creespin, mam dla ciebie prezent. Chodź, pójdziemy w jakieś ustronne miejsce.

Czując się jak postać z Irvina Welsha, idę za Miguelem w cichy zakątek ogrodu, z dala od gwaru rozmów i muzyki, na ławkę zacienioną przez wysoki mur za – tak – płataniną kaktusów.

– Mam, o co prosileś, Creespin.

– Bardzo miło z twojej strony. – Zapalam papierosa.

Miguel wsuwa do kieszeni mojej marynarki kopertkę wielkości karty kredytowej.

– Miłej zabawy, szkoda wyjeżdżać z Kolumbia bez spróbowania. Bardzo, bardzo czysta. Ale jedna rzecz, Creespin. Brać tutaj, w Cartagenie, na osobności, nic wielkiego. Ale przewozić, brać na lotnisko – krzywiąc usta, Miguel udaje, że podrzyna sobie gardło – rozumiesz?

– Miguel, trzeba być matosem, żeby w ogóle zbliżyć się z dragami do lotniska. Spokojnie. Czego nie zdążę zużyć, wysypię do kibla i spuszczyć wodę.

– Dobry pomysł. Bądź ostrożny. I miłych wrażeń. Najlepsza na świecie.

– A dałeś radę zorganizować jakiś kolumbijski telefon?

– Tak, tak. – Mój wydawca podaje mi kolejną kopertę.

Ta również trafia do kieszeni mojej marynarki.

– Dziękuję. Smartfony są super, jeśli działają, ale jeżeli często nie ma zasięgu, a chcesz wysłać esemesy, nie ma to jak takie stare małe telefoniki.

Miguel przechyla głowę, nie do końca się zgadzając, ale trzydzieści dolarów, czy też ile go to kosztowało, to niewiele, żeby mieć *Enfant Terrible* Brytyjskiej Literatury pod kontrolą.

– Czyli teraz masz już co potrzeba i jest dobrze?

– Bardzo dobrze, Miguel, dziękuję.

Jak wszystkie najlepsze wątki w moich powieściach, ten również pisze się sam.

*

– Ej, Crispin. – Kenny Bloke, australijski poeta, kiwa na mnie, kiedy mijamy grupkę gości przy furtce w drugim końcu ogródka kaktusów.

– Chodź, poznasz kilka osób.

Dołączamy z Miguelem do gromadki pisarzy i pisarek – jak sędzę – stojących pod koronami drzewiastych paproci. Obco brzmiące nazwiska trudno mi zapamiętać, o ile się orientuję, żadne z nich nie publikowało w „New Yorkerze”, ale kiedy Kenny Bloke przedstawia mnie bladej, ciemnowłosej, kościstej kobiecie, czuję lekki skurcz żołądka, bo rozpoznaję ją, jeszcze zanim pada nazwisko:

– Holly Sykes, twoja rodaczka.

– Miło mi, panie Hershey – mówi Sykes.

– Gdzieś już się widzieliśmy, o ile się nie mylę, prawda? – pytam.

– W zeszłym roku oboje byliśmy tego samego dnia na festiwalu w Hay.

– Ale chyba nie na tym koszmarnym bankiecie pod okropnym namiotem.

– Oboje w jednym namiocie podpisywaliśmy książki.

– Zaraz! Tak. To pani pisze o aniołach. Holly Sykes.

– Ale nie o takich aniołach z harfą i aureolą – wtrąca Kenny Bloke. – Holly pisze o wewnętrznych głosach i właśnie mówiłem, że to ma wiele wspólnego z wierzeniami mojego ludu w istnienie duchów-przewodników.

– Szanowna pani – zaczyna Miguel z wazeliną w kącikach ust – Miguel Alvarez, redaktor naczelny „Ottopusso”, wydawca Creespina. To dla mnie zaszczyt.

Sykes ściska mu dłoń.

– Bardzo mi miło.

– To prawda, że w Hiszpanii sprzedała pani ponad pół miliona egzemplarzy?

– Moja książka spotkała się tam z żywym odzewem – odpowiada Sykes.

– Uri Geller spotykał się wszędzie z żywym odzewem. – Jestem bardziej pijany, niż myślałem. – Pamięta go pani? Najlepszy druh Michaela Jacksona? Zrobił furorę w Japonii. Furorę. – Mój koktajl smakuje jak mango z morską wodą.

Miguel uśmiecha się do mnie, ale jego oczy robią obrót, jak u figurki Action Mana, którą kiedyś miałem, i jego spojrzenie wraca do Sykes.

– Jest pani zadowolona ze swoich hiszpańskich wydawców?

– Jak pan sam zauważył, sprzedali pół miliona egzemplarzy mojej książki.

– Fantastycznie. Ale gdyby były jakieś problemy, oto moja wizytówka...

Gdy Miguel pochyła się nad Sykes, jeszcze jedna kobieta materializuje się przy pniu paproci, jak jakaś postać ze *Star Treka*. Ma

ciemne włosy, złotą skórę, powoli dobiega czterdziestki, a jej uroda wbija mnie w ziemię. Miguel mówi:

– Carmen! – Jakby był zachwycony, że ją widzi.

Carmen wbija wzrok w wizytówkę Miguela, aż kartonik znika w kieszeni jego marynarki. Wtedy Carmen zwraca się do Holly Sykes. Spodziewam się silnego latynoskiego akcentu, ale ona mówi jak nauczycielka zajęć praktycznych ze szkoły pod Londynem.

– Holly, mam nadzieję, że Miguel zbyt nie narzuczał. To bezwstydnym złodziej.

Tak, dobrze słyszałeś, Miguel. Świetnie pamiętasz incydent ze Stephenem Hawkingiem.

Miguel próbuje zrobić dla żartów skruszoną minę, ale nie bardzo mu to wychodzi i wygląda jak ktoś w białych spodniach, komu właśnie popuścił zwieracz.

– Panie Hershey – kobieta zwraca się do mnie – jeszcze nie mieliśmy okazji się poznać. Carmen Salvat. Mam zaszczyt reprezentowania Holly Sykes jako jej wyłączna – strzała wymierzona w Miguela – hiszpańskojęzyczna wydawczyni. Witamy w Kolumbii.

Carmen Salvat ma mocny uścisk dłoni. Od całej jej postaci bije światło. Wolna dłoń bawi się naszyjnikiem z lapis lazuli.

– Holly wspomniała, Carmen, że wydajesz również Nicka Greeka po hiszpańsku? – odzywa się Kenny Bloke.

– Tak, kupiłam prawa do *Drugi 605* jeszcze zanim Nick skończył ją pisać. Miałam dobre przeczucie.

– Zwalila mnie z nóg ta książka – mówi Kenny Bloke. – Absolutnie zasłużyła na zeszłoroczną Brittan Prize.

– Nick ma piękną duszę – wzdycha poetka z Nowej Fundlandii, której nazwisko zdążyłem już zapomnieć, ale która ma oczy foki z plakatu Greenpeace’u. – Przepiękną.

– Carmen wie, jak wybierać zwycięzców – mówi Miguel. – Ale jeśli

chodzi o sprzedaż, Holly znacznie go wyprzedza, prawda, Carmen?

– À propos, Holly – zwraca się Carmen Salvat do Sykes. – Żona ministra kultury bardzo chciałaby cię poznać. Mogę ci zająć chwilę i zaprowadzić cię do niej?

Kiedy wydawczyni odchodzi z Sykes, wpatruję się w apetyczne pośladki Carmen i w głowie świta mi fantazja, w której dzwoni mój telefon – w tej właśnie chwili. To lekarz z Londynu z tragiczną wiadomością, że pijany kierowca zepchnął saaba Zoë z estakady w Hammersmith. Zoë i dziewczynki zginęły na miejscu. Jutro lecę do Anglii na pogrzeb. Moja rozpacz mnie uszlachetnia, lecz jednocześnie całkowicie przygniata i wycofuję się z życia. Od czasu do czasu można mnie zobaczyć w mniej zatłoczonych liniach londyńskiego metra, na peryferiach, w strefie czwartej i piątej. Potem wiosną liście rosną, lato na bogato, jesień smutki niesie, zima mrozem trzyma. Pewnego dnia za rok Hershey uświadamia sobie, że dojechał do końcowej stacji Piccadilly Line na lotnisku Heathrow. Wysiada z metra, nogi same prowadzą go do terminalu odlotów, gdzie patrzy na tablicę i widzi nazwę „Cartagena” – ostatnie miejsce na ziemi, gdzie jeszcze był mężem i ojcem. Pod wpływem impulsu, którego nie potrafi wytłumaczyć, kupuje bilet w jedną stronę – z jakiegoś powodu ma przy sobie paszport – i jeszcze tego samego dnia wieczorem błąka się po ulicach starej kolonialnej dzielnicy Cartageny. Dziewczyny kochają się w chłopcach na skuterach, ptaki skrzeczą, tropikalne kwiaty rosną na wijących się pnączach. *Saudade* i samotność. Sto lat teźże. Aż nagle, gdy zmierzch tropików spowija mrokiem rogi Plaza de la Aduana, Hershey spostrzega kobietę, której palce bawią się naszyjnikiem z lapis lazuli. Oboje zamarli w bezruchu, a świat przepływa obok nich. Zaskakująco, że żadne nie jest tym zaskoczone.

Wiele koktajli później pomagam nafutrowanemu po czoło Richardowi Cheesemanowi wsiąść do windy, żeby odstawić go do jego pokoju.

– Dam seradd, Crisp, wyglądam na barćpijaneho, niszejss.

Drzwi windy otwierają się i wchodzimy do środka. Cheeseman zatacza się jak pijany wielbłąd w burzę piaskową.

– Chwila, zpomniaem numerr mgopokojjj – Cheeseman wyjmuje portfel i go upuszcza – niechtchuj.

– Pozwól.

Podnoszę portfel Cheesemana i wyjmuję z niego plastikową kartę otwierającą drzwi – 405 – a potem chowam ją z powrotem.

– Proszę bardzo.

Cheeseman kiwa głową w podziękowaniu i bełkocze:

– Jeśli nurpokojj dodajś do dziewięćś, Hersh, nihdy w nim nie umrzz.

Wciskam „4”.

– Najpierw do twojego pokoju.

– Dam seradd. Trafie dsiebb.

– Czuję się jednak w obowiązku odstawić cię bezpiecznie pod same drzwi, Richard. Nie bój się, nic ci nie zrobię.

Cheeseman pociąga nosem z odrazą:

– Nie jesseś fmoim typie, jesseś za biały i za obwisły.

Widzę swoje odbicie w lustrze na całej ścianie windy i przypominam sobie słowa pewnego mędrca, że klucz do szczęścia to ignorowanie własnego odbicia w lustrach wind, kiedy się przekroczy czterdziestkę. W tym roku przekroczyć pięćdziesiątkę. Drzwi robią „ping” i wysiadamy, mijając szczupłą, opaloną, białowłosą parę.

– Tobł kiedyś żejski zakon – informuje ich Cheeseman – pełen dziewiss. – Zaczyna podśpiewywać wczesny przebój Madonny.

Posuwamy się korytarzem, w którego końcu widać karaibską noc. Jeszcze ostry zakręt i pokój 405. Przesuwam kartę Cheesemana przez zamek i klamka ustępuje.

– Siassne, ale własne – mówi Cheeseman.

Jego pokój oświetla lampka nocna przy łóżku. Człowiek, który zmieszał z głównem moją powieść, mój powrót, zatacza się w stronę łóżka, potyka o walizkę i pada płasko na materac twarzą w dół.

– Niesowieszór – bełkocze monsieur le critique, gdy ogarnia go nagły atak chichotu – eshortuje mnie dedomu ąfą teribl brytyjskiej literaturr.

Mówię mu, że tak, to prześmieszne, słodkich snów, i jeśli nie zejdzie na dół do jedenastej, zadzwonię do niego z recepcji.

– Nismi niejes. – Cheeseman stara się mówić najwyraźniej jak może.

– Naprawde, abssolutnie, tottalnie, beswsgłędnie, naprawde nis. Naprawde.

Z rozłożonymi ramionami krytyk Richard Cheeseman odjeżdża.

14 marca 2016

Zamawiam omlet z samych białek ze szpinakiem, żytni chleb na zakwasie i ekologiczny pasztecik z indyka, do tego świeżo wyciskany sok pomarańczowy, schłodzoną wodę Evian i miejscową kawę, żeby popić tabletki przeciwbólowe i przysypać nimi kaca. Jest siódma trzydzieści rano, a powietrze na zadaszonym dziedzińcu jest jeszcze chłodne. Tropikalny szpak hotelowy siedzi na swojej żerdce, wydając nieprawdopodobne dźwięki. Jego dziób przypomina lakierowany sierp, a oko widzi wszystko i wie wszystko. Gdyby to był fragment powieści, drogi czytelniku, mój bohater zastanawiałby się, czy szpak nie przeczuwa czasem jego planów. Damon MacNish, w prążkowanym lnianym garniturze, jak „nasz człowiek w Hawanie”, siedzi w rogu, na wpół ukryty za „Wall Street Journal”. Zabawne, jak trajektorię czyjegoś losu może odmienić kilka dni w studiu nagraniowym w Szkocji pod koniec drugiej dekady życia. Jego dziewczyna, która swojej drugiej dekady jeszcze nie ukończyła, przegląda „Face”. Dla niej seks z nim musi być jak pieprzenie się z Piaskowym Dziadkiem. Co ona z tego ma? Oczywiście oprócz lotów pierwszą klasą, pięciogwiazdkowych hoteli, obracania się w towarzystwie arystokratów rocka, reżyserów filmowych i szefów potężnych fundacji. I figurowania w każdym magazynie plotkarskim świata oraz propozycji kontraktów od agencji modelek... Mam tylko nadzieję, że kiedy Juno i Anaïs będą zdobywać społeczną Czomolungmę, dostaną się na szczyt dzięki własnym talentom, a nie dzięki temu, że dosiadły okrakiem chude uda przeciętnego autora piosenek, bardziej pomarszczonego niż ich własny ojciec. „Boże wiekuisty, dzięki Ci za niezliczone łaski i dobrodziejstwa Twoje”.

„Czy literatura może zmienić świat?” – to tytuł spotkania z Cheesemanem. Ów pilny i niezwykle potrzebny zjazd najtęższych umysłów elity kulturalnej odbywa się w długim białym holu na ostatnim piętrze pałacu książęcego, cartageńskiego Epicentrum Wydarzeń 2016. Impreza rozpoczyna się wraz z wejściem na scenę trójki kolumbijskich pisarzy, witanych owacją na stojąco. Wszyscy trzej salutują publiczności jak bohaterowie powojennego ruchu oporu. Za nimi wchodzi moderatorka, ubrana w krwistoczerwoną sukienkę anorektyczka, której umiłowania dla masywnych złotych łańcuchów nie sposób nie dostrzec nawet z mojego miejsca w ostatnim rzędzie. Richard Cheeseman wybrał styl angielskiego konsula, czyli kremowy garnitur z kamizelką i śliwkowy krawat, ale wygląda raczej jak zarośnięta ciota z *Powrotu do Brideshead*. Trzej Rewolucjoniści zajmują swoje miejsca, a my, niehiszpańskojęzyczni, wkładamy słuchawki z symultanicznym tłumaczeniem na angielski. Tłumaczka przekłada powitanie przez moderatorkę, a następnie krótkie biogramy czwórki gości. Richarda Cheesemana jest najskromniejszy: „Sławny i uznany angielski krytyk i powieściopisarz”. Oddając sprawiedliwość osobie, która to napisała, strona Wikipedii poświęcona Richardowi Cheesemanowi jest również niezwykle skromna, choć można na niej przeczytać o „słynnej druzgoczącej krytyce” powieści *Niech ucichnie echo* Crispina Hersheya, wraz z linkiem do rzeczonyj recenzji na stronie „Piccadilly Review”. Hal Hiena zapewnia, że poruszył niebo i ziemię, żeby ten link usunęło, ale Wikipedia nie przyjmuje łapówek.

Odczyty literackie w Ameryce Południowej to imprezy z udziałem publiczności, jak u nas występy kabaretów. Dzisiaj mój douszny

Babelfish dostarcza raczej streszczeń czytanych fragmentów niż ich płynnego przekładu, jednak tu i ówdzie tłumaczka wyznaje: „Przepraszam, ale nie mam pojęcia, co on teraz powiedział. Wydaje mi się, że sam autor również nie wie”. Richard Cheeseman odczytuje scenę ze swojej najnowszej powieści *Człowiek w białym aucie*, o ostatnich chwilach życia Sonny’ego Penhallowa, studenta Cambridge, który zjeżdża z kornwalijskiego klifu swoim astonem martinem, pięknym oldsterem. Proza Cheesemana nie jest nawet okropna, jest zaledwie przeciętna i słuchawki jedna po drugiej wysuwają się z uszu, a w dłoniach pojawiają się smartfony. Kiedy Cheeseman kończy, oklaski są wymuszone, choć wczoraj mój własny odczyt również nie spotkał się owacją na stojąco.

Potem zaczyna się „okrągły stół” i pierdolenie.

– Literatura powinna mordować – oświadcza pierwszy rewolucjonista. – Gdy piszę, w jednej dłoni trzymam pióro, a w drugiej nóż!

Dorośli ludzie wstają, krzyczą i klaszczą.

Drugi pisarz nie zamierza pozostawać w tyle:

– Woody Guthrie, jeden z nielicznych wielkich amerykańskich poetów, na swojej gitarze namalował słowa: „Maszyna do zabijania faszystów”. Ja na swoim laptopie napisałem: „Maszyna do zabijania neokapitalizmu”!

Och, tłum szaleje!

Grupa spóźnionych gości przesuwają się gęsiego w rzędzie przedemną. Wspaniała okazja, niemal rodem z powieści. Zasłonięty tą ludzką tarczą ukradkiem wymykam się z sali i wchodzę po malowanych na biało stopniach. W drugim końcu dziedzińca Claustro de Santo Domingo, pod gołym niebem, Kenny Bloke czyta siedzącej w półkolu grupce dzieci, które siedzą zasluchane, jak w transie. Ojciec lubił opowiadać historię o pewnym przyjęciu, na które

Roald Dahl przyleciał helikopterem i mówił każdemu: „Pisz książki dla dzieci – gówniarze wierzą we wszystko”. Przez książęce wrota wychodzę na plac, gdzie Damon grał wczoraj koncert. Przechodzę pięć skrzyżowań nie całkiem prostą Calle 36, zapalam papierosa, ale zaciągam się tylko raz i wrzucam go do rynienki ściekowej. Cheeseman rzucił palenie, więc zapach tytoniu mógłby stanowić obciążającą poszlakę. To poważna sprawa. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie robiłem. Z drugiej strony jeszcze nigdy żadna recenzja nie zabiła książki tak brutalnie, jak recenzja Cheesemana zarżnęła moją. Banany skwierczą na grillu sprzedawcy. Jakiś maluch wygląda na ulicę z werandy na drugim piętrze, ściskając rączkami żelazne pręty jak więzień. Żołnierze pilnują wejścia do banku, z bronią maszynową przewieszoną przez ramię, ale ja dziękuję losowi, że to nie na straży moich pieniędzy stoją – jeden pisze esemesy, a drugi flirtuje z dziewczynką w wieku Juno. Czy Carmen Salvat ma męża? Nic o tym nie wspomniała.

Skup się, Hershey. Poważna sprawa. Skup się.

*

Z zalanej słońcem upalnej ulicy wejdź do chłodnego, urządzonego w marmurze i drewnie tekowym lobby hotelu Santa Clara. Miń dwóch portierów, którzy, jak można przypuszczać, zostali przeszkoleni do zabijania. Oceniają ubrania, współczynnik gringowatości, rating kredytowy. Zdejmij okulary i zamrugaj głupawo – „Widzicie, chłopcy, jestem gościem hotelu” – ale załóż je z powrotem, gdy będziesz przemykał się przez dziedziniec, mijając przedobiednich gości pochylonych nad filiżankami cappuccino i wystukujących e-maile tam, gdzie niegdyś siostry benedyktyнки opijały się Duchem Świętym. Unikaj oka szpaka i za bezsensną

fontanną wejść schodami na czwarte piętro. Pójdź korytarzem, jak wczoraj o północy, aż do nieuniknionego rozwidlenia. Słoneczny korytarz prowadzi wokół dudniącej echem studni dziedzińca do mojego pokoju, gdzie Crispin Hershey zostaje, a kręta droga wiedzie dalej do pokoju 405, gdzie Crispin Hershey ma odebrać, co mu się należy. Przepływa przed nim rybka *déjà vu*, a jej imię Geoffrey Chaucer.

„Nie, panie – rzekł im. – Jeśli poszukują
Panowie Śmierci, skróćcie tę drożyną.
Pod drzewem jam Śmierć przed chwilą wyminał.
W tym zagajniku siedzi sobie dalej...”[10].

Ja jednak poszukuję sprawiedliwości, nie śmierci. Jacyś naoczní świadkowie? Żadnych. Zatem tą drożyną. Przed pokojem 403 stoi wózek pokojówki, ale ani śladu jej samej. Pokój 405 jest tuż za rogiem, przedostatni w końcu ślepego korytarza. W głowie tańczy mi rozkołysane *Dance Me To The End Of Love* Leonarda Cohena, a przez otwór w kształcie łuku w zewnętrznej ścianie hotelu, cztery piętra nad poziomem ulicy, Hershey widzi pas karaibskiego błękitu i brudne kalafiory chmur. Nad brzegiem stoją dalekie wieżowce, ukończone i nieukończone. Pokój 405. Puk-puk. Kto tam? Kara, kurwa, masz za swoje, Dickie. Na ulicy silnik motoru wyje w coraz wyższych oktawach. Oto dodatkowa karta do drzwi Cheesemana, którą samarytanin Hershey zatrzymał sobie wczoraj. A oto pojawiająca się przed Fortuną okazja, by zniweczyć mój chytry plan – jeśli Cheeseman zauważył dziś rano, że brakuje mu jednej karty, i dostał duplikat z nowym kodem, diodka LED na drzwiach mignie na czerwono, drzwi pozostaną zamknięte, a Hershey będzie musiał przerwać zadanie. Jeżeli jednak Fortuna zechce, bym podązał zgodnie z planem, diodka zapali się na zielono. Na futrynie siedzi

jaszczurka. Wysuwa i chowa język.

Przesuń kartę. Już.

Zielone. Wchodź, wchodź, wchodź!

Drzwi się zamykają.

Dobrze, pokój już posprzątanym, łóżko pościelone. Gdyby weszła pokojówka, zachowuj się, jak gdyby nigdy nic. Na drzwiach szafy wisi koszula, a na szafce nocnej leżą *Niezależni* Halldóra Laxnessa. Tak jak muzułmankom nie wolno dotykać Koranu podczas menstruacji, podobnie taki chujek jak Richard powinien mieć zakaz dotykania Laxnessa, chyba że w lateksowych rękawiczkach CSI. A właśnie. Wydobądź pomarańczową parę z kieszeni marynarki i sam ją załóż. Dobrze. Znajdź w szafie walizkę Richarda Cheesemana. Nowa, droga, pojemna – idealna. Otwórz ją i odsuń suwak wewnętrznej kieszonki – suwak chodzi ciężko, jeszcze nieużywany. Wyjmij scyzoryk i ostrożnie zrób półcalowe nacięcie w podszewce. Znakomicie. Wyjmij kopertkę wielkości karty kredytowej z kieszeni swojej marynarki, ostrożnie, a następnie równie ostrożnie odetnij jej rozek i rozsyp odrobinę białego proszku po walizce – ilość niedostrzegalną dla ludzkiego oka, ale dla nosa beagla walącą jak gówno skunksa. Wsuń kopertkę przez nacięcie pod podszewkę walizki. Wepchnij głęboko. Zasuń z powrotem wewnętrzną kieszonkę. Schowaj walizkę z powrotem do szafy i sprawdź, czy Święty Mikołaj nie zostawił nigdzie okruszków. Nie zostawił. Wszystko w porządku. Opuść miejsce przestępstwa. Najpierw zdejmij gumowe rękawiczki, idioto...

Na korytarzu pokojówka prostuje się z pochylenia za swoim wózkiem i obdarza mnie zmęczonym uśmiechem, a moje serce wrzuca szósty bieg. Już kiedy rzucam krótkie „Dzień dobry”, wiem, że popełniłem fatalny błąd. Ona bezgłośnie odpowiada mi: „Dzień dobry”, a jej metyskie spojrzenie odbija się od moich okularów, ale właśnie ujawniłem się jako osoba anglojęzyczna. Głupi, głupi, głupi.

Pośpiesznie wracam krętym korytarzem. Powoli! Nie przemykaj się pędem jak cudzołożnik. Czy pokojówka widziała, jak zdejmuję okulary?

Czy powinienem wrócić i zabrać kokainę?

Uspokój się! Dla tej pokojówki, która nawet nie zna alfabetu, jesteś po prostu kolejnym białym w średnim wieku, w okularach. Dla niej pokój 405 jest twój. Już nawet zapomniała, że cię widziała. Mijam portierów w foyer i obieram alternatywną trasę powrotną do Epicentrum Wydarzeń. Tym razem zapalam papierosa. Wyrzucam rękawiczki do kosza na śmieci na tyłach restauracji i ponownie przekraczam bramę Claustro de Santo Domingo, migając przepustką VIP-a. Kenny Bloke odpowiada jakiemuś młodzieńcowi:

– To doskonale pytanie...

Dalej alternatywną trasą, mijając wielką salę, gdzie trzysta osób w skupieniu słucha, jak Holly Sykes na scenie czyta swoją książkę. Zatrzymuję się. Co, do bladej kurwy, ci wszyscy ludzie w niej widzą? Siedzą z opadłymi szczękami, skupieni, z nabożeństwem podążają wzrokiem za tłumaczeniem tekstu Sykes na wielkim ekranie nad sceną. Nawet festiwalowe elfy zaniedbują służbę przy drzwiach, by wsłuchać się w głos Stwórczyni Aniołów.

– „Chłopiec wyglądał jak Jacko” – czyta Sykes – „ten sam wzrost, ubranie, wygląd, ale ja wiedziałam, że mój brat jest w Gravesend, dwadzieścia mil stąd”. – Sala jest przysypana ciszą, jak las śniegiem. – „Chłopiec machnął ręką, jakby czekał, aż się pojawię. Ja też mu zamachałam, a potem zniknął w podziemnym przejściu”. – Publiczność autentycznie szlocha, kiedy słucha tego belkotu! – „Skąd Jacko znalazł się tutaj, tak daleko od domu, wczesnym niedzielnym rankiem? Miał dopiero siedem lat. Jak mnie znalazł? Dlaczego nie zaczekał na mnie, tylko rzucił się z powrotem do tunelu? Ja też zaczęłam już biec...”.

Pośpiesznie pokonuję kolejne schodki i przemykam się z powrotem na mój fotel w tylnym rzędzie, niedostrzeżony ze sceny. Ludzie rozmawiają, stoją, piszą esemesy.

– Ale nie, tak naprawdę nie zgadzam się, że poeci tworzą *incognito* prawo tego świata – dywaguje Richard Cheeseman. – Tylko trzeciorzędni poeci jak Shelley wierzyliby w prawdziwość takich pobożnych życzeń.

Niedługo potem sympozjum się kończy, a ja toruję sobie drogę pod scenę.

– Richard, byłeś głosem rozsądku, od początku do końca.

*

Jest wieczór. Na wąskich uliczkach, wytyczonych czterysta lat temu przez Holendrów, a budowanych przez ich niewolników, babcie podlewają geranium. Wspinam się po stromych kamiennych schodach na stary mur miejski. Kamień oddaje upał i grzeje mnie przez cienkie podeszwy, a różowe jak rabarbar słońce przyjemnie nabiera ciała, gdy powoli tonie w Morzu Karaibskim. Niech mi ktoś przypomni, dlaczego ja ciągle jeszcze mieszkam w moim analnym kraju z ciągłymi pretensjami, gdzie ciągle pada? Jeżeli z Zoë w końcu jednak wzięlibyśmy rozwód, czemu nie spakować się i nie przenieść w jakieś ciepłe miejsce? Na przykład tutaj. W dole, między czterema pasami ruchu a morzem, chłopcy grają w piłkę na ubitym boisku. Jeden z nich jest w podkoszulce, drugi rozebrał się od pasa w górę. Kawalek dalej znajduję wolną ławkę. Czyli jak? Zawiesić egzekucję w ostatniej chwili?

Ni chuja. Cztery lata spędziłem nad *Niech ucichnie echo*, a Cheeseman, z tą swoją brodą jak włosy łonowe, zarżnął ją w ośmiuset słowach. Zadbał o własną reputację kosztem mojej. To czysta kradzież.

Sprawiedliwość wymaga, żeby złodziej został ukarany.

Pakuję do ust pięć miętowych cukierków, wydaję komórkę na kartę, którą dostałem od Miguela, i cyfra po cyfrze wystukuję numer telefonu przepisany z plakatu na lotnisku Heathrow. Szum ulicy, wrzaski morskich ptaków i krzyki dwóch młodych piłkarzy odpływają w dal. Wciskam wybieranie.

Od razu odpowiada kobiecy głos:

– Agencja Celną lotniska Heathrow, telefon poufny, słucham.

Mówię z najgorszym akcentem Michaela Caine’a, a miętówki jeszcze bardziej zniekształcają moją mowę.

– Słuchajcie, jest taki gość, Richard Cheeseman. Jutro wieczorem będzie lądował w Londynie samolotem z Kolumbii, lot BA713. BA713, jutro. Zapisała pani?

– BA713, tak, proszę pana. Ta rozmowa jest nagrywana. – To mnie otrzeźwia. Oczywiście, że to nagrywają. – Może pan powtórzyć nazwisko?

– Richard Cheeseman. Jak „cheese” i „man”. W walizce ma kokainę. Napuśćcie na niego psa i sami zobaczycie.

– Rozumiem – mówi kobieta. – Czy mogę zapytać...

POŁĄCZENIE ZAKOŃCZONE, informują mnie kanciaste pikselki na tym ekraniku. Wieczorne odgłosy powracają. Wypluwam miętowe cukierki. Uderzają o kamienny chodnik, rozbijają się, a ich białe cząstki upadają porozrzucane jak fragmenty zębów po bójce na pięści. To Richard Cheeseman uruchomił akcję – ja jestem reakcją. Etyką rządzą newtonowskie prawa. Może to, co przed chwilą powiedziałem, wystarczy, żeby spowodować przeszukanie bagażu. Może nie wystarczy. Może po cichu wypuszczą go z ostrzeżeniem, a może skopią mu tyłek publicznie. Może przez ten wstydlivy incydent Cheeseman straci swoją rubrykę w „Telegraphie”. A może nie. Ja zrobiłem, co należało, teraz wszystko w rękach Fortuny. Schodzę z

powrotem kamiennymi schodkami, schylam się i udaję, że wiązę sznurowadło. Ukradkiem upuszczam komórkę do studzienki odpływowej. Plum! Kiedy jej szczątki ktoś odkopie, jeśli w ogóle to nastąpi, każdy, kto cieszy się życiem w ten wspaniały dzisiejszy wieczór, będzie już w grobie od kilku stuleci.

Ty, drogi czytelniku, ja, Richard Cheeseman, my wszyscy.

10 Geoffrey Chaucer, *Opowieści Kanterberyjskie* w przekładzie Heleny Pręczkowskiej (przyp. tłum.)

21 lutego 2017

Aphra Booth zaczyna odczytywać następną stronę swojego stanowiska, spisane w opracowaniu „Mężczyzna zblakły i zużyty. De(KON)strukcja postpostfeministycznych słomianych lalek w nowej literaturze fallicznej”. Dolewam sobie wody gazowanej, *glum-plum-glim-plim-psssss...* Z mojej prawej strony siedzi moderator spotkania. Swoje profesorskie oczy przymknął w religijnym skupieniu, ale podejrzewam, że po prostu przysypia. Przez szklaną ścianę za publicznością widać rzekę Swan, całą w srebrze i błękicie, płynącą migotliwie przez Perth w Australii Zachodniej. Jak długo Aphra już peroruje? To gorsze niż kościelne kazanie. Albo nasz moderator naprawdę zasnął, albo boi się przerwać pani Booth w połowie wypowiedzi. Może posłucham?

– Oglądane w zwierciadle płci kulturowej męskie metaparadygmaty kobiecej psyche ujawniają cały podtekst nieprzejrzystej asymetrii. Lub też inaczej, parafrazując moje własne słowa, kiedy Wenus opisuje Marsa, maluje go z dołu, z pozycji pralni i przewijaka pieluch. Ale kiedy to Mars opisuje Wenus, przedstawia ją wyłącznie z góry, patrząc z tronu imama, z ambony arcybiskupa lub przez obiektyw pornografa...

Ziewam i przeciągam mięśnie nóg, a Aphra Booth odwraca się w obrotowym fotelu.

– Bez pokazu slajdów siada ci koncentracja, Crispin?

– Nie, nie, to tylko lekka zakrzepica żylna. – Mój żart zostaje nagrodzony kilkoma nerwowymi chichotami, a perspektywa słownego starcia nieco ożywia odwodnionych przez upał mieszkańców Perth. – Przemawiasz od kilku godzin. Poza tym, czy

tematem tego panelu nie miała być dusza?

– Ten festiwal na szczęście jeszcze nie dopuszcza cenzury. – Aphra piorunuje wzrokiem moderatora. – Mam rację?

– O, absolutnie. – Moderator mruga w zakłopotaniu. – W Australii nie ma cenzury. W żadnym wypadku.

– Może zatem Crispin będzie tak miły – Aphra Booth kieruje teraz mordercze spojrzenie w moją stronę – i pozwoli mi skończyć. Każdy, kto intelektualnie wyrósł już z piaskownicy, wie doskonale, że dusza to koncept prekarterzjański. Jeśli to zbyt trudne pojęcie, zacznij żuć gumę, zajmij czymś buzię i siedź cicho w kącie.

– Wolalbym przegryźć ampułkę z cyjankiem – mówię pod nosem.

– Crispin prosi o ampułkę z cyjankiem. Ktoś ma przy sobie? Pomóżcie państwo.

O, jak te zroszone deszczkiem ekscytacji mumie parślały i chichotały!

*

Kiedy Aphra kończy, zostało już tylko piętnaście minut z przeznaczonych dla nas dziewięćdziesięciu. Moderator próbuje zarzucić lasso na główny temat spotkania i pyta mnie, czy wierzę w duszę, a jeśli tak, to czym dusza może być? Przytaczam koncepcje duszy jako karmicznej cenzurki z ocenami za życie; jako duchowej pamięci USB poszukującej cielesnego twardego dysku; jako placebo, które tworzymy, by złagodzić prerażenie własną śmiertelnością. Aphra Booth sugeruje, że wykręcam się od odpowiedzi, bo reprezentuję klasyczny przypadek strachu przed zaangażowaniem – „jak wszyscy wiemy”. To najwyraźniej aluzja do niedawnego rozwodu z Zoë, szeroko opisywanego przez prasę, więc proponuję, żeby przestała wysuwać tchórzliwe insynuacje i powiedziała bez ogródek,

co ma do powiedzenia. Ona oskarża mnie o Hersheycentryzm i paranoję. Ja oskarżam ją o rzucanie oskarżeń, których nie potrafi podtrzymać, bo nie ma jaj, przy czym ostatnie słowo w „bo nie ma jaj” niemal wykrzykuję. Ciśnienie rośnie.

– Tragiczny paradoks Crispina Hersheya – zwraca się do sali Aphra Booth – polega na tym, że Crispin chce być uznawany za pogromcę banału, natomiast jego poza literackiego Johnny’ego Rottena jest najbardziej banalnym stereotypem w całym męskim zoo. Ale nawet tę pozę sam zdemaskował, występując niedawno w obronie skazanego przemytnika narkotyków.

Wyobrażam sobie, że do jej wanny wpada suszarka do włosów: ręce i nogi drgają, z włosów leci dym i Aphra umiera.

– Richard Cheeseman jest ofiarą poważnej pomyłki sądowej, a wykorzystywanie jego nieszczęścia jako kija, żeby mnie nim obić, wydaje mi się wulgarne ponad miarę, nawet jak na doktor Aphrę Booth.

– Pod podszewką jego walizki znaleziono trzydzieści gramów kokainy.

– Myślę – wtrąca moderator – że powinniśmy wrócić do...

Przerywam mu:

– Trzydzieści gramów jeszcze nie robi z człowieka bossa narkotykowego!

– Nie, Crispin, sprawdź nagranie – powiedziałam: „przemytnika narkotyków”.

– Nie ma żadnych dowodów, że to Richard Cheeseman ukrył w bagażu kokainę.

– Jeśli nie on, to kto?

– Nie wiem, ale...

– Dziękuję.

– ...ale Richard nigdy nie ryzykowałby w taki idiotyczny sposób.

– Chyba że był kokainistą, przekonany, że status celebryty stawia go ponad kolumbijskim prawem. A tak orzekli ławnicy i sędzia.

– Gdyby Richard Cheeseman był Rebeccą Cheeseman, podpałałybyście sobie włosy łonowe przed ambasadą Kolumbii, wołając o sprawiedliwość. Richard zasługuje przynajmniej na przeniesienie do brytyjskiego więzienia. Przemyt to przestępstwo wobec kraju docelowego, a nie kraju, z którego się wyrusza.

– Aha, czyli jednak przyznajesz, że Cheeseman jest przemytnikiem?

– Powinien móc bronić własnej niewinności z więzienia w Anglii, a nie z jakiejś zatęchłej jamy w Bogocie, gdzie nie ma dostępu do mydła, nie mówiąc już o przyzwoitym obrońcy.

– Jednak, będąc felietonistą w prawicowym „Piccadilly Review”, Richard Cheeseman był gorącym adwokatem więzienia jako instytucji odstraszałającej przestępców. Zacytuję wręcz...

– Dosyć, Aphra, ty pełna hipokryzji góro tłuszczów trans!

Aphra zrywa się na równe nogi i wymierza we mnie palec, jakby celowała z naładowanego magnum.

– Przepróż mnie albo przekonasz się, jak sąd w Australii traktuje pomówienie, zniesławienie i cielesny faszyzm!

– Crispin z pewnością miał jedynie na myśli – łagodni moderator – że...

– Żądam, żeby ten wieprz mnie przeprosił!

– Oczywiście, że przeproszę, Aphra. Tak naprawdę chciałem nazwać cię rozdętą w samouwielbieniu, seksistowską, arcybanalną, pełną hipokryzji górą tłuszczów trans, która zmusza swoich studentów do wystawiania pięciogwiazdkowych recenzji jej książki na Amazonie i którą dziesiątego lutego o szesnastej lokalnego czasu widziano, jak kupowała powieść Dana Browna w księgarni Relay na międzynarodowym lotnisku Changi w Singapurze.

Publiczność wstrzymuje oddech i zastyga w napięciu, co bardzo

miło mi słyszeć.

– I nie wmawiaj mi, że robiłaś tylko rekonesans rynku, bo w życiu nie uwierzę. O, proszę bardzo, mam nadzieję, że moje przeprosiny wiele wyjaśniły.

– Pan – mówi Aphra Booth do moderatora – nie powinien udzielać głosu chamskim, zasranym mizoginom, a ty – czyli ja – lepiej znajdź adwokata, bo w sądzie puszcze cię z torbami!

Aphra Booth wychodzi z lewej. Odgłos grzmotu.

– Oj, Aphra, nie bądź taka! – wołam za nią. – Czekają na ciebie twoi fani. Są tu obaj. Aphra... Czy powiedziałem coś nie tak?

*

Wyjeżdżam rowerem poza ciąg sklepów z pamiątkami i kawiarni, ale nie mija minuta i docieram do pokrytego pyłem placu defilad, gdzie droga się kończy. Stoją tu jakieś baraki z czasów drugiej wojny światowej i mgliście przypominam sobie, że na Rottneest Island przetrzymywano włoskich jeńców. Stąd strumień myśli płynie do Richarda Cheesemana, jak wiele strumieni myśli ostatnimi czasy. Mój pamiętny akt zemsty sprzed roku w Cartagenie wcale nie trafił we mnie rykoszetem, ale okazał się oszałamiającym sukcesem. W Penitencjaria Bogotá Cheeseman odsiedział już trzysta czterdzieści dwa dni z sześćioletniego wyroku za przemyt narkotyków. Przemyt! Za jedną zasraną kopertkę! Towarzystwo Przyjaciół Richarda Cheesemana zdołało wywalczyć dla niego prywatną celę z pryczą, ale za ten luksus musieliśmy zapłacić dwa tysiące dolarów gangsterom, którzy rządzą w jego skrzydle więzienia. Naprawdę trudno zliczyć, ile razy zżymałem się, że nie mogę cofnąć pochopnego wyczynu, ale, jak głosi arabskie przysłowie, nawet Bóg nie może zmienić przeszłości. Teraz my, Towarzystwo Przyjaciół, wykorzystujemy każdy możliwy

kontakt, żeby skrócić Cheesemanowi wyrok albo przynajmniej przenieść go do kraju, ale to bardzo trudna sprawa. Dominic Fitzsimmons, dyskretny, kompetentny podsekretarz w ministerstwie sprawiedliwości, zna Cheesemana jeszcze z Cambridge i mamy go po naszej stronie, ale musi działać z rozwagą, żeby uniknąć zarzutów kumoterstwa. Poza naszą grupą współczucie dla Cheesemana, felietonisty nieprzebierającego w słowach, nie jest powszechną reakcją. Ludzie twierdzą, że w Tajlandii czy Indonezji za narkotyki dostaje się dożywocie, więc Cheeseman i tak miał szczęście. Z tym że trudno nazwać „szczęśliwym” życie w Penitencjarii Bogotá. Co miesiąc umiera tam dwóch czy trzech więźniów.

Wiem, wiem. Jest tylko jeden człowiek, który mógłby wydostać Cheesemana z piekła w Bogocie, i jest nim Crispin Hershey – ale za jaką cenę? Błagam. Przyznając się do winy, sam narażałbym się na więzienie, możliwe wręcz, że pod obecnym adresem Cheesemana. Honoraria prawników by mnie zrujnowały i żadni przyjacielecrispinahersheya.org nie załatwiliby mi prywatnej celi – trafiłbym prosto między piranie. Juno i Anaïs odcięłyby się od mnie już na zawsze. Przyznanie się do winy byłoby zatem samobójstwem, a lepiej już być winnym tchórzem niż skruszonym trupem.

Nie mogę tego zrobić. Po prostu nie mogę.

Za placem defilad pokryta pyłem droga wyparowuje.

Wszyscy popełniamy błędy. Zawracam rower.

Popołudniowe słońce jest jak otwarta na oścież mikrofalówka – gotuje każdy skrawek nagiego ciała. Rottnest to mała wysepka, zaledwie osiem mil kwadratowych nagich skał i spękanych parowów. Wije się i zakręca, wznosi i opada, a Ocean Indyjski jest albo zawsze widoczny, albo zawsze za następnym zakrętem. W połowie drogi na wzniesienie zsiadam z roweru i pcham go pod górę. Tętno wali mi w bębenkach uszu, a koszula oblepia mój niepłaski tułów. Kiedy zrobił

się ze mnie taki flak? Gdy miałem trzydzieści parę lat, śmigiałem na takie szczyty jak strzała, a teraz jestem tak wykończony, że już prawie rzygam. Kiedy ostatni raz jeździłem na rowerze? Jakies osiem lat temu, z Juno i Anaïs, w naszym ogródku przy Pembridge Place. Kiedyś w wakacje urządziłem dla dziewczynek tor przeszkód, z podjazdami z desek, slalomem z bambusowych kijków, z tunelem z prześcieradła i sznura do prania, i ze złym strachem na wróble, któremu trzeba było ściąć Excaliburem głowę, gdy się go mijalo. Nazwałem tor „Górskim Motokrosem” i każdy z naszej trójki pokonywał go na czas. Francuska opiekunka, zapomniałem, jak miała na imię, robiła nam lemoniadę z czerwonych grejpfrutów i nawet Zoë dołączyła do nas na pikniku na czarodziejskiej polanie za rzędami kwitnących hortensji. Juno i Anaïs często prosiły mnie, żebym znowu urządził im tor, i za każdym razem miałem zamiar, ale to musiałem napisać jakąś recenzję, to wysłać e-mail, a to dopracować scenę, i „Górski Motokros” okazał się jednorazową imprezą. Co się stało z rowerami dziewczynek? Zoë pewnie się ich pozbyła. Z czasem okazało się, że miała wielki talent do pozbywania się niechcianych rzeczy.

W końcu na całe szczęście zdobywam grzbiet wzgórza, wsiadam z powrotem na rower i zjeżdżam w dół z drugiej strony, niesiony siłą rozpędu. Pnie gwajakowców rozplątują się, wyrastając z beżowej ziemi wokół zawieszistych jezior. Wyobrażam sobie, jak lądują tu pierwsi żeglarze z Europy, szukają wody w tym piekielnym Edenie i ukradkiem idą się wysrać. Prymitywy z Liverpoolu, Rotterdamu, Hawru i Corku. Ogorzali, cali w tatuażach, wymęczeni szkorbutem, z odciskami na dłoniach, umięśnieni jak cholera i...

Nagle czuję, że jestem obserwowany.

Uczucie przemożne. Zagadkowe. Niepokojące.

Lustruję wzrokiem zbocze. Każdy kamień, krzak...

...nie. Nikogo nie ma. Tylko... Tylko co?

Chcę wrócić do samego początku.

*

Na następnej krzyżówce skręcam i jadę dalej drogą do latarni morskiej. Żadna z niej odziana w barwne pasy królowa skał – klocowata latarnia Rottnest wygląda jak środkowy palec wystający ze skalistego wzniesienia, burczący: „Trzy ci w cztery”. Co chwila pojawia się przede mną pod jakimś dziwnym kątem i w nieodpowiedniej wielkości, ale nie pozwala mi do siebie dotrzeć. W *Po drugiej stronie lustra* jest jeden pagórek, który zachowuje się tak samo, aż Alicja przestaje starać się do niego trafić – może ja też tak spróbuję. O czym by tu podumać, żeby odwrócić myśli?

O Richardzie Cheesemanie, a o kim innym? Chciałem tylko narobić mu trochę smrodu. Wyobrażałem sobie, że go potrzymany przez kilka godzin na Heathrow, przez ten czas jego prawnicy będą się uwijać jak w ukropie, a w końcu mocno spokorniały Cheeseman wyjdzie za kaucją. I tyle. Niby jak mogłem przewidzieć, że brytyjska i kolumbijska policja będą akurat przeżywać rzadki okres współpracy, w konsekwencji czego biedny Richard zostanie aresztowany na międzynarodowym lotnisku w Bogocie, jeszcze przed wylotem z Kolumbii.

„Z łatwością mogłeś to przewidzieć”, odpowiada moje sumienie. I owszem, drogi czytelniku, bardzo żałuję swoich postępków i zamierzam je odpokutować. Z siostrą Richarda, Maggie, założyłem Towarzystwo Przyjaciół Richarda Cheesemana, żeby o jego losie nie zapomniały media – i choć mój wybryk był godny pożałowania, daleko mi do pierwszej ligi Nikczemnych. Nie jestem pewnym katolickim biskupem, który przez kilkadziesiąt lat przenosił księży gwałcących chłopców z parafii do parafii, by nie przynieśli wstydu Kościołowi.

Nie jestem byłym prezydentem Syrii Baszarem al-Asadem, który zagazował tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci za samą zbrodnię mieszkania w dzielnicy kontrolowanej przez rebeliantów. Ja tylko ukarałem człowieka, który zniszczył mi reputację. Kara była nieco przesadzona. Tak, czuję się winny. Żałuję. Ale moja wina to mój krzyż. Mój własny. A moją karą jest przymus życia z tym, co zrobiłem.

W kieszeni koszuli świegocze iPhone. Muszę chwilę odpocząć, więc przystaję w cieniu głazu wielkości szopy. Niechcący upuszczam komórkę i podnoszę ją z bielonego żwiru za smyczkę z Moshi Monsters, którą przyczepiła Anaïs. O wilku mowa, to esemes od Zoë, czy też raczej zdjęcie z trzynastych urodzin Juno w domu w Montrealu. W domu, za który ja zapłaciłem, a który od rozwodu jest własnością Zoë. Stojąc za tortem w kształcie kucyka, Juno trzyma parę oficerek do konnej jazdy, za które zapłaciłem, a Anaïs robi głupią minę, trzymając kartkę z napisem *Bonjour, Papa!* Zoë wymyśliła, że pojawi się w kadrze z tyłu, przez co zastanawiam się teraz, kto stoi za obiektywem. Może ktoś z La Famille Legrange, ale Juno wspominała o jakimś gościu imieniem Jerome, rozwiedzionym bankowcu z córką jedynaczką. Nie ekscytuje mnie to, z kim się Zoë puszcza, ale mam chyba prawo wiedzieć, kto kładzie moje córki do snu, odkąd ich matka postanowiła, że już nie ja. Zoë nie załączyła do zdjęcia żadnej wiadomości, ale podtekst jest jasny: „Mamy się dobrze, dziękuję bardzo”.

Dostrzegam pięknego ptaszka na gałęzi kilka metrów ode mnie. Jest biało-czarny, ma czerwony łebek i czerwoną pierś. Zrobię mu zdjęcie i wyślę Juno z jakimiś śmiesznymi życzeniami na urodziny. Wychodzę ze skrzynki z esemesami i wciskam ikonkę aparatu fotograficznego, ale kiedy podnoszę wzrok, ptaszka już nie ma.

Kiedy Crispin Hershey w końcu dociera do latarni morskiej, stoją o nią oparte dwa rowery, co budzi w nim irytację. Zsiadam, cały lepki od potu, a krok mam obolały od siodełka. Schodzę ze słońca, które razi jak rozbłysk jądrowy, w cień latarni, gdzie – o, zajebicie, dwie kobiety kończą piknik. Młodsza ma na sobie podróbkę hawajskiej koszuli, szorty w kolorze khaki do kolan, a na policzkach, pod oczami i na czole kreski niebieskiego kremu z filtrem. Starsza, niczym Matka-Ziemia, ubrana jest w nierównomiernie farbowane szmaty, głowę chroni przed słońcem pod białym kapeluszem z opadającym rondem, ma czarne włosy, nad którymi nie potrafi zapanować, a jej twarzy prawie nie widać zza ciemnych okularów słonecznych. Młodsza zrywa się na równe nogi – to jeszcze nastolatka – i mówi:

– O rany. Dzień dobry. Crispin Hershey, prawda?

Mówi z akcentem z południowo-wschodniej Anglii.

– Tak, to ja. – Już dawno nikt mnie nie rozpoznał w okolicznościach niezwiązanych z literaturą.

– Dzień dobry. Ja mam na imię Aoife, a to... moja mama... która właściwie już kiedyś pana poznała.

Starsza z tej dwójki wstaje i zdejmuje ciemne okulary.

– Dzień dobry. Na pewno mnie pan nie pamięta, ale...

– Holly Sykes. Owszem. Poznaliśmy się w zeszłym roku w Cartagenie.

– Rany, mamo! – wykrzykuje Aoife. – Sam Crispin Hershey wie, kim jesteś. Cioci Sharon opadnie szczęka.

Dziewczyna tak bardzo przypomina mi Juno, że aż czuję lekki ból.

– Aoife. – W tonie starszej słyhać matczyną reprimendę. Bestsellerowa Stwórczyni Aniołów niezręcznie się czuje z własną sławą. – Pan Hershey na pewno szuka spokoju i oddechu od festiwalu. Zbierajmy się z powrotem, co?

Dziewczyna odpędza dłonią muchę.

– Dopiero co przyjechałyśmy, mamó. I to chyba byłoby trochę nieuprzejme. Przecież można się podzielić latarnią morską, prawda?

– Nie muszą się panie nigdzie przenosić z mojego powodu – słyszę własny głos.

– Super – mówi Aoife. – To może niech pan usiądzie... na schodku. Widziałyśmy pana już na promie na wyspę, ale mama powiedziała, żeby panu nie przeszkadzać, bo wygląda pan na padniętego.

Stwórczyni Aniołów ewidentnie stara się mnie unikać. Bardzo chamski byłem dla niej na przyjęciu w prezydenckiej willi?

– Strefy czasowe nie znają litości dla ciała.

– No właśnie. – Aoife wachluje się czapką. – Dlatego Australii i Nowej Zelandii nie grozi inwazja. Każda obca armia dotarłaby do połowy plaży, poczuła różnicę czasu i – aaa! – zwałiby się w piasek i koniec, po inwazji. Przykro mi, że nie byliśmy na pana spotkaniu z czytelnikami.

Myślę o Aprrze Booth.

– Niepotrzebnie. Czyli – zwracam się do jej matki – pani też występuje na Festiwalu Pisarzy?

Holly Sykes kiwa głową, popijając wodę z butelki.

– Aoife robi sobie poniekąd rok przerwy od studiów, jest w Sydney, więc wyprawa do Perth była jakby po drodze.

– Moja współlokatorka w Sydney jest z Perth – dodaje Aoife – i ciągle mówi: „Jak będziesz w Perth, musisz pojechać na Rotto”.

Przez nastolatki czuję się bardzo staro.

– „Na Rotto”?

– Tutaj. Rotto czyli Rottnest Island. Fremantle to „Freo”. „Afternoon” to „arvo”. Australijczycy niezłe mają te skróty, prawda?

„Nie” – odpowiedziałbym zwykle – „jakieś gaworzenie dla dorosłych”. Ale z drugiej strony, gdzież byłaby ludzkość bez młodości?

Gdzież byłby język bez neologizmów? Bylibyśmy Struldruggami[11], mówiącymi językiem Chaucera.

– Może morelę? – Aoife podsuwa mi papierową torebkę.

*

Mój język rozgniata o podniebienie kolejny aromatyczny owoc. Wyrzucam pestki moreli i myślę o matce Jacka, która wyrzucała nasiona fasoli, a rano wyrastały z nich lodygi.

– Dojrzałe morele mają smak dokładnie taki, jaki zapowiada ich kolor.

– Mówi pan jak prawdziwy pisarz – stwierdza Aoife. – Wujek Brendan ciągle żartuje sobie z mamy, że teraz, kiedy już jest sławną pisarką, powinna wysławiać się bardziej fifą-didą, a nie tylko „stul się, bo jak cię dźwianknę...”.

Holly Sykes żywo protestuje:

– Nigdy tak nie mówię!

Brakuje mi Juno i Anaïs, i ich droczenia się ze mną.

– A co to znaczy, Aoife, „poniekąd przerwa od studiów”?

– Od września zaczynam studia na archeologii w Manchesterze, ale australijska wydawczyni mamy zna profesora archeologii z Sydney, więc w tym semestrze mogę chodzić do niego na wykłady w zamian za pomoc przy projekcie w Parramatta. Była tam fabryka, w której pracowały więźniarki. To niesamowite przeżycie, tak składać po kawałku ich życie.

– Brzmi fascynująco – mówię Aoife. – Twój tata jest może archeologiem?

– Tata był dziennikarzem. Korespondentem zagranicznym.

– A co robi – za późno dociera do mnie „był” – teraz?

– Na jego hotel spadł pocisk. W Homs w Syrii.

Kiwam głową.

– Przepraszam za niezręczność. Obie panie proszę o wybaczenie.

– To było osiem lat temu – uspokaja mnie Holly Sykes – i...

– ...i jestem szczęściarą – uspokaja mnie Aoife – bo na YouTube jest masa wywiadów z tatą, więc mogę sobie wejść w Internet i go mam, gada sobie, jak żywy. Uwielbiam go tak słuchać godzinami.

Mój ojciec też jest na YouTube, ale kiedy go oglądam, wydaje mi się jeszcze bardziej nieżywy. Pytam Aoife:

– Jak się nazywał twój tata?

– Ed Brubeck. Ja też mam tak na nazwisko. Aoife Brubeck.

– Ten Ed Brubeck? Reporter ze „Spyglassa”?

– Ten sam – odpowiada Holly Sykes. – Czytał pan teksty Eda?

– Poznałem go osobiście! Kiedy to było? W Waszyngtonie, w dwa tysiące drugim? Mój eks-szwagier był członkiem kapituły nagrody Sheehana-Dowera. W tamtym roku zdobył ją Ed. Ja akurat miałem w Waszyngtonie spotkania z czytelnikami, więc zjedliśmy razem kolację.

Aoife pyta:

– O czym rozmawiał pan z tatą?

– Och, o wszystkim. O jego pracy. O jedenastym września. O strachu. O polityce. O wózku dziecięcym w jego przedpokoju. O ile dobrze pamiętam, miał w Londynie czteroletnią córkę. – Cała twarz Aoife rozpromienia się w uśmiechu. – Pracowałem akurat nad postacią dziennikarza, więc Ed cierpliwie odpowiadał na moje pytania. Potem pisywaliśmy czasem do siebie maile. Kiedy usłyszałem o Syrii... – Robię głęboki wydech. – Spóźnione wyrazy współczucia dla obu pań. Jeśli mają dziś jakiegokolwiek znaczenie. Był świetnym, fantastycznym reporterem.

– Dziękuję – mówi jedna.

– Dzięki – mówi druga.

Patrzemy w dal, na jedenaście mil morza nieustannie oranego przez promy.

Ciemne drapacze chmur rysują się wyraźną linią na tle jasnego nieba nad Perth.

Dwadzieścia kroków od nas średniej wielkości ssak, którego nie potrafię zidentyfikować, wybiega ciężko z zarośli na zboczu wzgórza. Grubiutki jak walabia, rudobrązowy, ma lisi pysk wombata, a przednie łapy jak u kangura. Jęzorem w kształcie palca zbiera pestki moreli, mlaskając i siorbiąc.

– Dobry Boże. A co to takiego?

– To śliczne dziewczę? To kuoka – wyjaśnia Aoife.

– Co to takiego „kuoka”? Oprócz tego, że sporo punktów w Scrabble.

– Torbacz zagrożony wyginięciem. Pierwsi Holendrzy, którzy przybili tutaj do brzegu, myśleli, że to ogromne szczury, dlatego nazwali to miejsce Rat’s Nest Island, Rottnest po holendersku. Psy i szczury zagryzły już większość kuok w Australii kontynentalnej, ale tutaj, na wyspie, udało im się przetrwać.

– Jeśli nie uda ci się z archeologią, zawsze zostaje jeszcze historia naturalna.

Aoife się uśmiecha:

– Kuoki wyszukałam pięć minut temu na Wikipedii.

– Chyba lubią morele? – pytam. – Została mi jedna, rozgnieciona.

Holly patrzy na nas bez przekonania.

– A co z prośbą, żeby nie karmić zwierząt?

– Przecież nie wpychamy w nie snickersów, mamo.

– A poza tym – dodaję – jeśli są zagrożone wyginięciem, potrzebują dużo witaminy C.

Rzucam rozgnieconą morelę, która upada kilka stóp od zwierzaka. Kuoka podchodzi do niej, kołysząc się jak kaczką, wacha, wtrąca całą, po czym patrzy na nas.

– „Tak bardzo pana proszę” – Aoife udaje drżący głos Olivera Twista – „mogę dostać jeszcze trochę?”. Boże, jaki słodziak. Muszę zrobić jej zdjęcie.

– Nie podchodź za blisko, kochanie – ostrzega ją matka. – To jednak dzikie zwierzę.

– Mam cię! – Aoife schodzi po zboczu z telefonem w wyciągniętej dłoni.

– Bardzo dobrze ułożona dziewczyna – mówię jej matce cicho.

Holly Sykes spogląda na mnie, a wokół jej oczu widzę ślady niełatwego życia. Gdyby tylko nie napisała bełkotu o aniołach dla łatwowiernych idiotek rozczarowanych własnym losem, moglibyśmy się zaprzyjaźnić. Całkiem możliwe, że Holly Sykes wie o moich córkach i o rozwodzie – sława eks-Enfant Terrible Brytyjskiej Literatury może nie wystarczać, żeby jego książki się sprzedawały, ale za to Zoë zrobiła dodatkowe wielkie halo wywiadem „Nie dam się pokonać” dla „Sunday Telegraph”, który przyniósł światu niezwykle jednostronną wersję naszych problemów. Przyglądamy się, jak Aoife karmi kuokę, a wszędzie wokół bielone słońcem stoki Rottnest Island bzyczą i brzęczą od owadów, jakby coś dzwoniło mi w uszach. Po piachu przebiega jaszczurka i...

Wrażenie, że ktoś mnie obserwuje, powraca, z jeszcze przemożniejszą siłą. Nie jesteśmy tu jedyni. Oprócz nas są tutaj tysiące ludzi. Tuż obok. Mógłbym przysiąc.

Od pnia akacji do rozłożystego krzaka i do tego głazu wielkości szopy... Nikogo nie ma.

– Też ich pan wyczuwa? – Holly Sykes obserwuje mnie. – To miejsce jest jak studnia pełna echa...

Jeśli powiem „tak”, potwierdzę również istnienie całego jej odjechanego, pozaempirycznego świata. Jeśli powiem „tak”, to jak mam równocześnie odmawiać wiary w leczenie kryształami, terapię

przeszłego życia, w Atlantyde, w reiki i homeopatię? Problem w tym, że ona ma rację. Ja ich naprawdę wyczuwam. To miejsce jest... Jakie są synonimy słowa „nawiedzone”, panie pisarzu? W gardle całkiem mi zaschło. W butelce nie mam już ani kropli wody.

W dole błękitne fale rozbijają się o skały. Sekundę później słyszę ich huk, stłumiony, cichy. Nieco dalej na morzu zabawiają się surferzy.

– Przywleczono ich tu zakutych w łańcuchy – mówi Holly Sykes.

– Kogo?

– Noongarów. Tę wyspę nazywali Wadjemup. To znaczy „Miejsce za wodą”. – Holly Sykes kręci głową. – Dla ludu Noongarów ziemia nie mogła należeć do nikogo. Podobnie jak do nikogo nie mogły należeć pory roku albo czas. Co ziemia dała, ludzie dzielili między sobą.

Holly Sykes zaczyna brzmieć coraz bardziej jednostajnie i potyka się na słowach, jakby nie mówiła od siebie, tylko tłumaczyła jakiś zawiły tekst. Albo jakby powtarzała za jakimś jednym głosem, wybranym spośród ryczącego tłumu.

– Nadeszli *djanga*. Myśleliśmy, że to zmarli powrócili. Że po śmierci zapomnieli naszej mowy, więc ćwierkają jak ptaki. Najpierw przyszło tylko kilku. Ich kanu były wielkie jak góry, ale puste w środku, jak olbrzymie pływające domy z wieloma, wieloma pokojami. Potem było więcej statków, coraz więcej i więcej, a każdy wypluwał więcej i więcej *djanga*. Grodzili ziemię płotami, znaczyli kręte szlaki na mapach, sprowadzili owce, szukali w ziemi metali. Strzelali do naszych zwierząt, ale gdy my zabijaliśmy ich zwierzęta, ścigali nas, tępili jak robactwo i zabierali nasze kobiety...

To przedstawienie w zasadzie powinno być śmieszne. Ale kiedy oglądam je na żywo i z bliska, i widzę, jak na jej skroni pulsuje żyłka, nie wiem, co mam o tym myśleć.

– To jakieś nowe opowiadanie, Holly? Pracuje pani nad nim?

– Za późno pojęliśmy, że *djanga* nie byli zmarłymi Noongarów, którzy

powstali z martwych. To byli Biali. – Głos Holly zaczyna słabnąć. Niektóre słowa są niewyraźne lub w ogóle ich brakuje. – Biali zrobili z Wadjemup więzienie dla ludu Noongarów. Za wypalanie buszu, co robiliśmy od pradziejów, Biali wsadzają nas na statek na Wadjemup. Za walkę z Białymi Biali wsadzają nas na statek na Wadjemup. Kajdany. Ciemnica. Zimny karcer. Rozżarzona cela. Całe lata. Razy, baty. Katorga. Ale najgorsze, że nasze dusze nie potrafią przepływać przez morze. Więc kiedy więzienna łódź zabiera nas z Fremantle, wydiera nam duszę z ciała. Potworny żart. Więc kiedy przyływamy na Wadjemup, my, Noongarowie, padamy jak muchy.

Teraz zgaduję już co czwarte słowo. Źrenice Holly Sykes zwężyły się do punkcików wielkości kropek na końcu zdania. Nie wygląda to dobrze.

– Holly?

Co powinienem teraz zrobić według zasad pierwszej pomocy? Ona chyba teraz nic nie widzi. Zaczyna znowu mówić, ale niewiele z jej słów jest po angielsku. Wyłapuję „księdza”, „strzelbę”, „szubienicę” i „pływać”. Nie mam pojęcia o językach Aborygenów, ale to, co ciśnie się teraz na usta Holly Sykes, to z całą pewnością nie francuski, nie niemiecki, hiszpański ani łacina. Nagle Holly Sykes gwałtownie odrzuca głowę w tył i uderza nią o ścianę latarni morskiej, a mnie przez myśl przebiega słowo „epilepsja”. Chwytam mocno jej głowę, tak żeby przy ewentualnym następnym uderzeniu chroniła ją moja dłoń. Odwracam się i, mocno przyciskając jej głowę do mojej piersi, wrzeszczę:

– Aoife!

Dziewczyna wychodzi z za drzew, spłoszone kuoki rozbiegają się, a ja wołam:

– Twoja mama ma atak!

Kilka przerażających sekund później Aoife jest już przy mnie i

podtrzymuje głowę matki. Mówi do niej ostrym tonem:

– Mamó! Przestań! Wracaj już! Mamó!

Chrapliwy, urywany pomruk wydobywa się głęboko z gardła Holly.

Aoife pyta:

– Jak długo już ma takie oczy?

– Minutę? Może mniej. To epilepsja?

– Najgorsze już minęło. Nie, to nie epilepsja. Przestała mówić, więc teraz nic nie słyszy i – o kurde – to krew?

Moja dłoń jest lepka i czerwona.

– Uderzyła się o ścianę.

Aoife krzywi się i bada głowę matki.

– Będzie miała guza jak trzeba. Ale widzi pan? Jej oczy już robią się normalne.

Rzeczywiście, źrenice Holly rozszerzają się od kropek do swojej normalnej wielkości.

– Z twojego zachowania wnioskuję, że to się już wcześniej zdarzało – zauważam.

– Kilka razy – odpowiada Aoife, ale wiem, że to niedomówienie. – Nie czytał pan *Ludzi z radia*, prawda?

Zanim mam czas odpowiedzieć, Holly Sykes mruga i odnajduje nas wzrokiem.

– Rany boskie, znowu miałam atak?

Zaniepokojonym, pełnym matczynej troski tonem Aoife tłumaczy:

– Dobrze, że do nas wróciłaś.

Holly nadal jest blada jak papier.

– Co ja zrobiłam sobie w głowę?

– Pan Crispin mówi, że usiłowałaś wgnieść ścianę latarni.

Holly kuli się w sobie.

– Słuchał pan tego wszystkiego?

– Trudno było nie słuchać. Z początku. Ale potem... to, co pani

mówiła, raczej nie było po angielsku. Nie jestem ratownikiem medycznym, boję się jednak, że może mieć pani wstrząśnienie mózgu. Chyba nie powinna pani zjeżdżać z powrotem rowerem po stromej, krętej drodze. To nie najlepszy pomysł, nie teraz. Mam tu numer alarmowy z wypożyczalni rowerów. Zadzwoń, żeby przysłali po panią pogotowie, niech pani wróci karetką. Naprawdę dobrze pani radzę.

Holly patrzy na Aoife, która mówi:

– Proszę, zgódź się. – I ściska mamę za ramię.

Holly podnosi się do pozycji siedzącej.

– Musi pan myśleć o mnie Bóg wie co.

Czy to ważne? Wystukuję numer, a rozprasza mnie przy tym mały ptaszek, który woła: „popatrz, popatrz, popatrz”...

*

Pięćdziesiąty raz Holly jęczy:

– Tak mi potwornie głupio.

Prom wpływa do portu we Fremantle.

– Niech już pani wreszcie przestanie.

– Ale czuję się idiotycznie. Przeze mnie wcześniej wraca pan z Rottneest.

– I tak wracałbym tym promem. Nad Rottneest ciąży przekleństwo, zła karma. A te wszystkie eleganckie galerie ze sztuką Aborygenów zaczęły mi odbierać chęć do życia. To tak, jakby Niemcy postawili w Buchenwaldzie stragan ze specjałami kuchni żydowskiej.

– Znowu mówi pan jak pisarz. – Aoife kończy lizać loda.

– Pisanie to patologia – stwierdzam. – Przestałbym pisać z miejsca, gdybym tylko potrafił.

Silniki promu warczą i cichną. Pasażerowie zbierają swoje manatki,

wyjmują wtyczki słuchawek i szukają dzieci. Dzwoni komórka Holly.

– To znajoma, która ma nas odebrać. Przepraszam na chwilę.

Kiedy rozmawia przez telefon, sprawdzam, czy czasem nie mam jakichś nowych esemesów. Ale nie, nic od czasu zdjęcia z urodzinowego przyjęcia Juno. Nasze internacjonalne małżeństwo kiedyś było skarbnicą fascynujących odkryć i osobliwości, ale transgraniczny rozwód to nie jest impreza dla osób o słabym sercu. Przez pokryte mgiełką kropel okno patrzę, jak gibcy młodzi Australijczycy skaczą z dzioba na nabrzeże i motają liny wokół pomalowanych stalowych knag.

– Znajoma ma na nas czekać wewnątrz terminalu. – Holly odkłada telefon. – Możemy podwieźć pana do hotelu, jeżeli pan chce.

Nie mam już siły na wycieczkę krajoznawczą po Perth.

– Tak, proszę.

Schodzimy po trapie na betonowe nabrzeże, gdzie moje nogi muszą się dopiero przyzwyczać do *terrae firmae*. Aoife macha do jakieś kobiety, która z kolei macha do nas, ale nie rejestruję, kim jest. Przyglądam jej się dopiero, kiedy do niej podchodzimy.

– Crispin, dzień dobry – mówi jakby mnie znała.

– No jasne – przypomina sobie Holly. – Przecież poznaliście się w Kolumbii.

– Crispin pewnie mnie nie pamięta. – Kobieta się uśmiecha.

– Ależ skąd. Carmen Salvat, pamiętam doskonale – odpowiadam. – Co za spotkanie.

11 Struldbuggowie – jeden z ludów odwiedzanych w *Podróżach Guliwera* J. Swifta. Gdy Struldbuggowie kończyli trzydzieści lat, dopadały ich choroby, starość i wieczne przygnębienie (przyp. tłum.).

20 sierpnia 2018

Po wyjściu z klimatyzowanego lobby hotelu Shanghai Mandarin natychmiast przywiera do nas gęsty upał i uwielbienie flash-mobu. Jeszcze nigdy nie widziałem takiego oddania u fanów pisarza. Tym bardziej żałuję, że to nie ja nim jestem. Kiedy tłum dostrzega swojego idola, ryczy „Niiiiick!”. Nick Greek, straż przednia naszego dwuosobowego konwoju, mieszka w Szanghaju od marca, uczy się kantońskiego i zbiera materiały do nowej powieści o wojnach opiumowych. Hal Hiena dogadał się z lokalnym agentem i teraz ćwierć miliona chińskich czytelników śledzi Nicka Greeka na Weibo. Przy lunchu Nick wspomniał, że odrzucił kilka propozycji od agencji modeli. No żeż kurwa mać. „To takie krępujące” – powiedział skromnie. – „No bo co by sobie pomyślał Steinbeck?”. Zmuszam się do uśmiechu, rozmyślając, że Skromność to kuta na cztery nogi przyrodnia siostra Próżności. Barczyści ochroniarze z targów książki muszą torować drogę przez tłum kruczowłosych chińskich fanek na wydaniu, taszczących ze sobą ciężkie tomy. „Niiiiick! Podpisz, proszę, proszę, podpisz!”. Niektóre wymachują kolorowymi fotografiami Nicka w formacie A4, żeby młody Amerykanin nabazgrał na nich własny autograf. No na litość boską. „To amerykański imperialista!” – chcę krzyknąć. „Zapomniałyście o Dalajlamie na trawniku przed Białym Domem?”. We dwoje z panią Li, moją elfiną z British Council, podążamy za nim, szczęśliwie nieniepokojeni. Jeżeli pojawię się na jakimś zdjęciu, wezmą mnie za jego ojca. I wiesz, co, drogi czytelniku? Niech sobie biorą. Niech Nick Greek cieszy się sławą, póki może. Za sześć tygodni Carmen i ja będziemy już mieszkali w wymarzonym apartamencie z widokiem na madrycką Plaza de la

Villa. Kiedy mój kumpel Ewan Rice go zobaczy, będzie tak kurewsko zazdrosny, że chyba pęknie z głośnym hukiem i zostanie z niego tylko zielona chmura zarodników, chociaż to on zdobył dwukrotnie Brittan Prize. Gdy się już wprowadzimy, będę mógł po równo dzielić czas między Londyn i Madryt. Hiszpańska kuchnia, tanie wino, słońce, na którym zawsze można polegać, i miłość. Miłość. Przez te wszystkie zmarnowane z Zoë najpiękniejsze lata mojego życia, zapomniałem, jak cudownie jest kochać i być kochanym. Przecież poza wszystkim, czym jest ulotna sława wobec miłości dobrej kobiety?

No właśnie. Ciebie pytam.

Pani Li prowadzi mnie w samo serce Targów Książki w Szanghaju, gdzie wielkie audytorium czeka na głównych bohaterów – magnatów światowej branży wydawniczej. Wyobrażam sobie, że przewodniczący Mao w tej właśnie sali w latach pięćdziesiątych ogłaszał swoje jakże głęboko przemyślane dyktaty ekonomiczne. Z tego co wiem, ogłaszał. Dzisiaj po południu scena zarosła dżunglą orchidei, nad którą unosi się dziesięciometrowa powiększona blond głowa i amerykański tors Nicka Greeka. Pani Li wyprowadza mnie przez drzwi w drugim końcu wielkiego audytorium i idziemy dalej do miejsca mojego spotkania z czytelnikami, chociaż pani Li musi pytać kilka osób o drogę. W końcu znajduje moją salkę na poziomie minus 1. Zrobiono ją chyba, przebijając ścianki w rzędzie schowków na szczotki. Stoi tam jakieś trzydzieści krzeseł, ale tylko siedem z nich jest zajętych, nie licząc mojego. Na pozostałych zajętych krzesłach siedzą: moja uśmiechnięta rozmówczyni, która przeprowadzi ze mną wywiad, bynajmniej nieuśmiechnięta tłumaczka, podenerwowana pani Li, mój przyjacielski wydawca Fang w podkoszulku Black Sabbath, dwaj młodzieńcy z identyfikatorami Szanghajskich Targów Książki na szyi oraz dziewczę, jak to się kiedyś mówiło, pochodzenia euroazjatyckiego. Dziewczę jest niskie, wygląda jak chłopak, ma

okulary kujona i wygoloną głowę – styl „na elektrowstrząsy”. Nad naszymi głowami buczący wentylator miele upał, jarzeniówka miga, a ściany są w plamach i zaciekach, jak wewnątrz nigdy nieczyszczonego piekarnika. Nie mam wątpliwości, że British Council prowadzi czarną listę krnąbrnych pisarzy.

Moja rozmówczyni dziękuje wszystkim po chińsku za przybycie i czyni, jak się orientuję, krótkie wprowadzenie. Następnie ja odczytuję fragment *Niech ucichnie echo*, a na ekranie za mną pojawia się wyświetlane tłumaczenie tekstu na mandaryński. Fragment, który odczytuję, to ten sam, który czytałem w Hay-on-Wye trzy lata temu. Ja pierdołę, to już trzy lata, odkąd cokolwiek wydałem? Nie wydaje się raczej, że zabawne eskapady Trevora Upwarda na dachu pociągu Eurostar aż tak rozbawiają zebrane grono. Czyżby moją satyrę przetłumaczono na klasyczną tragedię? Czy też może dowcip Hersheya zatrzymała straż graniczna na linii demarkacyjnej języków? Kiedy kończę czytać, dzielnie wytrzymuję odgłos klaskania czternastu dłoni, siadam i biorę łyk ze szklanki z gazowaną wodą. Strasznie chce mi się pić. Woda jest prawie bez gazu i ma posmak drożdży. Mam nadzieję, że nie pochodzi z szanghajskiego kranu. Moja rozmówczyni uśmiecha się, dziękuje po angielsku i zadaje mi te same pytania, które słyszę od kilku dni, odkąd wylądowałem w Pekinie: „W jaki sposób twórczość pańskiego sławnego ojca wpływa na pańskie powieści?”; „Dlaczego *Suszone embriony* mają symetryczną strukturę?”; „Jakie prawdy powinien odnaleźć w pańskich książkach chiński czytelnik?”. Odpowiadam tak samo jak za każdym razem od kilku dni, odkąd wylądowałem w Pekinie, a moja pająkowata, bynajmniej nieuśmiechnięta tłumaczka, która już wczoraj kilkakrotnie przekładała moje odpowiedzi, tłumaczy je teraz na chiński bez najmniejszego problemu. Zauważam, że dziewczę od elektrowstrząsów robi notatki. Następnie rozmówczyni pyta:

– Czytuje pan recenzje swoich książek?

Co ponownie kieruje moje myśli ku Richardowi Cheesemanowi, a one rozbijają się z hukiem o nieszczęsną wizytę w Bogocie w zeszłym tygodniu, po czym kompletnie wypadają z toru...

*

Niech to miękki chuj. To była przygnębiająca wizyta, drogi czytelniku. Dominic Fitzsimmons od miesiący uruchamiał przeróżne kontakty, żeby załatwić nam – mnie i siostrze Richarda, Maggie – spotkanie z odpowiednikiem Fitzsimmonsa w kolumbijskim ministerstwie sprawiedliwości, żebyśmy mogli omówić z kimś warunki repatriacji – tylko po to, żeby rzeczony dygnitarz w ostatniej chwili okazał się „nieosiągalny”. Zastąpił go jakiś jego młody podwładny, który praktycznie potykał się o własną pępowinę. Spotkanie trwało dwadzieścia siedem minut, w którym to czasie non stop odbierał telefony, dwa razy zwrócił się do mnie per „Meester Cheeseman”, a o Richardzie mówił „osadzony ‘Earshey’”. Kurwa, strata czasu. Następnego dnia odwiedziliśmy biednego Richarda w Penitencjarza Bogotą. Potwornie schudł, cierpi na półpasiec, hemoroidy, depresję i wypadają mu włosy, ale na dwa tysiące więźniów jest tylko jeden lekarz, a w przypadku zamożnego osadzonego z Europy pocziwy doktor żąda pięciuset dolarów za konsultację. Richard poprosił, żebyśmy przywieźli mu książki, papier i ołówki, ale nie chciał, jak proponowałem, żebyśmy przywozili mu laptopa ani iPada, bo strażnicy by zaraz rąbnęli. „To znak, że jesteś bogaty”, wyjaśnił, łamiącym się głosem, „a kiedy wiedzą, że jesteś bogaty, zmuszają cię do kupna ubezpieczenia”. Więzieniem rządzą gangi, które kontrolują wewnętrzny handel narkotykami. „Nie martw się, Maggie”, uspokajał Richard siostrę. „Ja tego nie tykam. Tu igły są

wspólne, do towaru dosypują pudru, a kiedy już masz u nich dług, orientujesz się, że zaprzedałeś im duszę. To by zaprzepaściło moje szanse na apelację”. Maggie dzielnie się trzymała ze względu na brata, ale kiedy tylko wyszliśmy za bramę więzienia, załapała się łzami i płakała bez końca. A ja czułem się tak, jakby sumienie przeszył mi strzał z paralizatora. Nadal tak się czuję.

Ale nie mogę stanąć na jego miejscu. To by mnie zabiło.

– Panie Hershey? – Pani Li wygląda na zaniepokojoną. – Wszystko w porządku?

Mrugam szybko i wzrok mi trzeźwieje. Szanghaj. Targi książki.

– Tak, tak, ja tylko... Przepraszam, ehm, tak... Czy czytuję recenzje swoich książek? Nie. Już nie. Recenzje prowadzą mnie w miejsca, których nie chcę odwiedzać.

Kiedy moja tłumaczka zabiera się do pracy nad tym zdaniem, zauważam, że publiczność skurczyła się do sześciu osób. Dziewczyna od elektrowstrząsów zdążyła się wymknąć.

*

Szanghajski Bund ma wiele oblicz: to pas nabrzeża z architekturą z lat trzydziestych i paroma bogato zdobionymi budynkami z zestawu klocków dla dorosłych; to symbol kolonialnej arogancji Zachodu; emblemat rosnącej potęgi nowoczesnych Chin; cztery pasy ruchu, przebiegającego wolno albo wcale; i promenada na skarpie wzdłuż rzeki Huangpu z płynącą whitmanowską masą turystów, rodzin, par, sprzedawców, złodziei, samotnych pisarzy, warczących dilerów narkotyków i alfonsów:

– Hey, mister, want drug, want sex? Blisko, blisko, piękne dziewczyny.

Crispin Hershey odpowiada:

– Nie. – Nasz bohater nie tylko jest teraz lojalnym konkubentem, ale obawia się również, że z zszanghajowania go w szanghajskim burdelu wynikłaby afera godna Homera, i to w złym znaczeniu tych słów.

Słońce rozpada się w wieczorze, a drapacze chmur nad rzeką rozpoczynają proces fluorescencji: jest tu gigantyczny otwieracz do kapsli, wielka rakieta międzygwiazdna z lat dwudziestych i przedramzesowy obelisk, plus drugoplanowa obsada zaledwie czterdziesto-, pięćdziesięcio-, sześćdziesięciopiętrowych budynków, zgrupowanych w pionie, jak w grze w Tetris, której wynik jest już przesądzony. Nick Greek opowiadał, że w czasach Mao na Pudongu były tylko słone błota, za to dzisiaj człowiek rozgląda się tu za lewitującymi samochodami z silnikiem odrzutowym. Kiedy byłem chłopcem, synonimem nowoczesności były Stany Zjednoczone. Dzisiaj nowoczesność jest tutaj. Idę więc dalej, wyobrażając sobie przeszłość: dżonki z lampionami, kołyszące się z przyływem i odpływem morza; upiorną gmatwaninę masztów i lin, jęk kadłubów, które powstały na stołach kreślarzy w Glasgow, Hamburgu i Marsylii; twardych, żylastych dokerów, rozładowujących opium i załadowujących herbatę; kropkowane linie bombowców Zero, zrównujących miasto z ziemią; pociski, miliony pocisków, pociski z Chicago, pociski z Fukuoki, pociski ze Stalingradu, *ratatat-tat-tat-tat*. Jeżeli miasta mają aurę, podobnie jak według Zoë bezwzględnie mają ją ludzie „z otwartą czakrą”, to aura Szanghaju ma kolor pieniędzy i władzy. E-maile z Szanghaju mają moc zamykania fabryk w Detroit, ogołacania Australii z rudy żelaza, ograbiania Zimbabwe z rogów nosorożca, szprycowania Dow Jonesa albo sterydami, albo strumieniem gówna.

Dzwoni mój telefon. Cudownie. Ulubiona osoba.

– Bądź pozdrowione, oblicze, co tysiąc okrętów wysłało[12].

– Wariat. Jak tam Tajemniczy Orient?

- Szanghaj robi wrażenie, ale brakuje mu Carmen Salvat.
- A jak Międzynarodowe Targi Książki?
- A, stara nuda. Sporo ludzi przyszło na spotkanie ze mną.
- Super! Czyli dałeś popalić Nickowi?
- „Dla ciebie Nickowi Greekowi”, warczy we mnie potwór zazdrości.
- Nie ścigamy się ze sobą, to nie zawody.
- Dobrze, że tak do tego podchodzisz. Holly już się zjawiała?
- Nie, jej samolot przylatuje jakoś później. W każdym razie wyrwałem się z hotelu na Bund. Właśnie tu jestem, oglądam drapacze chmur.
- Niesamowite są, prawda? Już się świecą?
- Świecą. Błyszczą jak *Lucy and the Sky and Diamonds*. Więc mój dzień wyglądał z grubsza właśnie tak. A twój?
- Spotkanie w sprawach sprzedaży z nerwowym działem sprzedaży, spotkanie w sprawach ilustracji z nerwowym drukarzem, a teraz spotkanie przy lunchu z nerwowymi księgarzami. A potem, do piątej – zebranie kryzysowe.
- Cudownie. Jakież wieści od agenta nieruchomości?
- Ta-ak. Mówi, że apartament może być nasz, jeżeli...
- Skarbie! Fantastycznie! Zajmę się...
- Crisp, posłuchaj. Nie jestem już do tego aż tak przekonana... Schodzę z drogi przed oddziałem roześmianych chińskich punków w pełnym rynsztunku.
- Do apartamentu przy Plaza de la Villa? Był zdecydowanie najlepszy z tych, które oglądaliśmy. Mnóstwo światła, miejsce na mój gabinet, względnie w naszym zasięgu cenowym. I błagam – kiedy podniesiemy rano żaluzje, będzie jak w powieści Péreza-Reverte. Nie rozumiem, co ci się przestało podobać?
- Moja kobieta-wydawczyni starannie dobiera słowa.
- Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo jednak potrzebuję

mieszkania, które jest moje własne. Moje mieszkanko tutaj to mój mały azyl. Lubię tę dzielnicę, lubię sąsiadów...

– Ale, Carmen, twój własny mały azyl jest mały. Jeżeli mam dzielić czas między Londyn i Madryt, potrzebujemy czegoś większego.

– Wiem... Tylko wydaje mi się, że trochę za bardzo się z tym śpieszymy.

Czuję, że uginają się pode mną kolana.

– Od Perth minęło już półtora roku.

– Nie chcę się z tobą rozstawać, Crispin, naprawdę. Po prostu... – Wieczór w Szanghaju nagle robi się chłodniejszy. – Ja tylko... chcę, żeby na razie między nami było jak dotąd, to wszystko.

Każdy, kogo widzę, wydaje się połową zakochanej pary. Pamiętam to „nie chcę się z tobą rozstawać, Crispin” z epoki przed Zoë, kiedy stanowiło sygnał początku rozstań. Przez szparę w drzwiach mojej wyobraźni warczy rozżalenie, podpowiadając mi: „Carmen, zdecyduj się, do bladej kurwy!"; „Czy wiesz, ile pieniędzy tracimy na bilety lotnicze?"; a nawet: „Poznałaś kogoś? Jakiegoś Hiszpana? Kogoś bardziej w twoim wieku?”.

Mówię:

– Dobrze.

Carmen słucha długiego milczenia.

– Dobrze?

– Jestem rozczarowany, ale tylko dlatego, że nie stać mnie na kupno jakiegoś mieszkania blisko ciebie, żebyśmy mogli powołać naszą własną Hanzę Małych Mieszkanek. Ale może będzie mnie stać, jeśli spadnie mi z nieba jakiś kontrakt na ekranizację *Niech ucichnie echo*. Posłuchaj, zapłacisz fortunę za ten telefon. Idź i uspokajaj swoich księgarzy.

– Ale nadal mogę przyjechać do Hampstead w przyszłym tygodniu?

– Zawsze możesz przyjechać do Hampstead. W każdym tygodniu.

Carmen uśmiecha się w swoim biurze w Madrycie, a ja cieszę się, że nie posłuchałem warczenia przez szparę w drzwiach.

– Dziękuję, Crispin. Uściskaj ode mnie Holly, jeśli się z nią spotkasz. Ona bardzo liczy na to spotkanie. A jeżeli ktoś będzie cię częstował smażonym durianem, absolutnie nie jedz! No dobrze, to pa, Kocham cię.

– Ja też cię Kocham. – Koniec rozmowy. Czy używamy słowa na „k”, bo naprawdę tak właśnie czujemy, czy też chcemy sami siebie oszukiwać, że ciągle przeżywamy ten błogi stan?

*

Po powrocie do pokoju na osiemnastym piętrze hotelu, Crispin Hershey zmywa z siebie pod prysznicem lepkość dnia i rzuca się na wznak na śnieżnobiałe łóżko, odziany w bokserki i podkoszulek ze słynnym cytatem Becketta „Przegrywaj lepiej”, którą dostałem w Santa Fe. Kolacja w restauracji z obrotowymi stołami stanowiła spotkanie pisarzy, wydawców, właścicieli zagranicznych księgarni i ludzi z British Council. Nick Greek był tego wieczoru niezwykle elokwentny, a ja wyobrażałem sobie, że spektakularnie umiera, z twarzą w wielkim półmisku glazurowanej kaczki z korzeniem lotosu i kielkami bambusa. Z mroku wyłoniłby się Herkules Poirot, by powiedzieć nam, kto i dlaczego otruł wschodzącą gwiazdę literatury. W oczywisty sposób podejrzenie padłoby na starszego pisarza, którym mogłaby powodować zazdrość, ale właśnie z tego powodu to nie mógłby być on. Wpatruję się w cyfry zegara w ramce ekranu telewizora: 22:17. Myślę o Carmen i stwierdzam, że jej powściągliwość w kwestii naszego mieszkania nie powinna mnie dziwić. Sygnały „końca miodowego miesiąca” już wcześniej się pojawiły. Odmówiła przyjazdu do Londynu, kiedy Juno i Anaïs przyleciały do mnie przed

miesiącem. Wizyta dziewczynek nie była spektakularnym sukcesem. W drodze z lotniska Juno oznajmiła, że konie już jej się znudziły, więc oczywiście Anaïs stwierdziła, że ona też jest już za duża na obóz konny, a ponieważ depozyt był nierefundowalny, wyraziłem niezadowolenie, może ciut za bardzo wzorując się na własnym ojcu. Pięć minut później Anaïs ryczała wniebogłosy, a Juno ze wzrokiem wbitym we własne paznokcie tłumaczyła mi: „Tak się nie da, tato, nie możesz dwudziestowiecznymi metodami wychowywać dzieci urodzonych w wieku dwudziestym pierwszym”. Musiałem wydać pięćset funtów i spędzić trzy godziny w butikach na Carnaby Street, żeby przestały wydzwaniać do matki z żądaniem przebukowania na następny dzień ich biletu powrotnego do Montrealu. Zoë w ogóle nie reaguje, kiedy Juno kwituje każde, nawet najłagodniejsze upomnienie pełnym jadu „Taa, jasne”, natomiast Anaïs zmienia zdanie w zależności od sytuacji i zachowuje się jak bezwładny ukwiał, który przechyla się tam, gdzie akurat pchną go prądy. Ich wizyta poszłaby lepiej, gdyby pomogła mi Carmen, ale ona nawet nie chciała o tym słyszeć: „Przyjechały do Londynu na wakacje u taty i nie potrzebują macochy, która będzie im mówiła, co mają robić”. Przyznałem, że ja bardzo kochałem moją macochę. Na co Carmen odparła, że po przeczytaniu moich wspomnień o ojcu raczej rozumie dlaczego. Zręczna zmiana tematu.

Czyli klasyczna strategia Carmen Salvat.

*

22:47. Gram na swoim iPhone'ie w szachy, fantazjując przy tym, że rozgrywam partię nie z jakimś kodem cyfrowym, ale z moim ojcem. To ojca ataki odpieram; to ojca obronę rozbrajam; to ojca król ucieka w popłochu po całej szachownicy, tylko odwracając to co nieuniknione.

Widzę jednak oznaki stresu – zwykle na tym poziomie wygrywam, ale dzisiaj ciągle powtarzam te same błędy. Co gorsza, mój stary zaczął sobie robić ze mnie jaja: „Bezбłędna strategia, Crisp. Ty przesuwasz wieżę tutaj. Czyli ja przesuwam skoczka tutaj. Blokuję ci wieżę przy twojej beznadziejnej królowej i teraz możesz już tylko zagwizdać!”. Kiedy korzystam z funkcji „cofnij”, żeby przesunąć wieżę na poprzednią pozycję, ojciec triumfuje: „No jasne, niech zasrana maszyna ratuje ci tyłek. Może ściągniesz jakąś aplikację, która napisze za ciebie następną powieść?”. „Wal się”, mówię mu i wyłączam telefon. Włączam za to telewizor i przebiegam po kanałach, aż poznaję scenę z *Kolejnego roku* Mike’a Leigha. Jest przerażająco dobra. W porównaniu z nią moje dialogi to absolutne gówno. Najlepiej byłoby pójść spać, ale jestem zdany na łaskę jet lagu i buzują we mnie zmęczenie i adrenalina. Mój żołądek nie czuje się też najlepiej po kawałkach smażonego duriana. Nick Greek przeprosił konsula brytyjskiego, że jeszcze nie przemógł się do tego smaku, więc sam zjadłem trzy. Zapaliłbym, ale Carmen zmusiła mnie, żebym rzucił palenie, więc, mmm pycha, czerpię rozkosz z nicorette. Richard Cheeseman znowu pali. Jakby miał nie palić, biedak, skoro wiadomo, gdzie siedzi. Zęby ma już brązowe jak herbata. Przelatuję kolejne kanały i trafiam na *Zaklinacza psów*, amerykański import z napisami, o treserze zwierząt, który ogarnia problemy psychotycznych pupili psychotycznych Kalifornijczyków. 23:10. Zastanawiam się, czy jeszcze raz nie zwalić konia, wyłącznie w celach medycznych, więc przeglądam w myślach kolekcję płyt Blu-ray i zatrzymuję się na tej dziewczynie z komuny Rivendell gdzieś w zachodnim Londynie, ale w końcu stwierdzam, że jednak mi się nie chce. Otwieram zatem mojego nowego moleskina, przewracam kartkę na pierwszą stronę i na samej górze piszę: „Powieść o Rottnest”...

...i stwierdzam, że znowu zapomniałem, jak ma się nazywać mój

główny bohater. Kurwa. Przez jakiś czas był Duncanem Frye'em, ale Carmen orzekła, że to brzmi jak nazwisko właściciela smaźalni frytek ze Szkocji. Zrobiłem więc z niego Duncana McTeague'a, ale „Mc” było zbyt oczywiste dla Szkota. Na razie będę się trzymał Duncana Drummonda. DD. Zatem Duncana Drummonda, murarza, los rzuca w latach czterdziestych XIX wieku do kolonii Swan River, gdzie DD projektuje latarnię morską na Rottnest Island. Co prawda Hal Hiena nie jest przekonany do tej książki – „to znaczy, na pewno to jakiś świeże podejście, Crisp” – ale któregoś dnia obudziłem się rano i uświadomiłem sobie, że wszystkie moje powieści opowiadają o współczesnych londyńczykach z wyższej klasy średniej i o tym, jak z ich życiem krwawo rozprawia się nagle katastrofa albo skandal. Obawiam się, że moja twórczość zaczęła przynosić coraz mniejsze zyski jeszcze zanim Richard Cheeseman napisał słynną recenzję. Już teraz kilka problemików z powieścią o Rottnest mruga do mnie swoim kakaowym okiem. Konkretnie: mam tylko trzy tysiące słów. I to nie trzy tysiące słów najlepszych w karierze. Termin oddania książki mija 31 grudnia. Wydawcę Olivera wyrzucono z pracy za „niedostateczne wyniki”, a jego następcą Curt, który komunikuje się ze mną tak, jak się nazywa[13], zaczyna powarkiwać o zwrocie zaliczki.

Zastanawiam się, czy kuoka albo dwie by to podkręciły?

Jebać to. Gdzieś musi być jakiś otwarty bar.

*

Alleluja! Wchodzę do baru Sky High na czterdziestym trzecim piętrze, który nadal jest otwarty. Moje wyczerpane cielsko zapada się w fotel przy oknie. Zamawiam lampkę koniaku za dwadzieścia pięć dolarów. Widok stąd jest obłądny. Szanghaj nocą to duch milionów światel: pomarańczowych kropek wzdłuż dróg ekspresowych, białych

pikseli świateł mijania i czerwonych świateł tylnych, zielonych świateł na dźwigach, niebieskich migających na samolotach, świateł biurowców po drugiej stronie ulicy i miriadów rozmazanych punkcików, wiele mil dalej, a każdy mikropunkcik to życie, rodzina, ktoś samotny, opera mydlana. Do tego iluminacje na drapaczach chmur Pudongu, a bliżej ekrany z roztańczonymi reklamami Omega, Burberry'ego, *Iron Mana* 5, gigawaty iluminacji rozlepionych po ścianach nocnego niemroku. W zasadzie gigawaty każdego możliwego światła oprócz Księżyca i gwiazd. „W więzieniu nie istnieją odległości”, pisał Richard w liście do naszego Towarzystwa Przyjaciół. „Okna nie wychodzą na zewnątrz, więc widzę najwyżej górną krawędź murów wokół dziedzińca. Dużo dałbym, żeby móc zobaczyć przestrzeń na kilka mil. Widok nawet nie musiałby być ładny – wystarczyłoby zwykłe brudne miasto – byleby było tego kilka mil”.

A to Crispin Hershey tam go wsadził.

Crispin Hershey tam go trzyma.

– Dobry wieczór panu – odzywa się do mnie jakaś kobieta. – Nie przypuszczałam, że tu pana znajdę.

Podrywam się z nieoczekiwanym wigorem.

– Holly! Cześć! Właśnie siedziałem...

Nie bardzo wiem, jak dokończyć to zdanie, więc całujemy się w policzek, jak całkiem dobrzy znajomi. Holly wygląda na zmęczoną, co nie dziwi, kiedy ktoś skacze po strefach czasowych, ale aksamitny kostium leży na niej świetnie – Carmen zabrała ją kilka razy na zakupy. Wskazuję niewidzialnego towarzysza w trzecim fotelu:

– Znacie się z kapitanem Jetlagiem?

Holly spogląda na fotel.

– Tak, poznaliśmy się kilka lat temu.

– Skąd tu leciałaś? Z Singapuru?

– Hm... niech pomyślę. Nie, z Dżakarty. Dzisiaj jest poniedziałek,

tak?

– Witamy w świecie pisarzy. Co tam u Aoife?

– Jest zakochana, przez duże Z. – Uśmiech Holly jest niejednoznaczny. – W młodzieńcu imieniem Örvar.

– Örvar? Z której galaktyki pochodzi?

– Z Islandii. Aoife poleciała tam tydzień temu, żeby poznać jego rodziców.

– Szczęściara. I szczęściarz z Örvara. A ty go akceptujesz?

– Owszem. Aoife sprowadziła go do Rye kilka razy. Studiuje genetykę na Oksfordzie, pomimo dysleksji, nie pytaj mnie, jak. Poza tym naprawia różne rzeczy. Półki, drzwi od prysznicza, zablokowaną żaluzję. – Holly prosi kelnerkę, która przynosi mój koniak, o kieliszek białego wina. – A jak Juno?

– Juno? W życiu nic nie naprawiła.

– Nie o to pytam, pajacu! Spotyka się z kimś?

– A, o to ci chodzi. Nie, ale daj jej szansę, ma dopiero czternaście lat. Ty w tym wieku rozmawiałaś ze swoim ojcem o chłopakach?

Jej telefon ćwierka. Holly spogląda na ekran.

– Wiadomość dla ciebie od Carmen: „Powiedz Crispinowi, że nie wolno mu jeść duriana”. Wiesz, o co jej chodzi?

– Niestety wiem.

– Wprowadzacie się do tego nowego mieszkania w Madrycie?

– Nie. Ale to raczej dłuższa historia.

*

– Rottnest? – Holly stuka paznokciem o kieliszek wina, jakby sprawdzała jego nutę. – Cóż, jak Carmen pewnie już ci mówiła, parę razy w życiu zdarzyło mi się słyszeć głosy, których nie słyszeli inni. Albo być absolutnie pewną czegoś, o czym nie mogłam wiedzieć w

żaden racjonalny sposób. Albo od czasu do czasu zdarzało się, że przekazywałam słowa... istot, które nie były mną. Przepraszam, to ostatnie zalatuje tanim spirytyzmem, nic nie poradzę. Ale w przeciwieństwie do seansów spirytystycznych ja nikogo nie wzywam. Te głosy same mnie... opadają. Wolałabym, żeby dały mi spokój. Wręcz marzę, żeby dały mi spokój. Ale nie dają.

Słyszałem już o tym wszystkim.

– Masz dyplom z psychologii, tak?

Holly wyczuwa podtekst, zdejmuje okulary i szczypie ślad na grzbiecie nosa.

– No dobrze, Hershey, wygrałeś. To było latem osiemdziesiątego piątego roku. Miałam szesnaście lat. Jacko zaginął rok wcześniej. Razem z Sharon odwiedzałyśmy w wakacje rodzinę w Bantry, w Corku. Któregoś dnia padało, więc graliśmy z maluchami w Węże i drabiny, a ja – minęło trzydzieści lat, a Holly kuli się w sobie – „wiedziałam” czy też „słyszałam”, czy „poczułam”, jak zwał, tak zwał, jaka liczba oczek wypadnie na kostce. Moja kuzynka potrząsała kubeczkami, a ja w myślach mówiłam: „Pięć”. I bach, wypadło pięć. Jeden. Pięć. Trzy. I tak dalej, i tak dalej. Łut szczęścia, prawda? Zdarza się, nic nadzwyczajnego. Ale ten łut nie chciał się skończyć. Przez ponad pięćdziesiąt rzutów, na Boga. Chciałam już to przerwać. Za każdym razem myślałam: „Tym razem nie zgadnę i będę mogła mówić, że to wszystko czysty przypadek...”. Ale to trwało i trwało. W końcu Sharon potrzebowała szóстки, żeby wygrać, a ja wiedziałam, że właśnie szóstkę wyrzuci. I wyrzuciła. Wtedy już tak rozboleła mnie głowa, że ledwo się doczołgałam do łóżka. Kiedy się obudziłam, Sharon i moje cioteczne rodzeństwo grali w Cluedo i wszystko wróciło do normy. A ja od razu zaczęłam sobie wmawiać, że tylko wyobrażałam sobie, że wiem, co wypadnie na kostce. Kiedy w końcu wróciliśmy do domu, do nudy w Gravesend, już prawie zdążyłam

przekonać samą siebie, że cały incydent był tylko... jakimś jednorazowym dziwnym wybrykiem i że pewnie wszystko i tak przekręciłam w pamięci.

Chyba jestem bardziej pijany, niż mi się wydaje.

– Ale nie przekręciłaś.

Holly bawi się pierścionkiem na palcu.

– Tamtego roku, na jesieni, mama zapisała mnie na kurs dla sekretarek w Gravesend Tech, więc przynajmniej mogłam znaleźć jakąś dorywczą pracę. Dawałam sobie całkiem niezłe radę, ale któregoś dnia siedziałam w bufecie jak zwykle sama, i wtedy... Wtedy nagle wiedziałam, że taka jedna dziewczyna, Rebecca Jones, która siedziała przy stoliku na wprost i gadała z koleżankami, za chwilę strąci na podłogę kubek z kawą. Po prostu wiedziałam, Crispin, tak jak wiem, jak masz na imię albo jak wiem, że po spotkaniu z tobą walnę się spać. Nigdy tak naprawdę nie wierzyłam w Boga, ale wtedy zaczęłam się modlić „Proszę nie, proszę nie, proszę nie”. I nagle Rebecca Jones machnęła ręką, bo coś żywo opowiadała. Strąciła przy tym filiżankę, która rozbiła się na podłodze. Wszystko wokół było opryskane kawą.

– I co zrobiłaś?

– Zwiałam stamtąd, ale... te przeczucia zwiały ze mną. Wiedziałam, że za następnym rogiem zobaczę dalmatyńczyka, który z podniesioną tylną łapą sika na latarnię. Tak jakbym już go wcześniej widziała, tylko że nie widziałam. I proszę bardzo, za rogiem dalmatyńczyk, latarnia, zadarta łapa. Sto jardów przed wiaduktem nad torami wiedziałam, że kiedy będę po nim przechodziła, dołem przejedzie pociąg do Londynu. I znowu się sprawdziło. I tak dalej, i tak dalej, aż do samego pubu. A tam, kiedy przechodziłam przez bar, jeden z klientów, Frank Sharkey, grał w rzutki i... – Holly milknie i patrzy na gęsią skórkę na swoich rękach – ...wiedziałam, że już go nigdy nie

zobaczę. Wiedziałam, Crispin. Oczywiście – krzywi się – zignorowałam to przecucie, bo takie było okropne i makabryczne. Stary pan Sharkey był nie tylko stałym gościem pubu, ale i przyjacielem rodziny. Był świadkiem tego, jak wszyscy dorastaliśmy. Powiedziałam tacie, że wróciłam z zajęć wcześniej, bo mam migrenę, którą zresztą już wtedy naprawdę miałam. Poszłam spać, obudziłam się i czułam się o niebo lepiej. Przecucia zniknęły. To wszystko oczywiście było już bardzo trudno zakwalifikować tylko jako fantazję – nie mogłam. Ale cieszyłam się, że już mnie nie trzymało, i starałam się nie myśleć o panu Sharkeyu. Ale kiedy on na drugi dzień się nie pojawił, już wiedziałam. Zmusiłam ojca, żeby zadzwonił do sąsiada pana Sharkeya, który miał do klucza do jego domu. Ciało Franka Sharkeya znaleziono w szopie w ogrodzie. Miał bardzo rozległy zawał. Lekarz powiedział, że nie żył już, kiedy upadał na ziemię.

Holly ma siłę przekonywania i widzę, że przekonała nawet samą siebie. Ale z drugiej strony wszystko co paranormalne ma siłę przekonywania – niby z jakiego powodu istnieje religia?

Holly wpatruje się zamyślonym wzrokiem w swój kieliszek.

– Wielu ludzi ma potrzebę wiary w moc jasnowidzenia. Duża część z nich chwyta się tego, co napisałam w książce, a ja jestem oskarżana o żerowanie na ich naiwności. Oskarżają mnie o to nawet ludzie, których szanuję. Ale gdyby to była prawda, Crispin, gdybyś to ty miał te przecucia, których nie można zmienić ani przewidzieć, powiedzmy, o Juno albo Anaïs? Czy myślałbyś wtedy, drogi tato, że jesteś newage’owym wymysłem?

– No... to zależy... – Zastanawiam się nad tym. – Nie. Pewnie zabrzmie teraz jak internista, ale jak długo to trwało?

Holly zagryza wargę i kręci głową.

– Cóż... nigdy się nie skończyło. Kiedy miałam szesnaście, siedemnaście lat, opadały mnie wydarzenia, które jeszcze nie

zaistniały, co kilka tygodni. Pędziłam wtedy do domu i zakopywałam się w łóżku, z głową w torbie. Nie powiedziałam nikomu oprócz mojej ciotki Eilísh. Bo co miałabym mówić? Ludzie tylko myśleliby, że chcę zwrócić na siebie uwagę. Kiedy miałam osiemnaście lat, wyjechałam na wakacje na winobranie do Bordeaux, a potem zimą przez kilka sezonów pracowałam w Alpach. Przynajmniej kiedy uciekłam za granicę, przecucia nie mogły już dotyczyć Brendana, który spada ze schodów, albo Sharon, którą przejeżdża autobus.

– Czyli te przecucia nie działają na dużą odległość?

– Nie, przeważnie nie.

– A czy masz też przecucia co do swojej własnej przyszłości?

– Dzięki Bogu nie.

Waham się, czy powtórzyć wcześniejsze pytanie, ale w końcu pytam:

– A Rottnest?

Holly trze powiekę.

– To było silne. Od czasu do czasu te przecucia dotyczą przeszłości. Ogarniają mnie... jak to ująć... Chryste Panie, no nie uniknę tej terminologii, chociaż brzmi beznadziejnie: na Rottnest byłam medium dla jakiejś świadomości, która pozostawała spojona z materią wyspy.

Barman potrząsa mikserem do drinków. Holly przygląda mu się badawczym spojrzeniem.

– Zna się na rzeczy.

Znowu się waham.

– Słyszałaś coś o rozszczepieniu osobowości?

– Owszem. Na moich studiach zaocznych pisałam o tym pracę magisterską. W latach dziewięćdziesiątych zaczęto używać nowej nazwy: zaburzenie dysocjacyjne tożsamości, ale nawet według standardów psychiatrii klinicznej jego manifestacja nie jest

oczywista. – Holly bawi się kolczykiem. – Zresztą to może i mogłoby tłumaczyć takie epizody, jak na Rottnest, ale co z przeczuciami przyszłości? Jak wytłumaczyć pana Sharkeya? Albo to, kiedy Aoife była mała i pojechaliśmy na ślub Sharon do Brighton, i Aoife postanowiła tam uciec, a jakaś świadomość przemówiła przeze mnie i podała dokładny numer pokoju, w którym Aoife się zatrzasnęła? Jak? Jak miałabym to zmyślić?

Grupa biznesmenów z Azji Wschodniej wybucha głośnym śmiechem.

– A jeśli to twoja pamięć myli przyczynę ze skutkiem?

Jej twarz nie wyraża niczego. Holly popija wino i jej twarz nadal nie wyraża niczego.

– Na przykład historia z kawą jakiejś tam Rebekki. Zwykle mózg najpierw widzi przewróconą filiżankę, a w drugiej kolejności ją zapamiętuje. A jeśli jakiś błąd neuronalny powoduje, że twój mózg odwraca tę kolejność – tak że najpierw zachował wspomnienie filiżanki rozbijającej się na podłodze, a dopiero potem wspomnienie tego, jak stała na krawędzi stołu? Wtedy miałabyś pełne prawo twierdzić, że akcja B nastąpiła przed akcją A.

Holly patrzy na mnie, jakbym w ogóle niczego nie rozumiał.

– Daj jakąś monetę.

Wydłubuję dwa funty z międzynarodowej kolekcji, która mieszka w moim portfelu. Holly bierze monetę i chowa ją w lewej dłoni, a potem środkowym palcem prawej dłoni dotyka punktu na czole. Pytam:

– A to po co?

– Nie wiem, po prostu pomaga. W buddyzmie mówi się o istnieniu trzeciego oka na czole, ale... Nic nie mów przez chwilę.

Holly zamyka oczy i przechyla głowę. Jak pies, który wsłuchuje się w ciszę. Odgłosy baru w tle – przyciszone rozmowy, kostki lodu w szklankach, *My Wild Irish Rose* Keitha Jarretta – wzbierają i cofają się.

Holly wręcza mi monetę.

– Rzucaj. Wypadnie królowa.

Rzucam.

– Królowa.

Pięćdziesiąt procent szans.

– Znowu królowa – mówi Holly w skupieniu.

Rzucam monetę.

– Zgadza się.

Jedna szansa na cztery.

– Teraz reszka – mówi Holly. Nie odrywa palca od czoła.

Znowu rzucam monetę: reszka.

– Trzy trafienia na trzy. Nieźle.

– Znowu królowa.

Rzucam monetę: królowa.

– Reszka – mówi Holly.

Rzucam monetę: reszka.

– Jak ty to robisz?

– Spróbujmy całego ciągu – mówi Holly.

– Królowa, królowa, królowa, reszka i... jeszcze jedna reszka, ale... ty klęczysz? Crispin, dlaczego klęczysz?

– Przecież siedzę, nie klęczę.

– Nieważne. Trzy królowe, dwie reszki, w takiej kolejności.

Rzucam monetę: królowa. I znowu królowa. Jak ona to robi? Pocieram monetę o koszulę, jak zadrapaną płytę CD, a potem wyrzucam królową, zgodnie z prognozą.

– Sprytnie – mówię, ale zaczynam czuć się nieswojo.

To słowo powoduje u niej irytację.

– Teraz będą dwie reszki.

Rzucam monetę: reszka. Dziewięć na dziewięć. Przy dziesiątym rzucie nie udaje mi się złapać monety. Metalowy krążek spada i toczy

się po podłodze. Rzucam się, żeby go złapać, i dopiero, kiedy wydaję monetę spod fotela i widzę, że to reszka, uświadamiam sobie, że klęczę. Holly ma minę jak ktoś, komu objawiło się rozwiązanie prostej zagadki.

– Oczywiście. Szukałeś monety.

Siadam z powrotem w fotelu. Nie do końca wiem, czy potrafię powiedzieć coś z sensem.

– Jeśli chcesz wiedzieć, w sekwencji dziesięciu rzutów szanse trafienia wszystkich są jak tysiąc dwadzieścia cztery do jednego. Może dodamy jeszcze dwa rzuty i zmniejszymy prawdopodobieństwo do czterech tysięcy dziewięćdziesięciu sześciu do jednego?

– Nie ma takiej potrzeby – odpowiadam sucho. Przyglądam się Holly Sykes. Kim ona jest? – Ta sprawa z klęceniem... Skąd...

– Może twój mózg też myli wspomnienia z przeczuciami? – Holly Sykes wcale nie wygląda jak magik, któremu perfekcyjnie wyszła arcytrudna sztuczka, tylko jak zmęczona kobieta, której przydałoby się przytyć kilka funtów. – O Boże, to był błąd. Patrzysz na mnie tym wzrokiem.

– Jakim wzrokiem?

– Crispin, możemy już to zostawić? Muszę położyć się spać.

*

Idziemy do wind w lobby, nie mówiąc zbyt wiele. Dwóch wojowników z terakoty nie ma o mnie zbyt dobrego zdania, sądząc po ich minach.

– W twoje słowa święcie wierzą miliardy ludzi. Oddaliby życie, żeby zobaczyć to, co mi dziś pokazałaś – mówię. – Ja z kolei, o czym dobrze wiesz, jestem cynicznym skurwysynem. Dlaczego chciało ci się organizować dla mnie prywatny pokaz?

Holly ma zboląły wyraz twarzy.

– Miałam nadzieję, że mi uwierzysz.

– W co? W *Ludzi z Radia*? W Rottnest? W co takiego?

– Wtedy w Hay-on-Wye, w namiocie, kiedy podpisywaliśmy książki. Siedzieliśmy kilka jardów od siebie. Miałam dziwne przeczucie. O tobie.

Drzwi windy otwierają się, a ja przypominam sobie informację z czasów flirtu Zoë z feng shui, że windy to szczęki, które pożerają szczęście i powodzenie.

– O mnie?

– O tobie. Było naprawdę przedziwne. I dotąd się nie zmieniło.

– Na miłość Boską, powiedz może, o co chodzi.

Holly przetyka ślinę.

– „Pająk, spirala, człowiek z jednym okiem”.

Czekam na wyjaśnienie. Które nie pada.

– To znaczy?

Holly ma bezradną minę.

– Nie mam bladego pojęcia.

– Ale zwykle potem odkrywasz, co takie przeczucia znaczą, prawda?

– Zwykle tak. W końcu kiedyś, owszem. Ale to o tobie jest przeczuciem... wolno dojrzewającym.

– „Pająk, spirala, człowiek z jednym okiem”. Co to w ogóle jest? Jakaś lista zakupów? Spis figur tanecznych? Wers z jakiegoś haiku, do bladej kurwy?

– Crispin, powiedziałabym ci, gdybym tylko wiedziała, przysięgam.

– Czyli to równie dobrze może być jakiś przypadkowy bełkot.

Holly zbyt łatwo przystaje na takie wyjaśnienie.

– Prawdopodobnie tak. Jasne. Daj sobie z tym spokój.

Z windy wychodzi Chińczyk w podeszłym wieku, w różowym topie Lacosty, jasnobrązowych luźnych spodniach i butach do golfa. Na

jego ramieniu zawieszona jest blond modelka z kosmicznym makijażem na twarzy, przyodziana w króciutką koszulkę szytą z pajęczyn i złotych monet, i w niewiele więcej. Skręcają za róg.

– Może to jego córka? – zastanawia się Holly.

– Co miałaś na myśli, mówiąc że „dotąd się nie zmieniło”?

Myślę, że Holly żałuje teraz, że w ogóle zaczęła ten temat.

– W Cartagenie, w willi prezydenta, miałam to samo przeczucie. Słyszałam te same słowa. Na Rottneście też, zanim przeszłam w tryb medium. I teraz też, jeśli się wsłucham. Zademonstrowałam ci rzuty monetą, żebyś wziął serio te słowa o pająku, spirali i człowieku z jednym okiem, gdyby się kiedykolwiek okazało... – wzrusza ramionami – że to ważne.

Windy jednostajnie buczą w swoich turboszybach.

– Jaki sens mają przeczucia – pytam – których w ogóle nie można być pewnym?

– Jezu, nie wiem, Crispin. Nie jestem, kurczę, wyrocznią. Gdybym wiedziała, jak je wyłączyć, nie namyślałabym się sekundy!

Wylewają się ze mnie głupie, nieocenzurowane słowa:

– Czerpiesz z nich całkiem przyzwoite zyski.

Holly najpierw ma minę totalnie zaskoczoną, potem zranioną, a potem wkurzoną – wszystko w niecałe pięć sekund.

– Owszem, napisałam *Ludzi z Radia*, bo jak idiotka, jak ostatnia idiotka, łudziłam się, że jeśli Jacko żyje i gdzieś tam jest – z irytacją macha dłonią w stronę niekończącego się miasta za oknem – może to przeczyta, albo może ktoś, kto go zna, rozpozna go i da znać. Oczywiście szanse były nikłe, bo Jacko najpewniej nie żyje, ale musiałam spróbować. Crispin, ja muszę wytrzymywać moje przeczucia. Żyję pomimo nich. Nie mów mi, że czerpię z nich zyski. Nigdy, kurwa, więcej tak nie mów.

– Jasne. – Zamykam oczy. – Źle to zabrzmiało. Bo...

Moje przestępstwa, moje nieprawości. Od czego, do bladej kurwy, mam zacząć?

Wtedy słyszę, jak drzwi do windy się zamykają. Świetnie. Już jej nie ma.

* * *

Włokąc się do mojego pokoju, wysyłam Holly esemesa z przeprosinami. Zadzwonię do niej rano, kiedy oboje porządnie się wypimy, a potem spotkamy się na śniadaniu. Gdy docieram do pokoju 2929, na klamce wisi zawieszona wielka czarna torba. Jest wyszywana w runy złotą nicią, widać, że z powstawała z miłością. W środku znajduję książkę pod tytułem *Twoja ostatnia szansa* autorstwa Soleil Moore. Soleil Moore? Nigdy o niej nie słyszałem. Czy też o nim. Nawet bez czytania wiem, że to niewątpliwy chłam. Żadna prawdziwa poetka nie byłaby aż tak prostacka, żeby pomyśleć, że przeczytam sonety, o które nie prosiłem, tylko dlatego, że włożono je do ręcznie wyszywanej torby. Skąd znała numer mojego pokoju? Jesteśmy w Chinach. Łapówki, oczywiście. Ale jednak z pewnością nie w Shanghai Mandarin. Tylko czy to właściwie ważne? Jestem tak – masakrycznie – kurewsko – zmęczony. Wchodzę do pokoju, wyrzucam książkę w precudnej torbie do kosza na śmieci z martwą materią po całym dniu, opróżniam wdzięczny mi za to pęcherz, wpełzam do łóżka i sen otwiera się jak odpływ w zlewie...

¹² Tak Christopher Marlow nazywa Helenę Trojańską w *Tragicznych dziejach doktora Faustusa* (przyp. tłum.).

¹³ Po angielsku „curt” znaczy „szorstki, zdawkowy” (przyp. tłum.).

17 września 2019

Czy widziałeś kiedykolwiek bardziej samotny przyczółek, drogi czytelniku? Na północ do Festap, później na wschód drogą Kaldidalur i na zachód do Þingvellir, 23 kilometry. Pamiętam, Örvar uczył mnie, że „Þ” to dźwięczne angielskie „th”, jak w słowie „lathe”. W Anglii dwadzieścia trzy kilometry większą szosą pokonałbym samochodem w dwadzieścia minut, natomiast z centrum informacji turystycznej w Þingvellir wyjechałem już półtorej godziny temu. Asfaltowa szosa zwyrodniała do ubitej drogi, pnącej się zakrętami na skalisty płaskowyż, nad którym są już tylko odlane z brązu szczyty i skłębione chmury. Pod wpływem nagłej zachcianki zjeżdżam na pobocze, wyłączam silnik wypożyczonego mitsubishi, wspinam się na kamienisty pagórek i tam przysiadam na jakimś głazie. Żadnego słupa telefonicznego, żadnej linii wysokiego napięcia, żadnego drzewa, krzaka, żadnej krowy, owcy, wrony, żadnej muchy. Tylko kilka kępek ostrej trawy i samotny pisarz. Dolina z *Zagłady domu Usherów*. Eksperyment kształtowania drugiej Ziemi na jednym z pomniejszych księżyców Saturna. Dokładne przeciwieństwo końca lata w Madrycie. Zastanawiam się, co słyhać u Carmen, a potem przypominam sobie, że to już nie moja sprawa. Tygodniowy objazd Islandii przed festiwalem w Reykjavíku był jej pomysłem: „Kraina Sag! Będzie fantastycznie, Crispin!”. Sumiennie zgłębiłem temat, zarezerwowałem pokoje i samochód, a nawet tamtego wieczoru w Londynie osiem tygodni temu czytałem wręcz *Sagę o Njalu*. Kiedy zadzwonił telefon, wiedziałem, że to złe wieści: Holly nazwałaby to Przeczuciem, przez duże „P”. Separację z Zoë już długo wcześniej zapowiadało wiele sygnałów, ale deklaracja niepodległości ogłoszona

przez Carmen spadła jak grom z jasnego nieba. W hysterii, zraniony, a przede wszystkim cały w strachu, zacząłem udowadniać, że to właśnie trudne okresy i codzienna rutyna świadczą o tym, że związek jest prawdziwy, ale szybko przestałem mówić zrozumiale, bo cały dom się rozleciał, przywalony niebem.

Weź się w garść. Dostałeś dwa lata miłości od tej dobrej kobiety.

Cheeseman trzeci rok siedzi w Piekło i nie widzi końca.

*

Mija jakiś czas. Z chrzestem opon przejeżdża obok mnie konwój terenówek, jadących od drogi Kaldidalur. Ja ciągle siedzę na głazie. Trochę mi zimno. Turyści przyglądają mi się przez brudne szyby, opony wypluwają spod siebie kamienie i wzbijają kurz. Wiatr trzepie mnie po uszach, żołądek jest wdzięczny za herbatę i... I nic więcej. Niesamowite uczucie. Częstuję islandzką mikroflorę pełnym pęcherzem rocznikowego moczu pisarza. Przy drogowskazie leży kopiec kamieni, usypywany przez wieki. Sam dorzuć kamyk i pomyśl życzenie, polecił mi Örvar, ale nigdy żadnego kamienia nie zabieraj, bo może wymknąć się duch, który przeklnie ciebie i twoje potomstwo. Tutaj groźba nie brzmi już tak uroczo osobliwie, jak w Reykjavíku. W oddali, bliżej gór na wschodzie, wznosi się biała jak kości wieloryba krawędź lodowca Langjökull. Te kilka lodowców, które w życiu widziałem, było jak jakieś brudne paluchy u nóg, niegodne swej nazwy – Langjökull jest przeogromny... Widzialna czaszka planety lodu rozgnieciona o Ziemię. W Hampstead czytałem o bohaterach sag skazanych na banicję i wyobrażałem sobie dość wesoły entourage jak z Robin Hooda, w futrach, ale *in situ* widzę, że banicja w stylu islandzkim stanowiła *de facto* wyrok śmierci. Lepiej jechać dalej. Dokładam mój kamyk do kopca i z bliska dostrzegam, że ludzie

zostawili tam też kilka monet. Na poziomie morza nie zrobiłbym nic aż tak durnego, ale tutaj wyjmuję portfel, żeby dorzucić monetę czy dwie...

...i widzę, że zniknęło paszportowe zdjęcie ze mną, Juno i Anaïs. To niemożliwe. A jednak pusty kwadracik skóry pod plastikową szybką upiera się, że zdjęcia nie ma.

Ale jak? Trzymałem tam to zdjęcie od lat, odkąd Zoë dała mi ten portfel, od naszych ostatnich cywilizowanych świąt jako rodzina. Zrobiliśmy sobie to zdjęcie kilka dni wcześniej, w budce fotograficznej na stacji metra Notting Hill. Chcieliśmy jakoś zabić czas, kiedy czekaliśmy na Zoë, żeby razem pójść do tej włoskiej knajpki przy Moscow Road. Juno powiedziała, że słyszała o plemionach żyjących w lasach deszczowych, które wierzą, że fotografia może ukraść część duszy, a Anaïs odparła: „W takim razie to zdjęcie ma w sobie dusze całej naszej trójki”. Od tamtego czasu nosiłem je w portfelu. Nie mogło się po prostu wysunąć. Wyjąłem portfel w centrum informacji turystycznej w Þingvellir, żeby kupić pocztówki i wodę, i zauważyłbym, gdyby zdjęcia już wtedy nie było. To nie katastrofa, ale jest mi przykro. Drugiego takiego już nie będę miał. Miało w sobie nasze dusze. Może jest w samochodzie, wpadło gdzieś w szparę koła hamulca ręcznego albo...

Kiedy schodzę po zboczu, dzwoni mój telefon. NUMER NIEZNANY. Odbieram.

– Halo?

– Dzień dobry. Pan Hershey?

– A kto mówi?

– Nikki Barrow, asystentka Dominica Fitzsimmonsa z ministerstwa sprawiedliwości. Pan minister otrzymał pewne informacje w związku z Richardem Cheesemanem. Czy ma pan teraz chwilę? Może pan rozmawiać?

– Tttak, tak, oczywiście. Proszę.

Przełącza mnie na melodyjkę – jebane *Chariots of Fire* Vangelisa – a mnie zlewają gorące i zimne poty. Towarzystwo Przyjaciół Richarda Cheesemana myślało już, że nasz sprzymierzeniec z Whitehallu o nas zapomniał. Serce wali mi jak młotem: to będzie albo najlepsza z możliwych wiadomości – repatriacja – albo najgorsza – „wypadek” w więzieniu. Kurwa, w komórce zostało mi tylko osiem procent baterii. Szybciej! Już tylko siedem. Nagle słyszę głośne: „Powiedz mu, że przyjdę na głosowanie o piątę”, wypowiedziane afektowanym tonem Fitzsimmonsa, a zaraz potem:

– Crispin! Co słyhać?

– Wszystko dobrze, Dominic. Rozumiem, że masz jakieś wieści?

– W rzeczy samej. Richard wyleci do kraju w piątek. Godzinę temu dzwonił do mnie ambasador Kolumbii. Dziś tuż po południu dostał informację z Bogoty. A ponieważ według naszego systemu prawnego Richard będzie się kwalifikował do zwolnienia warunkowego, powinien wyjść na wolność jeszcze przed świętami, pod warunkiem, że znowu nie wpakuje się w kłopoty.

Szaleje we mnie burza różnych emocji, ale skupię się na pozytywach.

– Dzięki Bogu! I tobie bardzo dziękujemy. Czy to już pewna informacja?

– O ile do poniedziałku nie dojdzie do żadnego poważnego sporu między naszymi rządami, informacja jest bardzo pewna. Postaram się, by przyznano Richardowi kategorię D – jego matka i siostra mieszkają w Bradford, więc Hatfield się nada – to otwarty zakład karny w South Yorkshire. Raj odzyskany w porównaniu z obecnym lokum. Po trzech miesiącach będzie mógł dostawać przepustki na weekend.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę.

– Owszem. To całkiem przywoity rezultat. Ponieważ znałem Richarda z Cambridge, trzymałem rękę na pulsie, ale z drugiej strony właśnie dlatego miałem związane ręce. Również dlatego nie łącz z tym mojego nazwiska w żadnych mediach społecznościowych, bardzo cię proszę. Powiedz, że skontaktował się z tobą podsekretarz. Pięć minut temu rozmawiałem z siostrą Richarda i też ją o to poprosiłem. Słuchaj, muszę już lecieć, wzywają mnie do premiera. Przekaż ode mnie wyrazy szacunku dla waszego Towarzystwa, znakomita robotą, Crispin. Richard to szczęściarz, że miał cię po swojej stronie, kiedy nikt inny nie ruszył w tej sprawie tyłka.

W iPhone'ie zostało mi dwa procent baterii. Wysłałam esemesa z gratulacjami do siostry Richarda, Maggie, która zadzwoniła do Benedicta Fincha z „Piccadilly Review”. Ben zajmował się kampanią w mediach. O to właśnie walczyliśmy, to było celem naszych starań, knowań i przedmiotem naszych modłów, a jednak, a jednak, w obliczu triumfu radość ze mnie ulatuje. Wyrządziłem Richardowi Cheesemanowi niewybaczalną krzywdę, a nikt o tym nie wie.

– Krzywoprzysięzca – mówię islandzkiemu pustkowiu – i tchórz.

Zimny wiatr wzbija czarny pył, tak samo jak przed milionami lat i jak teraz, i jak już zawsze na wieki wieków. Chciałem pomyśleć jakieś życzenie przy kopcu kamieni, ale już za późno, ta chwila przeminęła. Przyjmę każdy los, jaki mi przypadnie. Tylko na to zasługuję.

Co ja robiłem, kiedy zadzwonił Fitzsimmons?

A tak, zdjęcie. Naprawdę szkoda. Ba, więcej. Gubiąc zdjęcie, czuję, jakbym znowu tracił dzieci.

Z trudem schodzę do mitsubishi.

Nie znajdę w nim zdjęcia. Nigdzie indziej też nie.

19 września 2019

Czterdzieści czy pięćdziesiąt istot dwunożnych w pięciu, sześciu, siedmiu językach wykrzykuje: „Wieloryb! Patrz! Gdzie? Tam!”, podbiega do bakburty i podnosi komórki i kamerki wycelowane w pokryte guzami obłe cielsko wylaniające się z kobaltowego morza. Słup pary wystrzela z otworu nosowego jak z lokomotywy, a bryza zawiewa go na krzyczących i piszczących roześmianych pasażerów. Jakiś chłopiec, Amerykanin, mniej więcej w wieku Anaïs, krzywi się:

– Mamo, jestem cały w gilach wieloryba!

Jego rodzice są rozbawieni. Za kilkadziesiąt lat powiedzą: „A pamiętasz, jak w Islandii popłynęliśmy oglądać wieloryby?”.

Z mojego punktu obserwacyjnego nad mostkiem widzę cały zarys wieloryba – niewiele krótszy niż nasza łódź, która mierzy sześćdziesiąt stóp.

– Wspaniale, w ostatniej chwili nasza cierpliwość się opłaciła – stwierdza szpakowaty przewodnik, starannie dobierając angielskie słowa. – Ten wieloryb to humbak. Można go rozpoznać po garbach na grzbiecie. Podczas porannego rejsu widzieliśmy w tym miejscu grupę tak zwanych „towarzyszy”, więc cieszę się, że ten ciągle tu krąży...

Moje myśli odpływają i zastanawiam się, jak wieloryby wybierają dla siebie nawzajem imiona. Czy latanie to uczucie podobne do pływania? Czy również cierpią z powodu nieodwzajemnionej miłości? I czy krzyczą, kiedy wystrzelony z działa harpun zatapia grot w ich ciele, a przymocowany do niego ładunek rozrywa je od środka? Oczywiście, że muszą krzyczeć. Ich boczne płetwy są bledsze niż reszta części grzbietowej, a kiedy nimi poruszają, przypomina mi się, jak Juno i Anaïs pływały w basenie, unosząc się w wodzie na grzbiecie.

„Tylko mnie nie puść, tatusiu!”. Stałem po pas w wodzie w płytkim końcu basenu i zapewniałem, że na pewno ich nie puszczę, chyba że mnie poproszą, a ich szeroko otwarte oczy były takie szczerze i ufne.

„Zadzwońcie”, myślę w ich stronę, ku Montrealowi. „Zadzwońcie do taty. W tej chwili!”.

Czekam. Liczę od jednego do dziesięciu. Albo może jednak do dwudziestu. Albo do pięćdziesięciu...

*

...kurczę, dzwoni! Córeczki mnie usłyszały.

Nie, nie usłyszały. Na ekranie wyświetla się Hal Hiena. Nie odbieraj. Ale muszę. To w sprawie pieniędzy.

– Hal! Cześć.

– Cześć, Crispin... Jakoś dziwnie przerywa, jedziesz gdzieś pociągiem?

– Jestem na łodzi. Przy ujściu zatoki Húsavík.

– Przy ujściu zatoki Húsavík... Która, niech zgadnę, jest na Alasce?

– Na północnym wybrzeżu Islandii. Jestem na festiwalu w Reykjavíku.

– No przecież, no przecież. À propos, wielkie brawa w sprawie Richarda Cheesemana. Dowiedziałem się w poniedziałek rano.

– Naprawdę? Przecież rząd dostał informację dopiero we wtorek.

Mimo przydomka Hal nie śmieje się jak hiena. Jego śmiech to seria zwarć krtaniowych, odgłos, jaki mogłoby wydawać ciało, które spada po drewnianych schodach do piwnicy.

– Juno i Anaïs są z tobą? Podobno Islandia to raj dla dzieciaków.

– Nie. Carmen miała ze mną przyjechać, ale...

– Aa. Tak, tak. Ale to nie koniec świata, *c'est la vie* i do przodu! Ano właśnie, odbyłem dzisiaj konferencję telefoniczną z Erebus and

Bleecker Yard. Rozmowa była szczera. Ustaliliśmy listę działań.

Norman Mailer, J.D. Salinger, a nawet dr Aphra Booth wyrzuciliby w tym momencie telefon wysoko w przejrzyste powietrze i patrzyli, jak z cichym plum spada w głębinę morza.

– Jasne... Czy na liście działań znajduje się moja zaliczka?

– *Problemo numero uno*. Zaliczki były, kiedy podpisywałeś obecny kontrakt w dwa tysiące czwartym. Piętnaście lat temu. Erebus and Bleecker Yard stoi na stanowisku, że twoja nowa książka jest już tak spóźniona, że złamałeś tym samym zapisy kontraktu. Zaliczki, które dostałeś, to teraz długi do spłacenia.

– To jakiś słaby żart. Prawda? Prawda, Hal?

– Niestety obawiam się, że z prawnego punktu widzenia ich żądania są uzasadnione.

– Ale przecież mają wyłączne prawa do nowej książki Crispina Hersheya.

– *Problemo numero dos*, i niestety, to będzie gorzka pigułka. *Suszone embriony* sprzedały się spokojnie w pięciuset tysiącach egzemplarzy, owszem. Ale począwszy od *Czerwonej mahny* twoja sprzedaż to cessa z jednym skrzydłem. Cały czas masz znane nazwisko, ale sprzedajesz się na średnim poziomie. Dawno, dawno temu w Królestwie Średniego Poziomu można było całkiem znośnie egzystować: średnia sprzedaż, średnie zaliczki, jakoś się żyło. Niestety, tego królestwa już nie ma. Erebus and Bleecker Yard bardziej niż nowej powieści Crispina Hersheya chce zwrotu pieniędzy.

– Ale, Hal, ja nie mogę im zwrócić tej zaliczki... – Nadlatuje harpun, wybebeszający mnie z wszelkiej wiarygodności dla banków, z własnego poczucia wartości, i kurwa, z emerytury. – Ja... ja ją wydałem. Wieki temu. Czy też Zoë ją wydała. Albo prawnicy Zoë ją wydali.

– Tak, ale oni wiedzą, że posiadasz jeszcze nieruchomość w

Hampstead.

– Ni chuja! Wara im od mojego domu! – Kilka osób na pokładzie podnosi na mnie wzrok z dezaprobatą. Czyżbym krzyczał? – Nie mogą mi go zabrać, Hal, prawda?

– Ich prawnicy są w tej kwestii niepokojąco pewni siebie.

– A gdybym oddał nową powieść, powiedzmy... za dziesięć tygodni?

– Crispin, nie traktuj tego jak blef z ich strony. Oni naprawdę nie są już zainteresowani twoją książką.

– To co, do bladej kurwy, mam zrobić? Upozorować samobójstwo?

Miało to zabrzmieć jak wisielczy humor, ale Hal bierze moje słowa dosłownie.

– Najpierw wnieśliby sprawę do sądu, domagając się poprzez nas praw do twojego majątku. Potem wysłedziliby cię twoi ubezpieczyciele, więc o ile nie poprosiłbyś o azyl polityczny w Phenianie, dostałbyś trzy lata za oszustwo. Nic z tego. Teraz możesz jedynie liczyć na to, że we Frankfurcie sprzedasz powieść o tej twojej australijskiej latarni morskiej za sumę, która spacyfikuje Erebus and Bleecker Yard. Niestety, teraz nikt już nie da ci złamanego pensa zaliczki. Możesz mi przesłać pierwsze trzy rozdziały?

– No właśnie. Bo tak... Moja nowa powieść... ewoluowała.

Hal, jak sobie wyobrażam, rzuca bezgłośnie przekleństwo.

– Ewoluowała? – pyta.

– Po pierwsze, teraz akcja rozgrywa się w Szanghaju.

– W Szanghaju lat czterdziestych dziewiętnastego wieku? Wojny opiumowe?

– Raczej bardziej w Szanghaju współczesnym.

– Aha... Nie wiedziałem, że jesteś też sinologiem.

– Najstarsza kultura świata. Światowa potęga gospodarcza. Stulecie Chin. Chiny są bardzo... na czasie.

Czy wy to słyszycie? Crispin Hershey usiłuje sprzedać pomysł na

książkę, jak jakiś uczeń prosto po kursie kreatywnego pisania.

– A jak w tym wszystkim mieści się latarnia morska z Australii?

Biorę głęboki oddech. I jeszcze jeden.

– Nie mieści się.

Hal, jestem tego prawie pewien, udaje, że strzela sobie w łeb.

– Ale, Hal, na tym naprawdę można teraz pracować. Wymęczony jet lagiem biznesmen przechodzi gigantyczne załamanie nerwowe w szanghajskim hotelu, z labiryntem korytarzy, spotyka ministra, prezesa, sprzątaczkę, nawiedzoną kobietę, która słyszy głosy. – Co za belkot. – Takie *Solaris* w połączeniu z Noamem Chomskym i *Mężczyznami, którzy nienawidzą kobiet*. Z odrobiną *Twin Peaks*...

Hal nalewa sobie whisky z wodą sodową – słyszycie syk bąbelków? Jego głos ma obojętnie oskarżycielski ton:

– Crispin. Czy chcesz mi powiedzieć, że piszesz powieść fantasy?

– Ja? Oszalałeś? Jeśli fantasy, to tylko w jakiejś jednej trzeciej.

Najwyżej w połowie.

– Książka nie może być w połowie fantasy, tak jak kobieta nie może być w połowie w ciąży. Ile masz już stron?

– O, bardzo dobrze mi idzie. Jakies sto.

– Crispin, halo, to ja. Ile masz już stron?

Skąd on zawsze wie?

– Trzydzieści. Ale całą resztę mam już rozpisaną. Przysięgam.

Hal Hiena wypuszcza głośno powietrze przez rząd ostrych zębów.

– Ja pierdolę.

*

Wieloryb unosi ogon. Woda sływa po prądkowanej płetwie.

– Każda płetwa ogonowa jest niepowtarzalna – mówi przewodnik – a po jej wzorze badacze mogą rozpoznać poszczególne osobniki.

Patrzmy teraz, jak wieloryb się zanurza...

Płetwa rozcina wodę i znika pod powierzchnią, a wraz z nią przybysz z obcej krainy. Pasażerowie wpatrują się w miejsce po wielorybim ogonie, jakby na zawsze opuścił ich przyjaciel. Ja się wpatruję, jakbym przegapił jedno jedyne bliskie spotkanie z waleniem w chujowej podróży służbowej. Rodzina Amerykanów podaje sobie pudełko pełne muffinów, a ich troska, żeby każdy członek rodziny na pewno dostał po ciastku, podaje mi dożylnie 50 cl destylowanej zawiści. Dlaczego ja nie zaprosiłem na tę wycieczkę Juno i Anaïs, żeby moje dzieci też mogły do końca życia wspominać, jak były z tatą w Islandii? Silniki łodzi ozywają z warkotem i zawracamy w stronę Húsavíku. Miasteczko leży milę stąd, u podnóża posępnej góry. Zabudowania portowe, przetwórnia ryb, kilka restauracji i hoteli, kościół jak tort weselny, jeden dom towarowy, domy mieszkalne o spadzistych dachach, pomalowane na wszystkie kolory tęczy, maszty WiFi i wszystko inne, czego 2376 Islandczyków potrzebuje, żeby przetrwać z roku na rok. Ostatni raz kieruję wzrok na północ, w stronę zwartych brzegów ujścia zatoki, ku Oceanowi Arktycznemu, gdzie w mrocznych niebiesiach krąży gdzieś wieloryb.

20 września 2019

W połowie wędrówki na żywota kraniec nagle zgubiłem drogę w mrocznym lesie[14]. To rozwidlenie ścieżki, te smukłe brzozy, ten omszały głąz przechylony w tył ku niebu, jak głowa trolla. Zgubić drogę w jakimkolwiek lesie to w Islandii nie lada wyczyn, bo nawet mizerne zagajniczki są tu rzadkością. Gdy podróżowaliśmy z Zoë, ona nigdy nie pozwalała mi samemu orientować się w przestrzeni w naszej epoce sprzed nawigacji satelitarnej – twierdziła, że bezpieczniej się jeździ, kiedy ona trzyma atlas drogowy na kolanach. Moja mapa turystyczna Ásbyrgi niewiele mi pomaga: szeroki na milę, porośnięty lasem kanion w kształcie podkowy, zapadnięty sto metrów poniżej otaczającego go terenu, okala skalna ściana, wzdłuż której rzeczka tworzy rozlewiska i jeziora... A gdzie ja jestem w tej scenerii? Samogłoski rzeczki i spółgłoski drzew mówią w języku nie tak zupełnie obcym.

Niepostrzeżenie mijają minuty, a ja patrzę jak zahipnotyzowany na mrówki wędrujące po gałązce. Richard Cheeseman siedzi właśnie między jakimś policjantem a przedstawicielem ambasady, gdzieś nad Atlantykiem. Pamiętam, jak w Cartagenie jęczał, że festiwal nie opłacił mu lotu klasą biznes, ale po trzech latach w Penitencjarz Central nawet suka do przewozu więźniów z Heathrow do Yorkshire wyda mu się rolls-roycem silver shadow.

Wiatr niezdarnie rozwiewa pożółkłe liście...

*

...i nagle jeden z nich ląduje, drogi czytelniku, między moim

językiem a podniebieniem. No proszę. Listek brzozy. Nieprawdopodobne! Czujne palce wiatru wyrrywają mi jednak ten materiał dowodowy. Wierzby ustępują mi z drogi i przed moimi oczami wyrasta oto skała w samym sercu Ásbyrgi... Idealna, żeby zarzucił na nią kotwicę jakiś drakkar z żaglami z chmur albo żeby zacumował przy niej statek-baza z epsilon Eridani. W rozproszonym świetle słońca. Hal wyczuł, że moja książka o Chinach będzie totalnym gównem, i miał rację. Bo co – bo raz pojechałem na sześć dni do Szanghaju i Pekinu, i już wiedzą o Chinach dorównują Nickowi Greekowi? Chyba mnie pojechało. Lepiej zrobię z tego podróż po Islandii; mężczyzna, który przed czymś ucieka; masa nagłych retrospekcji; i powoli ujawnię, przed czym tak próbuje uciec. Sprowadzę go do Ásbyrgi; wspomnę, że rozpadlina to odcisk kopyta wierzchowca Odyna. Wspomnę, że to Parlament Ukrytego Ludu[15]. Niech wpatruje się w skalne ściany, aż skalne ściany odpowiedzą na jego spojrzenie. Niech wdycha głęboko żywiczny zapach świerków. Niech spotka ducha ze swojej przeszłości. Niech słyszy ptaka, który wabi mnie, bym za nimi szedł, bym zagłębiał się coraz dalej. Gdzie jesteś? Tam. Na pniaku obrośniętym falbaną muchomorów.

– To strzyżyk – powiedziała mama, odwracając się, żeby odejść.

* * *

Na przyjęciu z okazji moich dziesiątych urodzin gra w muzykalne krzesła przekształciła się w bitwę z zakładaniem nelsonów i skręcaniem turbopokrzywek na skórze przeciwnika. Mój ojciec się zwinął, zostawiając mamę i Ninę, naszą gosposię, żeby pacyfikowały rebelię do czasu, aż zjawi się pan Chimes, magik. Pan Chimes był alkoholikiem, bezrobotnym aktorzyną, staczającym się po równi pochyłej. Naprawdę nazywał się Arthur Hoare, a ojciec się nad nim

litował. Z ust tak mu śmierzdziało, że oddechem mógł topić plastik. Na moim przyjęciu na raz-dwa-trzy z kapelusza wyciągnął Magicznego Chomika Hermesa, ale Hermes został wcześniej rozplaszczony na śmierć, i okazało się, że jest cały we krwi, kale i własnych flakach. Moi koledzy wrzasnęli z obrzydzenia i radości. Pan Chimes odłożył zmasakrowanego gryzonia do popielniczki i rzekł: „»Śmierci, próżno się pysznisz; cóż, że wszędy słynie potęga twa i groza; licha w tobie siła, skoro ci, których – myślisz – jużes powaliła, nie umrą, biedna Śmierci; mnie też to ominie«[16]. Chłopcy”, pan Chimes pakował swoje rekwizyty, „John Donne kłamał, sukinsyn jeden”. Wtedy Kells Tufton oznajmił, że połknął jednego z moich ołowianych żołnierzyków, więc mama musiała go zawieźć do szpitala. Na straży została Nina, co było rozwiązaniem dalekim od ideału, bo Nina prawie nie mówiła po angielsku i cierpiała na okresy depresji, odkąd argentyńska junta wyrzuciła jej rodzeństwo z helikoptera nad południowym Atlantykiem. Moi koledzy nie mieli o niczym pojęcia, nie obchodziły ich żadne junty i zaczęli się bawić w powtarzanie wszystkiego, co mówi, aż Nina zamknęła się na klucz w pracowni na trzecim piętrze, gdzie ojciec zwykle pisał scenariusze. Teraz dopiero rozszalała się krwawa, mętna kipiela, zalewając wszelkie obrzędy niewinności[17] – aż chłopiec imieniem Mervyn wspiał się na regalik z dwunastoma półkami książek, który przewrócił się i go przywalił. Nina wezwała pogotowie. Ratownicy orzekli, że Mervyn wymaga natychmiastowego zabiegu, więc Nina pojechała z nim karetką, zostawiając mnie, żebym wyjaśniał rodzicom kolegów, dlaczego nasz dom przy Pembroke Place jest tak pozbawiony dorosłych, jak cały *Władca much* z wyjątkiem dwóch ostatnich stron. Mama i Nina wróciły po ósmej wieczorem. Ojciec dotarł do domu dużo później. Mówiono podniesionymi głosami. Trzaskano drzwiami. Następnego dnia rano obudził mnie warkot silnika jaguara XJ-S, auta ojca, w garażu pod

moim pokojem. Wyjechał do Shepperton Studios – akurat montował wtedy *Ganimedesa* 5. Jadłem sobie płatki kukurydziane z mlekiem i czytałem komiks *2000 AD*, kiedy usłyszałem, jak mama taszczy w dół po schodach walizkę. Powiedziała mi, że kocha mnie i Phoebe, ale tata złamał już zbyt wiele obietnic, więc ona musi odpocząć. I dodała: „Tym razem być może już na stałe”. Moje płatki kukurydziane rozmiękały na papkę, a ona ciągnęła, jak to dla niej roztańczone lata sześćdziesiąte były pasmem porannych nudności, prasowania pieluch, spierania glutów z chusteczek ojca i harowania za darmo dla Hershey Pictures. Jak to przymykała oko na romanse ojca z aktorkami, charakteryzatorkami i sekretarkami. I jak, kiedy była w ciąży z Phoebe, ojciec obiecał, że napisze film specjalnie dla niej i że go nakręci. Jej rola miała być złożona i subtelna, żeby podkreślić jej talent aktorski. Ojciec i jego współscenarzysta już kilka tygodni wcześniej skończyli pisać scenariusz *Domenica i hiszpańskiej królowej*. Mama miała grać księżniczkę Marię Barbarę, która w filmie zostawała tytułową królową. Tyle wiedzieliśmy wszyscy. Nie wiedzieliśmy natomiast, że dzień wcześniej, kiedy przy Pembroke Place szalała anarchia, do ojca zadzwonił szef Transcontinental Pictures i oddał słuchawkę Raquel Welch. Pani Welch powiedziała, że przeczytała scenariusz, że uznała go za absolutnie genialny i że zagra Marię Barbarę. Czy ojciec wyjaśnił, że to jego żona, która poświęciła dla rodziny własną karierę aktorską, będzie grała tę rolę? Nie. Powiedział: „Rachel, rola królowej jest twoja”. Ktoś zadzwonił do drzwi. To był brat mamy, wujek Bob, który po nią przyjechał. Mama powiedziała, że jeszcze się nauczę, że zdrada ma wiele imion, a zniweczyć czyjeś marzenie to zdrada niewybaczalna. Na drzewko bzu całe w kwiatach skoczył ptaszek. Drżało mu gardziółko – rodziły się w nim, a potem wypadały z dzióbka nuty. Powtarzałem sobie, że dopóki będzie śpiewał, a ja będę się w niego wpatrywał, nie rozplączę się.

– To strzyżyk – powiedziała mama i odwróciła się, żeby odejść.

*

Słońce już zaszło za wysoką krawędź Ásbyrgi, a zielenie macerują się do szarości i brązów. Liście i gałązki tracą trójwymiarowość. Czy kiedy wspominam matkę, przypominam sobie ją czy tylko moje wspomnienie o niej? Podejrzewam, że to drugie. Z minuty na minutę szklanka mroku napęlnia się coraz bardziej i nie bardzo się orientuję, gdzie zostawiłem mitsubishi. Czuję się jak podróżnik w czasie z powieści Wellsa, oddzielony od swojego wehikułu. Powinienem zacząć się niepokoić? Co się właściwie może stać? No cóż, mogę nigdy nie znaleźć drogi z kanionu i umrzeć z pragnienia i hipotermii. Ewan Rice napisałby mój nekrolog do „Guardiana”. Ale czy na pewno? Na parapetówce, którą wyprawilem w zeszłym roku jesienią, i która była jednocześnie okazją do przedstawienia Carmen moim znajomym, Ewan wychodził z siebie, żeby podkreślić, że jest samcem alfa, a literatura to jego terytorium: kolacja ze Stevenem Spielbergiem przy okazji ostatniej wizyty w Los Angeles; pięćdziesiąt tysięcy dolarów za wykład na Columbii; zaproszenie do kapituły Pulitzera – „Zobaczę, czy dam radę to gdzieś wcisnąć, jestem straszliwie zajęty”. Więc może i nie napisałby nekrologu. Moja siostra Phoebe tęskniłaby za mną, chociaż odkopywaliśmy topory wojenne po dwudziestu minutach spotkania. Myślę, że Carmen byłaby zrozpaczona. Obwinałaby się o moją śmierć. Kochana Holly zajęłaby się całą logistyką, od początku do końca. Razem z Aoife przyćmiłyby wszystkich na moim pogrzebie. Hal Hiena o mojej śmierci wiedziałby jeszcze przede mną, ale czyby mu mnie brakowało? Jako klient wyraźnie nie spełniam oczekiwań. A Zoë? Zoë zauważyłaby dopiero, kiedy na konto przestałyby wpływać alimenty, a dziewczynki

wypląkałyby sobie oczy. Przynajmniej Anaïs raczej na pewno.

Co za absurd! Jestem w nie za dużym lasu, nie w jakiejś nieprzemierzonej puszczy. Na parkingu stało kilka przyczep kempingowych. Może po prostu zacznę krzyczeć „Pomocy!”? Nie. Jestem facetem. Crispin Hershey, Enfant Terrible Brytyjskiej Literatury nie woła o pomoc. Po prostu nie mogę. Tam leży jakiś omszały głaz, który wygląda jak głowa trolla, przebijająca się przez cienki sufit ziemi.

*

...jakaś sztuczka tego światła dalekiej północy sprawia, że wąski wycinek z zalesionych trzystu sześćdziesięciu stopni pola mojego widzenia – w tym omszały głaz i znak „x” za nim, który tworzą dwa opierające się o siebie pnie – migocze i faluje, jak powiewające na wietrze płótno. Powiewające na wietrze, którego nawet nie ma...

Nie – spójrzcie! Pojawia się jakaś dłoń i odsuwa płótno na bok, a właściciel owej dłoni wychodzi teraz ze szczeliny w rozciętym powietrzu. Jak w magicznej sztuczce – naprawdę bardzo, bardzo zdumiewającej. Przede mną, w środku lasu, materializuje się młody mężczyzna o blond włosach, ubrany w marynarkę i dżinsy. Ma około dwudziestu pięciu lat i urodę modela. Wpatruję się w niego zadziwiony – czy właśnie... widzę ducha? Pod jego zamszowymi półbutami trzaska gałązka. Żaden duch i żadne „materializuje się”, idioto. Mój „duch” to po prostu turysta, jak ja. Prawdopodobnie z jednej z przyczep kempingowych. Pewnie był się wysrać. Pomyliłeś się, bo zapada zmierzch. Bo kolejny dzień spędzasz tylko sam ze sobą. Mówię mu:

– Dobry wieczór.

– Dobry wieczór, panie Hershey. – Jego angielski, wskazujący na

drogie szkoły, brzmi zdecydowanie bardziej brytyjsko niż syczący islandzki akcent.

Przyznaję, że zrobiło mi się miło.

– Mój Boże. Nie sądziłem, że ktoś mnie tu rozpozna.

Mężczyzna podchodzi w moją stronę kilka kroków, aż stajemy na wprost siebie na wyciągnięcie ręki. Wygląda na zadowolonego.

– Jestem wielbicielem pańskiej twórczości. Hugo Lamb – mówi, po czym uśmiecha się uśmiechem ciepłym i pełnym uroku, jakbym był jego zaufanym przyjacielem, którego zna od lat.

Ja zaś czuję, że łaknę jego słów uznania.

– Miło, hm, pana poznać, Hugo. Akurat znalazł mnie pan w krępującej sytuacji, zgubiłem drogę na parking...

Hugo kiwa głową, a jego twarz znów przybiera zamyślony wyraz.

– Ásbyrgi wszystkim płata takie figle.

– Mógłby mi pan zatem wskazać właściwą drogę?

– Mógłbym. Wskażę. Ale najpierw zadam panu kilka pytań.

Robię krok w tył.

– Pytań... o moje książki?

– Nie, o Holly Sykes. Jak rozumiemy, łączy was bliska znajomość.

Ogarnia mnie konsternacja, gdy uświadamiam sobie, że Hugo jest jednym ze świrów zapatrzonych w Holly. Potem ogarnia mnie wściekłość, gdy dociera do mnie, że nie, to „reporter” z jakiegoś tabloidu – Holly miała niedawno zatarg z jakąś grupą paparazzich w swoim nowym domu w Rye.

– Z ogromną chęcią przedstawiłbym panu najważniejsze fakty dotyczące mojej znajomości z Hol – posyłam przystojniakowi szyderczy uśmiech – ale problem w tym, kochany, że to nie wasz zasrany interes.

Hugo Lamb pozostaje absolutnie niewzruszony.

– O, myli się pan. Osoba Holly Sykes leży bezwzględnie w kręgu

naszych zainteresowań.

Zaczynam się cofać.

– Bardzo być może. Żegnam.

– Będzie panu potrzebna moja pomoc w wydostaniu się z Ásbyrgi – zaznacza młodzieniec.

– Pańską pomoc może pan sobie z gracją wsadzić w odbyt. Holly to osoba prywatna, ja również, i bardzo cenię sob...

Hugo Lamb wykonuje dłonią przedziwny gest i jakaś siła unosi moje ciało dziesięć stóp nad ziemię, po czym ściska je, jakby dłonią niewidzialnego olbrzyma: chrzęszczą mi żebra, skrzypią nerwy w kręgosłupie, a ból jest nie do opisania. Błaganie o litość lub wydanie z siebie okrzyku staje się niemożliwe, ale podobną niemożliwością jest wytrzymanie tej tortury choćby sekundę dłużej, jednak sekundy mijają, myślę, że to sekundy, ale równie dobrze dni, aż w końcu nie zostaję upuszczony, tylko rzucony na leśną ściółkę.

Twarz mam wciśniętą w zbutwiałe liście. Charczę, dygoczę i skomlę nawet, gdy ból ustępuje. Podnoszę wzrok. Hugo Lamb ma minę jak chłopiec, który wyrывa odnóża długonogiemu pająkowi: na jego twarzy maluje się umiarkowane zainteresowanie i triumfalna zła wola. Paralizator wyjaśniałby ten obezwładniający ból, ale jak wytłumaczyć wiszenie dziesięć stóp nad ziemią? Jakiś atawizm gasi jednak we mnie tę ciekawość – muszę uciec od tego człowieka. Obsikałem się, ale jest mi wszystko jedno. Nie mogę poruszać stopami, a jakiś odległy głos chyba ryczy do mnie: „Już nigdy nie będziesz chodził o własnych siłach”, ale ja nie będę tego słuchał, nie mogę, nie mam odwagi. Czołgam się w tył, a potem podciągam do pionu, opierając się o duży pień. Hugo Lamb wykonuje kolejny ruch, a pode mną uginają się nogi. Tym razem nie czuję bólu. Co gorsza, nie czuję prawie nic. Od pasa w dół straciłem wszelkie czucie. Dotykam uda. Moje palce rejestrują udo, ale moje udo nie rejestruje

niczego. Hugo Lamb podchodzi do mnie – kulę się w sobie – i przysiadła na pieńku.

– Nogi się przydadają – stwierdza. – Chcesz odzyskać swoje?

Głos mi drży przeraźliwie:

– Kim pan jest?

– Jak widzisz, kimś niebezpiecznym. Z pewnością poznajesz te dwie uroczę panny. – Wyciąga z kieszeni mały kwadracik i pokazuje mi paszportowe zdjęcie Anaïs, Juno i moje, które zgubiłem kilka dni temu. – Odpowiedz szczerze na moje pytania, a będą miały szansę na długie, szczęśliwe życie, jak każda uczennica Outremont Lycée.

Takich przystojnych młodzieńców widuje się w złym tripie po kwasie. Najwyraźniej ukradł to zdjęcie, ale jak i kiedy, nie mam pojęcia. Kiwam głową.

– Zacznijmy. Kto dla Holly Sykes jest najdroższą osobą na świecie?

– Jej córka – chrypię w odpowiedzi. – Aoife. Żadna tajemnica.

– Dobrze. Czy macie z Holly romans?

– Nie. Nie. Jesteśmy tylko przyjaciółmi. Słowo.

– Z kobietą? To dla pana nietypowe, panie Hershey.

– Być może, ale z Holly mamy taki właśnie układ.

– Czy Holly wspominała kiedykolwiek o Esther Little?

Przełykam ślinę i kręcę głową.

– Nie.

– Zastanów się dobrze: Esther Little.

Myślę. Czy też usiłuję myśleć.

– Nigdy o niej nie słyszałem. Przysięgam. – W moim głosie słychać śmiertelne przerażenie.

– Co Holly ci mówiła o swoich zdolnościach kognitywnych?

– Tylko to, co napisała w książce. W *Ludziach z Radia*.

– Tak, nie można się oderwać od lektury. Czy widziałeś kiedykolwiek, jak Holly staje się medium dla innego głosu? – Hugo

Lamb zauważa drobny moment mojego zawahania. – Nie każ mi, jak na tanich filmach, odliczać od pięciu do zera, zanim cię potraktuję prądem. Twój fani dobrze wiedzą, że nie cierpisz banału.

Rozpadlina staje się jeszcze głębsza, kiedy pochylają się drzewa.

– Dwa lata temu na Rottneest Island, niedaleko Perth, Holly zemdląca, a z jej ust wydobywał się dziwny głos. Myślałem, że to atak epilepsji, ale Holly zaczęła opowiadać o cierpieniach, jakie przeżywali więźniowie, a potem... zaczęła mówić w języku Aborygenów... i... to wszystko. Uderzyła się w głowę. A potem oprzytomniała.

Hugo Lamb stuka palcem w nasze zdjęcie. Po części jestem ciągle w stanie analizować to, co dostrzegają moje oczy. Mimo że Hugo Lamb ma młodą twarz, coś w jego spojrzeniu i w umiejętności skupienia myśli, jest dużo starsze.

– A może mówiła o Kaplicy Zmierzchu?

– Kaplicy czego?

– Albo o Anachoretach? O Katarze Ślepcu? O Czarnym Winie?

– Pierwsze słyszę te nazwy. Przysięgam.

Hugo stuka palcem w nasze zdjęcie z dziewczynkami.

– A co wiesz o Horologii?

Czuję się tak, jakbym brał udział w jakimś demonicznym quizie.

– O horologii? To nauka o pomiarze czasu. Albo o starych zegarach.

Nachyla się nade mną. Mam wrażenie, że jestem mikroblem na szkiełku badacza.

– Powiedz, co wiesz o Marinusie.

Czuję się ohydnie, jak kapuś, ale mam nadzieję, że to ocali moje córki, odpowiadam więc upiornemu człowiekowi, który mnie przesłuchuje, że Marinus był psychiatrą dziecięcym w szpitalu Great Ormond Street.

– O nim też napisała Holly w książce.

– Czy spotkała się z Marinusem, kiedy już ją znałeś?

Kręcę głową.

– Byłby już bardzo, bardzo stary, jeśli w ogóle jeszcze żyje.

Czy jakaś kobieta śmieje się gdzieś na skraju mojego słuchu?

– A co to jest – Hugo Lamb uważnie mnie obserwuje – Gwiazda Rygi?

– To stolica Estonii. Nie. Łotwy. Albo Litwy. Nie jestem pewien. W każdym razie jednego z krajów bałtyckich. Przepraszam.

Hugo Lamb zastanawia się, nie odrywając ode mnie wzroku.

– Skończyliśmy.

– Ale... ja... ja powiedziałem całą prawdę. Absolutnie całą. Niech pan nie robi krzywdy moim dzieciom.

On zeskakuje z omszałego głazu i odchodzi, rzucając przez ramię:

– Jeżeli ich tatuś mówił prawdę, Juno i Anaïs nie mają się czego obawiać.

– Pan... pan... pan mnie puszcza? – Dotykam nóg. Nadal nic w nich nie czuję. – Halo! Moje nogi! Bardzo pana proszę!

– Wiedziałem, że o czymś zapomniałem. – Hugo Lamb zawraca. – À propos, ten krytyk, Cheeseman, obszedł się z *Niech ucichnie echo* zupełnie skandalicznie. Ale za to ty w odwecie też go zrobiłeś po mistrzowsku.

– Lamb uśmiecha się powściągliwie jak konspirator. – Nigdy nie odkryje prawdy, chyba że ktoś zaszczepi mu taką myśl w głowie. Przykro mi, że masz mokre spodnie. Parking jest w lewo na ostatnim rozwidleniu. Tyle zapamiętasz. Całą resztę zredaguję. Gotowy?

Jego wzrok przykuwa moje spojrzenie. Między palcami wskazującymi i kciukami Hugo Lamb skręca powietrze w nici, a potem mocno ciągnie...

*

...omszały gład, wielki jak głowa leżącego na boku trolla

dumającego nad złem tego świata. Siedzę na ziemi i nie pamiętam, żebym się przewrócił, ale musiałem, bo wszystko mnie boli. Jak się, do jasnej cholery, znalazłem na ziemi? Miałem mikrowylew? Zaczarowały mnie elfy Ásbyrgi? Musiałem chyba... Co? Usiąść na chwilę, żeby złapać oddech i przysnąć. Czuję podmuch wiatru, drzewa drżą, a jeden żółty liść kręci w powietrzu spirale i jakimś szczęśliwym trafem ląduje prosto na mojej dłoni. No proszę. Już drugi raz dzisiaj przypomina mi się magik, pan Chimes. Gdzieś w pobliżu jakaś kobieta wybucha śmiechem. Niedaleko jest kemping. Wstaję i zauważam wielką, zimną plamę na moim udzie. O. Aha. Słynnemu *Enfant Terrible* Brytyjskiej Literatury przytrafił się mały wypadek natury urologicznej. Na całe szczęście nigdzie tu nie ma krytyków z „*Piccadilly Review*”. Mam dopiero pięćdziesiąt trzy lata – chyba jeszcze za wcześnie na pieluchy? Plama jest wilgotna i zimna, jakby to stało się nie więcej niż dwie minuty temu. Dzięki Bogu, jestem tuż obok parkingu, gdzie mam czyste bokserki i spodnie. Wracam na rozwidlenie, potem skręcam w lewo. Musimy się śpieszyć, drogi czytelniku. Lada chwila zapadnie noc.

14 Tak brzmi pierwszy wers *Piekle* Dantego (przyp. tłum.).

15 Huldufólk – islandzkie określenie elfów (przyp. tłum.).

16 Fragment *Sonetu X* Johna Donne’a, przekład Stanisława Barańczaka (przyp. tłum.).

17 Wers z *Powtórnego przyjścia* W.B. Yeatsa (przyp. tłum.).

23 września 2019

Wygląda na to, że Halldór Laxness wydał większość kasy z Nagrody Nobla na Gljúfrasteinn, biały, klockowaty dom z lat pięćdziesiątych pośrodku zasnutej mgłą doliny pod Reykjavikiem. Z zewnątrz przypomina mi klub squasha, jakich w latach siedemdziesiątych sporo było pod Londynem. Nieopodal rzeka toczy wzburzone wody przez tę przeważnie bezdrzewną jesień. Na podjeździe stoi kremowy jaguar, jota w jotę jak ten, jakiego miał ojciec. Kupuję bilet u zajętej robieniem na drutach miłej pani na ciepłej posadce i idę dalej, w stronę samego domu, gdzie zgodnie z otrzymanymi instrukcjami włączam audioprzewodnik. Mój cyfrowy cicerone opowiada mi o obrazach, modernistycznych lampach i zegarach, o niskich szwedzkich meblach, niemieckim pianinie, drewnianych parkietach, uchwytach z wiśniowego drewna, skórzanych tapicerkach. Gljúfrasteinn jest jak kapsuła czasu i stanowi jak najbardziej właściwy obiekt dla muzeum pisarza. Wchodząc po schodach, rozmyślam nad przyszłym muzeum Crispina Hersheya. Oczywiście miejscem byłby stary rodzinny dom przy Pembroke Place, gdzie mieszkałem zarówno w dzieciństwie, jak i sam będąc ojcem. Szkopuł w tym, że tydzień po przekazaniu przeze mnie kluczy ekipa budowlana kochany stary dom kompletnie wybebeszyła, podzieliła na sześć mieszkań i sprzedała inwestorom z Rosji, Chin i Arabii Saudyjskiej. Odkupienie go, ponowne połączenie w jedno i renowacja byłyby zadaniem wymagającym znajomości wielu języków i zabójczo kosztownym, dlatego mój obecny dom przy East Heath Lane w Hampstead stanowi najbardziej prawdopodobną kandydaturę – oczywiście pod warunkiem, że Hal Hiena wyperswaduje zamiar odebrania mi go

prawnikom z Bleecker Yard and Erebus. Wyobrażam sobie pełnych czci zwiedzających, którzy nabożnie gładzą lakierowane poręcze i szepczą z przejęciem: „Mój Boże, to na tym laptopie napisał powieść o Islandii, jego wielki triumf literacki!”. Sklep z pamiątkami można będzie wcisnąć w miejsce kibla na dole – breloczki z Crispinem Hersheyem, podkładki pod myszkę z *Suszonymi embrionami* i świecące w ciemnościach figurki. Ludzie kupują w muzeach taki szajs. Jak już się tam znaleźli, nie wiedzą, co innego mają robić.

Mój cyfrowy przewodnik wspomina na piętrze, że państwo Laxness zajmowali dwie oddzielne sypialnie. Czyli tak. Skądś to znam. Na biurku Laxnessa stoi jego maszyna do pisania – czy też, bardziej precyzyjnie, maszyna do pisania jego żony, bo to ona przepisywała mu manuskrypty. Swoją debiutancką powieść napisałem na maszynie, ale *Wandy portret olejny* powstał na używanym komputerze marki Brittan, który dostałem po ojcu w prezencie urodzinowym, a od tamtego czasu były już tylko coraz lżejsze, coraz przyjaźniejsze laptopy. Dla większości pisarzy ery cyfrowej pisanie to w istocie przepisywanie. Szukamy po omacku, wycinamy, grupujemy, wklejamy, miotamy się, przesiewamy na ekranie piasek w poszukiwaniu złota, wyrzucając całe kubły szlamu. Nasi analogowi przodkowie musieli najpierw cyzelować każde zdanie w myślach, zanim wystukali je mechanicznie. Przepisywanie kosztowało ich miesiące pracy, kilometry nasączzonej tuszem taśmy i całe wiadra tipp-exu. Biedacy.

Z drugiej strony, jeśli technologia cyfrowa jest rzekomo doskonalsza jako akuszerka powieści, to gdzie są te arcydzieła tego wieku? Wchodzę do małej biblioteki, gdzie Laxness chyba trzymał nadmiar swoich książek, i pochylam głowę, by napawać się tytułami. Wiele wydań w twardej oprawie po islandzku, chyba po duńsku, niemiecku, angielsku... I, o rany – *Suszone embriony!*

Zaraz, to wydanie z 2001 roku...

...a Laxness zmarł w 1998. No tak.

Cóż, miły gest ze strony Ukrytego Ludu.

*

Gdy schodzę na parter, ustępuję z drogi przed oddziałem nastolatków. Dokąd Juno i Anaïs jeżdżą w Montrealu na szkolne wycieczki? Nie wiem, i to mnie smuci. Jestem ojcem na odległość i na pół etatu. Te dzieci Islandii dwudziestego pierwszego wieku są podłączone do słuchawek, ale i tak emanuje z nich nordycka pewność siebie i poczucie dobrostanu, nawet z dwóch Afroislandczyków i z dziewczyny w muzułmańskiej chuście. U wszystkich rok urodzenia zaczyna się od „2” i muszą zjechać zaledwie cal w dół, żeby odnaleźć datę w internetowym formularzu. Unosi się za nimi zapach odżywki do włosów i płynu do płukania tkanin. Ich sumienia nie mają najmniejszych wgnieceń, jak auta w salonie dilerka, i wszyscy obrali za cel środek sceny świata, gdzie nam, starym pierdzielom, rzucają wyzwanie, przewyższają nas i będą traktować protekcjonalnie na imprezach z okazji naszego przejścia na emeryturę, tak samo jak my się zachowywaliśmy, kiedy byliśmy tacy piękni jak oni. Szyki zamyka ich nauczycielka, uśmiechając się do mnie w podziękowaniu, a gdy mnie mija, odsłania przed moim wzrokiem piękne lustro na schodach domu Laxnessów. Z głębi jego kwadratowej studni, pełnej szarości, patrzy na mnie wychudły sobowtór Anthony’ego Hersheya. No proszę bardzo. Oto dokonała się moja metamorfoza w ojca. Czy jakiś zły duch w Ásbyrgi wyssał ze mnie resztkę młodości? Włosy mam rzadsze, cerę zmęczoną, przekrwione oczy. Szyja wiotczeje mi i zwisa jak u indyka... Przywołuję w myślach cytat z Tagore’a, ku pokrzepieniu własnego serca: „Młodość jest koniem, a dojrzałość – woźnicą rydwanu”. Starzejące się usta mojego ojca ściągają się w szyderczy

uśmieszek i mówią: „Nie widzę żadnego woźnicy rydwanu. Widzę jakiegoś wykładowcę socjologii na trzeciorzędnym uniwersytecie, który właśnie dowiedział się, że jego wydział zostaje zamknięty, bo oprócz przyszłych wykładowców socjologii nikt inny już socjologii nie studiuje. Jesteś żalony, chłopcze. Słyszysz? Żalony”.

Najlepsze lata mojego życia przemijają, przemijają, przeminięły...

*

Schodząc mozolnie do mitsubishi, które czeka na małym parkingu w Gljúfrasteinn, sprawdzam godzinę na ekranie komórki – i znajduję wiadomość od Carmen Salvat. Nie jest to, niestety, wiadomość, na jaką bym czekał.

czesc crispin, mozemy porozmawiac? serdecznosci c.

Obruszam się. Moja dusza nadal cierpi po tym, jak zostałem porzucony, ale jakoś sobie z tym radzę. Nie chcę musieć sobie z tym teraz od-radzać albo od-od-radzać. Wszelkie emocje przyjmujemy do wnętrza, a ból po stracie związku nie jest czymś, co chciałbym wchłaniać. „Serdeczności” to kod Carmen, który *de facto* oznacza „nigdy do siebie nie wrócimy”, a „cześć” to pisemny ekwiwalent chłodnego cmoknięcia w powietrze obok policzka, zamiast w sam policzek.

wolalbym nie przez jakis czas, jesli pozwolisz. to nadal boli i jestem juz zmeczony tym bolem. przykro mi, powodzenia. c.

Wciskam „wyślij” i z miejsca żałuję, że ostrożniej nie dobrałem słów, bo moja odpowiedź zaświadcza, że jestem nadąsany i/lub użalam się nad sobą. Rzeka robi nagle strasznie dużo hałasu, aż to nie do zniesienia – jak Laxness w ogóle mógł tu cokolwiek napisać, do bladej kurwy? Chmury, które zasnuwają niebo, są ciężkie jak ołów, a nie niewzruszone jak Zen. Dzień staje się coraz bardziej podeszły wiekiem, a jego znaczenia przecinają się i tworzą krzyżówkę, której

nie potrafię rozwiązać i która mnie przygnębia, zamiast inspirować, jak dawniej. Nie jestem tak dobrym pisarzem, jak Halldór Laxness. Nie jestem nawet tak dobrym pisarzem, jak młodszy Crispin Hershey. Jestem takim samym głównianym ojcem, który ucieka przed zobowiązaniami, jak mój własny ojciec, tylko że jego filmy przetrwają dłużej niż moje przecenione powieści. Ubrania mam wygniecione. Mój wykład zaczyna się o wpół do ósmej. Serce nadal mam całe w emocjonalnych strupach i nie chcę, żeby mi je rozdrapywała hiszpańska eksprzyjaciółka.

Nie. Nie możemy porozmawiać. Wyłączam telefon.

*

– Temat mojego wykładu brzmi: „Nigdy nie nie myśleć o Islandii”.

W Domu Literatury zjawilo się całkiem sporo osób, ale połowa z dwustu słuchaczy przysła, bo wyprzedano wszystkie bilety na koncert Bonny’ego Prince’a Billy’ego, a jakaś część siwowłosego kontyngentu siedzi tu, bo kocha filmy ojca. Jedyne znajome twarze to Holly, Aoife i chłopak Aoife, Örvar. Wysyłają mi dobre wibracje z pierwszego rzędu.

– Ten akrobatyczny tytuł – ciągnę – pochodzi z uwagi przypisywanej W.H. Audenowi, a wygłoszonej tutaj, w Reykjaviku, z tego co wiem, wręcz z tej samej mównicy, w obecności waszych rodziców i dziadków. Auden powiedział, że chociaż nie spędził życia, myśląc o Islandii co godzinę każdego dnia, to jednak przyznał: „nie było tak, żebym nie myślał o Islandii”. Cóż za smakowite, zagadkowe stwierdzenie. „Nigdy nie nie myśleć o Islandii”. Dlaczego nie powiedzieć po prostu: „Zawsze myśleć o Islandii”? Ponieważ, oczywiście, podwójne przeczenia przemycają prawdę i przechytrzają cenzorów. Dziś chciałbym przyjrzeć się temu podwójnemu

przeczeniu Audena – podnoszę lewą dłoń, wnętrzem do góry – a także dwóm aspektom pewnego faktu dotyczącego natury pisarstwa – prawa dłoń wnętrzem do góry. – A mianowicie, że, by pisać, potrzeba pióra i jakiegoś miejsca. Może być gabinet i maszyna do pisania, może być laptop i Starbucks, nieważne, bo pióro i miejsce są tylko symbolami. Symbolami środków pisarskich oraz tradycji. Poeta do pisania używa oczywiście pióra, ale sam tego pióra nie robi. Kupuje je, pożycza, dostaje w spadku, kradnie czy też w inny sposób wchodzi w jego posiadanie. W podobny sposób poeta zamieszkuje jakąś tradycję poetycką i pisze z jej wnętrza, ale żaden poeta w pojedynkę takiej tradycji nie stworzy. Nawet jeśli postanawia wymyślić nową poetykę, może uczynić to jedynie w reakcji na to, co zastał. Żaden Johnny Rotten nie może istnieć bez Bee Geesów.

Ani pół uśmiechu wśród islandzkiej publiczności – może Sex Pistols nigdy nie dotarli aż tak daleko na północ? Holly posyła mi uśmiech i nagle z niepokojem dostrzegam, że bardzo ostatnio schudła i zmizerniała.

– Wracając do Audena i do jego „nigdy nie nie” – ciągnę. – Ja tę jego uwagę rozumiem w sposób następujący: jeśli ktoś pisze powieści czy poezje w jakimkolwiek europejskim języku, pióro w jego dłoni dawno, dawno temu było gęsim piórem, trzymanym przez jakiegoś Islandczyka. Czy pisarzowi się to podoba, czy nie, czy zdaje sobie z tego sprawę, czy nie, nie ma to znaczenia. Jeśli ktoś chce za pośrednictwem prozy mówić o pięknie, prawdzie i bólu istnienia, jeśli chce nadać postaciom głębię poprzez dialog i akcję, jeśli chce zjednoczyć w literaturze pięknej to, co osobiste, co przeszłe i co polityczne, jego cele są takie same, jak te, które przyświecały autorom islandzkich manuskryptów, tworzonych właśnie tutaj, siedem, osiem, dziewięć wieków temu. Twierdzę, że autor *Sagi o Njalu* stosuje te same triki pisarskie, których później użyją Dante i Chaucer, Szekspir i

Molier, Victor Hugo i Dickens, Halldór Laxness i Virginia Wolf, Alice Munro i Ewan Rice. Jakie to triki? Psychologiczna złożoność, rozwój postaci, błyskotliwe zdanie kończące scenę, czarne charaktery, niewyzute jednak do końca ze szlachetności, bohaterowie pełni cnót, niepozbawieni wszakże podłych cech, wybieganie w przyszłość i cofanie się do wspomnień, przebiegłe mylenie tropów. Nie mówię, oczywiście, że pisarze w starożytności nie mieli pojęcia o tych wszystkich sztuczках, ale – w tym momencie kładę pod młotek jaja i moje, i Audena – w sagach o Islandii, po raz pierwszy w zachodniej kulturze, znajdujemy protopowieściopisarzy przy pracy. Pół tysiąca lat przed powstaniem powieści jako gatunku sagi są pierwszymi powieściami świata.

Albo publiczność mnie słucha albo tylko przysypia z otwartymi oczami. Odwracam kolejną stronę notatek.

– Tyle, jeśli chodzi o pióro. Przejdźmy teraz do miejsca. Z punktu widzenia mieszkańców Europy kontynentalnej Islandia jest oczywiście skalistą wyspą, w przeważającej mierze bezdrzewną, w przeważającej mierze zimną, na której usiłuje przetrwać jedna trzecia miliona ludzkich istnień. Za mojego życia Islandia trafiła na czołówki gazet dokładnie cztery razy: z powodu wojen dorszowych w latach siedemdziesiątych; jako miejsce rozmów Reagana z Gorbaczowem o kontroli zbrojeń; jako jedna z pierwszych ofiar kryzysu z roku dwa tysiące ósmego; i jako źródło chmury popiołu wulkanicznego, która uziemiła lotnictwo Europy w roku dwa tysiące dziesiątym. Jednakże to zewnętrzne krawędzie definiują kształt wszelkich wysp, brył i bloków, zarówno geometrycznych, jak i politycznych. Tak jak orientalizm uwodzi wyobraźnię pewnego typu mieszkańca Zachodu, tak Islandia przyciąga pewien typ południowca z siłą znacznie większą niż jej masa lądowa i jej kulturowe znaczenie. Pyteasz, grecki kartograf, który żył około trzeciego wieku przed naszą

erą w spalonej słońcem krainie na odległym krańcu starożytnego świata, czuł tę siłę przyciągania i umieścił was na swojej mapie: Ultima Thule. Tę siłę przyciągania czuli chrześcijańscy pustelnicy z Irlandii, którzy wypływali na morze swoimi korakłami. Czuli ją też w dziesiątym wieku uciekinierzy przed wojną domową w Norwegii. To ich wnukowie napisali islandzkie sagi. Sir Joseph Banks, spora grupa wiktoriańskich uczonych w liczbie wystarczającej, by zatopić cały drakkar, Jules Verne, nawet brat Hermana Göringa, którego Auden i MacNeice zauważyli tutaj w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku – wszyscy oni czuli siłę przyciągania północy, waszej północy, i myślę, że wszyscy oni, podobnie jak Auden, nigdy nie nie myśleli o Islandii.

Lampy w Domu Literatury, z kłozkami w kształcie UFO, zapalają się.

– Pisarze nie piszą w pustce. Piszemy w fizycznej przestrzeni, w pokoju, a najlepiej w domu, takim jak Gljúfrasteinn Laxnessa, ale piszemy także w przestrzeni wyobraźni. Pośród pudeł, skrzynek, półek i szafek pełnych rupieci. Pełnych skarbów, zarówno kulturowych – rymowanek dla dzieci, mitologii, historii, tego, co Tolkien nazywał „kompostem” – jak i skarbów osobistych – telewizji dla dzieci, domowych kosmologii, opowieści, jakie słyszymy od naszych rodziców albo później od naszych dzieci. I, co bardzo ważne, te szafki i pudła są pełne map. Map mentalnych. Map z krawędziami. A dla Audena i dla tak wielu z nas to właśnie krawędzie map są takie fascynujące...

*

Holly wynajmuje tu mieszkanie od czerwca, ale za dwa tygodnie i tak przeprowadza się z powrotem do Rye, więc jej lokum jest

urządzone bardzo skromnie, niezagracone i schludne. Ma podłogi z orzecha i kremowe ściany, a za oknami rozciąga się piękny widok na mozaikę dachów Reykjavíku, których spadziste połacie schodzą ku atramentowej zatoce. Gdy ze wszystkiego wokół uchodzi kolor, uliczne latarnie porządkują jasnymi punkcikami bezmiar północnego zmierzchu, a trzy statki wycieczkowe jarzą się światłami na wodach portu, niczym trzy pływające Las Vegas. Nad zatoką wyrasta długi górski masyw, jak cielsko wieloryba, a właściwie wyrastałby, gdyby chmury nie wisiały tak nisko. Örvar mówi, że ta góra nazywa się Esja, ale przyznaje, że nigdy się na nią nie wspinał, bo jest tak blisko, tuż za progiem. Prawym sierpowym rozprawiam się z ogarniającym mnie przemożnym pragnieniem zamieszkania tutaj. Przemożnym pewnie dlatego, że całkowicie nierealnym – nie sądzę, żebym przetrwał tu chociaż jedną zimę, kiedy dzień trwa trzy godziny. Holly, Aoife, Örvar i ja jemy wegetariańską musakę i popijamy dwiema butelkami wina. Pytają mnie, jak minął mi tygodniowy wypad po Islandii. Aoife opowiada o swoich letnich wykopaliskach w osadzie z X wieku niedaleko Egilsstaðir i nakłania miłego, ale małomównego Örvara, żeby opowiedział o pracy nad genetyczną bazą danych, która zmapowała całą islandzką populację.

– U kobiet w wieku powyżej osiemdziesięciu lat znaleziono DNA rdzennych Amerykanów – opowiada mi Örvar. – To dowodzi ponad wszelką wątpliwość, że sagi winlandzkie są oparte na historycznej prawdzie, a nie na myśleniu życzeniowym. Kobiety mają też dużo DNA irlandzkiego.

Aoife opisuje aplikację, która każdemu żyjącemu Islandczykowi może powiedzieć, czy i jak blisko jest spokrewniony z każdym innym żyjącym Islandczykiem.

– Potrzebowali jej od lat – Aoife klepie leżącą na stole dłoń Örvara – żeby unikać niezręcznych chwil na drugi dzień rano: „Na Thora, czy

właśnie posuwałem kuzynkę?”. Prawda, Örvar?

Biedak Örvar czerwieni się i mamrocze coś o koncercie, który się właśnie gdzieś zaczyna. Jak mówi Aoife, każdy mieszkaniec Reykjavíku poniżej trzydziestki gra w przynajmniej jednym zespole. Aoife i Örvar wstają teraz, żeby już pójść, i życzą mi *bon voyage*, bo wylatuję jutro z samego rana. Aoife przytula się do mnie jak siostrzenica, a Örvar mocno ściska mi dłoń i dopiero teraz przypomina sobie, że przyniósł mi do podpisania *Suszone embriony*. Kiedy zawiązuje buty, usiłuję wymyśleć coś błyskotliwego, co upamiętni tę okazję, ale nic błyskotliwego nie przychodzi mi do głowy.

„Örvarovi, z najlepszymi życzeniami, Crispin”.

Usiłowałem być błyskotliwy od czasu *Wandy portertu olejnego*.

Kiedy daję sobie z tym spokój, nagle czuję się wolny.

*

Mieszam, mieszam i mieszam, aż liście mięty stają się jasnozielonymi rybkami w wodnym wirze.

– Gwoździem do trumny dla mnie i Carmen – mówię Holly – była Wenecja. Jeżeli już nigdy nie będę musiał tam jeździć, umrę szczęśliwy.

Holly ma zdumioną minę.

– Dla mnie było tam raczej romantycznie.

– W tym problem. Całe to piękno jest, kurwa, nie do wytrzymania. Ewan Rice twierdzi, że Wenecja to stolica rozwodów. Jedna z jego najlepszych książek tam się rozgrywa. O rozwodzie. Wenecja to ludzkość w najgorszym wydaniu, bezczelnie orzynana i orzynająca innych... Raz rzuciłem do Carmen jakąś zgryźliwą uwagę o parasolce, którą kupiła po paskarskiej cenie, naprawdę jakiś pierd, wygłaszam takich dwadzieścia dziennie, ale zamiast go zbyć, Carmen zrobiła

minę jakby prosiła: „Przypomnijcie mi, dlaczego marnuję ostatnie lata młodości z tym stetryczalym zrzęda?”. I odeszła przez plac Świętego Marka. Sama.

– Cóż – zauważyła Holly bezstronnie – wszyscy mamy gorsze dni...

– To właściwie była taka Joyce’owska epifania, gdy teraz o tym myślę. Nie mam do niej pretensji. Ani za to, że uznała mnie za irytującego pierdziela, ani za to, że mnie zostawiła. Kiedy będzie miała tyle lat, ile ja teraz, ja będę miał, kurwa, sześćdziesiąt osiem, Holly! Miłość może jest ślepa, ale gdy para już razem zamieszkuje, we wspólnym domu odkrywa z czasem najprzenikliwsze rentgeny. Więc następnego dnia każde z nas włączyło się po muzeach samo, a kiedy zegnaliśmy się na lotnisku w Wenecji, ostatnie jej słowa brzmiały: „Trzymaj się”. Kiedy dotarłem do domu, w mojej skrzynce czekał już mail, w którym ze mną zrywała. Trudno powiedzieć, żeby mnie to bardzo zaskoczyło. Każde z nas przeszło już raz przez paskudny rozwód i jeden nam wystarczy. Postanowiliśmy pozostać w przyjaźni. Przez kilka lat będziemy sobie przysyłać kartki na święta, opowiadać o sobie bez urazy i pewnie nigdy więcej się już nie spotkamy.

Holly kiwa głową i mruczy „uh” na znak, że rozumie.

Na przystanku pod moim oknem zatrzymuje się jeden z wieczornych autobusów. Syczy pneumatycznymi hamulcami.

Nie wspominam Holly o esemesie, który dostałem dziś po południu.

Mój iPhone jest wyłączony. Nie teraz. Później.

*

– Przepiękne zdjęcie. – Na półce za plecami Holly stoi w ramce fotografia, na której widać Holly jako młodą mamę, małą zębatą Aoife, przebraną za Tchórzliwego Lwa z piegami na nosie, i Eda Brubecka, młodszego, niż go pamiętam. Cała trójka uśmiecha się,

stojąc w słońcu w małym ogródku, wśród różowych i żółtych tulipanów. – Z którego to roku?

– Z dwa tysiące czwartego. Teatralny debiut Aoife w *Czarnoksiężniku z krainy Oz*. – Holly popija miętową herbatę. – Mniej więcej w tym okresie rozpisałyśmy z Edem zarys *Ludzi z Radia*. To był jego pomysł. W tamten weekend byliśmy w Brighton, na ślubie Sharon, a z niego zawsze był poszukiwacz logicznych wyjaśnień.

– Ale chyba uwierzył po tym... z numerem pokoju?

Holly robi dwuznaczną minę.

– Przestał nie wierzyć.

– Czy Ed miał jeszcze szansę zobaczyć, jakim hitem okazali się *Ludzie z Radia*?

Holly kręci głową.

– Pisanie o latach w Gravesend szło mi dość szybko, ale potem dostałam awans w ośrodku dla bezdomnych. Więc praca, wychowywanie Aoife, nieobecność Eda... przez to nie skończyłam tej książki, aż... – Holly starannie dobiera wyćwiczone już słowa – aż do Eda w Syrii skończyło się uśmiechać szczęście.

Teraz jestem oburzony, że użalałam się nad sobą z powodu Zoë i Carmen.

– To bohaterstwo, Holly. Jesteś bohaterką.

– Człowiek nie ma wyjścia. Aoife miała dziesięć lat. Nie mogłam się po prostu załamać. Moja rodzina straciła już wcześniej Jacko, więc... – smutny uśmiech – klan Sykesów całkiem nieźle umie sobie radzić z żałobą i stratą. Powrót do pisania *Ludzi z Radia* i skończenie tej książki były swego rodzaju terapią. Nigdy nawet przez chwilę nie sądziłam, że ktokolwiek spoza naszej rodziny będzie chciał to czytać. Kiedy ludzie przeprowadzają ze mną wywiad, nie wierzą mi, ale to prawda. Telewizyjny Klub Książki, rekomendacja od Prudence Hanson, cała ta otoczka „jasnowidzącej z traumą z dzieciństwa” – nie byłam na to

przygotowana. Ani na strony internetowe, ani na wariatów, na błagalne listy, na ludzi, z którymi nie bez przyczyny straciłam kontakt całe lata temu. Mój pierwszy chłopak, po którym naprawdę nie mam dobrych wspomnień, odezwał się do mnie, że jest teraz głównym dilerem Porsche w zachodnim Londynie i co bym powiedziała na próbną jazdę, kiedy już jestem bogata? Nie, dziękuję. Potem, po sprzedaży praw w Stanach, o *Ludziach z Radia* było głośno w mediach i nagle gdzieś spod podłóg na całym świecie wypelzło mrowie oszukańczych Jacko. Moja agentka zorganizowała spotkanie z pierwszym z nich na Skypie. Wiek się zgadzał, facet wyglądał mniej więcej tak, jak Jacko mógłby wyglądać, wpatrywał się w nas z ekranu i szeptał „O mój Boże, mój Boże, o mój Boże... to wy”.

Mam ochotę na papierosa, ale zamiast tego biorę surową marchewkę.

– Jak wyjaśnił te trzydzieści lat, podczas których go nie było?

– Mówił, że go porwali radzieccy marynarze, którym był potrzebny chłopiec okrętowy, a potem wywieźli go do Irkucka, żeby nie wynikł z tego incydent w Zimnej Wojnie. Tak, wiem. Brendanowi wykrywacz ściemy bzycał jak wściekły, więc rzucił mi uważne spojrzenie i zapytał go: „Poznajesz mnie, Jacko?”. Facet zawahał się, a potem wybuchł: „Tato!”. Koniec rozmowy. Ostatni „Jacko”, który się z nami skontaktował, był z Bangladeszu, ale podli imperialiści z ambasady brytyjskiej w Dhace nie chcieli dać wiary, że jest moim bratem. Czy mogłabym mu przysłać dziesięć tysięcy funtów i być sponsorką jego wniosku o wizę? Po nim zakończyliśmy już tę całą przygodę. Jeśli Jacko żyje, jeżeli czyta książki, jeśli chce nas odnaleźć, znajdzie sposób.

– Cały czas pracowałaś wtedy w ośrodku dla bezdomnych?

– Odeszłam stamtąd przed wyjazdem do Cartageny. Szkoda – kochałam tę pracę i myślę, że byłam w niej dobra – ale jeśli

prorowadzisz spotkanie z potencjalnymi darczyńcami z prośbą o finansowe wsparcie ośrodka, a tego samego dnia na twoje prywatne konto wpływa sześciocyfrowa suma honorariów, nie możesz udawać, że nic się nie zmieniło. Jeszcze więcej „Jacko” próbowało szczęścia w moim biurze i ktoś włamał się do mojego telefonu. Nadal mam związek z fundacjami na rzecz bezdomnych jako sponsorka, ale musiałam wywieźć Aoife z Londynu do Rye, na cichą, spokojną prowincję. Tak mi się wydawało. Opowiadałam ci już kiedyś o Wielkiej Bitwie Illuminatów?

– O swoim życiu opowiesz mi mniej, niż myślisz. Masz na myśli Illuminatów, rasę Reptilian, którzy zniewolili ludzkość, blokując receptory beta poprzez fale mózgowo emitowane z tajemnej bazy na Księżycu?

– O to, to. Któregoś pięknego kwietniowego dnia dwie grupy zwolenników teorii spiskowych ukryły się w moim żywopłocie. Bóg jeden wie, jak to się zaczęło, pewnie od jakiejś przypadkowej uwagi na twitterze. No i obie grupy uświadamiają sobie nagle, że nie przyszły same, i każda jest przekonana, że ta druga grupa składa się z agentów Illuminatów. Nadążasz? Przestań się krzywo uśmiechać, wszyscy zaczęli się regularnie nawalać. Błyskawicznie przyjechała policja. Po tym wszystkim musiałam postawić mur z alarmem i zainstalować kamery. Ja, na miłość boską! Ja! Chowałam się przed ludźmi jak jakiś bankier z banku inwestycyjnego! Ale jaki miałam wybór? Następnym razem świry mogły już nie chcieć mnie bronić, jak tamtym razem, ale mnie atakować. Więc kiedy weszła ekipa budowlana, wyjechałam do Australii. To właśnie wtedy poznałyśmy cię z Aoife na Rottnest. – Holly podchodzi do okna, żeby zasłonić kotarą nocny port. – Nigdy nie upominajmy ludzi, by zawsze odróżniali rzeczywistość od fikcji. Mogą dojść do wniosków, jakich się nie spodziewałeś.

Na ulicy wściekle ujadają dwa psy, a potem nagle milkną.

– Jeżeli nie wydasz już nigdy żadnej książki, świry sobie pójda.

– To prawda – przyznaje Holly, unikając mojego spojrzenia.

– Ale pracujesz nad nową książką?

Teraz wygląda jak przyparta do muru.

– To tylko kilka opowiadań.

Czuję zawiść i zadowolenie.

– Genialnie. Twoi wydawcy będą skakali ze szczęścia.

– Nie ma żadnej gwarancji, że ktoś je w ogóle przeczyta. To opowiadania pisane na podstawie historii prawdziwych ludzi, których poznałam w ośrodku. Ani jednej wizji z przyszłości.

– Dzisiaj nawet *Zebrane listy zakupów Holly Sykes* trafiłyby z miejsca na szczyt, jeszcze w przedsprzedaży.

– Cóż, zobaczymy. Ale właśnie nad tym pracowałam całe lato. Reykjavik to dobre miejsce do pisania. Islandia jest jak Irlandia – bycie sławnym nie robi na nikim wrażenia.

Przez przypadek czubki naszych palców niemal się stykają. Holly zauważa to w tej samej chwili co ja, i natychmiast cofamy dłonie. Próbuję powiedzieć coś, co zmieniloby to mikrozakłopotanie w dowcip, ale nic nie przychodzi mi do głowy.

– Zamówię ci taksówkę, Crisp. Już po północy.

– Naprawdę już tak późno?! – Sprawdzam komórkę: 00:10. – Cholera jasna, już jest jutro.

– Owszem! O której masz samolot do Londynu?

– O dziewiątej trzydzieści, ale mogę cię jeszcze tylko spytać o dwie sprawy?

– Jasne, o co tylko chcesz – odpowiada Holly. – Prawie.

– Czy nadal mówią o mnie „pająk, spirala, człowiek z jednym okiem”?

– Mam sprawdzić?

Jak ateista, który chce, żeby ktoś się za niego pomodlił, kiwam

głową.

Tak jak w Szanghaju, Holly dotyka miejsca na czole, a jej powieki prawie się zamykają. Ma przepiękną twarz, ale... zbyt szarą ostatnio, zbyt napiętą. Moje spojrzenie biegnie do jej naszyjnika. To labirynt. Jakiś symbol, chyba coś z ciałem i duszą. Od Eda?

– Tak. – Holly otwiera oczy. – Bez zmian.

Jakiś pijak zarykuje się pod oknami ze śmiechu.

– Czy kiedyś się dowiem, co to znaczy? To nie jest to drugie pytanie, które chcę ci zadać.

– Kiedyś tak. Daj mi znać, kiedy się dowiesz.

– Obiecuję.

Drugie pytanie przychodzi trudniej, bo jedna z możliwych odpowiedzi śmiertelnie mnie przeraża.

– Holly, nie jesteś chora, prawda?

Reaguje zaskoczeniem, ale nie zaprzecza. Odwraca wzrok.

– O, cholera. – Chcę cofnąć to pytanie. – Przepraszam, ale to nie...?

– Rak pęcherzyka żółciowego. – Holly usiłuje się uśmiechnąć. – Można było na mnie liczyć, że wybiorę sobie jakiś rzadki rodzaj, co?

Nawet nie usiłuję się uśmiechnąć.

– Jakie są prognozy?

Holly ma minę jak ktoś, kto musi rozmawiać o męczącej, niewygodnej sprawie.

– Już za późno na operację, mam przerzuty do wątroby i... No tak, jest już wszędzie. Mój onkolog z Londynu daje mi... pięć do dziesięciu procent szans, że przeżyję rok. – Głos jej się załamuje. – Cóż, mogłoby być lepiej. Chemioterapia i leki trochę zwiększają moje szanse, może do jakichś dwudziestu procent... ale... czy naprawdę chcę spędzić ostatnie dane mi miesiące, rzygając do plastikowych torebek? To drugi powód, dla którego siedziałam na Islandii całe lato i chodziłam krok w krok za Aoife jak... wiesz, jak się nazywał ten z *Makbeta*?

– Banko. Czyli Aoife wie?

Holly kiwa głową.

– Brendan, Sharon, ich dzieci, moja matka i Örvar też wiedzą. Mam nadzieję, że Örvar pomoże Aoife, kiedy, wiesz... Kiedy ja już nie będę mogła. Ale nikt inny nie wie. Oprócz ciebie. Ludzie robią się tacy płaczliwi. Muszę potem zużywać resztkę energii, żeby ich pocieszać. Tobie też nie zamierzałam powiedzieć, ale... zapytałeś. Przykro mi, że cię przybiłam na sam koniec takiego pięknego wieczoru.

Widzę ją i widzę jej oczami Crispina Hersheya, a być może ona widzi moimi oczami Holly Sykes. I nagle jest już później. Stoimy z Holly przy stole i przytulamy się na pożeganie. To nie jest uścisk kochanków. Naprawdę nie jest, drogi czytelniku. Poznałbym.

Chodzi o to, że dopóki ją przytulałam i trzymam w ramionach, nic złego nie może się jej stać.

*

Taksówkarz ma płatki uszu naszpikowane dziełami ślusarzy i kiedy podaję mu nazwę mojego hotelu, mówi tylko:

– Okej.

Macham na pożegnanie, dopóki Holly całkowicie nie znika mi z oczu. Uzgodniliśmy, że przyjadę do niej do Rye jeszcze przed świętami, więc po prostu ignoruję niemiłe przeświadczenie, że już nigdy więcej jej nie zobaczę. Radio nastawione jest na stację z muzyką klasyczną i rozpoznaję Marię Callas, która śpiewa *Casta Diva* z *Normy* Belliniego – ojciec wykorzystał to w scenie z modelem aeroplanu w *Battleship Hill*. Na chwilę zapominam, gdzie jestem. Włączam iPhona, żeby napisać do Holly wiadomość z podziękowaniami za piękny wieczór, i kiedy wpisuję treść esemesa, dociera krążąca dotąd w cybprzestrzeni wiadomość od Carmen.

Wysłała ją, kiedy akurat miałem wykład. Wiadomość nie zawiera żadnego słowa, tylko zdjęcie... śnieżycy?

Śnieżycy w nocy widzianej przez przednią szybę samochodu?

Przechylam głowę i przekręcam telefon.

Asteroidy pokruszone na kawałki? Nie.

To zdjęcie USG.

Macica Carmen.

Z sublokatorom.

13 grudnia 2020

Klucz Jun'ichirō Tanizakiego – tego szukałem. Ale kiedy znalazłem ten tytuł w schowku pod schodami, gdzie trzymam dawno przeczytane książki, myśli Crispina Hersheya odpływają od powieści pisanej przez Devon Kim-Ashkenazy (Przez bezkresny ocean, trzy pokolenia kobiecych ofiar przemocy, od Pusanu po Brooklyn). Wiem, że to się dzieje, ale nie potrafię tego powstrzymać. Mój umysł wznosi się, wznosi, przebija sufit i dachówki, wzlataje ponad bunkier, w którym tymczasową siedzibę od 1978 roku ma wydział Filologii Angielskiej. Widzi krągłości dachu autorstwa Franka Gehry'ego; przelatuje nad blokami mieszkaniowymi jak z klocków Lego; okrąża gotycką kaplicę z epoki Lincoln; śmiga korkociągiem między budynkami ze szkła i stali, w których mieszczą się wydziały nauk ścisłych; płynie aż do siedziby rektora uniwersytetu, oplecionego bluszczem budynku z czerwonej cegły, o trójkątnych szczytach dachów; potem mknie do cmentarnej bramy z daszkiem, gdzie ludzie związani przez całe życie z Blithewood College zmieniają się w drzewa z prędkością, na jaką pozwalają robaki i korzenie, i na sam szczyt najwyższego drzewa wzlataje spiralą nieobecny umysł Hersheya, a jedynie wiewiórki i wrony mają o nim pomyślenie; rzeka Hudson wije się dostojnie meandrami między koślawymi paluchami gór Catskill; pociąg pojawia się i znika, jak cytat wokół stłuczonej filiżanki, „lubię go widzieć, jak jęzorem zlizuje mile pół”[18]. Jak w Google Earth w górę mknie myśl, przez chmurny tygiel burz; zniknął Nowy Jork i Massachussets gdzieś w dole znika już, Nową Fundlandię skuwa lód, Rockall obsrały mewy, i oko nie dostrzeże już ni błysków, ni ulewy...

– Crispin? – Devon Kim-Ashkenazy. – Wszystko w porządku?

Wyraz twarzy mojej magistrantki mówi mi, że odjechałem na dość długo.

– Tak, tak, Devon, myślałem o powieści Tanizakiego, w której znalazł cudowne rozwiązanie na narrację w formie dziennika, podobną do twojej. O *Kluczu*. Dzięki lekturze nie musiałabyś ponownie wynajdować koła. Ale ogólnie – oddaję jej manuskrypt – widzę postęp. Jedyłą uwagę miałbym do, hm, sceny gwałtu. Nadal czułem, że za dużo w niej przysłówków.

– Jasne. – Devon mówi tonem pełnym werwy, żeby pokazać, że się nie czuje urażona. – Chodzi o gwałt w kwaciarni czy w motelu?

– O gwałt w myjni. Przysłówki są dla prozy jak cholesterol dla naczyń krwionośnych. Zmniejsz ich liczbę o połowę, a twoja proza nabierze wyrazu w dwójnasób. – Słysząc skrobanie długopisów po kartkach. – O, i uważajcie na „jakby”: to bełkot i słowna wata. I każde porównanie i metaforę oceńcie gwiazdkami od jednej do pięciu, a potem usuńcie wszystkie z trzema gwiazdkami i poniżej. To bolesna operacja, ale potem będziecie się czuli dużo lepiej. Japheth?

Japheth Solomon (autor *W kraju Boga*, mormońskiego Bildungsroman o chłopcu z Utah, który ucieka na liberalne wschodnie wybrzeże, gdzie seks, dragi i kurs kreatywnego pisania wywołują w nim egzystencjalny ból) pyta:

– A jeśli nie potrafimy zdecydować, czy metafora jest na trzy czy na cztery gwiazdki?

– Jeśli nie potrafisz zdecydować, Japheth, jest tylko na trzy.

Maaza Kolofski (*Mgławica Koński Łeb*, utopia o życiu po zarazie, która zabija każdego mężczyznę na Ziemi) podnosi rękę:

– Dasz nam jakieś zadania na święta?

– Tak. Napiszcie pięć listów do siebie od pięciu głównych postaci.

Ktoś wie, co to jest list?

– Papierowy e-mail – odpowiada Louis Baranquilla (*Mocno dziwny gość na zajęciach jogi*, o mocno dziwnym gościu na zajęciach jogi). Moje kwalifikacje sprzed ery Internetu są stałym tematem żartów. – A o czym mamy pisać w tych listach?

– O historii życia waszych bohaterów w pigułce. O tym, kogo albo co wasze postaci kochają i czego nienawidzą. Umieście szczegóły z ich lat nauki, pracy zawodowej, piszcie o ich finansach, sympatiach politycznych, o ich klasie społecznej. O ich lękach. O trupach w szafie. O ich nałogach. O tym, czego żałują najbardziej. Czy wierzą w Boga, czy są agnastykami albo ateistami. Jak bardzo boją się śmierci?

– Myślę o Holly, tłumię westchnienie i wyjaśniam dalej: – Czy kiedykolwiek widzieli zwłoki? Albo ducha? O ich seksualności. Czy szklanka jest dla nich do połowy pełna, do połowy pusta, czy za mała? Czy ubierają się stylowo, czy niespecjalnie przejmują się stylem. To będzie list, więc zastanówcie się też, jakiego języka użyją. Czy powiedzą „wygłasza trywialne bon moty” czy „pierdoli jak potłuczony”. Czy przeklinają, czy też świadomie nie używają słów nieparlamentarnych? Zanotujcie zwroty, których bezwiednie nadużywają. Kiedy ostatni raz płakali? Czy potrafią zrozumieć punkt widzenia drugiej osoby? Tylko dziesięć procent tego, co napiszecie, trafi do waszej książki, ale kiedy stukniecie w te dziesięć procent – stukam kostkami dłoni o stół – rozpoznacie solidny dąb, a nie trociny i klej. Ersilia?

– To jakieś... – Ersilia Holt (thriller pod tytułem *Szpikulec* o walkach gangów Triady z komórkami talibów w Vancouver) krzywi się – jakieś chore, żeby pisać do siebie listy.

– Absolutnie się zgadzam, Ersilia. Pisarz flirtuje ze schizofrenią,

pielęgnuje swoją synestezję i oddaje się nerwicom natręctw. Sztuka karmi się wami, waszą duszą i, owszem, do pewno stopnia waszym zdrowiem psychicznym. Pisanie powieści wartych czytania na pewno popieprzy wam to i owo w umyśle, zagrozi waszym związkom i odkształci wam życie. Ostrzegam.

Moich dziesięciu magistrantów ma poważne miny. Powinno.

– Sztuka żeruje na swoim twórcy – mówię im.

*

W pokoju pracowników wydziału nie ma nikogo oprócz Claude Mo (mediewalistki bez stałego etatu) i Hilary Zakrewski (lingwistki, też bez stałego etatu), pochłoniętych słuchaniem błyskotliwych dykteryjek Christiny Pym-Lavit (szefowej wydziału nauk politycznych, przewodniczącej komisji przyznającej etaty). Jeśli ich starania o stały etat w Blithewood zakończą się niepowodzeniem, żaden inny college z Ivy League nie zaproponuje im pracy. Christina Pym-Lavit macha do mnie, żebym podszedł.

– Dosiądź się do nas, Crispin, właśnie opowiadałam Hilary i Claude, jak kiedyś pękła mi opona, kiedy wiozłam Johna Updike’a i Aphrę Booth na warsztaty w Iowa. Znasz ich oboje, zdaje się?

– Właściwie tylko z widzenia – mówię.

– Nie bądź taki skromny – mówi Uetatowiona.

Ale ja wcale nie jestem skromny. Przeprowadziłem wywiad z Updikiem dla „New Yorkera”, kiedy byłem jeszcze Enfant Terrible i moje książki sprzedawały się w Stanach jak wściekle. Aphry Booth nie widziałem, odkąd zagroziła mi w Perth, że naśle na mnie prawników, już sam nie pamiętam, kiedy to było. Wielka sarta prac moich magistrantów, która czeka na mnie w gabinecie, nagle nie wydaje mi się aż tak straszną perspektywą, więc się zręcznie wymawiam.

– Oceniasz prace w ostatni dzień semestru?! – wykrzykuje zdumiona Christina Pym-Lavit. – Gdybyż tylko wszyscy wykładowcy byli tak sumienni, Crispin.

Umawiamy się, że porozmawiamy dłużej na imprezie bożonarodzeniowej dziś wieczorem, i odchodzę korytarzem w stronę mojego gabinetu. Jako wykładowca na umowę, mogę zlewać dworską politykę na kampusie, ale jeżeli w przyszłym roku zaproponują mi stałe zatrudnienie, będę musiał wchodzić w dupę tak głęboko, że tylko buty będą mi wystawać. Pensja mi się przyda bez wątpienia. Dzięki „uzgodnieniom finansowym”, jakie wynegocjował mój były agent Hal, siedemdziesiąt pięć procent z regularnie kurczących się tantiem trafia do moich byłych wydawców w ramach spłaty długu. Muszę mieć pracę, za którą idzie zakwaterowanie. Zatrzymałem dom w Hampstead, ledwo, ledwo, ale dysponuje nim agent od wynajmu. Cały czynsz od najemców idzie prosto na alimenty dla Zoë. Alimenty, których renegotjowania Zoë kategorycznie odmówiła: „Tylko dlatego, że zrobiłeś dziecko swojej Hiszpance? Chyba żartujesz!”. Carmen nie wystąpiła o alimenty do sądu, ale sam żłobek kosztuje mnie pierdyliardy, nawet w Hiszpanii.

– Yo, man! – Inigo Wilderhoff taszczy w dół po schodach wielką walizę, a jego uśmiech olśniewa bielą zębów jak u telewizyjnego prezentera. – Przed chwilą skierowałem do ciebie twojego znajomego.

Zatrzymuję się.

– Mojego znajomego?

– Twojego znajomego z Anglii.

– Przedstawił się?

Inigo drapie profesorską bródkę.

– A wiesz, że chyba nie. Ma jakieś pięćdziesiąt lat. Wysoki. Z opaską na oku. Na mnie już czeka taksówka, muszę lecieć. Baw się za mnie

dziś na przyjęciu. *Au revoir*, do stycznia.

– Trzymaj się – bąkam, ale waliza Iniga Wilderhoffa stuka już o kolejne stopnie.

Facet z opaską na oku?

Człowiek z jednym okiem.

Spokojnie. Tylko spokojnie.

*

Drzwi do mojego gabinetu są otwarte na oścież. Naszej sekretarki nigdzie nie widzę – w Blithewood College, dwie mile od najbliższego miasta, procedury bezpieczeństwa nie są zbyt ściśle przestrzegane. Zaglądam do środka... Nikogo. Pewnie to był jakiś słuchacz ze studiów dla dorosłych, w okularach korekcyjnych, który na ucho Wilderhoffa brzmiał z brytyjska. Pewnie chciał, żebym mu podpisał książkę, którą potem sprzeda na eBayu. Na pewno zobaczył, że mnie nie ma, i taktownie poszedł się przejść i zaczekać do trzeciej, kiedy zaczynam dyżur. Z dużą ulgą podchodzę do mojego biurka.

– Drzwi były otwarte, Crispin.

Aż krzyczę z przestachu, odwracam się gwałtownie, strącając stertę papierów z biurka na podłogę. Przy regaliku z książkami jest jakiś człowiek. Z opaską na oku.

Richard Cheeseman stoi nieruchomo.

– Niezłe wejście.

– Richard! Wystraszyłeś mnie na śmierć!

– Wybacz, że wystraszyłem cię na śmierć.

Powinniśmy się teraz klepać po plecach, ale ja tylko wpatruję się w niego z otwartymi ustami. Tłuszczek wytopił się z Richarda już po miesiącu latynoamerykańskiej więziennej diety, ale jego cywilne ubranie podkreśla, jaki stał się suchy, twardy i łykowaty. Ta opaska na

oko – od kiedy ją ma? – nadaje mu wygląd izraelskiego generała.

– Wiesz... Miałem cię odwiedzić w Bradford po świętach. Już uzgodniłem wszystko z Maggie.

– Czyli wygląda na to, że oszczędziłem ci podróży.

– Gdybym wiedział, że przyjdiesz, tobym...

– Zamówił szampana? Orkiestrę dętą? Nie w moim stylu.

– A czemu – usiłuję się uśmiechnąć – zawdzięczam tę przyjemność?

Richard Cheeseman wzdycha i odgryza zadartą skórkę przy paznokciu.

– W Penitenciarii jednym ze sposobów na zabijanie płynących minut było dla mnie planowanie pierwszej wycieczki do Nowego Jorku jako wolny człowiek. Widzisz, im drobniejsze szczegóły obmyślałem, tym więcej minut zabijały moje fantazje. Noc za nocą dopracowywałem plany. Kiedy więc okazało się, że nie jestem w stanie stawić czoła własnej rodzinie przy świątecznym stole u Maggie i tej całej radości, litości, świątecznej ramówce w telewizji, oczywiście uciekłem do Nowego Jorku. A gdy już się tam znalazłem, czyż mogłem nie wsiąść w pociąg linii Hudson i nie odwiedzić wodza wodzów, nągłówniejszego przyjaciela z Przyjaciół Richarda Cheesemana, Crispina Hersheya?

– Towarzystwo Przyjaciół Richarda Cheesemana... Przynajmniej tyle mogłem zrobić.

White we mnie spojrzenie mówi: „Chyba sobie żartujesz, kurwa”.

Usiłuję odsunąć w czasie to, czego się najbardziej obawiam.

– Coś ci się stało w oko w jakiejś bójce?

– Nie, nie w bójce na noże. Żadne *Shawshank Redemption*. To od iskry ze spawarki. W ostatni dzień odsiadki w Yorkshire. Lekarz mówi, że za tydzień będę już mógł zdjąć opaskę.

– To dobrze.

Na podłodze leży oprawione w ramkę zdjęcie Gabriela. Podnoszę je,

a mój gość pyta ze złowieszczą beztrąską w głosie:

– To twój synek?

– Tak. Gabriel Joseph. Po Garcíi Marquezie i Conradzie.

– Oby los obdarzył go takimi samymi prawdziwymi przyjaciółmi jak mnie.

On wie. Wszystko sobie rozpracował. Przyjechał, żeby się zemścić.

– To musi być trudne – zauważa Cheeseman. – Ty tutaj, on w Hiszpanii.

– Nie jest to rozwiązanie idealne – usiłuję brzmieć swobodnie – ale Carmen ma w Madrycie rodzinę, więc nie jest sama. Mówiono jej, że nie może mieć dzieci, więc dla niej Gabriel był małym cudem. Wtedy nie byliśmy już razem, ale ona zdecydowanie chciała urodzić i... – stawiam z powrotem Gabriela obok taśmy klejącej – to owoc jej żywota. Może usiądziesz? Załatwiłbym skądś po szklaneczce whisky, żeby to opić...

– Co opić? Moje zmarnowane cztery i pół roku w pierdlu?

Nie potrafię patrzeć mu w oczy i nie potrafię odwrócić wzroku.

– Jesteś jakby nerwowy, Crispin. Jakoś tak... wyprowadzam cię jakby z równowagi.

„Jakby” x 2 = bełkot i wata słowna do kwadratu, myślę i zauważam, że kieszeń palta Richarda Cheesemana jest wypchana i naciągnięta. Mogę się domyślać, jaki śmiertelnie groźny przedmiot kryje.

Richard czyta w moich myślach.

– Rozpracowanie, kto mi podrzucił kokainę do walizki, Crispin, i kiedy, a nawet, dlaczego, nie zajęło mi wiele czasu.

Gożąco. Dziwnie. Jakaś siła przelewa moje wnętrzości poza ciało.

– Postanowiłem, że nie będę konfrontował się z człowiekiem, który mnie zdradził, dopóki nie wyjdę na wolność. Poza tym, ten człowiek robił, co mógł, żeby sprowadzić mnie do kraju i doprowadzić do mojego uwolnienia. Prawda?

Nie mogę polegać na własnym głosie, więc tylko raz kiwam głową.

– Nie, Crispin! Nieprawda! Wcale nie robił, co mógł, żeby mnie uwolnić! Gdyby się przyznał, wyszedłbym w ciągu kilku dni. Ale on pozwolił mi gnąć w pierdłu!

Dostrzegam, że znowu pada śnieg. Wskazówka sekund na zegarze zatacza skokami maleńkie kręgi. Nic innego się nie porusza. Nic.

– Kiedy leżałem na pryczy w celi w Bogocie, marzyłem nie tylko o Nowym Jorku. Ale też o tym, co z nim zrobię. Z tym sparciałym chujkiem, który przyjechał mnie odwiedzić, który sycił mną wzrok, który się przejmował, ale nie na tyle, żeby zamienić się ze mną miejscami. Co to, to nie. Planowałem, że go otumanię lekarkami, zwiążę i będę zabijał śrubokrętem przez czterdzieści dni. Żadnego scenariusza jeszcze nikt nie dopracowywał z takim uczuciem. Ale potem uświadomiłem sobie, że to głupie. Że tak myśli nastolatek. Po co mam aż tak ryzykować? Przecież mogę po prostu spotkać się z nim w Ameryce, kupić broń i zastrzelić chuja w jakimś odludnym miejscu.

Bardzo żałuję, że Betty, sekretarka Iniga Wilderhoffa już się tu nie kręci.

– Twój kat – usiłuję zapanować nad głosem – sam cierpi katusze z powodu wyrzutów sumienia.

Głos Cheesemana zmienia się w drut kolczasty:

– Cierpi katusze? Jeżdżąc sobie po świecie? Robiąc dzieci? Kiedy ja siedziałem w Kolumbii z mordercami, narkomanami z HIV i pordzewiałą żyłką? Czyją dolę nazywasz katuszą, jego czy moją?

Richard sięga dłonią do kieszeni palta. Korytarzem przechodzi woźny, pogwizdując. Widzę go przez drzwi wyjściowe z sekretariatu Betty. Krzycz o pomoc! – przynagła Przerażony Hershey. Albo uciekaj. Albo błagaj o wybaczenie: „Proszę, nie odbieraj ojca moim dzieciom”. Albo negocjuj. Albo zaproponuj, że oficjalnie przyznasz się do winy, na piśmie.

Albo – albo – albo – albo pozwól mu się zemścić.

– Twój kat – zaczynam – nie sycił tobą wzroku, kiedy przyjechał cię odwiedzić. Gardził własnym tchórzostwem. Nadal gardzi. Ale to niczego nie zmienia. On chce spłacić dług, Richard. Jest co prawda na skraju bankructwa, więc jeśli chcesz pieniędzy, nie może ci pomóc. Ale czy chcesz pieniędzy?

– To dziwne – Richard rozciąga mięśnie szyi, kręcąc głową w prawo i w lewo – ale kiedy już tu przyjechałem, nie wiem, czego chcę.

Gorące i zimne poty przykleiły mi koszulę do ciała.

– To ja usiądę za biurkiem – mówię – i zaczekam, aż coś postanowisz. Twój kat wcale nie chciał, żebyś garował przez całe lata, chciał tylko... zrobić ci dowcip, głupi dowcip, który zmienił się w koszmar. A teraz zapłaci tyle, ile sam postanowisz, że jest ci winien. W porządku?

Nie, drogi czytelniku, nie w porządku. Siedzę na krześle i rozpadam się. Lepiej zamknąć oczy. Odgrodzić się od Richarda Cheesemana, od moich książek, od widoku ośnieżonego lasku. Jeden strzał w głowę. Można w gorszy sposób zejść z tego świata. Bębnienie w moich uszach zagłusza cokolwiek, co Richard teraz robi, i ledwie słyszę trzask odbezpieczanego rewolweru czy kroki. Ciekawe jednak, że wyczuwam wylot lufy, jakiś cal od mojej skroni. UCIEKAJ! BŁAGAJ! WALCZ! Ale jak cierpiący pies, który wie, do czego służy igła weterynarza, pozostaję bez ruchu. Nadal mam kontrolę nad jelitami i pęcherzem. Takie drobne radości. Ostatnie sekundy. Ostatnie myśli? Anaïs jako mała dziewczynka, dumnie prezentująca własnoręcznie wykonaną książeczkę *Królik z rodziną wybiera się na piknik*. Juno, która mówi mi, że najfajniejszy chłopak na roku powiedział jej, że aby go zrozumieć, musiałaby przeczytać *Suszone Embriony*. Gabriel w Madrycie, rosnący tak szybko, już taki duży, pachnący mlekiem, mokrymi pieluchami i pudrem dla dzieci. Szkoda, że nie będę go znał, ale może

odnajdzie coś coś ze mnie w moich najlepszych książkach. Holly, moja jedyna przyjaciółka, tak naprawdę. Przykro mi, że moja śmierć przybije ją i wytrąci z równowagi. Ulubione zdanie z *Ludzkiej skazy* Rotha: „Nic nie trwa, a jednak nic nie przemija, a nic nie przemija, bo nic nie trwa”. Czyli pośrednio o tym, że to nie Richard Cheeseman teraz do mnie strzela nie to palec Crispina Hersheya przyciska spust kiedy dawno temu wsuwa kopertkę z kokainą pod podszewkę walizki teraz się trzęsę teraz zwieram całe ciało teraz z oczu ciekną łzy teraz przepraszam przepraszam i teraz on jest teraz mną teraz ja teraz nim teraz teraz teraz...

*

...i jestem sam. Żyję. Co mnie bardziej, kurwa, interesuje.

Otwórz oczy. No otwórz, nie bój się. Otwieraj.

Ten sam pokój. Ten sam, ale inny. Nie ma Cheesemana.

Schodzi wydziałowymi schodami, śladem Iniga Wilderhoffa. Potem przez hol, przez wielkie szklane drzwi, potem ścieżką opuszcza moją historię... Kuli się w swoim palcie, kiedy spomiędzy drzew, jak partyzant Wietkongu, zakrada się ośnieżony wieczór. Z niewyjaśnionej przyczyny dokładnie badam swoją dłoń, zachwycając się robotroniką ciała. Chwyć dłonią kubek. Niech cię parzy. Podnieś kubek do ust i weź łyk. Herbata z rejonu Darjeeling... Ziemisty liść i słońce pełne tanin rozkwitają na moim języku. Zachwycam się podkładką pod myszkę z kamieniem z Rosetty; szaro-różowym pięknym paznokcia na kciuku; tym, jak ludzkie płuca piją tlen... Zagrzechocz pudełkiem tic-taców, wysyp jednego na dłoń i wrzuć do ust. Wiem, że ten smak to sama chemia, ale dla mnie jest jak smakowa oda *Do jesieni* Keatsa. Nic tak nie zestrza człowieka z pięknem powszedniości jak ktoś, kto w końcu jednak postanawia cię nie

zabijać. Pozbieraj to, co zrzuciłeś na podłogę: kubek na długopisy, plastikową łyżkę, pendrive'a, kolekcję Lego Menów. Juno, Anaïs i ja wysyłamy je sobie w ramach dowcipu. Mam już pięć figurek: astronautę, chirurga, Świętego Mikołaja, Minotaura – cholera. Kogo brakuje? Klękam i na kolanach szukam piątej figurki wśród kabli pod biurkiem, kiedy nagle świergocze mój laptop.

Cholera jasna, miałem rozmawiać z Holly na Skypie...

*

Z głośników słyszę donośny, czysty głos Aoife.

– Crispin?

– Cześć, Aoife. Słyszę cię, ale nie widzę.

– Musisz kliknąć na tę zieloną ikonkę, cybertwórco.

Zawsze się w tym gubię. Aoife pojawia się na ekranie, a za nią kuchnia w Rye.

– Cześć. Dobrze cię widzieć, Crispin. Jak tam Blithewood?

– Też się cieszę. Wszyscy już żyją przerwą świąteczną. – Trochę boję się zapytać: – A jak dzisiaj nasza pacjentka?

– Trochę słabo, jeśli mam być szczerą. Wymiotuje, jeśli tylko cokolwiek zje, i nie spała dobrze w nocy. Strasznie boli ją głowa. Lekarka właśnie ją uspiła – Aoife robi grymas – mogłam to zreczniej ubrać w słowa – jakąś godzinę temu, więc mama przeprasza, że cię dzisiaj zawiodła, ale...

Ktoś spoza ekranu mówi coś do Aoife, która marszczy brwi, kiwa głową i mówi coś cicho w odpowiedzi, czego nie udaje mi się zrozumieć.

– Crispin, doktor Fenby chce ze mną zamienić słowo, więc oddaję cię w ręce cioci Sharon, okej?

– Jasne. Oczywiście, Aoife. Zmykaj, pogadamy niedługo.

– No to ciao.

Aoife wstaje i wychodzi z ekranu, ciągnąc za sobą ślad pikseli, a zaraz potem z drugiej strony wchodzi siostra Holly. Sharon jest bardziej przysadzistą i bardziej konkretną wersją Holly – taka Jane Austen, jeśli Holly to Emily Brontë, chociaż nigdy żadnej z nich tego nie powiedziałem. Ale dzisiaj wygląda po prostu na wykończoną.

– Cześć, globtroter. Co tam u ciebie?

To Holly jest śmiertelnie chora, ale one pytają, co u mnie.

– Cześć, Sharon, wszystko dobrze. Pada śnieg i... – Richard Cheeseman wpadł dziś mnie zabić za to, że dałem mu gnić przez cztery i pół roku w pierdłu w Kolumbii i w Anglii, ale na szczęście zmienił zdanie. – Doktor Fenby? Jakaś nowa? Ta, o której przed chwilą mówiła Aoife? Nowa konsultantka?

– Jest z Kanady. Studiowała razem z Tomem, naszym lekarzem rodzinnym. Jest psychiatrą.

– Aha? A po co twojej siostrze psychiatra?

– Hm... Doktor Fenby przez wiele lat zajmowała się opieką paliatywną nad pacjentami z rakiem i Tom wpadł na pomysł, żeby Holly przestawić na taki nowy lek, który doktor Fenby – Iris – testowała w Toronto. Jak mi to tłumaczyła godzinę temu, wszystko rozumiałam, ale jeśli teraz mam ci powtórzyć, nie zabrzmi to wiarygodnie. Ale Tom ma bardzo dobrą opinię o tym leku, więc pomyśleliśmy... – Sharon ziewa szeroko. – Przepraszam, zupełnie nie jestem damą. O czym mówiłam? A tak, Iris Fenby. To w zasadzie tyle.

– Dzięki za najświeższe informacje. Chyba padasz z nóg. Tak wyglądasz.

Sharon uśmiecha się.

– A ty jesteś blady jak tyłek grotolaza.

– No to podkręć kolor u siebie w laptopie. Daj mi zdrową

opaleniznę. Sharon, posłuchaj, Holly jeszcze nie... W poniedziałek nie będzie...

Sharon-wychowawczynie rzuca mi znaczące spojrzenie znad grubych okularów.

– Czarny garnitur zostaw w Nowym Jorku.

– Mogę wam coś przywieźć?

– Przywieź siebie. Miejsce w walizce wykorzystaj dla Carmen i Gabriela. Nie zagracajmy Holly pokoju, nie tego teraz potrzebuje.

– Wie, że *Dziki kwiaty* znowu są na pierwszym miejscu?

– Tak, jej agentka przysłała dziś rano maila. Holly stwierdziła, że powinna umierać częściej, jeżeli to tak podbija sprzedaż.

– Powiedz jej, żeby jeszcze popracowała nad dowcipem. Widzimy się w czwartek.

– Tyle samo lądowań, co startów, Crispin. Trzymaj się.

– Kiedy się obudzi, powiedz jej ode mnie... po prostu powiedz, że super z niej człowiek.

Sharon patrzy na mnie pod złym kątem – mała osobliwość Skype’a – i mówi:

– Obiecuję. – Jakby uspokajała przestraszone dziecko.

Okno Skype’a gaśnie. Z ekranu gapi się na mnie duch Hersheya.

*

Mój dyżur akademicki trwa do wpół do piątej i zwykle ustawia się kolejka studentów, ale dzisiaj cicha apokalipsa zdziesiątkowała populację Hudson Valley i nikt nawet nie pofatygował się, żeby mnie zawiadomić. Sprawdzam maile, ale nowe są tylko dwa: spam od firmy sprzedającej oprogramowanie antywirusowe, która oferuje mi teraz darmowy filtr spamu, i weselszy mail od Carmen, która pisze, że Gabba próbuje raczkować i że siostra dała jej rozkładaną kanapę, więc

nie będą musiał nadwierać pleców, śpiąc na poduszkach. W odpowiedzi piszę szybkie, niewiele mówiące „Dawaj, Gabba!”. Wysyłam też pośpiesznie drugiego maila, odwołującego rezerwację taniego hotelu w Bradford – powinienem dostać zwrot pełnej sumy – i trzeciego, żeby powiedzieć Maggie, że Richard wpadł do mnie do Blithewood i że wyglądał dobrze. Owo spotkanie o sile wstrząsów mogącej przesunąć płyty tektoniczne wydarzyło się zaledwie pół godziny temu, ale już – tak szybko – zmienia się we wspomnienie, a wspomnienie to płyta CD-RW wielokrotnego zapisu, nie CD-R, gdzie raz zapisane dane pozostają na zawsze. Na koniec piszę maila do Zoë, żeby jej podziękować, ale nie skorzystam z zaproszenia na narciarski wypad do górskiej chaty rodziców Marca w Nowy Rok. Zoë wie, że nie jeżdżę na nartach i że wyrzekam się ślizgania po powierzchni we wszystkich innych sprawach życiowych – więc dlaczego miałbym na stoku znosić upokorzenia od wysportowanego, opalonego słońcem Kajmanów męża mojej byłej żony? Zamiast tego spędzę dodatkowe popołudnie z dziewczynkami. Poszło. Jest dopiero za piętnaście czwarta i po prawdzie nie mam gdzie się podziać, chyba że w moim pokoju, w domu, który współdzielę z trzema innymi wykładowcami. Ewan Rice ma stale do swojej dyspozycji trzy domy. Crispin Hershey ma jeden pokój i wspólną kuchnię. Wieczorem jest to przyjęcie wydziału anglistyki w jakiejś restauracji w Red Hook, ale makaron z atramentem z kałamarnicy i tilapią jakoś mnie... nie wiem, nie potrafię tego określić.

Wtedy dostrzegam tę dziewczynę w drzwiach.

– Dzień dobry – mówię. – Mogę w czymś pomóc?

– Dzień dobry. Tak. – Ma dość androgyniczny wygląd. Jest okutana w błyszczącą czarną kurtkę do kolan, a na jej ramionach nadal leży kilka niestopniałych płatków śniegu. Głowę ma ogoloną, powieki azjatyckie, a twarz nieco opuchniętą, w kolorze różowej słodkiej

pianki. Czy spojrzenie może być jednocześnie przenikliwe i puste? Na średniowiecznej ikonie, tak, ale ona też takie ma. Stoi bez ruchu.

– Niech pani wejdzie – zapraszam. – Proszę usiąść.

– Usiądę. – Podchodzi krokiem, który nie ufa podłogowym deskom, i siada, jakby z krzesłami też miała złe doświadczenia. – Soleil Moore.

Przedstawia się tak, jakby jej nazwisko miało mi coś mówić. I może coś mi mówi.

– Poznaliśmy się już kiedyś?

– To nasze trzecie spotkanie, panie Hershey.

– Aha. Proszę mi przypomnieć... Na jakim wydziale pani studiuje?

– Nie lubię wydziałów. Jestem poetką i widzę przyszłość.

– Ale... jest pani studentką Blithewood, tak?

– Wystąpiłam o stypendium, kiedy dowiedziałam się, że będzie pan tutaj wykładał, ale profesor Wilderhoff określił moją twórczość jako „pełną urojeń, w niepoehlebnym znaczeniu tego słowa”.

– Rzeczywiście szczerą oceną. Niestety, obawiam się, że mój dyżur mogę poświęcać jedynie studentom Blithewood.

– Poznaliśmy się w Hay-on-Wye, panie Hershey, w dwa tysiące piętnastym roku.

– Przykro mi, ale w Hay-on-Wye spotykałam się z wieloma ludźmi.

– Podarowałam panu mój pierwszy zbiór, *Drapieżnicy duszy*...

Gdzieś coś mi dzwoni, chociaż słabo, jakby pod wodą i w złej tonacji.

– ...i przysłałam też na pana spotkanie z czytelnikami na Targach Książki w Szanghaju.

Nie sądziłam, że ta godzina może okazać się jeszcze gorszym tripem, ale być może byłam w błędzie.

– Miss Moore, ja...

– Miss S. Moore – podkreśla, jakby kryła się w tym jakaś błyskotliwa puenta. – Drugą książkę zostawiłam panu w wyszywanej torbie, którą

zawiesiłam na klamce. Pokój dwa tysiące dziewięćset dwadzieścia dziewięć w Shanghai Mandarin. Ma tytuł *Twoja ostatnia szansa* i odsłania całą prawdę.

– Prawdę – wyczuwam tu pewną słabość – o czym?

– O tajemnej wojnie. O tajemnej wojnie, która toczy się wokół nas, a nawet wewnątrz nas. Widziałam, że wyjął pan *Twoją ostatnią szansę* z torby. Spędził pan godzinę z Holly Sykes w barze, rzucając monetą. Przecież pan to pamięta. Wiem, że tak. Holly Sykes jest dowodem.

Dwa fakty: mam stalkerkę, i do tego pierdolniętą.

– Jest dowodem czego?

– Że jest pan wpisany w Skrypt.

– O jakim skrypcie pani mówi?

– O Skrypcie. – Ma wstrząśniętą minę. – Pierwszy wiersz w *Twojej ostatniej szansie*. Przecież czytał go pan. Prawda?

– Nie, nie czytałem pani poezji, ponieważ nie mam takiego obow...

– Nie! – Wrywa się z niej urwany szloch. Soleil Moore wbija palce w oparcie fotela, aż bieleją. Odchyła głowę do tyłu i mówi do twarzy, której nie ma na suficie: – Nawet go nie przeczytał! Cholera. Kurde. Kurde. Kurde. Kurde!

– Droga pani, proszę to potraktować...

– Tylko nie „droga pani”. Nie po tym... – palce Soleil Moore drgają każdy z osobna – nie po tym wszystkim. Tyle czasu! Pieniędzy! Krwi!

– Dlaczego wydawanie pani wierszy ma być moim obowiązkiem?

– Bo *Drapieżnicy duszy* wyjaśniają mnóstwo zawiłych faktów na temat drapieżników szczytowych. Bo *Twoja ostatnia szansa* ujawnia metody Anachoretów. Bo Anachoreci dysponują drzwiami, by dostać się wszędzie, i mogą porwać każdego. I ponieważ pan, pan pochodzi ze Skryptu.

– Do bladej kurwy, z jakiego skryptu?

Jej oczy gwałtownie otwierają się i rozszerzają, jak u jakiejś opętanej

lalki.

– Jest pan w Skrypcie. Tak samo jak ja. I jak Holly Sykes – Anachoreci porwali jej brata. Przecież pan to wie. Sam pan wpisał się w Skrypt. Opisuje pan to w *Problemie Voormana*. To, co pan napisał w tym opowiadaniu, to właśnie robią Anachoreci. Nie może pan zaprzeczyć. Nie może pan.

Problem Voormana? Napisałem to lata temu. Oprócz więziennego lekarza i tego, że zniknęła Belgia, niewiele więcej pamiętam.

– To już nie ma znaczenia. – Soleil Moore uspokaja się albo tak mi się wydaje. – Plan A miał postawić świat w stan gotowości poprzez poezję. Nie powiódł się. Musimy zatem uciec się do planu B.

– Cóż – chcę, żeby już sobie poszła – powodzenia z planem B. A teraz muszę naprawdę wracać do pracy i...

– Pan sam podsunął mi plan B, w Hay-on-Wye.

– Proszę pani, niech pani nie każe mi wzywać ochrony.

– Pańskie zadanie polega na zwróceniu uwagi świata na moje wiersze. Modliłam się i modliłam, żeby po prostu polecił je pan uwadze wszystkich ludzi, ale nie pojmowałam, jak ogromnej trzeba będzie ofiary. Przepraszam pana.

– Nie ma za co, droga pani. Ale proszę już iść.

Soleil Moore wstaje... we łzach?

– Przepraszam.

*

Nadnaturalna siła pchnęła Hersheya w tył i zwała go z obrotowego krzesła. Solei Moore stanęła nad nim. Padło jeszcze pięć strzałów, tak absolutnie z zaskoczenia, z tak bliska, że nawet nie bolały. Policzek Hersheya wgniata się w ostry dywan. Jego klatkę piersiową coś rozerwało. Cholera jasna. Postrzelony. Najprawdziwsza krew, tutaj,

właśnie teraz. Dywan nasiąka krwią. Moją. Rzęsiście. RZĘSIŚCIE. Dziewięć liter w Scrabble. Czy Hershey może poruszać jakąkolwiek częścią ciała, drogi czytelniku? Nie, nie może. Śniegowce. Kilka cali ode mnie. Śnieg. Owce. Posłuchaj. Jakiś głos. Pełen miłości, zbliża się i oddala. Mama? Nie myśl aż tak Disneyem. Soleil Moore. Miss S. Moore. Och. Oczywiście! Esmis Esmoor. Najlepsza książka E.M. Forstera[19]. Jego najlepsza bohaterka.

– Jest pan słynny, więc teraz będą czytali moje wiersze. Będzie o tym głośno wszędzie: w wiadomościach, w Internecie, w FBI, w CIA, w ONZ, w Watykanie. Nawet Anachoreci nie będą mogli tego zamieść pod dywan... Jesteśmy męczennikami na Wojnie, pan i ja. Moja siostra też była męczennicą. Bo oni ją zwabili. Powiedziała mi o nich, ale ja myślałam, że przemawia przez nią jej choroba. Nigdy sobie tego nie wybaczę. Ale mogę wyrwać świat z niewiedzy. Ze śmiertelnie groźnej ignorancji. Kiedy już ludzkość się dowie, że dla Anachoretów stanowimy zasoby żywności – ich farmę łososi – wtedy będziemy mogli stawić im opór. Powstać. Pokonać ich.

Usta Soleil Moore nadal się poruszają, ale bezgłośnie. Rzeczywistość się kurczy. Była już przy granicy z Kanadą; teraz zatrzymuje się w Albany; a teraz jest mniejsza niż kampus Blithewood. Nie ma już ośnieżonego lasu, biblioteki, bunkra, ohydnej stołówki, nie ma już niczego. Śmierć z rąk wariatki. Kto by pomyślał. Śmierć z rąk wariatki. Kto by pomyślał. Dywan z kropek. Nie z kropek. Ze spirali. Przez te wszystkie tygodnie. Chodziłem po spiralach. Patrz. W szczelinie. Między szafką a listwą podłogi. Pająk. Już wyschły. Zaszuszone. Tam, gdzie nie sięga odkurzacz. Pająk, spirala... co jeszcze? Piąty Lego Man. Kilka cali ode mnie. Na boku. Jak ja. Patrz.

Pirat. Śmieszne.

Z opaską na oku.

Człowiek z jednym okiem.

Lego Man

kurwa

pirat.

Holly

powiedz

jej

...

..

.

18 Pierwszy wers *Wiersza 585* Emily Dickinson (przyp. tłum.).

19 Chodzi o *Drogę do Indii* E.M. Forstera. Hindusi przekręcili w ten sposób nazwisko jednej z bohaterek, Mrs Moore (przyp. tłum.).

Labirynt Horologa

2025

1 kwietnia

Mój stary dom wygląda dziś jak nawiedzony, kiedy za nim lśni niewyraźna poświata nad Toronto. Gwiazdy są uwięzione jak robaczki świętojańskie w klatce splecionej z gałęzi. Mówię autu: „Wyłącz światła mijania, wyłącz radio”, i w pół słowa milknie *From Me Flows What I Call Time* Toru Takemitsu. 23:11, twierdzi zegar w samochodzie. Czuję się tak przytłoczona, że nie jestem w stanie się poruszyć. Czy jesteśmy mutantami? Czy na takie wyewoluowaliśmy? Czy ktoś nas tak zaprojektował? Kto? Dlaczego nasz projektant miałby tyle się natrudzić tylko po to, żeby zejść ze sceny i zostawić nas z pytaniem, po co istniejemy? Dla rozrywki? Z perwersji? Dla żartu? Żeby on mógł nas osądzać? „Co ma z tego wyniknąć?”, pytam samochód, wieczorny mrok, Kanadę. Moje kości, ciało i dusza są wyczerpane do cna. Dziś rano wstałam przed piątą, żeby złapać samolot do Vancouver o szóstej pięćdziesiąt pięć, a kiedy w końcu dotarłam do szpitala psychiatrycznego Coupland Heights, zastałam tam nie pacjenta z kompleksem mesjasza i ostrą prekognicją, ale hordeę dziennikarzy oblegającą główne wejście. Mój dawny student i przyjaciel, doktor Adnan Buyoya właśnie przeżywał w szpitalu najgorszy dzień swojego zawodowego życia. Wzięłam udział w spotkaniu z żoną Oscara Gomeza, jej bratem, ich prawnikiem i trójką przedstawicieli szpitalnej dyrekcji. Reprezentanta prywatnej firmy zapewniającej szpitalowi ochronę zatrzymały „nieprzewidziane okoliczności”, notatki ze spotkania robił jednak ich prawnik. Pani Gomez zalewała się łzami. To wpadała w rozpacz, to ogarniała ją furia:

– Przed naszym domem stoją kamery telewizyjne! Dzieci widziały tatę na YouTube, ale nie wiedzą, czy jest cudotwórcą, czy przestępcą,

czy wariatem, czy... czy... Boimy się włączać telewizor albo zaglądać do Internetu, ale z drugiej strony nie możemy się powstrzymać. Gdzie on jest? Podobno jesteście obiektem chronionym, tak jest napisane na waszych tablicach przed szpitalem! Jakim cudem Oscar po prostu rozpląnął się w powietrzu?

Adnan Buyoya to utalentowany młody psychiatra, ale tym razem mógł jedynie odpowiedzieć, że jeszcze nie wie, w jaki sposób pan Gomez uciekł z zamkniętego na klucz pokoju, a jego ucieczki nie zauważył nikt z personelu szpitala, ani nie zarejestrowały jej kamery przemysłowe, które musiały akurat ulec awarii. Jak mówił Adnanowi pielęgniarz pełniący zeszłej nocy dyżur, Gomez wcześniej twierdził, że święty Marek zamierza spuścić Drabinę Jakubową i zabrać go do nieba, żeby omówić z nim kwestię budowy Królestwa Bożego na Ziemi – ale oczywiście pielęgniarz nie wziął wtedy tego ostrzeżenia poważnie. Dyrektor szpitala zapewnił panią Gomez, że odnalezienie jej męża jest dla szpitala bezwzględny priorytetem, i obiecał przeprowadzenie pełnego dochodzenia w sprawie ewentualnego złamania zasad bezpieczeństwa. Adnan zauważył, że przy siedmiuset pięćdziesięciu tysiącach wejść na YouTube – a w tej chwili najpewniej już przy kilku milionach – to tylko kwestia czasu, zanim „Wieszcz z Washington Street” zostanie gdzieś znaleziony. Ja nie mówiłam nic, aż poproszono mnie o przewidzenie kolejnego ruchu pana Gomeza. Wyjaśniłam, że większość epizodów choroby u pacjentów z kompleksem mesjasza nie trwa długo, ponieważ jednak nie znałam historii choroby pana Gomeza, nie miałam żadnych danych, by sformułować przypuszczenie.

– Zajebicie – burknął brat pani Gomez. – Kolejna, kurde, ekspertka gównu potrafi powiedzieć.

Tak naprawdę, mogłabym, kurde, bratu pani Gomez wszystko powiedzieć, ale niektóre prawdy są nie do przyjęcia w świecie

poczytalnych. W każdym razie pani Gomez nie uwierzyłaby, że jest teraz wdową i że jej dzieci umrą, nie znalazłszy odpowiedzi na pytanie, co 1 kwietnia 2025 roku stało się z ich ojcem. Po tym spotkaniu mogłam jedynie prosić Adnana, żeby przestał mnie non stop przepraszać za to, że wezwał mnie przez całą Kanadę i jej trzy strefy czasowe tylko po to, żebym dowiedziała się, że pacjent, do którego leciałam, uciekł kilka godzin wcześniej. Życzyłam mojemu dawnemu studentowi i koledze po fachu powodzenia i wysłałam z Coupland Hospital przez szpitalną kuchnię. Chwilę zabrało mi, zanim na olbrzymim, mokrym od deszczu parkingu odnalazłam wynajęty samochód. Kiedy już zlokalizowałam auto, dzień przybrał jeszcze dziwniejszy obrót, niestety, w niepożądaną stronę.

Gdzieś pohukuje sowa. Rusz się. Nie możesz tu siedzieć całą noc.

*

Na stole w kuchni czeka paczka wielkości pudełka po butach, przekazana mi pocztą przez Sadaqata, ale ja od rana nic nie jadłam, więc odsuwam paczkę i odgrzewam w mikrofalówce danie z nadziejących bakłażanów, przygotowane przez moją gospodynię, panią Tavistock, która przychodzi raz w tygodniu. Podkręcam centralne ogrzewanie. Śnieg już stopniał, ale w powietrzu jeszcze nie czuje się wiosny. Popijam kolację kieliszkiem carmenere i czytam artykuł w „Korean Psychiatric Journal”. Dopiero wtedy przypominam sobie o przesyłce. Nadawcą jest niejaki Åge Næss-Ødegård ze szkoły dla głuchoniemych w norweskim Trondheim. Norwegię ostatni raz odwiedziłam, kiedy jeszcze byłam Klarą Koskową. Zanoszę paczkę do pracowni, żeby zbadać ją ręcznym wykrywaczem materiałów wybuchowych. Światelko LED pozostaje zielone, więc odwijam dwie zewnętrzne warstwy szarego papieru. W środku jest solidne,

tekturowe pudełko, a w nim zwój folii bąbelkowej, który z kolei kryje drugie pudełko, wykonane z mahoniu. Podnoszę jego wieczko na zawiasach i wewnątrz znajduję plastikową torebkę strunową, a w niej walkmana Sony, kanciaste urządzenie z lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku. Do walkmana podłączona jest para słuchawek z metalu, plastiku i gąbki. Walkman zawiera kasetę BASF C30. To marka, o której istnieniu już całkowicie zapomniałam. Badam walkmana wykrywaczem materiałów wybuchowych, a potem odczytuję trzystronicowy list, który także mieścił się w mahoniowym pudełku:

Øvre Fjellberg Skole for Døve

Gransveien, 13

7032 Trondheim

Norge/Norway

15 marca 2025

Szanowny „Marinusię”!

Przede wszystkim proszę o wybaczenie. Nie wiem, czy „Marinus” jest panią, panem, czy doktorem, czy jest imieniem, czy nazwiskiem. Proszę również o wybaczenie mi błędów w angielskim. Nazywam się Åge Næss-Ødegård. Być może pani Esther Little Panu/Pani o mnie wspominała, ale w tym liście będę zakładać, że nie. Mam siedemdziesiąt cztery lata, jestem Norwegiem, mieszkam w Trondheim, jednym z miast w moim rodzinnym kraju. Gdyby dziwił/a się Pan/i, dlaczego obcy człowiek wysyła Panu/i stare urządzenie audio, opowiem całą historię.

Mój ojciec założył szkołę Øvre Fjellberg w 1932 roku, ponieważ jego brat Martin urodził się głuchy, a w tamtych czasach takich ludzi powszechnie traktowano w dość prymitywny sposób. Ja urodziłem się w 1950 roku i zanim skończyłem dziesięć lat, potrafiłem już płynnie migać. Oczywiście po norwesku. Moja mama prowadziła biuro szkoły Øvre Fjellberg, a mój stryj Martin został dozorcą i ogrodnikiem, więc może Pan sobie wyobrazić, że cała nasza rodzina żyła szkołą i życiem jej uczniów. W 1975 roku ukończyłem Uniwersytet Oslo z

dyplomem wydziału pedagogiki i wróciłem do Trondheim, żeby uczyć w Øvre Fjellberg. Założyłem tu wydział muzyki i teatru, ponieważ kocham również skrzypce. Wielu niegłuchoniemych ludzi nie domyśla się, że głusi potrafią odbierać muzykę na różne sposoby, więc tradycją naszej szkoły stała się współpraca z miejscowymi orkiestrami amatorskimi, i co roku wspólnie organizujemy wiosenny koncert dla publiczności zarówno głuchej, jak i słyszącej. Koncerty takie obejmują śpiew, taniec, wzmocniony dźwięk, obrazy i tak dalej. W 1984 roku, kiedy wydarzyła się ta historia, na naszą doroczną imprezę wybrałem Jeana Sibeliusa i jego *Łabędzia* z Tuoneli. To bardzo piękny utwór. Może Pan zna?

W każdym razie w 1984 roku mieliśmy jedną ciemną chmurę nad naszym krajobrazem (po angielsku też tak się mówi?). Mianowicie finansowa sytuacja naszej szkoły była krytyczna. Øvre Fjellberg to fundacja pozarządowa, zwróciliśmy się jednak do Oslo o duże subsydium, które miało pokryć nasze pensje i tak dalej. Nie będę nudził Pana starą polityką, jednak rząd w tamtym czasie obciął nasze subsydium, żeby zmusić uczniów do przeniesienia się do innej szkoły, dwie godziny jazdy samochodem od naszej. Oprotestowaliśmy tę decyzję, ale bez niezależności finansowej ani bez politycznej siły, nasza ukochana szkoła miała zostać zamknięta, po pół wieku znakomitej działalności. Dla naszej rodziny była to tragedia.

Jednakże pewnego dnia, w czerwcu 1984 roku, do mojego gabinetu zawitała gościni. Miała około pięćdziesięciu lat. Krótkie siwe włosy i męskie ubranie, a na jej twarzy wypisanych było wiele opowieści. Przeprosiła mnie łamanym norweskim za to, że mi przeszkadza, a potem zapytała, czy moglibyśmy porozmawiać po angielsku. Powiedziałem, że tak. Przedstawiła się jako Esther Little. Esther Little wysłuchała niedawno koncertu naszych uczniów i bardzo jej się podobał. Słyszała także o złej kondycji finansowej szkoły i chciała nam pomóc, jeśli to możliwe. Odparłem: „Jeśli ma pani czarodziejską różdżkę, proszę bardzo, zamieniam się w słuch”. Esther Little położyła na moim biurku drewniane pudełko. To samo mahoniowe pudełko, które teraz przesyłam. W środku znalazłem przenośny magnetofon i jedną taśmę. Wtedy Esther Little wyjaśniła, o co jej chodzi. Jeśli przechowam te przedmioty przez kilka lat, a następnie wyślę je do pewnej osoby, którą nazywała „Marinus”, na adres w Nowym Jorku, ona powie swoim prawnikom w Oslo, żeby dokonali dużej darowizny na rzecz naszej szkoły.

Czy powinienem się zgodzić? Esther Little czytała w moich myślach. „Nie, nie handluję narkotykami, nie jestem terrorystką ani szpiegiem. Jestem ekscentryczną filantropką z

Australii Zachodniej. Ta kasetka jest wiadomością. Marinus będzie jej potrzebował, kiedy przyjdzie właściwy czas”. Kiedy dziś piszę ten list, nie wiem, dlaczego jej uwierzyłem, ale czasem spotyka się ludzi, którym się wierzy. To intuicja. Ja uwierzyłem Esther Little. Jej prawnicy z Oslo pracowali w szanowanej, konserwatywnej kancelarii, więc być może to miało wpływ na moją decyzję. Zapytałem, dlaczego po prostu nie opłaci swoich prawników z Oslo, żeby przesłali jej pudełko do Nowego Jorku określonego dnia w przyszłości. Esther Little odpowiedziała: „Prawnicy przychodzą i odchodzą. Nawet najbardziej dyskretni są na widoku, a wszyscy pracują dla pieniędzy. Ale pan jest uczciwym człowiekiem z cichego zakątka świata i będzie pan długo żył”. Na koniec napisała sumę darowizny, jaką nam oferowała. Moja twarz na pewno musiała być blada jak twarz ducha, kiedy zobaczyłem cyfrę na kartce! Nasza szkoła byłaby bezpieczna przynajmniej przez pięć lat. Esther Little powiedziała: „Niech pan powie swojemu zarządowi, że to darowizna od anonimowego darczyńcy, który wierzy w działalność szkoły Øvre Fjellberg. Taka jest prawda”. Jak zrozumiałem, pudełko i nasza umowa miały być naszą małą tajemnicą.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Naturalnie, zadałem ostatnie pytanie: „Kiedy mam wysłać to pudełko do »Marinusa« czy też do »Marinusa« na Manhattan?”. Esther Little wyjęła z jakiegoś pudełka porcelanową figurkę Sibeliusa, postawiła ją na wysokiej półce z książkami i powiedziała: „Kiedy Sibelius roztrzaska się na kawałki, tego samego dnia trzeba wysłać pudełko”. Myślałem, że nie rozumiałem tego, co mówi po angielsku, więc dokładnie dopytałem, czy rozumiem. Jeśli figurka rozbije się za tydzień, muszę wysłać pudełko za tydzień. Jeśli rozbije się w roku 2000, muszę wysłać figurkę w roku 2000. Jeśli umrę, zanim się rozbije, wtedy nigdy jej nie wysłę. „Tak, tak brzmiała nasza umowa”, powiedziała Esther Little. „Tak jak mówiłam, jestem ekscentryczna”. Pożegnaliśmy się i, jeśli mam być szczerą, kiedy już sobie poszła, zastanawiałem się, czy mi się tylko przyśniła. Ale na drugi dzień z Oslo zadzwonili prawnicy, prosząc o nasz numer konta, i przelali co do korony sumę, którą obiecała Esther Little. Øvre Fjellberg była uratowana. Trzy albo cztery lata później rząd w znacznym stopniu zmienił politykę i na naszą szkołę przeznaczono duże inwestycje, jednak bez wątplenia pani Esther Little uratowała nas w najgorszym okresie. W roku 2004 zostałem dyrektorem, a kilka lat temu przeszedłem na emeryturę, nadal jednak jestem członkiem zarządu i nawet dzisiaj korzystam z mojego dawnego biura jako pracowni. Przez te

wszystkie lata Jean Sibelius przyglądał się mojemu gabinetowi jak ktoś, kto zna sekret.

Wydaje mi się, że zakończenia można się domyślić. Wczoraj był pierwszy dzień wiosny i pogoda była ładna. Jak większość Norwegów, otworzyłem okno, żeby wpuścić do gabinetu trochę świeżego powietrza. Studenci grali w tenisa na korcie pod moim oknem. Wyszedłem z pracowni, żeby zaparzyć poranną kawę, i usłyszałem hałas. Kiedy wróciłem, Jean Sibelius leżał na podłodze. Jego tułów i głowa były w wielu małych kawałkach. Obok leżała piłeczka tenisowa. Szanse na to były jak jedna do dziesięciu tysięcy, ale przyszedł czas. Teraz więc wysyłam pudełko zgodnie z obietnicą, wraz z tą dziwną opowieścią. Mam nadzieję, że wiadomość na kasecie nadal będzie wyraźna po czterdziestu latach, ale ja jej nigdy nie odsłuchałem. Jeśli pani Little nadal żyje (a jeżeli tak, musi mieć ponad sto lat), proszę jej przekazać podziękowania i wyrazy szacunku od uczciwego człowieka z cichego zakątka świata, który rzeczywiście żyje bardzo długo.

Z poważaniem,

Åge Næss-Odegård

Moje serce gna jak sprinter, a linii mety nie widać. To jakaś mistyfikacja? Wyjmuję tab i mozolnie wpisuję „Øvre Fjellberg Skole for Døve” – proszę bardzo, jest. Strona-fejk? Możliwe, ale figurka Sibeliusa i norweska prowincja za bardzo pachną Esther Little. Jeśli wstawiła ten marker w czerwcu 1984 roku, to na pewno po wglądach w Skrypt. A skoro Pierwsza Misja została przez Skrypt opisana, to może – może – nie była druzgocącą klęską, za którą ją uważamy od czterdziestu jeden lat. Ale czy naprawdę śmierć Xi Lo, Holokai i Esther Little mogła być częścią większego planu? Na szczęście w szufladzie biurka mam kilka baterii-paluszków – one także już prawie wyginęły jako gatunek – i wsuwam je do walkmana. Na coś się jeszcze nadadzą? Podłączam słuchawki, waham się i wciskam „play”. Bolce się kręca. Kilka sekund ciszy na „rozbiegówce”, potem magnetyczny syk, a po nim szcęk, kiedy zaczyna się nagranie. Słyszę warkot motocykla i zachrypnięty głos, który sprawia, że gwałtownie brakuje

mi powietrza, a za serce nagle chwyta ból z tęsknoty za przyjaciółką, której już nie ma.

„Marinus, tu Esther. Jest... siódmy czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku. Zanim wszyscy zbierzemy się w Gravesend, zrobiłam mały wypad do Trondheim. Miłe miasteczko. Niewiele się tu dzieje. Bardzo tu biało; taksówkarz pytał mnie, z której części Afryki pochodzę”. Słyszę, jak się podśmiewa cicho, zapalając papierosa. „Ale, Marinus, posłuchaj, miałam wglądy w Skrypt, o Pierwszej Misji. Owszem, pobieżne i niewyraźne, ale widzę ogień... ucieczkę... i śmierć. Śmierć w Zmierzchu i śmierć w słonecznym pokoju. Jeśli Skrypt jest precyzyjny, w pewnym sensie przeżyję, ale będę potrzebowała kryjówki. Azylu. Musi być dobrze ukryty i zamknięty, tak żeby Anachoreci go nie znaleźli, a Constantin na pewno będzie mnie szukać. To jednak oznacza, że znowu zadanie wydostania mnie spadnie na ciebie. Jakoś dostarczę ci klucz”. Słyszę odgłos szurania i domyślam się, że Esther przesunęła po stole popielniczkę. „Skrypt pokazał mi groby wśród drzew i nazwę »Blithewood«. Odnajdź to miejsce, jak możesz najszybciej. Spotkasz tam kogoś znajomego. Ta osoba udzieliła mi schronienia. Zamków jest dużo, ale już wysłałam ci znak. Po nim poznasz, do którego zamka klucz będzie pasował. Znajdź ten zamek, Marinus. Otwórz go. Sprowadź mnie z powrotem między żywych”. Słyszę przytłumioną melodyjkę furgonetki lodziarza, który przejeżdżał tamtego norweskiego lata. „Odsłuchanie przez ciebie tej kasety jest wyzwaniem. Wróg złoży propozycję, bardzo niedługo. Schowaj ten znak. Ukryj pudełko. On już jest blisko ciebie. Skrypt nie mówi, czy możesz mu zaufać, czy nie. Jego propozycja stanie się zarzewiem Drugiej Misji. Wydarzenia potoczą się bardzo szybko. Za siedem dni Wojna już się zakończy, z takim czy innym wynikiem. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, spotkamy się jeszcze przed jej końcem. No to... do

zobaczenia”. Szczęknięcie.

Nagranie się kończy, taśma szumi, naciskam „stop”. Przez głowę przelatują mi setki przypuszczeń, powątpiewań i pytań. Razem z przyjaciółmi przez cały czas myśleliśmy, że po zabiciu Josepha Rhîmesa i zredagowaniu pamięci Holly Sykes, dusza Esther w końcu się poddała z tyłoma odniesionymi ranami. Jak inaczej wytłumaczyć brak kontaktu z Esther od 1984 roku? Ta kasetka otwiera jednak wstrząsającą alternatywę. Mianowicie, że po Pierwszej Misji dusza Esther rozplotła się w stopniu krytycznym, ale jednak nie do końca śmiertelnym. Że następnie Esther znalazła azyl głęboko wewnątrz nieświadomego hosta, ukryta tak, żeby nikt z Drogi Cienia, kto poluje na nią prowadzony przez Kontrskrypt, nie mógł jej znaleźć i zabić. I że dzięki kluczom i znakom, które wysłała mi w przyszłość, mogę zlokalizować jej na nowo splecioną duszę i uwolnić ją z azylu, po czterdziestu jeden latach. Płomyk nadziei jest bardzo, bardzo nikły. Zdolność odczuwania zanika po zaledwie kilku godzinach w cudzej paralaksie pamięci. Czy po tylu latach w pozacielesności dusza Esther będzie w ogóle znała swoje imię?

Patrzę na twarz Iris Fenby odbitą w szybie okna, w którym odbija się też las Kleinburg. Grubawe wargi, płaskawy nos, krótkie, czarne kręcone włosy, ledwo przyprószone siwizną wieku średniego. A ten las to pozostałość starej puszczy, która porastała Ontario przez cały holocen. Wojna drzew przeciwko wydzielaniu terenów, przeciwko agroleśnictwu, sześciopasmowym autostradom i polom golfowym jest już raczej przegrana. Czy Esther Little może nadal żyć? Nie wiem. Po prostu nie wiem. Esther umiała używać Szczeliny, dlaczego więc nie miałyby szukać azylu u jakiegoś Horologa? Może dlatego, że to zbyt oczywiste. A ta ostatnia część wiadomości od Esther? „Wróg złoży propozycję, bardzo niedługo”? „Jest już blisko”? Od dnia, gdy Esther wypowiedziała te słowa zachowane na magnetycznej taśmie, minęło

czterdzieści jeden lat, jest przyszłość, północ, jestem w chronionym, kuloodpornym domu w spokojnej, zamożnej dzielnicy na północno-zachodnich przedmieściach Toronto. Chociaż Esther była Horolożką ze zdolnością prekognicji, trudno uwierzyć, żeby precyzyjnie przewidziała...

*

Na szafce nocnej brzęczy moje urządzenie. Zanim odbieram, jakiś instykt każe mi ukryć paczkę z Norwegii za rzędem książek. Moje urządzenie nie może zidentyfikować osoby dzwoniącej. Jest późno. Czy mam odebrać?

– Tak, słucham?

– Marinus – słyszę męski głos. – Mówi Elijah D’Arnoq.

Jestem zaszokowana tą próbą kontaktu, chociaż po telefonie od Hugo Lamba w Vancouver może nie powinna mnie dziwić.

– To... spore zaskoczenie.

Całkowita cisza.

– Wyobrażam sobie. Ja się czuję tak samo.

– „Wyobrażasz sobie”? „Czujesz”? Nie przeceniasz się czasem?

– Owszem. – W głosie D’Arnoqa słychać refleksję. – Być może się przeceniam.

Schylona, nie prostując się do pionu, wyciągam wtyczkę lampy z gniazdka w ścianie, żeby nie była widoczna z zewnątrz.

– Nie chcę być nieuprzejma, D’Arnoq, ale czy mógłbyś darować sobie napawanie się własnym triumfem w sprawie Oscara Gomeza, bo chciałabym już się rozłączyć. Jest późno i jak wiesz, miałam męczący dzień.

W ciszy po drugiej stronie słychać napięcie i przygnębienie.

– Chcę, żeby to się już skończyło.

– Żeby co się skończyło? Ta rozmowa? Nie widzę problemu. Żegnam...

– Nie, Marinus. Chcę przejść na waszą stronę.

– A ja wtedy pytam: „Naprawdę?”, a ty: „Ha, ha, chciałbyś”. W gimnazjum jakoś tak to szło.

– Nie dam rady... Nie wytrzymam kolejnej dekantacji. Chcę przejść na waszą stronę.

Jeszcze dziwniejszy od słów Anachorety jest ton jego głosu, pozbawiony zwykłej pychy. Ale i tak lata świetlne dzielą mnie od tego, żebym mu uwierzyła.

– Teraz, kiedy już posiadasz umiejętność odczuwania i pracy wyobraźnią – odpowiadam – proszę bardzo, poćwicz. Gdyby to do ciebie zadzwonił wysoki rangą Anachoreta i urządził pokaz skruchy, jak byś zareagował?

– Absolutnie sceptycznie. Zapytałbym: „Dlaczego dopiero teraz?”.

– Świetnie. Zacznijmy zatem. Dlaczego dopiero teraz?

– Wcale nie dopiero teraz... Te mdłości narastały we mnie przez ostatnie dwadzieścia lat. Nie potrafię dłużej udawać, że mnie nie męczą. Bo... w zeszłym roku Rivas-Godoy, Dziesiąty Anachoreta, pozyskał pięciolatka z Paraisópolis, faweli w São Paulo. Miał na imię Enzo, ten chłopak. Enzo nie znał swojego ojca, dręczyli go rówieśnicy, nie miał kolegów, jego oko czakry aż krzyczało i Rivas-Godoy stał się jego starszym bratem... Książkowe pozyskanie. Sprawdziłem pod kątem ingresu – Enzo był czysty, ani śladu Horologii. Więc go zatwierdziłem i byłem w Kaplicy w Dniu Odrodzin, kiedy Rivas-Godoy podszedł do Enzo...

Już pięć razy ugryzłam się w język, żeby darować sobie zjadliwe uwagi.

– ...miał go poznać ze Świętym Mikołajem. – W głosie D’Arnoqa słysząc wewnętrzną walkę.

– Święty Mikołaj. Mężczyzna rasy białej. Wiek około sześćdziesięciu lat. Nie istnieje.

– Właśnie. Enzo dokuczali, bo twierdził, że Święty Mikołaj żyje naprawdę. Więc Rivas-Godoy powiedział Enzo, że zabierze go do Laponii. Kamienna Droga udawała skrót do bieguna północnego, Kaplica była komnatą Świętego Mikołaja, a widok na Zmierzch był... Laponią. Enzo nigdy wcześniej nie wychodził poza swoją fawelę, więc... – D’Arnoq wzdycha – nie mógł się zorientować. Rivas-Godoy wyjaśnił mu, że ja jestem weterynarzem, potrzebnym na wypadek, gdyby zachorował renifer. Enzo rozdziawił buzię z zachwytem. Wtedy Rivas-Godoy powiedział mu: „Idź, zobacz Świętego Mikołaja, Enzo, na obrazie. To czarodziejski, mówiący obraz, idź się przywitać”. Ostatnia minuta Enzo była chyba najszcześniejsza w całym jego życiu. Ale później, przy Odrodzinach Przesilenia, kiedy piliśmy Czarne Wino, a Rivas-Godoy zaśmiewał się z tego durnego brazylijskiego dzieciaka... z trudem potrafiłem opróżnić kielich.

– Ale oczywiście jakoś ci się udało.

– Jestem Anachoretą wysokiej rangi! Jaki miałem wybór?

– Wyjść ze Szczeliny w połowie głębokości Rowu Mariańskiego? Pozbyłbyś się poczucia winy, nakarmił miejscową faunę morską i oszczędził mi bajki o krokodylich łzach.

Szept D’Arnoqa jest ledwo słyszalny.

– Dekantowaniu trzeba położyć kres.

– Naprawdę słodzik musiał być z tego Enzo z São Paulo. À propos, uprzedzam, że nie jestem pewna, czy moje urządzenie jest bezpieczne...

– To ja wysyłam naszych hakerów, nikt nas nie słyszy. Nie chodzi tylko o Enzo. Ani dziś o Oscara Gomeza. Chodzi o nich wszystkich. Od dnia, kiedy Pfenninger opowiedział mi o Katarze Ślepcu, o jego budowli, o tym, czym się Katar zajmuje, biorę udział w czymś, co jest

z gruntu... Dobrze, jeżeli chcesz, żebym nazwał to „złem”, proszę bardzo. Znieczuliłem się na nie, oczywiście. Przelykałem kłamstwa. Zbywałem wyrzuty sumienia. „Co znaczy czterech rocznie wobec ośmiu miliardów?”... Ale już mam dość. Dosyć pozyskiwania, szkolenia, morderstw, duszobójstw. Mam dość zła. Horologia ma rację. Zawsze miała.

– A kiedy twoja chłopięca uroda przeminie, D’Arnoq?

– Wtedy będę z powrotem żył, a nie... trwał w tym stanie, jak teraz.

Na tarasie słyszę ciche skrzypienie.

Ktoś mnie właśnie wystawia na strzał? Wyglądam przez okno. To szop.

– Podzieliłeś się swoimi poglądami z panem Pfenningerem?

– Jeśli zamierzasz dalej robić sobie jaja, Marinus, tym razem ja się rozłączę. Apostazja jest zbrodnią, którą Kodeks Drogi Cienia karze śmiercią. Powinnaś to wykorzystać, tak à propos. Muszę pomóc ci unicestwić twoich wrogów, bo to moja jedyna szansa na przeżycie, zanim oni zabiją mnie.

Niech szlag trafi Elijah D’Arnoqa, ale muszę zapytać:

– A jaki dokładnie masz pomysł na unicestwienie naszych wrogów?

– Psychozburzenie Kaplicy Zmierzchu.

– Próbowaliśmy. Na pewno wiesz, jak to się skończyło. – Chociaż po dzisiejszej przesyłce z Norwegii sama nie jestem już taka pewna.

– Skończyło się klęską Horologii, ale przy waszej Pierwszej Misji nie wiedzieliście, z czym przyjdzie wam się mierzyć. Prawda?

– Oświecisz nas?

D’Arnoq milknie. Długo się nie odzywa.

– Tak, oświecę was.

Szansę na to, że chęć przejścia D’Arnoqa na naszą stronę jest szczerą, szacuję na jakieś pięć procent, ale Esther widziała to we wglądzie, i jeśli się nie mylę, chce, żebym potraktowała D’Arnoqa jak

sojusznika, albo przynajmniej, żebym udawała, że mu wierzę.

– Zamieniam się w słuch.

– Nie. Musimy się spotkać twarzą w twarz, Marinus.

Już tylko jeden procent. Zaproponuje spotkanie w jakimś miejscu-pułapce i wnyki się zatrzasną.

– Gdzie proponujesz?

Szop odwraca w moją stronę pysk w masce Zorro.

– Tylko nie wyjedź teraz na mnie z Głębokim Strumieniem, ale rozmawiam z twojego samochodu, na podjeździe. Tyłek mi marznie. Rozpalisz w kominku?

3 kwietnia

Na stacji w Poughkeepsie powietrze jest mroźniejsze niż na Grand Central, ale świeci słońce i topi resztki śniegu, który zalegał na peronie całą zimę. Razem z tłumem studentów, dyskutujących o wycieczkach na narty do Europy, o stażach w Guggenheimie i o wirusowych zoonozach, przechodzę przez kładkę, bramki, przez poczekalnię z lat dwudziestych zeszłego wieku, wychodzę na zewnątrz i staję na krawężniku, gdzie kilka lat starsza ode mnie kobieta w czarnym bezrękawniku czeka koło chevroleta z napędem hybrydowym, trzymając tabliczkę z napisem „DR I. FENBY”. Przez ufarbowane na kasztanowo siano na jej głowie przebija siwizna, a turkusowe oprawki okularów tylko podkreślają jej chorobliwą błądź. Ktoś nieżyczliwy mógłby powiedzieć, że wygląda jak impreza, na której nikt się nie zjawiał.

– Dzień dobry – zwracam się do niej. – Miło mi. Doktor Fenby.

Kobieta sztywnieje.

– Doktor Fenby to pani? Pani?

Skąd to zaskoczenie? Bo mam czarną skórę? W mieście uniwersyteckim w trzeciej dekadzie dwudziestego pierwszego wieku?

– Owszem... Mam nadzieję, że to nie problem?

– Nie. Nie, skąd. Absolutnie. Proszę wsiadać. To już cały pani bagaż?

– Przyjechałam na jeden dzień. – Nadal zdziwiona, wsiałam do chevroleta. Ona siada za kierownicą i zapina pas.

– Dzisiaj odwiedza pani kampus Blithewood? – W jej głosie słychać wyraźne problemy oskrzelowe.

– Zgadza się. – Czy przesadziłam z oceną jej reakcji? – Proszę mnie

wysadzić przy rektoracie, jeśli wie pani, gdzie to jest.

– Żaden problem. Woziliam tam pana Steina już sto razy. Przyjechała pani z wizytą do rektora?

– Nie. Spotykam się... z kimś innym.

– Jasne. – Jej identyfikator informuje, że wiezie mnie „Wendy Hanger”. – No to w drogę. Chevrolet: zapłon. – Auto samo włącza silnik, zapala się diodka i odjeżdżamy. Wendy Hanger na zdjęciu z identyfikatora też ma nerwową minę. Może dotąd przez całe życie musiała stale mieć się na baczności. Może właśnie zaczęła cztertnastą godzinę zmiany. Może po prostu wypięła za dużo kawy.

Mijamy parkingi, wulkanizację opon, Walmart, szkołę, hurtownię plastikowych profili. Moja kierowczyni jest typem milczącym, co mi odpowiada. Wracam myślami do spotkania, które odbyło się wczoraj wieczorem w 119A. Unalaq, która jest stąd, dotarła przede mną, Ōshima przyleciał z Argentyny, Arkád, który teraz, odkąd skończył osiemnaście lat, może już podróżować swobodniej, przyleciał z Berlina, Roho z Aten, a L’Ohkna z Bermudów. Minęły całe lata, odkąd ostatni raz zebraliśmy się wszyscy w jednym miejscu. Sadaqat poddał się Aktowi Hiatusu i zaczęliśmy. Moich pięcioro koleżeństwa słuchało, a ja opowiedziałam o wizycie, jaką Elijah D’Arnoq złożył późnym wieczorem dwa dni wcześniej w moim domu w Kleinburgu, mówiłam o jego woli przejścia na naszą stronę i o propozycji Drugiej Misji. Naturalnie, wszyscy odnieśli się do tego sceptycznie.

– Tak szybko? – zapytał Roho, spoglądając znad splecionych palców, szczupłych, ciemnych i kościstych jak cały on. Gładko ogolony, po egipsku smukły, wygląda, jakby był stworzony do przeciskania się przez wąskie szczeliny, o których nikt inny by nawet nie pomyślał. Jest młody jak na Horologa, to dopiero jego piąte wskrzeszenie, ale pod okiem Ōshimy staje się budzącym respekt fechmistrzem. – Pierwszą Misję planowaliśmy pięć lat i zakończyła się klęską.

Zaplanowanie Drugiej Misji w kilka dni byłoby... – Roho zmarszczył nos i pokręcił głową.

– Jeśli wierzyć D’Arnoqowi, to wszystko jest bardzo proste – stwierdziła Unalaq. Jej pierwsze życie jako Inuitki z północnej Alaski trwale zabarwiło jej duszę daleką północą, natomiast jej obecne ciało kobiety trzydziestoparoletniej należy do Irlandki z Bostonu, rudowłosej, lecz tak bardzo piegowatej, że jej rasę trudno odgadnąć. – Zbyt proste.

– W tym się zgadzamy. – Ōshima pokiwał głową. Ōshima jest jednym z najstarszych Horologów, zarówno w duszy, która wywodzi się z trzynastowiecznej Japonii, jak i w ciele, urodzonym w latach czterdziestych w Kenii. Ciągłe chodzi w starym prochowcu i sfatygowanym berecie, co Roho nazywa stylem „bezrobotnego perkusisty jazzowego”. W psychowalce jednak Ōshima jest bardziej niebezpieczny niż którekolwiek z nas. – Propozycja D’Arnoqa śmierdzi już z daleka. To ewidentny podstęp.

– Ale D’Arnoq pozwolił się Marinus przeskanować – zauważył Arkád. W ogromnym kontraście do jego ostatniego wschodnioazjatyckiego wcielenia, dzisiaj dusza Arkáda zajmuje ciało grubokościstego, wysokiego blondyna z Węgier, który walczy z trądzikiem i w którego nastoletnim głosie jeszcze słychać ślady mutacji. – I do tego to obrzydzenie do samego siebie, rozpacz nad chłopcem z Brazylii. – Arkád spojrział na mnie, upewniając się: – Namierzyłaś to w jego pamięci niedawnej? I jesteś pewna, że było prawdziwe?

– Owszem – potwierdziłam – chociaż takie wspomnienia mogli mu zaimplantować. Anachoreci wiedzą przecież, że nie przyjęlibyśmy słów dezertera na wiarę bez zeskanowania go ramka po ramce. Absolutnie nie można też wykluczyć, że D’Arnoq zgłosił się na ochotnika, żeby sam Pfenninger zwrócił go przeciw Drodze Cienia, więc D’Arnoq może naprawdę wierzyć w swoją fałszywą apostazję...

– Aż do chwili, kiedy staniemy w Kaplicy przed kolejnym plutonem egzekucyjnym – zgodził się Ōshima. – Pfenninger zredaguje wtedy fałszywe wyrzuty sumienia D’Arnoqa i urządzi psychorzęz Horologów, których tam zwabił. Muszę przyznać, że to sprytne. Czuję w tym rękę Constantin.

– Ja jestem przeciw.

L’Ohkna rezyduje w bladym, łysiejącym, podtytym ciele dobijającego czterdziestki Irlandczyka z Ulsteru. L’Ohkna jest najmłodszym Horologiem. Xi Lo znalazł go w komunie w Nowym Meksyku w latach sześćdziesiątych zeszłego wieku, po jego pierwszym wskrzeszeniu. O ile jego psychowoltaż nadal jest ograniczony, L’Ohkna stał się głównym architektem Głębokiego Internetu, zwanego też „Nidernetem”, a każda poważna agencja bezpieczeństwa na świecie bez powodzenia ściga jego kilkadziesiąt aliasów. – Jeden błąd i Horologia umrze. Proste.

– Ale czy nasi wrogowie też jednak dużo nie ryzykują? – zapytała Unalaq. – Zwracają jednego z najsilniejszych psychozoteryków przeciw sobie samym i Katarowi Ślepcowi.

– Owszem – potwierdził Ōshima – jednak Anachoreci wiedzą, co robią. Muszą pomachać nam przed nosem przynętą. Ale, Marinus, teraz ty powiedz, co myślisz. To dość nieoczekiwana próba zabiegania o nasze względy.

– Myślę, że to podstęp, ale i tak powinniśmy przyjąć ich propozycję, a potem opracować kontrzasadzkę, plan Drugiej Misji. Wojny nigdy nie wygramy siłą. Owszem, co roku ratujemy kilka osób, ale proszę: Oscara Gomeza porwano z chronionego oddziału, kierowanego przez mojego studenta. Dzięki mediom społecznościowym wiadomo, gdzie są aktywne czakry, jeszcze zanim zdołamy je uodpornić. Horologia powoli traci znaczenie. Jest nas zbyt niewiele. Nasze sieci się rwą.

Ponurą ciszę przerwał Arkád:

– Jeśli ty tak sądzisz, wróg też tak musi myśleć. Dlaczego Pfenninger miałby ryzykować i dopuścić nas do Katara Ślepcy, skoro może nas trzymać w tym impasie bez końca?

– Ponieważ kieruje nim jego kardynalna wada: próżność. Pfenninger chce unicestwić Horologię w pełni chwały, urządzając spektakularną rzeź, dlatego składa nam, swoim wrogom, tę propozycję, która jest pułapką. Ale dzięki temu zyskamy wąskie okno czasu wewnątrz Kaplicy. Drugi raz taka okazja się nie powtórzy.

– I co mamy zrobić z tym wąskim oknem czasu? – zgłosił wątpliwości L’Ohkna. – Oprócz tego, że poprowadzimy nasze ciała i dusze na rzeź?

– Na to pytanie – przyznałam – nie znam odpowiedzi. Ale skontaktował się ze mną ktoś, kto być może ją zna. Nie miałam odwagi mówić o tym poza murami sto dziewiętnaście A, ale kiedy już tu wszyscy jesteśmy, posłuchajcie, co ma do powiedzenia wasza stara znajoma... – Wyjęłam starożytnego walkmana i włożyłam kasetę BASF.

*

Palce Wendy Hanger bębnią o kierownicę, a samochody na czteropasmowej drodze śmigają przez skrzyżowanie, kiedy my czekamy na światłach. Wendy Hanger nie ma na palcu obrączki. Zapala się zielone światło, ale ona zauważa je dopiero, kiedy trąbi na nas stojąca z tyłu ciężarówka. Wendy Hanger rusza, silnik gaśnie, ona klnie pod nosem:

– No żeż, cholera. Chevrolet: zapłon! – Odjeżdżamy, mijając Home Depot, i niedługo potem zostawiamy za sobą Poughkeepsie.

– Jak długo się jedzie do Blithewood? – pytam.

– Trzydzieści, czterdzieści minut. – Wendy Hanger wkłada do ust

pasek gumy z nikotyną, a jej mięsień mostkowo-obojęczykowo-sutkowy wyrzusza się przy każdym ruchu szczęki.

Droga wije się między drzewami i w tunelach ich koron. Pąki na gałęziach już lada dzień się rozwiną. Mijamy znak: RED HOOK 7 MIL. Wyprzedzamy dwójkę rowerzystów, a Wendy zbiera się na odwagę:

– Pani doktor, czy mogłabym... zadać pytanie?

– Bardzo proszę.

– Pewnie wyda się pani, że mam nie po kolei.

– Ma pani szczęście, jestem psychiatrą.

– Czy mówi coś pani nazwisko „Marinus”?

Tego się nie spodziewałam. Nie ukrywamy naszych prawdziwych mian, ale też się nimi nie afiszujemy.

– Dlaczego pani pyta?

Wendy Hanger ciężko wzdycha.

– Nie wiem skąd, ale znam to nazwisko. Przepraszam... muszę... muszę się zatrzymać.

Zaraz za zakrętem jest akurat wygodna zatoczka z ławką i widokiem na las schodzący do rzeki Hudson. Wendy Hanger odwraca się do mnie. Czoło ma całe w kropkach potu, a oczy szeroko otwarte. Odświeżacz powietrza w kształcie delfinka huśta się coraz słabiej.

– Zna pani jakąś Marinus? Czy to może pani jest Marinus?

Przejeżdżają obok nas rowerzyści, których niedawno wyprzedzałyśmy.

– W pewnym kręgu używam tego nazwiska – odpowiadam.

Mięśnie jej twarzy drżą. Na policzkach i czole widać blizny po trądziku młodzieńczym.

– Jasna cholera. – Kręci z niedowierzaniem głową. – Przecież pani ledwo się wtedy urodziła. Jezu. Naprawdę muszę zapalić.

– Niech pani nie odreagowuje stresu na oskrzelach. Lepiej żuć

gumę. Tylko... może mi jednak pani wyjaśni.

– Ale chyba – Wendy marszczy brwi – chyba to nie jest żadna ustawka, prawda?

– Żałuję, że nie, bo wtedy bym przynajmniej wiedziała, o co chodzi.

Podejrzliwość, niepokój i niedowierzanie toczą ze sobą bój na twarzy Wendy Hanger, ale ich starcie nie wyłania zwycięzcy.

– No dobrze, pani doktor. Było tak. Kiedy chodziłam do szkoły i mieszkalam w Milwaukee, zesłam na złą drogę. Problemy w domu, rozwód rodziców... Narkotyki. Przyrodnia siostra wykopała mnie z domu i w końcu doszło już do tego, że matki przeprowadzały dzieci na drugą stronę ulicy, żeby uniknąć spotkań ze mną. Byłam... – Wendy się wzdraga. Dawne wspomnienia nadal sączą jad.

– Była pani narkomanką – mówię spokojnym tonem. – Co oznacza, że udało się pani pokonać nałóg.

Wendy Hanger żuje gumę.

– Chyba tak. Ale w osiemdziesiątym trzecim, w Sylwestra... Te wszystkie lampki i światełka takie śliczne... Jezu, wtedy niczego bynajmniej nie pokonałam. Stoczyłam się na samo dno. Włamałam się do mieszkania siostry, znalazłam jej tabletki nasenne, połknęłam całą fiolkę i popiłam butelką jima beama. W telewizji leciał wtedy *Płonący wieżowiec*, a ja... odplynęłam. Widziała to pani kiedyś? – Zanim mam czas odpowiedzieć, obok przejeżdża z rykiem sportowe auto i przestraszona Wendy Hanger aż podskakuje. – Obudziłam się w szpitalu, z rurkami w żołądku i w gardle. Sąsiad mojej siostry zauważył, że u niej cały czas gra telewizor, przyszedł i mnie znalazł. Natychmiast wezwał pogotowie. Ludzie myślą, że po proszkach nasennych nie boli, ale to nieprawda. Nie miałam pojęcia, że brzuch może boleć aż tak bardzo. Spałam, budziłam się, znowu zasypiałam. Potem obudziłam się na oddziale geriatrycznym, co mnie totalnie przeraziło, bo byłam przekonana, że się zestarzałam – Wendy Hanger

śmieje się gorzko – i że byłam w śpiączce czterdzieści lat, a teraz jestem już staruszką. Ale na moim łóżku siedziała ta kobieta. Nie wiedziałam, czy jest pielęgniarką, pacjentką, czy wolontariuszką, ale wzięła mnie za rękę i zapytała: „Dlaczego tu trafiłaś?”. Słyszę ją nawet teraz. „Dlaczego tu jesteś, Wendy?”. Mówiła z jakimś takim śmiesznym akcentem, ale nie wiem skąd. Nie była czarna, ale nie była też biała. Była jak... taki szorstki w obejściu anioł, który nie ma zamiaru człowieka oceniać ani obwiniać za to, co zrobił, ani za to, jak go potraktowało życie. I nagle, bezwiednie, zaczęłam jej opowiadać mnóstwo rzeczy, o których... – Wendy Hanger ma wzrok wbity we wnętrze własnych dłoni – ...nigdy nikomu nie mówiłam. Nagle zrobiła się północ. Ona uśmiechnęła się do mnie i powiedziała: „Najgorsze już za tobą. Szczęśliwego Nowego Roku”. A ja... po prostu wybuchłam płaczem. Nie mam pojęcia dlaczego.

– Powiedziała, jak się nazywa?

Oczy Wendy patrzą na mnie z oczekiwaniem.

– Czy nazywała się Esther Little, Wendy?

Wendy Hanger oddycha głęboko.

– Mówiła, że pani będzie wiedziała. Tak mówiła. Ale przecież w osiemdziesiątym czwartym roku pani była dopiero dziewczynką. O co w tym wszystkim chodzi? Jak to w ogóle...? Boże.

– Czy Esther Little przekazała ci dla mnie wiadomość?

– Tak. Tak, pani doktor. Mnie, bezdomną narkomankę, niedoszlą samobójczynię, którą znała jakieś dwie, trzy godziny, poprosiła, żebym przekazała od niej wiadomość jej koleżance Marinus. Zapytałam: „A Marinus to... nazwisko czy jakiś pseudonim?”. Ale Esther Little odparła: „Marinus to Marinus” i prosiła, żebym pani powtórzyła... żebym powtórzyła...

– Słucham, Wendy. Powiedz.

– „Piętnasta w dniu gwiazdy Rygi”.

Odgłosy świata przestają do mnie docierać.

– „Piętnasta w dniu gwiazdy Rygi”.

– Ani słowa więcej, ani słowa mniej. – Wendy Hanger patrzy na mnie badawczo.

Gwiazda Rygi. Wiem, że kiedyś słyszałam te dwa słowa, i sięgam po nie do pamięci, ale moje palce przeczesują wspomnienia i nic na nich nie zostaje. Nie. Muszę uzbroić się w cierpliwość.

– „Ryga” nic mi nie mówiła – przeżuta guma Wendy Hanger musi być już kompletnie pozbawiona smaku – wtedy, na szpitalnym łóżku w Milwaukee, więc poprosiłam ją, żeby to przeliterowała: R-Y-G-A. Zapytałam, gdzie mam znaleźć tę Marinus, żeby przekazać wiadomość. Eshter odparła, że jeszcze nie pora. Więc ją zapytałam, kiedy. Odpowiedziała – Wendy Hanger przełyka ślinę, a jej tętnica szyjna pulsuje w szybkim tempie – „Tego dnia, kiedy zostaniesz babcią”.

Klasyczna Esther Little.

– Gratulacje! – Uśmiecham się do Wendy. – Wnusia czy wnusio?

Wendy Hanger patrzy na mnie jeszcze bardziej wstrząśnięta.

– Dziewczynka. Synowa urodziła dziś rano w Santa Fe. Miała termin dopiero za dwa tygodnie, ale tuż po północy urodziła się Rainbow Hanger. Jej rodzina to hipisi. Ale musi pani... to znaczy... myślałam, że Esther może miała ataki demencji albo może... Matko Boska, kto zdrowy na umyśle zwróciłby się do kogoś z taką popieprzoną prośbą, a co dopiero do narkomanki, która właśnie połknęła sto tabletek nasennych? Zadałam jej to pytanie. Esther odparła, że narkomanka we mnie już umarła, ale ja – prawdziwa ja – przetrwałam. I że odtąd wszystko już będzie ze mną dobrze. Powiedziała, że ta wiadomość o „Rydze” i data jej doręczenia zostały zapisane niezmywalnym tuszem, i że kiedy nadejdzie ten dzień, za wiele, wiele lat, Marinus mnie znajdzie, choć przedstawi się innym

nazwiskiem i... – Wendy Hanger pociąga nosem, a z oczu płyną jej łzy.

– Dlaczego ja płaczę?

Podaję jej paczkę chusteczek.

– Czy ona jeszcze żyje? Miałyby... ze sto pięćdziesiąt lat.

– Kobieta, którą pani spotkała, już zmarła.

Świeżo upieczona babcia kiwa głową, a wiadomość nie jest dla niej zaskoczeniem.

– Szkoda. Chciałabym jej podziękować. Tyle jej zawdzięczam.

– Tak?

Wendy Hanger ma zdziwioną minę, ale postanawia wszystko mi opowiedzieć.

– Potem powoli zasnęłam i nie budziłam się aż do rana. Esther już nie było. Pielęgniarka przyniosła mi śniadanie i powiedziała, że przeniosą mnie później do jednoosobowej sali. Odparłam, że to chyba jakaś pomyłka, bo nie jestem ubezpieczona, ale pielęgniarka odpowiedziała: „Pani babcia ureguluje należności, kochanie”. Ja na to: „Jaka babcia?”. Pielęgniarka uśmiechnęła się, jakbym miała wstrząs mózgu i odparła: „Pani Little”. Potem, już później, kiedy leżałam w jednoosobowym pokoju, pielęgniarka przyniosła mi taką... czarną zasuwaną teczkę. Była w niej karta Bank of America, z moim imieniem i nazwiskiem, klucz do drzwi i jakieś dokumenty. Te papiery

– Wendy Hanger wzdycha, z trudem tłumiąc uczucia – to był akt własności domu w Poughkeepsie. Na moje nazwisko. Dwa tygodnie później wypisano mnie ze szpitala w Milwaukee. Pojechałam do mojej przyrodniej siostry, przeprosiłam ją za to, że próbowałam się zabić na jej kanapie, i powiedziałam, że jadę na wschód, żeby, wie pani, zacząć od nowa tam, gdzie nikt mnie jeszcze nie zna. Myślę, że siostra odetchnęła z ulgą. Później, po długiej podróży Greyhoundem z przesiadką, przekroczyłam próg mojego domu w Poughkeepsie... Domu, który najwyraźniej dostałam od prawdziwej, żyjącej dobrej

wrózki. I potem nagle czterdzieści lat minęło jak z bicia strzelił. A ja nadal tam mieszkam i mój mąż do dzisiaj wierzy, że to był prezent od ekscentrycznej ciotki. Nigdy nikomu nie powiedziałam prawdy. Ale za każdym razem, kiedy przekręcam klucz w drzwiach, myślę o niej i powtarzam: „Piętnasta w dniu gwiazdy Rygi”. A odkąd dowiedziałam się, że synowa jest w ciąży, powtarzałam to co godzinę i zastanawiałam się, czy to dziś wpadnie gdzieś na mnie Marinus... A dziś rano, Boże, ale był kocioł. Dziś urodziła mi się wnuczka. Mąż wolał, żebym została w domu, więc zostałam. Ale Carlotta, szefowa naszej korporacji, zadzwoniła, że Jodie skręciła kostkę, a maluch Zeinab dostał gorączki, i ona tak bardzo, bardzo, bardzo mnie prosi, żebym dziś pracowała i odebrała z dworca doktor Iris Fenby. I wie pani, nic w pani osobie nie mówi, że to pani jest tą Marinus, a jednak, kiedy panią zobaczyłam... – kręci głową – wiedziałam. Dlatego tak się dziwnie zachowywałam, byłam trochę przestraszona. Przepraszam.

Cętki słonecznego światła drżą.

– Nic się nie stało. Dziękuję.

– A ta wiadomość o Rydze. Pani ją rozumie?

Muszę uważać.

– Częściowo. Być może.

Mojej rozmówczyni przechodzi przez myśl podziemie kryminalne, FBI, *Kod Leonarda da Vinci*, i Wendy uśmiecha się nieśmiało.

– To zdecydowanie nie na moją głowę. Wie pani, że czuję się... lżej. – Ociera oczy przegubem dłoni, zauważa rozmazaną smugę makijażu i przegląda się w lusterku. – Potwór z Czarnej Laguny. Mogę sobie poprawić?

– Ja się przewietrzę, pani sobie poprawi.

Wysiadam z auta i podchodzę do ławki. Siadam i patrzę na majestatyczną rzekę Hudson u stóp gór Catskill, przeprowadzam exodus, trawersuję do samochodu i dokonuję ingresu w Wendy

Hanger. Najpierw redaguję wszystko, co się stało, odkąd zjechała na pobocze. Potem po jej strunie pamięci cofam się czterdzieści jeden lat do szpitala w Milwaukee. Redagowanie wspomnień o Esther sprawia mi przykrość, ale tak będzie najlepiej. Wendy Hanger zapomni o posłaniu, które tak długo nosiła, i o wszystkim, co mi przed chwilą opowiedziała. Od czasu do czasu dziury w pamięci będą budziły w niej niepokój, ale zaraz jakaś myśl-szczurołap zagra na fleciku i cały jej nieszkolony umysł podąży za tą melodią...

*

Wendy Hanger wysadza mnie przy rondku z klombami narcyzów na kampusie Blithewood, tuż przed porośniętym dzikim winem rektoratem.

– Było mi bardzo miło, Iris.

– Bardzo dziękuję za jazdę i za opowieści o historii okolicy, Wendy.

– Lubię pokazywać tutejsze strony ludziom, którzy potrafią je docenić, szczególnie pierwszego dnia wiosny.

– Wiem, że moja asystentka zapłaciła kartą, ale... – wręczam jej dwudziestodolarowy banknot – kup sobie butelkę czegoś wyskokowego i opij ten dzień – dziś zostałam babcią.

Wendy waha się, ale wciskam jej pieniądze w dłoń.

– Bardzo miło z twojej strony, Iris. Właśnie tak zrobię i z mężem wypijemy twoje zdrowie. Na pewno będziesz miała jak wrócić z powrotem?

– Dam sobie radę. Wracam do Nowego Jorku z przyjacielem, jego samochodem.

– No to życzę udanego spotkania, przepięknego dnia i dużo słońca. Według prognoz następne dni mają być w kratkę. – Wendy odjeżdża, macha do mnie i już jej nie ma.

Słyszę, jak subkomunikuje się ze mną Ōshima, pytając mnie swoim jęklwym tonem: Szukasz stowarzyszenia studentek?

Usiłuję go wypatrzyć, ale widzę tylko studencką brać, która przemierza znakomicie utrzymane trawniki, niosąc pod pachą teczkę i torby. Czterej mężczyźni przenoszą dokądś pianino. Ōshima, właśnie dostałam sygnał od Esther Little.

Otwierają się drzwi wejściowe rektoratu i na progu pojawia się Ōshima, drobny człowiek, z rękami schowanymi głęboko w fałdach bluzy z kapturem, która sięga mu do kolan, a on wygląda w niej jak uliczny bandzior. Jaki znowu sygnał?

Mnemoszyfrowany klucz, subodpowiadam, idąc w jego stronę. Mokra bazie pokrywają meszkiem witki na wierzbie. *Jeszcze go nie rozgryzłam, ale poradzę sobie. Na cmentarzu ktoś jest?* Rozpinam guziki płaszcza.

Tylko wiewiórki. Ōshima odrzuca w tył kaptur i wystawia do słońca siedemdziesięcioletnią twarz Kenijczyka z białym wąsem, żeby poczuć na policzkach przyjemne ciepło promieni. Przynajmniej kwadrans temu nikogo nie było. Pójdź tą ścieżką, która odchodzi w lewo, w moje lewo.

Mijam go, przechodząc kilka metrów od niego. *Ktoś, kogo znam?*

Sama zobacz. Ma na głowie jamajski zawój.

Idę wskazaną ścieżką. *Co to jest jamajski zawój?*

Ōshima zamyka za sobą drzwi i odchodzi w przeciwną stronę. Krzycz, jeśli będę ci potrzebny.

*

Stare liście szeleszczą i skrzypią pod butami, a tymczasem w górze świeżutkie listki wypełniają powoli z nabrzmiałych pąków, a cały las wypełnia WiFi ptasich treli. Przy pniu o obwodzie łapy brontozaura znajduję grób. I jeszcze jeden, i kolejny, porośnięte gęstym

bluszczem. Zatem cmentarz uniwersytecki w Blithewood nie jest zdyscyplinowanym matriksem dla zmarłych, ale lasem, gdzie groby zapadają się między drzewa, odżywiając korzenie sosen, cedrów, cisów i klonów. Wgląd Esther był precyzyjny: groby rzeczywiście są rozrzucone wśród drzew. Obchodzę gęstwinę kolców ostrokrzewu i wpadam na Holly Sykes. Któżby inny? – myślę. Nie widziałam jej od mojej wizyty w Rye cztery lata temu. Jej nowotwór trwa w remisji, ale Holly bardzo wychudła, sama skóra i kości. Jej zawój na głowie jest koloru czerwono-zielono-złotego, jak flaga Jamajki. Specjalnie głośno szuram, żeby dać jej znać, że ktoś nadchodzi, a Holly zakłada okulary słoneczne, żeby zasłonić dużą część twarzy.

– Dzień dobry – odzywam się pierwsza.

– Dzień dobry – odpowiada neutralnym tonem.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale szukam grobu Crispina Hersheya.

– Tutaj. – Holly wskazuje płytę z białego marmuru.

CRISPIN HERSHEY

PISARZ

1966–2020

– Krótko i zwięźle – zauważam. – Bez frazesów.

– Owszem, nie był miłośnikiem kwiecistej prozy.

– I trudno wyobrazić sobie – dodaję – spokojniejsze, bardziej Emersonskie miejsce wiecznego spoczynku. Hershey co prawda pisał o mieście i miał miejski dowcip, ale jego dusza tęskniła za wiejską idyllą. Natychmiast przychodzi mi na myśl Trevor Upward z *Niech ucichnie echo*, który odnajduje spokój jedynie w lesbijskiej wspólnocie na Muck.

Holly przygląda mi się badawczo przez ciemne szkła okularów.

Ostatnim razem widziała mnie otumaniona lekarsstwami, więc wątpię, czy mnie poznaje, ale jestem przygotowana.

– Pani również wykładała w Blithewood? – pyta.

– Nie, nie, pracuję w zupełnie innej dziedzinie. Ale uwielbiam jego powieści. *Suszone embriony* czytałam wiele razy.

– Tak, podejrzewał, że ta książka go przeżyje.

– Osiągnąć nieśmiertelność jest łatwiej niż ustalać jej reguły.

Sójka zlatuje na porośnięty hubą pień przy grobie Hersheya i wydaje z siebie serię ostrych gwizdów, a po nich chropawy trzel.

– W moich stronach nie ma takich ptaków – wzdycha Holly.

– To modrosójka błękitna – mówię. – *Cyanocitta cristata*. – Algonkinowie nazywali ją *sideso*, a plemię Jakimów *xwáshxway*, ale ich terytorium leżało daleko nad Pacyfikiem, więc mówię to tylko, żeby się popisać.

Holly zdejmuje okulary.

– Zajmuje się pani językoznawstwem?

– Wyłącznie amatorsko. Jestem psychiatrą, przyjechałam tu na ważne spotkanie. A pani?

– Ja przyjechałam odwiedzić grób Crispina. – Holly schyla się, podnosi z grobu liść dębu i wkłada do torebki. – Cóż, miło się z panią rozmawiało. Życzę owocnego spotkania.

Sójka odlatuje, jakby tknęła nic przez prążki światła i omszałego mroku. Holly już odchodzi.

– Dotąd jakoś szło, ale obawiam się, że trzeba przejść do rzeczy, i będzie trudniej.

Holly zatrzymuje się, zdumiona i poruszona moimi dziwnymi słowami.

Odchrząkuję.

– Pani Sykes, musimy porozmawiać.

Opadają żaluzje, do głosu dochodzi nieprzyjazny akcent z Gravesend.

– Nie rozmawiam z mediami, nie jeżdżę na festiwale. – Holly cofa się o krok. – Już się tym nie zajmuję. – Gałązka sosny omiata jej czoło, a Holly nerwowo przykuca. – Więc, nie, kimkolwiek pani jest, może sobie pani...

– Iris Fenby, tym razem, ale pani zna mnie jako Marinusa.

Holly zamiera w bezruchu, myśli przez chwilę, marszczy brwi i krzywi się z pogardą.

– Och na miłość boską! Yu Leon Marinus zmarł w osiemdziesiątym czwartym roku, był Chińczykiem, a jeśli pani rodzice byli Chińczykami, to ja jestem... Władimir Putin. Naprawdę nie chcę być grubiańska. Za to pani taka jest.

– To prawda, Holly, doktor Yu Leon Marinus nie miał potomstwa, a jego ciało umarło w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku. Ale jego dusza, to „ja”, które teraz do pani mówi, to on, to Marinus. Naprawdę.

Ważka nadlatuje i zaraz odfruwa, jakby zmieniła zamiar. Holly odchodzi. Kto wie, ilu spotkała Marinusów, od chorych psychicznie, po oszustów, chcących wyrwać jakiś ochłap z jej tantem?

– Nie potrafi sobie pani przypomnieć dwóch godzin z pierwszego lipca osiemdziesiątego czwartego roku – wołam za nią – w drodze między Rochester a Isle of Sheppey! Ja wiem, co się wtedy stało.

Holly zatrzymuje się.

– To ja wiem, co się wtedy stało. – Holly toczy ze sobą walkę, ale w końcu znowu odwraca się do mnie, rozwścieczona do granic. – Jechałam autostopem. Podwiozła mnie jakaś kobieta i wysadziła mnie przy moście Sheppey. Proszę dać mi spokój.

– Podwieźli panią Ian Fairweather i Heidi Cross. Wiem, że zna pani te nazwiska, ale nie jest pani świadoma, że była pani w ich willi tamtego dnia rano, kiedy zostali zabici.

– Jest mi wszystko jedno! Niech pani opíše całą historię na

bełkotparanoja.com. Wszystkie świry na pewno poświęcą jej dużo uwagi. – Gdzieś niedaleko włącza się z warkotem kosiarka do trawy. – Pochłonęła pani *Ludzi z Radia*, potem ich zwymiotowała, wymieszała z własnymi psychozami i zrobiła z nich sobie tajemny reality show, w którym sama jest pani gwiazdą. Tak jak ta żalosna dziewczyna, która zastrzeliła Crispina. Żegnam panią. Proszę nie iść za mną, bo wezwę policję.

Ptaki śmigają to tu, to tam, świergocząc w smugach światła.

Poszło ci świetnie, subkomentuje niewidoczny szyderca Ōshima.

Siadam na pieńku modrosójki. *Od czegoś trzeba zacząć.*

4 kwietnia

– Moje ulubione danie w całej karcie, kochanie, Bóg mi świadkiem.
– Nestor stawia przede mną talerz. – Ludzie tu przychodzą, siadają, widzą „musaka wegetariańska” i myślą, że jeśli w musace nie ma mięsa, to nie musaka, więc zamawiają stek, albo pieczony mostek, albo kotleciki jagnięce. Nie wiedzą, co tracą. No jedz, spróbuj. Przepis mojej matki, świeć Panie nad jej duszą. Z niej to była kobieta. Przy greckiej mamie nawet Navy Seals, wojownicy ninja i mafiozi to patałachy. To ona, na tym zdjęciu w ramce nad kasą. – Nestor wskazuje białowłosą matronę. – To ona stworzyła tę knajpkę. I beznamięsny musakę też ona wymyśliła, kiedy Mussolini najechał kraj i zastrzelił każdą owcę, każdego królika, każdego psa. Mama musiała – jakie to słowo? – improwizować. Marynowała bakłażany w czerwonym winie. Podduszała soczewicę na wolnym ogniu. Gotowała grzyby w sosie sojowym, sos sojowy dodała już po przyjeździe do Nowego Jorku. To ma bardziej mięsny smak od mięsa. Masełko w beszamelu, mąka kukurydziana, prawdziwa śmietana. Dużo mielonej papryki. Stąd ta ostrość. *Bon appétit*, kochanie – podaje mi szklankę z wodą pełną dzwoniących kostek lodu – i zostaw trochę miejsca na deser. Jesteś za chuda.

– Akurat chuda – klepię się po brzuchu – niestety, nie jestem.

Nestor oddała się, wprawnie omijany przez poruszających się szybciej młodszych pracowników. Wbijam widelec w bakłażana, nabieram trochę beszamelu, dokładam pieczarkę i jem. Ponieważ smak to krew pamięci, przypominam sobie rok 1969, kiedy Yu Leon Marinus uczył studentów zaledwie kilka ulic stąd, stary Nestor był młodym Nestorem, a białowłosa matrona w ramce, odkąd dowiedziała

się, że mówiący po grecku Chińczyk jest lekarzem, stawiała mnie za wzór swoim synom, jakbym był wcieleniem American Dream. Dawala mi baklawę do kawy za każdym razem, kiedy tu przychodziłem, a bywałem tu często. Chciałabym zapytać, kiedy zmarła, ale moja ciekawość może wzbudzić podejrzenia, więc przeglądam „New York Timesa” i przerzucam strony, szukając krzyżówki. Wszystko na nic.

Nie potrafię przestać myśleć o Esther Little.

*

W 1871 roku Pablo Antay Marinus skończył czterdzieści lat. Po ojcu Katalończyku odziedziczył wystarczająco dużo latynoskich genów, żeby uchodzić za Hiszpana, więc w Rio de Janeiro zamustrował się jako lekarz pokładowy na starzejący się jankeski kliper, „Wieszczkę”, płynący przez Kapsztad do Batawii w Holenderskich Indiach Wschodnich. Mimo tajfunu o isticie starotestamentowej sile, mimo tyfusu, który zabrał kilkunastu marynarzy, i potyczek z korsarzami u wybrzeży wyspy Panaitan, liżąc rany, dopłynęliśmy do Batawii w dzień Bożego Narodzenia. Lucas Marinus odwiedził to miasto osiemdziesiąt lat wcześniej, jeszcze zanim malaryczne miasteczko garnizonowe z moich wspomnień stało się malaryczną metropolią. Nie można wejść dwa razy do tej samej rzeki. Wyprawilem się w głąb lądu na poszukiwania botaniczne w okolicach Buitenzorgu, lecz brutalność, z jaką Europejczycy traktowali rdzennych Jawajczyków, odebrała mi całą przyjemność odkrywania jawajskiej flory, a kiedy „Wieszczka” w styczniu podniosła kotwicę i wypłynęła ku młodej duchem Swan River Colony w Australii Zachodniej, nie odczuwałem przykrości, opuszczając Jawę. Jeszcze nigdy w całym moim metażyciu nie zszedłem na australijski ląd, zatem kiedy kapitan powiadomił nas o trzytygodniowym cumowaniu we Fremantle, w

celu przeprowadzenia niezbędnej konserwacji „Wieszczki”, postanowiłem spędzić dwa tygodnie w Becher Point Wetlands. Wynająłem rwącego się do pracy lokalnego mieszkańca nazwiskiem Caleb Warren oraz jego umęczonego muła. Przed gorączką złota z lat dziewięćdziesiątych XIX wieku Perth było miasteczkiem, w którym stało nie więcej niż kilkaset drewnianych domów, więc nie minęła godzina, a Warren i ja szliśmy traktem przez dziką ziemię, niezmienioną od tysiącleci. Gdy nasz trakt zaczął robić się już jedynie umowny, Caleb Warren zamilkł i ogarnęło go wyraźne przygnębienie. Dzisiaj zdiagnozowałabym go jako przypadek choroby afektywnej dwubiegunowej. Mijaliśmy porośnięte krzakami wzgórza, bagniste parowy, strumyki ze słoną wodą i zagajniki drzew niaouli. Byłem zadowolony. Mój szkicownik zawiera pod datą 7 lutego 1872 rysunki sześciu gatunków żab, opis jamraja, szkic warzęchy królewskiej i dość przyzwoitą akwarelkę zatoki Jervoise. Zapadła noc i rozbiliśmy obóz w kręgu skałek na szczycie niskiego klifu. Zapytałem mojego przewodnika, czy w nocy mogą podejść nas Aborygeni. Caleb Warren walnął dłonią w kolbę strzelby i oznajmił: „Niech tylko, skurczybyki, spróbują. Będziemy na nich gotowi”. Pablo Antay zanotował swoje wrażenia, opisał grzywy fal rozbijających się o klif, rozbryzgi kropel morskiej wody, istny babel bzykania owadów, powarkiwania ssaków i ptasich krzyków. Zjedliśmy „placek buszmena” z krwawą kiszka i fasolą. Mój przewodnik żłopał rum jak wodę i na wszystko, o co pytałem, odpowiadał: „A kogo to obchodzi?”. Warren stanowił problem, który musiałem rozwiązać nazajutrz. Patrzyłem w gwiazdy i myślałem o innych życiach. Nie wiem, ile czasu minęło, zanim zauważyłem myszkę, która wdrapywała się na ramię Warrena, na jego dłoń, a z dłoni na kij, który służył mu do podpiekania w ogniu tłustego pęta kiełbasy. To nie ja go zhiatusowałem. Warren miał otwarte oczy, ale leżał bez ruchu...

...a czterech roślących tubylców z dzidami wślizgnęło się w krąg żaru wokół ogniska. Ziemię wokół obwąchiwał wychudzony pies z krótkim ogonem. Wstałem, niepewny, czy mam uciekać, zagadać do nich, wyciągnąć nóż, czy może rozpocząć exodus. Przybysze zignorowali Caleba Warrena, nadal zawieszono go poza czasem. Byli boso, jedni mieli na sobie bryczesy i koszule, jakie nosili osadnicy, inni tubylcze okrycia ze zwierzęcych skór i przepaski na biodra. Jeden miał nos przebity kością, a wszyscy byli pokryci rytualnymi bliznami. Wojownicy. Bez względu na strój, okoliczności, stulecie wojownika zawsze można rozpoznać. Podniosłem ręce nad głowę, żeby pokazać, że jestem nieuzbrojony, ale zamiary tych ludzi pozostawały nieodgadnione. Bałem się. W tamtych czasach exodus zajmował mi dziesięć do piętnastu sekund, dużo dłużej, niż potrzeba było czterem włócznikom, by zakończyć wędrowne życie Pablo Antaya, a śmierć zadana dzidą jest szybka, lecz nieprzyjemna. Wtedy w krąg światła wysunęła się blada, chuda kobieta, sama skóra i kości. Miała związane z tyłu włosy i była ubrana w długie, bezkształtne giezło, jakie rozdają misjonarze, kiedy muszą poradzić sobie z zakryciem dużej partii ciała u tubylców. Trudno było odgadnąć jej wiek. Podeszła, utykając, i z bliska zlustrowała mnie od stóp do głów krytycznym okiem, jakbym był koniem, a ona właśnie rozmyśliła się co do zakupu.

– Nie obawiaj się. Gdybyśmy chcieli cię zabić, nie żyłbyś już od kilku godzin.

– Pani mówi po angielsku... – wybąkałem.

– Ojciec mnie uczył.

Zwróciła się do wojowników w języku, który niedługo potem miałem się nauczyć rozpoznawać jako Noongar, i przysiadła na

kamieniu przy ognisku. Jeden z mężczyzn wysunął kij z palców Caleba Warrena i powąchał kielbasę. Ostrożnie odgryzł kęs, potem jeszcze jeden.

– Twój przewodnik zły. – Kobieta zwracała się do ognia, przemawiając do mnie. – Jego plan upić cię grogiem, walnąć w głowę, zabrać pieniądze, zrzucić cię z tej skały. Bo masz więcej pieniędzy, niż on zobaczy przez dwa lata. Duże... – szukała słowa – ...kuszenie. Tak się mówi, tak?

– Pokusa, lepiej.

Kobieta cmoknęła.

– Potem powie Białym ze Swan River, że poszedłeś do buszu i już nie wróciłeś. Ukradnie, co twoje.

Zapytałem:

– Skąd pani to wszystko wie?

– Wyfruwam. – Dotknęła czoła i jedną ręką udała lot motyla. – Wiesz, jak. Tak? – Patrzyła na moją reakcję.

Czułem przyływ adrenaliny.

– Jest pani... psychozoteryczką?

Nachyliła się do ognia. Dostrzegłem europejski kształt jej zuchwy i nosa.

– Duże słowo. Nie mówię *boola* po angielsku. *Boola* zapomniałam. Ale moje miejsce duszy jasne. – Postukała się w punkt na czole. – Ty taki sam. *Boyllyada maaman*. Też mówisz z duchami.

Usiłowałem zapisać w pamięci każdy szczegół. Czterej wojownicy przeglądali plecak Warrena. Pies z krótkim ogonem węszył wkoło. Z płonących szczap wystrzelały gejzery iskier. Pablo Antay Marinus napotkał Aborygenkę psychozoteryczkę na zachodnim krańcu Australii. Właśnie głośno beknęła, gryząc kielbasę.

– Jak nazywacie to... świńskie mięso na kiju?

– To kielbasa.

– Kielbasa. – Kobieta smakowała to słowo. – Mick Little robił kielbasy.

Musiałem zadać pytanie:

– Kim jest Mick Little?

– Ojciec tego ciała. Ojciec Esther Little. Mick Little zabijał świnie, robił kielbasy, ale umarł. – Udała kaszel i wyciągnęła dłoń. – Krew. Tak pluł.

– Ojciec twojego ciała umarł na gruźlicę? Na suchoty?

– Tak się na to mówiło, tak. Potem ludzie sprzedali farmę. Matka Esther, kobieta z Noongarów, wróciła do buszu. Zabrała Esther. Esther umarła, a ja weszłam w jej ciało.

Zmarszczyła brwi, kołysząc się na piętach.

Po chwili milczenia odezwałem się.

– To ciało nazywa się Pablo Antay Marinus. Ale naprawdę nazywam się Marinus. Tak do mnie mów. A ty masz prawdziwe miano?

Ogrzewała ręce przy ognisku.

– Moje imię Noongar to Moombaki, ale mam też dłuższe miano, którego nie powiem.

Teraz wiedziałem, jak Xi Lo i Holokai czuli się, kiedy weszli do salonu rodziny Koskowów w Petersburgu, pięćdziesiąt lat wcześniej. Najpewniej ta atemporalna rezydentka nie chciała mieć nic wspólnego z Horologią i nie obchodziło jej, że istniała też garstka innych jej podobnych, rozproszonych po całym świecie. Mimo to otuchy dodawała mi myśl, że przynajmniej jeden osobnik naszego gatunku był teraz w mniejszym niebezpieczeństwie niż jeszcze kwadrans temu. Następne pytanie zadałem kobiecie w submowie: *Mam cię nazywać Esther czy Moombaki?* Mijały chwile, ale nie nadeszła żadna odpowiedź. Ogień inaczej ułożył teraz swoje płonące kości, strzelając w górę spiralami iskier. Wojownicy rozmawiali między sobą przyciszonym głosem. Kiedy już doszedłem do wniosku, że kobieta

nie posiadała telepatii, nadeszła jej subodpowiedź: *Jesteś wadjela, biały, więc dla ciebie jestem Esther. Jeśli kto jest Noongar, jestem Moombaki.*

To moje trzydzieste szóste ciało, powiedziałem Esther. A twoje które?

Pytania, które uznawała za zbędne, Esther rozbrajała, po prostu je ignorując, i tak właśnie było teraz. Subzapytałem więc: *Kiedy przybyłaś na ten ląd? Do Australii?*

Poklepała psa. *Zawsze tu byłem.*

Rezydenci mają ten luksus. *Nigdy stąd nie wyjeżdżałaś?*

Odparła: *Nigdy. Żyję na ziemi Noongarów.*

Zazdrościłem jej. Dla powracającego, jak ja, każde wskrzeszenie jest loterią współrzędnych geograficznych i demografii. Umieramy, a czterdzieści dziewięć dni później budzimy się jako dzieci, często na innej masie lądu. Pablo Antay próbował wyobrazić sobie całe metażycie w jednym miejscu jako rezydent, który migruje z jednego starego, umierającego ciała w nowe, młode i zdrowe, nigdy jednak nie zrywa więzi ze swoim klanem ani terytorium.

– Jak mnie znalazłaś?

Ostatni kęs kiełbasy Esther dała psu.

– Busz gada. My słuchamy.

Zauważyłem, że czterej wojownicy zdejmują z muła juki.

– Kradniecie mój bagaż?

Pół-Aborygenka podniosła się. *Zabieramy twoje torby. Do naszego obozu. Idziesz?*

Spojrzałem na Caleba Warrena i subwyraziłem obawę: *Coś go tu zezre, jeżeli go tak zostawimy.*

– Albo może się zająć od ognia, albo roztopić – dodałem.

Esther przyjrzała się swojej dłoni. *Niedługo się obudzi, będzie miał głowę pełną pszczoł. Będzie myślał, że już cię zabił.*

Wędrowaliśmy przez większą część nocy, aż doszliśmy do skały, której nazwa w mowie Noongarów oznacza po angielsku „pięć palców”, niedaleko dzisiejszego Armadale. To była siedziba klanu tych czterech wojowników. Kiedy wstał dzień, starałem się, jak mogłem, by na coś się przydać moim gospodarzom, lecz choć w poprzednich życiach należałem do plemion Itsekiri, Kawésquar i Gurage, to jednak przyzwyczailem się do wygod jako Lucas Marinus, Klara Koskowa i Pablo Antay, a od czasu, kiedy na kolację jadłem to, co upolowałem lub wyszperałem, minęły dwa stulecia. Większy był ze mnie pożytek, kiedy pomagałem kobietom przy wyprawianiu kangurzych skór, nastawianiu złamanych rąk i zbieraniu dzikiego miodu. Znalazłem sobie też zajęcie, zaspokajając własną ciekawość jako protoantropolog: moje dzienniki opisują wypalanie buszu, żeby wykurzyć dziką zwierzynę; zwierzęta totemiczne; wizytę pięciu ludzi z południa, którzy wymienili czerwoną ochrę za cenne drewno *burdum*; oraz sprawę o ustalenie ojcostwa, rozstrzygniętą przez Esther, która dokonała ingresu w płód, by przeprowadzić psychozoteryczne badanie DNA. Pobratymcy Esther litowali się nade mną jak nad wujaszkiem o prostym umyśle, okazywali nieufność wobec mojej europejskości i szacunek dla *boylyada maaman*, szamana, jak Moombaki. Dzieci były najmniej podejrzliwe. Jeden z chłopców, imieniem Kinta, lubił pożyczać sobie moją kurtę i kapelusz, i paradować w nich po osadzie, a wszystkie dzieciaki chętnie się popisywały swoimi umiejętnościami i zręcznością w buszu przed nieporadnym bladokórym gościem. Moje próby mówienia w języku Noongar wywoływały niezmiennie wybuchy śmiechu i radości, ale z pomocą całego plemienia Pablo Antay zestawiał najlepszy jak dotąd słownik tej mowy.

Plemię nie uważało Moombaki za boginię, tylko za strażniczkę

zbiorowej pamięci, za uzdrowicielkę, za ostateczną broń, i za kogoś w rodzaju plemienną sędzi. Przenosiła się z jednej grupy krewniaczej do drugiej z początkiem każdej z sześciu pór roku Noongarów, pomagając wszystkim rodzinom, jak tylko potrafiła, i upowszechniając pogląd, że zbrojny opór wobec Europejczyków przyniesie Noongarom wyłącznie śmierć kolejnych współplemieńców. Niektórzy, powiedziała mi, nazywali ją zdrajczynią, ale wraz z nadejściem lat siedemdziesiątych XIX wieku, słuszość jej rozumowania dało się już obronić. Europejczyków było zbyt wielu, mieli zbyt zachłanny apetyt, zbyt kapryśną moralność, a ich strzelby trafiały w cel ze zbyt wielką precyzją. Jakąkolwiek nadzieję na przetrwanie dawała Noongarom jedynie adaptacja, a jeśli w efekcie miałyby się zmienić znaczenie bycia Noongarem, to czy był jakiś wybór? Jednakże bez wiedzy o sposobie myślenia Ludzi ze Statków nawet ten słaby płomyk nadziei niechybnie by zagaśł, tak więc Moombaki na obecne rezydowanie wybrała dziesięcioletnią dziewczynkę mieszanej rasy. Zaprosiła też Pabla Antaya do Pięciu Palców, w nadziei że sama nauczy się więcej o świecie i jego narodach.

Zatem, gdy zapadł zmrok, Esther i ja siedzieliśmy już naprzeciw siebie przy ognisku w jej niewielkiej pieczarze i rozmawialiśmy w submowie o imperiach, o tym, jak zdobywają potęgę i jak upadają; o miastach, o szkodnictwie, o przemyśle; o handlu niewolnikami, o podziale Afryki przez kolonizatorów, o ludobójstwie rdzennych mieszkańców Ziemi van Diemena; o hodowli zwierząt, o uprawie roli, o telegrafii, gazetach, druku, matematyce, filozofii, prawie i pieniądzu, i o setce innych spraw. Czułem się tak, jak kiedyś Lucas Marinus, gdy bywał z wykładami w domach uczonych z Nagasaki. Mówiłem o tym, kim byli osadnicy, którzy przybili do brzegu we Fremantle, o tym, dlaczego tu przyplłynęli, w co wierzyli, czego

pragnęli, czego się bali. Usiłowałem wyjaśnić też ich religię, ale lud Whadjuk Noongar nie ufał księżom po tym, jak biali ludzie dali koce „od Jezusa” kilku klanom znad Swan River, a obdarowani nimi umarli kilka tygodni później na chorobę, której objawy wskazywały na czarną ospę.

Jednakże w większości pozostałych tematów Esther była odpowiednią nauczycielką. Jej metawiek wyszedł na jaw pewnego wieczoru, kiedy wyrecytowała imiona swoich poprzednich żywicieli i żywicielek, a ja z każdym imieniem kładłem w linii na ziemi jeden kamyk. Kamyków w linii nabierało się dwieście siedem. Moombaki przenosiła rezydowanie do nowego żywiciela, gdy ten miał mniej więcej dziesięć lat, i zostawała do jego śmierci, co wskazywało na metażycie długości około siedmiu tysięcy lat. Czyli była dwa razy starsza od Xi Lo, najstarszego atemporalnego znanego Horologii, Xi Lo, przeżywszy dwadzieścia pięć stuleci, był smarkaczem w porównaniu z Esther, której dusza była starsza niż Rzym, Troja, Egipt, Pekin, Niniwa i Ur. Nauczyła mnie niektórych swoich inwokacji, a ja rozpoznawałem w nich różne dopływy Głębokiego Strumienia, na długo przed Schizmą. Czasem nocą trawersowaliśmy razem, a Esther spowijała moją duszę swoją, tak że mogłem przemieszczać się duchem dużo dalej i szybciej, niż byłbym w stanie bez jej pomocy. Kiedy mnie skanowała, czułem się jak trzeciorzędny poeta, pokazujący swoje rymowane wycieczki Szekspirowi. Kiedy ja skanowałem ją, czułem się jak drobna rybka rzucona ze szklanej kuli w głębokie śródlądowe morze.

*

Dwadzieścia dni po moim przybyciu pożegnałem się i wyruszyłem z Esther w stronę doliny Swan River, w eskorcie tych samych czterech

wojowników, którzy prowadzili nas znad zatoki Jervoise. Z Pięciu Palców skierowaliśmy się na północ, ku wzgórzom Perth. Moi przewodnicy tak dobrze znali te zalesione zbocza, których nie przecinał żaden szlak, jak Pablo Antay znał główne aleje i boczne zaułki Buenos Aires. Nocowaliśmy w korycie wyschłego strumienia przy wodopoju dla zwierząt, i po kolacji z jamów, jagód i mięsa kaczki Pablo Antay zapadł w sen o stromych, śliskich brzegach. Spałem, aż Esther mnie subobudziła, co zawsze jest dezorientującą pobudką. Było jeszcze ciemno, ale wiatr przed świtem szeleścił pochyłonymi drzewami, niemal wydobywając z nich mowę. Widziałem zarys postaci Esther na tle krzaka banksji. Z powiekami jeszcze ciężkimi od snu subzapytałem: *Wszystko w porządku?*

Esther subodparła: *Chodź za mną.*

Szliśmy nocą przez las szeleszczących kazuaryn, aż do krawędzi z piaskowca, na której kończyły się drzewa. Krawędź dzieliła się na trzy odnogi. Każda z nich miała zaledwie kilka stóp szerokości, ale ciągnęła się na sto kroków, a z każdej strony możliwy był upadek z takiej wysokości, że lepiej było nie tracić równowagi. Esther objaśniła mi, że to miejsce jest zwane Pazurem Emu, i zaprowadziła mnie na środkowy „szpon”. Z jego krańca widać było rzekę Swan. Jej meandry lśniły grafitowym poblaskiem w świetle gwiazd, a reszta krajobrazu utkana była ze światła i czarnego mroku. W odległości jednego dnia marszu na zachód linie spienionych fal wyznaczały ocean. Domyśliłem się też, że stłoczony nieład na północnym brzegu rzeki był miastem Perth.

Esther usiadła, więc ja też. Kurawonga na akacji wyśpiewywała chrapliwe trele. *Nauczę cię mojego prawdziwego imienia.*

Powiedziałaś mi, odparłem w submowie, że nauczanie się go zajęłoby mi cały dzień.

To prawda, ale będę je powtarzała w twojej głowie, Marinus.

Zawahaleń się. *To dar, za który będę starał się odwdziżyć całym sercem. Moje prawdziwe imię to tylko jedno słowo i w dodatku już je znasz.*

– Nie twoja wina, że jesteś dzikus – odparła. – A teraz siedź cicho. Otwórz się.

Dusza Esther dokonała ingresu i wyryła swoje długie, bardzo długie prawdziwe imię w mojej pamięci. Imię Moombaki urosło przez dziesiątki, setki i tysiące lat od pierwszych narodzin Moombaki w Pięciu Palcach, które wtedy były znane jak Dwie Dłonie. Chociaż duża część jej prawdziwego imienia leżała poza moją znajomością mowy Noongarów, to wraz z upływem minut zacząłem rozumieć, że jej imię stanowiło jednocześnie historię jej ludu, było czymś w rodzaju Tkaniny z Bayeux. Łączyło w sobie kochanków, narodziny, śmierć; polowania, bitwy, podróże; susze, pożary, sztormy; i imiona każdego żywiciela, w którego ciele Moombaki rezydowała. Słowo „Esther” było ostatnie w jej imieniu. Moombaki dokonała exodusu, ja otworzyłem oczy i ujrzałem ukośne smugi promieni słońca, od których korony drzew pod nami rozjarzały się ostrą zielenią, krzaki płonęły ciemnym złotem, a chmury jak żebra wieloryba nabierały czerwieni. Do tego krzyczały wokół, śpiewały i skrzeczały niezliczone tysiące ptaków.

– Niezłe imię – odezwałem się, już wtedy czując ból tęsknoty.

Eukaliptus marri krwawił gumą i gwiazdzistym kwieciem. *Corymbia calophylla.*

– Wróć, kiedy tylko będziesz chciał – powiedziała. – Ty albo podobni tobie, o których opowiadałeś.

– Wróć – obiecałem – ale moja twarz już się zmieni.

– Świat się zmienia – odparła. – Nawet tutaj. Nie ma na to rady.

– Jak cię odnajdę, Esther? Ja, Xi Lo czy Holokai?

Nocuj tutaj. W tym miejscu. Przy Pazurze Emu. Dowiem się. Ziemia mi powie.

Nie byłem zdziwiony, kiedy się zorientowałem, że już wyszła. Wyruszyłem zatem w stronę Perth, gdzie podły człowiek nazwiskiem

Caleb Warren wkrótce miał przeżyć największy horror w całym swoim życiu.

*

Kończę wpisywać hasło dwadzieścia siedem poziomo – NUDNOŚCI – a potem podnoszę wzrok i widzę Iris Marinus-Fenby odbitą w ciemnych okularach Holly Sykes. Dzisiaj jej zawój na głowie jest liliowy. Jej włosy pewnie dopiero częściowo odzyskały formę przed chemioterapią przed pięcioma laty. Sukienka Holly w barwie indygo zakrywa jej ciało od zapiętego na guzik kołnierzyka aż do kostek.

– Umieć po mistrzowsku ignorować ludzi, którzy szukają uwagi – Holly rzuca na stół kopertę – ale to jest tak prostackie, tak nachalne, tak zdumiewające, że aż brak słów. Wygrała pani. Proszę, jestem. Szłam Broadwayem i na każdym skrzyżowaniu myślałam, po co mam w ogóle poświęcać choćby minutę jakiejś wariatce, która próbuje namieszać mi w głowie. Ze sto razy chciałam zawrócić.

– Dlaczego pani nie zawróciła? – pytam.

– Bo muszę to wiedzieć. Jeśli Hugo Lamb chce się ze mną skontaktować, to dlaczego, jak każdy inny, nie wyśle mi maila przez moją agentkę? Dlaczego wysyła panią i to... – stuka palcem w kopertę – to spreparowane zdjęcie? Myśli, że to zrobi na mnie wrażenie? Rozpali dawny ogień? Bo jeśli tak uważa, czeka go wielkie rozczarowanie.

– Może niech pani usiądzie i zamówi jakiś lunch, a ja wszystko powoli wyjaśnię.

– Wolałabym nie. Jadam tylko z przyjaciółmi.

– To może kawę? Kawę można wypić z każdym.

Nadal z pewną niechęcią, Holly zgadza się. Gestem filiżanki przy ustach zamawiam u Nestora kawę, a on odpowiada miną „już się

robi”.

– Po pierwsze – informuję Holly – Hugo Lamb nic o tym wszystkim nie wie. Taką mamy nadzieję. Nawiasem mówiąc, od wielu lat funkcjonuje pod nazwiskiem Marcus Anydrus.

– Jeżeli to nie Hugo Lamb panią przysłał, skąd może pani wiedzieć, że poznaliśmy się wiele lat temu w szwajcarskim kurorcie?

– Jeden z nas przesiaduje w Głębokim Internecie. Podśłuchiwaniami różnych spraw zajmuje się zawodowo.

– A pani? Jest pani chińskim lekarzem, który zmarł w osiemdziesiątym czwartym roku? Czy nadal pani żyje i jest kobietą?

– Wszystkie cztery fakty są zgodne z prawdą. – Kładę na stole moją wizytówkę. – Doktor Iris Marinus-Fenby. Psychiatria kliniczna. Mam gabinet w Toronto, choć jeżdżę na konsultację również dalej. I tak, owszem, do tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku byłam Yu Leonem Marinusem.

Holly zdejmuje okulary słoneczne i z niesmakiem przygląda się wizytówce oraz mnie.

– Widzę, że muszę to wyraźnie powiedzieć, więc proszę bardzo: nie widziałam Hugo Lamba od Nowego Roku w dziewięćdziesiątym drugim, kiedy miał dwadzieścia parę lat. Dzisiaj będzie po pięćdziesiątce. Jak ja. Natomiast według osoby, która zmanipulowała to zdjęcie, Hugo Lamb nadal wygląda, jakby miał jakieś dwadzieścia pięć lat. Ale stoi przy Helix Towers – zbudowanych w dwa tysiące osiemnastym – i ma okulary iShades zatknięte za dekolt koszulki z mistrzostw świata Katar dwa tysiące dwadzieścia dwa. I ten samochód. W latach dziewięćdziesiątych samochody tak nie wyglądały. Żyłam wtedy. Ta fotografia była obrabiana w Photoshopie. Chciałabym zatem wiedzieć, po pierwsze, dlaczego ktoś sobie tym zawracał głowę, a po drugie, kto.

Dzieciak przy sąsiednim stoliku gra w jakąś aplikację 3D. Kangur

skacze po przesuwających się platformach. Okropne.

– To zdjęcie z lipca zeszłego roku – odpowiadam Holly. – Nikt w nim niczego nie zmieniał.

– Czyli... Hugo Lamb odnalazł źródło wiecznej młodości?

Młody kelner z nosem wagi ciężkiej, jak u Nestora, mija nas, niosąc stek z kością, skwierczący na żeliwnej płycie.

– Nie, nie źródło. Odkrył pewne miejsce i pewien proces. Hugo Lamb w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku został Anachoretą Kaplicy Zmierzchu Katara Ślepeca. Od dnia wstąpienia w szeregi Anachoretów nie starzeje się.

Holly przetrawia to, co usłyszała, i wydyma policzki.

– No dobrze. To mamy wyjaśnione. Facet, z którym się kiedyś raz przespałam jest dzisiaj... powiedzmy „nieśmiertelny”.

– Nieśmiertelny z zastrzeżeniami i pod pewnymi warunkami – prostuję. – Nieśmiertelny tylko w tym sensie, że się nie starzeje.

Holly jest zirytowana.

– I oczywiście nikt niczego nie zauważył. Czy też jego rodzina uważa, że zawdzięcza to kremowi nawilżającemu i sałatkom z komosą ryżową?

– Jego rodzina myśli, że utonął w wypadku przy nurkowaniu u wybrzeża Rabaul, w Nowej Gwinei, w dziewięćdziesiątym szóstym roku. Proszę, śmiało, niech pani do nich zadzwoni. – Podaję Holly wizytówkę z londyńskim numerem Lambów. – Albo niech pani wyszuka w Necie któregoś z jego braci, Alexa lub Nigela, i ich zapyta.

Holly wpatruje się we mnie oszołomiona.

– Hugo Lamb sfingował własną śmierć?

Biorę łyk wody. Przechodziła przez nerki rozlicznych istot.

– Zajęli się tym jego nowi przyjaciele, Anachoreci. Zdobycie świadectwa zgonu przy braku zwłok to skomplikowana sprawa, ale oni mają w tym lata doświadczeń.

– Niech pani przestanie zakładać, że już pani uwierzyłam. W każdym razie „anachoreci” to jakaś... średniowieczna nazwa, tak?

Kiwam głową.

– Anachoretką nazywano dziewczynę, która żyła w celi jak pustelniczka, ale na terenie klasztoru. Poświęcenie za życia.

Nieśpiesznie podchodzi do nas Nestor.

– Jedna kawa. A może twoja znajoma jest głodna?

– Nie, dziękuję – odpowiada Holly. – Nie mam apetytu.

– Oj, proszę coś zjeść – namawiam ją – przecież szła pani aż od Columbus Circle.

– Przyniosę kartę – proponuje Nestor. – Też jest pani wegetarianką, jak koleżanka?

– To nie moja koleżanka – burczy Holly. – Dopiero się poznałyśmy.

– Wszystko jedno – upiera się restaurator – jeść trzeba.

– Zaraz wychodzę – oznajmia Holly. – Śpieszę się.

– „Śpieszę się. Śpieszę. Śpieszę”. – Włosy w nosie Nestora falują na zewnątrz i do środka jak wodorosty. – I co dalej? Zbyt zajęta, żeby żyć?

– Nestor znika.

Holly syczy:

– A teraz przez panią wkurzył się na mnie Grek.

– To niech pani zamówi jego musakę. Jako lekarka stwierdzam, że za mało pani je...

– Skoro już poruszyła pani tematy medyczne... „Doktor Fenby”, wiedziałam, że skądś znam to nazwisko. Zapytałam Toma Ballantyne’a, mojego dawnego lekarza rodzinnego. Przyjechała pani z domową wizytą, do Rye, kiedy już prawie umierałam na raka. Gdybym chciała, mogłaby pani stracić prawo wykonywania zawodu.

– Jeżeli dopuściłabym się zawodowego nadużycia, sama bym o to wystąpiła.

Holly patrzy na mnie rozwścieczona, ale zdezorietowana.

– Po co przyjechała pani do mojego domu?

– Żeby służyć radą Tomowi Ballantyne’owi. W Toronto brałam udział w testach leków z grupy koniugatów ADC, a Tom i ja uważaliśmy, że pani rak pęcherzyka żółciowego może pozytywnie na nie zareagować. I tak było.

– Powiedziała pani, że jest pani psychiatrą, nie onkolożką.

– Jestem psychiatrą o bardzo szerokich zainteresowaniach.

– Czyli teraz twierdzi pani, że zawdzięczam pani życie?

– Absolutnie nie. Albo może tylko w jakimś stopniu. Terapia raka to proces holistyczny i o ile koniugaty przyczyniły się do remisji nowotworu, podejrzewam, że były też inne czynniki lecznicze.

– Czyli... znała pani Toma Ballantyne’a przed moją diagnozą? Czy też... czy... Od jak dawna śledzi pani moje życie?

– Z przerwami od czasu kiedy pani mama przyprowadziła panią do mojego gabinetu w szpitalu Gravesend General w siedemdziesiątym szóstym roku.

– Czy pani słyszy, co pani mówi? I rzekomo zajmuje się pani leczeniem ludzi z psychoz i urojeń? Pytam ostatni raz: dlaczego wysłała mi pani obrobione cyfrowo zdjęcie faceta, którego znałam naprawdę bardzo przelotnie?

– Chciałam, żeby dopuściła pani możliwość, że prawo „co żyje, musi umrzeć” można w rzadkich przypadkach renegocjować.

Wszystkie głosy w Santorini Café, wszystkie ploteczki, żarciki, komplementy, flirty, narzekania, szumią w moich uszach jak wodospad dźwięków.

Holly pyta:

– Pani doktor, czy jest pani scjentolożką?

Usiłuję się nie uśmiechnąć.

– Według wyznawców L. Rona Hubbard’a i galaktycznego imperatora Xenu, wszystkich psychiatrów należy wrzucić do szamba.

Holly ścisza głos:

- Nieśmiertelność. Nie. Istnieje.
- Ale ponadczasowość, atemporalność, z zatrzeżeniem pewnych reguł, owszem.

Holly rozgląda się, patrzy nawet za siebie.

- To jakieś... zaburzone i chore.
- Ludzie mówili to samo o pani *Ludziach z Radia*.
- Gdybym mogła cofnąć czas, nigdy w życiu nie napisałabym tej przekłętej książki. W każdym razie teraz już nie słyszę głosów. Od czasu śmierci Crispina. Ale to zupełnie nie pani sprawa.

– Prekognicja pojawia się i znika – sunę małym palcem jak pługiem między kryształkami rozsypanego cukru – nie wiadomo jak, tak jak alergie albo kurczaki.

- Nie mam pojęcia, dlaczego jeszcze tu z panią siedzę.
- Proszę zgadnąć, kto uczy Hugo Lamba mrocznej sztuki.
- Sauron. Lord Voldemort. John Dee. Louis Cypher. Kto?
- Pani stara znajoma. Immaculée Constantin.

Holly trze ślad po szmince na swojej filizance.

– Nie wiedziałam, jak ma na imię. W książce nazywam ją tylko „Miss Constantin”. Tak samo odnoszę się do niej w myślach. Więc dlaczego wymyśla jej pani jakieś imię?

– Nie wymyślam. Ona tak ma na imię. Hugo Lamb jest jednym z jej najzdolniejszych uczniów. Jest znakomitym szkoleniowcem i potężnym psychozoterykiem po zaledwie trzydziestu latach na Drodze Cienia.

– Pani doktor, w jakiej galaktyce pani przebywa?

– W tej samej, co pani. W tej chwili zadania Hugo Lamba w większości polegają na pozyskiwaniu ofiar, tak jak Miss Constantin pozyskiwała panią. I gdyby nie przeraziła pani na tyle, że opowiedziała pani o niej Yu Leonowi Marinusowi, który panią

uodpornił, uprowadziłaby panią, nie Jacko.

Zewsząd dobiega nas gwar rozmów i brzęk sztucców.

Za nami jakaś dziewczyna właśnie zrywa ze swoim chłopakiem, mówiąc do niego po arabsku w egipskim dialekcie.

Holly uciska palcami grzbiet nosa.

– Teraz to mam już ochotę panią walnąć. Z całej siły. Kim pani w ogóle jest? Manipuluje pani innym w głowach, narusza wszelkie granice, wciska ludziom fantazje... Brak mi... brak mi słów na panią.

– Bardzo nam przykro za to naruszenie pani granic. Gdyby istniała jakakolwiek alternatywa, nie siedziałybyśmy przy tym stole.

– „Nam”? Jakim „nam”?

Lekko prostuję plecy.

– Nam, czyli Horologii.

Holly wzdycha, bardzo głęboko, co ma oznaczać: „Cierpliwości”.

– Proszę. – Kładę przy jej spodku zielony klucz. – Niech pani to weźmie.

Holly patrzy na klucz, potem na mnie.

– Co to jest? I dlaczego miałabym to wziąć?

Dwoje młodych lekarzy ze wzrokiem zombie przechodzi obok nas, dyskutując nad jakąś medyczną prognozą.

– To klucz do drzwi, za którymi znajdzie pani odpowiedź na wiele pytań, jak również potwierdzi pewne fakty. To się pani należy. Jest potrzebne. Gdy już będzie pani wewnątrz, proszę wejść po schodach do ogrodu na dachu. Będę tam czekała z paroma przyjaciółmi.

Holly dopija kawę.

– Mój samolot do Dublina odlatuje jutro o piętnastej. A ja nim lecę. Proszę zabrać ten klucz.

– Holly – mówię łagodnie. – Wiem, że przez *Ludzi z Radia* spotkała już pani tysiące oszołomów. Wiem, że już wcześniej zarzucali pani Jacko na przynętę. Ale proszę. Niech pani weźmie ten klucz. Na wypadek

gdyby tym razem to jednak była prawda. Prawdopodobieństwo jak tysiąc do jednego, wiem, ale może akurat tak. Wyrzuci pani klucz potem, na lotnisku, ale teraz niech go pani weźmie. To niczym nie grozi.

Holly wytrzymuje moje spojrzenie przez kilka sekund, potem odsuwa pustą filiżankę, wstaje, zgarnia klucz i chowa go do torebki. Kładzie dwa dolary na zdjęciu Hugo Lamba.

– Nie jestem pani nic winna – mówi cicho. – I proszę nie mówić do mnie „Holly”. Żegnam.

5 kwietnia

We śnie lepkiem jak smoła, ci, którzy źle mi życzą, odcinali mi wyjścia, aż została tylko jedna droga, w górę. Nie mogę sobie przypomnieć, którą czy którym sobą jestem, aż widzę cyfry „05:09” wyświetlone w przegrzanej ciemności. 119A. Ponad milę stąd, po drugiej stronie Central Parku, na dziewiątym piętrze hotelu Empire, Arkád przygotowuje się do sennego siewu w Holly Sykes, a Ōshima ma trzymać straż. Oby na nic nie musiał się przydawać. Ja mam tu czekać, co jest dla mnie prawdziwą torturą, ale gdybym poszła do Empire, żeby pomóc, obawiam się, że mogłabym w efekcie uruchomić atak. Minuty wloką się w ślimaczym tempie, a ja szukam w nocnych odgłosach Nowego Jorku dźwięków, których znaczenie można jakkolwiek rozszyfrować...

Nie ma co. Zapalam lampkę nad łóżkiem i rozglądam się po pokoju. Wietnamska urna, zwój z małpą przypatrującą się własnemu odbiciu, klawikord Lucasa Marinusa z Nagasaki, zdobyty przez Xi Lo jako prezent po żmudnych i niezwykle trudnych poszukiwaniach... Przewracam kartki do właściwego miejsca w *De rerum natura* Lukrecjusza, ale moje myśli, jeśli nie dusza, nadal są milę lub dwie na zachód. Ta niekończąca się, przeklęta Wojna. Kiedy mam zły dzień, zastanawiam się, dlaczego my, atemporalni Horologowie, którzy rodzimy się z darem wskrzeszenia pożądanym przez Anachoretów tak bardzo, że są gotowi zabijać, by osiąść choćby jego bladą i wypaczoną odmianę – dlaczego nie damy sobie z tym spokoju? Dlaczego ryzykujemy wszystko dla obcych ludzi, którzy tak czy owak nigdy nie dowiedzą się, co zrobiliśmy? Pytam małpę, zakłopotaną własnym odbiciem w lustrze:

- Dlaczego?

*

Duch Święty wszedł w Oscara Gomeza podczas niedzielnej mszy w kościele zielonoświątkowców w Vancouver, kiedy kongregacja recytowała Psalm 139. Kilka godzin później Gomez opisał to mojemu przyjacielowi Adnanowi Buyoyi: „Wiedziałem, co kryły serca moich braci i siostr w Chrystusie, za jakie grzechy musieli żałować, za jakie odpokutować”. Przekonanie Gomeza, że Bóg zesłał mu ten dar, było niepodważalne i chciał bezzwłocznie przystąpić do czynienia dzieła Bożego. Pociągiem SkyTrain pojechał do Metropolis, dużego centrum handlowego na przedmieściach, i zaczął wygłaszać kazania przy głównym wejściu. W zeświecczonych miastach chrześcijańscy kaznodzieje uliczni są częściej ignorowani lub wyśmiewani niż słuchani z uwagą, jednak wokół niewysokiego, żarliwego pół Kanadyjczyka, pół Meksykanina szybko zgromadził się tłum. Zupełnie obcy ludzie w Metropolis dawali się złapać Gomezowi dzięki jego zadziwiającej znajomości pewnych szczegółów z ich życia. Jednego mężczyznę, na przykład, Gomez doprowadził do wyznania, że jest ojcem dziecka własnej szwagierki, Bethany. Pewną fryzjerkę błagał, by zwróciła cztery tysiące dolarów, które ukradła swojej pracodawczyni w salonie Curl Up and Dye. Chłopakowi imieniem Jed, który właśnie wyleciał ze studiów, Gomez zapowiedział, że marihuana, hodowana przez Jeda w ogródku jego własnej babci, zniszczy mu życie i że w końcu chłopak skończy z wyrokiem. Niektórzy bledli, w zdumieniu rozdziawiali szeroko usta i przerażeni uciekali. Inni wściekali się i oskarżali Gomeza o to, że włamał się do ich tabów, albo że pracuje dla NSA, na co on odpowiadała: „Bóg widzi życie każdego z nas”. Niektórzy wybuchali płaczem i błagali o

przebaczenie. Kiedy zjawiała się ochrona centrum handlowego, żeby wyprowadzić Gomeza z budynku, interwencję filmowało już kilkanaście tabów, a „Proroka z Washington Street” otaczał ochronny kordon gapiów. Wezwano policję. Na YouTube wylądowały filmiki z Gomezem, który prosi jednego z aresztujących go policjantów, żeby przyznał się, że przed trzema dniami stawał butem na głowie imigranta z Erytrei – tu padło jego nazwisko – a drugiego policjanta błagał, by zwrócił się o pomoc do specjalistów, bo jest uzależniony od pornografii dziecięcej, przy czym Gomez podał zarówno login policjanta, jak i adres rosyjskiej strony internetowej. Mogliśmy się tylko domyślać przebiegu rozmowy w policyjnym aucie, ale w drodze na dzielnicowy komisariat radiowóz nagle zmienił kurs na szpital psychiatryczny Coupland Heights.

„Przysięgam, Iris”, pisał mi w mailu Adnan tego dnia wieczorem, „wszedłem do gabinetu przyjęć i moją pierwszą myślą było: »To ma być prorok? Gość wygląda normalniej niż mój księgowy«. I od razu, jakbym myślał na głos, Gomez powiedział: »Mój ojciec był księgowym, panie doktorze, więc może normalność odziedziczyłem po nim«. I jak miałem po takim czymś przeprowadzić badanie i postawić diagnozę? Myślałem (miałem nadzieję?), że może rzeczywiście mówiłem wtedy na głos, ale Gomez zaraz zaczął opowiadać o wydarzeniach z mojego dzieciństwa w Rwandzie, o których mówiłem tylko tobie i mojemu terapeutce podczas szkolenia”. Drugi mail, który Adnan przysłał kilka godzin później, relacjonował, że podopieczni Coupland Heights czcili nowego pacjenta jako boga. „To jak w *Problemie Voormana*” – pisał doktor Buyoya, odnosząc się do noweli Crispina Hersheya, którą oboje uwielbialiśmy – „wiem, jak moi dziadkowie nazywaliby Gomeza w języku joruba, ale ja nie mogę po angielsku mówić o czarach i chcieć jednocześnie utrzymać pracę. Błagam, Iris. Pomóż mi”.

Veni, vidi, vici. Kiedy już znalazłam swój samochód na ogromnym, mokrym od deszczu parkingu, byłam przemoczona i zaciągnęłam oczko w rajstopach przy wsiadaniu do auta. Nie potrafiłam nawet zebrać myśli przez gniew, rozpacz i poczucie bezsilności. Moje urządzenie zaszczebiotało sygnałem wiadomości w skrzynce:

za pozno marinus za pozno. pani gomez ci uwierzyla?

Wszystkie niezrozumiałe fakty i ich implikacje nagle ułożyły się w spójną całość, jak w kostce Rubika. Pierwszy z faktów był najbardziej oczywisty – moje urządzenie zostało zhakowane przez drapieżnika, przez triumfującego Anachoretę, który mógł być jednak na tyle nieostrożny i niedoświadczony, że niechcący ujawnił swoją tożsamość. Odpisałam, na wpół blefując:

sumienie hugo lamba nie umarło, on je tylko zakopał

Istniała szansa, że ów „święty Marek”, który zapowiedział, że poprowadzi Oscara Gomeza ku niebu Drabiną Jakubową, był „Marcusem Anydrusem”, jak nazywał się Hugo Lamb w szeregach Anachoretów. Urządzenie czekało w mojej spoconej dłoni minutę, dwie, trzy. Kiedy już miałam się poddać, nadeszła wiadomość:

sumienia sa dla czasomierzy, marinus, poleglas, kobieto

Mój blef zadziałał, chyba że odpowiedź też była blefem. Ale nie, działający w pojedynkę psychodekantujący drapieżnik nie odmówiłby sobie przyjemności upokorzenia mnie za chybiony strzał, a zwrot „poległaś, kobieto” pasował do stworzonego przez L’Ohknę profilu mizoginii Hugo Lamba. Kiedy zastanawiałam się, jak najlepiej wykorzystać tę próbę kontaktu, z pewnością nieautoryzowaną przez Constantin ani przez Pfenningera, nadeszła trzecia wiadomość:

zobacz swoja przyszlosc marinus popatrz w lusterko wsteczne

Instynktownie schyliłam się i przekręciłam lusterko, aż mogłam w

nim dostrzec tylną szybę. Pokrywały ją krople deszczu. Włączyłam akumulator i wycieraczkę, żeby usun...

Szyba od strony pasażera wybuchła, rozpryskując się na tysiące drobiny, a lusterko nad moją głową zmieniło się nagle w kruchą supernową z plastiku i szkła. Plastikowy szrapnel wielkości obciętego końca paznokcia utkwił w moim policzku.

Przykucnęłam przestraszona. Logiczna część mojego umysłu przekonywała, że jeśli snajper chciałby mnie zabić, już teraz spoglądałabym w Zmierzch. Nie podnosiłam się jednak przez kolejne kilka minut. Atemporalność zubożająca trucizną śmierci, ale samej śmierci nie wyrывa kłów, i stare nawyki przetrwania uruchamiają się nawet w nas.

*

Dlatego właśnie prowadzimy Wojnę, przypominam sobie w 119A, cztery dni później. Okno w moim pokoju jest niebieskoszare, jak półmrok pod lodem. Zadajemy sobie tyle trudu dlatego, że istnieje taki Oscar Gomez, istnieje żona Oscara Gomeza i jego troje dzieci. I dlatego, że żaden człowiek nie uwierzyłby w duszobójstwo popełniane przez syndykat złodziei dusz – Anachoretów – czy też przez polujących samotnie „wolnych strzelców”. I również dlatego, że gdybyśmy wykorzystywali metażycie na proste gromadzenie bająnskich fortun i odurzanie się opiatami złota oraz władzy, gdybyśmy nie podejmowali żadnych kroków, wiedząc to, co wiemy, byłibyśmy współwinni psychozoterycznej rzezi niewinnych.

Moje urządzenie brzęczy. To sygnał Ōshimy. Drżącymi rękami usiłuję odebrać wiadomość, jak ogarnięta paniką uczestniczka teleturnieju. Upuszczam urządzenie na ziemię, podnoszę i czytam:

Zrobione. Bez przeszkod.

Arkad wraca.

Ja bede sledzil nasza Nadzieje.

Napełniam płuca tlenem i błogosławioną ulgą. Druga Misja jest już o krok bliżej. Obrzeżem okna przecieka do środka świt. Stare rury w 119A stukają i bulgoczą. Słyszę odgłos kroków, spluczkę w toalecie i drzwiczki kuchennej szafki. Dwa czy trzy pokoje dalej właśnie wstał Sadaqat.

*

– Szałwia, rozmaryn, tymianek... – Sadaqat, nasz stróż, opiekun i być może przyszły zdrajca zrywa listki ziół rosnących na grządkach. – ...Posadziłem też pietruszkę, żeby było jak w *Scarborough Fair*[20], ale nie wytrzymała mrozów. Niektóre zioła są delikatniejsze od innych. Posadzę ją jeszcze raz. Pietruszka ma dużo żelaza. A tu zasadziłem cebulę i pory, trudni klienci. Bardzo też liczę na rabarbar. Pamięta pani, pani doktor, jak hodowaliśmy rabarbar w szpitalu Dawkinsa?

– Pamiętam ciasto z rabarbarem – odpowiadam.

Rozmawiamy cicho. Mimo mżawki i ciężkiej nocy Arkád, mój przyjaciel Horolog, ćwiczy tai-chi wśród mirtów i oczarów w ogrodzie na dachu.

– Tam będą grządki truskawek – Sadaqat pokazuje ręką – a te trzy owocujące wiśnie będę sam zapylał pędzelkiem, bo na East Side trudno o pszczoły. Proszę! Czerwony kardynał, na klonie *momiji*. Kupiłem książkę o ptakach, to już trochę się orientuję. Te ptaki na krążgankach to gołębiaki. Pod okapem gniazdują szpaki, o tam. Naszoruję się przy nich, ale ich odchody to wartościowy nawóz, więc nie narzekam. Tutaj mamy pachnącą część ogrodu. Zimokwiat, woskówka, a te kolczaste patyki zamienią się w wonne róże. Treliaz jest pod wiciokrzew i jaśmin.

Zauważam, że śpiewna intonacja brytyjsko-pakistańskiego akcentu Sadaqata staje się bardziej płaska.

– Zaiste dokonałeś tu cudów.

Nasz stróż mruczy z zadowolenia jak kot.

– Rośliny chcą rosnąć. Wystarczy im pozwolić.

– Powinniśmy byli pomyśleć o ogrodzie na tym dachu kilkadziesiąt lat temu.

– Są państwo zbyt zajęci ratowaniem dusz, żeby zawracać sobie tym głowę, pani doktor. Do tego dach trzeba było wzmocnić, co stanowiło nie lada wyzwanie...

Uważaj, subostrzega mnie Arkád, bo jak zacznie opowiadać o ścianach nośnych i dźwigarach, to cię zamęczy.

– ...zatrudniłem inżyniera z Polski, który zaproponował obciążenie...

– Prawdziwa oaza spokoju – przerywam mu. – Będzie nam służyć przez lata.

– Przez wieki – poprawia Sadaqat, otrzepując kropelki mgły z bujnej, choć siwiejącej czupryny – stanowicie przeciw Horologię.

– Miejmy nadzieję.

Przez zawyły wzór w dekoracyjnej kracie z kutego żelaza w ścianie krążanka spoglądamy cztery piętra w dół, na ulicę. Samochody jadą ślimaczym tempem i na próżno trąbią. Wyprzedzają je parasole, które od czasu do czasu rozstępują się przed truchtającymi pod prąd biegaczami. Na naszej wysokości, w znacznie wyższym budynku po drugiej stronie ulicy, jakaś starsza kobieta w kołnierzu ortopedycznym podlewa nagietki w skrzynkach na oknie. Nowojorskie drapacze chmur nikną w chmurach mniej więcej na wysokości trzydziestego piętra. Gdyby King Kong wszedł dzisiaj na Empire State, nikt na naszej skromnej wysokości by w to nie uwierzył.

– Tai-chi pana Arkáda – szepcze Sadaqat – przypomina mi pani

sztuczki. Wie pani, jak wtedy, kiedy pani zagarnia dłońmi powietrze.
– Przyglądamy się Arkádowi. Może i jest postawny, nosi kucyk i jest Węgrem, ale ciągle można w nim odnaleźć ślad wietnamskiego mistrza sztuk walk, jego ostatniego wcielenia.

Pytam mojego byłego pacjenta:

– Nadal jesteś zadowolony, że tu mieszkasz i pracujesz?

Sadaqat nagle się niepokoi:

– Tak! Jeżeli zrobiłem cokolwiek niewłaściwego...

– Skąd. W żadnym razie. Po prostu czasem się martwię, że pozbawiamy cię znajomych, bliskiej osoby, rodziny... Tego, co niesie normalne życie.

Sadaqat zdejmuje okulary i wyciera je o sztruksową koszulę.

– Moja rodzina to Horologia. Bliska osoba? Mam czterdzieści pięć lat. Wolę chodzić do łóżka z „The Daily Show” na table albo z powieścią Lee Childa i kubkiem naparu z rumianku. Normalne życie?

– Prycha. – Mam na głowie waszą sprawę, całą bibliotekę do przejrzenia, ogród, którym trzeba się zająć, a moje wiersze zaczynają być już nawet znośne. Przysięgam, pani doktor, codziennie, kiedy się gołę, mówię sobie w lustrze: „Sadaqacie Dastaani, jesteś największym szczęściarzem ze wszystkich chorych na schizofrenię Brytyjczyków pakistańskiego pochodzenia w średnim wieku, na całym Manhattanie”.

– Jeśli kiedykolwiek – usiłuję mówić zwykłym tonem – poczujesz, że jest inaczej...

– Nie, pani doktor. Ja już wybrałem i jadę w tę podróż z Horologią.

Ostrożnie, subostrzega mnie Arkád, *bo coś zwęszy*.

Nie mogę jednak do końca odpuścić.

– Sadaqat, jeśli chodzi o Drugą Misję... Nie możemy nikomu zagwarantować bezpieczeństwa. Ani tobie, ani nam samym.

– Jeżeli chce mnie pani wyprowadzić z pokoju sto dziewiętnaście A,

pani doktor, musi pani użyć swoich hokusów-pokusów, bo ja nie ucieknę stąd z własnej woli. Anachoreci polują na ludzi wrażliwych psychiatrycznie, prawda? Gdybym miał odpowiedni rodzaj – Sadaqat klepie się w głowę – duszy, mogliby mnie porwać, tak? Czyli sama pani widzi. Wojna Horologii jest moją wojną. Owszem, jestem w niej tylko pionkiem, ale w partii szachów zwycięstwo może zależeć od tego, gdzie stanie właśnie pionek.

Marinus, mamy gościa, subinformuje mnie Arkád.

Z nie do końca czystym sumieniem ustępuję:

– Wygrałeś.

Nasz stróż się uśmiecha:

– Cieszę się, pani doktor.

– Przyszła nasza gościni.

Z powrotem podchodzimy do kutej kraty, żeby w dole zobaczyć Holly w jamajskim zawoju na głowie. Po drugiej stronie ulicy, w naszym pokoju nad ludwisarzem, widać sylwetkę Ōshimy. Będę obserwował ulicę, subzapowiada, na wypadek gdyby przechodziła akurat któraś z zainteresowanych stron. Holly podchodzi do drzwi, trzymając zielony klucz, który dałam jej wczoraj w Santorini Café. To musi być dla niej przedziwny poranek. Na witce wierzby koło mojego ramienia napuszony epoletnik z czerwonymi skrzydełkami wyśpiewuje pętle arpeggio.

– I kto postawił na swoim? – pyta szeptem Sadaqat.

*

Odzywam się pierwsza.

– Oczekiwaliśmy pani. Że tak zacznę banalnie.

– Witamy w sto dziewiętnaście A. – W głosie Arkáda słychać chrapliwą mutację nastolatka.

– Jest pani bezpieczna – zapewnia Sadaqat. – Proszę się nie obawiać.

Holly ma zadyszkę od wspinaczki po schodach, ale kiedy dostrzega Arkáda, jej oczy otwierają się szeroko:

– To pan... pan... pan, prawda?

– Prawda. Wszystko wyjaśnię – uspokaja Arkád.

W dole szczeka pies. Holly cała dygocze.

– Śnił mi się pan. Dzisiaj nad ranem! Pan. Ten sam. Jak pan to zrobił?

– Trądzik, prawda? – Arkád pociera policzek. – Nie da się go zapomnieć.

– Ten sen! Siedział pan przy biurku w moim pokoju, w hotelu...

– Zapisywałem na karteczce adres tego domu. – Arkád podejmuje opowieść. – Potem poprosiłem panią, żeby przyszła tu pani z kluczem od Marinus i weszła do środka. Powiedziałem: „Do zobaczenia za dwie godziny”. I proszę, oto jesteśmy w komplecie.

Holly patrzy na mnie, na Arkáda, na Sadaqata, znowu na mnie.

– Senny siew – wyjaśniam – to jedna ze specjalności Arkáda.

– Mam kiepski zasięg – tłumaczy się z fałszywą skromnością mój kolega. – Mój pokój był naprzeciwko pani pokoju, więc nie musiałem daleko trawersować. Potem, kiedy moja dusza była już z powrotem w ciele, przyjechałem szybko tutaj. Taksówką. Co prawda, nasz Kodeks zabrania sennego siewu u osób cywilnych, ale musieliśmy dać pani jakiś dowód na to, że te wszystkie absurdalne opowieści, które Marinus snuła w Santorini Café, są prawdziwe, a poza tym jesteśmy w stanie Wojny, więc, niestety, siew był konieczny. Przepraszam, proszę nam wybaczyć.

Holly jest zdenerwowana i zagubiona.

– Kim jesteście?

– Ja? Arkád Thaly, w tym wcieleniu. Witam.

Przez nisko zawieszoną chmurę przedziera się samolot.

– A to nasz stróż i opiekun – wskazuję Sadaqata – pan Dastaani.

– Och, tak naprawdę jestem tu od wszystkiego – prostuje Sadaqat – i jestem normalny, jak pani. Ładny mi „normalny”, co? Proszę mi mówić Sadaqat. Sa-da-kat, z akcentem na „da”. Może mnie pani traktować jak takiego pakistańskiego Alfreda.

Holly nadal nic z tego nie rozumie.

– Alfreda. Służącego Batmana. Opiekuję się sto dziewiętnaście A, kiedy moi pracodawcy gdzieś się udają. Gotuję. Powiedziano mi, że jest pani wegetarianką? Horologowie podobnie. Leży im na sercu dobro – jego palec wiruje w powietrzu – ciało i dusz. Kto jest głodny? Robię mistrzowskie jajka po benedyktyńsku z wędzonym tofu, idealne śniadanie na poranek pełen przedziwnych zdarzeń. Może panią skuszę?

*

W galerii na pierwszym piętrze pod numerem 119A dominuje owalny stół z orzechowego drewna, który był już tutaj, gdy Xi Lo kupił ten dom około 1890 roku. Krzesła są nie od kompletu, z następujących po sobie epok. Opalizujące światło wpada przez trzy łukowe okna. Obrazy na długiej ścianie były podarunkami dla Xi Lo albo Holokai od artystów i artystek: rozpalona pustynia pędzla Georgii O’Keeffe, pejzaż Port Radium, jak go widział A.Y. Jackson, *Zachód słońca nad mostem San Luis Rey* autorstwa Diego Quispe Tito, *Dziwka i John na Marble Cemetery* Faith Nulander. W jednym końcu wisi *Alegoria czasu i miłości* Agnola Bronzina. Jest warta więcej niż cały ten budynek i sąsiednie razem.

– Znam ten obraz – mówi Holly, wpatrując się w Bronzina. – Oryginał wisi w National Gallery w Londynie. Kiedyś chodziłam tam i oglądałam go w przerwie na lunch, gdy pracowałam w ośrodku dla

bezdomych przy kościele St Martin-in-the-Fields.

– Owszem – potwierdzam.

Holly nie musi znać historii o tym, jak kopia z National Gallery i oryginał zostały zamienione w Wiedniu w 1860 roku. Poza tym Holly już przeszła do niegodnego sąsiada Bronzina, *Autoportretu Yu Leona Marinusa* z roku 1969. Holly rozpoznaje jego twarz i zwraca się do mnie oskarżycielsko. Kiwam głową, zmieszana.

– To oczywiście absurd i czysta arogancja, żeby wisiał w tym towarzystwie, ale Xi Lo, nasz założyciel, nalegał. Trzymamy tutaj ten obraz ze względu na niego.

Drzwiami przy astrolabium wchodzi Sadaqat, przynosząc nam na tacy napoje. Nikt nie przełknąłby teraz jajek po benedyktyńsku. Sadaqat pyta:

– Gdzie kto siedzi?

Holly wybiera głęboki fotel przy końcu sali, najbliżej wyjścia. Sadaqat oznajmia:

– Dla pani Irish Breakfast. Zdaje się, że pani matka jest Irlandką.

– Była, tak – odpowiada Holly. – Bardzo dziękuję.

Sadaqat stawia na podkładce biały porcelanowy czajniczek z tradycyjnym niebieskim wzorem, a obok filiżankę od kompletu, dzbanuszek z mlekiem i cukiernicę. Moja zielona herbata parzy się w czarnym żeliwnym imbryczku, który dwa wcielenia temu należał do Choudary Marinus. Arkád pije kawę z czarki. Pośrodku Sadaqat stawia zapaloną świecę w świeczniku z barwionego szkła.

– Żeby było troszkę jaśniej. Tu potrafi być jak w grobie.

Gdzieś w równoległym wszechświecie ten człowiek jest faszystą designu, subwzdycha Arkád.

– Właśnie tego było nam trzeba, Sadaqat – mówię.

Nasz opiekun wychodzi, zadowolony.

Holly zakłada ręce na piersi.

– Lepiej niech zaczął państwo wyjaśniać. Jestem naprawdę...

– Zaprosiliśmy tutaj panią dziś rano – mówię – żeby opowiedzieć o nas i o naszej kosmologii. O atemporalnych i psychozoterykach.

To brzmi jak seminarium biznesu, Marinus, substwierdza Arkád.

– Zaraz, zaraz – przerywa Holly. – Zgubiłam się. „Atemporalnych”?

– Gdy nas ukłujesz, krew nam ciecze[21] – mówi Arkád, obejmując czaręk obiema dłońmi – gdy nas łechcesz, śmiejemy się, gdy nam truciznę zadasz, umieramy, po śmierci jednak wracamy. Marinus, która siedzi przed panią, miała już... trzydzieści dziewięć wcieleń, dobrze liczę?

– Czterdzieści, jeśli wliczyć w to biedną Heidi Cross w jej willi niedaleko Isle of Sheppey.

Widzę, że Holly patrzy na mnie, szukając drugiej głowy albo czekając na wybuch maniakalnego śmiechu.

– Ja jestem ciągle żółtodziobem – mówi Arkád. – To moje piąte wcielenie. Umieranie naprawdę mnie przeraża, w Zmierzchu, patrząc na Wydmy...

– W zmierzchu? Na jakie wydmy?

– W Zmierzchu – odpowiada Arkád – między życiem i śmiercią. Widzimy go z Wysokiej Grani. To piękny, wzbudzający grozę widok. Te wszystkie dusze, blade światła, płyną na drugą stronę, pędzone wiatrem od lądu ku Morzu Ostatniemu. Które, oczywiście, nie jest tak naprawdę morzem, tylko...

– Zaraz, zaraz. – Holly nachyla się ku nam. – Chcą państwo powiedzieć, że już kiedyś państwo umarli? Że widzieli państwo to wszystko na własne oczy?

Arkád bierze łyk kawy z czarki, po czym ociera usta.

– Tak, proszę pani. Odpowiedź brzmi „tak” na oba pytania. Wiatr od Morza spycha jednak nasze dusze do brzegu, czy chcemy, czy nie. Z powrotem na Wysoką Grań, do Światła Dnia, a wtedy słyszymy

przeraźliwy huk i grzmot, jakby... ktoś upuścił na ziemię całe miasto, a wszystko, co w nim jest, rozbiło się w drobny mak. Wierny opis? – pyta mnie Arkád.

– Ujdzie. A potem rodzimy się w nowym ciele, zwykle jakiegoś dziecka, w ciele, które zwykle potrzebuje pilnej naprawy, a poprzedni właściciel właśnie je opuścił.

– W Santorini Café – zwraca się do mnie Holly – powiedziała pani, że ci od Hugo Lamba, Anachoreci, są nieśmiertelni, ale ich nieśmiertelność jest „obwarowana pewnymi regułami”. Czy wasza też?

– Nie. My w tej spirali zmartwychwstań żyjemy nie z własnej woli. Nie wiemy jak ani dlaczego akurat my. Nigdy się o to nie staraliśmy. Nasze pierwsze wcielenia umarły w zwykły sposób, zobaczyliśmy Zmierzch, jak opisał to Arkád, a potem, czterdzieści dziewięć dni później, wróciliśmy.

– Od tamtej pory – Arkád zaplata i rozplata swój kucyk – jesteśmy zamknięci w cyklu powtórzeń. Nasze drugie ciało urosło, dojrzało, umarło, pach, jesteśmy z powrotem w Zmierzchu. Potem, pach, czterdzieści dziewięć dni później budzimy się z powrotem na Ziemi, w ciele przeciwnej płci, żeby już kompletnie popieprzyło nam się w głowie.

– Ważne w tym wszystkim jest to – wyjaśniam Holly – że nikt inny nie płaci za naszą atemporalność. To cena, którą płacimy tylko my sami. W taksonomii, że tak powiem, należymy do roślinożerców.

Na ulicy w dole słychać pisk hamulców.

– Czyli – pyta Holly – Anachoreci są drapieżnikami, polują?

– Wszyscy bez wyjątku. – Arkád toczy palcem po obrzeżu swojej czarki.

Holly pociera skronie.

– Mówimy o... wampirach?

Arkád wydaje jęk.

– Och, znowu to słowo!

– Drapieźnicy są wampirami tylko w sensie metaforycznym – objaśniam. – Wyglądają tak samo normalnie albo nienormalnie jak każda inna podgrupa populacji – hydraulicy, bankowcy, cukrzycy. Wielka szkoda, że nie wyglądają wszyscy jak czarne charaktery Davida Lyncha. Nasza praca byłaby dużo łatwiejsza. – Wdycham gorzkawą parę nad zieloną herbatą i uprzedzam kolejne pytanie Holly. – Anachoreci żywią się naszymi duszami, pani Sykes. Drapieźnicy dekantują nasze dusze, a do tego muszą porwać ludzi, najlepiej dzieci. – Wytrzymuję jej spojrzenie, w którym budzi się niepokój, gdy myśli Holly biegną do Jacko. – Co, niestety, oznacza, że zabijają swoje ofiary.

– A to nie jest fajne – dorzuca Arkád. – Więc Marinus, ja i kilkoro innych osobników, którym nikt nie dziękuje – przeważnie atemporalnych, choć mamy też śmiertelnych współpracowników – zajmujemy się... likwidowaniem Anachoretów. Pojedynczy drapieźnicy rzadko są dla nas kłopotem. Wydaje im się, że są jedni jedyni, i działają bardzo nieostrożnie, jak złodzieje w sklepie, którzy nie wierzą w istnienie sklepowych detektywów. Problem pojawia się – i tak właśnie zaczęła się nasza Wojna – kiedy drapieźnicy polują stadnie.

– A teraz zebraliśmy się tutaj – upijam łyk herbaty – z powodu jednego konkretnego stada: Anachoretów Kaplicy Zmierzchu Kataru Ślepca Klasztoru Tomasjanów z Przełęczu Sidelhorn.

– Za długie na wizytówkę. – Arkád zaplata palce, podnosi dłonie odwrócone wnętrzem do góry i przeciąga całe ciało. – Dla przyjaciół po prostu „Anachoreci”.

– Sidelhorn to góra – mówi Holly. – W Szwajcarii.

– Owszem, spory szczyt – zauważam. – Sidelhorn użycza również

swojej nazwy przełęczcy w północnych Włoszech, szlakowi, który był stary już wtedy, gdy maszerowały nim rzymskie legiony. Od dziewiątego do osiemnastego wieku klasztor tomasjanów służył jako gospoda na przełęczcy, po stronie dzisiejszego szwajcarskiego Valais. Tam w tysiąc dwieście dziesiątym roku niejaki Katar Ślepiec zontologizował klasztor w przejście do Zmierzchu.

Holly porządkuje w myślach tę opowieść.

– Do Zmierzchu, który leży między...

– Między życiem a śmiercią – potwierdza Arkád. – Dobrze. Słucha pani.

– A kto to jest Katar? – pyta Holly.

– Katarowie byli heretykami, żyli w dwunastym i trzynastym wieku – odpowiadam. – W Langwedocji. Głosili, że świat nie został stworzony przez Boga, lecz przez diabła, że materia jest zła, że Jezus, jako człowiek, nie był Synem Bożym. Papiestwo tego nie akceptowało. W tysiąc sto dziewięćdziesiątym ósmym papież Innocenty III ogłosił grabież ich ziem, co przeszło do historii jako krucjata albigeńska. Król Francji był akurat zaangażowany w konflikt na innych terenach, ale dał swoim baronom z północy Francji błogosławieństwo na wyprawę na południe, żeby wybili Katarów, skonfiskowali ich ziemię i podporządkowali buntowniczy region francuskiej koronie. Jednakże herezja z natury pączkuje. Cios zadany wspólnocie katarów sprawił, że rozpadła się ona na części. Nasz Katar Ślepiec osiadł w klasztorze tomasjanów w odległym Valais, najprawdopodobniej około tysiąc dwieście piątego, szóstego roku. Dlaczego wybrał akurat Sidelhorn, tego nie wiemy. Jego imienia nie znamy. Nieznane są nam też motywy, które kazały mu zgłębiać materię, noumena, logos, rozum, duszę, Zmierzch. Katar Ślepiec pojawia się tylko w jednym źródle historycznym. Spisana około tysiąc dwieście siedemdziesiątego roku przez Mechtyldę z Magdeburga historia inkwizycji episkopalnej

podaje, że w tysiąc dwieście piętnastym roku inkwizycja skazała „ślepego katar” z przełęcz Sidelhorn na śmierć za uprawianie czarów. W nocy przed egzekucją Katar Ślepiec był zamknięty w celi w klasztorze. O świcie – myślę o Oscarze Gomezie – już go nie było. Mechtylda doszła do wniosku, że feudalny suweren heretyka, Szatan, nie dał zrobić krzywdy swojemu wasalowi.

– Proszę się nie bać – uspokaja Arkád. – Nie czcimy Szatana.

– Lekcja historii już prawie dobiega końca – obiecuję. – Ziemia obracała się wokół swojej osi aż do tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku, wbrew upartym twierdzeniom Inkwizycji, że jest inaczej. – Opieram czubki palców na żeliwnym imbryczku. – Jeden podpis Napoleona połączył dumne szwajcarskie kantony w Republikę Helwecką. Nie wszyscy Szwajcarzy jednak zgadzali się na życie w klienckim państwie Francji i kiedy złożone obietnice swobody religijnej łamano, wielu Szwajcarów zaczęło podpalać kościoły i zwracać się przeciw swoim mianowanym przez Paryż panom. Wrogowie Napoleona rozniecali płomień buntu i w początkach kwietnia na przełęcz Sidelhorn nadeszła od strony Piemontu kompania austriackiej artylerii. W klasztornej oborze ukryto dwieście beczek prochu, które – przez czyjąś nieuwagę lub sabotaż – eksplodowały. Wybuch zmiotł dużą część klasztoru, a skalna lawina zerwała most nad przepaścią. W historii konfliktów po Rewolucji Francuskiej to zaledwie mały przypis, ale w naszej Wojnie ten wybuch ma rangę równą zabójstwu arcyksięcia Ferdynanda w Sarajewie. Bo fala uderzeniowa dotarła rykoszetem aż do Kaplicy Zmierzchu i obudziła Katarą Ślepca z długiego snu.

Zegar na kominku wydzwania osiem delikatnych uderzeń.

– Zakon tomasjanów był wtedy zaledwie cieniem własnej potęgi sprzed reformacji. Brakowało mu funduszy, środków i woli do odbudowy swej alpejskiej reduty. Helwecki rząd w Zurichu podjął

jednak decyzję o naprawie mostu Sidelhorn i o wybudowaniu tam koszar, które strzegłyby ważnej strategicznie przełęczy. Do nadzorowania prac wysłano niejakiego Baptiste'a Pfenningera, inżyniera z Martigny. Którejś nocy u schyłku lata, kiedy Pfenninger leżał w swojej sali w koszarach i usiłował zasnąć, usłyszał, że wzywa go po imieniu jakiś głos. Brzmiał, jakby dobiegał zarówno z kilku mil, jak i z bardzo bliska, z odległości kilku cali. Drzwi były zaryglowane od wewnątrz, ale Pfenninger dostrzegł falującą smugę powietrza w nogach łóżka. Dotknął jej. A smuga powietrza rozsunęła się jak zasłona, przez którą Pfenninger ujrzał okrągłą posadzkę i gromnicę wysokości człowieka, taką, jakie do dzisiaj widuje się przed ołtarzem w kościołach katolickich i prawosławnych cerkwiach. Za nimi wznosiły się ku górze bloki kamienia, jak stopnie schodów, i znikwały w ciemnościach. Baptiste Pfenninger był pragmatykiem, nie pijakiem, i umysł miał trzeźwy. Jego pokój mieścił się na drugim, ostatnim piętrze budynku. A mimo to Pfenninger przeszedł przez tę powietrzną kurtynę, która nie miała prawa istnieć, nazywaną, à propos, Szczeliną, i wszedł na schody, które też nie miały prawa istnieć. Na razie jakoś sobie pani daje z tym radę?

Holly wciska kciuk w obojczyk.

– Nie wiem.

Arkád gładzi się po przyszczach, zadowolając się teraz słuchaniem.

– Baptiste Pfenninger jako pierwszy człowiek wszedł do Kaplicy Zmierzchu. Znalazł tam portret czy też ikonę Katara Ślepeca. Ikona nie miała oczu, lecz gdy Pfenninger tak stał i się jej przyglądał, czy też gdy ikona przyglądała się jemu, dostrzegł kropkę, która pojawiła się na czole postaci na ikonie i urosła, zmieniając się w źrenicę oka bez powieki, a...

– Widziałam to! Co to takiego?

Spoglądam na Arkáda, który w odpowiedzi nieznacznie wzrusza

ramionami.

– Tak właśnie zmienia się ikona Kataru Ślepeca tuż przed dekantowaniem duszy.

Holly zwraca się do mnie z rosnącym napięciem w głosie.

– Wtedy, kiedy zaginął Jacko. Ta kropka oka na czole. Miałam... taki koszmar na jawie w przejściu podziemnym na przedmieściach Rochester. Nie opisałam tego w *Ludziach z Radia*, bo wzięto by to za jakies halucynacje po kwasie. Ale tak właśnie było, widziałam to oko.

Arkád subpyta mnie: *A jeśli Xi Lo dosznurował do niej obraży przy Pierwszej Misji?*

No to dlaczego miałby to przed nami ukrywać? Szukam lepszego rozwiązania. *A jeśli Jacko i Holly byli już zesnurowani jako dwoje psychozoterycznych bliźniąt?*

Arkád gryzie kostkę kciuka – ten zwyczaj został mu po poprzednim życiu. *Możliwe. Pozostałości sznura mogły doprowadzić Esther do Holly, kiedy ty uciekłeś z Kaplicy. Jak rozrzuć okruszki w Jasiu i Małgosi.*

– Przykro mi – ciągnie Holly – ale ja nadal żyję. Co ma Jacko wspólnego z tym średniowiecznym mnichem i z inżynierem z czasów Napoleona?

Świeca w lichtarzu z barwionego szkła pali się wysokim, równym płomieniem.

– Katar Ślepiec i inżynier odbyli rozmowę – wyjaśniam dalej – i uzgodnili przymierze, pakt o współpracy. Nie jesteśmy pewni...

– Hola, hola. Ten mnich siedział w swojej Kaplicy Zmierzchu przez, ile, sześćset lat? Teraz zaprasza gości i zawiera z nimi jakieś umowy? A co jadł od średniowiecza?

– Katar Ślepiec naturalnie transsubstancjonował – wyjaśniam.

Holly odchyła się w tył.

– Transs...subs... W ogóle jest takie słowo?

– Ciało Kataru Ślepeca umarło – tłumaczy Arkád – ale jego umysł i dusza – które na potrzeby naszej pogawędki są tym samym – wniknęły w materię Kaplicy. Katar Ślepiec łączył się z Pfenningerem przez

ikonę.

Holly zastanawia się nad sensem tych słów.

– Czyli budowniczy stał się budynkiem?

– W pewien sposób tak – odpowiada Arkád. – Można tak powiedzieć.

– Most i koszary na przełęczy Sidelhorn ukończono jeszcze przed zimą – podejmuję wątek – a Baptiste Pfenninger wrócił do swojej rodziny w Martigny. Następnego roku wiosną wypłynął jednak na wyprawę łodzią. Łódź znaleziono, ale ciała nigdy.

– No tak – mówi Holly. – Tak samo, jak Hugo Lamba.

Deszcz cicho stuka w okna 119A.

– Przeskoczmy do przodu, do roku tysiąc osiemset piątego. W paryskiej dzielnicy Marais otwarto nowy sierociniec. Jego założycielem i dyrektorem był energiczny Francuz nazwiskiem Martin Leclerc, którego ojciec zgromadził fortunę w koloniach w Afryce, i który teraz chciał dać wikt i dach nad głową sierotom wojennym Paryża oraz nauczyć je czytania i pisania. W roku tysiąc osiemset piątym życie cudzoziemca w stolicy Francji nie było łatwe, a we francuskiej mowie Leclerca słychać było lekki akcent niemiecki, ale przyjaciele Martina przypisywali owo cudzoziemskie brzmienie matce Prusaczce oraz szkołom w Hamburgu. Jednocześnie ci sami przyjaciele, z których wielu należało do elit Cesarstwa, nie mieli pojęcia, że Martin Leclerc naprawdę nazywał się Baptiste Pfenninger. Można sobie zatem wyobrazić, że ktoś, kto sugerowałby, że Leclerc założył ochronkę, żeby pozyskiwać i kształcić dzieci ze szczególnym darem, spotkałby się naturalnie z zarzutami niepoczytalności. Dzieci ze szczególnym darem, czyli takie, które wykazywały psychowoltaż lub też miały otwarte oko czakry.

Holly patrzy na Arkáda, który z przymkniętymi oczami, jak tłumacz szukający słowa, zastanawia się nad najlepszym wyjaśnieniem.

– Chodzi o dary psychiczne. Jak u pani, kiedy miała pani osiem lat.

– A po co inżynierowi ze Szwajcarii, który sfingował własną śmierć, a teraz uchodzi za Francuza i jest dyrektorem sierocińca – zgadza się?

– psychicznie zaburzone dzieci?

– Anachoreci – odpowiada Arkád – jak już mówiła Marinus, muszą zasilać swoją atemporalność, karmiąc się duszami. Nie każda dusza jednak się nadaje. Dekantować można wyłącznie dusze obdarzonych. To jak z dawcami narządów – tylko jeden na tysiąc ma odpowiednią zgodność. W okresie równonocy i przesilenia właściciela duszy należy zwabić Kamienną Drogą do Kaplicy. Tam nieszczęsny przybysz wpatruje się w ikonę Kataru Ślepca, który wtedy dekantuje – lub też „przelewa” – jego duszę w Czarne Wino. Ciało zostaje wyrzucone przez okno Kaplicy, a Dwanaścioro Anachoretów zbiera się na rytuał zwany Odrodzinami, podczas którego piją Czarne Wino, i przez jedną porę roku, około trzech miesięcy, w ich ciele nie zachodzą żadne podziały komórkowe. To dlatego ciało Hugo Lamba pozostawało niezmiennie takie, jak wyglądało, kiedy miał dwadzieścia kilka lat. Jego umysł i dusza natomiast są już po pięćdziesiątce.

Holly powstrzymuje się na razie od oceny tego, co usłyszała.

– Dlaczego Pfenninger jest teraz w Paryżu, kiedy do „Kaplicy” można się dostać przez ruiny klasztoru w Szwajcarii?

– Każdy Anachoreta może w dowolnym miejscu przywołać Szczelinę. – Arkád obniża dłoń nad płomień świecy. – Jak również otworzyć ją w dowolnym miejscu od środka. Właśnie przez istnienie Szczeliny nasza Wojna toczy się już sto sześćdziesiąt lat. Cokolwiek Anachoreci planują, zawsze mogą teleportować się z miejsca na miejsce. To najdoskonalszy sposób ucieczki i metoda ataku z zaskoczenia.

Holly nagle coś sobie uświadamia i łamie jej się głos:

– Miss Constantin?

– Immaculée Constantin jest zastępczynią Pfenningera. Nie

wiemy, dlaczego Pierwszy Anachoreta zwerbował ją jako drugą, ale była guwernantką skrzydła dla dziewcząt w ochronce w Marais. Nie kto inny, tylko sam wielki Talleyrand określił Miss Constantin jako „dzierżącego miecz serafina w ciele kobiety”. Minęło sto osiemdziesiąt lat, i oto Druga Anachoretka przybywa do Gravesend, żeby pozyskać Holly Sykes. W pani przypadku popełniła jednak błąd, bo wystraszyła panią na tyle, że o małej Holly Sykes opowiedział mi jeden z moich byłych studentów i zainteresował mnie jej przypadkiem. Uodporniłem panią, rozładowując pani psychowoltaż, przez co stała się pani nieodpowiednia do wytworzenia Czarnego Wina. Miss Constantin była oczywiście wściekła i choć nigdy nie zapomniała Holly Sykes ani jej obiecującego braciszka Jacko, musiała dać za wygraną.

– Arytmetyka nie pozwala im na odpoczynek – wtrąca Arkád. – Anachoreci utrzymują swoje szeregi w liczbie dwanaściorga, więc każde z nich musi pozyskać nadającą się do dekantacji duszę raz na trzy lata. Ich ofiara nie może być jednak otumaniona narkotykami i po prostu przywleczona w worku do Kaplicy. Anachoreci muszą się z ofiarą zaprzyjaźnić, jak Constantin próbowała z panią. Jeśli ofiara nie jest świadoma i spokojna podczas dekantacji, Czarne Wino zostaje skażone. To zawiła i trudna sztuka.

Przyglądają się nam figury z obrazów. Jakież one mogłyby opowiedzieć historie.

– Czy mam rozumieć – Holly zbiera siły – że Miss Constantin i Anachoreci porwali Jacko i... wypili jego duszę? To mi chcą państwo powiedzieć?

Tykanie zegara jest albo głośniejsze, albo cichsze, to zależy.

– Jeśli chodzi o Jacko... – zamykam oczy i subproszę: *Trzymaj za mnie kciuki, Arkád...* – Jacko był jednym z nas.

Może gdzieś grzmi, a może to hurgot śmieciarki.

– Jacko był moim bratem – mówi powoli Holly. – Miał siedem lat.

– Jego ciało miało siedem lat – mówi Arkád. – Ale było pojemnikiem dla duszy Xi Lo, Horologa. Xi Lo był dużo, dużo starszy.

Holly kręci głową, trudno jej zdzierżyć te oburzające słowa.

– Pamięta pani, jak Jacko przechodził zapalenie opon mózgowych, kiedy miał pięć lat? – pytam.

– Oczywiście, że pamiętam. Przecież prawie umarł.

Nie mam wyjścia, muszę mówić dalej.

– Jacko tamtego dnia umarł.

To zniewaga, obraza uczuć, a Holly jest już na krawędzi wybuchu.

– Przepraszam, ale nie umarł, do jasnej cholery. Byłam tam!

Nie ma sposobu, żeby jej to ułatwić.

– Dusza Jacko Martina Sykesa opuściła jego ciało o drugiej dwadzieścia trzy nad ranem, szesnastego października tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku. O drugiej dwadzieścia cztery dusza Xi Lo, najstarszego i najlepszego z Horologów, weszła w ciało pani brata. Kiedy pani ojciec krzyczał i wzywał lekarza, ciało Jacko nie groziło już żadne niebezpieczeństwo. Ale dusza Jacko kroczyła wtedy przez Zmierzch.

Złowieszcza cisza.

– Czyli chcecie powiedzieć – nozdrza Holly rozszerzają się – że mój młodszy brat był odtąd zombie?

– Jacko był ciałem Jacko – wyjaśnia Arkád – z nawykami umysłu Jacko, ale z duszą i pamięcią Xi Lo.

Holly drży bezradna.

– Jak w ogóle możecie tak mówić?

– Dobre pytanie – odpowiada Arkád. – No właśnie, czy moglibyśmy tak mówić, gdyby to nie była prawda?

Holly gwałtownie wstaje, a jej krzesło przewraca się w tył.

– Zwykle takie mówienie kończy się próbą wyłudzenia pieniędzy.

– Horologia powstała w roku tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym ósmym – odpowiada Arkád z wyższością. – Od tego czasu poczyniliśmy parę inwestycji. Pani konto jest bezpieczne.

Zachowuj się, subnakazuję Arkádowi.

– Niech sobie pani przypomni wszystkie dziwactwa Jacko – proszę Holly. – Dlaczego chłopiec w Anglii nagle słuchał chińskiego radia?

– Bo... to go uspokajało.

– Mandaryński był ojczystym językiem Xi Lo – wyjaśniam.

– Ojczystym językiem Jacko był angielski! Jego mamą była moja mama. Jego domem był Kapitan Marlow. Jego rodziną byliśmy my. Kochaliśmy go. Nadal kochamy. – Holly walczy z napływającymi do oczu łzami. – Cały czas.

– A Xi Lo-w-Jacko też was kochał – mówię miękko. – Bardzo. Kochał nawet Newky’ego, najbardziej śmierdzącego psa w całym Kencie. Kochał najprawdziwszą miłość. Ale to, co pani teraz mówimy, też jest najprawdziwszą prawdą. Dusza Xi Lo była starsza niż wasz pub. Starsza niż Anglia. Starsza niż chrześcijaństwo.

Holly ma już dość. Podnosi przewrócone krzesło.

– Dziś po południu mam samolot do Dublina. I lecę nim. W niektóre... części tej całej waszej opowieści uwierzyłam, ale są też takie, w które uwierzyć nie mogę. O większości po prostu nie wiem, co myśleć. Senny siew brzmiał niewiarygodnie. Ale... Tyle czasu mi zajęło, żebym przestała się obwiniać o zniknięcie Jacko... a teraz znowu rozdrapujecie tę ranę. – Holly wkłada płaszcz. – Żyję sobie spokojnie na zachodzie Irlandii, z książkami i kotami. Prowadzę zwykłe, ciche, normalne życie. Ta Holly Sykes, która napisała *Ludzi z Radia*, być może uwierzyłaby w waszych atemporalnych, w waszych czarodziejskich mnichów, ale ja już nią nie jestem. Jeśli jest pani Marinusem, życzę powodzenia w... w czymkolwiek. – Holly bierze torebkę, kładzie zielony klucz na stole i podchodzi do drzwi. –

Żegnam. Wychodzę.

Mam użyć swazji, żeby została? – subpyta Arkád.

Jeśli współpracę na niej wymusimy, nie będzie to współpraca.

– Rozumiemy – odpowiadam Holly. – Dziękujemy, że pani przyszła.

Arkád subprzypomina mi: *A co z Esther?*

Za szybko. Nie wszystko naraz.

– Przykro mi, że byłem nieuprzejmy – przeprasza Arkád. – Emocje nastolatka.

Holly mówi na odchodne:

– Proszę pożegnać ode mnie służącego Batmana.

– Przekażę mu – odpowiadam. – *Au revoir*, pani Sykes.

Holly zamyka drzwi.

Teraz Anachoreci już wiedzą, że tu była, substwierdza Arkád. Mam poprosić Ōshimę, żeby ją śledził?

Nie jestem przekonana. *Pfenninger nie zarzuci swojego misternego planu i nie uderzy przed czasem.*

Jeżeli podejrzewają, że Esther Little siedzi zamurowana w głowie Holly, palce Arkáda układają się w rewolwer, uderzą z miejsca i z dużą siłą.

Piję chłodną herbatę, usiłując przyjrzeć się temu porankowi okiem Anachoretki. *Skąd mogliby wiedzieć, że Esther jest w Holly?*

Nie mogą wiedzieć na pewno. Arkád wyciera sobie okulary o rękaw koszuli ze stójką. *Ale mogą się domyślać i zlikwidować ją na wszelki wypadek.*

„Zlikwidować ją?”. Za dużo filmów gangsterskich, Arkád. Dzwoni moje urządzenie. Na ekranie wyświetla się „NUMER PRYWATNY”, a ja mam przeczucie, że to złe wieści, jeszcze zanim słyszę głos Elijah D’Arnoqa:

– Dzięki Bogu, Marinus. To ja, D’Arnoq. Właśnie się dowiedziałem: Constantin wysłała komórkę, która ma uprowadzić i przeskanować Holly Sykes. Oczywiście jej zgoda nie będzie potrzebna. Powstrzymaj ich.

Dociera do mnie sens tych słów.

– Kiedy?

– Już teraz – odpowiada D’Arnoq.

– Gdzie? – pytam.

– Najprawdopodobniej w jej hotelu. Pośpiesz się.

*

Ōshima czeka przy jezdni, kiedy się pojawia. Postawił kołnierz, a kapelusz z wąskim rondkiem, usiany plamkami od kropel deszczu, nasunął nisko na czoło. Ruchem głowy wskazuje kierunek Park Avenue, submówiąc: Domyślam się, że rozmowa z nią nie poszła najlepiej.

Rozpoznaję Holly od tyłu po jej długim, czarnym płaszczu i zawoju na głowie. To moja wina. Powiedziałam jej, że Jacko był starszy od Jezusa. Ustępuję przed deskorolkowcem. Ale, co gorsza, przed chwilą skontaktował się D’Arnoq, subodpowiadam. Zawiadamia nas, że wysłano komórkę, która ma porwać Holly i ją przeskanować. Rozkładam mój tęczowy parasol jak tarczę i ruszamy w drogę. Ōshima dotrzymuje mi kroku, idąc południową stroną ulicy, ja idę północną.

Możesz mi jeszcze raz wyjaśnić, subprosi Ōshima, dlaczego po prostu nie wprowadzimy jej przez swazję w przyjemny, głęboki sen? A potem moglibyśmy wejść, subwołając Esther, żeby się ujawniła.

Po pierwsze, to wbrew Kodeksowi. Po drugie, czakry Holly Sykes są w stanie latencji, więc może źle zareagować na skanowanie i zredagować własną pamięć, rozplatając każdego rezydenta. Po trzecie... Na razie tyle wystarczy. Będzie nam jednak potrzebna jej dobra wola. Do swazji uciekniemy się naprawdę w ostateczności.

Kiedy Holly dochodzi do Park Avenue, zielony ludzik miga, więc razem z Ōshimą pędzimy, żeby nie utknąć na wysepce pośrodku jezdni. Uskakujemy przed trąbiącymi na nas autami. Przyśpieszamy i

jesteśmy już dwadzieścia kroków od Holly. Ōshima subpyta: Mamy jakąś strategię, Marinus, czy po prostu idziemy za nią, jak dwoje natrętów?

Do hotelu dajmy jej spokojnie pomyśleć. Niech się zastanowi nad tym, co od nas usłyszała. Z młodych liści na starych drzewach kapią krople, rynsztoki chlupią, rynny bulgoczą. Przy odrobinie szczęścia zaczaruje ją Park. Jeśli nie, to my będziemy musieli użyć magii. Jakiś portier wygląda spod markizy, zadzierając głowę i patrząc na deszcz. Dochodzimy do Madison, gdzie Holly czeka w mżącym deszczu, a ja stoję w drzwiach butiku i patrzę na dziewczynę z psem na spacerze, na chasydów z pejsami, na biznesmena, który wygląda na Araba. Zwalniają dwie taksówki, w nadziei na złapanie kursu, ale Holly wpatruje się w mały zielony prostokąt Central Parku za kwartałem ulic. W głowie musi mieć zamęt. Napisać wspomnienia, w których paranormalne wydarzenia od czasu do czasu przerywają rzeczywistość, to jedno, ale kiedy paranormalność przeprowadza na kimś senny siew, podaje irlandzką herbatę i przedstawia zupełnie nową kosmologię, to już całkiem inna sprawa. Może Ōshima ma rację, może powinniśmy swazjować ją z powrotem do 119A. Tysiąc sto lat metażycia wcale nie jest gwarancją właściwego postępowania w każdych okolicznościach.

Czerwone światło zmienia się na zielone i tracę okazję. Kiedy przechodzę przez Madison, ogarnia mnie paranoja i patrzę na ludzi w samochodach, niemal spodziewając się oczu Pfenningera albo Constantin, wpatrujących się we mnie wzrokiem łowcy. Ulicę przed Central Parkiem na chodnikach przybywa pieszych, więc stoję się jeszcze bardziej nerwowa. Czy ta biegaczka w iShade'ach, truchtająca z dziecięcym wózkiem, naprawdę uprawia jogging? Czy ta zasłona nie poruszyła się czasem, kiedy przechodziła Holly? Z jakiego powodu młody geodeta z trójnogiem miałby tak bacznie

przyglądać się chudej kobiecie po pięćdziesiątce? Mnie też chłopak mierzy wzrokiem, więc może po prostu nie jest wybredny? Ōshima dotrzymuje mi kroku na chodniku po przeciwnej stronie, wtapiając się w poranny tłum znacznie lepiej ode mnie. Mijamy kościół św. Jakuba, którego wieża z czerwonej cegły niegdyś górowała nad tą prowincjonalną częścią Manhattanu. Yu Leon Marinus w 1968 roku był tu na czymś ślubie. Pan młody i panna młoda muszą mieć teraz po osiemdziesiątce, jeśli w ogóle żyją.

Na Piątej Alei samochody poruszają się ospale z nagłymi zrywami. Holly staje za grupą chińskich turystów, którzy głośno rozmawiają po kantońsku i wszyscy zgadzają się, że Nowy Jork jest mniejszy, brudniejszy i bardziej obskurny, niż się spodziewali. Po drugiej stronie jezdni Ōshima opiera się od niechcienia o narożnik Frick Collection. Twarz ma ukrytą pod kapturem. Przejeżdża autobus z cyfrową reklamą nowego filmu na podstawie Niech ucichnie echo Crispina Hersheya, ale Holly wpatruje się niewidzącym wzrokiem w Central Park. Uspokajam się. Instykt mówi mi, że niebezpieczeństwo nam nie grozi, dopóki nie dojdziemy na Broadway, do jej hotelu. Jeżeli wcześniej Holly sama nie zawróci, będę musiała uciszyć własne skrupuły i przeprowadzić na niej swazję dla jej własnego bezpieczeństwa. Anachoreci nie zrobią niczego pochopnie. Publiczne morderstwa niepotrzebnie zwracają uwagę. Rzeczywistość na Piątej Alei w ten deszczowy poranek jest po prostu właśnie taka, na jaką wygląda.

*

Na chodnik podejżdza masywna policyjna terenówka i wysiada z niej młoda policjantka z identyfikatorem w rękę.

– Przepraszam, czy pani Holly Sykes?

Holly musi gwałtownie powrócić do rzeczywistości.

– Tak, to ja... tak, czy...

– Czy jest pani matką Aoife Brubeck?

Szukam wzrokiem Ōshimy, który właśnie przechodzi do mnie przez ulicę. Do policjantki dołączył barczysty funkcjonariusz.

– Holly Sykes?

– Tak. – Holly podnosi dłoń do ust. – Coś się stało Aoife?

– Pani Sykes – mówi policjantka, wyrzucając z siebie szybki ostrzał słów – nasz komisariat dostał powiadomienie, że konsulat brytyjski prosi o postawienie wszystkich jednostek w stan alertu i pilne odszukanie pani. Byliśmy wcześniej w pani hotelu, ale spóźniliśmy się minutę i pani już wyszła. Obawiam się, że wczoraj wieczorem pani córka uczestniczyła w wypadku samochodowym w Atenach. Była już operowana i jest w stanie stabilnym, ale konsulat prosi, żeby wracała pani do kraju najbliższym możliwym samolotem. Proszę pani? Słyszysz mnie pani?

– W Atenach? – Holly opiera się o maskę radiowozu. – Przecież Aoife jest na wyspie... Co się stało...? Jest poważnie ranna...?

– Nie dysponujemy, niestety, żadnymi szczegółami, ale odwieziemy panią do hotelu Empire, żeby mogła się pani spakować. Potem zawieziemy panią na lotnisko.

Robię krok do przodu, żeby zrobić sama nie wiem co, ale Ōshima mnie powstrzymuje i cofa. Wyczuwam w aucie silny psychowoltaż. Jeśli jest tam wysoki rangą Anachoreta i dojdzie do pełnego starcia na Piątej Alei, usmaży się każdy hipokamp w promieniu pięćdziesięciu metrów, w tym hipokamp Holly. Federalni i Służba Bezpieczeństwa Wewnętrznego będą przeglądać klatka po klatce wszystkie nagrania i znajdą właśnie nas. Dość podejrzanie będzie wyglądać, że śledziliśmy Holly od sto dziewiętnaście A.

Ōshima ma rację. Ale nie możemy po prostu pozwolić im jej zabrać.

W tym czasie załoga radiowozu na wpół zaprasza Holly do terenówki, na wpół ją do niej prowadzi. Holly usiłuje o coś pytać, ale ma za sobą niebywale wyczerpujący poranek i czuje się zastraszona, więc w końcu nie mówi nic. Może oni też właśnie dokonują na niej swazji. Targana niemocą decyzji patrzę, jak zatraskują się drzwi radiowozu i pojazd włącza się do ruchu, gwałtownie przyśpieszając na skrzyżowaniu, zanim światło zmieni się na czerwone. Okna radiowozu są przyciemniane, więc nie widzę, z kim mamy do czynienia, ani jak liczny jest przeciwnik. Zapala się zielone światło dla pieszych i tłum wchodzi na pasy. Wystarczyło sześćdziesiąt sekund, żeby nasza Druga Misja spaliła na panewce.

*

Ōshima prowadzi mnie przez skrzyżowanie.

– Ja zajmę się trawersowaniem.

– Nie, Ōshima, to był mój błąd. Ja źle oceniłam sytuację, więc...

– Włosiennicę włożysz później. Ja lepiej trawersuję od ciebie i jestem generalnie większym skurwysynem. Wiesz, że mam rację.

Nie mamy czasu na kłótnie. Przechodzimy przez niski murek ogrodzenia parku przy pomniku Hunta, gdzie przysiadamy na wilgotnej ławce. Ōshima jedną ręką chwyta poręcz ławki, a drugą ujmuje moją dłoń. Zesznuruj się z moim strumieniem, subpoleca, mogę potrzebować twojej rady.

– Jeśli moje rady są cokolwiek warte. Ale będę z tobą.

Ōshima ściska moją dłoń, zamyka oczy, a jego ciało delikatnie zwisa w bezwładzie, kiedy dusza dokonuje exodusu przez oko czakry. Nawet dla psychototeryków dusza jest ledwo widzialna, jak kulka z przezroczystego szkła w słoju z wodą. Mija zaledwie sekunda i dusza Ōshimy znika, trawersując w górę między mokrymi od kropel

gałązkami a starym pomnikiem, całym w plamach deszczu. Naciągam Ōshimie kapelusz na czoło, żeby mu zakryć twarz, i ochraniam nas pod parasolem. Zwolnione przez duszę ciało wygląda jakby wymagało szybkiej reanimacji, więc w różnych momentach metażycia zdarzało mi się ingresować z powrotem do siebie i odkrywać, że ktoś właśnie podstawia mi pod nos sole trzeźwiące, upuszcza krew, albo że jakiś obcy człowiek z cuchnącym oddechem usiłuje mnie niezdarnie resuscytować. Co więcej, kiedy synchronizuję z Ōshimą czakry naszych dłoni, obaj przypominamy parę kochanków. Nawet według liberalnych nowojorskich standardów stanowilibyśmy niezły widok dla gapiów.

Łączę się ze sznurem Ōshimy...

...i obrazy z jego duszy płyną prosto do mojego umysłu. Ōshima mknie przez kubistyczny kalejdoskop, w jaki układają się tylne światła aut, dachy samochodów, dachowe bagażniki, gałęzie i pąki liści. Fruniemy w dół, przenikając przez tylne drzwi furgonetki, śmigamy między świńskimi tuszami, kołyszącymi się na hakach, potem przez osmolone płuco kierowcy, wylatujemy przednią szybą, potem zataczamy łuk nad furgonetką United Parcels i wzlatujemy jeszcze wyżej, płosząc gołębia z kryzą piórek, który odlatuje ze swojej grzędy na wysięgniku światel nad skrzyżowaniem. Ōshima zatrzymuje się na chwilę, szukając policyjnej terenówki. Jesteś, Marinus?

Jestem, jestem, subodpowiadam.

Widzisz nasz radiowóz?

Nie. Śmieciarka przesuwają się lekko do przodu i widzę teraz żółty szkolny autobus. Zobacz przy szkolnym autobusie. Ōshima frunie w dół, wlatuje przez tylną szybę autobusu, leci przejściem między czterdzieściorgiem dzieci, które klóć się, rozmawiają, pochylają się gromadką nad czymś tabem 3D albo gapią się przed siebie. Potem wylatuje koło kierowcy i...

...rozlega się klakson i widać światła radiowozu, powoli posuwającego się w korku. Ōshima wlatuje przez tylną szybę i krąży przez moment w środku, żeby przesłać mi obraz sytuacji. Z lewej strony Holly siedzi policjantka – czy też rzekoma policjantka. Kierowca to barczysty facet, który pomagał wsadzać Holly do auta. Po prawej stronie Holly siedzi mężczyzna w garniturze, a eliptyczne okulary Samsunga zasłaniają mu pół twarzy, ale znamy go. Drummond Brzycki, substwierdza Ōshima.

Dziwny wybór. Brzycki to najnowszy i najślabszy z Anachoretów.

Może nie spodziewają się żadnych kłopotów, zgaduje Ōshima.

A może wystawili go jako pierwszego do ewentualnego odstrzału? – subodpowiadam.

Zrobię ingres w kobietę, submówi Ōshima, może uda mi się dowiedzieć, jakie dostała rozkazy. Wnika w oko czakry policjantki i mam teraz dostęp do jej danych sensorycznych.

– Wiemy tylko – tłumaczy Holly funkcjonariuszka – to, co już pani powiedziałam, kochanie. Gdybym wiedziała więcej, przecież bym powiedziała. Bardzo pani współczuję, kochanie, naprawdę. Też jestem mamą. Mam dwójkę maluchów.

– Aoife nie ma obrażeń kręgosłupa? Jak poważny był ten...

– Proszę się niepotrzebnie nie martwić, pani Sykes. – Drummond Brzycki podnosi okulary na czoło. Ma urodę śródziemnomorskiego piłkarza, gęste czarne włosy i nosowy głos, jakby bzyk osy uwięzionej w kieliszku wina. – Konsul wychodzi ze spotkania o dziesiątej. Zadzwonimy do niego bezpośrednio, więc wszelkie informacje usłyszy pani prosto od niego. Dobrze?

Radiowóz zatrzymuje się na czerwonym świetle i przez ulicę przepływa tłum przechodniów.

– Może uda mi się zdobyć numer do tego szpitala – mówi Holly, wyjmując z torebki urządzenie. – Ateny to nie takie duże miasto...

– Jeżeli mówi pani po grecku, proszę bardzo, powodzenia. Jeśli nie, raczej nie blokowałbym urzędzenia, na wypadek gdyby ktoś dzwonił z wiadomością. Proszę nie wyobrażać sobie od razu najczarniejszych scenariuszy. Pojedziemy pasem dla karettek i zdąży pani na samolot do Aten o jedenastej czterdzieści pięć. Już niedługo będzie pani przy Aoife.

Holly chowa urządzenie z powrotem do torebki.

– Policja w Irlandii w życiu nie zawracałaby sobie tak głowy. – Obok śmignął rowerowy kurier, a samochody posuwają się do przodu wolnymi zrywami. – Jak w ogóle mnie państwo znaleźli?

– Śledczy Marr – przedstawia się Brzycki. – Rzeczywiście, to było jak szukanie igły w stogu siana. Ale nasz posterunek nadał Kod Piętnaście i chociaż komunikat: „biała kobieta szczupłej budowy, po pięćdziesiątce, w długim czarnym prochowcu” niespecjalnie ułatwia poszukiwania w deszczowy dzień na Manhattanie, pani aniołowie stróże ewidentnie robili, co mogli. Właściwie to – może nie powinienem tak mówić w tych okolicznościach – ale sierżant Lewis, który siedzi z przodu, jest pani wielkim fanem. Akurat podwoził mnie z Dziewięćdziesiątej Ósmej na Columbus Circle i nagle mówi: „Boże, to ona!”. Co nie, Tony?

– Tak było. Widziałem pani wystąpienie w Symphony Space, kiedy wyszli *Ludzie z Radia* – odzywa się kierowca. – Po śmierci żony pani książka była dla mnie światłem w tunelu. Uratowała mnie.

– Och, bardzo... – Holly jest tak zdenerwowana, że kupuje tę kulawą opowieść – ...bardzo się cieszę, że panu pomogła. – Dogania nas śmieciarka. – Przykro mi z powodu śmierci pańskiej żony.

– Dziękuję za te słowa. Naprawdę.

Po kilku sekundach Holly przegląda menu urzędzenia.

– Połączę się z Sharon, moją siostrą. Jest w Anglii, ale może stamtąd uda jej się dowiedzieć czegoś więcej o Aoife.

Strumieniowanie miga i trochę przygasa. Sznur się przeciera, subostrzegam Ōshimę. Czego dowiedziałeś się o naszym gościu?

Ma na imię Nancy, boi się myszy, zabiła już osiem razy, nadchodzi spóźniona odpowiedź. Była dzieckiem-żołnierzem w Sudanie Południowym. To jej pierwsza robota dla Brzyckiego... Marinus, co to jest kurarochinolina?

Czyli fatalnie. To trucizna. Jeden miligram może w dziesięć sekund wywołać zapaść płucną. Koronerzy nigdy nie przeprowadzają testów pod kątem jej obecności. Dlaczego pytasz?

Nance i Brzycki mają kurarochinolinę w broni usypiającej. Możemy przyjąć, że nie dla samoobrony.

– Zadzwoń jeszcze raz na komendę – mówi usłudźnie Brzycki. – Zobaczę, czy nie mogliby zdobyć nazwy szpitala w Atenach, w którym leży pani córka. Wtedy przynajmniej będzie pani mogła zadzwonić bezpośrednio tam.

– Nawet pan nie wie, jak byłabym wdzięczna. – Holly jest biała i wygląda niezdrowo.

Brzycki opuszcza na nos eliptyczne okulary.

– Halo, dwójka? Zgłasza się jednostka dwadzieścia osiem, czy mnie słyszysz? Dwadzieścia osiem do dwójki.

Nieoczekiwanie ożywa słuchawka w hełmie Nancy, a przez nią słyszę Immaculée Constantin.

– Słyszę cię wyraźnie. Mimo wszystko nie ryzykujemy. Zlikwidujcie ją.

Po fali szoku błyskawicznie dochodzę do siebie: Ōshima, wyostań ją stamtąd! Ale w odpowiedzi słyszę jedynie głośny szum wzdłuż nadmiernie rozciągniętego sznura. Ōshima mnie nie słyszy albo nie może mi odpowiedzieć, albo jedno i drugie.

Wraca ostrość przekazu.

– Zrozumiałem, dwójka – mówi Brzycki – ale obecnie jesteśmy na rogu Piątej i Wschodniej Sześćdziesiątej Ósmej, stoimy w korku.

Może lepiej odłożyć wykonanie ostatniego rozkazu, ponieważ...

– Dajcie Sykes po dawce w każdą rękę – każe Constantin swoim łagodnym głosem. – Żadnych opóźnień. Wykonać.

Subkrzyczę, ile sił: Ōshima, wydostań ją, zabierz ją stamtąd!!!

Nie nadchodzi jednak żadna odpowiedź, ani z jego duszy, ani z nieruchomego ciała na ławce, wspartego na moim, przecznicy od policyjnego radiowozu. Mogę tylko przyglądać się przez sznur, jak zabijają niewinną kobietę, którą sama wciągnęłam w naszą Wojnę, choć się opierała. Nie mogę trawersować na taką odległość, a nawet gdybym potrafiła, zjawiłabym się za późno.

– Rozumiem, dwójka. Przyjąłem. – Brzycki kiwa głową do Lewisa w lusterku i do Nancy.

– Udało się panu zdobyć numer do szpitala? – pyta Holly.

– Nasza sekretarka właśnie go szuka. – Brzycki wyjmuje z kabury broń usypiającą i ją odbezpiecza.

Leworęczna Nancy, której oczami obserwuję sytuację, robi to samo.

– Do czego – Holly głos się zmienia – potrzebna wam broń?

Odruchowo usiłuję swazjować Nancy, żeby ją powstrzymać, ale swazja nie działa przez sznur, więc tylko w przerażeniu patrzę, jak Nancy oddaje strzał – prosto w szyję Brzyckiego – a na jego grdyce pojawia się mała czerwona kropka. Zdumiony Anachoreta dotyka kropki, patrzy na czerwoną smugę na palcach, potem na Nancy, bąka:

– Co, do...

Martwy Brzycki bezwładnie opada. Lewis krzyczy, jakby spod wody:

– Nancy, pojebało cię?!

Albo przynajmniej Nancy wydaje się, że takie słowa słyszy, kiedy odkrywa, że bierze broń Brzyckiego i strzela prosto w policzek Lewisa. Z jego gardła wydobywa się falsetem zdumiona samogłoska. Nancy, którą Ōshima bezlitośnie swazjuje, widzi, jak sama wdrapuje się

przez Holly na siedzenie pasażera, kiedy Lewis, bełkocząc, wydaje ostatnie tchnienie. Nancy przypina się teraz kajdankami do kierownicy i odblokowuje tylne drzwi. W ramach pożegnalnego prezentu Ōshima redaguje Nancy spory kawał jej pamięci niedawnej i wywołuje w niej brak przytomności, a zaraz potem exodusuje z niej i ingresuje w przerażoną Holly. Swojego nowego hosta bezzwłocznie poddaje psychosedacji i przyglądam się teraz Holly w pierwszej osobie, jak zakłada okulary, sprawdza zawój na głowie, wysiada z policyjnego auta i spokojnie kieruje się Park Avenue z powrotem w stronę Frick Collection. Jakimś strzępem sznura po zwrotnej wraca głos Ōshimy: Marinus, słyszysz mnie?

Pozwalam sobie na poczucie ulgi. Majstersztyk, Ōshima.

Wojna, subodpowiada stary wojownik, a teraz logistyka. Mamy emerytowaną pisarkę w rzucającym się w oczy nakryciu głowy, która wysiadła z policyjnego radiowozu, zostawiając w nim dwa trupy fałszywych glin i jedną żywą policjantkę. Jakież pomysły?

Sprowadź tu Holly z powrotem i wracaj do ciała, subradzę Ōshimie. A ja w tym czasie zadzwonię do L'Ohkny i poproszę, żeby wywołał wielką awarię, która usunie zapisy ze wszystkich ulicznych kamer na Upper East Side.

Ōshima-w-Holly podąża Park Avenue. Ten ćpun będzie to potrafił?

Jeśli w ogóle się da, znajdzie sposób. Jeśli się nie da, on i tak da radę.

I co potem? Sto dziewiętnaście A ewidentnie już nie jest fortecą, jak dawniej.

Tak. Zbunkrujemy się u Unalaq. Poproszę ją, żeby przyjechała i nas wyratowała. Odsznurowuję się teraz. Widzimy się niedługo.

Otwieram oczy. Mój parasol na wpół zasłania ciało Ōshimy i mnie, a zaciekawiona szara wiewiórka obwąchuje mój but. Poruszam nogą. Wiewiórka ucieka.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmia Unalaq.

Zatrzymuje samochód na wysokości swoich drzwi wejściowych, tuż obok księgarni Three Lives na rogu Waverley Place i Zachodniej Dziesiątej. Unalaq zostawia auto na światłach awaryjnych i pomaga mi podprowadzić Holly przez chodnik. Ōshima trzyma straż jak mnich-skrytobójca. Holly jest ciągle oszołomiona psychosedacją, przez co przyciągnęliśmy uwagę szczupłego, wysokiego mężczyzny z bródką, w drucianych okularach.

– Cześć, Unalaq, wszystko w porządku?

– Najzupełniej, Toby – odpowiada Unalaq. – Przyjaciółka właśnie przyleciała z Dublina, ale potwornie boi się latać, więc wzięła tabletki nasenne, żeby się znieczulić. Chyba trochę za silne.

– Raczej. Chyba ciągle trzyma ją trip na wysokości dwudziestu tysięcy stóp.

– Myślę, że następnym razem zadowolę się kieliszkiem białego wina.

– Wpadnij później do księgarni. Przyszły twoje książki o sanskrycie.

– Wpadnę, dzięki, Toby.

Unalaq znajduje klucze, ale drzwi zdążyła właśnie otworzyć Inez. Na jej twarzy maluje się troska i niepokój, jak gdyby to jej partnerka, Unalaq, a nie ona, była kruchą śmiertelniczką. Inez pozdrawia Ōshimę i mnie skinieniem głowy i przygląda się z obawą twarzy Holly.

– Dojdzie do siebie, kiedy tylko się prześpi kilka godzin – uspokajam.

Z miną „mam nadzieję, że masz rację” Inez idzie zaparkować samochód na pobliskim parkingu podziemnym. Unalaq zaprasza nas po schodkach do środka, potem kieruje korytarzem i wchodzi z nami do niewielkiej windy. Nie ma tam już miejsca dla Ōshimy, który musi wbiec po schodach. Naciskam guzik „Do góry”.

O czym myślisz? Dam dolara, subpyta Unalaq.

Kiedy byłem Yu Leonem, myśli kosztowały tylko pensa.

Inflacja, Unalaq wzrusza ramionami, aż falują jej włosy. Esther naprawdę może gdzieś być żywa w tej jej głowie?

Patrzę na pokrytą zmarszczkami, spiętą, ascetyczną twarz Holly. Moja była pacjentka jęczy jak ktoś, kogo bezskutecznie budzą. *Mam nadzieję, Unalaq. Jeśli Esther dobrze zinterpretowała Skrypt, to jest nadzieja, że tak. Ale nie wiem, czy sama wierzę w Skrypt. Ani w Kontrskrypt. Nie wiem, dlaczego Constantin chce śmierci Holly. Ani czy Elijah D'Arnoq mówi prawdę. Ani czy mylimy się co do Sadaqata.*

– Tak naprawdę, nie wiem nic – mówię przyjaciółce, która ma pięćset lat.

Unalaq zdmuchuje z nosa pasmo miedzianorudych włosów.

– Przynajmniej Anachoreci nie mogą wykorzystać twojej nadmiernej pewności siebie.

* * *

Holly śpi, Ōshima ogląda drugą część Ojca chrzestnego, Unalaq przygotowuje sałatkę, a Inez zaprosiła mnie, żebym zagrała coś na jej fortepianie „Steinway”, bo wczoraj był u niej stroiciel. Ze strychu z fortepianem roztacza się piękny widok na Waverley Place. Mały pokoik pachnie pomarańczami i limonkami, które matka Inez przysyła w skrzynkach z Florydy. Zdjęcie Inez i Unalaq stoi na steinwayu. Pozują w kombinezonach narciarskich na ośnieżonym szczycie, jak nieustraszone zdobywczynie. Unalaq nie rozmawiała ze swoją partnerką o Drugiej Misji, ale Inez ma swój rozum i musi wyczuwać, że szykuje się coś poważnego. Los temporalnej, która kocha atemporalną, musi być ciężki, tak samo jak atemporalnej, która kocha temporalną. Decyzje, które podejmę w tym tygodniu, rozstrzygną nie tylko o przyszłości Horologii, ale również o życiu moich bliskich, kolegów i pacjentów. Wszyscy oni boleśnie odczuwają, jeśli ja, moi towarzysze i towarzyszki już nie wrócimy, podobnie jak na życiu Holly

bolesne piętno odcisnęła śmierć Xi Lo-w-Jacko podczas Pierwszej Misji. Jeśli ktoś kocha i jest kochany, wszystko, co robi, wpływa na drugą osobę.

Kartkuję nuty Inez i wybieram przewrotnie *Preludia i fugi* Szostakowicza. Są diabelsko trudne, ale jakaż potem satysfakcja. Następnie gram *Hughe Ashton's Ground* Williama Byrda, dla odświeżenia smaku, oraz parę szwedzkich piosenek ludowych Jana Johannsona, tak po prostu. Z pamięci wykonuję K32, K212 i K9 Scarlattiego. Sonaty Włocha są nicią Ariadny, która łączy Iris Marinus-Fenby, Yu Leona Marinusa, Jamini Choudary Marinus, Pablo Antaya Marinusa, Klarę Marinus Koskową i Lucasa Marinusa, pierwsze z moich wcieleń, które odkryło Scarlattiego, w czasach pobytu w Japonii. Pamiętam, że dostałem te sonaty od de Zoeta w zamian za pewną przysługę i grałem K9 zaledwie na kilka godzin przed śmiercią w lipcu 1811 roku. Czułem nadchodzący koniec już od kilku tygodni i uporządkowałem wszystkie swoje sprawy, jak to kiedyś mówiono. Mój przyjaciel Eelattu wysłał mnie w dalszą podróż dzięki fiołce morfiny, którą zachowałem na tę okazję. Czułem, jak moja dusza wznosi się od Światła Dnia ku Wysokiej Grani, i zastanawiałem się, gdzie też zostaną wskrzeszony. W wigwamie, w pałacu czy też w igloo? W dżungli, w tundrze czy na łożu z baldachimem? W ciele księżniczki czy raczej córki kata albo pomywaczki, czterdzieści dziewięć obrotów Ziemi później...?

* * *

...w barłogu ze szmat i gnijącego siana, w ciele dziewczynki rozpalonej gorączką. Żerowały na niej komary, we włosach roiło się od wszy, pasożyt jelitowy odbierał jej siły. Odra odprawiła już duszę Klary, poprzedniej mieszkanki mojego ciała, i aż trzy dni zajęło mi psychouzdrowienie się na tyle, bym mogła dobrze rozemnać się we

własnym położeniu. Klara była ośmioletnią własnością Kiryła Andriejewicza Bierienowskiego, nieobecnego właściciela posiadłości ziemskiej, którą opasywała pętla rzeki Kamy w obwodzie Oborino, w guberni permskiej, w Imperium Rosyjskim. Bierienowski przyjeżdżał na włości swoich przodków zaledwie raz do roku, żeby gnębić i zastraszać miejscowych urzędników, polować, chędożyć dziewczki i poganiać zarządcę do upuszczania z majątku jeszcze więcej krwi niż w minionym roku. Dzieciństwo pańszczyźnianych chłopów nie było szczęśliwe, a Klary było smutne nawet według ówczesnej miary. Jej ojca zabił byk, a matce życie odebrały lata rodzenia dzieci i ciężkiej pracy na roli oraz pędzony przez chłopów bimber zwany *rwota*, czyli „rzyg”. Klara była najmłodsza i najmniejsza z dziewięciorga rodzeństwa. Trzy z jej siostr zmarły w niemowlęctwie, dwie pozostałe wcześniej wyjechały do fabryki w Jekaterynburgu, żeby spłacać dług Bierienowskiego, a jej trzech braci wcielono do carskiej armii akurat w porę, by zginęli w bitwie pod Pruską Hławą. To, że Klara wyrwała się z objęć śmierci, przyjęto z ponurym fatalizmem. Zaiste ogromna była przepaść między życiem Lucasa Marinusa, chirurga i uczonego, a nędzą i bezwzględną walką o przetrwanie, które stały się udziałem Klary. Czekala mnie długa, niespokojna, nieprzewidywalna wspinaczka po szczeblach drabiny społecznej, szczególnie w ciele kobiety w początkach dziewiętnastego wieku. Nie znałam jeszcze psychoterycznych sposobów szybszego pokonania tej drogi. Klara miała jedynie Cerkiew Prawosławną.

Urodzony w Sankt Petersburgu pop Dmitrij Nikołajewicz Koskow udzielał chrztów, ślubów, odprawiał pochówki i wygłaszał kazania czterystu chłopom pańszczyźnianym na ziemiach Bierienowskiego, jak również kilkudziesięciu wolno urodzonym robotnikom, którzy tam żyli i pracowali. Dmitrij i jego żona Wasylisa mieszkali w rachitycznej chacie nad rzeką. Koskowowie przybyli do obwołu Oborino dziesięć

lat wcześniej, oboje młodzi i pełni zapału, by czynić lepszym życie prowincjonalnych chłopów. Na długo zanim ja-w-Klarze pojawiłam się w ich życiu, zapal ten zagasł wobec zezwierzęcenia i znoju, jakie były nieodłączną częścią życia na Dzikim Wschodzie. Wasylisa Koskowa zapadła na głęboką depresję i cierpiała, przekonana, że cały świat śmieje się z niej po kryjomu, jest bowiem bezdzietna. Jej jedynymi przyjaciółkami na całych włościach były książki, a książki wprawdzie umieją mówić, ale nie słuchają. *Ennu* Dmitrija Koskowa dorównywało depresji żony i przeklinał się co dzień, jeśli nie co godzinę, za odrzucenie perspektyw życia w parafiach petersburskich, gdzie i żona, i jego kariera mogłyby rozkwitać. Prośby o jakąś diecezję bliżej cywilizacji, jakie co roku słał do władz Cerkwi, pozostawały bez odpowiedzi. Był zatem zdecydowanie, jakbyśmy to dziś powiedzieli, z dala od konfitur. Dmitrij miał Boga, dlaczego jednak Bóg skazał go razem z Wasylisą na tonięcie w tym bagnie przesądów, nienawiści i grzechu, jakim był obwód Oborino, niemal na służbie u dziedzica Bierienowskiego, który okazywał więcej troski swoim ogarom niż chłopom, Wszechmogący mu nie zdradził.

Dla mnie-w-Klarze Koskowowie byli idealni.

*

Jednym z obowiązków Klary, gdy tylko wyzdrowiała, było dostarczanie jajek zarządcy, kowalowi i batuszce Dmitrijowi. Pewnego ranka w 1812 roku, gdy przy drzwiach kuchennych wręczałam Wasylisie Koskowej koszyk z jajkami, zapytałam ją nieśmiało, czy to prawda, że kiedyś spotkam w niebie moje zmarłe siostry. Matuszka wręcz oniemiała, widząc, że prawie niema chłopska dziewczucha otworzyła buzię, jak również, że zadała tak absolutnie podstawowe pytanie. Czy nie słuchałam co niedzielę kazań batuszki

Koskowa w cerkwi? Wyjaśniłam, że chłopcy szczykali mnie w ramię i ciągnęli za włosy, żebym nie słuchała Słowa Bożego, więc choć bardzo chciałam posłuchać o Jezusie, nie mogłam.

Owszem, grałam na emocjach, żeby dla własnej korzyści manipulować samotną kobietą, ale alternatywą było harowanie jak wół i mieszkanie w chlewie jak świnia, a do tego każdej zimy człowiekowi aż żółć zamarzała w bebeczach. Wasylisa zaprosiła mnie do swojej kuchni, posadziła na zydlu i opowiedziała, jak Jezus Chrystus przyszedł na świat w ciele człowieka, żebyśmy my, grzesznicy, mogli po śmierci pójść do nieba, jeśli tylko modlimy się i zachowujemy jak dobrzy chrześcijanie.

Z poważną miną pokiwałam głową, podziękowałam jej, a następnie zapytałam, czy to prawda, że Koskowowie pochodzą z Sankt Petersburga. Niedługo potem Wasylisa wspominała opery, pałac Aniczkowa, bale w imieniny arcyksięcia tego-i-tego, fajerwerki na balach u hrabiny takiej-a-takiej. Powiedziałam, że już muszę iść, bo matka mnie zleje, że się zasiedziałam, ale następnym razem, kiedy przyniosłam jajka, Wasylisa poczęstowała mnie prawdziwą herbatą z samowara, posłodzoną łyżką morelowej konfitury. Cóż za nektar! Wkrótce melancholijna żona melancholijnego księdza zorientowała się, że zwierza się z prywatnych rozczarowań. Mała chłopka słuchała z mądrością dużo większą niż można by się jej spodziewać u ośmioletniej dziewczynki. Pewnego dnia zaryzykowałam i opowiedziałam Wasylisie sen, jaki mi się przyśnił. Była w nim pani w błękitnym welonie, miała mlecznobiałą skórę i przyjazny uśmiech. Pojawiła się w chatce, w której mieszkałam z matką, i poleciła mi, bym nauczyła się czytać i pisać, ażebym mogła nieść przesłanie jej syna do pańszczyźnianych chłopów. A co jeszcze dziwniejsze, ta miła pani mówiła dziwne słowa w języku, którego nie rozumiałam, ale i tak zostawiały świetlisty ślad w mojej głowie.

Cóż to mogło znaczyć, dobrodziejko Wasyliso Koskowa?

*

Dmitrij Nikołajewicz, chociaż zadowolony z poprawy stanu nerwów żony, niepokoił się, że znowu żeruje na jej naiwności kolejna chytra chłopka. Pop przesłuchał mnie zatem w pustej cerkwi. Okazywałam pełne nieśmiałości zdumienie, że ktoś w ogóle zwrócił na mnie uwagę, a co dopiero przemówił do mnie, i do tego taka czcigodna osoba, ale cały czas starałam się, by Dmitrij uwierzył, że ma oto przed sobą dziecko, któremu przeznaczony jest wyższy cel, a kapłan Dmitrij Koskow został wybrany, aby dopilnować, bym go osiągnęła. Batiuszka zapytał mnie o mój sen. Czy mogłam opisać tę panią, którą ujrzałam? Mogłam. Miała ciemnobrązowe włosy, śliczny uśmiech, niebieski welon – nie, nie biały, nie czerwony, ale niebieski, błękitny jak niebo w środku lata. Ojciec Dmitrij poprosił, żebym powtórzyła te „dziwne słowa”, które mówiła mi owa pani. Mała Klara zmarszczyła brwi i bardzo nieśmiało wyznała, że te słowa nie brzmiały po rosyjsku. Tak, tak, powiedział ojciec Dmitrij, już wie od żony, ale co to były za słowa? Czy jakieś zapamiętałam? Klara zamknęła oczy i zacytowała, po grecku, Mateusza 19:14, „Dopuszczcie dziatki i nie zabraniajcie im przychodzić do mnie; albowiem takich jest królestwo niebieskie”[22].

Pop otworzył szeroko oczy i usta, i długo ich nie zamykał.

Drżąc, wyraziłam nadzieję, że te słowa nie znaczą niczego złego.

Sumienie miałam czyste. Byłam epifitem, nie pasożytem.

Kilka dni później batiuszka Dmitrij poszedł do Sigorskiego, zarządcy włości, i poprosił go, żeby zezwolił Klarze na zamieszkanie w chacie Koskowów, aby matuszka Wasylisa mogła dziewczynę wyuczyć na służącą dla Bierienowskiego i dać jej podstawowe wykształcenie. Sigorski przystał na tę niecodzienną prośbę, traktując

swoją zgodę jako *pro bono* opłacenie batiuszki Dmitrija, by odtąd przymykał oko na przeróżne przekręty zarządcy. Nie miałam niczego, co mogłabym wnieść do domu Koskowów, oprócz grubego płóciennego giezła, chodaków i długiego brudnego kożucha. Tamtego wieczoru Wasylisa przygotowała mi moją pierwszą gorącą kąpiel od czasu, gdy umarłem w Japonii. Dała mi też czystą sukienkę i wełniany koc. Postęp. Kiedy się kąpałam, zjawiała się matka Klary, żądając rubla „rekompensaty”. Dmitrij zapłacił w rozumieniu, że matka Klary już nigdy nie poprosi o kolejną zapłatę. Spotykałam ją potem na posiadłości, ale już nigdy mnie nie pozdrowiła, a następnego roku zimą pijana wpadła nocą do zamarzniętego rowu, zasnęła w nim i już się nie obudziła.

Nawet pełna dobrych intencji atemporalna nie może nikogo uratować.

*

Będę nieskromna w tym stwierdzeniu, ale jako *de facto*, jeśli nie *de iure* córka, wniosłam z powrotem do życia Koskowów miłość i nadałam mu cel. Wasylisa utworzyła szkółkę w cerkwi, żeby uczyć chłopskie dzieci czytania bukw, podstawowego liczenia i pisania, a wieczorami znajdowała czas, żeby uczyć mnie francuskiej mowy. Lucas Marinus władał tym językiem w moim poprzednim życiu, byłam zatem wybitnie wdzięczną i pojętną uczennicą. Minęło pięć lat, wyrosłam na wysoką, silną dziewczynę, ale każdego roku latem, kiedy majątek wizytował Bierienowski, bałam się, że dostrzeże mnie w cerkwi i zapyta, dlaczego jego chłopkę traktuje się jak wyżej urodzoną. Dla zabezpieczenia tego, co udało mi się osiągnąć, i dla umożliwienia mi dalszej drogi w górę, moim dobrodziejom również potrzebny był dobrodziej.

Wuj Dmitrija, Piotr Iwanowicz Czernienko był oczywistym, a w istocie jedynym, kandydatem. Dzisiaj wychwalano by jego przedsiębiorczość, dzięki której sam do wszystkiego doszedł, a o jego życiu prywatnym rozpisywałyby się plotkarska prasa, jednak jako młody człowiek w dziewiętnastowiecznym Sankt Petersburgu wywołał skandal, uciekając, a co gorsza, żeniąc się z aktorką pięć lat od siebie starszą. Z satysfakcją przewidywano, że afekt przemienie, choć młodzian, niestety, trwale okryje się hańbą, ale Piotr Iwanowicz najpierw zbił fortunę na handlu z Anglikami, łamiąc Blokadę Kontynentalną, a teraz zbijał kolejną, zapraszając pruskich hutników do odlewni na całym Uralu. Jego małżeństwo z miłości przetrwało, a małżonków łączyła teraz jeszcze silniejsza więź. Ich dwaj synowie studiowali w Göteborgu. Przetłumaczyłam Wasylisie, że wuja Piotra koniecznie trzeba zaprosić do naszej chaty oraz na inspekcję jej szkółki, kiedy tylko wuj następnym razem przyjedzie do Permu w interesach.

Piotr Iwanowicz Czernienko zjawiał się u nas rankiem pewnego dnia jesienią. Zrobiłam wszystko, żeby go olśnić. O samej metalurgii rozmawiałam z nim przez godzinę. Wuj Piotr był bystrym człowiekiem, który przez pięćdziesiąt lat życia dużo już widział i słyszał, teraz oczarowała go jednak chłopska dziewczyna, która doskonale znała się na tak męskich dziedzinach, jak handel i hutnictwo. Wasylisa powiedziała, że chyba aniołowie musieli szeptać mi w ucho w czasie snu. Bo jak inaczej mogłabym tak szybko uczyć się niemieckiego i francuskiego? Albo wiedzieć, jak się nastawia złamaną kość? Albo w mgnieniu oka pojąć zasady algebry? Zarumieniłam się i wybąkałam coś o książkach, i że się uczyłam od lepszych i starszych ode mnie.

Tamtej nocy, kiedy leżałam w łóżku, usłyszałam jak wuj Piotr Iwanowicz mówi Dmitrijowi: „Wystarczy jeden kaprys łajdaka

Bierienowskiego, mój siostrzeńcu, a biedna dziewczyna będzie musiała do końca życia sadzić rzepę w zamrzniętym błocie i dzielić łożę z jakimś mężem-wieprzem. Coś trzeba zrobić! I to nasze zadanie!”. Następnego dnia wuj Piotr nas opuścił, wyjeżdżając w nieustającym deszczu – wiosną i jesienią Rosja zmienia się w jedno wielkie morze błota. Na pożegnanie powiedział do Dmitrija, że już zbyt długo gnijemy w tej zapadłej dziurze...

*

Zima 1816 roku była bezlitosna. Dmitrij pochował około piętnastu chłopów w zamrzniętej na kamień ziemi, rzekę Kamę skuł gruby lód, wilki się rozzuchwały, i nawet popi z rodzinami żyli o głodzie. Wiosna ociągała się z nadejściem aż do połowy kwietnia, a kibitka pocztowa z Permu podjęła regularne kursy do obwodu Oborino dopiero 3 maja. Dziennik Klary Marinus podaje właśnie tę datę jako dzień, w którym do chaty Koskowów doręczono dwa urzędowo wyglądające listy. Leżały nad kominkiem aż do powrotu Dmitrija. Batuszka dotarł do domu dopiero pod wieczór, bo kilka wiorst dalej udzielał ostatniego namaszczenia synowi drwała, który zmarł ostatecznie na zapalenie opłucnej. Po powrocie Dmitrij otworzył nożem do papieru pierwszy list, a na jego twarzy odmalowała się doniosłość słów, które przeczytał. Wydał policzki, powiedział: „To dotyczy ciebie, droga Klaro” i odczytał na głos: „Kirił Andriejewicz Bierienowskij, pan majątku rodu Bierienowskich w guberni Perm, nadaje chłopce Klarze, córce zmarłego chłopca Goty, pełną i bezwarunkową wolność po wsze czasy, jako poddanej cara”. Kiedy wspominam tę chwilę, zza rzeki dobiega wołanie kukulek, a słońce zalewa mały salonik Koskowów. Zapytałam Dmitrija i Wasylisę, czy rozważyliby przysposobienie mnie jako córki. Wasylisa mocno mnie

przytuliła i zalała się łzami, a Dmitrij zakasłał, przyjrzał się własnym palcom i powiedział: „Śmiem twierdzić, że owszem, Klaro”. Wiedzieliśmy, że tylko Piotr Iwanowicz mógł spowodować ów administracyjny cud, minęło jednak kilka miesięcy, zanim dowiedzieliśmy się, w jaki sposób. Wolność przyznano mi w zamian za uregulowanie przez wuja Piotra długu mojego pana u właściciela pewnego składu win.

W tym całym radosnym podnieceniu zapomnieliśmy o drugiej kopercie. Zawierała wezwanie ze Świątobliwego Synodu w Sankt Petersburgu, z żądaniem, by pop Dmitrij Koskow objął posadę kapłana w Cerkwi Zwiastowania Przenajświętszej Bogurodzicy na Primorskim Prospekcie w Sankt Petersburgu, najpóźniej 1 lipca bieżącego roku. Wasylisa zapytała, całkiem poważnie, czy to wszystko czasem nam się nie śni. Dmitrij wręczył jej list. Przez tę krótką chwilę, gdy go czytała, na naszych oczach Wasylisa odmłodziła o dziesięć lat. Dmitrij stwierdził, że nawet boi się myśleć, ile wuj Piotr musiał zapłacić za taką świetną posadę. Odpowiedzią było: musiał dostarczyć marmur sieneński do ulubionego monasteru patriarchy, znowu jednak nie usłyszeliśmy tego od samego Piotra Iwanowicza. Ludzkie okrucieństwo potrafi być bezwzględne. Ludzka hojność bywa bezgraniczna.

*

W europejskiej stolicy, światowej metropolii, nie mieszkałam od końca lat osiemdziesiątych XVIII wieku, zatem kiedy tylko wprowadziliśmy się do naszego nowego domu przy cerkwi Dmitrija w Sankt Petersburgu, syciłam się muzyką, teatrem i towarzyskimi konwersacjami, jak tylko trzynastoletnia chłopka dziewczyna, która odzyskała wolność, potrafiła. Spodziewałam się, że moje gminne

pochodzenie będzie przeszkodą w wyższych sferach, a tymczasem wręcz przeciwnie – umocniło mój status i stałam się wydarzeniem sezonu w złaknionych nowinek kręgach petersburskiej socjety. Nim się spostrzegłam, wiedzę „wszechstronnie uzdolnionej panny Koskowej z Permu” sprawdzano w wielu językach i w zakresie wielu dyscyplin nauki. Jak należało, zapewniłam, że „kwota mej wiedzy” to zasługa przybranej matki, wyjaśniając, że kiedy już nauczyła mnie czytać, mogłam do woli chłonać mądrość z Pisma Świętego, słowników, almanachów, broszur, stosownej poezji tudzież coraz wspanialszej literatury. Zwolennicy emancypacji przytaczali słowa Klary Koskowej na dowód, że chłopci pańszczyźniani różnili się od swoich właścicieli wyłącznie przypadkowym urodzeniem, natomiast sceptycy nazywali mnie gęsią tuczoną na *fois gras* i faszerowaną danymi, które po prostu bez zrozumienia zwracałam.

Pewnego dnia w październiku na Primorskijskij Prospekt zajechał powóz zaprzęgnięty w cztery siwe konie czystej krwi i stangret carycy Jelizawiecy dostarczył mojej rodzinie wezwanie do Pałacu Zimowego na audiencję u monarchini. Ani Dmitrij, ani Wasylisa nie zmrużyli oka w nocy, a ciąg pełnych przepychu komnat, przez które przechodziliśmy w długiej drodze do apartamentów carycy, budził w nich nabożny lęk. Moje metażycie uodporniło mnie na pompę i patos już wieki wcześniej. Z postaci carycy Jelizawiecy najlepiej zapamiętałam jej głos, który brzmiał jak klarnet basowy. Razem z przybranymi rodzicami usadzono mnie na długiej drewnianej ławce, Jelizawieca natomiast wolała fotel z wysokim oparciem. Najpierw mówiła do mnie po rosyjsku, pytając, jak żyłam jako chłopka, potem po francusku zadawała mi pytania, żeby poznać zasób mojej wiedzy w wielu różnorodnych dziedzinach. W jej ojczystym niemieckim stwierdziła, że ten ciąg spotkań musi mnie męczyć. Odparłam, że chociaż audiencja u carycy nie może być nużąca, to jednak nie będę

tęskniła za sławą, kiedy rozgłos wokół mnie już ucichnie. Jelizawieta odparła, że teraz wiem, jak się czuje każda monarchini. Miała najnowszy fortepian z Hamburga i zapytała, czy miałabym ochotę go wypróbować. Zagrałam więc japońską kołysankę, której nauczyłem się w Nagasaki, a melodia poruszyła Jelizawietę. Nie pamiętam à propos czego caryca zapytała, o jakim marzę mężu. „Nasza córka to jeszcze dziecko, Wasza Wysokość”, wydusił z siebie pierwsze słowa Dmitrij, „nie w głowie jej jeszcze zamążpójście”.

„Mnie wydano za mąż, kiedy miałam piętnaście lat”. Caryca zwróciła się do mnie, a Dmitrij znowu zapomniał języka w gębie.

Wyjaśniłam, że małżeństwo nie jest dziedziną, w którą chcę wkroczyć.

„Amor nigdy nie chybia celu”, odparła Jelizawieta. „Zobaczysz. Jeszcze zobaczysz”.

„Przez tysiąc lat, droga caryco”, odparowałam w myślach, „jego strzały jakoś mnie nie trafiały”. Na głos zgodziłam się, że bez wątpienia Jej Wysokość mówiła prawdę. Caryca dobrze wiedziała, że to wykrętna odpowiedź, i zasugerowała, że może wolę książki od mężów. Przyznałam, że tak, ponieważ książki raczej nie zmieniały swoich opowieści, kiedy tylko im pasowało. Dmitrij i Wasylisa poruszyli się niespokojnie w pożyczonych strojach. Monarchini, znużona dworskim życiem, które traktuje cudzołóstwo jako formę rozrywki, wbiła we mnie wzrok, patrząc jednak gdzieś dużo dalej. Złoto płomieni z kominka igrało ze złotem jej włosów. „Cóż za wiekowa mądrość”, oeniła, „płynąca z tak młodych ust”.

*

Nasza wizyta na carskim dworze wywołała nową falę plotek o tym, kto jest prawdziwym ojcem Klary Koskowej. Pogłoski te wprawiały w

zakłopotanie mego przybranego ojca, zatem w porę zakończyliśmy moją krótką karierę osobliwości salonów. Decyzja ta zbiegła się w czasie z powrotem wuja Piotra z półrocznego pobytu w Sztokholmie i rezydencja Czernienków przy ulicy Woroneżskiej stała się dla nas drugim domem. Żona Piotra, była aktorka Julia Grigoriewna, została naszą lojalną przyjaciółką i urzędowała kolacje, na których poznałam znacznie szerszy przekrój mieszkańców Petersburga niż wcześniej w salonach wyższych sfer. Bankowcy, chemicy i poeci ocierali się tam o dyrektorów teatrów, urzędników i kapitanów żeglugi morskiej. Nadal pożerałam książki i pisałam listy do wielu ich autorów, podpisując się „K. Koskow”, by ukryć swój wiek i płęć. W archiwach Horologii do dziś znajdują się listy zaadresowane: „K. Koskow” od doktora René Laënneca, wynalazcy Huphry’ego Davy’ego i od astronoma Giuseppe Piazziego. Kobiety nie miały jeszcze możliwości studiowania na uniwersytetach, jednak w miarę upływu lat wielu przedstawicieli petersburskiej inteligencji o liberalnych poglądach odwiedzało Czernienków, by z sawantką i intelektualistką dyskutować o aktualnym przedmiocie ich pracy. Z czasem dostałam nawet kilka propozycji małżeństwa, lecz ani Dmitrij, ani Wasylisa nie chcieli mnie tak szybko wypuścić spod swoich skrzydeł, a ja sama również nie pragnęłam stać się po raz drugi prawną własnością mężczyzny.

*

Nadeszły dwudzieste święta Bożego Narodzenia w życiu Klary, a jej dwunaste z Koskowami. Od Dmitrija Klara dostała podbijane kożuszką kozaczki, od Wasylisy nuty na fortepian, a od Czernienków sobolowe futro. W moim dzienniku można przeczytać, że 6 stycznia 1823 roku Dmitrij wygłosił kazanie o Hiobie i nieznanym wyrokach Opatrzności. Chór cerkwi Zwiastowania Przenajświętszej

Bogurodzicy dał zaledwie pośledni występ, z powodu bolących gardel i licznych przeziębień. Śnieg zalegał grubą warstwą w rynsztokach, mgła niczym dym zasnuwała uliczki, słońce było tylko wspomnieniem, sople lodu zwisały z okapów, z przemarzniętych końskich nozdrzy buchały miarowo kłęby białej pary, a po rzece Newie, stalowoszarej jak chmury gradowe, płynęły tafle kry wielkie jak statki.

Po obiedzie siedziałyśmy z Wasylisą w salonie. Ja pisałam po holendersku list do pewnego uczonego z Uniwersytetu w Lejdzie na temat osmozy w olbrzymich drzewach. Moja przybrana matka oceniała francuskie wypracowania swoich uczniów. Ogień lizał kłody w kominku. Galina, nasza gospodyni, zapalała lampy i cmokała z dezaprobatą, mrucząc pod nosem coś o moim wzroku, kiedy nagle usłyszeliśmy kołatanie do drzwi. Jasper, nasz piesek o wątpliwym rodowodzie, popędził korytarzem, ślizgając się na parkiecie i ujadając. Z Wasylisą popatrzyłyśmy na siebie, ale żadna z nas nie spodziewała się gości. Przez firankę zobaczyłyśmy nieznany nam powóz z zasłoniętym oknem. Galina przyniosła wizytówkę, którą w drzwiach wręczył jej portier. Ze zdziwieniem moja przybrana matka przeczytała na głos: „Pan Szilo Dawidow. »Szilo«? Dla mnie brzmi obco. A dla ciebie, Klaro?”. Adres Dawidowa jednakże wskazywał na szanowany Musorgskij Prospekt. „Może to jacyś znajomi wuja Piotra?”.

„Jak mi powiedziano, pani Dawidowa również jest w powozie” – dodała Galina.

Wasyliśa nagle zmieniła zdanie, co później nauczyłam się rozpoznawać jako efekt swazji, a wszelkie jej wątpliwości nagle się rozwiały. „To przecież zaprosz ich do środka, Galino! Co sobie o nas pomyślą? Biedaczka pewnie już tam zamarza!”.

„Proszę wybaczyć to niezapowiedziane najście” – zaczął donośnym głosem żwawy człowiek z okazałymi bokobrodami. Miał na sobie ciemne ubranie o cudzoziemskim kroju. „Szanowni państwo, to moja wina. List przedstawiający napisałem jeszcze przed nabożeństwem w cerkwi, ale potem naszego stajennego kopnął koń i musieliśmy zawezwać doktora. W tym całym zamieszaniu zapomniałem z kretesem dopilnować, by napisany przeze mnie list został w istocie państwu doręczony. Nazywam się Szilo Dawidow, do usług”. Z uśmiechem podał Galinie kapelusz. „Pochodzenia rosyjskiego ze strony ojca, rezyduję jednakże w Marsylii, o ile w ogóle można rzec, iż »rezyduję« gdziekolwiek. I jeśli wolno mi przedstawić”, już wtedy zauważyłam ledwo słyszalny chiński akcent w jego rosyjskiej mowie, „moją żonę, panią Claudette Dawidową, którą panna Koskowa może lepiej znać pod jej panięńskim nazwiskiem i pseudonimem pisarskim »C. Holokai«”.

Tego się nie spodziewałam. Kilkakrotnie wymieniałam korespondencję z pewnym uczonym o nazwisku „C. Holokai”, autorem filozoficznego traktatu o transmigracji duszy, ale nigdy mi się nawet nie śniło, że to kobieta. Śniada, dociekliwa twarz pani Dawidowej wskazywała na jej pochodzenie z Lewantu bądź z Persji. Pani Dawidowa była ubrana w szary strój i miała naszyjnik z czarnych i białych pereł. „Droga pani”, zwróciła się do Wasylisy, „dziękuję za gościnność okazaną dwojgu nieznanym w mroźny zimowy dzień”. Mówiła po rosyjsku wolniej niż jej mąż, wymawiała jednak słowa tak starannie, że wszyscy słuchali jej z uwagą. „Powinniśmy byli poczekać do jutra z wpraszaniem się do państwa w gości, lecz nazwisko »K. Koskow« ledwie godzinę temu ktoś wymienił w domu profesora Obela Andropowa i uznałam to za... za znak”.

„Profesor to nasz przyjaciel”, odparła moja przybrana matka.

„Światowej sławy znawca języków klasycznych”, dodałam.

„W rzeczy samej. Cóż, profesor Andropow objaśnił mi, że »K« oznacza »Klarę«. A potem, gdy już wracaliśmy do siebie, przypadkowo wyrzłam przez okno powozu i zobaczyłam cerkiew pani ojca. Jakiś wewnętrzny głos kazał mi sprawdzić, czy jest pani w domu, i obawiam się, że mu...”. Claudette Dawidowa zapytała męża po arabsku, jak po rosyjsku będzie „uległam”, a gdy Szilo Dawidow odpowiedział, dokończyła: „Uległam”.

„Ależ proszę, wejdźcie państwo”, odparła Wasylisa tajemniczym nieznanym, których najwyraźniej właśnie zaprosiła do swojego domu. „Proszę. Oboje państwo są tu mile widziani. Mój mąż wróci lada chwila. Bardzo proszę się rozgościć. Może to nie pałac, ale...”.

„W żadnym znanym mi pałacu nie było tak miło”. Szilo Dawidow rozglądał się po salonie. „Moja żona już od dnia, w którym postanowiłem odwiedzić Petersburg, bardzo cieszyła się, że być może dowie się, kto kryje się za podpisem »K. Koskow«”.

„W istocie”. Claudette Dawidowa wręczyła Galinie swoją mufkę z białego futerka, szepcząc podziękowania. „A sądząc z zaskoczony miny panny Koskowej, obie pisałyśmy do siebie listy, błędnie sądząc, że korespondujemy z mężczyzną – czy mam rację, panno Koskowa?”.

„Nie mogę zaprzeczyć słowom szanownej pani”, odparłam i wszyscy usiedliśmy.

„Czyż nie jest to jakaś teatralna, tonąca w oparach absurdu farsa?”.

„Zły i przewrotny to świat”, Szilo Dawidow westchnął, „w którym kobiety są zmuszone wypierać się własnej płci z obawy, że wszystko, co ma do zaoferowania ich intelekt, zostanie odrzucone”.

Zadumaliśmy się chwilę nad prawdziwością tych słów. „Klaro, moja droga”, odezwała się Wasylisa, przypominając sobie o obowiązkach gospodyni, „dorzuciłabyś, proszę, do ognia? A Galina niech przyniesie

naszym gościom poczęstunek”.

*

„Moje interesy to morze, szanowny panie”, odparł Szilo Dawidow. Dmitrij nieoczekiwaną kompanię polubił, a przed herbatą i ciastem panowie napili się brandy oraz wypalili cygara, których pudełko Szilo sprezentował mojemu przybranemu ojcu. „Przewóz, fracht, stocznie, szkutnictwo, ubezpieczenia morskie...”. Machnął ręką w nieokreślonym geście. „Do Petersburga przyjechałem na prośbę rosyjskiej admiralicji, lecz naturalnie muszę zachować dyskrecję w sprawie szczegółów. Będziemy tu jednakże zatrudnieni co najmniej przez rok. Oddano mi też w użytkowanie budynki rządowy przy Musorgskim Prospekcie. Zdaniem szanownej pani trudno będzie nająć służbę, która byłaby i sprawna, i uczciwa? W Marsylii, przykro mówić, takie połączenie cech zdarza się raz od wielkiego dzwonu”.

„Państwo Czernienkowie pomogą”, uspokoiła go Wasylisa. „Dla wuja Dmitrija, Piotra Iwanowicza, i jego żony zarządzenie bicia w wielki dzwon to doprawdy drobiazg. Mam rację, Dmitriju?”.

„Znając Piotra, jeszcze do tego przyślą państwu ten wielki dzwon opakowany Złotym Runem”. Dmitrij z zadowoleniem wypuścił kłąb dymu z cygara. „Jak zamierza pani spędzać czas na naszym mroźnym pustkowiu, droga pani?”.

„Podobnie jak mąż mam duszę odkrywcy”, odparła Claudette, jakby to była już cała odpowiedź. Z kominka strzelały skry. „Najpierw jednak zamierzam dokończyć pisanie komentarza do *Metamorfoz* Owidiusza. Miałam nawet pewną nieśmiałą nadzieję, że »K. Koskow« uczyni mi ten zaszczyt i rzuci okiem na moje zapiski, jeśli...”.

Odparłam, że to ja będę zaszczycona i że my, kobiety potajemnie parające się nauką, mamy wręcz obowiązek się wspierać. Następnie

zapytałam, czy do »C. Holokai« dotarł mój ostatni list, wysłany w sierpniu ubiegłego roku do rosyjskiego przedstawicielstwa w Marsylii.

„Oczywiście”, odparła Claudette Dawidowa. „Mój mąż, który, jak pani widzi, dzieli ze mną głębokie zamiłowanie do filozofii, był równie jak ja zafascynowany pani rozumieniem Zmierzchu”.

Wasyliśa zainteresowała się naszą rozmową. „Jakiego znowu zmierzchu, kochanie?”.

Nie chciałam kłamać moim przybranym rodzicom, nawet przez niedopowiedzenie prawdy, lecz atemporalność i wszechświat bez Boga, bez bogów, nie były zasadnym tematem rozmowy w naszym pobożnym domu. Gdy wymyślałam jakieś prozaiczne wytłumaczenie, spojrzałam na Szilo Dawidowa. Miał przymknięte oczy, a na jego czole jarzył się punkt, który z moich wskrzeszeń na wschodzie znałam jako oko czakry. Popatrzyłam na Claudette Dawidową. Jarzył się u niej ten sam punkt. Coś się działo. Spojrzałam na przybranych rodziców i zobaczyłam, że Wasyliśa i Dmitrij Koskowowie siedzieli nieruchomo jak woskowe figury. Wasyliśa twarz nadal miała skoncentrowaną, ale jej umysł jakby się wyłączył. Lub też – został wyłączony. W palcach Dmitrija dymiło cygareto, ale jego ciało pozostawało w całkowitym bezruchu.

Po tysiąc dwustu latach myślałam, że jestem już uodporniona na szok, myliłam się jednak. Czas się nie zatrzymał. Ogień nadal płonął. Ciągłe słyszałam, jak Galina kroi w kuchni warzywa. Instynktownie poszukałam pulsu na nadgarstku Wasyliśy i znalazłam, silny i miarowy. Podobnie było z Dmitrijem. Zwróciłam się do nich po imieniu. Nie słyszeli mnie. Byli nieobecni. Przyczyna tego mogła być tylko jedna, lub, co bardziej prawdopodobne, były dwie przyczyny.

Tymczasem Dawidowowie zachowywali się normalnie i wyraźnie czekali na moją odpowiedź. Zerwałam się na równe nogi, bezradna, ale rozjuszona w tej bezradności, chwyciłam pogrzebacz i zagroziłam

Dawidowom, czy też kimkolwiek byli, w słowach, które nie całkiem uchodziły dwudziestoletniej córce rosyjskiego księdza: „Jeżeli zrobiliście moim rodzicom choćby najmniejszą krzywdę, przysięgam...”.

„Dlaczego mielibyśmy robić krzywdę tym uczciwym ludziom?” – zdziwił się Szilo. „Poddaliśmy ich hiatusowi. I tyle”.

Teraz odezwała się Claudette Dawidowa: „Mieliśmy nadzieję na prywatną audiencję u pani, Klaro. Pani rodziców możemy w każdej chwili odhiatusować, o, tak”, pstryknęła palcami, „i nie będą nawet wiedzieli, że ich tu przez chwilę nie było”.

Nadal mając Dawidowów za zagrożenie, zapytałam, czy „hiatus” to jakieś zjawisko podobne do mesmeryzmu.

„Franz Mesmer to błahy fanfaron”, odparła Claudette Dawidowa. „My jesteśmy psychozoterykami. Psychozoterykami Głębokiego Strumienia”.

Widząc, że te słowa wprawiły mnie w jeszcze większą konfuzję, Szilo Dawidow zapytał: „Nigdy nie była pani świadkiem niczego podobnego, panno Koskowa?”.

„Nie, nigdy”, odparłam.

Dawidowowie spojrzeli po sobie zdziwieni. Zanim żar poparzył mojemu przybranemu ojcu palce, Szilo Dawidow wyjął cygaro z dłoni Dmitrija i oparł je na popielnicy. „Może niech pani opuści ten pogrzebacz. Nie pomoże pani zrozumieć istoty sprawy”.

Czując się niezręcznie, odłożyłam żeliwny pręt. Usłyszałam stuk końskich kopyt, ściąganie cugli i wołanie węglarza na Primorskim Prospekcie. W naszym salonie moje metażycie wkraczało właśnie w nową erę. Zapytałam gości: „Kim państwo są? Naprawdę”.

Szilo Dawidow odparł: „Nazywam się Xi Lo. »Szilo« jest temu najbliższe w europejskim brzmieniu. Moja szacowna koleżanka, która publicznie musi uchodzić za mą małżonkę, nazywa się Holokai. To

nasze prawdziwe imiona, które nosimy od pierwszego życia. Imiona naszych dusz, rzecz można. Na wstępie zapytam zatem panią, panno Klaro, jakie jest pani prawdziwe imię?”.

W sposób zupełnie nieprzystający damie wychyliłam duszkiem dobrą połowę brandy Dmitrija. Tyle czasu minęło już, odkąd schowałam głęboko marzenie, że któregoś dnia spotkam mnie podobnych, atemporalnych. Dlatego teraz, kiedy właśnie to się stało, byłam żałośnie, straszliwie żałośnie nieprzygotowana. „Marinus”, powiedziałam, choć za sprawą brandy, która paliła moje gardło, wydobył się ze mnie tylko chrapliwy pisk. „Nazywam się Marinus”.

„Bardzo nam miło. Proponuję zatem, żebyśmy mówili sobie wszyscy po imieniu”, odparła Holokai-w-Claudette Dawidowej.

„Marinus. Znam to imię”. Xi Lo-w-Szilo zmarszczył brwi. „Skąd?”.

„Na pewno bym pana... ciebie... pamiętała”, zapewniłam.

„Marinus”. Xi Lo pogładził się po bokobrodach. „Marinus z Tyru, ten kartograf? Coś cię z nim łączy? Nie. Cesarz Filip I Arab miał ojca, Juliusza Marinusa. Nie. Nie przychodzi mi nic więcej do głowy. Z twoich listów wywnioskowaliśmy, że jesteś powracającą, nie rezydentką”.

Przyznałam, że nie rozumiem pytania.

Oboje wydawali się nieporuszeni moją niewiedzą. Holokai-w-Claudette wyjaśniła: „Powracający umierają, idą do Zmierzchu i zostają wskrzeszeni czterdzieści dziewięć dni później. Rezydenci, jak Xi Lo, po prostu przenoszą się do nowego ciała, kiedy stare się wyczerpie”.

„Zatem tak”. Usiadłam z powrotem. „Chyba jestem powracającą”.

„Marinus”. Xi Lo bacznie mnie obserwował. „Czy jesteśmy pierwszymi atemporalnymi, jakich spotykasz?”.

Ściśnięte gardło zablokował teraz kamień. Kiwnęłam głową.

Holokai-w-Claudette pociągnęła cygaro swojego towarzysza. „Jeśli

tak, potrafisz znakomicie nad sobą panować. Kiedy Xi Lo przerwał moją izolację, przeżyłam szok tak wielki, że wpadłam w osłupienie na kilka godzin. Niektórzy twierdzą, że myślenie szwankuje u mnie do tej pory. Cóż. Przynosimy dobre nowiny. Albo i nie. Jest nas więcej”.

Nalałam sobie jeszcze brandy z karafki Dmitrija. Pomogła rozpuścić mój kamień. „Ilu was – nas – jest?”.

„Niezbyt liczna gromada”, odparł Xi Lo. „Siedmioro z nas afiliowało się przy Towarzystwie Horologicznym z siedzibą w Greenwich w Londynie. Dziewięcioro innych odrzuciło naszą inicjatywę, ponieważ woła trwać w izolacji. Jeśli jednak kiedykolwiek chcieliby do nas dołączyć, drzwi pozostają dla nich otwarte. Przez stulecia spotkaliśmy jedenaścioro – lub dwanaścioro, jeśli wliczyć pewnego osobnika ze Szwabii – »samozwańczych« atemporalnych. Uleczenie tych drapieżników z ich nawykowej agresji to nasze podstawowe zadanie – nasze, czyli Horologów – i właśnie tym się zajmujemy”.

Dopiero później miałam się dowiedzieć, z czym wiązała się ta tajemnicza terminologia.

„Proszę wybaczyć niedelikatne pytanie, Marinus”. Palce Holokai-w-Claudette bawiły się sznurem pereł. „Kiedy się urodziłaś?”.

„W sześćset czterdziestym roku naszej ery”, odpowiedziałam, nieco oszołomiona nowym uczuciem dzielenia się z innymi prawdą o mnie samej. „W moim pierwszym życiu byłem Sanmaryńczykiem. Synem sokolnika”.

Holokai chwyciła swój fotel, jakby w obawie, że sama wystrzeli do przodu z niewiarygodną prędkością.

„Jesteś dwa razy starsza ode mnie, Marinus! Nie znam swojej dokładnej daty ani miejsca urodzenia. Najpewniej na Tahiti, być może na Markizach. Pewnie bym się dowiedziała, kiedy przyszłam na świat, gdybym tam wróciła, ale nie chcę wracać. To była straszna śmierć. Moje drugie wcielenie było mahometańskim chłopcem,

niewolnikiem w domu żydowskiego złotnika, w Portugalii. Za mojego życia zmarł król João, co oznacza, że byłem tam w roku tysiąc czterysta trzydziestym trzecim. Natomiast Xi Lo...”.

Kłęby aromatycznego dymu z cygara unosiły się w powietrzu na różnych wysokościach.

„Pierwszy raz przyszedłem na świat pod koniec panowania dynastii Zhou”, odezwał się człowiek, którego nazywałam panem Dawidowem, „na łodzi w delcie Żółtej Rzeki. Mój ojciec był najemnikiem. Było to mniej więcej około trzechsetnego roku naszej ery. Pięćdziesiąt narodzin i śmierci temu. Widzę, że rozumiesz ten język bez problemu, czy tak?”.

Dopiero kiedy kiwnęłam głową, zdałam sobie sprawę, że Dawidow mówił po chińsku.

„Cztery razy żyłam w Chinach”. Powoli odkurzałam swój zakurzony mandaryński. „Moje ostatnie chińskie życie przypadło na środkowy okres dynastii Ming, w szesnastym wieku. Byłam wtedy kobietą w Kunming. Zielarką”.

„Twój mandaryński brzmi bardziej współcześnie”, zauważył Xi Lo.

„W moim ostatnim życiu mieszkałem w holenderskiej factorii w Nagasaki i miałem okazję używać go w rozmowach z chińskimi kupcami”.

Xi Lo kiwał głową, coraz szybciej, aż w końcu oznajmił po rosyjsku: „Na rany Boga! Marinus – ten doktor, na Dejimie. Zwalisty, rumiana twarz, białe włosy, Holender. Wybuchowy, wszystkowiedzący typ. Byłeś tam, kiedy HMS »Helios« ostrzelał Dejimę z dział, aż ze składów i domów zostało rumowisko!”.

Doświadczyłam uczucia podobnego do zawrotów głowy: „Ty też tam byłeś?”.

„Wszystkiemu się przyglądałem. Z okien pawilonu sędziego”.

„Ale... kim byłeś? Czy też, kto był twoim żywicielem?”.

„Miałem kilku żywicieli, choć żadnego Holendra, inaczej rozpoznałbym był w tobie atemporalnego i oszczędził Klarze Koskowej wielu trosk. Ponieważ wy, Holendrzy, utknęliście na Dejimie przez upadek Batawii, przekraczałem granicę Japonii w obie strony na pokładach chińskich dżonek handlowych. Moim żywicielem przez kilka tygodni był sędzia Shiroyama”.

„Odwiedziłem sędziego kilkakrotnie. Kiedy umarł, wokół jego śmierci wybuchł głośny skandal, który jednak potem ucichł. Ale co przywiodło cię do Nagasaki?”.

„To długa historia”, odparł Xi Lo, „związana z moim szacownym kolegą, Ōshimą, który w swoim pierwszym życiu był Japończykiem, oraz z nikczemnym opatem nazwiskiem Enomoto, który w Kyōga odkrył psychodekanter z czasów preszintoistycznych”.

„Enomoto bywał na Dejimie. W jego obecności zawsze przechodziły mnie ciarki po całym ciele”.

„Mądrości ciała nie da się przecenić. Dokonałem aktu swazji, by nakłonić Shiroyamę, by położył kres władaniu Enomoto. Użył trucizny. Niestety, jego samego również kosztowało to życie, taka jest jednak arytmetyka poświęcenia. Pewnego dnia nadejdzie też i moja kolej”.

Piesek Jasper skorzystał z okazji, że Wasylisa siedzi nieruchomo, i wskoczył jej na kolana, na co nigdy moja przybrana matka mu nie pozwalała.

Zapytałam: „Co to jest »swazja«? Czy to coś jak »hiatus«?”.

„I jedno, i drugie to akty psychozoteryki”, wyjaśniła Holokai-w-Claudette. „O ile akt hiatusu zatrzymuje w bezruchu, o tyle akt swazji zmusza do czegoś. Domyślam się, że jako osoba z nizin możesz poprawiać swój los”, wskazała skromny, lecz przytulny salonik Koskowów, „jedynie dzięki zdobywaniu opiekunów i życzliwości innych ludzi?”.

„Tak. I dzięki wiedzy, którą zgromadziłam przez wszystkie moje życia. Ciągnie mnie do medycyny. Dla moich żeńskich wcieleń to jedna z niewielu dróg w górę społecznej drabiny”.

Galina nadal kroїła w kuchni warzywa.

„Pozwól, Marinus, że zdradzimy ci kilka dróg na skróty”. Xi Lo nachylił się, bębniąc palcami o laskę. „Poznajmy wspólnie tajemną historię i odkryjmy całkiem nowy świat”.

*

– Widzę, że ktoś tu się zamyślił. – Unalaq opiera się o framugę drzwi, trzymając kubek z logo Metalliki, heavymetalowej grupy, która rzuca wyzwanie śmierci. – Patrzysz na mój kubek? Prezent od młodszego brata Inez. Mam dwie nowe informacje: L’Ohkna opłacił hotel Holly na kolejne siedem dni, a Holly zaczęła się powoli budzić, więc zhiatusowałam ją, aż będziesz gotowa.

– Siedem dni. – Kładę filcową osłonę na klawiaturę fortepianu. – Zastanawiam się, gdzie za siedem dni będziemy. Do pracy zatem, zanim znowu porwą mi Holly sprzed nosa.

– Ōshima ostrzegwał, że będziesz się o to oskarżać.

– On jeszcze nie wstał, prawda? Wczoraj w ogóle nie kładł się spać, a dziś od rana grał superbohatera.

– Przespał się godzinę, wstał i nosi go, jakby wciągnął kreskę. Wyjada łyżkami nutellę ze słoika. Nie mogę na to patrzeć.

– Gdzie Inez? Nie powinna wychodzić z mieszkania.

– Pomaga Toby’emu, właścicielowi księgarni. Nasza osłona księgarnię też obejmuje, ale ostrzegłam ją, żeby nie wychodziła nigdzie dalej. Nie wyjdzie.

– Co ona musi sobie myśleć o tym całym obłędzie?

– Inez dorastała w Oakland, w Kalifornii, i tam nauczyła się życia.

Chodź, idziemy szukać Esther.

Schodzę więc za nią na dół do pokoju gościnnego, gdzie na kanapie leży zhiatusowana Holly. Budzić ją byłoby niemal okrucieństwem. W progu biblioteki staje Ōshima.

– Ładnie brzdąkałaś, Marinus. – Udaje grę na pianinie.

– Kapelusze na drobne puszcze w obieg później. – Siadam przy Holly i biorę ją za rękę, przyciskając środkowy palec do czakry na jej dłoni.

Pytam towarzyszy:

– Wszyscy gotowi?

*

Holly nagle siada wyprostowana, jakby w jej tułowiu ktoś zwolnił sprężynę. Z trudem usiłuje ogarnąć myślami pamięć niedawną – morderczych policjantów, mój akt hiatusu, Ōshimę, Unalęq i mnie, w tym obcym pokoju. Uświadamia sobie, że wbija paznokcie w mój nadgarstek.

– Przepraszam.

– Nic się nie stało. Jak głowa, pani Sykes?

– Mam straszny mętlik. Czy chociaż część z tego działa się naprawdę?

– Obawiam się, że wszystko działa się naprawdę. Nasi wrogowie panią porwali. Przykro mi.

Holly nie bardzo wie, jak się do tego odnieść.

– Gdzie ja jestem?

– Przy Zachodniej Dziesiątej sto pięćdziesiąt cztery – odpowiada Unalęq. – W moim mieszkaniu. Moim i mojej partnerki. Nazywam się Unalęq Swinton. Jest druga po południu, nadal tego samego dnia. Pomyśleliśmy, że lepiej będzie, jeśli się pani trochę prześpi.

– A. – Holly przygląda się nowej postaci. – Miło mi poznać.

Unalaq popija kawę.

– Mnie również bardzo miło. Może ma pani ochotę na trochę kofeiny? Albo na jakiś inny łagodny stymulant?

– Czy jest pani jak... Marinus i ten drugi pan, który...?

– Arkád? Tak, chociaż jestem młodsza. To dopiero moje siódme życie.

Słowa Unalaq przypominają Holly, w jakim świecie nagle się znalazła.

– Marinus, ci policjanci... Myślę, że chcieli mnie zabić.

– Płatni zabójcy – wyjaśnia Ōshima. – Prawdziwi ludzie z krwi i kości, którzy zawodowo nie korygują zgryzu, nie sprzedają nieruchomości ani nie uczą matematyki, tylko zabijają. Sprawilem, że się pozabijali nawzajem, zanim zastrzelili panią.

Holly przetyka ślinę.

– Kim pan jest? Jeśli to nie jest niedelikatne pytanie...

Ōshima wydaje się lekko rozbawiony.

– Nazywam się Ōshima. Tak, też jestem Horologiem. Mam przyjemność żyć po raz jedenasty, jeśli już liczymy.

– Ale... pana nie było w radiowozie... Był pan?

– Duchem, nie ciałem. Dla pani byłem Przyjaznym Duchem Ōshimą. Dla pani porywaczy byłem Ōshimą Mściwym Rambo. Nie przeczę, miłe uczucie. – Odgłosy miasta dobiegają stłumione firanką mżawki. – Muszę przyznać, że długo prowadziliśmy zimną wojnę, ale właśnie temperatura wydarzeń mocno się podniosła..

– Dziękuję panu – mówi Holly – jeśli to wł... – Nagle przez jej głowę przelatuje błyskawicą inna myśl, ostra jak drut kolczasty: – Aoife! Marinus, ci policjanci... mówili, że Aoife miała wypadek!

Kręcę głową.

– Kłamali. Żeby zwabić panią do radiowozu.

– Ale oni wiedzą, że mam córkę! A jeśli zrobili jej krzywdę?

– Spokojnie, spokojnie. Niech pani popatrzy. – Unalaq podaje jej swój tab. – To blog Aoife. Dzisiaj znalazła trzy fragmenty fenickiej amfory i jakieś kości kota. Wpis sprzed czterdziestu pięciu minut, z szesnastej siedemnaście greckiego czasu. Nic jej nie jest. Może pani wysłać jej wiadomość, ale niech pani pod żadnym pozorem – pod żadnym – nie wspomina o niczym, co się dzisiaj stało. Inaczej pani ją w to wplącze.

Holly czyta wpis córki i jej panika trochę słabnie.

– Ale to, że na razie nie zrobili jej krzywdy, nie oznacza...

– W tym tygodniu uwaga Anachoretów skupia się na Manhattanie – przerywa jej Ōshima. – Ale na wszelki wypadek pani córka ma ochroniarza. Roho też jest jednym z nas. – I to tym, którego Druga Misja być może oszczędzi, subprzypomina mi Ōshima.

Holly znowu jest w rozterce. Odruchowo szarpie za kilka luźnych pasemek włosów wystających spod zawoju.

– Aoife jest na wykopaliskach, na wyspie, daleko w Grecji. W jaki sposób... to znaczy, dlaczego... Nie. – Holly zaczyna szukać butów. – Po prostu chcę już wracać do kraju.

Delikatnie uświadamiam jej brutalną prawdę:

– Dotrze pani do hotelu Empire, ale już pani stamtąd nie wyjdzie. Przykro mi.

– A nawet jeśli jakoś uda się pani prześlizgnąć – Ōshima jest bardziej bezpośredni – następnym razem, kiedy użyje pani karty do bankomatu, urządzenia, tabu, jakiś Anachoreta znajdzie panią w kilka minut. Nawet jeśli nie będzie pani używać żadnych urządzeń, to, o ile nie będzie pani schowana za osłoną Głębokiego Strumienia, będą mogli dostać się do pani przez totem kwantowy.

– Ale ja mieszkam na zachodzie Irlandii! Tam nie ma gangsterów.

– Nawet na międzynarodowej stacji kosmicznej nie byłaby pani bezpieczna – odpowiada Ōshima. – A Anachoreci Kaplicy Zmierzchu

należą do wyższego porządku i są groźniejsi niż gangsterzy.

Holly patrzy na mnie.

– Czyli co mam robić, żeby nic mi nie groziło? Mam tu zostać już na zawsze?

– Myślę – mówię jej – że będzie pani bezpieczna dopiero, kiedy wygramy Wojnę.

– Jeżeli jej nie wygramy – dodaje Unalaq – będzie to oznaczało koniec dla każdego z nas.

Holly Sykes zamyka oczy, dając nam ostatnią szansę, byśmy zniknęli, a ona powróci wtedy do normalnego życia, jakie wiodła, zanim na cmentarzu w Blithewood podeszła do niej pulchnawa czarnoskóra lekarka z Kanady.

Dziesięć sekund później nadal tu jesteśmy.

Holly wzdycha i prosi Unalaq:

– Herbatę. Z odrobiną mleka, bez cukru.

*

– „Horologia”? – powtarza Holly w kuchni Unalaq. – Czy to nie coś o zegarach?

– Kiedy Xi Lo założył nasze Towarzystwo Horologiczne – odpowiadam – słowo to oznaczało naukę o pomiarze czasu. Można powiedzieć, że była to swojego rodzaju grupa samopomocy. Nasz założyciel w latach sześćdziesiątych siedemnastego wieku był chirurgiem, prowadził praktykę w Londynie – tak à propos, pojawia się w dziennikach Pepysa – i nabył dom w Greenwich, który miał służyć nam jako siedziba, skład i tablica ogłoszeń. W ten sposób mogliśmy zachować kontakt ze sobą nawzajem, kiedy z upływem czasu zmienialiśmy wcielenia.

– W tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku – wyjaśnia

dalej Unalaq – przenieśliśmy się do sto dziewiętnaście A, gdzie była pani dziś rano. Zmusiło nas do tego zagrożenie ze strony Niemiec.

– Czyli Horologia jest waszym – atemporalnych – klubem towarzyskim?

– Owszem – potwierdza Unalaq – ale Horologia pełni też funkcję leczniczą.

– Zabijamy drapieżnych atemporalnych – oświadcza Ōshima – czyli Anachoretów, którzy żywią się psychowoltaicznymi duszami niewinnych ludzi, by podtrzymać własną nieśmiertelność. Myślałem, że Marinus już wcześniej to pani wyjaśniła.

– Zawsze dajemy im szanse poprawy – dodaje Unalaq.

– Ale nigdy z niej nie korzystają – Ōshima wzdycha – więc musimy ich poprawiać za nich samych, trwale.

– To seryjni mordercy – wyjaśniam Holly. – Mordują dzieci, w wieku Jacko i nastolatków. Pani była wtedy też w odpowiednim wieku. A potem mordują kolejną ofiarę i następną, i tak dalej. Nie przestają. Drapieżnicy są uzależnieni od długowieczności jak od narkotyku.

– I Hugo Lamb jest jednym z tych seryjnych morderców? – pyta Holly.

– Tak. Pozyskał ofiary już jedenaście razy od czasu... Szwajcarii.

Holly kręci pierścionkiem na palcu.

– A Jacko był jednym z was?

– Xi Lo założył Horologię – odpowiada Ōshima. – Xi Lo otworzył przede mną Głęboki Strumień. Psychozoterykę. Był niezastąpiony.

Holly myśli o małym chłopcu, z którym spędziła zaledwie osiem świąt Bożego Narodzenia.

– Ilu was istnieje?

– Na pewno siedmioro. Być może ośmioro. Mamy nadzieję, że dziewięcioro.

Holly marszczy brwi.

– Czyli to wojna na dość małą skalę?

Myszę o żonie Oscara Gomeza.

– Czy zniknięcie Jacko było wydarzeniem „na małą skalę” dla rodziny Sykesów? Ośmioro to bardzo niewielu, ale kiedy panią uodpornialiśmy, było nas zaledwie dziesięciu. Budujemy sieci. Mamy sojuszników i przyjaciół.

– A ilu jest drapieżników?

– Nie wiemy – odpowiada Unalaq. – Setki, na całym świecie.

– Zawsze jednak, kiedy któregoś znajdujemy... jest o jednego mniej.

– Mimo wszystko Anachoreci nadal istnieją – mówię. – Anachoreci to nasi odwieczni wrogowie. Czy możemy zapobiec każdemu duszobójstwu dokonywanemu przez Anachoretów? Nie. Ale, kogo ocalimy, ten żyje, a każdy ocalony jest zwycięstwem.

Gołębie gruchają i przytulają się do siebie na parapetach domu Unalaq.

– Powiedzmy, że wam wierzę – mówi Holly. – Ale dlaczego ja? Dlaczego ci „Anachoreci” chcą – Boże, nie wierzę, że to mówię – chcą mnie zabić? I kim niby jestem dla was? – Holly wiezie wzrokiem wokół stołu. – Dlaczego miałabym mieć jakiegokolwiek znaczenie w waszej Wojnie?

Ōshima i Unalaq patrzą na mnie.

– Ponieważ czterdzieści jeden lat temu odpowiedziała pani „Tak” kobiecie nazwiskiem Esther Little, która łowiła ryby na rozchwianym pomoście nad Tamizą.

Holly patrzy na mnie długą chwilę.

– Skąd o tym wiecie?

– Esther powiedziała mi o tym spotkaniu. Tamtego wieczoru, w osiemdziesiątym czwartym roku.

– Była pani w Gravesend? Tamtego dnia, w sobotę, kiedy zniknął Jacko?

– Moja dusza była w czasie Jacko, kiedy Jacko leżał w łóżku w Kapitanie Marlow. Dusza Esther Little też tam była, podobnie jak dusza Holokai, naszej koleżanki. Razem z duszą Xi Lo byliśmy jak czterej Grecy ukryci w brzuchu konia trojańskiego. Miss Constantin zjawiała się w pokoju przez Szczelinę i poprowadziła Jacko Kamienną Drogą do Kaplicy Zmierzchu.

– Do miejsca, które zbudował Katar Ślepiec? – pyta Holly bezbarwnym głosem.

– Do miejsca, które zbudował Katar Ślepiec. – Dobrze, czyli słuchała. – Jacko był naszą przynętą. Uodporniając panią, mocno dopiekleśmy Constantin, więc szliśmy o zakład, że będzie chciała oddać cios i pozyska braciszka uratowanej siostry. Ta część planu zadziałała i po raz pierwszy Horologowie zdobyli dostęp do najstarszego, najbardziej zachłannego, najlepiej strzeżonego psychodekantera, jaki istnieje. Zanim zdołaliśmy opracować plan zniszczenia Kaplicy, obudził się Katar Ślepiec. Wezwał wszystkich Anachoretów i... cóż, trudno opisać psychozoteryczną bitwę w bliskim kontakcie...

– Proszę sobie wyobrazić wyrzutnie piłek do tenisa, tylko załadowane granatami ręcznymi – sugeruje Ōshima – zamknięte w kontenerze transportowym na statku na pełnym morzu, gdy wieje dziesięć w skali Beauforta.

– To był najstraszliwszy dzień w historii Horologii – mówię.

– Zabiliśmy pięcioro Anachoretów – ciągnie Ōshima – ale oni zabili Xi Lo i Holokai. Zabili na zawsze.

– A Xi Lo i Holokai nie mogli po prostu się... wskrzesić? – pyta Holly.

– Jeśli umieramy w Zmierzchu – wyjaśniam – umieramy na zawsze. Takie zasady. W jakiś sposób Zmierzch nie pozwala na wskrzeszenie. Ja przeżyłem, bo Esther Little odpierała ataki, wycofując się Kamienną Drogą z moją duszą oplecioną jej własną. Sam zginąłbym,

ale nawet pod opieką Esther odniosłem poważne rany, podobnie jak ona. Esther otworzyła Szczelinę bardzo niedaleko pani, w ogrodzie pewnej willi w sąsiedztwie Isle of Sheppey.

– Domyślam się, że nie było to przypadkowe miejsce? – pyta Holly.

– Nie było. Ale kiedy moja dusza i dusza Esther splatały się z powrotem, na scenę wkroczył Trzeci Anachoreta, niejaki Joseph Rhîmes. Dotarł tam po naszych tropach. Zabił Heidi Cross i Iana Fairweathera dla samej zabawy, i miał zamiar zabić również panią, ale wtedy ja splotłem się na tyle, by ożywić Fairweathera. Rhîmes skinytował jednak broń prosto w moją głowę i umarłem. Czterdzieści dziewięć dni później zostałam wskrzeszona w tym ciele, w karetce pogotowia z zepsutym silnikiem, w jednej z gorszych dzielnic Detroit. Przez długi czas zakładałam, że Rhîmes zabił panią w willi i że dusza Esther odniosła zbyt wiele obrażeń, by się spleść. Ale kiedy nawiązałam kontakt ze sto dziewiętnąście A, Arkád – w swoim poprzednim wcieleniu, nie w tym, które pani poznała – powiedział mi, że pani jednak nie umarła. Że to ciało Jamesa Rhîmesa znaleziono na miejscu zbrodni.

– Tylko psychozoteryk mógł zabić Josepha Rhîmesa – wyjaśnia Ōshima. – Rhîmes podążał Drogą Cienia przez sto siedemdziesiąt lat.

Holly rozumie.

– Czyli myślicie, że to Esther Little go zabiła?

– To najmniej nieprawdopodobne wytłumaczenie – potwierdza Unalaq.

– Ale Esther Little była... miłą starszą panią, która mnie poczęstowała herbatą.

– Tak – prycha Ōshima – a ja jestem miłym staruszkiem, który jeździ cały dzień po mieście z biletem seniora.

– Dlaczego nic z tego nie pamiętam? – pyta Holly. – I gdzie podziała się Esther Little po zabiciu tego Rhîmesa?

– Pierwsze pytanie jest prostsze – odpowiada Unalaq. – Każdy psychozoteryk potrafi redagować pamięć. Precyzyjna redakcja wymaga pewnych umiejętności, ale Esther miała je przecież w małym palcu. Mogła zredagować pani pamięć, kiedy akurat ingresowała, czyli wchodziła.

Holly bezwiednie chwyta za krawędź stołu.

– Wchodziła dokąd?

– Do pani paralaksy pamięci – odpowiadam. – Do schronienia, którego jej pani udzieliła. Dusza Esther odniosła wiele ran w bitwie w Kaplicy Zmierzchu, potem poparzyły ją płomienie, kiedy walczyła podczas wycofywania się Kamienną Drogą, a do tego zabójstwo Josepha Rhîmesa wyczerpało ją do ostatniego psychowolta.

– Jej dusza potrzebowałaby całych lat, żeby się z powrotem spleść – mówi Unalaq. – A przez ten długi czas Esther byłaby zupełnie bezbronna wobec ataków, jak ktoś w stanie śpiączki.

– Chyba wydaje mi się... że rozumiem. – Krzesło Holly skrzypi. – Esther Little „ingresowała” we mnie, zabrała mnie z miejsca zbrodni i wymazała mi z pamięci wszystko, co się stało... Dobrze. Ale co się z nią stało, kiedy już... doszła do siebie?

Ōshima, Unalaq i ja wbijamy wzrok w głowę Holly.

Holly marszczy brwi, a potem nagle rozumie nasze spojrzenie.

– No chyba żartujecie.

*

O siódmej wieczorem zmierzch spowija strych w fiolety, szarości i czernie. Mała lampka zapalona na fortepianie tworzy w tym mroku plamę żółtą jak żonkil. Cztery piętra poniżej widzę, jak kierownik księgarni mówi dobranoc jednemu z pracowników. Potem odchodzi, ujmując pod ramię drobną kobietę. Oboje stanowią staroświecki

widok na Zachodniej Dziesiątej, pod latarniami solarnymi z aureolami mgły. Zaciągam zasłony i zasłaniam przed wzrokiem kuloodporną szybę pokrytą smugami deszczowych kropel. Razem z Ōshimą i Unalą całe popołudnie opowiadaliśmy Holly o Horologii, o naszej Wojnie z Anachoretami i jedliśmy usmażone przez Inez racuchy. Wychodząc stąd gdziekolwiek, niepotrzebnie narażalibyśmy się na ryzyko, biorąc pod uwagę tragedię, jaka prawie wydarzyła się dziś rano. 119A również będziemy unikać aż do piątku, kiedy spotykamy się tam z D'Arnoqiem. O bezpieczeństwo domu Unalą zadba Arkád i osłona Głębokiego Strumienia. W wieczornych wiadomościach lokalnych główną informacją był „falszywy policjant w strzelaninie na Piątej Alei”, a reporterzy podejrzewali, że zabici należeli do szajki obrabiającej banki, jednak prawdopodobnie tuż przed skokiem wśród gangsterów wybuchła tragiczna w skutkach kłótnia. Natomiast telewizje ogólnokrajowe nie informowały o tym wcale, zajęte wczorajszą masakrą z użyciem broni palnej w Beck Creek w Teksasie, ponownym impasem w sporze Japonii z Chinami o wyspy Senkaku/Diaoyu oraz piątym rozwodem Justina Biebera. Anachoreci będą wiedzieli, że Brzycki zginął w wyniku interwencji psychoterapeutycznej, ale w jaki sposób wpłynie to na ich strategię wobec Drugiej Misji, nie mam pojęcia. Nasz dezerterski Elijah D'Arnoq nie odzywa się. Na trzeszczących schodach słyszę kroki Unalą i Holly, a po chwili obie pojawiają się w drzwiach.

– U pani jest podobno kozetka psychiatry – mówi Holly.

– Doktor Marinus zaprasza do gabinetu – odpowiadam. – Raz jeszcze. Gotowa?

Holly zdejmuje kapcie i kładzie się.

– Mam tu ponad pół wieku wspomnień, okej?

Zawijam rękawy bluzy.

– To skończona nieskończoność.

– Skąd pani wie, gdzie szukać Esther Little?
– Dostałam od niej wskazówkę, przekazała mi ją taksówkarka z Poughkeepsie – odpowiadam.

Unalaq podkłada poduszkę pod głowę Holly.

– Niech się pani odpręży.

– Marinus? – Holly się wzdyga. – Zobaczysz pani wszystko, co kiedykolwiek zrobiłam?

– Tak działa skanowanie. Ale proszę pamiętać, że jestem psychiatrą od siódmego wieku naszej ery. Naprawdę widziałam już prawie wszystko.

Holly nie jest pewna co ma zrobić z rękami.

– Czy będę przytomna?

– Mogę panią zhiatusować, jeśli pani woli.

– Hmm... Nie ma potrzeby... Tak... Nie wiem. Niech pani zdecyduje.

– Nie ma problemu. Niech mi pani opowie o swoim domu pod Bantry.

– Dobrze. Dooneen Cottage był kiedyś domem mojej ciotecznej babci Eilish. Leży na półwyspie Sheep's Head, na takim paluchu wystającym w Atlantyk. Ogród kończy się skarpą, w której na dole jest grotka, ścieżka schodzi na przystań i...

*

Kiedy ingresuję, jednocześnie wywołuję w niej hiatus. Tak wydaje się bardziej po ludzku. W pamięci niedawnej Holly dominują dzisiejsze przedziwne wydarzenia, ale i starsze falują i wydymają się wokół mojej przelatującej duszy, jak prześcieradła na sznurze w wietrzny dzień. Tutaj, dzisiaj wcześniej rano, Holly łapie taksówkę z hotelu Empire. Tutaj spotyka się ze mną w Santorini Café. I w

Blithewood. Ląduje w Bostonie w zeszłym tygodniu. Cofam się głębiej, do pamięci zaprzeszłej. Holly maluje w swojej kawalerce, rozsypuje glony na poletku ziemniaków, ogląda telewizję z Aoife i jej chłopakiem. Koty. Złe wróżby. Kable rozruchowe do akumulatora. Siekanie bakalii na Boże Narodzenie. Pogrzeb Kath Sykes w Broadstairs. Głębiej, szybciej, jak przewijanie DVD starego typu, jedna ramka na osiem, na szesnaście, na trzydzieści dwie, na sześćdziesiąt cztery... Za szybko. Zwolnij. Teraz za wolno. To jak szukanie kolczyka upuszczonego gdzieś w Wyoming, muszę być bardzo uważna. Tutaj widzę bardzo wyraźne wspomnienie doktora Toma Ballantyne'a: „Posłałem trzy próbki do trzech różnych laboratoriów. Co prawda, w sprawie remisji trudno cokolwiek rokować, ale na razie jest pani zdrowa. To wszystko jest dla mnie niezrozumiałe, jednakże – gratulacje”. Głębiej, dalej. Wspomnienia spotkań Holly z Crispinem Hersheyem w Reykjavíku, w Szanghaju, na Rottneśt Island. Oni się kochali, widzę to wyraźnie, ale oboje tylko się tego domyślali. Pierwsze autorskie tournée Holly po Stanach, z *Ludźmi z radia*. Biuro Holly w ośrodku dla bezdomnych. Jej walijska przyjaciółka i koleżanka z pracy, Gwyn. Twarz Aoife, kiedy Holly mówi jej, że Ed zginął w ostrzale rakietowym. Głos Olive Sun przez telefon, godzinę wcześniej. Szczęśliwsze dni. Na przedstawieniu *Czarnoksiężnika z krainy Oz*, w którym występuje Aoife, a Holly w ciemności trzyma Eda za rękę. Wykłady z psychologii na Otwartym Uniwersytecie. Patrz, tu mignął Hugo Lamb... Stop. Ich wspólna noc w pokoju w szwajcarskim kurorcie, co w ogóle nie powinno mnie interesować, ale proszę, jaka tłumiona, zdumiona radość lśni w oczach tego chłopaka. On też ją kochał. Do jego drzwi zapukali jednak Anachoreci. Nieszczęsny przypadek czy pisany mu los? Pisany przez Skrypt, przez Kontrskrypt? Nie ma na to czasu. Dalej, dalej, głębiej. Winnica we Francji. Szaroniebieskie morze – czy to tu będzie „Gwiazda Rygi”? Nie ma

śladu takiego frachtowca. Za daleko czy jeszcze za blisko? Patrz uważnie. Musisz czuć bryzę i słyszeć szum silników. Nie ma czasu. Żadnych odgłosów. Pasażerowie zatrzymują się, zmieniają się w fotografie samych siebie. Mewy, chwiejne łapanie równowagi i bezlitosny wiatr. Jakiś rekrut wyrzuca papierosa, niedopałek leży, unoszą się z niego smużki dymu, rozchodzi się zapach tytoniu... To, kiedy Holly pierwszy raz przepływała przez kanał La Manche, jeszcze zanim wybudowano tunel. I jeszcze dalej, o rok, dwa czy trzy. Lukrowe „17” na torcie urodzinowym... Jeszcze dalej. Klinika aborcyjna w cieniu stadionu Wembley, na zewnątrz czeka młody człowiek na motorze marki Norton. Teraz powoli... Równia pochyła szarych miesięcy, po zniknięciu Jacko. Zbieranie truskawek...

I patrz – patrz! Dziury w pamięci, zredagowane sceny. Dobre dwie godziny. Fachowa robota. To muszą być morderstwa w willi. Przed dziurami znajduję sceny ze stacji benzynowej i na moście. Rochester? W dole są jakieś statki, ale ciągle jesteśmy dzień po „Gwieździe Rygi”, nie w dniu „Gwiazdy Rygi”. Kościelne dzwony. Cofam się przez noc spędzoną w kościele z nastoletnim Edem Brubeckiem. Skrypt uwielbia zapowiedzi i znaki. Dalej, do dnia Pierwszej Misji. Holly z tyłu na rowerze Eda, ryba z frytkami nad morzem, znowu jazda na rowerze. Przepocony podkoszulek Eda przyklejony do jego pleców. Mijamy parę wędkarzy, ale obaj wyglądają na facetów i żaden nie ma na głowie słynnego kapelusza Esther. Esther łowiła ryby samotnie. „Łowienie ryb jest jak modlitwa”, zwykła mawiać. „Nawet w towarzystwie, człowiek jest sam”. Teraz zwolnij. Holly patrzy na zegarek o 16:20, 15:49 i znowu o 15:17, zanim zjawił się Ed. Plecak ociera jej skórę. Chce się jej pić, jest zmęczona i w nerwach. Patrzy na zegarek o 14:58. Cofnęłam się za daleko. „Piętnasta w dniu...” – każe mi znacznik. Cofam się i przewijam wspomnienia w tył cał po calu, powoli, do Tamizy po mojej lewej i... Och.

„Odnalazłam cię”.

*

Daleko pośrodku Tamizy widzę statek towarowy, w połowie drogi między Kentem i Essex, a nazwa na długiej na ćwierć mili burcie głosi: „Gwiazda Rygi”. Esther Little zobaczyła ten statek „teraz”, dokładnie o piętnastej 30 czerwca 1984 roku. Widziałem ten statek wcześniej w dokach Tilbury, kiedy czekałem w wynajętym mieszkaniu, w ciele Yu Leona Marinusa, zanim trawersowałem przez Tamizę do Kapitana Marlowa, żeby ingresować w głowę Jacko. Esther rzuciła subwzmiankę o tym frachtowcu, kiedy wszyscy czekaliśmy na Constantin. Holokai subwspomniała wtedy, że mieszkała w Rydze przez kilka miesięcy jako Claudette Dawidowa.

Na końcu pomostu widzę Esther, tak jak Holly widziała ją tamtego upalnego, spragnionego deszczu dnia. Trawersuję w dół skarpy, do brzegu, wzdłuż desek pomostu. Jak jakiemuś dżinowi z lampy Aladyna, brakuje mi stóp, ale ścieżką dźwiękową do mojego ruchu są kroki Holly z jej własnych wspomnień. Patrz. Krótco przystrzyżone siwe włosy Esther, pomięta koszula safari i skórzany kapelusz z opadającym rondem.

Submówię: *Esther? Tu Marinus.*

Esther jednak nie reaguje w żaden sposób.

Moja stara przyjaciółka migocze jak gasnący hologram.

Czy się pomyliłam? Czy to tylko wspomnienie Holly o Esther?

Wtedy jej oko czakry rozjarza się, słabiutko. Holly nie mogła tego widzieć. Subzwracam się do niej: *Moombaki z ludu Noongar.*

Nic. Esther rozplywa się jak cień, kiedy zachodzi słońce.

Jej oko czakry migocze, otwiera się, zamyka, otwiera, zamyka. Usiłuję dokonać ingresu, ale zamiast wyraźnego, spójnego

wspomnienia, jak w paralaksie Holly, znajduję tylko mgławicę chwil. Krople rosy na pajęczynie rozwieszona na złocistym kwiecie akacji; martwy noworodek, muchy piją z jego oczu; drzewa eukaliptusowe, które trzeszczą, gdy ogarniają je płomienie, i papugi skrzeczące z przerażeniem przez dym; koryto rzeki, w którym roi się od nagich grzbietów ludzi z sitami do wyplukiwania złota; drgające gardziółko dzierzby; długi rząd ludzi z plemienia Noongar, zakutych w łańcuchy, taszczących bloki kamienia; i nagle jestem na zewnątrz, po drugiej stronie głowy Esther. Jej umysł przestał istnieć. Rozbito go. Zostały tylko te skorupy wspomnień.

Hologram krystalizuje się i przemawia: „Zimna herbata może być?”.

Falszywa nadzieja boli jak złamane żebro. Subpowtarzam: *Esther, tu Marinus*.

„Pięć okoni. Jednego pstrąga. Słabo dziś biorą”.

To zarejestrowane słowa, wypowiedane przez Esther Little we wspomnieniach Holly, nie przez duszę Esther tu i teraz.

Esther, subpróbuję, utknęłaś we wspomnieniu w umyśle Holly Sykes.

Na rondzie jej kapelusza przysiada pszczoła. „Dobrze, że nie jesteś wybredna”.

Esther, szukałaś tu schronienia, ale zapomniałaś, kim jesteś.

„Mogę potrzebować domu”. Esther obserwuje mnie, niczym snajper. „Azylu. KryjóWKi”.

Horologia potrzebuje cię przy Drugiej Misji w Kaplicy Zmierzchu, Esther. Zostawiłaś mi znaki.

„Pierwszy sklep znajdziesz dopiero, kiedy z chłopcem dojedziecie do Allhallows-on-Sea...”.

Esther, co mam robić? Jak mogę cię sprowadzić z powrotem?

Esther blaknie i już tylko słabo migocze. Zjawiłam się za późno, całe lata za późno. Dusza mojej przyjaciółki wystygła na tyle, że tylko sama Esther albo może jeszcze Xi Lo mogliby tchnąć w nią z powrotem

życie. Ja nie potrafię. Rozpacz, jaką czuję, kiedy znalazłam ją, ale w tej samej chwili ją tracę, jest nie do zniesienia. Patrzę w dal, na drugi brzeg wygenerowanej we wspomnieniach Tamizy. I co teraz? Porzucić Drugą Misję? Pogodzić się z sytuacją i kierować Horologią aż do jej powolnego upadku? Od spławika rozchodzą się kręgi. Esther ze wspomnień Holly wyjmuję z kieszeni kawałek kredy i pisze na desce: MOJE...

Kolejne słowo na następnej desce: DŁUGIE...

I jeszcze jedno słowo: IMIĘ...

* * *

Kiedy Esther pisze końcowe „Ę”, zapętlenie dobiega końca, czas resetuje się do godziny piętnastej. Esther znowu siedzi nieruchomo, wpatrując się w „Gwiazdę Rygi”, a na wyblakłych od słońca deskach pomostu u jej stóp nie ma jeszcze żadnych liter.

A jednak te trzy słowa miały znaczenie. Mają znaczenie teraz.

Holly musiała myśleć, że Esther to jakaś stara wariatka, ale jeśli Esther przekazywała instrukcje dla mnie?

Zaczynam subrecytować imię Esther Little, jej prawdziwe imię, jej imię, które żyje, i którego ona sama trzy wcielenia temu nauczyła Pablo Antaya Marinusa w ciągu pół godziny między nocą a różowobłękitnym australijskim świtem na Pazurze Emu nad doliną rzeki Swan. Wyryła je trwale w mojej pamięci, jak powiedziała. Czy naprawdę tak dawno temu mogła widzieć wydarzenia, które wydarzą się w tak odległej przyszłości? Subintonuję sylaby, jedną po drugiej. Najpierw z pewnym wahaniem, bojąc się popełnić błąd i unieważnić całą sekwencję, ale potem moja śpiewna recytacja nabiera tempa, aż w końcu to ja staję się instrumentem, na którym gra imię Esther. Czy to pobożne życzenie, czy naprawdę wyczuwam pewne łączenie się w

całość w głowie Esther z pamięci z Holly? Słowo za słowem, po frazie, po liniije archaiczny dialekt Whadjuk Noongar ustępuje dziewiętnastowiecznemu Whadjuk Noongar. Przestrzeń wokół nas rozjaśnia się, gdy cząsteczki i włókna duszy Esther ponownie składają się, integrują, splatają...

...i nim się zdążyłam spostrzec, skończyłam. Przed chwilą.

Esther wpatruje się w „Gwiazdę Rygi”. Statek daje sygnał syreną. Po drugiej stronie rzeki, w Essex, karoseria jakiegoś pojazdu odbija maleńki okruszek czerwcowego słońca. Chyba znowu uruchamia się zapętlenie.

Dlaczego nie zadziało?

Subgłos mówi mi: *Potwornie zarzynasz język Noongar.*

Moja dusza pulsuje. *Nauczycielka mi zniknęła. Czterdzieści jeden lat temu.*

Najstarsza Horolożka zagląda do swojego wiaderka: *Niezbyt dużo ryb, jak na czterdzieści jeden lat. Domyślam się, że moje znaki cię odnalazły?*

Jeden z Trondheim i jeden z Poughkeepsie.

Esther pozwala sobie na rozbawione prychnięcie. *Skrypt zawierał zaproszenie do Kaplicy. Czyżby szykowało się Druga Misja?*

Za dwa dni, a być może już jutro.

Zatem czas na nas. Wracajmy. Dusza Esther exodusuje z czakry na jej czole, zapamiętanym przed wielu laty, i unosi się w powietrzu, wykonując pełne obroty. *Żegnaj*, mówi Esther dniowi, który właśnie odszedł.

20 Parsley, sage, rosemary and thyme – pietruszka, szalwia, rozmaryn i tymianek – słowa refrenu ludowej ballady angielskiej *Scarborough Fair*, której wersję śpiewali m.in. Simon & Garfunkel (przyp. tłum.).

21 Parafraza słynnej kwestii Szajloka z *Kupca weneckiego* Williama Szekspira. Mając na myśli swój naród, czyli Żydów, Szajlok pytał: „Gdy nas ukłujesz, czy nam krew nie ciecze? Czy nie śmiejemy się, gdy

nas łechcesz? Kiedy nam truciznę zadasz, czy nie umieramy?”
(przekład Leona Ulricha) (przyt. tłum.).

22 Przekład ks. Jakuba Wujka (przyt. tłum.).

6 kwietnia

Pierwsza z czoła Holly exodusuje dusza Esther, a ja wylatuję za nią w światło nowego poranka.

Holly nadal leży nieruchomo na kozetce, a moje ciało leży bez ruchu obok niej. Nie widzieli nas. Unalaq czyta książkę, a Arkád, który przyjechał ze 119A, pisze coś na tabie. Ingresuję w Iris Marinus-Fenby i ponownie łączę moją duszę z mózgiem. Mój nos wyczuwa zapach spalonego tosta, uszy słyszą odgłosy ulicy, łydki i palce u stóp czują bolesne przykurcze, mój żołądek jest pusty, a w ustach mam taką ohydę, jakby zdechł w nich szczur. Odnalezienie nerwów wzrokowych zawsze trwa dłużej. Nagle Unalaq wybucha zdumionym śmiechem i z zachwytem odpowiada:

– Ależ zapraszam!

Zatem wiem już, dokąd poszła dusza Esther. Moje oczy, kiedy już daję radę podnieść powieki, widzą Arkáda, który przygląda mi się z bardzo bliska.

– Marinus? Wróciłaś już?

– Miałaś pilnować Sadaqata.

– L'Ohkna przyleciał wczoraj wieczorem. Znalazłaś Esther?

– Zapytaj Unalaq, czy ją widziała.

Arkád odwraca się akurat w porę, żeby zobaczyć, jak Esther-w-Unalaq upuszcza czytana książkę, podnosi dłoń i bacznie się jej przygląda, jakby dopiero przed chwilą ktoś jej tę dłoń przymocował.

– Palce – mówi, zniekształcając słowa, jakby była lekko pijana. – Zapomina się. Cholera, jak ja mówię. – Napina mięśnie wokół ust. – Arkád. Najwyraźniej.

Arkád jak winowajca z melodramatu zrywa się na równe nogi.

– Wystarczy, że się odwrócę na kilkadziesiąt lat – burczy Esther-w-Unalaq – a ty z wietnamskiego neurologa zmieniasz się w... skrzydłowego New York Knicks?

Arkád patrzy na mnie pytająco. Potwierdzam kiwnięciem głowy.

– Mój Boże. Mój Boże. Mój Boże.

– Musisz obciąć ten kucyk. Co tam masz w ręku? Nie mówcie mi, że w takie coś zmieniły się teraz telewizory?

– To tab, do Internetu. Jak laptop, tyle że bez klawiatury.

Esther-w-Unalaq patrzy na mnie.

– To było w naszym języku? Co jeszcze się zmieniło od osiemdziesiątego czwartego roku?

– Kończy się ropa – odpowiadam, sprawdzając puls Holly i obserwując sekundnik zegarka. – Na świecie mieszka osiem miliardów ludzi, masowo wymiera flora i fauna, zmiany klimatyczne świadczą o tym, że holocen dobiega końca. Apartheid się skończył, tak samo jak dynastia Castro na Kubie, i tak samo jak wszelka prywatność. ZSRR zbankrutował. Blok Wschodni upadł. Niemcy się zjednoczyły. Unia Europejska stała się tworem federalnym. Chiny są jedną wielką elektrownią, powietrze w Chinach to już wyłącznie przemysłowe wylizy. A Korea Północna to ciągle wielki gułag rządony przez gładko uczesanego ludożercę. Kurdowie mają w praktyce swoje państwo. Na całym Bliskim Wschodzie sunnici biją się z szyitami. Tamilów na Sri Lance wyróżniło. Palestyńczycy ciągle muszą walczyć o przetrwanie na wysypiskach śmieci Izraela. Ludzie scedowali zasoby swojej pamięci na zewnętrzne centra przechowywania danych, a podstawowe czynności wykonują za nich taby. Jedenastego września dwa tysiące pierwszego roku saudyjscy porywacze rozbili dwa samoloty rejsowe o wieże WTC. W wyniku czego armia żołnierzy amerykańskich i kilka oddziałów brytyjskich dokonały inwazji na Afganistan i Irak, i okupowały je przez lata. Nierówność i

rozwarstwienie przypominają sytuację w starożytnym Egipcie. Dwudziestu siedmiu najbogatszych ludzi na świecie posiada łącznie więcej niż najbiedniejsze pięć miliardów i wszyscy myślą już, że to normalne. Ze spraw bardziej pozytywnych – tab Arkáda ma większą moc obliczeniową, niż istniała na całym świecie, kiedy ostatnio po nim chodziłaś. Przez dwie kadencje w Białym Domu rezydował Afroamerykanin. A truskawki można teraz kupić na Boże Narodzenie. – Znowu patrzę na sekundnik. – Holly ma puls w porządku, ale powinniśmy ją odhiatuować. Odwodni się. Gdzie Ōshima?

– Słyszałem – Ōshima staje w progu – że Rip van Winkle[23] zaszczycił nas swoją obecnością.

Esther-w-Unalaq patrzy na Ōshimę, swojego partnera z przerwami.

– Powiedziała bym, że się w ogóle nie zestarzałeś, ale to nie byłaby prawda.

– Gdybyś nas uprzedziła, że wpadniesz, poszedłbym poszukać sobie jakiegoś przystojniejszego ciała. Ale wszyscy myśleliśmy, że nie żyjesz.

– Bo już prawie zdechłam, cholera, po tym, jak zlikwidowałam Rhîmesa.

– Jakiś nauczyciel z Norwegii znał prawdę! Jakaś narkomanka z Milwaukee też! Ale pewnie mnie jej nie zdradzałaś, bo to „nie byłoby w zgodzie z poleceniami Skryptu”.

Arkád szepcze do mnie: *Oni są niemożliwi.*

– Gdyby Anachoreci zaczęli choćby podejrzewać, że przeżyłam Pierwszą Misję – mówi Esther-w-Unalaq – ścigaliby każdego potencjalnego dawcę azylu. W osiemdziesiątym czwartym sam Xi Lo przyznał, że jeśli nasz wypad do Kaplicy skończy się źle, Pfenninger i Constantin mogą wyrznąć wszystkich pozostałych przy życiu Horologów, żeby oczyścić sobie pole na kolejne dziesięć lat. A to

znaczy, że ty też byłeś celem, Ōshima. Ty, jako powracający, tylko byś umarł, ale ja jako rozpleciona rezydentka umarłabym na zawsze. Najbezpieczniej było poszukać azylu w jakimś silnym temporalnym dzieciaku, który ma przed sobą jeszcze ładne kilkadziesiąt lat życia, i siedzieć tam cicho, aż nadejdzie czas, żeby się obudzić.

– Holly była silna – mówię. – Powinniśmy już ją zwolnić z obowiązku.

Czerwonym paznokciem należącego do Unalaq kciuka Esther gładzi łodygę tulipana.

– Po kilku latach zaczyna brakować fioletu...

Zawsze kiedy Esther unika jakiegoś tematu, ogarnia mnie niepokój.

– Holly już wystarczająco dużo zapłaciła, Esther. Zasługuje na to, żeby dać jej spokój.

– Owszem – odpowiada Esther. – Ale to nie takie proste.

– Bo tak mówi Skrypt? – pyta Ōshima.

Esther nabiera powietrza w płuca Unalaq i powoli robi wydech.

– Tam jest pęknięcie.

Nikt z nas nie rozumie. Arkád pyta:

– Jakie pęknięcie, gdzie?

– Pęknięcie w materii Kaplicy Zmierzchu.

*

Biblioteka w domu Unalaq i Inez tworzy głęboką kwadratową studnię, ze ścianami od podłogi po sufit zabudowanymi półkami książek. Na drewnianym parkiecie jest miejsce zaledwie na okrągły stół, ale kręte schody wiją się w górę nie do jednego, lecz do dwóch wąskich balkoników, z których można się dostać do górnych półek z książkami. Przez świetlik w dachu dwadzieścia stóp nad nami, w ten poniedziałkowy poranek wpada słońce i rzuca jasny prostokąt światła

na grzbiety książek. Ōshima, Arkád, Esther-w-Unalaq i ja siedzimy przy okrągłym stole i omawiamy sprawy Horologii. Ktoś puka do drzwi i wchodzi Holly, nakarmiona, świeżo po prysznicu, ubrana w pożyczone od Inez spodnie i luźną koszulę. Na głowie ma nowy zawój, granatowy w białe gwiazdki.

– Cześć – mówi Holly, zmęczona kobieta z twarzą pokrytą zmarszczkami. – Mam nadzieję, że nie musieliście na mnie czekać.

– Udzielała mi pani gościny przez czterdzieści jeden lat – mówi Esther-w-Unalaq. – Jestem pani winna znacznie więcej niż kilka minut.

– Proszę mówić mi Holly. Wszyscy mówcie mi Holly. Boże. Ile książek! To dzisiaj rzadki widok.

– Książki jeszcze znowu będą modne – przepowiada Esther-w-Unalaq. – Wystarczy zaczekać, aż w latach trzydziestych zaczną wysiadać sieci przesyłowe, a z niedoborem gigawatów zaczną znikać dane. To już niedługo. Przyszłość jest bardzo podobna do przeszłości.

Holly pyta:

– Czy to... prawdziwa przepowiednia?

– To nieunikniony efekt wzrostu zaludnienia i upartych kłamstw o rezerwach ropy – odpowiadam. – Ale proszę. To krzesło jest dla ciebie.

– Jaki piękny stół. – Holly wzdycha z zachwytem, kiedy przy nim siada.

– Jest starszy niż ten kraj – odpowiada Arkád.

Holly przez chwilę gładzi palcami słoje i sęki cisowego drewna.

– Ale młodszy niż wy, tak?

– Wiek to kwestia względna – odpowiadam, cicho pukając kostkami w stareńkie drewno. – Był robiony na zamówienie.

Esther-w-Unalaq odgarnia z twarzy miedziane włosy Unalaq.

– Holly. Wiele lat temu obiecałaś coś pośpiesznie kobiecie łowiącej ryby na pomoście. Nie mogłaś wiedzieć, jakie prawdziwe

konsekwencje wiązały się z tą obietnicą, ale i tak jej dotrzymałaś. W ten sposób sama wciągnęłaś się w Wojnę Horologii z Anachoretami. Kiedy Marinus i ja dokonaliśmy dzisiaj exodusu, twoja pierwsza rola w Wojnie dobiegła końca. Dziękujemy. Ja i wszyscy Horologowie. Zawdzięczam ci życie.

Kiwamy głowami na znak, że podpisujemy się pod słowami Esther.

– Dobra wiadomość jest taka: jutro do godziny osiemnastej według zegarów tego świata Wojna się zakończy.

– Traktatem pokojowym? – pyta Holly. – Czy walką aż do śmierci?

– Walką aż do śmierci – odpowiada Arkád, przeczesaując palcami gęste włosy. – Strażnicy lasów nie bawią się z kłusownikami w traktaty pokojowe.

– Jeśli wygramy – ciągnie Esther-w-Unalaq – będziesz wolna, Holly, i będziesz mogła wrócić do siebie do kraju. Jeśli nie wygramy, nie będziemy już mogli organizować spektakularnych akcji ratunkowych. Umrzemy na zawsze. I będę szczerą: nie wiemy, jak nasz wróg zareaguje na zwycięstwo. Nie mamy pojęcia. Constantin ma szczególnie dobrą pamięć.

Naturalnie, te słowa budzą w Holly niepokój.

– Przecież masz umiejętności prekognicji.

– Ty też, Holly – odpowiada Esther. – Ale to tylko migotanie przebłysków. Punkt na mapie, jednak nigdy cała mapa.

Holly zastanawia się.

– Powiedziałaś o mojej pierwszej roli w waszej Wojnie. Co oznacza, że jest też druga.

– Jutro – włączam się do rozmowy – wysoki rangą Anachoreta nazwiskiem Elijah D’Arnoq ma się pojawić w galerii przy sto dziewiętnaście A. D’Arnoq proponuje, że zaprowadzi nas do Kaplicy Zmierzchu i pomoże nam ją zniszczyć. Twierdzi, że chce przejść na naszą stronę, bo nie może już dłużej znosić zła, jakim jest

dekantowanie niewinnych „dawców”.

– Sądząc z twojego tonu, raczej mu nie wierzysz.

Ōshima bębni palcami po stole.

– To ja mu nie wierzę.

– Możecie wejść do umysłu tego człowieka, żeby to sprawdzić? – pyta Holly.

– Już wchodziłam – wyjaśniam. – I to, co znalazłam, wspierało jego wersję. Ale dowodami można manipulować. W przypadkach zdrady prawda nigdy nie jest oczywista.

Holly zadaje nasuwające się pytanie:

– To po co podejmować ryzyko?

– Ponieważ teraz mamy tajną broń – odpowiadam – i nowy raport wywiadu.

Wszyscy spoglądamy na Esther-w-Unalaq.

– W osiemdziesiątym czwartym roku – mówi Esther – w trakcie akcji, którą nazywamy Pierwszą Misją do twierdzy wroga, wykryłam cienką jak włos szczelinę, biegnącą od szczytu sklepienia do ikony. Myślę, że mogę... rozsadzić tę szczelinę.

– A wtedy – przejmuję wyjaśnianie – Kaplicę zaleje Zmierzch i ją zniszczy. Katar Ślepiec, którego na wpół odczuwające pozostałości rezydują w Kaplicy, zostałyby unicestwiony. Zginąłby też każdy Anachoreta, którego dotknąłby Zmierzch. Każdy Anachoreta gdziekolwiek indziej straciłby psychodekanter i podlegałby odtąd normalnemu procesowi starzenia, jak reszta ludzkości.

Holly pyta teraz o rzecz już nie tak oczywistą:

– Mówiliście, że Katar Ślepiec był geniuszem, mistycznym Einsteinem, który potrafił myślą powoływać materię do istnienia. Dlaczego nie zauważył, że jego arcydzieło ma usterkę?

– Kaplica została zbudowana przez wiarę – odpowiada Esther. – Ale wiara wymaga wątpliwości, tak jak materia wymaga antymaterii. Ta

szczelina to wątpliwość Katara Ślepca. Pochodzi jeszcze sprzed jego przemiany. Wątpliwość dotyczyła tego, czy Katar na pewno wykonuje dzieło Boże. Czy ma prawo zabierać innym duszę, żeby oszukiwać śmierć.

– Czyli chcecie... wsadzić w szczelinę dynamit?

– Nitroliceryna nawet jej nie zarysuje. – Ōshima kręci głową. – Kaplica wytrzymuje od wieków napór Zmierzchu. Sprawę załatwiłby wybuch jądrowy, ale głowice nuklearne nie są dość poręczne. Potrzeba nam dynamitu psychozoterycznego.

Esther-w-Unalaq odchrząkuje.

– Czyli mnie.

Holly szuka u mnie potwierdzenia:

– Myślicie o misji samobójczej?

– Jeżeli nasz zdrajca kłamie, a jego obietnice, że pokaże nam, jak bezpiecznie zniszczyć Kaplicę, to tylko kłamstwa i pułapki, wtedy tak, stajemy przed taką ewentualnością.

– Marinus chce powiedzieć: „Tak, myślimy o misji samobójczej” – wyjaśnia Ōshima.

– Jezu – wzdycha Holly. – Czyli pójdziesz tam sama, Esther?

Esther kręci głową Unalaq.

– Jeżeli D’Arnoq zwabia ostatnich Horologów na Kamienną Droge, chce widzieć tam wszystkich, nie tylko mnie jedną. Jeśli Druga Misja to zasadzka, będę potrzebowała wsparcia, żeby zyskać na czasie. Zdetonowanie własnej duszy nie jest zadaniem dla początkujących.

Słyszę ciche dźwięki fortepianu. Inez gra *My Wild Irish Rose*.

Holly pyta:

– Czyli jeżeli Esther ma wysadzić tę, powiedzmy... kwaterę główną wroga i założymy, że jej się uda... – Holly patrzy na pozostałych.

– Zmierzch unicestwia żywą tkankę – mówi Ōshima. – Koniec.

– Chyba że – spekuluję – istnieje droga z powrotem w Światło Dnia,

której jeszcze nie znamy. Droga zbudowana przez sprzymierzeńca. Kogoś z wewnątrz.

Pół mili nad nami obłok staje pomiędzy naszym świetlikiem a najbliższą nam gwiazdą i prostokąt słonecznego światła nagle gaśnie.

Holly czyta w moich myślach.

– Czego jeszcze mi nie powiedzieliście?

Patrzę na Esther, która wzrusza ramionami Unalaq. *Ty ją znasz najdłużej.* Wypowiadam zatem słowa, których nie będę już w stanie cofnąć:

– Podczas Pierwszej Misji ani ja, ani Esther tak naprawdę nie widzieliśmy śmierci Xi Lo.

Bywają rzadkie chwile, kiedy przez każdą bibliotekę wyraźnie przepływają myśli. Holly zmienia pozycję na krześle.

– A co widzieliście?

– Jeśli o mnie chodzi, niewiele – mówię. – Całym psychowoltażem zasilalem naszą tarczę. Ale Esther była tuż obok Jacko, kiedy dusza Xi Lo dokonała exodusu... – Patrzę na Esther.

– A potem ingresowała w oko czakry na ikonie Katara Ślepcy. Nikt go tam siłą nie zaciągał. Xi Lo sam strawersował do środka jak pocisk... I tuż zanim zniknął, usłyszałam, jak submówi mi dwa słowa: „Będę tutaj”.

– Nie wiemy – przyznaję – czy była to spontaniczna decyzja, czy też plan, którego Xi Lo nikomu nie zdradził z powodów znanych tylko sobie. Jeżeli Xi Lo chciał dokonać w Kaplicy aktu sabotażu, nie udało mu się. Od osiemdziesiątego czwartego roku w Kaplicy Zmierzchu życie straciły sto sześćdziesiąt cztery osoby. Tylko w zeszłym tygodniu jednego biedaka porwano z zamkniętego oddziału psychiatrycznego szpitala w Vancouver. Esther uważa jednak, że Xi Lo przygotowuje nam drogę do Drugiej Misji. Holly? Wszystko w porządku?

Holly ociera oczy rękawami koszuli Inez.

– Przepraszam... Te słowa „Będę tutaj”... Ja też je słyszałam. W jednym z moich widzeń, w przejściu podziemnym niedaleko Rochester.

Esther jest zafascynowana.

– Teraz twoje głosy, te przecucia, już w tobie ucichły, ale czy pamiętasz, jak mówiły ci coś bardzo wyraźnie? Może ich sensu trudno było dociec, ale Skrypt nigdy się nie zmieniał. Pamiętasz, jak to było?

Holly przelęka ślinę i prostuje się.

– Pamiętam.

– Skrypt niezmiennie twierdzi, że Xi Lo w jakiś sposób pozostaje przy życiu. Do dzisiaj.

– Nie wiem, kim jest dla ciebie Xi Lo – mówię. – Czy kimś, kto przejmuje ciała innych ludzi – widzę, jak w postawie Holly narasta zaciekłość – czy jakąś półką na książki, z których ostatnia nosi tytuł *Jacko Sykes*. Nikt z nas nie może przyrzec, że jeśli dołączysz do nas w Drugiej Misji, odzyskasz brata, ponieważ sami poruszamy się po omacku, ale...

– Wasz Xi Lo – przerywa Holly – to mój Jacko. Wy kochaliście waszego założyciela i przyjaciela, tak jak ja kochałam – Kocham – mojego brata. Nie wiem, może wychodzę na idiotkę. To znaczy, wy tworzycie klub nieśmiertelnych mędrców i pewnie czytacie te wszystkie książki – Holly ogarnia gestem cztery ściany tomów wznoszących się aż do świetlika – a ja rzuciłam szkołę jeszcze przed maturą. A może jestem nawet bardziej żałosna, może chwytam się jakiejś czarodziejskiej brzytwy i trzymam się resztek politowania godnej nadziei. Może jestem jak matka, która oddaje oszczędności całego życia jakiemuś oszustowi, bo on ma „przywołać ducha” jej zmarłego syna... Ale wiecie co? Jacko to nadal mój brat, nawet jeśli jest lepiej znany jako Xi Lo i jest starszy niż Jezus. Gdybym to ja zaginęła, on poszedłby mnie szukać. Więc jeśli istnieje chociaż jedna

szansa na tysiąc, że Xi Lo – Jacko – jest w Kaplicy Zmierzchu czy Zmroku, czy jak to tam nazywacie, i wasza Druga Misja mi go przywróci, jestem z wami. I nie ma siły, która by mnie powstrzymała. Tylko spróbujcie.

Prostokąt światła powrócił i w ukośnych promieniach słońca na tle ścian książek wirują drobiny kurzu. Złoty pył.

– Nasza Wojna musi ci się wydawać raczej nierzeczywista, ale śmierć w Kaplicy jest takim samym kresem, jak śmierć tutaj w wypadku samochodowym. Pomyśl też o Aoife...

– Wcześniej mówiliście, że nie możecie zapewnić bezpieczeństwa ani Aoife, ani mnie, jeśli nie zlikwidujecie tych Anachoretów. Tak?

Moje sumienie chce się schować gdzieś głęboko, ale muszę się zgodzić.

– Tak, podtrzymuję to. Ale nasz wróg jest groźny.

– Zgoda, można się upierać, że przecież przeszłam raka, mam ponad pięćdziesiąt lat, nigdy nie miałam w ręku broni pneumatycznej i nie mam tych – jej ręka tańczy – psychomocy. W każdym razie nie takich, jak wy. Ale jestem matką Aoife i siostrą Jacko, a te potwory skrzywdziły ludzi, których kocham, albo groziły, że zrobią im krzywdę. Więc teraz to ja jestem groźna.

Cokolwiek to znaczy, submówi Ōshima, ja jej wierzę.

– Prześpij się z tym – radzę Holly. – Decyzję podejmiesz rano.

23 Bohater opowiadania Washingtona Irvinga. Rip van Winkle zasypia w lesie i budzi się dopiero po dwudziestu latach, w zmienionej rzeczywistości (przyp. tłum.).

7 kwietnia

Inez prowadzi. Ciemne okulary zasłaniają skutki nieprzespanej nocy na jej twarzy. Wycieraczki rytmicznie piszczą co kilka sekund. Nie mówimy dużo, ale nie ma też dużo do powiedzenia. Unaląq siedzi z przodu, a Ōshima, Holly, Arkád i ja ścisnęliśmy się z tyłu. Dzisiaj to Ōshima jest gospodarzem dla Esther. Nowy Jork jest zalany deszczem, śpieszy się i nie zwraca uwagi na to, że Horolożki i Horologowie ryzykują metażycie – a Holly życie – dla zupełnie obcych ludzi, dla ich psychowoltaicznych dzieci i dla tych jeszcze nienarodzonych, których rodzice dopiero mają się poznać. Zauważam dziś szczegóły, po których zwykle mój wzrok się prześlizguje. Twarze, faktury, materiały, znaki, prądy. Są dni, kiedy wydaje mi się, że Nowy Jork wyrósł spod różdżki jakiegoś magika. Właściwie wszystkie miasta są jak przez kogoś wyczarowane i w nieunikniony sposób zmieniają się kiedyś z powrotem w dżunglę, tundrę albo tereny zalewowe, wystarczy tylko dłużej poczekać, przecież wiem. Dzisiaj jednak Nowy Jork, trwając tu i teraz, jest bezsporny, jakby to czas podlegał jemu, a nie on czasowi. Czyje nieśmiertelne oko mogłoby objąć te kwartały wytyczonych ulic, zespolonych dźwigarów, zamieszkałych chodników i większą liczbę cegieł niż gwiazd na niebie? Któż za życia Klary Koskowej, kiedy pierwszy raz przybyłam tu z Xi Lo i Holokai – moimi przyjaciółmi Dawidowami – mógł przewidzieć te pionowe wypiętrzenia i wietrzne kaniony? A jednak to wszystko już tu było, upakowane w tym sroczym gnieździe różności, niczym dąb upakowany w żołądzu albo budynek Chryslera ciasno złożony w kostkę, żeby zmieścił się w mózgu Williama Van Alena. Jeśli poza Morzem Ostatnim istnieje świadomość, a tam się dzisiaj udaję, będę

bardzo tęskniła za Nowym Jorkiem, tak samo jak za każdym innym miejscem.

Inez skręca z Trzeciej Alei w naszą ulicę. Po raz ostatni? Takie myśli nie pomagają. Czy umrę, nie przeczytawszy *Ulissesa* do końca? A co ze wszystkimi kartami pacjentów, które zostawiam w Toronto, co z dokumentami, z e-mailami? A emocje, które moi koledzy z pracy i przyjaciele, sąsiedzi i pacjenci będą po kolei przeżywać, kiedy mój status będzie się zmieniał z „doktor Fenby, która nie stawiała się w pracy”, przez „zaginioną doktor Fenby”, po „doktor Fenby, która najprawdopodobniej nie żyje”? Nie, nie myśl o tym. Zatrzymujemy się przed 119A. Jeżeli Horologia ma jakiś dom, to właśnie tutaj, z czerwono-szarej cegły, z ciemnymi ramami okien w różnych kształtach. Inez mówi autu: „Parkuj” i włączają się światła awaryjne.

– Uważaj – prosi Inez ukochaną.

Unalaq kiwa głową.

– Przyrowadź ją z powrotem – prosi mnie Inez.

– Zrobię co w mojej mocy – odpowiadam. Mój głos brzmi słabo.

*

119A rozpoznaje Horologów i Horolożki i wpuszcza nas do środka. Sadaqat wita nas zza wewnętrzną osłonę na pierwszym piętrze. Nasz wierny opiekun jest ubrany niczym parodia uczestnika obozu survivalu – włożył wojskowy mundur bojowy z masą kieszeni, a na szyi zawiesił kompas.

– Witam w domu, pani doktor. – Bierze mój płaszcz. – Pan L’Ohkna czeka w gabinecie. Panie Arkád, pani Unalaq, panie Ōshima. I pani Sykes. – Sadaqatowi rzędzie mina. – Mam nadzieję, że doszła pani do siebie po tym sromotnym, tchórzliwym ataku wroga. Pan Arkád powiedział mi, co się stało.

– Byłam pod doskonałą opieką – odpowiada Holly. – Dziękuję.
– Anachoreci są odrażający. Jak robactwo.
– Ich atak ostatecznie skłonił mnie do wsparcia Horologii – odpowiada Holly.

– To dobrze – stwierdza Sadaqat. – Absolutnie. Bo tu nie ma trzeciego wyjścia.

– Holly dołączy do nas podczas Drugiej Misji – mówię naszemu opiekunowi.

Sadaqat okazuje zaskoczenie i odrobinę konfuzji.

– Ach tak? Nie wiedziałem, że pani Sykes studiowała metodę Głębokiego Strumienia.

– Nie studiowała – odpowiada Arkád, wieszając swoje palto. – Ale wszyscy mamy do odegrania jakąś rolę w nadchodzących godzinach, prawda, Sadaqat?

– Szczera prawda, przyjacielu. – Sadaqat zbiera palta, żeby odwiesić je do szafy. – Najprawdziwsza prawda. Czy w Misji będą jeszcze jakieś inne... modyfikacje?

Choć Sadaqata dobrze przygotowano, nie potrafi całkowicie ukryć napięcia w głosie.

– Już żadnych – odpowiadam. – Będziemy działali z najwyższą ostrożnością, ale przyjmujemy, że jest tak, jak mówi Elijah D’Arnoq. Chyba że nas zdradzi.

– Ale Horologia ma tajną broń. – Sadaqata rozpira duma. – Mnie. No dobrze, nie ma jeszcze dziesiątej, a pan D’Arnoq przychodzi dopiero na jedenastą, więc upiekłem muffinki. Czują państwo zapach, prawda? – Sadaqat uśmiecha się jak ponętna sprzedawczyni w sklepie z czekoladą, kusząca grupę wygłodniałych mężczyzn na diecie. – Z bananami i wiśniami. Wojsko, moi przyjaciele, nie może maszerować o pustych żołądkach.

– Przykro mi, Sadaqat – włączam się – ale nie powinniśmy nic jeść.

Kamienna Droga może wywoływać mdłości. Najlepiej właśnie mieć pusty żołądek.

– Ale przecież, pani doktor, malutka muffinka nie zaszkodzi. Są świeżuteńkie. Dodałem też do ciasta białą czekoladę.

– Zjemy je z przyjemnością po powrocie – mówi Arkád.

Sadaqat już nie nalega.

– Dobrze, po powrocie. Żeby świętować zwycięstwo.

Uśmiecha się, pokazując zęby za dwadzieścia tysięcy dolarów zostawionych u amerykańskich dentystów, których oczywiście opłaciła Horologia. Jak mógł? Większość życia spędził w szpitalu psychiatrycznym na przedmieściach Reading w Anglii. Pewna drapieżniczka działająca z wolnej stopy zatrudniła się jako sekretarka w jego szpitalu i pracowała nad pozyskaniem psychowoltaicznej pacjentki, która zwierzyła się Sadaqatowi z tych dziwnych spotkań, zanim drapieżniczka zdekantowała duszę tej biednej kobiety. Rozprawiłam się z drapieżniczką podczas dość wyczerpującej bitwy w jej podziemnym ogrodzie, ale zamiast zredagować wszystko, czego Sadaqat dowiedział się o atemporalnym świecie, postanowiłam wyizolować obszar mózgu odpowiedzialny za jego schizofrenię i przecięłam połączenia z obszarami nieuszkodzonymi. To go w pewien sposób uleczyło i kiedy zadeklarował dozgonną wdzięczność, sprowadziłam go do Nowego Jorku, żeby pełnił funkcję stróża i opiekuna 119A. To było pięć lat temu. Przed rokiem, podczas serii pozacielesnych kontaktów i spotkań w Central Parku, gdzie Sadaqat codziennie ćwiczy niezależnie od pogody, naszego wiernego pomocnika przeciągnęli na swoją stronę Anachoreci. Ōshima, który pierwszy dostrzegł ślady Anachoretów na naszym stróżu, chciał bezwzględnie zredagować ostatnie sześć lat z pamięci Sadaqata i wyswajdować go na pokładzie frachtowca na daleki wschód Rosji. Mój sentymentalizm, a także niewyraźna intuicja, mówiąca, że możemy

jeszcze skierować wtykę Anachoretów przeciw jej nowym rozkazodawcom, kazały mi powstrzymać rękę Ōshimy. To był niebezpieczny rok. Codziennie musieliśmy zgadywać i przewidywać zamiary naszych wrogów, a L'Ohkna był zmuszony przekalibrować czujniki w 119A, żeby teraz wykrywały toksyny, na wypadek gdyby Sadaqat dostał polecenie, by nas otruć. To wszystko jednak właśnie dziś rano dobiega końca, na dobre albo na złe.

Jakżeż ja nienawidzę tej Wojny.

– Chodź – zaprasza Ōshima Sadaqata. – Sprawdzimy ostatni raz obwody w naszej magicznej skrzynce...

Wchodzą obaj na górę, żeby jeszcze raz sprawdzić, czy nasz sprzęt nie potrzebuje regulacji. Arkád idzie do ogrodu na dachu poćwiczyć tai-chi w drobnej mżawce. Unalaq wraca do salonu, żeby przesłać instrukcje swojej kenijskiej siatce. Ja udaję się do gabinetu, żeby przekazać L'Ohknie protokoły Horologii. Zadanie to nie zajmuje mi wiele czasu. Najmłodszy Horolog ściska mi dłoń i wyraża wielką nadzieję, że jeszcze się spotkamy, a ja odpowiadam:

– Nawet nie wiesz, jak bardzo na to liczę.

Potem L'Ohkna wychodzi tajnym wyjściem ze 119A. Do przybycia D'Arnoqa zostało trzydzieści minut. Wiersze? Muzyka? Rundka bilarda.

Schodzę do piwnicy, gdzie zastaję Holly, która właśnie ustawia bile na stole.

– Mam nadzieję, że nikt nie ma nic przeciwko, że się tu sama obsługuję. Wszyscy gdzieś poznikali, więc...

– Oczywiście. Mogę dołączyć?

Jest zaskoczona.

– A grasz?

– Kiedy tylko nie gram z diabłem w szachy, nic tak nie uspokaja mi nerwów jak stuk kija o żywicę fenolową.

Holly ustawia bile i usuwa trójkąt.

– Mogę zadać ci jeszcze jedno pytanie o temporalnych?

Miną zachęcam, żeby pytała śmiało.

– Macie rodziny?

– Często po wskrzeszeniu przychodzimy na świat w jakichś rodzinach. Host rezydenta zwykle żyje otoczony bliskimi, jak Jacko. Wchodzimy też w związki uczuciowe, jak Unalaq i Inez. Aż do dwudziestego wieku niezamężna kobieta niespecjalnie mogła samotnie podróżować.

– Czyli ty też miałaś mężów i żony?

– Brałam ślub piętnaście razy, chociaż ostatni w tysiąc osiemset siedemdziesiątym roku. To więcej niż Liz Taylor i Henryk VIII razem wzięci. Ale ciebie raczej ciekawi, czy możemy płodzić i poczynać dzieci? – Gestem uspokajam ją, że to nie jest niezręczne pytanie. – Nie, nie możemy. Takie są zasady.

– Jasne. – Holly pociera kredą czubek kija. – To chyba byłoby trudne...

– Żyć, wiedząc, że twoje dzieci zmarły ze starości kilkadziesiąt lat temu... Albo że nie umarły, ale nie chcą wpuścić do domu świra, który upiera się, że jest ich reinkarnowanym rodzicem. Albo odkryć, że zapłodniłeś swoją praprawnuczkę. Czasami adoptujemy dzieci i często to zdaje egzamin. Nigdy nie brakuje dzieci, które potrzebują domu. Czyli ja nigdy nie spłodziłam ani nie urodziłam potomka, ale to, co czujesz do Aoife, ta bezwzględna gotowość do ratowania jej z płonącego budynku – też to czułam. I wbiegałam do płonących budynków. No i znaczącą zaletą niepłodności dla moich żeńskich wcieleni było to, że nie musiały spędzać całego życia jako klacze rozplodowe, co było losem większości kobiet między epoką kamienia łupanego a sufrażystkami. – Wskazuję stół. – Zaczniemy?

– Jasne. Ed zawsze mówił, że jestem wścibska, choć to dość

ryzykowna uwaga z ust dziennikarza. – Ze swojej torebki Holly wylawia monetę. – Orzeł czy reszka?

– Orzeł.

Holly rzuca monetą.

– Reszka. Dawniej bym przewidziała.

Holly wymierza i rozbija bile. Biała kula rozpryskuje pozostałe, odbija się od dolnej bandy i sunie z powrotem ku górnej.

– Domyślam się, że nie był to czysty fart.

– Brendan, Jacko i ja grywaliśmy w Kapitanie Marlow, w niedziele, kiedy pub był zamknięty. Zgadnij, kto zwykle wygrywał?

Naśladuję zagrywkę Holly, ale uderzenie wychodzi mi gorzej.

– Nie zapominaj, że Xi Lo grał w bilard już w połowie osiemnastego wieku. Ale w czasach bardziej współczesnych również. Grywaliśmy razem na tym stole prawie codziennie przez cały tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty dziewiąty rok.

– Poważnie? Na tym stole tutaj?

– Od tego czasu dwukrotnie wymieniano na nim sukno, ale tak.

Holly przejeżdża kciukiem po bandzie.

– Jak wyglądał Xi Lo?

– Był raczej niski, w sześćdziesiątym dziewiątym był po pięćdziesiątce, nosił brodę, był Żydem, tak się złożyło. Założył wydział antropologii porównawczej na NYU. W archiwach są jego zdjęcia, jeśli chciałabyś go zobaczyć.

Holly zastanawia się nad tą propozycją.

– Innym razem, kiedy nie będziemy akurat wyruszali na misję samobójczą. Xi Lo wtedy też był mężczyzną?

– Tak. Rezydenci często rodzą się w ciele tej płci, z którą się czują najlepiej. Esther woli być kobietą. My, powracający, zmieniamy płęć co wcielenie, czy nam się to podoba, czy nie.

– Czy nie dostajecie od tego pomieszania?

– Przez pierwsze kilka żyć to dziwne, ale człowiek się przyzwyczaja. Holly uderza białą bilę, która odbija się od bocznej bandy, potem od dolnej i wpada między rozproszone pozostałe.

– Mówisz o tym, jakby to było takie... normalne.

– Normalne jest wszystko, nad czym się nawet nie zastanawiamy. Twojemu przodkowi z roku tysiąc dwudziestego czwartego twoje życie w roku dwa tysiące dwudziestym czwartym wydałoby się równie nieprawdopodobne, zadziwiające, pełne cudów.

– Tak, ale to nie to samo. I ten mój przodek, i ja, kiedy umieramy, to umieramy. Natomiast ty... Jakie to uczucie, Marinus?

– Atemporalność? – Pocieram niebieską kredą poduszkę dłoni przy nasadzie kciuka. – Jesteśmy starzy nawet w młodości. Zwykle zostawiamy innych albo nas ktoś zostawia. Jesteśmy zmęczeni związkami z innymi ludźmi. Aż do tysiąc osiemset dwudziestego trzeciego, kiedy Xi Lo i Holokai mnie znaleźli, byłam nieopisanie samotna, a jednak musiałam to wytrzymać. Nawet dzisiaj coś, co nazywam „*ennui* wieczności”, może być wyniszczające. Ale fakt, że jestem lekarką, i Horolożką, nadaje cel mojemu metażyciu.

Holly poprawia swój szarozielony zawój i odwija go na tyle, że widzę jej głowę pokrytą kępkami króciutkiego meszku. Pierwszy raz robi to w mojej obecności i jestem wzruszona.

– Ostatnie pytanie: dlaczego atemporalni w ogóle istnieją? To znaczy, czy powracający i rezydenci ewoluują w ten sposób, jak wielkie małpy albo walenie? Czy też zostaliście... „stworzeni”? A może przyczyną było jakieś wydarzenie w twoim pierwszym życiu?

– Nawet Xi Lo nie zna na odpowiedzi na to pytanie. Nawet Esther nie wie.

Wbijam pomarańczową bilę z numerem 5 do dolnej lewej luzy.

– Ja całe, ty połówki.

O dziesiątej pięćdziesiąt Holly wbija czarną bilę i wygrywa ze mną jednym punktem.

– Później pozwolę ci na rewanż – zapewniam.

Idziemy na górę do galerii, gdzie są już pozostali. Ōshima opuszcza rolety. Holly idzie do kuchni po szklankę wody. Wolno pić tylko wodę z kranu, nie ruszaj butelkowanej. Może być zatruta, subwołam za nią. Wraca minutę później, zarzucając na plecy malutki plecaczek, jakbyśmy wybierali się na krótką wyprawę do lasu. Nie mam odwagi zapytać, co włożyła do środka – termos z herbatą, sweter, baton energetyczny? Tylko że to po prostu nie ten rodzaj wyprawy. Patrzymy na wiszące na ścianach obrazy. Co jeszcze mamy sobie do powiedzenia? Omówiliśmy już strategię w najdrobniejszych szczegółach w bibliotece Unalaq. Teraz dzielenie się własnym strachem nie pomoże, a nie chcemy wypełniać ostatnich chwil pustymi rozmowami o niczym. Alegoria czasu i miłości Bronzina wzywa mnie do siebie. Xi Lo mówił mi, że żałuje, że nigdy nie zamienił jej z londyńską kopią, ale nie mógłby znieść tych wszystkich aktów swazji, machlojek i podstępów potrzebnych do naprawienia zła. Pięćdziesiąt lat później stoję tu i żałuję tego samego. Dla nas, atemporalnych, zapas naszych „jutr” jest niewyczerpany. Ale teraz nie zostało mi już żadne.

– Szczelina – odzywa się Unalaq. – Czuję, że się otwiera.

Sześć par oczu rozgląda się w poszukiwaniu rozsuwanej linii.

– Tam – mówi Arkád – obok Georgii O’Keeffe.

Pionowe czarne rozcięcie rośnie przed horyzontalnymi żółcieniami i różami świtu w Nowym Meksyku. Pojawia się dłoń, linia się rozszerza, tworząc szparę i wyłania się Elijah D’Arnoq. Holly tłumii ciche przekleństwo i pyta:

– Skąd on się wziął?

Arkád odpowiada szeptem:

– Stamtąd, dokąd idziemy.

Elijah powinien się ogolić, a jego kręcone włosy są brudne i zaniedbane. Ale przecież wewnętrzne napięcie zdrajcy powinno rzucać się w oczy.

– Jesteście punktualni.

– Horologowie nie mają wymówek dla spóźniania się – odpowiada Arkád.

D’Arnoq rozpoznaje Holly.

– Pani Sykes. Cieszę się, że Horologia uratowała panią z radiowozu. Constantin uważa panią za swoją porażkę. Zrobi wszystko, żeby się ostatecznie z panią rozprawić.

Holly nie jest jeszcze w stanie odezwać się słowem do człowieka, który pojawił się znikąd.

– Pani Sykes dołączy do naszej akcji – informuję D’Arnoqa. – Unalaq będzie strumieniowała jej psychowoltaż do operacji osłonowej.

Na twarzy D’Arnoqa malują się wątpliwości i zastanawiam się, czy to stawia pod znakiem zapytania powodzenie Drugiej Misji.

– Nie mogę zagwarantować bezpieczeństwa pani Sykes.

– Myślałem, że zadbałeś o zabezpieczenie z każdej strony – mówi Arkád.

– Na Wojnie nie istnieją stuprocentowe gwarancje. Przecież dobrze wiesz, Arkád.

– Również pan Dastaani – wskazuję na Sadaqata – wyruszy z nami. Rozumiem, że znasz naszego stróża?

– Wszyscy mają szpiegów – odpowiada D’Arnoq. – Na czym ma polegać rola pana Dastaaniego?

– Zajmie pozycję w połowie Kamiennej Drogi – wyjaśnia Ōshima – i rozpęta psychopiekło o sile dziesięciu stopni, jeśli ktokolwiek będzie

nas śledził. Temporalni i atemporalni, wszyscy na szlaku zmieniają się w popiół.

D'Arnoq marszczy brwi.

– Czy psychopiekło jest jakimś aktem Głębokiego Strumienia?

– Nie – odpowiada Ōshima. – To moje określenie na to, co się dzieje, kiedy na Kamiennej Drodze wybuchnie bomba zrobiona z N9D, słynnego izraelskiego nanomateriału wybuchowego, obecnie znajdującego się w plecaku pana Dastaaniego.

– To nasze zabezpieczenie na wypadek ataku wroga od tyłu – wyjaśniam – kiedy będziemy wyburzali Kaplicę.

– Pomysłowe – ocenia Elijah D'Arnoq, a jego mina mówi, że naprawdę jest pod wrażeniem. – Chociaż modłę się, żebyście nie musieli tego użyć.

– Jak się pan czuje? – pyta Ōshima. – Zdrada to poważna sprawa.

Studwudziestoosmioletni drapieźnik odpowiada wyzywającym spojrzeniem Ōshimie, który przeżył osiem stuleci.

– Przez wiele dziesiątków lat brałem udział w wyrządzaniu bezwzględnego zła, panie Ōshima. Ale dzisiaj wezmę udział w położeniu mu kresu.

– Jednak bez Czarnego Wina – przypomina mu Ōshima – zestarzeje się pan, opadnie z sił i umrze w domu opieki.

– Jeśli Pfenninger lub Constantin zatrzymają nas, zanim zdążymy rozwalić Kaplicę Zmierzchu, wtedy się nie zestarzeję. Czyli co? W drogę?

*

Pojedynczo prześlizgujemy się przez ciemną Szczelinę i stajemy na okrągłej kamiennej posadzce o średnicy dziesięciu kroków. Biała jak papier Świeca Piasty ma wysokość dziecka. Jej płomień nigdy nie

drzy. Zapomniałam już dawno to jednocześnie uczucie klaustrofobii i agorafobii, ten zapach zamkniętych przestrzeni i rozrzedzone powietrze. Szczelinę, przez którą z galerii sączą się szczątkowe barwy i światło, D'Arnoq przytrzymuje rozsuniętą niczym kotarę, dla Holly, a po niej dla Sadaqata z materiałem wybuchowym w plecaku. Na twarzy Sadaqata maluje się skrajne napięcie, natomiast twarz Ōshimy, który wchodzi jako ostatni, jest po prostu niedbale obojętna.

– To jeszcze nie jest Kaplica, prawda? – pyta cicho Holly. – I dlaczego mój głos brzmi tak słabo?

– To Piasta Kamiennej Drogi – odpowiadam. – Początek wielu stopni, które prowadzą w górę, do Kaplicy. Krawędzie Piasty absorbują światło i dźwięk, więc musisz mówić trochę głośniej.

– Czy tu nie ma barw? – zauważa Holly. – Czy tylko mi się wydaje?

– Świeca jest monochromatyczna – odpowiadam. – Pali się tu od ośmiu stuleci.

Za nami Elijah D'Arnoq zamyka Szczelinę z powrotem. Kątem oka widzę jeszcze Wenus Bronzina, trzymającą od niechcenia złote jabłko, ale za chwilę Szczelina już się zamyka, odcinając nam bezpowrotnie drogę do 119A. Żaden loch nie ma takich zabezpieczeń. Tylko Esther albo wyznawcy Drogi Cienia mogą otworzyć Szczelinę i wypuścić nas stąd w światło dnia. Przeżywam przykry nawrót wspomnień o tym, jak byłem tu ostatni raz, pozacieleśnie, kiedy dusze moja i Esther rozplatały się, a Joseph Rhîmes już prawie doganiał moją przyjaciółkę. Esther, schroniona w głowie Ōshimy, bez wątpienia też właśnie przeżywa te wspomnienia.

– W kamieniu są wykute jakieś litery – zauważa Holly.

– Alfabet katarski – wyjaśniam. – Dzisiaj nikt nie jest w stanie go odczytać, nawet herezjolodzy. Ten alfabet pochodzi z języka oksytańskiego, starszego nawet niż baskijski.

– Pfenninger mówił mi kiedyś – wtrąca D'Arnoq – że te litery to

błagalna modlitwa do Boga, by pomógł na nowo zbudować Drabinę Jakubową. Najwyraźniej Katar Ślepiec uważał, że właśnie ją budował. Nie dotykajcie ścian. Z czegokolwiek są, nie do końca lubią się z materią atomową. – D’Arnoq wyjmuje z kieszeni monetę i wyrzuca ją poza krawędź Piasty. Moneta błyska i znika. – Nie potknijcie się na Kamiennej Drodze.

– A gdzie ona jest? – pyta Ōshima.

– Jest osłonięta – D’Arnoq zamyka oczy i otwiera oko czakry – i stale zmienia położenie, żeby nie chodził po niej nikt niepożądany. Chwileczkę.

Drobnymi krokami D’Arnoq powoli podchodzi do krawędzi Piasty, czyniąc nagle znaki Drogi Cienia i wypowiadając cicho akt odsłony. Cały czas zwrócony plecami do Świecy, szurając nogami, przesuwa się to w jedną, to w drugą stronę ku granicy Piasty.

– Jest.

Poza brzegiem Piasty, około stopy nad posadzką, pojawia się kamienny blok, długi i szeroki jak stół. Drugi blok wyłania się z pierwszego, potem trzeci i czwarty, coraz wyżej w czarną ciemność.

– Marinus – pyta mnie na ucho Holly – czy to technologia? Czy...

Wiem, jakiego słowa nie chce użyć.

– Gdyby ktoś wyleczył Henryka VII z gruźlicy etambutolem, albo dał Isaacowi Newtonowi przez godzinę dostęp do teleskopu Hubble’a, albo pokazał drukarkę 3D bywalcom Kapitana Marlowa w latach osiemdziesiątych, też by na usta cisnęło się słowo „magia”. Czasem magia jest po prostu normalnością, do której ludzie jeszcze nie przywykli.

– Jeśli pani profesor nie miałaby nic przeciwko – przerywa mi Ōshima – może pani studentka wysłucha reszty wykładu z semantyki nieco później?

Elijah D'Arnoq idzie pierwszy, ja za nim, potem Holly, Arkád, Unalaq i Sadaqat, z dziesięcioma kilogramami N9D w plecaku. Ariergardę naszego pochodu stanowi Ōshima. Na piątym czy szóstym stopniu spoglądam w tył nad głowami moich towarzyszy, ale Piasta już zniknęła z pola widzenia. Nawet nieregularność Kamiennej Drogi jest nieregularna. Są całe odcinki, gdzie schody pną się stromą spiralą w górę, jak w jakiejś wieży. Są odcinki, gdzie długie kamienne bloki tworzą łagodnie wznoszącą się drogę. Są nawet miejsca, gdzie trzeba skakać z bloku na blok, jak po kamieniach na drugi brzeg rzeki. Lepiej nie myśleć, że można się poślizgnąć. Nie mija wiele czasu, a ja jestem już zlana potem. Widoczność jest słaba jak przy nocnej wspinaczce po wąskim górskim szklaku w gęstej mgle. Kamienie ćmią się światłem bladym jak płomień Świecy Piasty, ale rozświetlają się dopiero wtedy, gdy podchodzimy do nich, co tworzy wrażenie, że Droga buduje się sama, gdy po niej kroczymy. Ciemność wokół nas jest przytłaczająca i chyba słyszę w niej odległe głosy z mojego metażycia. Mój biologiczny ojciec wyjaśnia mi w późnym łańskim dialekcie, jak pustułkę karmi się koszatkami. A teraz Sholeetsa, zielarka plemienia Duwamish, karci mnie za rozgotowanie jakiegoś korzenia. Teraz kracze mi w uchu rechot Ariego Grote, magazyniera z Dejimy. Ich ciała już dawno temu obróciły się w kompost, ich dusze przebyły Morze Ostatnie. My, Horolożki i Horologowie, z obawy przed podsłuchem uzgodniliśmy, że podczas wyprawy nie będziemy posługiwać się submową, ale zastanawiam się, czy inni także słyszą głosy z minionych żyć. Nie pytam, żeby nie rozpraszać ich, kiedy są skupieni na uważnym stawianiu kroków. Kto spada z Kamiennej Drogi, spada w nicość.

Docieramy do jedynego trójkątnego bloku wśród wszystkich stopni. Pośrodku jest wklęsły i na tyle duży, że mieści się na nim cała nasza szóstka.

– Witamy na Stacji w Pół Drogi – mówi D’Arnoq, a ja przypominam sobie, że tak samo nazwała ten stopień Immaculée Constantin, prowadząc Jacko podczas naszej Pierwszej Misji.

– Myślę, że będzie to dla ciebie dobry punkt obserwacyjny, Sadaqat – stwierdza Ōshima. – Można stąd obserwować tyły, na ile tylko pozwala widoczność. Jeżeli ułożysz się w tym wgłębieniu, tutaj pośrodku, będziesz widział każdego, zanim on dostrzeże ciebie.

Sadaqat kiwa głową, patrzy na mnie, a ja potwierdzam skinieniem głowy.

– Oczywiście, proszę pana. – Sadaqat posłusznie siada i wyjmuje z plecaka odpowiednio przystosowany iCube oraz metalowy cylinder. Kładzie iCube na stopniu, przy rogu najbliższym kierunkowi „w dół”.

– To bomba? – pyta D’Arnoq z zawodową ciekawością.

– Generator osłony Głębokiego Strumienia – Sadaqat otwiera powietrzny ekran kostki i przewija opcje – a także sygnalizator dusz. Ten dźwięk – słyszymy powtarzające się gęganie dzikich gęsi – rozlegnie się, kiedy czujnik wykryje niezidentyfikowaną duszę, na przykład pańską, D’Arnoq... – Palce Sadaqata przewijają wyświetlacz w bok i ekran drga, kiedy w pamięci jest zapisywany profil mózgu D’Arnoqa. – Teraz będziemy wiedzieć, kto przyjaciel, a kto wróg.

– Mądre urządzenie – mówi D’Arnoq. – Bardzo sprytne.

– Generator nie pozwala, by jakkolwiek psychozoteryk zastosował wobec mnie sważę, żeby zmusić mnie do deaktywacji N9D. – Sadaqat odkręca pokrywę metalicznego cylindra. – A wykrywacz powiadomi mnie, że ktoś usiłował mnie sważować i że czas zdetonować bombę, która, oczywiście, wygląda tak. – Ze spodu

cyindra gwałtownie wyskakuje trójnóg i Sadaqat ustawia bombę na stopniu. – W tę rurę wciśnięto dziesięć kilogramów N9D. Wystarczająco dużo, żeby zmienić Kamienną Drogę w tunel płomieni o temperaturze pięciuset stopni Celsjusza. Jeżeli tylko zagęga gąska – Sadaqat patrzy na D’Arnoqa – rozpęta się psychopiekło.

– Bądź czujny – mówi Ōshima. – Nasze życie zależy od ciebie.

– Poprzysiągłem czujność, panie Ōshima. Po to tu jestem.

– Macie lojalnego adiutanta – zwraca się do mnie D’Arnoq. – Gotowego na... najwyższą ofiarę.

– Wiem, mamy szczęście – mówię do Sadaqata.

– Proszę nie mieć takiej ponurej miny, pani doktor! – Sadaqat wstaje i ściska dłoń każdemu z nas. – Zobaczymy się wkrótce, przyjaciele. Jestem pewien, że tak właśnie mówi Skrypt. – Kiedy dochodzi do mnie, uderza się w serce. – Tutaj mam pewność!

*

Wspinamy się dalej, kamień po kamieniu, ale trudno oszacować, jak daleko czy jak wysoko zaszliśmy od Piasty i ile minut minęło od czasu, kiedy zostawiliśmy Sadaqata na straży na Stacji w Pół Drogi. Nasze urządzenia i zegarki zostawiliśmy w 119A. Tutaj czas istnieje, ale trudno go mierzyć, nawet w umyśle Horolożki. Moje postanowienie liczenia stopni zagłuszyły głosy osób już dawno umarłych. Idę więc po prostu za D’Arnoqiem, zachowując najwyższą czujność, aż w końcu docieramy do drugiego okrągłego bloku kamienia, prawie identycznego z Piastą u podstawy schodów.

– Ten nazywamy „Szczytem” – wyjaśnia D’Arnoq, wyraźnie zdenerwowany. – Dotarliśmy.

– Ale czy to nie tędy weszliśmy? – pyta Holly. – Świeca, kamienny krąg, wyryte litery...

– Napisy na kamieniach są inne – mówię. – Panie D’Arnoq?
– Nigdy się im dokładnie nie przyglądałem – przyznaje Anachoreta.
– Filologia to domena Pfenningera, kiedyś też Josepha Rhîmesa, ale dla większości z nas Kaplica jest... myślącą machiną, z którą jakoś musimy się obchodzić.

– „A cóż mogę ja, szary pionek?” – ironizuje Arkád.

Anachoreta wygląda na wykończonego.

– Może i tak. Może właśnie tak wszyscy sobie powtarzamy. – D’Arnoq trze oko, jakby wpadł mu tam piasek. – Dobrze, teraz rozewrę Umbrowy Łuk, nasze wejście. Ale uwaga, ostrzegam: Katar Ślepiec będzie bezpiecznie trwać w hipostazie w swojej ikonie w północnym rogu. Wyczućcie go. On was nie powinien wyczuć, więc...

– „Nie powinien”? – pyta Ōshima. – Co to znaczy „nie powinien”?

– Bogobójstwo zawsze jest obarczone ryzykiem – D’Arnoq rzuca Ōshimie groźne spojrzenie – inaczej nie byłoby bogobójstwem. Jeśli się pan boi, może pan zejść do Sadaqata i tam z nim czekać. Ale tutaj można ograniczyć ryzyko na trzy sposoby: pod żadnym pozorem nie patrzeć w twarz Katara Ślepca na ikonie, nie wydawać żadnych głośnych dźwięków, ani nie wykonywać gwałtownych ruchów oraz nie przeprowadzać żadnych aktów psychozoterki Głębokiego Strumienia, włączając w to submowę. Ja bez zakłócania energii Kaplicy mogę przeprowadzać akty Drogi Cienia, ale Katar wyczuje psychozoterkę z dalekiego krańca Schizmy. Wasze sto dziewiętnaście A jest wyposażone w alarmy, tarcze i osłony. Nasze sanktuarium podobnie. A jeśli Katar Ślepiec wykryje Horologów w swoim domu, zanim wysadzicie ściany Kaplicy, to dla każdego z nas dzień bardzo źle się skończy. Zrozumiano?

– Zrozumiano – potwierdza Arkád. – Draculę można bezpiecznie budzić dopiero po przebicium mu serca kołkiem.

D'Arnoq ledwie słyszy te słowa, bo już przywołuje akt odsłony. Skromny, ozdobiony trójlistną girlandą portal z przejściem na wysokość człowieka, migocząc, wylania się na skraju kamienia Szczytu. Umbrowy Łuk. Przez niego widzimy teraz Kaplicę i aż kulę się w sobie, kiedy za D'Arnoqiem dają krok do przodu.

– Wchodzimy – mówi któreś z nas.

*

Kaplica Zmierzchu Katara Ślepcy jest ciałem żywej istoty. To się wyczuwa z miejsca. Jeśli przyjąć Umbrowy Łuk za punkt południowy, romboidalna nawa Kaplicy ma może sześćdziesiąt kroków długości w osi północ-południe, trzydzieści kroków ze wschodu na zachód i jest wyższa niż dłuższa. Każda płaszczyzna kieruje wzrok do ikony Katara Ślepcy, odnosi się do niej lub ją odbija. Ikona wisi w wąskim „północnym” rogu, trzeba się więc mocno skupiać, żeby na nią nie patrzeć. Ściany, podłoga i stożkowate sklepienie są wyciosane w tym samym kamieniu, mlecznoszarym jak krzemień. Jedynymi przedmiotami w kaplicy są: długi dębowy stół ustawiony wzdłuż osi północ-południe, dwie ławki po jego obu stronach i po jednym dużym obrazie na każdej ze ścian. Immaculée Constantin ostatnim razem wyjaśniła Jacko znaczenie gnostyckich malowideł: Błękitne Jabłko Edenu w Południe Ósmego Dnia Stworzenia; Demon Asmodeusz, podstępnie zmuszony przez Solomona do budowania Świątyni Króla; prawdziwa Dziewica, karmiąca piersią parę Dzieciątek Jezus; i święty Tomasz, stojący w komnacie w kształcie rombu, identycznej z Kaplicą Zmierzchu. Tuż pod szczytem sklepienia wije się wykuty w połyskliwym kamieniu wąż, który pożera własny ogon. Kamienne bloki ścian wyciosał artysta doskonały i idealnie je ze sobą złączył, tworząc złudzenie, że Kaplica została wykuta we wnętrzu góry, lub że

po prostu wykrystalizowała się do istnienia. Powietrze w Kaplicy nie jest ani świeże, ani zatechłe, ani ciepłe, ani chłodne, choć unosi się w nim zapach złych wspomnień. Tutaj zginęła Holokai i mimo tego, co opowiadaliśmy Holly, nie mam dowodu, że także Xi Lo nie oddał tu życia.

– Dajcie mi chwilę – prosi cicho D’Arnoq. – Muszę odwołać mój akt nietykalności, żebyśmy mogli połączyć nasz psychowoltaż. – Zamyka oczy.

Podchodzę do zachodniego narożnika, gdzie przez okno można wyjrzeć na Wydmy, ciągnące się milę, czy też sto mil, aż do Wysokiej Grani i Światła Dnia. Holly idzie za mną.

– Widzisz, tam, wysoko? – pytam. – Stamtąd jesteśmy.

– Czyli te wszystkie blade światełka – szepcze Holly – które idą po Piasku, to dusze?

– Tak. Tysiące tysięcy, w każdej chwili.

Podchodzimy do wschodniego okna, gdzie w niejasnej odległości, w czerniejącym zmroku, Wydmy schodzą do Morza Ostatniego.

– A tam zmierzamy.

Patrzemy, jak drobne światełka wkraczają w bezgwiezdny kres i po kolei gasną.

Holly pyta:

– Czy Morze Ostatnie to naprawdę morze?

– Wątpię. Po prostu tak je nazywamy.

– Co się dzieje z duszami, kiedy tam dotrą?

– Sama się przekonasz, Holly. A może przyjdzie taki dzień, że ja też. Dzisiaj?

Wracamy na środek komnaty, gdzie D’Arnoq nadal pogrążony jest w inkantacjach. Ōshima wskazuje na szczyt Kaplicy i ruchem dłoni kreśli niewidzialną linię w dół, do północnego narożnika – miejsca, z którego, jak się wydaje, ikona bacznie nam się przygląda. Zamykam

oczy, otwieram oko czakry i skanuję sufit, szukając pęknięcia, o którym mówiła Esther...

Zajmuje mi to chwilę, ale je znajduję. Tam, zaczyna się na szczycie i biegnie łukiem w dół do cieni w północnym rogu.

Tak, pęknięcie jest, ale przeraźliwie małe, a zależy od niego pięć atemporalnych metażyć i jedno życie temporalne.

– Czy tylko mi się wydaje – pyta Holly, a ja zamykam oko czakry i otwieram powieki – czy ten obraz... jakoś tak... wciąga człowieka do środka?

– Nie wydaje ci się – odpowiada Elijah D’Arnoq, który właśnie powrócił między nas.

Przyglądamy się ikonie. Pustelnik odziany jest w białą szatę, kaptur opada mu na ramiona, odsłaniając głowę i twarz, która zamiast oczu ma puste miejsca.

– Tylko nie patrzcie na niego – przestrzega nas D’Arnoq.

Na Kamiennej Drodze dźwięk był stłumiony, więc trzeba było mówić dwa razy głośniejsze. Tutaj, w Kaplicy, szepty, kroki, a nawet szelest ubrań rozbrzmiewają wzmocnione, jakby zbierane przez ukryte mikrofony.

– Niech pani patrzy w bok – poleca D’Arnoq. – W tej chwili ikona może drzemać, ale sen ma lekki.

Holly zmusza się do spojrzenia w bok.

– To te puste oczodoły. Wciągają moje gałki oczne do środka.

– Nad tym miejscem unosi się szaleństwo – stwierdza Arkád.

– Zatem skróćmy cierpienia szaleńca – mówi D’Arnoq. – Akt anestezji wykonany. Teraz zgodnie z planem: Marinus i Unalaq, wyhiatusujecie ikonę, żebyśmy mieli pewność, że się nie obudzi, kiedy Arkád, Ōshima i ja będziemy kierować na nią psychoogniową siłę całego naszego woltażu.

Podchodzimy do północnego narożnika, gdzie postać bez oczu ćmi

się bladym światłem, jak podbrzusze rekina.

– Czyli wystarczy, że zniszczycie ten obraz – pyta Holly – żeby wysadzić całą Kaplicę?

– Tylko teraz, w tym momencie cyklu, w którym dusza Katar Ślepcy spoczywa w ikonie – odpowiada D’Arnoq w moim imieniu. – Czasami Katar przebywa w materii Kaplicy. Wtedy wyczułby nasze zamiary i stopiłby nas jak figurki z plastiku. Marinus. Zaczynaj.

Jeżeli Elijah D’Arnoq nas zdradza, zachowuje pozory do ostatniej chwili.

– Ty bierzesz lewą stronę – mówię do Unalaq. – Ja wezmę prawą.

Stajemy przed Katar Ślepcem i zamykamy oczy. Nasze dłonie wykonują synchroniczny taniec. Xi Lo nauczył Klarę Marinus-Koskową aktu hiatusu w Sankt Petersburgu, a ja, w moim indyjskim wcieleniu jako Choudary, nauczyłam Unalaq. Aby wzmocnić i pogłębić akt, nasze usta recytują go bezgłośnie z pamięci, tak jak oko pianisty przebiega złożony, lecz znajomy zapis nutowy. Wyczuwam, że świadomość Katar Ślepcy budzi się i z głębi ikony zbliża do jej powierzchni, jak rój pszczół. Spychamy ją z powrotem głębiej. Udaje nam się. Częściowo. Chyba.

– Szybko – mówię D’Arnoqowi. – To bardziej miejscowe znieczulenie niż głęboka śpiączka.

Z Unalaq odsuwamy się na bok. D’Arnoq staje przed swoim byłym panem, czy też obecnym, tego nie wiem, i wyciąga przed siebie ręce wnętrzem dłoni do góry. Z jego lewej i prawej strony Arkád i Ōshima przyciskają czakry dłoni do czakr D’Arnoq.

– Niech ci się nawet nie wydaje, że to odwalisz byle jak – ostrzega cicho Ōshima.

Blady i pokryty potem D’Arnoq zamyka oczy, otwiera oko czakry i kieruje bursztynowoogniste światło Drogi Cienia prosto w gardło Świętości nad Świętościami.

Katar Ślepiec już nie drzemie. Wie, że jest atakowany. Jak osołomiony lekami olbrzym, jak mój dom w Kleinburgu w kleszczach arktycznej nawałnicy, Kaplica napręża się i zмага z naporem. Zataczam się, chyba szybko mrugam, a wargi Katara wykrzywia wściekły grymas. Jego czakra zaczyna się rozszerzać, na czole pojawia się czarny punkt, który rozlewa się jak plama atramentu. Jeżeli otworzy się w pełni, będzie naprawdę źle – w ścianach Kaplicy uwięzione jest trzęsienie ziemi. Elijah D’Arnoq wydaje wysoki, nieludzki dźwięk. Wyrzucanie tak wielkiego strumienia psychowoltów prawie go zabija. Musiał wtedy mówić prawdę, jego apostazja jest prawdziwa, bo to rzeczywiście niedługo doprowadzi go do śmierci. Chyba znowu mrugam, a ikona staje w płomieniach i bucha z niej dym. Namalowany mnich wyje w niewyobrażalnym bólu, kiedy dwuwymiarowe płomienie palą go żywcem, jego oko czakry migocze, potem przestaje, znowu migocze, przestaje i...

*

Gaśnie. Cisza. Ikona Katara Ślepcy jest teraz zwęglonym kwadratem. Elijah D’Arnoq ciężko oddycha, zgięty wpół.

– Udało się. – Łapie powietrze. – Cholera, udało nam się.

Bezgłośnie konsultujemy się nawzajem w gronie Horologów...

...a Unalaq głośno potwierdza:

– On nadal tu jest.

Jej słowa stanowią dla nas wyrok śmierci. Katar Ślepiec tylko opuścił ikonę i zbiegł w podłogę, w ściany i sklepienie. Daliśmy się nabrać na szopkę, która miała pozwolić Anachoretom zyskać na czasie. Teraz zmierzają tu Kamienną Drogą i lada moment się zjawią. Apostazja D’Arnoqa była jednak pułapką, a Druga Misja okazała się przedsięwzięciem kamikadze. Gdybyśmy mogła porozumiewać się z

Inez i Aoife submową, przeprosiłabym je za to, ale ich świat jest poza naszym zasięgiem.

– Holly? Stań za nami.

– Udało nam się? Czy pojawi się Jacko?

Chciałabym ją teraz zhiatusować, żeby nie umierała, czując do mnie nienawiść. Skrypt nas zawiódł. Na cmentarzu w Blithewood powinnam była zawrócić, zadzwonić po Wendy Hanger, wyjaśnić, że zaszło nieporozumienie, i wrócić na dworzec w Poughkeepsie.

– Nie wiem – odpowiadam Holly-matce, siostrze, córce, wdowie, pisarce, przyjaciółce. – Ale stań za nami.

Wiadomość od Esther, subraportuje Ōshima. Rozpoczęła akt ostatni. Potrzebuje kwadransa.

– Musieliśmy spróbować – mówi krótko Unalaq. – Była nadzieja.

Elijah D’Arnoq nadal nie wychodzi z roli.

– O czym wy mówicie? – Nawet się uśmiecha. – Wygraliśmy! Katar Ślepiec nie żyje. Jego moc nie utrzymuje już materii Kaplicy, a za sześć godzin w miejscu, gdzie stoimy, będą tylko Wydmy i Zmierzch.

Patrzę na człowieka, który w powieści szpiegowskiej dostałby starą jak świat rolę podwójnego agenta. Nie potrzebuję nawet go skanować, żeby mieć pewność. Elijah D’Arnoq nie jest tak zręcznym kłamcą, jak mu się wydaje. Do pierwszej części podstępu, w moim domu na przedmieściach Toronto, ktoś zmienił go w prawdziwie skruszonego pokutnika, ale w pewnym momencie w ciągu kilku ostatnich dni Pfenninger, czy też Constantin, przywrócili w nim wyznawcę Drogi Cienia.

– Czy mogę, Marinus? – pyta Ōshima. – Proszę?

– A kiedykolwiek czekałeś na moje przyzwolenie? Ale tak, możesz. Z całej siły.

Ōshima udaje, że kicha i kinetyzuje D’Arnoqa po stole, aż siła pędu wyrzuca go poza krawędź blatu. D’Arnoq zatrzymuje się dopiero pod

Umbrowym Łukiem.

Xi Lo zrobił tak z Constantin, subzauważam, chociaż zdołał ją posłać tylko do połowy stołu.

– D’Arnoq należy do lekkiej kategorii wagowej – odpowiada Ōshima.
– Aż się prosiło. Długi, gładki stół, obok bydlak... Czy mogłem się oprzeć?

– Czyli... on nie jest jednym z nas? – pyta Holly.

– Wy! – Elijah D’Arnoq podnosi się i wrzeszczy z drugiego rogu Kaplicy: – Wy! Jeszcze będziecie wyć i płonąć żywym ogniem!

Nagle znikąd wyłania się wokół niego dziewięcioro mężczyzn i kobiet.

*

– O, mamy gości! – Baptiste Pfenninger klaszcze z szerokim uśmiechem na twarzy. Pierwszy Anachoreta to wysoki mężczyzna. Ma wysportowane ciało i wie, że dobrze wygląda w swoim świetnie skrojonym ubraniu. Nosi starannie przyciętą szpakowatą brodę. – Te stare mury uwielbiają gości, i to tak licznych! – Zapomniałam już brzmienia jego tubalnego, aktorskiego głosu. – Zwykle ktoś odwiedza nas raz na kwartał, więc dzisiejsza okazja jest naprawdę szczególna. Nasza druga bardzo szczególna okazja. – Wszyscy mężczyźni i wszystkie kobiety mają na sobie smokingi w różnych fasonach. Pfenninger włożył smoking w stylu edwardiańskim. – Marinus. Marinus, witaj. Jesteś jedyną gością w historii Kaplicy Zmierzchu, która odwiedziła nas dwukrotnie, choć oczywiście zeszłym razem swoje ciało zostawiłaś na Ziemi. Ōshima, wygląda pan staro, jest pan wypalony, zmęczony i bardzo przydałoby się panu wskrzeszenie. No cóż, nic z tego. À propos, dziękuję, że zabił pan Brzyckiego. Zdradzał początki wegetarianizmu. Któż jeszcze? „Unalaq”, dobrze

wymawiam? Brzmi okropnie, jak jakaś marka kleju, niezależnie od wymowy. Arkád, Arkád, urosłeś, odkąd ostatnim razem odpiłowałem ci stopy. Pamiętasz szczury? W Lizbonie za czasów Salazara dyktator to był dyktator. Umierałeś trzy doby. Zobaczmy, czy uda mi się pobić ten rekord z Inez, co? – Pfenninger cmoka z dezaprobatą. – Wielka szkoda, że nie ma tu L’Ohkny i Roha, ale pan D’Arnoq – Pierwszy Anachoreta zwraca się do swojego podwójnego agenta – schwytał tylko grube ryby. Zuch. O, jeszcze pani Sykes, tajemnicza pisarka, a obecnie właścicielka kurzej fermy w Irlandii. Nigdy się nie poznaliśmy. Jestem Baptiste Pfenninger, interlokutor dla tej cudownej maszyny – wskazuje ściany i sklepienie – oraz... och, tytuły, tytuły, ciągną się za człowiekiem jak łańcuchy za Marleyem. Jacobem, nie Bobem. Dwoje spośród nas jest jeszcze bardziej niż ja zachwyconych, że mogą tu panią widzieć, Holly...

Immaculée Constantin, w czarnej aksamitnej sukni i pajęczynie brylantów, wysuwa się przed szereg.

– Moje osobliwe dziecko całkiem już podrosło... Menopauza, rak, złe towarzystwo. No i jak? Pasuję do mojego głosu?

Holly patrzy na tę postać z dzieciństwa, którą widywała bez twarzy, i nie może wydobyć z siebie słowa.

Constantin przestaje się uśmiechać, choć jej uśmiech i tak nie był szczery.

– Jacko potrafił podtrzymać rozmowę. Tylko że wtedy to nie był już Jacko, prawda? Powiedz, Holly, uwierzyłaś w zapewnienia Marinus, że twój brat zmarł z przyczyn naturalnych, kiedy Xi Lo dziwnym trafem akurat unosił się w pobliżu? Hmm?

Mijają sekundy. Holly pyta zachrypniętym głosem:

– Co chce pani powiedzieć?

– Ojoj. – Constantin uśmiecha się z politowaniem. – Uwierzyłaś im, prawda? Zapomnij, że cokolwiek mówiłam, proszę. Plotki to

diabelskie nasienie, nie będą ich powtarzała, ale... spróbuj pomyśleć logicznie, zanim umrzesz. Aoife też się zajmę. Żeby nie tęskniła za tobą. Tak naprawdę, to dlaczego by nie pójść na całość i nie zabić Sharon i Brendana, tak żeby mieć wszystkich Sykesów do kompletu, że tak powiem?

Esther miała już około trzech minut. Jeśli Pfenninger będzie przemawiał kwiecicie, finałowa scena z Sadaqatem powinna zająć pięć. Szacuję nasze szanse, kiedy już zaczniesz się psychobitwa. Trzej najmłodszy Anachoreci nie powinni sprawić kłopotu, ale w Kaplicy nie ma niczego, czym można by miotać, a jedenaścioro przeciw czworgu to jednak spora przewaga. Będziemy musieli zdobyć jeszcze siedem minut dla Esther. Czy damy radę powstrzymać ich aż tak długo?

– Jeszcze pożałujesz, że groziłaś mojej rodzinie – cedzi przez zęby Holly. – Przysięgam. Przysięgam na Boga.

– O, przysięgasz? I to na Boga? – Immaculée Constantin ma zmieszaną minę. – Ale Bóg umarł. Zobaczmy, czy nasi przyjaciele, Ludzie z Radia, potwierdzą, że będą żałować złożonych obietnic, co? – Przykłada dłoń do ucha, całego w brylantach, i udaje, że słucha. – Nie, Holly, nie. Ktoś ci źle powiedział. Nie będę niczego żałowała. Ty natomiast będziesz wiła się z bólu i żałowała, że opuściłaś swoją sekretną przyjaciółkę, Miss Constantin, kiedy byłaś słodką siedmiolatką słyszącą głosy. Pomyśl. Zginęłoby tylko jedno z Sykesów, zamiast pięciorga, i jedno z Brubecków. Będziesz wyła z żalości! Panie Anydrus? Czy nasza menopauzalna wdowa lubiła krzyczeć, kiedy była jeszcze gibka i pełna feromonów?

Przed szereg wychodzi Hugo Lamb. Ma nadal dołek w brodzie, a jego ciało zachowało wygląd dwudziestopięciolatka. Ma lekceważące spojrzenie.

– Nie, była raczej małomówna. Witaj, Holly. Dziwnie się sprawy potoczyły, prawda?

Holly cofa się o krok. Ostrzeżenie przed widokiem zjawy to jedno, ale ujrzanie zjawy to zupełnie co innego.

– Co oni ci zrobili?

Niektórzy z Anachoretów wybuchają śmiechem. Hugo patrzy w oczy swojej dawnej kochance.

– Oni – wiedzie wzrokiem po Kaplicy – mnie uleczyli. Uleczyli mnie ze strasznej, wyniszczającej choroby zwanej śmiertelnością. Choroby, która krąży wszędzie. Młodzi przez pewien czas jej się nie dają, ale w końcu nawet najsilniejszy pacjent zmienia się w zasuszony embrion, w Struldbrugga... w wychudły, żylasty, niekontrolujący wycieku śliny czasomierz, którego twarz zdradza, jak bardzo, bardzo niewiele czasu mu zostało.

– À propos zdradzania, Marinus – wtrąca Pfenninger – wiesz, że mamy w waszym kręgu superszpiega?

Nie ulegam pokusie, żeby powiedzieć: „Owszem, wiemy od roku”.

– I to wcale nie pana D’Arnoqa – ciągnie Pfenninger. – On was zwodził tylko przez tydzień. A nasz szpieg zawodowo urabiał was przez cały rok.

Bałam się właśnie tej sceny.

– Nie rób tego, Pfenninger.

– Owszem, to bolesne, ale *veritas vos liberabit*. I pamiętaj, szanse na uzyskanie kilku dodatkowych minut życia macie tylko wtedy, jeśli będę się dobrze bawił...

To prawda. Myślę o pozacieleśnej Esther, która inkantuje prawdziwe psychopiekło w głowie Ōshimy. Liczy się każda zyskana sekunda.

– Proszę bardzo, pokaż mi, co masz do pokazania. Jestem gotowa.

Pfenninger pstryka palcami w stronę Umbrowego Łuku i na scenę wkracza Sadaqat. Po jego postawie od razu widać, że z pokornego stróża stał się dowódcą plutonu egzekucyjnego.

– Jak miło was znowu widzieć, przyjaciele. Cóż, stałem przed wyborem: kolejne dwadzieścia lat sprzątanía, prania, pielienia, starzenia się, cewników, problemów z prostatą czy wieczne życie, bezpłatne szkolenie w Drodze Cienia i tytuł własności do sto dziewiętnaście A. Hm, niech pomyślę. Przez jakieś dwadzieścia sekund. Cóż. Droga Służącego nie jest dla mnie.

Holly jest w szoku.

– Oni panu ufali! To pańscy przyjaciele!

– Gdyby znała pani Horologię dłużej niż pięć dni, pani Sykes – Sadaqat podchodzi do przeciwległego końca długiego stołu i opiera się o blat jak właściciel mebla – w końcu dotarłoby do pani, że Horologia to klub nieśmiertelnych, którzy nie dopuszczają innych do własnych przywilejów. To arystokraci. Bardzo przypominają jakiś kraj białej rasy. Przykro mi, że mieszam w to kwestie rasowe, ale to bardzo trafna analogia. Bastion białych bogaczy, imperialistów, którzy eksploatują inne nacje i torpedują łodzie z uciekinierami, nadpływające z Krainy Ciemnoskórych Mas. Ja natomiast wybrałem przetrwanie. Każda żyjąca istota zrobiłaby to samo.

– Gratulacje z okazji objęcia nowej posady, Sadaqat. – Szczerości słów Arkáda nie można niczego zarzucić. – „Żniwiarz dusz”. Trafiło na miłego faceta.

Sadaqat uśmiecha się pogardliwie:

– Pakistański służący wyczuwa subtelną ironię w tonie pana Arkáda.

Ōshima kpi:

– Masz już gotowe jakieś hipsterskie nowe imię, Sadaqat? Kapitan Szpicel? Mister R.E.S.P.E.C.T.? DJ Kolabor?

– Na pewno nie będę się nazywał Mister „Nie-przejmuj-się-Sadaqatem-on-się-cieszy-i-czuje-się-zaszczycony-że-może-wysadzić-się-na-schodach-żeby-nas-ocalić”.

– Sadaqat odegrał swoją rolę – mówię Pfenningerowi. – Puśćcie go.

Pfenninger poprawia muszkę.

– Nie udawaj, że mnie rozszyfrowałaś, Marinus. Nie hodowałabyś świadomie szpiega na własnej piersi.

– Masz rację, nie miałam pojęcia. Ale wykonywał wasze rozkazy. Donosił na nas. Wyrzucił już swoje dziesięć kilo plasteliny. Puść go, Pfenninger.

Sadaqat wybucha opryskliwie – nie widziałam go takiego, odkąd był moim pacjentem w szpitalu Dawkinsa w angielskim Berkshire:

– Plasteliny?! Żadnej plasteliny, to było N9D! Materiał wybuchowy o hipermocy rażenia! Sama mnie nim obwiązałaś!

– Na dobrą sprawę, Marinus, Sadaqat ma trochę racji, to nie była plastelina – zauważa Arkád. – To była modelina, która twardnieje pod wpływem światła.

Sadaqat staje na ławce.

– Kłamstwa! Zawlekliście mnie tutaj, żebym był waszą chodzącą miną lądową!

– Trzykrotnie usiłowałam ci wyperswadować udział w Drugiej Misji, Sadaqat – przypominam.

– Mogliście mnie zeswazjować, jeśli moje dobro tak bardzo leżało wam na sercu. A pan Pfenninger bynajmniej nie zamierza mnie „puścić”, pani doktor! Jestem teraz Dwunastym Anachoretą.

– Wybacz, że poruszam delikatną kwestię rasy – odpowiada Arkád – ale przyjrzyj się dobrze Anachoretom, od Pierwszego do Jedenastego. Rzucają ci się w oczy jakieś etniczne cechy wspólne?

Sadaqat nie dopuszcza jednak do siebie żadnych wątpliwości.

– Zostałem zwerbowany, żeby poprawić wśród Anachoretów równowagę rasową.

Arkád parska śmiechem i udaje, że się dławi.

– Przepraszam, zakrztusiłem się. A dlaczego biali Anachoreci wybrali właśnie ciebie?

– Dlatego że mam gigantyczny psychowoltaż!

– Biedny pajacu. – Ōshima ziewa. – Zdarzało mi się jeść dim sumy, które miały wyższy psychowoltaż niż ty.

– Jestem bardzo ciekawa, Marinus, co teraz czujesz – odzywa się Immaculée Constantin. – Twój pupil schizofrenik właśnie was sprzedał. Czy nic nie jest w stanie wywołać w tobie pogardy dla drugiego człowieka?

– Ludobójstwo i duszobójstwo wywołują ją od razu. Ale zarzucam wam też wykorzystanie u Sadaqata strachu przed śmiercią, żeby nakłonić go do zdrady. Przykro mi, Sadaqat. To jest Wojna. Oni musieli uwierzyć, że jesteś ich asem w rękawie. W każdym razie dziękuję ci za opiekę nad ogrodem. Tu się nic nie zmienia.

– Jestem Dwunastym Anachoretą. Proszę im powtórzyć, Miss Constantin, co mi pani powiedziała. O moim potencjale jako wyznawcy Drogi Cienia.

– Masz potencjał zamęczenia ludzi na śmierć własnym jękiem, Sadaqat – odpowiada Constantin zatroskanym, matczynym tonem, a gdy to słyszę, wiem, że nie mamy już wiele czasu. – Ale jeśli chodzi o psychozoterykę, strzelasz ślepakami. Co gorsza, jesteś zdrajcą. Beżowym, pozbawionym czakry i talentu zdrajcą.

Sadaqat rozgląda się z niedowierzaniem po wszystkich postawnych białych Anachoretach. Aż trudno mi patrzeć na jego zdumioną minę, ale jestem winna mu to spojrzenie. Sadaqat jednak litościwie odwraca się do nas tyłem i podchodzi kilka kroków na chwiejnych nogach w stronę Umbrowego Łuku. Dwaj Anachoreci z tylnej straży zagradzają mu drogę. Sadaqat puszcza się biegiem do bramy wyjściowej, ale Pfenninger łapie go na psycholasso i silnymi szarpnięciami przyciąga z powrotem, a potem kinetyzuje go dwadzieścia stóp w górę. Nie mogę mu przeszkodzić. Powodzenie Drugiej Misji zależy od zachowania każdego psychowolta na nadchodzącą walkę. Constantin

odprawia dłonią akt przemocy i głowa Sadaqata okręca się o trzysta sześćdziesiąt stopni.

– Proszę – Constantin mruczy jak kotka – nie jesteśmy aż takimi sadystami, prawda? Szybko i gładko. Nawet kurczaki bardziej cierpią, kiedy się im ukręca głowę, prawda Holly?

Bezwładne ciało Sadaqata spada na ziemię, a któryś z młodszych Anachoretów kinetyzuje je przez wschodnie okno, jak foliowy worek na śmieci. Przynajmniej jednak dusza Sadaqata odnajdzie drogę do Morza Ostatniego, w przeciwieństwie do wszystkich innych „gości”, których sprowadzano tu na psychodekantowanie.

Za chwilę zaatakują, subostrzega mnie Unalaq.

Czując się jak dyrygentka, która podniesieniem batuty daje znak Orkiestrze Piekieł, mówię:

– Zaczynamy.

*

Unalaq inwokuje tarczę od ściany do ściany, odcinając północną ćwiartkę Kaplicy. Nawet z odległości trzydziestu kroków siła osłony każe Pfenningerowi, Constantin, Hugo Lambowi i D’Arnoqowi cofnąć się o kilka stóp. Tarcza jest zakotwiczona we wzniesionej dłoni Unalaq i migocze błękitną soczewką mocy Głębokiego Strumienia. Pfenninger i Constantin przyglądają nam się pobłaźliwie zza pola tarczy. Dlaczego? Elijah D’Arnoq przykłada obie dłonie do ust i coś do nas krzyczy. Przebicie się przez tarczę Unalaq zajmuje jego słowom kilka sekund. Dociera rwane, ale jeszcze zrozumiałe: „Za wami!”.

Oglądam się. Odrażająca zwęglona ikona Kataru Ślepeca odtwarza swoją pierwotną formę. Widać już skórę mnicha, a złota aureola zaczyna lśnić. Co gorsza, powraca też czarny punkt oka czakry. Kiedy urośnie w pełni, Katar będzie mógł zdekantować każdego z nas po

kolei.

Pfenninger drwi:

– Proszę, z kim się sami uwięziliście!

– Ja go biorę! – woła Ōshima. – Marinus, Arkád, podtrzymujcie tarczę. Żegnaj, Esther.

Dusza Esther exodusuje z Ōshimy, trawersując do jednej ze ścian, i pulsuje, gdy przywołuje akt ostatni. Wtedy siwowłosy wojownik odwraca się, chwyta krawędzie ikony i zbliża głowę do Katara Ślepca. Zamyka swoje fizyczne oczy i kieruje cały woltaż Głębokiego Strumienia z rozjarzonej czakry prosto w czarną źrenicę na czole postaci z ikony. Ōshima nie może wygrać w walce z tym pozacielesnym źródłem mocy Drogi Cienia, ale może zyskać dla nas cenną minutę.

Pfenninger dostrzega jednak ukrytą duszę i wydaje jakiś rozkaz. Anachoreci podchodzą do naszej tarczy, w dwóch rzędach po pięcioro z każdej strony stołu, a ich dłonie wściekle kreślą w powietrzu symbole. Dociera do mnie głos Constantin:

– Rozwalić tarczę i najpierw zabić ukrytego!

Arkáda, Unalaq, Holly i mnie odrzuca w tył nawałnica miotanego żaru, trzasków laserowego bata i pocisków akustycznych. Czuję, jak z każdym uderzeniem układ nerwowy Unalaq przeraźliwie krzyczy. Razem z Arkádem odpowiadamy ostrzałem, a pociski Głębokiego Strumienia miotane z naszych czakr dłoni przebijają tarczę Unalaq. Te, które osiągną celu, wywołają w Anachoretach hiatus, unieruchomią ich albo zredagują im pamięć i wyeliminują z bitwy, ale psychopociski zapalające Drogi Cienia usmażą nam ciało. Anachoreci mają miotacze ognia, my natomiast strzałki z anestetykiem i tarczę ochronną. Która zaczyna pękać. W stroboskopowych rozbłyskach ognia widzę, że razem z Arkádem zaliczyliśmy kilka szczęśliwych trafień. Cammerer, Ósmy

Anachoreta, pada na ziemię, a Osterby, Szósty, zhiatusowany traci równowagę i obala się jak świński poć. W tej chwili jednak Du Nord wywołuje tarczę Drogi Cienia, żeby zapobiec dalszym stratom.

Anachoreci nadal mają nad nami przewagę liczebną – dziewięcioro do trojga – a do tego jesteśmy zamknięci ze złym półbogiem, którego Ōshima z pewnością nie może powstrzymywać dużo dłużej. Holly kuli się pod ścianą. Nie mam czasu zgadywać, o czym myśli. Unalaq zaczyna silnie drżeć, kiedy czerwona osłona wroga uderza w jej tarczę z siłą pociągu towarowego i z jazgotem szlifierki kątovej. W tym punkcie starcia błękit Głębokiego Strumienia zmienia się w trędowaty siny fiolet, a Unalaq musi cofnąć się o krok, za chwilę o jeszcze jeden, i jeszcze, i jeszcze, zmniejszając trójkąt naszego terytorium do kilku metrów kwadratowych. Nie mam czasu sprawdzić, czy Holly przesunęła się z nami na odgródzone przez tarczę pole Horologii, bo kolejnych dwóch Anachoretów podnosi teraz czakry dłoni i wśród ostrzału psychopocisków słyszę krzyk Constantin:

– Rozgnieść ich jak robactwo!

Arkád kieruje cały swój psychowoltaż w tarczę Unalaq, co czasowo ją wzmocni, ale nawałnica ognia Anachoretów ma teraz dwa razy większą moc, trzy razy, cztery razy. Psychowalka w rozbłyskach jasnych jak światło magnezji zbyt razi oczy, żeby mieć je otwarte, więc tylko okiem czakry widzę, że długi stół unosi się na dziesięć stóp w powietrze, nieruchomieje tam przez sekundę jak drapieżny ptak, a potem sunie z rozpędem prosto w Arkáda i Unalaq. Odruchowo robię dłonią znak kontrozkazu, szybciej niż kiedykolwiek, i zatrzymuję stół pięć cali od napiętej twarzy Arkáda. Stół przebił obie wciśnięte w siebie tarcze i teraz jego połowa jest po naszej stronie, połowa po stronie wroga. Pfenninger próbuje pchać stół tak, żeby staranować nim Arkáda i Unalaq, i w ten sposób zdezaktywować naszą tarczę, ja natomiast usiłuję go powstrzymać. Przez długą, pełną niepewności

chwile zmagamy się o kontrolę nad stołem, ale Pfenninger dostaje nagle wsparcie od nowych Anachoretów i muszę ulec. W tej samej chwili ciężki mebel miażdży głowę doktor Iris Marinus-Fenby. Na szczęście wpadł teraz cały na naszą stronę tarczy, więc nie może już służyć Anachoretom jako broń, ale moja czaszka jest prawie rozłupana. Exodusuję, zanim mój mózg się wyłączy. Przyczyna śmierci: latający stół. Pierwszy taki przypadek w moim metażyciu, a kiedy ostatecznie umrę w Zmierzchu, również ostatni.

Przez coraz czerwieńszy fiolet widzę Pfenningera, Constantin i sylwetki innych zaledwie kilka kroków od nas. Kierują ogień na Unalaq i prowadzą nieustanny ostrzał, aż w końcu pęknięcie rozrywa tarczę. Baptiste Pfenninger uśmiecha się jak dumny ojciec, podnosi dłoń, a igiełka oślepiającego światła kreśli w powietrzu linię między jego ręką a sercem Unalaq. Psychodum-dum niemal odwraca tyłem ciało mojej przyjaciółki, byłe ciało mojej nieżywej przyjaciółki, i jej zwłoki opadają na ziemię w nieruchomy stos kości i wnętrzości. Pfenninger i Constantin patrzą na to z zachwytem. Arkád desperacko usiłuje naprawić naszą bladobłękitną zaporę, Ōshima natomiast cały czas zмага się w zwarciu z rozświetloną ikoną Katara Ślepca.

Widząc moje martwe ciało pod ścianą, Anachoreci sądzą, że nie może ich już teraz zaatakować nikt o psychozoterycznych siłach, więc ich czerwona tarcza gaśnie. Zapłacą za ten błąd. Pozacieleśnie formuję neurokulę, wypełniając ją psychowoltażem, i kinetyzuję ją we wrogów. Kula wali w Imhoffa i Westhuizena, Piątego i Siódmego Anachoretę, którzy bezwładnie padają na ziemię. Troje przeciw siedmiorgu. Ingresuję w Arkáda, żeby pomóc mu naprawić tarczę, która nabiera silniejszej błękitnej barwy i odpycha pozostałych Anachoretów. Jednak, kiedy Arkád spogląda w tył na Ōshimę, widzę, że stary wojownik właśnie przegrał walkę. Jego ciało wyparowuje na naszych oczach.

Idź do Holly, subbrokazuje Arkád. Wypełniam polecenie, nie myśląc nawet, żeby się z nim pożegnać, czego natychmiast żałuję. Trawersuję jednak do Holly, ingresuję w nią, wywołuję akt swazji całkowitej i... I co teraz?

Siedmioro pozostałych przy życiu Anachoretów, rozwścieczonych utratą Imhoffa i Westhuizena, ostrzeliwuje Arkáda wszystkim, co mają, i błękitna tarcza ostatecznie gaśnie. Arkád wyczerpał swój psychowoltaż do cna. Prostuje się teraz i pokazuje Baptiste'owi Pfenningerowi środkowy palec. Katar Ślepiec posyła w niego od tyłu krótką, ostrą psychostrzałę i Arkád wyparowuje. Bitwa skończona. Zabiją Holly albo może będą chcieli ją zdekantować. Nie widzę Esther ani nie mogę się z nią skomunikować, Katarowi Ślepcowi wystarczy jednak kilka sekund, żeby psychozlokalizować jej duszę i unicestwić ją, a Horologia przegra wtedy stuletnią wojnę przeciw Anachoretom, którzy...

*

Kaplicę wypełnia światło, przenikając przez przyciśnięte do oczu dłonie, przez powieki za dłońmi, przez rogówki i ciało szkliste, przez mięśnie, kości, przez dusze... Biel jest tak biała, że aż czarna. Esther się udało. Esther wygrała. Czekam na łoskot i hurgot rozpadającej się na pół Kaplicy. Czekam na wrzaski Anachoretów, kiedy ich machina nieśmiertelności będzie rozpadać się na ich oczach.

Mijają sekundy... Wiele sekund.

Czerń za bielą znowu blaknie do bieli.

Biel spływa, odsłaniając ponownie mlecznoszary krzemień.

Powraca widzenie. Otwieram powieki Holly i z miejsca, gdzie leży jej ciało, patrzę na sklepienie Kaplicy. Nie zapadło się.

Myślę: Akt ostatni Esther nie miał wystarczającej mocy.

Myszę: Katar Ślepiec postanowił interweniować.

Już wszystko jedno, dlaczego Esther nie wykonała zadania. Druga Misja była ostatnią szansą. Horologię tworzą teraz tylko haker L'Ohkna i ochroniarz Roho. Horologia przegrała, Anachoreci wygrali.

Ciało Holly chce jęknąć i odkaszlnąć, ale zmuszam je do śmiertelnego bezruchu, a w tym czasie opracowuję... Co? Nie mam już dość woltażu nawet na jeden psychopocisk. Mam ratować własną duszę? Exodusować z ciała Holly i pod osłoną unosić się w pobliżu, kiedy ją mordują albo dekantują, aż w końcu Katar Ślepiec dostrzeże przerażone zwierzątko skulone w kącie? Niemal zazdroszczę Esther. Przynajmniej umarła w błędnym przekonaniu, że Horologia odniosła ostateczne zwycięstwo.

Anachoreci patrzą, ilu z nich zdołało przetrwać. Pfenninger nadal stoi pośrodku nawy. Przy życiu pozostali Constantin, D'Arnoq, Hugo Lamb, Rivas-Godoy, Du Nord i O'Dowd. Jeden czy dwóch z leżących na ziemi może się niedługo obudzić, a może nie. Anachoreci ponieśli straty, ale będą mieli listę potencjalnych drapieźników i za dziesięć albo dwadzieścia lat znowu będą działać i porywać z pełną mocą. Kaplica Zmierzchu pozostała nawet niedrażnięta. Poza wywróconym stołem, ławkami oraz pomniejszą ikoną przechyloną pod złym kątem nie ma śladu po walce, która szalała tu jeszcze przed minutą. Nie wiem, co mam robić, więc po prostu pozostaję w głowie Holly i paraliżuje mnie niemożność podjęcia decyzji.

Elijah D'Arnoq pyta:

– Co to było za światło?

– Akt ostatni – stwierdza Pfenninger. – Dość potężny. Pytanie: kto go inwokował?

– Esther Little – odpowiada Constantin. – W pozacielesnej formie. Kontrskrypt ani razu nie wspominał o jej śmierci. Wyczuwałam ją. Zaatakowała najsłabszy punkt Kaplicy, w nadziei że rozłupie ją i

bardziej ogłuszającym natężeniem. Cienka linia pęknięcia zmienia się w czarny zygzak, który od północnego punktu sklepienia biegnie w dół po ścianie za ikoną. Przerażliwy dźwięk powoli cichnie, ale pozostawia brzemieną, pełną grozy ciszę... Z miejsca, gdzie ja-w-Holly siedzę skulona, widzę, jak gnostycki wąż w kształcie aureoli kołysze się i spada na posadzkę. Rozbija się w drobny mak, jakby ktoś stłukł tysiąc talerzy, a okruchy toczą się po kamiennej podłodze. W rozbitych odłamkach wybucha wrzawa, jakby uciekało zamkniętych w nich dziesięć tysięcy istnień. Fragment wielkości piłki do krykieta przelatuje tuż obok głowy Holly. Słyszę, jak Baptiste Pfenninger teatralnym szeptem pyta:

– Jasna cholera! Widziałś to, Constantin?

Nagle przychodzi mi do głowy, żeby zmierzyć psychowoltaż Holly, i odkrywam większy zapas, niż się spodziewałam.

– To jeszcze nic – ucina Constantin. – Nie widzisz pęknięcia?

Ja w tym czasie po cichu wywołuję akt osłony. Jeśli jakiś psychozoteryk spojrzy teraz prosto na mnie, zobaczy niewyraźny zarys mojej sylwetki, ale to lepsze niż nic, tym bardziej że siedmioro Anachoretów martwi się w tej chwili zagrożoną materią Kaplicy. I mają powód do zmartwień. Pęknięcie biegnie dalej po ścianie w stronę zachodniego okna. Słyszemy zgrzyt miażdżonego kamienia.

Elijah D'Arnoq zauważa pierwszy:

– Sykes!

O'Dowd, Jedenasty Anachoreta, pyta:

– Gdzie ona się podziała?

– Hostuje, suka – syczy Du Nord. – Ktoś dał jej osłonę!

– Zasłoń tarczą Umbrowy Łuk! – rozkazuje Constantin Rivasowi-Godoyowi. – To Marinus! Nie daj jej uciec! Ja wywołam akt odsłony i...

Nad nami ryczy jakiś ogr, a ze szczeliny spada grad kamieni. Pęknięcie rozdziera się szerzej. Już rozumiem. Akt ostatni Esther

zadziałał i tylko mocą Katara Ślepeca Kaplica pozostawała nietknięta. Ale teraz nawet jego przedwieczna siła słabnie.

– Pfenninger, uciekaj! – krzyczy Constantin.

Pierwszy Anachoreta, któremu instynkt przetrwania być może stłumiło sączone przez dwa stulecia Czarne Wino, a także zdrowie i bogactwo, najpierw patrzy jednak w górę za spojrzeniem Constantin, a dopiero potem chce się rzucić w bezpieczne miejsce, nie odwrotnie. Kamienny blok ze sklepienia Kaplicy, wielkości samochodu, jest ostatnią rzeczą, którą Baptiste Pfenninger widzi, zanim kamień zmiążdży go, jakby wielki młot rozbijał jajko. Więcej odłamów muru odrywa się od ścian przy podłodze. Przywołuję z powrotem osłonę i ochraniam ciało tarczą. Du Nord, francuski kapitan, który wstąpił na Drogę Cienia w 1830 roku, jest zbyt słaby, żeby samemu ochronić się przed nawałnicą szrapneli, i chociaż odłamki nie zabijają Du Norda, to jednak jego obecna żona nie byłaby już w stanie go rozpoznać. Trzy czy cztery postaci pod ochroną tarcz rzucają się biegiem w stronę Umbrowego Łuku, ale jak góra lodowa, która odrywa się od wielkiej masy lodu, południowa część sklepienia obsuwa się w dół i blokuje przejście pod Łukiem. Pieczętuje nasz grobowiec na wieki.

Ze sklepienia cały czas kruszy się kamień i przez coraz większe szczeliny Zmierzch niecierpliwie wsuwa do wewnątrz chropowate, mętne macki, wyciąga je i pożądliwie obejmuje nimi Kaplicę. Bzyczy i buczy, ale nie tak jak pszczoły; szemra, ale nie tak jak ludzki tłum; szepcze, ale nie tak jak piasek. Wić Zmierzchu rozwija się za plecami D’Arnoą, kiedy on akurat się cofa, żeby uchronić się przed spadającym skalnym blokiem. Jego tarcza nie powstrzymuje Zmierzchu, który muska D’Arnoą po plecach i zmienia go w chmurę Zmierzchu w kształcie człowieka, ale ta forma trwa tylko chwilę.

– Marinus, czy to ty tu jesteś? – pyta Holly.

Przepraszam, że cię zeswajowałam bez pozwolenia.

– Pokonaliśmy ich, prawda? Aoife nic już nie grozi.

Rodziny wszystkich ludzi są już bezpieczne.

Patrzymy na rumowisko, na porozrzucane w Kaplicy ciała. Widać tylko trzy postaci otoczone czerwonymi jak żar tarczami. Rozpoznaję Constantin, Rivasa-Godoya i Hugo Lamba. W rogu na ścianie Kaplicy ikona Katara Ślepcą łuszczy się i rozpuszcza, jakby obłana kwasem. W Kaplicy z każdą sekundą robi się coraz ciemniej. Macki Zmierzchu wypełniają już przynajmniej jedną czwartą komnaty.

– Ten cały Zmierzch... – mówi Holly. – Nie wygląda, jakby miało bardzo boleć.

Przepraszam, że cię w to wciągnęłam.

– Wszystko w porządku. Nie ty, tylko Wojna.

Jeszcze tylko kilka chwil i koniec.

*

Rozdzierający huk od strony północnego narożnika zmienia się teraz w cichy dźwięk gongu, który rozbrzmiewa z dysonansem. W miejscu, gdzie wisiała ikona, widnieje eliptyczny otwór, z którego bije blade księżycowe światło.

– Ten dźwięk – mówi Holly – brzmiał, jak dzwonek w Kapitanie Marlow. Co to było, Marinus?

Kilka stóp od nas jęzor Zmierzchu zlizuje w niebyt psychouśpione ciało Imhoffa.

Nie mam pojęcia, subprzyznaję. Nadzieja?

Troje ocalałych Anachoretów dochodzi z pewnością do tego samego wniosku i rzuca się ku północnemu narożnikowi. Ja-w-Holly idę za nimi, czy też usiłuję iść, ale przez wybite wschodnie okno wsuwa się długa macka Zmierzchu. Ślizgam się na kałuży, która kiedyś była Baptistem Pfenningerem, i uciekam w bezpieczną przestrzeń

czystego powietrza, które przesuwa się nawą, ale za chwilę kolumna szarych wirów przypiera mnie do zachodniej ściany. Zmierzch wypełnia już ponad połowę kaplicy, a trzydzieści kroków do owalnego otworu trzeba pokonać przez płynące w powietrzu pole minowe. Potykam się o moje dawne ciało, leżące w niezbyt dostojnej pozycji, ale za kilka sekund doktor Fenby przestanie istnieć. Jakimś cudem nadal sprzyja nam szczęście i docieramy do elipsy. Nigdzie nie widać Constantin ani jej dwóch towarzyszy. Czy to jakieś wyjście awaryjne? Jakoś nie wygląda na część projektu Katara Ślepcy. Poświata owalu rozjaśnia się, a Kaplica ciemnieje. To membrana, przez którą płyną chmury, jak na niebie w przyspieszonym tempie. Patrzę ostatni raz na Kaplicę, teraz całą już wypełnioną Zmierzchem. Zapada się wschodnia część dachu.

– Co mamy do stracenia? – pyta Holly.

Zaczerpuję głęboko tchu w płuca mojej gospodyni i robię krok naprzód...

...prosto w korytarz akurat na tyle szeroki i wysoki, żeby zmieścił się w nim człowiek. Przejście jest oświetlone gasnącym światłem Kaplicy i księżycową poświatą pionowej płaszczyzny, przez którą właśnie przeszliśmy, najwyraźniej bez szwanku. Nadal słychać ryk rozpadającej się w niebyt Kaplicy, ale jakby milę za nami, a nie kilka metrów. Przez dziesięć kroków korytarz schodzi w dół, potem docieramy do ściany, a przejście rozwidła się w lewo i w prawo. Tutaj jest cieplej. Dotykam muru. Ma temperaturę ludzkiego ciała, czerwoną barwę Marsa, a w dotyku przypomina niewypaloną cegłę. Jeśli jednak dźwięk, światło i ciało mogą przechodzić przez membranę, to obawiam się, że Zmierzch również wkrótce będzie za nami podążał. Przydałaby się tarcza, szczególnie że przed nami jest trzech Anachoretów, jednak psychowoltaż Holly jest już niski, a mój w zasadzie całkiem wyczerpany, więc idę krótkim przejściem do końca.

Korytarze z lewej i prawej strony zakręcają w ciemność. *Czuję się tu jak w jakimś grobowcu, submówię do Holly, ale...*

– Ale Katar Ślepiec niespecjalnie dba o ciała zmarłych, prawda?

Nie. Ciała ofiar po psychodekantacji są po prostu wyrzucane, tak jak ciało Sadaqata.

Spoglądam w korytarz za naszymi plecami. Elipsa blaknie, bo Kaplica umiera. Subpytam Holly: *Jak uważasz? W lewo czy w prawo?*

– Marinus, chyba widziałam jakieś litery na ścianie, w połowie wysokości.

Patrzę w dół i znajduję je, wyryte jak podpis rzeźbiarza: „JS”.

– JS? – pyta Holly. – Marinus, Jacko tak zawsze podpisywał swoje...

Przerywa jej dźwięk przywodzący na myśl uderzenie dzwonu pod wodą i po zmianie w powietrzu możemy poznać, że goni nas Zmierzch.

– W lewo, Marinus – nakazuje Holly. – Skręć w lewo.

Nie mam czasu pytać, czy jest pewna, a raczej, dlaczego jest taka pewna. Posłusznie wykonuję polecenie, prawie biegnąc wąskim łukowatym przejściem, klaustrofobicznym i grafitowoczarnym. Pięćdziesięciosześcioletnie serce Holly wali jak młotem i chyba zwichnęłam jej kostkę, kiedy biegłyśmy przez Kaplicę. Muszę pamiętać, że jest o dziesięć lat starsza od Iris.

– Wódz moimi palcami po ścianie – mówi mi niewiele głośniej od szeptu.

Jeśli masz ochotę prowadzić, chętnie oddam ci ster.

– Tak. Chcę prowadzić. – Holly przez chwilę trzyma się ściany, czekając, aż odzyska zmysł równowagi. – Rany, to było dziwne.

Mogłabym zapalić psycholampę, ale wtedy niepotrzebnie zwracałybyśmy na siebie uwagę.

– Jeśli przecucie mnie nie myli, nie będę potrzebowała światła. A jeżeli jestem w błędzie, światło nie pomoże. Przekonam się sama już niedługo. Ten korytarz nadal biegnie po łuku, też tak wyczuwasz?

Tak. To na pewno łuk. Jak dotąd przeszliśmy jakieś sto kroków.

Holly zatrzymuje się. Słyszymy jej rwany oddech, łomotanie serca i pomruk Zmierzchu. Holly patrzy w tył, gdzie w ciemnościach rozjarza się monochromatyczny poblask. Holly podnosi dłoń i widzimy czarny zarys jej palców, a nawet słaby blask pierścionka. *Zmierzch ma własną poświatę, submówię. Zalewa korytarze za nami w tempie idącego człowieka. Nie zatrzymujemy się.*

– Diaboliczne wrażenie – stwierdza Holly.

Znowu rusza przed siebie i chociaż kusi mnie, żeby przeskanować jej czas terażniejszy i poznać myśli, postanawiam jej zaufać. Kolejne pięćdziesiąt kroków i Holly się zatrzymuje zadyszana. Teraz jednak w jej strachu wyczuwam nadzieję.

– Czy mi się tylko wydaje, Marinus? Czego dotykają teraz palce mojej prawej dłoni?

Sprawdzam. Sprawdzam jeszcze raz. *Niczego.*

Holly odwraca się w prawo i wyciąga dłonie w pustkę. Dotyka ścian po bokach i wyczuwamy teraz wąski otwór w murze.

– Poświeć teraz, proszę. Masz jakąś zapałkę?

Dokonuję połowicznego exodusu przez oko czakry Holly i wywołuję bladą poświatę. Moja gospodyni widziała już dzisiaj zbyt wiele, żeby zdziwiło ją światło padające ze środka jej czoła. Pięć kroków przed nami krótki łącznik między dwoma tunelami kończy się na kolejnym rozwidleniu w prawo i w lewo. Po naszej lewej stronie początkowy korytarz biegnie dalej po łuku. Po prawej stronie Zmierzch jest już tuż za zakrętem.

– Jesteśmy w labiryncie – szepcze Holly. – Zgaś, proszę, światło. Wolę zaufać pamięci, nie oczom.

Jeżeli tylko możesz chodzić i mówić, subodpowiadam, cała zamieniam się w słuch.

Holly rusza naprzód przez łączący tunel, aż jej dłonie napotykalają nowe rozwidlenie. Holly skręca w prawo.

– Ostatni raz, kiedy widziałam Jacko – mówi ściszym głosem – pakowałam akurat torbę, chciałam uciec z domu. Xi Lo opowiadał ci kiedyś o tym?

Może. Nie pamiętam. To było tak dawno temu.

Kiedy w ciemnościach przechodzimy około dziesięciu kroków, lewa dłoń Holly natrafia na pustą przestrzeń. Kolejny łącznik. Holly skręca w niego, przechodzi pięć kroków do kolejnego korytarza, który prowadzi w prawo i w lewo. Holly skręca w lewo. Te korytarze chyba leżą wobec siebie koncentrycznie.

– Kiedy się pakowałam, przyszedł do mnie Jacko. Przyniósł... labirynt. Uwielbiał rysować wielkie, zawile labirynty, tak dla zabawy. Niedługo powinien być kolejny łącznik...

Po dziesięciu krokach po łuku Holly znajduje w ciemnościach przejście po prawej stronie i wchodzi w łącznik. Aby jej nie dekoncentrować, powstrzymuję się przed opowieścią o labiryncie, który Xi Lo zaprojektował kiedyś dla króla Wilhelma Orańskiego. Za łącznikiem jest kolejne rozwidlenie w prawo i w lewo. Holly skręca w prawo.

– Ten labirynt, który dostałam tamtego dnia od Jacko, był jednak całkiem zwykły. Po prostu dziewięć kręgów, a między nimi kilka łączników. Kazał mi obiecać, że się go nauczę na pamięć. Że będę go znała na wrywkę, żebym mogła w potrzebie odnaleźć w nim bezbłędnie drogę nawet z zamkniętymi oczami...

A teraz właśnie w nim jesteśmy, subkończąc zdanie.

– A teraz właśnie w nim jesteśmy. Ale skąd się tu wziął? Zresztą to chyba nie ma teraz znaczenia...

Przez transsubstancjację. Dusza Katara Ślepego stała się Kaplicą Zmierzchu. Dusza Xi Lo, jak sądzę, wniknęła w materię Kaplicy podczas Pierwszej Misji. A Xi Lo, kiedy był już wewnątrz, stał się tym labiryntem. Czyli czymś w rodzaju łagodnego nowotworu.

Holly pośpiesznie stawia kroki.

– Ale dlaczego miałyby stać się tym labiryntem?

Żeby stworzyć nam drogę powrotną do świata po Drugiej Misji, ale taką, po której tylko ty będziesz się mogła poruszać. Ktokolwiek inny...

Obie z Holly myślimy o trzech Anachoretach, którzy weszli tu przed nami, uwięzili w ślepych zaułku i zamknęła się nad nimi ściana Zmierzchu.

– Jak sądzisz, Jacko wie, że tu jesteśmy?

Transsubstancjacja jest arkanem sztuk, potężnym aktem. Ja nie potrafię jej przywoływać i nie znam jej mechanizmu. Xi Lo nigdy nie powiedział mi nawet, że ją studiuje. Katar Ślepiec był jednak świadom naszej obecności w Kaplicy, więc można założyć, że owszem, Xi Lo – Jacko – też wie, że tu jesteś.

Holly znajduje łącznik w ścianie po prawej stronie.

Jeżeli labirynt jest okrągły, subzauważam, oddalamy się teraz od środka.

– Droga najpierw oddala się od środka, ale potem znowu prowadzi do punktu centralnego. W następnym rozwidleniu powinny się spotykać cztery korytarze. Możesz trochę poświecić?

Dokonuję exodusu i jarzę się przez chwilę. Rzeczywiście, są cztery korytarze. Holly skręca w lewy. Ingresuję z powrotem i gasnę.

Czyli dotrzyzymałaś obietnicy, submówię. Nauczyłaś się drogi na pamięć.

– Tak. To były ostatnie słowa, jakie Jacko do mnie powiedział. Potem wybiegłam z domu, uciekłam do mojego chłopaka i już nigdy więcej Jacko nie widziałam. Ruth, moja szwagierka, robiła biżuterię i przeniosła jego rysunek na taki jakby wisior ze srebra. Kiedy wyprowadziłam się od rodziców, zabrałam go ze sobą. Studiowałam ten wisior chyba co tydzień przez całe życie. Zbliża się zakręt w lewo.

Kiedy skręcamy w lewo, w głowie Holly eksploduje ból. Okręcając się wokół własnej osi, moja gospodyni upada na ziemię. Nowy ból rozsadza jej kostki i kolana, a płatki barwnych powidoków oslepiają nasze poparzone siatkówki. Kiedy Holly podnosi głowę, kątem oka widzę, że stoi nad nami Constantin, a jej oko czakry jarzy się jak

szkarłatna róża.

– Pokaż mi wyjście – mówi z matczyną troską w głosie Druga Anachoretka – albo zmienię cię we wrzeszczącą ludzką pochodnię, która oświeci mi drogę. – Jej czakry dłoni również jarzą się czerwono, a psychopocisk w każdej z nich jest gotów spełnić jej obietnicę.

Holly dygocze i przerażona jąka:

– Proszę nie proszę nie proszę nie.

Nie wiem, co Constantin właśnie usłyszała, ile wie, ile psychowoltażu zachowała jeszcze po bitwie. Myślę jednak, że wystarczy go, żeby zabić nas obie kilka razy. Postanawiam odciągnąć ją od Holly, z powrotem w stronę Zmierzchu, żeby przynajmniej Holly miała szanse wydostać się stąd żywa.

Exodusuję, jarząc się.

Lodowatym, karcącym tonem Constantin pyta:

– A ty którym jesteś?

Jestem Marinus, suboznajmiam.

– Marinus. No tak. Czas ucieka. Prowadź.

Jeżeli zabijesz nas obie, też zginiesz.

– Ale umrę szczęśliwsza, wiedząc, kogo zabiłam w ostatnim akcie Wojny.

Zanim mam czas obmyśleć strategiczną odpowiedź, oko czakry Constantin gaśnie, jej głowa odchyła się w tył i Druga Anachoretka pada na ziemię.

– MÓWIŁAM CI! – wrzeszczy przeraźliwie Holly, niemal zdzierając sobie gardło, i po raz drugi wali Constantin w głowę niewyraźnym, przypominającym maczugę przedmiotem. – NIKOMU NIE WOLNO KRZYWDZIĆ MOJEJ RODZINY! – Przedmiot spada na Constantin po raz trzeci.

Rozjarzam się jaśniej, żeby odnaleźć Holly, która dyszy nad bezwładnym ciałem Immaculée Constantin. Głowa Drugiej

Anachoretka to teraz breja z krwi, białozłotych włosów i diamentów. Ingresuję z powrotem w Holly, gdzie supernowa furii rozlewa się teraz w wiele innych uczuć. Kilka sekund później Holly opróżnia żołądek trzema potężnymi skurczami.

Już w porządku, Holly, submówię. Jestem tu, już dobrze.

Holly wymiotuje po raz czwarty.

Syntetyzuję kroplę psychosedatywu w jej przysadce mózgowej.
Chyba już więcej nie będziesz miała potrzeby.

– Zabiłam człowieka. – Holly się trzęsie. – Zabiłam. Po prostu...
jakoś... Jakbym nie była sobą. Ale wiedziałam, kim jestem.

Dodaję kropelkę dopaminy. Ona może jeszcze żyć. Mam sprawdzić?

– Nie. Nie. Wolę nie wiedzieć.

Jak chcesz. Ale co to za narzędzie zbrodni?

Holly upuszcza je. Marmurowy wałek do ciasta.

Gdzie ty tu znalazłaś wałek do ciasta?

– Ukradłam z waszej kuchni w sto dziewiętnaście A. Włożyłam do plecaka.

Holly wstaje. Znieczulam jej kostki i kolana. *Dlaczego?*

– Wszyscy mówiliście o Wojnie, a ja nie miałam nawet szczyryka. Więc... tak, wiem, histeryczka, wałek do ciasta, straszny banal, Crispin wywracałby oczami i mówił: „Błagam!”, ale chciałam mieć... cokolwiek. Nie znoszę widoku krwi, więc noże zostawiłam w szufladzie... No tak... Cholera jasna, Marinus, co ja najlepszego zrobiłam?

Zabiłaś dwustupięćdziesięcioletnią atemporalną drapieżniczkę przyrządem kuchennym za pięćdziesiąt dolarów, uprzednio udając przerażoną, rozszlochaną kobietę w średnim wieku.

– Szlochania nie musiałam aż tak bardzo udawać.

Zmierzch się zbliża, Holly. Którędy teraz?

Holly zbiera się w sobie.

– Poświeć, proszę. – Jarzę się, oświetlając wąskie skrzyżowanie

czterech korytarzy, gdzie zaskoczyła nas Constantin, teraz martwa albo umierająca. – Z której strony przyszliśmy?

Pamiętam, że okręciłyśmy się przy upadku. A Constantin krążyła wokół nas. Rozjarzam się jaśniej, ale przez to tylko wyraźniej widzimy leżące bezwładne ciało i kałużę wymiotów. *Nie jestem pewna.*

W Holly narasta panika. Uspokajam ją psychosedatywami.

Słyszymy pomruk Zmierzchu. *Mam prowadzić?*

– Tak – chrypi Holly. – Proszę.

Patrzę w cztery korytarze. Są identyczne.

Nie są. Jeden jest trochę jaśniejszy. *Holly, przez cały labirynt biegnie tylko jedna droga, tak?*

– Tak.

Wybieram korytarz, który prowadzi ku światłu, skręcam w prawo i natrafiam na Zmierzch, który dziesięć kroków przed nami wypełnia tunel, jak rozgwieżdżona woda w zwolnionym tempie. W jego przytłumionym huczeniu słychać głosy. „To nie boli”, obiecują w nieznanym językach, „to nie boli...”.

– Nie tędy! – słyszę głos Holly.

Zawracam. *Stąd przyszliśmy. Zmierzch podąży za nami. Doszliśmy do tych czterech korytarzy, tutaj.* Przechodzę ponad ciałem Constantin. *Przypomnij sobie w głowie labirynt Jacko. Z wisiorka.*

– Już wiem. Prosto.

Posłusznie idę prosto.

– W lewo. Tam będzie skręt w prawo, ale ty idź dalej, to ślepy zaułek... Dalej prosto. Teraz w prawo.

Przechodzę przez tunel, myśląc o tym, jak Zmierzch rozlewa się nad ciałem Constantin.

– W lewo. Teraz kilka kroków prosto. Jeszcze kilka, jesteśmy już blisko środka, ale musimy przejść okręgiem, żeby uniknąć ślepego zaułka na wprost. To tutaj, w lewo. Teraz przejdź przez łącznik...

Teraz w prawo.

Idę kilka kroków, ciągle słysząc szemranie Zmierzchu, a tymczasem coraz krótsze boczne tunele i ślepe zaułki zabierają coraz mniej jego masy i energii.

– Po lewej będzie przejście, ale idź dalej... Teraz skręć w prawo. Przez skrzyżowanie korytarzy. Szybko! Skręć w prawo, w lewo i powinniśmy się znaleźć...

Przejście przed nami jest czernią. Nie czernią, w której są cienie, ale czernią-czernią, czarną jak Morze Ostatnie, czarną czernią pochłaniającą światło czakry, którym świecę z dłoni Holly, czernią, która nie odbija nawet jednego promienia.

Robię krok do...

*

...sklepionego pomieszczenia z takimi samymi marsowoczerwonymi ścianami, jak labirynt, ale ożywionego mnogością ptaków-cieni. Pomieszczenie jest oświetlone światłem bijącym ze złotego jabłka jak z zachodzącego słońca.

– O rany... – Ten widok zapiera Holly dech w piersi, choć tyle już dzisiaj widziała. – Tylko spójrz, Marinus.

Jabłko wisi pośrodku komnaty, na wysokości głowy, ale nie ma niczego, co utrzymywałoby je w powietrzu.

– Czy ono żyje? – pyta Holly.

Chyba tak, subzgađuję. To dusza.

Złote jabłka, o których czytałam w wierszach i w bajkach przez całe metażycie. Złote jabłka, które widywałem na obrazach i nie mam na myśli tylko tego jednego, które Wenus trzyma na oryginale Bronzina, tak dobrze znanym Xi Lo, chociaż tamto złote jabłko nasila moje podejrzenia co do tego. Trzymałem nawet w dłoni jabłko odlane w XI

wieku z kazachskiego złota przez rzemieślnika na dworze Sulejmana VI, z listkiem z perskiego nefrytu wysadzanego szmaragdami i z koplami rosy z pereł wyłowionych u wybrzeży Mauritiusu. Ale różnica między tamtymi jabłkami a tym to jak różnica między czytaniem miłosnego wiersza a byciem zakochaną.

Holly ma w oczach łzy.

– Marinus...

To nasza droga do świata, Holly. Dotknij jabłka.

– Mam go dotknąć? Nie można! Jest takie...

Xi Lo stworzył je dla ciebie, właśnie na tę chwilę.

Holly podchodzi krok. Słyszymy furkot piórek.

Dotknij go tylko raz, Holly. Proszę. Zmierzch jest tuż-tuż.

Holly wyciąga wyczerpaną, pokaleczoną rękę.

Kiedy exodusuję z mojej żywicielki, słyszę gruchanie gołębia.

Holly zniknęła.

*

Ptaki-cienie zniknęły razem z jabłkiem, a sklepiona komnata wygląda jak ciemne mauzoleum. Teraz umrę. Umrę na zawsze. Ale umrę, wiedząc, że Holly Sykes jest bezpieczna, że dług, jaki zaciągnęła wobec niej Horologia, został spłacony. To dobry koniec. Aoife nadal ma matkę. Wywołuję bladą poświatę i subpytam Hugo Lamba: *Dlaczego umierać samotnie?*

Hugo zdejmuje osłonę i wyłania się z powietrza.

– No właśnie, dlaczego? – Dotyka swojego paskudnie rozciętego policzka. – Cholera, popatrz tylko na mnie! Smoking cały we krwi. Mój krawiec, Banglijczyk z Savile Row jest genialny, ale szyje najwyżej dwadzieścia garniturów rocznie... Dlaczego Xi Lo zostawił tylko jeden magiczny bilet do świata?

Trawersuję w miejsce, gdzie wisało złote jabłko. Nie została już po nim ani jedna subatomowa cząstka.

Transsubstancjacja wyczerpuje. Pamiętaj, że Katar Ślepiec żywił się świeżym mięsem, natomiast Xi Lo musiał tu wytrwać niejako na bateriach. Ale dlaczego sam nie zatrzymałeś dla siebie tego magicznego biletu?

Hugo Lamb unika odpowiedzi.

– Masz jakieś papierosy, Marinus?

Jestem pozacieklesna. Nie mam na sobie nawet ciała.

W czarnym wejściu pojawia się macka Zmierzchu, jak strużka piasku.

Pozyskiwałeś, kłamałeś, subwyliczałeś, przygotowywałeś, zwabiałeś, mordowałeś...

– To były zabójstwa z chirurgiczną precyzją. Umierali szczęśliwi. W pewnym sensie.

...jako Marcus Anydrus zabiłeś nawet dawnego siebie.

– Naprawdę tak chcesz spędzić ostatnie chwile życia? Na przeprowadzaniu ze mną wywiadu? Czego chcesz? Wielkiego, teatralnego *mea culpa*?

Po prostu ciekawi mnie, dlaczego drapieżnik, który przez tyle lat myślał wyłącznie o sobie i który zaledwie tydzień temu chwalił się zabójstwem Oscara Gomeza, teraz miałby...

– Chyba nie jesteś ciągle o to zła...?

...miałby teraz swoje cudem ocalone życie szlachetnie złożyć w ofierze zwykłemu czasomierzowi. Słucham. Obiecuję, że nikomu nie powiem.

Pomruk Zmierzchu narasta. Usiłuję nie słuchać szmerzących w nim głosów.

Hugo Lamb otrzepuje rękawy.

– Domyślałam się, że przeskanowałaś Holly?

Dogłębnie. Musiałam, żeby namierzyć Esther Little.

– Znalazłaś nas w La Fontaine Saint-Agnès? Holly i mnie?

Waham się zbyt długą chwilę.

– No więc mogłaś się napatrzeć. Cóż. Masz swoją odpowiedź. – Do

komnaty wlewa się coraz więcej Zmierzchu, obiecując, że nie będzie bolało, nie będzie bolało, nie będzie bolało. Zmierzch pokrywa już jedną trzecią posadzki. – Widziałas, jak rozwaliła Constantin? Znać irlandzką krew i parę z Gravesend. Czyim skorupka za młodu...

Stałeś tam i się przyglądałeś?

– Nigdy nie byłem typem bohatera, który rwie się do akcji.

Przecież Constantin cię zwerbowała. Była Drugą Anachoretką.

– Zawsze miałem pewien problem z hierarchią. Rivas-Godoy skrzył w prawo, kiedy weszliśmy w labirynt, więc on zginął pierwszy, od razu, ale ja poszedłem za Constantin. Owszem, zwerbowała mnie, ale zawsze wyznawała doktrynę, że pierwszeństwo mają kobiety i dzieci. Więc okryłem się osłoną, zgubiłem się, usłyszałem Holly, poszedłem za wami... I proszę, doszliśmy aż tutaj. Towarzysze śmierci. Kto by pomyślał?

Patrzemy, jak piaszczysty Zmierzch wypełnia sklepioną komnatę, wlewając się coraz głębiej. Dręczy mnie myśl, że coś przeoczyłam.

Hugo Lamb kaszle.

– Czy ona też mnie kochała, Marinus? Nie pytam, czy kochała mnie, kiedy już odkryła mój mały flirt z nadprzyrodzoną sektą. Która zastraszyła jej rodzinę i usiłowała zabić duszę jej brata. Pytam o tamtą noc. W Szwajcarii. Kiedy byliśmy młodzi. Naprawdę młodzi. Kiedy zasypał nas śnieg.

Dwie trzecie posadzki pokrywa już Zmierzch. Cieleśny Hugo Lamb ma sześćdziesiąt sekund życia, zanim go dotknie. Ja, jeśli naprawdę będę chciała, mogę unosić się w powietrzu chwilę dłużej, aż komnata wypełni się po sklepieniu.

I wtedy olśniewa mnie, co przeoczyłam. Hugo Lamb też to przeoczył. Nawet Constantin o tym nie pomyślała. Uskakując przed spadającymi kamieniami, uciekając przed Zmierzchem, wszyscy zapomnieliśmy o alternatywnym wyjściu. Niemal parskam

subśmiechem. Czy zadziała? Jeśli Zmierzch dostał się na Kamienną Drogę i wymazał przejście, nie... Ale schody były długie.

Subpytam Lamba: *Ile masz jeszcze psychowoltażu?*

– Niedużo. A co? Zachciało ci się psychowalki?

Jeśli wingresuję w Ciebie, razem może nam wystarczy.

Hugo Lamb nie bardzo rozumie.

– Na co?

Żeby otworzyć Szczelinę.

Sheep's Head

2043

26 października

Na dole schodów słyszę myśl: „On już tu wyruszył” i po moich plecach przelatują ciarki. Kto? Stojący wyżej na schodach Zimbira odwraca łeb, żeby zobaczyć, co mnie zatrzymuje. Wsluchuję się w odgłosy późnego wieczoru. Piec, który stuka, kiedy stygnie. Fale rozbijające się o skały w dole pod ogrodem. Stary dom, któremu trzeszczą kości. Stara Holly Sykes, której trzeszczą kości, spójrzmy prawdzie w oczy. Wychyłam się przez poręcz, żeby przez kuchenne okno dojrzeć chatę Mo wyżej na wzgórzu. W jej pokoju pali się światło. Czyli wszystko u niej w porządku. Na żwirowej ścieżce w ogrodzie nie słychać żadnych kroków. Zimbira nie wyczuwa gościa. Kury siedzą cicho, a o tej porze to bardzo dobrze. Lorelei i Rafiq chichoczą w jej pokoju i grają w teatrzyk cieni.

– To wcale nie wygląda jak Kangur, Lol!

– A ty skąd wiesz?

– A ty skąd?

Jeszcze niedawno nie wierzyłam, że moje dwie sieroty będą się znowu tak śmiały.

Jak dotąd wszystko wygląda normalnie. Nie słyszę już więcej myśli. Ktoś bez przerwy dokąś wyrusza. Ale nie, to było: „On już tu wyruszył”, jestem pewna. A przynajmniej prawie pewna. Problem w tym, że kiedy już raz słyszało się głosy w głowie, nigdy nie można być pewną, czy przypadkowa myśl jest rzeczywiście przypadkowa, czy nie. I do tego jutro jest piąta rocznica Wielkiej Burzy z 2038, kiedy boeing 797 Aoife i Örvara rozpadł się na wysokości dwudziestu tysięcy stóp. Boeing Aoife, Örvara i dwustu innych pasażerów lecących nad Pacyfikiem. Złamał się na pół, jakby jakiś chłopczyk w napadzie szału

połamał model Airfixa. Brendan zawieszał kiedyś takie modele pod sufitem w swoim pokoju.

– Nie zwracaj na mnie uwagi – mówię cicho do Zimbry i mozolnie wspinam się dalej po schodach, tych samych, po których kiedyś fruwałam w górę i w dół. – No dalej – mówię Zimbrze – rusz ten swój zad.

Głaszczę lok sierści między jego uszami, jednym sterczącym, drugim klapniętym. Zimbza patrzy na mnie, jakby wielkimi czarnymi oczami czytał w moich myślach.

– Powiedziałbyś mi, gdyby był jakiś powód do niepokoju, prawda?

To znaczy, jakiś inny powód do niepokoju, oprócz strachu, że ten rwący ból w prawym boku to rak, który znowu się budzi. I oprócz lęku, co się stanie z Lorelei i Rafiqiem, kiedy umrę. I oprócz obaw w związku z oświadczeniem taoiseacha[24] o Hinkley Point i z zapewnieniami brytyjskiego rządu, że „nie dojdzie do całkowitego stopienia rdzenia w reaktorze Hinkley E”. I oprócz niepokoju o Brendana, który mieszka zaledwie kilka mil od nowej strefy zamkniętej. I o nielegalnych imigrantów, którzy łodziami przybijają do brzegów koło Wexford, i o to, jak sobie poradzą zimą te tysiące głodnych mężczyzn, kobiet i dzieci, pozbawionych korzeni i miejsca, które mogliby nazwać domem. I oprócz obaw o szczyrą grypę w Belfaście. I o kurczący się zapas insuliny. I o chorą kostkę Mo. I o...

*

– Wiedziałem, że tak będzie – stwierdza Rafiq, otulony za dużym na niego, starym czerwonym płaszczem Aoife, który teraz służy mu jako szlafrok. Rafiq siedzi z kolanami pod brodą w nogach łóżka Lorelei. – Kiedy Marek odkrył, że z jego poncza zniknęła brosza, wszystko było jasne jak słońce. Nie można bezkarnie kraść złotego orła plemieniu

Malowanych Ludzi. Dla nich to tak, jakby Marek i Esca ukradli boga. Jasne, że będą ich ścigać. – A potem, bo wie, jak lubię *Dziewiąty legion*, Rafiq próbuje szczęścia: – Holly, możemy przeczytać trochę z następnego rozdziału?

– Już prawie dziesiąta – tłumaczy Lorelei – a jutro do szkoły.

Gdy zamykam oczy, niemal widzę Aoife, kiedy miała piętnaście lat.

– No dobrze. A tab naładowany?

– Tak, ale nie ma nici ani Netu.

Rafiq nie zamierza zejść z łóżka Lorelei.

– Naprawdę, jak byłaś w moim wieku, to można było mieć tyle prądu, ile się chciało, bez przerwy?

– Czyżbym wyczuwała próbę odwołania pójścia spać, he?

Rafiq uśmiecha się.

– Musiało być tera, mieć tyle prądu.

– Musiałoby być co?

– Tera. Wszyscy tak mówią. No wiesz, tera, giga, mega. Super, czyli.

– Aha. Jak tak o tym myślę, to owszem, było „tera”, ale wszyscy uważaliśmy wtedy, że to normalne.

Pamiętam, jak Ed cieszył się z nieograniczonego dostępu do prądu, za każdym razem, kiedy wracał z Bagdadu do naszego domku w Stoke Newington. Bo w Bagdadzie on i wszyscy inni dziennikarze musieli ładować laptopy i telefony satelitarne ze zwykłych samochodowych akumulatorów, które przynosił im specjalny człowiek. Moglibyśmy mieć teraz takiego człowieka od napędu w Sheep's Head, ale jego furgonetka potrzebowałaby ropy, a ropy brakuje i dlatego bardzo nam taki ktoś potrzebny.

– I samolotami każdy mógł latać bez przerwy, prawda? – Rafiq wzdycha. – Nie tylko ludzie z Krajów Naftowych albo ze Stabilności?

– Tak, ale... – Szybko staram się zmienić temat. Lorelei też musi

mieć dziś wieczorem głowę pełną czarnych myśli o samolotach.

– A dokąd latałaś, Holly? – Rafiq nigdy nie będzie miał dość tych opowieści, choćbym opowiadała je kilka razy dziennie.

– Wszędzie – odpowiada mu Lorelei, która właśnie stara się być dzielna i opiekuńcza. – Do Kolumbii, Australii, Chin, na Islandię, do Starego Nowego Jorku. Prawda, babciu?

– Wszystko prawda.

Zastanawiam się, jak wygląda teraz życie w Cartagenie, w Perth, w Szanghaju. Dziesięć lat temu weszłabym w Google Streetview, ale Net tak się teraz rwie i ślimaczy, że nawet kiedy mamy zasięg, wszystko otwiera się w tempie jeszcze sprzed transferu szerokopasmowego. Mój tab też się starzeje, a w zapasie został mi jeszcze tylko jeden. Jeżeli jakieś przyjeżdżają, trafiają najpierw do Koncesji Ringaskiddy i nigdy nie docierają na prowincję poza Cork City. Pamiętam zdjęcia zalanego przez ocean Fremantle w czasie powodzi w 2033 roku. A może to było w 2037? A może w ogóle myślę mi się ze zdjęciami oceanu wlewającego się do nowojorskiego metra, kiedy pod ziemią utonęło pięć tysięcy osób? Czy może to było w Atenach? Albo w Bombaju? W latach trzydziestych relacje z katastrof tak zalewały Net, że trudno było spamiętać, które akurat wybrzeże w danym tygodniu natura niszczy i pustoszy albo które miasto dziesiątkuje ebola czy szkurza grypa. Wiadomości zmieniły się w niekończący się film katastroficzny bez spójnego wątku i aż trudno mi je było oglądać. Ale od wielkiej awarii NetCrash One nie mamy prawie żadnych wiadomości, a to jeszcze gorsze.

Szyba w oknie mocno drży od wiatru.

– Gasimy światło. Trzeba oszczędzać żarówkę.

Zostało mi jeszcze tylko sześć żarówek, schowanych pod podłogą w moim pokoju, razem z ostatnim tabem. Ukryłam je tam po plądze włamań na drodze od Durrus. Rafiq niechętnie wychodzi do swojego

pokoju, a ja całuję go w ruda, kręconą czuprynę i mówię:

– Słodkich snów, skarbie. – I naprawdę życzę mu tego z całego serca. Rafiq ma koszmary już tylko co dziesiątą noc, ale kiedy mu się śni, jego krzyk postawiłby na nogi umarłego.

Rafiq ziewa:

– Tobie też, Holly.

Lorelei wślizguje się pod swoje kocyki i owczą skórę, a ja zamykam drzwi do jej pokoju.

– Śpij dobrze, babciu, karaluchy pod poduchy. – Tata kiedyś mi tak mówił na dobranoc, ja mówiłam tak Aoife, Aoife przekazała to Lorelei, a teraz Lorelei mówi tak do mnie.

W pewnym sensie żyjemy dopóty, dopóki istnieją ludzie, w których możemy żyć.

*

Jest zupełnie ciemno, ale teraz, kiedy mam siedemdziesiąt kilka lat, potrzebuję zaledwie kilku godzin snu. To jedna z rzadkich zalet podeszłego wieku. Dorzucam jeszcze jedną szczapę do pieca, podkręcam lampę i wyjmuję pudełko z nićmi. Naszyję łąty na parę starych dżinsów Lol, żeby mógł je po niej nosić Rafiq, a potem muszę zacerować kilka skarpetek. Gdybym jeszcze tylko mogła pozbyć się tęsknoty za gorącym prysznicem przed położeniem się do łóżka. Od czasu do czasu razem z Mo zdręczamy się wspomnieniami Body Shopu i tych cudownych zapachów: piżma i zielonej herbaty, bergamotki, konwalii, mango, orzechów brazylijskich, banana, kokosa, olejku z jojoby, cynamonu... Rafiq i Lorelei nie będą znali tych zapachów. Dla nich „mydło” to teraz bezwonna kostka od „Bledziochów”, jak mówi się na strefę produkcyjną w Dublinie. Jeszcze w zeszłym roku na piątkowym targu można było kupić

chińskie mydło, ale mackę czarnego rynku, która przemycała je aż do Kilcrannog, teraz odcięto.

Kiedy mam już pewność, że dzieciaki śpią, włączam stare radio. Za każdym razem denerwuję się, że będzie tylko cisza, ale jednak nie – wszystkie trzy stacje nadają. RTÉ to szczekaczka Stabilności i o równej godzinie odczytuje tylko oficjalne, zatwierdzone przez władze informacje, a pomiędzy serwisami można posłuchać programów poradnikowych o tym, jak hodować i uprawiać żywność, jak naprawiać urządzenia i sprzęt i jak ogólnie radzić sobie z życiem w naszym coraz bardziej prowizorycznym kraju. Dzisiejszy program to powtórka z udzielania pierwszej pomocy – jak unieruchomić złamaną rękę – więc przełączam na JKFM, ostatnią prywatną stację w Irlandii, żeby posłuchać jakiejś muzyki. Nigdy nie wiadomo, na co się trafi, choć oczywiście wszystko jest przynajmniej sprzed pięciu lat. Rozpoznaję Damona MacNisha and the Sinking Ship w refrenie *Excets for Breakfast* i przypominam sobie przyjęcie w Kolumbii – a może to było Mexico City? – na którym poznałam Damona MacNisha osobiście. Crispin też tam był, jeśli mnie pamięć nie myli. Następny kawałek też znam: *Memories Can't Wait Talking Heads*, ale przypomina mi o Vinnym Costello, więc przełączam na trzecią stację, Pearl Island Radio. Pearl Island Radio nadaje z Koncesji Chińskiej w Ringaskiddy pod Corkiem. Przeważnie po mandaryńsku, ale czasem zdarza się serwis informacji międzynarodowych po angielsku, a jeśli w Necie akurat nie przechodzą nici, to jedyny sposób, żeby zdobyć jakiegokolwiek wiadomości nieprzefiltrowane przez Stabilność. Oczywiście ich informacje są wyraźnie prochińskie – Ed powiedziałby, że to „goła propaganda” – i nawet się nie zająkną o Hinkley E, który zbudowała i którego pracę nadzorowała chińsko-francuska firma. Nadzorowała aż do katastrofy pięć lat temu, po której zagraniczni inwestorzy się wycofali, zostawiając Brytyjczyków, żeby sami sobie poradzili z na

wpół stopionym rdzeniem. Dzisiaj nie ma żadnych wiadomości po angielsku, ale chińska mowa spikerów koi mi nerwy i w nieunikniony sposób każe myśleć o Jacko. A potem o tych całych dniach i nocach spędzonych z Horologami i Horolożkami w Nowym Jorku i gdzieś poza nim, prawie dwadzieścia lat temu...

*

Kaplica, bitwa, labirynt – tak, wierzę, że to wszystko się wydarzyło, chociaż wiem, że jeśli kiedykolwiek próbowałabym opisać, co widziałam, wzięto by mnie za niepoczytalną, naćpaną, a przynajmniej za nawiedzoną z problemami osobistymi. Gdybym jeszcze pamiętała tylko te bardziej niesamowite momenty, gdybym obudziła się w moim pokoju w hotelu Empire, może mogłabym tłumaczyć to wszystko majakami, zatruciem pokarmowym albo jakimś „epizodem” utraty pamięci czy też po prostu tym, że mi się to wszystko wydawało. Zbyt wielu fragmentów jednak nie da się tak wyjaśnić. Na przykład tego, że po dotknięciu złotego jabłka w sklepionej komnacie z ptakami-cieniami, poczułam falę silnych zawrotów głowy i obudziłam się nie w moim hotelowym pokoju, ale w galerii przy 119A, a mój środkowy palec dotykał złotego jabłka na obrazie Bronzina, na parapecie za oknem gruchał gołąb, a wszyscy Horologowie zniknęli. Marmurowy wałek do ciasta wyparował z szuflady w kuchni. Kolana miałam podrapane i całe w strupach po tym, jak Constantin napadła na mnie w labiryncie. Do tej pory nie wiem, dlaczego Marinus nie wróciła ze mną w mojej głowie – może złote jabłko działa tylko z jednym pasażerem? A na sam koniec, kiedy nadszedł wieczór i już przestałam czekać, że pojawi się jakiś atemporalny przyjaciel, wsiadłam do taksówki i pojechałam na drugą stronę Central Parku z powrotem do hotelu, gdzie okazało się, że

wszystkie moje należności za cały tydzień zostały uregulowane kartą kredytową, która nie należała do mnie. Jeżeli nowojorski recepcjonista zapewnia cię, że za pokój zapłacono, możesz ręczyć głową, że to ci się nie śni.

Zatem tak, to wszystko się wydarzyło, ale zwykle życie nadal toczyło się z prędkością czasu, a kolejnego dnia nie obchodzą już twoje paranormalne przygody z dni poprzednich. Dla kierowcy taksówki byłam tylko zwykłą pasażerką, którą trzeba zawieźć na lotnisko La Guardia i która zostawi okulary na tylnym siedzeniu, jeżeli tylko on wszystkiego nie sprawdzi. Dla stewarda Aer Lingus w klasie ekonomicznej byłam po prostu pasażerką w średnim wieku, której nie działały słuchawki. Dla moich kur jestem dwunogą olbrzymką, która rzuca im ziarno i ciągle podkrada jajka. Podczas mojego „zagubionego weekendu” na Manhattanie być może ujrzałam tę stronę istnienia, którą w całej historii poznało zaledwie kilkuset innych, ale co z tego? I tak nie mogę nikomu o tym opowiedzieć. Nawet Aoife albo Sharon stwierdziłyby: „Wierzę, że w to wierzysz, ale chyba powinnaś pójść do terapeuty...”.

Dalszego ciągu nie było. Marinus, jeśli wydostała się z tamtej sklepionej komnaty, nigdy już nie pojawiła się w moim życiu i teraz też się nie pojawi. Wchodziłam kilka razy na Google Streetview i przyglądałam się 119A, więc wiem, że ten wysoki dom z ciemnego kamienia, z oknami w różnych kształtach, nadal tam stoi, czyli ktoś się musi nim opiekować – nieruchomości w Nowym Jorku to mimo wszystko nieruchomości w Nowym Jorku, chociaż Ameryka się rozpada – ale ja nigdy już tam nie wróciłam i nie starałam się dowiedzieć, kto teraz tam mieszka. Kiedyś próbowałam połączyć się urządzeniem z księgarnią Three Lives, ale kiedy odpowiedział jakiś księgarz, stchórzyłam i się rozłączyłam, i nawet nie zapytałam, czy na górze nadal mieszka Inez. Ostatnia książka, jaką Sharon przysłała mi, zanim

poczta przestała działać, była o dwunastu astronautach Apollo, którzy chodzili po księżycu, a ja czułam, że moje chwile w Zmierzchu były trochę do tego podobne. A teraz, kiedy już jestem z powrotem na Ziemi, mogłabym albo powoli popadać w szaleństwo, usiłując wrócić do tamtej rzeczywistości, do psychozoteryki, 119A i Horologii, albo też po prostu stwierdzić, że stało się, ale już po wszystkim, i najnormalniej w świecie żyć dalej, z rodziną u boku. Z początku nie byłam pewna, czy będę potrafiła na przykład spisywać protokół posiedzenia Komisji Porządku Publicznego Kilcrannog, wiedząc, że kiedy tak siedzimy i omawiamy subwencje na budowę nowego placu zabaw, przez bezkresny Zmierzch dusze migrują w pustkę zwaną Morzem Ostatnim – ale okazało się, że potrafię. Kilka tygodni przed moimi szesnastymi urodzinami w klinice aborcyjnej przy stadionie Wembley poznałam kobietę dwa razy starszą ode mnie. Siedziała elegancka i opanowana. Ja byłam przestraszona i zaryczaną kupką nieszczęścia. Przypaliła kolejnego papierosa od ledwo żarzącego się starego peta i powiedziała mi: „Kochanie, zdziwisz się jeszcze, ile w życiu wytrzymasz”.

Życie pokazało, że miała rację.

*

...w moim śnie szczeka Zimbra. Budzę się na krześle obok pieca, a Zimbra nadal szczeka, na bocznej werandzie. Zaspana wstaję, upuszczając na ziemię na wpół zacerowaną skarpetę, i idę na werandę.

– Zimbra!

Ale Zimbra mnie nie słyszy. Zimbra nie jest nawet Zimbłą, jest pierwotnym psowatym, który zwęszył pradawnego wroga. Czy ktoś tam jest w ciemnościach? Boże, szkoda, że nie działają stare lampy.

Zimbra na sekundę przestaje ujadać – ale to wystarcza, żebym usłyszała przerażone kury. Och, nie, tylko nie lis. Łapię latarkę, uchylam drzwi na szerokość wąskiej szparki, ale nasz pies przepycha się przez nią, wypada na podwórko i zaczyna drapać i kopać w miejscu, gdzie pod drutem najprawdopodobniej jest lisia nora. Leci na mnie ziemia, a kurczaki dostają hysterii za drucianym ogrodzeniem kojca wokół kurnika. Świecę latarką, ale nigdzie nie widzę lisa, jednak Zimbra nie ma wątpliwości. Jedna martwa kura; dwie; trzy; jedna słabo trzepie jeszcze skrzydłami. Tam – dwa ślepia w głowie należącej do rudej plamy na daszku kurnika. Zimbra – piętnaście kilo mieszańca owczarka niemieckiego z czarnym labradorem i diabeł wie czym jeszcze – wciska się do kojca i skacze na daszek kurnika, który zarywa się pod nim. Kury wrzeszczą i trzepią skrzydłami, latając po całym kojcu. Szybki jak błyskawica lis rzuca się z powrotem w stronę nory i już chowa w niej głowę, ale Zimbra zatapia kły w jego szyi. Lis patrzy na mnie przez ułamek sekundy, a zaraz potem Zimbra odrzuca go w tył, trzęsie nim, podrzuca i skacze na bezwładne ciało. Potem rozrywa lisowi gardło i jest już po wszystkim. Kury nadal miotają się w panice, aż jedna z nich zauważyła w końcu, że bitwa wygrana, a wtedy wszystkie się uspokajają. Zimbra staje nad swoją ofiarą z pyskiem umazany krwią. Powoli dochodzi do siebie i ja też dochodzę do siebie. Drzwi werandy otwierają się i staje w nich Rafiq w swoim szlafroku.

- Co się stało, Holly? Słyszałem, jak Zim dostał jazdy.
- Lis zakradł się do kurnika, skarbie.
- O kurde, nie!
- Wyrażaj się, Rafiq.
- Przepraszam. Ile kur skosił?
- Tylko dwie czy trzy. Zim go dopadł.
- Mogę zobaczyć?

- Nie. To martwy lis.
 - A czy przynajmniej będziemy mogli zjeść te zabite kurczaki?
 - To zbyt ryzykowne. Szczególnie, że znowu szaleje wścieklizna. Rafiq wpatruje się we mnie szeroko otwartymi oczami.
 - Ale ciebie chyba nie pogryzł...?
- Skarb mój.
- Wracaj do łóżka, rycerzu. Nic się nie stało, naprawdę.

*

Nie całkiem. Rafiq powlókł się na górę, a Zimbra jest zamknięty na werandzie. Są cztery zabite kury, nie trzy, co nie stanowi ogromnej straty, ale nie jest też mała, wzięwszy pod uwagę, że jajka są moim głównym towarem wymiany na piątkowym targu, jak również głównym źródłem białka dla Lorelei i Rafiqa. Zimbra chyba wyszedł ze starcia bez szwanku i mam nadzieję, że nie będzie potrzebował pomocy weterynarza. Nawet syntetyczne lekarstwa dla ludzi już przestały docierać. A o lekach dla psów można w ogóle zapomnieć. Przykręcam światło solara, wygrzebuję flaszkę ziemniaczanego bimbru Declana O'Daly'ego i nalewam sobie kieliszek, który ojciec określiłby jako „lufę od serca”. Czuję, jak alkohol rozlewa mi się po nerwach, i przyglądam się moim starym, stareńkim dłoniom. Wystające ścięgna i wijące się żyły, opakowane próżniowo. Moja lewa ręka trochę się ostatnio trzęsie. Tylko trochę. Mo zauważyła, ale udaje, że nic nie widzi. A dla dzieciaków w wieku Lol i Rafa wszyscy starzy ludzie się trzęsą, więc ich to nie martwi. Naciągam na siebie koc, jak babcia Czerwonego Kapturka, bo tak się właśnie czuję na tym świecie, na którym jest zbyt dużo wilków i za mało gajowych. Na dworze jest chłodno. Jutro w barze u Fitzgeralda zapytam Martina, czy mamy szanse na dostawę węgla tej zimy, chociaż wiem, że powie

tylko: „Jeśli jakiś przyjdzie, to tak”. Fatalizm to słaby antydepresant, ale w aptece „U Doktorki Kumar” nie ma nic silniejszego. Przez boczne okno widzę mój ogród, oprószony kredą przez księżyc, który jest dziś niemal w pełni i jego tarcza wznosi się nad półwyspem Mizen. Niedługo powinnam wykopać cebule i posadzić jarmuż.

W oknie widzę odbicie starej kobiety, siedzącej w fotelu swojej ciotecznej babki, i mówię jej: „Idź spać”. Z trudem podnoszę się, nie zwracając uwagi na rwanie w biodrze, ale zatrzymuję się na chwilę przy skrzyneczce zbitej z wyrzuconego na brzeg drewna, którą trzymamy na komodzie jak zamykany ołtarzyk. Zrobiłam ją pięć lat temu podczas najgorszych, stępionych rozpaczą tygodni po Wielkiej Burzy. Lorelei ozdobiła ją muszelkami. W środku jest zdjęcie Aoife i Örvara, ale dzisiaj tylko głaszczę kciukiem wieczko, usiłując przypomnieć sobie, jak to było czuć włosy Aoife pod palcami.

– Śpij dobrze, skarbie. Karaluchy pod poduchy.

24 Taoiseach – (irl.) premier Irlandii (przyp. tłum.).

27 października

Wstaję jeszcze przed świtem, żeby oskubać cztery zdechłe kury. Zostało nam teraz już tylko dwanaście. Kiedy przeprowadziłam się do Dooneen Cottage – ćwierć wieku temu – nie mogłabym oskubać kury, nawet gdyby od tego zależało moje życie. Dzisiaj je ogłuszam, odrąbuję im głowy i je patroszę, i robię to tak łatwo, jak kiedyś mama robiła gulasz z guinnessem. Konieczność nauczyła mnie nawet skórowania i oporzędzania królików tak, żeby przy tym nie rzygać. Kiedy stara torba po nawozie jest już pełna piór, wkładam martwe kury do taczki i idę na koniec ogrodu, zahaczając o kurnik, gdzie na moje jednokołowe mary dorzucam też truchło lisa. To był samiec, jak widzę. Declan przestrzega, żeby nigdy nie dotykać lisiego ogona. Lisia kita to broń bakteriologiczna z ładunkiem chorób. Pewnie jest też zapchlona, a my i tak mamy wystarczająco dużo kłopotów z pchłami, kleszczami i wszami. Lis wygląda, jakby ucinął sobie poobiednią drzemkę, jeśli nie patrzeć na rozerwane gardło. Jeden z jego klów lekko wystaje i naciska na dolną wargę. Ed też miał taki jeden ząb. Zastanawiam się, czy lis miał szczenięta i partnerkę. I czy jego młodym z rozpaczy pęknie serce, kiedy zrozumieją, że on nigdy nie wróci, czy też pójdą żerować dalej, więcej o nim nie myśląc. Jeśli tak, to im zazdroszczę.

Dzisiaj morze jest lekko wzburzone. Chyba widzę parę delfinów kilkaset jardów od brzegu, ale kiedy znowu tam spoglądam, już ich nie ma, więc nie jestem pewna. Wiatr nadal wieje od zachodu, nie od wschodu. To straszna myśl, ale jeśli Hinkley wypływa radioaktywny materiał, kierunek wiatru może decydować o życiu lub śmierci.

Przechylałam taczkę i zrzucałam upiorny ładunek z kamiennego molo.

Moim kurom nigdy nie nadaję imion, bo trudniej jest ukręcać łeb istocie, którą się nazwało, ale jednak przykro mi, że przed śmiercią były tak przerażone. Teraz fale unoszą je razem z ich zabójcą w stronę otwartej zatoki.

Chcę czuć nienawiść do tego lisa, ale nie potrafię.

Próbował tylko przeżyć.

*

Kiedy wracam do domu, Lorelei w kuchni smaruje odrobiną masła wczorajszą bułkę na lunch dla siebie i dla Rafiqa.

– Dzień dobry, babciu.

– Dzień dobry. Są też suszone glony. I marynowana rzepa.

– Dziękuję. Raf powiedział mi o lisie. Szkoda, że mnie nie obudziłaś.

– Nie było sensu, skarbie. Nie potrafisz przywracać do życia martwych kur, a z lisem Zim sam się rozprawił. – Zastanawiam się, czy Lorelei pamięta, jaki dziś dzień. – Mamy jeszcze trochę blachy falistej ze starej szopy. Spróbuję wkopać ją pod ściany kojca.

– Dobry pomysł. To powinno przelisić kolejnego chytруса.

– O, to właśnie ten twój językowy gen po dziadku Edzie.

Lorelei lubi, kiedy jej tak mówię.

– Dziś jest... – słyszę, że stara się, by jej głos brzmiał zwyczajnie i po prostu – Dzień Rodziców. Dwudziesty siódmy października.

– Owszem, skarbie. Chcesz zapalić kadzidełko?

– Chciałabym.

Lorelei idzie do naszego ołtarzyka i otwiera wieczko. Na fotografii jest Aoife z Örvarem i dziesięcioletnia Lorelei, a w tle wykopaliska w L'Anse aux Meadows. Zdjęcie pochodzi z 2038 roku, ostatniego w ich życiu, ale zielenie i żółcienie na fotografii już teraz blakną, a błękity i czerwienie rozlewają się w smugi i plamy. Dużo zapłacałabym za

nową odbitkę, ale nie ma prądu ani pojemników z tuszem, żeby cokolwiek drukować, nie mam też oryginału, z którego można by zrobić odbitkę: moje nieodpowiedzialne pokolenie powierzyło wszystkie wspomnienia Netowi, więc Awaria z 2039 roku była jak zbiorowy udar mózgu.

– Babciu? – Lorelei patrzy na mnie, jakby niepokoiła się, dokąd odpłynęłam myślami.

– Przepraszam, skarbie, byłam, hm...

Czasem w pamięci mam same dziury.

– Gdzie jest puszka z kadzidelkami?

– Oj, sprzątałam i postawiłam ją gdzie indziej, w jakimś bezpiecznym miejscu... – Czy to mi się ostatnio zdarza coraz częściej?

– A, tak, puszka. Stoi nad piecem.

Lorelei zapala nowe kadzidelko od ognia w piecu, po czym zdmuchuje płomynek. Przechodzi przez całą kuchnię i umieszcza kadzidelko w podstawce w ołtarzyku. Jest tam też rzymska moneta, którą Aoife dała Lorelei, i stary nakręcany zegarek, który Örvar odziedziczył po dziadku. Przyglądamy się, jak smużka dymu z drewna sandałowego rozwija się z rozżarzonego punkciku. Drewno sandałowe, kolejny zapach ze starego świata. W pierwszym roku, kiedy paliłyśmy kadzidelko, przygotowałam modlitwę i wiersz, ale nagle ogarnął mnie taki niekontrolowany szloch, że przeraziłam Lorelei. Od tego czasu mamy milczącą umowę, że po prostu stajemy na chwilę razem przed ołtarzykiem i każda samotnie zatapia się we wspomnieniach. Pamiętam, jak pięć lat temu machałam im na pożegnanie na lotnisku w Corku – to był ostatni rok, kiedy zwykli ludzie mogli kupić ropę, jeździć samochodem i latać samolotami, chociaż ceny biletów osiągały już wtedy zawrotne wysokości. Oni też nie mogliby lecieć, gdyby rząd Australii nie opłacił Örvarowi biletów. Aoife leciała z nim do Australii, żeby odwiedzić ciotkę Sharon i wujka

Petera, którzy wyjechali stąd pod koniec lat dwudziestych, i którzy, mam nadzieję, nadal żyją cali i zdrowi w Byron Bay – przez ostatnie półtora roku z Australii ani do Australii nie było żadnych nici. Jak łatwo, jak momentalnie mogliśmy kiedyś wysłać każdemu wiadomość w dowolne miejsce świata. Lorelei trzyma mnie za rękę. Poleciałaby z rodzicami, ale wtedy akurat złapała ospę i nie zdążyła wyzdrowieć, więc Aoife i Örvar z Dublina, gdzie tamtego roku mieszkali, przywieźli ją tutaj. Dwa tygodnie u babci Holly miały być dla Lorelei nagrodą pocieszenia.

Minęło pięć lat, a ja biorę głęboki, rwany oddech, żeby powstrzymać się od płaczu. Nie chodzi nawet o to, że już nigdy więcej nie przytulę Aoife, chodzi o wszystko. O tereny, które zmieniliśmy w martwe pustkowia, o góry lodowe, które przez nas stopniały, o Golfstrom, który przez nas zmienił kierunek, o rzeki, które przez nas wyschły, o wybrzeża, które zalaliśmy, o jeziora, które zadusiliśmy ściekami, o morza, które zabiliśmy, o gatunki, które przez nas wymarły, o faunę zapyłającą, której przez nas już nie ma, o zmarnowaną przez nas ropę, o lekarstwa, które przez nas straciły moc działania, o złotoustych kłamców, których wybraliśmy na wysokie urzędy – wszystko po to, żebyśmy nie musieli zmieniać naszego wygodnego stylu życia. Ludzie mówią o Ociemnieniu, jak nasi przodkowie mówili kiedyś o pladze dżumy – jakby zesłał je zagniewany Bóg. Ale to nasze dzieło, to my powoli sprowadzaliśmy Ociemnienie z każdym przejeżdżonym bakiem ropy. Moje pokolenie obzerało się do nieprzytomności w Restauracji Ziemijskich Zasobów, wiedząc – choć temu zaprzeczało – że zwiejemy od stołu i zostawimy wnukom otwarty rachunek, jak dług, którego nigdy nie będą w stanie spłacić.

– Tak mi przykro, Lol. – Wzdycham, rozglądając się za pudełkiem chusteczek, ale przypominam sobie, że na naszym świecie nie ma już

chusteczek.

– Tak musi być, babciu. Dobrze powspominać mamę i tatę.

Na górze Rafiq skacze po podłodze – pewnie wciąga skarpetę – i udaje, że śpiewa coś po mandaryńsku. Dla dzieciaków ze Strefy chińskie zespoły są tym, czego aktualnie się słucha, tak jak ja słuchałam amerykańskiej nowej fali.

– Właściwie to można powiedzieć, że mamy szczęście – mówi cicho Lorelei. – Rodzice przynajmniej nie cierpieli... Wiesz, to stało się bardzo szybko i mieli siebie nawzajem, i przynajmniej wiemy, co się stało. Ale dla Rafa...

Spoglądam na Aoife i Örvara.

– Byliby z ciebie, Lol, tacy dumni.

Wtedy Rafiq staje na górze schodów.

– Lol, jest jeszcze jakiś miód do płatków? O, cześć, Holly.

*

Kiedy już szkolne torby są spakowane, pudełka z drugim śniadaniem schowane, warkocze Lorelei zaplecione, pompa insulinowa Rafiqa sprawdzona, a jego niebieski krawat – jedyna pozostałość mundurka, której noszenia może jeszcze wymagać szkoła w Kilcraanog – zawiązany, zdjęty z powrotem i zawiązany jeszcze raz, możemy ruszać w drogę. Powoli wyłania się góra Caher, której południowe zbocze oglądam o wszystkich porach roku, przy każdej pogodzie i w każdym nastroju codziennie od dwudziestu pięciu lat. Cienie chmur prześlizgują się po wrzosowiskach na jej kamienistym stoku, którego górne partie porasta janowiec. Niżej widać pięć akrów plantacji sosny kalifornijskiej. Pcham wielki wózek, który nadawał się do muzeum już wtedy, kiedy bawiłyśmy się nim z Sharon, gdy przyjeżdżałyśmy tu na wakacje w latach siedemdziesiątych.

Mo już wstała i akurat wieszka przed domem pranie na sznurze, kiedy podchodzimy do jej furtki. Ma na sobie gruby wełniany *geansai*, tak porozciągany, że wygląda niemal jak toga.

– Dzień dobry, kochani sąsiedzi. I znowu piątek. Ależ ten czas leci! Gdzie się podziewają całe tygodnie?

Białowłosa Mo, była fizyczka, chwyta laskę i kuśtyka przez nierówno przycięty trawnik, żeby wręczyć mi puste pudełko na przydział, skoro idę do miasta.

– Z góry dziękuję – mówi.

– Żaden problem – odpowiadam i wkładam pudełko do wózka obok mojego, Lorelei i Rafiq.

– Daj, razem rozwiesimy pranie, Mo – oferuje pomoc Lorelei.

– Rozwiesić jeszcze dam radę, Lol, ale maszerować do miasta – jak nazywamy wieś Kilcrannog – już nie dam. Aż nie chcę myśleć, co bym zrobiła, gdyby wasza babcia nie odbierała dla mnie przydziału. – Mo wymachuje laską i kręci nią jak smutny Chaplin. – Powoli umarłabym z głodu.

– Co za bzdury – mówię jej. – O’Daly’owie by się tobą opiekowali.

– Wczoraj w nocy lis zagryzł nam cztery kury – mówi Rafiq.

– O, wielka szkoda. – Mo spogląda na mnie, a ja wzruszam ramionami.

Zimbra merda ogonem. Właśnie wyniuchał jakiś zapach, który prowadzi aż do Mo.

– Mamy szczęście, że Zimmy dorwał go, zanim lis zagryzł całe stado – dodaje Rafiq.

– Ojoj. – Mo drapie Zimbrę za uchem i znajduje magiczne miejsce, które sprawia, że Zimbra cały topnieje. – Prawdziwy horror.

– Miałaś wieczorem szczęście z Netem? Udało ci się wejść? – pytam. Co ma oznaczać: „Jakieś wieści o reaktorze Hinkley Point?”.

– Tylko na kilka minut, same oficjalne nici. To co zwykle. – Nie

ciągniemy wątku dalej, przy dzieciach. – Ale wpadnij później.

– Może popilnowałabyś nam Zimbry, Mo? – proszę ją. – Nie chcę, żeby po tym zagryzieniu lisa poczuł mi zew krwi gdzieś po drodze.

– Oczywiście. A właśnie, Lorelei, powiedziałaabyś panu Murnane’owi, że będę w wiosce w poniedziałek i poprowadzę lekcję fizyki? Cahill O’Sullivan wybiera się do miasta konną dwukólką i zaproponował, że mogę się z nim zabrać. Powiozą mnie jak królową Sabę. Idźcie już, zatrzymuję was tylko i się spóźnicie. Chodź, Zimbra, zobaczmy, czy nie znajdziemy czasem tej obrzydliwej baraniej goleni, którą ostatnio zakopałeś...

*

Jesień właśnie przechodzi moment przesilenia. Dotąd wspaniała i złota zmienia się teraz w chłodną i przegniłą, a do pierwszych mrozów już niedaleko. W 2030 pory roku się pogmatwały i latem mieliśmy mrozy, a zimą susze, ale przez ostatnie pięć lat mieliśmy długie, upalne lata, długie, wietrzne zimy, a między nimi wiosny i jesienie. Za granicami Strefy traktory są gatunkiem na wymarcium i żniwa były żalosne, a dwa dni temu RTÉ nadało wieczorem reportaż o tym, jak farmy w hrabstwie Meath wracają do uprawy roli pługiem ciągniętym przez konie. Rafiq truchta przed nami i zbiera ostatnie jeżyny, a ja zachęcam Lorelei, żeby też sobie narwała. Przydziały suplementów witamin są coraz mniejsze i coraz rzadsze. Krzaki jeżyn przynajmniej rosną bujnie, ale jeśli ich niedługo nie przytniemy, nasza ścieżka prowadząca do głównej szosy zmieni się w ciernisty żywopłot wokół zamku Śpiącej Królowy. Muszę pogadać o tym z Declanem i Cahillem. Kałuże robią się coraz głębsze, a w podmokłym gruncie grzęzniemy coraz bardziej, aż Lorelei tu i ówdzie musi pomagać mi z wózkiem. Tym bardziej żałuję, że nie położyłam

twardej nawierzchni na ścieżce, kiedy pieniądze jeszcze mogły takie sprawy załatwiać. I tym bardziej żałuję, że nie zrobiłam większych, solidniejszych zapasów, ale za późno zorientowaliśmy się, że przejściowy brak towarów zmienił status na trwały.

Mijamy strumień, z którego wodę czerpią zbiorniki w moim domu i w chacie Mo. Szemrze sobie miło po niedawnych deszczach, ale latem zeszłego roku wysechł na cały tydzień. Zawsze, kiedy mijam ten strumień, wspominam, jak ciocia Eilísh opowiadała mi, kiedy byłam mała, że mieszkały tu czarne charaktery, wróżki Maude i Mary, miały rewolwery i złote rowery. I złośliwie odwracały ludziom życzenia, więc trzeba je było przechytrzać i prosić o to, czego się nie chce. Na przykład „w życiu nie chcę deskorolki” mogło skutkować stosownym prezentem. Przez jakiś czas ten sposób się sprawdzał, ale w końcu wróżki Maude i Mary, czarne charaktery, zorientowały się, że ludzie kręcą, więc czasem spełniały ich życzenia, a czasem nie. „A morał z tego taki, kochanie”, ciotka Eilísh mówi teraz do mnie z drugiego brzegu sześćdziesięcioletniej przepaści, „że jeśli czegoś chcesz, musisz to zdobyć sama sumienną pracą i pomysłem. Wróżki zostaw w spokoju”.

Ale dzisiaj, nie wiem dlaczego, może to przez lisa, może przez Hinkley, postanawiam zaryzykować: „Wróżki Maude i Mary, czarne charaktery, proszę, niech moje kochania przeżyją”.

– Proszę.

Lorelei odwraca się i pyta:

– Wszystko w porządku, babciu?

*

Kiedy ścieżka z mojego domu dochodzi do głównej szosy, skręcamy w prawo i zaraz potem mijamy skręt do farmy Knockroe. Spotykamy

też jej właściciela, Declana O'Daly'ego, który ciągnie wózek siana. Declan ma jakieś pięćdziesiąt lat. Razem z jego żoną, Branną, mają dwóch starszych synów i młodszą córkę, która chodzi do klasy z Lorelei. Declan ma też dwadzieścia parę krów rasy Jersey i około dwustu owiec, które pasą się na końcu cypla, gdzie rośnie lepsza trawa. Przez rzymskie czoło, kręconą brodę i klasyczną twarz Declan wygląda trochę jak Zeus, nieco podupadły, ale pomógł Mo i nam już tyle razy, że cieszę się, że jest.

– Uściskałbym was – mówi, idąc w swoim wyplamionym kombinezonie przez podwórko farmy w stronę głównej szosy – ale jedna z krów właśnie przewróciła mnie kopniakiem w kupę gnoju. I co się śmiejesz, młody Rafiq Bayati? – Declan udaje złość. – Na Boga, wytarłbym się tobą, ale...

Rafiq trzęsie się z tłumionego śmiechu i chowa się za mnie, a Declan groźnie staje nad nim, jak uwalany gnojem Frankenstein.

– Lol – mówi Declan – Izzy prosiła, żeby cię od niej przeprosić, ale poszła do wioski wcześniej, żeby pomóc ciotce zapakować warzywa do skrzynek. Konwój ma je zabrać. Słyszałem, że będziesz dziś u nas nocować?

– Tak, jeśli mogę – odpowiada moja wnuczka.

– No, drużyna rugbistów z ciebie przecież nie jest, nie przetrzebisz mi farmy.

– To miło z twojej strony, że karmisz jeszcze jedną osobę – mówię.

– Goście, którzy pomagają w dojeniu krów, są bardzo mile widz... – Declan urywa i zadziera głowę, wpatrując się w niebo.

– A to co? – Rafiq mruży oczy, patrząc w stronę Killeen Peak.

Z początku nic nie widzę, ale potem słyszę metaliczne buczenie, a Declan mówi:

– Proszę, proszę, patrzcie tylko...

Lorelei z niedowierzaniem pyta:

– Samolot?

Widzę go. Wygląda jak długi, niezgrabny szybowiec. Z początku myślę, że jest duży i leci wysoko, ale potem widzę, że jest mały i leci nisko, tuż nad szczytami pasm Seefin i Peakeen. Zmierza w stronę Atlantyku.

– To dron – mówi Declan, a w jego głosie słychać napięcie.

– Tera! – stwierdza zachwycony Rafiq. – Prawdziwy UAV.

– Mam siedemdziesiąt pięć lat – przypominam mu kąśliwie.

– Bezzałogowy statek latający – odpowiada. – Jak wielki zdalnie sterowany samolot, z przymocowanymi kamerami. Czasem przenoszą też pociski, ale ten jest za mały. Stabilność ma takich kilka.

– A co tu robi? – pytam.

– Jeśli się nie mylę – mówi Declan – szpieguje.

– Po co ktoś miałby nas szpiegować? – pyta Lorelei.

W głosie Declana słychać niepokój:

– No właśnie. Dobre pytanie.

*

– „Duchy wód i ziemi – rodzicami memi”[25] – recytuje Lorelei, kiedy mijamy starą, rdzewiejącą podstację elektryczną. – „Piastunką – przestrzeń powietrzna; przenikam w obiegu tkań morza i brzegu, wciąż zmienna, a jednak wieczna”.

Zastanawiam się, czy słusznie pan Murnane wybrał *Chmurę*. Lorelei i Rafiq nie są jedynymi dziećmi w Kilcrannog, które wraz z nastaniem Ociemnienia straciły przynajmniej jedno z rodziców.

– O rany, nie wierzę, babciu, znowu zapomniałam w tym samym miejscu.

– „Choć z deszczową rosą...”.

– Już wiem, już wiem. „Choć z deszczową rosą wiatry mnie rozniosą

i w górze istnieć przestanę; choć słońca promienie błękitów sklepienie...”. Mmm...

– „Bez skaz utkają świetlane...”.

Bezwiednie spoglądam w niebo. Moja wyobraźnia nadal potrafi wyświetlić na błękitach mały błyszczący samolot. Nie taką przerośniętą zabawkę jak dron – chociaż to też było niezwykle – ale pasażerski odrzutowiec i ślad, jaki zostawia za sobą na niebie, który powoli zmienia się z ostrej białej kreski w zmierzwioną bawełnę. Kiedy ostatni raz to widziałam? Chyba jakieś dwa lata temu. Pamiętam, jak Rafiq przybiegł z szeroko otwartymi oczami i z rozdziawioną buzią, i myślałam, że stało się coś złego, ale on wyciągnął mnie przed dom i pokazując w niebo, krzyczał: „Patrz, patrz!”.

Na drogę przed nami wbiega szczur, zatrzymuje się i bacznie się nam przygląda.

– Co to znaczy „sklepienie”? – pyta Rafiq, podnosząc kamyk.

– Taki wkłęsły sufit – odpowiada Lorelei. – Wkłęsły, czyli wgłębiony. A „wypukły” znaczy wybrzuszony.

– Czyli Declan ma wypukły brzuch?

– Nie aż taki wypukły, jak kiedyś, ale daj Lol w spokoju recytować wiersz pana Shelleya.

– „Pana”? – Rafiq ma podejrzliwą minę. – Shelley to imię dziewczyny.

– To jego nazwisko – tłumaczy Lorelei. – Nazywał się Percy Bysshe Shelley.

– Percy? Bysshe? Rodzicie musieli go nie cierpieć. Przecież w szkole chłopaki kompletnie nie dawały mu żyć. – Rafiq rzuca kamykiem w szczura.

Nie trafia, szczur ucieka i chowa się w żywopłocie. Kiedyś powiedziałabym Rafiqowi, żeby nie ćwiczył celności na żywych istotach, ale odkąd szerzą się opowieści o szczurzej grypie, zasady się

zmieniły.

– No, dalej, Lol – mówię. – Recytuj.

– Chyba resztę pamiętam już do końca. „Ja ze swego pogrzebu wzlataję ku niebu z jaskini deszczów ukrytej; jak duch z grobu łona nowo narodzona przesłaniam znowu błękity”.

– Brawo. Twój tata też miał zdumiewającą pamięć.

Rafiq zrywa kwiatek fuksji i wysysa z niego kropelki nektaru. Czasem myślę, że nie powinnam wspominać Örvara przy Rafiq, bo on nie znał swojego taty. Rafiq jednak chyba się teraz nie przejął.

– Łono to tam, gdzie w brzuchu mamy jest małe dziecko, tak, Holly?

– Zgadza się – odpowiadam.

– A co to jest „piastunka”? Było na początku.

– Inaczej opiekunka. Taka, która się zajmuje małymi dziećmi.

– Ja też na początku nie rozumiałam tego wiersza – przyznaje się Lorelei – ale Mo mi go wyjaśniła. Jest o narodzinach i odradzaniu się, i o cyklu wodnym. Kiedy pada, chmura się cała zużywa, czyli tak jakby umiera. A słońca promienie tkają błękitów sklepienie, czyli jakby, robiąc czyste niebo, urządzają pogrzeb chmurze, tak? Ale potem deszcz, który był starą chmurą, spływa do morza, gdzie paruje i zmienia się w nową chmurę, która jako nowo narodzona wzlataje ku niebu i przesłania znowu błękity. Jasne?

Zarośla janowca roztaczają w powietrzu zapach wanilii i rozbrzmiewają śpiewem ptaków.

– Dobrze, że my mamy śpiewać o smoku – stwierdza Rafiq.

*

Przy szkolnej furtce Rafiq mówi mi: „Pa!” i leci do grupki chłopaków, którzy udają, że są dronami. Chcę zawołać za nim: „Uważaj na pompę insulinową!”, ale Rafiq wie, że mamy w zapasie

jeszcze tylko jedną, a po co robić mu obietnic przy kolegach?

Lorelei żegna się:

– Pa, babciu, uważaj na targu. – Jakby to ona była tą dorosłą, a ja tą, na którą trzeba chuchać, i odchodzi do grupki pół dziewczyn, pół kobiet, stojących w drzwiach szkoły.

Tom Murnane, wicedyrektor, zauważa mnie i podchodzi.

– Holly, chciałem zamienić z tobą słowo. W dalszym ciągu nie chcesz, żeby Lorelei i Rafiq chodzili na lekcje religii? Ojciec Brady, nowy ksiądz, dziś rano zaczyna cykl zajęć z Biblii.

– Nie dla mojej dwójki, Tom, jeśli to nie problem.

– To świetnie się składa. Oprócz twoich jest jeszcze takich ośmioro czy dziewięcioro dzieciaków, więc dla nich zorganizujemy lekcje o Układzie Słonecznym.

– A Ziemia będzie się kręcić wokół Słońca czy odwrotnie?

Tom chwyta dowcip.

– Bez komentarza. Jak się dziś czuje Mo?

– Lepiej, dziękuję, i dobrze, że wspomniałeś o niej, moja pam... – Urywam i nie mówię: „Moja pamięć ostatnio szwankuje”, bo to wcale nie jest śmieszne. – Cahill O’Sullivan w poniedziałek przywiezie ją dwukółką, więc Mo poprowadzi lekcje fizyki, jeśli w dalszym ciągu ci to odpowiada.

– O ile tylko czuje się na siłach, czekamy z niecierpliwością, ale powiedz jej, że ma się nie forsować, jeżeli jej kostka potrzebuje jeszcze trochę czasu na rekonwalescencję.

Rozlega się szkolny dzwonek.

– Muszę lecieć – rzuca Tom Murnane i już go nie ma.

Odwracam się i widzę Martina Walsha, wójta Kilcrannog, który macha na pożegnanie swojej córce, Roisín. Martin to duży mężczyzna z krótko przyciętymi białymi włosami i zaróżowioną cerą. Wygląda jak Święty Mikołaj, który próbuje sił w ochronie nocnego klubu. Zawsze

golił głowę zupełnie na łyso, ale jednorazowe maszynki do golenia ostatni raz pojawiły się w przydziałach półtora roku temu i dzisiaj większość mężczyzn na naszym półwyspie nosi brody przeróżnych kształtów.

- Holly, jak się dziś mamy w tak piękny poranek?
- Dziękuję, nie narzekam, ale martwię się Hinkley Point.
- Oj, przestań. Miałaś w tym tygodniu jakieś wieści od brata?

– Usiłuję nawiązać nici, ale albo dostaję komunikat, że nie ma Netu, albo nic się rwie po kilku sekundach. Więc nie, nie rozmawiałam z Brendanem od tygodnia, odkąd poziom zagrożenia obniżono do „niskiego czerwonego”. Brendan mieszka w grodzonej kolonii pod Bristollem, skąd już niedaleko do nowo wytyczonej strefy zamkniętej. A płatni ochroniarze nie obronią przed promieniowaniem. Ale cóż – uciekam się do mantry naszych czasów – co ma być, to będzie.

Prawie wszyscy, których znam, mają jakichś bliskich zagrożonych niebezpieczeństwem, a przynajmniej są niemal pozbawieni z nimi kontaktu. Dlatego głośne wentylowanie własnych obaw i narzekań stało się towarzyskim nietaktem.

– Za to Roisín jest już zdrowa jak rydz, widziałam ją dzisiaj. To jednak nie była świnka?

– Nie, nie, tylko powiększone węzły chłonne, dzięki Bogu. Doktorka Kumar miała nawet jakieś lekarstwo. A jak tam kostka naszej miejscowej cyberneurolożki?

- Goi się. Przyłapałam Mo dziś rano na wieszaniu prania.
- Świetnie. Przekaż jej, że pytałem o jej zdrowie.
- Przekażę. I... właściwie, Martin, to chciałabym zamienić z tobą słowo.

– Oczywiście, a co takiego się stało? – Martin nachyliła się blisko, trzymając mnie za łokieć, jakby to on, nie ja, lekko niedosłyszał. Kandydaci polityczni tak właśnie traktują starsze panie na tydzień

przed wyborami w okręgu, w którym mieszka zaledwie trzystu głosujących.

– Wiesz może, czy Stabilność będzie rozdzielala węgiel przed zimą? Mina Martina mówi: „Sam chciałbym wiedzieć”.

– Jeśli węgiel tu dotrze, odpowiedź brzmi: tak. Problem ciągle ten sam. Dublin patrzy na Strefę, myśli: ci to opływają w dostatki, i umywa od nas ręce. Mój kuzyn w Ringaskiddy mówił mi, że w zeszłym tygodniu stał u nich w porcie węglowiec z ładunkiem z Polski, ale kiedy będzie dość węgla, żeby wystarczyć do ciężarówek transportowych, to już inna sprawa.

– A jeszcze, cholera, na drodze z Ringaskiddy na Sheep's Head nagle zaczęło się panoszyć złodziejstwo – wtrąca Fern O'Brien, który pojawił się nie wiadomo skąd – i za słońcą opłatą węgiel ni stąd, ni zowąd znika z ciężarówek. Nie miałbym wielkich nadziei na transport.

– Poruszyliśmy ten temat na ostatnim posiedzeniu komitetu – mówi Martin. – Z kilkoma chłopami wybieramy się do Caher Saddle naciąć darni. Ozzy z kuźni zrobił... jak to się nazywa?... kompresor do formowania beli z darni, takich na wielkość. – Martin rozstawia dłonie na szerokość stopy. – Jasne, że darń to nie węgiel, ale lepsza niż nic, a jeśli nie zostawimy w spokoju Pięcioakrowego Lasku, niedługo będziemy mieć Pięciokarowe Nic. Kiedy już dobrze wysuszymy te bele, poproszę Fionna, żeby zawiózł kilka do was i do Mo, gdy następnym razem będzie jechał do farmy Knockroe. I to niezależnie od tego, na kogo będziecie głosować. Mrozów nie obchodzi polityka i musimy dbać o siebie nawzajem.

– Będę głosować na urzędującego wójta – zapewniam.

– Dziękuję, Holly. Każdy głos się liczy.

– Nie masz chyba jakiejś poważnej opozycji?

Fern O'Brien wskazuje stojącą za mną kościelną tablicę ogłoszeń.

Podchodzę do niej i czytam nowy, duży, wypisany odręcznie plakat:

OCIEMNIENIE TO SĄD BOŻY
BOŻY LUD MÓWI „DOŚĆ!”
GŁOSUJ NA PARTIĘ PANA
MURIEL BOYCE NA WUJCINĘ

– Muriel Boyce? Na wójcinę? Przecież Muriel Boyce jest... to znaczy...

– Muriel Boyce nie należy lekceważyć – odpowiada Aileen Jones, była filmowczyni-dokumentalistka, która teraz zajmuje się połowami homarów. – Jest za pan brat z księdzem proboszczem, chociaż na bakier z ortografią. Bigoteria i problemy z ortografią jakoś się wiążą. Już kiedyś miałam do czynienia z tym połączeniem.

– Ojciec McGahern nigdy nie angażował kościoła w politykę – stwierdzam.

– To prawda, nigdy – odpowiada Martin. – Ale ojciec Brady to człowiek innego pokroju. W niedzielę na mszy będzie nam powiedział, że Bóg ochroni tylko te rodziny, które zagłosują na Partię Pana.

– Ludzie nie są głupi – protestuję. – Nie kupię tego.

Martin patrzy na mnie, jakbym nie rozumiała zbyt wiele. Ostatnio często inni tak na mnie patrzą.

– Ludzie chcą nowej Arki Noego, która ich wyratuje. I cudów. Partia Pana proponuje im jedno i drugie. Ja proponuję im bele darni.

– Ale Arka Noego nie istnieje, a bele darni owszem. Nie poddawaj się. Masz opinię człowieka, który podejmuje rozsądne decyzje. Ludzie słuchają głosu rozsądku.

– Rozsądku? – Aileen Jones uśmiecha się kwaśno. – Jak mawiał mój znajomy doktor Greg, jeśli można byłoby rozsądnie porozmawiać z osobą religijną, nie byłoby takiej ani jednej. Nie obraż się, Martin.

– Teraz już nic nie jest w stanie mnie obrazić – stwierdza nasz wójt.

*

Idziemy Church Lane do placu Kilcrannog. Przed nami stoi bar Fitzgeralda, niski, nieregularny budynek, tak stary, jak cała wioska. Przez wieki obrósł przybudówkami i pomalowano go na biało, choć już jakiś czas temu. Wrony obsiadły cały dach i okapy, jakby coś knuły. Po naszej prawej stronie jest punkt tankowania, który, kiedy się tu przeprowadziłam, był stacją obsługi Maxol, gdzie do woli napelnialiśmy baki naszych toyot, kii i volkswagenów. Dzisiaj zaopatruje się tu wyłącznie cysterna Kooperatywy, która potem jeździ od farmy do farmy. Po lewej stronie widzimy sklep Kooperatywy, gdzie dzisiaj komitet będzie rozdawał przydziały, a po południowej stronie placu stoi Hala. Hala służy także za targowisko w Dni Konwoju. Wchodzimy do środka, a Martin przytrzymuje przede mną drzwi, żebym mogła wprowadzić wózek. W hali panuje hałas, ale dziś raczej nie słyszę śmiechu – Hinkley Point kładzie się długim cieniem na naszej wiosce. Martin mówi, że wróci do mnie później, i odchodzi pracować na swój wynik wyborczy, Aileen szuka Ozzy’ego, żeby porozmawiać z nim o metalowych częściach do jej żaglówki, a ja zaczynam buszować po kramach. Myszkuje wśród stołów na kozłach, na których leżą jabłka, gruszki i warzywa zbyt nieforemne, żeby przyjęła je Pearl Corp. Jest też domowy peklowany boczek, miód, są jajka, marihuana, sery, warzone domowe piwo i poitín[26], plastikowe butelki i pojemniki, robione na drutach ubrania, stare ciuchy, sfatygowane książki i tysiąc innych rzeczy, które kiedyś oddalibyśmy do jakiejś organizacji charytatywnej albo wyrzucili na śmieci. Kiedy dwadzieścia pięć lat temu przeniosłam się na półwysep Sheep’s Head, na każdym targu w zachodniej części Corku miejscowe kobiety

sprzedawały dla przyjemności ciasta i konfitury, hippisi próbowali wciskać turystom z Holandii rzeźby zielonego luda, a ludzie z dochodami klasy średniej kupowali ekologiczne pesto, daktyle Medjool i mozzarellę z mleka bawolic. Dzisiaj targ przypomina dawny supermarket: znajdziesz tu wszystko z wyjątkiem podstawowych produktów, jakie trafiają do pudełek na przydział. Z naszymi przerobionymi wózkami – dziecięcymi, inwalidzkimi i tymi z dawnych supermarketów – wyglądamy jak głodny, nieogolony, pozbawiony kosmetyków motłoch, który wpadł na parodię wyprzedaży w Lidlu czy Tesco sprzed zaledwie pięciu czy sześciu lat. Wymieniamy się, kupujemy i sprzedajemy, a nasza waluta to spryt, juany i dolary Sheep's Head – numerowane metalowe krążki, bite przez trzech wójtów z Durrus, Ahakista i Kilcrannog. Wymieniam czterdzieści osiem jajek na tani chiński szampon, w którym można też robić pranie. Za kilka worków soli z glonów morskich i kilka pęczków jarmużu dostaję szarą wełnę z Killarney, dzięki której dokończę koc. Dżem z czarnych porzeczek – słoiki są warte więcej niż ten dżem – oddaję za ołówki i ryzę papieru A4, z której zszyję parę zeszytów, bo stare zeszyty dzieci są już tak przetarte od wycierania gumką, że ich kartki prawie prześwitują. Z ociąganiem wymieniam też ostatnią dobrą parę kaloszy, które trzymam w pudle od piętnastu lat, na przezroczystą folię plastikową, z której zrobię peleryny przeciwdeszczowe dla naszej trójki i załatam nią cieplarnię po zimowych wichurach. Folię plastikową trudno dostać, więc Kip Sheehy robi przewidywalną minę, chcąc podbić cenę, ale wodoodporne buty są jeszcze rzadsze, więc mówię tylko:

– Trudno, może następnym razem.

Zbieram się, żeby odejść, a wtedy on dorzuca dwadzieścia metrów akrylowego sznurka i paczkę szczoteczek do zębów. Niepokoję się stanem zębów Rafiqa. Co prawda, w naszej diecie, jak u wszystkich,

jest bardzo niewiele cukru, ale na zachód od Corku nie ma już żadnego dentysty.

Zamieniam parę słów z Niamh Murnane, żoną Toma Murnane'a, która siedzi przy stole z woreczkami owsa i rodzynek. Stabilność nie ma już juanów na nauczycielskie pensje, więc daje im wypłaty w żywności, którą mogą wymieniać. Miałam nadzieję, że znajdę jakieś podpaski dla Lorelei, bo Stabilność usunęła je z listy artykułów pierwszej potrzeby, ale słyszę tylko, że żadne nie przyplłynęły w ostatnim transporcie kontenerowcem Kompanii. Branna O'Daly używa starych prześcieradeł podartych na paski. Będziemy musieli je co miesiąc prac, bo nawet stare prześcieradła stają się rzadkością. Gdybym tylko była bardziej przewidująca i zrobiła zapas tamponów już kilka lat temu... Ale cóż. Nie wypada narzekać, bo trzy miliony ludzi, które muszą przetrwać poza Strefą, mają jeszcze gorzej.

*

W przybudówce baru Fitzgeralda barmanka Sinéad serwuje gorące napoje i zupę ugotowaną na piecyku, który ogrzewa Halę zimą. Kiedy powoli pcham swój wózek, Pat Joe, mechanik z Kooperatywy, podsuwa mi krzesło swoimi wielkimi, uwalanymi smarem dłońmi, a jestem już tak zmęczona, że rzeczywiście muszę odsapnąć. Droga z Dooneen robi się dłuższa z każdym kolejnym piątkiem, przysięgam, a ból w prawym boku jakoś bardziej mi dokucza niż dotąd. Powinnam porozmawiać z doktorką Kumar, ale co poradzi, jeżeli to mój rak się znowu odzywa? Nie ma już tomografii, nie ma lekarstw. Przy stoliku siedzą także Molly Coogan, która kiedyś projektowała strony internetowe, ale teraz uprawia jabłka pod folią w okolicy Ardahill, i jej mąż Seamus. Jako Angielkę, pytają mnie, czy wiem coś więcej o Hinkley Point, ale jestem zmuszona ich rozczarować.

Przez ostatnie dwa czy trzy dni nikt inny też nie miał szczęścia w próbach wyjścia nicią poza Irlandię. Wczoraj wieczorem Pat Joe rozmawiał jednak ze swoim kuzynem z Ardmore we wschodnim Corku i teraz przez kilka minut bryluje w towarzystwie. Podobno dwustu azylumitów z Portugalii przybiło do brzegów plaży pięcioma czy sześcioma łodziami i teraz mieszkają na starym wyludnionym osiedlu, wybudowanym jeszcze w Złoty Latach.

– Bezczelni, przyszli jak po swoje – burzy się Pat Joe, obejmując dłonią miskę z zupą – jakby mieszkali tu zawsze. Więc burmistrz Ardmore poprowadził... delegację... do tego ich osiedla. Mój kuzyn też z nim poszedł, żeby powiedzieć azylumitom, że przykro nam bardzo i w ogóle, ale nie mogą tu osiąść na zimę, bo już teraz żywności w Kooperatywie i drewna na plantacji brakuje dla obecnych mieszkańców, a co dopiero dla dwustu dodatkowych ludzi. A tam wychodzi taki wielki gość, z giwerą, i bez mrugnięcia okiem strąca Kenny'emu strzałem czapkę z głowy, jak na jakimś westernie!

– Straszliwe! Przeróżające! – stwierdza Betty Power. Betty, która prowadzi wędzarnię w Kilcrannog, lubuje się w teatralnych gestach i słowach. – I co zrobił burmistrz?

– Wysłał posłańca do garnizonu Stabilności w Dungarvan z prośbą o wsparcie. Ale, cholera, usłyszał tylko, że ich dżipy nie mają ropy.

– Dżipy Stabilności nie mają ropy? – pyta zaniepokojona Molly Coogan.

Pat Joe wydyma usta i kręci głową.

– Ani kropki. Burmistrz usłyszał, że sam ma opanować sytuację, tak jak potrafi. Tylko co ma robić człowiek, kiedy najgroźniejszą bronią, jaką dysponuje, jest tapicerski zszywacz?

– Ja z kolei słyszałam – wtrąca Molly Coogan – że „Sun Yat-sen” – czyli jedna z chińskich superfregat, która pływa z chińskimi kontenerowcami na polarnym szlaku – wpłynęła w zeszłym tygodniu

do portu w Corku z pięciuset żołnierzami piechoty morskiej na pokładzie. Niezły pokaz siły.

– Z całą pewnością o jedno zero za mało, Moll – stwierdza Fern O'Brien, który nachyla się do nas od sąsiedniego stolika. – Bill mojej Jude miał tamtego dnia dyżur przy załadunku w Ringaskiddy i przysięga, że pod chińską banderą płynęło co najmniej pięć tysięcy żołnierzy.

Wyobrażam sobie Eda, mojego świętej pamięci partnera, jak wywraca oczami na wiarygodność tych tak zwanych newsów, ale słuchamy kolejnych, bo rozmowa zmienia temat na szwagierkę kuzyna Pata Joe, z hrabstwa Offaly, która zna „dobrze poinformowanego gościa” w instytucie badań Stabilności u Bledziochów, i tenże człowiek jest przekonany, że Szwedzi zgenomowali grzyboodporną, samozapylającą się odmianę pszenicy.

– Powtarzam tylko, co słyszałem – zastrzega Pat Joe – ale mówi się, że w przyszłym roku na wiosnę Stabilność wysieje ją w całej Irlandii. Kiedy ludzie będą mieć pełne brzuchy, skończą się zamieszki i ciągły szaber.

– Biały chleb. – Sinéad Fitzgerald wzdycha. – Wyobrażacie sobie?

– Nie wkurzaj się tylko, Pat Joe – mówi Seamus Coogan – ale czy to ten sam „dobrze poinformowany gość”, który twierdził, że Niemcy mają już lekarstwo na szczyrzą grypę, że Stany znowu się zjednoczyły, i że prezydent organizuje zrzuty koców, lekarstw i masła orzechowego we wszystkich krajach NATO? Albo może to był ten znajomy kolegi, który spotkał azylumitę pod Youghal, który z kolei przysięgał na życie własnej matki, że na Bermudach, Islandii czy tam na Azorach odkrył Technotopię, gdzie ciągle mają prąd całą dobę, prysznic z ciepłą wodą, ananasy i mus czekoladowy?

Myszę o tym, co mówił Martin. Że ludzie chcą nowej Arki.

– Ja powtarzam tylko, co słyszałem – obrusza się Pat Joe.

– Cokolwiek będzie – orzeka Betty Power – wszyscy jesteśmy w rękach Boga.

– W każdym razie na pewno tak to widzi Muriel Boyce – stwierdza Seamus Coogan.

– Martin bardzo się stara – przyznaje sucho Betty Power – ale to oczywiste, że tylko Kościół może rozprawić się z tym dziełem szatana, które ogarnia świat.

– Czemu kochający Bóg miałby nam pomóc dopiero, kiedy na niego zagłosujemy? – pyta Molly.

– Musisz Go o to zapytać – ucina Betty Power. – Tak właśnie działa modlitwa.

– Ale Molly pyta tylko – wtrąca Pat Joe – dlaczego Bóg nie może po prostu odpowiedzieć na nasze modlitwy? Dlaczego wymaga, żebyśmy najpierw na niego zagłosowali?

– Żeby przywrócić należną pozycję Kościoła – odpowiada Betty Power. – U steru naszego kraju.

Wszyscy coraz bardziej zapalają się w tej rozmowie, ale ja się czuję, jakbym słuchała dzieci, które kłócą się o to, co robi i czym się kieruje w działaniu Święty Mikołaj. Widziałam, co się dzieje po śmierci, widziałam Zmierzch i Wydmy. I ten widok był tak samo rzeczywisty, jak wyszczerbiony kubek herbaty, który teraz trzymam. Być może dusze, które widziałam, zmierzały za Morze Ostatnie ku jakiemuś życiu po śmierci, ale w takim razie nie ku takiemu, jakie opisują nam księża i imamowie. Nie ma żadnego Boga oprócz tego, którego sami sobie wymyślamy. Mogę zapewnić moich współparafian, że ludzkość zdana jest wyłącznie na siebie i że zawsze tak było...

...ale moja prawda brzmi tak samo jak obłąd, wcale nie rozsądniej niż ich wiara. A poza tym, czy ktokolwiek ma prawo zabijać Świętego Mikołaja? Szczególnie Świętego Mikołaja, który obiecuje, że połączy Cooganów z ich zmarłym synem, Pata Joe z jego zmarłym bratem,

mnie z Aoife, Jacko, mamą i tatą? Że odwróci Ociemnienie i przywróci centralne ogrzewanie, zakupy przez Internet, Ryanaira i czekoladę? Nasz głód osób bliskich i utraconego świata jest tak samo bolesny, jak rozpacz w żałobie. Gdybyż tylko ten głód nie czynił nas podatnymi na knowania ludzi pokroju ojca Brady'ego.

– Zaszła w ciążę? – Betty Power zakrywa dłonią usta. – Nie wierzę!

Czyli wróciliśmy do miejscowych plotek. Chciałabym zapytać, kto zaszedł w ciążę, ale teraz będą się zastanawiać, czy nie głuchnę albo czy nie dopada mnie starcze otępienie.

– W tym problem. – Sinéad Fitzgerald nachyla się do nas. – Po dożynkach trzech chłopaków poszło się zabawić z młodą panną Hegarty. Wszyscy byli upaleni – Sinéad Fitzgerald udaje, że pali dzointa – więc dopóki niemowlak nie podrośnie na tyle, że stanie się do kogoś ewidentnie podobny i wszyscy się dowiemy, kto jest tatusiem, Damien Hegarty nie wie, komu strzelić w łeb. Straszna sprawa.

Hegarty'owie trzymają kozy na półwyspie, między Ahakista i Durrus.

– Potworne – stwierdza Betty Power. – Przecież Niamh Hegarty ma dopiero szesnaście lat, dobrze mówię? Brak w domu matki, która do głowy nakładłaby rozum i zasad, w tym sęk. Oni myślą, że wszystko im wolno. I właśnie dlatego ojciec Brady...

*

...kubki zamierają w drodze do ust; zdania urywają się w połowie; dzieci zostają uciszone w jednej chwili; prawie dwustu mieszkańców zachodniego Corku milknie, jak na czyjś znak, a zaraz potem zbiorowo oddycha z ulgą. Oto nadjechał konwój: dwa opancerzone dżipy, eskortujące z przodu i z tyłu cysterne z ropą i ciężarówkę. W

granicach Strefy nadal mamy traktory i kombajny, a pojazdy Stabilności ciągle jeszcze jeżdżą po drodze N71 do Bantry, żeby obsługiwać garnizon i tamtejsze magazyny, ale Kilcrannog regularnie odwiedzają tylko te cztery błyszczące, nowoczesne pojazdy, które z warkotem silników jadą teraz Church Lane. Dla każdego, kto, powiedzmy, jest starszy od Rafiqa, ten odgłos przywołuje wspomnienia świata, który znaliśmy. Wtedy ruch uliczny był „hałasem”, nie „odgłosem”, ale teraz jest inaczej. Jeśli zamknąć oczy, gdy przyjeżdża konwój, można sobie wyobrazić, że jest na przykład rok 2030, kiedy człowiek miał własny samochód, Cork był półtorej godziny jazdy stąd, moje ciało nie bolało mnie bez przerwy, a zmiany klimatyczne były problemem wyłącznie dla ludzi, którzy mieszkali na terenach zagrożonych powodziami. Jeśli zamknąć oczy... Tylko że ostatnio nie zamykam już oczu, bo otwieranie ich z powrotem jest zbyt bolesne. Wszyscy wylewamy się na zewnątrz, żeby obejrzeć pokaz. Zabieram swój wózek. Nie dlatego że nie ufam sąsiadom i boję się, że okradliby staruszkę, która samotnie wychowuje dwójkę dzieci, ale dlatego że nie powinno się kusić głodnych ludzi.

*

Dżip na przedzie zatrzymuje się za punktem tankowania. Wyskakuje z niego czterech młodych Irlandczyków ze Stabilności i widać, że kręci ich wrażenie, jakie na gawiedzi robią ich mundury, karabiny i pewny, rozkołysany krok – to nie przypadek, że samotne dziewczyny z Kilcrannog w Dni Konwoju stroją się i malują resztkami make-upu. Corrina Kennedy z farmy Rossmore wyszła za konwojenta i teraz mieszka w garnizonie Bandon, gdzie mają pięć godzin prądu dziennie. Dowódca straży, Irlandczyk, kieruje szybki potok słów po „mandirlandzku” do swojego hełmofonu, żeby podać głównemu

konwojowi ich obecną pozycję.

– Każdy z tych ich hełmów kosztowałby więcej niż cały mój dom – mówi mi Pat Joe, nie pierwszy raz – gdyby tylko człowiek miał kontakty, żeby sprzedać taki hełm za twarde juany.

Z tyłu dżipa zeskakuje trzech chińskich żołnierzy w mundurach Pearl Occident Company, w skrócie POC. Są wyżsi niż ich irlandzcy koledzy, mają bielsze zęby, a ich karabiny są – jak powiedziałaby nastoletnia Aoife – bardziej zarąbiste. Irlandczycy czasem chwilę z nami porozmawiają, ale chińscy żołnierze mają ścisłe rozkazy, żeby nie fraternizować się z lokalną ludnością. Bantry to zachodni, mniej cywilizowany koniec ziem Dzierżawy, a ropa, którą rozwożą, jest cenniejsza niż złoto. Jeden z Irlandczyków dostrzega, że Kevin Murray stoi z zapaloną fajką zbyt blisko cysterny, i nakazuje ostro:

– Proszę natychmiast zgasić fajkę!

Śmiertelnie przerażony Kevin chowa się z powrotem w Hali. Konwojenci nie muszą nawet popierać rozkazów groźbami. POC to pępowina, która łączy nas magazynami w Ringaskiddy i ze wszystkimi rzeczami, których w Irlandii, ani nigdzie w Europie, o ile wiemy, nikt już nie produkuje.

Dwaj konwojenci, którzy przyjeżdżają co tydzień, to cysterniarz Noel Moriarty i główny handlowiec Seamus Li. Znany z ciętych ripost Noel, błądy, łysiejący trzydziestoparoletni mężczyzna z rozbieganym wzrokiem ściska dłoń Martinowi i zamienia z nim parę słów, natomiast kierowca wkłada w tym czasie końcówkę pompy do baku. Martin pyta Noela, czy ma jakieś informacje o Hinkley Point. Noel odpowiada, że jego szef z POC mówił mu, że Chińczycy monitorują elektrownię z satelitów na niskiej wysokości, i że cały kompleks wygląda na opuszczony. Ta wiadomość obiega tłum gapiów w niecałą minutę, ale jak zwykle na podstawie tak szczątkowych informacji trudno wysnuć sensowne wnioski. Noel Moriarty i Martin podpisują

sobie nawzajem niezbędne papiery i w końcu cysterniarz przesuwając czerwoną dźwignię, która uruchamia przepływ ropy do zbiornika Kooperatywy. Próbuje złapać zapach paliwa i ogarnia nas nowa fala bolesnej tęsknoty za Wiekami Benzyny.

W tym czasie ciężarówka wjeżdża tyłem do magazynu Kooperatywy po drugiej stronie placu, gdzie Seamus Li rozmawia właśnie z Olive O'Dwyer, wicewójcina Kilcrannog. Towary ładowane na ciężarówkę to głównie produkty rolnicze: z chłodni Kooperatywy wychodzi niedawno ubita wołowina, bekon, indyki, króliki, baranina i jagnięcina, a ze strefy ze świeżymi produktami – skrzynki fermentowanego tytoniu, porów, jarmużu, cebuli, ziemniaków, dyni i późnojesiennych owoców. Większość owoców i warzyw wyżywi Koncesję Ringaskiddy, gdzie mieszkają władze POC z rodzinami i załogi Floty Atlantyckiej Ludowej Marynarki Wyzwoleńczej. Mięso, nieklonowane i wolne od cezu – jak dotąd – zostanie sprzedane po niewiarygodnych cenach w Pekinie, Chongqing i Szanghaju. Mleko w Ringaskiddy jest przerabiane na mleko w proszku i stanowi sporą część eksportu.

W zamian trzy kooperatywy półwyspu Sheep's Head – Durrus, Ahakista i Kilcrannog – dostają ropę, nawóz, środek owadobójczy, części do maszyn, żarówki, narzędzia, sprzęt, jak również produkty zamówione ze specjalnej listy – w tym najpotrzebniejsze lekarstwa, jak insulina Rafiqa – której treść co miesiąc wspólnie ustala komitet. POC ma też układ ze Stabilnością z Corku, na podstawie którego jest zobowiązana dostarczać podstawowe towary z naszych tygodniowych przydziałów, chociaż ich jakość w ostatnich miesiącach systematycznie spada. Najważniejszym towarem, jaki dostarcza Kompania, jest jednak bezpieczeństwo. POC ochrania ziemie Dzierżawy, opłacając Milicję Stabilności, która obsadza sześćdziesięciomilowy obszar Strefy, i właśnie dlatego dziesięć mil

wybrzeża od Bantry do Corku jak dotąd uniknęło najgorszego bezprawia, którego plaga ogarnia już większość Europy, w miarę jak Ociemnienie wyłącza elektrownie i sieci przesyłowe, i wyniszcza cywilizowane społeczeństwo. Klienci w barze Fitzgeralda pienią się, że Chińczycy nie są tu z miłości i że POC bez wątpienia i tak zgarnia za wszystko niezłą kasę, ale nawet najbardziej pijany żul potrafi sobie wyobrazić, w jaką dzicz zmieniloby się niedługo życie na Sheep's Head bez Kompanii, Konwoju i Strefy.

To nasz Wielki Mur Chiński, można powiedzieć.

*

Punktualnie o trzeciej staję z wózkiem przy szkolnej furtce. Pamiętam przeróżne przedszkola i szkoły w północnym Londynie i w Rye, z których odbierałam Aoife. Dzisiaj głównym tematem rozmów jest w połowie puste pudełko na przydział, które dostaliśmy od Kooperatywy i które bez względu na nasz wiek zawiera czterystugramową paczkę płatków owsianych, lecz w znacznej części to łuski i słoma, dwustugramową paczkę brązowego ryżu, 200 gramów soczewicy, 50 gramów cukru i 50 gramów soli, paczkę dziesięciu torebek herbaty Dragon Brand, pół małej kostki mydła ze strefy zdemilitaryzowanej, pojemniczki koreańskiego detergentu, przeterminowanego od dwóch lat, buteleczkę jodiny z etykietą pisaną cyrylicą i, o dziwo, gumkę z Hello Kitty o zapachu coli. To, co nie zostanie zużyte, stanie się walutą na przyszłych piątkowych targach, ale dzisiejsze pudełko z przydziałem jest najgorsze od sześciu lat, odkąd wprowadzono ten system po klęsce nieurodzaju w 2039.

– Wiem, że to aż wstyd – mówi Martin do grupy rozeźlonych mieszkańców – ale jestem waszym wójtem, nie czarodziejem. Do

upadłego wysyłałem nici do Stabilności w Corku, ale jak mam ich zmusić do odpowiedzi, jeśli odpowiadać nie chcą? Stabilność to nie demokracja, zawsze najpierw zadbają o swoich, a sami odpowiadają tylko przed Dublinem.

Martina chwilowo ratuje szkolny dzwonek. Dzieci wychodzą przed szkołę, więc razem z moją dwójką wyruszamy z powrotem główną szosą z Kilcrannog, a Lorelei i Rafiq wążają na zmianę gumkę o zapachu coli. W Lorelei ten zapach budzi bardzo wczesne wspomnienia, ale Rafiq jest za mały, żeby wiedzieć, jak pachniała prawdziwa cola, więc ciągle pyta:

– Ale co to jest ta cola? Jakiś owoc czy zioło, czy co?

Ostatni na skraju miasta stoi dom Muriel Boyce. Poprzedza go rząd szeregowców, ale dom Muriel Boyce stoi oddzielnie. Jest duży i ciężkawy, w każdym oknie wiszą firanki, a oszklona weranda zmieniła się teraz w szklarnię, jak większość werand w okolicy. W trzech domach stojących wcześniej mieszkają trzej z czterech jej wielkich, zwalistych synów z żonami, które również rodzą wyłącznie chłopców, więc rząd trzech domów nazywamy zbiorowo „Boyceville”. Pamiętam, jak Ed mówił, że na plemiennych terenach Afganistanu synowie oznaczają siłę. Ociemnienie prowadzi nas w tę samą stronę. Na wszystkich oknach i drzwiach Boyceville namalowane są krzyże. Muriel Boyce zawsze była dewotką, a dawniej organizowała nawet wycieczki do Lourdes, ale odkąd dwa lata temu jej męża „wezwał do siebie Pan” – zapalenie wyrostka – jej pobożności wyrosły kły, a żywopłot wokół domu urósł wysoki, choć to nie przeszkadza jej jakoś widzieć wszystkiego, co się dzieje za nim. Minęliśmy już dom, kiedy nagle słyszę, że mnie woła. Odwracamy się, a Muriel staje w ogrodowej furtce. Ubrana jest jak zakonnica, a przy niej stoi Dónal, jej dwudziestoletni budyniowaty syn. Dónal ma na sobie obcięte szorty i bawełnianą koszulkę bez rękawów.

– Piękny wieczór się zrobił, prawda? Lorelei, ależ ty rośniesz. Śliczna z ciebie pannica. I Rafiq, dobry wieczór. W której jesteś już klasie?

– W czwartej – odpowiada ostrożnie Rafiq. – Dobry wieczór.

– Ładny dzień mamy, Lolly – odzywa się Dónal Boyce, a Lorelei kiwa głową i odwraca wzrok.

Muriel Boyce pyta:

– Słyszałam, że mieliście kłopot z lisem?

– Dobrze słyszałaś – odpowiadam.

– Prawdziwe nieszczęście. – Muriel cmoka z dezaprobatą. – Ile straciliście kur?

– Cztery.

– Cztery, tak? – Kręci głową. – I pewnie najlepsze nioski?

– Jedna czy dwie. – Wzruszam ramionami i chcę iść dalej. – Jajka to jajka.

– Podobno lisa dopadł wasz pies?

– Owszem. – W nadziei, że poprosi mnie, żebym na nią głosowała, a wtedy ja będę mogła jej dać wymijającą odpowiedź i już sobie iść, mówię: – Czyli startujesz w wyborach?

– Cóż, nie chciałam, ale Bóg nalegał, więc jestem Mu posłuszna. Oczywiście, każdy może głosować na kogo chce. Nigdy nie zobaczysz, jak agitują znajomych czy sąsiadów.

Robi to za ciebie ojciec Brady, myślę. Muriel odgania dłonią muchę.

– Nie, nie, nie chodzi o wybory, tylko o twoje dzieciaki. – Uśmiecha się do Lorelei i Rafiqa. – O nich chciałabym z tobą porozmawiać, Holly.

Dzieci mają zdziwione miny.

– Ja nic nie zrobiłem – protestuje Rafiq.

– Ależ nikt ci nic nie zarzuca – Muriel Boyce patrzy na mnie – ale czy to prawda, Holly, że nie pozwalasz, żeby ojciec Brady uczył ich

Dobrej Nowiny Pańskiej?

- Mówisz o lekcjach religii?
- O studiach biblijnych ojca Brady'ego, tak.
- Nie zapisaliśmy się na nie. Ale to nasza prywatna sprawa.

Muriel Boyce wzdycha i spogląda w bok, w stronę zatoki Dunmanus.

- Cała parafia podziwiała, jak zakasałaś rękawy, że tak powiem, kiedy Pan zostawił ci tych dwoje pod opieką, i to w twoim wieku. A dla jednego z nich nawet nie jesteś biologiczną rodziną. Nikt by cię nie winił!

- Biologia nie ma z tym nic wspólnego. - Jestem już mocno zniecierpliwiona. - Nie dlatego dałam Rafiqowi dom, żeby podziwiała mnie parafia, ani dlatego, że „Pan” tak chciał. Dałam mu dom, bo tak było trzeba.

Muriel Boyce uśmiecha się boleściwie.

- I właśnie dlatego teraz parafia jest tak rozczarowana, że chcesz za wszelką cenę zaniedbać ich duchowe potrzeby. Bóg jest bardzo zawiedziony. Twój własny anioł lka tuż obok ciebie, teraz, w tej chwili. W takich bezbożnych czasach młodzież i dzieci potrzebują siły modlitwy bardziej niż kiedykolwiek. To tak, jakbyś odmawiała im pożywienia.

Lorelei i Rafiq rozglądają się wokół i oczywiście niczego nie widzą.

- O, ja widzę wszystkie wasze anioły, moje dzieci. - Muriel Boyce kieruje szklany wzrok ponad nasze głowy, jak jasnowidzka. - Twój aniołek, Lorelei, wygląda jak twoja starsza siostra, ale ma długie, złote włosy. Rafiq ma mężczyznę, ciemnoskórego, ale taki też był jeden z Trzech Króli. Natomiast wszystkie trzy anioły są smutne. Anioł waszej babci płacze, aż jego niebieskie oczy całe zapuchły. Nie mogę na to spokojnie patrzeć. Twój anioł błaga cię, żebyś...

- Na litość boską, dość już, Muriel.

– O tak, na litość boską. To właśnie do litościwego serca Pana naszego Jezusa Chrystusa zanoszę...

– Nie nie nie nie nie. Po pierwsze, ty jedna to jeszcze nie cała parafia. Po drugie, obawiam się, że anioły, które „widujesz”, są mało wiarygodne, bo zbyt często zgadzają się ze zdaniem Muriel Boyce. A po trzecie, rodzice Lorelei nie chodzili do kościoła, a matka Rafiqą była muzułmanką, więc jako prawna opiekunka moich dzieci, szanuję życzenia ich rodziców. Skończyłyśmy rozmawiać. Miłego dnia, Muriel.

Palce Muriel Boyce, wczepione w górną krawędź furtki, przypominają mi szpony.

– Wielu jest takich, co byli „ateistami”, kiedy Szatan zaślepił ich pieniędzmi, aborcjami na życzenie, nauką i telewizją satelitarną, ale teraz żałują, kiedy widzą już, do czego to doprowadziło. – Trzymając w jednej ręce krucyfiks, wyciąga go w moją stronę, jakby miał mnie natchnąć bojaźnią Bożą i zmusić do posłuszeństwa. – Ale Pan wybacza grzesznikom, którzy szukają przebaczenia. Ojciec Brady chętnie przyjdzie i porozmawia z wami, w domu. A w tej części świata mamy, dzięki Bogu, kościoły, nie meczety.

Widzę, że Dónal bezceremonialnie lustruje Lorelei od stóp do głów.

Popycham wózek i mówię dzieciom:

– Idziemy.

– Zobaczymy, czy zmienisz śpiewkę – woła za mną Muriel Boyce – kiedy Partia Pana będzie kontrolowała Kooperatywę i decydowała o przydziałach. Jeszcze zobaczymy.

Wstrząśnięta odwracam się.

– Czy to groźba?

– Nie groźba, tylko fakt, Holly Sykes. A kolejny fakt jest taki, że jedzenie, którym karmisz siebie i dzieci, to jedzenie irlandzkie. Jeśli ci się nie podoba, podobno w Anglii mnóstwo domów stoi pustych w

okolicach Hinkley.

Słyszę odgłos rąbanego drewna.

– Mój dom jest na Sheep's Head.

– Znajdzie się tu całkiem sporo ludzi, którzy będą odmiennego zdania, kiedy trzeba będzie zaciskać pasa. Pamiętaj o tym.

Kiedy odchodzę, nogi mi całe drżą, ale są sztywne jak szczudła.

Dónal Boyce woła za nami:

– Jeszcze się zobaczymy, Lol.

Ten szczwany, napalony mięśniak nam grozi. Wychodzimy z Kilcrannog, mijając tablicę *Slán abhaile* i stary znak drogowy z ograniczeniem prędkości do osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

– Nie podobało mi się, jak Dónal Boyce na mnie patrzył, babciu – mówi Lorelei.

– To dobrze – odpowiadam. – Bo mnie też nie.

– Mnie też nie – dodaje Rafiq. – Dónal Boyce to kutas.

Otwieram usta, żeby go skarcić za brzydkie słowo, ale w końcu nic nie mówię.

*

Czterdzieści minut później docieramy do naszego domu, na samym końcu wyboistej ścieżki do Dooneen. „Dooneen” znaczy „mała forteca” i tym właśnie jest dla mnie mój dom, kiedy chowam do spiżarki jedzenie, rzeczy wymienione na targu i nasze pudełka z przydziałem. Gdy dzieci się przebierają, biorę tab i próbuję połączyć się z Brendanem albo choćby z kimkolwiek z mojej bliższej rodziny w Corku, ale nie mam szczęścia. Dostaję tylko komunikat: „NIE MOŻNA ZNALEŹĆ SERWERA” i „JEŚLI PROBLEM BĘDZIE SIĘ POWTARZAŁ, SKONTAKTUJ SIĘ Z LOKALNYM OPERATOREM”. Na nic. Idę do kurnika, sprawdzam, czy z kurami wszystko w

porządku, i zabieram trzy świeże jajka. Kiedy Rafiq i Lorelei są już gotowi, idziemy przez zarośla między ogrodami naszym i Mo, i podchodzimy do tylnych drzwi jej domu. Są otwarte i Zimbira przychodzi do kuchni, merdając ogonem. Kiedy był szczeniakiem, więcej skakał, ale z wiekiem się uspokoił. Pudełko Mo z przydziałem chowam w jej kredensie i zatrzaskuję drzwiczki, żeby myszy nie dostały się do środka. Zastajemy Mo w oszklonej werandzie, gdzie gra sama ze sobą w Scrabble.

– O, wróciły uczniaki. Jak tam było w szkole i na targu?

– W porządku – odpowiada Rafiq. – Ale dziś rano widzieliśmy drona.

– Tak, też go widziałam. Stabilność musi mieć dużo paliwa.

Dziwne.

Lorelei przygląda się planszy do Scrabble.

– Kto wygrywa, Mo?

– Rozwaliłam sama siebie: trzysta osiemdziesiąt cztery do stu dziewiętnastu. Coś wam zadali do domu?

– Ja mam równania kwadratowe – mówi Lorelei. – Super.

– No jasne, teraz to już rozwalasz je z zawiązanymi oczami.

– A ja mam z geografii – mówi Rafiq. – Widziałaś kiedyś słonia, Mo?

– Tak. W ogrodach zoologicznych i w rezerwacie w RPA.

Rafiq jest pod wrażeniem.

– One naprawdę były takie wielkie jak domy? Tak mówił pan Murnane.

– Może były wielkości małych chat. Słonie afrykańskie były większe niż indyjskie. Wspaniałe zwierzęta.

– To dlaczego ludzie pozwolili im wymrzeć?

– Wszyscy są temu częściowo winni, ale ostatnie stada wybito, żeby Chińczycy mogli pokazywać, jacy są bogaci, i dawać sobie w prezencie pamiątki z kości słoniowej.

Mo nie należy do osób, które owijają w bawełnę. Patrzą, jak Rafiq

trawi te wyjaśnienia z niemal obrażoną miną.

– Szkoda, że się nie urodziłem sześćdziesiąt lat temu – mówi. – Słonie, tygrysy, goryle, niedźwiedzie polarne... Wszystkie najlepsze zwierzęta wymarły. Nam zostały tylko szczury i wrony, i szczypany.

– I świetne psy – dodaję, klepiąc Zimbrę po łbie.

Wszyscy milkniemy w jednej chwili, bez wyraźnej przyczyny. Mąż Mo, John, który zmarł przed piętnastu laty, uśmiecha się ze swojej ramy nad kominkiem. To piękny portret olejny, namalowany pewnego letniego dnia w ogrodzie starego domu Mo i Johna na Cape Clear. John Cullin był niewidomy, a jego życie nie należało do łatwych, żył jednak w cywilizowanych czasach, w cywilizowanym miejscu, gdzie ludzie mieli pełne brzuchy. John pisał piękne wiersze. Listy od wielbicieli dostawał nawet z Ameryki.

Tamten świat nie był z kamienia, lecz z piasku.

Boję się. Wystarczy jedna solidna wichura.

*

Późnej Lorelei idzie na farmę Knockroe, gdzie ma dziś nocować. Mo przychodzi do mnie na kolację, więc Rafiq i dwie starsze panie zasiadają do smażonego na maśle bobu z ziemniakami. Aoife w wieku Rafiqą wybrzydzałyby na takie proste menu, ale Rafiq, zanim dotarł do Irlandii, poznał prawdziwy głód, od którego aż boli żołądek, więc teraz nigdy nie wybrzydza. Na deser są jeżyny, które zebraliśmy po drodze do domu, i trochę duszonego rabarbaru. Za stołem jest ciszej bez naszej nastolatki i przypomina mi się, jak to było, kiedy Aoife po raz pierwszy wyjechała z domu na studia. Gdy naczynia są pozmywane, gramy w karty w durnia i słuchamy w RTÉ audycji o tym, jak wykopać studnię. Potem Rafiq odprowadza Mo do domu, jeszcze zanim się ściemni, a ja wylewam do morza wiadro z latryny i

sprawdzam kierunek wiatru: wieje nadal z zachodu. Zaganiam kury do kurnika i zaryglowuję drzwiczki, żałując, że nie zrobiłam tego wczoraj. Rafiq wraca, ziewa, cały szoruje się w wiadrze zimnej wody, myje zęby i idzie spać. Przeglądam stary numer „New Yorkera” z grudnia 2031 roku, z rozkoszą czytam opowiadanie Ersilii Holt i zdumiewam się reklamami oraz bogactwem, które istniało tak niedawno.

Piętnaście po jedenastej włączam mój tab, żeby spróbować połączyć się z Brendanem, ale kiedy tab prosi mnie o hasło, mam w głowie pustkę. Moje hasło. Na miłość boską. Nigdy go nie zmieniałam. Było coś z psami... Dawniej śmiałabym się z tych chwilowych zaćmień, ale w moim wieku to jak wyrok śmierci w zwolnionym tempie. Jeśli człowiek nie może już ufać swojemu umysłowi, staje się mentalnie bezdomny. Podnoszę się, żeby wyjąć notesik, gdzie zapisuję różne rzeczy, ale zahaczam stopą o Zimbrę i nagle mi się przypomina: NEWKY, imię psa, którego mieliśmy, kiedy byłam jeszcze mała. Wpisuję hasło i próbuję połączyć się z Brendanem. Po pięciu dniach rozczarowań jestem przygotowana na komunikat o błędzie, ale już przy pierwszej próbie pojawia się wysokiej rozdzielczości obraz mojego brata, marszczącego czoło i wpatrującego się w swój tab dwieście pięćdziesiąt mil stąd, w swojej pracowni w domu w Exmoor. Coś jest jednak nie tak: białe włosy Brendana są potargane, twarz ma wymęczoną i opuchniętą, a głos rozedrgany.

– Holly?! Widzę cię! Ty mnie widzisz?

– I słyszę cię, Brendan, bardzo wyraźnie. Co się stało?

– Rozumiem, że oprócz... – Brendan wychyla się poza ekran po szklankę z drinkiem, a ja patrzę na stojące na jego półce zdjęcie Brendana Sykesa sprzed dwudziestu lat, ściskającego dłoń królowi Karolowi w dniu otwarcia Grodzonej Kolonii Tintagel – ...oprócz tego,

że życie w zachodniej Anglii coraz bardziej przypomina Apokalipsę świętego Jana, a reaktor jądrowy po sąsiedzku zaraz wybuchnie? Szabrownicy. Odwiedzili nas przedwczoraj w nocy.

Robi mi się niedobrze.

– Was, czyli Kolonię, czy wasz dom?

– Kolonię, ale i tak nie było dobrze. Cztery dni temu, nocą, wszyscy nasi strażnicy wzięli dupy w troki i uciekli. Zabrali też połowę magazynu i zapasowy generator. – Teraz widzę, że Brendan jest mocno wstawiony. – Większość z nas została, bo dokąd mamy pójść? Ustaliliśmy grafik patroli.

– Możesz przyjechać tutaj.

– Jeżeli tylko po drodze nie zarzną mnie zbiry gdzieś na drodze w Swansea. Jeżeli jakiś przemytnik nie poderżnie mi gardła milę od wybrzeża Walii. Jeżeli służby imigracyjne w Ringaskiddy przyjmą ode mnie łapówkę.

Teraz już wiem, jeśli dotąd to do mnie nie docierało, że już nigdy nie zobaczę Brendana inaczej niż na ekranie tabu.

– Może Oisín Corcoran mogłaby pomóc?

– Są za bardzo zajęci walką o przetrwanie, żeby jeszcze pomagać jakiemuś azylumicie z Anglii. Który ma osiemdziesiąt jeden lat. Nie, w pewnym wieku wszelkie podróże i wyprawy są dobre, ale dla innych. – Brendan popija whisky. – Zaczęłam ci mówić o tych szabrownikach. O pierwszej w nocy, czyli właściwie już dzisiaj, zaczął wyć alarm, więc się ubrałem, wziąłem trzydziestkęósemkę i poszedłem do magazynu. A tam kilkunastu zamaskowanych skurwieli z bronią i z nożami ładowało towar do furgonetki. Jem Linklater podszedł do nich i mówi ich głównemu: „Kradniecie naszą żywność, kolego. Mamy prawo jej bronić”. A ten zaświecił solarem Jemowi prosto w twarz i mówi: „Teraz to nasza żywność, dziadku, więc odpuść i spadowa. Ostatni raz ostrzegam”. Jem nie odpuścił i nie

odszedł, więc tamten – Brendan zaciska powieki – strzelił mu prosto w głowę.

Dłonią zasłaniam usta.

– Jezu. Widziałeś to?

– Stałem pięć kroków dalej. A zbir pyta: „Jeszcze jacyś odważni?”. Potem ktoś wystrzelił i rozpętało się piekło, totalna anarchia. Szabrownicy zorientowali się, że nie jesteśmy aż takimi starymi pierdzielami, za jakich nas brali. Ktoś strzelił w przednie światła furgonetki i zrobiło się za ciemno, żeby móc cokolwiek widzieć i mieć rozeznanie, kto jest kim i gdzie. – Pierś Brendana unosi się w rwanym oddechu. – Wbiegłem do tunelu cieplarni z pomidorami, a za mną pognał z maczetą jakiś szabrownik. I nagle zorientowałem się, że trzymam w dłoni trzydziestkęósemkę, odbezpieczoną, rozległ się huk i coś się na mnie zważyło. Maskę zsunęła mu się z twarzy i zobaczyłem... zobaczyłem, że to był chłopak, młodszy od Lorelei. A to, co wziąłem za maczetę, było ogrodową łopatką... – Brendan usiłuje kontrolować swój głos – Zastrzeliłem go, Hol. Strzeliłem mu prosto w serce.

Mój brat się trzęsie, twarz ma zlaną potem. Wraca do mnie wspomnienie kobiety, która leży z roztrzaskaną głową u zbiegu czterech korytarzy w niemożliwym labiryncie, a mnie z dłoni wypada marmurowy wałek do ciasta. Udaje mi się powiedzieć:

– W takiej sytuacji to...

– Wiem. Myślałem, że albo on zabije mnie, albo ja jego, i działałem kompletnie odruchowo. Przynajmniej wykopałem mu grób. W moim wieku to dużo ziemi do przerzucenia. Zabiliśmy czterech z nich, oni sześciu naszych, plus chłopak Harry'ego MacKaya jest ciężko ranny, ma paskudnie przebite płuco. W Exmouth jest klinika, ale wszelkie standardy opieki cofnęły się do średniowiecza.

– Bren, jeśli nie możesz tu przyjechać, może ja bym spróbowała...

– Nie! – Po raz pierwszy na twarzy Brendana maluje się strach. – Myśl o sobie, o Lol, o Rafiqu, na Boga, nie ruszaj się stamtąd! Podróże są teraz zbyt niebezpieczne, chyba że masz ze sobą dziesięciu uzbrojonych ludzi, którzy nie zawahają się zabijać. Półwysep Sheep's Head jest teraz pewnie najbezpieczniejszym miejscem w całej Zachodniej Europie. Kiedy Pearl Occident zaczęła dzierżawić pas przybrzeżny w zachodnim Corku, pomyślałem: co za upokorzenie dla wszystkich Paddy'ch, ale przynajmniej nadal macie u siebie jakieś prawo i porządek. Przynajmn...

Twarz Brendana zastyga nieruchomo w dziwnym wyrazie, dźwięk urywa się w pół sylaby, jakby nagle zmienił się kierunek wiatru.

– Brendan? Słyszysz mnie?

Cisza. Jęczę z frustracji i bezsilności, aż Zimbira podnosi łeb i patrzy na mnie z niepokojem. Usiłuję jeszcze raz nawiązać połączenie, próbuję zresetować tab, czekać. Nawet go nie zapytałam, czy ma jakieś wieści od Sharon z Australii, ale teraz zasięg już zniknął i coś mi mówi, że więcej się nie pojawi.

*

Na górze, w moim pokoju, nie mogę zasnąć. W rogach wykwitają cienie, kołysząc się na tle ciemniejszego mroku. Wiatr zerwał się teraz silniejszy, dach skrzypi, morze ryczy. Słowa Brendana, niedoskonale przeze mnie zapamiętane, przewijam non stop w myślach, jakbym je sobie zapętlila. Przychodzi mi teraz do głowy, co bym mogła powiedzieć, coś, co by go uspokoiło, ale jak zwykle jest już za późno. Mój starszy brat, niegdyś deweloper budowlany i multimilioner, wyglądał jak przerażony cień człowieka. Zazdroszczę otumanionym Bogiem Boyce'om tego świata. Modlitwa może działać na chorobę bezsilności jak placebo, a od placebo człowiek może poczuć się lepiej.

Na końcu ogrodu szum fal na chwilę zamiera i z ciszy rodzi się nowy szum fal, na wieki wieków, amen. W drugim końcu korytarza Rafiq mówi coś przez sen, całkiem głośno, jakieś wystraszone słowa po arabsku. Wstaję, idę do jego pokoju i pytam:

– Wszystko w porządku, Raf?

Rafiq śpi i mamrocze przez sen, więc wracam do mojego wygrzanego łóżka. W żołądku mi burczy. Kiedyś, dawno temu, „moje ciało” znaczyło mniej więcej tyle, co „ja”, ale teraz „ja” to mój umysł, a moje ciało jest zbiorem przeróżnych chorób, przypadłości i bólów. Ćmi mnie ząb trzonowy, coś rwie mnie w prawym boku, reumatyzm wykręca stawy moich palców i kolan, i gdyby moje ciało było samochodem, już dawno bym je wymieniła na nowszy model. Ale moja mała, późna, nieoczekiwana rodzina – ja, Lorelei, Rafiq, Zimbira i Mo – będzie trwała dopóty, dopóki moje ciało jakoś funkcjonuje. Wiem, O’Daly’owie zaopiekowaliby się dziećmi najlepiej jak potrafią, ale świat staje się coraz gorszy, a nie lepszy. Widziałam przyszłość, jest pazerna.

Moje palce odnajdują srebrny labirynt Jacko, zawieszony na sznurku nad zagłówkiem łóżka. Przyciskam metalowy krążek do czoła. Wzór ścian, korytarzy i rozwidleń labiryntu uspokaja trochę moje rozgorączkowane myśli.

– Wątpię, żebyście ocaleli – mówię cicho jakimkolwiek prawdziwemu aniołowi, jakimkolwiek ocalałemu Horologowi – więc wątpię, żebyście teraz słyszeli, co mówię. Ale może jednak się mylę. Podarujcie mi ostatnią abrakadabrę. Dwa złote jabłka, jeśli macie. Wydostańcie stąd moje dzieci, gdzieś w bezpieczne miejsce, jeżeli jeszcze gdzieś jest bezpiecznie. Proszę.

25 Wiersz *Chmura* Percy’ego Bysshe’a Shelleya w przekładzie Adama Asnyka (przyp. tłum.).

26 Rodzaj irlandzkiego bimbru (przyp. tłum.).

28 października

Przez moje stare zasłony wpadają różowo-pomarańczowe promienie świtu, ale odcienie różu i oranżu są chłodne, nie ciepłe. Słyszę, że dziś rano wiatr i fale nadal zajmują się sobą, ale już nie tak zapamiętałe, jak wczoraj wieczorem. Słyszę, jak Zimbura wchodzi po schodach, i oto jest już na górze, otwiera nosem drzwi do mojego pokoju i merda ogonem na dzień dobry. Dziwne, ale on zawsze wie, kiedy się obudziłam. Wiem, że czegoś w tej chwili nie pamiętam, czegoś głęboko nieprzyjemnego. Co to było? Brendan. Myślę o nim, myślę, jak się czuje dziś rano. Mam nadzieję, że ktoś się nim opiekuje. Zaledwie pięć lat temu zarezerwowałam bilet na samolot, pojechałam samochodem na lotnisko, poleciała do Bristolu i w ciągu godziny byłabym w Grodzonej Kolonii Tintagel. Dzisiaj to jak wyprawa na Księżyc...

Trudno, nic nie poradzę. Czeka na mnie robota. Wstaję z łóżka ostrożnie jak staruszczyzna, rozsuwam zasłony i otwieram okno. Zatoka Dunmanus jest jeszcze trochę wzburzona, ale widzę już jakąś żaglówkę – pewnie Aileen Jones sprawdza swoje sieci do połowu homarów. Mikołajek i mirt w drugim końcu ogrodu walczą z wiatrem – łodyżki zginają się w stronę domu, potem prostują gwałtownie i znowu się zginają. To coś oznacza. Coś, czego nie mogę sobie przypomnieć, choć właśnie na to patrzę, mam to wyraźnie przed oczami, jak na dłoni.

To wiatr ze wschodu, wieje od strony Anglii. Z Hinkley Point.

Radio POC nie nadaje nic dziś rano – puszcza ją tylko zapętloną wiadomość, że z powodów technicznych radiostacja jest dziś wyłączona. Przełączam więc na JKFM i kiedy kroję jabłko na śniadanie i odsmażam dwa placki ziemniaczane dla Rafiqa, słucham Modern Jazz Quartetu. Już niedługo zapach smażonego czosnku zwabia Rafiqa na dół. W szlafroku z płaszczą Aoife opowiada mi o wyciągu-wyrwirączce, który starsi chłopcy z wioski chcą postawić w Pięcioakrowym Lasku. Po wspólnym śniadaniu karmię kury, podlewam dynie w cieplarniach, lepnię dla psa zapas ciasteczek z owsa, plew i baraniego łożu na dobre kilka dni i ostrzę nożyczki do obcinania włosów, a Rafiq w tym czasie czyści naszą balię na wodę pitną, wlecze długi szlauch aż do źródelka i napełnia balię źródlaną wodą, a potem bierze swoją wędkę i schodzi na przystań. Zimbira idzie za nim. Za jakiś czas Rafiq wraca z dorszem i makrelą. Mój przybrany wnuk twierdzi, że pamięta, jak kiedyś, zanim znalazł się w Irlandii, łowił ryby w połyskującej słońcem błękitnej wodzie. A Declan O'Daly uważa, że Rafiq to urodzony wędkarz – na całe szczęście, bo i on, i Lorelei mięso jadają najwyżej raz w miesiącu. Upiekę te ryby dziś na kolację i podam je z tłuczoną brukwią. Zaparzam imbryk miętowej herbaty i zaczynam obcinać Rafiqowi włosy. Już dawno przydałoby mu się strzyżenie, a w szkole niedługo zacznie się sezon na wszy.

– Widziałem dziś Aileen Jones przez teleskop – chwali się Rafiq. – Wypłynęła „Lookfarem” na zatokę i sprawdzała sieci na homary.

– Bardzo dobrze – odpowiadam – ale mam nadzieję, że byłes naprawdę ostrożny...

– ...i nie patrzyłem prosto w słońce – kończy Rafiq. – Chyba jasne, że nie patrzyłem, Holly. Nie jestem aż takim palantem, wiesz?

– Nikt nie mówi, że w ogóle jesteś palantem – odpowiadam łagodnie. – Tylko że, jak już się jest rodzicem, w głowie włącza się taki... wykrywacz wypadków, i już nigdy się nie wyłącza. Sam kiedyś

zobaczysz, jeżeli będziesz tatą.

– Yyyyyyghh. – Tyle Rafiq myśli o takiej perspektywie.

– Nie wierć się. Lol powinna cię strzyc. Lepsza z niej fryzjerka.

– Nie dam jej się dotknąć do włosów! Lol ostrzygłaby mnie na chłopaka z Five-star Chongqing.

– Na chłopaka z czego?

– Z Five-star Chongqing. Taki chiński zespół. Wszystkie dziewczyny się w nich kochają.

I marzą o dostatnim życiu w Szanghaju, bez wątpienia. Podobno w Chinach, z powodu wybiórczego usuwania płodów na każdych trzech mężczyzn przypadają dwie kobiety. Na początku istnienia Dzierżawy, kiedy do Corku nadal kursowały autokary, rodzina mówiła mi, że miejscowe dziewczyny rekrutuje się jako „chińskie panny młode” i wysyła je statkami tam, gdzie żołądki są pełne, prąd płynie całą dobę i żyje się długo i szczęśliwie. Byłam już na tyle stara, żeby mieć pewne wątpliwości co do tych zapewnień wygłaszanych przez agencje rekrutujące. Przełączam radio z JKFM na RTÉ, żeby nie przegapić ewentualnych wiadomości o Hinkley, o którym nic nie było w serwisie o ósmej rano. Przychodzi Zimbra, kładzie łeb na kolanach Rafiq'a i patrzy mu w oczy. Rafiq głaszcze go po głowie. Prezenter w RTÉ odczytuje powiadomienia o narodzinach dzieci. Ludzie niciują do programu imiona noworodków, ich wagę przy urodzeniu, imiona rodziców, parafie i hrabstwa. Lubię tego słuchać. Bóg jeden wie, że te dzieci nie będą miały łatwego życia, szczególnie większość z nich urodzona poza terenem Bledziochów czy za granicą Strefy, ale dla mnie każde imię jest jak małe światełko w mroku Ociemnienia.

Przystrzygam trochę krócej wokół prawego ucha Rafiq'a, żeby wyrównać do lewego.

Ale skracam za bardzo i teraz muszę przyciąć koło lewego ucha.

– Chciałbym, żeby nic nie musiało się zmieniać – stwierdza Rafiq

niespodziewanie.

Cieszę się, że jest zadowolony, ale jest mi przykro, że takie dziecko wie już, że nic nie trwa wiecznie.

– Zmiana jest zaprogramowana w istocie świata.

– Co to znaczy „zaprogramowana”? – pyta Rafiq.

– To takie określenie komputerowe z dawnych czasów. Chodzi o to, że wszystko, co jest prawdziwe, zawsze się zmienia. Gdyby w życiu nie było zmiany, to nie byłoby życiem, tylko fotografią. – Podcinam mu włosy na karku. – Zresztą nawet fotografia się zmienia, bo blaknie.

Przez chwilę oboje nic nie mówimy. Niechcący kłują go nożyczkami w szyję i Rafiq syczy:

– Auć.

Ja na to:

– Przepraszam.

A on:

– Nic takiego. – Jak prawdziwy Irlandczyk.

Crunchie, półdziki kocur, któremu dałam imię po dawnym batonie czekoladowym, przechadza się po kuchennym parapecie. Zimbira zauważa go, ale nie chce mu się wszczynać awantury. Rafiq pyta:

– Holly, sądzisz, że uniwersytet w Corku znowu się otworzy, zanim skończę osiemnaście lat?

Zbyt bardzo go kocham, żeby odbierać mu marzenia.

– Być może. A dlaczego pytasz?

– Bo kiedy dorosnę, chcę być inżynierem.

– To dobrze. Cywilizacja potrzebuje inżynierów.

– Pan Murnane mówił, że będziemy musieli naprawiać różne rzeczy, budować, przesuwać, jak to robią kraje, które mają ropę, ale my będziemy musieli robić to wszystko bez ropy.

I zacząć czterdzieści lat temu, myślę.

– Pan Murnane ma rację. – Podsuwam krzesło, żeby usiąść przed

Rafiqiem od przodu. – Pochyl głowę, obetnę ci grzywkę.

Podnoszę jego grzywkę grzebieniem i obcinam włosy, które wystają między ząbkami, zostawiając centymetr. Nabieram w tym wprawy. Nagle zauważam, że Rafiq ma dziwną, napiętą minę. Przystaję ciąć. Ściszam radio.

– Raf, co się stało, skarbie?

Rafiq wygląda, jakby wsłuchiwał się w jakiś bardzo odległy głos. Potem patrzy w okno. Crunchie już sobie poszedł.

– Pamiętam, że kiedyś ktoś obcinał mi włosy. Jakaś kobieta. Nie pamiętam jej twarzy, ale mówiła do mnie po arabsku.

Prostuję się na krześle i opuszczam nożyczki.

– Może jedna z twoich siostr? Ktoś musiał obcinać ci włosy, zanim skończyłeś pięć lat.

– Kiedy tu się znalazłem, miałem krótkie włosy?

– Nie pamiętam, żeby były długie. Byłeś prawie zagłodzony na śmierć, niemal utonąłeś, a potem prawie umarłeś z wychłodzenia. Stan twoich włosów akurat nie zapadł mi w pamięć. Ale ta kobieta, Raf... Możesz przypomnieć sobie, jak wyglądała?

Rafiq marszczy brwi.

– To tak, że jak na nią nie patrzę, to ją widzę, ale jak patrzę, to się rozplywa. Czasami mi się śni, ale jak się budzę, to jej twarz już jest niewyraźna, pamiętam tylko jej imię. Miała na imię Assia i chyba była moją ciocią... a może siostrą? Może to jest ona z tymi nożyczkami? Hamza i Ismail, to byli moi bracia, na łodzi. – Już słyszałam to kilka razy, ale nie przerywam Rafiqowi, kiedy składa w głowie ocalałe fragmenty swojego życia sprzed Irlandii. – Hamza był śmieszny, a Ismail nie. Na łodzi było tyle osób, wszyscy siedzieliśmy upchani jeden obok drugiego. Nie było żadnych kobiet i tylko jeden chłopiec oprócz mnie, ale on był Berberem i nie rozumiałem za dobrze jego arabskiego. Większość pasażerów dostała choroby morskiej, ale mnie

nic nie było. Wszyscy potrzeby załatwialiśmy za burtę. Ismail powiedział, że płyniemy do Norwegii. A ja zapytałem „a co to jest Norwegia?”, a Ismail powiedział, że to bezpieczny kraj, gdzie można zarobić pieniądze, gdzie nie ma eboli i nikt nie próbuje cię zastrzelić... Zapowiadało się dobrze, ale dnie i noce na łodzi były okropne. – Rafiq jeszcze bardziej marszczy brwi. – W końcu zobaczyliśmy światła, daleko nad wodą, wzdłuż długiej zatoki. Była noc i wybuchła bójka. Hamza mówił po arabsku do kapitana: „Niemożliwe, żeby to była Norwegia”, a kapitan odpowiadał: „Dlaczego miałbym ci kłamać?”. Ale Hamza miał w ręku taki kompas. Pokazał go kapitanowi i mówi: „Patrz, nie jesteśmy wystarczająco daleko na północ”, a kapitan wyrzucił ten kompas za burtę. Hamza krzyknął do innych: „On nas okłamuje, żeby zaoszczędzić paliwo! Te światła to nie Norwegia, tylko jakieś inne miejsce!”. I wtedy zaczęły się krzyki, strzały i... – Rafiq patrzy przed siebie pustym wzrokiem. – Właśnie to mi się najczęściej śni w koszmarach. Wszyscy siedzimy stłoczeni...

Pamiętam, jak Horologowie potrafili redagować złe wspomnienia, i chciałabym umieć miłosiernie zredagować je Rafiqowi. A może nie, nie wiem.

– ...i przeważnie śni mi się tak, jak było, że Hamza rzuca do wody koło ratunkowe i mówi mi: „Będziemy płynąć razem”, i wrzuca najpierw mnie do wody, ale sam za mną nie skacze. I więcej nic nie wiem. – Rafiq ociera oczy wierzchem dłoni. – Niczego już nie pamiętam. Zapomniałem własną rodzinę. Zapomniałem ich twarze.

– Owain i Yvette Richie z Lifford w hrabstwie Donegal – mówi facet w radiu – zawiadamiają o narodzinach Keziah, filigranowej, ważącej sześć funtów córeczki. Witamy w naszym gronie, Keziah.

– Miałeś pięć czy sześć lat, Raf. Kiedy fale wyrzuciły się na skały pod naszym ogrodem, byłeś w szoku, miałeś hipotermię, z bliska widziałeś

rzeń, dryfowałaś Bóg wie jak długo przez zimny Atlantyk, byłeś zupełnie sam. Nie myśl, że zapomniałeś, tylko że potrafiłeś przeżyć. Moim zdaniem to i tak cud, że cokolwiek pamiętasz.

Rafiq podnosi kosmyk obciętych włosów, który spadł mu na udo, i zamyślony rozciera go w palcach. Moje myśli biegną ku owej wiosennej nocy. Kwiecień tamtego roku był spokojny i ciepły, co najprawdopodobniej ocaliło Rafiqowi życie. Aoife i Örvar zginęli jesienią zaledwie pół roku wcześniej. Lorelei ciągle rozpaczała i zupełnie nie mogła się pozbierać. Ja też, ale przed nią musiałam udawać, że dawno wzięłam się w garść. Rozmawiałam akurat na table z moją przyjaciółką, Gwyn, siedziałam w fotelu, kiedy przez szybę w drzwiach zobaczyłam tę twarz, zaglądała do środka jak duch topielca. Wtedy jeszcze nie miałam Zimbry, więc dziwnego przybysza nie odstraszył żaden pies. Kiedy ochłonęłam, otworzyłam drzwi i wpuściłam go do środka. Za progiem młody gość wyrzygał dobry litr słonej wody. Chłopak był przemoczony, dygotał z zimna i nie rozumiał słowa po angielsku, albo takie robił wrażenie. Wtedy jeszcze ciągle mieliśmy paliwo do bojlera, ale znałam się na hipotermii na tyle, żeby wiedzieć, że gorąca kąpiel może wywołać arytmie i atak serca, więc zdjęłam z niego przemoczone ubranie i posadziłam go przed kominkiem, owiniętego kocami. Nadal się trząsał, co było dobrym sygnałem.

Lorelei już się wtedy obudziła i przygotowała dla chłopca z morza kubek gorącego naparu imbirowego. Wysłałam nić do doktorki Kumar, ale była zajęta w Bantry, gdzie wybuchła epidemia szczyrczej grypy, więc przez kolejne dwa dni byliśmy zdani tylko na siebie. Nasz młodziutki gość miał gorączkę, był niedożywiony, a w nocy nawiedzały go straszliwe koszmary, jednak mniej więcej po tygodniu, z pomocą Mo i Branny O'Daly, zdołałyśmy przywrócić go do względnego zdrowia. Zorientowałyśmy się, że chłopak ma na imię

Rafiq, ale skąd pochodził? Mapy nie zdawały egzaminu, więc Mo wyszukała w Necie „Dzień dobry” we wszystkich dialektach, jakimi ten ciemnoskóry azylumita mógł mówić. Marokański arabski okazał się strzałem w dziesiątkę. Z pomocą Mo Lorelei nauczyła się podstaw jego języka z podręczników w Necie i została dla Rafiqa pierwszą nauczycielką angielskiego, a sama po raz pierwszy zapomniała o żałobie. Kiedy jakiś miesiąc później razem z Martinem, naszym wójtem, przyjechał groźny funkcjonariusz Stabilności, żeby skontrolować nielegalnego imigranta, Rafiq potrafił już sklecić proste zdania po angielsku.

„Prawo mówi, że należy go deportować”, oświadczył funkcjonariusz Stabilności.

Przerażona zapytałam, dokąd ma być deportowany i w jaki sposób.

„To już nie pani problem”, uciął funkcjonariusz.

Zapytałam więc, czy Rafiqa wywiozą za Strefę i wyrzucą przy drodze, jak bezpiecznego psa, bo takiego nabierałam przekonania.

„To już nie pani problem”, powtórzył funkcjonariusz.

Zapytałam, w jaki sposób Rafiq mógłby legalnie zostać na Sheep’s Head.

„Musiałby zostać formalnie adoptowany przez obywatelkę lub obywatela Irlandii”, odparł funkcjonariusz.

Dziękując sobie samej w młodości za przyjęcie irlandzkiego obywatelstwa, usłyszałam, jak oświadczam, że niniejszym chcę adoptować Rafiqa.

„Dla wioski to jeszcze jedno pudełko z przydziałem”, stwierdził funkcjonariusz Stabilności. „Będzie pani potrzebne zezwolenie tutejszego wójta”.

Martin zrozumiał moją minę i oświadczył: „Zezwalam”.

„Oraz będzie pani musiała dostać zezwolenie od funkcjonariusza Stabilności rangi piątej lub wyższej. Czyli na przykład ode mnie”.

Przejechał językiem po przednich zębach z zamkniętymi ustami.

Wszyscy spojrzeliśmy na Rafiqą, który jakoś musiał wyczuć, że właśnie decydowała się jego przyszłość. Jego życie.

Jedyne, co mogłam wydusić z siebie do funkcjonariusza Stabilności, to: „Proszę”.

Oficer odpiął plastikową teczkę z dokumentami, którą cały czas trzymał schowaną pod połą munduru.

„Ja też mam dzieci”, odparł.

*

– Nasz program kończymy informacją, że Jerowi i Maggs Turbidy z Ballintober w Roscommon urodził się chłopiec, Hector Ryan, który waży całe osiem funtów i dziesięć uncji! Brawo, Maggs, i gratulacje dla całej waszej trójki.

Rafiq patrzy na mnie przepraszająco, co ma znaczyć, że jest mu przykro, że wprawił mnie w takie przygnębienie, a ja odpowiadam mojemu adoptowanemu wnukowi spojrzeniem, które mówi, że nie ma mnie za co przepraszać, i wracam do obcinania jego niesfornych kędziorów na czubku głowy. Wszystkie szczątkowe informacje, które posiadamy, wskazują na to, że rodzice Rafiqą nie żyją, a jeżeli nawet żyją, nie mam pojęcia, w jaki sposób mieliby kiedykolwiek poznać los swojego syna – zarówno Net w Afryce, jak i państwo marokańskie w zasadzie przestały istnieć mniej więcej wtedy, kiedy Rafiq trafił do Dooneen Cottage. Ale teraz, kiedy już jest z nami, Rafiq należy do mojej rodziny. Póki żyję, będę zapewniać mu opiekę jak tylko potrafię najlepiej.

W RTÉ zaczynają się wiadomości i robię trochę głośniejszy.

– Minęła dziesiąta, Ruth O’Mally, wiadomości RTÉ. Jest sobota, dwudziesty ósmy października dwa tysiące czterdziestego trzeciego

roku. – Znajomy dżingiel wiadomości rozlega się i cichnie. – Dziś rano na konferencji w Leinster House taoiseach Stabilności Éamon Kingston potwierdził, że Pearl Occident Company jednostronnie wycofała się z Porozumienia o Dzierżawie z dwa tysiące dwudziestego ósmego roku, które przyznawało chińskiemu konsorcjum prawo do handlu z Cork City oraz ze Strefą Gospodarczą Zachodniego Corku, znanymi jako ziemie Dzierżawy.

Upuszczam nożyczki, ale mogę tylko wpatrywać się w radio pustym wzrokiem.

– Rzecznik Stabilności w Corku potwierdza, że władze irlandzkie przejęły kontrolę nad Koncesją Ringaskiddy dziś o czwartej nad ranem, kiedy kontenerowiec POC wypłynął z portu, eskortowany przez fregatę Ludowej Marynarki Wyzwoleńczej. Taoiseach poinformował zgromadzonych dziennikarzy że wycofanie się POC było utrzymywane w tajemnicy, by zapewnić płynne przekazanie władzy, oraz zapewnił, że decyzja POC była podyktowana wyłącznie strategią biznesową korporacji. Taoiseach Éamon Kingston dodał, że wycofania się POC w żadnym wypadku nie należy łączyć z kwestią bezpieczeństwa, które pozostaje na stabilnym poziomie we wszystkich trzydziestu czterech hrabstwach. Decyzja Chińczyków nie ma też związku z radioaktywnym wyciekami z elektrowni Hinkley Point w północnym Devonie.

Dalej następują inne wiadomości, ale ja już nie słucham.

Kury gdaczą, gulgoczą i gderają w swoim kojcu.

– Holly? – Rafiq jest wystraszony. – Co to znaczy „jednostronnie się wycofała”?

W głowie wirują mi myśli, co to może oznaczać, a jedna z nich sprawia, że uginają się pode mną nogi: insulina Rafiqą.

– Tatuś mówi, że wszystko będzie dobrze – uspokaja nas Izzy O’Daly – i że Stabilność zostawi Strefę w takich granicach jak teraz.

Izzy i Lorelei przybiegły pędem przez pole z farmy Knockroe i zastały Rafiqą, Zimbrę i mnie u Mo, w jej schludnej kuchni. Mo też słuchała wiadomości w RTÉ i teraz tłumaczymy Rafiqowi, że niewiele się zmieni i najwyżej chińskie produkty będą trochę trudniejsze do zdobycia niż wcześniej. Stabilność nadal będzie co tydzień rozdawać pudełka z przydziałem i ciągle będziemy dostawać specjalne lekarstwa. Rafiq trochę się uspokaja. Albo tylko udaje. Declan O’Daly też wyjaśnił Izzy i Lorelei całą sytuację w uspokajających słowach.

– Tata mówi – relacjonuje Izzy – że przed godziną dziesiątą Strefa była ogrodzona drutem kolczastym na wysokość piętnastu stóp i po godzinie dziesiątej tak samo, nic się nie zmieniło i nie ma najmniejszego powodu, żeby oddziały Stabilności opuściły posterunki.

– Twój tatuś jest bardzo mądrym człowiekiem – mówię Izzy.

Izzy kiwa głową.

– Tata i Max pojechali do miasta, żeby odwiedzić moją ciocię i zobaczyć, co u niej.

– I bardzo ładnie ze strony Declana – stwierdza Mo. – Dzieciarnia, idźcie z Zimbrą do ogrodu, niech się wybiega, a ja usmażę naleśniki. Może jeszcze mam gdzieś resztkę kakao do posypania. No już, idźcie, zróbcie Holly i mnie trochę miejsca.

Kiedy dzieci znikają za drzwiami, poważna i spięta Mo próbuje nawiązać nici ze znajomymi w Bantry, gdzie stacjonuje najbardziej wysunięty na zachód garnizon Strefy. Rozmowy z Bantry zwykle łączą się bez problemu, ale dzisiaj nie ma nawet komunikatu o błędzie.

– Mam paskudne przeczucie – Mo wpatruje się w pusty ekran – że

do tej pory mieliśmy jakiś szczątkowy dostęp do Netu, bo nasze nici szły przez serwer w Ringaskiddy. A teraz, kiedy już nie ma Chińczyków... koniec z Netem.

Czuję się tak, jakby ktoś mi umarł.

– Nie będzie już Netu? Już nigdy?

– Mogę się mylić – odpowiada Mo, ale jej mina mówi: „Nie, już nigdy”.

Przez większość mojego życia świat się kurczył, a technologia się rozrastała – taki był naturalny porządek rzeczy. Tylko do niewielu z nas docierało, że „naturalny porządek rzeczy” jest całkowicie dziełem człowieka i że świat, który się powiększa, podczas gdy technologia się kurczy, był cały czas nie tylko możliwy, ale wręcz czekał za kulisami. Na podwórku dzieci grają we frisbee, starsze niż każde z nich – jeśli się dobrze przypatrzeć, widać na nim jeszcze zarys logo olimpiady w Londynie z 2012 roku. Aoife wydała na to frisbee całe kieszonkowe. To był upalny dzień na plaży w Broadstairs. Izzy pokazuje Rafiqowi, jak zrobić wykrok i wypuścić z ręki frisbee jednym płynnym ruchem. Zastanawiam się, czy udają, że nie jest im straszny koniec Dzierżawy, a tak naprawdę boją się tak samo jak my, że w strefie rozszaleją się gangi, milicja, piraci lądowi i Bóg wie co jeszcze. Zimbra biegnie po frisbee i Rafiq rzuca kolejny raz, już lepiej. Frisbee leci unoszone wiatrem, a Lorelei musi wysoko podskoczyć, żeby je złapać, i przez chwilę w okolicach jej talii widać fragment smukłego nagiego ciała.

– Lekarstwa dla przewlekle chorych to jedna sprawa – myślę na głos – ale jakie życie czeka teraz kobiety, jeśli sprawy nadal będą zmierzać w takim kierunku? A co, jeśli taki Dónal Boyce będzie teraz najlepszą możliwą przyszłością dla dziewczyn z klasy Lol? Wiem, facet to zawsze facet, ale przynajmniej za naszego życia kobiety zgromadziły jakiś arsenał praw, i to tylko dlatego że przepis za przepisem, zmiana za zmianą w myśleniu, nasze społeczeństwo stawało się bardziej

cywilizowane. Teraz boję się, że Ociemnienie to wszystko nam odbierze. Boję się, że Lol będzie tylko niewolnicą jakiegoś tępego, brutalnego karka, skazaną na egzystencję w zimnej, głodującej, ponurej, ogarniętej bezprawiem gaelickiej Arabii Saudyjskiej.

Lorelei rzuca frisbee, ale wiatr od wschodu zwiewa je poza boisko w rząd kamelii w ogrodzie Mo.

– Naleśniki – przerywa mi Mo rozważania. – Odmierzę mąkę, a ty rozbij kilka jajek. Sześć wystarczy dla pięciu osób?

*

– Co to za odgłos? – pyta Izzy O’Daly pół godziny później.

Stół w kuchni Mo jest zastawiony poobiednimi resztkami. Mo oczywiście wydobyla gdzieś z zakamarków kuchni małą paczkę sproszkowanego kakao. Już minął chyba rok, odkąd ostatni raz w naszych pudełkach z przydziałem pojawiła się mdła rosyjska czekolada. Ani ja, ani Mo nie zjadłyśmy wtedy nawet kawałka, ale widok dzieciaków, które jadły lunch polany czekoladowymi esamifloresami był jeszcze wspanialszy niż sama czekolada.

– Słyszycie? – pyta Izzy. – Jakiś... jakby terkot. Nie słyszałyście? – Na twarzy Izzy widać napięcie.

– Może to Rafowi burczało w brzuchu? – podsuwa Lorelei.

– No jasne, zjadłem tylko jeden naleśnik więcej od ciebie – protestuje Rafiq. – A przecież...

– Tak, tak, rośniesz, wszyscy wiemy – kończy za niego siostra. – Wyrastasz na naleśnikowego potwora...

– O, znowu – przerywa Izzy, uciszając nas gestem. – Słyszycie?

Słuchamy. Jak jakaś staruszka, którą przecież jestem, mówię:

– Nic nie słyszę...

Zimbira zrywa się na cztery łapy i ze skowytem biegnie do drzwi.

Rafiq ucisza go:

– Spokój, Zimbra!

Pies milknie i teraz słyszę. Całkiem głośna seria niepokojących huków. Patrząc na Mo, a Mo kiwa w odpowiedzi głową.

– Strzały.

Wypadamy przed dom, na niestrzyżony trawnik upstrzony kępami mleczy.

Wiatr ciągle wieje od wschodu i jego podmuchy huczą nam w uszach, ale teraz wyraźnie już słychać kolejną serię z broni automatycznej, gdzieś całkiem niedaleko. Kilka sekund później dociera do nas również jej echo od Mizen Head po drugiej stronie zatoki.

– Czy to nie od strony Kilcrannog? – pyta Lorelei.

– Tata poszedł do wioski – mówi Izzy drżącym głosem.

– Granice Strefy nie mogły upaść tak szybko – mówię i natychmiast gryzę się w język, chcąc cofnąć te słowa, bo przez nie możliwy upadek granic Strefy stał się bardziej realny.

Zimbra warczy z pyskiem skierowanym w stronę miasta.

– Lepiej już wróć na farmę – mówi Izzy.

Patrzemy na siebie z Mo.

– Może dopóki nie zorientujemy się, o co chodzi, twoi rodzice woleliby, żebyś nie wychodziła na zewnątrz – sugeruje Mo. – W domu jest bezpieczniej.

Wtedy słyszymy warkot dżipów po tej stronie miasta. Jadą główną szosą. Jest ich więcej niż jeden czy dwa, sądząc po hałasie.

– Pewnie ze Stabilności – przypuszcza Rafiq. – Tylko oni mają ropę. Prawda?

– Sama jestem mamą – mówię do Izzy – i naprawdę uważam, że powinnaś...

– Będę... będę bezpieczna, schowam się. Obiecuję. – Izzy przetyka

ślinę i już jej nie ma. Znika w przerwie w wysokiej ścianie fuksji.

Ledwo odpędzam nieprzyjemne przeczucie, że właśnie ostatni raz widziałam Izzy O'Daly, a za chwilę słyszymy, że warkot dżipów zmienił tonację. Nie pędzą już szybko i wściekle, tylko zbliżają się ostrożnie i powarkują silnikiem.

– Chyba jeden jedzie naszą ścieżką – mówi Lorelei.

Przelotnie zastanawiam się, czy ten wietrzny jesienny dzień będzie moim ostatnim. Ale nie dzieci. Nie dzieci. Mo pomyślała to samo:

– Lorelei, Rafiq, słuchajcie mnie teraz. Jeżeli przez jakiś przypadek to jest jednostka milicji, nie służby Stabilności, musicie ukryć Zimbę.

Rafiq, który ciągle ma kakaową posypkę w kąciku ust, jest przerażony.

– Ale Zim i ja jesteśmy waszymi ochroniarzami!

Rozumiem, co Mo ma na myśli.

– Jeśli to milicjanci, zastrzelą Zimbę na miejscu, jeszcze zanim zaczną z nami rozmawiać. Oni tak robią.

Lorelei jest przestraszona, i dobrze.

– Ale co będzie z tobą, babciu?

– Mo i ja porozmawiamy z nimi. Twarde z nas sztuki. Ale proszę... – słyszymy silnik dżipa jadącego na niskim biegu bardzo, bardzo blisko – oboje zmykajcie. Tak kazaliby wam rodzice. Uciekajcie!

Rafiq ma nadal szeroko otwarte oczy, ale kiwa głową. Słyszymy, jak gałęzie jeżyn drapią o metal, a mniejsze gałązki się łamią. Lorelei czuje się bardzo nielojalnie, ale ja bezgłośnie mówię: „Proszę”, aż w końcu ona też kiwa głową.

– Chodź, Raf, babcia na nas liczy. Możemy się schować w szalasię pasterskim nad Białym Brzegiem. Choć, Zim. Zimbra! Idziemy!

Nasz przestraszony, mądry pies patrzy na mnie, pogubiony.

– Idź! – wyganiem go. – Opiekuj się Lol i Rafem! Idź!

Z ociąganiem Zimbra daje się wyprowadzić. Cała trójka biegnie

przez ogród Mo i wdrapuje się na murek za tunelem cieplarni. Nie mija dziesięć sekund, a dżip Stabilności rozpycha się już na zarośniętej ścieżce i wjeżdża na podjazd Mo, wypluwając żwir spod kół. Chwilę później nadjeżdża drugi. Na boku widać wymalowany szablonem napis: „Stabilność”. Służby stojące na straży prawa i porządku. Tylko dlaczego czuję się jak ranny ptak znaleziony przez kota?

*

Z obu pojazdów wysiadają młodzi mężczyźni. Nawet ja mogę się zorientować, że nie są ze Stabilności: ich mundury nie pasują do siebie, wszyscy noszą różną broń, pistolety, karabiny automatyczne, kusze, granaty i noże, i poruszają się jak bandyci, a nie szkoleni żołnierze. Mo i ja stoimy obok siebie, ale oni mijają nas, jakbyśmy byli niewidzialne. Jeden z nich, pewnie dowódca, zatrzymuje się i z dalszej odległości ocenia dom Mo, a inni w tym czasie podchodzą bliżej z wyciągniętą bronią. Dowódca, może trzydziestoletni, jest kościsty, cały w tatuażach, ma zielony wojskowy beret, kamizelkę kuloodporną, jakie Ed nosił w Iraku, a na szyi zawiesił sobie skrzydlatą figurkę z maski rolls-royce'a.

– Ty, stara, ktoś jeszcze jest w domu?

Mo pyta:

– A o co chodzi, młody człowieku?

– Jeśli ktoś tam się chowa, nie wyjdzie żywy. O to chodzi.

– Nie ma tam nikogo – mówię mu. – I na litość boską, odłóżcie te karabiny, zanim komuś stanie się krzywda.

Przygląda mi się.

– Stara mówi, że dom jest czysty – woła do pozostałych. – Jeżeli kłamie, strzelajcie do każdego. Ich krew będzie teraz na jej rękach.

Pięciu milicjantów wchodzi do środka, a dwóch innych obchodzi dom. Lorelei, Rafiq i Zimbra powinni już przebiec sąsiadujące pole. A dalej będzie ich zasłaniać szpaler głogów. Dowódca cofa się kilka kroków i bada dach Mo. Wskakuje nawet na murek wokół patio, żeby lepiej widzieć.

– Czy może mi pan jednak powiedzieć, o co chodzi? – nalega Mo.

W domu słychać trzaśnięcie drzwiami. Niżej, w moim kurniku ocalałe kurczaki gdaczą. Na pastwisku O'Dalych ryczy krowa. Na drodze prowadzącej do samego cypla Sheep's Head słychać ryk kolejnych dżipów. Jeden z milicjantów wyłania się z szopy Mo, wołając:

– Znalazłem drabinę, Hood. Mam wynieść?

– Wynieś – odpowiada dowódca. – Nie będziemy musieli wyciągać naszej.

Pięciu mężczyzn wychodzi teraz z domu Mo.

– W środku czysto, Hood – melduje olbrzym z brodą. – Są koce i żywność, ale w sklepie w mieście znajdziemy lepsze.

Patrzę na Mo: czy to znaczy, że oni w Kilcrannog zabili ludzi?

Milicjanci zabijają. Tyle właśnie znaczy dla nich bycie milicjantem.

– No to weźmiemy tylko panele – decyduje Hood, a do nas mówi: – Macie dziś szczęście, drogie panie. Wyatt, Moog, czyńcie honory.

Panele? Dwóch milicjantów, jeden cały w paskudnych szramach po szczurzej grypie, opiera drabinę o dach domu. Wchodzą po niej i już widzę, o co im chodzi.

– Nie – protestuje Mo. – Nie możecie zabrać mi paneli słonecznych!

– Ależ możemy, babciu, to bardzo proste – odpowiada olbrzym z brodą, przytrzymując drabinę. – Wystarczy para nożyc do metalu, przecina się pręty, potem delikatnie opuszcza się panel i po robocie. Robiliśmy to już setki razy.

– Są mi potrzebne – nalega Mo. – Tylko dzięki nim mam światło i

prąd do tabu!

– Za siedem dni – przewiduje Hood – będziecie się modlić o ciemności. Tylko ciemności będą was chronić przed szabrownikami. Tak naprawdę wyświadczamy wam przysługę. A tabu też nie będziecie potrzebować. Na ziemiach Dzierżawy nie będzie już Netu. Skończyły się złote lata, babciu. Idzie zima.

– Podobno nazywa się pan „Hood” – mówi mu Mo – ale jak dla mnie nie „Robin”, tylko „Rozbój”. Własną babcię i dziadka też by pan tak potraktował?

– Najważniejsze to przeżyć – odpowiada Hood, obserwując swoich ludzi na dachu. – A moi dziadkowie już nie żyją, rodzice zresztą też. Ale i tak mieli lepsze życie niż ja. I wy też miałyście lepsze. Te wasze elektrownie, samochody, te wasze wygody. Już za długo żyjecie. Dziś dzień zapłaty. – Na dachu słychać przecinaną śrubę na pierwszym panelu. – Teraz zaczniecie płacić. Potraktujcie nas jak komorników.

– Ale to nie my zniszczyliśmy świat, tylko system – protestuje Mo. – Nie mogliśmy go zmienić.

– No to też nie my zdejmujemy wasze panele – odparowuje Hood. – Tylko system. Nie możemy go zmienić.

Słyszę ujadanie psa O’Dalych trzy miedze dalej. Modłę się, żeby Izzy była bezpieczna i żeby ci ludzie z karabinami nie molestowali dziewczyn.

– Co zrobicie z tymi panelami? – pytam.

– Burmistrz Kenmare – odpowiada Hood, kiedy dwóch jego ludzi znosi pierwszy panel Mo do dżipa – buduje sobie całkiem niezłą fortecę. Z grubymi, wysokimi murami. Stawia sobie taką własną Strefę, z kamerami, oświetleniem. Za panele słoneczne płaci w żywności i ropie. – Na dachu przecinana jest druga śruba mocująca panel Mo. – Te i te z tego domu niżej – pokazuje ruchem głowy mój dom – pojedą do niego.

Mo jest szybsza ode mnie:

– Moja sąsiadka nie ma paneli słonecznych.

– Ktoś tu zmyśla – przekomarza się śpiewnie, jak z dziećmi, brodaty olbrzym – pan Dron mówi, że ma, a pan Dron nigdy nie kłamie.

– Ten dron wczoraj był wasz? – pytam, jakby to miało pomóc.

– Stabilność znajduje skarby – odpowiada olbrzym – my przychodzimy i zabieramy. No i co masz taką przerażoną minę, babciu? Stabilność to dzisiaj klan milicji. Szczególnie kiedy Chinole już się stąd zawinęły.

Wyobrażam sobie, jak moja matka poprawia go: „Chińczycy, nie Chinole”.

Mo pyta:

– Jakim prawem zabiera pan naszą własność?

– Prawem karabinu – odpowiada Hood. – Tak po prostu.

– Czyli przywraca pan prawo dżungli? – pyta Mo.

– Wy je przywracałyście za każdym tankowaniem auta.

Mo uderza laską w ziemię.

– Złodziej, łotr i morderca!

Hood zastanawia się chwilę nad tymi słowami, międląc kolczyk w brwi.

– Morderca...? Kiedy mam albo zabić, albo sam zginąć, owszem, zabijam. Łotr...? Wszyscy mamy coś za uszami, babciu. Złodziej...? Tak naprawdę jestem handlowcem. Ty dajesz mi panele słoneczne, ode mnie dostaniesz dobrą nowinę. – Sięga do kieszeni i wyjmuje dwa nieduże białe pojemniczki. Czuję taką ulgę, że to nie pistolet, że bezwiednie wyciągam rękę, kiedy nam je podaje. Patrzą na fiołki z tabletkami, na trupie czaszki na etykietach, na napis cyrylicą. Hood już teraz mniej się przekomarza. – Oto droga ucieczki. Kiedy przyjdą szabrownicy, albo rozszerzy się szczyrza grypa, albo jakieś inne choróbsko, a nie będzie lekarza. Środek przeciwwymiotny, który

działa natychmiast – dodaje – i wystarczająca dawka pentobarbitalu, żeby godnie zakończyć żywot w pół godziny. Nazywamy je jagódkami. Człowiek odplywa bezboleśnie. A fiołki mają zabezpieczenie przed dziećmi.

– Moją od razu wyrzucę do szamba – zapowiada Mo.

– W takim razie oddaj – mówi Hood. – Wiele osób będzie chciało.

Drugi panel słoneczny Mo zjeżdża z dachu i jest ładowany do dżipa. Wsuwam obydwie fiołki do kieszeni. Hood zauważa to i patrzy na mnie porozumiewawczo, ale ignoruję to spojrzenie.

– W tym domu w dole – wskazuje głową mój dom – jest ktoś, o kim chłopaki powinny wiedzieć?

W myślach z bolesną ostrością powraca wspomnienie Marinus, która potrafiła „swazjować” innych, żeby robili, co chce. Zazdroszczę jej teraz tej umiejętności. Mnie została tylko mowa.

– Panie Hood. Mój wnuk ma cukrzycę. Nosi pompę insulinową, której baterię musi ładować co kilka dni. Jeżeli zabierze pan panele słoneczne, zwyczajnie go pan zabije. Proszę.

Wyżej na wzgórzach beczy owca, nieświadoma potęg i upadków ludzkich imperiów.

– To rzeczywiście pech, babciu. Ale wnusio urodził się w Erze Pecha. Zabił go bonzo w Szanghaju, który stwierdził, że Dzierżawa w zachodnim Corqu już się nie opłaca. Nawet jeśli zostawimy ci panele na dachu, szabrownicy je zerwą najdalej za tydzień.

Cywilizacja jest jak ekonomia, albo jak Dzwoneczek – kiedy ludzie przestają wierzyć, że istnieje, umiera. Mo pyta:

– Jak się panu udaje w ogóle zasypiać w nocy?

– Najważniejsze to przeżyć – powtarza Hood.

– To żadna odpowiedź – prycha Mo. – To taka „jagódka”, którą daje pan resztkom własnego sumienia.

Hood ignoruje Mo i z delikatnością, o jaką bym go nie podejrzewała,

ujmuje swoją wielką łapą moją dłoń i wciska mi trzecią fiolkę. Przez podeszwy stóp wsącza się we mnie nadzieja.

– W domu w dole nie ma nikogo. Nie zróbcie krzywdy moim kurom. Proszę.

– Piórko im z głowy nie spadnie, babciu – obiecuje Hood.

Brodaty olbrzym niesie już drabinę ścieżką do Dooneen Cottage, kiedy przeraźliwy huk eksplozji robi nagle wyrwę w cichym popołudniu. Wszyscy przykucają spięci – nawet Mo i ja.

To od Kilcrannog? Za chwilę słychać też echo i echo echa.

Ktoś głośno pyta:

– Co to, do kurwy, było?

Chłopak z bliznami po szczyrzej grypie pokazuje palcem i mówi:

– To tam...

Nad krzewami fuksji wyrasta w niebo tłusty dżin z czarno-pomarańczowego dymu, ale zaraz wiatr zwiewa go nad górę Caher. Zachrypty głos stwierdza:

– To ten jebany punkt tankowania!

Hood klepie hełmofon i odgina klapę z mikrofonem.

– Baza, tu Rolls-Royce, pozycja w Dooneen, milę na zachód od Kilcrannog. Co to był za huk? Odbiór.

Przez pola dobiega nas przerażająca kanonada strzałów z karabinu.

– Baza, tu Rolls-Royce. Potrzebna wam pomoc? Odbiór.

Przez hełmofon Hooda słyszymy szybkie, niewyraźne słowa, potem paniczny biały szum i nic więcej.

– Rolls-Royce do bazy. Odpowiedzcie. Odbiór. – Hood czeka, wpatrując się w dym, który cały czas wznosi się znad miasta. Znowu klepie hełmofon. – Audi? Tu Rolls-Royce. Czy masz kontakt z bazą? I co się dzieje w mieście? Odbiór. – Hood czeka. Wszyscy czekamy wpatrzeni w niego. Cisza. – Albo wieśniaki się burzą, albo mamy gości spoza Strefy. Szybciej, niż myśleliśmy. Tak czy owak, chłopcy, baza

potrzebuje nas w mieście. Wycofujemy się.

Ośmiu milicjantów wraca do dżipów, nawet nie patrząc na mnie ani na Mo. Dżipy zawracają na krótkim podjeździe i z pomrukiem silników odjeżdżają drogą w kierunku głównej szosy.

Od strony Kilcrannog odgłosy strzelaniny nasilają się.

Uświadamiam sobie, że nadal możemy naładować pompę insulinową Rafiqa.

Przynajmniej na razie: Hood zapowiadał, że przyjdą szabrownicy.

Mo wścieka się cicho:

– Nawet, cholera, nie odstawił z powrotem drabiny.

*

Najpierw idę po dzieci na Biały Brzeg. Fale w zatoce Dunmanus nigdy nie mają pewności, w którą stronę płynąć, kiedy wiatr wieje od wschodu. Zimbira wybiega ze starej szopy z blachy falistej, a za nim wychodzą Lorelei i Rafiq, jeszcze roztrzęsieni, ale już oddychają z ulgą. Opowiadam im o milicjantach i panelach słonecznych, a potem wracamy do Dooneen Cottage. Popołudnie nadal znaczone jest wystrzałami i kiedy się odwracamy, widzimy, że nad wioską krąży dron. Po dłuższej serii z karabinów bystry wzrok Rafiqa dostrzega, że dron został zestrzelony. Wyżej, na drodze słychać silnik dżipa. Na skraju łąki znajdujemy ogromną purchawkę i chociaż jedzenie to ostatnia rzecz, o której teraz myślę, zrywamy ją i Lorelei niesie ją do domu jak futbolową piłkę. Pokrojona w plastry i usmażona na maśle, będzie posiłkiem dla całej naszej czwórki. Bóg jeden wie, kiedy, i czy w ogóle, zobaczymy jeszcze pudełka z przydziałem. W saloniku i w cieplarni mam zapas jedzenia może na pięć tygodni, jeśli będziemy ostrożni. Pod warunkiem, że żadna uzbrojona banda zbirów nam go nie ukradnie.

Po powrocie do domu zastaję Mo na karmieniu kur. Próbowала połączyć się ze znajomymi z miasta, z Ahakista, z Durrus i z Bantry, ale Net padł na dobre. Zresztą radio też, nawet RTÉ.

– Na wszystkich zakresach – mówi Mo – słyhać tylko grobową ciszę.

I co teraz? Nie mam pojęcia, co robić. Zabarykadować nas, wysłać dzieci w jakieś bardziej ustronne miejsce, na przykład do latarni morskiej, iść do O'Dalych na farmę Knockroe, żeby sprawdzić, co z Izzy i jej rodziną? Czy co robić? Nie mamy broni, chociaż biorąc pod uwagę liczbę serii wystrzelonych dziś na Sheep's Head, broń prędzej zabije, niż uratuje życie. Wiem jedno – jeśli tylko zagrożenie nie przyjedzie na czterech kołach drogą do Dooneen Cottage, będę spokojniejsza, mając Lorelei i Rafiqa przy sobie. Oczywiście, jeżeli wszyscy właśnie przyjmujemy wysokie dawki promieniowania radioaktywnych izotopów, moje rozważania są czysto akademickie, ale po kolei, zajmujmy się tylko jedną apokalipsą naraz.

Towar, którego teraz najbardziej potrzebujemy, to wiadomości. Ostrzał w wiosce się skończył, ale dopóki nie rozeznamy się w sytuacji, powinniśmy trzymać się z daleka od Kilcrannog. O'Daly'owie prawdopodobnie wiedzą więcej, jeżeli Declanowi udało się wrócić. W takie groźne popołudnie wydaje się, że ich farma nagle jest bardzo daleko, ale wyruszamy tam z Lorelei. Rafiqa proszę, żeby został w domu i razem z Zimbrą pilnował Mo, cokolwiek jednak się stanie, jego podstawowym obowiązkiem jest przede wszystkim ocalić życie. Tego chciałaby jego rodzina w Maroku, bo to właśnie dlatego próbowali wysłać go do Norwegii. To może nie są najlepsze słowa, jakie mógłby ode mnie usłyszeć, ale jeśli istnieje książka „Co robić i mówić, gdy cywilizacja umiera”, to niestety, ja jej nie przeczytałam.

Idziemy wzdłuż brzegu oceanu do farmy Knockroe, mijamy skały, na których zbieram mech irlandzki i brunatnice, a potem wchodzimy na to niżej położone z należących do O'Dalych pastwisk. Podchodzi do nas ich małe stadko krów rasy Jersey, chcą, żeby je wydoić – to niedobry znak. Na podwórku farmy też panuje złowieszcza cisza, a Lorelei zauważa, że ze starej stajni O'Dalych zniknęły panele słoneczne. Izzy mówiła wcześniej, że Declan i jego najstarszy syn Max poszli rano do wioski, ale Tom, Izzy albo ich mama Branna powinni gdzieś tu się kręcić. Nigdzie nie widać też ich owczarka, Schulla, ani Phila, ich pastucha. Podmuchy wiatru łomoczą kuchennymi drzwiami o futrynę i czuję, że Lorelei chwyta mnie za rękę. Drzwi ktoś wcześniej otworzył kopniakiem. Przechodzimy przez podwórko obok przyzmy obornika, stajemy przed progiem i drżącym głosem wołam do kuchni:

– Halo? Jest tu ktoś?

Żadnej odpowiedzi. Tylko wiatr turla po kuchennej podłodze jakąś puszkę.

W uchylonym oknie dźwięczą dzwonki wietrzne Branny.

Lorelei krzyczy na cały głos:

– Izzy! To my!

Z duszą na ramieniu wchodzę głębiej do kuchni.

Talerze po śniadaniu nadal stoją w zlewie.

– Babciu? – Lorelei też jest przerażona. – Myślisz, że...?

– Nie wiem, kochanie – odpowiadam. – Zaczekaj na dworze.

– Lol? Lol! – To Izzy, a za nią Branna i Tom idą do nas przed podwórze.

Tom i Izzy wyglądają na całych i zdrowych, są tylko zdenerwowani, ale Branna O'Daly, kruczowłosa pięćdziesięcioletnia twarda kobieta, ma kombinezon cały we krwi. Powstrzymuję się, żeby nie krzyknąć z przerażenia.

– Jesteś ranna?

Branna O'Daly z początku nie rozumie pytania, ale zaraz potem uświadamia sobie:

– Matko Boska, nie, nie, Holly, nie jestem ranna, nikt mnie nie postrzelił, tylko nasza krowa się cieli. Wiosną na padok dostał się byk Conollych i dzisiaj zaczęła rodzić. Niezłe wyczucie czasu, a niech ją. Nie wiedziała, że już nie ma Strefy, a gangi uzbrojonych bandytów obrabiają domy z paneli słonecznych. A w dodatku cielę było w ułożeniu pośladowym. Ale już przyszło na świat, jałówka, czyli będzie jeszcze jedna mleczna.

– Zabrali wam panele, Branna – mówi Lorelei.

– Wiem, skarbie. Nic nie mogłam poradzić. A do Doonen Cottage też wstąpili po drodze?

– Ukradli panele Mo – wyjaśniam – ale kiedy usłyszeli wybuch, zabrali się, zanim zdjęli moje.

– Tak, nasi też się wtedy zmyli.

Pytam Brannę:

– A co z Declanem i Maxem?

Ona tylko wzrusza ramionami i kręci głową.

– Nie wrócili z wioski – odpowiada Tom. I dodaje z przekąsem: – Mama nie chce mnie puścić, żebym poszedł ich poszukać.

– Dwóch z trzech mężczyzn O'Daly na wojnie wystarczy. – Widać, że Branna usiłuje trzymać nerwy na wodzy. – Tata kazał ci bronić domu.

– A ty kazałaś mi się schować – szesnastoletniemu Tomowi załamuje się głos – na jebanym stryszku w stodole z Izzy! To ma być obrona domu?

– Gdzie ci się kazałam schować? – pyta Branna lodowatym tonem.

Tom patrzy gniewnie, równie lodowato.

– Na stryszku w stodole z Izzy. Ale dlaczego...

– Ośmiu bandytów z nowoczesnymi chińskimi karabinami automatycznymi – mówi mu Izzy – przeciw jednemu nastolatкови ze strzelbą, która ma ze trzydzieści lat? Zastanów się, Tom. Tak czy owak, słyszę rower. O wilku mowa.

– O jakim wilku? – pyta Tom, ale zaraz zrywa się Schull i zaczyna szczeleć u furtki, merdając ogonem, a zza zakrętu na rowerze górskim wyjeżdża brat Toma, Max.

Hamuje z poślizgiem kilka jardów przed nami. Nad jedną z kości policzkowych ma paskudne rozcięcie. Patrzy dzikim wzrokiem. Stało się coś strasznego.

– Max! – Branna jest przerażona. – Gdzie tata? Co się stało?

– Tata... tata – głos Maxa drży – żyje. A wam nic się nie stało?

– Nic, dzięki Bogu. Ale twoje oko!

– Nic takiego, mam, dostałem tylko odpryskiem... Punkt tankowania cały poszedł się jebać.

Mama przytula go zbyt mocno, by mógł dalej mówić.

– Co wy z tym przeklinaniem! – Branna kręci głową. – Nie wychowaliśmy was z ojcem, żebyście przeklinali, jak jakiś, kurde, żul. A teraz, mów, co się stało.

*

Kiedy ja w kuchni O'Dalych oczyszczam Maxowi ranę na policzku, on wypija szklanekę mętnego bimbrowa ojca, żeby się uspokoić, i kubek miętowej herbaty, żeby zapić smak bimbrowa. Trudno mu zacząć, ale kiedy w końcu wydobywa z siebie słowa, opowiada, niemal nie łapiąc tchu.

– Zaraz jak doszliśmy z tatą do cioci Suke, przybiegł Sam, najstarszy syn Mary de Búrka, i powiedział, że w wiosce jest nadzwyczajne zebranie w Wielkiej Hali. To było jakoś w południe. Przyszła prawie

cała wieś. Martin wstał pierwszy i mówi, że zwołał zebranie, bo upada Strefa. I że powinniśmy powołać Oddział Reagowania Sheep's Head, uzbrojony we wszystkie strzelby, jakie mamy w domach, żeby obsadzić blokady na drogach do Durrus i Raferigeen. Bo jak przyjdą szabrownicy, to przynajmniej nie będziemy tylko stać potulnie jak cielęta. Większość chłopaków stwierdziła, że to dobry pomysł. Ale potem zaczął mówić ojciec Brady, że Bóg pozwolił Strefie upaść, bo zawierzylimy fałszywym bożkom, drutowi kolczastemu i Chińczykom, i że przede wszystkim należy wybrać nowego wójta, który będzie miał Boże wsparcie. Pat Joe i kilku chłopaków zaczęli się burzyć: „Do kurwy, co jest, to nie czas na agitację wyborczą”. Więc Muriel Boyce zaczęła na nich wrzeszczeć, że będą się smażyć w piekle, bo każdy, kto myśli, że grupa wieśniaków z porzewanymi strzelbami może powstrzymać nadchodzącą Apokalipsę, to skończony idiota, który już niedługo będzie skończonym na śmierć idiotą. Wtedy Mary de Búrka, uuughh... – Max krzywi się, kiedy pęsetką wydobywam niewielki odłamek kamienia z rany w jego policzku.

– Przepraszam – mówię. – To był już ostatni.

– Dzięki, Holly. Mary de Búrka zaczęła mówić, że nic nam nie zaszkodzi zorganizować się na blokadach, bo strzeżonego Pan Bóg strzeże. I wtedy usłyszeliśmy warkot dżipów, mnóstwo ich było, jechały w naszą stronę. Jak w piątkowym konwoju, ale dużo, dużo głośniejsze. Wszyscy wyszli z Hali na ulicę, a na plac wjechało dwadzieścia dżipów Stabilności i cysterna. Z każdego pojazdu wysiadło jakichś pięciu, sześciu ludzi. Wielkich goryli, mamó. Umieśnionych sukinsynów. Z oddziałów Stabilności, ale też ewidentnie z milicji spoza Strefy. Było ich prawie tylu co nas, ale nie dalibyśmy im rady. Byli uzbrojeni po zęby i szkoleni do zabijania. Jeden z nich, z Dublina, wszedł na dach dżipa i zaczął mówić przez megafon. Powiedział, że nazywa się generał Drogheda i że z powodu

upadku Strefy na byłych ziemiach Dzierżawy zachodniego Corku wprowadza się niniejszym stan wojenny. I że Stabilność w Corku wysłała go, żeby zarekwirował do użytku władz wszystkie panele słoneczne na Sheep's Head, i żeby w imieniu Stabilności przejął całą naszą ropę z wczorajszego transportu. Wszyscy popatrzyliśmy na siebie: „Nie ma, kurde, mowy”. Ale ten Drogheda zagroził, że jakikolwiek opór będzie traktowany jako zdrada. A za zdradę, według klauzuli jakiejś tam Ustawy o Stabilności z któregoś tam roku, dostaje się kulę w łeb. Martin Walsh podszedł do dżipa tego całego generała Drogheda, przywitał się, powiedział, że jest wójtem Kilcrannog, i że chciałby się przyjrzeć nakazowi rekwizycji z dowództwa w Corku. A ten wyjął rewolwer i strzelił w asfalt między buty Martina. Martin skoczył w górę jak oparzony. A Drogheda, jeżeli rzeczywiście tak się nazywa, pyta go: „Przyjrzał się pan wystarczająco?”. A potem zagroził, że jeżeli jeszcze jakiś chojrak będzie próbował ich powstrzymać, to opróżnią nam magazyn z żywnością i całą zimę będziemy zreć kamienie.

– Stabilność tak by się nie zachowywała – stwierdza Branna. – Prawda?

Max popija biber, krzywi się i wzdryga.

– Niczego już nie można być pewnym. Kiedy ten cały Drogheda skończył przemowę, jakieś dziesięć dżipów wyjechało z wioski główną szosą do Dooneen, dziesięć innych pojechało na granice Kilcrannog, żeby się tam zabrać do roboty, a reszta dżipów została na placu. Z tych na placu sukinsyny powyjmowali drabiny i chodzili od dachu do dachu, i zdejmowali panele. A w tym czasie cysterna opróżniała zbiornik w punkcie tankowania. Wszyscy burczeliśmy wściekli, bo ci złodzieje kradli, kurde, naszą ropę! Ale gdybyśmy spróbowali ich powstrzymać, wykosiliby nas wszystkich i wzięli panele tak czy owak. Wiedzieliśmy, że gównno możemy zrobić. Cysterna się napełniała,

coraz więcej dachów zostawało bez paneli, a dżipy zaczęły z powrotem zbierać się na placu, chyba czekały jeszcze na te, które pojechały drogą do Knockroe. No i wtedy... stało się. Nie widziałem, od czego się zaczęło, ale stałem z ojcem i Seanem O'Dwyerem i usłyszałem jakąś straszną jatkę w dżipie generała Droghedy...

Nakładam oszczędną warstwę maści antyseptycznej na ranę Maxa, a on syczy i się krzywi.

– Ten cały generał wrzeszczał na kogoś z milicjantów. Drogheda miał na szyi symbol Audi i mówił, że to on dowodzi operacją, a jeśli temu milicjantowi się nie podoba, to może... No, proponował, co może zrobić ze swoją matką... Nieważne. W każdym razie wiatr się wcześniej trochę uspokoił i te krzyki rozniosły się po całym placu. I widziałem, jak jeden taki obdarty milicjant podchodzi od tyłu do Droghedy i... uh... – Max marszczy czoło, przetyka ślinę, usiłuje powstrzymać napływające do oczu łzy, ale nie może, i już całkiem traci panowanie nad głosem. – Strzelił mu prosto w głowę. Z lufą przy skroni. Kurwa, tutaj...

– O Boże, nie – szepcze Izzy.

– Mój biedny synek – mówi Branna. – I ty to wszystko widziałeś?

Max zakrywa twarz dłońmi i przez kilka chwil oddycha głęboko, usiłując się uspokoić.

– O, to był dopiero początek, mamó. Ludzie Stabilności i milicjanci skoczyli sobie do gardeł jak psy, jak uzbrojone psy. Rozpętało się piekło, poleciał grad kul. – Max jest wściekły na siebie, że płacze. – Jak na starych filmach wojennych. Kaskaderzy spadali z dachów, ludzie czólgali się po chodnikach. – Max odwraca głowę i zaciska powieki, żeby wymazać ten obraz, ale nie potrafi. – My pochowaliśmy się wszyscy, gdzie tylko mogliśmy, ale... mamó... Seamus Coogan dostał kulę.

– Seamus Coogan jest ranny? – wyrывa mi się.

Max zaczyna drżeć i kręci głową.

Tom pyta z szeroko otwartymi oczami:

– Seamus Coogan nie żyje?

Max tylko potakuje. Z Izzy, Branną, Lorelei i Tomem patrzymy po sobie i czujemy powiew zimnego wiatru nieodległej przyszłości. Zaledwie wczoraj rozmawiałam z Seamusem Cooganem. Max dopija resztę bimbrowu i opowiada dalej, jakby miał zwariować, jeśli nie wyrzuci z siebie wszystkiego, co widział. I może tak właśnie jest.

– Próbowałem... ale to wszystko działo się błyskawicznie. – Max zamyka oczy, kręci głową i dziwnie odgania powietrze dłońmi. – Ojciec mnie odciągnął. Krzyczał, że nic już nie możemy dla Seamusa zrobić. Uciekliśmy wokół baru Fitzgeralda i schowaliśmy się w jego garażu. W samą porę. Ktoś strzelił w cysternę na placu i... Słyszeliście, prawda?

– Musieli to słyszeć nawet w Tipperary – mówi Branna.

– Minął jakiś czas – ciągnie Max – nie wiem jak długo. Usłyszeliśmy strzały, zobaczyliśmy, że jakiegoś faceta ktoś zastrzelił na podjeździe do baru Fitzgeralda. Minęło ile... godzina? Nie wiem. Pewnie nie, ale nagle dżipy zaczęły się wycofywać na drogę w góry, do siedziby Finna MacCoola i... I potem było już cicho. Zaczęły śpiewać ptaki. Wszyscy wyszliśmy z kryjówek oniemiałi... Nikt nie mógł uwierzyć, że to się działo naprawdę. Tutaj? W Kilcrannog? – Do oczu Maxa znowu napływają łzy. – Ale owszem. Na dowód mieliśmy zabitych i rannych. Bernie Aitken próbował bronić strzelbą swojego panelu i dostał kulę. Jest ciężko ranny. Chyba się z tego nie wyliże, mamó. Plac w wiosce jest cały w... Nie chodźcie tam, nie oglądajcie tego – prosi Toma, Izzy i Lorelei. – Nie chodźcie. Dopóki tam nie sprzątną i deszcz tego wszystkiego nie zmyje. Sam żałuję, że to musiałem oglądać. Teraz trzeba wykopać dwadzieścia, trzydzieści grobów. Jest też kilku rannych milicjantów, nie są w stanie chodzić. Część chłopaków

mówiła, że powinniśmy ich po prostu wrzucić do morza, bo oni tak zrobiliby z nami – w oczach Maxa wzbiera gniew, na kilka sekund wypierając szok – ale doktorka Kumar robi dla nich co może. Pewnie i tak umrą. Po punkcie tankowania został tylko głęboki krater i we wszystkich domach wokół placu nie ma ani jednej szyby. Z domu Joseya Malone’a wybuch wyrwał całą frontową ścianę. I pub wygląda teraz jak wojenna ruina.

Ogarnia mnie niejasny niepokój o Brendana: takie zacięte walki o kurczące się zapasy muszą wybuchać w całej Europie, zmieniają się tylko mundury i sceneria. Jestem ciekawa, gdzie są teraz Hood i brodaty olbrzym. Nie żyją, uciekają, umierają w klinice doktorki Kumar? Polykają jagódkę?

Branna pyta cicho:

– A ojciec, Max? Co teraz robi?

– Pomaga Mary de Búrka kierować sprzątaniami. Martin Walsh pojechał z kilkoma innymi do Ahakista uzgadniać blokady drogowe. To teraz jeszcze pilniejsze. Trzeba stworzyć taką naszą małą Strefę, może od Durrus do Coomkeen, potem wzdłuż drogi do Boolteenagh po stronie Bantry. Oczywiście, dopóki jej nie ogrodzimy i nie okopujemy, będzie jej pilnować tylko kilku z nas ze strzelbami w namiotach. Ale są do zabrania karabiny automatyczne, a Martin ma kuzyna w garnizonie w Derrycagoon. Przynajmniej miał. Ludzie Stabilności też będą potrzebowali jakiegoś bezpiecznego miejsca dla swoich rodzin. W każdym razie muszę wracać, miałem przynieść parę łopat.

– Nie, Max – sprzeciwia się Branna. – Jesteś w szoku. Połóż się. Jutro też będzie mnóstwo roboty.

– Mamo – odpowiada Max – jeżeli nie ustawimy blokad, jutra może wcale nie być. Muszę iść.

– To ja idę z tobą – oznajmia Tom.

– Nie – mówią jednocześnie Branna i Max.

– Owszem, idę. Mam szesnaście lat. Mamo, poradzisz sobie z dojeniem?

Branna mocno pociera twarz. Wszystkie reguły się zmieniają.

*

Na farmie Knockroe Lorelei pomaga przy dojeniu krów, a ja karmię kurczaki. Potem wracamy wybrzeżem do domu i po drodze zbieramy worek dzikiej botwiny. Pchły piaskowe odbijają się od moich odsłoniętych łydek, a ostrygojady przechadzają się między kamieniami i kupkami morskoczynu, dźgając dziobami podmokły piasek w poszukiwaniu pierścienic. Szara czapla poluje na ryby ze skały wystającej z wody jakieś dwadzieścia stóp od brzegu, a zza chmur wychodzi słońce. Wiatr zmienił kierunek i wieje teraz od północy, zbierając resztkę potarganych obłoków, jak owczą wełnę zaczepioną o drut kolczasty. Znajdujemy wielki konar wybielonego drewna, który fale wyrzuciły na brzeg. Gdy przyjdzie zima, powinno nam wystarczyć do pieca na kilka dni. Na brzegu pod naszym domem spotykamy Rafiqą, który łowi ryby z pomostu. To jego ulubiona rozrywka, kiedy chce zająć czymś myśli. Zdajemy mu odpowiednio okrojoną relację z opowieści Maxa O'Daly'ego – i tak wszystko prędzej czy później usłyszy – a Rafiq pomaga nam zanieść do domu nasz zdobyczny konar. Mo drzemie w starym fotelu Eilish. U jej stóp leży Zimbra, a na kolanach Mo spoczywa biografia Wittgensteina. Może Mo wprowadzi się teraz do naszego domku dla gości, kiedy w jej własnym domu nie ma już w ogóle prądu. Domek dla gości postawiłam, kiedy dowiedziałam się, że Aoife jest w ciąży, żeby z Örvarem i dzieckiem mogli mieć trochę prywatności, kiedy będą mnie odwiedzać, ale z biegiem lat domek stał się po prostu graciarnią.

Zimbra zrywa się, kiedy wchodzimy, Mo się budzi, a Lorelei zaparza nam czajniczek zielonej liściastej herbaty, którą przyniosła z ciepłarni Mo. Zaczynam od wiadomości, że Seamus Coogan nie żyje, i opowiadam całą resztę o masakrze, jak ją zrelacjonował Max. Mo słucha i nie przerywa ani razu. Potem wzdycha i pociera oczy.

– Martin, niestety, ma rację. Jeżeli chcemy, żeby za dziesięć lat żyło nam się choć trochę lepiej niż w średniowieczu, musimy zachowywać się jak wojsko. Ci barbarzyńcy drugi raz już się nawzajem nie powybijają.

Mój zegar wskazuje piątą po południu. Rafiq wstaje.

– Chciałbym złapać jeszcze kilka ryb zanim się ściemni. Mo zostanie na herbatę, Holly?

– Mam nadzieję. W porze lunchu najedliśmy się u niej, że ledwo mogliśmy wstać.

Mo myśli o swoim nierozpalonym piecu i bezużytecznych żarówkach.

– Będzie mi bardzo miło. Dziękuję. Całej waszej trójce.

Kiedy Rafiq już wyszedł, dzielę się z Mo planem:

– Jutro pójdę do miasta.

– Nie jestem przekonana, czy to jest rozsądne – ostrożnie odradza Mo.

– Muszę porozmawiać z doktorką Kumar o insulinie.

Mo bierze łyk herbaty.

– Ile wam jeszcze zostało?

– Na sześć tygodni – odpowiada ściszym głosem Lorelei. – Mamy jedną pompę insulinową w zapasie i trzy paczki włożyć do drenów.

– A ile ma jeszcze doktorka Kumar? – pyta Mo.

– Właśnie tego chcę się dowiedzieć. – Drapię się po dłoni, w którą ugryzł mnie jakiś owad. – Wczoraj konwój nic nie przywiózł, a po tym, co się stało dzisiaj... nie sądzę, żeby jakiś jeszcze tu przyjechał. Mamy

wodę, może jakoś poradzimy sobie z jedzeniem i ochroną, jeżeli będziemy umieli żyć jak w jakieś socjalistycznej Utopii, ale nie damy rady zsyntetyzować insuliny bez laboratorium ze specjalistycznym sprzętem.

– Rafiq już o to dopytywał? – Mo marszczy czoło.

– Nie. Ale to bystry dzieciak. Dobrze wie.

Przez boczne okno wpadają do środka promienie słońca i rzucają na ścianę jak na ekran obraz późnego popołudnia. Po ścianie przelatują cienie ptaków.

Niektóre cienie są wyraźne, inne rozmyte.

Widziałam je już w innym miejscu, w innym czasie.

– Babciu? – Lorelei czeka, żeby odpowiedziała na jakieś pytanie, które mi zadała.

– Przepraszam, kochanie. Byłam... Co mówiłaś?

*

W radiu nadal martwa cisza. Mo pyta Lorelei, czy po takim dniu jak dzisiaj może miałyby ochotę zagrać coś na skrzypcach. Moja wnuczka wybiera *Szło dziewczę przez jarmark*. Myję zebraną botwinę, a Mo patroszy rybę. W ostatniej chwili smażymy na maśle purchawkę. Gdybym była młodsza, byłabym teraz w mieście i pomagała w upiornym sprzątanii, ale dzisiaj, w moim wieku, nie byłoby ze mnie dużo pożytku przy kopaniu grobów i zbijaniu prowizorycznych trumien. Ojciec Brady będzie miał dużo roboty. Pewnie ogłosi, że uratowanie Kilcrannog to dowód boskiej interwencji. Lorelei przepięknie gra smutny refren. Po ojcu odziedziczyła nie tylko skrzypki, ale i talent, i gdyby należała do pokolenia Aoife, mogłaby pomyśleć o karierze muzycznej, obawiam się jednak, że muzyka stanie się kolejnym zajęciem, które Ociemnienie wyeliminuje jako bezużyteczne dla

przeżycia.

Wszystkie trzy aż podskakujemy, kiedy Rafiq gwałtownie otwiera drzwi: coś się stało.

– Rafiq! Na Boga, co się dzieje? – pyta Mo.

Rafiq z trudem łapie oddech. Najpierw przez myśl przelatuje mi cukrzyca, ale Rafiq ręką pokazuje na zatokę.

– Tam!

Lorelei przestaje grać.

– Oddychaj głęboko, Raf. Co się dzieje?

– Okręt – sapie Raf – i jakaś łódź. Są na niej ludzie, mają broń. Podpłynęli bliżej i rozmawiali ze mną przez taki jakiś duży róg, ale nie wiedziałem, co mam im mówić. Przez to wszystko, co się dziś stało.

Mo, Lorelei i ja patrzymy po sobie, nie rozumiejąc.

– Zaraz, po kolei, Raf – mówię. – Okręt?

– Patrz! – Raf wskazuje zatokę.

Nic tam nie widzę, ale Lorelei podchodzi do drzwi, wygląda i mówi:

– Jezu.

Wtedy ja też pośpiesznie podchodzę, a za mną Mo. Z początku widzę tylko niebieskawoszare wody zatoki. Ale potem dostrzegam kropki żółtych światełek, może trzysta metrów od brzegu.

– Okręt patrolowy – stwierdza Mo, stojąc obok mnie. – Potraficie wypatrzeć banderę?

– Nie – odpowiada Rafiq – ale spuścili na wodę mniejszą łódkę, która podpłynęła strasznie szybko do naszego molo. Byli w niej jacyś ludzie. Kiedy byli już blisko, jeden z nich zaczął do mnie mówić przez ten róg i jego głos brzmiał strasznie głośno, o tak. – Rafiq udaje, że trzyma megafon.

– Po angielsku? – drąży Mo.

A Lorelei jednocześnie pyta:

– Co mówił?

– Po angielsku – odpowiada Rafiq. – Pytał: „Czy mieszka tu Holly Sykes?”.

Mo i Lorelei patrzą na mnie. Ja spoglądam na Rafiq'a.

– Jesteś pewien?

Rafiq potakuje.

– Myślałem, że się przesłyszałem, ale on powtórzył. Stałem tam tylko jak głupi, a potem – Rafiq spogląda na Lorelei – on zapytał, czy ty tu mieszkasz. Wiedział, jak się nazywasz. Lorelei Örvarsdottir.

Lorelei mnie ubranie w zaciśniętej dłoni i patrzy w moją stronę.

– Mogłeś się zorientować, czy byli stąd? – pyta Mo.

– Nie, mieli wojskowe gogle. Ale on nie brzmiał jakby był z Irlandii.

Okręt patrolowy nadal stoi w zatoce. Jest duży, z wieżyczką, reflektorami i podwójnymi działkami na dziobie i rufie. Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz widziałam w zatoce stalowy kadłub.

– Może to Brytyjczycy – zastanawia się Mo.

Nie wiem.

– Słyszałam, że ostatnie okręty Królewskiej Marynarki Wojennej rdzewieją w Medway i czekają na paliwo, które nigdy nie dotrze. W każdym razie brytyjskie okręty chyba zawsze płyną pod brytyjską banderą, mam rację?

– Paliwo mieliby Chińczycy albo Rosjanie – mówi Lorelei.

– Ale czego Chińczycy albo Rosjanie chcieliby od nas?

– Naszych paneli słonecznych? – zastanawia się Lorelei. – Może przyplłynęli na szaber?

– Przyjrzyjcie się, jaki wielki jest ten okręt. Jaką ma wyporność? Trzech, czterech ton? Pomyślcie tylko, ile kosztowała ropa, żeby mógł tu przyplłynąć. Im nie chodzi o zabranie kilku używanych paneli słonecznych.

– Widzicie gdzieś motorówkę? – pytam dzieci. – Tę szybką łódkę?

Po kilku chwilach Lorelei stwierdza:

– Nigdzie jej nie ma.

– Może zasłania ją pomost – mówi Rafiq z niepokojem w głosie.

Nagle Zimbira wpycha się między moją łydkę a framugę drzwi i warczy w kierunku plamy niewyraźnego mroku w krzakach głogu przy naszej furtce. Wiatr czesze długie żdźbła trawy, krzyczą mewy, a cienie kładą się ostre i długie.

Są tutaj. Wiem.

– Raf, Lol – mówię szeptem – na strych.

Oboje zaczynają protestować, ale ucinam:

– Proszę.

– Nie ma powodów do obaw – słyszymy głos żołnierza, który nagle staje w furtce, a cała nasza czwórka aż podskakuje. Jego maskujący kuloodporny kombinezon, ergohelm i ampliwizjer ukrywają przed nami jego twarz i nie zdradzają ile ma lat. Przypomina w nich wielkiego owada. Serce wali mi jak młotem. – Mamy przyjaźniejsze zamiary niż goście, którzy odwiedzili was wcześniej.

Pierwsza otrząsa się Mo.

– Kim pan jest?

– Komandor porucznik Aronsson, Islandzka Piechota Morska. Ten okręt to ICGV „Sjálfstæði”. – W głosie oficera słychać wojskowy dryl, a kiedy Aronsson odwraca się w lewo, kuloodporny wizjer odbija chylące się ku zachodowi słońce. – A to poruczniczka Eriskdottir. – Komandor wskazuje drobniejszą postać, kobietę, która również przygląda się nam przez ampliwizjer i pochyla lekko głowę w pozdrowieniu. – Jest z nami też pan Harry Veracruz, doradca prezydenta, który dołączył do nas w naszej misji.

Zza krzewów głogu wyłania się teraz trzecia postać, ubrana jak szalony ornitolog z czasów przed Ociemnieniem, w gruby wełniany sweter i rozpiętą ciężką ortalionową kurtkę. Jest młody, ledwo co skończył dwadzieścia lat. Ma lekko afrykańskie usta, nieco azjatyckie

oczy, białą skórę i gładkie, czarne włosy, jak rdzenni Amerykanie na starych filmach.

– Dzień dobry – wita się ze mną miłym głosem zewsząd. – Czy też może już dobry wieczór?

Jestem skołowana.

– Nie wiem... Chyba jest...

– Profesorka Mo Muntervary, dawniej z MIT – przedstawia się zwięźle moja sąsiadka. – W czym możemy pomóc, komandorze?

Komandor podnosi ampliwizjer i możemy teraz zobaczyć jego klasyczny nordycki, kwadratowy podbródek. Aronsson mruży oczy, kiedy rażą go promienie słońca, i widzimy, że ma trzydzieści kilka lat. Zimbra szczeka.

– Najpierw proszę uspokoić psa. Nie chciałbym, żeby połamał sobie zęby na naszych pancierzach.

– Zimbra – karcę go. – Do domu. Zimbra!

Jak nadąsany nastolatek, Zimbra wraca za próg, choć wygląda na zewnątrz zza moich tydek.

Poruczniczka Eriksdottir też odchyła w górę swój ampliwizjer. Ma dwadzieścia kilka lat i jest bardzo piegowata. Jej skandynawski akcent jest silniejszy, jej „esy” bardziej syczą.

– Holly Sykes to pani, prawda?

Wolałabym dowiedzieć się, czego chcą, zanim potwierdzę, kim jestem, ale pan Harry Veracruz mówi z dziwnym uśmiechem:

– Z całą pewnością to pani.

– Zatem jest pani prawną opiekunką – ciągnie poruczniczka Eriksdottir – Lorelei Örvarsdottir, obywatelki Islandii.

– To ja – odpowiada Lorelei. – Mój tata pochodził z Akureyri.

– Ja też jestem z Akureyri – mówi komandor Aronsson. – To małe miasteczko, więc znam rodzinę Örvara Benediktssona. Pani ojciec również był – komandor zerka na Mo – słynnym naukowcem w swojej

dziedzinie.

Czuję, że muszę przejść do defensywy.

– Czego chcą państwo od Lorelei?

– Nasz prezydent – odpowiada komandor – polecił nam odnalezienie i repatriację pani Örvarsdottir. Dlatego tu jesteśmy.

Przez pasma mroku i światła przelatuje nietoperz.

Moja pierwsza myśl to: „Dzięki Bogu. Lorelei uratowana”.

Moja druga myśl to: „Nie mogę stracić wnuczki”.

Moja trzecia myśl to: „Dzięki Bogu. Lorelei uratowana”.

Kury dziobią, gdaczą i gderają w swoim kurniku, a delikatne łodygi i gałązki w błotnistym ogrodzie kołyszą się na wieczornym wietrze.

– Tera! – stwierdza Rafiq. – Lol, ten wielki okręt przyplłynął z Islandii tylko po ciebie!

– Ale co z moją rodziną? – słyszę pytanie Lorelei.

– Pozwolenie na imigrację dotyczy wyłącznie pani Örvarsdottir – zwraca się do mnie Aronsson. – To nie podlega negocjacji. Mamy ścisłe limity imigracyjne.

– Mam zostawić tutaj rodzinę? – protestuje Lorelei.

– To trudne – mówi jej poruczniczka Eriksdottir. – Niech to jednak pani przemyśli, Lorelei. Ziemie Dzierżawy były bezpieczne, ale te czasy to już przeszłość, jak sami się dzisiaj przekonaliście. Do tego, jeśli zawieje zły wiatr, uszkodzony reaktor jądrowy jest niepokojąco blisko. Na Islandii jest bezpiecznie. Dlatego limity imigracyjne są tak restrykcyjne. Dysponujemy geotermalną energią elektryczną, a panią zajmie się rodzina pani wuja, Halgrida.

Pamiętam starszego brata Örvara z czasów moich wakacji w Reykjavíku.

– Halgrid nadal żyje?

– Oczywiście. Nasza izolacja chroni nas przed największymi... – komandor Aronsson szuka właściwego słowa – perturbacjami

Ociemnienia.

– Ale na całym świecie – odzywa się Mo – musi być mnóstwo obywateli Islandii, którzy modlą się, żeby *deus ex machina* przyplłynął po nich do ogrodu. Dlaczego akurat Lorelei? I skąd takie wyczucie czasu?

– Dziesięć dni temu dowiedzieliśmy się, że Pearl Occident Company planuje wycofanie się z Irlandii – odpowiada komandor. – Wtedy jeden z prezydenckich doradców – Aronsson spogląda z ukosa na Harry’ego Veracruza – przekonał naszego prezydenta, że repatriacja pani wnuczki jest sprawą wagi państwowej.

Patrzemy więc teraz wszyscy na Harry’ego Veracruza, który musi być znacznie bardziej wpływową osobą, niż na to wygląda. Harry opiera się o furtkę, jak sąsiad, który wpadł pogadać. Ma minę „cóż mogę rzec”. I nagle wyjaśnia mi swoim młodym głosem:

– Zwykle staram się lepiej przygotować grunt, Holly, ale tym razem nie miałem jak. W skrócie, jestem Marinus.

Czuję, że unoszę się w górę, jakby zabierały mnie fale. Moja dłoń chwyta się tego, co akurat jest najbliżej, czyli framugi drzwi i łokcia Lorelei. Słyszę szelest, jakby ktoś przewracał karty wielkiej, grubej książki, ale to tylko wiatr szeleści w żywopłocie. Lekarz z Gravesend; psychiatra z Manhattanu; głos w mojej głowie w labiryncie, który nie mógł istnieć, ale istniał; i ten młody człowiek, który właśnie na mnie patrzy, stojąc dziesięć kroków dalej.

Ale zaraz. Skąd mam mieć pewność? Owszem, Harry Veracruz wygląda uczciwie, ale podobnie wyglądają wszyscy skuteczni oszuści. I wtedy słyszę jego głos w mojej głowie: *Labirynt Jacko, sklepiona komnata, cienie ptaków, złote jabłko*. Patrzę na pozostałych. Nikt niczego nie słyszał. To ja, Holly. *Naprawdę. Przepraszam, za ten dodatkowy szok. Wiem, że masz dzisiaj sądny dzień.*

– Babciu? – Lorelei jest niemal w panice. – Może usiądziesz?

Na moim szpadlu na grzędce jarmużu siedzi drozd i śpiewa.

Z wysiłkiem kręcę głową.

– Nie, ja tylko... – A potem pytam go przez ściśnięte gardło: – Gdzie byłeś przez ten cały czas? Myślałam, że nie żyjesz.

Marinus – pamiętam to słowo – subodpowiada: *Długa historia. Złote jabłko było łodzią ratunkową tylko dla jednej duszy, więc musiałem znaleźć inną drogę i innego hosta. Droga okazała się okrężna. Sześć lat minęło na tym świecie, zanim zostałem wskrzeszony w ciele ośmioletniego chłopca w sierocińcu na Kubie, co się akurat zbiegło z kwarantanną z dwa tysiące trzydziestego pierwszego roku. Dopiero w dwa tysiące trzydziestym piątym mogłem wydostać się z wyspy, kiedy to wcielenie miało dwanaście lat. Gdy w końcu dotarłem do Nowego Jorku, Manhattan cały zdziczał, sto dziewiętnaście A stało opuszczone i trzy kolejne lata zajęło mi nawiązanie kontaktu z resztką pozostałych przy życiu Horologów. Potem wydarzyły się awarie Netu i odnalezienie ciebie stało się w zasadzie niemożliwe.*

– A Wojna? – pytam. – Czy ją wygraliście?... Wygraliśmy?

Młody człowiek uśmiecha się dwuznacznie. *Tak. Można tak powiedzieć. Anachoretów już nie ma. Tak naprawdę to Hugo Lamb pomógł mi uciec przed Zmierzchem, chociaż nie wiem, jak się potoczyły jego losy. Czasy psychodekantacji dawno się dla niego skończyły i teraz jego ciało powinno być w średnim wieku, jeżeli rzeczywiście dożył aż do dzisiaj.*

– Holly? – Mo patrzy na mnie z wyraźną obawą, że w głowie luzuje mi się piąta klepka. – Jaka wojna, Holly?

– To przyjaciel z dawnych lat – odpowiadam – z czasów, kiedy pisałam książki.

Z jakiegoś powodu Mo wygląda na jeszcze bardziej zaniepokojoną.

– Holly chce oczywiście powiedzieć: syn przyjaciółki z dawnych lat – wyjaśnia Marinus. – Moja mama była psychiatrą, koleżanką Holly z pracy w ośrodku dla bezdomnych.

Komandor Aronsson akurat otrzymuje jakąś wiadomość i odwraca się, mówiąc po islandzku do radiostacji. Potem sprawdza godzinę na zegarku, odmeldowuje się rozmówcy i z powrotem odwraca się do

nas.

– Kapitan „Sjálfstæði” chce wypływać za czterdzieści pięć minut. Nie zostało dużo czasu na poważną decyzję, Lorelei, ale nie chcemy niepotrzebnie przyciągać uwagi. Proszę, omówcie to w rodzinnym gronie. My – spogląda na poruczniczkę Eriksdottir – dopilnujemy, żeby nikt wam nie przeszkadzał.

Norniki, kury, wróble, pies. Ogród pełen oczu.

– Lepiej wejść do domu – mówię Harry’emu Marinusowi Veracruzowi.

Furtka otwiera się z jękiem. Marinus wchodzi do ogrodu. Jak należy się witać ze wskrzeszonym atemporalnym, którego nie widziało się osiemnaście lat? Uścisnąć go? Ucałować w oba policzki? Harry Veracruz uśmiecha się, a Marinus w nim submówi: *Dziwne, wiem. Witaj w moim świecie. A właściwie, witaj z powrotem, choć przelotnie.*

Staję z boku, żeby przepuścić go do domu, i nagle coś przychodzi mi do głowy.

– Komandorze? Mam do pana pytanie.

– Słucham – odpowiada komandor Aronsson.

– Czy na Islandii nadal macie insulinę?

Aronsson marszczy czoło, ale Marinus woła do niego przez ramię:

– Po islandzku jest tak samo, komandorze. *Insúlin*. Lekarstwo na cukrzycę.

– Aa. – Oficer kiwa głową. – Tak, produkujemy ją w nowych zakładach przy bazie lotniczej w Keflavíku. Muszą ją przyjmować dwa, może trzy tysiące obywateli naszego kraju. A dlaczego pani pyta? Czy pani wnuczka ma cukrzycę?

– Nie – odpowiadam. – Po prostu byłam ciekawa.

W naszej kuchni włączam solar. Migocze jak świeczka. Kolacja jest prawie gotowa, ale nikt z nas nie jest głodny.

– Babciu – mówi Lorelei – nie mogę płynąć na Islandię.

Ze wszystkich razy, kiedy w życiu musiałam kogoś przekonywać, teraz będzie mi chyba najtrudniej.

– Musisz, Lol! – wrywa się Rafiq, a ja błogosławię go za te słowa. – Tam ci będzie dobrze. Zapytaj pana Vera-verac...

Marinus wpatruje się w książki na półkach.

– Ludzi, których szanuję, proszę, żeby mówili do mnie „Marinus”, Rafiqu, i tak, twoja siostra będzie tam miała bez porównania lepsze jedzenie, lepszą edukację i będzie bezpieczniejsza niż na Sheep’s Head. Czego dzisiejszy dzień, zdaje się, jest dowodem.

– No to – mówi za mnie Rafiq – ten okręt to twoja łódź ratunkowa.

– Łódź ratunkowa w jedną stronę – dodaje Lorelei i pyta Marinusa: – Prawda?

Młody mężczyzna marszczy brwi.

– Łodzie ratunkowe rzadko kursują tam i z powrotem.

– W takim razie nie popłynę i nie zostawię was tutaj. – Lorelei tak bardzo przypomina Aoife, kiedy się przy czymś upiera, że budzi to we mnie starą tęsknotę i ból. – Na moim miejscu, Raf, też byś został.

Rafiq bierze głęboki oddech.

– Gdybyś ty była na moim miejscu, byłabyś cukrzyczką w kraju, gdzie nie ma insuliny. Pomyśl o tym.

Lorelei odwraca wzrok z nieszczęśliwą miną i nie mówi nic.

– Mam pytanie – odzywa się Mo, ostrożnie i powoli siadając na krześle przy kuchennym stole i zawieszając laskę na krawędzi blatu. – A właściwie trzy pytania. Holly знаła pańską matkę, panie Marinus, i bardzo przepięknie, ale dłaczego miałyby panu zaufać i powierzyć panu Lorelei?

Marinus wsuwa dłonie do kieszeni i kołysz się na obcasach, jak

młody człowiek z giętkimi stawami, którym jest.

– Pani profesorko, nie potrafię pani udowodnić, że jestem godnym zaufania, uczciwym człowiekiem, za którego się podaję. Nie w ciągu czterdziestu minut. Mogę tylko odesłać panią z tym pytaniem do Holly Sykes.

– To bardzo długa historia – wyjaśniam Mo – ale Marinus, to znaczy właściwie jego matka... to skomplikowane, ale uratowała mi życie.

– W *Ludziach z Radia* jest jakiś Marinus – mówi Mo, uważna czytelniczka o dobrej pamięci. – Odgrywa całkiem pokazną rolę. Ten lekarz z Gravesend. – Mo patrzy na mnie. – Jakaś rodzina?

– Tak – potwierdzam, bardzo nie chcąc wchodzić teraz w zawilóści świata atemporalnych.

– Tamten doktor Marinus był moim dziadkiem – Marinus kłamie tylko częściowo – z chińskiej gałęzi rodziny. Ale w latach dwudziestych Holly wyświadczyła wielką przysługę mojej mamie, Iris, i jej przyjaciółom. Co może od razu stanowić odpowiedź na pani kolejne pytanie, pani profesorko. Mam wobec Holly do spłacenia dług honorowy i właśnie jako sposób jego spłaty traktuję zaoferowanie jej wnuczce szansy życia jak przed Ociemnieniem.

Mo kiwa głową, jakby jej przypuszczenia się potwierdzały.

– A jest pan tak dobrze poinformowany o ostatnich wydarzeniach na Sheep's Head bo...?

– Hakujemy satelity szpiegowskie.

Mo znowu spokojnie kiwa głową, ale umysł naukowczyni domaga się odpowiedzi:

– Czyje?

– Najlepszy zestaw mają Chińczycy, ale satelity rosyjskie też nieźle działają przy dobrej pogodzie. Nasze obrazy przesyłamy jednak z ostatniego funkcjonującego amerykańskiego Eyesata. Pentagon poluzował zabezpieczenia.

Rafiqowi trudno w to uwierzyć.

– Widzicie z kosmosu, co się dzieje na Sheep’s Head? Jesteście... jak Bóg. To jakieś czary.

– Ani Bóg, ani czary. – Marinus uśmiecha się do Rafiqa. – Tylko technologia. Widziałem, jak kilka dni temu lis napadł w nocy wasze kury. I ciebie widziałem – tarł się za ucho Zimbrę, który najwyraźniej ufa temu nieznanemu – ty straszliwy morderco.

Marinus podnosi wzrok i patrzy na mnie.

– Kilka miesięcy temu L’Ohkna, nasz informatyk, wykrył w tym rejonie sygnał z tabu. Sygnał odpowiadał twojemu głosowi, Holly, i oczywiście pamiętałem, że teraz mieszkasz tutaj, ale akurat zajął nas ciąg kryzysowych wydarzeń w Nowej Fundlandii. Kiedy awaria reaktora w Hinkley Point osiągnęła poziom krytyczny, i kiedy dowiedzieliśmy się o wycofaniu się POC, sprawa zrobiła się pilna i oto jesteśmy. – Wzrok Marinusa pada na skrzypce Lorelei. – Kto tutaj muzykuje?

– Ja trochę gram – odpowiada Lorelei. – To skrzypce taty.

Marinus podnosi je i uważnie ogląda, jak ludwisarz, którym zresztą, o ile wiem, kiedyś był.

– Przepiękne linie.

Pytam go:

– Czym się zajmujesz na Islandii, Marinus? – Mnie też bolą nogi, więc siadam obok Mo przy stole.

– Tworzymy think tank. Zanim tam dotarłem, L’Ohkna już skromnie nazwał go „Profeci”. Jest też z nami Roho, który przez ten tydzień, kiedy byłeś na Manhattanie, miał oko na Aoife. I do tego kilkoro innych. Musimy bardziej angażować się w politykę niż... niż musiała moja mama. Ogólnie rzecz biorąc, prezydent ceni nasze doradztwo, nawet jeżeli czasem ucieramy trochę nosa generałom. – Marinus trąca struny skrzypiec Lorelei, jedną po drugiej, testując ich brzmienie. –

Holly, przyszłość Lorelei musi się rozstrzygnąć w ciągu pół godziny.

– Już się rozstrzygnęła – oznajmia moja wnuczka. – Nie mogę zostawić babci i Rafa. Ani Mo.

– To szlachetna i zająca odpowiedź, Lorelei. Mogę zagrać kilka taktów?

Nieco zdumiona Lorelei odpowiada:

– Proszę.

Marinus ujmuje smyczek, wsuwa skrzypce pod brodę i gra od niechcienia kilka taktów *Don't Cry For Me, Argentina*.

– Ciepłe brzmienie. Ale czy struna E nie brzmi trochę... matowo? Holly, czuję, że właśnie przychodzi ci do głowy pewien pomysł.

Zapomniałam, że Marinus zna, albo prawie zna myśli innych ludzi.

– Jeśli Lorelei wyjechałaby z tobą – jeśli, Lol – naprawdę byłaby bezpieczniejsza?

– Nie mam co do tego wątpliwości.

– Czyli ten okręt w zatoce to naprawdę łódź ratunkowa do cywilizacji?

– Metaforycznie rzecz ujmując, tak.

– Komandor Aronsson mówił, że tylko Lorelei może płynąć?

– Teoretycznie tak.

– A potrafiłbyś rozmiąć ten jeden bilet na dwa? Używając swojego... no wiesz... – Macham ręką, rzucając niby-zaklęcie.

Marinus ma minę prawnika, któremu przesłuchanie idzie zgodnie z planem.

– No cóż. Musiałbym przeprowadzić potężny akt swazji na komandorze i poruczniczce, którzy czekają w ogrodzie. Potem, kiedy motorówka dopływałaby do „Sjálfstœði”, musiałbym trawersować do kapitana i pierwszego oficera, i przeprowadzić na nich ten sam akt, żeby nie zawrócili natychmiast Rafiqą na brzeg. Następnie, podczas rejsu na północ, musiałbym bez przerwy ponawiać akt swazji, aż

minęlibyśmy punkt bez powrotu, kiedy to wszyscy zainteresowani zastanawialiby się, co ich opętało. Prawdę mówiąc, to byłoby bardzo, bardzo trudne zadanie. Tylko niezwykle doświadczonemu adeptowi sztuki Głębokiego Strumienia mogłoby się udać...

Czuję lekkie zniecierpliwienie, wdzięczność i nadzieję.

– Czyli dasz radę?

Marinus odkłada skrzypki.

– Tak, ale tylko dla Lorelei i Rafiqa. Wielu marynarzy z załogi „Sjálfstœði” też ma dzieci, więc w głębi duszy będą mnie rozumieli i dużo prościej będzie mi ich swawjować. Być może Xi Lo albo Esther Little potrafiliby wcisnąć na pokład także ciebie i profesorkę, ale ja wiem, Holly, że nie dam rady. Gdybym spróbował, wszystko skończyłoby się fiaskiem. Przykro mi.

– Nieważne. Czy w Reykjavíku Lol i Raf będą mogli mieszkać razem?

– Tak to zorganizujemy. – Oczy Marinusa są duże, szare i szczerze, jak kiedyś oczy Iris Fenby. – Zamieszkają ze mną. Ulokowano nas w starym konsulacie francuskim. Jest tam dużo miejsca. – Lorelei i Rafiqowi Marinus mówi: – Spokojnie. Bardziej doświadczony ze mnie opiekun, niż na to wyglądam.

Zegar tyka. Zostało nam tylko dwadzieścia pięć minut.

– Nie do końca rozumiem, Hol – mówi Raf.

– Jedną chwilę, skarbie. Lol, jeśli ty popłyniesz, Raf będzie mógł płynąć z tobą, do krainy z insuliną. Jeżeli nie popłyniesz, prędzej czy później dostanie jakiegoś ataku, a my nie będziemy mieli dla niego żadnego lekarstwa. Proszę. Płyń.

Na piętrze przeciąg trzaska drzwiami. Wieczorne słońce ma kolor mandarynek. Lorelei jest na granicy płaczu, a jeśli zacznie, ja też się nieodwracalnie rozkleję.

– A kto zaopiekuje się tobą?

– Ja się nią zaopiekuję! – Mo gderliwie udaje obrażoną, żeby Lorelei się cała nie rozleciała.

– I O’Daly’owie – dodają – i Walshowie, i cała nowa, umocniona Republika Sheep’s Head. Wybiorą mnie na ministkę glonów, więc będą musieli obstarwić mnie gwardią honorową.

Nie mogę patrzeć na minę Lorelei, więc odwracam wzrok i patrzę na uśmiechniętych, blaknących zmarłych, którzy wpatrują się we mnie znad kominka, z bezpieczniejszych światów, zza ramek drewnianych, plastikowych i z masy perłowej. Staję, przyciskam głowy obojga dzieci do moich starych, obolałych boków i całuję je w czubki głów.

– Przynależam twoim rodzicom, Lol, że będę się tobą opiekowała, i tobie, Raf, też przynależam to samo. Wysyłając was na pokład tego okrętu, spełniam moje przynależenie. Nic nie przyniesie mi większego spokoju ani... ani – przelykam ślinę – radości niż pewność, że oboje jesteście bezpieczni i że już nie zagraża wam to wszystko... – gestem wskazuję miasto – co stało się dzisiaj. I co jeszcze nadejdzie. Proszę. Skarby moje dwa. Zróbcie to dla mnie. Jeżeli mnie... – Nie. „Jeżeli mnie kochacie” brzmi jak szantaż. – Ponieważ mnie kochacie – mam tak zaciśnięte gardło, że z trudem wypowiadałam to słowo – pływacie.

*

Nasze ostatnie minuty razem minęły pośpiesznie i pamiętam je jakby przez mgłę. Lorelei i Rafiq popędzili na górę, żeby spakować się na dwudniową podróż. Marinus zapewnił, że w Reykjavíku pójdą razem do sklepów kupić cieplejsze ubrania, jakby sklepy były najnaturalniejszą rzeczą na świecie. Ja ciągle widzę je w snach: Harrodsa w Londynie, Browna Thomasa w Corku, nawet wielki

SuperValu w Clonakilty. Kiedy dzieci ciągle pakowały się w swoich pokojach, Marinus usiadł w fotelu Eilish, zamknął oczy, a ciało Harry'ego Veracruza znieruchomiało nagle i stało się puste, gdy dusza mojego przyjaciela-psychozoteryka wyszła z cielesnej powłoki, by zaimplantować silne, fałszywe, bardzo wyraźne wspomnienie w umysłach obojga oficerów. Mo przyglądała się temu zafascynowana, mamrocząc tylko pod nosem, że będę się musiała długo przed nią tłumaczyć. Kilka chwil później dusza Marinusa wróciła do czaszki Harry'ego Veracruza, a dwoje islandzkich oficerów pojawiło się w drzwiach, mówiąc, że kapitan właśnie przekazał im, że prezydent objął ofertą azylu również przybranego brata Lorelei, Rafiq Bayatiego. Oboje wydawali się nieco oszołomieni, przekazując nam tę informację, jak pijani, kiedy usiłują udawać trzeźwych. Harry Veracruz podziękował komandorowi Aronssonowi i potwierdził, że oboje, Lorelei i Rafiq, skorzystają z prezydenckiej propozycji, po czym zapytał, czy komandor byłby tak miły i polecił przynieść na brzeg kufer podróżny z motorówki przy pomocy. Oficerowie zniknęli, a Mo stwierdziła, że przychodzą jej do głowy trzy prawa fizyki, które Marinus właśnie złamał, ale, jak dodała, jest przekonana, że z czasem znajdzie ich więcej.

Niedługo potem dwaj marynarze dostarczyli na brzeg skrzynię z włókna węglowego. Marinus rozpakował ją w mojej kuchni i wyjął dziesięć dużych szczelnych pojemników, każdy wypełniony tubkami z jakimś proszkiem.

– Koncentrat wojskowych racji żywnościowych – wyjaśnił. – Każda tubka to półtora tysiąca kalorii, plus substancje odżywcze i witaminy. Zmieszaj je z wodą, wyjdzie z tego straszna breja. Obawiam się, że baza miała w magazynie jedynie smak pizzy hawajskiej, ale jeśli nie będzie wam przeszkadzał smak sera i ananasa, wystarczą na prawie trzy lata dla was obu. A jeszcze lepsze jest to. – Marinus wyjął paczkę

czterech tabów w pokrowcach i podał mi jeden, wyjaśniając, że są ze sobą zeterowane, więc do połączeń nie będzie nam potrzebny Net. – Jeden dla ciebie, jeden dla mnie, dla Lorelei i dla Rafiqa. Wiem, że to nie to samo, co oni we własnej osobie w twojej kuchni, ale w ten sposób nie znikną dla ciebie zupełnie, kiedy już okrążymy przylądek. Są zasilane bioelektrycznie, wystarczy, że trzymasz je w dłoni, więc będą działały bez paneli słonecznych.

Między szczebelkami balustrady pojawiła się głowa Rafiqa.

– Przepraszam, proszę pana? A na Islandii mają szczoteczki do zębów?

– Taki zapas, że wystarczy ci do końca życia. I mają też dentystów. I nie „proszę pana”, tylko po prostu „Marinus”.

– Fajnie. Jasne. Holly, co to jest dentysta? Kiedyś mówiłaś.

*

Moje zamglenie już minęło. Stoimy na pomoście, a zmierzch gładzi swoim dotykiem zatokę Dunmanus, Lorelei, Rafiqa, Marinusa, sześciu Islandczyków, Zimbrę i mnie, i to się dzieje naprawdę. Musieliśmy zostawić Mo na górze, przy furtce, bo ścieżka w dół jest zbyt wyboista dla jej kostki. Dzielna mina Mo i płacz dzieci dały mi przedsmak tego, co i ja za chwilę będę przeżywać.

– Otulcie się porządnie – nakazała im Mo. – I pomachajcie nam tutaj, kiedy okręt będzie wypływał z zatoki. Ja będę machała do was.

Okręt patrolowy jest prawie niewidoczny na tle ciemniejszego masywu Mizen Head. Tylko po kilku jasnych światelkach można poznać, gdzie kotwiczy. Każdego innego wieczoru byłoby tu pełno puchówek i pontonów, ciekawych widoku tego niewiarygodnego stalowego kadłuba, który wpłynął do naszej zatoki, ale dzisiaj ludzie są zbyt przejęci, zbyt przerażeni wydarzeniami poranka w

Kilcrannog, więc islandzki okręt stoi na kotwicy nie niepokojony przez nikogo.

Marynarze ładują kufer Marinusa na motorówkę przycumowaną do betonowego mołu. W kufrze są teraz ubrania dzieci, a także *Dziwiąty legion*, ołtarzyk ze zdjęciem rodziców Lorelei, jej skrzypki oraz pudełko spławików i haczyków Rafiqa – Marinus zapewnił go, że w Islandii wspaniale łowi się łososie. Klucz do Dooneen Cottage nadal wisi na szyi Rafiqa, przypadkowo lub celowo, nie wiem, ale to jego klucz. Zauważyłam, że podniósł dwa białe kamyki z plaży przy mołu i wsunął je do kieszeni swojego wielkiego płaszcza. Potem cała nasza trójka mocno się ściska i gdybym miała wybrać jeden jedyny moment w życiu, by trwać w nim już przez całą wieczność, jak Esther Little przez te wszystkie lata, to byłby właśnie ten, nie mam co do tego wątpliwości. Aoife też jest z nami w tym uścisku, wewnątrz Lorelei, tak samo jak Ed, i jak Zimbra, ze swoim zimnym nosem i podnieconym skomleniem: czuje, że coś się ma wydarzyć.

– Dziękuję za wszystko, babciu – mówi Lorelei.

– Tak – mówi Rafiq. – Dziękuję.

– Byłam zaszczycona – odpowiadam.

W końcu się rozdzielamy.

– Opiekuj się nimi – proszę Marinusa.

Dlatego tu przybyłem, subodpowiada i mówi:

– Oczywiście.

– Pożegnaj ode mnie Izzy i O'Dalych, i... wszystkich – prosi Lorelei, a z oczu płyną jej łzy, i to wcale nie z zimna.

– I ode mnie też – dodaje Rafiq – i przeproś pana Murnane'a, że nie odrobiłem pracy domowej z ułamków.

– Sami im powiedzcie – mówi Marinus – przez wasze taby.

Nie potrafię powiedzieć „Żegnajcie”, bo to zbyt ostateczne słowo, ale mogę powiedzieć po prostu:

– Do zobaczenia w tabie.

Bo kiedy znowu zobaczę te kochane osoby naprawdę, na żywo? Nigdy. Robię więc tylko wszystko, żeby uśmiechać się, jakby mojego serca nikt teraz nie wyżywał jak starej ścierki, i patrzę, jak Lorelei i Rafiq z pomocą poręczniczki Eriksdottir wsiadają do motorówki, a za nimi na pokład wchodzi pełen młodości prastary Marinus.

– Połączymy się z tobą, kiedy dopłyniemy już bezpiecznie do Reykjavíku! – woła do mnie z łódki. – Czyli najpewniej pojutrze.

A ja wołam w odpowiedzi:

– Świetnie. Będę czekała. – Mój głos brzmi cienko i jękliwie, jak zbyt mocno napięta struna skrzypiec.

Rafiq i Lorelei tylko patrzą z pokładu motorówki, nie wiedząc, co powiedzieć. Marinus subzyczy mi: *Powodzenia, Holly Sykes*, a ja wyczuwam, że on w jakiś sposób wie o moim powracającym raku i o jagódkach w fiolkach z zabezpieczeniem przed dziećmi, schowanych na odpowiednią porę. Zatem tylko kiwam głową do Harry'ego Marinusa Veracruza, nie ufając już dłużej własnemu głosowi. Wysoki marynarz odcumowuje łódkę i kuca przy dziobie. W sosnach na farmie Knockroe pohukują sowy. Załoga uruchamia zawieszony za burtą silnik. Jego warkot sprawia, że Lorelei sztywnieje i jest teraz przestraszona. Ja też. To jest właśnie moment, w którym już nie ma odwrotu. Motorówka odbija od mola, zataczając ostry łuk. Wiatr zawiewa pasma włosów na twarz Lorelei. Czy pamiętała, żeby zabrać wełnianą czapkę? Już za późno. Ponad szczytem Knocknamadree na Mizen Head płynie para rozmytych, zachodzących na siebie księżyców. Przecieram oczy rękawem mojej zdartej wełnianej narzutki, i dwie schwytane planetoidy znowu stają się jedną. Bładozłotą i podrapaną. Drzę. Noc będzie zimna. Motorówka z pełną prędkością tnje teraz ciemne, lekko wzburzone fale. Rafiq macha, Lorelei macha, i ja macham, aż nie potrafię już odróżnić żadnych

postaci w rozmytym granatowym mroku, a biała smuga na wodzie za motorówką staje się coraz szersza... Ale też nie na długo. Płynące ku brzegowi fale zacierają wszelki ślad po znikającej w ciemnościach łódce, a ja czuję, że też jestem wymazywana, że rozpływam się i blaknę w niewidzialną kobietę. Bo tak to już jest – aby jakaś podróż mogła się rozpocząć, inna musi w pewien sposób dobiec końca.

Podziękowania

Michelowi van der Aa, Lisie Babalis, Tomowi Barbashowi, Nikki Barrow, Avideh Bashirrad, Manuelowi Berriemu, Dominice Bojanowskiej, Johnowi Boyne'owi, Adamowi Brophy'emu, Kenowi Buhlerowi, Amber Burlinson, Evanowi Camfieldowi, Ginie Centrello, Rajivowi Chandrasekaranowi za *Imperial Life in the Emerald City*, Noah Chasinowi, Kate Childs, Rachel Clements, Patrickowi Cockburnowi i jego książce *The Occupation*, Toby'emu Coxowi, Louise Dennys, Walterowi Donohue, Margaret Drabble, Susan Fletcher, Dominique Fortier, Kirsten Foster, Danielowi Galera, Tally Garner, Claire Gatzen, Samowi Greenwoodowi, Dominicowi Gribbenowi, Sophie Harris, Aleksandarowi Hemonowi, Kazuo Ishiguro, Susan Kamil, Trish Kerr z Kerr's Bookshop w Clonakilty, Jessice Killingley, Martinowi Kingstonowi (założycielowi Kilcrannog), Katie Kitamura (przepraszam, że obudziłem Ryu), Hariemu Kunzru, Sethowi Marko, Nickowi Marstonowi, Sally Marvin, poszukiwaczowi skarbów Meriçowi Mekikowi, pani MacIntosh, Katie McGowan, Caitlin McKennie, Janowi Montefiore, Rayowi Murnane'owi, Nealowi Murrenowi, Lawrence'owi Norfolкови z rodziną, Alasdairowi Oliverowi, Hazel Orme, Davidowi Peace'owi, Thomasowi E. Ricksowi za *Fiasco*, Wendell Steavenson za *The Weight of a Mustard Seed*, Juanowi

Gabrielowi Vásquezowi, Lanie Wachowski, Bingowi Westowi za *No True Glory*, Camilli Young.

Przepraszam, jeśli kogoś nie wymieniłem w podziękowaniach – to moja pamięć, nie niewdzięczność.

Dziękuję Kathleen Holland Designs za zaprojektowanie labiryntu Jacko.

Szczególne podziękowania należą się Davidowi Ebershoffowi, Jonny'emu Gellerowi, Dougowi Stewartowi i Carole Welch.

Na koniec dziękuję mojej rodzinie.